

STEPHEN
KING
PETER
STRAUB

CZARNY DOM

Prószyński i S-ka

Stephen King

Peter Straub

Czarny Dom

Black House

Przełożył: Marek Mastalerz

Wydanie polskie: 2002

TMN

**Davidowi Genertowi
I Ralphowi Vinzianzy**

**Zabierasz mnie tam gdzie nigdy nie byłem,
Ze złota wykute pocałunki mi ślesz,
Niech więc koronę na twoich lokach złożę,
Królowo świata, bądźże pozdrowiona!**

- The Jayhawk

Właśnie tu i teraz...

Część pierwsza

Witajcie w regionie Coulee

Rozdział pierwszy

Właśnie tu i teraz, jak zwykł mawiać stary przyjaciel, jesteśmy w płynnej terażniejszości, gdzie ostrość wzroku nigdy nie gwarantuje klarowności spojrzenia. Tutaj: około dwustu stóp – na wysokości szybującego orła – nad najdalej na wschód wysuniętym skrajem Wisconsin, gdzie przypadkowe meandry Missisipi wyznaczają naturalną granicę. Teraz: wczesny piątkowy ranek kilka lat po początku zarówno nowego stulecia, jak i milenium, których niezbadane tory są tak dokładnie skryte, że nawet ślepiec ma większą szansę przewidzenia przyszłości niż wy czy ja. Właśnie tu i teraz – dopiero co minęła szósta rano, a słońce unosi się nisko na bezchmurnym niebie na wschodzie. Pewna siebie, biało-żółta kula jak zawsze pnie się ku przyszłości, za sobą pozostawiając stale gromadzącą się przeszłość, ciemniejącą w miarę oddalania się i czyniącą ślepców z nas wszystkich.

W dole pierwsze promienie słońca kładą płynne odbłaski na szerokich rzecznych falach o miękkich zarysach. Światło odbija się od torów Kolei Północnej Burlington – Santa Fe, biegnącej wzdłuż brzegu z tyłu obskurnych piętrowych domów przy drodze okręgowej Oo. nazywanej także Nailhouse Row. Jest to najniższej położona okolica miło wyglądającego miasteczka, które rozciąga się pod nami w górę i na wschód. Można odnieść wrażenie, że w tym momencie życie w regionie Coulee wstrzymuje oddech. Zastałe w bezruchu powietrze przesycone jest tak zdumiewającą czystością i błogością, że łatwo uwierzyć, iż dałoby się wyczuć, jak ktoś o milę stąd wyrzywa z ziemi rzodkiewkę.

Szybujemy w stronę przeciwną niż rzeka, zmierzając w stronę słońca nad lśniącymi szynami, dachami i podwórkami na tyłach domów przy Nailhouse Row, a następnie nad rzędem wspartych na odchylanych nóżkach motocykli Harley-Davidson. Niepozorne domki postawiono na początku niedawno minionego stulecia dla formierzy, odlewników i pakowaczy z fabryki gwoździ Pederson Nail. Wychodząc z założenia, że robotnicy raczej nie będą się uskarżać na wady dotowanych domostw, sklecono je jak najtańszym kosztem.

(Pederson Nail, cierpiąca na liczne finansowe krwotoki w latach pięćdziesiątych, wykrwawiła się wreszcie na śmierć w 1963 roku). Oczekujące na właścicieli harleye sugerują, że robotników zastąpił gang motocyklowy. Dziki wygląd ich właścicieli – rozczochranych tłuściochów z kołyszącymi się brzuszyskami i zmierzwionymi brodami, którzy pyszną się kolczykami, czarnymi skórzanymi kurtkami i niekompletnym uzębieniem – zdawałby się potwierdzać ten domysł. Podobnie jak większość apriorycznych założeń zawiera ono niepokojącą półprawdę.

Obecnym mieszkańców Nailhouse Row, których podejrzliwi sąsiedzi ochrzcili Pierońską Piątką, gdy tylko nowi przybysze zajęli nadrzeczne domki, nie da się jednak tak łatwo zaszerzować. Trudnią się wykwalifikowaną pracą w Spółce Browarniczej „Królewskie Włości”, położonej na południe tuż za miastem, o przecznicy od Missisipi. Jeśli spojrzymy na prawo, to zobaczymy „największe sześciopaki świata” – zbiorniki z wymalowanym godłem Staroświeckiego Lagera „Królewskie Włości”. Mieszkający przy Nailhouse Row mężczyźni poznali się na kampusie Urbana-Champaign uniwersytetu stanu Illinois, gdzie z wyjątkiem jednego z nich ich przedmiotami kierunkowymi były anglistyka lub filozofia. (Wyjątkiem był lekarz, specjalizujący się z chirurgii w szpitalu uniwersyteckim USIUC). Wszyscy czerpią ironiczną przyjemność z tego, że są nazywani Pierońską Piątką; brzmi to dla nich błogo jak slogan z kreskówki. Sami określają się „Hegłowską Hałastrą”. Dżentelmeni ci stanowią interesującą kompanię; zapoznamy się z nimi później. Na razie mamy jeszcze tylko czas dostrzec ręcznie malowane plakaty, przyklejone taśmą do frontów kilku domów oraz paru porzuconych budynków. Widnieją na nich hasła: RYBAKU, LEPIEJ MÓDL SIĘ DO SWOJEGO ŚMIERDZĄCEGO BOGA, ŻEBYŚMY CIĘ PIERWSI NIE DOPADLI! PAMIĘTAMY AMY!

Ulica Chase biegnie stromo pod górę od Nailhouse Row, pomiędzy osiadającymi gmachami o zużytych, niemalowanych fasadach barwy mgły: starym hotelem Nelson, gdzie śpią nieliczni ciułający grosz klienci, tawerną o enigmatycznym froncie, zestarzałym sklepem obuwniczym, gdzie za niezbyt przejrzystą szybą wystawową widać buty robocze Red Wing, oraz kilkoma anonimowymi budynkami, niczym niezdradzającymi ich przeznaczenia i sprawiającymi wrażenie osobliwie nierzeczywistych, jakby były tylko waporami. Budowle te roztaczają aurę nieskutecznych renowacji, gmachów wyrwanych z mrocznego zachodniego terytorium, chociaż i tak pozostały martwe. Na swój sposób właśnie to było ich udziałem. Ochrowy poziomy pas dziesięć stóp nad chodnikiem na fasadzie hotelu Nelson, a dwa na przeciwstawnych, popielatych murach dwóch ostatnich budynków to znak, dokąd sięgnęła wielka powódź w 1965 roku, kiedy to Missisipi wystąpiła z brzegów, zatopiła tory kolejowe i Nailhouse Row, a wreszcie sięgnęła niemal szczytu ulicy Chase.

W miejscu, w którym ulica Chase wznosi się nad linię powodzi i staje się pozioma, rozszerza się i ulega transformacji w główną ulicę French Landing – rozpościerającego się pod nami niewielkiego miasta. Wzdłuż prostych chodników wznosi się kino „Agincourt”,

knajpa „Taproom Bar & Grille”, Pierwszy Stanowy Bank Rolniczy. Studio Fotograficzne Samuela Stutza (zarabiające systematycznie na zdjęciach z ukończenia szkoły, weselach oraz portretach dziecięcych) oraz sklepy – nie zaś ich upiorne relikty: drogeria „Benton Rexall”, sklep żelazny „Reliable Hardware”, wypożyczalnia „Saturday Night Video”, sklep odzieżowy „Regal Clothing”, wielobranżowe „Schmitt’s Allsorts Emporium”; sklepy sprzedające sprzęt elektroniczny, czasopisma i kartki z pozdrowieniami, zabawki i stroje sportowe z godłami drużyn Piwowarów, Bliźniaków, Pakowaczy, Wikingów i Uniwersytetu Wisconsin. Kilka przecnic dalej ulica zmienia nazwę na Lyall Road, a gmachy rozdzielają się i kurczą do wysokości parterowych, drewnianych budyneczków, na których frontonach tablice oznajmiają, że mieszczą się w nich biura ubezpieczeniowe i agencje turystyczne. Jeszcze dalej ulica przechodzi w drogę, mijającą 7-Eleven, Salę VFW (Stowarzyszenia Weteranów Wojen Zagranicznych) imienia Reinholda T. Grauhammera oraz wielki magazyn sprzętu rolniczego, nazywany przez miejscowych „U Goltza”, za nim ciągnie się nieprzerwany pejzaż płaskich pól. Jeśli wzniesiemy się jeszcze o sto stóp w niezmaconym powietrzu i spojrzemy w dół przed siebie, zobaczymy kotły morenowe, wąwozy, włochate od sosen spłaszczone wzgórza, bogate w less doliny – niewidoczne z poziomu gruntu, o ile nie dojdzie się do ich skraju, meandrujące rzeki, milowe łąty pól i miniaturowe miasteczka. Jedno z nich, Centralia, to praktycznie tylko zbiorowisko zabudowań na skrzyżowaniu dwóch wąskich dróg, numer 35 i 93.

Wprost pod nami French Landing wygląda, jakby ewakuowano je w środku nocy. Nikt nie idzie ulicą ani nie pochyła się, by wsunąć klucz w zamek któregoś ze sklepów przy Chase. W zaułkach za sklepami brak wozów osobowych i pikapów, które zaczęły się pojawiać, najpierw pojedynczo i parami, a potem statecznym, równym strumieniem, za godzinę lub dwie. Nie palą się światła w oknach budynków handlowych ani bezpretensjonalnych domów przy okolicznych ulicach. Przecnicę na północ od Chase znajduje się ulica Sumner – cztery identyczne, piętrowe budynki z czerwonej cegły, w których mieszczą się, poczynając od zachodu, Biblioteka Publiczna French Landing, gabinet miejscowego lekarza ogólnego Patricka J. Skardy’ego, Bell and Holland, dwuosobowa kancelaria prawnicza, prowadzona aktualnie przez Garlanda Bella i Juliusa Hollanda – synów założycieli, oraz Dom Pogrzebowy Heartfield i Syn, stanowiący obecnie własność gigantycznego imperium tej branży z centrum w St. Louis, a wreszcie miejscowy urząd pocztowy.

Na końcu ulicy, przed skrzyżowaniem Sumner z ulicą Trzecią, stoi – oddzielony od pozostałych budynków szerokim wjazdem na obszerny parking z tyłu – gmach również z czerwonej cegły i o dwóch kondygnacjach, ale dłuższy od swoich sąsiadów. Niemalowane żelazne kraty znajdują się w oknach na piętrze z tyłu, a dwa z czterech pojazdów na parkingu to radiowozy z bateriami świateł na dachach i literami FLPD na bokach. Obecność policyjnych samochodów i zakratowanych okien wydaje się niedorzeczna w tej małomiasteczkowej idylli – jakież bowiem mogą przydarzać się tu zbrodnie? Na pewno nie

poważne przestępstwa; niewątpliwie najwyżej drobne kradzieże sklepowe, jeżdżenie po pijanemu czy sporadyczne burdy w knajpie.

Jakby dając świadectwo spokojowi i regularności małomiasteczkowego życia, czerwona furgonetka z napisami LA RIVIERE HERALD na bokach przetacza się powoli po ulicy Trzeciej, zatrzymując przy prawie każdej skrzynce pocztowej. Kierowca wysiada i wsuwa kolejne egzemplarze wydania z tego dnia, w niebieskich plastikowych torbach, do szarych metalowych cylindrów z takimi samymi napisami. Gdy furgonetka skręca w Sumner, gdzie zamiast skrzynek są szczeliny na pocztę w drzwiach, doręczyciel po prostu rzuca gazety pod frontowe wejścia. Niebieskie zawiniątka odbijają się ze stukiem od drzwi posterunku policji, domu pogrzebowego i kolejnych biur. Poczta nie dostaje egzemplarza gazety.

I co wy na to? Na parterze od frontu posterunku policji rzeczywiście pali się światło. Otwierają się drzwi. Na zewnątrz wychodzi wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w bladoniebieskiej koszuli od munduru z krótkimi rękawami, pasie w stylu Sama Browne'a i marynarskich spodniach. Szeroki pas i złota odznaka na piersi Bobby'ego Dulaca lśnią w świeżym słonecznym blasku, a wszystko, co ma na sobie, włącznie z przypasanym do biodra pistoletem kalibru dziewięć milimetrów, jest tak samo świeżutkie jak on sam. Bobby Dulac przygląda się, jak czerwona furgonetka skręca w lewo na ulicę Drugą, i marszczy brwi na widok zwiniętej gazety. Szturchają noskiem czarnego, wyglansowanego na wysoki połysk buta. Pochyliła się wystarczająco, by zasugerować, że stara się odczytać nagłówki przez plastik. Najwyraźniej ta technika nie sprawdza się najlepiej. Ze wciąż zmarszczonymi brwiami Bobby schyla się i bierze w rękę gazetę z niespodziewaną delikatnością, jak kotka zabierająca się do przeniesienia swojego dziecka. Trzymając gazetę w pewnej odległości od ciała, rzuca dwa szybkie spojrzenia w przeciwne końce ulicy Sumner, robi sprawny zwrot w tył i wraca po schodkach na posterunek. Interesujący widok, jaki stwarza funkcjonariusz Dulac, rozbudza naszą ciekawość, zniżamy się równomiernie i wraz z nim zanurzamy się do środka.

Szary korytarz wiedzie obok nieoznakowanych drzwi i tablicy na ogłoszenia z nielicznymi przypiętymi kartkami ku parze schodów z metalu. Jedne prowadzą w dół do małej szatni, kabin z prysznicami oraz strzelnicy, drugie zaś na górę, do pokoju przesłuchań oraz dwóch zwróconych ku sobie rzędów cel, obecnie bez wyjątku pustych. Gdzieś niedaleko rozlega się głos spikera z radia, nastawionego zbyt głośno jak na spokojny poranek.

Bobby Dulac otwiera nieoznakowane drzwi. Następując mu na lśniące obcasy, wchodzimy do sali odpraw, którą przed chwilą opuścił. Pod ścianą po naszej prawej stronie stoi rząd szafek na dokumenty, a za nimi rozklekotany drewniany stół, na którym leżą równe stosiki teczek oraz stoi radio tranzystorowe – źródło dysonansowego hałasu. W pobliskim studiu radiostacji KDCU-AM, Twojego Żywego Głosu Regionu Coulee, zabawny przez swoją zajadłość George Rathbun pograżył się w wirze „Borsuczego Barażu” – swej popularnej porannej audycji. Dobry stary George wydaje się mówić zbyt głośno bez względu

na to, jak nastawi się odbiornik. Facet jest po prostu hałaśliwy – co zresztą stanowi część jego czaru.

Na środku ściany naprzeciwko nas są zamknięte drzwi z przyciemnianą szybą o pęcherzykowej fakturze, na której widnieje napis: DALE GILBERTSON, KOMENDANT POLICJI. Szef zjawi się mniej więcej za pół godziny.

W kącie po lewej stronie ustawiono pod kątem prostym dwa biurka. Za tym, które stoi frontem do nas, siedzi Tom Lund, jasnowłosy funkcjonariusz mniej więcej w wieku kolegi, ale niesprawiający wrażenia, że wytłoczono go w mennicy pięć minut temu. Lund przenosi wzrok na torebkę, którą Bobby Dulac trzyma w wystawionych przed siebie dwóch palcach prawej ręki.

– No dobrze – mówi Lund. – Dobra. Kolejny odcinek.

– Myślisz, że może Pierońska Piątka złoży nam kolejną wizytę towarzyską? Masz. Nie chcę czytać tego cholerstwa.

Nie zniżając się do popatrzenia na gazetę, Bobby ciska ruchem samego nadgarstka najnowszą edycję „La Riviere Herald”, które pokonuje płaskim, szybkim łukiem dzielącą policjantów odległość, a Bobby robi zwrot w prawo i sadowi się za drewnianym stołem tuż przed tym, nim Tom Lund odbiera jego podanie. Bobby rzuca okiem na dwa nazwiska i różne szczegóły spisane na długiej tablicy na ścianie za stołem. Widać, że nasz Bobby Dulac nie ma humoru; wygląda, jakby skutek samego natężenia jego gniewu mógł popękać na nim mundur.

„Weź mi odpuść, rozmówco, dobra?! – drze się tłusty, zadowolony z siebie George Rathbun w studiu KDCU. – Lepiej se wykup swoją receptę! Chyba gadasz o jakimś zupełnie innym meczu! Rozmówco...”

– Wendell – mówi Bobby.

Ponieważ Lund może dojrzeć tylko gładki, ciemny tył głowy kolegi, uśmiezek, który pojawia się na jego twarzy, jest w zasadzie niepotrzebny.

„Rozmówco, pozwól, że zadam ci to jedno pytanie. Zapytam cię otwarcie i chcę, żebyś był ze mną szczery. Naprawdę widziałeś wczorajszy mecz?”

– Nie wiedziałem, że Wendell to twój dobry kumpel – mówi Bobby. – Nie sądziłem, że wypuszczasz się aż do La Riviere – tak daleko na południe. No proszę, myślałem, że twój pomysł na udany wieczór to dzbanek piwa i próba przeskoczenia setki w kręgielni „Arden Bowl-A-Drome”, a tu się okazuje, że obijasz się z pismakami po miasteczkach akademickich. Pewnie masz też jakieś konszachty ze Szczurem z Wisconsin, tym gościem z KWLA. Dużo czadowych lasek rwiesz w ten sposób?

Rozmówca mówi, że spóźnił się na pierwszą zmianę – część meczu baseballu – bo musiał odebrać dziecko z sesji terapeutycznej w Mount Hebron, ale rzecz jasna obejrzał całą resztę.

– Czyja mówiłem, że Wendell Green to mój przyjaciel? – pyta Tom Lund. Nad lewym ramieniem Bobby’ego widzi pierwsze z nazwisk na tablicy i bezradnie skupia na nim wzrok.

– Po prostu spotkałem faceta po sprawie Kinderlinga i wydał mi się nie najgorszy. W gruncie rzeczy nawet go polubiłem. W gruncie rzeczy zrobiło mi się go trochę szkoda. Chciał zrobić wywiad z Hollywoodem, ale Hollywood od razu mu odmówił.

No oczywiście, że widział dodatkowe zmiany, mówi ogłupiały rozmówca – dlatego wie, że Pokey Reese dotarł do bezpiecznej pozycji.

– A jeśli chodzi o Szczura z Wisconsin, nie wiedziałbym, który to, nawet gdybym miał go przed sobą. Poza tym uważam, że nigdy w życiu nie słyszałem takiego szajsu jak ta tak zwana muzyka, którą puszcza. Jak taki popapwany, zasuszony wymoczek w ogóle dostał się do radia? Do uczelnianej stacji? Co ci to mówi o naszej wspaniałej filii uniwersytetu Wisconsin w La Riviere, Bobby? Co ci to mówi o całym naszym społeczeństwie? Och, zapomniałbym, przecież lubisz takie gówna.

– Nie, lubię 311 i Korn. Tak bardzo się na tym nie znasz, że nie odróżniłbyś Jonathana Davisa od Dee Dee Ramone, ale dajmy sobie z tym spokój, dobrze? – Bobby Dulac odwraca się powoli i uśmiecha do swojego kolegi. – Przestań grać na zwłokę – dodaje z niezbyt przyjemnym uśmiechem.

– To ja gram na zwłokę? – Tom Lund wytrzeszcza oczy w parodii zranionej niewinności. – Jejku, to ja ci rzuciłem gazetę przez cały pokój? Nie, myślę, że jednak nie ja.

– Jeśli nigdy nie widziałeś na oczy Szczura z Wisconsin, to skąd wiesz, jak on wygląda?

– Stąd, skąd wiem, że ma ufarbowane na dziki kolor włosy i kolczyk w nosie. Tak samo jak wiem, że dzień w dzień, deszcz czy pogoda, nosi doszczętnie zdartą, czarną skórzaną kurtkę. – Bobby czeka na jego dalsze słowa. – Przez to, jak mówi. Głosy ludzi są pełne informacji. Jak facet mówi: wygląda na to, że będzie łatwy dzień – to opowiada ci historię całego swojego życia. Chcesz się dowiedzieć czegoś jeszcze o Szczurku? Nie był u dentysty sześć-siedem lat. Ma zupełnie zepsute zęby.

Z wnętrza szkaradnej budowli z pustaków obok browaru na Pennisula Drive, w której mieści się rozgłośnia KDCU, poprzez nadajnik, подарowany jej przez Dale'a Gilbertsona na długo, zanim Tom Lund i Bobby Dulac przywdziali uniformy, rozlega się pełne dobrodusznego oburzenia porykiwanie dobrego, starego George'a Rathbuna, na którym zawsze można polegać – pasjonackie, nieprzepuszczające niczemu grzmienia, sprawiające, że farmerzy w promieniu stu mil uśmiechają się znad śniadania do swoich żon po drugiej stronie stołów, a przejeżdżający kierowcy ciężarówek wybuchają śmiechem:

„Przysięgam, rozmówco, i to samo odnosi się do poprzedniego oraz każdego z was, którzy tam sobie siedzicie, kocham was głęboko, to szczerą prawdą, kocham was tak, jak moja mama kochała swoją grządkę rzepy, ale czasami DOSTAJĘ PRZEZ WAS SZAŁU, ludzie! Och, rany. Koniec jedenastej zmiany, dwóch na aucie! Siedem-sześć dla Czerwonych! Gracze na drugiej i trzeciej bazie. Pałkarz odbija do środkowego zapolowego, Reese startuje z trzeciej bazy, rzuca piłkę prosto na metę, a potem czyste dotknięcie. Czyste dotknięcie! NAWET ŚLEPY BY TAK TO OCENIŁ!”.

– Ech, sam czułem, że to było porządne dotknięcie, a słyszałem to tylko przez radio – mówi Tom Lund.

Obaj mężczyźni grają na zwłokę i zdają sobie z tego sprawę.

„W istocie – woła bez dwóch zdań najpopularniejszy Żywy Głos Regionu Coulee – pozwólcie, że się wychylę, chłopcy i dziewczęta, pozwólcie, że przedstawię następującą propozycję, dobra? Zastąpmy wszystkich sędziów w Miller Park, ech, co tam. wszystkich sędziów w Lidze Narodowej ŚLEPCAMI! Wiecie co, przyjaciele? Gwarantuję, że da to sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent poprawy rzetelności ich decyzji. DAJCIE TĘ ROBOTĘ TYM, KTÓRZY SOBIE Z NIĄ PORADZĄ – ŚLEPCOM!”.

Na popolitą twarz Toma Lunda wypelza radosny uśmiech. Ach. ten George Rathbun, można boki zrywać, facet.

– Daj spokój, dobrze? – mówi Bobby.

Lund z uśmiechem wyciąga złożoną gazetę z opakowania i rozkładają na biurku. Twarz mu tężeje; usta pozostają ułożone w uśmiech, który nabiera jednak zaciętego charakteru.

– Och, nie. Och, do diabła.

– Co jest?

Lund wydaje nieartykułowany pomruk i potrząsa głową.

– Jezu. Nawet nie chcę wiedzieć. – Bobby wpycha pięści w kieszenie, po czym prostuje się jak struna, wyszarpuje prawą dłoń i przyciska ją do oczu. – Jestem ślepy, może nie? Zróbcie mnie sędzią baseballowym, nie chcę już być gliną. – Lund nie odpowiada. – To nagłówek? Na całą szerokość strony? Bardzo paskudny?

Bobby odrywa rękę od oczu i przytrzymuje ją w powietrzu.

– No, wygląda na to, że do Wendella mimo wszystko nic nie dotarło – mówi Lund. – Cholera jasna, nie potrafił sobie odpuścić. Aż trudno mi uwierzyć, że powiedziałem, iż polubiłem tego zasrańca.

– Ocknij się, Tom – mówi Bobby. – Nikt ci nigdy nie powiedział, że funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości i dziennikarze są po przeciwnych stronach barykady?

Tom Lund pochyla nad biurkiem zwalisty tors. Na jego czole pojawia się gruba, pozioma bruzda, a pyzate policzki pokrywają się szkarłatem. Wymierza palec w Bobby’ego Dulaca.

– Tego właśnie nie potrafię u ciebie znieść, Bobby. Jak długo tu jesteś? Pięć, sześć miesięcy? Dale przyjął mnie cztery lata temu. Kiedy razem z Hollywoodem założyli obrączki panu Thornbergowi Kinderlingowi, a chyba od trzydziestu lat była to największa sprawa w tym okręgu, nie mogłem przypisywać sobie żadnych zasług, ale przynajmniej robiłem, co do mnie należało. Pomagałem poskładać parę brakujących kawałków.

– Jeden – odpowiada Bobby.

– Przypomniałem Dale’owi o barmance z piwiarni, szef powiedział o tym Hollywoodowi, a ten z nią porozmawiał i okazało się, że to naprawdę wielki kawałek. Pomogło mu to namierzyć Kinderlinga, więc nie mów do mnie w ten sposób.

– Przepraszam, Tom. – Bobby Dulac przybiera wyraz udawanej skruchy. – Pewnie jestem naraz spięty i do ostateczności upierdzielony.

W rzeczywistości myśli: Słyszysz parę lat dłużej ode mnie i kiedyś podrzuciłeś Dale’owi ten zafajdany szczegół. I co z tego? I tak jestem lepszym gliniarzem, niż ty kiedykolwiek zostaniesz. Co, może byłeś bohaterem wczoraj wieczorem?

O 23.15 poprzedniej nocy Armand „Beezer” St. Pierre i jego kompani z Pionońskiej Piątki nadjechali z rykiem silników od strony Nailhouse Row, wladowali się na posterunek i zaczęli domagać od trzech funkcjonariuszy, z których każdy miał za sobą po osiemnaście godzin służby, dokładnego sprawozdania ze śledztwa w najbardziej interesującej ich sprawie. Co się tu działo, do cholery? A co z trzecią małą, he? Co z Irmą Freneau? Znalezione ją już? Czy te błązny dowiedziały się czegośkolwiek, czy tylko wciskały kit? Potrzebna wam pomoc? – zagrzmiął Beezer. To mianujcie nas zastępcami szeryfa, a będziecie mieli tyle pomocy, ile wam potrzeba, i jeszcze trochę. Olbrzym z ksywką Mysza podszedł z uśmiechem na twarzy do Bobby’ego Dulaca i napał swoim gigantycznym brzuszyskiem na jego brzuszek rozmiarów opakowania sześciu puszek piwa. Gargantuiczny Mysza wcisnął Bobby’ego w szafkę na akta, po czym pośród obłoku woni piwa i marihuany zapytał niezrozumiale, czy policjant kiedykolwiek zapoznał się z dziełami niejakiego Jacques’a Derridy. Gdy Bobby odparł, że nigdy nie słyszał o owej osobie, Mysza rzekł: „Nie pieprz, Sherlocku”, po czym odsunął się i wlepił ponury wzrok w nazwiska na tablicy. Pół godziny potem Beezer, Mysza i ich towarzysze odjechali nieusatysfakcjonowani, niewciągnięci w szeregi policji, ale spokojni. Dale Gilbertson powiedział natomiast, że musi jechać do domu i trochę się przespać, ale Tom powinien na wszelki wypadek zostać. Obydwaj funkcjonariusze, pełniący nocne dyżury, znaleźli sobie tego dnia jakieś wymówki. Bobby powiedział, że on też zostanie, „nie ma sprawy, szefie” – dlatego właśnie zastaliśmy obydwóch funkcjonariuszy tak rano na posterunku.

– Daj mi ją – mówi Bobby Dulac.

Lund bierze gazetę do ręki, odwraca ją i przytrzymuje tak, by Bobby mógł odczytać nagłówek: RYBAK WCIAŻ GRASUJE NA WOLNOŚCI W OKOLICACH FRENCH LANDING. Opatrzony nim artykuł zajmuje trzy kolumny po lewej, na górze pierwszej strony. Tekst wydrukowano na bladoniebieskim tle i oddzielono go od reszty strony czarną obwódka. Pod nagłówkiem znajduje się wiersz mniejszą czcionką: *Policja nie potrafi ustalić tożsamości mordercy-psychopaty*. Pod dodatkowym nagłówkiem jeszcze mniejsze litery układają się w napis identyfikujący autorów: *Wendell Green z pomocą zespołu redakcyjnego*.

– Rybak – mówi Bobby. – Od samego początku twój kumpel trzymał palec w dupie. Rybak, Rybak, Rybak. Gdybym się nagle zamienił w pięćdziesięciopową małpę i zaczął tratować budynki, to nazwałbyś mnie King Kongiem? – Lund opuszcza gazetę i uśmiecha się. – No dobrze, zły przykład – przyznaje Bobby. – Powiedzmy, że obskoczyłbym parę banków. Zacząłbyś wołać na mnie: John Dillinger?

– No, powiadają, że Dillinger miał tak wielki interes, że wsadzili go do słoika i trzymają w Smithsonian Institution – odpowiada Lund z jeszcze szerszym uśmiechem. – Może...

– Przeczytaj mi pierwsze zdanie – przerywa mu Bobby.

Tom Lund opuszcza wzrok i czyta: „Podczas gdy policja z French Landing nadal nie potrafi wykryć jakichkolwiek tropów, które pomogłyby w ustaleniu, kim jest straszliwy dwukrotny morderca i zbrodniarz seksualny, nazwany przez niżej podpisanego reportera «Rybakiem»; mroczne widma strachu, rozpacz i podejrzliwości zataczają coraz węższe kręgi na ulicach tego miasteczka, sięgają okolicznych wsi i farm okręgu French oraz kalają swoim dotknięciem wszystkie zakątki regionu Coulee”.

– Tego nam tylko brakowało – mówi Bobby. – Jee-zuu!

W jednej chwili przechodzi przez pokój i pochyłony nad ramieniem Toma Lunda czyta pierwszą stronę „Heralda”. Wspiera dłoń na rękojeści glocka, jakby był gotów właśnie tu i teraz wyborować dziurę w artykule.

„Nasze tradycje ufności i dobrosąsiedztwa, nasz zwyczaj okazywania wszystkim ciepła i hojności {pisze Wendell Green w rozbuchanym obłędzie tworzenia wstępniaka} ulegają dzień za dniem erozji wskutek żrącego działania tych posępnych emocji. Strach, rozpacz i podejrzliwość zatruwają duszę dużych i małych społeczności, ponieważ nastawiają sąsiadów przeciwko sobie i zamieniają obywatelskiego ducha w jego parodię.

Zamordowano dwójkę dzieci i częściowo spożyto ich szczątki. Obecnie zaginęło trzecie dziecko. Ośmioletnia Amy St. Pierre i siedmioletni Johnny Irkenham padli ofiarami pasji potwora w ludzkim ciele. Żadne z nich nie zazna szczęścia dorastania ani satysfakcji dorosłego życia. Ich pogrążeni w żałobie rodzice nie zostaną dziadkami, mogącymi radować się posiadaniem wnuków. Rodzice przyjaciół zabaw Amy i Johnny’ego kryją swoje pociechy w bezpiecznym domowym zaciszu, podobnie jak ci, którzy ich w ogóle nie znali. W rezultacie praktycznie we wszystkich miasteczkach i osadach okręgu French odwołano letnie programy zabaw i inne zajęcia.

Zaginięcie dziesięcioletniej Irmy Freneau w siedem dni po śmierci Amy St. Pierre i zaledwie trzy dni po Johnnym Irkenhamie sprawiło, że cierpliwość ludności znajduje się na skraju wyczerpania. Jak już donosił niżej podpisany reporter, we wtorek późnym wieczorem pięćdziesięciodwuletni Merlin Graasheimer, bezrobotny robotnik rolny bez stałego miejsca zamieszkania, został osaczony i pobity przez grupę niezidentyfikowanych ludzi w zaułku w Graigner. Do podobnego zdarzenia doszło nad ranem w czwartek. Trzech również niezidentyfikowanych mężczyzn napadło na trzydziestosześcioletniego Elvara Praetoriusa, podróżującego samotnie szwedzkiego turystę, gdy spał na ławce w Parku Leifa Erikssona w La Riviere. Graasheimer i Praetorius potrzebowali jedynie rutynowej pomocy medycznej, lecz w przyszłości samosądy niemal na pewno będą miały poważniejsze skutki”.

Tom Lund przenosi wzrok na kolejny akapit, opisujący nagłe zniknięcie Irmy Freneau z chodnika ulicy Chase, i odsuwa się od biurka. Bobby Dulac czyta w milczeniu jeszcze przez jakiś czas.

– Musisz posłuchać tego gówna – mówi wreszcie. – Tak się kończy:

„Kiedy Rybak uderzy znowu? Ponieważ zrobi to, przyjaciele, nie łudźcie się.

Kiedy Dale Gilbertson, szef policji we French Landing, wypełni swój obowiązek i uchroni obywateli okręgu przed ohydnyimi, zwyrodniałymi zbrodniami Rybaka i uzasadnioną przemocą ludności?”.

Bobby Dulac przechodzi z głośnym tupaniem na środek pokoju. Zarumienił się podczas lektury; teraz wciąga w płuca i wypuszcza z nich zdumiewającą ilość tlenu.

– A może kiedy Rybak znowu uderzy – mówi – dobierze się prosto do sflaczałego tyłka Wendella Greena?

– Jestem za tym – odpowiada Tom Lund. – Możesz uwierzyć w te pierdoły? „Uzasadniona przemoc”? Facet mówi ludziom, że wolno dobierać się do skóry każdemu, kto podejrzanie wygląda.

Bobby wymierza w Lunda wskazujący palec.

– Zamierzam osobiście dorwać tego gościa. To przyrzeczenie. Dopadnę go, żywego czy umarłego. – Na wypadek gdyby do Lunda nie dotarło, o co mu chodzi, powtarza: – Osobiście.

Roztropnie nie decydując się na wypowiedzenie słów, które cisną się mu na usta, Tom Lund przytakuje. Palec wciąż mierzy w niego.

– Jeśli potrzebujesz trochę pomocy, może powinieneś pogadać z Hollywoodem – mówi. – Dale’owi się nie udało, ale może ty będziesz miał więcej szczęścia.

– Nie ma potrzeby. – Bobby zbywa ten pomysł machnięciem ręki. – Dale i ja... i ty, oczywiście, damy sobie radę. Tak czy inaczej, zamierzam osobiście dobrać się do tego gościa. Gwarantuję. – Urywa na sekundę. – Poza tym Hollywood odszedł na dobre ze służby, kiedy się tu przeprowadził, zapomniałeś?

– Hollywood jest za młody na emeryturę – odpowiada Lund. – Nawet jeśli chodzi o lata w służbie, to jeszcze praktycznie dzieciak. Przy nim ty jesteś prawie embrionem.

Podczas gdy obydwoj zaczynają chichotać, wylatujemy z sali ogólnej, ponownie się wzbijamy i szybujemy przecnicę dalej na północ – nad ulicę Queen.

Przenosimy się kilka przecnic na wschód i trafiamy nad niski, rozłożysty gmach o rozchodzących się od wspólnej osi skrzydłach, zajmujący wraz z obszernym, opadającym trawnikiem, upstrzonym tu i ówdzie wysokimi dębami i klonami, cały kwartał zabudowy. Okala go rozrośnięty żywopłot, któremu przydałoby się przystrzyżenie. Jest to najwyraźniej jakaś instytucja. Z początku kojarzy się z postępową szkołą podstawową, której rozliczne skrzydła mieszczą klasy bez ścian, a kwadratowe centrum zawiera jadalnię i biura administracji. Gdy się opuszczamy, słyszymy rozlegające się z kilku okien dobroduszne

porykiwania George'a Rathbuna. Uchylają się wielkie, frontowe drzwi ze szklą i w jasne światło poranka wychodzi szczupła kobieta w okularach o kształcie kocich oczu. W jednej ręce trzyma plakat, a w drugiej – rolkę taśmy. Odwraca się natychmiast i szybkimi, oszczędnymi ruchami przykleja plakat do drzwi. Światło odbija się od półprzeźrystego klejnotu wielkości orzecha laskowego, który lśni na środkowym palcu jej prawej ręki.

Podczas gdy kobieta nieruchomieje na chwilę, podziwiając swoje dzieło, możemy zerknąć jej przez nakrochmalone ramię i zobaczyć, że pośród pogodnego rojowiska wymalowanych ręcznie baloników plakat oznajmia, że DZISIAJ TRUSKAWKOWY FESTYN!!! Gdy zaś nieznajoma wchodzi do środka, dostrzegamy w widocznej dla nas obok pstrokatego plakatu części holu dwa lub trzy złożone fotele na kółkach. Kobieta z upiętymi w architektoniczne cudeńko kasztanowatymi włosami mija je i ze stukaniem wysokich obcasów przechodzi przez sympatycznie urządzone lobby z jasnymi drewnianymi krzesłami i stolikami o podobnym odcieniu, na których leżą elegancko rozłożone czasopisma. Okrąża puste biurko strażnika czy też recepcję pod dekoracyjną ścianą podszytą szpatem i znika – chwilę jakby się zawahawszy – za połyskującymi drzwiami z tabliczką: WILLIAM MAXTON, DYREKTOR.

Cóż to za szkoła? Dlaczego jest czynna, dlaczego w środku lipca urządza festyny?

Moglibyśmy ją nazwać szkołą dla absolwentów, ponieważ jej pensjonariusze przeszli już wszystkie stadia swego życia z wyjątkiem ostatniego. Obecnie egzystują dzień po dniu pod niedbałym nadzorem pana Williama „Chippera” Maxtona, dyrektora. Jest to Dom Spokojnej Starości Maxtona, niegdyś – w bardziej niewinnych czasach, przed kosmetyczną renowacją w połowie lat osiemdziesiątych – znany jako Dom Opieki Maxtona, którego założycielem, właścicielem i kierownikiem był ojciec Chippera, Herbert Maxton. Herbert był przyzwoitym, chociaż niezdecydowanym człowiekiem, który, można twierdzić bez ryzyka pomyłki, przeraziłby się, do czego posuwa się jedyny owoc jego lędźwi. Chipper nigdy nie miał ochoty przejąć „rodzinnego kojca”, jak go nazywa, wraz z ładunkiem „mamlaczy”, „truposzczaków”, „siusiumajtków” i „ślińtuchów”. Po uzyskaniu dyplomu z księgowości w filii uniwersytetu stanu Wisconsin w La Riviere (i gorliwym studiowaniu takich przedmiotów dodatkowych, jak promiskuityzm, hazard i złopanie piwka) nasz chłopiec objął posadę w izbie skarbowej w Madison w rodzinnym stanie, głównie w celu nauczania się, jak niepostrzeżenie okradać rząd. Przez pięć lat w urzędzie podatkowym nauczył się wielu pożytecznych rzeczy, ale gdy dalsza kariera wolnego strzelca nie zaspokoila jego ambicji, ustąpił coraz słabszym namowom ojca i zajął się opieką nad nieumarłymi i ślinterami. Z pewną dozą posępnej satysfakcji Chipper przyznaje, że mimo żalostnego braku chwały interes ojca dał mu przynajmniej sposobność okradania pospołu rządu i jego klientów.

Przeniknijmy wielkie szklane drzwi, poszybujmy przez elegancki hol (po drodze wyczujemy pomieszane wonie odświeżacza powietrza i amoniaku, przedostające się nawet do ogólnodostępnych pomieszczeń wszystkich takich instytucji), mińmy drzwi oznaczone

nazwiskiem Chippera i dowiedzmy się, co zadbana młoda kobieta robi tu o tak wczesnej porze.

Za drzwiami znajduje się pozbawiona okien klitka, wyposażona w biurko, wieszak i mały regał, zavalony komputerowymi wydrukami, broszurami i ulotkami. Za biurkiem są otwarte drzwi. Widzimy przez nie o wiele większy gabinet, wykładany tak samo lśniąca boazerią, jak zewnętrzne drzwi, w którym stoją skórzane fotele, stolik do kawy ze szklanym blatem oraz kanapa koloru owsianki. W przeciwległym końcu piętury się wielkie biurko zasłane bezładnie papierzyskami i wypolerowane tak dokładnie, że wydaje się niemal mżyć światłem.

Nasza młoda kobieta, Rebecca Vilas, przysiadła na skraju biurka, skrzyżowawszy nogi w szczególnie dekoracyjny sposób. Ułożyła jedno kolano na drugim, a jej łydki tworzą dwie zgrabnie wyprofilowane, mniej więcej równoległe linie, zbiegające ku trójkątnym noskom czarnych pantofli na wysokich obcasach. Jeden z nich wskazuje godzinę czwartą, drugi – szóstą. Domyślamy się, że Rebecca Vilas przybrała pozę, która zmusza do zwrócenia na nią uwagi kogoś – chociaż z pewnością nie nas – kto mógłby docenić jej urodę. Jej oczy za szklami w kształcie kocich oczu rzucają spojrzenia sceptyczne i rozbawione, ale nie możemy zorientować się, co wzbudziło te emocje. Zakładamy, że to sekretarka Chippera; również to założenie jest jedynie półprawdą, beztroska i ironiczna postawa świadczy bowiem, że obowiązki panny Vilas dawno przekroczyły ramy czysto biurowych. (Możemy spekulować, skąd wziął się jej elegancki pierścionek; dopóki nasze myśli pozostaną w rynsztoku, trafimy w dziesiątkę).

Wnikamy przez otwarte drzwi, podążamy za coraz bardziej zniecierpliwionym spojrzeniem Rebecki i cóż widzimy przed sobą: spory zadek jej kłęczącego pracodawcy, opięty spodniami barwy khaki. Chipper wcisnął głowę i ramiona w sporych rozmiarów sejf, w którym dostrzegamy stos rejestrów i szereg brunatnych kopert, najwyraźniej wypchanych gotówką. Kilka banknotów wysuwa się z nich, gdy Chipper wyciąga je z sejfu.

– Wywiesiłaś to ogłoszenie, no, ten plakat? – pyta Maxton, nie odwracając się.

– Ano – odpowiada Rebecca Vilas. – Nie ma co, śliczny dzień wyrzuchił się nam na tę okazję, tak jak trza i się należy.

Rebecca mówi z irlandzkim akcentem, zdumiewająco dobrym, aczkolwiek nieco sztampowym. Nigdy nie była w miejscu bardziej egzotycznym od Atlantic City. Dwa lata temu Chipper wykorzystał premię dla stałych pasażerów linii lotniczych i zabrał ją tam na pięć uroczych dni. Rebecca wyuczyła się akcentu na starych filmach.

– Nienawidzę Truskawkowego Festynu – mówi Chipper, wywlekając z sejfu resztę kopert. – Żony i dzieci truposzczaków pałętają się tu całe popołudnie i tak ich podkręcają, że trzeba ich później nafaszerować prochami, aż zapadną w śpiączkę, bo dopiero wtedy robi się trochę spokoju. Jeśli chcesz znać prawdę, nie znoszę również balonów.

Wyrzuca pieniądze na podłogę i zaczyna sortować banknoty w stosiki o różnych nominałach.

– Żem się tylko zastanawiała na mój prosty, wsiowy rozum, niby czego kazali mi tu przywlec gnaty bladym świtem tego wspaniałego dnia.

– Wiesz, czego jeszcze nienawidzę? Tych całych ceregieli z muzyką. Śpiewających truposzczaków i tego durnego konferansjera. Symfonicznego Stana i jego płyt z bigbandami. Jeju drogi, ale mi ubaw.

– Domyślam się, że chcesz, abym zrobiła coś z forszą, zanim zacnie się zabawa – mówi Rebecca, porzucając sceniczny irlandzki akcent i sposób wysławiania.

– Czas na kolejny wyjazd do Miller. – Na rachunek na fikcyjne nazwisko w State Provident Bank w Miller, czterdzieści mil stąd, trafiają regularnie wpłaty gotówki, uszczkniętej z funduszy przeznaczonych na dodatkowe zakupy i usługi dla pacjentów. Chipper odwraca się z garścią pieniędzy i spogląda na Rebeccę. Osuwa się z powrotem z kolan na pięty i opuszcza ręce. – Rany, masz fantastyczne nogi. Z takimi nogami powinnaś być sławna.

– Myślałam już, że nigdy tego nie zauważysz – odpowiada Rebecca.

Chipper Maxton ma czterdzieści dwa lata, zdrowe zęby, wyłącznie własne włosy, szczerą twarz i wąskie, brązowe oczy, które zawsze sprawiają wrażenie nieco wilgotnych. Ma też parkę dzieci: dziewięcioletniego Treya i siedmioletnią Ashley, u której niedawno rozpoznano zespół nadruchliwości z deficytem uwagi. Chipper domyśla się, że same proszki z tego powodu będą go kosztowały dwa tysiące rocznie. Do tego oczywiście dochodzi żona, towarzyszka jego żywota – trzydziestodwuletnia Marion, wzrostu pięciu stóp i pięciu cali, o wadze zahaczającej o sto dziewięćdziesiąt funtów. Oprócz tych dobrodziejstw, według stanu na ubiegły wieczór Chipper jest winien swojemu bukmacherowi 13 000 dolarów. To skutek nieroztropnej inwestycji w grę Piwowarów, o której wciąż grzmącym głosem rozprawia George Rathbun. Och, nie ma co, wspaniale wymodelowane nogi panny Vilas nie uszły uwagi Chippera.

– Pomyślałem, że zanim pojedziesz, moglibyśmy wyciągnąć się na kanapie i trochę powyglądać – mówi.

– Ach. A w jaki sposób powyglądać?

– Mniem, mniem, mniem – odpowiada Chipper, szczerząc zęby jak satyr.

– Och, ty romantyczny diable, ty – mówi Rebecca tonem, na który jej szef zupełnie nie zwraca uwagi, gdyż wyobraża sobie, że rzeczywiście jest romantyczny.

Rebecca zsuwa się ze swojej grzędę, a Chipper dźwiga nieelegancko z podłogi i zamyka nogą drzwiczki sejfu. Ze lśnącymi, zwilgotniałymi oczyma robi jak oprych parę zamasztych kroków przez dywan, obejmuje ręką szczupłą talię Rebecki, a drugą kładzie brunatne koperty na biurko. Szarpie za swój pasek, zanim jeszcze zaczyna wlec Rebeccę w stronę kanapy.

– Mogę na niego popatrzeć? – pyta chytrze Rebecca, która bezbłędnie wie, jak zamienić mózg swego kochanka w galaretę...

... zanim jednak Chipper spełni jej prośbę, roztropnie oddalamy się do wciąż pustego holu. Korytarz po lewej stronie biurka recepcji prowadzi w stronę pary dużych, jasnych drzwi ze szklanymi taflami. Jedne z nich są oznaczone: STOKROTKA, a drugie: DZWONEK; są to nazwy skrzydeł, do których prowadzą. W szarawej głębi Dzwonka mężczyzna w workowatym kombinezonie strzepuje popiół z papierosa na terakotę, po której przeciąga z nieskończoną powolnością brudną szczotkę. My jednak zanurzamy się w głąb Stokrotki.

Funkcjonalne części Domu Maxtona są znacznie mniej atrakcyjne od oficjalnych. Po obu stronach korytarza ciągną się numerowane drzwi. Ręcznie wypisane tabliczki pod cyframi informują, jak nazywają się mieszkańcy. Czworko drzwi dalej, naprzeciw męskiej i damskiej toalety, stoi biurko, za którym drzemie wyprostowany krępy salowy w nieświeżym białym kostiumie. W tej instytucji jedynie w najdroższych pokojach – w Złotogłowie po przeciwnej stronie holu – znajdują się jakiegokolwiek udogodnienia sanitarne poza umywalką. Brudne zawijasy po przeciągnięciach mokrej szczotki zasychają i twardnieją na płytkach posadzki, zdającej się rozpościerać przed nami nieprawdopodobnie daleko. W tym miejscu ściany i powietrze mają podobny odcień szarości. Jeśli przyjrzymy się dokładniej kątom korytarza czy złączeniom murów i sufitu, dostrzeżemy pajęczyny, stare plamy i pokłady brudu. Atmosfera przesiąknięta zapachami odświeżacza Pine-Sol, amoniaku, uryny i jeszcze gorszymi odorami. Jak lubi mawiać pewna starsza dama w Dzwonku: Jeśli się mieszka z czeredą starych, niepanujących nad zwieraczami ludzi, trudno, żeby nie czuć było zapachu kaka.

Same pokoje różnią się w zależności od zasobów finansowych i stanu ich lokatorów. Ponieważ prawie wszyscy śpią, możemy zajrzeć do kilku z tych pomieszczeń. W S10, pojedynczym pokoju dwoje drzwi za drzemającym salowym, leży stara Alice Weathers (delikatnie pochrapuje i śni, że w idealnie zgrany sposób tańczy na białej marmurowej posadzce z Fredem Astaire'em), otaczają tyle pozostałości po jej dawnym życiu, że musi ostrożnie nawigować między krzesłami i stolikami, by dotrzeć do łóżka. Alice wciąż zostało więcej rozumu w głowie niż starych mebli; utrzymuje poza tym swój pokój w idealnym porządku. Obok, w S12, dwaj starzy farmerzy – Thorvaldson i Jespersen, od wielu lat nieodzywający się do siebie, śpią oddzieleni cienką zasłoną pośród pstrokatego roju fotografii rodziny i rysunków wnuków.

W głębi korytarza S18 prezentuje się całkowicie odmiennie od porządnego, chociaż zatłoczonego S10. Podobnie mężczyzna znany jako Charles Burnside może zostać uznany za absolutne przeciwieństwo Alice Weathers. W S18 nie ma dostawianych stolików, kuferek, zbyt grubo wyściełanych foteli, luster z połączanymi ramami, lamp, tkanych dywaników i welwetowych zasłon. W surowym pokoju znajduje się jedynie metalowe łóżko, plastikowe krzesło i komoda. Na tym ostatnim brak fotografii dzieci i wnuków, ścian nie dekorują kredkowe rysunki pudełkowatych domów i figurek z patyków. Pan Burnside nie jest zainteresowany gospodarstwem domowym, a podłogę, parapet i goły wierzch komody

pokrywa warstewka kurzu. Wnętrze S18 jest pozbawione historii i osobowości; wydaje się brutalne i bezduszne jak więzienna cela. Powietrze jest skażone silną wonią ekskrementów.

Aczkolwiek Chipper Maxton zapewnił nam rozrywkę, a Alice Weathers wniosła tchnienie czaru, przybyliśmy tutaj przede wszystkim po to, by zapoznać się właśnie z panem Charlesem „Burnym” Burnside’em.

Rozdział drugi

Historię Chippera znamy. Alice przybyła do Domu Maxtona z wielkiej rezydencji na ulicy Gale, w której przeżyła dwóch mężów, wychowała pięciu synów i uczyła gry na fortepianie cztery pokolenia dzieci z French Landing, i chociaż żadne nie zostało profesjonalnym pianistą, wszystkie wspominały ją z czułością. Alice trafiła do instytucji opiekuńczej, podobnie jak większość ich klientów, w samochodzie prowadzonym przez jedno z jej dzieci, odczuwając mieszaninę niechęci i kapitulacji. Stała się zbyt stara, by mieszkać sama w wielkim domu w starej części ulicy Gale; miała dwóch dorosłych, żonatych synów, dość dobrodusznym, ale niepotrafiących znieść dodatkowego obciążenia. Alice Weathers przeżyła we French Landing całe życie i nie miała ochoty zamieszkać nigdzie indziej; w pewnym sensie zawsze wiedziała, że dożyje swoich dni w Domu Maxtona – dość przyjemnym, chociaż bynajmniej nie luksusowym. W dniu, gdy jej syn Martin przywiózł ją, by go sobie obejrzała, zorientowała się, że zna co najmniej połowę jego pensjonariuszy.

W odróżnieniu od Alice, Charles Burnside, wysoki, chudy jak szczapa starzec, który leży przed nami pod prześcieradłem na metalowym łóżku, ani nie jest w pełni władz umysłowych, ani nie śni o Fredzie Astairze. Żyłasty fragment wąskiego czoła łysej głowy zwięza się u niego ku przypominającym kłębowiska szarego drutu brwiom, spod których po bokach mięsistego, haczykowatego nosa para wąskich, lśniących oczu spogląda na wychodzące na północ okno i rozciągający się za Domem Maxtona las. Jako jedyny z mieszkańców skrzydła Stokrotka Burny nie śpi. Jego oczy lśnią, a przypominające glisty usta ułożyły się w niesamowity uśmiech – lecz szczegóły te nic nie znaczą, gdyż umysł Charlesa Burnside'a może być równie opustoszały jak jego pokój. Burny cierpi od wielu lat na chorobę Alzheimera, a to, co wydaje się przyjemnością bardzo agresywnej natury, może być w istocie jedynie zaspokojeniem nader podstawowej potrzeby fizjologicznej. Gdybyśmy nie domyślili się, że to właśnie ten człowiek jest źródłem panującego w pokoju smrodu, pojawiające się na prześcieradle plamy wystarczają, by to wyjaśnić. Burny się właśnie wypróżnił, i to obficie, prosto do łóżka. Jedno przynajmniej możemy powiedzieć o jego reakcji na ów fakt: wcale go to nie obeszło, nie, proszę szanownego pana, wstyd nie pasuje do tego obrazka.

Chociaż – w odróżnieniu od czarującej Alice – Burny’emu brak już paru klepek, nie jest typowym pacjentem z chorobą Alzheimera. Czasami przez dzień lub dwa mamrocze coś do owsianki podobnie jak pozostałe truposzczaki z Domu Maxtona, ale potem nabiera sił i znów wraca pomiędzy żywych. Kiedy nie jest nieumartym, zwykle potrafi w razie potrzeby dowlec się korytarzem do łazienki; spędza długie godziny albo wymykając się z budynku i patrolując jego przyległości, albo zachowując się w niemoty – w istocie obraźliwy – sposób wobec każdego, na kogo się natknie. Przywrócony z trupiopodobnego stanu jest bezczelny, skryty, chamski, uparty, wulgarny, wredny, skory do urazy i pluje jadem; innymi słowami – zgodnie z ewangelią według Chippera – jest rodzonym bratem wszystkich pozostałych starych pensjonariuszy Domu Maxtona. Niektórzy z salowych, pielęgniarek i sanitariuszy powątpiewają, czy Burny rzeczywiście cierpi na chorobę Alzheimera. Myślą, że tylko ją symuluje, miga się i świruje, rozmyślnie zmuszając ich do cięższej pracy, aż odpocznie i zbierze siły do kolejnego epizodu opryskliwości. Trudno nam winić ich za tę podejrzliwość. Jeżeli u Burny’ego nie postawiono błędnej diagnozy, jest to jedyny pacjent z zaawansowanym stadium choroby Alzheimera, u którego zdarzają się dłuższe remisje.

W 1996 roku – w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat – człowiek, znany jako Charles Burnside, przyjechał do Domu Maxtona karetką ze szpitala ogólnego w La Riviere, nie zaś pojazdem czynnego krewniaka. Pewnego dnia pojawił się w tamtejszej izbie przyjęć, taszcząc dwie ciężkie walizki pełne brudnych ubrań i donośnie domagając się opieki medycznej. Jego żądania były nieskładne, ale wystarczająco jasne. Twierdził, że przeszedł znaczny dystans, nim dotarł do szpitala, więc ma prawo oczekiwać, że szpital się nim zajmie. Odległość ta wahała się w jego kolejnych wypowiedziach: raz wynosiła dziesięć mil, raz piętnaście, kiedy indziej dwadzieścia pięć. Albo nocował kilka razy na poboczu drogi lub na polach, albo nie. Jego stan ogólny i zapach sugerowały, że wędrował po okolicy i spał pod gołym niebem mniej więcej przez tydzień. Jeśli miał wcześniej portfel, to zgubił go podczas włóczęgi. W szpitalu wymyło go, podkarmiono, dano mu łóżko i spróbowano zrobić jakiś wywiad. Większość wypowiedzi Burny’ego ginęła pośród bezładnej paplaniny, wobec braku dokumentów udało się jednak ustalić przynajmniej kilka wiarygodnych *rzeczy*: Burnside był przez wiele lat cieślą, stolarzem i tynkarzem w okolicy i pracował na własną rękę oraz dla małych firm budowlanych. Zajmował pokój u ciotki w miasteczku Blair.

W takim razie przeszedł na piechotę osiemnaście mil z Blair do La Riviere! Nie, wyruszył skąd indziej, nie pamięta dokładnie, ale dziesięć mil stąd, nie, dwadzieścia pięć, z jakiegoś miasteczka, a ludzie tam to niezdatne do niczego osły i utrzymdupy. *Jak się nazywała jego ciotka!* Althea Burnside. *Jaki był jej adres i numer telefonu!* Nie mam pojęcia, nie pamiętam. *Czyjego ciotka gdzieś pracowała!* Tak, na całym etacie, jak przystało na osła i utrzymdupę. *Ale pozwoliła mu mieszkać u siebie!* Kto? Na co pozwolił? Charles Burnside nie potrzebował niczyjego pozwolenia, robił, do cholery, na co miał ochotę. *Czy ciotka wyrzuciła go z domu!* O kim ty mówisz, zasrany osle?

Lekarz postawił w izbie przyjęć wstępne rozpoznanie choroby Alzheimerera i zalecił cykl badań w celu weryfikacji diagnozy, a pracownik opieki społecznej siadł do aparatu i poprosił o adres i numer telefonu Althei Burnside, zamieszkałej w Blair. Firma telefoniczna odpowiedziała, że nie ma żadnego abonenta o takim nazwisku w Blair ani w Ettrick, Cochrane, Fountain, Sparcie, Onalascie, Arden, La Riviere, jak również w żadnym z innych miast i miasteczek w promieniu pięćdziesięciu mil. Rozszerzając sieć poszukiwań, pracownik opieki społecznej skontaktował się z Archiwum Państwowym, Zakładem Ubezpieczeń Społecznych, Wydziałem Komunikacji oraz urzędem podatkowym, prosząc o informacje na temat Althei i Charlesa Burnside'ów. Z dwóch kobiet o tym imieniu, jakie wyrzucił system, jedna była właścicielką restauracji w Butternut, daleko na północy stanu, a druga – Murzynką, zatrudnioną w centrum opieki dziennej w Milwaukee. Żadna z nich nie była w jakikolwiek sposób powiązana z człowiekiem w szpitalu ogólnym w La Riviere. Wyszukani w dokumentacji Charlesowie Burnside'owie nie odpowiadali temu, którym zajął się pracownik opieki. Wyglądało na to, że żadna ciotka Althea nie istnieje. Zdawało się też, że Charles to jeden z tych nielicznych, którzy prześlizgują się przez życie bez płacenia kiedykolwiek podatków, zarejestrowania w punkcie wyborczym, złożenia wniosku o przyznanie numeru ubezpieczenia społecznego, otwarcia konta w banku, służby wojskowej, uzyskania prawa jazdy czy spędzenia kilku pór roku na wikcie stanu.

Skutkiem kolejnej rundy rozmów telefonicznych było zaliczenie tajemniczego Charlesa Burnside'a w poczet podopiecznych okręgu i skierowanie go do Domu Spokojnej Starości Maxtona do czasu, aż zwolni się dla niego miejsce w szpitalu stanowym w Whitehall. Ambulans przetransportował Burnside'a do Domu Maxtona na koszt hojnego społeczeństwa, a krzywiący się Chipper wpakował go do skrzydła Stokrotka. Sześć tygodni później zwolniło się łóżko na oddziale szpitala stanowego. Chippera powiadomiono o tym telefonicznie w kilka minut po otrzymaniu przez niego pocztą czeku, wystawionego przez Altheę Burnside na bank w De Pere, z przeznaczeniem na opiekę nad Charlesem Burnside'em właśnie w Domu Maxtona. Dyrektor doszedł do wniosku, że w duchu obywatelskiego obowiązku z radością podejmie się dalszej opieki nad panem Burnside'em w swojej placówce. Staruszek stał się w gruncie rzeczy jego ulubionym pacjentem. Bez wikłania Chippera w zwykłe przepychanki Burny podwoił rozmiary zasilającego jego kasę strumienia gotówki.

Przez następnych sześć lat staruszek systematycznie pogrążał się w mrocznych odmętach choroby Alzheimerera. Jeżeli udawał, to w perfekcyjny sposób. Staczał się przez kolejne stadia przejściowe niepoahamowanej gadatliwości, niezborności mowy, częstych wybuchów gniewu, utraty pamięci i zdolności samodzielnego jedzenia aż po zanik osobowości. Stał się dużym dzieckiem, a następnie bezmyślną istotą, przez całe dnie przypiętą pasami do fotela inwalidzkiego. Chipper ubolewał nad nieuniknioną stratą wyjątkowo spolegliwego pacjenta. Aż wreszcie latem przed opisywanymi wydarzeniami doszło do zdumiewającej rewitalizacji. Pozbawiona wyrazu twarz Burny'ego ożywiła się, zaczął gwałtownie mamrotać nonsensowne

sylaby: *Abbalah! Gorg! Munshun! Gorg!* Chciał sam jeść, rozruszać nogi, zataczał się i pragnął na nowo zapoznać z otoczeniem. W ciągu tygodnia posługiwał się artykułowaną mową, by upierać się, żeby pozwolono mu nosić własne ubranie i samodzielnie wychodzić do łazienki. Przybrał na wadze, zyskał siły i znowu stał się utrapieniem. Obecnie – często w ciągu jednego dnia – przechodził od typowej dla zaawansowanej choroby Alzheimera, przypominającej śmierć apatii do ostrożnego, ciętego ponuractwa tak pożądanego u osiemdziesięcioletka, że można by nazwać je rześcią. Burny przypomina człowieka, który wybrał się do Lourdes i wrócił stamtąd uzdrowiony, ale nie do końca. Dla Chippera cud to cud. Dopóki stary pierdziel pozostaje przy życiu, kogo obchodzi, czy włóczy się dookoła domu, czy osuwa w przytrzymujących go w fotelu pasach?

Zbliżamy się i staramy zignorować smród. Chcemy sprawdzić, co uda nam się wywnioskować z twarzy tej osobliwej postaci. Nigdy nie było to miłe oblicze, obecnie zaś skóra poszarzała, a policzki zamieniły się w zapadnięte wyrwy. Po szarym ciemieniu wiją się wystające żyły, cętkowane jak jajko siewki. Haczykowany nos jak z gumy zbacza lekko w prawo, co przydaje twarzy wyrazu przebiegłości i skrytości. Usta jak robaki wywijają się w niepokojącym uśmiechu – jak u podpalacza delektującego się widokiem płonącego budynku – choć być może jest to tylko mimowolny grymas.

Oto prawdziwy amerykański samotnik, wewnętrzny emigrant, twór zasiedlający obskurne pokoje i tanie jadłodajnie, niechętnie podejmujący bezcelowe wędrówki, kolekcjoner ran i obrażeń bez ustanku miłośnicie obmacywanych. Oto szpieg, którego wzniosłym ideałem jest on sam. Burny nazywa się naprawdę Carl Bierstone; pod tym nazwiskiem od połowy trzeciej dekady do sześćdziesiątego czwartego roku życia prowadził w Chicago nieoficjalną wojnę, podczas której dopuszczał się podłych czynów dla czerpanych z nich przyjemności. Carl Bierstone to wielka tajemnica Burny’ego, nie może bowiem pozwolić komukolwiek na dowiedzenie się, że jego poprzednie wcielenie, owa wcześniejsza jaźń, wciąż żyje pod jego skórą. Ohydne przyjemności i makabryczne zabawki Carla Bierstone’a również przynależą do Burny’ego. Musi ukrywać je w mroku, w którym tylko on może je odnaleźć.

Czy taka jest zatem istota cudu Chippera? Iż Carl Bierstone znalazł sposób wydobycia się ze stanu truposzczaka i odzyskania kontroli nad tonącym okrętem? Ludzka dusza mieści bowiem nieskończoność pokoi, niektórych olbrzymich, niektórych nie większych od schowka na szczotki, innych zamkniętych, jeszcze innych przepelnionych jasnym światłem. Pochylamy się niżej nad żyłastym ciemieniem, skrzywionym nosem i brwiami jak kłębki drutu; zanurzamy się głębiej w zaduch, by przyjrzeć się tym interesującym oczom. Przypominają czarne neony; lśnią jak blask księżycy na podmokłym rzeczonym brzegu. Ogólnie rzecz biorąc, są niepokojąco pogodne, ale nie za bardzo ludzkie. Niezbyt nam to pomaga.

Usta Burny’ego poruszają się; wciąż się uśmiecha – jeśli tak można nazwać ten tępcowy grymas – ale zaczyna coś szeptać. Co takiego?

– ...chowają zię w zwoich grwawych dziurach i zazfaniają odży, zgarnia ze zdrachu, moje biedne, zagubione dziezi... Nie, nie, do im nie pomoże, brawda? Ach, popadździe na de machiny, och, de źliidźne, źliidźne machiny, dzóz za widog, źliidźne machiny wzduż kabla, jag zię obradzają, jak się obradzają iploną... Widzę dziurę, dak, dok, dudajjezd, oj dak, dakjazno na brzegach, dak zię zawijają...

Być może Carl Bierstone zgłasza się na wezwanie, ale jego bełkot nie na wiele nam się przyda. Podążmy za spojrzeniem lśniących jak muł oczu Burny'ego w nadziei zyskania jakiejś wskazówki, co tak podekscytowało staruszka. I podnieciło, zauważamy na podstawie napierającego na prześcieradło kształtu. Wygląda na to, że w tej sprawie działają z Chipperem jak zgrany tandem, gdyż obu stoi na baczność. Różnica polega jednak na tym, że Burny jest pozbawiony dobrodziejstwa doświadczonych zabiegów Rebecki Vilas, a jego jedyną stymulacją jest widok przez okno.

Widoku tego nie sposób uznać za dorównujący pannie Vilas. Z nieco uniesioną nad poduszkę głową Charles Burnside wpatruje się jak zaczarowany w wąski pas trawnika, za którym na skraju rozległych lasów ciągnie się rząd klonów. Dalej widać liściaste korony dębów. W wypełniającym las półmroku majaczy jak świece kilka pni brzoź. Po wysokości dębów i zróżnicowaniu drzewostanu domyślamy się, że patrzymy na resztkę wspaniałej puszczy, która niegdyś pokrywała całą tę część kraju. Podobnie jak wszystkie ślady pradawnego boru, lasy rozciągające się na północ i wschód od domu Maxtona szepczą o głębokich tajemnicach głosem prawie zbyt cichym, by można go było dosłyszeć. Pod zieloną kopułą czas i spokój niweczą rozlew krwi i śmierć; niewidzialna przemoc toczy się bez ustanku, lecz wchłania ją każdy szczegół milczącego krajobrazu, który nawet na chwilę nie zamiera w bezruchu, lecz porusza się z lodowcowym brakiem pośpiechu. Cętkowane, ustępujące pod naciskiem poszycie pokrywa niezliczone miliony ułożonych warstwami kości; wszystko, co tu owocuje, żywi się zgnilizną. Światy obracają się wewnątrz światów, a wielkie, uładzone uniwersa szumią obok siebie, nieświadomie ściągając dostatek i katastrofę na swoich niezauważanych sąsiadów.

Czy Burny kontempluje las, czy ożywia go to, co w nim widzi? Czy też, jeśli już o to chodzi, Charles Burnside w istocie śpi, a za jego osobliwymi oczami harcuje Carl Bierstone?

Lizy do lizich nor, źdżury w źdżurzych norach, hieny wyją z puzdymi żolondgami, oho, aha, ależ, ależ do dzieszy, moi przyjadziele, im bardziej im wiendzej maleńzdwa drudzą zię, drudzą zię, oho, na krwawiondzych zdópkach...

Spadajmy z tej estrady, dobrze?

Odsuńmy się od wstrętnych ust starego Burny'ego – co za dużo, to niezdrowo. Poszukajmy świeżego powietrza i polećmy nad lasami na północ. Mogą wyc lisy w lisich norach i szczury w szczurzych, prawda, tak właśnie toczy się świat, ale w zachodnim Wisconsin nie znajdziemy żadnych głodujących hien. Hieny zresztą zawsze są głodne. I nikt ich nie żałuje. Trzeba by być naprawdę sentymentalnym durniem, żeby współczuć

stworzeniu, które nie robi nic innego, jak tylko czyha na obrzeżu stad innych gatunków do chwili, gdy z uśmiechem i chichotem może wgrzyźć się w porzucone resztki. Odlatujemy prosto przez dach.

Na wschód od Domu Maxtona lasy pokrywają ziemię przez milę czy dwie, aż do wąskiej, przypominającej niedbały przedziałek w gęstych włosach, bitej drogi, która odchodzi łukiem od szosy numer 35. Las ciągnie się jeszcze przez mniej więcej sto jardów, po czym ustępuje miejsca liczącemu trzydzieści lat osiedlu, położonemu przy dwóch ulicach. Kosze do koszykówki, huśtawki, trójkołowe rowerki, rowery i pojazdy Fisher-Price zagracają podjazdy skromnych domów przy ulicach Schubert i Gale. Korzystające z nich dzieci leżą w łóżeczkach i śnią o wacie cukrowej, psiakach, biegach na bazę w baseballu, wyprawach w odległe terytoria i innych cudownych bezkresach; śpią również ich przepelnieni łękiem rodzice, skazani na jeszcze większą trwogę po lekturze wkładu Wendella Greena w pierwszą stronę dzisiejszego wydania „Heralda”.

Coś wpada nam w oko – wąski bity trakt, odchodzący łukiem w las od prostej drogi 35. Jest to raczej ścieżka niż droga; jej aura odosobnienia kontrastuje z pozorną beużytecznością. Trakt wije się przez las i trzy czwarte mili dalej kończy. Po co tu biegnie, czemu służy? Z naszej wysokości nad ziemią droga przypomina cienką kreskę, wykonaną ołówkiem nr 4 – potrzeba praktycznie orlego wzroku, żeby ją dojrzeć – lecz ktoś zadał sobie widoczny trud, by wytyczyć ją przez las. Trzeba było wyciąć i uprzętnąć drzewa, wykarczować pniaki. Gdyby zrobił to jeden człowiek, zabrałoby mu to całe miesiące, podczas których rwałyby go z bólu mięśnie i oblewały strumienie potu. Rezultatem tego nieludzkiego wysiłku jest osobliwa właściwość krycia się, umykania spojrzeniu, tak iż droga niknie z widoku przy rozproszeniu uwagi i trzeba ponownie się skupić, by zlokalizować ją na nowo. Mogłyby nam przyjść do głowy karły i ich tajemne kopalnie czy też ścieżka do ukrytego złotego skarbu smoka – skarbu tak pieczołowicie strzeżonego, że dostęp do niego zakamuflowano magicznym zaklęciem. Nie, kopalnie karłów, smocze skarby i magiczne zaklęcia są zbyt dziecinne, gdy natomiast zniżamy się, by się lepiej przyjrzeć, zauważamy postarzałą tablicę z napisem: **WSTĘP WZBRONIONY**; stoi na początku drogi i dowodzi, że coś istotnie jest strzeżone, choćby to była jedynie prywatność.

Po dostrzeżeniu tablicy, z powrotem przenosimy spojrzenie na koniec drogi. W mroku pod rosnącymi tu drzewami jeden zakątek wydaje się ciemniejszy od pozostałych. Nawet ginąc w mroku, teren ten cechuje się nienaturalną zwartością, która odróżnia go od otaczających drzew. Aha, oho, mówimy sobie, powtarzając jak echo bełkot Burny’ego, co my tu mamy, jakiś mur? Wydaje się, że tak, bo nie potrafimy dostrzec żadnych jego szczegółów. Gdy docieramy do środkowego punktu łuku drogi, trójkątny kawałek ciemności, prawie całkowicie zasłonięty przez szczyty drzew, nagle nabiera kształtu spadzistego dachu. Dopiero gdy prawie docieramy do budowli, zyskuje postać trzykondygnacyjnego domu o osobliwie

podupadłym charakterze i osiadającym ganku. Domostwo to najwyraźniej od wielu lat stoi puste. Oprócz ekscentryczności od razu rzuca się w oczy jego niegościnnosc dla nowych mieszkańców. Druga tablica z napisem: WSTĘP WZBRONIONY, oparta pod niemożliwym kątem o narożny słupek daszku, jedynie podkreśla wrażenie, jakie wywiera sam dom.

Spadzisty dach pokrywa tylko część środkową. Po lewej stronie piętrowa dobudówka ciągnie się w tył, w stronę lasu. Po prawej stoją przybudówki przypominające przerośnięte szopy – raczej guzowate narośle niż architektoniczne dodatki. Budynek wygląda na niezrównoważony w obydwóch znaczeniach tego słowa: powstał w zmaconym umyśle, a następnie został powołany do życia w zdeformowanym kształcie. Niepokorny rezultat opiera się próbom interpretacji i zniechęca do zaglądania do wnętrza. Cegły i deski emanują dziwną, monolityczną nieprzeniknionoscą mimo zniszczeń wyrządzonych przez czas i pogodę. Dom najwyraźniej zbudowano w poszukiwaniu odosobnienia, jeśli nie izolacji; wciąż wydaje się ich domagać.

Co najdziwniejsze, z naszego punktu widzenia wydaje się, że dokładnie cały dom pomalowano na czarno – nie tylko deski, lecz każdy cal zewnętrznej powierzchni: ganek, detale wykończenia, rynny, nawet okna. Na czarno, od góry do dołu. Przecież to niemożliwe; w tym niewinnym, dobrodusznym zakątku świata nawet najbardziej zwariowany budowlany mizantrop nie zamieniłby domu w jego własny cień. Opadamy tuż nad poziom gruntu i zbliżamy się wzdłuż wąskiej drogi...

Gdy docieramy dość blisko, by ocenić rzecz wiarygodnie – czyli niepokojąco blisko – dochodzimy do wniosku, że mizantropia posunęła się dalej, niż przypuszczaliśmy. Dom nie jest teraz czarny, lecz taki był. Spłowiwał, nabierając odcienia, który zmusza do przyznania, że zapewne byliśmy zbyt krytyczni w jego pierwotnej ocenie. Domostwo nabrało ołowianej, szaroczarnej barwy chmur burzowych, spienionych fal i kadłubów zatopionych okrętów. Czerń byłaby o wiele miłsza od tego całkowitego braku życia.

Możemy być pewni, że bardzo niewielu dorosłych, którzy mieszkają w pobliskim osiedlu czy też w ogóle we French Landing i sąsiednich miasteczkach zlekceważyło napomnienie przy drodze 35 i zapuściło się na wąską ścieżkę. Prawie nikt z nich nie zauważa już nawet tablicy; nikt zgoła nie wie o istnieniu czarnego domu. Możemy być jednak równie pewni, że niektóre z ich dzieci zawędrowały na tę drogę, a nieliczne dotarły nawet pod dom. Widziały go, przeciwnie niż ich rodzice, a to, co zobaczyły, sprawiło, że w pędzie pierzchły na główną drogę.

Czarny dom wydaje się tak nie na miejscu w zachodnim Wisconsin, jak drapacz chmur czy zamek z fosą. W istocie czarne domostwo byłoby anomalią wszędzie na naszym świecie, chyba że jako „Nawiedzona Rezydencja” czy „Pałac Grozy” w wesołym miasteczku, aczkolwiek zniechęcałoby klientów do kupowania biletów, tak że interes splajtowałby w ciągu tygodnia. Mimo to pod jednym specyficznym względem dom może przypominać nam nieokreślone budowle na wznoszącym się odcinku ulicy Chase, za którymi znajduje się

szacowne nadbrzeże i Nailhouse Row. Obskurny hotel Nelson, enigmatyczny szynk, sklep z obuwem i inne gmachy, poznaczone poziomo tłustą kreską rzeki, roztaczają taką samą niesamowitą, przypominającą sen i na poły nierealną atmosferę jak czarny dom.

W tym momencie naszej wędrówki – oraz podczas wszystkiego, co nas czeka – warto, byśmy pamiętali, że osobliwy posmak snu i lekkiej nierealności jest charakterystyczny dla rejonów pogranicza. Można go wykryć w każdej strefie przejściowej między jednym określonym terytorium i kolejnym, bez względu na to, jak mało istotna jest ta granica. Pogranicza różnią się od innych okolic; są pograniczne.

Powiedzmy, że po raz pierwszy przejeżdżacie przez na poły wiejską część okręgu Oostler w swoim rodzinnym stanie, po drodze w odwiedziny do świeżo rozwiedzonego przyjaciela płci przeciwnej, który niespodziewanie i waszym zdaniem nierozsądnie zaszył się w małym miasteczku w sąsiednim okręgu Orelost. Na siedzeniu dla pasażera obok was, na piknikowym koszyku z dwoma butelkami przedniej marki białego bordeaux, dokładnie unieruchomionymi różnymi smakołykami w eleganckich pakuneczkach, leży mapa starannie złożona, tak by ukazywać odpowiednią okolicę. Być może nie macie pojęcia, gdzie się dokładnie znajdujecie, ale jedźcie w porządnym tempie właściwą trasą.

Krajobraz stopniowo się zmienia. Droga zawija się wokół nieistniejącego pobocza, a następnie wchodzi w ciąg niewytłumaczalnych zakrętów; po bokach rosną garbiące się drzewa. Pod pokręconymi gałęziami widać coraz mniejsze i bardziej zaniedbane domki. W przedzie pies bez jednej nogi przeciska się przez żywopłot i z poszczekiwaniami rzuca się na przednie prawe koło samochodu. Starucha w malutkim słomkowym kapelusiku i czymś przypominającym całun, siedząca na przekrzywionym ganku, przenosi na was spojrzenie zaczerwienionych oczu. Dwa domy dalej dziewczynka w brudnoróżowej tiulowej sukience wymachuje na podwórku lśniąca, zakończoną gwiazdką różdżką nad stertą palących się opon. Po chwili w pole widzenia wpływa prostokątny afisz z napisem: WITAJCIE W OKRĘGU ORELOST. Drzewa wkrótce odzyskują wysmukłą postawę, a droga staje się prosta. Uwolnieni od lęku, z którego prawie nie zdajecie sobie sprawy, dopóki nie minie, naciskacie na pedał gazu i jeszcze szybciej jedźcie do przyjaciela w potrzebie.

Pogranicza mają posmak braku obowiązujących praw i form. Zakorzenia się w nich i bujnie rozrasta to, co groteskowe, nieprzewidywalne i bezprawne. Głównym smaczkiem pogranicz jest ześlizg. Chociaż w tej chwili znajdujemy się w scenerii zadziwiającego naturalnego piękna, wędrujemy również przez naturalne pogranicze, wytyczone przez wielką rzekę i obramowane przez inne mniejsze rzeki, szerokie moreny polodowcowe, wapienne urwiska i doliny niewidzialne podobnie jak czarny dom do chwili, gdy pokona się odpowiedni zakręt i stanie się tuż przed nimi.

Czy kiedykolwiek widzieliście ogarniętego furią starego nieszczęśnika w znoszonym ubraniu, pchającego opustoszałymi ulicami pusty wózek na zakupy i bredzącego o „churefskim szłocieju”? Czasami nosi baseballową czapkę, niekiedy parę okularów przeciwsłonecznych z pękniętym szkłem.

Czy kiedykolwiek zanurkowaliście ze strachem w bramę i patrzyliście, jak mężczyzna o żołnierskiej posturze z zygzakowatą, przypominającą błyskawicę blizną na policzku wpada pomiędzy pijany tłum i znajduje rozpostartego na ziemi martwego chłopca ze zmiażdżoną głową i wywróconymi kieszeniami? Czy widzieliście gniew i litość na okaleczonej twarzy tego człowieka?

To właśnie oznaki ześlizgu.

Kolejna kryje się pod nami na obrzeżach French Landing; mimo roztaczającej się wokół niej, zatrzymującej pracę serca grozy nie mamy wyboru: musimy być jej świadkami. Przez nasze świadectwo uhonorujemy ją na miarę naszych indywidualnych możliwości; za świadectwo, za obserwowanie, oznaka ta odpłaci się nam z nawiązką.

Znów jesteśmy wysoko w powietrzu, a pod nami rozpościera się – rozpościera się jak skrzydła orła, moglibyśmy rzec – French Landing, które przypomina w tej chwili własną mapę topograficzną. Blask porannego słońca, teraz już silniejszy, odbija się od zielonych, prostokątnych pól i lśni oślepiająco na piorunochronach umieszczonych na dachach stodół. Drogi wyglądają jak umyte. Płynne kałuże światła lśnią na dachach nielicznych samochodów zmierzających powoli ku skrajom pól. Krowy rasy holsztyńskiej trącają pyskami bramy pastwisk, gotowe na zamknięcie w boksach i poranną randkę z dojarką mechaniczną.

W bezpiecznej odległości od czarnego domu, który zdążył dać nam wyśmienity przykład ześlizgu, szybujemy na wschód, przecinamy długą, prostą wstążkę ulicy Jedenastej i rozpoczynamy wędrowkę poprzez przejściowe terytorium luźno rozrzuconych domów i małych firm, zanim droga 35 przetnie wiejskie okolice. Mijamy 7-Eleven oraz salę Stowarzyszenia Weteranów, przed którą dopiero za trzy kwadranse wciągnięta zostanie na maszt flaga amerykańska. W jednym z domów, odsuniętych od drogi, Wanda Kinderling, żona Thornberga Kinderlinga, zdeprawowanego i głupiego człowieka, odsiadującego dożywocie w kalifornijskim więzieniu, budzi się z oczyma na poziomie butelki wódki na stoliku obok i decyduje przesunąć śniadanie jeszcze o godzinę. Pięćdziesiąt jardów dalej błyszczące traktory stoją niczym żołnierze w szeregach naprzeciwko olbrzymiej stalowoszklanej kopuły magazynu ze sprzętem rolniczym Teda Goltza – French County Farm Equipment. Przyzwoity, znękany mąż i ojciec, Fred Marshall, którego niebawem poznamy, wkrótce stawi się tu do pracy.

Za robiącą wrażenie szklaną kopułą i asfaltowym morzem parkingu u Goltza półmilowa połać kamienistego, od dawna leżącego ugięciem pola przechodzi wreszcie w gołą ziemię, porośniętą rachitycznymi chwastami. Na końcu długiego, zarośniętego podjazdu pomiędzy rozlatującą się szopą i starą pompą benzynową znajduje się coś, co przypomina stertę

gnijących belek. Jest to nasz kolejny cel. Szybujemy w dół. Sterta drewna okazuje się chylącą ku ziemi, zdewastowaną budowlą, której w każdej chwili grozi zawalenie. Z przodu stoi przekrzywiona stara tablica reklamowa Coca-Coli, upstrzona dziurami po kulach. Jałową ziemię pokrywają puszkami po piwie i przypominające dmuchawce resztki papierosowych filtrów. Z wnętrza rozlega się miarowe, senne brzęczenie niezliczonego mnóstwa much. Chcielibyśmy wzbić się wyżej i odlecieć. Czarny dom był dość straszny; w gruncie rzeczy był okropny, ale tu... tu czeka nas coś jeszcze gorszego.

Jedna z dodatkowych definicji ześlizgu brzmi: uczucie, że wszystko właśnie przybrało lub wkrótce przybierze gorszy obrót.

Zrujnowany, przypominający wagon towarowy budynek mieścił wyjątkowo niehigieniczny i źle prowadzony przybytek pod nazwą „Ed’s Eats & Dawgs”. Zza wiecznie brudnego kontuaru rechocząca trzystupiędziesięciofuntowa bryła tłuszczu, czyli Ed Gilbertson, podawała niegdyś ociekające łojem, za mocno wysmażone hamburgery, ozdobione czarnymi odciskami kciuków kanapki z ochłapów z majonezem i topniejące rożki z lodami. Kupowała je niewielka, niewybredna klientela – przeważnie miejscowa dzieciarnia przyjeżdżająca na rowerach. Od dawna nieżyjący Ed był jednym z licznych wujów komendanta policji we French Landing, Dale’a Gilbertsona, a oprócz tego dobrodusznym flejtuchem i słynącym na całą okolicę przygłupem. Jego kucharski fartuch był brudny nie do opisanego; stan dłoni i paznokci doprowadziłby któregokolwiek z inspektorów sanitarnych na skraj mdłości, a jego utensylia równie dobrze mogłyby wylizywać koty. Tuż za kontuarem pojemniki z topiącymi się lodami grzały się w żarze obrośniętego okruchami rusztu. Pod sufitem wisiały lepy – niewidoczne, bo pokrywało je futerko tysięcy musznych trupków. Niemiała prawda jest taka, że bar Eda dawał szansę kolejnym pokoleniom mikroobów i zarazków na mnożenie się w najlepsze. Wzbijały się chmurami z podłogi, opanowywały kontuar i ruszt – nie wahając się kolonizować nawet samego Eda! – przenosiły na łyżkę, widelec i niemytą łyżkę do nakładania lodów, stamtąd na podłogę jedzenie, a wreszcie trafiały do ust i jelit dzieciaków oraz niekiedy matek.

Należy zauważyć ze zdziwieniem, że nikt nie umarł od jedzenia Eda, a po tym, gdy od dawna opóźniony atak serca powalił właściciela, jak pewnego dnia wlaź na stołek, by wreszcie zawiesić tuzin nowych lepów, nikt nie miał serca zrównać z ziemią tej nory i uprzętać resztek. Przez dwadzieścia pięć lat jej gnijąca skorupa dawała pod osłoną ciemności schronienie parom nastolatków mających ochotę na amory oraz grupkom chłopców i dziewcząt, którzy badali po raz pierwszy w spisanej historii – lub tak się im przynajmniej wydawało – wyzwolenie nierozzerwalnie wiążące się z zamroczeniem alkoholowym.

Zapamiętałe brzęczenie much mówi nam, że cokolwiek ujrzymy wewnątrz tej ruiny, nie będzie to para wyczerpanych młodych kochanków ani kilkoro durnych, upitych do nieprzytomności nastolatków. Miękki, łapczywy zgiełk, niesłyszalny od drogi, deklaruje, że dochodzi tu do rzeczy ostatecznych. Jest to swego rodzaju portal.

Wnikamy do środka. Miękki blask słońca, który sączy się przez szpary we wschodniej ścianie i rozpadającym się dachu, maluje świetliste smugi na pokrytej pyłem podłodze. Kurz i pióra kłębią się i wirują nad zatartymi zwierzęcymi tropami i niewyraźnymi, pozostawionymi dawno temu odciskami butów. Pod ścianą po naszej lewej stronie leżą zmięte i upstrzone pleśnią, przetarte do cna koce z demobilu; kilka stóp dalej puste puszkę po piwie i rozpląszone pety otaczają krytą lampę naftową z pękniętą szklaną obudową. Słoneczny blask kładzie się ciepłymi pasami na świeżych śladach stóp, otaczających szerokim łukiem pozostałości po obrzydliwym kontuarze Eda. Odciski nóg zmierzają do pustej przestrzeni, pozostałej po piecu, zlewie i rzędzie półek. Tam, na niegdyś uświęconym obszarze działań właściciela, ślady nikną. Kurz i żwir zostały skotłowane wskutek jakiejś gwałtownej aktywności. Coś, co mimo naszych chęci nie jest starym wojskowym kocem, leży w nieładzie pod tylną ścianą – nieregularna kałuża lepkiej cieczy, częściowo nikonąca w ciemności, częściowo skąpana w blasku. Pobudzone jak w delirium muchy zawisają i siadają na ciemnej powierzchni. W przeciwległym rogu kundel rdzawej maści z włosiem jak u jeżozwierza zanurza zęby w obrastającym kość mięsie, wystającym z przedmiotu, który przytrzymuje przednimi łapami. Owym białym przedmiotem jest but do biegania, tenisówka. Marki New Balance, by być ścisłym. By być jeszcze dokładniejszym, jest to dziecięca tenisówka New Balance, rozmiaru 5.

Pragniemy przywołać naszą zdolność lotu i uciekać stąd, jakby nas gonili wszyscy diabli. Chcemy wznieść się nad nieciekawą dach, znaleźć na powrót w nieszkodliwych przestworzach, ale nie możemy – musimy dać świadectwo. Paskudny pies gryzie oddzieloną dziecięcą stopę, starając się równocześnie ze wszystkich sił wyciągnąć ją z tenisówki. Kundel wyciąga się i napina wychudzony grzbiet, opuszcza barki i łeb ze sterczącym włosiem, zaciska sztywno w kościstych przednich łapach swoje trofeum i szarpie, szarpie, szarpie – ale sznurówki tenisówki są zawiązane. Tym gorzej dla kundla.

Błady kształt, niebędący starym kocem z demobilu, za kłębowiskiem odcisniętych w kurzu śladów i bruzd, w przeciwnym końcu podłogi – leży rozciągnięty na plecach, a jego górna część wystaje poza ciemną kałużę. Jedno ramię jest rozpostarte bezwładnie w brudzie; drugie wspiera się pionowo o ścianę. Palce obu dłoni są przygięte. Prosto przycięte płuwy włosy opadają z małej twarzyczki. Jeśli można przypisać oczom i ustom jakiś dający się zidentyfikować wyraz, jest nim łagodne zdziwienie. Jest to przypadek, a zarazem rezultat budowy kostnej; nic nie znaczy, ponieważ rysy tego dziecka sprawiały, że wyglądało na nieco zaskoczone nawet podczas zwykłego snu. Sińce jak plamy po atramencie i gumce pokrywają policzki, skroń i szyję dziewczynki. Biała koszulka z krótkimi rękawami i godłem Piwowarów z Milwaukee, usmarowana kurzem i zaschniętą krwią, zakrywa jej tułów od szyi do pępka. Dolna część ciała, blada jak dym z wyjątkiem pochłapanych krwią miejsc, stanowi lądowisko dla much owładniętych ekstazą. Jej obnażona, chuda lewa noga ma pokryte strupami kolano i kończy się przecinkiem tenisówki marki New Balance rozmiaru 5 z

zawiazanym na podwójny supeł sznurowadłem; czubek buta mierzy w sufit. W miejscu, gdzie powinna być druga noga, znajduje się pustka – prawe biodro niespodziewanie kończy się poszarpanym kikutem.

Znajdujemy się w obecności trzeciej ofiary Rybaka, dziesięcioletniej Army Freneau. Fale wstrząsu, wywołane jej zniknięciem wczoraj sprzed wypożyczalni wideo, przybiorą jeszcze na sile, gdy za nieco ponad dobę od chwili obecnej Dale Gilbertson odnajdzie jej ciało.

Rybak zabrał dziewczynkę z ulicy Chase i przetransportował tutaj – nie mamy pojęcia, w jaki sposób – tą ulicą, a dalej Lyall Road, obok 7-Eleven i sali Stowarzyszenia Weteranów, obok domu, w którym zapija się kipiąca z gniewu Wanda Kinderling, obok Iśniącego szklanego statku kosmicznego Goltza oraz przez granicę między miasteczkiem i wsią.

Irma Freneau żyła, gdy Rybak wnosił ją przez drzwi koło podziurawionej tablicy Coca-Coli. Musiała się szarpać i krzyczeć. Rybak doniósł ją pod tylną ścianę i uciszył uderzeniami w twarz. Najprawdopodobniej ją udusił. Opuścił jej ciało na podłogę i ułożył w starannie zaplanowanej pozycji. Z wyjątkiem tenisówek zdjął całe ubranie od pasa w dół – bieliznę, dżinsy, szorty, cokolwiek Irma miała na sobie w chwili porwania. Następnie amputował jej prawą nogę. Posługując się długim nożem o ciężkim ostrzu i nie korzystając z tasaka czy piły, odcinał mięso od ciała, aż zdołał oddzielić kończynę od reszty ciała. Potem odciął stopę, być może tylko dwomatrzema rąbnięciami na wysokości kostki. Odrzucił ją na bok, wciąż w białej tenisówce. Stopa Army nie była mu potrzebna – liczyła się dla niego tylko noga.

Oto, moi przyjaciele, mamy prawdziwy ześlizg.

Małe, nieruchome ciało Army Freneau zdaje się rozpląszczać, jakby starało się stopnieć i przeciec przez gnijące deski podłogi. Muchy nadal śpiewają w upojeniu. Pies wciąż stara się wyszarpać w całości soczyste trofeum z tenisówki. Gdybyśmy przywrócili do życia wolno myślącego Eda Gilbertsona i stanęli obok niego, osunąłby się na kolana i rozplakał. My zaś...

Nie jesteśmy tu po to, by płakać. Przynajmniej nie tak jak Ed, z grozy, wstydu i niedowierzania. Niesamowita tajemnica zamieszkała w tej ruderze, a jej ślady i skutki unoszą się wszędzie dookoła. Przybyliśmy to obserwować, rejestrować i utrwaląć wrażenia i powidoki, pozostawiane przez tajemnicę jak ogon za kometą. Przemawia ona do nas poprzez szczegóły, dlatego też trwa po swoim przejściu, dlatego nas okrąża. Wokół tej sceny roztacza się atmosfera głębokiej powagi, zmuszając nas do pokory. Pokora to nasza najwłaściwsza, najlepsza pierwsza reakcja. Bez niej nie pojęlibyśmy znaczenia tej sceny; umknęłaby nam wielka tajemnica i odeszlibyśmy stąd niemi i ślepi, ignorancy jak świnie. Nie odchodźmy stąd jak świnie. Musimy uczcić tę scenę – muchy, szarpiącego odciętą stopę psa, biedne, blade ciało Army Freneau, ogrom tego, co ją spotkało – przyznaniem się do naszej małości. W porównaniu z tym jesteśmy jedynie waporami.

Przez otwór okienny, sześć stóp od ciała Irmy, wpada do środka tłusta pszczoła i wykonuje powolne, badawcze okrążenie tylnej części rudery. Unoszący się na rozmytych skrzydłach owad wygląda prawie na zbyt ciężkiego, by latać, ale posuwa się szerokim łukiem powoli, z niespiesznym rozmysłem, w znacznej wysokości nad skrwawioną podłogą. Muchy, kundel i Irma nie zwracają na pszczołę uwagi.

Dla nas wszakże pszczoła, wciąż dryfująca z niezmałym spokojem w głębi komnaty grozy, przestała być źródłem pożądanego odwrócenia uwagi, wchłonęła natomiast nieco z otaczającej ją atmosfery tajemnicy. Jest to szczegół sceny, ale on również wymusza na nas pokorę i jest wymowny. Intensywny, przewiercający powietrze trzepot skrzydełek zdaje się definiować dokładne centrum wznoszących się i opadających fal znacznie wyższego dźwięku, wydawanego przez łapczywe muchy. Pszczoła kontroluje tło dźwiękowe, podobnie jak śpiewaczka przy mikrofonie na przedzie chóru. Dźwięk wzbiera i osiąga istotne natężenie. Gdy pszczoła wlatuje niespiesznie w snop żółtego światła, które sączy się przez wschodnią ścianę, jej paski rozpalają się czernią i żółcią, skrzydła zdają się krzepnąć i zamieniać w wachlarze, a owad przeistacza się w skomplikowane, latające cudeńko. Zamordowana dziewczynka leży płasko na zakrwawionych deskach podłogi. Nasza pokora, nasze poczucie małości, nasz szacunek dla głęboko przenikającej tę scenę powagi pozwalają nam odczuć siły i potęgę, przekraczające nasze pojmowanie, swego rodzaju wielkość, zawsze obecną, ale odczuwalną jedynie w takich chwilach.

Wyświadczono nam honor, który jest jednak nie do wytrzymania. Mówiąca pszczoła zatacza krąg z powrotem do okna i odlatuje do innego świata. Idąc jej przykładem, ruszamy, mijamy okno, wynurzamy się w słońce i powietrzny przestwór.

Smród kału i uryny w Domu Spokojnej Starości Maxtona; ulotne, lepkie poczucie ześlizgu, związane z ekscentrycznym domostwem na północ od drogi 35; brzęczenie much i widok krwi w dawnej jadłodajni Eda. Ech! Błę! Czy we French Landing nie ma ani jednego miejsca, możemy zapytać, gdzie pod powierzchnią nie kryje się coś niemilego? Gdzie nie kryje się żadne drugie dno, by tak rzec?

Odpowiedź jest krótka: nie. French Landing powinno być oznakowane wielkimi tablicami przy każdym wjeździe: UWAGA! ZEŚLIZG W TRAKCIE! WJAZD NA WŁASNE RYZYKO!

Działa tu magia Rybaka. Sprawiała, że słowo „miał” stało się przynajmniej czasowo nieaktualne. Możemy jednak udać się w miejsce przynajmniej miłsze; jeśli tylko możemy, zapewne powinniśmy tak zrobić, jako że potrzebujemy wytchnienia. Być może nie uda się nam umknąć przed ześlizgiem, ale możemy przynajmniej odwiedzić miejsce, gdzie nikt nie sra do łóżka ani nie wykrwawia się na podłogę (przynajmniej na razie).

Pszczoła leci więc w swoją stronę, a my w swoją; kierujemy się na południowy zachód, nad kolejnymi połaciami lasu, wydechającego słodkie wonie życia i tlenu – nie ma drugiego

takiego powietrza, przynajmniej w tym świecie. Wreszcie znów znajdujemy się pośród dzieł człowieka.

Ta część miasta nazywa się Libertyville; miano to nadała jej rada miejska French Landing w 1976 roku. Nie uwierzycie, ale brzuchaty Ed Gilbertson, Król Hot Dogów we własnej osobie, wchodził w skład ojców miasta, którzy zebrali się z okazji dwustulecia kraju. Dziwne to były dni, mamusku, naprawdę dziwne. Nie tak jednak dziwne jak obecne; we French Landing nastąpiła Era Rybaka, śliskie dni ześlizgu.

Ulice w Libertyville mają nazwy, które dorośli uznają za barwne, natomiast dzieci za nieznośne. Wiadomo, że niektóre z nich nazywają tę część miasta Pedałkowem. Zniżmy się wreszcie w błogim porannym powietrzu (już robi się ciepłej; na pewno szykuje się dzień odpowiedni na Truskawkowy Festyn). W ciszy krążymy nad ulicą Camelot, mijamy skrzyżowanie z ulicą Avalon, zagłębiamy się w nią i docieramy do Maid Marian Way. Za Maid Marian docieramy do – chyba to nie żadna niespodzianka? – Robin Hood Lane.

Pod numerem 16 stoi tutaj śliczny, wychuchany domek w stylu Cape Cod, idealnie odpowiedni dla Młodej, Pnącej Się Po Szczytach Kariery Rodzinki. Kuchenne okno okazuje się otwarte. Czuć zapach kawy i tostów, cudowną połączoną woń, która stawia tamę ześlizgowi (gdybyśmy tylko nie wiedzieli o jego istnieniu; gdybyśmy nie widzieli psa trudniącego się wyżeraniem stopy z tenisówki, tak jak dziecko wyjada kawałek mięsa prosto z bułki...), i zanurzamy się ku jej źródłu do środka. Miło jest być niewidzialnym, prawda? Obserwować w boskim milczeniu. Gdyby tylko to, co ujrzały nasze podobne boskim oczyma, trochę mniej wytręcało z równowagi, do cholery! No, to tak przy okazji. Znaleźliśmy się w środku, na dobre czy na złe, i lepiej zabierzmy się do rzeczy. Szkoda słońca, jak mówią w tej części świata.

W kuchni domu pod numerem 16 siedzi Fred Marshall, którego zdjęcie zdobi obecnie sztalugę z nagłówkiem Sprzedawca Miesiąca w salonie wystawowym French County Farm Equipment. Fred był również honorowany tytułem Pracownika Roku przez trzy lata z ostatnich czterech (dwa lata temu Ted Goltz przyznał nagrodę Otto Eismanowi, tylko po to, by przerwać monotonię). Gdy Fred jest w pracy, nikt bardziej od niego nie promieniuje wdziękiem i osobowością. Nikt nie jest miłszy od niego. Chcieliście kogoś miłego? Panie i panowie, przed wami Fred Marshall!

Tyle że w tej chwili jego pewny siebie uśmiech jest nieobecny, a włosy, w pracy zawsze starannie uczesane, nie widziały jeszcze grzebienia. Ma na sobie szorty marki Nike i koszulkę z rozciętymi rękawami zamiast zwykle noszonych przezeń spodni barwy khaki i sportowej koszuli. Na blacie leży dostarczony do domu egzemplarz „La Riviere Herald”, otwarty na drugiej stronie.

Udziałem Freda stała się ostatnio porcja kłopotów. Właściwie to raczej jego żona, Judy, ma problemy, ale co jej, to i jego, jak powiedział pastor, łącząc ich świętym węzłem małżeńskim. To, co czyta Fred, wcale nie poprawia mu humoru. Absolutnie. Jest to

uzupełnienie głównego artykułu z pierwszej strony, a jego autorem jest oczywiście babrający się w brudach ulubieniec wszystkich Wendell „RYBAK WCIAŻ GRASUJE NA WOLNOŚCI” Green.

Uzupełnienie stanowi zasadniczo podsumowanie faktów dotyczących dwóch pierwszych morderstw (Ponure i jeszcze bardziej ponure, jak myśli o nich Fred). Czytając, zgina za sobą na przemian lewą i prawą nogę, rozciągając mięśnie ud, najistotniejsze przy przygotowaniach do porannego biegu. Cóż może być bardziej przeciwżeślizgowego od porannego biegania? Cóż może być miłsze? Co mogłoby zepsuć tak uroczy początek pięknego dnia w Wisconsin?

No, może to:

Marzenia Johnny’ego Irkenhama były dość zwyczajne, zdaniem jego pogrążonego w rozpacz ojca. (Pogrążony w rozpacz ojciec, myśli Fred, rozciągając mięśnie i wyobrażając sobie śpiącego na górze syna. Boże Drogi, nie dopuść, bym kiedykolwiek został pogrążonym w rozpacz ojcem. Oczywiście nie wie, jak szybko będzie musiał wejść w tę rolę). „Johnny chciał zostać astronautą – mówi George Irkenham, a jego wyczerpaną twarz na krótko rozświetla uśmiech. – To znaczy, kiedy nie gasił ognia dla straży pożarnej we French Landing czy nie zwalczał zbrodni w szeregach Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości”.

Te niewinne marzenia skończyły się koszmarem, którego nie potrafimy sobie wyobrazić. (Ale jestem pewny, że przynajmniej spróbujesz, myśli Fred, zaczynając wyginać w górę palce stóp). Na początku tego tygodnia Spencer Hovdahl z Centralii znalazł jego rozczłonkowane ciało. Hovdahl, zajmujący się pożyczkami w Pierwszym Stanowym Banku Rolniczym, dokonywał inspekcji z myślą o wszczęciu konfiskaty opuszczonego gospodarstwa we French Landing, stanowiącego własność zamieszkałego w sąsiednim okręgu Johna Ellisona. „Przed wszystkim nie chciałem tam jechać – powiedział Hovdahl niżej podpisanemu reporterowi. – Jeżeli czegoś nienawidzę, to właśnie spraw o zajęcie własności”. (Ponieważ Fred dobrze zna Spence’a Hovdahla, bardzo powątpiewa, czy rzeczywiście użył on określenia „sprawy”). Jeszcze bardziej przeszła mi na to ochota, gdy zajrzałem do kurniku. Jest zdewastowany i praktycznie się wali. Nie wszedłbym do środka, gdyby nie brzęczenie pszczół. Pomyślałem, że mają tam rój. Interesuję się pszczolami, dlatego mnie to zaciekawiło. Boże, na co mi była taka ciekawość? Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie będę ciekawy”.

Hovdahl znalazł w kurniku ciało siedmioletniego Johna Wesleya Irkenhama. Zwłoki zostały rozczłonkowane, a jego części wisiały na łańcuchach pod próchniejącymi belkami dachu. Chociaż komendant policji Dale Gilbertson nie chciał tego ani potwierdzić, ani zdementować, wiarygodne źródła policyjne w La Riviere mówią, że uda, tułów i pośladki nosiły ślady zębów...

No dobra, to wystarcza Fredowi, wszyscy wychodzą z basenu. Składa energicznie gazetę i popycha ją przez cały blat aż do ekspresu do kawy. Na Boga, kiedy był dzieckiem, nigdy nie opisywali takich rzeczy w gazetach. I dlaczego Rybak, na miłość boską? Dlaczego muszą

każdemu potworowi wymyślać chwytliwe miano, zamieniać kogokolwiek, kto się dopuścił czegoś takiego, w Psychola – Gwiazdę Miesiąca?

Oczywiście nic podobnego nie wydarzyło się nigdy, gdy był w wieku Tylera, ale sama zasada... do cholery, sama zasada postępowania w takich sprawach...

Fred kończy wyprężyć palce, przypominając sobie, by porozmawiać z Tylerem. Będzie to trudniejsze od pogadanki, dlatego chłopakowi twardnieje czasem interes, ale jest to absolutnie konieczne. Obowiązuje zasada „kupą, panowie”, zamierza powiedzieć Fred. Na razie musisz trzymać się swoich kumpli, Ty. Przez jakiś czas nie wolno ci się włóczyć samemu, dobra?

Mimo to koncepcja, że Tyler naprawdę może zostać zamordowany, jest daleka Fredowi; to temat na fabularyzowane dokumenty w telewizji czy może film Wesa Cravena. Powiedzmy, pod tytułem „Krzyk 4: Rybak”. Czy zresztą rzeczywiście nie było takiego filmu? Facet w rybackiej kurtce przeciwdeszczowej włóczy się i zabija hakiem nastolatki? Może, ale nie małe dzieci, nie brzdące w rodzaju Amy St. Pierre czy Johnny’ego Irkenhama. Jezu, ten świat się wali na ludzkich oczach.

Części ciała, wiszące na łańcuchach w rozpadającym się kurniku – właśnie to dręczy Freda najbardziej. Czy to naprawdę możliwe? Czy to może dziać się tutaj, właśnie tu i teraz, w krainie Tomka Sawyera i Becky Thatcher?

Daj już temu spokój, dobrze? Czas pobiegać.

A może dzisiejsza gazeta gdzieś się zapodziała, myśli Fred. Podnosi ją z blatu i składa, aż wygląda jak gruba książka w miękkiej oprawie (choć mimo to oskarża go część nagłówka: RYBAK WCIAŻ GRA). Może gazeta po prostu, no, bo ja wiem, wyemigrowała prosto do starego kosza na śmieci koło domu.

Tak, dobry pomysł. Ponieważ Judy dziwnie się ostatnio zachowuje, a jątrzące artykuły Wendella Greena o Rybaku nie poprawiają sytuacji (Uda i tułów ze śladami zębów, myśli Fred, wędrując przez pogrążony we wczesnoporannej ciszy dom w stronę drzwi, a skoro już przy tym jesteś, pismaku, to odkrój mi ładny, surowy kawałek poślodka). Judy obsesyjnie czyta relacje prasowe i ich nie komentuje, ale Fredowi nie podoba się to, jak strzela nerwowo oczami ani niektóre inne tiki, jakich się ostatnio nabawiła: na przykład ciągle muskanie językiem górnej wargi... Parę razy – w ciągu ostatnich dwóch-trzech dni – widział, że wysunęła go na całą długość i dotknęła nim dolka pod nosem. Uznałby to za niemożliwe, gdyby nie zobaczył, że zrobiła to znowu podczas wczorajszych wieczornych wiadomości lokalnych. Judy kładzie się coraz wcześniej i czasami mówi przez sen – wypowiada dziwne, niewyraźne słowa, w niczym nie przypominające języka angielskiego. Niekiedy nie reaguje, gdy Fred się do niej odzywa, lecz po prostu wpatruje się rozszerzonymi oczyma w przestrzeń, poruszając lekko wargami i ściskając ręce (na ich grzbietach zaczęły się pojawiać skaleczenia i zadrapania, chociaż ma krótko przycięte paznokcie).

Tyler również zauważył narastające dziwactwa matki. W sobotę, gdy ojciec jadł razem z synem obiad – Judy poszła na górę na długą drzemkę, co również stanowiło nowość – chłopiec pierwszy poruszył ten temat.

– Co się dzieje z mamą? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Ty, z mamą nic się nie...

– Właśnie że się dzieje! Tommy Erbter mówi, że ostatnio zapodziała się jej gdzieś jedna klepka.

I czy Fred nie sięgnął nad talerzem pomidorówki oraz tostami z serem i nie przyłożył swojemu synowi? Swojemu jedynemu dziecku? Dobremu staremu Tylerowi, który chciał tylko wyrazić troskę. Niech Bóg mu pomoże, tak zrobił.

Za drzwiami, u szczytu schodzącego do ulicy wybetonowanego chodnika Fred zaczyna powoli biec w miejscu, biorąc raz za razem głęboki wdech i gromadząc w ten sposób tlen, który wkrótce zużyje. Zwykle jest to najlepsza część dnia (to znaczy zakładając, że nie kochał się z Judy, a ostatnio zdarzało się to piekielnie rzadko). Lubi uczucie – świadomość – że ulica może być początkiem drogi dokądkolwiek, że może wyruszyć z dzielnicy Libertyville we French Landing i dotrzeć do Nowego Jorku... San Francisco... Bombaju... górskich przełęczy w Nepalu. Każdy krok poza drzwi własnego domu stanowi zaproszenie do świata (może nawet wszechświata), co Fred Marshall intuicyjnie rozumie. Sprzedaje teraz ciągniki John Deree i kultywatory Case, tak, zgadza się, ale nie postradał wyobraźni. Gdy studiował z Judy na filii uniwersytetu stanu Wisconsin w Madison, na pierwszych randkach spotykali się w kawiarni „Chocolate Watchband” – Czekoladowy Pasek Od Zegarka, tuż poza miasteczkiem akademickim, w przystani kawy z ekspresu, jazzu i poezji. Nie byłoby zupełną nieuczciwością twierdzenie, że zakochiwali się w sobie przy akompaniamencie gniewnych, pijanych młodzieńców, recytujących utwory Allena Ginsberga i Gary’ego Snydera przez tanią, lecz wyjątkowo hałaśliwą aparaturę nagłaśniającą kawiarenki.

Fred nabiera jeszcze raz tchu i zaczyna biec. Dociera przez Robin Hood Lane do Maid Marian Way, gdzie macha ręką Deke’owi Purvisowi. Deke, w szlafroku i bamboszach, podnosi właśnie z ganku dzienną dawkę apokalipsy według Wendella Greena. Fred skręca w ulicę Avalen, przyspiesza nieco tempo i pokazuje pięty porankowi.

Nie potrafi jednak uciec przed swoimi zmartwieniami.

Judy, Judy, Judy, myśli niczym Gary Grant (choć ten słaby dowcip już dawno przejadł się miłości jego życia).

Chodzi o to, że Judy bredzi przez sen. Chodzi o to, że rzuca wzrokiem w te i we w tę. Nie zapominajmy też o tym, że (zaledwie trzy dni temu) wszedł za nią do kuchni, a jej tam nie było – okazało się, że zstępuje po schodach za nim, a to, jak tego dokonała, wydaje mu się mniej istotne od tego, dlaczego to zrobiła. Dlaczego pomknęła na górę po tylnych schodach i zeszła z tupaniem po frontowych (bo przecież tak właśnie musiała zrobić; nie przychodzi mu do głowy żadne inne wytłumaczenie). Chodzi o to, że bezustannie wysuwa pozornie

lubieżnym ruchem język, oblizuje się nim i klepie o zęby. Fred wie, na co to wszystko się składa: Judy zachowuje się jak kobieta pogrążona w zgrozie. Zaczęło się to przed morderstwem Amy St. Pierre, więc nie może być to wina Rybaka, a przynajmniej niewyłącznie jego.

Do tego dochodzi poważniejsza sprawa. Jeszcze kilka tygodni temu Fred powiedziała by wam, że jego żona nie wie, co to strach. Chociaż ma zaledwie pięć stóp i dwa cale wzrostu („No, jesteś nie większa od minuty”, skomentowała to babka Freda, gdy po raz pierwszy spotkała jego przyszlą), lecz ma serce lwa lub wojownika wikingów. To nie pierdoły, nie przesada, nie licencja poetycka; to szczerza prawda, jaką Fred widzi, i właśnie kontrast między tym, co zawsze sądził, i tym, co teraz dostrzega, przeraża go najbardziej.

Z ulicy Avalon Marshall przebiega na Camelot, pokonując skrzyżowanie bez oglądania się na ruch uliczny. Biegnie o wiele szybciej niż zwykle, prawie sprintem. Przypomina sobie coś, co wydarzyło się mniej więcej miesiąc po tym, gdy zaczęli się umawiać ze sobą.

Wybrali się jak zwykle do „Chocolate Watchband”, aczkolwiek tym razem po południu, by posłuchać jazzowego kwartetu, który istotnie okazał się niezły. Nie przysłuchiwali mu się zresztą zbyt dokładnie, jeśli Fred sobie dobrze przypomina; przeważnie opowiadał Judy, jak nie cierpi nauki w College’u Nauk Rolniczych i Biologicznych („Moo U” – Krowi Uniwersk – nazywały go eleganciki z wydziałów Literatury i Nauk Ścisłych) i jak bardzo nie podobało mu się, iż jego rodzina chciałaby, żeby po skończeniu nauki wrócił do French Landing pomóc Philowi w prowadzeniu farmy. Od myśli, że spędzi życie w uprzęży z Philem, Fred dostawał ostrego ataku ponuractwa.

„Czego w takim razie chcesz?” – spytała Judy. Trzymała go za rękę na stoliku, w słoiku po dżemie paliła się świeczka, a zespół na scenie wykonywał przemiłą wersję „I’ll Be There for You”

„Nie wiem – odpowiedział – ale powiem ci coś, Jude. Powinienem być na administracji i zarządzaniu, a nie Krowim Uniwersku. O niebo lepiej idzie mi sprzedawanie niż sadzenie”.

„To dlaczego się nie przeniesiesz?”

„Bo moja rodzina uważa...”

„Twoja rodzina nie przeżyje za ciebie twojego życia, Fred – ale ty sam”.

Łatwo powiedzieć – przypomina sobie, że tak pomyślał – ale po drodze z powrotem na kampus zdarzyło się coś tak zdumiewającego i przekraczającego jego rozumienie życiowych zasad, że nawet po trzynastu latach wypełnia go to zdumieniem.

Wciąż toczyli rozmowę o przyszłości jego i ich razem („Mogłabym być żoną farmera – powiedziała Judy – ale tylko wtedy, jeśli mój mąż rzeczywiście chciałby nim być”). Byli w niej głęboko pogrążeni. Pozwalali nieść się stopom i nie zwracali uwagi, gdzie się znajdują. Wreszcie na skrzyżowaniu State i Gorham ich rozmowę przerwał pisk hamulców i twardy

szczęk metalu. Fred i Judy rozejrzeli się i zobaczyli że dodge pikap szepił się właśnie zderzakiem z wiekowym fordem kombi.

Z kombi, które najwyraźniej przejechało na czerwonym świetle skrzyżowanie na końcu ulicy Gorham, wysiadał właśnie mężczyzna w średnim wieku w brązowym garniturze. Wyglądał na przestraszonego i wstrząśniętego, a Fred pomyślał, że miał po temu dobre powody; zbliżający się w jego stronę od pikapa człowiek był młody, zwalisty (Fred zapamiętał szczególnie wylewający się nad pasem jego dżinsów brzuch) oraz wyekwipowany w łyżkę do opon. „Cholerny, bezmyślny zasańcu! – krzyknął Młody Mięśniak. – Popatrz, co zrobiłeś z moim samochodem! To pikap mojego taty, cholerny zasańcu!”.

Garnitur w Średnim Wieku cofnął się z rozszerzonymi oczyma i wystawionymi przed siebie rękami. Fred patrzył na to z fascynacją spod sklepu żelaznego Rickman’s Hardware, myśląc: Och, nie, proszę pana, zły ruch. Nie można cofać się przed takim gościem, idzie się w jego stronę, choćby był wściekły. Pan go prowokuje – nie rozumie pan, że go prowokuje? Był tak zafascynowany, że nie zorientował się, iż Judy już nie trzyma go za rękę. Słuchał ze swego rodzaju przyprawiającym o mdłości zainteresowaniem, jak wciąż cofający się pan Garnitur w Średnim Wieku mamrotał, że jest mu przykro... wyłącznie jego wina, nie popatrzył, nie zastanowił się... dokumenty ubezpieczeniowe... State Farm... narysuje diagram... wezwie policjanta, żeby spisał zeznania...

Przez cały ten czas Młody Mięśniak posuwał się naprzód i trzepał łyżką do opon w otwartą dłoń, wcale go nie słuchając. Nie chodziło mu o ubezpieczenie ani odszkodowanie; chodziło o to, że pan Garnitur w Średnim Wieku cholernie go wystraszył, podczas gdy on jechał sobie, pilnował własnego nosa i słuchał Johnny’ego Paychecka, śpiewającego „Take This Job and Shove It”. Młody Mięśniak zamierzał zapewnić sobie na własną rękę niejaki wynagrodzenie za to, że się cholernie wystraszył i niemalże powybił zęby o kierownicę... musiał, bo podniecał go zapach starszego mężczyzny, żółty jak szczyzny smród strachu i wrodzonej bezradności. Przypominali królika i psa farmerskiego; nagle królik nie miał się już dokąd cofnąć. Pan Garnitur w Średnim Wieku wcisnął się w bok swojego kombi, łyżka do opon lada chwila miała zacząć zataczać łuki w powietrzu i szycował się rozlew krwi.

Tyle że krew się nie połała, a łyżka nie uniosła się ani razu, bo nagle między mężczyznami znalazła się Judy DeLois, nie większa od minuty, ale wpatrująca się bez cienia strachu w gorejącą gniewem twarz Młodego Mięśniaka.

Fred mrugnął, zastanawiając się, jak na Boga znalazła się pomiędzy nimi tak szybko. (Dużo później czuł się tak samo, kiedy wszedł za nią do kuchni jedynie po to, by usłyszeć równe tupanie towarzyszące jej schodzeniu po frontowych schodach). I co potem? Potem Judy walnęła Młodego Mięśniaka w ramię! Łup, trzepnęła go prosto w mięsisty biceps, zostawiając biały odcisk dłoni na opalonej, pokrytej piegami skórze pod porwanym rękawem niebieskiej koszulki. Fred to widział, lecz nie mógł uwierzyć własnym oczom.

„Przestań! – krzyknęła Judy prosto w zaskoczoną i zaczynającą być oszołomioną twarz Młodego Mięśniaka. – Odłóż to, przestań! Nie bądź idiotą! Chcesz pójść do więzienia za blacharkę wartą siedemset dolarów? Odłóż to! Weź się w garść, wielkoludzie! Odłóż... to... żelastwo... NA ZIEMIĘ!”

Przez sekundę Fred był zupełnie pewny, że Młody Mięśniak i tak zamachnie się łyżką do opon, prosto w głowę jego ślicznej dziewczyny. Judy nie zmrużyła jednak nawet powieki; nie oderwała wzroku od oczu mężczyzny z łyżką do opon, który miał nad nią przewagę co najmniej stopy wzrostu i paruset funtów masy. Tego dnia na pewno nie czuć było od niej żółtego jak szczyzny smrodu strachu; nie obmacywała nerwowo językiem górnej wargi czy dołka pod nosem. Jej gorejące spojrzenie nawet nie drgnęło.

Gdy minęła ta chwila, Młody Mięśniak odłożył łyżkę do opon.

Fred nie zdawał sobie sprawy, że zebrał się tłum, dopóki nie usłyszał spontanicznego aplauzu około trzydziestu widzów. Przyłączył się do nich; nigdy nie był bardziej dumny z Judy niż w tamtym momencie. Dopiero w tej chwili na twarzy Judy pojawiło się zaskoczenie. Mimo to została na miejscu. Przyciągnęła obydwóch mężczyzn do siebie – szarpiąc pana Garnitura w Średnim Wieku za rękaw – i zdołała zmusić ich do uściśnięcia sobie rąk. Kiedy przyjechała policja, Młody Mięśniak i pan Garnitur w Średnim Wieku siedzieli obok siebie na krawężniku i oglądali swoje dokumenty ubezpieczeniowe. Sprawa zamknięta.

Fred i Judy ruszyli dalej w stronę kampusu, znowu trzymając się za ręce. Przez dwie przecznice Fred się nie odzywał. Czy czuł dla niej podziw? Teraz podejrzewa, że tak. W końcu powiedział: „To było zdumiewające”.

Rzuciła mu zakłopotane spojrzenie i zakłopotany uśmiech. „Nie, nie było – powiedziała. – Jeśli chcesz to jakoś nazwać, powiedzmy, że był to duch obywatelski. Widziałam, że ten facet był gotów włączyć się do więzienia. Nie chciałam, żeby do tego doszło. Ani żeby temu drugiemu stała się krzywda”.

Dodała to jednak jakby po namyśle, a Fred po raz pierwszy wyczuł nie tylko jej odwagę, lecz również nie znające trwogi serce wikinga. Była po stronie Młodego Mięśniaka, bo... cóż, bo drugi mężczyzna się bał.

„Naprawdę się nie obawiałaś?” – zapytał. Wciąż był zbyt oszołomiony wydarzeniami, by przyszło mu do głowy, iż powinien się nieco wstydzić. Przecież to jego dziewczyna zadziałała zamiast niego, co nie zgadzało się z ewangelią według Hollywooda. „Nie obawiałaś się, że w ferworze chwili facet przyłoży ci tą łyżką do opon?”

Oczy Judy przybrały zaskoczony wyraz.

„Nie przyszło mi to do głowy” – powiedziała.

Camelot osiąga wreszcie ulicę Chase, skąd w takie pogodne dni jak ten można dojrzeć lśniąca Missisipi, ale Fred nie dociera tak daleko. Zawraca u szczytu Liberty Heights w stronę domu, z przesiąkniętą potem koszulką. Zwykle czuje się lepiej po biegu, ale nie dzisiaj,

przynajmniej jeszcze nie teraz. Nieustraszona Judy z tamtego popołudnia na rogu State i Gorham tak bardzo się różni od umykającej spojrzeniem, często nieobecnej duchem Judy, która mieszka teraz w jego domu – zapadającej w drzemki, załamującej ręce Judy – iż Fred zdobył się na porozmawianie o tym z Patem Skardą. Doszło do tego wczoraj, gdy lekarz oglądał u Goltza siodełkowe kosiarki do trawy.

Fred pokazał mu dwa modele, Johna Deree i Hondę, zapytał o jego rodzinę, a następnie spytał (miał nadzieję, że beztrasko): „Hej, doktorze, niech mi pan coś powie. Myśli pan, że możliwe jest, żeby ktoś po prostu oszalał? Tak sobie, bez żadnego ostrzeżenia?”.

Skarda rzucił Fredowi spojrzenie zbyt przenikliwe jak na jego gust.

„Mówimy o osobie dorosłej czy dziecku, Fred?”.

„No, w gruncie rzeczy nie mówimy o kimś konkretnym. – Zaśmiał się głośno i serdecznie – co zabrzmiało nieprzekonująco nawet w jego uszach i sądząc po spojrzeniu Pata Skardy, nieprzekonująco również dla niego. – Przynajmniej nie o kimś prawdziwym. Skoro to i tak hipotetyczny przypadek, przyjmijmy, że chodzi o dorosłego”.

Skarda zastanowił się i potrząsnął głową.

„W medycynie jest niewiele pewników, a jeszcze mniej w psychiatrii. Zważywszy na to, muszę powiedzieć, że jest bardzo mało prawdopodobne, by ktoś «po prostu oszalał». Może być to dość raptowny proces, ale to mimo wszystko proces. Słyszymy, jak ludzie mówią, że «taki to a taki pękł», ale rzadko wygląda to w ten sposób. Zaburzenia umysłowe – zachowania neurotyczne lub psychotyczne – potrzebują pewnego czasu, żeby się rozwinąć i zwykle są poprzedzone oznakami. Jak się miewa twoja mama, Fred?”.

„Mama? Och. Ej, nic jej nie jest. Jak pączek w maśle”.

„A Judy?”.

Potrwało chwilę, nim zdołał uruchomić mięśnie, ale gdy wreszcie tego dokonał, zdobył się na szeroki uśmiech. Szeroki i niewinny.

„Judy? Ona też się czuje jak pączek w maśle, doktorze. Oczywiście, że tak. Trzyma się bez problemu”.

Pewnie. Trzyma się bez problemu. Przejawia tylko pewne oznaki, to wszystko.

Może miną, myśli Fred. Stare, dobre endorfiny wreszcie działają i nagle wydaje się to możliwe. Optymizm jest bardziej typowym stanem dla Freda, który nie wierzy w ześlizg. Na jego twarzy pojawia się wąły uśmiech – pierwszy tego dnia. Może oznaki miną. Może cokolwiek się z nią dzieje, rozwieje się równie szybko, jak się pojawiło. Może to tylko, no, coś związanego z menstruacją. Jak zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Boże, gdyby tylko rzeczywiście o to chodziło – cóż to by była za ulga! Na razie trzeba jednak pamiętać o Tylerze. Fred musi z nim porozmawiać o zasadzie „kupa, panowie”, bo chociaż nie wierzy w to, co stara się najwidoczniej zasugerować Wendell Green – iż duch sławetnego kanibala i ogółem rzecz biorąc, straszidła Alberta Fisha nawiedził z niewiadomego powodu region Coulee – ktoś na pewno zaczął tu działać. Ktoś, kto

zamordował dwoje małych dzieci i robił niewymowne (przynajmniej nie do wypowiedzenia, jeśli nie jest się Wendellem Greenem, jak się wydaje) rzeczy z ich ciałami.

Ślady zębów na udach, tułowiach i pośladkach, myśli Fred i przyspiesza bieg, chociaż zaczyna czuć klucie w boku. Warto jednak powtórzyć: nie wierzy, iż koszmar ten może dotknąć jego syna, nie pojmuje też, jak mógłby doprowadzić Judy do obecnego stanu, skoro jej dziwactwa zaczęły się, gdy Amy St. Pierre oraz Johnny Irkenham jeszcze żyli i zapewne radośnie się bawili na swoich podwórkach.

Może to, może tamto... ale wystarczy już Freda i jego zmartwień, dobrze? Odlećmy od jego skłopotanej głowy, wyprzedźmy go i wróćmy pod numer 16 na Robin Hood Lane – wprost do źródła jego trosk.

Okno na piętrze, za którym znajduje się sypialnia małżeńska, jest otwarte, a siatka nie stanowi dla nas naturalnie przeszkody; przenikamy przez nią wraz z powiewem i pierwszymi dźwiękami budzącego się dnia.

Odgłosy wstawania French Landing nie budzą Judy Marshall. O nie, wytrzeszcza oczy już od trzeciej nad ranem i przeczesuje cienie w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Snów zbyt strasznych, by je pamiętać? Zapamiętała jednak niektóre rzeczy, choć wcale nie miała na to ochoty.

– Znów widziałam oko – mówi w pustym pokoju. Wysuwa język, a ponieważ Fred jej nie obserwuje (wie, że się jej przygląda; chociaż jest opętana, nie jest głupia), nie tylko muska nim dołek pod nosem, lecz zwilża go zamaszystym ruchem, jak pies oblizujący się po wyżarciu michy ochłapów. – Jest czerwone. To Jego oko. Oko Króla.

Spogląda na cienie drzew na zewnątrz. Tańczą na suficie, układając się w kształty i twarze, twarze i kształty.

– Oko Króla – powtarza. Zaczynają się tiki rąk: zaciska je, wykręca, zgniata i wbija w nie paznokcie. – Abbalah! Lisy do lisich nor! Abbalahdoon, Karmazynowy Król! Szczury w szczurzych norach! Abbalah Munshun! Król jest w swojej Wieży i je chlebuś z miodem! Niszczyciele w lochach przymierają głodem!

Potrząsa głową z boku na bok. Och, te głosy! Dobywają się z ciemności; czasami budzi się z płonąca pod powiekami wizją – obrazem wielkiej, pokrytej łupkiem wieży, która stoi pośród pełnego róż pola. Pola krwi. Potem zaczyna się gadanie, dar języków, dawanie świadectwa – słowa, których nie rozumie, nie mówiąc już o panowaniu nad nimi, mieszany strumień angielszczyzny i bełkotu.

– Trudzą się, trudzą, trudzą – mówi Judy. – Maleństwa trudzą się na krwawiących stopkach... och, na miłość Chrystusa, czy to się nigdy nie skończy?

Jej język wydobywa się na zewnątrz i oblizuje koniuszek nosa; przez moment nozdrza zatyka jej własna ślina i huczą jej w głowie

...Abbalah, Abbalahdoon. Cantah Abbalah...

te straszne, obce słowa, te okropne, stłoczone obrazy Wieży i pełnych ognia jaskiń pod nią, nor, w których maleństwa trzaskają na krwawiących stopkach. Umysł Judy dzieli ich mękę. Tylko jedno może to przerwać, tylko w jeden sposób da się zaznać ulgi.

Judy Marshall siada. Na stoliku obok niej jest lampka, egzemplarz ostatniej powieści Johna Grishama, mały bloczek papieru (prezent urodzinowy od syna; na każdej karteczce znajduje się nagłówek: OTO MÓJ KOLEJNY WSPANIAŁY POMYSŁ!) oraz długopis z nadrukiem: LA RIVIERE SHERATON.

Judy chwyta długopis i bazgrze na kartce.

Nie ma Abbalaha nie ma Abbalahadoona nie ma Wieży nie ma Niszczycieli nie ma Karmazynowego Króla to tylko sny to tylko moje sny

Wystarczy. Długopisy to jednak również drogi w dowolne strony świata. Zanim Judy oderwie długopis od sprezentowanego bloczka, na kartce pojawia się jeszcze jedna linijka:

Czarny Dom to wrota do Abbalaha wejście do piekła Szeolu Munshuna wszystkich światów i duchów

Dość! Boże miłosierny, dość! Co najgorsze: A jeśli to wszystko zaczyna mieć sens?

Judy ciska długopis na stolik: przetacza się do podstawy lampki i nieruchomieje. Judy wrywa kartkę z bloczka, mnie ją i wciska w usta. Żuje z furią – nie rozrywa zębami, ale przynajmniej zamienia w rozmięktą papkę i przetyka. Przez straszną chwilę kulka więźnie jej w gardle, lecz w końcu wędruje dalej. Słowa i światy cofają się, a wyczerpana Judy opada na poduszkę. Ma bladą, spoconą twarz, oczy nabrzmiewają jej nieprzelanymi łzami, ale ruchome cienie na suficie nie przypominają jej już twarzyczek trzaskających się dzieci, pyszczków szczurów w szczurzych norach, lisów w lisich norach, oka króla, Abbalaha, Abbalahadoona! Znowy stały się po prostu cieniami drzew. Ona sama jest na powrót Judy Marshall, żoną Freda, matką Tylera. Jest w Libertyville, we French Landing, w okręgu French, w Wisconsin, w Ameryce, na półkuli północnej, na Ziemi, i nie ma żadnego innego świata. Niech tak będzie.

Ach, oby tak było.

Judy przymyka oczy i gdy wreszcie zapada w sen, prześlizgujemy się przez pokój do drugich drzwi. Zanim je jednak przekroczymy, Judy Marshall mówi coś jeszcze – w chwili gdy pokonuje granicę jawy i snu:

– Nie nazywaj się Burnside. Gdzie masz swoją dziurę?

Sypialnia jest zamknięta, więc korzystamy z dziurki od klucza i przenikamy przez nią jak westchnienie. Ruszamy korytarzem, obok fotografii rodzin Judy i Freda, włącznie ze zdjęciem z rodzinnej farmy Marshallów, na której małżonkowie spędzili koszmarny, lecz na szczęście krótki okres niedługo po ślubie. Chcecie dobrej rady? Nie mówcie w obecności Judy o Philu, bracie Freda. Nawet nie zaczynajta, jak niewątpliwie powiedziałby George Rathbun.

W drzwiach na końcu korytarza nie ma dziurki od klucza, więc prześlizgujemy się jak telegram pod spodem do pokoju, który natychmiast identyfikujemy jako zajmowany przez

chłopca. Można to orzec po mieszaninie woni brudnych sportowych skarpet i olejku do stóp. Pokój ten jest niewielki, wydaje się jednak większy od sypialni Freda i Judy w końcu korytarza – zapewne z tego względu, że nie ma tu odoru lęku. Na ścianach wiszą zdjęcia Shaquille O’Neala, Jeromy’ego Burnitza, drużyny Jeleni z Milwaukee – oraz idola Tylera Marshalla – Marka McGwire’a. McGwire gra w Kardynałach, a Kardynałowie to przeciwnicy, ale, do diabła, przecież Piwowarzy z Milwaukee to w gruncie rzeczy żadni rywale. Piwna Banda wlokła się w ogonie Ligi Ameryki, a teraz tak samo jest w lidze krajowej. A McGwire... no, to bohater, może nie? Jest silny, skromny i potrafi wybić piłkę baseballową na odległość wiejskiej mili. Nawet tata Tylera, który kibicuje wyłącznie drużynom z Wisconsin, uważa, że McGwire jest wyjątkowy. „Największy pałkarz w historii tej gry”, nazwał go po sezonie, w którym McGwire zaliczył siedemdziesiąt pełnych okrążeń, a Tyler, który tamtego pamiętnego roku był tylko małym brzdącem, nigdy tego nie zapomniał.

Na ścianie pokoju chłopca, który wkrótce zostanie czwartą ofiarą Rybaka (owszem; jak widzieliśmy, trzecia już jest), na honorowym miejscu prosto nad jego łóżkiem wisi plakat biura podróży, przedstawiający wielki, ciemny zamek za długą, zasnutą mgłą łąką. U dołu przyklejonego taśmą plakatu (mama absolutnie zabrania pinezek) znajduje się napis wielkimi, zielonymi literami: WRÓĆCIE DO STAREGO KRAJU. Ty od dawna zastanawia się, czy nie odciąć tego kawałka. Lubi plakat nie dlatego, że interesuje się Irlandią; dla niego zdjęcie szepcze o jakimś innym miejscu, o czymś Zupełnie Gdzie Indziej. Kojarzy mu się z obrazem jakiegoś wspaniałego, mitycznego królestwa, w którego lasach mogą żyć jednorożce, a w jaskiniach – smoki. Nieważna Irlandia; nieważny też Harry Potter. Hogwart świetnie się nadaje na letnie popołudnia, ale ten zamek znajduje się w Królestwie Zupełnie Gdzie Indziej. Jest pierwszą rzeczą, jaką Tyler Marshall widzi rano, ostatnią, na którą spogląda wieczorem – i to mu właśnie odpowiada.

Tyler leży zwinięty na boku w swoich szortach – ludzki przecinek ze zmierzwionymi jasnymi włosami i przystawionym do ust kciukiem. Zaledwie około cala dzieli go od tego, by go ssać. Śni – widzimy, jak jego gałki oczne poruszają się tam i z powrotem pod zamkniętymi powiekami. Poruszają się jego usta... coś szepcze... Abbalah? Czy szepcze słowo swojej matki? Na pewno nie, ale...

Pochylamy się, by lepiej słyszeć, lecz zanim cokolwiek do nas dotrze, ożywa obwód w szpanerskim czerwonym zegarze z radiem i nagle pokój wypełnia głos George’a Rathbuna, wrywający Tylera ze snów, rozgrywających się pod jego zmierzwioną czupryną.

„Fani, musicie mnie teraz posłuchać. Ile razy mam wam powtarzać? Jeśli nie znacie Zakładów Meblarskich Braci Henreid we French Landing i Centralii, to nie wiecie, co to są meble. Zgadza się, mówię o Braciach Henreid, twórcach Kolonialnej Gali. Handlują zestawami sypialnymi, jadalnymi, salonowymi sławnych firm, które znacie i którym ufacie,

jak La-Z-Boy, Breton Woods czy Moosehead. NAWET ŚLEPY WIDZI, ŻE BRACIA HENREID TO KLASA!”.

Tyler Marshall śmieje się, zanim jeszcze otworzy szeroko oczy. Kocha George’a Rathbuna; George jest absolutnym luzakiem.

Po chwili, nawet nie zmieniając biegów po reklamie: „Co, chłopcy, jesteście gotowi na Piwowarską Popijawę, nie? To przysyłajcie mi kartki z nazwiskiem, adresem i *el telefono*, dobra? Mam nadzieję, bo konkurs kończy się o północy. Jak się spóźnicie... to sami plujcie sobie w brodę!”.

Ty znowu przymyka oczy i powtarza trzykrotnie to samo słowo: „Kurwa, kurwa, kurwa”. Naprawdę zapomniał wysłać swoje zgłoszenie i teraz może mieć jedynie nadzieję, że tata (on wie, jak zapominalski potrafi być jego syn) pamiętał i zrobił to za niego.

„Pierwsza nagroda? – mówi George. – TO TYLKO szansa, żebyś ty lub ulubiona przez ciebie osoba podawała kije zawodnikom Piwnej Bandy przez cały turniej w Cincinnati. TO TYLKO szansa wygrania kija z autografem Richiego Sexsona – DREWNA, w którym kryje się BŁYSKAWICA! Nie wspominając o pięćdziesięciu darmowych miejscach po stronie pierwszej bazy koło mnie, George’a Rathbuna, Objazdowego College’u Wiedzy Baseballowej Regionu Coulee. ALE DLACZEGO JA WAM TO MÓWIĘ? Jeśli się zagapiliście, to już za późno. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać rozporek! Och, wiem, dlaczego do tego wracam – żeby upewnić się, że nastawicie radio w przyszły piątek, aby przekonać się, czy usłyszycie SWOJE NAZWISKO!”.

Ty stęka. Na to, że George wypowie jego nazwisko na antenie, szansa jest mała bądź nie ma jej wcale. Nie chodzi o to, że chłopiec marzy, by biegać z kijem w workowatym kostiumie Piwowarów przed tłumami w Miller Park. Marzy jednak o tym, by mieć kij, który należał do Richiego Sexsona – drewno, w którym kryje się błyskawica... I kto byłby wtedy gość?

Tyler wytacza się z łóżka, wacha wczorajszą koszulkę pod pachami, odrzucając na bok i wyciąga drugą z szuflady. Ojciec czasami pyta go, dlaczego nastawia budzik tak wcześnie – ostatecznie są wakacje – a Tyler nie umie mu wytłumaczyć, że każdy dzień się liczy, zwłaszcza gdy jest pełen ciepła i słońca oraz pozbawiony poważniejszych obowiązków. To tak, jakby jakiś cichy głos, dochodzący z jego wnętrza, ostrzegał, by nie marnować ani minuty, ani jednej, bo czasu zostało niewiele.

Następne słowa George’a Rathbuna przeganiają resztki sennej ociężałości z umysłu Tylera, jakby został oblany zimną wodą: „Powiedz mi, Coulee, chcesz pogadać o Rybaku?”.

Tyler nieruchomieje i czuje przebiegający po grzbiecie i z powrotem po ramionach dreszcz. Rybak. Jakiś wariat, zabijający dzieciaki... i je zjadający? No cóż, słyszał taką plotkę, głównie od starszych chłopaków, przesiadujących na boisku baseballowym lub w Ośrodku Rekreacji French Landing, ale kto uwierzyłby w coś tak obrzydliwego? Kanibalizm? Błę!

Rathbun zniża głos: „Teraz powiem wam drobny sekret, słuchajcie więc uważnie wujka George’a”.

Tyler siada na łóżku, trzymając trampki za sznurowadła i zgodnie z poleceniem słuchając wujka George'a. Trochę dziwne, że George Rathbun mówi na temat tak... tak niesportowy, ale Tyler mu ufa. Czyż spiker nie przewidział dwa lata temu, że Borsuki znajdą się co najmniej w Elitarnej Ósemce, chociaż wszyscy inni upierali się, że zostaną wdeptani w trawę w pierwszej rundzie Wielkiego Tańca? Tak, przewidział. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać rozporek.

George zniża głos jeszcze bardziej, aż staje się prawie konfidencjonalnym szeptem: „Chłopcy i dziewczęta, oryginalny Rybak, Albert Fish, pożegnał się z tym padołem sześćdziesiąt siedem lat temu, a o ile mi wiadomo, nigdy nie zawędrował dalej na zachód niż do New Jersey. Co więcej, był pewnie FANEM CHOLERNYCH JANKESÓW! WIĘC DAJ SOBIE SIANA, REGIONIE COULEE! PO PROSTU SIĘ WYYYLUZUJ!

Tyler odpręża się i zaczyna wkładać trampki. Facet trafił w dziesiątkę: wyluzuj się. Zaczyna się nowy dzień. No tak, mama Tylera dostaje ostatnio trochę szmergla, ale wygrzebie się z tego.

Po tym optymistycznym akcencie opuśćmy ten dom – dupę w kupę i *adieu*, jak pewnie powiedziała by kipiący energią George Rathbun. A skoro mówimy o George'u, wszechobecnym porannym głose regionu Coulee, czy nie powinniśmy go odszukać? Niezły pomysł. Zrealizujmy go natychmiast.

Rozdział trzeci

Odlatujemy przez okno Tylera, oddalamy się od Libertyville po przekątnej na południowy zachód. Nie ociągamy się; machamy tymi starymi skrzydłami, ile wlezie, bo mamy określony cel. Kierujemy się w stronę błyskającego jak heliograf na powierzchni Ojca Wód – Missisipi – słońca, a równocześnie największego sześciopaka świata. Pomiedzy nim a drogą okręgową Oo (możemy nazywać ją Nailhouse Row, jeśli mamy ochotę; jesteśmy już praktycznie honorowymi obywatelami French Landing) stoi maszt radiowy. Ostrzegawcze światło na jego szczycie jest niewidzialne w jaskrawym blasku nowo narodzonego lipcowego dnia. Czujemy zapach trawy i rozgrzewającej się ziemi, a gdy zbliżamy się do wieży, dochodzi nas również drożdżowy aromat piwa.

Obok masztu radiowego, w kompleksie przemysłowym po wschodniej stronie Pennisula Drive, stoi niewielki budynek z pustaków. Jego parking zaledwie wystarcza do pomieszczenia pół tuzina samochodów i furgonetki patrolowej policji okręgu – starzejącego się forda econoline, pomalowanego na cukierkowo różowy kolor. Gdy dzień będzie dobiegał końca, a znużone popołudnie przechodziło w wieczór, cienie cylindrów sześciopaka padną najpierw na tablicę na łysawym trawniku naprzeciw podjazdu, następnie na budynek, a wreszcie na parking. KDCUAM, głosi tablica, WASZ ŻYWY GŁOS REGIONU COULEE. Wymalowano na niej żarliwe oświadczenie różowym sprayem, niemal odpowiadającym odcieniem furgonetce: TROY KOHA MARYANN! NO! Howie Soule, technik z UBandy, zmyje je później (prawdopodobnie podczas programu Rusha Limbaugha, całkowicie automatycznie retransmitowanego poprzez satelitę), na razie jednak wyznaczenie zostaje, mówiąc wszystko, co potrzebujemy wiedzieć o małomiasteczkowym kohaniu w środkowej części Stanów Zjednoczonych. Możemy pomyśleć, że wreszcie znaleźliśmy coś miłego.

W chwili gdy docieramy do rozgłośni, z jej bocznych drzwi wychodzi szczupły mężczyzna w spodniach w kratkę marki Dockers, zapiętej pod szyję białej koszuli z egipskiej bawełny, bez krawata i w kasztanowatych szelkach (są tak cienkie, jak szczupły jest mężczyzna, i zbyt eleganckie, by zasługiwać na tak wulgarną nazwę; szelki to prostackie akcesoria, noszone przez takie kreatury jak Chipper Maxton czy Sonny Heartfield z domu pogrzebowego). Srebrnowłosego mężczyzna nosi również słomianą fedorę o bardzo ostrych

kantach, wiekową, lecz doskonale utrzymaną. Jego oczy skrywają okulary przeciwsłoneczne w lotniczym stylu. Kasztanowa opaska kapelusza jest dopasowana do szelek. Mężczyzna zajmuje pozycję po lewej stronie drzwi, pod sponiewieranym głośnikiem, emitującym aktualną audycję KDCU: lokalne wiadomości. Po niej nastąpi raport z giełdy rolnej w Chicago, co daje mężczyźnie dziesięć minut wytchnienia, nim znów zasiądzie przed mikrofonem.

Patrzemy z narastającym zdziwieniem, jak wydobywa z kieszeni koszuli paczkę papierosów American Spirit i przypala jedną złotą zapalniczką. Z pewnością ten elegancki człowiek w szelkach, dockersach i półbutach Bass Weejuns nie może być George'em Rathbunem. W duchu stworzyliśmy już sobie obraz Rathbuna – faceta o całkowicie odmiennej prezencji. Według naszego wyobrażenia jest to gość z wielkim brzuszyskiem, przelewającym się nad białym paskiem kraciastych spodni (skutek mnóstwa kaszanki na festynach), o rumianej cerze (rezultat mnóstwa piw na festynach, nie wspominając o wrzeszczeniu na skurczybyków sędziów) oraz krótkiej, grubej szyi (idealnej siedziby dla azbestowych strun głosowych). George Rathbun z naszego – nie trzeba chyba dodawać, że również praktycznie całego regionu Coulee – wyobrażenia to facet o wylupiastych oczach, szerokim tyłku, rozczochranych włosach, płucach nie do zarcia, połykający jedną za drugą tabletki na nadkwasotę, głosujący na republikanów właściciel chevroleta. Potencjalny atak serca na dwóch nogach, urna wypchana sportowymi drobiazgami, szaleńczym entuzjazmem, obłądnymi uprzedzeniami i cholesterolem w dużej ilości.

Gość, którego mamy przed sobą, to nie tamten facet. Ten gość porusza się jak tancerz. Ten gość to herbata z lodem w gorący dzień. Ten gość to równiacha jak król pik.

Posłuchajcie jednak: na tym właśnie polega dowcip, prawda? Aha. Taki sam, jak w przypadku tłustego dyskdżokeja z piskliwym głosikiem, tyle że na odwrót. W bardzo rzeczywistym sensie George Rathbun w ogóle nie istnieje. Jest to hobby w akcji, ucieleśnienie fikcji – i tylko jedna z wielu osobowości szczupłego mężczyzny. Ludzie z KDCU znają jego prawdziwe nazwisko i myślą, że wiedzą, na czym polega dowcip (którego puentą jest oczywiście hasło wywoławcze George'a o tym, że nawet ślepiec, i tak dalej), ale w istocie nie znają nawet jego połowy. Nie jest to bynajmniej metafora. Znają dokładnie jego jedną trzecią, bo mężczyzna w dockersach i słomianej fedorze jest w rzeczywistości czterema ludźmi.

Tak czy inaczej George Rathbun okazał się zbawieniem dla KDCU, ostatniej nadającej na falach długich stacji radiowej na drapieżnym rynku UKF. Tydzień w tydzień przez pięć poranków w tygodniu jest przyciągającym słuchaczy cudem. UBanda (jak nazywa się ekipa radiostacji) kocha go na zabój.

Głośnik charczy nad głową mężczyzny: „... wciąż brak jest poszlak, według komendanta Dale'a Gilbertsona, który nazwał dziennikarza «Heralda» «zamięscowym spekulantem na strachu, bardziej zainteresowanym sprzedażą swojej gazety niż tym, jak radzimy sobie we French Landing».

Zmieniamy temat. W pożarze domu w Arden zginął starszy farmer wraz z żoną. Horst P. Lepplemier i jego małżonka Gertruda mieli po osiemdziesiąt dwa lata...”.

– Horst P. Lepplemier – mówi szczupły mężczyzna, zaciągając się papierosem z wielką satysfakcją. – Spróbuj to szybko powtórzyć dziesięć razy, kanciarzu.

Za nim i po jego prawej stronie drzwi znowu się otwierają. Chociaż palacz wciąż stoi pod głośnikiem, słyszy to bez najmniejszego trudu. Oczy pod lotniczymi okularami nie funkcjonowały przez całe jego życie, ale mężczyzna ma wyśmienity słuch.

Nowo przybyły ma twarz bladą jak serwatka. Wyszedłszy na poranne światło, mruga jak kreciątko w brudzie, odsłonięte przed chwilą przez lemiesz pług. Chłopak ma wygoloną głowę z wyjątkiem irokeza – pasa przez środek – oraz warkoczyka, zaczynającego się tuż nad karkiem i sięgającego do poziomu łopatek. Irokez jest ufarbowany na kolor jaskrawoczerwony, natomiast warkoczyk – na elektryczny błękit. Z jednej małżowiny zwisa kolczyk w kształcie błyskawicy, niepokojąco podobny do insygniów SS. Chłopak ma na sobie obszarpaną koszulkę z krótkimi rękawami i nadrukiem: SNIVELLING SHITS’97: TOURNEE „STAJE NAM DLA JEZUSA”. Ta barwna postać trzyma w ręce etui z płytą kompaktową.

– Cześć, Morris – mówi szczupły mężczyzna w fedorze, nadal się nie odwracając.

Morris wciąga z zaskoczeniem powietrze w płuca; w tym momencie wygląda jak miły żydowski chłopiec, którym jest w istocie. Morris Rosen pracuje w UBandzie w ramach letniego stażu, uczy się natomiast w filii uniwersytetu stanu Wisconsin w Oshkosh. „Człowieku, kocham tę darmową siłę roboczą!”, zwykł mawiać dyrektor rozgłośni Tom Wiggins, zwykle zacierając szatańsko ręce. Żadna książeczka czekowa nie była równie pilnie strzeżona, jak ta, która służy Wigginsowi do regulowania płatności KDCU. Przypomina pod tym względem smoka Smauga, śpiącego na stosach swojego złota (choć na koncie KDCU nie ma jakichkolwiek stosów; warto powtórzyć, że jako rozgłośnia nadająca na falach długich, stacja ma dużo szczęścia, że w ogóle jeszcze istnieje).

Zaskoczone – uczciwie było rzec, że nawet zaskoczone i zaniepokojone – spojrzenie Morrisa zamienia się w uśmiech.

– Rany, panie Leyden! Dobry numer! Ale ma pan ucho! – Morris nagle marszczy czoło. Jeśli nawet pan Leyden – nie zapominajmy, że stojący wprost pod piecem, czyli głośnikiem na zewnątrz – usłyszał, że ktoś wychodzi, jak na miłość boską odgadł kto konkretnie? – Skąd pan wiedział, że to ja? – pyta.

– Tylko dwie osoby palą tu rano marihuanę – odpowiada Henry Leyden. – Jedna z nich płucze sobie usta Scope po porannym dymku. Druga – czyli ty, Morris – nie zwraca sobie tym głowy.

– Jeju – mówi z szacunkiem Morris. – Jest pan absolutnie zajebisty.

– Racja, jestem absolutnie zajebisty – przyznaje Henry cichym, zamyślonym głosem. – Ciężka robota, ale ktoś musi się nią zająć. Co do twojej porannej randki z niezaprzeczalnie smakowitym tajskim skrętem, czy mogę zaprezentować ci appalachijski aforyzm?

– Wal, facet.

Jest to pierwsza prawdziwa rozmowa Morrisa z Henrym Leydenem, który okazał się dokładnie takim numerantem, jak mu zapowiadano. Nietrudno mu już uwierzyć, że facet może mieć drugie wcielenie... tajne, jak Bruce Wayne, znany skądinąd jako Batman. Mimo wszystko... gość jest po prostu bezbłędny.

– Czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał – mówi Henry tym samym cichym, całkowicie niepodobnym do George'a Rathbuna głosem. – To moja rada dla ciebie, Morris.

– No, absolutnie – mówi Morris.

Nie ma zielonego pojęcia, o co chodzi panu Leydenowi, jednak powoli i nieśmiało wyciąga rękę z płytą kompaktową. Henry nie wykonuje żadnego ruchu, by ją od niego wziąć, i przez moment Morris czuje się wystawiony do wiatru; w jednej chwili ma znów siedem lat i stara się olśnić swojego wiecznie zbyt zajętego ojca rysunkiem, nad którym trudził się całe popołudnie w swoim pokoju. Wreszcie dociera do niego: Przecież on jest ślepy, frajerze. Czuje trawkę w twoim oddechu i ma uszy jak nietoperz, ale skąd ma wiedzieć, że podajesz mu jakiś cholerny kompakt?

Z wahaniem, nieco przestraszony swoją śmiałością Morris ujmuje nadgarstek Henry'ego. Czuje, że mężczyzna lekko dryga, lecz po chwili Leyden pozwala położyć swą dłoń na cienkim pudełku.

– Ach, kompakt – mówi Henry. – Cóż to takiego, bądź łaskaw powiedzieć?

– Niech pan nada siódmy kawałek dzisiaj wieczorem w swoim programie – odpowiada Morris. – Proszę.

Na twarzy Henry'ego po raz pierwszy pojawia się niepokój. Zaciąga się papierosem, potem wrzuca go (oczywiście nawet nie spojrzawszy – cha, cha) do wiadra z piaskiem przy drzwiach.

– O jaki program może ci chodzić? – pyta.

Zamiast bezpośredniej odpowiedzi Morris raptownie mlaska ustami jak mały, ale łapczywy drapieźnik, który wgryza się w coś smakowitego. Co gorsza, po niej wypowiada hasło wywoławcze Szczura z Wisconsin, równie dobrze znane osobom w grupie wiekowej Morrisa, jak gardłowe „Nawet ślepiec” George'a Rathbuna ich rodzicom:

– Pogryź to, połknij, popij, i taaak wszystko wyjdzie tą samą drogą.

Nie wychodzi mu to najlepiej, ale nie ma wątpliwości, kogo naśladuje: jedyne w swoim rodzaju Szczura z Wisconsin, ze sławnym (aczkolwiek powinniśmy chyba raczej użyć słowa: „niesławny”) w regionie Coulee programem w wieczornej godzinie szczytu w KWLA FM. KWLA to mała uczelniana stacja UKF z La Riviere, zaledwie plamka na tapecie rozgłośni radiowych w Wisconsin, ale Szczur ma olbrzymie grono słuchaczy.

Gdyby zaś ktokolwiek dowiedział się, że kibicujący Piwnej Bandzie, głoszący na republikanów, nadający na falach długich George Rathbun to równocześnie Szczur – który pewnego razu z uciechą opisywał na żywo, jak wypróżnia się na kompakt Backstreet Boys – mogłoby to oznaczać kłopoty. Prawdopodobnie dość poważne i odbijające się echem szeroko poza zamkniętym radiowym światkiem.

– Na miłość boską, skąd ci wpadło do głowy, że jestem Szczurem z Wisconsin, Morris? – pyta Henry. – Ledwie wiem, o kogo ci chodzi. Kto ci wbił do głowy taki niesamowity pomysł?

– Dobrze poinformowane źródło – odpowiada chytrze Morris.

Nie wydałby Howiego Soule'a, nawet gdyby mu wrywać paznokcie rozżarzonymi do czerwoności cęgami. Poza tym Howie dowiedział się wyłącznie przypadkiem: wszedł któregoś dnia do klopa w rozgłośni po odjeździe Henry'ego i zauważył, że gdy Leyden siedział na tronie, wypadł mu z tylnej kieszeni portfel. Można by pomyśleć, że facet z tak niewątpliwie wyostrzonymi zmysłami wyczułby jego brak, jednak najwidoczniej Henry zadumał się nad czymś innym – jest to zdecydowanie facet ciężkiego kalibru, któremu dni upływają na ciężkiego kalibru rozmyślaniach. Tak czy inaczej, w portfelu Henry'ego była legitymacja KWLA (którą Howie przejrzał „w duchu przyjacielskiej ciekawości”, jak to określił), a w wierszu na nazwisko odcisnięto atramentowy stempel z podobizną szczura. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać rozporek.

– Nigdy w życiu nawet nie przestąpiłem progu KWLA – mówi Henry. Jest to absolutna prawda. Nagrywa taśmy ze Szczurem z Wisconsin (między innymi) w swoim domowym studiu, a następnie wysyła je do rozgłośni z filii Mail Boxes Etc. w śródmieściu, gdzie wynajmuje skrzynkę jako Joe Strummer. Legitymacja ze stemplem szczura stanowiła coś w rodzaju zaproszenia ze strony personelu KWLA, z którego nigdy nie skorzystał... chociaż ją zatrzymał. – Czy zostałeś jeszcze czymś dobrze poinformowanym źródłem, Morris?

–He?

– Czy powiedziałeś komukolwiek, że jestem Szczurem z Wisconsin?

– Nie! Oczywiście, że nie!

Dobrze wiemy, że ludzie zawsze tak mówią. Na szczęście dla Henry'ego tym razem to prawda. Przynajmniej na razie, ale dzień jest jeszcze młody.

– I nie powiesz, prawda? Plotki łatwo się zakorzeniają. Podobnie jak pewne nieładne nawyki. – Henry udaje, że wciąga powietrze i wydmuchuje dym.

– Umiem trzymać gębę na kłódkę – oświadcza Morris z dumą, która być może jest nie na miejscu.

– Mam nadzieję, bo jeśli o tym napomkniesz, to będę musiał cię zabić.

Napomkniesz, myśli Morris. Och, rany, facet jest nie do przejścia.

– No dobra, to mnie zabij – odpowiada ze śmiechem.

– I zjeść – dodaje Henry.

On się nie śmieje; nawet nie uśmiecha.

– No, pewnie. – Morris śmieje się ponownie, lecz tym razem śmiech brzmi dziwnie wymuszenie nawet w jego własnych uszach. – Jakbyś pan był Hannibalem Lecterem.

– Nie, jakbym był Rybakiem – mówi Henry. Powoli zwraca lotnicze okulary w stronę Morrisa. Słońce odbija się w nich, na chwilę zamieniając je w rudawe, ogniste owale. Morris cofa się o krok, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. – Albert Fish lubił zaczynać od tyłka – wiedziałeś o tym?

– N...

– Naprawdę. Twierdził, że porządny kawałek młodego tyłeczka jest tak pyszny jak kotlet z cielęciny. Jego własne słowa. Napisał je w liście do matki jednej ze swoich ofiar.

– Odłot – mówi Morris. Jego głos brzmi wątko nawet w jego uszach – jest to popiskiwanie tłustego prosiaczka, który nie chce wpuścić wielkiego, złego wilka. – Ale nie, no, właściwie to nie podejrzewam, że jest pan Rybakiem.

– Nie? Dlaczego?

– Człowieku, po pierwsze jesteś ślepy!

Henry nie odpowiada, jedynie wpatruje się ognistymi, szklanymi oczyma w solidnie już zaniepokojonego Morrisa, który myśli: Ale czy naprawdę jest ślepy? Porusza się bardzo sprawnie jak na ślepcę... a jak mnie namierzył, kiedy tylko wyszedłem, czy to nie było niesamowite?

– Będę cicho – mówi Morris. – Tak mi dopomóż Bóg.

– Niczego więcej nie chcę – odpowiada łagodnie Henry. – No, skoro to sobie wyjaśniliśmy, powiedz wreszcie, co mi przyniosłeś.

Unosi płytę – ale nie tak, jakby na nią patrzył, zauważa z niezmierną ulgą Morris.

– To, mm, ta grupa z Racine. Dirtysperm? Nagrali swoją wersję, no, „Where Did Our Love Go”? Starego kawałka Supremes? Tylko grają to w rytmie stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę? Zajeście. To znaczy, cały pop przy tym leży, wysiada do reszty!

– Dirtysperm – mówi Henry. – Poprzednio nazywali się chyba Jane Wyatt’s Clit?

Morris patrzy na Henry’ego z podziwem, który łatwo mógłby zamienić się w miłość.

– No, gitarzysta solowy Dirtysperm, on założył JWC. Potem on i basista pokłócili się o sprawy polityczne, coś z Deanem Kissingerem i Henrym Achesonem, dlatego Ucky Ducky – ten gitarzysta – odszedł i założył Dirtysperm.

– „Where Did Our Love Go”? – mówi z zadumą Henry, po czym oddaje płytę Morrisowi. Jakby widząc, jak chłopakowi rzadnie mina, dodaje: – Nie mogę sobie pozwolić, bo ktoś mnie zobaczył z czymś takim – zastanów się. Włóż ją do mojej szafki.

Smutek Morrisa rozwiewa się; chłopak uśmiecha się promiennie.

– No! Dobra! Da się zrobić, panie Leyden!

– I przypilnuj, by nikt cię przy tym nie widział. Zwłaszcza Howie Soule. Howie jest dość wścibski. Tylko zyskasz, jeśli nie będziesz go naśladował.

– Za nic, szefie!

Wciąż uśmiechnięty i uradowany z finału rozmowy Morris sięga do klamki.

– Jeszcze jedno, Morris.

– No?

– Ponieważ poznałeś mój sekret, pewnie będzie lepiej, jeśli będziesz mi mówił: Henry.

– Henry! No!

Czyż nie jest to dla Morrisa Rosena najpiękniejszy poranek tego lata? Możecie się założyć, że tak.

– I jeszcze jedno.

– No? Henry? – Morris ośmiela się wyobrazić sobie dzień, kiedy zaczną mówić do siebie: Hank i Morrie.

– Trzymaj gębę na kłódkę, jeśli chodzi o Szczura.

– Już powiedziałem...

– Tak, i wierzę ci, ale pokusa bywa bardzo podstępna, Morris. Pokusa zakrada się jak złodziej w nocy lub jak morderca w poszukiwaniu ofiary. Jeśli ugniesz się przed pokusą, dowiem się tego. Wyczuję to na twojej skórze jak marną wodę kolońską. Wierzysz mi?

– Yy... no.

Morris mówi prawdę. Gdy później ma czas rozluźnić się i zastanowić, uznaje deklaracje Henry'ego za niedorzeczne, ale owszem, w tej chwili w to wierzy. Wierzy Henry'emu, jakby został zahipnotyzowany.

– Bardzo dobrze. Możesz już iść. Chcę, żebyś naszykował Ace Hardware, Zaglat Chevy i Mr. Tastee Ribs na pierwszą część. – Henry'emu chodzi o kolejność reklam.

– Pewnie.

– Także wczorajszy mecz...

– Aut Wickmana w ósmej zmianie? Ale syf. Kompletnie, no, nie po Piwowarsku.

– Nie, myślę, że raczej pełne okrążenie Marka Loretty w piątej. Rzadko mu to wychodzi, ale fani go lubią. Nie mam pojęcia dlaczego. Nawet ślepy widzi, że facet nie ma zasięgu, zwłaszcza jak jest mocno do tyłu. Idź, synu. Włóż kompakt do mojej szafki. Jeśli będę się widział ze Szczurem, to mu go dam. Na pewno wrzuci go na dekiel.

– Ścieżka...

– Siedem, siedem, rymuje się z niebem. Nie zapomnę ani ja, ani on. No, idź już.

Morris rzuca mu ostatnie, pełne wdzięczności spojrzenie i wraca do środka. Henry Leyden, alias George Rathbun, alias Szczur z Wisconsin, również alias Henry Shake (do niego jeszcze dojdziemy, ale nie teraz, bo godzina robi się późna), zapala kolejnego papierosa i zaciąga się głęboko. Nie będzie miał czasu go skończyć; raport z giełdy rolnej trwa już w najlepsze (tusze wieprzowe zwyżkują, promesy zbożowe spadają, a kukurydza stoi wysoko jak oko słonia), ale potrzebuje choćby paru machów, żeby się uspokoić. Czeka go bardzo długi dzień, z zakończeniem w postaci Truskawkowego Festynu z potańcówką w Domu

Spokojnej Starości Maxtona, owym przybytku wiekowych szkaradziejstw. Henry często prosi Boga, by uchronił go przed łapami Williama „Chippera” Maxtona. Mając do wyboru między dożyciem swych dni w DSSM i sfajczeniem sobie głowy palnikiem acetylenowym, Henry bez wahania sięgnąłby po palnik. Później, jeśli nie będzie doszczętnie wyczerpany, może przyjedzie do niego przyjaciel, który mieszka przy tej samej drodze, i zaczną od dawna obiecywaną lekturę „Samotni”. Bez wątpienia będzie to wspaniałe przeżycie.

Jak długo, zastanawia się Henry, Morris Rosen zdoła dotrzymać tak wielkiego sekretu? Cóż, podejrzewa, że sam się przekona. Za bardzo lubi Szczura, by z niego rezygnować, jeśli nie zajdzie absolutna konieczność; jest to niezaprzeczalny fakt.

– Dean Kissinger – mruczy. – Henry Acheson. Ucky Ducky. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Jeszcze raz zaciąga się papierosem, po czym wrzuca go do wiadra z piaskiem. Czas wracać do środka, czas odtworzyć relację z wczorajszego pełnego okrążenia Marka Loretty, czas odbierać kolejne telefony od oddanych miłośników sportu z regionu Coulee.

A dla nas czas ruszać dalej. Dzwon w wieżycze luterńskiego kościoła wybił godzinę siódmą.

Życie we French Landing zaczyna się toczyć na pełnych obrotach. Nikt nie wyleguje się długo w łóżku w tej części świata, my zaś musimy spiesznie zdążać do końca naszej trasy. Wkrótce zaczną dziać się różne rzeczy, i to zapewne jedna tuż po drugiej. Mimo wszystko nieźle się spisaliśmy. Został nam tylko jeden przystanek, nim dotrzemy do miejsca naszego przeznaczenia.

Unosimy się wraz z ciepłymi letnimi prądami wstępującymi i na chwilę zawisamy nad masztem KDCU (jesteśmy dość blisko, by słyszeć tykanie światła ostrzegawczego oraz niski, dość złowieszczy szum elektryczności); spoglądamy na północ i obieramy kurs. Osiem mil w górę rzeki znajduje się miasto Great Bluff, nazwane tak od wznoszącego się w tym miejscu wapiennego urwiska. Ma ono opinię nawiedzonego, bo w 1888 roku wódz indiańskiego plemienia Lisów (nazywano go Daleko Widzącym) zebrał tu wszystkich swoich wojowników, szamanów, kobiety oraz dzieci i kazał im skakać, twierdząc, że dzięki śmierci unikną jakiegoś koszmarnego losu, jaki ujrzał w swoich snach. Trzódka Daleko Widzącego, podobnie jak Jima Jonesa, okazała posłuszeństwo jego woli.

Nie zapuścimy się jednak tak daleko pod prąd rzeki; mamy dość duchów dla nas tu, we French Landing. Przelećmy zamiast tego jeszcze raz nad Nailhouse Row (harleye znikły; Beezer St. Pierre powiódł Pierońską Piątkę na kolejny dzień pracy w browarze), nad ulicą Queen i Domem Spokojnej Starości Maxtona (Burny wciąż tam jest i wygląda przez okno – ble), do ulicy Bluff. Jest to już prawie wiejska okolica. Nawet obecnie, w dwudziestym pierwszym wieku, miasteczka w regionie Coulee szybko ustępują miejsca polom i lasom.

Od Bluff odchodzi w lewo ulica Herman; teren ten stanowi krzyżówkę małego i dużego miasta. Solidny dom z cegły stoi tu na końcu półmilowej łąki, jeszcze nieodkrytej przez przedsiębiorców budowlanych (nawet tutaj trafiają się z rzadka przedsiębiorcy budowlani – nieświadomi agenci ześlizgu). Mieszka w nim Dale Gilbertson ze swoją żoną Sarah i sześciolatkiem synem Davidem.

Nie możemy zostać długo, ale przynajmniej wniknijmy na chwilę przez kuchenne okno. Jest ostatecznie otwarte i znajdzie się dla nas miejsce, by przycupnąć na blacie między ekspresem do kawy Silex i tosterem. Przy kuchennym stole, czytając gazetę, wpychając w usta owsiankę Special K i nawet jej nie smakując (zapomniał zarówno o cukrze, jak i plasterkach banana ze zdenerwowania na widok kolejnego podpisanego przez Wendella Greena artykułu na pierwszej stronie „Heralda”), siedzi sam komendant Gilbertson. Tego ranka jest bez wątplenia najniebezpieczniejszym człowiekiem we French Landing. Wkrótce spotkamy jego konkurenta do tego wątpliwego tytułu, ale na razie trzymajmy się Dale’a.

Rybak, myśli żałośnie, w duchu bardzo podobnym do rozważań Bobby’ego Dulaca i Toma Lunda. Dlaczego nie nazwałś go jakoś bardziej w duchu przełomu stuleci, nachalny, kurewski gryziopiórku? Jakoś nieco bardziej lokalnie? Na przykład Synem Dahmera? Tak, to by pasowało.

Ach, Dale wie dlaczego. Podobieństwa między działającym w Nowym Jorku Albertem Fishem i chłopcem z French Landing są zbyt duże – zbyt smakowite – by je zignorować. Fish dusił swoje ofiary, a zarówno Amy St. Pierre, jak i Johnny Irkenham zmarli najprawdopodobniej wskutek uduszenia. Fish pożywiał się ofiarami, ktoś zjadł części ciała chłopca i dziewczynki. Zarówno Fish, jak i obecny sprawca wykazywali szczególne upodobanie... cóż, do tylnych regionów anatomii.

Dale patrzy na swoją owsiankę, po czym upuszcza łyżkę w papkę i odpycha od siebie miskę skrajem dłoni.

Do tego dochodzą listy. Nie można zapomnieć o listach.

Dale spogląda na swoją aktówkę, która przycupnęła koło krzesła jak wierny pies. Jest w niej teczka, przyciągająca go tak, jak zepsuty, bolący ząb przyciąga język. Gilbertson ma nadzieję, że zdoła utrzymać ręce z dala od niej, przynajmniej dopóki jest w domu, w którym bawi się w rzutki ze swoim synem i kocha się z żoną, ale czy zdoła nie wracać do niej myślami... to zupełnie inna para kaloszy, jak mawiają w tej części świata.

Albert Fish napisał długi i koszmarnie wyrazisty list do matki Grace Budd, ofiary, przez którą stary kanibal ostatecznie trafił na krzesło elektryczne. („Cóż to będzie za dreszczyk! – powiedział ponoć Fish strażnikom więziennym. – To jedyne, czego jeszcze nie próbowałem”). Obecny sprawca tworzy podobne listy; jeden z nich został adresowany do Helen Irkenham, drugi – do ojca Amy, obrzydliwego (ale w ocenie Dale’a, autentycznie pogrążonego w rozpacz) Armanda „Beezera” St. Pierre’a. Dobrze by było, gdyby Dale mógł wierzyć, że listy napisał jakiś mąciwoda, poza tym niczym niepowiązany z morderstwami, ale

zawierają one informacje, które nie zostały udostępnione prasie – szczegóły, które z założenia może znać tylko morderca.

Dale wreszcie ulega pokusie (jak dobrze zrozumiałby go Henry Leyden) i przyciąga do siebie aktówkę. Otwiera ją, wyjmując dużą teczkę z dokumentami i kładzie ją w miejscu, gdzie niedawno stała miska owsianki. Odstawia aktówkę na miejsce koło krzesła, po czym otwiera teczkę (zatytułowaną ST. PIERRE/IRKENHAM, nie zaś RYBAK). Kartkuje łamiące serce szkolne zdjęcia pary uśmiechniętych, szczerbatych dzieci, protokoły z oględzin zwłok przez stanowego patologa, zbyt straszne, by je czytać, oraz fotografie z miejsca zbrodni zbyt potworne, by je oglądać (ach, ale znów musi na nie popatrzeć, musi widzieć je znowu i znowu – śliskie od krwi łańcuchy, muchy, otwarte oczy). W teźce znajdują się rozmaite protokoły. Najdłuższy sporządzono na podstawie przesłuchania Spencera Hovdahla, który znalazł chłopca Irkenhamów i przez chwilę był uważany za podejrzanego.

Dalej znajdują się kserokopie trzech listów. Jeden z nich otrzymali George i Helen Irkenham (został zaadresowany tylko do Helen, jakby to robiło jakąkolwiek różnicę). Drugi trafił do Armanda „Beezera” St. Pierre’a (i tak właśnie został zaadresowany, włącznie z przydomkiem). Trzeci wysłano do matki Grace Budd z Nowego Jorku, po morderstwie jej córki późną wiosną 1928 roku.

Dale uклада trzy kserokopie obok siebie.

Grace usiadła mi na kolanach i mnie pocałowała. Postanowiłem ją zjeść. Tak napisał Fish do pani Budd.

Amy usiadła mi na kolanach i mnie objęła. Postanowiłem ją zjeść. Tak napisał korespondent St. Pierre’a. Czyż można się dziwić, iż adresat zagroził spaleniem do szczętu posterunku policji we French Landing? Dale nie lubi tego sukinsyna, ale musi przyznać, że na jego miejscu czułby się pewnie tak samo.

Poszedłem na górę i rozebrałem się do naga. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, to na ubraniu zostanie jej krew. Fish do pani Budd.

Poszedłem za kurnik i rozebrałem się do naga. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, to na ubraniu zostanie jego krew. Anonim do Helen Irkenham. Powstaje pytanie: jak dowolna matka może otrzymać taki list i pozostać przy zdrowych zmysłach? Czy to w ogóle możliwe? Dale myśli, że nie. Helen odpowiadała składnie na pytania; ostatnim razem, kiedy u niej był, zaproponowała mu nawet herbatę, ale miała zaszklony wzrok, jakby dostała obuchem w głowę, świadczący o tym, że w tamtej chwili leciała wyłącznie na instrumentach pokładowych.

Trzy listy, dwa nowe, jeden mający prawie siedemdziesiąt pięć lat. Mimo to bardzo do siebie podobne. Listy do St. Pierre’a i Irkenhamów napisała drukowanymi literami osoba – według stanowych ekspertów – leworęczna. Użyła zwyczajnego, białego papieru kserograficznego marki Hammermill, dostępnego w każdym sklepie sieci Office Depot & Staples w Ameryce. Posłużyła się długopisem Bic – no, to ci dopiero ślad.

Fish do pani Budd, w 1928 roku: *Nie wyjechałem jej choć mógł byłem, gdybym miał ochotę. Umarła jako dziewica.*

Anonim do St. Pierre'a: *NIE wyjechałem jej choć mógł byłem, gdybym miał ochotę. Umarła jako DZIEWICA.*

Sprawa ta przekracza umiejętności Dale'a; wie o tym, ale ma nadzieję, że nie jest skończonym idiotą. Chociaż sprawca nie podpisał listów nazwiskiem starego kanibala, najwyraźniej chciał, żeby skojarzono te morderstwa. Zrobił w tym celu wszystko, z wyjątkiem porzucenia paru martwych pstrągów na miejscu zbrodni.

Dale gorzko wzdycha i odkłada listy z powrotem do teczki, a ją – do aktówki.

– Dale? Kochanie? – rozlega się senny głos Sarah ze szczytu schodów.

Dale wzdryga się nerwowo, jak ktoś przyłapano na brzydkim uczynku, i zapina aktówkę.

– Jestem w kuchni – woła.

Nie musi się martwić, że obudzi Dave'a; syn każdego ranka co najmniej do wpół do ósmej śpi jak zabity.

– Przyjedziesz później do pracy?

– Yhm.

Dale często się spóźnia, ale nadrabia to siedzeniem do siódmej, ósmej, a nawet dziewiątej wieczorem. Wendell Green się nad tym nie rozwodził... przynajmniej do tej pory, ale dajcie mu tylko czas. I co tu mówić o ludożercach!

– Podleż kwiaty, zanim wyjedziesz, dobrze? Ostatnio było bardzo sucho.

– Pewnie.

Podlewanie kwiatów Sarah to zajęcie, które Dale lubi. Często myśli mu się najlepiej z ogrodowym wężem w ręce.

Na górze zapada chwila ciszy... lecz Dale nie słyszał szurania bamboszy, świadczącego, że żona zawróciła do sypialni. Czeka.

– Nic ci nie jest, kochanie? – pyta wreszcie Sarah.

– Nie, w porządku! – woła, mając nadzieję, że wpompował w swe słowa należyłą dawkę pogody ducha.

– Bo wciąż przewracałeś się w łóżku, kiedy mnie wreszcie zmorzyło.

– Nie, wszystko gra.

– Wiesz, o co zapytał mnie Davey wczoraj wieczorem, kiedy myłam mu włosy?

Dale przewraca oczyma. Nienawidzi tych rozmów na odległość, ale Sarah chyba je uwielbia. Gilbertson wstaje i nalewa sobie kolejny kubek kawy.

– Nie – co?

– Zapytał: „Czy tatę wyrzucą z pracy?”

Dale nieruchomieje z kubkiem w połowie drogi do ust.

– I co odpowiedziałas?

– Oczywiście powiedziałam, że nie.

– W takim razie dobrze zrobiłaś.

Czeka, ale żona nie mówi nic więcej. Wstrzyknąwszy mężowi jeszcze szczyptę trującego zmartwienia – o kruchą psychikę Davida, jak również o to, co pewien jegomość mógłby z nim zrobić, gdyby chłopiec mu się napatoczył – Sarah idzie do sypialni, szurając nogami, zapewne do znajdującego się za nią prysznic.

Dale wraca do stołu, upija łyk kawy, po czym kładzie rękę na czole i przymyka oczy. W tej chwili możemy wyraźnie zobaczyć, jak bardzo jest przestraszony i nieszczęśliwy. Dale ma dopiero czterdzieści dwa lata i prowadzi wstrzemięźliwy tryb życia, ale we wpadającym przez okno – przez które dostaliśmy się do środka – okrutnym świetle poranka wygląda, przynajmniej w tym momencie, na schorowanego sześćdziesięciolatka.

Istotnie martwi się o swoją pracę, wiedząc, że jeśli człowiek, który zamordował Amy i Johnny'ego, będzie robił to nadal, za rok on, Dale, prawie na pewno zostanie wyrzucony z posady. Martwi się również o Daveya... chociaż nie jest to jego główną troską, ponieważ podobnie jak Fred Marshall nie potrafi w gruncie rzeczy uwierzyć, że Rybak mógłby porwać syna jego i Sarah. Nie, bardziej martwi się o inne dzieci z French Landing, a zapewne również z Centralii i Arden.

Najbardziej obawia się jednak tego, iż nie okaże się dość dobry, by złapać tego sukinsyna. Że zabije on po raz trzeci, czwarty, może jedenasty i dwunasty.

Bóg jeden wie, że Dale prosił o pomoc. I ją otrzymał... w pewnym sensie. Do sprawy przydzielono już dwóch detektywów z policji stanowej, kontaktuje się też facet z biura FBI w Madison (wszelako nieformalnie; FBI nie bierze oficjalnie udziału w dochodzeniu). Nawet pomoc z zewnątrz wydaje się mieć dla Dale'a surrealistyczny charakter, po części wskutek osobliwej zbieżności nazwisk. Człowiekiem z FBI jest agent John P. Redding. Detektywi z policji stanowej nazywają się Perry Brown i Jeffrey Black. Dale ma więc w swoim zespole Browna, Blacka i Reddinga: Brązowego, Czarnego i Czerwieniejącego. Kolorowa Obława, jak nazywa ich Sarah. Wszyscy trzej stawiają sprawę jasno: uczestniczą w śledztwie na razie tylko w pomocniczym charakterze. Dają w ten sposób jasno do zrozumienia, że w epicentrum znajduje się tylko Dale Gilbertson.

Chryste, ale mi zależy, żeby Jack zgodził się mi pomóc, myśli Dale. W jednej sekundzie zrobiłbym z niego swojego zastępcę, tak jak w którymś ze starych, chałowych westernów.

O tak. W jednej sekundzie.

Gdy Jack po raz pierwszy przyjechał przed czterema laty do French Landing, Dale nie wiedział, jak podejść do człowieka, którego jego funkcjonariusze natychmiast ochrzcili Hollywoodem. Do czasu gdy obydwaj przyszpiliili Thornberga Kinderlinga – tak, potulnego, drobnego Thornberga Kinderlinga; trudno uwierzyć, ale to absolutna prawda – wiedział już jednak dokładnie, co o nim sądzić. Facet jest najdoskonalszym urodzonym detektywem, jakiego Dale kiedykolwiek spotkał w życiu.

Jedynym urodzonym detektywem, to chcesz powiedzieć.

Tak, zgadza się. Jedynym. Chociaż aresztowania dokonali wspólnie (ponieważ przybysz z Los Angeles kategorięcznie się przy tym upierał), to detektywistyczna praca Jacka doprowadziła do rozwiązania sprawy. Zachowywał się prawie jak książkowy bohater... Hercules Poirot czy ktoś z powieści Ellery'ego Queena, któryś z nich. Tyle że Jack nie posługiwał się ścisłą dedukcją ani nie chodził w kółko czy stukał się w skroń i opowiadał o swoich „małych szarych komórkach”. On...

– On słucha – mruczy Dale i wstaje.

Rusza do tylnych drzwi, po czym zawraca po aktówkę. Postanawia położyć ją na tylnym siedzeniu radiowozu, zanim podleje grządkę. Nie chce, by te okropne zdjęcia znajdowały się w jego domu dłużej niż trzeba.

On słucha.

Tak jak słuchał Janny Massengale, barmanki w Taproom. Dale nie miał pojęcia, dlaczego Jack spędził tyle czasu z tą tanią puszczalską; przyszło mu nawet do głowy, że Pan Liane Spodnie z Los Angeles chce zaciągnąć ją do łóżka, żeby po powrocie do domu opowiadać wszystkim swoim przyjaciołom z Rodeo Drive, iż poderwał sobie szparkę w Wisconsin, gdzie powietrze jest czyste, a nogi długie i silne. Nie chodziło jednak wcale o to. Słuchał, a Janna powiedziała mu wreszcie to, czego potrzebował.

„No pewnie, że ludzie pokazują śmieszne rzeczy, kiedy piją – powiedziała Janna. – Jest taki facet, co po paru głębszych robi tak”. Ścisnęła nozdrza koniuszkami palców... ze zwróconym na zewnątrz wnętrzem dłoni.

Jack, nadal uśmiechając się pogodnie i popijając wodę sodową, spytał: „Zawsze z odwróconą ręką? Właśnie tak?”. I powtórzył gest.

Janna, uśmiechnięta i na poły zakochana: „Właśnie tak, przystojniaku. Szybko się uczysz”.

Jack: „Chyba czasami tak. Jak się nazywa ten facet, kochanie?”.

Janna: „Kinderling. Thornberg Kinderling. – Zachichotała. – Tyle że kiedy strzeli sobie jednego czy dwa – kiedy zaczyna się tak skubać – to chce, żeby wszyscy wołali go Thorny”.

Jack, wciąż zachowując uśmiech: „Pije gin Bombay, tak, kochanie? Kostka lodu, odrobina likieru ziołowego?”.

Uśmiech Janny zaczyna przygasać. Barmanka patrzy na niego, jakby był jakimś czarnoksiężnikiem. „Skąd pan to wie?”.

Skąd Jack to wiedział, nie było istotne; dzięki temu mieli wszystko podane na tacy; zapakowane i przewiązane wstążeczką. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać rozporek.

Jack w końcu odleciał do Los Angeles z Thornbergiem Kinderlingiem pod swoją strażą – Thornbergiem Kinderlingiem, zwykłym nieszkodliwym agentem ubezpieczeń rolniczych z Centrala, noszącym okulary, który nie wystraszyłby myszy, nie powiedziałby „gówno”, nawet mając go pełne usta, nie odważyłby się poprosić twojej mamy o coś do picia w upalny dzień, ale który zamordował w Mieście Aniołów dwie prostytutki. Thorny nie bawił się w duszenie;

robił swoje nożem myśliwskim Buck. Dale ustalił w końcu, że kupił go w sklepie sportowym Laphama, obrzydliwym kramie, sąsiadującym z Lachą, najpodlejszą mordownią w Centralii.

Do tego czasu badanie DNA sprawiło, że Kinderling leżał na łopatkach, ale Jack mimo wszystko był zadowolony z ustalenia pochodzenia narzędzia zbrodni. Zadzwoił do Dale'a, by mu osobiście podziękować, a Gilbertson, który nigdy w życiu nie dotarł dalej na zachód niż do Denver, był niemal absurdalnie wzruszony jego uprzejmością. Jack powiedział kilkakrotnie w trakcie śledztwa, że nigdy nie ma się dość dowodów, jeśli sprawca to naprawdę czarny typ, a Thorny Kinderling okazał się tak czarnym charakterem, że trudno o większego. Rzecz jasna zaczął twierdzić, że podczas popełniania zbrodni był niepoczytalny, Dale zaś – mający cichą nadzieję, że zostanie wezwany do złożenia zeznań – z radością przyjął decyzję ławy przysięgłych o odrzuceniu wniosku oskarżonego i skazaniu go na kilkakrotne dożywocie.

Co sprawiło, że to wszystko się stało? Jaka była pierwsza przyczyna? No cóż, słuchający człowiek. To wszystko. Słuchał barmanki, która przywykła do tego, że mężczyźni gapili się na jej piersi, podczas gdy jej słowa wpadały im jednym uchem i wypadały drugim. Kogo jeszcze wysłuchał Jack Hollywood, zanim posłuchał Janny Massengale? Wydaje się, że jakiejś dziwki z Sunset Strip... czy też raczej całej ich bandy. (Tak czy inaczej, jak powinno się mówić? – zastanawia się mimowolnie Dale, przechodząc do garażu po wypróbowany wąż. Kolumna kurew? Zatrzęsienie zdzir?). Żadna z nich nie zdołałaby wybrać Thornberga Kinderlinga z szeregu mężczyzn podczas identyfikacji, ponieważ Thornberg podczas wypraw do Los Angeles nie przypominał tego, który odwiedzał firmy zaopatrzenia rolnego w regionie Coulee i po drugiej stronie granicy ze stanem Minnesota. Thorny nosił w Los Angeles perukę, szkła kontaktowe zamiast okularów i sztuczny wąsik.

„Najbliższym jego posunięciem był olejek przyciemniający skórę – powiedział Jack. – Wystarczała odrobina, by wyglądał jak rodzimy mieszkaniec miasta”.

„Przez całe cztery lata w Gimnazjum French Landing występował w kółku dramatycznym – odparł ponuro Dale. – Sprawdziłem. Skurczybyk grał Don Juana w pierwszej klasie – potrafisz w to uwierzyć?”.

Mnóstwo chytrych, drobnych zmian (wygląda na to, że zbyt wielu, by ława przysięgłych przełknęła wniosek o niepoczytalności), Thorny zapomniał jednak o jednym zdradzieckim zwyczaju, o nawyku szczypania się w nos z odwróconą do zewnątrz dłonią. Jedną z prostytutek go jednak zapamiętała, a gdy o nim wspomniała – Dale nie wątpi, że jedynie mimochodem, podobnie jak Janna Massengale – Jack to usłyszał.

Ponieważ słuchał.

Zadzwoił do mnie, żeby mi podziękować za dotarcie do miejsca, gdzie kupiono nóż, i później, z wiadomością, jaki werdykt wydała ława, myśli Dale. Za drugim razem jednak jemu też na czymś zależało. A ja wiedziałem na czym. Wiedziałem, zanim jeszcze otworzył usta.

Wiedział, bo chociaż nie jest genialnym detektywem jak jego przyjaciel ze Złotego Stanu, nie umknęła mu nieoczekiwana, natychmiastowa reakcja Jacka na krajobraz zachodniego Wisconsin. Jack zakochał się w regionie Coulee, a Dale byłby gotów założyć się o dużą sumę, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Nie sposób było pomylić wyrazu twarzy Jacka, gdy jechali z French Landing do Centralii, z Centralii do Arden, z Arden do Miller: zachwyty, przyjemność, niemalże swego rodzaju zatracenie. Dla Dale'a jego przyjaciel wyglądał jak człowiek, który po raz pierwszy w życiu znalazł się w danym miejscu, ale odkrył, że wrócił do domu.

„Człowieku, nie mogę dojść z tym do ładu”, powiedział raz Dale'owi. Jechali starym radiowozem Gilbertsona, caprice, który nigdy nie dał się należycie wyregulować (i czasami zaczynała się w nim syrena, co bywało przykre). „Zdajesz sobie sprawę, jakie masz szczęście, że tu mieszkasz, Dale? To na pewno jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie”.

Dale, który przeżył w regionie Coulee całe życie, nie oponował.

Pod koniec ich ostatniej rozmowy, dotyczącej Thornberga Kinderlinga, Jack przypomniał Dale'owi, że kiedyś prosił go (niezupełnie żartem, ale i niezupełnie serio), by dał mu znać, jeśli w jego części świata znajdzie się na sprzedaż jakaś ładna działeczka z domem, gdzieś za miastem. Dale zaś natychmiast zorientował się po tonie Jacka – niemal lęklwym znizeniu głosu – że żarty się skończyły.

– Dlatego jesteś mi coś winien – mruczy Dale, zarzucając wąż na ramię. – Jesteś mi coś winien, draniu.

Oczywiście prosił Jacka, by udzielił mu nieoficjalnej pomocy w sprawie Rybaka, ale Jack odmówił... prawie ze strachem. Przeszedłem na emeryturę, powiedział szorstko. Jeśli nie wiesz, co znaczy to słowo, Dale, możemy go razem poszukać w słowniku.

Przecież to bzdura, prawda? Oczywiście, że tak. Jak człowiek w wieku niespełna trzydziestu pięciu lat może być na emeryturze? Zwłaszcza ktoś, kto jest tak piekielnie dobry w swojej pracy?

– Jesteś mi coś winien, mały – powtarza Dale, okrążając dom w stronę kranu z nasadką. Niebo nad nim jest bezchmurne, zieleni się porządnie podlewany trawnik; brak jakichkolwiek znaków ześlizgu – na ulicy Herman są nieobecne. Być może jednak gdzieś tu się kryją, być może je wyczuwamy. Swego rodzaju dysharmonijny poszum, jak wszystkich tych śmiercionośnych woltów krążących po stalowych belkach maszty KDCU.

Zostaliśmy tu jednak zbyt długo. Musimy znów wzbąć się do lotu i udać się do naszego ostatniego celu tego wczesnego poranka. Nie wiemy jeszcze wszystkiego, ale dowiedzieliśmy się trzech ważnych rzeczy: po pierwsze, French Landing to małe miasto, ogarnięte straszliwą trwogą; po drugie, kilkoro osób (jedna z nich to Judy Marshall, druga – Charles Burnside) pojmują gdzieś w głębi ducha, że niedole miasteczka wyrastają daleko poza występkę pojedynczego, zbrojonego mordercy–pedofila; po trzecie, nie spotkaliśmy jeszcze nikogo, kto uświadamiałby sobie obecność siły – ześlizgu – która zaczęła odciskać swe piętno na

cichym miasteczku na brzegu rzeki Toma i Hucka. Każdy, kogo spotkaliśmy, jest na swój sposób równie ślepy jak Henry Leyden. Odnosi się to zarówno do osób, z którymi mieliśmy do czynienia, jak i do postaci, z którymi się jeszcze nie zetknęliśmy – Beezera St. Pierre’a, Wendella Greena, Kolorowej Obławy.

Nasze serca wzdychają za bohaterem. Chociaż być może go nie znajdziemy (ostatecznie to dwudziesty pierwszy wiek, dni nie d’Artagnana i Jacka Aubreya, ale George’a Busha i Dirtyperm), to jednak może uda się nam znaleźć kogoś, kto był nim kiedyś. Ruszmy więc w poszukiwaniu starego przyjaciela, którego po raz ostatni widzieliśmy tysiąc i więcej mil na wschód stąd, na brzegu nieruchomego Atlantyku. Upłynęły lata i w pewien sposób umniejszły chłopca z przeszłości; wiele zapomniał i znaczną część dorosłego życia spędził na podtrzymywaniu tego stanu amnezji. Jest jednak jedyną nadzieją French Landing, więc rozpostrzemy skrzydła i polecmy niemal prosto na wschód, z powrotem nad lasami, polami i łagodnymi pagórkami.

Widzimy głównie mile niczym nieprzerywanych gruntów rolnych: regimenty kukurydzy, bujne łąki z sianem, szerokie, żółte połacie lucerny. Wąskie, pyliste drogi prowadzą do białych farm i skupionych wokół nich wysokich stodół, obór, cylindrycznych silosów z pustaków oraz długich blaszanych szop na narzędzia. Mężczyźni w drelichowych kurtkach chodzą po solidnie wydeptanych ścieżkach między domami i oborami. Czujemy już zapach słońca. Ta woń – stężała mieszanina masła, drożdży, ziemi, wzrostu i rozkładających się resztek – będzie nasilała się w miarę wznoszenia się słońca i intensyfikacji blasku.

Pod nami mamy skrzyżowanie dróg 93 i 35 w środku maleńkiej Centralii. Pusty parking za Lachą oczekuje na przybycie Pierońskiej Piątki, spędzającej zwykle sobotnie popołudnia, wieczory i noce na delektowaniu się bilardem, hamburgerami i kuflami ambrozji, której tworzeniu członkowie Piątki poświęcili swoje ekscentryczne żywoty. Najdoskonalszym produktem Spółki Browamiczej, piwem, którego śmietankowa pianka w niczym nie ustępuje najlepszym wytworom wyspecjalizowanych mikrobrowarów i belgijskich klasztorów, jest *ale* „Królewskie Włości”. Skoro Beezer St. Pierre, Myszą i spółka twierdzą, że jest to najwspanialsze piwo na świecie, jak możemy w to wątpić? Nie tylko znają się na piwie o wiele lepiej od nas; poświęcili każdy okrucz swej wiedzy, doświadczenia i inspiracji, jakimi dysponowali, by „Królewskie Włości” stały się ideałem sztuki browamiczej. W istocie przenieśli się do French Landing, ponieważ browar, który wybrali po starannych rozważaniach, zgodził się z nimi współpracować.

Wspomnienie „Królewskich Włości” sprawia, że nabieramy ochoty na jego solidny łyk, ale odsuwamy od siebie pokusę; siódma trzydzieści rano to pora stanowczo zbyt wczesna na picie czegokolwiek poza sokiem owocowym, kawą i mlekiem (jeśli nie liczyć podobnych Wandzie Kinderling, która jednak myśli o piwie, nawet o „Królewskich Włościach”, jako o dodatku dietetycznym do wódki Aristocrat). Szukamy wszak naszego starego przyjaciela i człowieka najbardziej zbliżonego do bohatera – chłopca, którego po raz ostatni widzieliśmy

na brzegu Oceanu Atlantyckiego. Nie możemy marnować czasu; ruszamy dalej, właśnie tu i teraz. Mile przelatują pod nami, pola wzdłuż drogi 93 zwężają się, bo napierają na nie piętrzące się po obu stronach wzgórza.

Mimo całego naszego pośpiechu, musimy to zauważyć, musimy widzieć, gdzie jesteśmy.

Rozdział czwarty

Trzy lata temu nasz stary przyjaciel jechał tym odcinkiem drogi 93 w wiekowym capricie Dale'a Gilbertsona. Serce szalało mu w piersiach, ścisnęło mu się w gardle i zasychało mu w ustach, podczas gdy zaprzyjaźniony Dale, wówczas zaledwie małomiasteczkowy policjant, na którym Jack zrobił niewspółmierne wobec zdrowego rozsądku wrażenie dlatego, że po prostu wykonywał swoją robotę najlepiej, jak umiał, wiozł go do wiejskiego domu i pięciu akrów, pozostawionych przez zmarłego ojca komendanta. „Ładna działeczka” była na sprzedaż za grosze, ponieważ kuzyni Dale'a się nią nie interesowali, nie miała też wartości dla nikogo innego. Dale zatrzymał nieruchomość wyłącznie z sentymentalnych powodów, ale i jemu szczególnie na niej nie zależało. Nie wiedział dokładnie, co miałby zrobić z drugim domem, traciłby jedynie mnóstwo czasu na jego utrzymanie; zadanie to wprawdzie sprawiało mu osobiście dużo przyjemności, ale bez sprzeciwu przekazałby je komu innemu. W tym momencie ich znajomości Dale czuł taki podziw dla naszego przyjaciela, że myślał, iż człowiek ten zajmie dom jego ojca, nie tylko nie wzbudzała w nim sprzeciwu, lecz uważał ją za honor.

Co do człowieka w fotelu pasażera, był on zbyt porażony swą reakcją na krajobraz – zbyt przezeń zniewolony – by czuć zakłopotanie z powodu podziwu Dale'a. W zwykłych okolicznościach nasz przyjaciel zaciągnąłby swojego wielbiciela do spokojnego baru, postawił mu piwo i powiedział: „Posłuchaj, Dale, wiem, że to, co zrobiłem, wywarło na tobie wrażenie, ale ostatecznie jestem policjantem tak samo jak ty. To wszystko. I ogólnie rzecz biorąc, mam o wiele więcej szczęścia, niż zasługuję”. (Byłaby to zresztą prawda; odkąd ostatni raz go widzieliśmy, został pobłogosławiony – jeśli możemy to nazwać błogosławieństwem – wyjątkowym szczęściem, przez które nie śmie już grać w karty czy stawiać w totalizatorze sportowym. Gdy się prawie za każdym razem wygrywa, zwycięstwo smakuje jak zepsuty sok z grejpfruta). Nie były to jednak zwyczajne okoliczności; w natłoku emocji, które groziły Jackowi przytłoczeniem od chwili wyjazdu z Centralii na płaską, prostą drogę 93, nabożny podziw Dale'a przeszedł niezauważony. W trakcie krótkiej jazdy do miejsca, w którym nigdy w życiu nie był, czuł się jak podczas od dawna odkładanej podróży do domu: wszystko, na co patrzył, wydawało się nasycone zapamiętanym znaczeniem,

zdawało się stanowić zasadniczą część jego samego. Wszystko wydawało się święte. Wiedział, że kupi tę ładną działeczkę, bez względu na to, jak wygląda ani ile będzie kosztowała, chociaż cena i tak nie miałyby znaczenia. Zamierzał ją kupić, i tyle. Podziw Dale'a docierał do niego i zdawał sobie sprawę, że przyjdzie mu zmuszać go do sprzedaży za niezaniżoną cenę. Na razie Jack walczył jednak z łzami, które cisnęły mu się do oczu.

Z góry widzimy lodowcowe doliny, dzielące krajobraz na prawo od drogi 93 jak bruzdy po palcach giganta. Jack zaś widział tylko nagle odbijające od szosy wąskie drogi, które wślizgiwały się w przemieszany blask i ciemność. Każda droga mówiła: prawie na miejscu. Właśnie tędy, mówiła główna trasa. Z góry możemy dojrzeć przydrożny parking, dwie pompy benzynowe i długi szary dach ze spłowiełym napisem: SKLEP U ROYA. Gdy Jack popatrzył w prawo i zobaczył za pompami drewniane schody prowadzące na szeroki, zapraszający ganek przed sklepem, poczuł się, jakby wchodził już po nich setki razy i kupował w środku chleb, mleko, piwo, porcje mięsa na kotlety, robocze rękawice, śrubokręt, torbę trzyciałowych gwoździ – cokolwiek potrzebował z rogu praktycznej obfitości, poukładanego gęsto na półkach – i jak czuł się po tym dniu, gdy już rzeczywiście robił tu zakupy, sto razy i więcej.

Pięćdziesiąt jardów dalej niebieskoszary odcień Tamarack Creek wnika krętym szlakiem do doliny Norway. Samochód Dale'a wtoczył się na rdzewiejący metalowy mostek, strumień powiedział: To tutaj! – a mężczyzna siedzący obok kierowcy w nieobowiązującym, lecz drogim stroju poczuł drżenie serca. Tak wyglądał, jakby wszystkiego, co wiedział o roli, nauczył się z okien kabin pierwszej klasy transkontynentalnych odrzutowców i w istocie nie potrafił odróżnić pszenicy od siana. Po drugiej stronie mostka znajdowała się tablica: NORWAY VALLEY ROAD.

– To tutaj – powiedział Dale i skręcił w prawo w dolinę.

Nasz przyjaciel zakrył usta dłonią, tłumiąc dźwięki, do których wydania mogłoby zmusić go drżące serce.

Tu i ówdzie na skraju drogi barwiły się kołyszące dzikie kwiaty, niektóre śmiałe i jaskrawe, inne częściowo ukryte pod pledem bujnej zieleni.

– Przejechanie tą drogą zawsze poprawia mi humor – rzekł Dale.

– Nic dziwnego – zdołał powiedzieć nasz przyjaciel.

Większość tego, co mówił dalej, nie przebiła się przez kłębowisko emocji, kotłujących się w umyśle i ciele jego pasażera. To stara farma Lundów – kuzynów mojej matki. Jednoizbowa szkoła, w której uczyła moja prababka, stała właśnie tutaj, ale już dawno ją rozebrali. To działka Duane'a Updahla, żaden mój krewny, dzięki Bogu. Bzz blabla mrr. Blabla mrr bzz. Znowu przejechali przez Tamarack Creek z roześmianą, niebieskoszarą wodą, wołającą: Tu jestem! Pokonali zakręt, za którym ku samochodowi pochyliło się zatrzęsienie bujnego kwiecica. Pośród nich ślepe, uważne twarze lilii tygrysych przekrzywiały się na powitanie naszego przyjaciela. Impuls emocji całkowicie odmiennie od zamętu, spokojniejszej, lecz nie mniej potężnej, sprawił, że Jackowi napłynęły do oczu łzy oszołomienia.

Lilie tygrysie. Dlaczego tak na nie zareagował? Nic dla niego nie znaczyły. Pod pozorem ziewnięcia otarł oczy, mając nadzieję, że Dale tego nie zauważył.

– Jesteśmy – powiedział Dale. Skręcili na długi, zarośnięty podjazd, okolony kwieciami i wysokimi trawami. Droga wydawała się wieść donikąd – kończyć się wielką łąką i kępami sięgających pasa kwiatów. Łaty pól pięły się za nią po zwieńczonym drzewami stoku. – Za chwilę widać będzie już stary dom taty. Łąka dochodzi do domu, a pole należy do moich kuzynów Randy’ego i Kenta.

Nasz przyjaciel mógł dojrzeć biały piętrowy dom, stojący za ostatnim zakrętem drogi, dopiero wtedy, gdy Dale do niego dojechał. Nie odzywał się, ponieważ jego przewodnik zatrzymał się pod domem i zgasił silnik. Obydwaj mężczyźni wysiedli z wozu. Oto mieli przed sobą „ładny domek”, solidny, świeżo pomalowany, troskliwie utrzymany, skromny, lecz o pięknych proporcjach, oddalony od drogi, oddalony od świata, na skraju zielonożółtej, pyszniejącej się mnóstwem kwieciami łąki.

– Mój boże, Dale – powiedział Jack. – Jest idealny.

Tu właśnie odnajdujemy naszego dawnego towarzysza wędrówki, który w dzieciństwie znał chłopca nazwiskiem Richard Sloat i – zbyt krótko – drugiego, nazywającego się po prostu Wilkiem. W tym solidnym, przyjemnym dla oka, odizolowanym białym domu odnajdujemy naszego starego przyjaciela, który niegdyś jako chłopiec przemierzył kraj od oceanu do oceanu w poszukiwaniu pewnego wyjątkowo ważnego, niezbędnego przedmiotu, wielkiego talizmanu, i który mimo napawających trwogą przeszkód i koszmarnych zagrożeń zdołał odszukać cel swojej wyprawy oraz użył go należycie i mądrze. Którego, moglibyśmy powiedzieć, dokonał wielu bohaterских cudów. I nic z tego nie pamięta. Właśnie tutaj w kuchni odnajdujemy przygotowującego sobie śniadanie i słuchającego George’a Rathbuna – byłego porucznika wydziału zabójstw policji okręgu Los Angeles Jacka Sawyera.

Naszego Jacka, Jacky’ego, jak zwykła go nazywać nieżyjąca matka, Lily Cavanaugh Sawyer.

Jack przemierzył za Dale’em pusty dom od piętra po piwnicę, gdzie wyraził obowiązkowy zachwyty nad nowym piecem i bojlerem, które Gilbertson zainstalował na rok przed śmiercią swojego ojca, nad jakością dokonanych od tego czasu renowacji, połyskiem drewnianych posadzek, grubością izolacji na strychu, solidnością okien, wieloma wpadającymi mu w oko rzemieślniczymi poprawkami.

– No, narobiłem się tu jak wół – powiedział mu Dale. – I tak był w porządnym stanie, ale lubię pracę fizyczną. Po pewnym czasie stało się to moim hobby. Nauczyłem się przyjeżdżać tutaj i majstrować, gdy tylko miałem kilka wolnych godzin, w weekendy czy kiedy indziej. Bo ja wiem, może pomagało mi to czuć się, jakbym nie tracił kontaktu z ojcem. Chciał, żebym został farmerem, ale gdy powiedziałem, że wolałbym dostać się do wymiaru

sprawiedliwości, stanął po mojej stronie w stu procentach. Wiesz, co rzekł? „Jak zaczniesz pracować na roli bez przekonania, to od świtu do zachodu słońca będzie cię kopała w zadek, aż wreszcie będziesz się czuł jak muł. Nie po to mama i ja wydaliśmy cię na świat, żeby zamienić cię w muła”.

– A ona co myślała? – spytał Jack.

– Rodzina mojej mamy to farmerzy od wielu pokoleń – odparł Dale. – Wydawało się jej, że ostatecznie dojdę do wniosku, iż bycie mułem nie jest takie najgorsze. Zanim odeszła – cztery lata przed moim tatą – przyzwyczała się jednak, że jestem gliną. Wyjdźmy przez kuchnię i zerknijmy na łąkę, dobrze?

Podczas gdy stali na zewnątrz i zerkali, Jack zapytał Dale’a, ile chce za dom. Czekał na to pytanie Dale podał cenę o pięć tysięcy dolarów niższą niż najwyższa, jakiej spodziewał się z Sarah uzyskać. Nie było co się oszukiwać. Chciał, żeby Jack kupił dom, w którym on, Dale, się wychował – chciał, żeby przyjaciel mieszkał niedaleko przynajmniej przez kilka tygodni w roku. Gdyby zaś Jack nie kupił domu, nie zrobiłby tego też nikt inny.

– Mówisz poważnie? – spytał Jack.

– Wydaje mi się, że to uczciwa cena – odparł Dale, bardziej zmartwiony, niż byłby gotów przyznać.

– Nie jest uczciwa dla ciebie – powiedział Jack. – Nie pozwolę ci oddać domu w prezencie tylko dlatego, że mnie lubisz. Podnieś cenę albo sobie pojedź.

– No, nie ma co, wy, wielkie szychy z miasta, wiecie, jak się targować. No dobrze, niech będzie jeszcze trzy tysiące.

– Pięć – odrzekł Jack. – Albo rezygnuję.

– Zgoda, chociaż łamiesz mi serce.

– Mam nadzieję, że ostatni raz kupuję nieruchomość od któregoś z was, zatraconych Norwegów – powiedział Jack.

Przeprowadził kupno domu na odległość: wysłał zaliczkę z Los Angeles, składał podpisy faksem, nie skorzystał z hipoteki, wyłożył od razu całą gotówkę. Zdaniem Dale’a, skądkolwiek wywodził się Jack, na pewno były to sfery o wiele zamożniejsze niż zwykli oficerowie policji. Kilka tygodni później Jack pojawił się ponownie w centrum stworzonego przez siebie tornada, załatwił podłączenie telefonu i wystawianie na jego nazwisko rachunków za elektryczność, zgarnął zdawałoby się połowę asortymentu sklepu „U Roya”, wyskoczył do Arden i La Riviere, żeby kupić nowe łóżko, pościel, nakrycia stołowe, żeliwne garnki, patelnie i komplet francuskich noży oraz stos sprzętu stereo tak opływowego, czarnego i wystawnego, że zaproszony na towarzyskiego drinka Dale przypuszczał, iż kosztował więcej niż jego roczna pensja. Jack poza tym nabył wiele innych rzeczy; co do niektórych Dale był zdziwiony, że w ogóle można je kupić w okręgu French w Wisconsin. Po co komu korkociąg za sześćdziesiąt pięć dolarów o nazwie WineMaster? Kim był ten facet, jaka rodzina go wydała na świat?

Zauważył torbę z nieznanym mu godłem, pełną płyt kompaktowych – po piętnastu dolarów za sztukę, więc łącznie były warte parę ładnych setek. Cokolwiek można by rzec o Jacku Sawyerze, na pewno był wielkim miłośnikiem muzyki. Zaciekawiony Dale schylił się, wyjął garść opakowań i przyjrzał się im. Na okładkach widniały zdjęcia przeważnie czarnoskórych ludzi, z reguły z przyciśniętymi do ust instrumentami. Clifford Brown, Lester Young, Tommy Flanagan, Paul Desmond.

– Nigdy o nich nie słyszałem – powiedział. – Co to takiego? Domyślam się, że jazz?

– Dobrze się domyślasz – odparł Jack. – Czy za miesiąc lub dwa pomożesz mi poustawiać meble i zawiesić obrazy, tego rodzaju rzeczy! Zamierzam ściągnąć tu sporo wyposażenia.

– Nie ma sprawy. – W umyśle Dale’a zrodziła się wspaniała myśl. – Hej, musisz poznać mojego wuja Henry’ego! Jest prawie twoim sąsiadem, mieszka mniej więcej ćwierć mili wzdłuż drogi. Był mężem mojej ciotki Rhody, siostry ojca, która umarła trzy lata temu. Henry to coś w rodzaju chodzącej encyklopedii dziwacznej muzyki.

Jack nie zareagował na tezę, że jazz jest dziwaczny. Może tak właśnie było; w każdym razie wydawał się dziwaczny Dale’owi.

– Nie sądziłem, że farmerzy mają dużo czasu na słuchanie muzyki.

Dale otworzył usta i gromko się roześmiał.

– Henry to nie farmer. Henry... – Z uśmiechem uniósł ręce ze zwróconymi przed siebie dłońmi i rozstawionymi palcami, patrząc gdzieś w przestrzeń i szukając właściwego określenia. – On jest czymś w rodzaju przeciwieństwa farmera. Przedstawię ci go, kiedy wrócisz. Oszalejesz na jego punkcie.

Sześć tygodni później Jack znalazł się tu ponownie, by przyjąć ciężarówkę i powiedzieć ludziom z firmy przeprowadzkowej, gdzie poustawiać meble i inne przewiezione rzeczy; kilka dni później, gdy rozpakował większość pudeł, zadzwonił do Dale’a i zapytał go, czy nadal zechciałby mu pomóc. Była piąta po południu dnia tak nudnego, że Tom Lund przysnął za biurkiem, więc Dale przyjechał, nie zwracając sobie nawet głowy zdjęciem munduru.

Jego pierwszą reakcją, gdy Jack uściśnął mu rękę i wprowadził do środka, był czysty, absolutny wstrząs. Dale zrobił krok za próg i zamarł jak skała, niezdolny iść dalej. Minęły dwie–trzy sekundy, nim zdał sobie sprawę, że to dobry szok, wstrząs wywołany przyjemnością. Jego dawny dom uległ transformacji; poczuł się, jakby Jack Sawyer wykonał magiczną sztuczkę i otworzył znajome frontowe drzwi, za którymi znalazło się wnętrze zupełnie innego domu. Wolna przestrzeń między salonem i kuchnią nie przypominała ani tej, którą zapamiętał z dzieciństwa, ani opróżnionego ostatnio przejścia. Jack udekorował dom machnięciem różdżki, a Dale miał wrażenie, że równocześnie zamienił go w... no, właściwie sam nie wiedział, co – willę na Riwierze, apartament przy Park Avenue. (Dale nigdy nie był w Nowym Jorku ani na południu Francji). Po chwili uderzyła go myśl, że Jack nie zamienił starego domu w coś, czym nie był wcześniej, lecz tylko dostrzegł w nim więcej, niż

kiedykolwiek zrobił to Dale. Skórzane sofy i fotele, jasne dywany, szerokie stoły i lampy rzucające dyskretne światło pochodziły z innego świata, lecz doskonale pasowały, jakby zostały wykonane specjalnie dla tego domu. Wszystko, co widział, zapraszało go do środka. Dale odzyskał ponownie władzę nad swoim ciałem.

– Rany – powiedział. – Nie ma co, sprzedałem dom właściwemu człowiekowi.

– Cieszę się, że ci się podoba – odrzekł Jack. – Muszę przyznać, że mnie też. Wygląda nawet lepiej, niż się spodziewałem.

– Co mam robić? Urządziłeś się już.

– Zawiesimy kilka obrazów – powiedział Jack. – Dopiero wtedy będzie urządzony.

Dale przypuszczał, że Jackowi chodzi o rodzinne fotografie. Nie rozumiał, dlaczego ktokolwiek miałby potrzebować pomocy przy zawieszeniu zbioru oprawionych zdjęć, ale skoro Jack go o nią prosił, to zamierzał jej udzielić. Poza tym liczył, że ze zdjęć sporo się dowie o rodzinie Jacka, temacie wciąż nader go interesującym. Gdy Jack zaprowadził go do stosu opartych o kuchenny blat płaskich, drewnianych skrzyń, Dale doznał jednak natychmiast uczucia, że wypłynął na niezbadane wody, że trafił do nieznanego mu świata. Skrzynki zbito ręcznie; wykonano je tak solidnie, by zapewniały ochronę przed prawie wszystkimi zagrożeniami. Niektóre z nich miały pięć–sześć stóp wysokości i niemal tyle samo szerokości. W tych kolubrynach nie było zdjęć mamuski i tatuśka. Dale i Jack musieli podwazywać rogi i obluzowywać gwoździe wzdłuż brzegów, nim mogli przystąpić do otwierania skrzyń. Zdejmowanie ich wiek zajmowało zdumiewająco dużo czasu. Zanim wyciągnął z Jackiem z pięciu kokonów ciężkie, prostokątne obiekty, owinięte wieloma warstwami bibuły, Dale pożałował, że nie wpadł do domu, żeby zrzucić mundur, który zdążył przesiąknąć potem. Do otwarcia zostało jeszcze wiele pudeł.

Godzinę później znieśli puste skrzynie do piwnicy i wrócili na górę, żeby napić się piwa. Następnie rozcięli warstwy bibuły, spod których wyłoniły się obrazy i grafiki w rozmaitych ramach, włącznie z kilkoma, które wyglądały, jakby artysta zbił je z wyrwanych ze ściany stodoły desek. Obrazy Jacka należały do kategorii, mętnie pojmowanej przez Dale'a jako „sztuka nowoczesna”. Nie rozumiał, o co może chodzić w niektórych z nich, chociaż w istocie prawie wszystkie się mu podobały, zwłaszcza dwa pejzaże. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie słyszał o ich twórcach, ale domyślił się, że ich nazwiska byłyby znajome mieszkańcom wielkich miast, którzy uczęszczają do muzeów i galerii. Cała ta sztuka – ułożone na kuchennej podłodze obrazy duże i małe – zaskoczyła go, i to niekoniecznie w miły sposób. Naprawdę znalazł się w innym świecie i nie znał w nim ani jednego punktu odniesienia. Potem przypomniał sobie, że ma z Jackiem zawiesić te obrazy na ścianach starego domu jego rodziców. Świadomość ta natychmiast wzbogaciła się o odczucie przenikającego go bez reszty nieoczekiwanego ciepła. Dlaczego sąsiadujące światy nie miałyby czasem się pomieszać? I czy Jack rzeczywiście pochodził z tego drugiego świata?

– W porządku – powiedział. – Szkoda, że Henry – wuj, o którym ci mówiłem? – ten, który mieszka przy tej samej drodze? – szkoda, że nie może ich obejrzeć. Henry by wiedział, co o nich sądzić.

– Dlaczego nie miałby ich zobaczyć? Zaproszę go.

– Nie powiedziałem ci? – spytał Dale. – Henry jest niewidomy.

Obrazy powędrowały na ściany salonu, wspięły się po schodach, wprowadziły do sypialni. Jack zawiesił parę małych płócien w łazience na piętrze i małej toalecie na parterze. Dale'a zaczęły boleć ramiona od przytrzymywania ram, podczas gdy Jack zaznaczał miejsca na wbicie gwoździ. Po pierwszych trzech obrazach zdjął krawat i podwinął rękawy. Czuł śączący się spod włosów i ściekający po twarzy pot, którym przesiąkł jego rozpięty kołnierzyk. Jack Sawyer trudił się równie ciężko, jeśli nie bardziej, ale wyglądał, jakby nie zrobił nic bardziej męczącego od zjedzenia obiadu.

– Jesteś kimś w rodzaju kolekcjonera dzieł sztuki, tak? – spytał Dale. – Dużo czasu zajęło ci zebranie wszystkich tych obrazów?

– Za mało wiem, żeby być kolekcjonerem – odparł Jack. – Ojciec zebrał większość tych prac w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Matka też kupiła kilka, kiedy widziała coś, co przypadało jej do gustu. Tak jak ten mały Fairfield Potter z gankiem, trawnikiem i kwiatami.

Mały Fairfield Potter – Dale domyślił się, że to nazwisko malarza – wpadł mu w oko, kiedy tylko wraz z Jackiem wyjęli go ze skrzyni. Taki obraz pasowałby w salonie. Można było niemal w niego wejść. Zabawne, pomyślał Dale: gdybyś to ty powiesił go sobie w salonie, większość gości w ogóle nie zwróciłaby na niego uwagi.

Jack powiedział, że jest zadowolony, iż mógł odebrać obrazy z magazynu.

– Zatem mama i tata ci je dali? – spytał Dale.

– Odziedziczyłem je po śmierci matki – powiedział Jack. – Ojciec umarł, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

– Och, kurde, przykro mi – odrzekł Dale, nagle wyrwany ze świata, do którego zapraszał go pan Fairfield Potter. – Musiało ci być ciężko, skoro tak wcześnie straciłeś ojca.

Pomyślał, że Jack podsunął mu wytłumaczenie wydającej się stale go otaczać aury odosobnienia i dystansu. Na sekundę, nim Jack odpowiedział, Dale uświadomił sobie, że chrzani. Nie miał zielonego pojęcia, jak człowiek staje się kimś takim, jak Jack Sawyer.

– Tak – odparł Jack. – Na szczęście moja matka była twardsza od niego.

– Co robili twoi rodzice? – Dale chwycił okazję oboma rękami. – Wychowałeś się w Kalifornii?

– Urodziłem się i wychowałem w Los Angeles – powiedział Jack. – Moi rodzice działali w branży rozrywkowej, ale nie miej im tego za złe. Byli wspaniałymi ludźmi.

Jack nie zaprosił Dale'a, by został na kolacji – to właśnie utkwiło mu w pamięci. Zawieszenie pozostałych obrazów zajęło im ponad półtorej godziny. Jack przez cały czas

zachowywał się przyjacielsko i dobrodusznie, ale Dale, który nienadaremnie był policjantem, wyczuwał w serdeczności przyjaciela coś nieugięte skrytego; drzwi uchyliły się o włos, ale zatrzasnęły z powrotem. Określenie „wspaniali ludzie” uniemożliwiło dalszą rozmowę na temat rodziców Jacka. Gdy obaj mężczyźni zrobili sobie kolejną przerwę na piwo, Dale zauważył obok kuchenki mikrofalowej dwie torby ze sklepu spożywczego w Centralii. Dochodziła wtedy ósma – dwie godziny po zwykłej porze kolacji w okręgu French. Jack mógłby nie bez powodu zakładać, że Dale już ją jadł, gdyby nie jego mundur, który świadczył o czymś przeciwnym.

Gilbertson podrzucił Jackowi łatwe pytanie: jaka była najtrudniejsza rozwiązana przez niego sprawa. Przysunął się do blatu. Z bliższej torby wystawały czerwone, żyłkowane kawałki dwóch steków z krzyżówki. Z brzucha dobyło się mu donośne burczenie. Jack zignorował pomruk.

– Thornberga Kinderlinga było równie ciężko rozgryźć, jak najcięższe sprawy, jakie miałem w Los Angeles – powiedział. – Naprawdę byłem wdzięczny, że mi pomogłeś.

Dale’owi nie trzeba było dłużej tłumaczyć, że natrafił na kolejne zatrzaśnięte drzwi. Te nie uchyliły się ani odrobinę. Nie miał co liczyć na wykład o przeszłości; została zabita na głucho.

Dokończyli piwa i zawiesili ostatnie obrazy. Przez kilka następnych godzin rozmawiali o stu różnych rzeczach, ale ani razu nie przekroczyli wyznaczonych przez Jacka Sawyera granic. Dale był pewny, że pytaniem o rodziców Jacka skrócił ten wieczór. Chociaż dlaczego miałyby to być prawdą? Co ukrywał ten facet? I przed kim? Gdy skończyli pracę, Jack podziękował mu serdecznie i odprowadził go do samochodu, w ten sposób likwidując nadzieję na odroczenie w ostatniej chwili wykonania wyroku. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać rozporek, słowami nieśmiertelnego George’a Rathbuna. Gdy stali w wonnej ciemności pod milionem gwiazd ułożonych w konstelacje, Jack westchnął z przyjemnością.

– Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny – powiedział. – Naprawdę żałuję, że muszę wracać do Los Angeles. Popatrz, jak tu pięknie, dobrze?

W drodze powrotnej do French Landing – tylko światła jego reflektorów było widać na długiej prostej drodze 93 – Dale zastanawiał się, czy rodzice Jacka nie działali w jakiejś sferze branży rozrywkowej, której ich dorosły syn się wstydził. Na przykład pornografii. Może tatko kręcił filmy z gołymi babami, a mama była ich gwiazdą? Ludzie nagrywający świńskie filmy kosili pewnie dużą forszę, zwłaszcza jeśli wszystko pozostawało w rodzinie. Zanim licznik przeskoczył o kolejną dziesiątą część mili, wspomnienie małego Fairfielda Pottera obróciło satysfakcję Dale’a w proch. Żadna kobieta zarabiająca na życie uprawianiem seksu z nieznanymi przed kamerą nie wydałaby sporej ilości pieniędzy na taki obraz.

Wniknijmy do kuchni Jacka. Poranny „Herald” leży rozłożony na stole; czarna patelnia, przed chwilą polana olejem, grzeje się na kółku niebieskich płomyków na przednim lewym

palniku kuchenki gazowej. Wysoki, wysportowany, wyglądający na nieobecnego duchem mężczyzna w starej bluzie z godłem uniwersytetu stanu Kalifornia, dżinsach i włoskich pantoflach barwy melasy przegarnia trzepaczką kilka świeżych jajek w misce z nierdzewnej stali.

Widząc, jak wpatruje się w pustą przestrzeń sporo nad miską, konstatujemy, że ładny dwunastolatek, ostatnio widziany przez nas na czwartym piętrze opustoszałego hotelu w New Hampshire, wyrósł na mężczyznę, którego przystojny wygląd odgrywa najpośledniejszą rolę w tym, co czyni go interesującym. To bowiem, że Jack naprawdę jest interesujący, staje się oczywiste w jednej chwili. Nawet gdy czymś się martwi bądź pochłania go bez reszty jakaś tajemnica, na widok zmarszczenia brwi towarzyszącego zadumie możemy z powodzeniem zaryzykować twierdzenie, iż Jack Sawyer emanuje przekonującym autorytetem, choćby tego nie chciał. Sam jego widok mówi nam, że jest to jeden z tych ludzi, do których inni zwracają się, gdy czują się zdeprimowani, zagrożeni czy pozbawieni przez okoliczności możliwości działania. Inteligencja, zdecydowanie i wiarygodność ukształtowały te rysy i odcisnęły się na nich tak dobitnie, że ich atrakcyjność nie liczy się w porównaniu z tym, co się pod nimi kryje. Ten człowiek nigdy nie przystaje, by popodziwiać się w lustrze – nie ma miejsca na próżność w jego charakterze. Staje się całkowicie zrozumiałe, dlaczego został wschodzącą gwiazdą w Departamencie Policji Los Angeles, jegoteczka personalna pęczniała od pochwał i został wybrany do kilku programów szkoleniowych i ćwiczebnych, prowadzonych przez FBI w celu promowania właśnie takich oficerów. (Wielu kolegów i przełożonych Jacka mówiło po cichu, że około czterdziestki zostanie pewnie naczelnikiem policji w mieście w rodzaju San Diego czy Seattle i jeśli wszystko się dobrze ułoży, dziesięć–piętnaście lat później awansuje do San Francisco czy Nowego Jorku).

Co bardziej zdumiewające, wiek Jacka wydaje się mieć nijak do jego atrakcyjności: roztacza aurę, jakby przeżył już wiele żywotów lub jakby był w miejscach i widział rzeczy, których nie dane jest poznać zwykłym śmiertelnikom. Nic dziwnego, że Dale Gilbertson go podziwiał; nic dziwnego, że marzył o jego pomocy. Na jego miejscu też byśmy tego pragnęli, lecz wcale by nam się lepiej nie powiodło. Ten człowiek przeszedł na emeryturę, wyłączył się z gry, przykro, cholerna szkoda, ale jak chcesz zrobić omlet, to musisz rozbić jajka, jak powiedział John Wayne do Deana Martina w „Rio Bravo”.

– I jak mówiła mi moja mama – odzywa się do siebie Jack. – Mówiła: „Synku – tak mówiła – kiedy Duke – Wayne miał taki przydomek – się odzywał, to każdy jeden nastawiał uszu, chyba że wsiadał na któregoś ze swoich wielu politycznych koników”, tak mówiła, dokładnie jej słowa, tak jak przy mnie stała. – Pół sekundy później Jack dodaje: – Tamtego pięknego ranka w Beverly Hills – i wreszcie dociera do niego, co robi.

Mamy przed sobą wyjątkowo samotnego człowieka. Samotność od tak dawna była znajomą Jacka Sawyera, że traktuje ją jak coś naturalnego; to, czego nie potrafisz zmienić, staje się wreszcie tłem, prawda? Mnóstwo rzeczy – porażenie mózgowe czy choroba Lou

Gehriga, by wymienić tylko dwie – jest gorszych niż samotność. Samotność to część programu, to wszystko. Nawet Dale zauważył ten składnik charakteru przyjaciela, a mimo licznych zalet naszego komendanta policji nie można go scharakteryzować jako szczególnie psychologicznie skomplikowanej osoby.

Jack spogląda na zegar nad piecem i stwierdza, że zostały mu trzy kwadranse, zanim będzie musiał pojechać do French Landing, by odebrać Henry'ego Leydena, gdy skończy się jego zmiana. Świetnie; Jack ma dużo czasu, trzyma się w garści – z podtekstem: Wszystko w porządku i nic mi nie jest, bardzo dziękuję za zainteresowanie.

Gdy Jack obudził się tego ranka, cichy głos w jego umyśle oświadczył: Jestem glinicjantem. Jak cholera, pomyślał i powiedział głosowi, żeby zostawił go w spokoju. Cichy głos może sobie iść do diabła. Jack zrezygnował z bawienia się w glinicjanta, rzucił śledztwa w sprawie zabójstw...

...światła karuzeli, odbite od tysej głowy martwego Murzyna na molo w Santa Monica...

Nie. Nie wchodzi tam. Nie... po prostu nie, i tyle.

Jack nie powinien zresztą być wtedy w Santa Monica. Santa Monica miało własnych glinicjantów. O ile wiedział, była to paczka fantastycznych gości, chociaż zapewne nie dorównujących standardowi, narzuconemu przez cudowne dziecko, asa, najmłodszego porucznika w wydziale zabójstw policji Los Angeles, czyli jego samego. Jedynym powodem, dla którego as i cudowne dziecko zarazem znalazł się na ich terytorium, było to, że Jack właśnie zerwał z wyjątkowo – a przynajmniej umiarkowanie – miłą mieszkanką Malibu, panną Brooke Greer, scenarzystką bardzo szanowaną w swojej specjalności, czyli mieszankach filmu przygodowego i romantycznej komedii, również osobą obdarzoną nieprzeciętnym dowcipem, przenikliwością i urokiem. Gdy gnał do domu pięknym odcinkiem Pacific Coast Highway, przed zjazdem do kanionu Malibu popadł w pełne nietypowego dla niego niepokoju przygnębienie.

Kilka sekund po skręcie z California Incline do Santa Monica zobaczył jaskrawy pierścień pionowej karuzeli, która kręciła się nad sznurami żarówek i ożywionym tłumem na molu. Scena ta przemówiła doń ze swej głębi pospolitym czarem czy też czarującą pospolitością. Wiedziony impulsem Jack zaparkował samochód i ruszył w stronę promieniących wśród ciemności konstelacji jaskrawych lamp. Ostatni raz był na molu w Santa Monica jako podekscytowany sześciolatek, ciągnął Lily Cavanaugh Sawyer za rękę jak pies na smyczy.

To, co się później wydarzyło, było dziełem przypadku. Było zbyt pozbawione znaczenia, by określić to zbiegiem okoliczności. Zbieg okoliczności łączy dwa dotychczas niepowiązane elementy większej historii. Tu nic się nie łączyło; zabrakło większej historii.

Jack dotarł do krzykliwego wejścia na molo i zauważył, że karuzela jednak się nie kręci. Krąg nieruchomych świateł wisiał nad pustymi gondolami. Przez chwilę olbrzymia machina wyglądała jak najeźdźca z kosmosu, sprytnie zakamuflowany i wyczekujący, aż będzie mógł wyrządzić maksymalne zniszczenia. Jack niemal słyszał, jak karuzela mruczy do siebie. Pewnie, pomyślał, szatańska karuzela. Weź się w garść. Jesteś bardziej wstrząśnięty, niż jesteś gotów się przyznać. Następnie popatrzył na scenę przed nim i wreszcie dotarło do niego, że jego dotycząca mola fantazja skrywała rzeczywiste zło tego rodzaju, z którym zbyt dobrze zapoznał się w swoim fachu. Przypadkowo natknął się na wstępny etap śledztwa w sprawie morderstwa.

Niektóre z jaskrawych świateł, jakie rzuciły się mu w oczy, rozbłyskiwały nie na karuzeli, lecz na dachach radiowozów miejscowej policji. Przy końcu mola czterech mundurowych zniechęcało tłum gapiów do przekraczania taśmy znakującej miejsce zbrodni, rozpiętej wokół drugiej, jasno oświetlonej, poziomej karuzeli. Jack chciał dać sobie spokój. Nie było tu dla niego miejsca. Poza tym karuzela budziła w nim jakieś mętne, niewyraźne uczucie – cały zestaw niepożądanych emocji. Pozioma karuzela była bardziej niesamowita od zatrzymanej – pionowej. Karuzele zawsze napawały go trwogą, czyż nie? Malowane koniki, zamarłe w miejscu z obnażonymi zębami i sterczącymi z trzewi stalowymi kołkami – sadystyczny kicz.

Odejdź, powiedział sobie Jack. Rzuciła cię dziewczyna i jesteś w połym nastroju.

A co do karuzel...

Nagle opuszczenie się ciężkiej umysłowej kurtyny zakończyło debatę na temat karuzeli. Jack czuł, jakby pchało go coś w środku, wszedł na molo i ruszył w stronę tłumu, na poły uświadamiając sobie, że popełnia najbardziej nieprofesjonalny czyn w swojej karierze.

Przepchnął się przez tłumek, zanurkował pod taśmą i mignął odznaką policjantowi o dziecięcej twarzy, który starał się go nie wpuścić. Gdzieś blisko jakiś gitarzysta zaczął grać bluesa, którego Jack niemalże rozpoznał; tytuł wypłynął na powierzchnię jego umysłu, po czym utknął w głębinach. Policjant z dziecinną twarzą rzucił Jackowi zdziwione spojrzenie i odszedł, by naradzić się z jednym z Detektywów stojących nad długim kształtem. Lecz Jack nie potrafił się zdobyć, by na niego popatrzeć. Denerwowała go muzyka. W istocie cholernie go wkurzała. Jego irytacja była niewspółmierna do przyczyny, ale ostatecznie co za dureń wymyślił, że morderstwa potrzebują ścieżki dźwiękowej.

Malowany koń stawał dęba, znieruchomiały w krzykliwym świetle.

Jackowi ścisnął się żołądek, a w głębi jego piersi coś gwałtownego i natarczywego, coś, czego za wszelką cenę nie można było nazwać, przeciągnęło się i rozprostowało ramiona. Lub też rozpostarło skrzydła. Owo straszliwe coś chciało się wyswobodzić i dać się poznać. Jack przez chwilę przestraszył się, że zwymiotuje. Ustąpienie tej groźby dało mu moment niepokojącej jasności myśli.

Beztrąsko i z własnej woli wkroczył w szaleństwo, wskutek czego sam oszalał. Nie sposób było tego inaczej określić. W jego stronę maszerował z wyrazem eleganckiej

kombinacji niedowierzania i furii detektyw Angelo Leone – przed zasłużonym przeniesieniem do Santa Monica kolega Jacka, wyróżniający się łapczywością, zdolnością do brutalności i korupcji, pogardą dla wszystkich cywilów bez względu na kolor, rasę, religię i status społeczny oraz by zachować uczciwość, całkowitym brakiem strachu oraz bezgraniczną lojalnością wobec wszystkich oficerów policji, którzy stosowali się do programu i postępowali tak samo jak on – to znaczy robili wszystko, na czym tylko nie można było ich złapać. Pogarda Angela Leone dla niestosującego się do programu Jacka równała się jego odrazie do sukcesów młodszego mężczyzny. Za kilka sekund Jack miał stanąć twarzą w twarz z tym brutalnym jaskiniowcem. Zamiast obmyślać, jak się przed nim wytłumaczy, dostawał jednak obsesji na punkcie karuzeli i gitar, był zaaferowany szczegółami pogrążania się w obłędzie. Nie potrafił wytłumaczyć, co się z nim dzieje. Wyjaśnienia były niemożliwe. Wewnętrzna potrzeba, która pchnęła go w to położenie, nadal się w nim donośnie odzywała, ale Jack nie miał co wspominać o niej Angelowi Leone. Nie potrafiłby też przedstawić racjonalnego wytłumaczenia swojemu kapitanowi, gdyby Leone złożył skargę.

Cóż, widzi pan, czułem się jak pociągana za sznurki marionetka, jakby ktoś inny kierował samochodem...

Pierwsze słowa, które padły z mięsistych ust Angela Leone, ocaliły go przed katastrofą.

– Nie mów mi, że masz jakiś powód, by tu być, ambitny kutasie.

Piracka kariera policjantów w rodzaju Leone automatycznie narażała ich na ryzyko oficjalnego dochodzenia. Strategiczne przeniesienie do sąsiedniej jednostki policji dawało nikłą ochronę przed tajnymi wykopaliskami archeologicznymi, jakie wydział wewnętrzny prowadził w dokumentacji, i krążącymi opiniami, gdy dziennikarze się do nich dobrali. Co dekadę czy dwie naprawiacze świata, panikarze, maruderzy, kapusie, wkurzeni cywile i policjanci, zbyt głupi, by przyjąć uświęcony przez lata program, zbierali się, wsadzali petardę w zbiorowy odbyt prasy i inaugurowali orgię upuszczania krwi. Wywołana winą paranoja, zasadnicza cecha Angela Leone, natychmiast podsunęła mu myśl, że as wydziału zabójstw w Los Angeles chce mu obrobić tyłek.

Właśnie tak, jak się Jack spodziewał, twierdzenie, że miejsce zbrodni przyciągnęło go jak strażackiego konia do pożaru, podsycało jedynie podejrzenia Angela Leone.

– No dobrze, przypadkiem trafiłeś na moje śledztwo. Świetnie. Teraz mnie posłuchaj. Jeśli przez następne pół roku, nie, poprawka, kiedykolwiek przypadkiem usłyszę twoje nazwisko w jakimś kontekście, który mi się nie spodoba, to przez resztę życia będziesz sikał przez rurkę. Teraz wypierdalaj stąd i daj mi się zająć moją pracą.

– Już znikam, Angelo.

Po połyskującym molu zaczął iść w ich stronę partner Angela. Leone skrzywił się i dał mu machnięciem ręki znak, żeby się nie zbliżał. W niezamierzony sposób, nawet się nad tym nie zastanawiając, Jack pozwolił swojemu spojrzeniu przenieść się z detektywa na zwłoki przed karuzelą. Gwałtowna istota we wnętrzu jego piersi przeciągnęła się o wiele potężniej

niż za pierwszym razem, rozpostarła skrzydła, wyprostowała ramiona, szpony – cokolwiek, czym była obdarzona – szarpiąc się do góry i za wszelką cenę próbując zerwać z uwięzi.

Skrzydła, ramiona, szpony zgmiotły płuca Jacka. Okrutne pazury wpiły się w jego żołądek.

Jest jedna rzecz, której detektywowi z wydziału zabójstw, zwłaszcza porucznikowi, nie wolno nigdy zrobić: w konfrontacji z denatem nie wolno mu zwymiotować. Jack próbował utrzymać się po szacownej stronie Zakazanego. Żółć wezbrała mu w gardle i przymknął oczy. Pod jego powiekami zawirowała konstelacja rosnących plamek. Stwór, giętki i ohydny, szarpał się w więzach.

Światła odbijały się od tysego ciemienia martwego Murzyna, leżącego obok karuzeli...

Nie ty. Nie, nie ty. Pukaj, ile chcesz, ale nie wolno ci wejść.

Skrzydła, ramiona, szpony cofnęły się; stwór skurczył się do wielkości drzemiącego okruchu. Z powodzeniem uniknąwszy Zakazanego, Jack zauważył, że może otworzyć oczy. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. W polu jego widzenia pojawiły się pobrużdżone czoło, mętne oczy i drapieżne usta Angela Leone; znajdowały się w odległości sześciu cali i wypełniały cały widok.

– Co tutaj robimy? Przegląd sytuacji?

– Chciałbym, żeby ten idiota schował wreszcie gitarę.

I sprawa stanowiąca jeden z najdziwniejszych szczegółów tego wieczora:

– Gitara? Nie słyszę żadnej gitary.

Ani ja, zdał sobie sprawę Jack.

Czy dowolna racjonalna osoba nie spróbowałaby usunąć takiego epizodu z pamięci? Wyrzucić takiego śmiecia za burtę? Nie można nic z tym zrobić, nie można tego wykorzystać, więc po co to trzymać? Incydent na molu nic nie znaczy. Nie łączy się z niczym oprócz siebie samego i do niczego nie prowadzi. Jest bez znaczenia. Gdy Jacka skasowała kochanka, stracił na jakiś czas punkt odniesienia, doznał chwilowej aberracji i bezprawnie wkroczył na miejsce zbrodni na cudzym terenie. Była to zaledwie zawstydzająca omyłka.

Pięćdziesiąt sześć dni i jednaście godzin później as wśliznął się do gabinetu swojego kapitana, złożył odznakę oraz broń i oświadczył ku niezmiernemu zdziwieniu przełożonego, że natychmiast odchodzi ze służby. Niewiedzący nic o konfrontacji z detektywem Leone na molu w Santa Monica kapitan nie wypytywał, jaki wpływ na decyzję porucznika mogła mieć zatrzymana karuzela i martwy Murzyn; gdyby to zrobił, Jack powiedziałby mu, by nie był śmieszny.

Nie wchodzi tam, radzi sobie Jack i doskonale mu się to udaje. Doświadcza kilku mimowolnych przeblysków, nic więcej – stroboskopowych migawek uniesionego łąba drewnianego konika, zezłoszczonej gęby Angela Leone, również czegoś jeszcze, obiektu

zajmującego w każdym sensie środek sceny, tego, czego za wszelką cenę on, Jack, nie może być świadkiem... gdy tylko pojawiają się te wyobrażone błyskawice, odsyła je z powrotem. Smakuje to jak magiczna sztuczka. To magia, dobra magia. Wie doskonale, że to bohaterskie odpędzanie obrazów stanowi formę samoobrony, i chociaż przyczyny, dla których potrzebna jest ochronna magia, pozostają niejasne, sama potrzeba stanowi dostateczny motyw. Jak chcesz zrobić omlet, to musisz rozbić jajka, by zacytować niepodważalny autorytet – Duke’a Wayne’a.

Jack Sawyer ma ważniejsze sprawy na głowie niż sugestie głosu ze snu, wypowiadającego słowo „policjant” w dziecinnie zniekształcony sposób. Również te sprawy pragnąłby odesłać poprzez wykonanie magicznej sztuczki, ale okropna rzeczywistość nie daje się zbyć; kołuje wokół niego jak stado os.

Ogólnie rzecz biorąc, nasz Jack nie radzi sobie najlepiej. Gra na zwłokę i wpatruje się w jajka, które przestały wyglądać jak należy, chociaż nie potrafi powiedzieć dlaczego. Jajka opierają się interpretacji. Jajka to zresztą najmniejszy problem. Na skraju pola widzenia Jacka tytuł zajmujący całą szerokość pierwszej strony „La Riviere Herald” zdaje się odrywać od arkusza papieru i szybować w jego stronę. RYBAK WCIAŻ GRASUJE NA WOLNOŚCI W... Nie, wystarczy; Jack odwraca się ze straszną świadomością, że afera z Rybakiem to jego wina. Dlaczego nie NA ST ATEN ISLAND czy W BROOKLYNIE, gdzie prawdziwy Albert Fish, jak nikt inny zasługujący na miano skończonego łotra, wyszukał sobie dwie ofiary?

Cała sprawa przyprawia Jacka o mdłości. Dwoje zabitych dzieci, mała Freneau zaginiona i prawdopodobnie martwa, zjedzone części ciał, szaleniec naśladujący Alberta Fisha... Dale uporczywie bombardował go informacjami. Szczegóły wnikają w organizm Jacka jak skażenie. Im więcej się dowiaduje – a jak na człowieka, który naprawdę chciał się wyłączyć z obiegu, Jack dowiedział się zdumiewająco dużo – tym więcej trucizny krąży w żyłach, zniekształcając postrzeganie rzeczywistości. Zamieszkał w dolinie Norway, uciekając przed światem, na którym nagle nie można było już polegać, jakby zrobił się z gumy, jakby topił się wskutek wysokiej temperatury i ciśnienia. Przez ostatni miesiąc w Los Angeles presja stała się nie do wytrzymania. Monstrualne możliwości czaiły się w zaciemnionych oknach i szczelinach między budynkami, grożąc, że nabiorą kształtu. W wolne dni uczucie zatapiających płuca pomyj sprawiało, że Jack łapczywie chwycił powietrze i walczył z mdłościami, dlatego też pracował bez wytchnienia, po drodze rozwiązując więcej spraw niż kiedykolwiek wcześniej. (Sam sobie postawił diagnozę, że nie wytrzymuje napięcia w pracy, lecz trudno nam dziwić się kapitanowi, że był zdumiony rezygnacją swojego asa).

Jack uciekł do tego mało znanego zakątka kraju, tego sanktuarium, przystani na skraju żółtej łąki, oddalonego od świata grózb i szaleństwa, oddalonego o dwadzieścia mil od French Landing, oddalonego nawet spory kawałek od Norway Valley Road. Warstwy izolacji nie spełniły jednak swojego zadania. To, przed czym próbował uciec, znów się burzy w jego

samotni. Jeśli ulegnie skupionej na sobie fantazji, będzie musiał przyznać, że to, przed czym umykał, spędziło trzy lata na wywaciwaniu jego śladu i wreszcie zdołało go dopaść.

W Kalifornii przytłoczyły go rygory wynikające z jego pracy; teraz musi utrzymać na dystans nieład w zachodnim Wisconsin. Czasami pod koniec nocy budzi się wskutek echa cichego, trującego głosu, jęczącego: *Nie będę już więcej glinicjantem, dość, za blisko, za blisko*. Jack Sawyer unika zastanawiania się, co jest za blisko; echo dowodzi, że musi uniknąć wszelkiego dalszego skażenia.

Wie, że to fatalnie dla Dale'a, i żałuje zarówno swojej niezdolności włączenia się w śledztwo, jak i niemożności wytłumaczenia tego przyjacielowi. Los tyłka Dale'a waży się na szali, nie ma co do tego wątpliwości. Dale to dobry komendant policji, lepszy, niż potrzeba French Landing, ale źle ocenił polityczne układy i podłożył się stanowym detektywom. Panowie Brown i Black z zachowaniem wszelkich pozorów uszanowania dla lokalnych władz wycofali się pośród ukłonów i pozwolili Dale'owi Gilbertsonowi, który myślał, że wyświadczają mu przysługę, założyć sobie pętlę na szyję. Fatalnie, ale Dale już zdążył zorientować się, że stoi z czarnym workiem na głowie na zapadni. Jeśli Rybak zamorduje jeszcze jedno dziecko... Cóż, Jack Sawyer przesyła Dale'owi najserdeczniejsze wyrazy współczucia. W tej chwili nie może dokonać cudu, trudno. Jack ma na głowie pilniejsze sprawy.

Na przykład czerwone pióra. Małe. Czerwone piórka zajmują znaczną część myśli Jacka, mimo jego wysiłków, by się ich w jakiś magiczny sposób pozbyć. Zaczęło się to na miesiąc przed morderstwami. Gdy pewnego ranka wynurzył się z sypialni i zaczął schodzić na parter na śniadanie, pojedyncze czerwone piórko, puszek mniejszy od dziecięcego palca, zdawało się opadać spod pochylego sufitu nad szczytem schodów. Jego śladem w stronę Jacka poszybowały dwa czy trzy kolejne. Owalny kawałek tynku o promieniu trzech cali zdawał się mrugnąć jak oko i otworzyć. Z oka wydobyła się gruba, gęsta struga piór, które pofrunęły pod sufit, jakby wydmuchnięto je przez słomkę. Eksplozja piór, huragan pierza uderzył Jacka w pierś, uniesione ramiona, głowę.

Ale to...

To nigdy się nie wydarzyło.

Zdarzyło się coś innego; minęła minuta lub dwie, nim to do niego dotarło. Zadziałał w niewłaściwej chwili niesforny neuron. Receptor w mózgu wchłonął zły związek chemiczny – lub zbyt dużo właściwego. Włączniki, co noc uruchamiające obwody wyobraźni, zareagowały na fałszywy sygnał i wytworzyły sen na jawie. Przypominał halucynację, chociaż omamów doznają alkoholicy z rozmiękczonymi mózgami, narkomani i szaleńcy, zwłaszcza schizofrenicy paranoidalni, z którymi Jack miał wiele razy do czynienia w trakcie swojej pracy jako glinicjant. Jack nie pasował do żadnej z tych kategorii, włącznie z ostatnią. Wiedział, że nie choruje na schizofrenię paranoidalną ani żadną inną postać obłądu. Gdybyście pomyśleli, że Jack oszalał, znaczyliby to, że sami zwariowaliście. Miał całkowite

– a przynajmniej dziewięćdziesięcdziewięcioprocentowe – przekonanie, że jest zdrowy na umyśle.

Ponieważ nie cierpi na urojenia, pióra musiały wziąć się ze snu na jawie. Jedyne inne wyjaśnienie oznaczałoby, że istniały naprawdę, lecz piórka nie mają żadnego związku z rzeczywistością. Cóż to byłby za świat, w którym przytrafiałyby się nam takie rzeczy?

George Rathbun nagle grzmi: „Boli mnie, że muszę to powiedzieć, naprawdę boli, bo kocham naszą Piwną Bandę, wiecie, że tak jest, ale nadchodzi pora. kiedy miłość musi zacisnąć zęby i stanąć twarzą w twarz z bolesną rzeczywistością – weźmy na przykład żaloszny stan naszego składu miotaczy. Bud Selig – och, BUUD, tu Houston, czy mnie słyszysz? Możesz natychmiast wrócić na ziemię? Prosimy. Nawet ślepy potrafiłby tak rzucać, żeby uzyskać więcej odbić od tej zbieraniny WYMOCZKÓW, PUSTOGŁÓWÓW I PRZEGRĄNCÓW!”.

Dobry stary Henry. Henry opanował rolę George’a Rathbuna tak doskonale, że widać plamy potu pod jego pachami. Najlepszą z kreacji Henry’ego – zdaniem Jacka – jest jednak niewątpliwie ucieleśnienie bikiniarskiego luzu, zrelaksowany i autorytatywny Henry Shake („Shake, Shook, Szejk Arabski”), umiejący, jeśli ma nastrój, powiedzieć ci, jakiego koloru skarpety miał na sobie Lester Young tego dnia, gdy nagrał „Shoe Shine Boy” i „Lady Be Good”, oraz opisać wnętrza dwóch tuzinów słynnych, lecz przeważnie dawno zamkniętych klubów jazzowych.

...lecz zanim przejdziemy do bardzo równej, bardzo pięknej, bardzo simpatico muzyki, którą pewnej niedzieli trio Billa Evansa raczyło publiczność Village Vanguard, powinniśmy złożyć wyrazy szacunku trzeciemu, wewnętrznemu oku. Uczcijmy wewnętrzne oko – oko wyobraźni. Dobiega końca gorące, czerwcowe popołudnie w Greenwich Village w Nowym Jorku. Z zalanej słońcem południowej części Siódmej Alei wchodzimy w cień markizy Vanguard, otwieramy białe drzwi i zstępujemy po długich, wąskich schodach do przestronnej podziemnej jaskini. Muzycy wchodzą na scenę. Bill Evans wsuwa się na ławkę za fortepianem i kiwa głową publiczności. Scott LaFaro obejmuje swoją gitarę basową. Paul Motion bierze do ręki szczotki. Evan pochyla nisko, bardzo nisko głowę i wspiera palce na klawiszach. Dla tych z nas, którzy mają przywilej tu przebywać, nic nigdy nie będzie już takie samo.

„My Foolish Heart” w wykonaniu tria Billa Evansa, na żywo z Village Vanguard, dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Pozwólcie, że waszym gospodarzem będzie Henry Shake – Shake, Shook, Szejk Arabski.

Jack z uśmiechem wylewa ubite jajka na patelnię, dwa razy miesza je widelcem i odrobinę zmniejsza płomień. Dociera do niego, że zapomniał o zaparzeniu kawy. Do diabła z kawą. Kawa to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje; może napić się soku pomarańczowego. Spojrzenie na toster sugeruje, że zaniedbał również przygotowanie sobie grzanek. Czy ich potrzebuje, czy grzanki są niezbędne? Zastanówcie się nad masłem, nad masami cholesterolu, niemogącymi się doczekać, by mu pozatykać tętnice. Sam omlet jest wystarczająco

ryzykowny; w istocie Jack dochodzi do wniosku, że rozbił o wiele za dużo jajek. Teraz nie może sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle naszła go chęć na omlet. Rzadko je jada. W istocie kupuje jajka raczej z poczucia obowiązku, które wywołuje widok dwóch rzędów owalnych zagłębień u szczytu drzwi lodówki. Skoro ludzie nie powinni kupować jajek, to dlaczego sprzedaje się lodówki z tymi dołkami?

Jack podważa szpatułką skraj twardej, lecz wciąż półpłynnych jajek, przechyla patelnię, by się po niej ślizgały, zgarnia grzyby i szalotki, wreszcie składa całość w pół. W porządku. Dobrze. Nieźle się prezentuje. Przed Jackiem rozciąga się czterdzieści luksusowych, wolnych minut. Wydaje się, że mimo wszystko funkcjonuje nie najgorzej. Nie ma problemów z panowaniem nad sobą.

Wpada mu w oko rozłożony na kuchennym stole „La Riviere Herald”. Gazeta o nim wszakże nie zapomniała i domaga się należytej uwagi. RYBAK WCIĄŻ GRASUJE NA WOLNOŚCI i tak dalej. ZA KRĘGIEM POLARNYM, tak mogłoby brzmieć odpowiednie dokończenie, lecz nie; gdy Jack podchodzi bliżej stołu, spostrzega, że Rybak z uporem pozostaje lokalnym problemem. Spod nagłówka nazwisko Wendella Greena dźga go w oko i więźnie w nim jak kamyk. Wendell Green to skończona, wszędobylska zaraza, stałe źródło rozdrażnienia. Po przeczytaniu pierwszych dwóch akapitów jego artykułu Jack stęka i przyciska dłoń do oczu.

Jestem ślepy, zróbcie mnie sędzią baseballowym!

Wendela Greena cechuje pewność siebie małomiasteczkowego mistrza sportu, który nigdy nie opuścił rodzinnych stron. Wysoki, wylewny, obdarzony kędzierzawą rudoblond czupryną i godną senatora tuszą, Green kroczy przez bary, sale sądowe oraz miejsca publiczne La Riviere i okolicznych miejscowości, szermując cwaniackim czarem. Wendell Green to reporter, który wie, jak zachowywać się, jak na reportera przystało, staromodny pismak, wspaniała dekoracja „Heralda”.

Przy pierwszym spotkaniu Jack ocenił orła pióra jako trzeciorzędnego pozera; od tej pory nie miał powodów zmienić zdania. W opinii Jacka rezolutna fasada dziennikarza skrywa bezgraniczną zdolność zdrady. Green to puszący się przed lustrem zadufek, ale zadufek przebiegły, a tego rodzaju kreatury są gotowe na wszystko dla realizacji swoich celów.

Po aresztowaniu Thornberga Kinderlinga Green poprosił Jacka o wywiad. Jack odmówił, podobnie jak odrzucił trzy zaproszenia po swojej przeprowadzce na Norway Valley Road. Jego odmowy nie zniechęciły dziennikarza do aranżowania co jakiś czas „przypadkowych” spotkań.

Dzień po znalezieniu ciała Amy St. Pierre Jack wychodził z pralni chemicznej przy Chase z pudłem świeżo upranych koszul pod pachą, gdy poczuł zaciskającą się koło łokcia rękę. Obejrzał się i coś widzi przed sobą: rumianą maskę Wendella Greena na użytek publiczności wykrzywioną w uśmiešku udawanego zachwyty.

– Hej, hej, Holly... – Uśmiezek złośliwego łobuziaka. – To znaczy, poruczniku Sawyer. Hej, cieszę się, że na pana wpadłem. To tu pierze pan sobie koszule? Dobrze sobie z tym radzą?

– Jeśli nie czepiać się, jak obchodzą się z guzikami.

– A to dobre. Zabawny z pana facet, poruczniku. Pozwoli pan, że dam panu radę. „Reliable”, na ulicy Trzeciej w La Riviere? Gość zasługuje na tę nazwę – jest rzetelny. Się-nie-tłucze, się-nie-rwie. Jak pan chce mieć porządnie uprane koszule, proszę korzystać tylko z Chińczaków. Nazywa się Sam Lee. Niech pan go wypróbuje, poruczniku.

– Nie jestem już porucznikiem, Wendell. Niech pan mi mówi Jack lub panie Sawyer. Niech pan mi mówi Hollywood, wszystko jedno. A teraz...

Ruszył w stronę samochodu, lecz Wendell Green poszedł za nim.

– Da radę zamienić z panem parę słów, poruczniku? Przepraszam – Jack? Wiem, że komendant Gilbertson to pana bliski przyjaciel, a co do tej małej dziewczynki, najwyraźniej zbezczeszczonej, straszna sprawa – może pan zaoferować nam swoje doświadczenie, włączyć się w dochodzenie, podzielić się z nami swoimi myślami?

– Chce pan znać moje myśli?

– Wszystko, co może mi pan powiedzieć, stary.

Czysta złośliwość, zupełnie nie na miejscu, natchnęła Jacka, by objąć Wendella ramieniem i powiedzieć:

– Wendell, stary brachu, sprawdź niejakiego Alberta Fisha. Działał w latach dwudziestych.

– Fisch?

– Fish. Ze starej protestanckiej, anglosaskiej rodziny z Nowego Jorku. Zdumiewająca sprawa. Niech pan ją sprawdzi.

Do tej chwili Jack ledwie zdawał sobie sprawę, że pamięta zbrodnie popełnione przez niezwykłego pana Alberta Fisha. Przyćmiły je nowsze rzezie – dzieła Teda Bundy’ego, Johna Wayne’a Gacy’ego czy Jeffreya Dahmera, nie wspominając o tak egzotycznych postaciach, jak Edmund Emil Kemper III, który po popełnieniu ośmiu morderstw odciął głowę swojej matce, ustawił ją na kominku i wykorzystał ją jako tarczę do rzutów strzałkami. (Tytułem wyjaśnienia Edmund III powiedział: „Wydawało się to właściwe”). Mimo to nazwisko zbrodniarza Fisha wychynęło z głębin umysłu Jacka i wyrzekł je wprost w chętnie nadstawione ucho Wendella Greena.

Co w niego wstąpiło? No, na tym właśnie polegało pytanie, prawda?

Ojoj, omlet. Jack chwytą talerz z szafki i sztucę z szuflady, podskakuje do kuchenki, gasi palnik i zsuwa masę z patelni na podstawione naczynie. Siada, otwiera „Heralda” na stronie piątej i czyta, że Molly Kuby zdobyłyby trzecie miejsce w wielkim stanowym konkursie ortograficznym, gdyby nie zastąpiła literą „o” „a” w słowie *opopanaks*; jest to

wiadomość, jaka przystoi lokalnej gazecie. Zresztą jak można spodziewać się, że jakiegokolwiek dziecko poprawnie napisze *opopanaks!*

Jack przełyka dwa lub trzy kęsy omletu, zanim szczególny posmak w ustach odrywa go od potwornej niesprawiedliwości, której ofiarą padła Molly Kuby. Osobliwy smak kojarzy się ze spalonymi śmieciami. Jack wypluwa jedzenie z ust i widzi bryłę szarej papki oraz surowych, częściowo pogryzionych warzyw. Niezjedzona reszta śniadania przestała wyglądać apetycznie. Jack nie usmażył tego omletu, ale go zrujnował.

Opuszcza głowę i jęczy. Jego ciało przenika dreszcz, przypominający ożywający w chaotyczny sposób obwód elektryczny, który tryska iskrami opalającymi jego gardło, płuca, nagle kołaczące się narządy wewnętrzne. *Opopanaks*, myśli. Rozpadam się. Właśnie tu i teraz. Nie, cofnijmy to. Dziki *opopanaks* chwycił mnie w swoje pazury, wstrząsnął mnie budzącym strach *opopanaksem* swoich *opopanaksowych* ramion i chce wrzucić mnie w skłębioną Rzekę *opopanaks*, gdzie czeka mnie mój *opopanaks*.

– Co się ze mną dzieje? – pyta na głos i czuje przerażenie, słysząc swój piskliwy ton.

Opopanaksowe łyzy pieką go w *opopanaksowych* oczach. Podnosi z jękiem swój *opopanaks*, wyrzuca niezjedzoną breję do śmieci, myje talerz i uznaje, że czas wreszcie doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu. Nie *opopanaksujcie* mi tu żadnych *opopanaksów*. Każdy popełnia błędy. Jack przygląda się drzwiom lodówki, starając się przypomnieć, czy zostało w niej jeszcze jajko lub dwa. Pewnie, że tak: zostało ich znacznie więcej, dziewięć czy dziesięć, zapełniają prawie cały rząd owalnych wgłębień u szczytu drzwiczek. Nie mógł ich wszystkich zużyć; jeszcze nie jest z nim tak źle.

Jack zaciska palce na skraju drzwi. W jego umyśle pojawia się całkowicie nieproszony obraz światła odbijających się od łysej głowy Murzyna.

Nie ty.

Osoba, do której się zwraca, jest nieobecna; osoba, do której się zwraca, praktycznie nie jest osobą.

Nie, nie, nie ty.

Drzwi uchylają się pod naciskiem palców Jacka; lampka w środku oświetla pełne półki. Jack Sawyer przygląda się wgłębieniom na jajka. Wyglądają na puste. Dokładniejsze spojrzenie informuje go jednak, że w dołku na końcu pierwszego rzędu zagnieździł się mały, jajo-kształtny obiekt delikatnej niebieskiej barwy – czułego, nostalgicznego błękitu, prawdopodobnie nieuważnie zapamiętanego letniego nieba, jakie widział wczesnym popołudniem jako mały chłopiec, leżąc na plecach na ćwierci akra trawy za eleganckim domem przy Roxbury Drive w Beverly Hills, w Kalifornii. Chłopcze, ktokolwiek jest właścicielem tej działki, to możesz się założyć, że robi w rozrywce.

Jack zna nazwę tego właśnie odcienia błękitu dzięki długiemu przebieraniu w próbkach barwników w towarzystwie pani doktor Claire Evinrude, uroczej i zdecydowanej onkolożki. Było to w okresie, gdy zamierzali pomalować zajmowany wspólnie bungalow w Hollywood

Hills. Claire, pani doktor Evinrude, wybrała ten kolor do głównej sypialni; Jack, który dopiero co wrócił z rozreklamowanego, absurdalnie elitarnego programu szkoleniowego VICAP w Quantico w Wirginii oraz otrzymał awans do stopnia porucznika, zbył go jako, mm, no, może zbyt zimny.

„Jack, widziałeś kiedykolwiek prawdziwe jajo rudzika? – spytała doktor Evinrude. – Masz pojęcie, jakie są piękne?”. Szare oczy doktor Evinrude rozszerzyły się, jakby w myślach ujęła za skalpel.

Jack wkłada dwa palce do zagłębienia i wyjmując z niego mały, jajokształtny przedmiot barwy jaja rudzika. Jest to istotnie jajo rudzika, i co wy na to? „Prawdziwe”, używając określenia pani doktor Claire Evinrude, jajko rudzika, uformowane w ciele rudzika, czasami nazywanego również raszka. Jack kładzie jajko w lewej dłoni. Bładoniebieski ovoid wielkości żółędzia spoczywa na niej nieruchomo. Wydaje się, że Jacka opuściła zdolność myślenia. Cóż on narobił, do diabła, kupił jajko rudzika? Nie, to bzdura, trudno, coś mu się poopopanaksowało. Sklep „U Roya” nie handluje jajkami rudzików. Już po mnie.

Powoli, sztywno i niezgrabnie jak zombi Jack przechodzi przez kuchnię do zlewu. Wyciąga lewą rękę nad otworem w jego środku i jajko rudzika się stacza, a następnie wpada do zgniataki śmieci. Prawą ręką Jack uruchamia urządzenie ze zwykłym hałaśliwym rezultatem. Wrrr, brrr, grrr, potwór syci się z chrzęstem małą przekąską. Grrr. Obwód pod napięciem podryguje w ciele Jacka, siejąc iskrami, Jack zamienił się jednak w truposzczaka i prawie nie zwraca uwagi na wewnętrzne wstrząsy. Ogólnie rzecz biorąc, po rozważeniu wszystkich okoliczności, Jack ma w tej chwili najbardziej ochotę na...

When the red, red...

Nie wiadomo dlaczego nie dzwonił do matki od bardzo, bardzo dawna. Nie umie odpowiedzieć sobie, dlaczego tego nie zrobił; najwyższy czas, by zatelefonował. Dźwięk głosu Lily Cavanaugh Sawyer, Królowej Filmów Klasy B, jego jedynej towarzyszką w przepełnionym natchnieniem, transcendentalnym, rygorystycznie zapomnianym pokoju hotelowym w New Hampshire, jest właśnie tym, czego Jack Sawyer potrzebuje w tej chwili. Lily Cavanaugh jest jedyną osobą na świecie, której może zwierzyć się z niedorzecznego chaosu, w jakim się pogryził. Mimo niejasnej, niepożądanego świadomości przekroczenia surowo pojmowanych granic racjonalności, a przez to jeszcze większego zwątpienia w zdrowe zmysły, Jack przechodzi wzdłuż kuchennego blatu, bierze telefon komórkowy i wybiera numer eleganckiej rezydencji przy Roxbury Drive w Beverly Hills, w Kalifornii.

Telefon w jego dawnym domu dzwoni pięć razy, sześć, siedem. Odbiera jakiś mężczyzna o gniewnym, nieco pijanym głosie, najwyraźniej zniekształconym od snu. – Kimberly – mówi. – O cokolwiek chodzi... mam nadzieję dla twojego własnego dobra... że to naprawdę bardzo ważna sprawa.

Jack naciska klawisz przerywania połączenia i składa telefon. Och, Boże, och, do diabła, och, cholera. Minęła dopiero piąta rano w Beverly Hills, Westwood, Hancock Park czy

gdziekolwiek, gdzie znajduje się teraz abonent, któremu przydzielono jego stary numer. Och, do diabła, och, cholera, och, Boże, lepiej już nie mógł się spisać.

Rozpacz Jacka, wyostrająca się gdzieś pod powierzchnią, znów się spod niej wyłania i dźga go, jakby to był pierwszy raz, prosto w dziesiątkę, prosto w środek serca. Równocześnie myśl, że choćby przez sekundę mógł zapomnieć, że jego matka nie żyje, wydaje się mu, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, niezmiernie i niepowstrzymanie śmieszna. Jak bardzo idiotycznie można się zachowywać? Obita gąbką pała zdzieliła go w tył głowy; nie wiedząc, czy wybuchnie szlochem, czy zacznie zanosić się śmiechem, Jack przez chwilę doznaje zawrotów głowy i wpada ciężko na kuchenny blat.

Przypomina sobie określenie matki: pierdzielący frajer. Lily używała go wobec partnera w interesach jej nieżyjącego męża – w okresie gdy podejrzliwi księgowi odkryli krótko po jego śmierci, że ów partner, Morgan Sloat, kierował do własnej kieszeni trzy czwarte dochodów ze zdumiewająco wielu nieruchomości firmy Sawyer and Sloat. Rok w rok od śmierci Phila Sawyera w tak zwanym wypadku na polowaniu Sloat okradał rodzinę swojego partnera na wiele milionów dolarów. Lily skierowała strumień gotówki z powrotem we właściwe łóżysko i sprzedała połowę udziałów w firmie nowym partnerom, równocześnie zapewniając swojemu synowi olbrzymi przychód, nie wspominając o corocznych wpływach, z których oprocentowanie Jack kieruje na szlachetne cele poprzez założone przez siebie fundacje. Lily używała wobec Sloata określeń o wiele barwniejszych niż pierdzielący frajer, ale właśnie to Jack słyszy teraz w duchu.

Mówi sobie, że pewnie jeszcze w maju natknął się na jajo rudzika podczas spaceru po łące i w roztargnieniu schował je do lodówki. By nic mu się nie stało. Ostatecznie miało delikatny odcień błękitu, piękny, by zacytować panią doktor Evinrude. Tak długo je przechowywał, by nic mu się nie stało, że do reszty o nim zapomniał. Dlatego właśnie, dochodzi do wniosku z satysfakcją, w jego śnie na jawie doszło do zamieci czerwonych piórek!

Nic nie dzieje się bez przyczyny, choć może być ona ukryta; rozluźnij się i odpręż dostatecznie długo, żeby przestać być pierdzielącym frajerem, a pewnie zdołasz dogrzebać się powodu.

Jack pochyla się nad zlewem i w celu odświeżenia się zarówno wewnętrznego, jak i zewnętrznego, zanurza twarz w złączonych, wypełnionych wodą dłoniach. Przez chwilę oczyszczający wpływ likwiduje skutki zepsutego śniadania, idiotycznego telefonu i żrących przebłysków pamięci. Nadszedł czas nakładać wrotki i ruszać. Za dwadzieścia pięć minut najlepszy przyjaciel i jedyny powiernik wyjdzie przez frontowe drzwi rozgłośni KDCUAM zbudowanej z pustaków, sprawiając typowe dla siebie wrażenie, że ma oczy dookoła głowy, podsunie płomień złotej zapalniczki pod czubek papierosa i ruszy płynnie podjazdem w stronę Peninsula Drive. Jeśli owa świadomość, co dzieje się dookoła, poinformuje go, że Jack

Sawyer czeka na niego w pikapie, nieomylnie sięgnie do klamki i wsiądzie do środka. Pokazy luzu tego ślepca są zbyt oszałamiające, by je przepuścić.

I Jack nie przepuszcza ich, gdyż mimo kłopotów tego ranka, które dzięki widokom, oferowanym przez drogę poprzez uroczą okolicę wydają się ostatecznie trywialne, jego pikap *zjeżdża* z Pennisula Drive i zatrzymuje się przed budynkiem KDCUAM o 7.55 – przynajmniej pięć minut przed czasem, gdy jego przyjaciel wyjdzie na światło dzienne. Henry na pewno dobrze podzielała na Jacka; sam widok Leydena działa kojąco na duszę. Jack na pewno nie jest pierwszym mężczyzną (czy kobietą) w historii świata, tracącym (tracącą) panowanie nad sobą wskutek stresu; nie on pierwszy zapomniał (zapomniała), że jego (lub jej) matka odeszła z tego padolu łez i przebywa obecnie w jakiejś wyższej sferze. Naturalne, że zestresowani śmiertelnicy szukają u matek pociechy i uspokojenia. Impuls ten jest zakodowany w naszym DNA. Gdy Henry usłyszy tę historyjkę, zachichocze i powie Jackowi, żeby uzupełnił sobie poziom oleju w głowie.

Jeśli zaś się nad tym zastanowić, to po co psuć Henry’emu humor tak absurdalną historyjką? To samo odnosi się do jajka rudzika, zwłaszcza że Jack nie mówił Henry’emu o swoim śnie na jawie, dotyczącym zamieci piór, a nie ma ochoty angażować się w mozolne wyjaśnianie tła. Żyj terazniejszością; niech przeszłość leży spokojnie w swej mogile. Unoś wysoko podbródek i omijaj kałuże. Nie zwracaj się do swoich przyjaciół po terapię.

Jack włącza radio i naciska klawisz, pod którym ma zakodowaną KWLA FM, stację filii uniwersytetu stanu Wisconsin w La Riviere i siedzibę zarówno Szczura z Wisconsin, jak i Henry’ego Shake’a, Shooka, Szejka. Z ukrytych głośników w samochodzie sączy się elektryzująca muzyka, która sprawia, że Jackowi stają dęba włosy na przedramionach: Glenn Gould, szeroko otwarte świetliste, wewnętrzne oko, z brawurą wykonujący jakiś utwór Bacha, choć Jack nie potrafi powiedzieć który. Ale Glenn Gould, ale Bach – na pewno. Chyba jedna z partit.

Henry Leyden wychodzi z płytą kompaktową w dłoni przez skromne drzwi z boku rozgłośni, wynurza się na światło słońca i bez wahania rusza płynnie po płytkach chodnika, trafiając nieomylnie w ich środki podeszwami zamszowych półbutów barwy czekolady Hershey.

Henry... Henry to wizja.

Jack widzi, że dzisiaj Henry wystroił się w jeden z kostiumów w stylu malajskiego właściciela lasu tekowego, lśniące szelki i odziedziczoną fedorę z tak ostrymi kantami, że daj Panie Boże zdrowie. Gdyby Jack nie został tak serdecznie wprowadzony w tajniki życia Henry’ego, nie wiedziałby, że umiejętność bezbłędnego ubierania się jego przyjaciela zależy od dokładnego organizowania olbrzymiej garderoby, co dawno temu przeprowadziła Rhoda Gilbertson Leyden, zmarła żona Henry’ego. Rhoda uporządkowała wszystkie ubrania męża w zależności od pory roku, stylu i koloru. Henry wyuczył się szczegół po szczególe całego

systemu na pamięć. Choć jest ślepy od urodzenia, a przez to niezdolny do odróżnienia pasujących i niepasujących odcieni, nigdy się nie myli.

Henry wyjmując z kieszonki koszuli złotą zapalniczkę i złotą paczkę papierosów, przypala, wydycha przejrzysty obłok, rozświetlony przez jaskrawy blask do barwy mleka – a równocześnie bez najmniejszego wahania idzie dalej środkiem chodnika.

Różowe, pochylone w tył duże litery napisu: TROY KOHA MARYANN! NO! na tablicy na gołym trawniku sugerują, że: 1) Troy spędza wiele czasu na słuchaniu KDCUAM i 2) Maryann odwzajemnia jego miłość. I bardzo dobrze, dla niego i dla niej. Jack pochwała deklarację miłości, nawet wykonaną różowym sprayem, oraz życzy kochankom szczęścia i przychylności losu. Przychodzi mu do głowy, że jeśli w obecnym stadium swego życia może powiedzieć, iż kogoś kocha, to właśnie Henry'ego Leydena. Nie w takim sensie, w jakim Troy kocha Maryann czy vice versa, lecz mimo wszystko kocha go – co jeszcze nigdy nie było równie jasne jak w tej chwili.

Henry przemierza ostatnie pfyty i podchodzi do krawężnika. Jednym krokiem dociera do drzwi pikapa. Zaciska dłoń na wpuszczanej metalowej ręczce, otwiera drzwi, stawia stopę na brzegu wejścia i wsuwa się do środka. Przekrzywia głowę, nadstawiając prawe ucho w stronę źródła muzyki. Lśnią ciemne szkła jego lotniczych okularów.

– Jak ci się to udaje? – pyta Jack. – Tym razem pomogła ci muzyka, ale przecież jej nie potrzebujesz.

– Udaje mi się, bo jestem absolutnie i totalnie zajebisty – mówi Henry. – Nauczyłem się tego uroczego słówka od naszego ćmiącego trawkę stażysty, Morrisa Rosena, który raczył go użyć w odniesieniu do mnie. Morrisowi wydaje się, że jestem bogiem, ale co nieco warzy się mu pod dekle, bo domyślił się, że George Rathbun i Szczur z Wisconsin to ta sama osoba. Mam nadzieję, że dzieciak nie puści pary z gęby.

– Ja też – odpowiada Jack – ale nie pozwolę ci zmienić tematu. Jak zawsze udaje ci się od razu otworzyć drzwi? Jak znajdujesz klamkę, w ogóle za nią nie macając?

Henry wzdycha.

– Klamka mówi mi, gdzie jest. To chyba oczywiste. Muszę się tylko w nią wsłuchać.

– Klamka wydaje dźwięk?

– Nie taki jak twoje nowoczesne radio i „Wariacje goldbergowskie”. Nie, to raczej wibracja. Dźwięk dźwięku. Dźwięk wewnątrz dźwięku. Czy Daniel Barenboim to nie wspaniały pianista? Posłuchaj tylko, człowieku – każda nuta ma inną barwę. Ma się ochotę pocałować klawę Steinwaya, mały. Wyobraź sobie, jakie musi mieć mięśnie dłoni.

– To Barenboim?

– No a kto inny? – Henry powoli obraca twarz w stronę Jacka. W kąciakach jego ust pojawia się irytujący uśmiezek. – Ach, rozumiem. No tak. Ponieważ znam cię na wylot, tandeciarzu, domyślałem się, że doszedłeś do wniosku, iż to Glenn Gould.

– Nieprawda – odpowiada Jack.

– Proszę.

– Może przez minutę zastanawiałem się, czy to Gould, ale...

– Nieprawda, nieprawda, nieprawda. Nawet nie próbuj bujać. Zdradza cię głos. Każde słowo kończy się tak piskliwym przydechem, że żalność bierze. Jedziemy z powrotem do doliny Norway czy wolisz siedzieć tutaj i starać się mnie oszukać? W drodze do domu chcę ci o czymś opowiedzieć. Podnosi płytę. – No dobrze, wybawię cię z opresji. Dał mi to ten chłopak, który pali trawkę. Stara śpiewka Supremes w wykonaniu Dirtysperm. Co do mnie, to brzydzę się czymś takim, ale może się idealnie nadawać dla Szczura z Wisconsin. Włącz siódmy utwór.

Pianista w niczym nie przypomina już Glenna Goulda, a muzyka zdaje się zwalniać do połowy poprzedniego metrum. Jack wybawia się z opresji i wsuwa płytę w kieszeń pod radiem. Naciska klawisz, potem drugi. Z głośników bucha obłąkańczo szybkie tempo, skrzek poddanych niewymownym torturom szaleńców. Wstrząśnięty Jack zatacza się w tył na fotelu.

– Mój Boże, Henry – mówi i sięga do regulacji głośności.

– Nie śmieć dotknąć tego pokręta – mówi Henry. – Jeśli od tego szajsu nie pójdzie ci krew uszami, to nie spełnił swojego zadania.

„Uszy”, jak Jackowi wiadomo, to w jazzowym żargonie określenie zdolności wycucia, co rozgrywa się w wykonywanym właśnie utworze. Muzyk z dobrymi uszami szybko zapamiętuje melodię i aranżację, którą ma zagrać, wychwytuje lub już zna kryjący się pod motywem podkład harmoniczny oraz nadaża za transformacjami i substytucjami, wprowadzanymi na bieżąco przez kolegów z zespołu. Czy potrafi dokładnie odczytywać zapis na pięciolinii czy nie, muzyk o wielkich uszach opanowuje melodię i aranżację, słysząc ją po raz pierwszy, dzięki bezbłędnej intuicji pojmuje harmoniczne zawłości i natychmiast identyfikuje, jaką nutę i w jakiej tonacji wygrywa klakson taksówki, dzwonek windy czy miauczący kot. Ludzie tacy zamieszkują świat, określany przez cechy szczególne indywidualnych dźwięków, a Henry Leyden jest jednym z nich. Jeśli chodzi o Jacka, uważa on, iż uszy Henry’ego są rangi olimpijskiej, że są klasą same dla siebie.

Właśnie uszy Henry’ego pozwoliły mu odgadnąć wielką tajemnicę Jacka: rolę, jaką jego matka, Lily Cavanaugh Sawyer, odegrała w jego życiu. Nikt inny nie zgłębił nigdy tego sekretu. Niedługo po tym, gdy Dale ich zapoznał, Jack i Henry Leyden nawiązali spokojną, niekosztującą żadnego wysiłku przyjaźń, co zaskoczyło ich obydwóch. Każdy z nich stanowił odpowiedź na samotność drugiego; spędzali dwadzieścia wieczory w tygodniu na wspólnej kolacji, słuchaniu muzyki i rozmawianiu o czymkolwiek, co przyszło im do głowy wyposażonych głośników. Jack jechał samochodem kawałek drogi do ekscentrycznego domu Henry’ego lub też zabierał go do siebie. Mniej więcej po sześciu miesiącach Jack zapytał, czyjemu przyjacielowi nie sprawiłaby przyjemności lektura na głos wybranych przez obydwie strony książek. Henry odpowiedział: „Człowieku, cymes! Wspaniały pomysł. Może

zaczniemy od paru naprawdę pociętych kryminalów?”. Rozpoczęli więc lekturę od Chestera Hinesa i Charlesa Willeforda, zmienili biegi i zabrali się do serii powieści współczesnych, wzbijali się w przestworza przy S.J. Perelmanie i Jamesie Thurberze, po czym ośmieleni zapuścili się w zamki fikcji, wzniesione przez Forda Madoxę Forda i Vladimira Nabokova. (Rozumieli, że gdzieś przed nimi leży Marcel Proust, lecz Proust mógł zaczekać; na razie zabierali się do „Samotni”).

Pewnego wieczora, gdy Jack skończył kolejny odcinek „Dobrego żołnierza” Forda, Henry odchrząknął i rzucił:

– Dale powiedział, że mówiłeś mu, iż twoi rodzice pracowali w branży rozrywkowej. W showbiznesie.

– Zgadza się.

– Nie chcę być nachalny, ale nie obrazisz się, jeśli cię trochę powypyuję? Jeśli nie masz ochoty odpowiadać, po prostu powiedz: nie.

– Zgoda. Pytaj.

– Dziękuję. Czy twoi rodzice pracowali w różnych sferach tej branży?

– Yhm.

– Czy jedno z nich zajmowało się interesami, a drugie występowało?

– Yhm.

– Twoja matka była aktorką?

– Yyhm.

– Na swój sposób sławną aktorką. Nigdy nie zyskała uznania, na jakie zasługiwała, ale od lat pięćdziesiątych do połowy sześćdziesiątych nakręciła mnóstwo filmów, a pod koniec kariery zdobyła Oscara za najlepszą rolę drugoplanową.

– Henry – powiedział Jack. – Skąd...

– Buzia w ciup. Chcę nasycić się tą chwilą. Twoją matką była Lily Cavanaugh. Cudownie. Lily Cavanaugh zawsze była o wiele bardziej utalentowana, niż ludzie potrafili się zorientować. Za każdym razem podnosiła kreowane przez siebie role – twarde dziewczyn, kelnerczek i damulek z pistoletami w torebkach – na nowy poziom. Piękna, bystra, czupurna, bezpretensjonalna – nic, tylko podpisać kontrakt i wejść w rolę. Była mniej więcej sto razy lepsza od wszystkich wokół niej.

– Henry...

– Niektóre z tych filmów miały też dobre ścieżki dźwiękowe. „Lost Summer” Johnny’ego Mandela. Nic go nie zakasuje.

– Henry, skąd wiesz...

– Sam mi powiedziałeś; skąd indziej miałbym wiedzieć? Dzięki drobiazgom w twoim głosie, właśnie stąd. Prześlizgujesz się po „r”, a resztę spółgłosek wypowiadasz w określonej kadencji, która przewija się również w tym, jak układasz zdania.

– Kadencja?

– Możesz się założyć, chłopcze. To przewijający się stale rytm, jakbyś miał osobistego dobosza. Przez cały czas, kiedy czytałeś „Dobrego żołnierza”, zastanawiałem się, gdzie już go wcześniej słyszałem. Pojawiał się i znikał. Parę dni temu wreszcie go namierzyłem. Lily Cavanaugh. Nie możesz mnie winić, że chciałem się przekonać, czy mam rację, prawda?

– Winić cię? – powiedział Jack. – Jestem zbyt oszołomiony, żeby kogokolwiek winić, ale daj mi tylko parę minut.

– Twój sekret jest bezpieczny. Nie chcesz, żeby pierwszą myślą ludzi na twój widok było: Hej, to syn Lily Cavanaugh. Dla mnie ma to sens.

Nie ma co, Henry Leyden ma wspaniałe uszy.

Łomot uniemożliwia rozmowę w toczącym się przez French Landing pikapie. Dirtysperm wypala dziurę w marcepanowym środkiem „Where Did Our Love Go”, przy okazji okrutnie masakrując urocze pięknotki z Supremes. Henry, twierdzący, że brzydzi się takimi kawałkami, osuwa się w fotelu, wspiera kolana o deskę rozdzielczą, kładzie brodę na złożonych w piramidkę palcach i uśmiecha się z przyjemnością. Sklepy na Chase otwarły swe podwoje, a pół tuzina samochodów sterczy z ukośnych miejsc do parkowania.

Czterech chłopców na rowerach skręca z chodnika pod sklepem wielobranżowym Schmitt’s Allsorts i wyjeżdża na ulicę dwadzieścia stóp przed pikapem. Jack wciska hamulec; chłopcy raptownie się zatrzymują i ustawiają obok siebie, czekając, aż samochód przejedzie. Henry prostuje się, sprawdza swoje tajemnicze czujniki i przybiera poprzednią pozycję. Henry miewa się doskonale. Chłopcy nie wiedzą jednakże, co sądzić o hałasie narastającym w miarę zbliżania się pikapa. Wpatrują się w Jacka za przednią szybą z zabarwionym odrazą zdziwieniem, tak jak ich dziadkowie oglądali niegdyś bliźnięta syjamskie i CzłowiekaAligatora na wystawie dziwolągów w najdalszej części wesołego miasteczka. Wszyscy wiedzą, że kierowcy pikapów słuchają tylko dwóch rodzajów muzyki, heavy metalu lub country, więc co odwaliło temu szajbusowi?

Gdy Jack mijają chłopców, pierwszy z nich, chmurny osiłek z rumianą twarzą brutalnie ze szkolnego boiska, pokazuje uniesiony drugi palec. Dwóch następnych nadal imituje swoich pradziadków podczas dzikiego ubawu w 1921 roku i gapi się na niego z idiotycznie rozdziawionymi ustami. Czwarty chłopiec, najsympatyczniejszy z wyglądu w tej grupce dzięki włosom barwy ciemnoblonde pod czapką Piwowarów, bystremu spojrzeniu i roztaczanej przez siebie aurze niewinności, patrzy Jackowi prosto w oczy i rzuca mu miły, nieśmiały uśmiech. Jest to Tyler Marshall, którego czeka wypad – chociaż absolutnie nie zdaje sobie z tego sprawy – na ziemię niczyją.

Chłopcy znikają z tyłu, a Jack spogląda w lusterko i widzi, jak wściekle pedałują ulicą – wyrostek przypominający Sluggo – postać z komiksów – na czele, a najmniejszy i najsympatyczniejszy ostatni, już zostaje za pozostałymi.

– Uliczna sonda przyniosła ocenę Dirtysperm – mówi Jack. – Naszymi ekspertami zostało czterech chłopaków na rowerach.

Ponieważ ledwie może usłyszeć swoje słowa, nie podejrzewa, by Henry je zrozumiał. Wygląda jednak na to, że Leyden doskonale go pojął, ponieważ odpowiada pytaniem, które ginie jednak pośród łomotu.

– Jedna ocena zdecydowanie negatywna, dwie niezdecydowane, lecz skłaniające się w stronę ujemnych, oraz jedna ostrożnie pozytywna – odpowiada mimo wszystko Jack, orientując się mniej więcej, czego dotyczyło pytanie.

Henry kiwa głową. Gwałtowna destrukcja marcepanu kończy się na ulicy Jedenastej hukami i łoskotem. Powietrze wydaje się czystsze, a kolory bardziej wyraziste, jakby wiatr wydmuchał opar z kabiny, jakby świeżo umyto szybę.

– Interesujące – mówi Henry. Sięga bezbłędnie do klawisza otwierającego kieszeń, wyjmując płytę i wkładając do etui. – Bardzo komunikatywna melodia, nie uważasz? Nigdy nie wolno automatycznie zbywać surowej, skoncentrowanej nienawiści. Morris Rosen miał rację. Nadaje się idealnie dla Szczura z Wisconsin.

– Ej, myślę, że zajdą dalej niż Glenn Miller.

– Dobrze, że mi przypomniałeś – odpowiada Henry. – Nigdy się nie domyślisz, co czeka mnie później. Mam występ! Chipper Maxton, a właściwie jego zastępczyni, niejaka Rebecca Vilas, która na pewno ma tak samo wspaniały wygląd jak głos, wynajęła mnie, żebym zakręcił parę płytek na ekstrakoncertach wielkiego Truskawkowego Festynu Maxtona. No, nie mnie – moje stare i od dawna zaniedbywane wcielenie, Symfonicznego Stana, Big Band Mana.

– Trzeba cię podwieźć?

– Nie. Cudowna panna Vilas zajęła się moimi potrzebami, zapewniając mi samochód z komfortowym tylnym siedzeniem dla mojego gramofonu i bagażnikiem wystarczająco dużym, by pomieścić głośniki oraz pudła z płytami. Mimo wszystko dzięki.

– Symfoniczny Stan?

– Odstawione w bikiniarski gajerek, gładko nawijające wcielenie ery bigbandów, a poza tym czarujący, miódopłynny dżentelmen. Dla rezydentów Domu Maxtona przypomnienie ich najlepszych dni oraz radość dla oczu.

– Naprawdę masz bikiniarską marynarkę? – wyrwało się Jackowi. Henry zwraca w jego stronę twarz o nieprzeniknionym uporze. – Przepraszam. Sam nie wiem, co mnie naszło. Zmieńmy temat. To, co powiedziałeś, to znaczy, co George Rathbun powiedział o Rybaku, na pewno bardzo się przyda. Cieszyłem się, że to usłyszałem.

Henry otwiera usta i przywołuje George'a Rathbuna w jego drapieżnej glorii:

– Chłopcy i dziewczęta, oryginalny Rybak, Albert Fish, pożegnał się z tym padłem sześćdziesiąt siedem lat temu. – Niesamowicie jest słyszeć głos tego podkreślonego tłuściocha, wydobywający się z chudej szyi Henry'ego Leydena. Swoim własnym tonem

Henry dodaje: – Mam nadzieję, że to się na coś przydało. Po tym, jak przeczytałem brednie twojego kumpla Wendella Greena w dzisiejszej gazecie, pomyślałem sobie, że George musi to jakoś skomentować.

Henry Leyden uwielbia używać zwrotów w rodzaju: przeczytałem, czytałem, widziałem, oglądałem. Wie, że jego rozmówcy tracą przez to rezon. Nazwał też Wendella Greena „kumplem” Jacka tylko dlatego, że jest jedyną osobą, któremu Jack kiedykolwiek się przyznał, iż naprowadził dziennikarza na dokonane przez Alberta Fisha zbrodnie. Obecnie Jack żałuje, że zwierzył się komukolwiek. Wazeliniarz Wendell Green nie jest jego „kumplem”.

– Ponieważ udzieliłeś niejakiej pomocy prasie – mówi Henry – można by niebezpiecznie oczekiwać, że tak samo zachowasz się wobec naszych granatowych chłopców. Wybacz mi, Jack, ale to ty uchyliłeś te drzwi, ja zaś nie będę się powtarzał. Ostatecznie Dale to mój siostrzeniec.

– Nie wierzę, że mi to robisz – mówi Jack.

– Co robię? Mówię, co myślę? Dale to naprawdę mój siostrzeniec, pamiętasz? Przydałoby mu się twoje doświadczenie, a poza tym żywi głębokie przekonanie, że winien mu jesteś przysługę. Nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś mu pomóc utrzymać posadę? Albo że jeśli kochasz French Landing i dolinę Norway tak, jak twierdzisz, to jesteś winien tutejszej ludności trochę swojego czasu i talentu?

– A tobie nie przyszło do głowy, że jestem na emeryturze, Henry? – odpowiada Jack przez zaciśnięte zęby. – Że śledztwa w sprawie morderstw to ostatnia, dosłownie ostatnia rzecz na świecie, na jaką mam ochotę?

– Oczywiście – mówi Henry. – Ale – znów mam nadzieję, że mi wybaczysz, Jack – jesteś tutaj. Wiem, na co cię stać, co potrafisz. Wiem, jakie masz umiejętności – na pewno o wiele większe niż Dale i prawdopodobnie niż wszyscy ci pozostali, więc nie mogę się nie zastanawiać, w czym do cholery tkwi twój problem.

– Nie mam żadnego problemu – odpowiada Jack. – Jestem cywilem.

– Jak sobie życzysz. W takim razie możemy wysłuchać do końca Barenboima.

Henry przesuwa palcami po klawiszach i wybiera przycisk tunera.

Przez następny kwadrans jedynym dźwiękiem, słyszalnym w kabinie pikapa, jest fortepian Steinway, medytujący nad „Wariacjami goldbergowskimi” w Teatro Colon w Buenos Aires. Istotnie, wspaniale brzmienie, myśli Jack; trzeba być naprawdę nieukiem, by pomylić je z wykonaniem Glenna Goulda. Osoba zdolna do takiej omyłki pewnie nie słyszy przypominającego wibrację dźwięku wewnątrz dźwięku, wydawanego przez klamkę wozu produkcji General Motors.

– Przestań się bocyć – mówi Henry, gdy skręcają z drogi 93 w Norway Valley Road. – Nie powinienem nazwać cię tandeciarzem. I nie powinienem zarzucać ci, że masz problem, bo to ja go mam.

– Ty? – Jack ogląda się na niego z zaskoczeniem. Długie doświadczenie natychmiast podsunęło mu myśl, że Henry chce go poprosić o jakiegoś rodzaju nieoficjalne dochodzenie. Twarz Henry’ego jest jednak zwrócona ku przedniej szybie i niczego nie wyraża. – Jakież ty możesz mieć problem? Poplątały ci się skarpetki? Och – masz kłopoty z którąś z rozgłośni?

– Z tym dałbym sobie sam radę. – Henry urywa, a pauza przeciąga się w długie milczenie. – Chciałem ci powiedzieć, że czuję się, jakbym wariował. Myślę, że tracę rozum.

– Daj spokój.

Jack zmniejsza nacisk na pedał gazu i redukuje prędkość do połowy. Czyżby Henry był świadkiem pierzastej zamieci? Oczywiście, że nie; Henry jest pozbawiony wzroku, a zamieć, którą widział Jack, była wyłącznie snem na jawie.

Henry drży jak widelki stroikowe. Wciąż ma twarz zwróconą ku przedniej szybie.

– Powiedz mi, co się dzieje – mówi Jack. – Zaczynam się o ciebie martwić.

Henry otwiera usta tak minimalnie, że w szczelinie ledwie zmieściłby się opłatek, po czym zamyka z powrotem. Przenika go kolejny dreszcz.

– Hm – mówi. – To trudniejsze, niż myślałem.

Jego suchy, miarowy głos – prawdziwy głos Henry’ego Leydena – w zdumiewający sposób rozmywa się w bezradnym *vibrato*.

Jack zwalnia tak, że pikap ledwie się toczy. Zaczyna mówić, ale decyduje się, że jeszcze zaczeka.

– Słyszę moją żonę – mówi Henry. – Po nocach, kiedy leżę w łóżku. Około trzeciej–czwartej nad ranem. Słyszę, jak Rhoda krząta się w kuchni, jak wchodzi na górę. Na pewno tracę rozum.

– Jak często się to zdarza?

– Ile razy? Nie wiem dokładnie. Trzy lub cztery.

– Próbowaleś wstać i jej poszukać? Zawołać po imieniu?

– I to, i to. – Głos Henry’ego ponownie podskakuje na trampolinie *vibrato*. – Bo byłem pewny, że to ją słyszałem. Jej kroki, to, jak chodzi, jak stawia stopy. Rhoda nie żyje już od sześciu lat. Ale śmieszne, nie? Sam bym pomyślał, że to zabawne, gdybym nie sądził, że mi odbija.

– Wołałeś ją po imieniu – mówi Jack. – Wstawaleś też z łóżka i schodziłeś na dół.

– Jak lunatyk. Jak wariat. „Rhoda? To ty, Rhoda?”. Zeszłej nocy obszedłem cały dom. „Rhoda? Rhoda?”. Można by pomyśleć, że czekałem, aż odpowie. – Henry nie zwraca uwagi na łzy, które wypływają spod lotniczych okularów i toczą się po policzkach. – Bo tak było – o to chodzi.

– Nikogo innego nie było w domu – mówi Jack. – Brakowało śladów, że ktoś dostał się do środka. Wszystko leżało na swoim miejscu i nic nie zginęło.

– O ile mi wiadomo, nie. Wszystko było tam, gdzie powinno. Dokładnie tam, gdzie to pozostawiałem. – Henry podnosi rękę i ociera twarz.

Początek krętego dojazdu do domu Jacka przesuwa się po prawej stronie pikapa.

– Powiem ci, co o tym sądzę – mówi Jack, wyobrażając sobie chodzącego po pograżonym w ciemności domu Henry’ego. – Sześć lat temu przeszedłeś przez wszystko, co wiąże się z żałobą, gdy ktoś, kogo kochasz, umiera i cię zostawia – zaprzeczenie, targowanie się, gniew, ból, cokolwiek, akceptację, całą gamę uczuć – ale potem wciąż tęskniłeś za Rhoda. Nikt nigdy nie mówi, że nadal się tęskni za zmarłymi, których się kochało, ale z tobą właśnie to się dzieje.

– Głęboka myśl – odpowiada Henry. – I pocieszająca.

– Nie przerywaj. Zdarzają się najdziwniejsze rzeczy. Wierz mi, wiem, o czym mówię. Twój umysł się buntuje. Zniekształca to, co mówią zmysły, daje im fałszywe świadectwo. Diabli wiedzą, dlaczego tak się dzieje, ale tak po prostu jest.

– Inny słowami pieprzy mi się w łepetynie – mówi Henry. – O ile się nie mylę, od tego właśnie wyszliśmy.

– Chodzi mi o to – mówi Jack – że człowiekowi mogą się przytrafiać sny na jawie. Ciebie spotkało właśnie coś takiego. Nie masz się czym przejmować. W porządku, dojechaliśmy do twojej drogi. Jesteś już w domu.

Skręca za porośnięty trawą dojazd i podjeżdża pod biały farmerski dom, w którym Henry i Rhoda Leydenowie spędzili piętnaście pogodnych lat od ślubu do wykrycia nowotworu w jej wątrobie. Przez prawie dwa lata po jej śmierci Henry każdego wieczora krążył po domu i włączał światła.

– Sny na jawie? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Sny na jawie nie są niczym niezwykłym – odpowiada Jack. – Zwłaszcza u ludzi, którzy nigdy się nie wysypiają, tak jak ty. – Lub ja, dodaje w milczeniu. – Nie zmyślam tego, Henry. Samemu mi się to zdarzyło raz czy dwa. No, przynajmniej raz.

– Sny na jawie – mówi Henry odmiennym, zastanawiającym się tonem. – Cymes.

– Zastanów się tylko. Żyjemy w racjonalnym świecie. Ludzie nie wracają z zaświatów. Nic nie dzieje się bez powodu, a powody zawsze są racjonalne. To tylko kwestia biochemii czy zbiegu okoliczności. Gdyby powody nie były racjonalne, nigdy byśmy nie zdołali niczego wydedukować i nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co się właściwie dzieje.

– Nawet ślepy to widzi – mówi Henry. – Dzięki za mądrość, którą warto kierować się w życiu. – Wysiada z samochodu i zamyka drzwi. Odchodzi, zawraca i wsuwa głowę przez okno. – Chcesz zacząć „Samotnię” dziś wieczorem? Powinienem wrócić mniej więcej o wpół do ósmej.

– Przyjadę koło dziewiątej.

– Dzyń–dzyń – mówi Henry na odchodnym.

Odwraca się, dochodzi do progu i znika w swoim domu oczywiście niezamkniętym na klucz. Jedyne rodzice zamykają drzwi w tych stronach, a i to jest nowym zjawiskiem.

Jack zawraca samochodem, zjeżdża do Norway Valley Road i w nią skręca. Czuje się, jakby spełnił podwójnie dobry uczynek, ponieważ pomagając Henry'emu, pomógł też sobie. Aż miło, jak czasami układają się sprawy.

Gdy skręca na własną długą drogę dojazdową, z popielniczki pod deską rozdzielczą rozlega się osobliwy grzechot. Jack słyszy go ponownie na ostatnim zakręcie, chwilę przed tym, nim w polu widzenia pojawi się jego dom. Dźwięk przypomina nie tyle grzechot, ile ciche, głuche postukiwanie. Guzika, monety – czegoś takiego. Jack zatrzymuje samochód obok domu, gasi silnik i otwiera drzwi. Po namyśle wyciąga rękę i otwiera popielniczkę.

Pomiędzy karbami na dnie odchylanej kieszeni znajduje malutkie jajko rudzika. Jajko rudzika wielkości migdałowego M&M, sprawiające, że całe powietrze uchodzi mu z płuc.

Jajeczko jest tak błękitne, że nawet ślepy to widzi.

Jack wygarnia je drżącymi palcami z popielniczki. Wpatrując się w nie, prostuje się i zamyka drzwi. Wciąż nie odrywając od niego wzroku, przypomina sobie wreszcie o oddychaniu. Jego dłoń obraca się w nadgarstku i upuszcza jajko, które spada po prostej na trawę. Jack rozmyślnie podnosi stopę i zgniata je na obsceniczną niebieską plamę. Nie oglądając się, chowa kluczyki do kieszeni i rusza w stronę wątpliwego schronienia, jakie stanowi dom.

Część druga

Porwanie Tylera Marshalla

Rozdział piąty

Kiedy jak burza wpadliśmy wczesnym rankiem do Domu Spokojnej Starości Maxtona, widzieliśmy przez chwilę sprzątacza – przypominacie go sobie? W workowatym kombinezonie? Nieco przy tuszy? Z wiszącym w ustach petem mimo tabliczek: NIE PALIĆ! PŁUCA W ROBOCIE!, wywieszonych co dwadzieścia stóp w korytarzach z pokojami pacjentów? Ze szczotką, która wyglądała jak kłęb zdechłych pajaków? Nie? Nie przepraszajcie. Łatwo przeoczyć Petera Wexlera, niegdyś niczym się niewyróżniającego młodzieńca (końcowa średnia ocen w gimnazjum French Landing: 3,8), który ma za sobą niczym się niewyróżniające dorastanie, a obecnie dobija, jak ma nadzieję, do niczym się niewyróżniającego wieku średniego. Jego jedynym hobby jest ukradkowe, mocne szczypanie pleśniejących staruchów, którzy wypełniają jego dni pomrukami, nonsensownymi pytaniami oraz zapachami gazów i siuszków. Najgorsi są zasańcy z Alzheimerem. Wexler zwykł od czasu do czasu gasić papierosy na ich żyłastych grzbietach i pośladkach. Cieszą go ich zduszone krzyki, kiedy dociera do nich żar i zaczyna ich drażnić ból. Mała, szkaradna tortura ma podwójny skutek: sprawia, że staruchy trochę trzeźwieją, i zadowala jakieś wewnętrzne potrzeby Wexlera. W pewien sposób opromienia jego dni. Odświeża widzenie świata. Poza tym komu się mogą poskarżyć?

Och, Boże, pojawił się najgorszy z nich i powłóczy stopami po korytarzu Stokrotki. Charles Burnside ma rozchylone usta, podobnie jak pidżamę z tyłu. Pete ma lepszy, niż miałby ochotę, widok na żyłasty, usmarowany kałem tyłek Burnside'a. Czekoladowe plamy sięgają aż do dołów pod kolanami, Jezus Maria. Staruch wybrał się do toalety, ale troszkę się spóźnił. Pewien kasztanowy koń – nazwijmy go Porannym Gromem – zdążył się wyrwać ze stajni i bez wątpienia zdążył przegalopować również po pościeli Burnside'a.

Dzięki Bogu, że ich oporzędzanie to nie moja robota, myśli Pete i uśmiecha się, nie wypuszczając niedopałka z ust. Oddaję ci głos, Butch.

Biurko koło pokoiów chłopaczków i dziewczynek jest jednak na razie puste. Butchowi Yerxie nie będzie dany widok żeglującego obok zaświnionego tyłka Burny'ego. Butch zapewne wyskoczył na dymka, chociaż Pete setki razy mówił temu idiocie, że wszystkie te

zakazy palenia nic nie znaczą – Chippera Maxtona absolutnie nie obchodzi, kto gdzie pali (ani gdzie przypała niedopałki, jeśli już o to chodzi). Tabliczki rozwieszono w Pałacu Ślińtuchów tylko dlatego, że zobowiązują do tego durne przepisy stanowe.

Pete uśmiecha się szerzej i w tym momencie bardzo przypomina swojego syna Ebbiego, od czasu do czasu przyjaciela Tylera Marshalla (w istocie to właśnie Ebbie Wexler wykonał niedawno brzydki gest pod adresem Jacka i Henry'ego). Pete zastanawia się, czy wyjść na zewnątrz i powiedzieć Butchowi, że czeka go czyszczenie S18 – oraz oczywiście jego lokatora – czy też ma pozwolić mu samemu zauważyć, że Bumy znów się sfajdał. Może Burny wróci do swojego pokoju i pomaluje trochę palcami – powiedzmy, zobrazuje swoją radość? Fajnie by było, ale równie klawo byłoby widzieć minę Butcha, gdy mu powie...

– Pete.

Och, nie. Suka go podeszła. Świetnie wygląda, ale to mimo wszystko suka. Pete przez chwilę stoi w miejscu, łudząc się, że jeśli ją zignoruje, to sobie pójdzie.

Próżna nadzieja.

– Pete.

Odwraca się. Ma przed sobą Rebecę Vilas, obecną flamę szefa. Rebecca włożyła jasnoczerwoną sukienkę, być może dla uczczenia Truskawkowego Festynu!, oraz wysokie szpilki, prawdopodobnie dla uhonorowania własnych doskonałych nóżek. Pete przez chwilę wyobraża sobie, że te doskonałe nóżki obejmują go, a szpilki krzyżują się na jego łądźwiach jak wskazówki zegara, po czym dostrzega tekturowe pudło w jej rękach. Na pewno ma dla niego jakąś robotę. Pete zauważa również migoczący pierścionek na jej palcu, z jakimś kamykiem wielkości cholernego jajka rudzika, chociaż *znacznie* bledszym. Zastanawia się, nie po raz pierwszy zresztą, co musi zrobić kobieta, żeby dostać taki pierścionek.

Postukując stopą, Rebecca czeka, aż się napatrzy. Za jego plecami Charles Burnside idzie dalej wolnym, chwiejnym krokiem w stronę męskiej toalety. Patrząc na ten stary wrak z gruzłowatymi nogami i rozczochranymi włosami barwy dmuchawców, moglibyście pomyśleć, że czasy biegania ma dawno za sobą. Mylilibyście się jednak. Mylilibyście się okrutnie.

– Pszę pani? – mówi wreszcie Pete.

– Do świetlicy, Pete. Natychmiast. I ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie palił w skrzydłach dla pacjentów?

Zanim Pete zdoła sklecić odpowiedź, panna Vilas odwraca się, przy czym w seksowny sposób unosi się jej spódnica, i rusza w kierunku świetlicy Domu Maxtona, gdzie po południu ma się odbyć potańcówka z okazji Truskawkowego Festynu!

Pete z westchnieniem opiera szczotkę o ścianę i idzie za nią.

Charles Burnside jest teraz sam u wylotu korytarza Stokrotki. Nieobecny wyraz niknie z jego oczu, zastąpiony jaskrawym, drapieżnym błyskiem inteligencji. Burnside od razu

wygląda młodziej. W jednej chwili znika Burny – ludzka maszyna do produkcji gówna. Na jego miejscu pojawia się Carl Bierstone, który z brutalną skutecznością kosił niegdyś młodzież w Chicago.

Carl... i coś jeszcze. Coś nieludzkiego.

On – to coś – uśmiecha się.

Na niezajętym przez nikogo biurku leży stos papierów, przyłożony okrągłym kamieniem wielkości kubka do kawy. Widnieje na nim napis małymi, czarnymi literami: ULUBIONY KAMIEŃ BUTCHA.

Burny bierze do ręki ulubiony kamień Butcha Yerxy i wciąż z uśmiechem idzie szybko dalej, do męskiej toalety.

Stoliki w świetlicy ustawiono pod ścianami i przykryto je czerwonymi papierowymi obrusami. Pete rozstawi później małe czerwone lampki (na baterie; żadnych świec dla Ślińtuchów, rany, za nic). Wszędzie na ścianach poprzylepiano wielkie truskawki z tektury; niektóre są dość obszarpane zawieszano je i zdejmowano każdego lipca, odkąd Herbert Maxton otworzył dom pod koniec swingujących lat sześćdziesiątych. Gołe linoleum na podłodze jest przetarte.

Tego popołudnia i wczesnym wieczorem pleśniejący starszowie wciąż na chodzie i mający na to ochotę będą włączyć nogami po podłodze w rytm melodii bigbandów z lat trzydziestych i czterdziestych, przywierając do siebie w trakcie wolnych kawałków i pewnie mocząc pampersy z podniecenia pod koniec jitterbugów. (Trzy lata temu pleśniejący starszerek Irving Christine dostał niewielkiego ataku serca wskutek wyjątkowo energicznego podskoku podczas „Dont’t Sit Under the Apple Tree with Anyone Else but Me”). Och tak, potańcówka z okazji Truskawkowego Festynu zawsze jest ekscytująca.

Rebecca o własnych siłach zestawiała trzy drewniane podstawki i przykryła je białym płótnem, tworząc w ten sposób pomost pod stanowisko Symfonicznego Stana. W kącie stoi skrzący się chromem mikrofon z wielką, okrągłą główką – antyk z lat trzydziestych, który oglądał wnętrze „Cotton Club”. Jest to jeden z najcenniejszych nabytków Henry’ego Leydena. Obok spoczywa przywiezione wczoraj wąskie, wysokie pudło. Na podium pod belką, udekorowaną czerwoną i białą krepą oraz kolejnymi tekturowymi truskawkami, stoi rozkładana drabina. Na jej widok Pete czuje przez chwilę oburzenie. Rebecca Vilas weszła do jego schowka! Gmerała w cudzej własności, suka! Jeżeli buchnęła mu chociaż trochę trawki, to na Boga...

Rebecca odstawia niesione pudło na podium z wyraźnym sieknięciem i się prostuje. Odgarnia pasmo jedwabistych, kasztanowych włosów z zarumienionego policzka. Zostało jeszcze dużo czasu do południa, ale zapowiada się, że ten dzień będzie naprawdę upalny, co często się zdarza w regionie Coulee. Włączcie klimatyzację w gaciach i spryskajcie się podwójną dawką dezodorantu, ludziska, jak zwykł grzmieć George Rathbun.

– Jużem myślała, że nigdy nie przyjdiesz, mój ty chwacie – mówi Rebecca.

– No, przyszedłem – odpowiada ponuro Pete. – Wygląda na to, że świetnie sobie pani radziła beze mnie. – Po chwili przerwy dodaje: – Chwacko.

Jak na Pete'a, jest to pokaz błyskotliwego dowcipu. Rusza do przodu i zagląda do pudła, oznakowanego podobnie jak mikrofon, WŁASNOŚĆ HENRY'EGO LEYDENA. W środku jest mały, owinięty kablem reflektor punktowy oraz okrągła żelowa przesłona różowej barwy, służąca do nadania snopowi światła odcienia ocukrzonych truskawek.

– Co to za szajs? – pyta Pete.

Rebecca rzuca mu promienny, niebezpieczny uśmiech. Nawet względnie tępy facet w rodzaju Pete'a umie odczytać kryjące się w nim przesłanie: Jesteś na brzegu sadzawki z aligatorami, chłopie – ile jeszcze kroków zamierzasz zrobić?

– Reflektor – mówi Rebecca. – REFLEKTOR. Do zawieszenia na tym haku. HAKU. Konferansjer się przy nim uparł. Mówi, że wprawia go w nastrój. NAS...

– Co się stało z Weeniem Ericksonem? – burczy Pete. – Weenie nie zawracał sobie głowy takim szajsem. Grał cholerne płyty przez dwie godziny, parę razy pociągnął z piersiówki i cześć pracy.

– Wyprowadził się – odpowiada obojętnie Rebecca. – Chyba do Racine.

– No... – Pete podnosi głowę i przypatruje się uważnie belce, którą pokrywają krzyżujące się pasma białej i czerwonej krepy. – Nie widzę żadnego haka, pszę pani.

– Jezusie Nazareński – odpowiada kobieta i wspina się na drabinę. – Tutaj. Co, oślepieś?

Bynajmniej nie ślepy Pete rzadko odczuwa aż taką wdzięczność za dar wzroku. Z miejsca na dole ma idealny widok na uda Rebecki, czerwoną koronkę majtek i bliźniacze krzywizny pośladków, miło naprężonych w chwili, gdy kobieta stoi na piątym szczeblu drabiny.

Rebecca opuszcza na niego wzrok, widzi jego oszołomione spojrzenie i zauważa kierunek, w którym jest zwrócone. Wyraz jej twarzy odrobinę łagodnieje. Jak mądrze zauważała jej droga mamunia, niektórym chłopom na widok majtek odbiera rozum.

– Pete... Ziemia do Pete'a!

– He? – Przenosi wzrok na jej twarz; ma rozdziawione usta i kroplę śliny na dolnej wardze.

– Nie mam jakiegokolwiek haka w swojej bieliźnie – jestem tego pewna jak niewielu rzeczy w życiu. Jeśli raczysz jednak skierować wzrok w górę... ku mojej ręce zamiast tyłka...

Pete przenosi wciąż zdurniałe spojrzenie wyżej i widzi, że jeden z czerwonych paznokci (Rebecca jest dzisiaj cała w barwie truskawkowej czerwieni, nie ma co do tego żadnych wątpliwości) postukuje w hak sterczący spośród krepy – tak jak rybacki haczyk wystaje morderczo z pstrokatej błyszczki.

– Hak – mówi Rebecca. – Załóż przesłonę na reflektor i zawieś go na haku. Niech pada z niego ciepłe, różowe, punktowe światło, zgodnie z instrukcjami naszego konferansjera. Dotarło, *Kemosabel*

– Ee... no...

– W takim razie racz go podnieść, jeśli mogę użyć tego określenia.

Rebecca schodzi z drabiny, uznając, że Pete Wexler załapał się na największe darmowe przedstawienie, jakiego miał prawo oczekiwać za durną, prostą robotę. Pete zaś, u którego istotnie pewien drobiazg zdołał się już podnieść, wyciąga z pudła różowy reflektor Symfonicznego Stana i szykuje się do drugiego podniesienia. Gdy wchodzi na drabinę, jego kroczki mijają twarz Rebecki. Zauważa widniejące tam wybrzuszenie i przygryza wnętrze policzka, tłumiąc uśmiech. Zgadza się, mężczyźni to durnie. Niektórych da się kochać, ale to mimo wszystko durnie. Po prostu niektórych durni stać na pierścionki, wyjazdy i kolacje o północy w nocnych klubach w Milwaukee, a innych nie.

Niektórych durni co najwyżej można wykorzystać do zawieszenia parszywego reflektora.

– Zaczekajcie, chłopaki! – woła Tyler Marshall. – Ebbie! Ronnie! T.J.! Zaczekajcie!

– Dogoń nas, grzebuło! – woła przez ramię Ebbie Wexler (rzeczywiście podobny do Sluggo, niezbyt bystrego przyjaciela Nancy).

– No! – krzyczy Ronnie Metzger – dogoń nas, bugrzeło!

Ronnie, którego czeka wiele godzin w gabinecie logoterapii, ogląda się przez ramię, niemal wpada na automat parkingowy i w ostatniej chwili go wymija. Gnąją jak wiatr, wszyscy trzej zajmują całą szerokość chodnika (i niech Bóg ma w opiece pieszego, który stanąłby im na drodze); ich cienie pędzą obok nich.

Tyler zastanawia się, czy nie włożyć resztki sił w próbę ich dogonienia, ale uznaje, że ma zbyt zmęczone nogi. Matka i ojciec mówią mu, że w końcu nadrobi zaległości, że jest po prostu mały jak na swój wiek, ale jak rany, Tyler w to wątpi. Ma też coraz większe wątpliwości co do Ebbiego, Ronniego i T.J. Czy naprawdę warto starać się im dorównać? (Gdyby Judy Marshall wiedziała o tych wątpliwościach, urządziłaby owację na stojąco – przez ostatnie dwa lata zastanawiała się, kiedy jej rozsądnemu i inteligentnemu synowi zdzudzi się wreszcie towarzystwo tej zbieraniny wyrzutków – nazywa ich zresztą „pospolitakami”).

– Wydymajcie elfa – mówi niepokieszony Ty; nauczył się tego nieszkodliwego wulgaryzmu z powtórki miniserialu pod tytułem „The 10th Kingdom” na kanale SciFi.

Zsiada z roweru. I tak nie ma żadnego powodu ich gonić; wie, gdzie ich znaleźć – na parkingu 7Eleven, gdzie będą jedli z siorbaniem lody Slurpee i wymieniali się kartami Magie. Jest to kolejny problem, który pojawia się w stosunkach Tylera z jego przyjaciółmi. Ostatnio wolałby wymienić się kartami z zawodnikami baseballowymi. Ebbiego, Ronniego i T.J. jednak nic nie obchodzi Kardynałowie, Indianie, Red Sox ani Piwna Banda. Ebbie posunął się nawet do twierdzenia, że baseball to pedalska gra; Ty uważa tę uwagę za głupią (prawie godną pożałowania), nie zaś obraźliwą.

Tyler prowadzi powoli rower wzdłuż chodnika, odzyskując oddech. Dociera do skrzyżowania ulic Chase i Queen. Ebbie mówi na tę ostatnią ulicę Queer – ulica Ciot.

Oczywiście. Nic dziwnego. I czy to nie znaczna część problemu? Tyler to chłopiec lubiący niespodzianki; Ebbie Wexler ich nie znosi. Wskutek czego ich biegunowo odmienna reakcja na dobywającą się nieco wcześniej z pikapa muzykę była całkowicie do przewidzenia.

Tyler przystaje na rogu i spogląda w głąb Queen. Po obu stronach ulicy rosną zapuszczone żywopłoty. Nad nimi wznoszą się szeregi połączonych czerwonych dachów – dom starców. Przy głównej bramie stoi jakaś tablica. Zaciekawiony Tyler wsiada z powrotem na rower i powoli podjeżdża chodnikiem, by się jej przyjrzeć. Najdłuższa gałąź żywopłotu ociera się z szemraniem o kierownicę.

Okazuje się, że tablica przedstawia wielką truskawkę. Pod nią znajduje się napis: DZISIAJ TRUSKAWKOWY FESTYN!!! Tyler Marshall zastanawia się, cóż to może być. Przyjęcie, pewnie wyłącznie dla staruszków? Pytanie bez odpowiedzi, ale nie nurtuje go zbyt. Zastanawia się nad nim przez kilka sekund, zawraca rower i szykuje się do skręcenia w ulicę Chase.

Charles Burnside wchodzi do męskiej toalety u wylotu skrzydła Stokrotka, wciąż uśmiechając się i ściskając w ręce ulubiony kamień Butcha. Po prawej stronie ma rząd umywalek i wiszących nad nimi luster – metalowych, takich jakie znajduje się w kiblach bardziej podrzędnych barów i szynków. W jednym z nich Burny widzi swoje uśmiechnięte odbicie. W kolejnym, najbliższym okna, dostrzega małego chłopca w koszulce z godłem Piwowarów z Milwaukee. Chłopiec stoi z rowerem między nogami tuż za bramą, czytając tablicę zapowiadającą Truskawkowy Festyn!

Burny zaczyna się ślinić, i to porządnie. Burny ślini się jak wilk z bajki; białe splachcie piany wyciekają z kątów jego ust i spływają po wypukłości dolnej wargi, pokrytej plamami wątrobowymi. Ślina ścieka mu po podbródku jak strużka mydlin. Ociera ją nieuważnie grzbietem wężlastej dłoni i strząsa z plaśnięciem na podłogę, ani na chwilę nie odrywając wzroku od lustra. Chłopiec w lustrze nie jest jednym z biednych, zaginionych za sprawą tej kreatury dzieci – Tyler Marshall mieszka we French Landing całe życie i wie dokładnie, gdzie się znajduje – ale może nim zostać. Bardzo łatwo może zaginąć i trafić do pewnego pokoju. Pewnej celi. Lub też iść z trudem w stronę niezwykłego horyzontu na palących, krwawiących stopkach.

Zwłaszcza jeśli Burny’emu uda się to, na co ma ochotę. Będzie musiał ruszać się szybko, ale jak już zauważyliśmy, Charles Burnside przy odpowiedniej motywacji potrafi poruszać się naprawdę błyskawicznie.

– Gorg – mówi do lustra. Wypowiada to nonsensowne słowo z idealnie czystym, dokładnie słyszalnym akcentem ze Środkowego Zachodu. – Chodź, Gorg.

I nie czekając, co się następnie pojawi – wie, co to będzie – Burny odwraca się i rusza w stronę rzędu czterech kabin. Wchodzi do drugiej od lewej i zamyka drzwi.

Tyler właśnie wsiadł na rower, kiedy dziesięć stóp od tablicy Truskawkowego Festynu! rozlega się szelest żywopłotu. Wielka czarna wrona wydobywa się z zarośli i ląduje na chodniku przy ulicy Queen. Przygląda się chłopcu żywym, inteligentnym oczkiem. Pręży rozstawione czarne nóżki, otwiera dziób i mówi:

– Gorg!

Tyler przygląda się jej i zaczyna uśmiechać, niepewny, czy się nie przesłyszał, ale gotów do zachwyty (jako dziesięciolatek jest stale gotów do zachwyty, zawsze przyszykowany do uwierzenia w niewiarygodne).

– Co? Coś ty powiedziała?

– Gorg! Ty!

Chłopiec się śmieje. Wrona powiedziała, jak się nazywa! Zawołała go po imieniu!

Zsiada z roweru, odgina nóżkę i robi parę kroków w stronę wrony. W ogóle nie przychodzi mu do głowy myśli o Amy St. Pierre i Johnnym Irkenhamie – na nieszczęście.

Podejrzewa, że wrona na pewno odleci, kiedy do niej podejdzie, ale ptak tylko trzepocze spokojnie skrzydłami i uskakuje w bok, w stronę ciemności pod kępą żywopłotu.

– Powiedziałaś moje imię?

– Gorg! Ty! Abbalah!

Przez chwilę uśmiech Tylera przygasa. Ostatnie słowo jest mu niemal znajome, a związane z nim skojarzenia, aczkolwiek niewyraźne, nie należą do zbyt przyjemnych. Z jakiegoś powodu na chwilę przychodzi mu do głowy jego matka. Potem wrona znów wypowiada jego imię – bez żadnych wątpliwości mówi: Ty.

Tyler robi krok dalej od ulicy Queen, w stronę czarnego ptaka. Wrona przesuwa się o taką samą odległość, zbliżając jeszcze bardziej do masywnego żywopłotu. Na ulicy nie ma nikogo; ta część French Landing wciąż śni w porannym blasku. Ty robi kolejny krok ku swojej zagładzie, a wszystkie światy drżą w posadach.

Ebbie, Ronnie i T. J. wychodzą zawadiacko z 7Eleven, gdzie dostali przed chwilą od arabusa za ladą lody jeżynowe (arabus to jedno z wielu pejoratywnych określeń, jakich Ebbie nauczył się od swojego taty). Mają również po dwie świeże talie kart Magie.

Ebbie z już usmarowanymi na granatowo wargami odwraca się w stronę T.J.

– Jedź do końca ulicy po tego grzebułę.

– Dlaczego ja? – T.J. robi obrażoną minę.

– Bo Ronnie kupił karty, tępaku. No, pospiesz się.

– Po co on nam potrzebny, Ebbie? – pyta Ronnie, opierając się o stojak na rowery i zanurzając nos między zimne, słodkie kawałki lodów.

– Bo ja tak mówię – odpowiada wyniośle Ebbie.

Chodzi o to, że Tyler Marshall z reguły ma w piątce kasę. W istocie Tyler ma pieniądze prawie codziennie. Ebbie, wychowywany (jeśli można to tak nazwać) przez samotnego ojca

na podłym etacie sprzątacza, zaczął już żywić z tego powodu nieokreśloną nienawiść do Tylera; pierwsze upokorzenia są już niedaleko, a niedługo później zacznie się bicie. Na razie jednak Ebbie chce tylko więcej kart Magie – po trzeciej talii dla każdego. Fakt, iż Tyler nie bardzo je lubi, sprawia, że tym słodsze będzie zmuszenie go do wyłożenia forsy.

Najpierw jednak trzeba ściągnąć tu tego małego grzebułę. Czy też małego bugrzełę, jak nazywa go potykający się o własny język Ronnie. Ebbiemu podoba się to słowo; myśli, że zacznie go używać. Bugrzeła. Dobre określenie. Kpina naraz z Tylera i Ronniego. Dwa w jednym.

– Jedź, T.J., chyba że chcesz, żeby ci zrobić czołg.

T. J. nie chce. Czołg – tarcie ręką po włosach, aż nie można ich później rozczesać – w wykonaniu Ebbiego Wexlera boli jak skurczysyn. T. J. wzdycha teatralnie, wyciąga rower ze stojaka, wsiada na niego i *zjeżdża* po łagodnym wzniesieniu, trzymając kierownicę w jednej ręce, a lody w drugiej. Spodziewa się, że zaraz zobaczy Tylera, pewnie prowadzącego rower, bo *był po... prostu... zmęczoneczony*. Nie widać go jednak nigdzie na Chase – co się z nim porobiło?

T.J. *zaczyna* pedałować nieco szybciej.

W męskiej toalecie patrzymy w tej chwili na rząd kabin. Drzwi drugiej z lewej są zamknięte. Pozostałe trzy stoją otworem na chromowanych zawiasach. Pod zamkniętymi drzwiami widzimy parę wężlastych, żylastych kostek, wystających znad brudnych bamboszy.

Rozlega się zdumiewająco głośny krzyk. Jest to wołanie młodego mężczyzny – chrapliwe, łapczywe i gniewne. Odbija się echem od wykładanych glazurą ścian:

– *Abbalah! Abbalahdoon! Munshun gorg!*

Toalety nagle się splukują. Nie tylko ta w zamkniętej kabinie, lecz wszystkie. Po drugiej stronie splukują się też pisuary; ich chromowane dźwignie opuszczają się w idealnie zsynchronizowany sposób. Woda ścieka po zakrzywionych porcelitowych płaszczyznach.

Gdy przenosimy wzrok z pisuarów na kabiny, widzimy, że brudne bambosze – i tkwiące w nich stopy – znikły. Oto po raz pierwszy usłyszeliśmy dźwięk ześlizgu, swego rodzaju gorący wydech, odgłos, jaki się słyszy, gdy ktoś budzi się o drugiej nad ranem z koszmaru.

Panie i panowie, Charles Burnside opuścił budynek.

Wrona cofnęła się już pod sam żywopłot. Wciąż przypatruje się Tylerowi lśnącymi, niesamowitymi oczkami. Ty podchodzi do niej, czując się zahipnotyzowany.

– Powiedz jeszcze raz moje imię – szepcze niemal bezgłośnie. – Powiedz jeszcze raz moje imię i będziesz mogła sobie polecieć.

– Ty! – skrzeczy posłusznie wrona, po czym lekko wstrząsa skrzydłami i wślizguje się w żywopłot.

Tyler widzi ją jeszcze przez chwilę – mieszaninę lśniącej czerni i świetlistej zieleni – po czym ptak znika.

– Rany julek! – mówi Tyler.

Wymyka się mu słaby, nierówny śmiech. Czy to wydarzyło się naprawdę? Zdarzyło się, tak?

Pochyla się bliżej miejsca, gdzie wrona zanurzyła się z powrotem w żywopłocie, myśląc, że jeśli zgubiła pióro, zabierze je sobie na pamiątkę. W tym momencie żylaste białe ramię wyłania się błyskawicznie spośród zieleni i chwyta go nieomylnie za szyję. Tyler ma jeszcze czas na wydanie krótkiego pisku przerażenia, po czym zostaje wciągnięty w żywopłot. Krótkie, sztywne gałązki ściągają mu z nogi jeden z adidasów. Z drugiej strony ogrodzenia rozchodzi się gardłowy, łapczywy okrzyk – niewykluczone, że: „Chłopiec!” – a następnie łoskot, być może odgłos trafiającego w głowę dziecka kamienia. Potem nie słychać już nic oprócz odległego warkotu kosiarki do trawników i bliższego brzęczenia pszczoły.

Pszczoła kręci się wokół kwiatów po drugiej stronie żywopłotu – od strony Domu Maxtona. Nie widać tam poza nią nic więcej oprócz zielonej trawy, a bliżej budynku stolików, przy których wiekowi mieszkańcy zasiadają w południe do pikniku w ramach Truskawkowego Festynu.

Tyler Marshall zniknął.

T.J. Renniker wytraca prędkość na rogu Chase i Queen. Ciemnogrnatowy sok ścieka mu z lodów na nadgarstek, ale prawie tego nie zauważa. W połowie ulicy Queen zauważa rower Tylera, oparty jak na nóżce. Samego Tylera jednak nie ma.

T.J. zbliża się powoli do porzuconego roweru, nie wiedząc czemu ma złe przeczucia. W pewnym momencie uświadamia sobie, że to, co wcześniej było lodami, rozpuściło się w płynną breję w przesiąkniętym rożku. Wyrzuca go do rynsztoka.

Zgadza się, to kółka Tylera. Nie sposób pomylić czerwonego, dwudziestosześciorożkowego schwimm z kierownicą jak poręcz dla małpy i zieloną kalkomanią Jeleni z Milwaukee na boku. T.J. widzi rower i...

Koło żywopłotu, tworzącego granicę między światami starszków i zwykłych ludzi – prawdziwych ludzi – leży na boku jeden adidas. Wokół niego rozrzuconych jest sporo lśniących zielonych liści. Z buta wystaje pióro.

Chłopiec wpatruje się w but rozszerzonymi oczami. T.J. nie jest tak bystry jak Tyler, ale jego mózdzek ma o parę watów więcej mocy niż u Ebbiego Wexlera, więc łatwo mu domyślić się, że Tyler został zawleczony na drugą stronę żywopłotu, pozostawiając za sobą rower... jeden adidas... osamotniony, przewrócony adidas...

– Ty? – woła T.J. – Wygłupiasz się? Jak tak, to lepiej przestań. Powiem Ebbiemu, żeby ci zrobił największy czołg, jaki miałeś w życiu.

Brak odpowiedzi. Tyler nie żartuje – T.J. w jakiś sposób to czuje.

W umyśle T.J. nagle eksplodują myśli o Amy St. Pierre i Johnnym Irkenhamie. Słyszy (lub wyobraża sobie, że słyszy) ukradkowe kroki za żywoplotem: zapewniwszy sobie obiad, Rybak wraca po deser!

T.J. próbuje krzyknąć i nie może. Gardło ścisnęło się mu do rozmiarów dziurki po szpilce. Zamiast wrzasku garbi się nad kierownicą roweru i zaczyna pedałować. *Zjeżdża* z chodnika na ulicę, pragnąc oddalić się od ciemnej masy żywoplotu najszybciej, jak to tylko możliwe. Gdy pokonuje krawężnik, przednie koło roweru marki Huffy rozgniała resztki lodów. T.J. gna w stronę Chase, pochylony nad kierownicą jak kolarz z Grand Prix. Pozostawia za sobą na jezdni ciemny, lśniący ślad, który wygląda jak krew. Gdzieś niedaleko kracze wrona. Przypomina to śmiech.

Robin Hood Lane 16: już tu byliśmy, jak powiedziała chórzystka do arcybiskupa. Zaglądamy przez kuchenne okno i widzimy, że Judy Marshall śpi w bujanym fotelu w kącie. Na kolanach ma książkę – ostatnią powieść Johna Grishama, którą widzieliśmy poprzednio na jej nocnym stoliku. Judy zdołała przeczytać dziesięć stron, zanim zapadła w drzemkę. Nie powinniśmy winić za to umiejętności narracyjnych pana Grishama; Judy ma za sobą ciężką noc, i to nie pierwszą. Minęły ponad dwa miesiące od czasu, kiedy ostatni raz udało się jej przespać nieprzerwanie więcej niż dwie godziny. Fred wie, że z jego żoną dzieje się coś złego, ale nie ma pojęcia, jak głęboko to sięga. Gdyby wiedział, czułby o wiele więcej niż zwykły strach. Niedługo – niech Bóg się nad nim zmiłuje – będzie miał o wiele lepsze pojęcie, jaki jest stan umysłu Judy.

Judy zaczyna jęczeć niskim tonem i odwracać głowę z boku na bok. Znów wypowiada nonsensowne słowa. Większość jest zbyt niewyraźna, by je zrozumieć, identyfikujemy jednak *abbalah* i *gorg*.

Nagle Judy otwiera oczy. W porannym świetle wypełniającym kuchnię letnim, pylistym złotem mają one czystą barwę królewskiego błękitu.

– Ty! – stęka.

Przy obudzeniu konwulsyjnie drgają jej stopy. Ogląda się na zegar nad kuchenką. Jest dziewiąta dwanaście; wszystko wydaje się jej zdeformowane; często tak się zdarza, gdy spaliśmy głęboko, ale nie wiemy, jak długo. Judy wessała za sobą na jawę jak śluzowate pasemka popłodu fragmenty jakiegoś ohydneho snu, niezupełnie koszmaru: mężczyźni w kapeluszach typu fedora opuszczonych tak, że zakrywają im twarze, z długimi jak u postaci R. Crumba – autora perwersyjnych, niezależnych komiksów – nogami, zakończonymi takimi jak u R. Crumba butami z okrągłymi noskami – złowieszczy kombinatory nie do zdarcia, którzy przemykają zbyt szybko na tle miejskiego krajobrazu – Milwaukee? Chicago? – pod ponurym pomarańczowym niebem. Ścieżkę dźwiękową snu wykonywała orkiestra Benny’ego Goodmana – grała „King Porter Stomp”, utwór, który zawsze nastawiał ojciec Judy, gdy był

trochę wstawiony. Snowi towarzyszyło uczucie stanowiące koszmarne, jakby drewniane połączenie zgrozy i rozpaczy: działy się straszne rzeczy, ale najgorsze dopiero miało nadejść.

Judy w ogóle nie poczuła ulgi towarzyszącej obudzeniu się ze złego snu – ulgi, jakiej doznawała, gdy była młodsza i...

– I zdrowa na umyśle – mówi skrzeczącym głosem kogoś dopiero co obudzonego. – „King Porter Stomp”. Pomyśleć tylko.

Utwór ten zawsze kojarzył się jej z muzyką ze starych kreskówek, tych, w których myszy w białych rękawiczkach wpadały do dziur i wypadały z nich z obłądną, gorączkową szybkością. Gdy pewnego razu ojciec porwał ją do tańca w czasie tej melodii, poczuła, że szturcha ją coś twardego. Od tego czasu starała się być gdzieś indziej, gdy nastawiał swoją muzykę do tańca.

– Przystań – mówi takim samym skrzeczącym głosem.

To głos wrony. Przychodzi jej do głowy, że w jej śnie była wrona. No pewnie, możecie się założyć. Wrona Gorg.

– „Gorg” znaczy śmierć – mówi Judy i nieświadomie oblizuje spierzchniętą górną wargę. Wysuwa język jeszcze bardziej i w drodze powrotnej muska jego koniuszkiem nozdra, ciepłe, wilgotne i w jakiś sposób pocieszające. – „Gorg” znaczy tam śmierć. Tam, w...

Oddali, brzmi słowo, którego nie wypowiada. Zanim *zdaży* to zrobić, dostrzega na kuchennym stole coś, czego tam wcześniej nie było. Wiklinowy koszyk. Wydobywa się z niego dźwięk – niski, senny pomruk.

Niepokój zagnieżdża się w podbrzuszu Judy; ma wrażenie, jakby jelita napęczniały jej od wody. Wie, do czego służy taki koszyk: do trzymania złowionych ryb. Jest to kosz rybacki.

We French Landing działa w tych czasach rybak. Zły rybak.

– Tyler? – woła, lecz oczywiście bez odpowiedzi.

Jeśli nie liczyć jej, dom jest pusty. Fred jest w pracy, a Ty na pewno poszedł się bawić – można się założyć. Mija połowa lipca, środek wakacji, a Ty na pewno jeździ po mieście i robi te wszystkie rzeczy, opisywane przez Raya Bradbury’ego i Augusta Derletha, którymi zajmują się chłopcy, gdy mają na to niekończące się letnie dni. Tyler nie jest jednak sam; Fred prosił go, żeby nie odłączał się od kumpli, dopóki Rybak nie zostanie złapany – przynajmniej do tego czasu; to samo mówiła mu ona. Judy niezbyt lubi młodego Wexlera (ani Metzgera czy Rennikera, jeśli już o to chodzi), lecz im jest ich więcej, tym są bezpieczniejsi. Tylera prawdopodobnie nie czekają żadne wielkie przeżycia kulturalne tego lata, ale przynajmniej...

– Przynajmniej jest bezpieczny – mówi skrzeczącym głosem Wrony Gorg.

Wszakże koszyk, który pojawił się podczas jej drzemki na kuchennym stole, najwyraźniej przeczy temu stwierdzeniu, unicestwia samą koncepcję bezpieczeństwa. Skąd się wziął? I czym jest biała rzecz, leżąca na jego wierzchu?

– Wiadomość – mówi Judy.

Wstaje. Przechodzi krótką odległość między bujanym fotelem i stołem jak ktoś wciąż pograżony we śnie. Wiadomość zapisano na złożonej kartce papieru. Na widocznej połówce kartki widać słowa: gTodKa NiebiesKooKa Judy. Tuż przed poznaniem Freda miała w college’u chłopaka, który ją tak nazywał. Prosiła go, żeby przestał – było to denerwująco sentymentalne – ponieważ jednak o tym zapominał (podejrzewała, że celowo), szybko go pogoniła. Głupi przydomek pojawił się jednak ponownie, szydząc z niej.

Judy odkręca kran, napęnia stuloną dłoń zimną wodą i pije, nie odrywając wzroku od kartki. Kilka kropel spada na gTodKą NiebiesKooKą Judy; imię od razu się rozmywa. Napisano je wiecznym piórem? Jakież to staromodne. Kto dzisiaj pisze wiecznymi piórami?

Judy sięga po kartkę, lecz cofa dłoń. Dźwięk z koszyka jest teraz głośniejszy. To brzęczenie. To...

– To muchy – mówi. Odświeżyła gardło wodą i jej głos nie jest już tak skrzeczący, lecz Judy mimo to ma wrażenie, że nadal mówi jak Wrona Gorg. – Potrafisz poznać odgłos much.

Weź kartkę.

Nie chcę.

Może, ale MUSISZ! No, bierz! Gdzie się podziała twoja OD W A G A, mała, tchórzliwa siusiumajtko?

Dobre pytanie. Cholernie dobre pytanie. Judy wysuwa język, oblizuje górną wargę i dołek pod nosem. Wreszcie bierze kartkę do ręki i ją rozkłada.

Przepraszam, że jest tyiKo jedna „cenaderKa” (nerKa).

Drugą usmarzyTem i zjadrem. TMa bardzo smaczna!

„Ryba κ

Nerwy w palcach, dłoniach, nadgarstkach i przedramionach Judy Marshall nagle przestają przekazywać impulsy. Blednie tak bardzo, że stają się widoczne niebieskie żyłki na jej policzkach. Niewątpliwie to cud, że nie mdleje. Wiadomość wypada jej z dłoni i szybuje zakosami na podłogę. Krzycząc raz po raz imię syna, Judy otwiera jednym szarpnięciem rybacki koszyk.

W środku są lśniące pętle jelit, pokryte pełzającymi po nich muchami. Są tu pomarszczone worki płuc i pompa wielkości pięści – dziecięce serce. Jest gruba, purpurowa poduszczyca wątroby... i jedna nerka. Po trzewiach łązi rojowisko much, a świat staje się gorgiem, gorgiem, gorgiem...

W zalanej słońcem, cichej kuchni Judy Marshall zaczyna wyć. Jest to dźwięk szaleństwa, które wreszcie wyrwało się z kruchej klatki rozpiętanego obłądu.

Butch Yerxa zamierzał wyskoczyć na jednego dymka – w dzień Truskawkowego Festynu! zawsze jest mnóstwo roboty (choć oczywiście Butch nie nienawidzi drobnego, sztucznego święta aż tak bardzo jak Pete Wexler). Podchodzi do niego jednak Petra English, salowa ze Złotogłowi, zaczynają rozmawiać o motocyklach i nim się człowiek zorientuje, mija dwadzieścia minut.

Butch mówi Petrze, że musi iść, wślizguje się z powrotem i widzi, że spotkała go nieprzyjemna niespodzianka. Charles Burnside, goły jak święty turecki, stoi obok jego biurka z ręką na kamieniu, którego Butch używa jako przycisku do papieru. (Zrobił go – to znaczy wymalował słowa – syn Butcha na letnim obozie w zeszłym roku, a ojciec uważa, że kamień jest piekielnie ładny). Butch nie ma nic przeciwko pensjonariuszom domu – z pewnością dałby Pete’owi Wexlerowi wycisk, gdyby dowiedział się, do czego używa papierosów, nie ograniczyłby się tylko do złożenia na niego skargi do dyrekcji – lecz nie lubi, gdy obmacują jego *rzeczy*. *Zwłaszcza* ten facet, wyjątkowo obrzydliwy, kiedy parę klepek zaskakuje mu na miejsce. Tak jak w tej chwili. Butch dostrzega to w jego oczach. Prawdziwy Charles Burnside wynurzył się na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza – być może z okazji Truskawkowego Festynu!

Skoro mówimy o truskawkach, to Burny widocznie się już do nich dobrał. Na wargach i w głębokich bruzdach wokół kącików ust ma ślady czerwieni.

Butch wszakże prawie nie zwraca na nie uwagi. Burny’ego pokrywają inne plamy. Brązowe.

– Raczysz zdjąć z tego rękę, Charles? – pyta.

– Z czego? – pyta Burny, po czym dodaje: – Utrzyjdupa.

Butch nie chce powiedzieć: „Z mojego ulubionego kamienia”, brzmiałoby to głupio.

– Z mojego przycisku do papieru.

Burny opuszcza wzrok na kamień, który przed chwilą odłożył na miejsce (gdy wyszedł z kabiny, była na nim odrobina krwi i trochę włosów, ale po co są umywalki w toaletach, jeśli nie do mycia?). Pozwala opaść dłoni wzdłuż boku i nadal stoi nieruchomo.

– Umyj mnie, fajansie. Zesrałem się.

– Właśnie widzę. Najpierw powiedz mi, czy poszedłeś do kuchni i tam też naświniłeś. Dowiem się, czy tam byłeś, więc nie kłam.

– Pierw umyłem ręce – odpowiada Burny i je pokazuje. Są kostropate, ale mimo to różowe i czyste. Ma nawet czyste paznokcie. Nie ma wątpliwości, że je umył. Dodaje następnie: – Pojebus.

– Chodź ze mną do łazienki – mówi Butch. – Pojebany utrzyjdupa cię umyje.

Burny parska, ale dość łatwo rusza z miejsca.

– Przyszykowałeś się na potańcówkę po południu? – pyta go Butch po prostu po to, by coś powiedzieć. – Wyglansowałeś jak trzeba półbuty do tańca, przystojniaku?

Burny, który gdy urzęduje pod własną czaszką, potrafi czasem zaskoczyć człowieka, uśmiecha się, ukazując kilka pożółkłych zębów. Podobnie jak na wargach, na nich też znajdują się czerwone plamki.

– Ano, gotów żem pohasać – mówi.

Chociaż twarz Ebbiego tego nie okazuje, słucha z narastającym niepokojem opowieści T.J. o porzuconym rowerze i adidasie Tylera Marshalla. Z drugiej strony twarz Ronniego wyraża mnóstwo niepokoju.

– I co my zrobimy, Ebbie? – pyta T.J., gdy kończy; dopiero odzyskuje dech po gwałtownym pedałowaniu na szczyt wzniesienia.

– O co ci chodzi: co zrobimy? – pyta Ebbie. – To samo co i tak mieliśmy zrobić. Jedziemy do centrum, zobaczymy, co można dostać za zwrot butelek. Potem śmigamy do parku i powymieniamy się kartami.

– Ale... a co, jeśli to był...

– Zamknij jadaczkę – mówi Ebbie.

Wie, jakie słowo chce powiedzieć T.J., i nie chce go słyszeć. Jego tata mówi, że rzucanie kapelusza czy czapki na łóżko przynosi nieszczęście, więc Ebbie nigdy tego nie robi. Jeśli to przynosi nieszczęście, to na pewno wypowiedzenie zawołania jakiegoś świrniętego mordercy musi być co najmniej dwakroć gorsze. Ten idiota Ronnie Metzger robi to jednak mimo wszystko... no, w pewnym sensie:

– Ale jeśli to Byrak, Ebbie? Jeśli Tylera złapał...

– Zamknij się, kurwa! – woła Ebbie i cofa pięść, szykując się do zdzielenia w papę tego cholernego jakały.

W tej samej chwili sprzedawcaarabus wyskakuje z 7Eleven jak diabeł w turbanie z pudełka.

– Nie chcę tu słyszeć takiego języka! – woła. – Jazda, rzucajcie mięsem gdzie indziej! Albo wezwę policję!

Ebbie zaczyna powoli pedałować w kierunku przeciwnym, niż znajduje się ulica Queen (mruczy pod nosem: „szmaciany łeb” – kolejne czarujące określenie, jakiego nauczył się od ojca), a dwaj pozostali chłopcy ruszają za nim. Kiedy oddalają się o przecnicę od 7Eleven, Ebbie zatrzymuje się i odwraca w stronę towarzyszy, wystawiając do przodu szczękę i brzuszysko.

– Pojechał gdzieś sam pół godziny temu – mówi.

– Że co? – pyta T.J.

– Kto pojechał? – dodaje Ronnie.

– Ty Marshall. Jak kto będzie pytał, to Tyler pojechał gdzieś sam pół godziny temu. Kiedy my... mm... – Ebbie cofa się myślami, co przychodzi mu z trudem, bo ma w tym mało

doświadczenia; w zwykłych okolicznościach nie potrzebuje niczego więcej oprócz terażniejszości.

– Kiedy przyglądaliśmy się wystawie u Schmitta? – pyta pokornie T.J., mając nadzieję, że nie zasłużył sobie na kolejny bolesny czołg od Ebbiego.

Ebbie patrzy na niego przez chwilę pustym wzrokiem, po czym się uśmiecha. T.J. się odpręża. Ronnie Metzger nadal wygląda na zdezorientowanego. Z kijem baseballowym w rękach czy w parze hokejówek Ronnie jest panem całego stworzenia, poza tym jednak z trudem chwytą, co jest grane.

– Zgadza się – mówi Ebbie. – No. Patrzyliśmy na wystawę u Schmitta, potem przejechała ta furgonetka, ta, co grała zasrany punk, a potem Tyler powiedział, że musi się zrywać.

– Gdzie musiał się zrywać? – pyta T.J.

Ebbie nie jest bystry, ma jednak coś, co można by nazwać „tanim sprytem”. Instynktownie czuje, że najlepsza historyjka to prosta historyjka – im mniej szczegółów, tym mniejsza szansa, że ktoś przyłapie cię na niekonsekwencji.

– Tego nam nie powiedział. Powiedział tylko, że musi już jechać.

– Nigdzie nie pojechał – rzuca Ronnie. – Został z tyłu, bo to... – Przerzywa, mozolnie składa słowo i tym razem wypowiada je właściwie: – Grzebuła.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – mówi Ebbie. – A jeśli... a jeśli dorwał go ten facet, tępaki? Chcecie, by ludzie gadali, że to dlatego, że nie mógł za nami nadążyć? Ze go zabili czy coś, ponieważ zostawiliśmy go z tyłu? Chcecie, żeby ludzie gadali, że to nasza wina?

– Jeju – mówi Ronnie. – Chyba nie myślisz naprawdę, że to Byrak – Rybak – dorwał Tylera, prawda?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – odpowiada Ebbie. – Ale wcale się nie martwię, że przepadł. Zaczynał mnie wkurzać.

– Och. – Ronniemu udaje się wyglądać równocześnie na bezmyślnego i zadowolonego.

Ale to tępół, myśli z podziwem Ebbie. Całkowity, totalny tępół. I jeśli w to nie wierzycie, zastanówcie się tylko, dlaczego silny jak koń Ronnie pozwala, żeby Ebbie robił mu czołgi jeden za drugim. Pewnie nadejdzie taki dzień, gdy Ronnie uświadomi sobie, że nie musi tego dłużej znosić. Być może tego dnia wbije Ebbiego w ziemię jak ludzki śledź od namiotu, lecz Ebbie nie przejmuje się taką perspektywą. Wykraczanie myślami w przyszłość wychodzi mu jeszcze gorzej niż cofanie się nimi w przeszłość.

– Ronnie – mówi Ebbie.

–Co?

– Gdzie byliśmy, kiedy Tyler sobie pojechał?

– Mm... pod sklepem Schmitta?

– Zgadza się. I dokąd pojechał?

– Nie mówił.

Ebbie widzi z satysfakcją, że dla Ronniego staje się to już prawdą. Odwraca się do T.J.

- Kapujesz?
- Kapuję.
- No to jedziemy.

Ruszają z miejsca. Tępol wyprzedza trochę Ebbiego i T.J. na obrośniętej drzewami ulicy; wódcę na to przyzwala. Podjeżdża rowerem bliżej T.J. i mówi do niego:

– Widziałeś tam coś więcej? Czy kogoś? Jakiegoś faceta?

– Tylko rower i but Tylera. – T.J. kręci głową. Urywa, starając sobie przypomnieć jak najwięcej. – Było tam trochę porzucanych liści. Z żywopłotu. I wydaje mi się, że leżało pióro. No, takie jak u wrony.

Ebbie nie zwraca na to uwagi. Zastanawia się, czy *rzeczywiście* Rybak znalazł się tego ranka blisko niego – wystarczająco blisko, by porwać jego kumpla, i *en* pomysł podoba się krwiożerczej części jego natury – tej, która z radością myśli, iż jakiś mroczny potwór bez twarzy zabił coraz bardziej denerwującego Tylera Marshalla i zjadł go na obiad. Inna, dziecięca część jego natury boi się jednak straszidła (przejmie ona wodze dziś w nocy, gdy będzie leżał w łóżku, wpatrując się w nabierające kształtów i skradające się coraz bliżej łóżka cienie). Do tego dochodzi jeszcze starsza od niego część, która instynktownie podjęła natychmiastowe kroki, prowadzące do uniknięcia uwagi władz, gdyby zniknięcie Tylera zamieniło się w to, co ojciec Ebbiego nazywa „rozpieruchą”.

Jednak tak jak w przypadku Dale’a Gilbertsona i ojca Tylera, Freda, w Ebbiem Wexlerze znajdują się całe pokłady fundamentalnej niewiary. Ebbie po prostu nie potrafi uwierzyć, że z Tylerem stało się coś nieodwołalnego. Nawet po tym, co spotkało Amy St. Pierre i Johnny’ego Irkenhama – poćwiartowanych i powieszonych w starym kurniku. Ebbie słyszał o nich w dzienniku wieczornym, lecz były to dla niego jedynie fikcje z Krainy Telewizji. Nie znał Amy ani Johnny’ego, wobec czego mogli umrzeć, tak jak wymyśleni ludzie stale giną w filmach i telewizji. Tyler jest inny. Tyler był tutaj. Rozmawiał z Ebbiem, Ebbie rozmawiał z nim. Dla Ebbiego równa się to nieśmiertelności. A przynajmniej powinno. Jeśli Rybak porwał Tylera, to równie dobrze może porwać każdego chłopaka. Włącznie z Ebbiem. Dlatego też, na podobieństwo Dale’a i Freda, Ebbie w to nie wierzy. Najbardziej sekretną i fundamentalną częścią swego serca, tą, która upewnia resztę jego natury, że wszystko układa się jak najlepiej na Planecie Ebbie, zaprzecza Rybakowi i jego dziełom.

– Nie uważasz, Ebbie... – mówi T.J.

– Nie – przerywa mu Ebbie. – Znajdzie się. No chodź, jedziemy do parku. Później poszukamy puszek i butelek.

Fred Marshall zostawił sportową marynarkę i krawat w biurze, podwinął rękawy i pomaga Rodowi Tisbury’emu w rozpakowaniu nowej brony talerzowej. Jest to pierwszy egzemplarz z nowej serii firmy, cacuszko.

– Czekałem na taki bajer co najmniej od dwudziestu lat – mówi Rod. Wprawnie wsuwa czubek lewara pod wierzch wielkiej skrzyni i po chwili jedna z drewnianych ścianek pada z głuchym łoskotem na cementową posadzkę warsztatu. Rod to majster mechaników u Goltza; jest w warsztacie udziałowym królem. – Nadaje się dla małego rolnego farmera, nadaje się też dla ogrodnika z miasta. Jeżeli nie sprzedasz do jesieni co najmniej dziesięciu, to nie nadajesz się do swojej roboty.

– Sprzedam dwadzieścia do końca sierpnia – odpowiada Fred z całkowitą pewnością siebie.

Wspaniała zielona maszynka na razie rozpędziła wszystkie jego zmartwienia; jest to zresztą coś więcej niż zwykła talerzówka – można do niej dołączyć tak łatwo jak podszewkę jesiennej kurtki szereg seksownych końcówek. Fred ma ochotę ją uruchomić, posłuchać, jak pracuje. Dwucylindrowy silnik wygląda na niezły bajer.

– Fred?

Ogląda się niecierpliwie. To Ina Catskill – sekretarka Teda Goltza i osoba od przyjmowania klientów w magazynie.

– Słucham?

– Telefon do ciebie na pierwszej linii.

Wskazuje przez warsztat – pełen szczękającej maszynerii, hałaśliwego warkotu pneumatycznych śrubokrętów, używanych właśnie do rozkręcenia starego traktora – na telefon na ścianie, na którym mruga kilka światełek.

– Możesz odebrać wiadomość, Ina? Właśnie chciałem pomóc Rodowi zainstalować akumulator w tej bestyjce, a potem...

– Myślę, że powinieneś sam odebrać. Dzwoni kobieta; przedstawiła się jako Enid Purvis. To twoja sąsiadka?

Przez chwilę Fred mruga oczami, po czym przychodzi mu z pomocą umysł sprzedawcy, obsesyjnie zapamiętujący nazwiska. Enid Purvis. Żona Deke'a. Róg Robin Hood i Maid Marian. Fred widział Deke'a dzisiaj rano. Pomachali sobie.

Równocześnie zdaje sobie sprawę, że oczy Iny są zbyt rozszerzone, a jej zwykle rozchylone usta zbyt mocno zaciśnięte. Wygląda na zmartwioną.

– O co chodzi? – pyta Fred. – Co się stało, Ina?

– Nie wiem. – Po chwili dodaje niechętnie: – Coś z twoją żoną.

– Lepiej odbierz, wodzu – mówi Rod, lecz Fred już idzie po poplamionym olejem cemencie w stronę telefonu.

Dociera do domu dziesięć minut po wyjechaniu spod magazynu Goltza. Wyrwał z parkingu pracowników, paląc gumę jak nastolatek. Najgorsze ze wszystkiego było to, jak spokojnie i ostrożnie składała słowa Enid Purvis, jak bardzo starała się nie dać po sobie poznać strachu.

Właśnie szła z Potsiem koło domu Marshallów, powiedziała, gdy usłyszała, że Judy krzyczy. Nie raz, lecz dwa. Enid zrobiła oczywiście to, co każda dobra sąsiadka na jej miejscu, niech Bóg ją błogosławi: podeszła do drzwi, zastukała, następnie podniosła klapkę na listy i zawołała. Powiedziała Fredowi, że gdyby nie doczekała się odpowiedzi, pewnie zadzwoniłaby po policję. Nie wróciłaby nawet po to do domu; przeszłaby na drugą stronę ulicy do Plotskich i zatelefonowała od nich. Ale...

– Nic mi nie jest – odrzyknęła Judy, a potem się roześmiała. Piskliwie; jej śmiech skończył się dziwnym stęknieniem. Enid uznała go za jeszcze bardziej niepokojący od krzyków. – To wszystko było tylko snem. Nawet Tyler był snem.

– Skaleczyłaś się, kochanie? – zawołała Enid przez szparę na listy. – Przewróciłaś?

– Nie było żadnego koszyka – odrzyknęła Judy. Być może zawołała „kociaka”, ale Enid była zupełnie pewna, że chodziło o koszyk. – To też mi się przyśniło.

Enid powiedziała niechętnie Fredowi, że Judy się potem rozplakała. Było to bardzo denerwujące – wsłuchiwanie się w płacz, który dochodził przez szparę na listy. Nawet pies zaczął skamleć.

Enid zawołała raz jeszcze – zapytała, czy może wejść i przekonać się, czy Judy nic się nie stało.

– Idź sobie! – krzyknęła w odpowiedzi Judy. Nie przestając płakać, znowu się gniewnie zaśmiała. – Ty też jesteś snem. Cały świat jest snem.

Rozległ się dźwięk tłukącego się szkła, jakby Judy strąciła na podłogę dzbanek z wodą czy kubek do kawy. Lub też rzuciła nim o ścianę.

– Nie zadzwoniłam na policję, bo uznałam, że nic się jej nie stało – wyjaśniła Enid Fredowi (stojącemu z przyciśniętą do jednego ucha słuchawką i zasłaniającemu drugie ręką, by zagłuszyć zawodzenie mechanizmów, zwykle sprawiające mu przyjemność, lecz w tym momencie zdające się wnikać w jego głowę jak chromowane gwoździe). – Przynajmniej fizycznie. Ale, Fred... myślę, że powinieneś przyjechać do domu i sprawdzić, co się z nią dzieje.

Przez głowę przemknęły mu nieskładne obrazy wszystkich ostatnich dziwactw żony. Oraz słowa Pata Skardy: „Zaburzenia umysłowe... ludzie mówią, że «taki to a taki pękł»... zwykle są poprzedzone oznakami...”.

Fred zaś widział te oznaki, prawda?

Widział je i nic nie zrobił.

Fred parkuje samochód – statecznego explorera – na podjeździe i spiesznie wchodzi po schodach, wołając żonę. Nie ma odpowiedzi. Nawet gdy wchodzi frontowymi drzwiami (pcha je tak silnie, że mosiężna klapka szczeliny na korespondencję szczeka bezsensownie), nie słyszy odpowiedzi. Klimatyzowane powietrze wewnątrz wydaje mu się zbyt zimne w zetknięciu ze skórą i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że się spocił.

– Judy? Jude?

Wciąż nie ma odpowiedzi. Fred spiesznie wpada z holu do kuchni, gdzie najczęściej zastaje żonę, jeśli wraca po coś do domu w środku dnia.

Zalana słońcem kuchnia jest pusta. Stół i blat są uprzątnięte; dwa kubki na kawę stoją na suszarce do naczyń, słońce odbija się od świeżo umytych powierzchni. Kolejne odbłyски padają ze sterty potłuczonego szkła w rogu. Fred widzi na jednym z kawałków kalkomanię z kwiatkiem i domyśla się, że był to stojący na parapecie dzbanek.

– Judy? – woła znowu, czując łomoczącą w gardle i skroniach krew.

Żona nie odpowiada, lecz słyszy, że jest na piętrze – zaczyna śpiewać kołysankę.

– Kołysz się, dziecko... wysoko na tym drzewie... kiedy wiatr zawieje...

Fred poznaje melodię i zamiast poczuć ulgę na dźwięk głosu żony, robi mu się jeszcze zimniej. Judy śpiewała ją synkowi, kiedy był jeszcze mały. To kołysanka dla Tylera. Fred nie słyszał jej w ustach żony od wielu lat.

Wraca korytarzem pod schody i dopiero teraz spostrzega to, co umknęło mu przy pierwszym przejściu. Reprodukacja „Świata Christine” Andrewa Wyetha została zdjęta i oparta o grzejnik przy podłodze. Poniżej haczyka na obraz tapeta jest w kilku miejscach zdarta, odsłaniając tynk pod spodem. Fred, któremu robi się jeszcze zimniej, wie, że to dzieło Judy. Nie jest to ani intuicja, ani dedukcja. Nazwijmy to telepatią starych małżonków.

Z góry rozlega się piękny i czysty, lecz jednocześnie całkowicie pusty głos:

– ...kołyską zakolebie. Kiedy gałąź się złamie, na ziemię upadnie.

Fred wbiega na górę po dwa stopnie naraz, wołając żonę po imieniu.

W holu na górze panuje przeraźliwy bałagan. Tu właśnie wisiała galeria wspólnej przeszłości: Fred i Judy pod „Madison Shoes”, klubem bluesowym, do którego czasem chodzili, gdy w „Chocolate Watchband” nie działo się nic ciekawego; Fred i Judy podczas pierwszego tańca na przyjęciu weselnym, pod okiem szczęśliwych rodziców; Judy w szpitalnym łóżku, wyczerpana, lecz uśmiechnięta, trzymająca okutane zawiniątko, czyli Tylera; fotografia rodzinnej farmy Marshallów, na której widok zawsze marszczyła nos; inne zdjęcia.

Większość oprawionych w ramki fotografii została zdjęta. Niektóre, na przykład zdjęcie farmy, zostały zrzuczone. Podłogę holu zaścielają migoczące okruchy szkła. Judy dobrała się do tapety mniej więcej za sześcioma zdjęciami. Tam gdzie wisiała fotografia Judy i Tylera w szpitalu, tapeta została niemal doszczętnie zdarta. Fred widzi, że Judy drapała tynk pod spodem. Niektóre z rys zawierają schnące plamki krwi.

– Judy! Judy!

Drzwi pokoju Tylera są otwarte Fred przebiega sprintem korytarz na piętrze, czując chrzęszczące pod butami szkło.

– ...na ziemię upadnie niebożątka Tyler i skaleczy się snadnie.

– Judy! Ju...

Fred staje w drzwiach, chwilowo niezdolny do wypowiedzenia choćby jednego słowa.

Pokój Tylera wygląda jak po pospiesznej rewizji w filmie kryminalnym. Powyciągane z biurka szuflady leżą na podłodze, w większości powywracane. Samo biurko odciążnięte od ściany. Walają się skotłowane razem letnie ubrania – dżinsy, koszulki z krótkimi rękawami, spodenki i białe skarpetki sportowe. Drzwi szafy są otwarte; kolejne ubrania strącono z wieszaków. Ta sama małżeńska telepatia podpowiada Fredowi, że Judy wywlokła spodnie i zapinane koszule Tylera z półek, by upewnić się, iż nic się za nimi nie kryje. Marynarka jedyne garnituru Tylera wisi krzywo na gałce drzwi. Plakaty pościągano ze ścian; Mark McGwire został przedarty na pół. Tylko raz Judy nie oszczędziła ściany pod plakatami, ale za ten jeden raz można by przyznać jej nagrodę. Prostokąt zakryty plakatem z zamkiem (WRÓĆCIE DO STAREGO KRAJU) został prawie całkowicie obdarty z tapety. Jej resztki poniżej znaczą kolejne plamy rozsmarowanej krwi.

Judy Marshall siedzi na gołym materacu łóżka syna. Prześcieradła i poduszka leżą skłębione w kącie. Samo łóżko odsunięte od ściany. Judy ma spuszczoną głowę. Fred nie widzi jej twarzy – zasłaniają ją włosy. Ma na sobie szorty; widać krople i plamy krwi na jej opalonych udach. Zaciska ręce pod kolanami, tak że i ich nie widać, z czego Fred jest zadowolony. Nie chce oglądać, jak paskudnie się pokaleczyła, jeśli nie musi. Serce łomocze mu w piersiach, układ nerwowy wrze mu od nadmiaru adrenaliny, a w ustach czuje taki smak, jakby trzymał w nich spalony bezpiecznik.

Judy znów zaczyna śpiewać refren kołysanki Tylera, Fred zaś nie może już tego wytrzymać.

– Judy, nie – mówi, przechodząc przez skotłowane pole minowe, które jeszcze zeszłego wieczora, gdy przyszedł pocałować Tylera na dobranoc, było względnie porządnym chłopięcym pokojem. – Przestań, kochanie, już dobrze...

Zdumiewające, ale Judy rzeczywiście przestaje. Podnosi głowę i gdy Fred widzi strach w jej oczach, traci resztkę tchu. W jej wzroku widać coś więcej niż zgrozę. To pustka, jakby coś w jej wnętrzu usunęło się na bok i odsłoniło czarną dziurę.

– Tyler zniknął – mówi zwyczajnie Judy. – Zajrzałam za wszystkie obrazy, za które mogłam... Byłam pewna, że kryje się właśnie za tym. Jeśli był gdziekolwiek, to właśnie pod nim...

Wskazuje na miejsce po plakacie irlandzkiego biura podróży, a Fred widzi, że zdarła sobie częściowo lub całkowicie paznokcie z czterech palców lewej ręki. Żołądek wywija mu kozta. Jej palce wyglądają, jakby unurzała je w czerwonym atramencie. Gdyby to był tylko atrament, myśli Fred. Gdyby tylko...

– ...ale oczywiście to tylko zdjęcie. To wszystko tylko zdjęcia, teraz to rozumiem. – Przerzywa, po czym krzyczy: – Abbalah! Munshun! Abbalahgorg! Abbalahdoon!

Wysuwa język – na niezwykle długość, jak w kreskówce – i przeciąga nim po nosie, pozostawiając ślady śliny. Fred to widzi, ale nie potrafi w to uwierzyć. Czuje się, jakby trafił

na horror w połowie seansu, zorientował się, że to rzeczywistość, i nie wiedział, co dalej począć. Istotnie, co powinien zrobić? Co powinno się robić, gdy odkrywa się, że kobieta, którą się kochało, oszalała – a co najmniej straciła kontakt z rzeczywistością? Jak, do diabła, sobie z tym radzić?

Kocha ją jednak, pokochał od pierwszego tygodnia, gdy się poznali, beznadziejnie i do reszty, nie czując kiedykolwiek później nawet cienia żalu, więc teraz prowadzi nim miłość. Siada obok niej na łóżku, obejmuje ją i po prostu tuli do siebie. Czuje, jak wstrząsają nią dreszcze. Jej ciało wibruje jak struna.

– Kocham cię – mówi, zaskoczony własnym tonem. Zdumiewające, że mimo obłądnego tygła zamętu i strachu potrafi zdobyć się na taki pozorny spokój. – Kocham cię i wszystko będzie dobrze.

Judy podnosi na niego wzrok i coś pojawia się na powrót w jej spojrzeniu. Fred nie może nazwać tego zdrowym rozsądkiem (bez względu na to, jak bardzo tego pragnie), ale jest to przynajmniej pewnego rodzaju szczątkowa orientacja. Judy wie, gdzie jest i kto jest razem z nią. Po chwili jej twarz wykrzywia się w nowym grymasie udręki i rozpacz. *Zaczyna*, płakać – wyczerpanym, zagubionym głosem, który szarpie Fredowi serce. Serce – oraz nerwy i duszę.

– Tyler zniknął – mówi Judy. – Gorg go zafascynował, a abbalah porwał. Abbalahdoon!

Łzy ciekną jej po policzkach. Gdy unosi dłonie, by je obetrzeć, jej palce zostawiają przeraźliwe smugi krwi.

Chociaż Fred jest pewien, że Tylerowi nic się nie stało (z pewnością Fred nie ma dzisiaj żadnych przeczuc, jeśli nie liczyć promiennych przewidywań dotyczących sprzedaży nowej talerzówki), to czuje dreszcz, przenikający go na widok rozmazanej krwi. Dreszcz wywołany jest jednak nie stanem Judy, lecz jej słowami: „Tyler zniknął”. Ty jest z przyjaciółmi; dopiero wczoraj wieczorem powiedział Fredowi, że zamierza z Ronniem, T.J. i niezbyt przyjemnym chłopakiem Wexlera „objąć się” przez cały dzień. Obiecał, że jeśli pozostała trójka wybierze się gdzieś, gdzie sam nie będzie miał ochoty jechać, to wróci prosto do domu. Wydaje się, że Fred zadbał o wszystko, ale... chyba jest coś takiego jak matczyzna intuicja? Pewnie, myśli Fred, może w filmach na kablówce Fox Network.

Bierze Judy na ręce i znowu odczuwa przerażenie – tym razem dlatego, że jest bardzo lekka. Straciła chyba ze dwadzieścia funtów od czasu, kiedy ostatni raz ją podniosłem, myśli. Co najmniej dziesięć. Jak mogłem tego nie zauważyć? Wie jednak dlaczego. Częściowo przez zaabsorbowanie pracą; za resztę odpowiada uparta niechęć do przyznania, że nie wszystko układa się dobrze. No cóż, myśli, przenosząc żonę przez drzwi (Judy z wysiłkiem uniosła ramiona i splotła mu nimi szyję), nie grozi mi już ten błąd. I rzeczywiście w to wierzy, mimo utrzymującej się ślepej pewności, że jego synowi nic nie grozi.

Judy nie nawiedziła ich sypialni podczas swej orgii zniszczenia, więc Fred czuje się w niej jak w chłodnej oazie zdrowego rozsądku. Judy najwyraźniej reaguje tak samo. Wydaje

strudzone westchnienie i pozwala rękom osunąć się z szyi męża. Wysuwa język, lecz tym razem jedynie słabo oblizuje górną wargę. Fred pochyla się i kładzie ją na łóżku. Judy podnosi ręce i im się przygląda.

– Pokaleczyłam się... podrapałam...

– Tak – mówi Fred. – Poszukam jakichś opatrunków.

– Jak...?

Przysiada koło niej na chwilę. Głowa Judy zapadła się w leżące jedna na drugiej miękkie poduszki; przymykają się jej powieki. Fred ma wrażenie, że mimo malującej się w oczach żony dezorientacji nadal widać w nich przerażającą pustkę. Ma nadzieję, że się myli.

– Nie pamiętasz? – pyta ją łagodnie.

– Nie... Upadłam?

Fred decyduje się nie odpowiedzieć. Ponownie zaczyna się zastanawiać. Niewiele – na razie nie jest zdolny do głębokiego namysłu – ale choć trochę.

– Kochanie, co to jest gorg? Co to jest abbalah? To człowiek?

– Nie... wiem... Tyler...

– Tylerowi nic się nie stało – mówi Fred.

– Nieprawda...

– Prawda – upiera się, być może za siebie i za nią. – Poleż sobie, cukierczku. Pójdę tylko po parę rzeczy.

Oczy Judy się przymykają. Fred myśli, że żona zasypia, jednak Judy z wysiłkiem unosi powieki do połowy.

– Poleż i się nie ruszaj – mówi Fred. – Lepiej nie wstawaj ani nie chodź. Dość się już wysilałaś. Przestraszyłaś biedną Enid Purvis tak bardzo, że będzie ją to pewnie kosztowało rok życia. Obiecujesz?

– Obiecuję... – Powieki Judy opadają z powrotem.

Fred przechodzi do przyległej łazienki, nadstawiając ucha na wszelkie odgłosy za plecami. Nigdy w życiu nie widział nikogo, kto wyglądałby na bardziej skasowanego niż Judy w tej chwili, ale szaleńcy są przebiegli, a mimo rekordowej zdolności wypierania niektórych rzeczy ze świadomości Fred nie może się dłużej oszukiwać co do stanu umysłu żony. Oszalała? Będzie bredzić i wrzeszczeć? Pewnie nie. Na pewno jednak nie kontaktuje. Chwilowo nie kontaktuje, poprawia się Fred, otwierając szafkę z lekami.

Wyjmuje buteleczkę merkurochromu, po czym na górnej półeczce przegląda lekarstwa wydawane na receptę. Jest ich niewiele. Chwyta fiolkę ze skraju po lewej. Sonata, sprzedano w aptecce we French Landing, jedna kapsułka przed snem, nie stosować więcej niż cztery dni z rzędu, lekarz zlecający: Patrick J. Skarda.

Fred nie widzi w lusterku szafki na leki całego łóżka, lecz tylko jego nogi... i jedną nogę Judy. Wciąż leży na łóżku. Dobrze, dobrze. Fred wytrząsa jedną kapsułkę, potem wyrzuca

szczoteczki do zębów ze szklanki – nie ma zamiaru schodzić na parter po czystą, nie chce zostawiać Judy na tak długo.

Napełnia szklankę, po czym wraca do sypialni z wodą, kapsułką i buteleczką merkurochromu. Judy ma wciąż zamknięte oczy. Nadal oddycha tak powoli, że Fred jest zmuszony przyłożyć jej dłoń do piersi, by przekonać się, że robi to rzeczywiście.

Patrzy na tabletkę nasenną, zastanawia się, po czym potrząsa żoną za ramię.

– Judy! Jude! Obudź się na chwilę, kochanie. Tylko na chwilę, żeby wziąć tabletkę, dobrze?

Judy nie odpowiada nawet mruknięciem. Fred odkłada sonatę na bok. I tak nie będzie potrzebna. Czuje pewien słaby optymizm na myśl, jak szybko i głęboko zapadła w sen. Jakby pękł jakiś ohydny pęcherz, opróżnił się z trucizny i pozostawił Judy osłabioną i wyczerpaną, ale być może na drodze do zdrowia. Czy to możliwe? Fred nie wie, ale jest pewny, że Judy nie udaje, że śpi. Cała ostatnia bieda z Judy zaczęła się od bezsenności; był to jedyny objaw, który wciąż się utrzymywał. Chociaż żona przejawiała niepokojące zachowania dopiero od paru miesięcy – mówiła do siebie i wyczyniała dziwne i dość nieprzyjemne *rzeczy* z językiem – nie spała dobrze od stycznia. Stąd lek nasenny. Wydaje się, że teraz wreszcie się przemogła. I czy to zbyt wiele oczekiwać, że gdy obudzi się z normalnego snu, będzie znowu sobą? Że jej troska o bezpieczeństwo syna podczas lata, kiedy ujawnił się Rybak, spowodowała wyładowanie spiętrzonych emocji? Może, może nie... lecz Fred ma przynajmniej czas zastanowić się, co powinien dalej zrobić. Powinien jak najlepiej wykorzystać tę okazję. Jedna rzecz wydaje mu się niezaprzeczalna: jeśli Tyler znajdzie się tutaj, kiedy Judy się obudzi, to będzie miał o wiele szczęśliwszą matkę. Rodzi się więc natychmiast pytanie: jak możliwie najszybciej znaleźć Tylera?

Fredowi najpierw przychodzi do głowy, żeby zadzwonić do domów przyjaciół Tylera. Nie sprawi to żadnego problemu: numery są przyczepione do lodówki, wypisane równym, pochylonym w tył pismem Judy – razem z numerami straży pożarnej, policji (włącznie z domowym numerem Dale’a Gilbertsona; to stary przyjaciel) oraz strażą ratowniczą French Landing Rescue. Fredowi potrzeba jednak tylko chwili, by uświadomić sobie, że to fatalny pomysł. Matka Ebbiego nie żyje, a ojciec to opryskliwy kretyn – Fred spotkał go tylko raz, lecz jego zdaniem był to o raz za dużo. Fred niezbyt lubi, gdy jego żona nazywa niektórych ludzi „pospolitakami” („Myślisz, że kim jesteś? – spytał ją raz. – Królową jakiegoś piekielnego imperium?”), jednak w przypadku Pete’a Wexlera określenie to pasuje jak ulał. Wexler na pewno nie ma pojęcia, gdzie podziewają się chłopcy, ani go to nie obchodzi.

Pani Metzger i Ellen Renniker być może wiedzą, ale ponieważ Fred sam był kiedyś chłopcem i miał wakacje – cały świat u swoich stóp i co najmniej dwa tysiące miejsc do odwiedzenia – uważa, że to cholernie mało prawdopodobne. Niewykluczone, że chłopcy mają zjeść obiad (zbliża się odpowiednia pora) u Metzgerów lub Rennikerów, ale czy ta

ewentualność upoważnia go do wystraszenia na śmierć tych kobiet? Bo na pewno od razu pomyślał o mordercy, to pewne jak to, że Bóg stworzył małe rybki... i rybaków, by je łapali.

Siadając znowu na łóżku obok żony, Fred czuje po raz pierwszy dreszcz obawy o syna, lecz kategorycznie go od siebie odgania. Nie ma czasu dostawać kręćka. Musi pamiętać, że problemy z psychiką jego żony i bezpieczeństwo syna nie wiążą się ze sobą – nigdzie z wyjątkiem jej umysłu. Fred ma konkretne zadanie: zaprezentować jej Tylera, z profilu oraz *enface*, i w ten sposób udowodnić, że jej obawy są bezpodstawne.

Patrzy na zegar obok łóżka, jest kwadrans po jedenastej. Jak ten czas leci, kiedy człowiek się dobrze bawi, myśli. Obok niego Judy wydaje pojedyncze, przypominające stękanie chrapanięcie. Jest to cichy odgłos, jak przystało damie, lecz Fred mimo to podskakuje. Ale go przestraszyła, gdy zajrzał do pokoju Tylera! Wciąż jest podenerwowany.

Być może Tyler przyjedzie z przyjaciółmi do domu na obiad. Judy mówi, że często to robią, bo u Metzgerów nie ma za bardzo co do ust włożyć, a pani Renniker zwykle podaje tak zwane przez chłopców gluty – tajemnicze danie, składające się z klusek i nieokreślonego szarego mięsa. Judy przyrządza im zupy Campbella i kanapki z mieloną, czyli to, co lubią. Ty ma jednak dość pieniędzy, by zafundować kumplom jedzenie w McDonalddie przy małym centrum handlowym w północnej części miasta; mogą też wybrać się do taniej knajpki „Sonny’s Cruisin”, udekorowanej w zawiadackim stylu lat pięćdziesiątych. Tyler nie ma zresztą nic przeciwko fundowaniu – z natury jest szczodry.

– Zaczekam do obiadu – mruczy, całkowicie nieświadomy tego, że myśli na głos. Na pewno nie przeszkadza Judy; zasnęła głęboko. – Potem...

Co potem? Właściwie dokładnie nie wie.

Schodzi na parter, włącza z powrotem ekspres do kawy i dzwoni do pracy. Prosi Inę, by powiedziała Tedowi Goltzowi, że nie wróci już dzisiaj – Judy zachorowała. Grypa, mówi Inie. Judy zwraca i tak dalej. Przebiega w myślach listę ludzi, z którymi miał się dzisiaj spotkać, i mówi Inie, by poprosiła Otto Eismana, żeby się nimi zajął. Otto na pewno rzuci się na tę okazję jak kot na szperkę.

Podczas rozmowy z Iną przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Po jej zakończeniu mimo wszystko dzwoni do Metzgerów i Rennikerów. U Metzgerów odzywa się tylko automatyczna sekretarka; Fred rozłącza się, nie nagrywając żadnej wiadomości. Ellen Renniker odbiera natomiast po drugim sygnale. Mówiąc pogodnie i beztrąsko – przychodzi mu to bez trudu, bo jest piekielnie dobrym sprzedawcą – prosi ją, żeby Tyler zadzwonił do domu, jeśli chłopcy przyjadą tam na obiad. Mówi, że ma coś do przekazania synowi, sugerując, że chodzi o jakąś przyjemną niespodziankę. Ellen zgadza się przekazać wiadomość, ale mówi, że przed odjazdem z domu T.J. miał cztery czy pięć dolarów, które wypalały mu dziurę w kieszeni, więc nie spodziewa się jego powrotu do kolacji.

Fred wraca na górę i sprawdza, co z Judy. Żona nie przesunęła się nawet na palec, ale Fred zakłada, że to dobry znak.

Nie. W tym wszystkim nie ma nic dobrego.

Zamiast ustąpić, skoro sytuacja się ustabilizowała – w pewnym sensie – lęk Freda rośnie coraz bardziej. Przestało pomagać wmawianie sobie, że Tyler jest z przyjaciółmi. Nasłoneczniony, milczący dom sprawia, że Fred dostaje fioła z niepokoju. Zdaje sobie sprawę, że zależy mu, by nie tylko żona zobaczyła Tylera z profilu i *enface*. Dokąd chłopcy mogli pojechać? Czy jest jakiegokolwiek miejsce...?

Oczywiście, że jest. Tam gdzie sprzedaje się karty Magie. Do idiotycznej, niepojętej gry, na którą marnują mnóstwo czasu.

Fred Marshall spiesznie zawraca na parter, chwytając książkę telefoniczną, szpera po żółtych kartkach i wybiera numer 7Eleven. Podobnie jak pozostali mieszkańcy French Landing, Fred bywa tam czterdzieści razy w tygodniu – po puszkę napoju gazowanego czy karton soku pomarańczowego – i poznaje śpiewny, hinduski akcent ekspedienta. Natychmiast przypomina mu się jego nazwisko: Rajan Patel. To skutek starej sztuczki sprzedawcy – przechowywania w pamięci maksymalnej liczby nazwisk. Na pewno przydaje się to tym razem. Gdy Fred zwraca się do ekspedienta „panie Patel”, mężczyzna natychmiast staje się przyjacielski i gotów do pomocy. Niestety, jego pomoc na niewiele się zdaje. Mnóstwo chłopców przychodzi. Kupują karty Magie, także Pokemony i z graczami baseballowymi. Niektórzy wymieniają się nimi pod sklepem. Rzeczywiście, przypomina sobie, trzech przyjechało rano na rowerach. Mówi, że kupili oprócz kart lody Slurpees, a potem pokłócili się o coś na zewnątrz. (Rajan Patel nie wspomina o wulgaryzmach, chociaż głównie z tego powodu zapamiętał chłopców). Mówi, że po jakimś czasie pojechali dalej.

Fred pije kawę, zapomniawszy, że w ogóle ją sobie nalał. Nowe nitki niepokoju tworzą jedwabiste pajęczyny w jego głowie. Trzej chłopcy. Trzej.

To nic nie znaczy, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? – mówi sobie. Wie to, a równocześnie tego nie wie. Nie potrafi uwierzyć, że zaraził się wariactwem Judy, jakby to było przeziębienie. To po prostu... no... wariactwo dla samego wariactwa.

Prosi Patela, żeby opisał chłopców, i nie jest zbyt zaskoczony, gdy okazuje się, że sprzedawca tego nie potrafi. Patelowi wydaje się, że jeden z nich był trochę za gruby, ale nawet tego nie jest zbyt pewny.

– Przepraszam, ale widzę ich tak wielu – mówi.

Fred odpowiada, że rozumie. Istotnie rozumie, ale całe zrozumienie świata nie może zmniejszyć jego niepokoju.

Trzech chłopców. Nie czterech, ale trzech.

Zbliża się pora obiadu, lecz Fred nie jest głodny. Trwa niesamowita, słoneczna cisza. Pajęczyny rozsnuwają się coraz szerzej.

Nie czterech, ale trzech.

Jeżeli Patel widział paczkę Tylera, to grubawym chłopcem na pewno był Ebbie Wexler. Pytanie brzmi: kim byli dwaj pozostali? I którego brakowało? Który z nich był tak głupi, że pojechał gdzieś sam?

Tyler zniknął. Gorg go zafascynował, a abbalah porwał.

Wariackie gadanie, nie ma żadnych wątpliwości... ale mimo to na ramionach Freda tworzy się gęsia skórka. Odstawia z łoskotem kubek po kawie. Posprząta zbite szkło, ot co. To kolejny krok, nie ma wątpliwości.

Rzeczywisty następny krok, logiczny następny krok, szemrze w jego umyśle, gdy wspina się po schodach. Natychmiast odpycha tę myśl. Jest pewny, że policjanci są ostatnio zawaleni telefonami od histerycznych rodziców, których pociechy zapodziały się na godzinę czy dwie. Kiedy ostatnim razem widział Dale'a Gilbertsona, biedaczysko wyglądał na ponurego i przytłoczonego troskami. Fred nie chce zyskać etykiety części problemu zamiast części rozwiązania. Mimo to...

– Nie czterech, ale trzech.

Wyciąga szufelkę i szczotkę z małego schowka koło pralni i zaczyna zgarniać potłuczone szkło. Gdy kończy, zagląda do Judy, która wciąż śpi (sądząc po jej wyglądzie, jeszcze głębiej niż przedtem), a następnie idzie do pokoju Tylera. Gdyby Ty to zobaczył, toby się zdenerwował. Pomyślałby, że mamie zapodziała się niejedna klepka.

Nie musisz się tym martwić, szemrze umysł Freda. Nie zobaczy swojego pokoju, ani dzisiaj, ani nigdy. Gorg go zafascynował, a abbalah porwał.

– Przestań – mówi do siebie Fred. – Przestań być starą babą.

Dom jest jednak zbyt pusty, zbyt cichy, a Fred Marshall się boi.

Uporządkowanie pokoju Tylera zabiera Fredowi więcej czasu, niż się spodziewał; jego żona zachowała się jak trąba powietrzna. Jak tak drobna kobieta mogła mieć w sobie tyle siły? Czy to skutek szaleństwa? Być może, ale Judy nie musi zwariować, żeby mieć dużo siły. Gdy się na coś zdecyduje, potrafi być niezmordowana.

Zanim Fred kończy porządki, mijają prawie dwie godziny, a jedyną wyraźną blizną zostaje wydrapany prostokąt w miejscu, gdzie wisiał plakat z irlandzkim zamkiem. Usiadłszy na zasłanym na nowo łóżku Tylera, Fred dochodzi do wniosku, że im dłużej patrzy na to miejsce, tym trudniej mu znieść białą tapetę – widok tak przykry, jak kości, które sterczą bezczelnie przez poszarpaną skórę. Zmył smugi krwi, ale nic nie poradzi na ślady po paznokciach Judy.

Ależ poradzę, myśli. Tak, mogę na to coś poradzić.

Tyler ma mahoniową komódkę – mebel otrzymany w spadku po odległym kuzynie ze strony Judy. Przesunięcie jej to właściwie robota dla dwóch osób, ale zważywszy na okoliczności, Fred nie potrzebuje pomocy. Wsuwa pod nią kawałek starego dywanu, by nie porysować podłogi, i przeciągają na drugą stronę pokoju. Gdy stawiają pod przeciwległą

ścianą, mebel zakrywa prawie całą podrapaną część. Kiedy tylko znika goły fragment ściany, Fred od razu czuje się lepiej. Zdrowszy na umyśle. Tyler nie wrócił do domu na obiad, ale Fred właściwie tego po nim nie oczekiwał. Tyler na pewno wróci najpóźniej o czwartej. Przyjedzie na kolację. Pewne jak w banku.

Fred przechodzi z powrotem do głównej sypialni, pocierając sobie grzbiet. Judy wciąż się nie poruszyła. Fred ponownie przykładą z niepokojem rękę do jej piersi. Oddycha powoli, ale równo jak po sznureczku. Z tym wszystko w porządku. Fred kładzie się na łóżku obok żony, sięga pod szyję, by poluzować krawat, i śmieje się, gdy wymacuje rozpięty kołnierzyk. Marynarka i krawat zostały u Goltza. No, ma za sobą wariacki dzień. Na razie wystarczy, że poleży w klimatyzowanym chłodziu, dając ulgę bolącemu grzbietowi. Cholernie ciężko było przeciągnąć tę komodę, ale jest zadowolony, że to zrobił. Nie ma szans, żeby zasnął – za bardzo jest wytrącony z równowagi. Poza tym nigdy nie zwykł drzemać w środku dnia.

Myśląc to, Fred zapada w sen.

Obok niego pogrążona w swoim śnie Judy zaczyna szeptać. Gorg... abbalah... Karmazynowy Król. I kobiece imię.

Owo imię to Sophie.

Rozdział szósty

W sali odpraw posterunku policji we French Landing dzwoni telefon na biurku. Bobby Dulac zrobił ze swojego nosa kopalnię, lecz teraz rozgniata ostatni skarb o podeszwę buta i sięga po słuchawkę.

– *Allo*, policja, mówi posterunkowy Dulac, w czym mogę pomóc?

– Cześć, Bobby. Tu Danny Tcheda.

Bobby czuje ukłucie niepokoju. Danny Tcheda – jego nazwisko wymawia się jak *cheetah*, czyli „gepard” – jest jednym z czternastu policjantów patrolujących French Landing. Obecnie jest na służbie, a procedura wymaga, by policjanci na patrolach meldowali się przez radio – ostatecznie nie darmo jeżdżą radiowozami. Jedyne wyjątek od reguły jest dopuszczalny, gdy chodzi o coś związanego z Rybakiem. Dale zarządził, by funkcjonariusze na patrolach meldowali się przez łącza naziemne, jeśli uważają, że natrafili na coś dotyczącego mordercy. Zbyt wielu ludzi jest na nasłuchu, w tym niewątpliwie Wendell „Zaszczany Łeb” Green.

– Co się dzieje, Danny?

– Może nic, może coś niedobrego. Mam w bagażniku samochodu rower i adidas. Znalazłem je na Queen. Niedaleko Domu Spokojnej Starości Maxtona, orientujesz się?

Bobby przyciąga do siebie bloczek i zaczyna notować. Ukłucie niepokoju zamieniło się we wrażenie, że się zapada.

– Rower jest całkowicie w porządku – kontynuuje Danny. – Stał na nóżce, ale w połączeniu z butem...

– Tak, tak, rozumiem, o co ci chodzi, Danny, ale nie powinienes tego ruszać, bo to może być dowód przestępstwa.

Boże, proszę, niech to nie będzie dowód przestępstwa, myśli Bobby Dulac. Proszę, niech to nie będzie kolejny raz.

U Dale’a właśnie była matka Irmy Freneau i chociaż nie krzyczała ani nie histeryzowała, wyszła od komendanta z łzami na policzkach, wyglądała jak śmierć na chorągwi. Wciąż nie wiadomo na pewno, czy dziewczynka została trzecią ofiarą Rybaka, ale...

– Musiałem, Bobby – mówi tymczasem Danny. – Jeżdżę sam. Nie chciałem nadawać tego przez radio, musiałem znaleźć telefon. Gdybym zostawił rower, ktoś inny mógłby przy nim pogrzebać. Do diabła, nawet go buchnąć. To dobry rower, schwinn z trzema biegami. Lepszy, niż ma mój dzieciak, to ci powiem.

– Gdzie jesteś?

– 7Eleven, na wzniesieniu na trzydziestce. Zazaczyłem położenie roweru i buta krzyżkami kredą na chodniku. Nie dotykałem ich bez rękawiczek i włożyłem but do torby na dowody.

W głosie Danny’ego słychać coraz większe zdenerwowanie. Bobby wie, jak musi się czuć jego kolega, rozumie, ile kosztowało go podjęcie decyzji. Samotny patrol to syf, ale French Landing utrzymuje już tylu policjantów – na pełnym lub częściowym etacie – ile tylko może wytrzymać budżet. Jeśli oczywiście sprawa z Rybakiem wymknie się całkowicie spod kontroli, to radni miejscy na pewno dojdą do wniosku, że budżet da się jednak trochę nagiąć.

Może już się wymknęła spod kontroli, myśli Bobby.

– No dobrze, Danny. Dobrze. Rozumiem, o co ci chodzi.

Czy Dale to zrozumie, czy nie, to zupełnie inna para kaloszy, myśli Bobby.

– Nikt nie musi wiedzieć, że naruszyłem procedurę przy zbieraniu dowodów, prawda? – Danny zniża głos. – To znaczy, jeśli to kiedykolwiek będzie miało znaczenie. Na przykład w sądzie czy gdzieś.

– Myślę, że to zależy od Dale’a.

Och, Boże, myśli Bobby. Przyszedł mu do głowy nowy problem. Wszystkie telefony na tej linii są automatycznie nagrywane. Bobby postanawia, że aparatura rejestrująca ulegnie awarii, ze skutkiem wstecznym mniej więcej do drugiej po południu.

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze? – pyta Danny. – Najważniejsze? Nie chciałem, żeby ludzie to widzieli. Jak rower tak sobie stoi sam, to nie trzeba być, kurwa, Sherlockiem Holmesem, żeby dojść do pewnych wniosków. A ludzie są już blisko paniki, zwłaszcza po tym cholernym nieodpowiedzialnym artykule w dzisiejszej gazecie. Z tego samego powodu nie chciałem do ciebie dzwonić od Maxtona.

– Poczekaj chwilę. Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiasz z Dale’em.

– Och, rany – mówi bezgranicznie nieszczęśliwym tonem Danny.

W gabinecie Dale’a Gilbertsona wisi tablica ogłoszeniowa, na której królują powiększone fotografie Amy St. Pierre i Johnny’ego Irkenhama. Komendant obawia się, że wkrótce dołączy do nich trzecie zdjęcie – Army Freneau. Dale siedzi za biurkiem, pod dwoma aktualnymi fotografiami, i pali marlboro. Włączył wentylator, który, ma nadzieję, rozwieje dym. Sarah by go pewnie zabiła, gdyby się dowiedziała, że znowu pali, ale słodki Jezu Chryste, potrzebuje czegoś, żeby się opanować.

Rozmowa z Tansy Freneau była krótka i w pełni zasługiwała na określenie czyścica. Tansy nie wylewa za kołnierz; jest stałą klientką Łachy, a w trakcie rozmowy z Dale'em bił od niej tak silny zapach kawy z brandy, jakby wydobywał się z niej wszystkimi porami (kolejny pretekst do włączenia wentylatora). Była częściowo urżnięta, co odpowiadało Dale'owi. Dzięki temu przynajmniej zachowała spokój. Nie ożywiły się jej martwe oczy, kawa z brandy to za mało, ale przynajmniej zachowała spokój. Najokropniejsze było to, że przed wyjściem powiedziała: „Dziękuję, że chce mi pan pomóc, proszę pana”.

Były Tansy – ojciec Army – mieszka w drugim końcu stanu w Green Bay („Green Bay to diabelskie miasto”, zwykł mawiać, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ojciec Dale'a), gdzie pracuje w warsztacie samochodowym i według Tansy, dostarcza dochodów kilku barom o nazwach w stylu End Zone i FiftyYard Line. Do dzisiaj istniały powody, by wierzyć – a przynajmniej mieć nadzieję – że Richard „Cubby” Freneau porwał swoją córkę. Poczta elektroniczna do wydziału policji w Green Bay kazała jednak pożegnać się z tym pomysłem. Cubby Freneau mieszka z kobietą, która ma dwoje własnych dzieci, a na dodatek siedział w areszcie – za awantury po pijanemu – w dniu zaginięcia Army. Wciąż nie znalazło się ciało, a Tansy nie dostała listu od Rybaka, ale...

Drzwi się otwierają. Bobby Dulac wsadza głowę do środka. Dale rozgniała papierosa o wewnętrzny brzeg kosza na śmieci, parząc sobie iskrami grzbiet dłoni.

– Kurde, Bobby, nie umiesz zapukać?

– Przepraszam, szefie. – Bobby patrzy na unoszące się z kosza strużki dymu bez zaskoczenia czy zainteresowania. – Dzwoni Danny Tcheda. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pan odbierze.

– O co chodzi?

Dale jednak wie. Dlaczego inaczej Danny użyłby telefonu?

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli pan odbierze – powtarza jedynie Bobby nie bez współczucia.

Samochód wysłany przez Rebecę Vilas po Henry'ego Leydena dostarcza go do Domu Maxtona o wpół do trzeciej, półtorej godziny przed planowanym początkiem potańcówki w ramach Truskawkowego Festynu! Pomysł polega na tym, by starszycy nabrali apetytu na parkiecie, a potem przemaszerowali do jadalni – odpowiednio udekorowanej z tej okazji – na ekscytująco późną (wpół do ósmej to bardzo późna jak na Dom Maxtona pora) kolację. Z winem, dla tych, którzy je piją.

Rebecca Vilas zwerbowała rozgoryczonego Pete'a Wexlera do wniesienia szajsu konferansjera (Pete nazywa Henry'ego w myślach „ślepy dyskdzokejem”). Ów szajs składa się z dwóch głośników (bardzo dużych), jednego gramofonu (lekkiego, ale kurewsko nieporęcznego do noszenia), jednego przedwzmacniacza (bardzo ciężkiego), rozmaitych kabli (poplątanych, ale to zmartwienie ślepego dyskdzokeja) i czterech pudeł prawdziwych płyt,

które wyszły z mody mniej więcej sto lat temu. Pete domyśla się, że ślepy dyskdzokej nigdy w życiu nie słyszał o kompaktach.

Ostatnim składnikiem szajsu jest garnitur na wieszaku i w torbie. Pete zajrzał do środka i przekonał się, że garnitur jest biały.

– Proszę go tutaj powiesić – mówi Henry, wskazując nieomylnie szafkę na zapasy, którą wyznaczono na jego garderobę.

– Dobra – mówi Pete. – Co to właściwie jest, jeśli wolno zapytać?

Henry się uśmiecha. Wie dokładnie, że Pete *zajrzał* do torby. Słyszał szelest plastiku i szczęknięcie zamka błyskawicznego, które towarzyszą jedynie temu, gdy ktoś odciąga brzeg torby od wieszaka.

– Wewnątrz tej torby, mój przyjacielu, czeka Symfoniczny Stan, Big Band Mań, bym go nałożył i powołał do życia.

– Och... ehe – mówi Pete, niepewny, czy otrzymał odpowiedź, czy nie.

Jest pewien jednego: płyty były prawie tak ciężkie jak przedwzmacniacz. Ktoś powinien wreszcie poinformować ślepego dyskdzokeja o istnieniu kompaktów, kolejnego wielkiego kroku naprzód.

– Zadałeś mi pytanie; ja również mogę cię o coś zapytać?

– Wedle życzenia – mówi Pete.

– Wydaje się, że dziś po południu w Domu Spokojnej Starości Maxtona zagościła policja – mówi ślepy dyskdzokej. – Już pojechała, ale była jeszcze, kiedy tu się zjawiłem. O co chodzi? Mam nadzieję, że nie doszło do żadnej geriatrycznej napaści ani rabunku?

Peter zatrzymuje się nagle za wielką tekturową truskawką, trzymając w ręce torbę z garniturem i wpatrując się w Henry'ego z niemal namacalnym zdumieniem.

– Skądżeś pan wiedział, że gliny tu były?

Henry przytyka palec do boku nosa i przekrzywia głowę.

– Wywahałem coś niebieskiego – odpowiada gardłowym, konspiracyjnym szeptem.

Pete robi zdziwioną minę, zastanawia się, czy nie wypytywać dalej, ale ostatecznie z tego rezygnuje.

– Nie chcieli puścić pary z gęby, ale myślę, że szukają kolejnego zaginionego dzieciaka – mówi, ruszając od nowa w stronę garderobyszafki na szczotki.

Z twarzy Henry'ego niknie wyraz rozbawionego zaciekawienia.

– Chryste Panie – mówi.

– Bardzo szybko się zmyli. Nie ma tu żadnych dzieciaków, panie... ee, Leyden?

– Leyden – potwierdza Henry.

– Dzieciak wyróżniałby się tutaj jak róża w kępie bluszczu, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

Henry nie uważa staruszków za bluszcz, pojmuje jednak, co ma na myśli pan Wexler.

– Dlaczego myśleli...

– Ktoś coś znalazł na chodniku – mówi Pete. Wyciąga rękę w stronę okna, po czym dociera do niego, że ślepy gość nie może tego zobaczyć. Kurna, jak powiedziałby Ebbie. Pete opuszcza rękę. – Jak dzieciak został porwany, to ktoś pewnie podjechał samochodem i go zabrał. Nie ma tu żadnych porywaczy, tyle panu powiem.

Pete śmieje się na samą myśl, że któryś ze spleśniałych staruszków od Maxtona mógłby porwać dzieciaka, który już jeździ na rowerze. Chłopak pewnie połamalby starucha na kolanie jak suchy chrust.

– Nie – mówi trzeźwo Henry. – Wydaje się to całkowicie niemożliwe, prawda?

– No, domyślam się, że gliny musiały postawić wszystkie przecinki nad „i”. – Urywa na chwilę. – To taki mój żart.

Henry uśmiecha się uprzejmie, myśląc, że niektórym ludziom choroba Alzheimera może przynieść autentyczną poprawę.

– Niech pan będzie łaskaw potrząsnąć moim garniturem, panie Wexler, kiedy będzie go pan wieszał, dobrze? Żeby zapobiec ugruntowaniu się jakichkolwiek załączkowych załamania.

– Dobra. Mam go wyjąć panu z torby?

– Dziękuję, to nie będzie konieczne.

Pete podchodzi do szafki, lekko potrząsa torbą z garniturem i ją wiesza. Załączkowe – co to znaczy, do cholery? W Domu Maxtona jest namiastka biblioteki; może sprawdzi to w słowniku. Opłaca się poszerzać swoje słownictwo, jak piszą w „Reader’s Digest”, chociaż Pete wątpi, czy przyda mu się to w tej pracy.

Kiedy wraca do świetlicy, stwierdza, że ślepy dyskdzokej – Leyden, Symfoniczny Stan, ktokolwiek to jest, do diabła zaczął już rozplątywać kable i podłącza je z szybkością i dokładnością, która jest dla Pete’a nieco niepokojąca.

Biedny stary Fred Marshall ma straszny sen. Świadomość, że to tylko sen, powinna uczynić go mniej strasznym, ale z jakiegoś powodu tak się nie dzieje. Fred siedzi z Judy w wiosłowej łodzi; są na środku jeziora. Judy siedzi z tyłu. Łowią ryby. Przynajmniej Fred łowi; Judy jedynie trzyma drążek. Jej twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu. Ma woskową skórę i oczy o oszołomionym, znękanym wyrazie. Fred stara się z rosnącą desperacją nawiązać z nią kontakt, wypróbować ująć jeden konwersacyjny gambit po drugim. Nic nie skutkuje. By użyć metafory, która w tych okolicznościach jest bardzo odpowiednia, Judy wypływa każdą przynętę. Fred dostrzega, że jej puste spojrzenie skupione jest na koszu rybackim na dnie łodzi między nimi. Przez szpary w wiklinie wyciekają grube strużki krwi.

To nic, to tylko rybia krew, stara się ją uspokoić, lecz Judy nie reaguje. W istocie Fred sam nie jest tego całkowicie pewny. Wpada na pomysł, że powinien zajrzeć do koszyka, żeby się upewnić, gdy nagle coś szarpie potężnie jego wędką – gdyby nie szybki refleks, wypadłaby za burtę. Jakaś wielka sztuka połknęła haczyk.

Fred kręci kołowrotkiem, ryba na drugim końcu żyłki zawzięcie walczy o życie. Gdy wreszcie przyciąga ją blisko łódki, uświadamia sobie, że nie ma podbieraka. Do diabła z tym, myśli, idź na całość. Szarpie wędkę w tył, jakby zachęcał żyłkę do pęknięcia. Ryba – największy przeklęty pstrąg, jakiego można w życiu zobaczyć – wyskakuje z wody i szybuje łukiem, migocząc łuskami i wachlując płetwami. Łąduje na dnie łódki (faktycznie obok ociekającego koszyka) i zaczyna się rzucać. Zaczyna wydawać również okropne odgłosy, jakby się dusiła. Fred jeszcze nigdy nie słyszał takich dźwięków u ryb. Pochyliła się naprzód i ze zgrozą widzi, że pstrąg ma twarz Tylera. Jego syn zamienił się jakimś cudem w pstrągołaka, a teraz umiera na dnie łódki. Dusi się.

Fred chwyta go, pragnąc wyjąć haczyk i wrzucić Tyrybę do wody, póki jest jeszcze na to czas, ale straszna, dusząca się istota wyslizguje się mu cały czas z rąk, zostawiając na nich jedynie lśniące, śliskie łuski. I tak trudno byłoby wyjąć haczyk. Tyryba połknęła go w całości, a karbowany czubek wystaje ze skrzeli tuż za miejscem, gdzie kończy się ludzka twarz. Charczenie Tylera staje się coraz głośniejsze, chrapliwsze, nieskończenie okropniejsze...

Fred siada z cichym krzykiem, czuje, jakby sam się dusił. Przez chwilę jest całkowicie zdezorientowany co do czasu i miejsca – zagubił się wskutek ześlizgu, moglibyśmy powiedzieć – aż wreszcie uświadamia sobie, że znajduje się we własnej sypialni i siedzi na brzegu łóżka, które dzieli z Judy.

Zauważa, że zrobiło się znacznie ciemniej, bo słońce przewędrowało na drugą stronę domu. Mój Boże, myśli, jak długo spałem? Jak mogłem...

Och, jeszcze jedno: koszmarny odgłos duszenia się towarzyszy mu i po przerwaniu snu. W istocie stał się jeszcze głośniejszy. Obudzi Judy, przestraszy ją...

Judy nie ma już jednak w łóżku.

– Jude? Judy?

Siedzi w kącie. Ma rozszerzone, nieprzytomne oczy, takie same jak we śnie. Z jej ust wystaje bukietek zmiętego papieru. Ma groteskowo obrzmiałe gardło, przypominające Fredowi kielbaskę podgrzewaną na grillu tak długo, że lada chwila pęknie jej skórka.

Ma tam więcej papieru, dociera do niego. Chryste, ona się nim dusi.

Fred przetacza się przez łóżko, zsuwa się i łąduje jak gimnastyk po akrobacji. Wyciąga rękę w stronę Judy. Żona siedzi dalej nieruchomo, nie starając się od niego odsunąć. Przynajmniej tyle. Chociaż się dusi, Fred nadal nie widzi w jej oczach żadnego wyrazu. Stały się zmętniałymi zerami.

Fred wyszarpuje bukietek papieru z jej ust. Za pierwszą kartką jest kolejna. Fred wsuwa palce między jej zęby, ścisną drugą kulkę papieru między kciukiem i palcem wskazującym (Proszę, Judy, nie ugryź mnie, proszę, myśli) i ją też wyciąga. Dalej jest jeszcze jedna zmięta kartka, głęboko w gardle. Fredowi udaje się i tę ścisnąć i wyciągnąć. Chociaż jest zgnieciona,

widzi wydrukowane słowa: WSPANIAŁY POMYSŁ. Domyśla się, co próbowała połknąć Judy: kartki papieru z notatnika, który dostała od Tylera na urodziny.

Judy wciąż się dusi. Jej skóra nabiera łupkowej barwy.

Fred chwyta ją za ramiona i podrywa z ziemi. Judy nie wzbrania się, lecz gdy Fred rozluźnia uścisk, uginają się pod nią kolana i zaczyna osuwać z powrotem na podłogę. Zrobiła się wiotka jak szmaciana lalka. Wciąż słysząc jej charczenie. Gardło jak kiełbaska...

– Pomóż mi, Judy! Pomóż mi, suko!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, szarpie ją silnie – tak mocno jak wędkę we śnie – i gdy staje na palcach, obraca ją jak balerinę. Następnie chwyta ją w niedźwiedzi uścisk. Nadgarstkami trze o spodnie strony jej piersi, jej pośladki napierają na jego krocze; pozycję tę uznałby za niesamowicie podniecającą, gdyby jego żona przypadkiem nie dławiała się na śmierć.

Wystawia kciuki jak autostopowicz, wbija je Judy pod mostek i wypowiada magiczne słowo, równocześnie przyciągając dłonie do siebie w górę. Magicznym słowem jest: „Heimlich” – i okazuje się skuteczne. Z ust Judy wylatują jeszcze dwie papierowe kulki, popychane strugą wymiocin, a praktycznie wyłącznie żółci. Przez ostatnie dwanaście godzin Judy ograniczyła się do spożycia trzech kubków kawy i bułeczki z żurawinami.

Judy sęka, kaszle dwa razy i zaczyna mniej więcej normalnie oddychać.

Fred kładzie ją na łóżku... upuszczają na łóżko. Dół pleców ogarniają mu dzikie skurcze – i nic dziwnego: najpierw komoda Tylera, a teraz to.

– No, jak myślisz, coś ty narobiła? – pyta głośno żonę. – W imię Chrystusa, coś ty chciała zrobić?

Zdaje sobie sprawę, że uniósł dłoń nad zwróconą ku górze twarzą Judy, jakby chciał ją uderzyć. Częściowo chce ją uderzyć. Kochają, lecz w tym momencie równocześnie jej nienawidzi. W ciągu lat ich małżeństwa wyobrażał sobie wiele strasznych rzeczy – to, że Judy dostaje raka, jest sparaliżowana po wypadku, bierze sobie kochankę, a potem żąda rozwodu – ale nigdy nie wyobrażał sobie, że Judy okaże się skończonym tchórzem, a ostatecznie czy to się temu nie równało?

– Jak myślisz, coś ty chciała zrobić?

Judy patrzy na niego bez strachu... ale i bez jakichkolwiek innych uczuć. Jej oczy są martwe. Fred opuszcza rękę, myśląc: Odciałbym ją, zanimbyś cię uderzył. Może jestem na ciebie wkurwiony – jestem na ciebie wkurwiony – ale najpierw bym ją odciał, zanimbyś to zrobił.

Judy przewraca się na bok, chowa twarz w kołdrę, a jej włosy rozpościerają się wokół głowy jak aureola.

– Judy?

Brak reakcji. Judy jedynie leży w bezruchu.

Fred patrzy na nią przez chwilę, po czym rozprostowuje jedną ze zmiętych, oślizgłych kulek papieru, którą próbowała się udusić. Kartka jest pokryta namazanymi w najprzeróżniejszych kierunkach wyrazami. Gorg, abbalah, eelelee. munshun, bas, lum, opopanaks: słowa te nie mają dla Freda żadnego sensu. Inne – żdżury, utrzyjdupa, czarny, czerwony. Chicago i Ty – to rzeczywiste słowa, ale pozbawione kontekstu. Na drugiej stronie Judy napisała dużymi literami: JEŚLI MASZ KSIĘCIA ALBERTA W PUSZCZE, TO JAK MOŻESZ GO Z NIEJ WYJĄĆ? Fred wie, że chodzi o stary dowcip, dotyczący marki tytoniu do fajki. Pod spodem znajdują się inne słowa, jakby wystukał je powtarzający się dalekopis: CZARNY DOM KARMAZYNOWY KRÓL CZARNY DOM KARMAZYNOWY KRÓL CZARNY

Jeśli będziesz marnował czas na szukanie w tym sensu, to jesteś takim samym wariatem jak ona, myśli Fred. Nie możesz marnować czasu...

Czas.

Patrzy na zegar z boku łóżka i nie może uwierzyć w jego komunikat: 4.17. Czy to możliwe? Spogląda na swój zegarek i stwierdza, że możliwe.

Wiedząc, że to głupie, wiedząc, że nawet w głębokim śnie usłyszałby wejście syna do domu, podchodzi do drzwi na nogach sztywnych jak kłody.

– Ty! – woła. – Hej, Ty! TYLER!

Czekając na odpowiedź, która nie pada, Fred zdaje sobie sprawę, że zmieniło się wszystko w jego życiu, zapewne już na zawsze. Ludzie mówią, że coś takiego się zdarza – „w mgnieniu oka”, powiadają, „zanim się obejrzysz” – ale w to nie wierzycie. Aż powieje wiatr.

Pójść do pokoju Tylera? Sprawdzić? Upewnić się?

Tylera tam nie ma – Fred to wie – lecz mimo wszystko idzie tam. Pokój jest pusty, tak jak przypuszczał. Wygląda też na dziwnie zniekształcony, niemal złowieszczy – przez przesunięcie komody na drugą stronę.

Judy. Zostawiłeś ją samą, idioto. Na pewno znowu połyka papier, są przebiegli, wariaci są przebiegli...

Fred wpada z powrotem do sypialni i wzdycha z ulgą, widząc, że Judy leży tak, jak ją zostawił: twarzą do dołu i z rozrzuconymi wokół głowy włosami. Odkrywa, że jego troska o oszalałą żonę stała się wtórna wobec strachu o zaginionego syna.

Będzie w domu najpóźniej o czwartej... pewne na bank. Tak myślał. Czwarta jednak nadeszła i minęła. Zerwał się silny wiatr i zdmuchnął bank. Fred wraca na swoją stronę łóżka i siada obok wyciągniętej prawej nogi żony. Podnosi słuchawkę i wybiera numer – prosty, zaledwie trzycyfrowy.

– *Allo*, policja, mówi posterunkowy Dulac, to numer dziewięćset jedenaście, czy chodzi o jakąś pilną sprawę?

– Panie posterunkowy, tutaj Fred Marshall. Chciałbym rozmawiać z Dale'em, jeśli jeszcze tam jest.

Fred jest całkiem pewny, że Dale jest jeszcze w pracy. Komendant prawie co wieczór siedzi do późna na posterunku, zwłaszcza od kiedy...

Odpycha od siebie resztę myśli, lecz wiatr w jego umyśle przybiera jeszcze na sile.

– Jeju, panie Marshall, jest tutaj, ale ma spotkanie i nie sądzę, żebym mógł...

– Niech pan go zawoła.

– Nie słucha mnie pan, panie Marshall. Rozmawia z dwoma ludźmi z policji stanowej i jednym z FBI. Jeśli może mi pan powiedzieć...

Fred przymyka oczy. Interesujące, nie? Dzieje się coś interesującego. Zadzwoił pod 911, ale idiota przy telefonie jakby o tym zapomniał. Dlaczego? Bo to ktoś, kto go zna. Dobrego starego Freda Marshalla, który raptem dwa lata temu sprzedał mu kosiarkę do trawników marki Deree. Na pewno zadzwonił pod 911, bo było mu łatwiej, niż sprawdzić zwykły numer. Bo nikt, kogo Bobby zna, nie może mieć w rzeczywistości żadnej pilnej sprawy.

Fred przypomina sobie, że jeszcze tego ranka myślał podobnie – był innym Fredem Marshalllem, przekonany, że Rybak za nic nie może tknąć jego syna. Nie jego syna.

Ty zniknął. Gorg go zafascynował, a abbalah porwał.

– Halo? Panie Marshall? Jest pan jeszcze...

– Niech pan posłucha – mówi Fred z wciąż zamkniętymi oczami. Gdyby był u Goltza, mówiłby drugiemu mężczyźnie po imieniu, ale Goltz jeszcze nigdy nie wydawał się tak daleko. Goltz jest na planecie Abbalah w układzie gwiazdym Opopanaks. – Niech pan słucha uważnie. Niech pan to zapisze, jeśli musi. Moja żona oszalała, a mój syn zniknął. Zrozumiał pan, co mówię? Żona oszalała. Syn zniknął. A teraz niech pan mnie połączy ze swoim szefem!

Bobby Dulac jednak tego nie robi, nie natychmiast. Przeprowadził dedukcję. Bardziej dyplomatyczny policjant (na przykład Jack Sawyrenw swoich najlepszych czasach) zatrzymałby jej wyniki dla siebie, ale Bobby tego nie potrafi. Bobby złapał grubą rybę.

– Panie Marshall? Fred? Twój syn nie ma przypadkiem schwinna? Trzybiegowego, czerwonego? Z tablicą rejestracyjną na obstalunek, na której jest... mm... BIG MAC?

Fred nie jest w stanie odpowiedzieć. Przez kilka długich, strasznych chwil nie może nawet zaczerpnąć oddechu. Pomiędzy jego uszami wiatr wieje jeszcze silniej i głośniej. Teraz jest to huragan.

Gorg go zafascynował... a abbalah porwał.

Gdy wreszcie wydaje się, że Fred również zacznie się dusić, odzyskuje władzę w mięśniach klatki piersiowej i nabiera głębokiego, palącego gardło oddechu.

– POŁĄCZ MNIE Z KOMENDANTEM GILBERTSONEM! NATYCHMIAST, SKURWYSYNU!

Chociaż krzyczy ile sił w płucach, kobieta leżąca obok niego twarzą do dołu nawet się nie porusza. Słysząc szcęknięcie – połączenie zostaje zawieszona. Nie na długo, ale wystarczająco, by Fred zobaczył w duchu wydrapane, puste miejsce na ścianie pokoju

swojego zaginionego syna, nabrzmiałą szyję oszalałej żony i krew wyciekającą z rybackiego koszyka w jego śnie. Potężny skurcz chwytą mu grzbiet, lecz Fred wita ból z zadowoleniem – jakby dostał telegram z prawdziwego świata.

Po chwili Dale jest już na linii. Pyta go, co się stało, a Fred Marshall zaczyna płakać.

Rozdział siódmy

Bóg jeden wie, gdzie Henry Leyden znalazł ten zdumiewający garnitur, bo my z pewnością nie. W sklepie z kostiumami? Nie, garnitur jest zbyt elegancki, by być kostiumem; jest to oryginał, nie imitacja. Ale jakiego rodzaju oryginał? Szerokie kłapy sięgają na cal poniżej talii, a bliźniacze poły jaskółczego ogona – prawie do kostek obszernych spodni z ostrymi kantami, wydających się piąć pod śnieżnobiałą połacią dwurzędowej kamizelki niemal na wysokość mostka. Białe kamasze na stopach Henry’ego mają skórzane podeszwy z prawdziwej skóry; sztywny, wysoki kołnierzyk góruje nad szeroką, powiewną, idealnie zawiązaną muszką z białego atłasu. Całość stroju wywiera wrażenie staromodnodyplomatycznej elegancji, idealnie zharmonizowanej z bikiniarskim luzem: kostium jest bardziej apaszowski niż oficjalny, lecz wystawność fraka i kamizelki sprawia, że całość ma swego rodzaju monarszą aurę, jaką często widuje się u afroamerykańskich gwiazd muzyki i estrady.

Eskortująca Henry’ego do świetlicy – podczas gdy za nimi ponury Pete Wexler pcha wyładowany pudłami z płytami ręczny wózek – Rebecca Vilas przypomina sobie niejasno, że widziała kiedyś Duke’a Ellingtona w takim właśnie białym, wyciętym fraku w urywku starego filmu... a może to był Cab Calloway? Przypomina sobie uniesioną brew, skrzący się uśmiech, uwodzicielski wyraz twarzy i wyprostowaną postać przed orkiestrą, ale niewiele więcej. (Gdyby panowie Ellington i Calloway żyli, każdy z nich mógłby poinformować Rebecę, że strój Henry’ego włącznie z „wysoko drapowanymi” spodniami i „trzciniowymi kantami” – które to terminy nie figurują w jej słownictwie – został niewątpliwie uszyty ręcznie przez jednego z czterech wyspecjalizowanych krawców, którzy działają w czarnych dzielnicach Nowego Jorku, Waszyngtonu, Filadelfii i Los Angeles; krawców podziemia, mistrzów swojego fachu działających w latach trzydziestych i czterdziestych, niestety równie martwych jak ich świetni klienci. Henry Leyden wie doskonale, kto uszył jego strój, skąd pochodzi i jak wpadł w jego ręce, ale jeśli chodzi o osoby pokroju Rebecki Vilas, Henry nie udziela więcej informacji, niż zapewne jest im znanych). W prowadzącym do świetlicy korytarzu biały frak zdaje się lśnić od środka; wrażenie to jedynie nasilają bajerowskie

ciemne okulary Henry'ego o zbyt dużych szklach i bambusowych oprawkach, w których rogach skrzą się szlachetne kamienie – być może małe szafiry.

Czyżby istniał sklep, handlujący Paradnymi Strojami Wielkich Liderów BigBandów z lat trzydziestych? A może odziedziczyło je jakieś muzeum i wystawia je na aukcjach? Rebecca nie potrafi dłużej pohamować ciekawości.

– Panie Leyden, skąd pan ma ten piękny strój?

Pilnując, by brzmiało to, jakby mruczał sam do siebie, Pete Wexler wygłasza z tyłu opinie, że zdobycie takiego kostiumu wymaga zapewne gonienia co najmniej przez parę mil za osobą o pochodzeniu etnicznym, zaczynającym się na literę „c”. Henry uśmiecha się, nie zwracając na niego uwagi.

– Wystarczy wiedzieć, gdzie szukać.

– Pewnie nigdy pan nie słyszał o kompaktach – mówi Peter. – To, no wie pan, nowy wielki przełom.

– Zamknij paszczę i targaj te snopki, mój chwacie – ucisza go panna Vilas. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

– Rebecco, moja droga, jeśli wolno – mówi Henry. – Pan Wexler ma wszelkie prawo narzekać. Ostatecznie skąd ma wiedzieć, że jestem właścicielem około trzech tysięcy płyt kompaktowych, prawda? A jeśli pierwotny właściciel tego garnituru był czarnuchem, to z dumą przyjąłbym, gdyby nazywano mnie tak samo. Byłby to niewiarygodny zaszczyt. Szkoda, że nie mogę go dostąpić. – Henry zatrzymał się. Pete i Rebecca również znieruchomieli, każde na swój sposób zaszokowane użyciem przez niego zakazanego słowa. Henry kontynuuje: – Tak czy inaczej jesteśmy winni szacunek tym, którzy asystują nam w wypełnianiu naszych obowiązków. Poprosiłem pana Wexlera, żeby otrząsnął mój garnitur, zanim go powiesi, i on łaskawie spełnił moje życzenie.

– No – mówi Pete. – Do tego też zawiesiłem pański reflektor, ustawiłem gramofon, głośniki i całą resztę szajsu dokładnie tam, gdzieś pan chciał.

– Bardzo panu dziękuję, panie Wexler – mówi Henry. – Doceniam pańskie wysiłki.

– No, kurna – odpowiada Pete. – Robiłem tylko swoje, rozumiesz pan? Ale jak pan będziesz czegoś chciał po wszystkim, to panu pomogę.

Pete Wexler został zupełnie rozbrojony bez mignięcia majtkami czy tyłkiem. Rebecca dochodzi do wniosku, że to zdumiewające. Przychodzi jej do głowy, że bez względu na to, czy Henry Leyden jest obdarzony wzrokiem, czy nie, to bez dwóch zdań najrówniejsza istota ludzka, jaką dane było jej poznać podczas dwudziestu sześciu lat stąpania po ziemskim padole. Nieważne ubranie – skąd biorą się tacy faceci?

– Naprawdę sądzicie, że jakiś chłopczyk zniknął z chodnika pod domem? – pyta Henry.

– Co? – reaguje Rebecca.

– Na to mi wygląda – odpowiada Pete.

– Co? – powtarza Rebecca, tym razem pod adresem Pete’a Wexlera, nie Henry’ego. – O czym ty mówisz?

– No, zapytał mnie, to mu odpowiedziałem – mówi Pete. – To wszystko.

– To się zdarzyło na naszym chodniku? – Rebecca robi krok w jego stronę, niebezpiecznie bliska wrzenia. – Kolejny dzieciak, przed naszym budynkiem? I nic nie powiedziałeś mnie ani panu Maxtonowi?

– Nie było o czym gadać – rzuca w samoobronie Pete.

– Może opowiesz nam, co się naprawdę wydarzyło? – proponuje Henry.

– Pewnie. Wydarzyło się to, że wyszedłem na fajkę, rozumie pan? – Jest to niezupełnie prawda. Mając do wyboru przejście dziesięciu jardów korytarzem Stokrotki do męskiej toalety i splukanie peta w muszli oraz przejście dziesięciu stóp do wyjścia i wyrzucenie go na parking, Pete rozsądnie wybrał to drugie. – No i wychodzę na dwór i wtedy żem to zobaczył. Radiowóz, zaparkowany tuż pod domem. No to podchodzę do żywopłotu, a tam jest glina, młody facet, chyba nazywa się Cheetah czy coś takiego, i ładuje rower, no, taki dziecięcy, do bagażnika. I coś jeszcze, ale tego już dobrze nie widziałem, bo było za małe. Kiedy to zrobił, wyjął kawałek kredy ze schowka na rękawiczki, wrócił i namalował takie krzyżyki na chodniku.

– Rozmawiałeś z nim? – mówi Rebecca. – Pytałeś go, co robi?

– Psze pani, nie gadam z glinami, chyba że nie mam wyboru, rozumie pani, o co mi chodzi? Ten Cheetah – on nawet nie widział mnie na oczy. Facet i tak by mi nic nie powiedział. Miał taką minę, jakby chciał rzec: Jezu, mam nadzieję, że dotrę do sracza, zanim nawalę w gacie. Taką właśnie miał minę.

– A potem po prostu odjechał?

– Po prostu. Dwadzieścia minut później przyjechało dwóch innych gliniarzy.

Rebecca unosi obie ręce, przymyka oczy i przyciska czubki palców do czoła, dając Pete’owi Wexlerowi wspaniałą sposobność, której ten nie omieszkuje wykorzystać, by popodziwiać kształt jej piersi pod materiałem. Nie jest to zapewne tak wspaniały widok jak wtedy, gdy wchodziła na drabinę, ale nada się, o tak, nie ma co wybrzydzać. Jeśli chodzi o tatkę Ebbiego, widok wypychających sukienkę bułeczek Rebecki Vilas przypomina gorący ogień w zimną noc. Są większe, niż można by oczekiwać u tak szczupłej dzierlatki, i wiecie co? Kiedy podnosi ramiona, bułeczki też wędrują w górę! Rany, gdyby się domyślił, że Rebecca urządzi takie przedstawienie, to opowiedziałby jej o gliniarzu z rowerem natychmiast po tym, kiedy to się stało.

– No dobrze, w porządku – mówi Rebecca.

Wciąż dotyka opuszkami palców czoła. *Zadziiera* podbródek, wznosi ramiona o jeszcze kilka cali i marszczy brwi z koncentracją, co przez chwilę upodobnia ją do figury na cokole.

Hurraa i alleluja, myśli Pete. Wszystko ma swoją dobrą stronę. Jeśli nawet jutro jakiś zasmarkaniec zostanie zwinięty z chodnika, to i tak dla mnie nie będzie to za szybko.

– Dobrze, już dobrze – mówi Rebecca. Otwiera oczy i opuszcza ramiona. Pete Wexler wpatruje się twardo w punkt nad jej ramieniem, a na jego twarzy maluje się obojętność i udawana niewinność, którą kobieta natychmiast rozgryza. Boże drogi, co za jaskiniowiec. – Nie jest tak źle, jak myślałam. Po pierwsze, widziałeś tylko policjanta zabierającego rower. Może został skradziony. Może jakiś inny dzieciak go pożyczył, porzucił i zwiął. Glina mógł go szukać. Albo dzieciaka, do którego należał rower, potrącił samochód lub coś takiego. A jeśli nawet zdarzyło się najgorsze, nie widzę, jak miałyby to nam zaszkodzić. Maxton nie odpowiada za to, co dzieje się poza terenem domu. – Odwraca się do Henry’ego, który wygląda, jakby miał ochotę być sto mil stąd. – Przepraszam. Wiem, że zabrzmiało to strasznie zimno. Niepokoję się tą sprawą z Rybakiem jak wszyscy inni – wystarczy tych dwoje biednych dzieci i dziewczynka, która zaginęła. Wszyscy tak bardzo się denerwujemy, że trudno nam trzeźwo myśleć. Niedobrze mi się jednak robi na myśl, że my moglibyśmy zostać zamieszani w tę aferę, widzi pan?

– Widzę doskonale – odpowiada Henry. – Jako jeden z tych ślepców, o których ciągle krzyczy George Rathbun.

– Cha! – Śmiech Pete’a Wexlera brzmi jak warknięcie.

– Ale zgadza się pan ze mną, prawda?

– Jako dżentelmen zgadzam się z każdym – mówi Henry. – Zgadzam się z Pete’em, że nasz miejscowy potwór mógł porwać kolejne dziecko. Sądząc z opisu, posterunkowy Cheetah, czy jakkolwiek się nazywa, był bardziej zdenerwowany, niż gdyby po prostu zabierał zgubiony rower. Zgadzam się też, że Maxtona nie sposób winić, cokolwiek się stało.

– Dobrze – odpowiada Rebecca.

– Naturalnie, jeśli ktoś z domu opieki nie jest zamieszany w morderstwa tych dzieci.

– Ale to niemożliwe! – mówi Rebecca. – Większość naszych klientów nie potrafi sobie nawet przypomnieć, jak się nazywa.

– Nawet dziesięciolatka umiałaby rozprawić się z większością tych chucher – dodaje Pete. – Nawet ci, którzy nie mają tej starczej choroby, chodzą wysmarowani swoim... no, wie pan.

– Zapomina pan o personelu – mówi Henry.

– Och, niech pan da spokój – odpowiada Rebecca po chwili, gdyż od razu nie mogła wydusić z siebie słowa. – To... to całkowicie nieodpowiedzialna wypowiedź.

– Prawda. Nieodpowiedzialna. Jeśli jednak morderstwa się nie skończą, wszyscy będą podejrzani. O to mi chodzi.

Pete Wexler czuje nagły przypływ chłodu – jeśli miasteczkowe błazny *zaczną* wiercić dziurę w brzuchu pensjonariuszom Domu Maxtona, mogą wyjść na jaw jego pokątne rozrywki, a Wendell Green niewątpliwie miałby z tego setną uciechę. Przychodzi mu do głowy oszałamiający nowy pojnyśł i natychmiast go wyluszcza, mając nadzieję, że wywrze wrażenie na pannie Vilas.

– Wiecie co? Gliniarze powinni pogadać z tym gościem z Kalifornii, tym asem detektywów, który dwadzieścia lat temu doznał wypadku przy pracy. On gdzieś tu mieszka, prawda? Potrzebujemy właśnie kogoś takiego jak ten facet. Ta sprawa zupełnie przerasta naszych gliniarzy, a tamten facet to – jak to się mówi? – cholerna instytucja.

– Dziwne, że pan o nim wspominał – mówi Henry. – Zgadza się z panem całkowicie. Najwyższy czas, żeby Jack Sawyer zrobił swoje. Znowu nad nim popracuję.

– Zna go pan? – pyta Rebecca.

– Och, tak – odpowiada Henry. – Istotnie znam. Nie nadszedł jednak czas, żebym i ja zrobił swoje?

– Niedługo. Na razie pensjonariusze są jeszcze na zewnątrz.

Rebecca prowadzi go przez resztę korytarza do świetlicy, gdzie wszyscy troje podchodzą do wielkiego podium. Mikrofon Henry'ego znajduje się obok stolika z gramofonem i głośnikami.

– Mnóstwo tu miejsca – mówi Henry, jakby wszystko widział.

– Potrafi to pan ocenić? – pyta Rebecca.

– Nic wielkiego – odpowiada Henry. – Chyba jesteśmy już niedaleko.

– Podium jest tuż przed panem. Potrzebuje pan pomocy?

Henry wysuwa stopę i stuka w jedną z dekoracji. Przesuwa dłonią po skraju stolika i lokalizuje mikrofon.

– Na razie nie, moja droga – mówi i zgrabnie wstępuje na podium. Kierując się dotykiem, wchodzi za stolik i lokalizuje gramfon. – Szafa gra – dodaje. – Pete, czy raczyliby pan poustawić na stole pudła z płytami? To na wierzchu ma być tutaj, a to pod spodem – obok niego.

– Jaki on jest, ten pański przyjaciel Jack? – pyta Rebecca.

– Sierota po burzy. Kiciuś, ale wyjątkowo trudny kiciuś. Muszę przyznać, że potrafi być prawdziwym pryszczem na sempiternie.

Od chwili wejścia tej trójki do świetlicy przez okna dochodzą odgłosy tłumu, pomruk rozmów, przemieszanych z dziecięcymi głosikami i melodiami topornie granymi na starym pianinie.

– Lepiej już sobie pójdę, bo Chipper pewnie się za mną rozgląda – mówi Pete, ustawivszy pudła z płytami na stole. – Czekam cholernie dużo sprzętania, kiedy wszyscy wejdą do środka

Pete wychodzi, pchając przed sobą niezgrabnie ręczny wózek. Rebecca pyta, czy mogłaby jeszcze coś zrobić dla Henry'ego.

– Górne światła się palą, prawda? Proszę je zgasić i czekać, aż pierwsza fala wejdzie do środka. Niech pani włączy wtedy punktowiec i przygotuje się na tyle jitterbugów, ile tylko dusza zapagnie.

– Chce pan, żebym pogasiła światła?

– Sama pani zobaczy.

Rebecca zawraca do drzwi, wyłącza górne światła i rzeczywiście widzi to, co obiecał Henry. Miękka, niewyraźna poświata od rzędów okien unosi się w powietrzu, zastępując wcześniejszą ostrą jaskrawość subtelną, delikatną mgiełką, jakby salę widać było przez tapicerskie płótno. Różowy punktowiec będzie tu doskonale pasował, myśli Rebecca.

Na zewnątrz na trawniku dobiegają końca przedtaneczne harce. Mnóstwo starych kobiet i mężczyzn z animuszem wcina rozstawione na ogródkowych stolikach truskawkowe ciastka i popija je napojami gazowanymi, a tłukący w pianino dżentelmen w słomkowym kapeluszu i czerwonych zaręczawkach kończy „Heart and Soul”: *ba bump ba bump ba ba bump bump bump* – bez finezji, ale za to z mnóstwem energii. Zamyka klapę i wstaje, zbierając skromny aplauz. Wnuki narzekające wcześniej, że muszą jechać na wspaniały festyn, przemykają pod stołami i między fotelami inwalidzkimi, unikając spojrzeń rodziców i mając nadzieję, że wydebnią ostatni balon od pani w kostiumie błazna z roztrzepaną rudą peruką. Och, bezgraniczna radości.

Alice Weathers oklaskuje pianistę, i nic w tym dziwnego: czterdzieści lat temu niechętnie opanował pod jej okiem podstawy gry – zaledwie na tyle dobrze, by przy takich okazjach zainkasować parę dolarów, gdy nie musiał wykonywać swoich zwykłych obowiązków, czyli sprzedawać bluz i czapek baseballowych na ulicy Chase. Charles Burnside, który po domyciu przez dobrodusznego Butcha Yerxe wystroił się w starą białą koszulę i parę luźnych, wyświechtanych spodni, stoi nieco z boku ciżby, w cieniu wielkiego dębu. Nie klaszcze, lecz uśmiecha się szyderczo. Rozpięty kołnierzyk koszuli zwisa na jego sznurowatej szyi. Od czasu do czasu wyciera usta lub dłubie w zębach nierównym paznokciem, lecz przede wszystkim sterczy w bezruchu. Wygląda, jakby ktoś wyrzucił go na pobocze i odjechał. Gdy wszędobylskie wnuki przypadkiem trafiają w pobliże Burny’ego, natychmiast skręcają w drugą stronę, jakby odpychało je pole siłowe.

Pomiędzy Alice i Burnym trzy czwarte pensjonariuszy Domu Maxtona napiera brzuszyskami na stoły, drepcze z balkonikami, siedzi pod drzewami, zajmuje swoje wózki inwalidzkie, pałęta się tu i tam – papple, chichocze, pierdzi, rozmazuje truskawkowe plamy na ubraniu, gapi się na swoich krewnych, wpatruje się w swoje drżące dłonie, patrzy w próżnię. Pół tuzina najbardziej nieprzytomnych duchem ma na głowach stożkowe kapelusze na przyjęcia w barwie twardej, matowej czerwieni lub twardego, matowego błękitu – odcieniach wymuszonej wesołości. Kobiety z kuchni zaczęły krążyć między stolikami z wielkimi czarnymi workami na śmieci, bo niedługo muszą wracać do swoich domów i przygotowywać wspaniały wieczorny posiłek, na który złożą się sałatka ziemniaczana, kartofle puree, ziemniaki ze śmietaną, fasolka, sałatka z dynią, sałatka z bitą śmietaną oraz oczywiście porcja przepyszego placka truskawkowego.

Niekwestionowany i dziedziczny suweren tego królestwa, Chipper Maxton, przypominający zwykle nastrojem uwięzionego w błotnistej dziurze skunksa, spędził minionych dziewięćdziesiąt minut na przechadzaniu się, rozdzielaniu uśmiechów, uścisków dłoni i ma tego serdecznie dosyć.

– Pete, gdzie się tak długo podziewałeś, do cholery? – warczy. – *Zaczynij* składać krzeselka, dobra? I pomóż wprowadzić ludzi do świetlicy. Niech się ruszają, do diabła. Czas podnieść kotwicę.

Pete zmyka realizować polecenia, a Chipper klaszcze głośno dwa razy i wznosi wyciągnięte ręce.

– Wszyscy uwaga! – grzmi. – Dacie wiarę, jaki sakramencko śliczny dzień Pan zgotował nam z tej pięknej okazji? Czy to nie coś?

Pół tuzina wątłych głosów przyznaje mu rację.

– Dajcie spokój, ludzie, stać was na coś więcej! Chcę usłyszeć wiwaty na cześć tego wspaniałego dnia oraz całej cudownej pomocy i wsparcia, jakie zapewnili nam nasi pracownicy i wolontariusze!

Jego wysiłki nagradza odrobinę donośniejszy poklask.

– No dobrze! Hej, wiecie co? Jak powiedziała by George Rathbun, nawet ślepy by zobaczył, jak się wspaniale bawimy. Wiem, że ja się świetnie bawię, a jeszcze nie skończyliśmy. Mamy u nas dzisiaj najwspanialszego konferansjera, jakiego kiedykolwiek słyszeliście, nazywa się Symfoniczny Stan, Big Band Mań. Czeka na was w świetlicy z arcywspaniałym programem, muzyką i tańcem aż do kolacji Truskawkowego Festynu. Tanio nas kosztował – ale nie mówcie mu tego! A zatem, przyjaciele i krewni, czas pożegnać się i pozwolić swoim kochanym pobalować, aż się będzie sufit podnosił, przy złotych przebojach. Takich jak oni, cha, cha. Złote przeboje, jeden w drugi – to właśnie my w Domu Maxtona. Nawet ja nie jestem tak młody jak kiedyś, cha, cha, więc może pokuszę się o rundkę na parkiecie z jakąś szczęśliwą damą. A mówiąc poważnie, moi mili, czas włożyć buty do tańca. Proszę, pocałujcie tatę lub mamę, dziadka lub babcię na pożegnanie. Po drodze może zechcecie wrzucić coś do koszyka stojącego na pianinie Ragtime’a Williego, to na nasze wydatki – pięć, dziesięć dolarów, ile tylko możecie podarować, by przyczynić się do upiększenia dni waszych tatusiów i mamus. Robimy to z miłości, ale jej połowa to wasza miłość.

W czasie mogącym wydawać się zaskakująco krótkim dla nas, ale nie dla Chippera Maxtona, który rozumie, że bardzo niewielu ludzi lubi zostawać w domu opieki dla starców dłużej niż to konieczne, krewni rezydentów całują i obejmują ich na pożegnanie, zgarniają wyczerpane pociechy i ruszają po chodnikach i trawnikach na parking. Wielu z nich po drodze zostawia banknoty w koszyku stojącym na pianinie Ragtime’a Williego.

Gdy tylko *zaczyna* się ten exodus, Pete Wexler i Chipper Maxton z dostępną im sztuką dyplomacji zabierają się do perswadowania starszkom, by raczyli wrócić do budynku.

Chipper mówi rzeczy w rodzaju: „No, nie wie pani, jak bardzo chcemy ujrzeć panią w akcji na parkiecie, pani Syverson?”, podczas gdy Pete wybiera bardziej bezpośrednie podejście: „Ruszaj się, stary, czas puścić giry w ruch”, lecz obydwaj mężczyźni stosują technikę subtelnych i mniej subtelnych szturchnięć, popchnięć, chwytów za łokieć i toczenia wózków, by przeprowadzić swych zramolałych podopiecznych na drugą stronę drzwi.

Na swoim posterunku Rebecca obserwuje, jak pensjonariusze wchodzą do pogrążonej w mgiele światlicy – niektórzy z nich z szybkością zagrażającą zdrowiu. Henry Leyden stoi w bezruchu za swoimi pudłami, w których trzyma winylowe płyty. Jego garnitur mży światłem; jego głowa to tylko ciemny kształt na tle okien. Przynajmniej raz zbyt zajęty, by gapić się na piersi Rebecki, Pete Wexler mija ją, prowadząc za łokieć Elmera Jespersona, zostawia go osiem stóp za progiem i obraca się, by zlokalizować Thorvalda Thorvaldsona, najukochańszego wroga Elmera i jego współlokatora w S12. Alice Weathers wnika do środka o własnych siłach i składa ręce pod brodą w oczekiwaniu, aż zacznie grać muzyka. Wysoki, żyłasty Charles Burnside z zapadniętymi policzkami, który zajmuje centrum pustej, przynależącej wyłącznie do niego przestrzeni, wślizguje się przez drzwi i natychmiast odchodzi spory kawałek na bok. Gdy jego martwe oczy obojętnie napotykają spojrzenie Rebecki, przenika ją dreszcz. Następna napotyka ją para oczu należy do Chippera, pchającego wózek Flory Flostad, jakby była na nim skrzynka pomarańczy. Chipper rzuca Rebecce zniecierpliwione spojrzenie, kontrastujące z niewymuszonym uśmiechem na jego twarzy. Czas to pieniądz, pewnie, ale pieniądz to też pieniądz, zabierajmy się do dzieła, i to razdwa. Pierwsza fala, powiedział Henry Rebecce. Czy to właśnie to: pierwsza fala? Rebecca rozgląda się po sali, zastanawiając się, jak o to zapytać, i natychmiast otrzymuje odpowiedź, ponieważ gdy tylko podnosi wzrok, Henry pokazuje jej złożone w kółko kciuk i palec wskazujący.

Rebecca włącza różowy punktowiec i prawie wszyscy na sali, włącznie z kilkoma starszymi jegomościami i jejmościami, wyglądającymi na od dawna niezdolnych do jakiegokolwiek reakcji, wydają ciche „Aach”. Ze skrzącymi się w stożku światła kamaszami, garniturem i koszulą, przemieniony Henry Leyden płynnie podchodzi do mikrofonu i pochyła się ku niemu, podczas gdy dwunastocalowa płyta długogrająca, pozornie wyczarowana z powietrza, obraca się na jego zwróconej ku górze prawej dłoni. Jego zęby lśnią, lśnią przyglądzone włosy, szafiry skrzą się w kącikach zaczarowanych okularów. Wydaje się, jakby Henry również tańczył, przemyślnym, eleganckim kroczkiem w bok... tyle że nie jest to już Henry Leyden; sorry, Winnetou, jak powiedziała by George Rathbun. Garnitur, kamasze, gładko zaczesane w tył włosy, nawet cudowny skutek różowego punktowca to jedynie rekwizyty. Prawdziwa magia tkwi w Henrym, tej wyjątkowo elastycznej istocie. Kiedy jest George'em Rathbunem, jest wyłącznie George'em. Ze Szczurem z Wisconsin – jak wyżej; z Henrym Shakiem – jak wyżej. Minęło osiemnaście miesięcy, odkąd wyjął Symfonicznego Staną z szafy i wpasował się weń jak dłoń w rękawiczkę, by olśnić tłum na potańcówce przy

plytach w Stowarzyszeniu Weteranów w Madison, ale kostium wciąż pasuje, och tak, pasuje, a Henry pasuje do niego – bikiniarz odrodzony w przeszłości, której nigdy osobiście nie zaznał.

Obracająca się płyta na jego wyciągniętej ręce przypomina solidną, nieruchomą, czarną piłkę plażową.

Symfoniczny Stan zawsze zaczyna swoje potańcówki od „In the Mood”. Choć nie gardzi Glennem Millerem jak niektórzy miłośnicy jazzu, przez lata znudził się mu ten kawałek. Zawsze jednak spełnia swoją funkcję. Jeśli nawet klienci nie mają wyboru i muszą tańczyć z jedną nogą w grobie, a drugą na przysłowiowej skórce banana, to tańczą. Poza tym Henry wie, że po powołaniu do wojska Miller powiedział aranżerowi Billy Mayowi, że zamierza „wrócić z tej wojny jako taki czy inny bohater” – i dotrzymał słowa, prawda?

Henry dociera do mikrofonu i niedbałym gestem prawej ręki nakłada obracającą się płytę na talerz. Tłum wydaje na wydechu „oooch” aplauzu.

– Witajcie, witajcie, wszystkie kocury i kociczki – mówi. Słowa rozchodzą się z głośników z gładką, nieco wykraczającą poza ramy tego świata intonacją prawdziwego spikera z 1938 czy 1939 roku, jednego z tych, którzy prowadzili audycje na żywo z sal tanecznych i klubów nocnych od Bostonu po Catalinę. Miód płynął z gardeł tych muz nocny; nigdy się nawet nie zająknęli. – Powiedzcie mi, aligatory i gatorzyce, nie można chyba wymyślić lepszego początku na wieczorek tańczący niż Glenn Miller? No, bracia i siostry, niech usłyszę waszą odpowiedź.

Pensjonariusze domu Maxtona – niektórzy już na parkiecie, inni przykuci do foteli inwalidzkich na jego obrzeżach, zastygli w różnych pozach, dowodzących nieobecności duchem lub dezorientacji – wydają szmerem „Taaaak”. Bardziej przypomina to szelest jesiennego wiatru w ogołoconych gałęziach niż odzew na koncercie. Symfoniczny Stan uśmiecha się jak rekin i unosi dłonie, jakby miał przed sobą podkręcony tłum, po czym wiruje na podium jak tancerz z sali balowej Savoya, zainspirowany przez Chicka Webba. Poły fraka rozpościerają się mu jak skrzydła, jego skrzące się stopy wzbijają w powietrze, lądują i wzbijają ponownie. Chwila mija, a w dłoniach konferansjera pojawiają się dwie czarne piłki plażowe; jedna z nich z wirowaniem niknie w kopercie, druga opada pod igłę.

– W porządku, w porządku, w porządku, płaszące króliki i hopsające królowny, czas na Sentymentalnego Dzentelmena, pana Tommy Dorseya, więc szable w dłoń, póki wokalista Dick Haynes, duma Buenos Aires w Argentynie, zadaje muzyczne pytanie: „How Am I to Know You?” Frank Sinatra nie wszedł jeszcze do budynku, siostrzyce i bracie, ale mimo to życie smakuje jak lampka przedniego wina.

Rebecca Vilas nie potrafi uwierzyć własnym oczom. Facet wyciąga na parkiet praktycznie wszystkich, nawet niektórych na wózkach, którzy mimo to wirują i wyginają się jak najlepsi z tańczących. Wystrojony w egzotyczny, zdumiewający kostium Symfoniczny Stan – przypomina sobie Henry Leyden – jest kiczowaty i zapierający dech w piersiach,

absurdalny i równocześnie przekonujący. Jest jak... jakiś wehikuł czasu, perfekcyjnie dostrojony do swojej roli i tego, co starzy ludzie chcą usłyszeć. Oczarował ich, przywołał z powrotem do życia, wzbudził w nich tyle młodości, ile jeszcze zostało. Niewiarygodne! Żadne inne słowo nie pasuje. Ludzie, których spisała na straty jako powłóczące nogami wraki, rozkwitają na jej oczach. Co do Symfonicznego Stana, kontynuuje program jak elegancki derwisz, wskutek czego cisną się jej do głowy określenia w rodzaju: dystyngowany, wyrafinowany, wypielęgowany, beztroski, ekscytujący, wdzięczny – słowa do pogodzenia jedynie w przypadku tej postaci. Po/a tym co on wyprawia z płytami! Jak to możliwe?

Rebecca nie zdaje sobie sprawy, że postukuje stopą i kołysze się w rytm muzyki, dopóki Henry nie zaczyna grać „Begin the Beguine” Artiego Shawa, wówczas dosłownie zaczyna tańczyć sama. Luzacka nawijka Henry’ego, widok tak wielu białowłosych, siwowłosych i łysych ludzi, ślizgających się po posadzce, Alice Weathers rozpromienionej w ramionach ponurego Thorvalda Thorvaldsona, Ady Meyerhoff i „Tom Tom” Boettchera, wirujących wokół siebie na wózkach inwalidzkich, przenikający do głębi rytm muzyki, opromieniającej wszystko płynnym blaskiem klarnetu Artiego Shawa – wszystko to w magiczny sposób nagle krystalizuje się w wizję ziemskiego piękna, od której łzy stają jej w oczach. Z uśmiechem podnosi ręce, obraca się i... z wprawą bierze ją w objęcia brat bliźniak „Tom Toma”, osiemdziesięciosześcioletni Hermie Boettcher, emerytowany nauczyciel geografii z Zł7, uprzednio uważany przez nią za nieco drętwego, który jednak teraz bez słowa wiedzie ją w fokstrocie na środek parkietu.

– Wstyd patrzeć, jak śliczna dziewczyna tańczy zupełnie sama – mówi Hermie.

– Hermie, za panem poszłabym wszędzie – odpowiada Rebecca.

– Zbliźmy się do podium – mówi Hermie. – Chcę się lepiej przyjrzeć temu pistoletowi w bajerowskim gajerku. Mówią, że jest ślepy jak nietoperz, aleja w to nie wierzę.

Z dłonią pewnie złożoną u podstawy kręgosłupa Rebec – ki i kołysząc biodrami w rytm muzyki Artiego Shawa, Hermie zbliża się z nią na odległość stopy od podium, gdzie Symfoniczny Stan wyczynia swoją sztukę z kolejną płytą, czekając na ostatni takt poprzedniej. Rebecca byłaby gotowa przysiąc, że Stan/Henry nie tylko wyczuwa jej obecność, ale naprawdę mruga do niej! Ale to oczywiście niemożliwe... prawda?

Symfoniczny wrzuca kręcącą się jeszcze płytę Shawa do koperty i kładzie nową na talerzu.

– Możecie powiedzieć: „Vout”? Możecie powiedzieć: „Solid”? Skoro już się rozluźniliśmy, to pohasajmy w rytm „Wild Root” Woody’ego Hermana. Dedykuję tę melodię wszystkim pięknym paniom na tej sali, zwłaszcza tej, która używa Calyxu.

– Och, rany! – mówi Rebecca ze śmiechem: Henry wyczuł jej perfumy i rozpoznał!

Niezrażony tropikalnym tempem „Wild Root” Hermie Boettcher robi płynny krok w tył, wyciąga ramię i obraca Rebecę. Przy pierwszym uderzeniu następnego taktu chwyta ją w ramiona, zmienia kierunek jej obrotu i wirując wraz z nią, przesuwa się ku drugiemu końcowi

podium, gdzie obok pana Thorvaldsona stoi Alice Weathers i przygląda się Symfonicznemu Stanowi.

– Ta wyjątkowa dama to na pewno pani, bo te perfumy warte są dedykacji – mówi Hermie.

– Gdzie się pan nauczył tak tańczyć? – pyta Rebecca.

– Mój brat i ja byliśmy chłopakami z małego miasteczka. Nauczyliśmy się tańczyć przed szafą grającą w „Alouette’s” w Arden. – Rebecca zna tę restaurację w Arden. jednak niegdysiejszy bar bezalkoholowy zamienił się w samoobsługową jadłodajnię, a szafa grająca znikła mniej więcej wtedy, kiedy Johnny Mathis zniknął z list przebojów. – Jak pani chce mieć dobrego tancerza, to niech pani poszuka sobie chłopaka z małego miasteczka. „Tom Tom?” Zawsze był najwprawniejszy z nich i chociaż wylądował na wózku, to i tak nikt mu nie odbierze poczucia rytmu.

– Stan? Hophop, panie Stan? – woła z przechyloną głową i złożonymi do ust dłońmi Alice. – Gra pan piosenki na życzenie?

Wtrąca się głos matowy i twardy jak dźwięk dwóch trących o siebie kamieni:

– Byłem pierwszy, starucho.

Niewzruszona chamskość tego głosu sprawia, że Rebecca się zatrzymuje. Prawa stopa Hermiego łąduje lekko na jej lewej i szybko się podnosi, bardziej składając pocałunek, niż sprawiając ból. Górzący nad Alice Charles Burnside spogląda wrogo na Thorvalda Thorvaldsona. Thorvaldson cofa się i pociąga Alice za rękę.

– Oczywiście, moja droga – mówi Stan, pochylając się. – Proszę powiedzieć mi swoje nazwisko i co chciałaby pani usłyszeć.

– Jestem Alice Weathers i...

– Byłem pierwszy – powtarza głośno Burny.

Rebecca ogląda się na Hermiego, który potrząsa głową i robi skrzywioną minę. Czy jest chłopakiem z małego miasteczka, czy nie, jest równie onieśmielony jak pan Thorvaldson.

– Proszę o „Moonglow”, Benny’ego Goodmana.

– Moja kolej, dupo wołowa. Chcę taki kawałek Woody’ego Hermana, co się nazywa „Lady Magowan’s Nightmare”. Mocna sprawa.

Hermie pochyla się do ucha Rebecki.

– Nikt nie lubi tego faceta, ale dostaje, czego chce.

– Nie tym razem – odpowiada Rebecca. – Panie Burnside, chcę, aby pan...

Symfoniczny Stan ucisza ją machnięciem ręki. Zwraca twarz w stronę właściciela zaskakująco nieprzyjemnego głosu.

– Nie da rady, szanowny panie. Piosenka nazywa się zresztą „Lady Magowan’s Dream”, ale nie zabrałem tego rażnego kawałka dzisiaj ze sobą. Przykro mi.

– Dobra, facet, a „I Can’t Get Started”, to, co grał Bunny Berigan?

– Och, uwielbiam to – mówi Alice. – Tak, proszę zagrać „I Can’t Get Started”.

– Z największą przyjemnością – mówi Stan zwykłym głosem Henry’ego Leydena. Bez tanecznych kroków czy obracania płyt w dłoni kładzie na talerzu gramofonu krążek z pierwszego pudła. Wydaje się dziwnie przygaszony, gdy podchodzi do mikrofonu.

– Świat samolotem obleciałem, rewolucje w Hiszpanii rozwiązałem. „Can’t Get Started”. Dedykowane uroczej Alice w Niebieskiej Sukni i Temu, Co Kroczy Wśród Nocy.

– Jesteś nie lepszy od małpy na patyku – mówi Bumy.

Zaczyna się muzyka. Rebecca stuka Hermiego w ramię i przechodzi obok Charlesa Burnside’a, wobec którego zawsze czuła wyłącznie łagodny wstręt. Teraz jednak jej uczucia się skupiły; oburzenie i obrzydzenie sprawiają, że mówi:

– Panie Burnside, niech pan przeprosi Alice i naszego gościa. Jest pan prymitywnym, bezczelnym gburem. Kiedy pan przeprosi, ma pan wrócić do swojego pokoju, gdzie pana miejsce.

Jej słowa nie odnoszą żadnego rezultatu. Barki Burnside’a opadły. Na jego twarzy widnieje szeroki, gamoniowaty uśmiech; wpatruje się nieprzytomnym wzrokiem w pustkę. Wygląda na zbyt zdemenciałego, by przypomnieć sobie własne nazwisko, o Bunnym Beriganie nie wspominając. Tak czy inaczej, Alice Weathers oddaliła się w tańcu, a Symfoniczny Stan cofnął się w drugi koniec podium, poza zasięg różowego punktowca, i wygląda na głęboko zamyślonego. Starsze pary kołyszają się na parkiecie. Z boku Hermie Boettcher wykonuje pantomimę tańca i pytająco patrzy na Rebeccę.

– Przepraszam za to – mówi Rebecca do Staną/Henry’ego.

– Nie ma potrzeby przeproszać. „I Can’t Get Started” było ulubioną płytą mojej żony. W ciągu ostatnich kilku dni bardzo dużo o niej myślałem. W pewnym sensie byłem zaskoczony.

Przesuwa dłonią po gładkich włosach i potrzęsa barkami, najwidoczniej wchodząc z powrotem w rolę.

Rebecca decyduje się zostawić go w spokoju. W istocie sama ma na razie ochotę na spokój. Daje znak Hermiemu, że jest jej przykro, ale obowiązki wzywają, przeciska się przez tłum i wychodzi ze świetlicy. Jakimś cudem stary Burny zdołał dotrzeć przed nią na korytarz. Powłócząc stopami i szurając nimi po podłodze, gramoli się bezmyślnie ze spuszczoną głową w stronę skrzydła Stokrotka.

– Panie Burnside – mówi Rebecca. – Może pan swoją grą oszukać wszystkich, ale niech pan wie, że mnie nie nabierze.

Starzec odwraca się stopniowo: najpierw przestawia stopę, potem skręca kolano, drugą nogę, wreszcie trupi kadłub. Przypominająca szkaradny kwiat głowa Burny’ego zwiesza się na ciemnej łodydze szyi, oferując Rebeccę widok pokrytego plamami ciemienia. Długi nos sterczy jak skrzywiony ster. Z tą samą okropną powolnością Burny unosi głowę, ukazując mętne oczy i wiotkie usta. W tępych wzroku miga na chwilę czysta mściwość; martwe wargi drgają.

Przestraszona Rebecca instynktownie robi krok w tył. Usta Burny'ego układają się w obrzydliwy uśmiech. Rebecca pragnie uciec, ale gniew, że dała się upokorzyć temu żaloszemu palantowi, sprawia, że stoi w miejscu.

– Lady Magowan miała bardzo straszny koszmar – informuje ją Burny. – Lady Sophie też miała koszmar, tylko jeszcze gorszy. – Chichocze. – Król był w swojej wieży i jadł chleb z miodem. To właśnie zobaczyła Sophie, gdy zasnęła. – Jego chichot przybiera wyższą tonację. Wypowiada coś, co brzmi jak: „Pan Munching”. Jego wargi rozchylają się, obnażając żółte, nieregularne zęby; zapadnięte oblicze ulega subtelnej przemianie. Inteligencja wydaje się wyostrzać jego rysy. – Znasz pana Munshuna? Pana Munshuna i jego małego przyjaciela Gorga? Wiesz, co się działo w Chicago?

– Proszę natychmiast przestać, panie Burnside.

– Dży wież dżoż o Fridzu Haarmanie, który był dak urodży? Nazywali go, nazywali go, nazywali go „Wampirem, Wampirem, Wampirem z Hanoweru”, o dak, dak, dak. Wszyzdzy, wszyzdzy, wszyzdzy mieli dżazy dżaz, dżaz, dżaz dobre gożmary, cha, cha, ho ho.

– Proszę przestać tak mówić! – krzyczy Rebecca. – Nie oszuka mnie pan!

Przez chwilę w oczach Burny'ego płonie inteligencja. Prawie natychmiast gaśnie. Oblizuje usta.

— Obuć się, BurnBurn – mówi.

– Jak pan chce – mówi Rebecca. – Kolacja na parterze o siódmej, jeśli ma pan ochotę. Niech pan idzie się zdrzemnąć lub robi, na co ma ochotę, dobrze?

Burny rzuca jej rozdrażnione, mętne spojrzenie i z pląśnięciem stawia nogę na podłodze, rozpoczynając męczący proces odwracania się.

– Możesz to sobie zapisać. Fritz Haarman. W Hanowerze. – Jego usta wykrzywają się w niepokojąco przebiegłym uśmiechu. – Może zatańczymy, kiedy król się tu zjawi.

– Nie, dziękuję.

Rebecca odwraca się plecami do starego potwora i ze stukaniem szpilek odchodzi korytarzem, nieprzyjemnie świadoma, że Burny nie spuszcza z niej wzroku.

Należąca do Rebecki elegancka torebka leży na biurku w pozbawionym okien przedpokoju gabinetu Maxtona. Przed wejściem do niego przystaje, wrywa kartkę z notesu, zapisuje: „Fritz Haarman (?) Hanower (?)” i wtyka ją do środkowej przegródki. Może nic to nie znaczy – pewnie tak – ale kto wie? Jest wściekła, że pozwoliła się przestraszyć Charlesowi Burnside'owi i jeśli zdoła *znaleźć* sposób na wykorzystanie tych nonsensów przeciwko niemu, zrobi, co w jej mocy, żeby wyrzucić go z Domu Maxtona.

– To ty, mała? – woła Chipper.

– Nie, to Lady Magowan i jej kurewski koszmar.

Wchodzi do gabinetu Chippera i zastaje go za biurkiem, ze szczęśliwą miną zliczającego banknoty, ofiarowane tego popołudnia przez synów i córki jego klienteli.

– Moja maluśka Becky wygląda na porządnie wkurzoną – mówi Chipper. – Co się stało, któryś z truposzczaków nadepnął ci na nogę?

– Nie mów do mnie: Becky.

– Ej, ej, rozchmurz się. Nie uwierzysz, ile twój przyjaciel o srebrnym języku wycisnął dzisiaj z krewnych. Sto dwadzieścia sześć zielonych! Forsa za darmo! Dobra, no to powiedz, co się stało?

– Charles Burnside mnie wystraszył, to się stało. Powinien być w szpitalu dla czubków.

– Żartujesz? Ten jeden truposzczak jest wart swojej wagi w złocie. Dopóki Charles Burnside wciąga powietrze w płuca, zawsze będzie miał miejsce w moim sercu. – Chipper potrzasa z uśmiechem garścią banknotów. – A jeśli i ty będziesz miała w nim miejsce, słodziutka, to zawsze będzie dla ciebie miejsce w Domu Maxtona.

Wspomnienie słów Burnside'a: „Król był w swojej wieży i jadł chlebuś z miodem” sprawia, że Rebecca czuje się zbrukana. Domyśla się, że Chipper nie przypominałby jej wstrętnego pensjonariusza, gdyby nie uśmiechał się triumfalnie sflaczałymi ustami. *Wszyzdzy, wszyzdzy, wszyzdzy mieli dzaty dżaz, dżaz, dżaz dobre goźmary* – jest to niezły opis French Landing w czasach Rybaka. Zabawne, można by pomyśleć, że stary Burny nie zwróci na morderstwa więcej uwagi niż Chipper. Rebecca nie słyszała, żeby Maxton wspominał coś o zbrodniach Rybaka; raz tylko się poskarżył, że nie będzie mógł nikomu powiedzieć, iż wybiera się na ryby, dopóki Dale Gilbertson nie ruszy wreszcie swojego wielkiego, tłustego tyłka, i że to parszywa sprawa, prawda?

Rozdział ósmy

Dwa telefony i jedna osobista sprawa, którą z całych sił stara się wyprzeć ze świadomości, uknuły spisek, wskutek którego Jack Sawyer zostaje wyrwany ze swojego kokonu w dolinie Norway i rusza w drogę do French Landing, ulicy Sumner i posterunku policji. Pierwszy zadzwonił Henry z kafeterii w Domu Maxtona podczas jednej z przerw w programie Symfonicznego Stana. Henry uparł się, by powiedzieć, co leży mu na sercu. Tego samego dnia z ulicy pod Domem Maxtona najprawdopodobniej porwano dziecko. Jakiegokolwiek Jack miał powody, by nie włączać się do sprawy, których, nawiasem mówiąc, nigdy nie wytłumaczył, przestały się liczyć, trudno i darmo. Już czworo dzieci padło ofiarami Rybaka, bo chyba Jack nie sądzi poważnie, że Irma Freneau lada chwila zastuka do frontowych drzwi swojego domu, prawda? Czworo dzieci!

– Nie, powiedział Henry. Nie usłyszałem tego przez radio. To stało się dzisiaj rano.

– Od dozorca u Maxtona, powiedział Henry. Widział zmartwionego policjanta, chowającego rower do bagażnika.

– W porządku, powiedział Henry, może nie wiem na pewno, ale jestem pewny. Do wieczora Dale ustali tożsamość biednego dzieciaka, a jutro jego nazwisko trafi do wszystkich gazet. A wtedy cały okręg postrada rozum. Nie dociera to do ciebie? Sama świadomość, że uczestniczysz w dochodzeniu, bardzo pomoże ludziom zachować spokój. Nie stać cię dłużej na luksus emerytury, Jack. Musisz zrobić swoje.

Jack powiedział Henry'emu, że pochopnie wyciąga wnioski i że porozmawiają o tym później.

Trzy kwadransy później Dale Gilbertson zadzwonił z informacją, że chłopiec nazwiskiem Tyler Marshall zniknął o nieustalonej porze przed południem spod Domu Maxtona, a ojciec Tylera, Fred Marshall, jest właśnie teraz na posterunku i domaga się spotkania z Jackiem Sawyerem. Fred jest fantastycznym facetem, prostym jak strzała i przykładowym ojcem rodziny, solidnym obywatelem, przyjacielem Dale'a, można by powiedzieć, ale w tej chwili znajduje się u kresu wytrzymałości. Najwidoczniej jego żona Judy zaczęła mieć jakieś

psychiczne problemy, zanim jeszcze zaczęły się kłopoty, a zniknięcie Tylera sprawiło, że całkowicie straciła panowanie nad sobą. Plotła nonsensy, poraniła się, zdemolowała dom.

– No, trochę znam Judy Marshall, powiedział Dale. Piękna, przepiękna kobieta, drobna, ale w środku twarda jak wyprawiona skóra, ktoś, o kim nigdy byś nie pomyślał, że nie zdoła wziąć się w garść bez względu na to, co się wokół niej dzieje. Wydaje się jednak, że wiedziała o porwaniu Tylera, zanim jeszcze znaleziono jego rower. Po południu zrobiło się z nią tak źle, że Fred musiał wezwać doktora Skardę. Zabrał ją do szpitala French Country Lutheran w Arden, gdzie tylko na nią popatrzyli i umieścili ją na oddziale D – psychiatrycznym. Wyobrażasz więc sobie, w jakim Fred jest stanie. Upiera się, żeby z tobą porozmawiać. „Nie mam do ciebie zaufania”, powiedział mi.

– Cóż, powiedział Dale, jeśli tu nie przyjedziesz, Fred Marshall pokaże się u ciebie pod drzwiami, to właśnie się stanie. Nie mogę uwiązać faceta na smyczy i nie zamknę go tylko dlatego, żeby do ciebie nie dotarł. Potrzebujemy cię tutaj bardziej niż czegokolwiek, Jack.

– Dobrze, powiedział Dale. Rozumiem, że nic nie obiecujesz. Wiesz jednak, co powinieneś zrobić.

Czy te rozmowy wystarczyły, by Jack wsiadł do samochodu i pojechał na ulicę Sumner? Bardzo prawdopodobne, przypuszcza Jack, bo czyni to trzeci powód – tajemny, prawie niedopuszczany do świadomości – mało istotnym. Nic nieznaczącym. Głupi atak nerwów, nagromadzenie napięcia, całkowicie zrozumiałe, zważywszy na okoliczności. Coś, co mogłoby się przytrafić każdemu. Ma ochotę wyrwać się z domu, i co z tego? Nikt nie może mu zarzucić, że ucieka. Rusza ku, nie zaś pierzcha przed tym, przed czym najbardziej pragnął uciec – mrocznymi podtekstami zbrodni Rybaka. Nie przesądza też z góry, że zaangażuje się poważniej w śledztwo. Przyjaciół Dale’a i ojciec najwidoczniej zaginionego dziecka, ten cały Fred Marshall, uparł się, żeby z nim rozmawiać; świetnie, będzie miał okazję porozmawiać. Jeśli pół godziny rozmowy z emerytowanym detektywem pomoże Fredowi Marshallowi opanować swoje problemy, to emerytowany detektyw jest gotów użyć mu swojego czasu.

Wszystko inne ma charakter czysto osobisty. Sny na jawie i jaja rudzików mąciły w głowie, ale była to tylko prywatna sprawa. Można to przeczekać, przemyśleć, przechytryć. Nikt rozsądny nie bierze poważnie takich rzeczy: rozpętywały się i cichły jak letnia burza. Przejeżdżając na jałowym biegu zielone światło na skrzyżowaniu w Centrala i widząc dzięki policyjnej instynktownej spostrzegawczości rząd harleyów na parkingu Łachy, Jack czuje, że wreszcie dochodzi do ładu z wydarzeniami tego popołudnia. Staje się całkowicie logiczne, dlaczego okazał się niezdolny – no, powiedzmy: niechętny – do otwarcia drzwi lodówki. Paskudne niespodzianki sprawiają, że człowiek dmucha na zimne. Spaliła się żarówka w salonie, a gdy Jack dotarł do szuflady, w której trzymał pół tuzina nowych halogenów, nie mógł jej wysunąć. Prawdę mówiąc, miał kłopoty z otwarciem jakiegokolwiek innej szuflady, szafki czy szafy w swoim domu, co uniemożliwiło mu zaparzenie filiżanki herbaty, przebranie się, przygotowanie obiadu czy zrobienie czegokolwiek poza wertowaniem bez

zapału książek i oglądaniem telewizji. Gdy klapka skrzynki na listy zagroziła, że ukrywa piramidkę niebiesciutkich jajeczek, Jack postanowił odłożyć do jutra wyjęcie poczty. I tak dostawał wyłącznie wydruki z kont, czasopisma i reklamowe śmiecie.

Nie dopuścimy, by brzmiało to gorzej, niż jest w rzeczywistości, mówi Jack do siebie. Mógłbym otworzyć wszystkie drzwi, szafki i szuflady w domu, ale nie chciałem. Nie bałem się, że z lodówki czy szafy posypią się jaja rudzików – po prostu nie chciałem ryzykować, że znajdę chociaż jedno z tych cholerstw. Pokażcie mi psychiatrę, który powie, że to neurotyczne, a ja pokażę wam kretyna, który nie zna się na psychologii. Wszyscy weterani mówili mi, że praca w wydziale zabójstw maści człowiekowi w głowie. Do diabła, przecież właśnie dlatego przeszedłem na emeryturę!

Co miałem robić? Zostać w policji, aż pewnego dnia połknąłbym kulkę? Henry Ley den – jesteś bystrym człowiekiem i kocham cię, ale pewnych *rzeczy* po prostu nie KAPUJESZ!

W porządku, jechał na Sumner. Każdy dał się na niego, żeby coś zrobił, więc właśnie coś robił. Przywita się z Dale'em, pozdrowi chłopaków, usiądzie z tym całym Fredem Marshalllem, solidnym obywatelem, któremu zaginął syn, i uraczy go zwykłym kitem o tym, że robi się wszystko, co możliwe, bla, bla, bla, FBI współpracuje z nami w całej rozciągłości w tej sprawie, a Biuro ma najwspanialszych oficerów dochodzeniowych na świecie. Takim kitem. Jeśli chodziło o Jacka Sawyera, to jego pierwszoplanowym zadaniem jest ugłaskanie Freda Marshalla, jakby uspokajał zranionego kota. Jack zakłada, że po ugłaskaniu Freda Marshalla jego obowiązek wobec społeczeństwa – istniejący wyłącznie w umysłach innych ludzi – zostanie spełniony i będzie mógł już bez przeszkód wrócić do siebie. Jeśli się to nie spodoba Dale'owi, to niech sobie skoczy z rozbiegu do Missisipi; jeśli się to nie spodoba Henry „emu, Jack odmówi czytania „Samotni” i zmusi go do słuchania zamiast tego Lawrence'a Welka, Vaughna Monroe lub czegoś podobnie katującego. Przed wieloma laty Jack dostał od kogoś płytę kompaktową „Fats Manassas & His Muskrat All Stars Stomping the Ramble”. Trzydzieści sekund Fatsa Manassasa i Henry błagałby o zmiłowanie.

Obraz ten sprawia Jackowi wystarczającą satysfakcję, by udowodniać sobie, iż jego wahanie przed otwarciem szafek i szuflad było jedynie czasową niechęcią, a nie spowodowaną fobią niezdolnością. Kiedy nawet skupiał uwagę na czymś innym, czyli prawie przez cały czas, zamknięta popielniczka pod deską rozdzielczą szydziła z niego i dokuczała mu od momentu, gdy wsiadł do pikapa. Mała klapka popielniczki coś złowieszczo sugeruje, otacza ją swego rodzaju aura potencjalnej podłości.

Czy Jack się boi, że za klapką czyha niebieskie jajeczko?

Oczywiście, że nie. Nie ma tam nic oprócz powietrza i plastikowego profilu.

W takim razie może ją otworzyć.

Budynki na obrzeżach French Landing przesuwają się za oknami pikapa. Jack dotarł prawie do miejsca, w którym Henry wyłączył Dirtysperm. Oczywiście może otworzyć popielniczkę. Nic prostszego. Po prostu wkłada się pod nią palce i pociąga. Wyciąga dłoń.

Zanim jego palce dotykają klapki, cofa dłoń. Krople potu spływają mu po czole i więzną w brwiach.

– Nic wielkiego – mówi na głos. – Masz jakiś problem, Jacky?

Znów wyciąga rękę do popielniczki. Nagle zdaje sobie sprawę, że zwraca o wiele więcej uwagi na dolną część deski rozdzielczej niż na drogę; podnosi wzrok i redukuje prędkość do połowy. Unika wduszania hamulców. Dotyka palcami klapki, następnie zgina je pod spód. Jeszcze raz spogląda na drogę. Potem zdecydowanym ruchem pielęgniarki, która zdiera plaster z włochatego brzucha pacjenta, wyszarpuje wysuwaną tackę. Końcówka z zapalniczką, którą nieświadomie obluzował tego ranka na swoim podjeździe, wyskakuje w powietrze na wysokość trzech stóp, przerażonemu Jackowi bardzo przypomina spadające srebrnoczarne jajko.

Skręca z drogi, przejeżdża z podskokiem przez zarośnięte chwastami pobocze i toczy się prosto na mający w przedzie słup telefoniczny. Zapalniczka spada na tackę z głośnym, metalicznym szczęknięciem, którego nie wydałoby żadne jajko na świecie. Słup telefoniczny płynie bliżej i wypełnia prawie całą przednią szybę. Gdyby Jack nie zredukował prędkości przed otwarciem popielniczki, władowałby się wprost na niego; na szczęście zatrzymuje samochód w odległości czterech stóp. Wyciera pot z twarzy i bierze w dłoń zapalniczkę.

– Kurwa mać – mówi. Wkładają w gniazdko i osuwa się bezwładnie na siedzenie. – Nic dziwnego, że mówią, że palenie zabija.

Żart jest zbyt marny, by go rozbawić. Przez kilka sekund jedynie siedzi bezwładnie na fotelu i gapi się na niewielki ruch na Lyall Road. Gdy jego puls zwalnia mniej więcej do normalnego tempa, przypomina sobie, że ostatecznie otworzył popielniczkę.

Rozczochrany, jasnowłosy Tom Lund najwidoczniej odbył odprawę przed jego przybyciem, gdy bowiem Jack mija rząd trzech rowerów pod drzwiami, młody funkcjonariusz podrywa się zza biurka, spieszenie podchodzi i szepcze, że Dale i Fred Marshall czekają na niego w gabinecie komendanta i że zaraz go tam zaprowadzi. Na pewno bardzo się ucieszą, że już przybył.

– Ja też się cieszę, panie poruczniku – dodaje Lund. – Rany, musiałem to powiedzieć. Myślę, że ma pan właśnie to, czego nam potrzeba.

– Mów mi Jack. Nie jestem już porucznikiem. Nie jestem nawet policjantem.

Jack poznał Toma Lunda podczas śledztwa w sprawie Kinderlinga i spodobały mu się gorliwość oraz oddanie młodego mężczyzny. Zakochany w swojej pracy, mundurze i odznace, okazujący szacunek szefowi oraz podziw Jackowi, Lund bez słowa skargi ślęczał setki godzin przy telefonie, w archiwach i w radiowozie, sprawdzając i weryfikując często sprzeczne szczegóły, które wynikły ze spotkania sprzedawcy ubezpieczeń rolniczych z Wisconsin i dwóch dziewczyn pracujących na Sunset Strip. Przez cały czas Tom Lund zachował energię i polor obrońcy futbolowego, wybiegającego na boisko na pierwszy mecz.

Tom stracił ten wygląd, dochodzi do wniosku Jack. Pod oczyma ma ciemne worki, uwypukliły się kości twarzy. Na emocje słyszalne w głosie Lunda wpłynęło coś więcej niż tylko bezsenność i wyczerpanie; ma beznadziejnie zdeprimowane spojrzenie kogoś, kto doznał wielkiego moralnego wstrząsu. Rybak skradł znaczną część młodości Toma Lunda.

– Zobaczą jednak, co zdołam zrobić – mówi Jack, czując, że się zaangażuje bardziej, niż zamierza.

– Na pewno przyda się każda pomoc z pana strony – mówi Lund.

Jest to wypowiedź zbyt gorliwa, pełna służalczego oddania. Gdy Lund odwraca się i prowadzi Jacka do gabinetu, ten ostatni myśli: Nie przyjechałem tutaj jako wasz zbawiciel.

Myśl ta sprawia, że natychmiast ogarnia go poczucie winy.

Lund puka, otwiera drzwi, by zaanonsować Jacka, wprowadza go do środka i znika jak duch, zupełnie niezauważony przez dwóch mężczyzn, którzy podnoszą się z foteli i wpijają wzrok w twarz nowo przybyłego – jeden z wyraźną wdzięcznością, drugi też, tyle że dochodzi do tego nieukrywana potrzeba, która sprawia, że Jack czuje się jeszcze bardziej niezręcznie.

– Dziękuję, że zgodził się pan przyjechać – mówi Fred Marshall, nie zwracając uwagi na niewyraźne przedstawienie przez Dale'a. – Bardzo dziękuję. To wszystko, co mogę... – Wystawia prawą rękę jak dźwignię pompy. Gdy Jack ściska mu dłoń, twarz Freda Marshalla przepelnia jeszcze większa dawka uczuć. Ściska dłoń Jacka jak zwierzę dopadające swoją ofiarę. Ściskają wielokrotnie, z całych sił. Jego oczy wypełniają się łzami. – Nie mogę... – Marshall rozluźnia dłoń i ociera twarz. Jego spojrzenie mówi, iż niezmiernie łatwo go zranić. – Rany... Och, rany – mówi. – Naprawdę się cieszę, że pan przyjechał, panie Sawyer. A może powinienem mówić: panie poruczniku?

– Wystarczy: Jack. Może opowiecie mi, co się dzisiaj wydarzyło?

Dale wskazuje pusty fotel; trzech mężczyzn siadają. *Zaczyna się bolesna, lecz w zasadzie prosta historia Freda, Judy i Tylera Marshallów.* Najpierw dość długo mówi Fred. Według jego wersji dzielna kobieta o lwim sercu, oddana żona i matka pada ofiarą niepojętych, wielopostaciowych przemian i zaburzeń; rozwijają się u niej objawy, które przegapił ignorancki, głupi, skupiony na sobie mąż. Kobieta wyrzuca z siebie nonsensowne słowa, wypisuje idiotyzmy na kartkach z notesu, wtyka sobie te kartki w usta i próbuje połknąć. *Widzi zbliżającą się tragedię, co odbiera jej rozum.* Brzmi to obłądnie, ale jej skupiony na sobie mąż uważa to za prawdę. To znaczy myśli, że uważa to za prawdę, ponieważ zastanawia się nad tym, odkąd porozmawiał z Dale'em, i chociaż brzmi to obłądnie, na swój sposób ma sens. Bo jakie inne wytłumaczenie wchodzi w grę? Dlatego właśnie myśli, co myśli – że jego żona zaczęła tracić rozum, bo wiedziała, że Rybak się zbliża. Przypuszcza, że takie rzeczy są możliwe. Na przykład dzielna, udręczona żona wiedziała, że jej śliczny, cudowny syn zaginął, zanim jeszcze głupi, egoistyczny mąż – który pojechał do pracy, jakby to był zwyczajny dzień – powiedział jej o rowerze. Samo to właściwie wystarczało do

udowodnienia tego, o czym mówił. Śliczny chłopczyk wyjechał z trzema kolegami, lecz wróciło jedynie trzech przyjaciół, a funkcjonariusz Danny Tcheda znalazł należący do synka rower marki Schwinn i jeden z adidasów na chodniku pod Domem Maxtona.

– Danny Cheeta? – pyta Jack, który podobnie jak Fred Marshall zaczyna myśleć o wielu alarmujących rzeczach.

– Tcheda – odpowiada Dale i literuje nazwisko.

Dale Gilbertson opowiada własną, o wiele krótszą wersję tego, co się wydarzyło. W jego opowieści chłopiec wyrusza, by przejechać się na rowerze, i być może zostaje porwany z chodnika pod Domem Maxtona. To cała historia, jaką zna Dale, i wierzy, że Jack Sawyer zdoła wyjaśnić mnóstwo związanych z nią niejasności.

Jack Sawyer, w którego wpatrują się dwaj pozostali mężczyźni w gabinecie, zwleka, by przywyknąć do trzech myśli, które właśnie krążą mu po głowie. Pierwsza to nie tyle myśl, ile reakcja, zawierająca ukrytą myśl. W chwili gdy Fred Marshall ścisnął jego rękę i powiedział: „Rany... Och, rany”, Jack doszedł do wniosku, że go lubi, co stanowi nieprzewidziany obrót wydarzeń tego wieczora. Odbiera Freda Marshalla jako postać nadającą się na plakat, który reklamuje zalety życia w małym miasteczku. Gdyby zamieścić jego zdjęcia na billboardach, zachwalających nieruchomości w okręgu French, można by sprzedać mnóstwo drogich domów ludziom z Milwaukee i Chicago. Przyjazna, przystojna twarz Marshalla i jego szczupłe ciało biegacza to niemal rzetelne świadectwo odpowiedzialności, przyzwoitości, dobrego wychowania, stosunków dobrosąsiedzkich, skromności i szczerości. Im dłużej Fred Marshall oskarża się o egoizm i głupotę, tym bardziej Jack go lubi. Im bardziej go lubi, tym bardziej współczuje mu w strasznej niedoli i tym bardziej chce mu pomóc. Jack przyjechał na posterunek, spodziewając się, że zareaguje na przyjaciela Dale’a jak policjant, ale jego służbowe odruchy zardzewiały od nieużywania. Odbiera go jako obywatel z sąsiedztwa. Policjanci, jak Jackowi dobrze wiadomo, rzadko traktują cywilów, którzy znaleźli się w sferze dochodzenia w sprawie zbrodni, jako obywateli z sąsiedztwa, a już na pewno nigdy na wstępnych etapach śledztwa. (Jack w skrytości ducha myśli, iż Fred Marshall wskutek swojej natury nie potrafi żywić podejrzeń wobec kogokolwiek, z kim łączą go dobre stosunki).

Druga myśl Jacka jest myślą zarówno policjanta, jak i obywatela; dzieli się z nią, równocześnie przyzwyczajając się do trzeciej, która jest w całości produktem jego zardzewiałych, a mimo to właściwych odruchów gliniarza:

– Rowery, które widziałem na zewnątrz, należą do przyjaciół Tylera? Ktoś ich teraz przesłuchuje?

– Bobby Dulac – odpowiada Dale. – Rozmawiałem z nimi, kiedy przyjechali, ale do niczego nie doszedłem. Według nich wszyscy byli na ulicy Chase, ale Tyler pojechał gdzieś sam. Twierdzą, że nic nie widzieli. Może rzeczywiście tak było.

– Ale myślisz, że wiedzą coś więcej.

– Jak mi Bóg miły, tak myślę. Za cholere jednak nie mam pojęcia, co takiego, a musimy wysłać ich do domu, zanim ich rodzice zaczną się skręcać ze zdenerwowania.

– Kto to jest? Jak się nazywają?

Fred Marshall zaciska palce, jakby trzymał w ręce niewidzialny kij baseballowy.

– Ebbie Wexler, T.J. Renniker i Ronnie Metzger. Tego lata Tyler włóczył się z tymi chłopakami.

W ostatnim zdaniu kryje się niewypowiedziany osąd.

– Wygląda na to, że nie uważa ich pan za najlepsze towarzystwo dla pańskiego syna.

– No, nie – mówi Fred rozdarty między pragnieniem mówienia prawdy i wrodzoną chęcią unikania niesprawiedliwych osądów. – Skoro tak pan stawia sprawę. Ebbie wygląda na brutala, a dwóch pozostałych jest trochę... no, powolnych? Mam nadzieję... miałem... że Tyler zda sobie sprawę, że stać go na coś więcej, i będzie spędzał więcej wolnego czasu z chłopcami, którzy są bardziej... no, wie pan...

– Na jego poziomie.

– Zgadza się. Problem polega na tym, że mój syn jest dość mały jak na swój wiek, a Ebbie Wexler jest... mm...

– Wysoki i mocno zbudowany jak na swój wiek – dopowiada Jack. – Idealny układ dla brutala.

– To znaczy, że zna pan Ebbiego Wexlera?

– Nie, ale widziałem go dzisiaj rano. Był z dwoma pozostałymi chłopcami i pańskim synem.

Dale jak struna prostuje się w fotelu, a Fred Marshall upuszcza niewidzialny kij baseballowy.

– Kiedy to było? – pyta Dale.

– Gdzie? – pyta równocześnie Fred Marshall.

– Na Chase, mniej więcej dziesięć po ósmej. Przyjechałem, żeby odwiedzić do domu Henry’ego Leydena. Kiedy opuszczaliśmy miasto, chłopcy wyjechali przede mną na ulicę na rowerach. Zdołałem dobrze przyjrzeć się pańskiemu synowi, panie Marshall. Wyglądał na wspaniałego chłopca.

Rozszerzające się oczy Freda Marshalla wskazują, że zaczyna odczuwać lekką nadzieję, że będzie dobrze. Dale się odpręża.

– To dość dobrze pasuje do ich opowieści. Wtedy jeszcze Ty się nie odłączył. Jeśli tak było.

– Albo to oni się odłączyli i go zostawili – mówi ojciec Tylera. – Jeżdżą szybciej od mojego syna i czasem... no wiecie, dokuczali mu.

– Jadąc szybciej i zostawiając go samego – dopowiada Jack.

Posępne skinienie głowy Freda Marshalla stanowi potwierdzenie, że współczujący ojciec podzielał chłopięce upokorzenia. Jackowi przypomina się zarumieniona, wroga twarz i

wystawiony palec Ebbiego Wexlera; zastanawia się, jak chłopiec mógł się bronić. Dale powiedział, że wyczuł fałsz w historyjce chłopaków, ale dlaczego mieliby kłamać? Jakikolwiek był powód, autorem kłamstwa prawie na pewno był Ebbie Wexler. Dwóch pozostałych wypełniało rozkazy.

– Chcę porozmawiać z chłopcami, zanim odeślecie ich do domów – mówi Jack, na razie odkładając na bok trzecią myśl. – Gdzie są?

– W pokoju przesłuchań, na piętrze. – Dale wskazuje palcem sufit. – Tom cię zaprowadzi.

Ściany szare jak na okręcie wojennym, metalowy stół i pojedyncze okno wąskie jak strzelnica w murze zamkowym powodują, że pokój na piętrze wydaje się zaprojektowany z myślą o wyciąganiu zeznań poprzez działanie nudy i rozpacz. Gdy Tom Lund wprowadza Jacka do środka, wygląda na to, że czterech gości pokoju przesłuchań uległo już jego ciężkiej jak ołów atmosferze. Bobby Dulac ogląda się w bok i przestaje stukać ołówkiem w blat.

– No, hurra dla Hollywooda – mówi. – Dale mówił, że pan przyjedzie. – Nawet Bobby wygląda w tym smętnym pomieszczeniu mniej olśniewająco. – Chce pan przesłuchać tych łobuzów, poruczniku?

– Może za minutę.

Dwóch z trzech łobuzów po drugiej stronie stołu patrzy na podchodzącego do Bobby'ego Dulaca Jacka, jakby bało się, że wtrąci ich do celi. Słowa „przesłuchać” i „porucznik” odniosły otrzeźwiający wpływ jak wichura z Kanady. Ebbie Wexler wpatruje się w Jacka zmrużonymi oczyma i stara się wywierać wrażenie twardziela, podczas gdy chłopiec obok niego, Ronnie Metzger, wierci się na krześle, a oczy ma wielkości talerzy. Trzeci chłopak, T.J. Renniker, spuścił głowę na skrzyżowane ramiona i najpewniej śpi.

– Obudźcie go – mówi Jack. – Mam coś do powiedzenia i chcę, żebyście wszyscy to słyszeli.

W istocie nie ma nic do powiedzenia, ale *zależy* mu, by chłopcy zwrócili na niego uwagę. Zdążył się już zorientować, że Dale ma rację. Jeśli chłopcy nie kłamią, to przynajmniej coś ukrywają. Dlatego właśnie przeraziło ich jego pojawienie się w tej sennej scenerii. Gdyby Jack prowadził dochodzenie, rozdzieliłby chłopców i przesłuchiwał ich pojedynczo; musi jednak poradzić sobie mimo błędu Bobby'ego Dulaca. Musi na początek potraktować ich łącznie, podsycając ich strach. Nie chce sterroryzować chłopców, ale jedynie sprawić, że serca *zaczną* bić im trochę szybciej; potem będzie mógł ich rozdzielić. Najślabsze, doznające największego poczucia winy ogniwo już się ujawniło. Jack nie ma skrupułów przed kłamaniami, by uzyskać informacje.

Ronnie Metzger szturcha T.J. w bark i mówi:

– Obudź się, pętołu... tępołu.

Śpiący chłopiec stęka, unosi głowę znad stolika i zaczyna się przeciągać. Jego wzrok pada na Jacka; mrugając i przetykając ślinę, w jednej chwili się prostuje.

– Witaj z powrotem – mówi Jack. – Chcę się przedstawić i wyjaśnić, co tutaj robię. Nazywam się Jack Sawyer i jestem porucznikiem z wydziału zabójstw policji Los Angeles. Mam doskonałe osiągnięcia i pokój pełen dyplomów oraz medali. Kiedy zaczynam ścigać jakiegoś łotra, to zwykle go aresztuję. Trzy lata temu sprowadziła mnie tu z Los Angeles pewna sprawa. Dwa tygodnie później Thornberg Kinderling został tam wyprawiony w łańcuchach. Ponieważ znam ten teren i współpracowałem już z tutejszymi służbami wymiaru sprawiedliwości, Departament Policji Los Angeles poprosił mnie, bym wspomógł siły lokalne w śledztwie w sprawie morderstw Rybaka. – Ogląda się, by sprawdzić, czy Bobby Dulac nie uśmiecha się na te bzdury, lecz policjant zachowuje kamienną twarz. – Wasz przyjaciel Tyler Marshall był z wami, zanim zaginął dziś rano. Czy Rybak go porwał? Nie mam ochoty tego mówić, ale na to wygląda. Może uda się nam odzyskać Tylera, a może nie, ale jeśli mam powstrzymać Rybaka, musicie opowiedzieć mi wszystko, co się stało, do ostatniego szczegółu. Wymagam od was całkowitej szczerości, bo jeśli będziecie kłamali albo utrzymywali cokolwiek w tajemnicy, oskarżymy was o utrudnianie śledztwa, a to bardzo poważne przestępstwo. Funkcjonariuszu Dulac, jaki jest za nie minimalny wyrok w stanie Wisconsin?

– Pięć lat, prawie na pewno – mówi Bobby Dulac.

Ebbie Wexler przygryza wnętrze policzka, Ronnie Metzger marszczy czoło i wbija wzrok w blat, T.J. Renniker gapi się tępo w wąskie okno.

Jack siada obok Bobby'ego Dulaca.

– Przypadkiem to właśnie ja byłem tym facetem, któremu pokazałeś dzisiaj rano palec – zwraca się do Ebbiego Wexlera. – Nie mogę powiedzieć, bym był zachwycony, że znowu cię widzę.

Dwie głowy obracają się w stronę Ebbiego, który gwałtownie mruży oczy, starając się rozwiązać ten całkowicie nowy problem.

– Nie pokazałem – mówi, poprzestając na zaprzeczeniu w żywe oczy. – Może tak to wyglądało, ale nie pokazałem.

– Kłamiesz, a jeszcze nawet nie zaczęliśmy rozmawiać o Tylerze Marshallu. Dam ci jeszcze jedną szansę. Powiedz prawdę.

– Nie pokazuję wala ludziom, których nie znam – odpowiada Ebbie z uśmiechem.

– Wstawaj – mówi Jack.

Ebbie ogląda się z boku na bok, ale jego przyjaciele nie potrafią spojrzeć mu w oczy. Odpycha krzesło i niepewnie się podnosi.

– Posterunkowy – mówi Jack. – Proszę go wyprowadzić i niech zostanie na zewnątrz.

Bobby Dulac perfekcyjnie odgrywa swoją rolę. Wstaje i nie spuszcza wzroku z Ebbiego, podchodzi do niego płynnymi krokami. Przypomina lamparta szykującego się do obfitego posiłku. Ebbie Wexler odskakuje w tył i stara się zatrzymać Bobby'ego uniesieniem ręki.

– Nie, nie, cofam to, pokazałem. Dobra?

– Za późno – mówi Jack.

Patrzy, jak Bobby chwytą chłopaka za łokieć i pociąga w stronę drzwi. Zaczerwieniony i spocony Ebbie wbija stopy w posadzkę, a wskutek nacisku zgina się w pół. W końcu rusza z miejsca, skamłając i roniąc łzy. Bobby Dulac otwiera drzwi i wywleka go na posępny korytarz na piętrze. Drzwi zatrząskują się z hukiem, tłumiąc jęk strachu.

Twarze dwóch pozostałych chłopców nabrały barwy mleka, z którego zebrano śmietankę. Wyglądają na niezdolnych do ruchu.

– Nie martwcie się o niego – mówi Jack. – Nic mu nie będzie. Za piętnaściedwadzieścia minut pojedziecie do domów. Myślałem, że nie ma sensu rozmawiać z kimś, kto od razu kłamie, to wszystko. Pamiętajcie: nawet marny glina wie, kiedy jest okłamywany, a ja jestem doskonałym gliną. Oto, co teraz zrobimy. Porozmawiamy, co wydarzyło się dzisiaj rano, o tym, co robił Tyler, jak się z nim rozdzieliliście, gdzie byliście, co potem robiliście, o wszystkich ludziach, których widzieliście, i tego rodzaju rzeczach. – Odchyła się na oparcie i kładzie dłonie płasko na stole. – Proszę bardzo, opowiadajcie, co się działo.

Ronnie i T.J. spoglądają po sobie. T.J. wsadza palec wskazujący w usta i zaczyna skrobać paznokciem zęb z przodu.

– Ebbie pokazał panu brzydki gest – mówi Ronnie.

– Bez żartów. Dalej.

– Yy... Tyler powiedział, że musi gdzieś jechać.

– Musiał gdzieś pojechać – wtóruje mu T.J.

– Gdzie wtedy byliście.

– Yy... pod Allsorts Pomorium.

– Emporium – poprawia go T.J. – To nie pomorium, bęcwale, emporium.

–I?

– I Tyler powiedział... – Ronnie ogląda się na T.J. – Tyler powiedział, że musi gdzieś jechać.

– W którą stronę pojechał, na wschód czy zachód? – Chłopcy reagują na to pytanie, jakby zostało zadane w obcym języku – zastanawiają się nad nim w milczeniu. – W stronę rzeki czy przeciwną?

Znów naradzają się wzrokiem. Pytanie zostało zadane po angielsku, jednak nie ma na nie właściwej odpowiedzi.

– Nie wiem – odpowiada wreszcie Ronnie.

– A ty, T.J.? Wiesz? – T.J. potrząsa głową. – Dobrze. Uczciwa odpowiedź. Nie wiesz, bo nie widzieliście, jak odjeżdżał, prawda? I tak naprawdę nie mówił, że musi jechać, prawda? Założę się, że Ebbie to zmyślił.

T.J. wierci się, a Ronnie patrzy na Jacka z zastanowieniem i podziwem. Właśnie okazało się, że ma przed sobą Sherlocka Holmesa.

– Pamiętajcie, kiedy minąłem was w samochodzie? – Chłopcy kiwają jak na komendę. – Tyler był z wami. – Ponownie kiwają. – Zjechaliście już z chodnika pod sklepem Schmitta i kierowaliście się na wschód ulicy Chase – w stronę przeciwną niż rzeka. Widziałem was w lusterku wstecznym. Ebbie bardzo szybko pedałowal. Wy dwaj z trudem za nim nadążaliście. Tyler jest od was mniejszy, więc został z tyłu. Dlatego wiem, że nigdzie sam nie pojechał. Nie mógł za wami nadążyć.

Ronnie Metzger zaczyna płakać.

– I został daleko, daleko w tyle, a Rybak przyszedł i go złapałjęczy.

– Widzieliście, jak to się stało? – Jack pochyla się naprzód. – Którykolwiek z was?

– Nieceaaa – szlocha Ronnie.

T.J. powoli kręci głową.

– Nie widzieliście, czy ktokolwiek rozmawiał z Tylerem, czy zatrzymał się jakiś samochód, Tyler wszedł do sklepu albo cokolwiek takiego?

Chłopcy paplą jeden przez drugiego i wygląda na to, że nic nie widzieli.

– Kiedy zdaliście sobie sprawę, że zniknął?

T.J. otwiera usta i je zamyka.

– Kiedy jedliśmy po slurpee – mówi Ronnie.

Ze ściągniętą z napięcia twarzą T.J. kiwa twierdząco głową.

Dwa kolejne pytania ujawniają, że chłopcy raczyli się lodami w 7Eleven, gdzie nabyli również karty Magie, oraz że zauważenie nieobecności Tylera Marshalla zabrało im zapewne nie więcej niż kilka minut.

– Ebbie powiedział, że Tyler kupi nam więcej kart – dodaje usłużnie Ronnie.

Dotarli do momentu, na który czekał Jack. Gdy chłopcy wyszli z 7Eleven i zorientowali się, że Tyler do nich nie dołączył, postanowili nic nie mówić. Sekret ten zna wyłącznie T.J. Dzieciaka praktycznie zalewa krwawy pot, podczas gdy wspomnienie o lodach i kartach Magie w znacznym stopniu uspokoiło jego kolegę. Zostało jeszcze jedno pytanie, jakie Jack chce im zadać.

– A zatem Ebbie chciał, żeby znaleźć Tylera. Czy wszyscy wsiedliście na rowery i zaczęliście go szukać, czy też Ebbie wysłał jednego z was?

– Hę? – mówi Ronnie. T.J. spuszcza głowę i składa na niej skrzyżowane dłonie, jakby chciał zasłonić się przed ciosem. – Tyler gdzieś pojechał – dodaje Ronnie. – Nie szukaliśmy go, pojechaliśmy do parku. Żeby powymieniać się kartami.

– Rozumiem – mówi Jack. – Dziękuję, Ronnie. Byłeś bardzo pomocny. Chcę, żebyś wyszedł na zewnątrz i został z Ebbiem i posterunkowym Dulakiem, podczas gdy ja odbędę krótką rozmowę z T.J. Nie powinna zająć więcej niż pięć minut.

– Mogę iść?

Po skinieniu głową Jacka Ronnie z wahaniem wstaje z krzesła. Gdy dociera do drzwi, T.J. wydaje cichy jęk. Po chwili Ronniego już nie ma. T.J. wciska się w krzesło i próbuje się stać

jak najmniejszy, równocześnie wpatrując się w Jacka lśnącymi idealnie w tej chwili okrągłymi oczyma.

– T.J. – mówi Jack. – Nie masz się czego obawiać. – Zostawszy sam z chłopcem, który oznajmił swoją winę zaśnięciem w pokoju przesłuchań, Jack Sawyer pragnie nade wszystko go rozgrzeszyć. Zna sekret T.J. Ta tajemnica jest niczym; jest bezużyteczna. – Bez względu na to, co mi powiesz, nie aresztuję cię. To też ci przyrzekam. Nie będziesz miał żadnych kłopotów, chłopcze. W istocie jestem zadowolony, że ty i twoi przyjaciele przyjechaliście tutaj i pomogliście nam wyjaśnić, co się działo.

Kontynuuje w tym duchu przez kolejne trzy czy cztery minuty, w ciągu których T.J. Renniker, poprzednio skazany na rozstrzelanie, stopniowo uświadamia sobie, że nadeszło ułaskawienie i zbliża się uwolnienie z tego, co jego kumpel Ronnie nazwałby niogą srewolą. Jego twarz częściowo odzyskuje normalny kolor. Przybiera poprzednie rozmiary, a jego oczy przestają być szkliste ze zgrozy.

– Powiedz mi, co zrobił Ebbie – mówi Jack. – Zostanie to między nami dwoma. Nic mu nie powiem. Naprawdę. Nie zakażuję cię.

– Chciał, żeby Tyler kupił więcej kart – odpowiada T.J., sondując drogę przez nieznaną terytorium. – Gdyby Tyler był z nami, toby to zrobił. Ebbie potrafi się robić wredny. No i... no i powiedział mi: jedź tam i przyprowadź tego grzebułę, bo zrobię ci czołg.

– Wsiadłeś na rower i wróciłeś na Chase.

– Yhy. Rozglądałem się, ale nigdzie nie widziałem Tylera. Myślałem, że go zobaczę, rozumie pan? Bo gdzie indziej miałby się podziać?

– I...? – Jack kręci dłonią w powietrzu, jakby przyciągał odpowiedź kołowrotkiem wędki.

– I mimo to go nie widziałem. To pojechałem na ulicę Queen, gdzie jest dom starych ludzi, z takim wielkim żywopłotem. No i, mm, zobaczyłem tam jego rower. Na chodniku pod żywopłotem. Jego adidas też tam był. I trochę liści z żywopłotu.

Oto jest, ów bezużyteczny sekret. Może niezupełnie bezużyteczny – pozwala dość dokładnie określić godzinę zniknięcia chłopca: 8.15, powiedzmy 8.20. Rower stał na chodniku obok adidasa mniej więcej przez cztery godziny, nim wypatrzył go Danny Tcheda. Dom Maxtona zajmuje niemal cały teren przy tym odcinku Queen, a pierwsi goście Truskawkowego Festynu zaczęli się zjeżdżać w południe.

T.J. opowiada, że się bał – skoro Rybak wciągnął Tylera za żywopłot, może był gotów wrócić po dokładkę!

– Ebbie powiedział, że mamy mówić, że Tyler zostawił nas pod sklepem Schmitta – odpowiada T.J. na ostatnie pytanie Jacka. – Żeby ludzie nas, no, nie winili. Gdyby został zabity. Tyler nie został zabity, prawda? Takich chłopaków jak Tyler nie zabijają.

– Mam nadzieję, że nie – mówi Jack.

– Ja też. – T.J. sięka nosem i wyciera go o ramię.

– Czas, żebyś ruszał do domu – mówi Jack, podnosząc się z krzesła.

T.J. wstaje i zaczyna obchodzić stół.

– Och! Właśnie sobie przypomniałem!

– O czym?

– Widziałem pióra na chodniku.

Podłoga pod stopami Jacka wydaje się zataczać w prawo, a potem w lewo jak pokład statku. Jack odzyskuje równowagę, chwyciwszy się oparcia krzesła.

– Naprawdę? – Pilnuje, by się opanować, nim odwraca się w stronę chłopca. – Co to znaczy: pióra?

– Czarne. Wielkie. Wyglądały, jakby wypadły wronie. Jedno leżało obok roweru, a drugie było w adidasie.

– Zabawne – mówi Jack, grając na zwłokę, aż przestaną kołatać się w nim echa nieoczekiwanego pojawienia się piór w rozmowie z T.J. Rennikerem.

Jego reakcja jest w ogóle absurdalna; to, iż przez sekundę groziło mu zemdlenie, jest groteskowe. Pióra T.J. były prawdziwymi wronimi piórami na prawdziwym chodniku. Pióra Jacka pochodziły ze snu, były piórami nierealnych rudzików, iluzorycznych jak wszystko inne w snach. Jack mówi sobie kilka równie potrzebnych rzeczy i wkrótce znów czuje się normalnie, powinniśmy jednak zdawać sobie sprawę, że przez resztę nocy i sporą część następnego dnia słowo pióra będzie przenikało jego myśli, otoczone jakby elektrycznością statyczną po burzy, od czasu do czasu wyłaniając się na powierzchnię przy akompaniamencie trzasku, który towarzyszy uderzeniu pioruna.

– To dziwne – mówi T.J. – No bo jak pióro mogło wpaść do buta?

– Może wiatr je tam przywiał – odpowiada Jack, dla wygody ignorując nieobecność wiatru tego dnia.

Upewniwszy się o stabilności podłogi, daje machnięciem ręki znak T.J., żeby wyszedł na korytarz, po czym podąża za nim.

Ebbie Wexler odpycha się od ściany i tupiąc, dochodzi do Bobby’ego Dulaca. Pozostający w swojej roli Bobby mógłby równie dobrze być wyciosany z marmuru. Ronnie Metzger cofa się w bok.

– Możemy odesłać tych chłopców do domu – mówi Jack. – Spełnili swój obowiązek.

– Coś ty nagadał, T.J.? – pyta Ebbie z wrogą miną.

– Wyjaśnił, że nic nie wiecie o zniknięciu waszego przyjaciela – mówi Jack.

Ebbie odpręża się, lecz i tak na wszystkie strony rzuca chmurne spojrzenia. Ostatnie i najbardziej wrogie przeznaczone jest dla Jacka, który unosi brwi.

– Nie płakałem – mówi Ebbie. – Byłem przestraszony, ale nie płakałem.

– Zgadza się, byłeś przestraszony – odpowiada Jack. – Następnym razem mnie nie okłamuj. Miałeś szansę pomóc policji, ale ją zmarnowałeś.

Ebbie zastanawia się nad jego słowami i przynajmniej częściowo udaje mu się je przetrwać.

– Dobra, ale naprawdę nie pokazałem panu wała. To przez tę głupią muzykę.

– Mnie też było od niej niedobrze. Facet, który ze mną jechał, uparł się, żeby ją zagrać. Wiecie, kto to był? – Mimo podejrzliwej miny Ebbiego Jack wyjaśnia: – George Rathbun.

Spotyka się z taką reakcją, jakby powiedział: „Superman” lub „Arnold Schwarzenegger”; podejrzliwość Ebbiego znika, zmienia się wyraz jego twarzy. Niewinne zdumienie wypełnia jego małe, wąsko osadzone oczy.

– Zna pan George’a Rathbuna?

– To jeden z moich najlepszych przyjaciół – odpowiada Jack, nie dodając, że większość jego najlepszych przyjaciół to w pewnym sensie również George Rathbun.

– Klawo – mówi Ebbie.

– Klawo – wtórują w tle T. J. i Ronnie.

– George rzeczywiście jest równym facetem – mówi Jack. – Powtórzę mu, co powiedzieliście. Zejdźmy na dół; możecie wsiadać na rowery, chłopaki.

Wciąż spowici chwałą ujrzenia wielkiego, niesamowitego George’a Rathbuna, chłopcy wsiadają na rowery, przejeżdżają ulicą Sumner i skręcają w Drugą.

– To była dobra sztuczka, że pan wspomniał o George’u Rathbunie – mówi Bobby Dulac. – Odesłał ich pan szczęśliwych.

– To nie była sztuczka.

– George Rathbun to pański przyjaciel? – pyta Bobby, tak zaskoczony, że próbuje wejść przez drzwi równocześnie z Jackiem.

– Ano – odpowiada Jack. – I czasami potrafi być przykry jak wrzód na tyłku.

Dale i Fred Marshall podnoszą wzrok, gdy Jack wchodzi do gabinetu: Dale z ostrożnym oczekiwaniem, Fred Marshall z wyrazem, który Sawyer z bólem serca rozpoznaje jako nadzieję.

– I? – pyta Dale.

(pióro)

– Miałeś rację. Ukrywali coś, ale niewiele. – Fred Marshall osuwa się na oparcie fotela, pozwalając, by nieco nadziei na przyszłość uleciało z niego jak z przebitej opony. Jack tłumaczy: – Niedługo po tym, gdy chłopcy dotarli do 7Eleven, Ebbie Wexler wysłał T.J., żeby rozejrzał się po ulicy za pańskim synem. Kiedy T.J. dojechał do Queen, zobaczył rower i but, leżące na chodniku. Oczywiście wszyscy pomyśleli o Rybaku. Ebbie Wexler wykombinował, że mogą zostać obwinieni za to, że zostawili Tylera samego, więc wymyślił historyjkę, którą wam opowiedzieli: że to Tyler ich zostawił, a nie odwrotnie.

– Jeśli widziałeś wszystkich czterech chłopców dziesięć po ósmej, to znaczy, że Tyler zniknął zaledwie kilka minut później. Co ten facet robi, zaczają się w żywopłotach?

– Niewykluczone – mówi Jack. – Czy twoi ludzie przeszukali ogrodzenie?

(pióro)

– Gliniarze ze stanówki grzebali w nim, pod nim i wokół niego. Liście i kamienie, tylko tyle znaleźli.

Fred Marshall wali ręką w biurko, jakby wbijał w nie gwóźdź.

– Mój syn zaginął kilka godzin przed tym, nim ktokolwiek zauważył jego rower. Jest już prawie wpół do ósmej! Nie ma go prawie cały dzień! Nie powinienem tu siedzieć, tylko jeździć po mieście i go szukać.

– Wszyscy to robią, Fred – mówi Dale. – Moi ludzie, stanówka, nawet FBI.

– Nie wierzę w nich – mówi Fred. – Nie znaleźli Army Freneau, prawda? Dlaczego mieliby odnaleźć mojego syna? O ile mogę się zorientować, istnieje jedna szansa. – Gdy spogląda na Jacka, jego oczy od emocji żarzą się jak lampy. – Ta szansa to pan, poruczniku. Pomoże mi pan?

Trzecia i najbardziej niepokojąca myśl Jacka, do tej pory nieujawniana i będąca skutkiem wyłącznie policyjnego doświadczenia, sprawia, że mówi:

– Chciałbym porozmawiać z pańską żoną. Jeśli wybiera się pan do niej jutro, to czy mógłby pan *zabrać* mnie ze sobą?

Dale mruży oczy.

– Może powinniśmy to przedyskutować? – pyta.

– Myśli pan, że mogłoby się to na coś przydać?

– Niewykluczone – odpowiada Jack.

– Tak czy inaczej, spotkanie z panem mogłoby się jej przydać – mówi Fred. – Mieszka pan w dolinie Norway, prawda? To po drodze do Arden. Mógłbym pana zabrać około dziewiątej.

– Jack – odzywa się Dale.

– W takim razie widzimy się o dziewiątej – odpowiada Jack, nie zwracając uwagi na emitowane przez jego przyjaciela sygnały mieszane go niepokoju i gniewu oraz cichy głos szepczący: (*pióro*).

– Zdumiewające – mówi Henry Leyden. – Nie wiem, czy ci dziękować, czy gratulować. Myślę, że i to, i to. Myślę, że za późno, żebyś zasłużył sobie na określenie „zajebistego” jak ja, ale myślę, że możesz postarać się o tytuł „matoła”.

– Nie trać głowy. Pojechałem tam tylko dlatego, że nie chciałem, by ojciec chłopca przyjechał do mnie.

– To nie był jedyny powód.

– Masz rację. Czuję się trochę spięty i stłamszony. Miałem ochotę wyrwać się, zmienić scenerię.

– Istnieje jednak jeszcze inny powód.

– Henry, siedzisz po pas w świńskim gównie, wiesz? Chcesz mi wmówić, że działałem z poczucia obywatelskiego obowiązku, honoru, współczucia, altruizmu czy diabli wiedzą

czego, ale tak nie było. Nie mam ochoty tego mówić, ale jestem o wiele mniej dobroduszny i odpowiedzialny, niż ci się wydaje.

– „Po pas w świńskim gównie”? Człowieku, trafiłeś absolutnie w dziesiątkę. Siedzę w świńskim gównie po pas, nie wspominając o tym, że czasami po pierś, a nawet po szyję, przez większość życia.

– Miło, że to przyznajesz.

– Nie zrozum mnie jednak źle. Masz rację, uważam cię za dobrego, przyzwoitego człowieka. Nie, nie uważam: ja to wiem. Jesteś skromny, obdarzony współczuciem, honorem, odpowiedzialnością – bez względu na to, co obecnie o sobie myślisz. Jednak nie o tym mówiłem.

– W takim razie o czym?

– Inny powód, dla którego zgodziłeś się pojechać na posterunek, wiąże się z tym problemem, tą troską, cokolwiek to jest, co cię dręczy przez ostatnich kilka tygodni. Mam wrażenie, jakbyś stale był pogrążony w cieniu.

– Hm – mruczy Jack.

– Ten problem, ta twoja tajemnica, pochłania połowę twojej uwagi, więc jesteś obecny jedynie połową ducha; resztą jesteś gdzieś indziej. Kochaniutki, myślisz, że nie wyczuwam, kiedy jesteś zmartwiony i zatroskany? Może jestem ślepy, ale to akurat widzę.

– Dobra. Załóżmy, że rzeczywiście ostatnio coś zaprzęta moje myśli. Co to może mieć wspólnego z posterunkiem?

– Są dwie możliwości. Albo chciałeś stawić temu czoło, albo przed tym uciekałeś. – Jack nie odpowiada. – Wszystko to sugeruje, że ten problem ma coś wspólnego z twoją służbą w policji. Być może zaczęła cię dręczyć jakaś stara sprawa. Może jakiś psychotyczny zbir, którego wsadziłeś do więzienia, wyszedł na wolność i grozi ci zabójstwem. Albo, do diabła, rzeczywiście gówno wycieka mi uszami, a ty masz raka wątroby i zostały ci trzy miesiące życia.

– Nie mam raka, przynajmniej o ile mi wiadomo, i żaden były skazaniec nie chce mnie zabić. Wszystkie moje stare sprawy, a przynajmniej większość, spią sobie bezpiecznie w archiwach policji w Los Angeles. Istotnie, ostatnio coś mnie trapiło i powinienem spodziewać się, że to wyczujesz. Nie chcę jednak – bo ja wiem? – obciążać cię tym, dopóki sam się nie zorientuję, o co chodzi.

– Powiedz mi jedno, dobrze? Zamierzałeś stawić temu czoło czy przed tym uciekałeś?

– Na to pytanie nie ma odpowiedzi.

– Zobaczmy. Czy jedzenie jest już gotowe? Umieram z głodu, dosłownie. Za wolno gotujesz. Skończyłbym już dziesięć minut temu.

– Pohamuj się – mówi Jack. – Zaraz podaję. Miałem kłopoty z twoją obłądną kuchnią.

– To najbardziej racjonalna kuchnia w Ameryce. Może na świecie.

Wymknąwszy się z posterunku wystarczająco szybko, by uniknąć niepotrzebnej dyskusji z Dale'em, Jack uległ impulsowi i zadzwonił do Henry'ego z ofertą przygotowania wspólnej kolacji. Parę dobrych steków, butelka porządnego wina, smażone grzyby, sporo sałatki. Wszystko, co potrzeba, mógł kupić we French Landing. W przeszłości Jack gotował dla Henry'ego trzy czy cztery razy, a Henry przyrządził pewnego razu oszałamiająco niezwykłą kolację dla Jacka. (Gospodyni zdjęła wszystkie puszki z ziołami i przyprawami z półek, by je wymyć, a potem poustawiała w niewłaściwej kolejności). Co robił we French Landing? Wy tłumaczy, kiedy przyjedzie. O wpół do dziewiątej zaparkował pod przestronnym, białym domem Henry'ego, przywitał się z nim i wniósł do kuchni artykuły spożywcze oraz egzemplarz „Samotni”. Szurnął książkę w dalszy kąt stołu, otworzył wino, nalał po kieliszku dla gospodarza i siebie, po czym zabrał się do gotowania. Musiał spędzić kilka minut na przypomnieniu sobie osobliwości kuchni Henry'ego, w której przedmioty nie były poukładane według podobieństwa – patelnie razem, noże razem, garnki z innymi garnkami – lecz według tego, do przyrządzenia jakiego rodzaju potrawy trzeba było ich użyć. Jeśli Henry miał ochotę na pstrąga z rusztu i trochę świeżych ziemniaków, wystarczyło otworzyć właściwą szafkę, by znaleźć w niej wszystkie niezbędne utensylia. Zostały one poszeregowane w cztery zasadnicze grupy (mięso, drób, ryby i warzywa), z wieloma podgrupami i podpodgrupami w każdej kategorii. System klasyfikacyjny opierał się próbom zrozumienia Jacka, który często musiał zaglądać do całkowicie oddzielnych królestw, nim znajdował szukaną patelnię i szpatułkę. Podczas gdy Jack siekał, wodził wzrokiem po półkach i gotował, Henry rozłożył na stole w kuchni talerze i sztuce, po czym zabrał się do wypytywania stropionego przyjaciela.

Obecnie lekko dosmażone steki znajdują się już na talerzach, wokół nich zostały poustawiane grzyby, a na środku stołu króluje wielka drewniana misa z sałatką. Henry oświadcza, że kolacja jest przepyszna, i upija łyk wina.

– Jeśli nadal nie masz ochoty opowiedzieć mi o swoim zmartwieniu, powiedz przynajmniej, co wydarzyło się na posterunku. Domyślam się, że nie ma prawie żadnych wątpliwości, że zostało porwane kolejne dziecko.

– Stwierdzam z przykrością, że prawie żadnych. To chłopiec, Tyler Marshall. Jego ojciec nazywa się Fred Marshall, pracuje u Goltza. Znasz go?

– Od dawna nie kupowałem kombajnu – mówi Henry.

– Od razu uderzyło mnie, że Fred Marshall jest bardzo porządnym facetem – mówi Jack i przystępuje do bardzo szczegółowej i kompletnej relacji wydarzeń i odkryć tego wieczora – z wyjątkiem jednej rzeczy: swej trzeciej, niewypowiedzianej myśli.

– Naprawdę poprosiłeś o możliwość odwiedzenia żony Marshalla? Na oddziale psychiatrycznym French County Luteran?

– Naprawdę – odpowiada Jack. – Jadę tam jutro.

– Nie pojmuję. – Henry je, polując nożem najedzenie na talerzu, przyszpilając je widelcem i odcinając wążutkie paski steku. – Dlaczego chcesz spotkać się z matką?

– Bo myślę, że w taki czy inny sposób jest zaangażowana w porwanie – mówi Jack.

– Och, daj spokój. Matka chłopca?

– Nie mówię, że jest Rybakiem, bo oczywiście nim nie jest. Jednakże według jej męża zachowanie Judy Marshall zaczęło się zmieniać jeszcze przed zniknięciem Amy St. Pierre. Było z nią coraz gorzej w miarę, jak trwały morderstwa, a w dniu zniknięcia syna całkowicie postradała rozum. Mąż musiał załatwić przyjęcie do szpitala bez jej zgody.

– Nie powiedziałaśbyś, że miała dość przekonujący powód, by postradać zmysły?

– Odbiło jej, zanim ktokolwiek powiedział jej o synu. Jej mąż myśli, że ma zdolności telepatyczne! Powiedział, że widziała te morderstwa z wyprzedzeniem, że zdawała sobie sprawę ze zbliżania się Rybaka. I odgadła, że jej syn zniknął, kiedy tylko znaleziono rower; gdy Fred Marshall przyjechał do domu, zdzierała tapety ze ścian i wygadywała nonsensy. Zupełnie nad sobą nie panowała.

– Słyszy się o wielu wypadkach, kiedy matka nagle zdaje sobie sprawę, że jej dziecku coś grozi czy coś mu się stało. Więż psychiczna. Wiem, że brzmi to jak babskie gadanie, ale chyba coś takiego się zdarza.

– Nie wierzę w telepatię ani w zbiegi okoliczności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Judy Marshall coś wie, i cokolwiek to jest, musi być niesamowite. Fred tego nie dostrzega – jest o wiele za blisko niej – a Dale również nie potrafi tego dostrzec. Powinieneś słyszeć, jak o niej mówił.

– Co takiego niby wie?

– Myślę, że być może zna sprawcę. Myślę, że to ktoś do niej podobny. Kimkolwiek jest, Judy Marshall zna jego nazwisko i to doprowadza ją do szaleństwa.

Henry marszczy czoło i przy użyciu swojej godnej liszki techniki nadziewa na widelec kolejny kawałek steku.

– Zamierzasz więc odwiedzić ją w szpitalu, by się przed tobą otworzyła – mówi wreszcie.

– Tak. W zasadzie tak.

Zapada zagadkowa cisza. Henry spokojnie odcina porcje mięsa, przeżuwa je i popija cabernetem.

– Jak tam twój występ konferansjera? Udało się?

– Pięknie jak malowanie. Wszyscy uroczy staruszkowie hasali na parkiecie, nawet ci w wózkach inwalidzkich. Jeden facet trochę załazł mi za skórę. Zachował się chamsko wobec pani imieniem Alice i prosił, żebym zagrał „Lady Magowan’s Nightmare”, a taki utwór nie istnieje, jak pewnie wiesz...

– To „Lady Magowan’s Dream” Woody’ego Hermana.

– Dobry chłopiec. Chodzi o to, że miał obrzydliwy głos. Brzmiał jak z piekła rodem! Tak czy inaczej, nie miałem płyty Woody’ego Hermana, więc poprosił o „I Can’t Get Started” Bunny Berigana. Tak się złożyło, że to była ulubiona płyta Rhody. Zważywszy na moje idiotyczne omamy słuchowe, nieźle mną to wstrząsnęło. Sam nie wiem dlaczego.

Przez kilka chwil obydwaj koncentrują się na jedzeniu.

– A jak myślisz, Henry? – pyta Jack.

Henry przekrzywia głowę, przeprowadzając wewnętrzny rozrachunek. Marszczy czoło i odkłada widelec. Wewnętrzny głos nadal domaga się jego uwagi. Poprawia okulary i zwraca się do Jacka:

– Wciąż myślisz jak gliniarz.

Jack stroszy się, gdyż podejrzewa, iż nie jest to komplement.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Policjanci widzą inaczej niż ludzie, którzy nimi nie są. Kiedy gliniarz patrzy na kogoś, zastanawia się, czego ten ktoś jest winny. Ewentualna niewinność nawet nie przychodzi mu do głowy. Dla wysłużonego gliniarza, który ma za sobą co najmniej dziesięć lat służby – wszyscy niepolicjanci są winni, tylko większość nie została jeszcze złapana.

Henry opisał postawę dziesiątek ludzi, z którymi niegdyś współpracował Jack.

– Skąd o tym wiesz, Henry?

– Widzę to w ich oczach – odpowiada Henry. – Tak właśnie policjanci podchodzą do świata. Ty też jesteś policjantem.

– Jestem glinicjantem – wymyka się Jackowi. Z zaskoczenia się rumieni. – Przepraszam, ostatnio to głupie określenie kołatało mi się po głowie.

– Może posprzątam naczynia i zaczniemy „Samotnie”?

Po ułożeniu nielicznych naczyń obok zlewu Jack bierze książkę z końca stołu i przechodzi za Henrym do salonu, przystając po drodze i jak zawsze zaglądając do studia przyjaciela. Drzwi z wielką szklaną taflą prowadzą do niewielkiego dźwiękoszczelnego pokoju, który wypełnia sprzęt elektroniczny. Mikrofon i gramofon wróciły z Domu Maxtona na stałe miejsce obok grubo wyściełanego, obrotowego fotela Henry’ego. Ma też pod ręką zmieniacz płyt kompaktowych i przetwornik analogowocyfrowy tej samej firmy, a stół mikserski i olbrzymi magnetofon szpulowy znajdują się pod drugim większym oknem, które wychodzi na kuchnię. Kiedy Henry planował urządzenie studia, Rhoda poprosiła go o uwzględnienie okien; powiedziała, że ma ochotę oglądać go przy pracy. Nigdzie nie widać ani jednego kabla. Całe studio charakteryzuje się zdyscyplinowanym porządkiem kajuty kapitańskiej.

– Wygląda na to, że zamierzasz wieczorem popracować – mówi Jack.

– Chcę przygotować do wysłania dwie audycje Henry’ego Shake’a, pracuję też nad czymś w rodzaju urodzinowego salutu na cześć Lestera Younga i Charliego Parkera.

– Urodzili się tego samego dnia?

– Prawie. Dwudziestego siódmego i dwudziestego dziewiątego kwietnia. Wiesz, nie orientuję się dokładnie, czy zależy ci na tym, żeby zostawić zapalone światło.

– Włączmy je.

Dlatego też Henry Leyden włącza dwie lampy przy oknie, a Jack Sawyer podchodzi do przesadnie grubo wyściełanego fotela przy kominku, zapala wysoką lampę przy jego zaokrąglonej poręczy i patrzy, jak jego przyjaciel nieomylnie zmierza do włącznika koło drzwi wejściowych, a następnie zawraca do swojej ulubionej sofy. Wciska obydwie przełączniki i wreszcie sadowi się na sofie, wyciągając na niej jedną nogę. Nierażące światło wypełnia pokój i skupia się w sferę większej jasności wokół fotela Jacka.

– Karol Dickens, „Samotnia” – mówi. Chrząka. – No dobrze, Henry, ruszamy na wyścigi. „Londyn. Jesienna sesja dobiegła końca” – czyta i wkracza w świat stworzony z sadzy i błota. Zabłocone psy, zabłocone konie, zabłoceni ludzie, dzień bez światła. Wkrótce dociera do drugiego akapitu: – „Wszędzie mgła. Mgła w górze rzeki toczącej wody pośród zielonych łąk i wysepek. Mgła w dole rzeki, która omywa tam nadbrzeża portowe, przycumowane okręty i wszelkiego rodzaju śmiecie wyrzucane przez wielkie i brudne miasto. Mgła nad bagnami Essexu i pośród pagórków Kentu. Mgła wpełza do kambuzów barek węglowych, zalega w stoczniach, czepia się olinowania żaglowców, spływa kroplami z burt kutrów i pomniejszych łodzi”*

Głos więźnie Jackowi w gardle; przez chwilę traci koncentrację. Czytane zdania na nieszczęście przywodzą mu na myśl French Landing, ulice Sumner i Chase, światła w oknie Oak Tree Inn, czyhającą na Nailhouse Row Pierońską Piątkę, strome zejście do rzeki, ulicę Queen i żywopłot przy Domu Maxtona, male, ustawione jak na szachownicy domki – wszystko zdławione niewidzialną mgłą, która pochłania tablicę „WSTĘP WZBRONIONY” przy drodze okręgowej, połyka Łachę i wślizguje się w wygłodzone doliny w poszukiwaniu pożywienia.

– Przepraszam – mówi. – Zamyśliłem się...

– Ja też – odpowiada Henry. – Kontynuuj, proszę.

Jack koncentruje się na stronie i kontynuuje lekturę „Samotni”. Całkowicie nie zdaje sobie sprawy z istnienia czarnego domu, do którego pewnego dnia będzie musiał wejść, widzi tylko ulotny obraz tablicy z zakazem wstępu. Okna ciemnieją, a blask lamp staje się cieplejszy. Sprawa Jarndyce przeciwko Jarndyce wlecz się przez sądy, wskutek przeszkód, stwarzanych przez adwokatów Chizzle’a, Mizzle’a i Drizzle’a; lady Dedlock porzuca sir Leicester Dedlocka w wielkiej posiadłości z pleśniejącą kaplicą, leniwie toczącą się rzeką i „Chodnikiem Widma”; Estera Summerson zaczyna szczebiotać w pierwszej osobie. Nasi przyjaciele dochodzą do wniosku, że jeśli mają znieść więcej szczebiotania Estery, muszą urządzić małą libację. Henry podnosi się z sofy i wraca z dwoma niskimi, pękatymi kieliszkami, napełnionymi whisky Balvenie Doublewood oraz szklanką zwykłej wody dla

lektora. Parę łyków, kilka pomruków aprobaty i Jack wraca do czytania. Estera, Estera, Estera – opowieść nabiera wiatru w żagle i ciągnie ze sobą zarówno słuchacza, jak i lektora.

Dotarłszy do punktu odpowiedniego na przerwanie lektury, Jack zamyka książkę i ziewa. Henry wstaje i się przeciąga. Podchodzą do drzwi; Henry wychodzi za Jackiem pod niezmiernie nocne niebo, udekorowane rozmigotanymi gwiazdami.

– Powiedz mi jedno – prosi Henry.

– Strzelaj.

– Kiedy byłeś na posterunku, czy naprawdę czułeś się jak gliniarz? Czy też jak ktoś, kto go tylko udaje?

– W gruncie rzeczy było to nawet zaskakujące – odpowiada Jack. – Ani spostrzegłem, że znów poczułem się gliną.

– Dobrze.

– Dlaczego dobrze?

– Bo to *oznacza*, że zmierzasz ku temu zagadkowemu sekretowi, a nie przed nim uciekasz.

Jack potrząsa głową i uśmiecha się, rozmyślnie nie dając Henry’emu satysfakcji z odpowiedzi, a następnie wsiada do swojego samochodu i się żegna. Silnik parska i się krztusi, zapalają się przednie światła i Jack rusza w drogę do domu.

Rozdział dziewiąty

Niewiele godzin później Jack stwierdza, że idzie środkową aleją opustoszałego wesołego miasteczka pod szarym jesiennym niebem. Po obu stronach ma zabite deskami ajencje: kiosk z hot dogami Fenway Franks, strzelnicę Annie Oakley, drugą, PitchTilUWin. Padał deszcz i zanosi się na kolejny; dzięki wilgoci powietrze stało się rześkie. Niedaleko słychać budzący poczucie osamotnienia łoskot przyboju na pustej, łupkowej plaży. Bliżej rozlega się dziarski dźwięk gry kostką na gitarze. Dziwne, lecz muzyka napawa Jacka trwogą. Nie powinien tu być. To stare miejsce, niebezpieczne. Mija zabity deskami tor. Tablica na froncie głosi: **SPEEDY OPOPANAKS BĘDZIE ZNÓW OTWARTY W DZIEŃ PAMIĘCI 1982 ROKU – DO ZOBACZYSKA!**

Opopanaks, myśli Jack, tyle że nie jest już Jackiem; teraz jest Jackym i ucieka wraz z matką. Przed kim? Oczywiście przed Sloatem. Przed stale coś motającym wujem Morganem.

Speedy, myśli Jack, a ciepły, odrobinę zamazany głos zaczyna śpiewać, jakby zareagował na telepatyczny znak: „Gdy rudy, rudy, rudy rudzik pohophophopsa i wróci, nie trzeba będzie płakać, bo swą słodką piosnkę zanuci...”.

Nie, myśli Jack. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę słyszeć twojej słodkiej piosnki. I tak nie możesz tu być, bo nie żyjesz. Zginąłeś na mołu w Santa Monica. Stary, łysy, martwy Murzyn w cieniu nieruchomych koni karuzeli.

Och, wcale nie. Kiedy odżywa stara gliniarska logika i zagnieżdża się jak nowotwór, nie potrzeba wiele, żeby zorientować się, że to wcale nie Santa Monica – jest zbyt zimno, a wszystko jest zbyt stare. To kraina przeszłości, gdzie Jacky i Królowa Filmów Klasy B zwiiali z Kalifornii jak uciekinierzy, w których się od tej pory zamienili. I nie przestali uciekać, dopóki nie dotarli na drugie wybrzeże, do miejsca, dokąd Lily Cavanaugh Sawyer...

Nie, nie myślę o tym, nigdy o tym nie myślę

...przyjechała, żeby umrzeć.

„Obudź się! Obudź się śpiochu!”.

Głos starego przyjaciela.

Przyjaciela, niech mnie w dupę pocałuje. To on skierował mnie na szlak prób, to on stanął między mną i Richardem, moim prawdziwym przyjacielem. To przez niego mało nie zginąłem, mało przez niego nie oszalałem.

„*Obudź się, obudź się, wstawaj z łóżka!*”.

„*Obućsie, obućsie, obućsie. Czas stawić czoło straszemu opopanaksowi. Czas stać się tym, wcale nie takim słodkim, kim byłeś*”.

– Nie – szepcze Jacky.

Aleja dobiega końca. Przed nim jest karuzela, taka jak na molu w Santa Monica i nieco podobna do tej, którą zapamiętał z.... no, z dawnych czasów. Innymi słowy to hybryda, specjalność snu, nieprzynależąca ani tu, ani tam. Nie sposób jednak pomylić człowieka, który siedzi z gitarą na kolanach pod jednym ze znieruchomiiałych, stojących dęba koni. Jacky wszędzie poznałby tę twarz; cała dawna miłość wzbiera w jego sercu. Walczy z tym, ale ten bój niewielu ludzi wygrywa, a już szczególnie nie ci, których cofnięto w czasie do wieku dwunastu lat.

– Speedy! – woła.

Starzec spogląda na niego i na jego brązowej twarzy pojawia się uśmiech.

– Jack Wędrowniczek! – mówi. – Tak bardzo mi cię brakowało, synu!

– Mnie też cię brakowało – odpowiada Jack. – Ale nigdzie już nie podróżuję. Osiedłem w Wisconsin. To... – Wskazuje na cudownie przywrócone chłopięce ciało, odziane w dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami. – To tylko sen.

– Może tak, może nie. Tak czy inaczej, czeka cię jeszcze troszkę wędrowania, Jack. Mówiłem ci to od jakiegoś czasu.

– O co ci chodzi?

Uśmiech Speedy’ego jest przebiegły w środku, zdesperowany po brzegach.

– Nie rób ze mnie głupca, Jack. Przysłałem ci piórka, może nie? Przysłałem ci jajko rudzika, może nie? Przysłałem ci, i to niejedno.

– Dlaczego ludzie nie mogą zostawić mnie w spokoju? – pyta Jack. Jego głos niebezpiecznie przypomina skamlenie. Nie jest to miły dźwięk. – Ty... Henry... Dale...

– Daj już z tym spokój – odpowiada Speedy, robiąc się surowszy. – Nie mam już czasu, żeby cię prosić po dobremu. Gra zaczęła być ostra. Może nie?

– Speedy...

– Masz swoją robotę, a ja swoją. Zresztą to ta sama robota. Nie skamlaj mi tu, Jack, i nie zmuszaj mnie, żebym dłużej się za tobą uganiał. Jesteś glinicjantem, tak jak zawsze.

– Jestem na emeryturze...

– Sram na twoją emeryturę! Że facet zabijał dzieciaki, to już wystarczająco źle. Dzieciaki, które dopiero może zabić, jak mu się na to pozwoli, to gorsza sprawa. Ale ten, którego teraz dostał... – Speedy pochyla się naprzód; ciemne oczy goreją w jego brunatnej twarzy. – Tego chłopaka trzeba odzyskać, i to szybko. Jeżeli nie będziesz mógł zabrać go z powrotem, to

będziesz musiał go zabić, chociaż nawet nie mam ochoty o tym myśleć. Bo to Niszczyciel. Potężny. Może potrzeba tylko jeszcze jednego, żeby wszystko się zawaliło.

– Komu potrzeba? – pyta Jack.

– Karmazynowemu Królowi.

– A cóż takiego chce zburzyć ten Karmazynowy Król?

Speedy patrzy na niego przez chwilę, po czym zamiast odpowiedzi, zaczyna grać na nowo zadzierzystą melodię.

– *There'll be no more sobbin' when he starts throbbin' his old sweet song...*

– Nie mogę, Speedy!

Melodia kończy się dysharmonijnym, zgrzytliwym akordem. Speedy spogląda na dwunastoletniego Jacka Sawyera z chłodem, przenikającym chłopca po ukryte serce dorosłego mężczyzny. Gdy Speedy Parker odzywa się na nowo, nasila się jego lekki południowy akcent. Głos starca wręcz rozplywa się w pogardzie.

– Bierz się do roboty, słyszysz mnie? Przestań się mazgać i migać. Bierz odwagę stamtąd, gdzie ją zostawiłeś, i bierz się do roboty!

Jack się cofa. Ciężka ręka łąduje mu na jego ramieniu, a on myśli: To wuj Morgan. On, a może Sunlight Gardener. Jest rok 1981, a ja muszę to wszystko przejść od początku...

Jest to jednak chłopięca myśl, a sen śni mężczyzna. Jack Sawyer, którym jest teraz, odpycha od siebie nakłaniającą do kapitulacji dziecięcą rozpacz. Nie, wcale nie. Zaprzeczam temu. Odepchnąłem od siebie te twarze i miejsca. Była to ciężka robota i nie pozwolę jej zniszczyć kilku nierealnym piórkom, kilku nierealnym jajkom i jednemu złemu snowi. Znajdź sobie innego chłopaka, Speedy. Ten już dorósł.

Obraca się, gotów do walki, lecz nikogo tam nie ma. Za nim na chodniku leży na boku jak zdechły kuc – dziecięcy rower. Tablica rejestracyjna z tyłu głosi: BIG MAC. Wokół leżą rozrzucone lśniące wronie pióra. Jack zaś słyszy inny głos, zimny i łamiący się, ohydny i nieomylnie zły. Wie, że to głos stwora, który położył mu rękę na ramieniu.

– *Zgadza się, utrzyjdupo. Trzymaj się od tego z daleka. Jak mi podskoczysz, to będziesz zbierał swoje flaki od Racine do La Riviere.*

W chodniku z desek tuż przed rowerem otwiera się wirujący lej. Rozszerza się jak przestraszone oko. Staje się coraz większy, a Jack weń nurkuje. To droga z powrotem. Droga ucieczki. Pogardliwy głos go goni:

– *Zgadza się, dupo wołowa! – mówi. – Uciekaj! Uciekaj przed abbalahem! Uciekaj przed Królem! Uciekaj, jeśli ci miłe twoje zaszrane życie!*

Głos przechodzi płynnie w śmiech. Właśnie dźwięk tego szaleńczego śmiechu towarzyszy Jackowi w ciemności między światami.

Kilka godzin później Jack stoi nagi przed oknem sypialni, nieuważnie drapiąc się w tyłek i patrząc, jak niebo jaśnieje na wschodzie. Nie śpi od czwartej. Ze snu przypomina sobie

niewiele (jego mechanizmy obronne się paczą, lecz nawet teraz jeszcze nie popękały), mimo to zostało mu dość wspomnień, by być pewnym jednego: zwłoki na molu w Santa Monica tak bardzo wytrąciły go z równowagi, że rzucił pracę – bo przypominały mu kogoś znajomego.

– Wszystko to się nie zdarzyło – mówi nadchodzącemu dniowi fałszywie cierpliwym głosem. – Miałem jakieś przedpokwitaniowe załamanie nerwowe, wywołane stresem. Mojej matce wydawało się, że ma raka, wzięła mnie za fraki i zawlokła aż na Wschodnie Wybrzeże. Aż do New Hampshire. Myślała, że wraca do Miejsca Wielkiego Szczęścia, żeby umrzeć. Okazało się, że to głównie wapory, jakiś cholerny kryzys aktorski wieku średniego, ale jak dzieciak może się na tym znać? Żyłem w stresie. Miałem sny. – Jack wzdycha. – Śniło mi się, że uratowałem matce życie.

Dzwoni telefon za jego plecami; dźwięk brzmi przenikliwie i drażniąco w pograżonym w cieniu pokoju.

Jack Sawyer krzyczy.

– Obudziłem pana – mówi Fred Marshall.

Jack natychmiast się orientuje, że ten człowiek nie spał przez całą noc, kołacząc się po domu bez syna i żony. Może oglądał albumy z fotografiami przy włączonym telewizorze. Wiedział, że wciera sól w rany, lecz nie mógł się powstrzymać.

– Nie – odpowiada Jack. – Prawdę mówiąc, ja...

Urywa. Telefon jest obok łóżka, a obok aparatu – bloczek kartek. Na pierwszej z nich znajdują się zapiski. Musiał je zrobić Jack, bo nikogo innego tu nie ma – ellekurwamętarne, drogi Watsonie. Jednak to nie jego pismo. W którymś punkcie snu zrobił tę notatkę pismem swojej zmarłej matki.

Wieża. Wiązki. Jeśli Wiązki pękną, Jacky, jeśli Wiązki pękną, a Wieża padnie

Nic więcej nie ma. Jest tylko biedny stary Fred Marshall, który przekonał się, jak szybko wszystko może się popsuć w najpogodniejszym życiu na Środkowym Zachodzie. Usta Jacka usiłują wypowiedzieć kilka rzeczy, podczas gdy jego umysł stara się uporać z fałszerstwem podświadomości – kartką przy telefonie. Prawdopodobnie nie jest to zbyt sensowna metoda postępowania, ale nie przeszkadza Fredowi, który mamrocze dalej, nie zwracając sobie głowy pauzami i zmianami intonacji, zwykle używanymi przez ludzi do zaznaczenia końca zdania czy zmiany wątku. Fred po prostu zwierza się, rozładowuje emocje, i nawet mimo swego zdenerwowania Jack zdaje sobie sprawę, że Fred Marshall z Robin Hood Lane 16, uroczego domku w stylu Cape Cod, zbliża się do kresu wytrzymałości. Jeśli wkrótce nie nastąpi dla niego zmiana obrotu wydarzeń, nie będzie musiał odwiedzać swojej żony na oddziale D szpitala French County Lutheran; będzie z nią leżał na jednej sali.

Fred mówi właśnie o proponowanej wizycie u Judy, orientuje się Jack. Rezygnuje z prób przerwania mu i po prostu słucha, równocześnie wpatrując się ze zmarszczonym czołem w zapisaną przez siebie kartkę. Jakież znowu wiązki? Światła? Chrustu? Związki? Niebezpieczne związki?

– ...wiem że powiedziałem że przyjadę po pana o dziewiątej ale doktor Spiegelman to jej lekarz nazywa się Spiegelman powiedział że miała bardzo złą noc bardzo krzyczała wrzeszczała a potem próbowała zdzierać tapetę i ją jeść może miała jakiś napad więc próbują podać jej nowy lek chyba powiedział panizen lub patizon nie zapisałem sobie Spiegelman zadzwonił do mnie kwadrans temu zastanawiam się czy ci ludzie w ogóle śpią i powiedział że powinniśmy móc się z nią zobaczyć około czwartej myśli że do czwartej jej stan będzie bardziej ustabilizowany więc będziemy mogli ją wtedy zobaczyć mógłbym przyjechać po pana o trzeciej albo może pan...

– O trzeciej? Bardzo dobrze – mówi cicho Jack.

– ...inne sprawy inne plany zrozumieję ale mogę przyjechać po pana jeśli nic pan nie ma głównie chodzi o to że nie chcę jechać sam...

– Będę na pana czekał – mówi Jack. – Pojedziemy moim pikapem.

– ...pomyślałem że może będę miał wiadomość od Tylera czy tego kto go porwał na przykład żądanie okupu ale nikt nie dzwonił tylko Spiegelman to lekarz tam w...

– Znajdę pańskiego chłopca, Fred.

Jack jest zdumiony i przerażony tym śmiałym zapewnieniem i samobójczą pewnością, jaką słyszy w swoim głosie, ale przynajmniej na jedno się ona przydaje: kończy potok słów Freda Marshalla. Na drugim końcu linii *zapada* błogosławiona cisza.

– Och, proszę pana – mówi wreszcie Fred drżącym szeptem. – Gdybym tylko mógł w to uwierzyć.

– Chcę, żeby pan spróbował – odpowiada Jack. – Może przy okazji uda się nam pomóc odnaleźć rozum pańskiej żonie.

Może i syn, i rozum są w tym samym miejscu, myśli, ale tego nie mówi.

Z drugiego końca linii dobiegają płynne odgłosy. Fred zaczyna płakać.

– Fred.

– Tak?

– Przyjedź do mnie o trzeciej.

– Tak.

Potężne siąknięcie nosem; żaloszny, prawie całkowicie zduszony szloch. Jack w pewnym stopniu domyśla się, jak pusty musi się wydawać w tej chwili Fredowi Marshallowi własny dom, i nawet to częściowe zrozumienie jest wystarczająco smutne.

– Do mojego domu w dolinie Norway. Minie pan sklep „U Roya”, przejedzie przez Tamarack Creek...

– Wiem, gdzie to jest.

W głosie Freda pojawiła się ulotna nuta zniecierpliwienia. Jack jest z niej bardzo zadowolony.

– Dobrze. Do zobaczenia.

– Pewnie.

W tonie Freda Jack słyszy łamiący mu serce cień dawnej pogody sprzedawcy.

– O której?

– Trzeciej? – Po czym Fred powtarza ze śladową pewnością siebie: – O trzeciej.

– *Zgadza się.* Pojedziemy moim samochodem. Może w drodze powrotnej przekąsimy jakąś kolację w „Gertie’s Kitchen”. Do widzenia, Fred.

– Do widzenia panu. I dziękuję.

Jack odkłada słuchawkę. Patrzy jeszcze przez chwilę na odtwarzane z pamięci pismo jego matki i zastanawia się, jak można by coś takiego nazwać w glińskiarskim żargonie. Autofalszerstwo? Parska, po czym mnie kartkę i *zaczyna się ubierać.* Wypije szklankę soku, potem pójdzie na mniej więcej godzinny spacer. Wszystkie złe sny wywietrzeją mu z głowy. A przy okazji wywietrzeje okropny, zawodzący głos Freda Marshalla. Potem weźmie prysznic i albo zadzwoni, albo nie, do Dale’a Gilbertsona z pytaniem, czy są jakieś postępy w dochodzeniu. Jeśli naprawdę ma się w nie włączyć, będzie musiał przerzucić mnóstwo papierów... będzie chciał sam porozmawiać z rodzicami... rzucić okiem na dom starców, spod którego zniknął chłopak Marshallów...

Z głową pełną takich myśli (w istocie przyjemnych, chociaż zaprzeczyłby stanowczo, gdyby mu to zasugerowano), Jack prawie potyka się o pudełko, ustawione na wycieraczce pod jego drzwiami. Tu właśnie listonosz Buck Evitz zostawia paczki, gdy ma jakieś, ale nie minęło jeszcze wpół do siódmej, a Buck ruszy w objazd swoją niebieską furgonetką dopiero za trzy godziny.

Jack schyla się i ostrożnie podnosi paczkę. Ma rozmiary pudełka po butach, jest owinięta w brązowy papier, nierówno poprzącinany i przytwierdzony nie taśmą, lecz wielkimi zaciekami czerwonego laku. Oprócz tego paczkę pokrywają skomplikowane pętle białego sznurka, zakończonych dziecięcą, wielką kokardą. W górnym rogu jest zbieranina *znaczków*, dziesięciu czy dwunastu, przedstawiających rozmaite ptaki (ale nie rudziki, zauważa ze zrozumiałą ulgą Jack). W znaczkach tych jest coś dziwnego, chociaż Jack z początku nie orientuje się, co takiego. Zbyt koncentruje się na adresie, który jest wyjątkowo nie w porządku. Nie ma numeru domu, brakuje numeru przesyłki, nie ma kodu pocztowego. Nie ma nawet nazwiska. Adres tworzy pojedyncze słowo, nabazgrane wielkimi literami:

JACKY

Patrząc na nierówne litery, Jack wyobraża sobie zaciśniętą dłoń, dzierzącą marker, zmrużone oczy i język, sterczący z kąta ust jakiegoś szaleńca. Serce zaczęło bić mu dwa razy szybciej.

– Nie podoba mi się to – szepcze na wydechu. – Bardzo mi się nie podoba.

Oczywiście, ma doskonałe powody – powody glinicjanta – by tak było. Rzeczywiście jest to pudełko po butach; Jack wyczuwa brzeg pokrywki przez brązowy papier, a jak wiadomo, świry wsadzają bomby do pudełek po butach. Musiałby zwariować, żeby je otworzyć, lecz mimo to dociera do niego, że jednak wszystko to robi. Jeśli wyleci w powietrze pod same niebiosa, przynajmniej zdoła się wykręcić od śledztwa w sprawie Rybaka.

Jack podnosi paczkę i nasłuchuje, czy nic w środku nie tyka, w pełni zdając sobie sprawę, że tykające bomby są równie przestarzałe jak komiksy z Betty Boop. Nic nie słyszy, ale widzi, co jest nie w porządku ze znaczkami – które nimi nie są. Ktoś starannie wyciął przednie strony kawiarnianych pakiecików z cukrem i nakleił je na owinięte papierem pudełko po butach. Jackowi wymyka się pomruk pozbawionego humoru śmiechu. Zgadza się, przysłał mu to jakiś czubek. Jakiś świr z zakładu zamkniętego, mający łatwiejszy dostęp do pakiecików z cukrem niż znaczków. Ale jak dostarczył paczkę tutaj? Kto ją zostawił (z nieostemplowanymi nibyznaczkarni), podczas gdy Jack był pogrążony w budzących zamęt snach? I kto w tej części świata mógł wiedzieć, że wołano na niego: Jacky? Dni Jacky'ego dawno się skończyły.

Wcale nie, Jacku Wędrowniczku, szepcze głos. Wcale, wcale. Czas przestać się mazać i pohophopsać, chłopcze. Zaczynaj od zajrzenia, co jest w tym pudełku.

Kategorycznie ignorując głos swego umysłu, który podpowiada mu, że postępuje idiotycznie, Jack rozrywa sznurek i podważa paznokciem nierówne plastry laku. Zresztą kto w dzisiejszych czasach używa w ogóle laku? Odkłada papier pakowy. Coś do zabawy dla chłopców z kryminalistyki – może.

Nie jest to pudełko po butach, lecz po tenisówkach. Ściśle mówiąc, marki New Balance. Rozmiar 5. Dziecięcy. Na ten widok serce Jacka zaczyna bić w trzykroć szybszym tempie. Czuje występujące mu na czoło krople zimnego potu. Zaciskają mu się równocześnie gardło i zwieracz. To również znajome. Tak właśnie glinicjanci się repetują, gotują na widok czegoś strasznego. A to na pewno będzie straszne. Jack nie ma co do tego żadnych wątpliwości, jak również co do tego, od kogo pochodzi paczka.

Mam ostatnią szansę się wycofać, myśli. Potem będzie już tylko: wszyscy na pokład i kurs na... gdziekolwiek.

Nawet to jest kłamstwem, zdaje sobie sprawę. Do południa Dale będzie wypatrywał go na posterunku. Fred Marshall przyjeżdża po Jacka o trzeciej i jadą w odwiedzinach do Szalonej Gospodyni Domowej z Robin Hood Lane. Punkt, kiedy jeszcze można się było wycofać, dawno już został z tyłu. Jack nie jest pewny, jak do tego doszło, ale wygląda na to, że znowu

jest w kieracie. Gdyby jeszcze Henry Leyden miał czelność mu tego pogratulować, pewnie skopałby mu jego ślepą dupę.

Głos ze snu szepcze do Jacka spod desek podłogi świadomości, jakby to był powiew zepsutego powietrza – *Będziesz zbierał swoje flaki od Radne do La Riviere* — lecz martwi go to mniej niż szaleństwo, które towarzyszy znaczkom z pakiecików po cukrze i mozolnie wypisanym literom starego zawołania. Jack radził już sobie z wariatami, nie wspominając o tym, że miał swoją działkę grózb.

Siada na schodkach i kładzie pudełko po tenisówkach na udach. Za nim, na polu na północ, wszystko jest jeszcze szare i nieruchome. Bunny Boettcher, syn Tom Toma, przyjechał na drugi pokos zaledwie tydzień temu, więc rzadka mgiełka wisi nad sięgającą po kostki szczeciną trawy. Niebo nad łąką dopiero zaczęło się rozjaśniać. Ani jedna chmura nie kała jeszcze jego spokojnej bezbarwności. Gdzieś śpiewa ptak. Jack wciąga głęboko powietrze i myśli: Jeśli tutaj skończę, mógłbym gorzej wybrać. O wiele gorzej.

Następnie bardzo ostrożnie zdejmuje pokrywkę z pudełka i odkładają na bok. Nic nie wybucha. Wygląda natomiast na to, że ktoś wypełnił pudełko po tenisówkach New Balance nocą. Jack uświadamia sobie po chwili, że wypchano je czarnymi wronimi piórami, i jego ramiona pokrywają się szorstką gęsią skórą.

Sięga do piór i waha się. Ma taką ochotę ich dotknąć, jak częściowo rozłożonego trupa ofiary zarazy, lecz pod piórami coś jest. Jack to widzi. Powinien pójść po rękawiczki? Maje w szafie w holu...

– Pierdolić rękawiczki – mówi Jack.

Wytrząsa zawartość pudełka na leżący obok niego na ganku brązowy papier pakowy. Rozpętuje się powódź piór, wirujących odrobinę nawet w idealnie nieruchomym porannym powietrzu. Moment potem rozlega się głucho dudnienie, gdy na deskach ląduje to, co zapakowano w pióra. Dopiero chwilę później woń dociera do nozdrzy Jacka – odór przypominający gnijącą kielbasę.

Ktoś dostarczył zakrwawioną dziecięcą tenisówkę *chez Sawyer*, na North Valley Road. Coś ją solidnie pogryzło, a jeszcze solidniej to, co w niej tkwi. Jack widzi białą, bawełnianą wyściółkę – na pewno skarpetkę. Wewnątrz skarpetki – strzępy skóry. Jest to dziecięca tenisówka New Balance z dziecięcą stopą w środku, szkaradnie pogryzioną przez jakieś zwierzę.

On to przysłał, myśli Jack. Rybak.

By z niego zaszydzić. Powiedzieć mu: „Jeśli chcesz, to wskakuj. Woda jest ciepła, Jacky, bardzo ciepła”.

Jack wstaje. Serce mu łomocze, uderzenia następują zbyt szybko po sobie, by je zliczyć. Krople potu na jego czole pęcznieją i ściekają po twarzy jak lzy, zdrętwiały mu wargi, ręce i stopy... mimo to mówi sobie, że jest spokojny. Że widział gorsze rzeczy, o wiele gorsze, wciśnięte pod przypory mostów i filary wiaduktów na autostradzie w Los Angeles. W 1997

roku wraz ze swoim partnerem, Kirbym Tessierem, Jack znalazł pojedyncze jądro na zbiorniku w toalecie w bibliotece publicznej Culver City, przypominało zastarzałe, ugotowane na miękko jajko. Mówi więc sobie, że jest spokojny.

Wstaje i schodzi z ganku. Mija maskę swojego dodge'a rama w kolorze burgunda ze światowej klasy systemem nagłaśniającym; przechodzi obok karmnika dla ptaków, który zmontował z Dale'em na skraju północnego pola miesiąc czy dwa po wprowadzeniu się do najdoskonalszego domu we wszechświecie. Mówi sobie, że jest spokojny. Mówi, że to jedynie materiał dowodowy. Jeszcze jeden zwój katowskiej pętli, jaką Rybak w końcu założył sobie na szyję. Mówi, by nie myśleć o tym jako części dziecięcego ciała, części dziewczynki imieniem Irma, lecz jako dowodzie rzeczowym A. Czuje, jak rosa moczy mu skarpetki i brzegi nogawek; wie, że każdy dłuższy spacer po odrastającej trawie zrujnuje jego pantofle od Gucciego za pięćset dolarów. I co z tego? Jest bogaty tak bardzo, że przestaje to być nawet wulgarne; jeśli mu się zechce, może mieć tyle butów, ile Imelda Marcos. Ważne jest, żeby zachować spokój. Ktoś przysłał mu pudełko po butach z ludzką stopą w środku, w mroku nocy położył ją na ganku, ale on jest spokojny. To tylko dowód rzeczowy. A on? Jest gliniarzem. Dowody rzeczowe to jego pożywienie i picie. Musi jedynie złapać trochę powietrza, oczyścić nos z zapachu gnijącego salcesonu, który buchnął z pudełka...

Jack wydaje zduszony, gulgoczący dźwięk i trochę przyspiesza. W jego umyśle (moim spokojnym umyśle, mówi sobie) narasta uczucie, że zbliża się jakiegoś rodzaju kulminacja. Coś niedługo pęknie... zmieni się... lub przybierze dawną postać.

Ten ostatni pomysł jest szczególnie alarmujący. Jack zaczyna biec przez pole, unosząc wyżej kolana i mocno pracując rękoma. Zostawia za sobą ciemny ślad na ściernisku, przekątną, zaczynającą się od podjazdu i mogącą dobiec wszędzie. Może do Kanady. Albo do bieguna północnego. Wypłoszone, ociążałe od rosy białe ćmy przerywają poranną drzemkę, z trzepotem skrzydełek kreślą ażurowe zawijasy i zapadają z powrotem w skoszoną trawę.

Jack biegnie coraz szybciej, byle dalej od pogryzionej, skrwawionej tenisówki na ganku jego idealnego domu, byle dalej od własnej zgrozy. W jego umyśle zaczynają pojawiać się twarze; każdej z nich towarzyszy urywek ścieżki dźwiękowej. Twarz i głosy, ignorowane przez niego przez dwadzieścia i więcej lat. Kiedy pojawiały się te twarze lub szeptały głosy, do tej pory powtarzał stare kłamstwo, iż był niegdyś wystraszonego chłopcem, który załapał od swojej matki neurotyczny strach jak przeziębienie i wymyślił historyjkę, wspaniałą fantazję z ratującym życie dobrej, starej mamie Jackiem Sawyerem jako bohaterem. Nie było w niej ani krztyny prawdy; zapomniana, nim skończył szesnaście lat. Do tego czasu stał się spokojny. Spokojny tak jak teraz, gdy pędzi jak wariat przez północne pole, zostawiając za sobą ciemny ślad i obłoki spłoszonych ciem – ale robi to spokojnie.

Wąska twarz, wąskie oczy pod przekrzywioną białą, papierową czapką: *Jeśli zdołasz wytoczyć mi beczkę, kiedy będzie mi potrzebna, to masz pracę.* Smokey Updike, z Oatley w

stanie Nowy Jork. gdzie pili piwo, a potem zjadali kufle. Oatley, gdzie coś kryło się w tunelu pod miastem i gdzie Jacka więził Smokey. Aż...

Natarczywe oczy, fałszywy uśmiech, lśniący biały garnitur: *Spotkaliśmy się wcześniej, Jack... gdzie? Powiedz mi. Przyznaj się.* Sunlight Gardener, kaznodzieja z Indiany, który nazywał się również Osmond. Który był Osmondem w innym świecie.

Szeroka, włochata twarz i przerażone oczy chłopca, który wcale nie był chłopcem: *To złe miejsce, Jacky, Wilk wie.* Miał rację, było to bardzo złe miejsce. Wsadzili go do pudła, wsadzili starego dobrego Wilka do pudła, a w końcu go zabili. Wilk umarł na chorobę zwaną Ameryką.

– Wilk! – stęka mężczyzna biegnący przez pole. – Wilku, ach, Boże, przepraszam!

Twarze i głosy, wszystkie te głosy i twarze, które pojawiają mu się przed oczami, dudnią w uszach, żądają, by je widzieć i słyszeć, napęniają go poczuciem kulminacji, sprawiając, że wszystkie mechanizmy obronne zostały niemal zmiecione jak wały w trakcie powodzi.

Ogarniają go deformujące świat mdłości. *Znów* wydaje gulgoczący dźwięk; tym razem jego gardło napęnia się zapamiętanym smakiem: taniego, ohydneho wina. I nagle znów jest w New Hampshire, w wesołym miasteczku Arcadia. Stoi ze Speedym przy karuzeli o mnóstwie znieruchomiałych koni („Wszystkie konie na karuzeli mają imiona, nie wiedziałeś o tym?”), i Speedy podaje mu butelkę wina, mówi, że to magiczny napitek, wystarczy jeden łyk, a przejdzie na drugą stronę, przeskoczy...

– Nie! – krzyczy Jack, wiedząc, że jest już za późno. – Nie chcę przechodzić na drugą stronę!

Świat przechyla się w przeciwną stronę i Jack pada w trawę na kolana, zaciskając oczy. Nie musi ich otwierać; głębsze, silniejsze zapachy, jakie nagle wypełniają jego nozdrza, mówią mu wszystko, co musi wiedzieć. To oraz poczucie, że powrócił do domu po wielu mrocznych latach, gdy niemal każdy ruch i decyzja podejmowana na jawie były w pewnym sensie poświęcone uniemożliwieniu (lub przynajmniej odwleczeniu) nadejścia tej właśnie chwili.

Oto Jack Sawyer, panie i panowie, na kolanach na niezmierzonej łące pod porannym niebem, nieskażonym choćby cząstką skażenia. Płacze. Wie, co się stało, i płacze. Serce pęka mu ze strachu i z radości.

Oto Jack Sawyer dwadzieścia lat później, który wyrósł na mężczyznę i wreszcie powrócił w Terytoria.

Ratuje go ostatecznie głos Richarda – znanego czasami jako Racjonalny Richard. Richarda – szefa własnej firmy prawniczej (Sloat & Associates, Ltd.), a nie dawnego Richarda, którego Jack znał najlepiej podczas długich wakacji na Seabrook Island w Karolinie Południowej. Richard z Seabrook Island miał wspaniałą wyobraźnię, łatwo się wypowiadał, szybko chwycił, o co chodzi, nosił strzechę włosów i był chudy jak poranny cień. Obecnemu

Richardowi Prawa Korporacyjnego rzedną włosy na czubku głowy, tyje w pasie i uwielbia siedzieć i pić piwo Bushmill. Jak natrętą muchę zgniótł też swoją wyobraźnię, rozbuchaną w czasach Seabrook Island. Życie Richarda Sloata polega na redukcji, myślał czasem Jack, dodano do niego jednak jedno (zapewne na wydziale prawa): pompatyczny, owczy dźwięk wahania, szczególnie denerwujący przez telefon, który stał się głosową sygnaturą Richarda. Odgłos ten zaczyna się przy zamkniętych ustach i narasta, gdy Richard rozchyła szeroko wargi, wskutek czego przypomina absurdalne połączenie chłopca z wiedeńskiego chóru i Lorda HauHau.

Jack klęczy w tej chwili z zaciśniętymi oczyma pośród olbrzymiej zielonej przestrzeni, która do tej pory była północnym polem za jego własnym domem, wyczuwając nowe, głębsze zapachy, które tak dobrze zapamiętał i za którymi tak rozpaczliwie tęsknił, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, słyszy, jak Richard Sloat odzywa się w jego głowie. Jakąż ulgę niosą mu te słowa! Wie, że to tylko jego umysł naśladowuje głos Richarda, ale mimo wszystko to cudowne. Jack myśli, że gdyby Richard tu był, to objąłby swojego starego przyjaciela i powiedziałby: „Mądrz się wiecznie, Richie. Becz jak owca, jeśli tylko masz ochotę”.

Racjonalny Richard mówi: „Zdajesz sobie sprawę, że śnisz, Jack, prawda?... bahaaaa... bez wątpienia wskutek stresu po otwarciu tego pudełka... bahaaaa... na pewno przez to zemdleś, a wskutek tego z kolei... baHAAAA!... śni ci się teraz”.

– Innymi słowy jest to coś, co nazywaliśmy... – mówi Jack, wciąż klęcząc z zamkniętymi oczyma i opadającymi na twarz włosami.

– Właśnie! To, co nazywaliśmy... bahaaa... „hecami z Seabrook Island”. Seabrook Island była jednak dawno temu, Jack, więc proponuję, żebyś otworzył oczy, podniósł się z ziemi i przypomniał sobie, że jeśli zobaczysz cokolwiek niezwykłego... b’haa!... to to coś nie istnieje naprawdę.

– Nie istnieje naprawdę – mruczy Jack.

Wstaje i otwiera oczy.

Od razu jednak wie, że to, co go otacza, istnieje naprawdę, lecz zachowuje w głowie pompatyczny głos Richarda, który mówi „wyglądam na trzydzieści lat, ale naprawdę mam sześćdziesiąt”, czyniąc zeń swoją tarczę. Dzięki temu potrafi zachować kruchą równowagę, zamiast rzeczywiście omdleć lub – być może – naprawdę postradać rozum.

Niebo nad nim ma nieskończenie czysty ciemnoniebieski odcień. Dookoła niego trawa i tymotka sięga nie po kostki, lecz po żebra; w tej części stworzenia nie było Bunny’ego Boettchera, który mógłby je skosić. W istocie za Jackiem nie ma żadnego domu, jedynie malownicza stara szopa, a obok niej wiatrak.

Gdzie są latający ludzie? – myśli Jack, rozglądając się po niebie, po czym raptownie potrząsa głową. Nie ma latających ludzi, nie ma dwugłowych papug, nie ma wilkołaków. To wszystko było tylko hecą z Seabrook Island, neurozą, którą podłapał od matki i nawet na jakiś czas zaraził Richarda. Były to tylko... bahaaa... bzdury.

Przyjmuje to do wiadomości, zdając sobie równocześnie sprawę, że prawdziwą bzdurą byłoby nie uwierzyć w realność wszystkiego, co go otacza. Woni trawy, teraz tak silnej i słodkiej, zmieszanej z kwiecistym aromatem koniczyny oraz głębokim jak *basso profundo* zapachem czarnoziemiu. Niekończącego się dźwięku świerszczy w trawie, wiodących bezmyślnie, owadzie życie. Trzepotania białych ciem. Nieskażonego policzka nieba, którego nie przesiania nawet jeden drut telefoniczny, linia elektryczna czy smuga kondensacyjna.

Na Jacku największe wrażenie robi jednak doskonałość otaczającej go łąki. W miejscu, gdzie upadł na kolana, jest skotłowane koło; ciężka od rosy trawa leży przygnieciona do ziemi. Do kręgu nie prowadzi jednak żaden trop, nie ma jakichkolwiek śladów przejścia przez miękką, mokrą trawę. Tak jakby Jack spadł z nieba. To oczywiście niemożliwe, to kolejna heca z Seabrook Island, a mimo to...

– Na swój sposób rzeczywiście spadłem z nieba – mówi Jack zdumiewająco spokojnym tonem. – Zjawiłem się tu z Wisconsin. Przeskoczyłem tutaj.

Głos Richarda usilnie przeciwko temu protestuje, eksplodując wiązką chrumknięć i „bahaaa”, ale Jack prawie nie zwraca na to uwagi. To tylko stary dobry racjonalny Richard, robiący swoje w jego głowie. Richard już raz przeżył coś takiego i przetrwał to mniej więcej z nienaruszonym umysłem... ale miał wtedy dwanaście lat. Obydwaj mieli po dwanaście lat tamtej jesieni, a kiedy się jest w tym wieku, umysł i ciało są bardziej elastyczne.

Jack obraca się powoli, widzi wyłącznie otwarte pola (mgiełka nad nimi rzednie w rosnącym cieple dnia, zamieniając się w niewyraźny opar) oraz niebieskoszary las za nimi. Wreszcie wpada mu w oko jeszcze coś. Około mili na południowy wschód ciągnie się bita droga. Za nią, na horyzoncie lub tuż za nim, idealne letnie niebo jest skażone domieszką dymu.

To nie piece do wypalania drewna, myśli Jack. Nie w czerwcu; może to małe manufaktury. A...

Słyszy gwizdek – trzy długie sygnały, lecz bardzo słabe wskutek oddalenia. Serce zdaje się puchnąć mu w piersiach, a kąciki ust rozciągają się w swego rodzaju bezradnym uśmiechu.

– Na Boga, tam jest Missisipi – mówi, a ómy wokół niego zdają się zgodnie tańczyć, tworząc poranną koronkę. – To Missisipi, choć pewnie tutaj nazywają ją zupełnie inaczej. A gwizdek, przyjaciele i sąsiedzi...

Przez odżywający letni dzień przetaczają się dwa kolejne sygnały. Z tej odległości są ciche, jednak z bliska na pewno ogłuszające. Jack to wie.

– To rzeczny statek. Cholernie wielki. Może parostatek.

Jack rusza w stronę drogi, mówiąc sobie, że to wszystko tylko sen. Ani krztyny w to nie wierzy, ale pomaga tym sobie jak akrobata na linie tyczką. Przechodzi mniej więcej sto jardów, odwraca się i rozgląda. Przez tymotkę biegnie ciemna linia, zaczyna się w miejscu jego lądowania i biegnie prosto do punktu, do którego dotarł. Jest to pozostawiony przez

niego trop. Jedyny ślad. Daleko po lewej (w istocie teraz już prawie prosto za nim) stoją szopa i wiatrak. To mój dom i garaż, myśli Jack. Przynajmniej nimi właśnie są w świecie chevroletow, wojen na Środkowym Wschodzie i „Oprah Winfrey Show”.

Idzie dalej. Prawie dociera do drogi, gdy zdaje sobie sprawę, że na południowym zachodzie jest coś więcej niż tylko dym. Czuć stamtąd jak gdyby wibrację. Pulsuje ona w głowie Jacka jak zaczynająca się migrena. Na dodatek jest dziwnie zmienna. Jeśli staje z twarzą zwróconą dokładnie na południe, nieprzyjemne pulsowanie słabnie. Jeśli obróci się na wschód, znika. Gdy ma twarz zwróconą na północ, prawie niknie. W miarę jak obraca się dalej, wibracja odzyskuje początkową siłę. Stała się bardziej przykra, skoro ją zauważył, tak jak brzęczenie muchy czy stukanie kaloryfera w hotelowym pokoju jest bardziej dokuczliwe, jeśli zwraca się na nie uwagę.

Jack robi jeszcze jeden powolny obrót. Gdy staje twarzą na południe, pulsowanie słabnie. Na wschód – niknie. Na północ – zaczyna wracać. Na zachód – dociera do niego z dużą mocą. Gdy zwraca się na południowy zachód, znowu narasta. Pum, pum, pum. Czarna, ohydna wibracja, przypominająca ból głowy, zapach jak zastarzały dym...

– Nie, nie, nie. Nie dym – mówi Jack. Stoi z przemoczonymi spodniami prawie po pierś w letniej trawie, białe ćmy kłębią się wokół jego głowy jak frajerska aureola. Ma rozszerzone oczy, znowu zbladły mu policzki. W tej chwili znów wygląda na dwanaście lat. Niesamowite, jak łatwo odzyskał swoją młodszą (i być może lepszą) połowę. – Nie dym, to pachnie jak...

Nagle znów wydaje gulgoczący odgłos. Ponieważ ten zapach – nie w nozdrzach, lecz śródki jego głowy – to odór gnijącego salcesonu. Smród zaczynającej się rozkładać, odciętej stopy Irmy Freneau.

– Czuję go – szepcze Jack, wiedząc, że nie chodzi mu o zapach. Może zrobić z wibracją, na co tylko ma ochotę... włącznie, uświadamia sobie, z jej zlikwidowaniem. – Czuję Rybaka. Jego albo... Sam nie wiem.

Rusza z miejsca i sto jardów dalej staje ponownie. Pulsowanie w jego głowie istotnie ustało. Przygasło tak, jak znika sygnał stacji radiowej, gdy w ciągu dnia rośnie temperatura. Przynosi to ulgę.

Jack prawie dotarł do drogi, bez wątplenia prowadzącej w jedną stronę do jakiejś wersji Arden, a w drugą do miejscowych wydań Centralii i French Landing, gdy słyszy nieregularne dudnienie. Czuje też, że przenika jego nogi jak synkopa Gene’a Krupy.

Odwraca się w lewo i zaskoczenie oraz zachwyty powodują, że krzyczy. Trzy wielkie brązowe stworzenia, którym podskakują olbrzymie uszy, mijają go wielkimi susami: wyłaniają się nad trawą, zapadają w nią z powrotem i znów wzbijają w powietrze. Wyglądają jak krzyżówki królików z kangurami. Mają wylupiaste czarne ślepie, wytrzeszczone w komicznej grozie. Przeskakują przez drogę, wzbijając kurz płaskimi stopami (pokrytymi białym, a nie brązowym futerkiem).

– Chryste! – mówi Jack z na poły śmiechem, na poły szlochem. Wali się kłębem dłoni w środek czoła. – Co to było, Richie? Potrafisz to jakoś skomentować?

To dla Richiego nie problem. Mówi Jackowi, że właśnie doznał wyjątkowo plastycznej... *bahaaaa!*... halucynacji.

– Oczywiście – mówi Jack. – Królikiolbrzymy. Zabierzcie mnie na najbliższe spotkanie Anonimowych Alkoholików.

Następnie wychodzi na drogę i znowu ogląda się na południowozachodni horyzont. Na wiszący tam woal dymu. Wioska. Czyjej mieszkańców ogarnia trwoga, gdy zapadają cienie zmierzchu? Boją się nadejścia nocy? Czują trwogę przed stworem porywającym ich dzieci? Czy potrzebują glinicjanta? Oczywiście, że tak. Oczywiście, że...

Coś leży na drodze. Jack schyla się i podnosi czapkę baseballową z godłem Piwowarów z Milwaukee, wstrząsając niepasującą do świata wielkich, sadzących susy królików, ale niewątpliwie realną. Sądząc po ściągnięciu plastikowego paska z tyłu, czapkę nosiło dziecko. Jack zagląda do środka, wiedząc, co znajdzie, i istotnie, na opasce widnieje starannie wykonany atramentem napis: TY MARSHALL. Czapka nie jest mokra jak przesiąknięte poranną rosą spodnie Jacka, ale nie jest też sucha. Jack domyśla się, że leżała na skraju drogi od wczoraj. Nasuwa się logiczny wniosek, że porywacz Tylera tędy go prowadził, ale Jack w to nie wierzy. Być może to wspomnienie dręczącej wibracji podsuwa inną myśl, odmienny obraz: idącego bitą drogą Rybaka, podczas gdy Tyler jest już zamknięty w jakimś ukryciu. Rybak ma pod pachą owinięte papierem pudełko po butach z lipnymi znaczkami. Na głowę włożył czapkę Tylera, która trzyma się na słowo honoru, bo jest na niego za mała. Mimo to Rybak nie chce poluzować paska. Nie chce, by Jack nawet przez sekundę pomyślał, że czapka należy do dorosłego mężczyzny. Rybak drażni się bowiem z Jackiem, zaprasza go do gry.

– Porwał chłopca w naszym świecie – mruczy Jack. – Uciekł z nim do tego świata. Ukrył go w jakimś bezpiecznym miejscu, jak pająk chowa muchę. Żywego? Martwego? Myślę, że żywego. Nie wiem dlaczego. Może po prostu chcę w to wierzyć. Daj temu spokój. Potem udał się tam, gdzie ukrył Irmę. Zabrał jej stopę i przyniósł ją mi. Przeniósł ją do tego świata, potem przeskoczył do mojego i zostawił ją na ganku. Może czapkę zgubił po drodze? Spadła mu z głowy?

Jack w to nie wierzy. Wie, że ten popapraniec, ten zbir, przeskakujący między światami śmieć, zostawił tu czapkę celowo. Wiedział, że jeśli Jack pojawi się na tej drodze, to ją znajdzie.

Przyciskając czapkę do piersi jak fan na Miller Park, okazujący respekt fladze podczas hymnu narodowego. Jack zamyka oczy i się koncentruje. Okazuje się to łatwiejsze, niż się spodziewał, ale domyśla się, że pewnych *rzeczy* nigdy się nie zapomina – jak obrać pomarańczę, jak jeździć rowerem, jak przeskakiwać z jednego świata do drugiego.

Tacy chłopcy jak ty i tak nie potrzebują taniego wina, słyszy głos swojego starego przyjaciela Speedy’ego Parkera, w którym pobrzmiwa śmiech. Równocześnie Jackowi

znowu zaczyna kręcić się w głowie. Chwilę później słyszy alarmujący dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

Cofa się, równocześnie otwierając oczy. Łowi widok wyasfaltowanej jezdni – Norway Valley Road, ale...

Wyje klakson i Jacka mija zakurzony stary ford, uderzając weń strugą wzburzonego powietrza. Boczne lusterko od strony pasażera mija nos Jacka o niecałe dziewięć cali. Ciepłe powietrze, znów pełne słabej, lecz nachalnej woni węglowodorów, omywa jego brwi i policzki; towarzyszy mu rozdrażniony głos wiejskiego wyrostka:

– ...dalej z drogi, zassrańcu...

– Wypraszam sobie, żeby jakiś absolwent krowiego college’u nazywał mnie zasrańcem – mówi Jack swoją najlepszą imitacją głosu racjonalnego Richarda i chociaż dla podkreślenia swoich słów dodaje pompatyczne: „Bahaaa!”, to serce łomocze mu jak opętane. Rany, o mało nie przeskoczył z powrotem na oczach tego gościa.

„Proszę, oszczędź mi tego, Jack – mówi Richard. – Wszystko to sobie wyśniłeś”.

Jack wie jednak, że tak nie jest. Chociaż rozgląda się dokoła w całkowitym zdumieniu, w głębi serca wcale nie jest oszołomiony, nie, nawet odrobinę. Po pierwsze, wciąż ma w ręce czapkę – Tylera Marshalla, z godłem Piwowarów. Po drugie, most na Tamarack Creek jest za następnym wzniesieniem. W innym świecie, w którym człowieka mijają gigantyczne króliki, uszedł najwyżej milę. W tym pokonał co najmniej cztery.

Tak samo było wtedy, myśli, tak było, kiedy Jacky miał sześć lat. Kiedy wszyscy żyli w Kalifornii i nikt nie mieszkał gdzie indziej.

To się jednak nie zgadza. W jakiś sposób to nieprawda.

Jack stoi na skraju drogi, która kilka sekund temu była polna, a teraz jest asfaltowa, wpatruje się w czapkę Tylera Marshalla i stara się dojść, co i jak jest nie w porządku, wiedząc, że prawdopodobnie tego nie wymyśli. Wszystko to było dawno temu, a potem, odkąd skończył trzynaście lat, bardzo się trudził nad pogrzebaniem zdecydowanie dziwacznych wspomnień z dzieciństwa. Innymi słowy ponad połowę życia. Człowiek nie może poświęcić tyle czasu na zapominanie, a potem po prostu przytknąć palcami i spodziewać się...

Jack przytka palcami.

– Co się stało, kiedy Jacky miał sześć lat? – zwraca się do ciepłego, letniego poranka. I odpowiada sam sobie: – Kiedy Jacky miał sześć lat, Daddy grał na rogu.

A to cóż znaczy?

– Nie tata – odpowiada posępnie Jack. – Nie mój tata. Dexter Gordon. Melodia nazywała się „Daddy Played the Horn”. „Tata grał na rogu”. Czyli na saksofonie. A może album. Płyta długogrająca. – Stoi w miejscu, kręcąc głową, po czym nią kiwa. – Gra. Tata gra. „Daddy Plays the Horn”.

I wszystko po prostu ożywa w jego pamięci. Dexter Gordon z aparatury hifi. Jacky Sawyer za kanapą, bawiący się swoją londyńską taksówką, która dzięki swojej masie wydawała się bardziej prawdziwa niż zabawka. Rozmowa jego taty i ojca Richarda. Phila Sawyera i Morgana Sloata.

„Wyobraź sobie, kim ten facet byłby po tamtej stronie”, powiedział wuj Morgan, i była to pierwsza wzmianka o Terytoriach, jaką usłyszał Jack. Kiedy Jacky miał sześć lat, wpadło mu w ucho słowo. I...

– Kiedy Jacky miał dwanaście lat, naprawdę do nich trafił – mówi.

„Bzdura! – oznajmia gromko syn Morgana. – Całkowita... bahaaa!... bzdura! Zaraz mi powiesz, że naprawdę widziałeś ludzi na niebie!”

Zanim jednak Jack może odpowiedzieć swej umysłowej wersji starego kumpla czy komukolwiek innemu, pojawia się następny samochód. Wóz zatrzymuje się obok Jacka. Przez okno po stronie kierowcy spogląda podejrzliwie (co stanowi jej zwykłą minę i samo w sobie nic nie znaczy, jak Jack zdążył się zorientować) Elvena Morton, gospodyni Henry’ego Leydena.

– Co, do diaska, pan tu porabia, Jacku Sawyerze? – pyta.

– Nie spałem najlepiej, pani Morton. – Jack obdarza ją uśmiechem. – Pomyślałem, że się trochę przejdę, żeby oczyścić głowę.

– I zawsze pan chodzi po rosie i wilgoci, kiedy chce pan sobie oczyścić głowę? – pyta, opuszczając wzrok na dzinsy Jacka, przemoczone po kolana, a nawet trochę wyżej. – To pomaga?

– Pewnie tak się zamyśliłem, że zapomniałem o bożym świecie – odpowiada.

– Pewnie tak – mówi Elvena. – Niech pan wsiada, to podwiozę pana prawie pod dom. Rzecz jasna, jeśli nie chce pan sobie jeszcze bardziej oczyścić głowy.

Jack zmuszony jest się uśmiechnąć. Niezły tekst. W istocie przypomina mu jego nieżyjącą matkę. (Kiedy jej niecierpliw syn pytał, co będzie na kolację i kiedy należy jej oczekiwać, Lily Cavanaugh zwykła odpowiadać: „Będzie popierdanie z cebulką, na deser betki w sosie wiatrowym, a dostaniesz je wpół do komina”).

– Myślę, że już dzisiaj więcej jej nie oczyszczę – mówi Jack.

Okrąża starą, brązową toyotę pani Morton. Na fotelu pasażera leży brunatna torba, z której sterczą jakieś liście. Jack odsuwają na bok i wsiada.

– Nie wiem, czy kto rano wstaje, temu pan Bóg daje, ale mogę panu powiedzieć, że kto rano idzie na zakupy do Roya, dostaje najlepszą zieleninę – mówi Elvena, uruchamiając silnik. – Lubię dotrzeć tam przed obibokami.

– Obibokami, pani Morton?

Elvena rzuca mu swe najbardziej podejrzliwe spojrzenie, strzela oczyma w bok i wykrzywia prawy kącik ust, jakby posmakowała czegoś kwaśnego.

– Zajmują miejsce przy kontuarze i plotą, że Rybak to i Rybak tamto. Kto to może być, co to może być – Szwed, Polaczek czy Irlandczyk – i oczywiście co z nim zrobią, kiedy go złapią, co oczywiście już dawno by nastąpiło, gdyby sprawą zajmował się kto inny, a nie ten durnowaty powsinoga Dale Gilbertson. Tak mówią. Łatwo rządzić, kiedy się grzeje tyłek na stołku u Roya Soderholma z filiżanką kawy w jednej ręce i spławikiem w drugiej. Tak sobie właśnie myślę. Pewnie, że połowa z nich ma w tylnej kieszeni czek z pośredniaka, ale o tym już nie chcą gadać. Mój ojciec mawiał: „Pokażcie mi człowieka, który jest za dobry, żeby przewracać siano w czerwcu, a ja wam pokażę takiego, któremu i przez resztę roku nie będzie się chciało ruszyć ręką”.

Jack poprawia się w zapadniętym fotelu, wsuwa kolana pod deskę rozdzielczą i wpatruje się w pokonywaną drogę. Lada moment będą z powrotem. Zaczynają wysychać mu spodnie. Czuje dziwny spokój. Zaletą Elveny Morton jest to, że nie trzeba podtrzymywać z nią konwersacji, bo chętnie bierze na siebie całe jej brzemie. Przychodzi mu do głowy kolejny Lilyizm: o bardzo gadatliwych ludziach (na przykład wuju Morganie) zwykła mawiać, że język takiego to a takiego „miał ośkę w środku i kręcił się jak najęty”.

Jack uśmiecha się cichcem i dyskretnie unosi rękę, by ukryć to przed panią M. Elvena pyta, co go tak rozbawiło, może raczy się z nią podzielić? Tym, że właśnie pomyślał, iż ma język z ośką w środku? Zabawna jest jednak również powódź myśli i wspomnień. Czyż nie zaledwie wczoraj próbował dodzwonić się do matki, bo zapomniał, że umarła? Obecnie ma wrażenie, jakby zrobił to w jakimś innym życiu. Może istotnie było to inne życie. Bóg jeden wie, że Jack nie wydaje się tym samym człowiekiem, który tego ranka wystawił nogi z łóżka ze znużeniem, przeczuwając jednocześnie coś na kształt zagłady. Czuje się w pełni żywy po raz pierwszy od... no, przypuszcza, że od kiedy Dale pierwszy raz jechał z nim tą samą drogą i pokazał mu ładny domek należący wcześniej do ojca Gilbertsona.

Elvena Morton tymczasem peroruje dalej:

– Chociaż muszę też przyznać, że korzystam z każdej wymówki, żeby nie być w domu, kiedy zaczyna z Wściekłym Mongołem – mówi.

Wściekły Mongoł to określenie pani Morton na jedno z wcieleń Henry’ego: Szczura z Wisconsin. Jack kiwa ze zrozumieniem głową, nie wiedząc, że minie niewiele godzin i spotka się z człowiekiem o przydomku Wściekły Węgier. Jest to jeden z życiowych zbiegów okoliczności.

– Zawsze wbija sobie wcześniej rano do głowy, że zabierze się do Wściekłego Mongoła, a ja mu mówiłam: „Henry, jeśli musisz się tak strasznie drzeć, mówić takie okropne rzeczy, a potem grać taką straszną muzykę dzieciaków, których nie powinno się dopuścić blisko tuby, nie mówiąc już o elektronicznej gitarze, dlaczego robisz to rano, skoro wiesz, że zepsuje ci to cały dzień?”. I tak jest, bo boli go głowa cztery na pięć razy, kiedy udaje Wściekłego Mongoła, a po południu leży z workiem lodu na biednym czole i tego dnia nie zje nawet kęsa obiadu. Czasami, kiedy sprawdzam następnego dnia, to kolacji nie ma – zawsze zostawiam ją

w tym samym miejscu w lodówce, chyba że mówi mi, że chce ją sam przygotować – ale połowę czasu wciąż tam jest, a jeśli nawet znika, to myślę, że wywala ją do pojemnika na śmieci.

Jack pomrukuje. To wystarcza. Jej słowa przelatują mu koło ucha, gdy rozmyśla, jak włoży tenisówkę do torby na dowody – kleszczami do kominka – a kiedy przyjedzie na posterunek, zacznie się procedura jej zabezpieczenia. Myśli, że musi się upewnić, czy w pudełku po butach nic więcej nie ma, oraz przyjrzeć się papierowi pakowemu. Chce również sprawdzić pakieciki po cukrze. Może pod obrazkami ptaków wydrukowano nazwę restauracji. Nikła szansa, ale...

– A on mówi: „Pani M., nic na to nie poradzę. Czasami po prostu budzę się jako Szczur i chociaż później za to pokutuję, i tak czerpię z tego radość. Czystą, absolutną radość”. No to ja go pytam w te słowa: „Jak można się radować muzyką o dzieciach, które chcą pozabijać swoich rodziców, jeść płody i uprawiać seks ze zwierzętami – bo jedna z tych piosenek naprawdę o tym jest, Jack, słyszałam to na własne uszy – i tak dalej?”. Zapytałam go, a on powiedział... Uuch, no, jesteśmy.

Istotnie dojechali do drogi prowadzącej do domu Henry’ego. Ćwierć mili dalej widać dach domu Jacka. Jego dodge ram lśni wesoło na podjeździe. Jack nie widzi ganku, a z całą pewnością okropności leżącej na jego deskach, czekającej, aż ktoś ją uprzątnie. Sprzątnie w imię przyzwoitości.

– Mogłabym podwieźć pana pod sam dom – mówi Elvena. – Co pan na to?

Jack myśli o tenisówce i otaczającej ją woni gnijącego salcesonu, uśmiecha się, kręci głową i szybko otwiera drzwi po swojej stronie.

– Chyba muszę się jeszcze trochę zastanowić – mówi.

Pani Morton patrzy na niego z wyrazem swarliwej podejrzliwości, który w istocie mówi, jak podejrzewa Jack, o miłości. Wie, że Jack opromienił życie Henry’ego Leydena, i w jej przekonaniu samo to wystarcza, by go pokochała. Chce przynajmniej mieć taką nadzieję. Przychodzi mu do głowy, że Elvena ani słowem nie wspomniała o trzymanej przez niego w ręce czapce baseballowej, ale dlaczego miałyby to zrobić? W tej części świata każdy mężczyzna ma przynajmniej cztery.

Rusza drogą z rozwianymi włosami (dni stylowych fryzur z ChezChez na Rodeo Drive dawno się dla niego skończyły – to region Coulee, a gdy Jack w ogóle sobie przypomina o strzyżeniu, robi to stary Herb Roeper na ulicy Chase obok kliniki Amvets), krokiem luźnym i zamaszystym jak u chłopca. Pani Morton wychyla się przez okno.

– Zmień te dzinsy, Jack! – woła za nim. – Natychmiast, kiedy dojdzie pan do domu! Niech na panu nie wyschną! Tak się zaczyna artretyzm!

– Pewnie! – woła, unosząc rękę, ale nawet się nie odwracając.

Kilka minut później znów idzie swoim podjazdem. Lęk i przygnębienie przynajmniej czasowo się w nim wypaliły. Ekstaza również, co stanowi ulgę. Ekstaza to ostatnia rzecz, jakiej potrzeba glinicjantowi w ferworze dochodzenia.

Gdy widzi pudełko na ganku – do tego papier pakowy, pióra oraz niezmiennie popularną dziecięcą tenisówkę, nie zapominajmy o niej – w umyśle odzywają mu słowa pani Morton, cytującej wielkiego mędrca Henry’ego Leydena:

„Pani M., nic na to nie poradzę. Czasami po prostu budzę się jako Szczur i chociaż później za to pokutuję, i tak czerpię z tego radość. Czystą, absolutną radość”.

Absolutna radość. Jack czuł ją od czasu do czasu jako detektyw, niekiedy podczas dochodzenia na miejscu zbrodni, częściej w trakcie przesłuchiwania świadków, którzy wiedzieli więcej, niż mówili... i jest to coś, co Jack Sawyer niemal zawsze wie, coś, co wyczuwa. Domyśla się, że cieśle *zaznają* takiej radości, kiedy robota idzie im szczególnie dobrze, rzeźbiarze – jeśli tego dnia wyjdzie im wyjątkowo dobry nos czy podbródek, architekci – gdy linie na szkicach układają się właśnie tak, jak powinny. Jedyne problem polega na tym, iż ktoś we French Landing (lub którymś z okolicznych miasteczek, aczkolwiek Jack stawia na French Landing) czerpie tę radość z zabijania dzieci i zjadania części ich małych ciał.

Ktoś we French Landing coraz częściej budzi się jako Rybak.

Jack wchodzi do domu tylnymi drzwiami. Wstępuje do kuchni po opakowanie dużych, plastikowych toreb, parę worków do wyściełania koszy na śmieci, śmietniczkę i szczotkę. Otwiera zamrażarkę i wrzuca mniej więcej połowę kostek lodu do jednego z worków – jeśli o Jacka chodzi, to stopa biednej Army Freneau osiągnęła maksymalny stopień rozkładu.

Wpada do gabinetu, skąd zabiera blok żółtych kartek, czarny marker i długopis. W salonie bierze krótsze kleszcze do węgla. Do czasu gdy wychodzi na ganek, prawie całkowicie odłożył na bok tajemną stronę Jacka Sawyera.

Jestem GLINICJANTEM, myśli z uśmiechem. Obrońcą Amerykańskiego Stylu *Życia*, przyjacielem chromych, kulawych i martwych.

Jego uśmiech gaśnie, gdy patrzy z góry na tenisówkę, otoczoną przygnębiającym obłoczkiem smrodu. Czuje trochę tej samej niezwyklej tajemnicy, jakiej zaznaliśmy, gdy natrafiliśmy na Irmę w ruinach porzuconej restauracji. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by traktować godnie te szczątki, tak samo jak my z całych sił oddawaliśmy cześć martwemu dziecku. Jack myśli o sekcjach zwłok, w których uczestniczył, o prawdziwej powadze kryjącej się za dowcipami i prostackimi zagrywkami rodem z jatki.

– Irma, to ty? – pyta cicho. – Jeśli tak, to teraz mi pomóż. Mów do mnie. Nadszedł czas, żeby zmarli pomogli żywym.

Nie zastanawiając się nad tym, Jack przykładła palce do ust i śle pocałunek stopie. Myśli: Chciałbym zabić człowieka – czy stwora – który to zrobił. Powiesić go żywcem, wrzeszczącego i robiącego w spodnie. Żeby skołał w smrodzie swojego własnego brudu.

Takie myśli są jednak niegodne, więc wyrzuca je z głowy.

Pierwszą torebkę przeznacza na tenisówkę z resztkami stopy, którą wkłada kleszczami do środka. Zasuwa zamek błyskawiczny. Zapisuje na torebce datę markerem. Długopisem dodaje na nalepce charakter materiału dowodowego. Wkłada ją do worka z lodem.

Druga torebka przeznaczona jest na czapkę. Nie potrzeba do nich kleszczy; Jack miał ją w rękach. Wkładają do torebki. Zasuwa zamek błyskawiczny. Zapisuje datę, dodaje na nalepce naturę materiału dowodowego.

Trzecia torba przeznaczona jest na brązowy papier pakowy. Jack trzyma go przez chwilę w kleszczach, przyglądając się fałszywym znaczkom. Pod każdym jest nazwa producenta: MANUFACTURED BY DOMINO, ale to wszystko. Nie ma nazwy restauracji ani niczego w tym rodzaju. Do torby. Zasunąć. Zaznaczyć datę. Dodać naturę materiału.

Jack zmiata pióra i wrzuca je do czwartej torby. W pudełku jest ich więcej. Jack ujmuje je kleszczami, wyrzuca pióra na śmietniczkę – i jego serce nagle podskakuje w piersi, wali jak pięść o żebra po lewej stronie. Na dnie pudełka coś napisano. Takim samym markerem Sharpie, którym nabazgrano nierówne litery. Ktokolwiek pisał, wiedział, do kogo adresuje swe słowa. Nie powierzchownego Jacka Sawyera, bo wówczas ten ktoś – Rybak – bez wątpienia nazwałby go Hollywoodem.

Wiadomość ta adresowana jest do człowieka, kryjącego się we wnętrzu Jacka, do dziecka, istniejącego, zanim ktokolwiek pomyślał o Jacku „Hollywoodzie” Sawyerze.

Zairzyj do „Ed’s Eats and Dogs”, glinicjancie. TWÓJ
przyjaciel,
•RYBAK

– Twój przyjaciel – mruży Jack. – Tak.

Podnosi pudełko kleszczami i wkłada je do drugiego worka na śmieci; nie ma tak dużej torby na dowody, w której by się zmieściło. Następnie układa zgromadzone materiały obok siebie w równy stos. Zawsze wyglądają tak samo: równocześnie koszmarnie i prozaicznie, jak zdjęcia publikowane w magazynach zajmujących się prawdziwymi przestępstwami.

Jack wchodzi do środka i wykręca numer Henry’ego. Obawia się, że odbierze pani Morton, lecz dzięki Bogu robi to sam gospodarz. Najnowszy napad szcurzyzmu najwidoczniej mu przeszedł, chociaż pozostawił po sobie ślady: nawet przez telefon Jack słyszy słaby łomot i zawodzenie „elektronowych gitar”.

Henry mówi, że dobrze zna „Ed’s Eats”, ale dlaczego, na miłość boską, Jack interesuje się takim miejscem?

– To teraz tylko ruina; Ed Gilbertson zmarł dość dawno temu, a niektórzy ludzie we French Landing uznali to za błogosławieństwo, Jack. Jeśli kiedykolwiek salmonella miała pałac, to właśnie tam. Skręt kiszek, niemogący się doczekać swojej kolei. Wydział zdrowia dawno powinien zamknąć tę budę, ale Ed miał znajomości. Na przykład Dale’a Gilbertsona.

– Byli ze sobą spokrewnieni? – pyta Jack.

– No, kurwa – odpowiada Henry, jak nigdy by mu się nie zdarzyło w normalnych okolicznościach, wskutek czego Jack domyśla się, że chociaż jego przyjaciel uniknął tym razem migreny, to Szczur jednak tłucze mu się po głowie.

Jack słyszał wrywające się Henry’emu od czasu do czasu z ust urywki George’a Rathbuna, nieoczekiwane dosadne okrzyki, a sposób, w jaki Henry się czasami żegna, rzucając przez ramię „dzyńdzyń” lub „cymes”, to wyłaniający się na powierzchnię czysty Shake, Shook, Szejk Arabski.

– Gdzie to właściwie jest? – pyta Jack.

– Trudno wytłumaczyć – odpowiada lekko rozdrażniony Henry. – Niedaleko magazynu sprzętu rolnego... no, Goltza. O ile sobie przypominam, jedzie się tam tak długo od szosy, że można to nazwać właściwie drogą dojazdową. Jeśli stała tam kiedyś tablica, to i tak dawno znikła. Kiedy Ed Gilbertson sprzedał ostatniego zainfekowanego mikrobami chili doga, byłeś pewnie jeszcze w pierwszej klasie, Jack. O co właściwie chodzi?

Jack wie, że to, co mu świta, jest absurdalne w świetle normalnych standardów dochodzeniowych – nie zaprasza się szarego obywatela na miejsce przestępstwa, zwłaszcza morderstwa – ale nie jest to zwyczajne śledztwo. Jeden z pochowanych do torebek dowodów zabrał z innego świata – może to nie jest niezwykle? Oczywiście sam może znaleźć od dawna zamkniętą restaurację „Ed’s Eats”; ktoś u Goltza na pewno pokazałby mu drogę. Ale...

– Rybak przysłał mi właśnie jedną z tenisówek Army Freneau – mówi Jack. – Ze stopą Army w środku. – Pierwszą reakcją Henry’ego jest głęboki, ostry wdech. – Henry? Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiada Henry wstrząśniętym, lecz równym głosem. – To straszne dla dziewczynki i jej matki. – Urywa. – I dla ciebie. Dla Dale’a. – Kolejna pauza. – Dla tego miasta.

–Tak.

– Chcesz, żebym zabrał cię do „Ed’s Eats”, Jack?

Jack wie, że leży to w możliwościach Henry’ego. To dla niego łatwe jak bułka z masłem. Cymes. Zresztą, co tu się oszukiwać – dlaczego Jack do niego od razu zadzwonił?

– Tak – mówi.

– Zawiadomiłeś policję?

– Nie.

Zapyta mnie, dlaczego nie, i co mu odpowiem? Że nie chcę, żeby Bobby Dulac, Tom Lund i wszyscy pozostali się tam kręcili, mieszając swoje zapachy z wonią sprawy, dopóki nie będę

miał szansę sam jej wywęszyć? Że nie wierzę, żeby którykolwiek z tych skurczysynów tego nie spieszył, włącznie z samym Dale'em?

Henry jednak o to nie pyta.

– Będę czekał na początku podjazdu – mówi. – Powiedz mi tylko o której.

Jack obmyśla pozostałe zadania, związane z dowodami, których zakończeniem będzie schowanie wszystkiego do kasy na tyle pikapa. Przypomina sobie, żeby zabrać telefon komórkowy, który zwykle całkowicie beczynnie stoi na ładowarce w gabinecie. Zamierza zadzwonić i powiadomić o wszystkim, kiedy tylko obejrzy na miejscu szczątki Armii i skończy wyjątkowo istotne wstępne oględziny. Dale będzie mógł wtedy przyjechać z chłopcami. Niech przywiozą wówczas ze sobą nawet szkolną orkiestrę, jeśli będą mieli ochotę. Jack spogląda na zegarek, dochodzi ósma. Jak tak szybko zrobiło się tak późno? Odległości są mniejsze w drugim świecie, przypomina sobie, ale czy czas też płynie tam szybciej? Czy też po prostu stracił jego rachubę?

– Będę kwadrans po ósmej – mówi Jack. – Kiedy dojedziemy do „Ed’s Eats”, masz siedzieć w samochodzie jak grzeczny chłopczyk, aż ci powiem, że możesz wysiąść.

– Zrozumiałem, *mon capitaine*.

– Dzyńdzyń.

Jack odkłada słuchawkę i wraca na ganek.

Sprawy nie ułożą się tak, jak ma nadzieję Jack. Nie on pierwszy wszystko obejrzy i nie on wciągnie zapach w nozdrza. W istocie do tego popołudnia sytuacja we French Landing, i tak już napięta, mało nie wymknie się spod kontroli. Chociaż złoży się na to wiele czynników, główną przyczyną bieżącej eskalacji będzie Wściekły Węgier.

W tym przewisku przebija małomiasteczkowy humor, podobnie jak w nazwaniu szczapowatego urzędniczyny z banku Wielkim Joem czy noszącego potrójne okulary właściciela księgarni Sokolim Okiem. Arnold Hrabowski, mający pięć stóp i sześć cali wzrostu oraz ważący sto trzydzieści dziewięć funtów, jest najdrobniejszym z aktualnie podlegających Dale’owi Gilbertsonowi funkcjonariuszy. W istocie, jest najmniejszą spośród wszystkich osób podlegających komendantowi, ponieważ nawet Debbie Anderson i Pam Stevens są od niego cięższe i wyższe (mająca sześć stóp i cal wzrostu Debbie mogłaby jeść jajecznicę z głowy Arnolda Hrabowskiego). Wściekły Węgier jest również dość nieszkodliwym człowiekiem, facetem bez ustanku przepaszającym nawet przy wlepianiu mandatów, bez względu na to, ile razy Dale tłumaczył mu, że to bardzo zła polityka. Wiadomo nawet, że Hrabowski zaczynał przesłuchania od tak fatalnych sformułowań, jak: „Przepraszam bardzo, ale jestem ciekaw”. W rezultacie Dale stara się, żeby Węgier spędzał jak najwięcej czasu za biurkiem lub w śródmieściu, gdzie wszyscy go znają, a większość traktuje z udawanym szacunkiem. Arnold Hrabowski krąży po okręgowych szkołach podstawowych w roli Przyjaznego Policjanta. Pociechy, które nie zdają sobie sprawy z tego, że pierwszych pouczeń o ohydzie trawki udziela im Wściekły Węgier, uwielbiają go. Kiedy

wygłasza surowsze wykłady o prochach, gorzale i bezmyślnej jeździe w gimnazjach, szczeniaki drzemią lub ślą sobie kartki, chociaż uważają, że jego sfinansowany z funduszy federalnego programu edukacji antynarkotykowej DARE samochód – niski, zgrabny pontiac z lśniącym napisem WYSTARCZY, ŻE POWIESZ NIE na drzwiach – jest czadowy. W gruncie rzeczy posterunkowy Hrabowski jest mniej więcej tak ekscytujący jak tuńczyk na białej bulce, bez majonezu.

Widzicie, w latach siedemdziesiątych był jednak taki zapasowy miotacz St. Louis, a potem Kansas City Royals, naprawdę straszliwy gość, co się nazywał Al Hrabosky. Nie tyle wychodził z ławki zawodników, ile wyłaniał się jak polujący drapieżnik. Zanim Al Hrabosky przystąpił do rzucania (zwykle w dziewiątej zmianie, gdy wszystkie bazy były obsadzone i ważyły się losy zwycięstwa), schodził z mety, pochylał głowę, i raz tylko, bardzo silnie zaciskał pięści, wprawiając się w odpowiedni nastrój. Potem wracał na metę i zaczynał rzucać wredne, szybkie piłki, z których wiele o włos mijało podbródki pałkarzy. Oczywiście okrzyknięto go Wściekłym Węgrem i nawet ślepy widział, że był najlepszym cholernym rezerwowym zawodnikiem w pierwszej lidze. Oczywiście, właśnie dlatego Arnold Hrabowski jest znany, musi być znany jako Wściekły Węgier. Próbował nawet kilka lat temu zapuścić wąsik w stylu Fu Manchu, taki sam jak nosił osławiony miotacz. O ile jednak wąs Ala Hrabosky'ego był straszny jak barwy wojenne Zulusów, o tyle naśladownictwo Arnolda wzbudzało jedynie chichoty – wyobraźcie sobie tylko, zarost w stylu Fu Manchu na tym obliczu księgowego o miękkim sercu! Dlatego też go zgolił.

Wściekły Węgier z French Landing nie jest złym człowiekiem; robi naprawdę wszystko, na co tylko go stać, a w zwykłych warunkach stać go na niemało. We French Landing nastaly jednak niezwykłe dni, są to śliskie dni ześlizgu, dni abbalahaopopanaksa, i Hrabowski jest funkcjonariuszem właśnie tego rodzaju, jakiego Jack się boi. Właśnie tego ranka Wściekły Węgier zupełnie wbrew swojej woli sprawi, że zła sytuacja stanie się o wiele gorsza.

Telefon od Rybaka na linii 911 następuje o godzinie 8.10 rano, gdy Jack kończy sporządzać notatki na kartce żółtego papieru, a Henry schodzi swoim podjazdem, wciągając z wielką przyjemnością w nozdrza woń letniego poranka mimo cienia, jaki w jego umyśle położyły wiadomości od Jacka. W odróżnieniu od niektórych funkcjonariuszy (na przykład Bobby'ego Dulaca) Wściekły Węgier odczytuje słowo w słowo tekst przyklejony taśmą obok aparatu alarmowego.

ARNOLD HRABOWSKI: Halo, tu wydział policji French Landing. Mówi posterunkowy Hrabowski. Tu numer dziewięćset jedenaście. Czy zdarzył się jakiś wypadek?

{Niezrozumiały dźwięk... chrząknięcie? }

A.H.: Halo? Zgłasza się posterunkowy Hrabowski pod numerem dziewięćset jedenaście. Czy...

RO/MÓWCA: Cześć, utrzyjdupo.

A.H.: Kto mówi? Czy stało się coś nagłego?

R: Tobie. Nie mnie. Tobie.

A.H.: Przepraszam, kto mówi?

R: Twój najgorszy koszmar.

A.H.: Proszę pana, czy mógłby się pan przedstawić?

R: Abbalah. Abbalahdoon *{Zapisfonetyczny}*.

A.H.: Proszę pana, nie...

R: Jestem Rybakiem.

{Cisza}.

R: No co? Przestraszyłeś się? I powinienes.

A.H.: Proszę... ehe, proszę pana, za fałszywe wezwania grożą...

R: Są bicze w piekle i łańcuchy w szejolu. *{Być może rozmówca mówi „Szeol”}*.

A.H.: Proszę pana, gdyby mógł pan powiedzieć, jak się nazywa...

R: Moje imię jest legion. Moją liczbą jest mnóstwo. Jestem szczurem pod podłogą wszechświata. Robert Frost tak powiedział. *{Rozmówca się śmieje}*.

A.H.: Jeśli zgodzi się pan poczekać, to połączę z moim przełożonym...

R: Zamknij się i słuchaj, utrzyjdupo. Nagrywasz to? Mam nadzieję. Mógłbym wydymać *{Być może rozmówca mówi „wytrzymać”; słowo nie jest wyraźne}* taśmę, gdybym miał ochotę, ale jej nie mam.

A.H.: Proszę pana, ja...

R: Pocałuj mnie w rzyć, małpo. Zostawiłem wam jedną małą i nudzi mnie, że nie możecie jej znaleźć. Zajrzyjcie do „Ed’s Eats and Dogs”. Pewnie trochę podgniła, ale kiedy była świeża, była bardzo smaczna. *{Rozmówca przeciąga „r”, wskutek czego brzmi to „barrrdzo”}*.

A.H.: Gdzie pan jest? Kto mówi? Jeżeli to żart...

R: Powiedz glinicjantowi, że się przywitałem.

Gdy rozmowa się zaczyna, puls Wściekłego Węgra puka z idealnie przeciętną szybkością sześćdziesięciu ośmiu uderzeń na minutę. Gdy się kończy o 8.12, jego pompka działa na maksymalnych obrotach. Twarz mu pobladła. W połowie rozmowy popatrzył na wyświetlacz numeru, z którym jest połączony, i zapisał go ręką tak drżącą, że cyfry rozkraczają się na trzech liniijkach notesu. Kiedy Rybak się rozłącza, a Hrabowski słyszy dźwięk wolnej linii, jest tak skołowany, że próbuje oddzwonić z czerwonego aparatu, zapominając, że linia 911 jest jednokierunkowa. Uderza palcami w gładki front obudowy aparatu i upuszcza słuchawkę na widelki, klnąc ze strachu. Wygląda, jakby coś go ugryzło.

Hrabowski chwyta słuchawkę czarnego aparatu stojącego obok, zaczyna wystukiwać numer z wyświetlacza, jednak palce okazują mu nieposłuszeństwo i naciska dwa klawisze naraz. Znowu przeklina.

– Coś się stało, Arnie? – pyta Tom Lund, mijając go z kubkiem kawy.

– Wołaj Dale’a! – krzyczy Wściekły Węgier, zaskakując Toma tak bardzo, że ten wylewa sobie kawę na palce. – Wołaj go tutaj, natychmiast!

– Cholera, co ci się st...

– Natychmiast, do diabła!

Tom wpatruje się w Hrabowskiego jeszcze przez chwilę z uniesionymi brwiami, po czym idzie powiedzieć Dale’owi, że Wściekłemu Węgowi chyba naprawdę odbiło.

Dale Gilbertson zjawia się z własnym kubkiem kawy. Pod oczami ma ciemne kręgi, a kąciaki ust uwidaczniają mu się o wiele bardziej niż dawniej.

– Arnie? Co się...

– Odegrajcie ostatni telefon – mówi Arnie Hrabowski. – Myślę, że to był... Halo! – Warczy ostatnie słowo, pochylając się nad biurkiem dyspozytora i spychając papiery na boki. – Halo, kto mówi?

Nasłuchuje.

– Policja, a kto? Posterunkowy Hrabowski, policja French Landing. Proszę mówić. W ogóle kto mówi?

Dale tymczasem nakłada słuchawki na uszy i odtwarza z rosnącą grozą ostatni telefon na linię 911 we French Landing. Och, Boże drogi, myśli. Jego pierwszym – absolutnie pierwszym impulsem jest, by zadzwonić do Jacka Sawyera i prosić o pomoc. Wyc o nią, jak małe dziecko, które wsadziło rękę między drzwi. Potem mówi sobie, żeby wziąć się w garść, że to jego praca, czy mu się to podoba, czy nie, więc lepiej niech weźmie się w garść i ją wykonuje. Poza tym Jack pojechał do Arden z Fredem Marshalllem, by odwiedzić jego oszalałą żonę. Taki przynajmniej miał zamiar.

Równocześnie wokół biurka gromadzą się policjanci: Lund, Tcheda, Stevens. Gdy Dale na nich spogląda, widzi jedynie wielkie oczy i blade, zdezorientowane twarze. A ci na patrolach? Ci na razie po służbie? Nie lepsi. No, możliwe z wyjątkiem Bobby’ego Dulaca. Oprócz zgrozy czuje rozpacz. Och, to koszmar. Ciężarówka bez hamulców, która stacza się ze wzgórza w stronę zatłoczonego szkolnego boiska.

Ściąga słuchawki, robiąc sobie drobne skaleczenie koło ucha i nawet go nie czując.

– Skąd dzwoniło? – pyta Hrabowskiego. Wściekły Węgier odłożył słuchawkę i siedzi nieruchomo jak w transie. Dale łapie go za ramię i potrząsa. – Skąd dzwoniło?!

– Z 7Eleven – odpowiada Wściekły Węgier, a Dale słyszy stęknienie Danny’ego Tchedy. Innymi słowy niedaleko od miejsca, gdzie znaleziono rower zaginionego chłopaka Marshallów. – Właśnie rozmawiałem z panem Rajanem Patelem, sprzedawcą na dziennej

zmianie. Powiedział, że numer, spod którego dzwoniło, należy do automatu telefonicznego tuż pod drzwiami.

– Widział, kto dzwonił?

– Nie. Był za sklepem, bo miał dostawę piwa.

– Jesteś pewien, że to nie Patel.

– No. Patel ma hinduski akcent. Facet na dziewięćset jedenaście... Sam go słyszałeś, Dale. Brzmiał jak każdy.

– Co się dzieje? – pyta Pam Stevens. Domyśla się jednak, podobnie jak wszyscy pozostali. Chodzi tylko o szczegóły. – Co się stało?

Dale jeszcze raz odtwarza rozmowę, tym razem przez głośnik, bo to najszybszy sposób, by byli na bieżąco.

– Jadę do „Ed’s Eats” – mówi w zapadłym pełnym oszołomienia milczeniu. – Tom, jedziesz ze mną.

– Tak jest! – odpowiada Tom Lund; wygląda na prawie chorego z podniecenia.

– Za mną mają jechać jeszcze cztery radiowozy. – Umysł Dale’a niemal całkowicie zamarł; proceduralne szczegóły ślizgają się po nim jak po lodzie. Świetnie mi idzie procedura i organizacja, myśli. Trochę kłopotów sprawia mi tylko złapanie tego przekłętego psychologa. – W każdym po dwóch ludzi. Danny, ty i Pam pojedziecie w pierwszym. Wyjdziecie pięć minut po Tomie i mnie. Pięć minut, co do sekundy, bez świateł i syreny. Postaramy się zachować to w tajemnicy, dopóki zdołamy.

Danny Tcheda i Pam Stevens spoglądają po sobie, kiwają głowami i patrzą z powrotem na Dale’a. Gilbertson patrzy na Arnolda „Wściekłego Węgra” Hrabowskiego. Wylicza kolejne trzy pary; ostatnią mają tworzyć Dit Jesperson i Bobby Dulac. Bobby jest jedynym, na którego obecności naprawdę Dale’owi zależy; pozostali to tylko ubezpieczenie i – niech Bóg sprawi, by nie było to konieczne – środek do kontrolowania tłumu. Wszyscy mają wyjeżdżać w pięciominutowych odstępach.

– Pozwól i mnie jechać – prawie błaga Arnold Hrabowski. – No, szefie, co ty na to?

Dale otwiera usta, by powiedzieć, że Arnie ma zostać na miejscu, ale dociera do niego pełne nadziei spojrzenie w jego wodnistych, brązowych oczach. Nawet mimo wielkiego zamętu w głowie Dale nie potrafi temu nie ulec, przynajmniej w pewnym stopniu. Dla Arniego życie policjanta to zbyt często sterczenie na chodniku koło mijającej go parady.

Niezła mi parada, myśli.

– Powiem ci coś, Arn – mówi. – Kiedy skończysz wszystkie pozostałe telefony, przekręć do Debbie. Jeśli namówisz ją, żeby przyjechała, możesz do nas dołączyć.

Arnold kiwa z podnieceniem głową, a Dale o mało co się • nie uśmiecha. Domyśla się, że Wściekły Węgier ściągnie Debbie do wpół do dziewiątej, nawet jeśli będzie musiał przy wlec ją za włosy jak Alley Opp.

– Kto ma być moją parą, Dale?

– Przyjedź sam – mówi Gilbertson. – W samochodzie DARE, czemu nie? Ale zapamiętaj: jeśli opuścisz to biurko, nim twój zmiennik będzie za nim mógł usiąść w tej samej sekundzie, to jutro będziesz szukał nowej pracy.

– Och, nie martw się – mówi Hrabowski.

Czy jest Węgrem czy nie, w tym momencie mówi jak autentyczny Szwed. Nic dziwnego, gdyż ta część Centralii, w której się wychował, była niegdyś znana jako Swede Town – Szwedko wo.

– Idziemy, Tom – mówi Dale. – Zabierzemy zestaw do zbierania dowodów po...

– Ee... szefie?

– Co, Arnie? – pyta Dale, mając oczywiście na myśli: Czego jeszcze?

– Mam zadzwonić po gości ze stanówki, Browna i Blacka?

Danny Tcheda i Pam Stevens parszczą śmiechem. Tom się uśmiecha. Dale nie idzie za ich przykładem. Jego serce, znajdujące się już w piwnicy, osuwa się jeszcze niżej. *Podpiwniczenie, panie i panowie ~ złudne nadzieje po lewej, przegrane sprawy po prawej. Ostatni przystanek, wszyscy wysiadać.*

Perry Brown i Jeff Black. Zapomniał o nich – ale śmieszne. Brown i Black, którzy prawie na pewno odbiorą mu dochodzenie.

– Wciąż są w motelu Paradise – kontynuuje Wściekły Węgier. – Ale wydaje mi się, że facet z FBI wrócił do Milwaukee.

– Ja...

– I do okręgowki – brnie nieugięcie dalej Węgier. – Nie można o nich zapomnieć. Mam zadzwonić, żeby przysłali najpierw patologa czy wóz ekipy kryminalistycznej?

Wóz ekipy kryminalistycznej to niebieski furgon ford econoline, wyładowany wszystkimi bajerami od szybko schnącego gipsu do pobierania odcisków opon po przenośne studio wideo. Rzeczami, jakimi wydział policji we French Landing nigdy nie będzie dysponował.

Dale stoi w miejscu ze spuszczoną głową, wpatrując się smętnie w podłogę. Zabiorą mu sprawę. Staje się to jaśniejsze z każdym słowem Hrabowskiego. On natomiast nagle pragnie ją utrzymać. Mimo że tak jej nienawidzi i takim napawa go przerażeniem, chce jej z całego serca. Rybak to potwór, ale nie jest to potwór okręgowy, stanowy ani Federalnego Biura Śledczego. Rybak to monstrum z French Landing, potwór Dale'a Gilbertsona, a on chce zatrzymać sprawę z powodów, które nie mają nic wspólnego z osobistym prestiżem czy nawet względami praktycznymi: utrzymaniem się w pracy. Chce jej, bo Rybak obraża wszystko, czego Dale pragnie i potrzebuje, w co wierzy. Są to rzeczy, których nie sposób powiedzieć głośno, nie wychodząc jednocześnie na bredzącego slogany idiotę, lecz mimo to są prawdą. Dale czuje nagły, nonsensowny gniew na Jacka. Gdyby Jack przyłączył się wcześniej, to może...

A gdyby babcia miała wąsy, toby dziadkiem była. Dale musi powiadomić policję okręgową, chociażby po to, by na miejsce zbrodni przyjechał patolog; musi również

poinformować policję stanową w osobach detektywów Browna i Blacka. Zrobi to jednak dopiero wtedy, kiedy sprawdzi, co kryje się za magazynem Goltza na łące. Gdy obejrzy, co Rybak zostawił po sobie. Nie wcześniej, na Boga.

I, być może, dopóki nie podejmie ostatniej próby złapania tego sukinsyna.

– Wyprawiaj ludzi w pięciominutowych odstępach – przypomina. – Tak jak ci tłumaczyłem. Potem ściągnij Debbie, niech przejmie dyżur. Niech ona zadzwoni do policji stanowej i okręgowej. – Zdziwiona mina Arnolda Hrabowskiego powoduje, że Dale ma ochotę krzyknąć, ale jakimś cudem zachowuje cierpliwość. – Chcę mieć trochę wyprzedzenia.

– Och – mówi Arnold, a gdy rzeczywiście to do niego dociera, powtarza: – Och!

– I tylko naszym ludziom możesz powiedzieć o telefonie i co zamierzamy zrobić. Jasne? Pewnie wszcząłbyś panikę. Zrozumiałeś?

– Absolutnie, szefie – odpowiada Węgier.

Dale spogląda na zegarek: 8.26 rano.

– Chodźmy, Tom – mówi. – Ruszamy. *Tempus fugit.*

Wściekły Węgier nigdy nie działał wydajniej i wszystko układa się mu jak we śnie. Nawet Debbie Anderson nie kwęka, że ściągają na dyżur. Mimo to Arnoldowi przez cały czas towarzyszy głos ze słuchawki. Chrapliwy, gardłowy, z ledwie wyczuwalnym akcentem – takim, jakiego mógłby się nabawić każdy mieszkający w tej części świata. Nie ma w tym nic niezwykłego. Mimo to głos dręczy Węgra. Nie dlatego, że facet nazwał go utrzymującym – Arnold słyszał o wiele gorsze obelgi z ust pospolitych sobotnich moczymordów – lecz ze względu na pewne inne szczegóły. *Są bicze w piekle i łańcuchy w szejolu. Moje imię jest legion.* Zdania tego rodzaju. I *abbalah*. Co to jest *abbalah*? Arnold Hrabowski nie wie. Wie tylko, że sam dźwięk tego słowa sprawia, że czuje się paskudnie przerażony. Brzmi, jakby pochodziło z tajemnej księgi, za pomocą której wywołuje się demony.

Kiedy Arnold dostaje pietra, może na to poradzić tylko jedna osoba: jego żona. Wie, że Dale zabronił mu mówić komukolwiek, co się dzieje, i rozumie, dlaczego to zrobił, ale na pewno szef nie mógł mieć na myśli Pauli. Arnie i Paula są małżeństwem od dwudziestu lat i nie traktuje jej jako jakiejś innej osoby. Paula stała się częścią jego samego.

Tak więc (bardziej po to, by pozbyć się paskudnego pietra, niżby plotkować; przynajmniej tyle przyznajmy Arnoldowi) Wściekły Węgier popełnia straszliwą omyłkę, ufając dyskrecji żony. Dzwoni do Pauli i mówi jej, że niecałe pół godziny temu rozmawiał z Rybakiem. Tak, naprawdę z Rybakiem! Mówi jej o ciele, które prawdopodobnie czeka na Dale'a i Toma Lunda w „Ed's Eats”. Paula pyta go, czy z nim wszystko w porządku. Głos jej drży z podziwu i podniecenia, a Wściekły Węgier uznaje to za nader satysfakcjonujące, ponieważ sam czuje podziw i ekscytację. Rozmawiają jeszcze trochę, a gdy Arnold odkłada słuchawkę, czuje się lepiej. Ustąpiła trochę groza wywołana tym surowym, dziwnie wiele wiedzającym głosem przez telefon.

Paula Hrabowski wie, co to dyskrecja; jest ucieleśnieniem dyskrecji. Zwierza się tylko dwóm najlepszym przyjaciółkom o telefonie, jaki Arnie miał od Rybaka, i o ciele w „Ed’s Eats”, wymuszając na nich przyrzeczenie, że dochowają tajemnicy. Obydwie mówią, że nie powiedzą żywemu duchowi. Właśnie dlatego godzinę później, zanim jeszcze zostają zawiadomieni gliniarze ze stanówki, patolog z okręgu i ekipa dochodzeniowa, wszyscy wiedzą, że policja znalazła w „Ed’s Eats” jatkę. Pół tuzina zarżniętych dzieci.

Może więcej.

Rozdział dziesiąty

Gdy radiowóz z Tomem Lundem za kierownicą wysuwa się z ulicy Trzeciej na Chase – z przyzwyczajeniem zgaszonymi światłami i milczącą syreną – Dale wyjmując portfel i zaczyna w nim grzebać – w otrzymanych od ludzi wizytówkach, kilku fotografiach z oślimi uszami, poskładanych karteluzkach z notesu. Na jednej z ostatnich znajduje to, czego potrzebuje.

– Co robisz, szefie? – pyta Tom.

– Nic ci do tego. Prowadź samochód i nie pytaj.

Dale bierze w rękę telefon z gniazdka na desce rozdzielczej, krzywi się i wyciera resztkę cukru pudru z czyjegoś pączka, po czym bez zbytej nadziei wybiera numer telefonu komórkowego Jacka Sawyera. *Zaczyna się uśmiechać*, gdy połączenie zostaje nawiązane po czwartym sygnale, lecz jego uśmiech zmienia się w zdziwienie. Zna głos rozmówcy i powinien go rozpoznać, ale...

– Halo? – mówi osoba, która połączyła się z Dale'em przez telefon komórkowy Jacka. – Przemów teraz, kimkolwiek jesteś, lub na zawsze zachowaj milczenie.

Dale poznaje ten głos. Zidentyfikowałby go natychmiast, gdyby był w domu lub w gabinecie, ale teraz...

– Henry? – pyta, wiedząc, że brzmi to idiotycznie, ale nic nie może na to poradzić. – Wujku Henry, to ty?

Jack steruje pikapem przez most na Tamarack Creek, gdy telefon komórkowy w kieszeni jego spodni zaczyna swe idiotyczne ćwierkanie. Wyjmuje go i stuka nim Henry'ego w grzbiet dłoni.

– Odbierz – mówi. – Od komórek dostaje się raka mózgu.

– I będzie dobrze, jeśli to ja go dostanę, a nie ty?

– Mniej więcej.

– To właśnie w tobie kocham, Jack – mówi Henry i rozkłada telefon nonszalanckim ruchem nadgarstka. – Halo? – A po chwili: – Przemów teraz, kimkolwiek jesteś, lub na zawsze zachowaj milczenie. – Jack patrzy na niego, po czym ponownie spogląda na drogę.

Dojeżdżają do sklepu „U Roya”, gdzie dostają najlepszą zieleninę ci, co rano wstają. – Tak, Dale. Istotnie to twój szanowny... – Henry wsłuchuje się, odrobinę marszcząc brwi, i lekko się uśmiecha. – Jestem z Jackiem w jego samochodzie – mówi. – George Rathbun nie pracuje dziś rano, bo KDCU relacjonuje Letni Maraton w La Riv... – Słucha jeszcze chwilę, po czym mówi: – Jeśli to nokia – a jest nią w dotyku i tak brzmi – to jest cyfrowa, a nie analogowa. Zaczekaj. – Odwraca głowę w stronę Jacka. – Twoja komórka – pyta. – To nokia?

– Tak, ale dlaczego...

– Bo telefony cyfrowe podobno trudniej podsłuchać – odpowiada Henry i mówi dalej do słuchawki: – Jest cyfrowa. Już ci go daję. Na pewno Jack zdoła ci wszystko wyjaśnić.

Henry podaje mu telefon, składa skromnie ręce na podołku i odwraca twarz w stronę okna, jakby rzeczywiście przyglądał się scenerii. Może i tak, myśli Jack. Może w jakiś niesamowity, świrnięty sposób rzeczywiście to robi.

Zatrzymuje się na poboczu drogi 93. Nie tylko nie lubi telefonów komórkowych – myśli o nich jako o obrożach niewolników w dwudziestopierwszowiecznym wydaniu – na dodatek absolutnie nie znosi rozmawiać przez nie podczas jazdy. Poza tym Irma Freneau dziś rano nigdzie się nie wybiera.

– Dale? – mówi.

– Gdzie jesteście? – pyta Dale, a Jack natychmiast się orientuje, że Rybak znowu dał znać o sobie. Żeby tylko nie chodziło o kolejne martwe dziecko, myśli. Nie to, jeszcze nie, proszę. – Dlaczego jesteś z Henrym? Fred Marshall też jest z wami?

Jack mówi mu o zmianie planów i ma kontynuować, gdy Dale mu przerywa:

– Cokolwiek robisz, chcę, żebyś wziął tyłek w troki i pojechał w miejsce blisko Goltza, o nazwie „Ed’s Eats and Dawgs”. Henry pomoże ci je znaleźć. Rybak zadzwonił na posterunek, Jack. Na dziewięćset jednaście. Powiedział, że ciało Irmy Freneau jeszcze tam jest. No, niedokładnie tak, ale użył słowa „mała”.

Dale niezupęłnie bełkocze, ale prawie. Jack dostrzega to tak, jak dobry klinicysta stwierdza objawy u pacjenta.

– Jesteś mi potrzebny, Jack. Naprawdę...

– I tak właśnie tam jedziemy – mówi spokojnie Jack, chociaż w tym momencie nie jadą absolutnie nigdzie, lecz jedynie stoją na poboczu drogi 93, a samochody mijają ich w nieregularnych odstępach.

–Co?

W nadziei, że Dale i Henry mają rację co do zalet technologii cyfrowej. Jack opowiada komendantowi policji French Landing o paczce, jaką dostał dziś rano, zdając sobie sprawę, że Henry przysłuchuje się mu uważnie, chociaż pozornie nadal wygląda przez okno. Mówi Dale’owi, że czapka Tylera Marshalla leżała na pudełku z piórami i stopą Irmy w środku.

– Święty... – komentuje Dale, któremu brakuje tchu. – Święty Boże, kurwa...

– Powiedz mi, co zrobiłeś – mówi Jack.

Dale spełnia jego polecenie. Brzmi to nieźle – przynajmniej na razie – ale Jackowi nie podoba się część związana z Arnoldem Hrabowskim. Wściekły Węgier wywarł na nim wrażenie gościa, który za nic nie będzie zdolny zachowywać się jak prawdziwy policjant, bez względu na to, jak bardzo by się starał. Jego koledzy z Los Angeles nazywali Arniech Hrabowskich tego świata „mózgami na poste restante”.

– A co z telefonem w 7Eleven, Dale?

– To automat – odpowiada Dale takim tonem, jakby zwracał się do dziecka.

– Tak, ale mogły na nim zostać odciski palców – mówi Jack. – To znaczy, na pewno będą na nim miliardy odcisków, ale laboratorium kryminalistyczne zdoła określić najświeższe. Bez trudu. Może Rybak był w rękawiczkach, ale może nie. Jeśli dzwoni, zostawia wizytówki i pisze do rodziców, to wszedł już w drugie stadium. Mordowanie przestało mu wystarczać. Chce się teraz zabawić. Z wami. Może nawet chce, żeby go złapać i powstrzymać, tak jak Syn Sama.

– Telefon. Świeże odciski palców na telefonie. – Dale sprawia wrażenie mocno upokorzonego, a Jackowi ściska się wskutek tego serce. – Jack, nie dam rady. Gubię się.

Jest to coś, czego Jack woli nie komentować.

– Kogo masz, kto mógłby zająć się telefonem? – pyta.

– Chyba Dita Jespersona i Bobby’ego Dulaca.

Jack myśli, że Bobby jest o wiele za dobry, żeby kazać mu tracić czas na telefon pod 7Eleven na obrzeżach miasta.

– Na razie niech ogrodzą telefon żółtą taśmą i pogadają ze sprzedawcą. Potem niech jadą na miejsce.

– Dobra. – Dale waha się, po czym pyta tak przybitym tonem, tak pełnym świadomości całkowitej bezradności, że budzi to w Jacku smutek: – Coś jeszcze?

– Zadzwońeś po policję stanową? Okręgową? Facet z FBI wie? Ten, o którym mówiłeś, że wygląda jak Tommy Lee Jones?

– Ee... – parska Dale. – Właściwie postanowiłem na razie ich nie zawiadamiać.

– Dobrze – odpowiada Jack, a dzika satysfakcja w jego głosie sprawia, że Henry odrywa się od ślepego podziwiania krajobrazu i unosząc brwi, zwraca twarz w stronę swego przyjaciela.

Wznieśmy się ponownie – na skrzydłach orłów, jak powiedziałby pewnie wielebny Lance Hovdahl, luterański pastor z French Landing – i poszybujmy wzdłuż czarnej wstążki drogi 93 z powrotem w stronę miasta. Docieramy do drogi 35 i skręcamy w prawo. Bliżej, po naszej prawej stronie ciągnie się zarośnięta ścieżka, która prowadzi nie do ukrytego skarbcza smoczego złota czy tajemnych kopalni karłów, lecz do osobliwie nieprzyjemnego czarnego domu. Nieco dalej widzimy futurystyczną kopułę magazynu Goltza (no... przynajmniej w latach siedemdziesiątych wydawała się futurystyczna). Zlokalizowaliśmy wszystkie nasze

punkty odniesienia, włącznie z zasłaną kamieniami i porośniętą chwastami drogą, odchodzącą od szosy w lewo. Trakt ten wiedzie do resztek niegdyśszego pałacu grzesznych uciech Eda Gilbertsona.

Sfrunmy na linię telefoniczną po drugiej stronie tej drogi. Nasze ptasie stopki łaskoczą gorące plotki: przyjaciółka Pauli Hrabowskiej, Myrtle Harrington, dzieli się wiadomością o trupie (lub trupach) u Eda z Richiem Bumsteadem, który z kolei przekazuje ją Beezerowi St. Pierre, pogrążonemu w żałobie ojcowi i duchowemu przywódcy Pierońskiej Piątki. Przelatujące po drucie głosy zapewne nie powinny nas cieszyć, mimo to jednak to czynią. Plotka to bez wątpienia ohyda, ale jakże dodaje energii ludzkiemu duchowi.

Wreszcie z zachodu nadjeżdża radiowóz z Tomem Lundem za kierownicą i Dale'em Gilbertsonem na siedzeniu obok. Ze wschodu zbliża się natomiast dodge ram w barwie burgunda, należący do Jacka Sawyera. Równocześnie docierają do drogi prowadzącej do restauracji Eda. Jack daje znak, by Dale jechał pierwszy, i podąża jego śladem. Rozpościeramy skrzydła, wzbijamy się do lotu i ich wyprzedzamy. Lądujemy na zardzewiałej pompie benzynowej Esso, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Jack dojeżdża powoli do częściowo zawalonego budynku, który stoi na terenie porośniętym wysokimi chwastami i nawłocią. Rozgląda się za śladami czyjejs obecności i widzi jedynie świeże wgłębienia opon radiowozu Dale'a i Toma.

– Mamy miejsce wyłącznie dla siebie – informuje Henry'ego.

– Tak, ale na jak długo?

Niedługo, odpowiedziałby Jack, gdyby zadał sobie ten trud. Zamiast tego zatrzymuje pikapa obok radiowozu i wysiada. Henry opuszcza szybę po swojej stronie, ale zgodnie z poleceniem zostaje w środku.

Dawna knajpa Eda była prostym budynkiem długości wagonu towarowego Burlington Northern i o takim samym płaskim dachu. Z południowej strony w jednym z trzech okien kupowało się lody w gałkach. Z północnej można było dostać podłego hot doga lub jeszcze ohydniejszą rybę z frytkami na wynos. W środku znajdowała się mała część z ladą i stołkami z czerwonymi obiciami. Południowy koniec zawalił się do reszty, prawdopodobnie pod ciężarem śniegu. Wszystkie okna są powybijane. Jest trochę graffiti – takatoataka ciągnie druta, żeśmy rznęli Patty Jarvis, aż wyła, TROY KOHA MARYANN – ale nie tyle, ile Jack mógłby oczekiwać. Buchnięto wszystkie stołki z wyjątkiem jednego. Świerszcze prowadzą konwersacje w trawie. Są głośnie, lecz nie tak jak muchy wewnątrz zrujnowanej restauracji. Jest tam mnóstwo much, regularny muszy konwent. I...

– Czujesz to? – pyta go Dale.

Jack kiwa głową. Oczywiście, że czuje. Czuł już dzisiaj ten zapach, tu jest jednak o wiele silniejszy, ponieważ zostało tu więcej Irmy. O wiele więcej, niż zmieściłoby się w jednym pudełku po butach.

Tom Lund wyjął chusteczkę i wyciera szeroką twarz, na której maluje się niepokój. Jest ciepło, ale nie na tyle, by tłumaczyło to pot ściekający po jego brwiach i policzkach. Jego skóra przybrała woskowy odcień.

– Posterunkowy Lund – mówi Jack.

– Hę!?! – Tom podskakuje i ogląda się dość dziko na Jacka.

– Może nie zdołasz powstrzymać wymiotów. Jeśli źle się poczujesz, zrób to tutaj.

Jack wskazuje zarośniętą ścieżkę, jeszcze bardziej wiekową i niewyraźną niż ta, która prowadzi od drogi. Wydaje się, że ta kręta odnoga zmierza w stronę magazynu Goltza.

– Wytrzymam – mówi Tom.

– Wiem, że tak. Jeżeli jednak będziesz musiał zwrócić, nie rób tego na coś, co może okazać się materiałem dowodowym.

– Zabierz się do rozciągania taśmy. Trzeba odgradzić cały budynek – mówi Dale swojemu funkcjonariuszowi. – Jack? Na słówko?

Dale ujmuje Jacka za przedramię i prowadzi z powrotem w stronę pikapa. Chociaż Jackowi krąży po głowie wiele myśli, zauważa, jak silna jest ta ręka. I nie drży. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– O co chodzi? – pyta niecierpliwie Jack, gdy zatrzymują się przy oknie samochodu od strony pasażera. – Chcemy się tam rozejrzeć, zanim zleci się tu cały świat, prawda? O to chodziło, a może...

– Musisz zabrać stopę, Jack – mówi Dale, po czym dodaje: – Cześć, wujku Henry. Szykownie wyglądasz.

– Dzięki – odpowiada Henry.

– O czym ty mówisz? – pyta Jack. – Ta stopa to dowód.

Dale przytakuje.

– Myślę jednak, że ten dowód powinien się znaleźć tutaj. Oczywiście, chyba że podoba ci się myśl o spędzeniu jakichś dwudziestu czterech godzin na odpowiadaniu na pytania w Madison.

Jack otwiera usta, by powiedzieć Dale'owi, żeby nie marnował czasu na wygadywanie nonsensów, po czym zamyka je z powrotem. Nagle dociera do niego, w jaki sposób to, że stopa znalazła się u niego, może zostać odebrane przez ostatnich mądrali w rodzaju detektywów Browna i Blacka. Może nawet przez niepośledniego mądralę w rodzaju Johna Reddinga z FBI. Błyskotliwy gliniarz odchodzi ze służby w niemożliwie młodym wieku i osiedla się w niemożliwie bukolicznym miasteczku French Landing w Wisconsin. Ma mnóstwo pieniędzy, ale źródła jego dochodów są co najmniej mętne. Aż tu nagle, popatrzenie tylko, w okolicy zaczyna działać seryjny morderca.

Może błyskotliwemu gliniarzowi obluzowała się kleпка. Może jest jak ci strażacy, którym tak bardzo się podobają śliczne płomyki, że sami zaczynają się bawić w podpalanie. Na pewno Kolorowa Oblawa Dale'a zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego Rybak przysłał

przedwcześnie emerytowanemu Jackowi część ciała ofiary. I czapkę, myśli Jack. Nie zapominaj o czapce Tylera.

Od razu rozumie, jak czuł się Dale, kiedy Jack powiedział mu, że trzeba odgrodzić kordonem telefon przy 7Eleven. Dokładnie.

– O, rany – mówi. – Masz rację. – Spogląda na Toma Lunda, który pracowicie rozpina żółtą taśmę z napisem: KORDON POLICJI, podczas gdy motyle tańczą mu wokół ramion, a muchy nadal brzęczą jak pijane w cieniach w środku „Ed’s Eats”. – Co z nim?

– Tom będzie trzymał język za zębami – mówi Dale.

Jack postanawia w to wierzyć. Nie uwierzyłby, gdyby chodziło o Węgra.

– Jestem ci coś winien – mówi.

– Ano – przyznaje Henry z siedzenia pasażera. – Nawet ślepiec widzi, że jest ci coś winien.

– Zamknij się, wujku Henry – mówi Dale.

– Tak, *mon capitaine*.

– A co z czapką? – pyta Jack.

– Jeżeli znajdziemy cokolwiek, co wiąże się z Tylerem Marshallem... – Dale urywa i przetyka. – Albo samego Tylera, to ją zostawimy. Jeżeli nie, to na razie ją zatrzymaj.

– Myślę, że właśnie oszczędziłeś mi mnóstwa nieprzyjemności – mówi Jack, prowadząc Dale’a na tył pikapa. Otwiera kasetę z nierdzewnej stali tuż za kabiną, której nie zamknął na klucz, i wyjmuje jeden z plastikowych worków na śmiecie. Z wnętrza dochodzi chlupot wody i szczękanie nielicznych ocalałych kostek lodu. – Powinieneś to sobie przypomnieć, jeśli następny raz zrobi ci się głupio.

Dale całkowicie to ignoruje.

– Ochboże – mówi, czyniąc z tego jedno słowo.

Patrzy na torbę, właśnie wyjętą z worka na śmiecie. Krople wody lepią się do jej przezroczyстых boków.

– Jak to śmierdzi! – mówi Henry z wyraźnym zdenerwowaniem. – Och, biedne dziecko!

– Czujesz to nawet przez plastik? – pyta Jack.

– *Zgadza się*. I stamtąd. – Henry wskazuje zrujnowaną restaurację i wyciąga papierosy. – Gdybym wiedział, zabrałbym słoik vicka i *elproducto*.

Tak czy inaczej, nie ma potrzeby maszerować z plastikową torebką z koszmarną zawartością obok Toma Lunda, który właśnie zniknął z rolką żółtej taśmy za ruiną.

– Wchodź – instruuje cicho Jacka Dale. – Rozejrzyj się i zajmij się tym w torbie, jeśli znajdziesz... no wiesz... ją. Chcę porozmawiać z Tomem.

Jack przechodzi przez pozbawiony drzwi otwór i zanurza się w zgęstniałym zaduchu. Z zewnątrz słychać, jak Dale zleca Tomowi, by wysłał Pam Stevens i Danny’ego Tchedę na koniec drogi dojazdowej, kiedy tylko się pojawią, i że mają pełnić tam funkcję odprawy paszportowej.

We wnętrzu „Ed’s Eats” prawdopodobnie zrobi się jaśniej po południu, lecz na razie jest pogrążone w cieniu, rozświetlonym głównie przecinającymi się, jakby chropowatymi smugami światła. Jack stąpa ostrożnie, żałując, że nie ma latarki, nie chce jednak wracać po nią do radiowozu, dopóki nie zajmie się stopą. (Myśli o tym zadaniu jako relokacji). W kurzu, wśród śmieci i starych, nawianych piór widać ludzkie ślady. Rozmiaru dorosłego człowieka. Pomiędzy nimi kluczą psie tropy. Po lewej Jack dostrzega równy kopczyk odchodów. Omija zardzewiałe resztki przewróconego gazowego rusztu i idzie za obydwojma tropami za porośniętą brudem kontuar. Na zewnątrz zajeżdża radiowóz z French Landing. W środku, w tym mroczniejszym świecie, odgłos much zamienił się w równy zgiełk, a smród... smród...

Jack wyławia z kieszeni chusteczkę i przyciskają do nosa, podążając za śladami do kuchni. Psie odciski mnożą się tutaj, natomiast ludzkie zupełnie znikają. Jack myśli posępnie o kręgu trawy, który wydeptał w drugim świecie, kręgu, do którego nie prowadziła linia zdeptanych źdźbeł.

Pod przeciwległą ścianą obok kałuży zaschniętej krwi leży to, co zostało z Army Freneau. Grzywka jasnych włosów miłosiernie zasłania jej twarz. Nad nią na zardzewiałym kawałku blachy, w przeszłości pewnie służącym jako osłona smażarki, wypisano dwa słowa – Jack jest pewny, że czarnym markerem Sharpie:

Cześć cfiTopaKi

– Ach, kurwa – mówi Dale Gilbertson tuż za jego plecami.

Jack prawie krzyczy.

Na zewnątrz niemal od razu wszystko zaczyna się chrzącić.

W połowie drogi dojazdowej Danny i Pam (bynajmniej nie rozczarowani, że zostali wyznaczeni do służby wartowniczej, po tym jak tylko zobaczyli zapadniętą ruinę jadłodajni i wyczuli roznoszący się wokół niej odór) o mały włos unikają czołowego zderzenia ze starym pikapem International Harvester, pędzącym w przeciwną stronę z prędkością czterdziestu mil na godzinę. Na szczęście Pam skręca radiowozem w prawo, a kierowca pikapa – Teddy Runkelman – w lewo. Pojazdy mijają się o cal i wjeżdżają w trawę po bokach nędznej namiastki drogi. Zardzewiały zderzak pikapa wali w młodą brzoźkę.

Pam i Danny wysiadają z radiowozu z łomoczącymi sercami i chlustającą adrenaliną. Czterej mężczyźni wydostają się z kabiny pikapa jak klauni z samochodziku w cyrku. Pani Morton rozpoznałaby w nich regularną klientelę baru „U Roya”. Nazwałaby ich obibokami.

– Na miłość boską, co tu robicie?! – ryczy Danny Tcheda.

Ręka wędruje mu do rękocyfki pistoletu; po chwili niechętnie ją odsuwa. Zaczyna boleć go głowa.

Mężczyźni (Runkelman jest jedynym, którego funkcjonariusz zna z nazwiska, chociaż wraz z koleżanką rozpoznają pozostałych trzech z widzenia) mają wybałuszone z podniecenia oczy.

– Ileśta ich znaleźli? – wydusza jeden z nich. Pam widzi pryskającą w porannym powietrzu ślinę; na ten widok czuje obrzydzenie. – Ile ten zbir namordował?

Pam i Danny wymieniają pełne przerażenia spojrzenie. Zanim mogą odpowiedzieć, Boże święty, zajeżdża stary Chevrolet bel air z następnymi czterema czy pięcioma mężczyznami. Nie, jest wśród nich jedna kobieta. Zatrzymują się i wysiadają – też wyglądają jak klauni.

Ale to my jesteśmy prawdziwymi błaznami, myśli Pam. My.

Pam i Danny zostają otoczeni przez ośmiu rozhisteryzowanych mężczyzn i jedną rozhisteryzowaną kobietę; wszyscy zarzucają ich pytaniami.

– Do diabła, sam tam pójde i się przekonam! – woła Teddy Runkelman.

Danny zdaje sobie sprawę, że sytuacja za chwilę może się wymknąć spod kontroli. Jeśli ci głupcy dotrą do końca drogi dojazdowej, Dale pierwszy wywierci mu drugą dziurę w dupie i nasypie do niej soli.

– STĄĆ I SIĘ NIE RUSZAĆ! WSZYSCY! – krzyczy Danny i tym razem wyciąga pistolet.

Nigdy wcześniej tego nie robił, a ciężar broni w ręce napawa go obrzydzeniem – ostatecznie to zwykli ludzie, a nie ciemne typy – ale dzięki temu zyskuje ich uwagę.

– To miejsce przestępstwa – dodaje Pam, która wreszcie odzyskała głos. Ludzie mruczą między sobą; zostały potwierdzone ich najgorsze obawy. Pam podchodzi do kierowcy chevroleta. – Jak się pan nazywa? Saknessum? Wygląda pan na Saknessuma.

– Freddy – przyznaje mężczyzna.

– No to wsiadaj do samochodu, Freddy Saknessum, a twoi towarzysze niech też wsiadają i wynoście się stąd do diabła. Nie starajcie się nawet zawracać, bo utkniecie.

– Ale... – zaczyna kobieta; Pam sądzi, że pochodzi z rodu Sangerów – klanu durniów nad durniami.

– Zamknij się i zmiataj – radzi jej Pam.

– A ty masz jechać za nimi – mówi Danny Teddy’emu Runkelmanowi. Modli się do Chrystusa, żeby nie przyjechali następni, bo inaczej przyjdzie im z powrotem kierować paradą na wywrót. Nie wie, jak rozeszły się wieści, co się tu dzieje, i na razie nie może zawracać sobie tym głowy. – Chyba że chcecie zostać oskarżeni o utrudnianie policji śledztwa. Możecie dostać za to pięć lat.

Nie ma pojęcia, czy taki zarzut rzeczywiście można postawić, ale groźba skutkuje lepiej niż widok pistoletu.

Chevrolet rusza na wstecznym; jego tyłem zarzuca na boki. Potem rusza pikap Runkelmana; dwaj mężczyźni stoją na pace i nad kabiną starają się przynajmniej przyjrzeć dachowi dawnej restauracji. Ciekawość sprawia, że mają nieprzyjemnie głupawe miny. Ostatni jedzie radiowóz, spycha stary samochód i jeszcze starszego pikapa tak, jak owczarek zagania stado; światła na dachu teraz się palą. Pam jest zmuszona co chwila hamować. Kierując, puszcza pod nosem ciche wiązanki, jakich nigdy nie nauczyła jej matka.

– I tymi ustami całujesz dzieci na dobranoc? – pyta nie bez podziwu Danny.

– Zamknij się – odpowiada i pyta po chwili: – Masz aspirynę?

– Właśnie miałem zapytać cię o to samo – mówi Danny.

Docierają do głównej drogi w ostatniej chwili. Od strony French Landing jadą trzy następne pojazdy, a jeszcze dwa od strony Centralii i Arden. W rozgrzewającym się powietrzu wyje syrena. Kolejny radiowóz – trzeci z założenia mającej nie rzucić się w oczy kawalkady – wymija gapiów z miasta.

– O, rany – mówi Danny, jakby lada chwila miał się rozpłakać. – Och, rany, och, rany, och, rany. Zapowiada się istny karnawał, a założę się, że stanowi jeszcze nie wiedzą. Jak to zwąchają, to się okocą. Dale się okoci.

– Wszystko będzie dobrze – mówi Pani. – Uspokój się. Po prostu staniemy w poprzek drogi. Wsadź też ten kurewski pistolet do kabury.

– Tak, mamusiu. – Danny chowa broń, podczas gdy Pam pozwala wyminąć się trzeciemu radiowozowi, po czym tarasuje drogę. – No, może uda się nad wszystkim zapanować.

– Oczywiście, że się uda.

Odprężają się nieco. Obydwoje zapomnieli o kawałku starej drogi pomiędzy knajpą Eda i magazynem Goltza, ale mnóstwo ludzi z miasta o nim pamięta. Na przykład Beezer St. Pierre ze swoimi chłopcami. Chociaż Wendell Green o niej nie wie, takie menty zawsze znajdą wejście od tyłu. Kieruje nimi swoisty instynkt.

Rozdział jedenasty

Podróż Beezera rozpoczęła się od szeptania Myrtle Harrington, kochającej żony Michaela Harringtona, przez telefon w ucho Richiego Bumsteada, do którego czuje wielką miętę, mimo że ożenił się z jej prawie najlepszą przyjaciółką Glad (która z kolei padła trupem w kuchni w zdumiewającym wieku trzydziestu trzech lat). Ze swej strony Richie Bumstead ma dość potrawek z makaronem i tuńczykiem oraz szeptanych telefonów od Myrtle, by wystarczyło mu na dwa kolejne wcielenia, obecnie słucha jednak jej szemrania z zadowoleniem, ba, nawet osobliwą ulgą, ponieważ jest kierowcą ciężarówki Spółki Browamiczej „Królewskie Włości” i przynajmniej trochę zaznajomił się z Beezerem St. Pierre’em i resztą chłopaków.

Z początku Richie uważał, że Pierońska Piątka – rośli faceci ze zmierzwionymi włosami po ramiona i skłębionymi brodami, pędzący z grzmotem przez miasto na harleyach – to banda oprychów, ale pewnego piątku stał w kolejce po wypłatę z tym, którego nazywają Myszą. Myszą obejrzał się na niego i walnął tekst, że przez pracę z miłości nigdy nie dostaje się więcej na rękę, i wdali się w rozmowę, od której Richiemu Bumsteadowi zakręciło się w głowie. Gdy dwa dni później po zejściu wieczorem ze zmiany zobaczył, że Beezer St. Pierre i jego kumpel o ksywce Doktorek miały językami na dziedzińcu, zamknął swą furę na noc, podszedł do nich i wdał się w kolejną rozmowę, od której poczuł się, jakby trafił w połączenie sprośnego bluesowego baru i finału „Milionerów”. Ci goście – Beezer, Myszą, Doktorek, Sonny i Kajzer Bili – wyglądają jak rockersi i gotowe poprzetrącać każdemu gnaty mięśniaki, ale są czający. Okazało się, że Beezer jest w „Królewskich Włościach” kierownikiem wydziału specjalnych projektów browamiczych, a pozostali mu podlegają. Wszyscy chodzili do college’ow. Interesowało ich warzenie porządnego piwa oraz dobra zabawa i Richie aż miał ochotę kupić motor i wyluzowywać się w ich towarzystwie, ale jedno długie sobotnie popołudnie i wieczór w Łasze przekonały go, że linia między dobrym ubawem i ostatecznym zatraceniem jest dla niego zbyt subtelna. Nie miał tyle hartu, by obalić dwa kufle „Królewskich Włości”, zagrać przyzwoicie w bilard, osuszyć dwa kolejne kufle, dyskutując o wpływach Sherwooda Andersona i Gertrudę Stein na młodego Hemingwaya, walnąć tego i owego w szczękę, strzelić jeszcze dwa kufle i wyjść z knajpy z na tyle jasną głową, żeby

przejechać się na złamanie karku po wsi, poderwać parę skłonnych do eksperymentu dziewczyn z Madison, wypalić mnóstwo wysokiej jakości trawki i balować do świtu. Trzeba szanować gości, którzy są do tego zdolni i mimo to potrafią utrzymać się w porządnej robocie.

Jeśli chodzi o Richiego, ma obowiązek dać znać Beezerowi, że policja wreszcie się dowiedziała, gdzie jest ciało Army Freneau. Myrtle powiedziała, że Richie ma zatrzymać to w tajemnicy dla siebie, ale jest całkiem pewien, że gdy tylko Myrtle podzieliła się z nim wieściami, natychmiast zadzwoniła do czterech czy pięciu innych osób. Ci ludzie zadzwonią z kolei do swoich najlepszych przyjaciół i ani się człowiek obejrzy, a pół French Landing wyjedzie na trzydziestkępiątkę, żeby być tam, gdzie się coś dzieje. Beezer ma do tego większe prawo niż reszta, może nie?

Niecałe trzydzieści sekund po spławieniu Myrtle Harrington Richie Bumstead sprawdza numer Beezera St. Pierre'a w książce telefonicznej i go wykręca.

– Richie, mam cholerną nadzieję, że nie wciskasz mi kitu – mówi Beezer. – Zadzwonił, tak? – Beezer żąda, żeby Richie wszystko powtórzył. – Ten beznadziejny siusiumajtek w wozie DARE, Wściekły Węgier?... I powiedział, że dziewczynka jest gdzie?... Kurwa, całe miasto tam będzie – mówi Beezer. – Ale dzięki, stary, wielkie dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

Przez chwilę, nim słuchawka łąduje na widelkach, Richie słyszy, że Beezer zaczyna mówić coś, co ginie w ukropie emocji.

W małym domku przy Nailhouse Row Beezer St. Pierre wciera łzy w brodę, delikatnie odsuwa telefon na stoliku o kilka cali i odwraca się do Niedźwiedzicy, swojej konkubiny, swej starej, matki Amy, która naprawdę nazywa się Susan Osgood i która właśnie się w niego wpatruje spod gęstej, jasnej grzywki, wykorzystując palec jako zakładkę do książki.

– Chodzi o małą Freneau – mówi Beezer. – Muszę jechać.

– Jedź – mówi mu Niedźwiedzica. – Weź komórkę i zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

– No – odpowiada. Łapie telefon komórkowy z ładowarki i wsadza go do przedniej kieszeni dzinsów. Zamiast ruszać do drzwi, wtyka dłoń w gęsty, rudobrazowy zarost i nieuważnie przeczesuje go palcami. Nogi wrosły mu w ziemię, jego spojrzenie zrobiło się nieuważne. – Rybak zadzwonił na dziewięćset jedenaście – mówi. – Kurwa, możesz w to uwierzyć? Nie potrafili sami znaleźć małej Freneau, potrzebowali, żeby to on powiedział im, gdzie jest ciało.

– Posłuchaj – odpowiada Niedźwiedzica, wstaje i pokonuje dzielący ich dystans o wiele szybciej, niżby się wydawało możliwe. Przytula swoje szczupłe, niskie ciało do niego. Beezer wciąga w płuca jej czystą, kojącą woń – połączenie mydła i świeżego chleba. – Kiedy dotrzesz tam z chłopakami, od ciebie będzie zależało, czy zdołasz utrzymać ich w karchach. Dlatego musisz nad sobą panować, Beezer. Bez względu na to, jak bardzo jesteś rozgniewany, nie możesz zacząć świrować i tłuc ludzi. Zwłaszcza gliniarzy.

- Domyślam się, że twoim zdaniem nie powinienem jechać?
- Musisz. Po prostu nie chcę, żebyś wylądował w więzieniu.
- Ej – mówi. – Jestem piwowarem, nie łamignatem.
- I o tym nie zapominaj – odpowiada i klepie go po plecach. – Zadzwońisz do nich?

– Z automatu na ulicy. – Beezer dociera do drzwi, schyla się po hełm i wychodzi pewnym krokiem na zewnątrz. Pot ścieka mu po czole i przesącza się przez brodę. Dwoma krokami dociera do motocykla. Kładzie dłoń na siodelku, wyciera czoło i grzmi: – KURWA, RYBAK POWIEDZIAŁ TEMU KUREWSKIEMU WĘGIERSKIEMU GLINIE, GDZIE SZUKAĆ CIAŁA IRMY FRENEAU. KTO JEDZIE ZE MNĄ?

Po obu stronach Nailhouse Row w oknach pojawiają się brodate twarze. Rozlegają się głośne krzyki: „Zaczekaj!”, „Kurwa mać!” i „Już!”. Czterech zwałistych mężczyzn w skórzanych kurtkach, dżinsach i wysokich butach wytacza się z drzwi frontowych. Beezer prawie musi się uśmiechnąć – kocha tych gości, ale czasami przypominają mu postacie z kreskówek. Zanim do niego docierają, zaczyna opowiadać o Richiem Bumsteadzie i telefonie pod 911. Gdy kończy, Myszą, Doktorek, Sonny i Kajzer Bili siedzą na motocyklach i czekają na sygnał.

– Układ jest taki – mówi Beezer. – Dwie rzeczy. Jedziemy tam dla Amy, Irmy Freneau i Johnny’ego Irkenhama, nie dla siebie. Chcemy się upewnić, że wszystko zostanie zrobione, jak należy, i nie rozwalimy nikomu łba, chyba że będą się o to prosić. Czaicie? – Pozostali mruczą, mamroczą i burczą, co ma oznaczać zgodę. Cztery zmierzwione brody podnoszą się i opadają. – I druga sprawa: w końcu rozwalimy komuś łeb. Rybakowi. Bo dość już znosiliśmy ten szajs, a ja jestem zupełnie pewny, że nadeszła nasza kolej wytropić skurwysyna, który zabił moją dziewczynkę... – Głos więźnie Beezerowi w gardle, który wznosi pięść, nim kontynuuje: – I porzucił drugą w tej kurewskiej ruderze przy trzydziestcepiątce. Dorwę tego kurewskiego pojeba w swoje ręce, a kiedy do tego dojdzie, to jego dupa dowie się, co to mój GNIEW!

Jego chłopcy – załoga, obława – wznoszą pięści i wydają okrzyki. Pięć motocykli ożywa z hałasem.

– Przyjrzymy się temu miejscu z trzydziestkiątki, a potem zajedziemy od tyłu drogą za Goltzem – woła Beezer.

Wyjeżdża pod górę na ulicę Chase. Pozostali pędzą w strudze roztrącanego przez niego powietrza.

Toczą się przez miasto: Beezer na czele, Myszą i Sonny praktycznie na jego rurze wydechowej, Doktorek i Kajzer tuż za nimi. Brody powiewają im na wietrze. Ryk motocykli wprawia w drżenie okna sklepu Schmitt’g Allsorts i płoszy jaskółki z markizy kina „Agincourt”. Pochylony nad kierownicą harleya Beezer trochę przypomina King Konga, szykującego się do rozniesienia na strzępy dziecięcego placu zabaw. Po minięciu 7Eleven Kajzer i Doktorek zrównują się z Sonnym i Myszą, zajmują całą szerokość jezdni. Jeden rzut

oka na pędzące drogą postacie wystarcza nadjeżdżającym z przeciwka ludziom, by zjechać na pobocze; kierowcy widzący ich we wstecznych lusterkach skręcają na skraj drogi, wystawiają ręce przez okna i dają im znaki, by ich wyprzedzali.

Gdy Pionońska Piątka zbliża się do Centralii, Beezer mijają mniej więcej dwakroć więcej samochodów, niż powinno się znajdować na wiejskiej drodze w wolny od pracy poranek. Sytuacja jest jeszcze gorsza, niż podejrzewał: Dale Gilbertson na pewno kazał paru gliniarzom zawracać chętnych do zjechania z trzydziestki, ale dwóch policjantów nie poradzi sobie więcej niż z dziesięciomadwunastoma popaprańcami, którzy za wszelką cenę chcą się przyjrzeć, dosłownie przyjrzeć, robocie Rybaka. We French Landing nie ma dość gliniarzy, żeby utrzymać w korbach wszystkich szajbusów, kierujących się na „Ed’s Eats”. Beezer klnie, wyobrażając sobie, że traci kontrolę nad sobą i zamienia bandę popaprańców Rybaka w śledzie od namiotu. Musi panować nad sobą, jeśli zależy mu na współpracy Dale’a Gilbertsona i jego pachółków.

Beezer mijają na czele swoich kompanów dychawiczną starą czerwoną toyotę i przychodzi mu do głowy pomysł tak doskonały, że zapomina napędzić bezrozumnego strachu kierowcy grata, patrząc mu w oczy i warcząc: „Warzę «Królewskie Włości», najlepsze piwo na świecie, tępy burku”. Postąpił tak wobec dwóch kierowców tego ranka i żaden z nich go nie zawiódł. Ci ludzie zasłużyli sobie na takie traktowanie fatalnym prowadzeniem samochodu lub posiadaniem naprawdę szkaradnego rzecha; wyobrażali sobie, że grozi im jakaś groteskowa odmiana seksualnej napaści i zamierali jak króliki – w jednej chwili nieruchomieli jak posągi. Setny ubaw, jak śpiewali mieszkańcy Szmaragdowego Miasta w „Czarnoksiężniku z Oz”. Pomysł, który odrywa uwagę Beezera od nieszkodliwych rozrywek, cechuje się prostotą najwspanialszych natchnień. *Najlepszy sposób na zapewnienie sobie współpracy to jej udzielenie.* Wie dokładnie, jak zmiękczyć Dale’a Gilbertsona; odpowiedź wkłada czapkę baseballową, bierze kluczyki do samochodu i rusza do drzwi. Wszędzie wokół siebie ma części tej odpowiedzi.

Jedną drobną część odpowiedzi siedzi za kierownicą czerwonej toyoty, którą właśnie wyprzedził Beezer ze swoją ekipą. Wendell Green zasłużył sobie na szyderczy komentarz, którego nie usłyszał, z dwóch konwencjonalnych powodów. Być może jego mały samochód nie był z początku zbyt szkaradny, ale obecnie jest tak zniekształcony wskutek licznych stłuczek i zadrapań, że przypomina krzywy uśmiech na kółkach. Green zaś kieruje nim z nieugiętą arogancją, o której on sam myśli jako o „werwie”. Śmiga przez skrzyżowania na żółtych światłach, bezczelnie zmienia pasy i najeżdża ludziom na bagażniki, traktując to jako środek upokarzający. Oczywiście przy najdrobniejszej prowokacji używa klaksonu. Wendell to zagrożenie dla ruchu. Sposób, w jaki obchodzi się ze swoim samochodem, stanowi idealne odbicie jego charakteru – bezmyślności, braku troski o innych i poczucia własnej ważności. W tej chwili prowadzi jeszcze gorzej niż zwykle, bo chociaż stara się wyprzedzić wszystkie

inne samochody na drodze, uwagę skupia głównie na kieszonkowym dyktafonie, który trzyma przy ustach, i przelewa złote słowa równie złotym głosem na tę cenną maszynkę. (Wendell często ubolewa nad krótkowzrocznością miejscowych stacji radiowych, które poświęcają mnóstwo czasu na antenie takim głupcom jak George Rathbun czy Henry Shake, podczas gdy mogłyby wznieść się na nowy poziom, po prostu pozwalając mu na wygłaszanie komentarzy, dotyczących aktualnych wydarzeń, przez godzinę czy dwie dziennie). Ach, jakże rozkoszne jest połączenie słów i głosu Wendella – Edward R. Murrow w swoich najlepszych czasach nigdy nie był tak elokwentny.

Oto co mówi Wendell: *Tego ranka dołączyłem do prawdziwej karawany zaszokowanych, pogrążonych w żalobie i ciekawskich ludzi, którzy ze smutkiem w sercach pielgrzymują krętą, sielską drogą numer 35. Nie po raz pierwszy niżej podpisanego reportera uderzył, i to głęboko, niezmierny kontrast między pięknem i spokojem krajobrazu regionu Coulee a okrucieństwem i szkaradzieństwem, jakiego jedna zdegenerowana istota ludzka dopuszcza się na jego niczym niepodjeżdżającym łonie. Nowy akapit.*

Wieści szerzyły się jak pożar stepu. Sąsiad dzwonił do sąsiada, przyjaciel telefonował do przyjaciela. Według porannego telefonu pod numer 911 na posterunku policji French Landing zmasakrowane ciało małej Irmy Freneau znajduje się w ruinach dawnej lodziarni i kawiarni „Ed’s Eats and Dawgs”. Kto zadzwonił? Z pewnością jakiś solidny obywatel. Ależ skąd, panie i panowie, ależ skąd...

Panie i panowie, to dziennikarstwo z linii frontu, to wiadomości spisywane na gorąco – pojęcie, które szemrze do ucha doświadczonemu dziennikarzowi: „Nagroda Pulitzera”. Wendell Green dostał cynk od gołącego go Roya Royała, ten zaś dowiedział się od swojej żony Tillie Royal, którą z kolei wtajemniczyła sama Myrtle Harrington. Wendell Green spełnia swój obowiązek wobec czytelników: złapał magnetofon i aparat fotograficzny, po czym wypadł do swojego szkaradnego samochodziku, nie zwracając sobie nawet głowy zadzwonieniem do redaktorów z „Heralda”. Nie potrzebuje fotografa; może zrobić wszystkie zdjęcia, jakich potrzebuje, sprawdzonym nikonem F2A, który leży na siedzeniu obok. Idealnie harmonijne połączenie słów i obrazów – przenikliwe studium najkoszmarniejszej zbrodni nowego stulecia – dogłębna analiza natury zła – pełen współczucia portret cierpiącej społeczności – bezlitosne pokazanie nieporadności policji...

Skoro to wszystko przemyka Wendellowi Greenowi przez głowę, gdy jego miodopływne słowa jedno po drugim ściekają do podstawionego do ust dyktafonu, czyż można się dziwić, że reporter nie słyszy nadjeżdżających motocykli ani w ogóle nie zdaje sobie sprawy z obecności Pierońskiej Piątki, dopóki przypadkowo nie ogląda się na bok, zastanawiając się nad kolejną idealną frazą? Ogląda się jednak na bok i z przytępieniem paniki zauważa niecałe dwie stopy po lewej Beezera St. Pierre’a na jego ryczącym harleyu, sądząc po poruszających się wargach Beezera najwyraźniej śpiewa

śpiewa

he?

Nie, niemożliwe. Z doświadczeń Wendella wynika, że Beezer St. Pierre raczej by przeklinał jak marynarz podczas burdy na nadbrzeżu. Gdy po śmierci Amy St. Pierre Wendell, realizujący jedynie prądowe zasady swojego fachu, wpadł pod Nailhouse Row 1 i zapytał pogrążonego w żałobie ojca, jak się czuje ze świadomością, że jego dziecko zostało zarżnięte jak świnia i częściowo zjedzone przez potwora w ludzkim ciele, Beezer ścisnął niewinnego orła dziennikarstwa za gardło, wyrzucił z siebie potok obelg i podsumował je rykiem, że jeśli jeszcze kiedykolwiek ujrzy pana Greena, to urwie mu łeb i wykorzysta resztki szyi w celach seksualnych.

Właśnie ta groźba wywołała chwilową panikę Wendella. Patrzy we wsteczne lusterko i widzi, że kohorta koleżków Beezera gna całą szerokością jezdni jak najeżdżcza armia Gotów. W jego wyobraźni wymachują czaszkami na sznurach z ludzkiej skóry i wrzeszczą, co zrobią z szyją Wendella, gdy urwą mu głowę. Cokolwiek miał podyktować do bezcennego urządzenia, natychmiast ulatuje mu z głowy, łącznie z mrzonkami o Nagrodzie Pulitzera. Ścisną mu się żołądek, pot występuje wszystkimi porami skóry na szerokiej, rumianej twarzy. Lewa ręka drży mu na kierownicy, prawa potrząsa dyktafonem jak kastanietami. Wendell zdejmuje lewą nogę z pedału gazu i osuwa się w fotelu, odwracając głowę tak bardzo w prawo, jak tylko się odważy. Odczuwa przemożną potrzebę wciśnięcia się pod deskę rozdzielczą i udawania embriona. Potężny ryk motorów z tyłu jeszcze narasta; serce ciska się Wendellowi w piersi jak ryba wyciągnięta z wody. Skamle. Łomot jak rzędu orkiestrowych kotłów wstrząsa powietrzem za kruchymi drzwiczkami samochodu.

Wreszcie motocykle go mijają i pędzą dalej drogą. Wendell Green ociera twarz. Powoli nakłania swoje ciało, by usiadło prosto. Serce przestaje wyrwać mu się z piersi. Świat po drugiej stronie szyby, który skurczył się do wielkości muchy domowej, nabiera z powrotem normalnych rozmiarów. Wendellowi przychodzi do głowy, że nie bał się bardziej niż jakikolwiek normalny człowiek na jego miejscu. Poczucie własnej ważności wypełnia go jak hel balon. Większość znanych mu ludzi zjechałaby z drogi, myśli; większość nawaliłaby w gacie. A co zrobił Wendell Green? Trochę zwolnił, to wszystko. Zachował się jak dżentelmen i pozwolił zasańcom z Pierońskiej Piątki się wyminąć. Zdaniem Wendella, jeśli chodzi o Beezera i jego małpy, bycie dżentelmenem to lepsza część odwagi. Przyspiesza, wpatrując się w wyprzedzające go coraz bardziej motocykle.

Dyktafon w jego dłoni wciąż pracuje. Wendell unosi go do ust, oblizuje wargi i stwierdza, że zapomniał, co ma powiedzieć. Czysta taśma przesuwana się ze szpuli na szpulę.

– Cholera – mówi i naciska wyłącznik.

Natchnione frazy i melodyjny rytm rozplynęły się w eterze, być może na dobre. Sytuacja jest jednak o wiele bardziej frustrująca. Wendellowi wydaje się, że wraz z utraconą frazą znikł cały ciąg logicznych wniosków; przypomina sobie zarys co najmniej pół tuzina

przenikliwych artykułów, w których od sprawy Rybaka przeszedłby do... czego? Materiału na pewnego Pulitzera, oczywiście, ale dzięki czemu? Pole w jego umyśle w zarysie pozostało, zachowało kształt, ale znikła wypełniająca kontur treść. Beezer St. Pierre i jego łobuzy uśmiercili coś, co wydaje się Wendellowi największym pomysłem w życiu, a dziennikarz nie ma pewności, że zdoła go kiedykolwiek odtworzyć.

Tak czy inaczej, co te szajbusy na motorach tu robią?

Odpowiedź nasuwa się sama: jakaś szurnięta cikliwa dusza pomyślała, że Beezer powinien wiedzieć o telefonie Rybaka pod 911, dlatego szajbusy na motorach tak jak Wendell pędzą teraz do ruin „Ed’s Eats”. Na szczęście w to samo miejsce jedzie tak wielu ludzi, że Wendellowi pewnie uda się utrzymać z dala od jego nemezis. Nie ryzykując, hamuje i pozwala się wyprzedzić kilku samochodom, by dzieliły go od motocyklistów.

Ruch gęstnieje i zwalnia; w przedzie motocykliści formują pojedynczą linię i przejeżdżają bez zmniejszenia szybkości obok pokrytej pyłem ścieżki, która dochodzi na skróty do prowadzącej do przybytku Eda drogi. Z odległości siedemdziesięciuosiemdziesięciu jardów Wendell widzi dwóch policjantów, mężczyznę i kobietę, starających się przepędzać gapiów. Za każdym razem, gdy zatrzymuje się koło nich nowy samochód, wskazują rękami drogę i odstawiają identyczną pantomimę, która ma na celu skłonić pasażerów do zawrócenia. Dla wzmocnienia ich komunikatu w poprzek polnej drogi stoi radiowóz, uniemożliwiający przejechanie każdemu, kto miałby jakieś głupie pomysły. Widowisko to w ogóle nie zbliża Wendella z pozostałymi, ponieważ prasa ma automatycznie wstęp w takie miejsca. Dziennikarze to medium, ujście, dzięki któremu społeczeństwo może poznać zakazane miejsca i wydarzenia. Wendell Green jest tu przedstawicielem ludu, a poza tym najwybitniejszym reporterem w Wisconsin.

Ujehawszy z wolna kolejnych trzydzieści stóp, zauważa, że zawracającymi ruch policjantami są Danny Tcheda i Pam Stevens, wskutek czego jego pewność siebie ulega zachwianiu. Parę dni temu zarówno Tcheda, jak i Stevens w odpowiedzi na jego pytania, kazali mu się wynosić do diabła. Pam Stevens to i tak wszystkowiedząca suka, która z miażdżenia jaj uczyniła swój zawód. Dlaczego inaczej nieźle się prezentująca babka chciałaby zostać gliną? Stevens pewnie zawróciłaby Wendella z miejsca zbrodni z czystej złośliwości – miałyby z tego frajdę! Wendell domyśla się, że zapewne przyjdzie mu dotrzeć na miejsce ukradkiem. Wyobraża sobie, że czołga się przez pola na brzuchu, i wzdraga się z obrzydzenia.

Przynajmniej będzie miał okazję zobaczyć, jak gliniarze pokażą wała Beezerowi i jego bandzie. Motocykliści mijają kolejnych sześć samochodów bez zwalniania, wobec czego Wendell zakłada, iż zamierzają zrobić szpanerski skręt z poślizgiem, wyminąć dwóch granatowych matołków i przejechać obok radiowozu, jakby go tam w ogóle nie było. I co wtedy zrobią gliny, zastanawia się Wendell – wyciągną gnaty i będą się starać groźnie wyglądać? Oddadzą strzały ostrzegawcze, trafiając się nawzajem w stopy?

Co dziwne, a nawet zdumiewające, Beezer i jego świta harleyowców nie zwracają uwagi na próbujące wjechać na drogę samochody, Tchedę i Pani Stevens ani na cokolwiek innego. Nie odwracają nawet głów, żeby pogapić się na zawaloną rudę, samochód komendanta, pikapa – którego Wendell natychmiast rozpoznaje – ani na mężczyzn stojących na wydeptanej trawie, z których dwoma są Dale Gilbertson i właściciel pikapa, Hollywood Jack Sawyer, ten nadęty kutas z Los Angeles. (Trzeci człowiek, w kapeluszu jak u lodziarza, okularach przeciwsłonecznych i szykownej kamizelce, wydaje się tu całkiem nie na miejscu, przynajmniej Wendellowi; wygląda, jakby zabłąkał się tutaj z jakiegoś starego filmu z Humphreym Bogartem). Nie, motocykliści śmigają koło całego bajzlu, nie oglądając się na boki, jakby chodziło im wyłącznie o to, żeby dojechać do Centralii i urządzić demolkę w Łasze. Wszystkich pięciu sukinsynów jedzie dalej, obojętnych jak stado dzikich psów. Gdy tylko trafiają z powrotem na otwartą drogę, czterech towarzyszy Beezera tworzy za nim szyk równoległy przez całą szerokość drogi. Potem jak jeden mąż skręcają w lewo, wzbijając żwir i wielkie kłęby kurzu, i zawracają ciasnym łukiem. Nie tracąc rytmu – wydaje się, że nawet nie zwalniają – zmieniają szyk na jedendwadwa i mkną z powrotem na zachód, w stronę miejsca zbrodni i French Landing.

A niech mnie szlag, myśli Wendell. Beezer podwinął ogon i się poddał. Ale wymoczek. Grupka zbliżających się motocyklistów rośnie w jego oczach; wkrótce zdumiony Wendell Green potrafi dojrzeć ponury wyraz na również coraz większej twarzy Beezera St. Pierre'a, którą widać spod hełmu.

– Nigdy bym nie pomyślał, że odpuszczisz – mówi Wendell, przyglądając się nadjeżdżającemu Beezerowi. Wiatr rozwał jego brodę na dwie równe części, płózące się w tył po bokach twarzy. Jego oczy za goglami wyglądają, jakby celował wzdłuż lufy strzelby. Myśl, że Beezer może zwrócić to spojrzenie myśliwego na niego, sprawia, że jelita Wendella niebezpiecznie się rozluźniają. – Nieudacznik – mówi niezbyt głośno.

Z ogłuszającym rykiem Beezer mija pociąg toyotę. Reszta Pierońskiej Piątki rozdziera powietrze grzmotem i gna dalej po jezdni.

Dowód tchórzostwa Beezera to balsam dla serca Wendella, lecz gdy przygląda się malejącym motocyklistom w lusterku wstecznym, pomysł nie do zignorowania zaczyna przeskakiwać po synapsach w jego mózgu. Być może Wendell nie jest Edwardem R. Murrowem obecnych czasów, ale jest dziennikarzem prawie od trzydziestu lat i zdołał rozwinąć parę instynktów. Torująca sobie drogę kanałami jego umysłu myśl wzburza serię przypominających fale alarmów, które wreszcie docierają do świadomości. Wendell pojmuje – dostrzega ukryty plan, rozumie, co jest grane.

– No, do jasnej anielki – mówi. Z szerokim uśmiechem naciska klakson, skręca kierownicę w lewo i zawraca, minimalnie uszkodzając zderzak o samochód będący przed nim. – Ty cwany sukinsynu. – Prawie chichocze z zachwytu.

Toyota wyciska się z rzędu zwróconych na wschód pojazdów i zjeżdża na pasy ruchu na zachód. Z kłopotaniem i pierdnięciami rusza tropem przebiegłych motocyklistów.

Wendell Green nie będzie musiał się czołgać przez pola kukurydzy – chytry skurczybyk Beezer St. Pierre zna drogę od tyłu do „Ed’s Eats”! Wystarczy, że nasza reporterska gwiazda będzie trzymała się dyskretnie za nim, a dostanie się na miejsce. Pięknie. Cóż za ironia: Beezer podaje prasie pomocną dłoń – wielkie dzięki, arogancki zbirze. Wendell raczej nie oczekuje, że Dale Gilbertson pozwoli mu kręcić się po miejscu zbrodni, ale trudniej będzie go wyrzucić, niż nie wpuścić. Na pewno będzie miał dosyć czasu, by zadać kilka przenikliwych pytań, zrobić parę niepozostawiających niedomówień zdjęć i – przede wszystkim! – wchłonąć dość atmosfery, by stworzyć jeden z jego legendarnych „barwnych” kawałków.

Z radością w sercu Wendell telepie się drogą z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, nie tracąc jednak motocyklistów z oczu. Coraz mniej jest samochodów, rozproszone grupki po dwa lub trzy, potem kilka pojedynczych wozów. Wreszcie droga robi się pusta. Jakby czekali, aż nikt nie będzie obserwować, Beezer z przyjaciółmi skręcają na podjazd do kopuły z epoki kosmicznej magazynu Goltza.

Wendell czuje niepożądany strumyczek zwątpienia, ale nie zamierza zakładać, że Beezer i jego łobuzy nagle zapalali chęcią kupna traktora czy kosiarki. Przyspiesza, zastanawiając się, czy go nie wypatrzyli i nie starają się zmylić pościgu. O ile wie, na tym wzniesieniu jest tylko salon wystawowy, warsztat i parking. Przeklęty pagórek to poza tym pustkowie. Za parkingiem jest... co? Wendell przypomina sobie, że z boku porośnięte chwastami pole ciągnie się po horyzont, a z drugiej strony rośnie kępa drzew, prawie jak las, ale nie tak gęsta. Z miejsca, do którego dojechał, widzi już drzewa; ciągną się w dół z boku jak wiatrołap.

Nie zwracając sobie głowy sygnalizowaniem, Wendell przejeżdża na tym samym biegu przez linie oddzielające przeciwne kierunki ruchu i dociera do podjazdu magazynu. Dźwięk motocykli jest nadal słyszalny, ale słabszy. Wendella przenika strach, że w jakiś sposób go wykiwali i odjeżdżają, naśmiewając się z niego. Na szczycie wzniesienia zatacza łuk pod salonem wystawowym i wjeżdża na wielki parking. Przed garażem stoją dwa wielkie, żółte ciągniki, ale oprócz toyoty nie widać żadnego innego samochodu. Po przeciwnej stronie pustego parkingu jest sięgający wysokości zderzaka cementowy murek, dzielący asfalt od okolonej drzewami łąki. Po drugiej stronie linii drzew murek kończy się pętlą nawierzchni, która znika za salonem wystawowym.

Wendell skręca kierownicę i podjeżdża w pędzie do murku po przeciwnej stronie parkingu. Słyszy jeszcze motocykle, ale w tej chwili ich odgłos przypomina brzęczenie roju pszczoł w oddali. Znajdują się jakieś pół mili dalej. Wendell namyśla się, po czym wyskakuje z toyoty. Wsadza dyktafon do kieszeni marynarki, zawiesza nikona na szyi i przeskakuje przez murek na łąkę. Nim dociera do linii drzew, widzi splekane i poprzerastane trawą resztki starej makadamowej drogi, biegnącej w dół stoku pomiędzy drzewami.

Wendell ocenia – na wyrost – że dawna knajpa Eda jest około mili stąd i zastanawia się, czyjego samochód zdoła pokonać taką odległość po nierównej, pełnej dziur nawierzchni. Miejscami makadam popękał na podobieństwo płyt tektonicznych; gdzie indziej rozkruszył się, pozostawiając czarny żwir. Spod krętych korzeni drzew rozchodzą się zarośnięte chwastami bruzdy i błotniste doły. Człowiek na motocyklu może wytrzymać podskakiwanie na tych nierównościach, Wendell dochodzi jednak do wniosku, że pieszo dotrze tam łatwiej niż toyotą. Rusza starą drogą między drzewami. Z tego, co zdołał wydedukować jeszcze na drodze, zostało mu sporo czasu do przyjazdu patologa i ekipy kryminalistycznej. Nawet mimo pomocy sławnego Hollywooda Sawyera miejscowi gliniarze kręcą się w kółko jak kurczaki z odciętymi łbami.

Dźwięk motocykli narasta w miarę, jak Wendell idzie dalej, co sugeruje, że chłopcy zatrzymali się po dotarciu do końca starej drogi, by naradzić się, co dalej. Doskonale. Wendell ma nadzieję, że będą mleć jezorami, aż prawie do nich dotrze; ma nadzieję, że wrzeszczą na siebie i wymachują pięściami. Chce widzieć, że wylewają się im skrzelami wściekłość i adrenalina. Swoją drogą ciekawe, co te dzikusy mają w torbach przy siedzeniach. Wendell byłby szczęśliwy, gdyby zrobił zdjęcie Beezerowi, który wybija Dale'owi Gilbertsonowi przednie zęby dobrze wymierzonym prawym lub zakłada Nelsona kumplowi komendanta – Sawyerowi. Fotografiją, na której Wendellowi zależy najbardziej i dla której zdobycia jest gotowy przekupić każdego policjanta, funkcjonariusza okręgowego, urzędnika stanowego czy niewinnego świadka, zdolnego do nadstawienia łapy, jest dobre, czyste, dramatyczne zdjęcie nagiego ciała Irmy Freneau. Najlepiej niepozostawiające wątpliwości co do natury bezceństw Rybaka. Dwie fotografie byłyby idealne – jedna twarzy dla dramatyizmu, druga całego ciała dla zboczeńców – ale w razie konieczności zadowolony się tą drugą. Taka fotka okrążyłaby świat, przynosząc po drodze miliony. Sam „National Enquirer” wysupłałby – ile? dwieście tysięcy, trzysta? – za fotografię biednej małej Irmy z wszystkimi okaleczeniami wyraźnie widocznymi na jej rozciągniętych zwłokach. Co tu mówić o kopalniach złota, co tu mówić o wygranych na loterii!

Gdy Wendell ma za sobą około jednej dziesiątej mili żalostnej starej drogi i wciąż dzieli uwagę między radowanie się krociami, jakimi mała Irma napelni jego kieszenie, a obawę, że się przewróci i skręci kostkę, rejwach harleyów Pierońskiej Piątki nagle cichnie. Powstała cisza wydaje się bezgraniczna, lecz wkrótce wypełnia się innymi, spokojniejszymi odgłosami. Wendell słyszy swoje ziajanie oraz inny dźwięk: dobiegającą zza jego pleców kombinację dudnienia i grzechotania. Obraca się i zauważa daleko na paskudnej drodze wlokący się w jego stronę wiekowy pikap.

Prawie śmieszny jest sposób, w jaki samochód kołysze się z boku na bok, gdy jego koła na zmianę wpadają w niewidoczne zagłębienia lub podskakują na wypukłościach. To znaczy, byłoby to śmieszne, gdyby ci ludzie nie wtargnęli na prywatną drogę Wendella prowadzącą do ciała Irmy Freneau. Za każdym razem, gdy pikap wspina się na szczególnie sękaty korzeń

drzewa, cztery ciemne głowy w kabinie podskakują jak marionetki. Wendell robi krok do przodu, zamierzając odesłać tych frajerów tam, skąd się wzięli. Zawieszenie samochodu trze o płaski głaz, który krzesze iskry z podwozia. Grat musi mieć najmarniej trzydzieści lat, myśli Wendell – jest to jeden z nielicznych pojazdów na drogach, które prezentują się jeszcze gorzej od jego samochodu. Gdy pikap podjeżdża bliżej, Wendell rozpoznaje jego markę: International Harvester. Zardzewiały zderzak dekorują chwasty i gałązki. Czy IH w ogóle produkuje jeszcze pikapy? Wendell podnosi rękę jak świadek podczas zaprzysiężenia, a samochód podskakuje jeszcze przez kilka stóp i staje. Jego lewa strona jest wyraźniej wyżej od prawej. Przez ciemności panujące pod drzewami Wendell nie może przyjrzeć się dokładnie twarzom gapiącym się na niego przez przednią szybę, ale wydaje się mu, że co najmniej dwie są znajome.

Mężczyzna za kierownicą wystawia głowę przez okno.

– Siemanko, panie Wielki Reporterze – mówi. – Tobie też zatrzasnęli drzwi przed nosem?

Jest to Teddy Runkelman, regularnie przykuwa uwagę Wendella, kiedy ten zapoznaje się z dziennymi raportami policji. Pozostali trzej ludzie w kabinie po dowcipie Teddy’ego rzą jak osły. Wendell poznaje dwóch z nich: Freddy’ego Saknessuma, członka klanu wyrzutków, który rozplenił się w licznych rozlatujących się barakach nad rzeką, oraz Tootsa Billingera, żyłastego wyrostka, utrzymującego się jakimś cudem ze sprzedaży złomu w La Riviere i French Landing. Toots był aresztowany za wiele trzeciorzędnych przestępstw, lecz nigdy nie został skazany. Flejtuchowatej, zaniedbanej kobiety siedzącej między Freddyem i Tootsem Wendell nie potrafi zidentyfikować, chociaż jest mu skądś znajoma.

– Cześć, Teddy – mówi Wendell. – Cześć, Freddy, Toots. Nie, jak się rozejrzałem, jaki bajzel jest z frontu, postanowiłem dostać się tylnym wejściem.

– Hej, Wendell, se mnie nie przypominasz? – mówi odrobinę żałośnie kobieta. – Doodles Sanger – na wypadek gdyby zupełnie nawaliła ci pamięć. Zaczynałam z całą paczką szpeniów we „Freddy’s Bel Air”, a Teddy był z inną paczką, ale jak Panna Suka nas przegoniła, to cała reszta chciała wrócić na knajpiane stołki.

Oczywiście, że Wendell ją sobie przypomina, chociaż zniszczona twarz, którą ma przed sobą, niewiele przypomina oblicze rozrywkowej Doodles Sanger, roznoszącej dziesięć lat temu drinki w hotelu Nelson. Zdaniem Wendella wylano ją przede wszystkim za picie w pracy, a nie złodziejstwo, chociaż Bóg jeden wie, że robiła i jedno, i drugie. W tamtych czasach Wendell zostawiał mnóstwo szmalu w hotelowym barze. Próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wskoczył do wyra z Doodles. Woli zagrać bezpiecznie.

– Kurczę, Doodles, jak mógłbym zapomnieć takiego słodkiego kociaka jak ty? – mówi.

Chłopaki rechoczą w najlepsze z tego tekstu. Doodles kuksa Tootsa Billingera w rachityczne zębra i rozciąga w uśmiechu usta.

– Nu, dzinkuje, szanowny panie.

Nie ma co, dymał ją.

Jest to idealna pora do zapędzenia tych kretynów z powrotem do ich szczurzej nory, ale na Wendella spływa natchnienie.

– Czy moi czarujący znajomi nie chcieliby udzielić pomocy przedstawicielowi prasy i zarobić przy okazji pięćdziesięciu zielonych?

– Na twarz czy na wszystkich? – pyta Teddy Runkelman.

– Dajcie spokój. Na wszystkich – odpowiada Wendell.

– Po dwadzieścia na twarz, zgoda, szucho? – mówi Doodles, pochylając się do przodu. – Jak się zgodzimy zrobić, co zechcesz.

– Och, łamiesz mi serce – mówi Wendell.

Wyciąga portfel z tylnej kieszeni i wyjmuje cztery dwudziestki. Zostaje mu tylko dziesiątka i trzy jednodolarówki, za które musi przetrwać do końca dnia. Ludzie z pikapa odbierają zapłatę i błyskawicznie ją chowają.

– Teraz słuchajcie, co macie zrobić – mówi Wendell i pochyla się do okna samochodu, w stronę przypominających dynie z Halloween twarzy pasażerów.

Rozdział dwunasty

Kilka minut później pikap zatrzymuje się pomiędzy ostatnimi drzewami, gdzie makadam ustępuje miejsca chwastom i wysokiej trawie. Motocykle Pierońskiej Piątki stoją w równym rzędzie kilka jardów w przodzie i po lewej. Wendell, który zajął miejsce Freddy'ego Saknessuma na siedzeniu, wysiada i robi kilka kroków naprzód, mając nadzieję, że ubranie nie przesiąkło mu smrodem wyschniętego potu, niemytych ciał i na pół przetrawionego piwa, roztraczanym przez jego współpasażerów. Słyszy, że Freddy zeskakuje z tyłu samochodu, podczas gdy pozostali wysiadają i zatrząskują drzwiami, robiąc nie więcej niż dwakroć tyle hałasu, ile potrzeba. Ze swojej pozycji Wendell widzi jedynie bezbarwną, gnijącą tylną ścianę „Ed's Eats”, wznoszącą się z gęstej kępy dziko rosnącej marchwi i lili tygrysich. Dobiegają do niego zniżone głosy, w tym Beezera St. Pierre'a. Wendell szybko sprawdza nikona, zdejmując pokrywę obiektywu i nawija nową rolkę filmu, po czym powoli i cicho mija motocykle i zachodzi z boku walący się budynek.

Wkrótce widzi już zarośniętą drogę dojazdową i pełniący funkcję zaporę radiowóz. Bliżej głównej drogi Danny Tcheda i Pam Stevens szarpią się z pół tuzinem mężczyzn i kobiet, którzy zostawili samochody jak zabawki w nieładzie. Jeśli Tcheda i Stevens mieli odegrać rolę tamy, to w zaporze tej niedługo pojawią się poważne dziury. Dla Wendella to dobra wiadomość: maksymalny zamęt da mu o wiele więcej swobody i zapewni bardziej barwny materiał na artykuł. Żałuje, że w tej chwili nie może skorzystać z dyktafonu.

Niedoświadczenie podwładnych komendanta Gilbertsona wyszło w pełni na jaw podczas nieskutecznych starań funkcjonariuszy Tchedy i Stevens, by zawrócić tych obywateli, którzy pragnęli być świadkami ostatniego dowodu szaleństwa Rybaka... Ach, coś tam, coś tam, potem: lecz niżej podpisany reporter zdołał znaleźć się w centrum wydarzeń, gdzie z dumą i pokorą przyjął rolę oczu i uszu czytelników...

Wendell nie znosi tracić tak doskonałego materiału, bo nie jest pewien, że zdoła go zapamiętać, ale nie śmie ryzykować, że zostanie usłyszany. Podchodzi bliżej frontu „Ed's Eats”.

Do pokornych uszu społeczeństwa dociera zaskakująco przyjazna rozmowa Beezera St. Pierre'a i Dale'a Gilbertsona, którzy stoją na wprost wejścia; pokorne oczy społeczeństwa zauważają wchodzącego w pole widzenia Jacka Sawyera z pustą plastikową torbą i kołyszącą się między palcami jego dłoni czapką baseballową. Pokorny nos społeczeństwa donosi o naprawdę koszmarnym fetorze, gwarantującym obecność rozkładającego się ciała w obskurnej przybudówce po prawej. Jack porusza się nieco szybciej niż zwykle i chociaż jest jasne, że po prostu wraca do swojego pikapa, cały czas rozgląda się na boki.

Co się tu dzieje? Złoty Chłopiec zachowuje się bardziej niż odrobinę ukradkowo. Zachowuje się w istocie jak sklepowy złodziej, właśnie chowający lup pod płaszcz, a takie postępowanie nie przystało złotym chłopcom. Tu jesteś, Jack, stary brachu, druhu mój, kamracie, elegancki jak nowy banknot i dwakroć bardziej nieprzystępny. Zrób teraz ładną minę do aparatu, zobaczmy, co trzymasz w rączce, dobra? Wendell robi zdjęcie i patrzy przez wizjer, jak Jack podchodzi do pikapa. Wendell myśli, że Złoty Chłopiec zamierza włożyć te rzeczy do schowka na rękawiczki i nie chce, by ktokolwiek to widział. Szkoda, mały, jesteś w Ukrytej Komerze. Szkoda również dla dumnych, lecz pokornych oczu i uszu okręgu French, gdyż po dojściu do samochodu Jack nie wsiada do środka, lecz przechyla się przez burtę i grzebie przy czymś z tyłu, oferując naszemu szlachetnemu żurnaliście wspaniały widok na swoje plecy i nic więcej. Szlachetny żurnalista mimo wszystko robi zdjęcie, by tworzyło sekwencję z następną fotografią, na której Jack Sawyer odchodzi od pikapa z pustymi rękami, nie zachowując się już ukradkowo. Pochował swoje paskudne skarby, sprzątnął je ludziom sprzed oczu, lecz cóż czyniło te rzeczy skarbami?

W tym momencie Wendell Green czuje się, jakby trafił weń piorun. Skóra marszczy się mu na ciemieniu, kędzierzawe włosy grożą wyprostowaniem. Wielka historia stała się właśnie niewiarygodnie wielka. Diaboliczny Morderca, Zmasakrowane Zwłoki Dziecka i... Upadek Bohatera! Jack Sawyer wychodzi z ruin z plastikową torbą i czapką baseballową w rękach, stara się upewnić, że nikt go nie obserwuje, po czym chowa je w swoim samochodzie. Znalazł te rzeczy w „Ed's Eats” i chowa je pod nosem swojego przyjaciela i admiratora Dale'a Gilbertsona. Złoty Chłopiec zabrał dowody z miejsca zbrodni! Wendell zaś zarejestrował to na kliszy. Wendell ma haka na Jacka Sawyera, który wyżej sra, niż dupę ma. Wendell strąci go z piedestału jednym przepotężnym ciosem. Rany, och, rany! Wendell ma ochotę tańczyć i nie potrafi się powstrzymać; wykonuje niezgrabny podskok z cudownym aparatem w rękach i dumnym uśmiechem na twarzy.

Czuje się tak dobrze, tak triumfalnie, że niemal postanawia się zwijać i dać sobie spokój z czwórką bęcwałów, czekających na jego sygnał. Ale, ale, nie ma co się roztkliwiać. Sprzedawane w supermarketach brukowce pragną pięknej, odrażającej fotografii trupa Army Freneau, a Wendell Green jest człowiekiem, który im jej dostarczy.

Wendell robi kolejny ostrożny krok ku frontowi zrujnowanego budynku i widzi coś, od czego staje jak wryty. Czterech harleyowców poszło do końca zarośniętej drogi i najwyraźniej

pomaga Danny'emu Tchedzie i Pam Stevens przeganiać ludzi, pragnących uraczyć się widokiem nieboszczyków. Teddy Runkelman słyszał, że Rybak zadołował w tej ruderze co najmniej sześć, może osiem zjedzonych do połowy dzieciaków; im wieści zataczają szersze kręgi, tym bardziej stają się sensacyjne. Dlatego też gliniarzom przyda się dodatkowa pomoc, ale Wendell żałuje, że Beezer i jego komando pomagają utrzymać ludzi w ryzach, zamiast ich jeszcze podburzać. Dziennikarz dochodzi do rogu budynku i wygląda, by widzieć wszystko, co się dzieje. Jeśli ma dostać to, po co tu przyszedł, musi poczekać na idealną chwilę.

Drugi radiowóz miejscowej policji przepycha się między stojącymi na drodze 35 samochodami, mija wóz Tchedy i zakręca na chwastach i żwirze przed dawną restauracją. Wsiadają, z niego dwaj dość młodzi policjanci, nazywający się Holtz i Nestler. Podchodzą do Dale'a Gilbertsona, z całych sił starając się ignorować roztaczający się wkoło smród. Wendell widzi, że chłopcy mają jeszcze większe trudności z ukryciem zaskoczenia i niepokoju, gdy widzą swojego przełożonego, który w najlepsze przyjaźnie gawędzi z Beezerem St. Pierre'em; zapewne podejrzewają go o miriad niewykrytych przestępstw. To chłopaki ze wsi, którzy nie zdołali skończyć college'u filii uniwersytetu stanu Wisconsin w River Falls, dzielący się jedną pensją i tak bardzo starający się sprawdzić jako policjanci, że są skłonni wszystko widzieć w czarnobiałych barwach. Dale ich uspokaja, a Beezer, mogący podnieść jedną ręką ich obu i stłuc im czaszki jak skorupki jajek na miękko, uśmiecha się łaskawie. W odpowiedzi na słowa Dale'a – zapewne rozkazy – chłopcy z policji wracają truchtem na drogę, po drodze rzucając pełne uwielbienia spojrzenia na Jacka Sawyera. Biedne palanty.

Jack podchodzi do Dale'a na małą pogaduszkę. Fatalnie, że Dale nie wie, iż jego kumpel ukrywa dowody – ha! A może, zastanawia się Wendell, Dale wie – on też bierze w tym udział? Jedno jest pewne: wszystko wyjdzie w praniu, kiedy „Herald” wydrukuje zdjęcia.

Tymczasem gość w słomkowym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych stoi w miejscu z rękami założonymi na piersi. Wygląda na pewnego siebie i pogodnego, jakby wszystko było pod kontrolą, i nawet smród nie psuje mu humoru. Wendell myśli, że ten facet to jakiś ważny zawodnik. To on tu rządzi. Złoty Chłopiec i Dale chcą sprawić mu przyjemność; widać to po ich mimice. Traktują go z wyczuwalnym szacunkiem, z ustępliwością. Jeśli coś ukrywają, to dla niego. Ale dlaczego? I kto to jest, u diabła? Gość jest w średnim wieku, gdzieś po pięćdziesiątce, pokolenie starszy od Dale'a i Jacka. Ubiera się zbyt modnie, żeby mieszkać na wsi, więc pewnie jest z Madison albo Milwaukee. Zdecydowanie nie jest gliną, ale nie wygląda też na biznesmena. Skurczysyn polega wyłącznie na sobie; aż to od niego bije.

Po chwili kolejny radiowóz pokonuje zaporę przy drodze 35 i mija kolegów. Złoty Chłopiec i Gilbertson podchodzą do samochodu i witają się z Bobbym Dulakiem i drugim gliniarzem, tłuściochem Ditem Jespersonem, ale facet w kapeluszu nawet nie patrzy w ich stronę. No, ale równiacha. Stoi sobie sam i zachowuje się jak generał na paradzie. Wendell

patrzy, jak tajemniczy nieznajomy wyjmując papierosa, przypala go i wydmuchuje pióropusz białego dymu. Jack i Dale prowadzą nowo przybyłych w stronę dawnej restauracji, a facio dalej pali papierosa, absolutnie się izolując od tego, co się wokół dzieje. Wendell słyszy przez przegniłą ścianę, jak Dulac i Jesperson skarżą się na zapach; potem jeden z nich stęka „Uch!”, gdy widzi ciało.

– Cześć, chłopcy? – mówi Dulac. – Kurwa, to prawda? Cześć, chłopcy?

Głosy pozwalają Wendellowi dość dobrze zorientować się, gdzie leży ciało – pod przeciwległą ścianą.

Zanim szuranie stóp oznajmia, że trzech policjanci i Sawyer wracają do frontowej części restauracji, Wendell wychyla się, wycelowuje aparat i robi zdjęcie tajemniczemu mężczyźnie. Ku jego przerażeniu Ptaszek w Kapeluszu natychmiast ogląda się w jego stronę.

– Kto mi zrobił zdjęcie? – pyta.

Wendell cofa się gwałtownie i znika za węglem, ale wie, że facet na pewno go zobaczył. Ciemne okulary były zwrócone prosto w jego stronę! Gość ma słuch jak nietoperz – wychwycił trzask migawki.

– Wyjdz – rozlega się jego głos. – Nie ma sensu się chować; wiem, że tam jesteś.

Ze swojego uszczuplonego punktu obserwacyjnego Wendell z trudem dostrzega wóz policji stanowej, za którym jedzie pontiac programu DARE z French Landing, obydwa samochody przebijają się przez zator u podnóża podjazdu. Wygląda na to, że sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. O ile Wendell się nie myli, jeden z harleyowców wyciąga jakiegoś mężczyznę przez okno ładnego, zielonego oldsmobile’a.

Nie ma co, czas wzywać kawalerię. Wendell cofa się od frontu budynku i macha swojej drużynie.

– Juhuuu! – wrzeszczy Teddy Runkelman.

Doodles przeciąga się jak kocica w rui. Czterech asystentów Wendella mija go w pędzie, robiąc tyle wrzawy, ile tylko mógłby sobie życzyć.

Rozdział trzynasty

Danny Tcheda i Pam Stevens mają już pełne ręce roboty z przepędzaniem chętnych do władowania się do „Ed’s Eats”, kiedy słyszą dźwięk pędzących w ich stronę motocykli; tylko pojawienia się Pierońskiej Piątki brakuje im, żeby uznać dzień za prawdziwy sukces. Spławienie Teddy’ego Runkelmana i Freddy’ego Saknessuma było dość łatwe, lecz niecałe pięć minut później prowadzące na wschód pasy drogi 35 zapełniają się ludźmi myślącymi, że mają wszelkie prawo pogapić się na dziecięce zwłoki, ponoć złożone w ruinach dawnej restauracji. Na miejsce każdego samochodu, który udaje się zawrócić policjantom, pojawiają się dwa nowe. Wszyscy domagają się tłumaczeń, dlaczego jako podatnikom i zatroskanym obywatelom nie pozwala im się wejść na miejsce zbrodni, zwłaszcza tak tragicznej, tak dojmującej, tak... no, ekscytującej. Większość nie chce uwierzyć, że w zawałonym budynku jest tylko jedno ciało – Irmy Freneau; trzech ludzi z rzędu oskarża Danny’ego, że uczestniczy w tuszowaniu prawdy, a jeden z nich posługuje się nawet określeniem: „Rybakgate”. Jejciu. W obłądny sposób wielu tych padlinożerców prawie wierzy w to, że miejscowa policja kryje Rybaka.

Niektórzy przebijają różańcami w dłoni, pomstując na Danny’ego. Jedna paniusia wymachuje mu przed twarzą krucyfiksem i mówi, że Danny ma brudną duszę i skończy w piekle. Co najmniej połowa zawracanych przez niego ludzi trzyma w dłoniach aparaty fotograficzne. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby wyruszyć w sobotnie przedpołudnie w celu fotografowania martwych dzieci? Danny’ego dobija myśl, że ci wszyscy ludzie uważają się za całkowicie normalnych. Kto jest popaprany? On.

– Młody człowieku, najwyraźniej jako jedyny człowiek w tym okręgu nie zdajesz sobie sprawy, że tutaj rodzi się historia – mówi mąż – połowa starszej pary z Maid Marian Way. – Madge i ja uważamy, że mamy prawo mieć pamiątkę.

Pamiątkę?

Spocony, zdeprymowany i mający kompletnie dosyć Danny traci opanowanie.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości, facet – mówi. – Gdyby to ode mnie zależało, ty i twoja uroczą żonka moglibyście odjechać z zakrwawioną koszulką, może nawet odciętym palcem czy dwoma w bagażniku. Ale co ja mogę? Komendant to bardzo nierozsądny gość.

Mężczyzna z Maid Marian Way zmywa się, zbyt zaszokowany, by odpowiedzieć. Następny klient w kolejce zaczyna wrzeszczeć w chwili, gdy Danny pochyla się w stronę okna jego samochodu. Wygląda dokładnie tak, jak Danny wyobraża sobie George'a Rathbuna, ma jednak bardziej chrapliwy i odrobinę wyższy głos:

– Nie myśl, że nie widzę, co robisz, pacanie!

Danny odpowiada, że bardzo dobrze, bo właśnie pilnuje miejsca zbrodni, a gość w typie George'a Rathbuna, który kieruje starym, niebieskim dodge'em caravanem, pozbawionym przedniego zderzaka i lusterka po prawej stronie, drze się:

– Siedzę tutaj dwadzieścia minut, podczas gdy ty i twoja damulka dłubiecie se w nosie! Mam nadzieję, że nie będziecie zaskoczeni, jak tu dojdzie do jakiegoś SAMOSĄDU!

W tej właśnie pełnej czułości chwili Danny słyszy niedający się z niczym pomylić ryk motorów Pierońskiej Piątki, pędzącej w jego stronę. Danny nie odzyskał dobrego samopoczucia od chwili znalezienia roweru Tylera Marshalla przed domem starców, a myśl o szarpaninie z Beezerem St. Pierre'em napelnia mu mózg ciemnym, oleistym dymem i kołującymi, czerwonymi iskrami. Opuszcza głowę i wpatruje się prosto w oczy zaczerwienionemu sobowtórowi George'a Rathbuna.

– Jeżeli będzie się pan zachowywał tak, jak do tej chwili – mówi Danny niskim, śmiertelnie monotonnym głosem – to zakuję pana w kajdanki, wsadzę na tył mojego radiowozu i zaczekam, aż będę mógł opuścić to miejsce, potem zawiozę pana na posterunek i oskarżę o wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy. Obiecuję. A teraz zrób pan sobie przysługę i zmiataj stąd do diabła.

Mężczyzna otwiera i zamyka usta jak ryba. Na jego już zarumienionej twarzy o obwisłych policzkach pojawiają się jaskrawoczerwone placki. Danny nadal wpatruje się mu w oczy, prawie mając nadzieję, że będzie miał pretekst, by go skuć i zostawić w radiowozie, żeby się tam smażył. Facet rozważa różne możliwości i ostrożność triumfuje. Opuszcza oczy, wrzuca wsteczny bieg i prawie ładuje się na stojącą za nim miatę.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – mówi Pam. – Co za tępy taki owaki wszystko wypaplał?

Podobnie jak Danny przygląda się, jak Beezer z przyjaciółmi nadjeżdżają z grzmotem w ich stronę wzdłuż rzędu nieruchomych samochodów.

– Nie wiem, ale miałbym ochotę wsadzić mu pałkę w gardło aż po rękojęść. A potem rozejrzałbym się za Wendellem Greenem.

– Nie będziesz musiał się daleko rozglądać. Jest mniej więcej szósty w kolejce.

Pam wskazuje wóz Wendella.

– Dobry Boże – mówi Danny. – Właściwie to się cieszę, że widzę tego żalosego patafiana. Będę mu mógł dokładnie powiedzieć, co o nim myślę.

Z uśmiechem pochyła się do nastolatka za kierownicą miaty. Chłopiec odjeżdża, a Danny daje machnięciem znak kierowcy za nim, cały czas obserwując, jak Pierońska Piątka *zbliża* się coraz bardziej.

– Jeżeli w tej chwili Beezer wlezie mi na odcisk i choćby zrobi taką minę, jakby chciał rozróby, to przysięgam na Boga, że wyciągnę gnata.

– Papiery, papiery – przypomina mu Pam.

– Naprawdę mam to w dupie.

– No, to jedziemy. – Pam informuje go w ten sposób, że jeśli wyciągnie broń, stanie po jego stronie.

Nawet kierowcy, którzy próbują wepchać się na boczną drogę, tracą trochę czasu na przyjrzenie się Beezerowi i jego chłopakom. W ruchu, z rozwianymi włosami i brodami, wyglądają na gotowych do dopuszczenia się maksymalnego wandalizmu. Serce Danny'ego Tchedy zaczyna przyspieszać; czuje, że ściska się mu zwieracz.

Pierońska Piątka przejeżdża jednak obok niego, nawet nie odwracając głów. Jeden po drugim – Beezer, Mysza, Doktorek, Sonny i Kajzer – mijają go, opuszczając scenę wydarzeń.

– No, cholera – mówi Danny, nie potrafiąc się zdecydować, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie.

Ale motocykliści zawracają trzydzieści jardów dalej, bryzgając żwirem, co wywołuje u niego nagły skurcz strachu, który dowodzi, że wcześniej odczuwał jednak ulgę.

– Och, proszę, nie – mówi Pam.

Wszystkie głowy w czekających samochodach odwracają się na widok wracających tą samą drogą motocykli. Przez kilka sekund jedynym słyszalnym dźwiękiem jest cichnący rejwach pięciu silników harleyów. Danny Tcheda zdejmuje czapkę i wyciera czoło. Pam Stevens pręży grzbiet i robi wydech. Wreszcie ktoś naciska klakson, przyłącza się do niego dwóch innych kierowców, a facet z wąsem siwiejącym jak u morsa i w drelichowej koszuli wyciąga przed siebie odznakę wielkości trzech ćwierćdolarówek w skórzanym etui, tłumacząc, że jest kuzynem sędziego okręgowego i honorowym członkiem policji La Riviere, co w zasadzie oznacza, że nigdy nie dostaje mandatów za nieprawidłowe parkowanie i zbyt dużą szybkość oraz że może wchodzić, gdzie się mu podoba. Wąs rozciąga się w wielkim uśmiechu.

– Przepuście mnie i możecie wracać do swoich obowiązków, posterunkowy.

Przepuszczenie go nie wchodzi w grę, mówi Danny i jest zmuszony powtórzyć ten komunikat kilkakrotnie, nim może zająć się następnym w kolejce. Po odesłaniu kilku kolejnych niezadowolonych obywateli sprawdza, ile jeszcze czasu minie, zanim będzie mógł pogonić Wendella Greena. Na pewno dziennikarz jest najwyżej dwatrzy samochody dalej. Gdy tylko Danny podnosi głowę, rozlegają się klaksony i krzyki pod jego adresem: „Wpuść

nas! Hej, facet, opłacam twoją pensję, pamiętasz? Chcę rozmawiać z Dale'em, chcę rozmawiać z Dale'em!"

Kilku ludzi wysiadło z samochodów. Mierzają palcami w Danny'ego i poruszają ustami, ale Tcheda nie może zrozumieć, o co im chodzi. Obręcz bólu jak rozżarzone do czerwoności żelazo sięga zza jego lewego oka w głąb mózgu. Coś jest nie w porządku: nie widzi szkaradnego samochodu Greena. Gdzie się podział, do diabła? Cholera, cholera i jeszcze raz cholera, Green na pewno wyjechał z kolejki i wśliznął się na pole za „Ed's Eats”. Danny obraca się i patrzy w tamtą stronę. Za jego plecami gotują się gniewne krzyki i samochodowe klaksony. Nigdzie nie ma poobijanej toyoty ani Wendella Greena. No, coś takiego, pierdoła dal sobie spokój!

Kilka minut później ruch rzednie, a Danny i Pam myślą, że ich robota dobiega końca. Wszystkie cztery pasy drogi 35 są puste – zwykły stan w sobotni poranek. Jedyna ciężarówka na jezdni toczy się dalej w kierunku Centralii.

– Myślisz, że powinniśmy tam iść? – pyta Pam, kiwając głową w stronę szczątków restauracji.

– Może za parę minut.

Danny nie ma ochoty dostać się w zasięg obrzydliwego zapachu. Z zadowoleniem pozostałby w tym miejscu do przyjazdu patologa i ekipy kryminalistycznej. Cóż ludziom przychodzi do głowy? Z radością oddałby pensję za dwa dni, żeby został mu oszczędzony widok ciała biednej Irmy Freneau.

Po pewnym czasie on i Pam słyszą dwa odrębne dźwięki i żaden nie działa na nich uspokajająco. Pierwszym jest warkot świeżej fali samochodów, które nadjeżdżają drogą w ich kierunku; drugim – hurkot motocykli, zbliżających się do miejsca zbrodni gdzieś z tyłu dawnej restauracji.

– Jest tam jakaś tylna droga? – pyta z niedowierzaniem Danny.

– Na to wygląda. – Pam wzrusza ramionami. – Ale posłuchaj, Dale będzie musiał sam sobie poradzić z łobuzami Beezera, bo my będziemy mieli tutaj pełne ręce roboty.

– Och, jejku – odpowiada Danny.

Około trzydziestu samochodów osobowych i pikapów kieruje się w stronę wylotu bocznej drogi. Danny i Pam widzą, że nowo przybyli są bardziej gniewni i zdeterminowani niż pierwsza fala. Po przeciwnej stronie tłumu kilkoro mężczyzn i kobiet już zostawia samochody na poboczu i rusza w stronę pary funkcjonariuszy. Kierowcy na czele zgrai wymachują pięściami i wrzeszczą. Nie do wiary, ale kobieta i dwóch nastolatków dźwigają długi transparent z napisem: **CHCEMY RYBAKA!** Mężczyzna w zakurczonym starym cadillacu wystawia przez okno dłoń, w której trzyma ręcznie wymalowaną tablicę: **GILBERTSON MUSI ODEJŚĆ.**

Danny ogląda się przez ramię i widzi, że Pierońska Piątka na pewno znalazła tylną drogę, bo czterech jej członków stoi pod „Ed's Eats”, dziwnie przypominając agentów Secret

Service, podczas gdy Beezer St. Pierre rozmawia z komendantem. W oczach Danny'ego wyglądają jak dwie głowy państwa dochodzące do porozumienia handlowego. Tcheda nie widzi w tym żadnego sensu; odwraca się w stronę samochodów, wariatów z tablicami oraz mężczyzn i kobiet kierujących się w stronę jego i Pam.

Hoover Dalrymple, siedemdziesięciolatek z beczkowatą klatką piersiową i białą koźlą bródką, ustawia się przed Pam i zaczyna domagać swoich niezwykłych praw. Danny przypomina sobie jego nazwisko, bo mniej więcej pół roku wcześniej Dalrymple wszczął bójkę w barze hotelu Nelson, a teraz dąży do tego samego, widocznie chcąc rewanzu.

– Nie będę rozmawiał z twoim partnerem – wrzeszczy – i nie będę słuchał, co ma do powiedzenia, bo nic go nie interesują prawa obywateli tej społeczności.

Danny zawraca pomarańczowe subaru, kierowane przez ponurego nastolatka w koszulce Black Sabbath, a następnie czarną corvette z tablicami dealera z La Riviere, prowadzoną przez uderzająco śliczną, używającą uderzająco plugawego słownictwa młodą kobietę. Skąd się biorą ci ludzie? Danny nie poznaje nikogo z wyjątkiem Hoovera Dalrymple'a. Domyśla się, że większość ludzi przed nim pochodzi spoza miasta.

Rusza pomóc Pam, kiedy czuje zaciskającą się na jego barku rękę. Ogląda się i widzi za sobą Dale'a Gilbertsona, a obok Beezera St. Pierre'a. Czterech pozostałych harleyowców sterczy kilka stóp dalej. Ten nazywany Myszą, oczywiście o rozmiarach stogu siana, łowi spojrzenie Dale'a i się uśmiecha.

– Co ty wyprawiasz? – pyta Danny.

– Uspokój się – odpowiada Dale. – Pan St. Pierre i jego przyjaciele zgłosili się na ochotnika, chcą nam pomóc w radzeniu sobie z tłumem. Sądzę, że przyda nam się wszelka pomoc, jakiej mogą udzielić.

Kątem oka Danny dostrzega, że na czoło tłumy przebijają się bliźniacy Neary. Podnosi rękę, żeby stanęli.

– Co z tego będą mieli?

– Tylko informacje – odpowiada komendant. – Dobra, chłopaki, do roboty.

Kumple Beezera rozstępują się i ruszają w stronę tłumy. Komendant staje obok Pam, która najpierw patrzy na niego ze zdumieniem, a następnie kiwa głową. Myszą zerka na Hoovera Dalrymple'a.

– Na mocy powierzonej mi władzy rozkazuję ci, żebyś spierdalał, Hoover – mówi.

Staruszek znika tak szybko, jakby uległ dezintegracji.

Pozostali harleyowcy podobnie wpływają na gniewnych gapiów. Danny ma nadzieję, że zdołają zachować opanowanie mimo obelg, jakimi zostają obrzuceni. Trzystufuntowy Anioł Piekiel, który z trudem zachowuje opanowanie i tłumy narastającą furję, jednak cudownie oddziałuje na buntowniczy tłum. Najbliższy Danny'ego motocyklista przegania Floyda i Franka Nearych, jedynie pogroziwszy im pięścią. Gdy zmiatają do swojego samochodu, harleyowiec mruga do Danny'ego i przedstawia się jako Kajzer Bili. Przyjaciel Beezera ma

niezły ubaw, gdy stara się zapanować nad tłumem; chociaż wygląda, jakby spod jego marsowej miny miał się wyłonić szeroki uśmiech, to jednak wrze w nim wściekłość.

– A twoi kumple to kto? – pyta Danny.

Kajzer Bili przedstawia Doktorka i Sonny'ego, rozprasających tłum na prawo od posterunkowego.

– Dlaczego to robicie?

Kajzer opuszcza głowę tak nisko, że jego twarz zawisa dwa cale od Danny'ego. Przypomina to konfrontację z bykiem. Szeroka, zarośnięta twarz emanuje energią i gniewem. Danny prawie oczekuje, że z nozdrzy mężczyzny zacznie buchać para. Jedną ze źrenic ma węższą od drugiej; białka pokrywają czerwone, splątane kreseczki, jakby coś w nich eksplodowało.

– Dlaczego? Robimy to dla Amy. Nie jest to dla ciebie jasne, posterunkowy Tcheda?

– Przepraszam – mruczy Danny.

Oczywiście. Ma nadzieję, że Dale zdoła utrzymać w ryzach te potwory. Patrząc, jak Kajzer Bili kołysze wiekowym mustangiem, którego jakiś dumny dzieciak nie zdążył cofnąć na czas, odczuwa niezmierne zadowolenie, że harleyowcy nie mają żadnych tępych narzędzi.

Przez puste miejsce, uprzednio zajmowane przez mustanga nastolatka, przetacza się w stronę Danny'ego i Kajzera policyjny samochód. Gdy przeciska się przez tłum, kobieta w bezrękawniku i obcisłych spodniach wali dłońią w okna od strony pasażera. Radiowóz dojeżdża do Danny'ego i wyskakuje z niego dwóch jego kolegów, pracujących na część etatu, Bob Holtz i Paul Nestler. Gapią się na Kajzera i pytają, czy pomóc Danny'emu i Pam.

– Idź, porozmawiaj z szefem – mówi Danny, chociaż nie powinien; Holtz i Nestler to miłe chłopaki, ale muszą się wiele nauczyć o dowodzeniu – oraz o wszystkim innym.

Półtorej minuty później zjawiają się Bobby Dulac i Dit Jesperson. Danny i Pam pokazują im, żeby przejeżdżali, podczas gdy harleyowcy organizują szarżę na tłum i zaczynają ściągać skandujących obywateli z dachów i masek samochodów. Odgłosy szarpaniny docierają do Danny'ego mimo gniewnych okrzyków motłochu. Tcheda ma wrażenie, że sterczy tu już od wielu godzin. Roztrącając ludzi wielkimi wymachami rąk, Sonny wyłania się z tłumy i zatrzymuje obok Pam, która nadal sobie całkiem dobrze radzi. Myszą i Doktorek wydostają się na wolny teren. Kajzer przesuwa się obok Danny'ego; z nosa Billa cieknie strużka krwi, a czerwona plama barwi brodę koło kąta ust.

Tuż po tym, gdy tłum zaczyna skandować: „NIE, NIE, NIE, NIE CHCEMY I NIE POJEDZIEMY! NIE, NIE, NIE, NIE CHCEMY I NIE POJEDZIEMY!”, Holtz i Nestler włączają się do szeregu. Nie, nie, nie, nie chcemy i nie pojedziemy? – zastanawia się Danny. To chyba chodziło o Wietnam?

Jedynie niejasno zdając sobie sprawę z wycia policyjnej syreny, Danny widzi, jak Myszą brnie w tłum i wali na ziemię trzech pierwszych ludzi, jakich może dosięgnąć. Doktorek

zaciska ręce na otwartym oknie aż nazbyt dobrze znanego oldsmobile'a i pyta niskiego, łysiejącego kierowcę, co, kurwa, myśli, że robi.

– Zostaw go w spokoju, Doktorcu – mówi Danny, ale syrena wyje znowu i zagłusza jego słowa.

Chociaż drobny mężczyzna za kierownicą oldsa wygląda jak ciapowaty nauczyciel matematyki czy niskiego szczebla urzędnik administracji, cechuje się determinacją gladiatora. Jest to wilebny Lance Hovdahl, dawny nauczyciel Danny'ego ze szkoły niedzielnej.

– Myślałem, że będę mógł pomóc – mówi pastor.

– Przez ten hałas nie najlepiej pana słyszę. Pozwoli pan, że pomogę panu podejść bliżej – odpowiada Doktorek.

Sięga przez okno w tej samej chwili, gdy dźwięk syreny znów narasta, a z drugiej strony przejeżdża wóz policji stanowej.

– Przestań, Doktorcu! STOP! – krzyczy Danny.

Spostrzega, że dwóch mężczyzn w stanowym wozie policyjnym, Brown i Black, przekrzywia szyje, by lepiej widzieć spektakl: brodac postury niedźwiedzia grizzly wywleka luterńskiego pastora przez okno jego samochodu. Za nimi wlecze się kolejna niespodzianka: Arnold Hrabowski, Wściekły Węgier, wybałusza oczy przez szybę swojego DAREmobilu, najwyraźniej przerażony rozgrywającym się wokół chaosem.

Wylot drogi przypomina teraz strefę działań wojennych. Danny podchodzi do wrzeszczącego tłumu, odpycha kilku ludzi na bok i dociera do Doktorca i swojego starego nauczyciela ze szkoły niedzielnej, który wygląda na wstrząśniętego, ale nie poturbowanego.

– No, Danny, słowo daję – mówi pastor. – Nie ma co, cieszę się, że cię widzę.

– Znacie się? – Doktorek łypie na nich podejrzliwie.

– Wilebny Hovdahl, to Doktorek – przedstawia ich Danny. – Doktorcu, to pastor Hovdahl z kościoła luterńskiego Mount Hebron.

– Święta Panienko – mówi Doktorek i natychmiast zaczyna otrzepywać kłapy drobnego mężczyzny i poprawiać dół jego marynarki, jakby chciał doprowadzić go do porządku. – Przepraszam, wilebny, mam nadzieję, że pana nie skrzywdziłem.

Policjanci ze stanówki i Wściekły Węgier w końcu przeciskają się przez tłum. Natężenie dźwięku maleje do niskiego szumu – tak czy inaczej, kumple Doktorca zdołali uciszyć najbardziej hałaśliwych członków opozycji.

– Na szczęście okno jest szersze ode mnie – mówi wilebny.

– Ej, może bym tak wpadł do pana któregoś dnia, tobyśmy sobie pogadali – mówi Doktorek. – Ostatnio mnóstwo czytałem o chrześcijaństwie z pierwszego stulecia. Wie pan, Geza Vermes, John Dominic Crossan, Paula Fredriksen, takie tam rzeczy. Chciałbym rozpracować z panem parę idei.

Cokolwiek zamierza odpowiedzieć wilebny Hovdahl, ginie to w nagłym wybuchu hałasu na drugim końcu drogi dojazdowej. Jakaś kobieta krzyczy głosem przeraźliwym jak u strzygi;

niesamowity wrzask sprawia, że włosy stają Danny'emu dęba na karku. Ma wrażenie, że w okolicy szaleją uciekinierzy z domu wariatów tysiąc razy bardziej niebezpieczni od Pierońskiej Piątki. Do diabła, co tam się dzieje?!

– Cześć, chłopcy? – Niezdolny pohamować rozgoryczenia Bobby Dulac odwraca się najpierw w stronę Dale'a, następnie Jacka. Głos robi mu się wyższy i twardszy: – Kurwa, to prawda? Cześć, chłopcy?

Dale kaszle w zwiniętą pięść i wzrusza ramionami.

– Chciał, żebyśmy ją znaleźli.

– Cóż, oczywiście – mówi Jack. – Powiedział nam, żebyśmy tu przyjechali.

– Ale niby dlaczego to zrobił? – pyta Bobby.

– Jest dumny ze swojego dzieła.

Z jakiegoś mętnego rozdroża w pamięci Jacka odzywa się ohydny głos: *Trzymaj się od tego z daleka. Jak mi podskoczysz, to będziesz zbierał swoje flaki od Racine do La Riviere. Czy] to był głos? Jack jest przekonany, że gdyby potrafił zidentyfikować ten głos, poznałby prawdziwe nazwisko Rybaka. Nie może jednak; w tej chwili Jack jest zdolny jedynie do przypomnienia sobie smrodu gorszego niż ohydny fetor, wypełniający rozpadający się budynek – koszmarny odór, dochodzący z południowego zachodu w innym świecie. To również był Rybak, czy też to, czym jest w tamtym świecie.*

W jego mózgu budzi się myśl godna wschodzącej gwiazdy wydziału zabójstw Departamentu Policji Los Angeles.

– Dale, myślę, że powinieneś pozwolić Henry'emu przesłuchać taśmę z nagraniem rozmową telefoniczną – mówi.

– Nie rozumiem. Po co?

– Henry potrafi wychwycić rzeczy, których nie łapią nawet nietoperze. Jeśli nawet nie rozpozna głosu, dowie się z niego sto razy więcej, niż wiemy teraz.

– No, wujek Henry nigdy nie zapomina czyjegoś głosu, to prawda. Dobra, zbierajmy się stąd. Za kilka minut powinien przyjechać patolog i ekipa kryminalistyczna.

Idąc śladem dwóch pozostałych mężczyzn, Jack rozmyśla o czapce Tylera Marshalla i o tym, gdzie ją znalazł – o świecie, którego istnieniu próbował zaprzeczać ponad połowę życia. Jak sobie przypomina powrót w to miejsce tego ranka, wciąż się wzdryga. Rybak zostawił dla niego czapkę w Terytoriach, krainie, o której Jacky usłyszał po raz pierwszy, gdy miał sześć lat – kiedy Jacky miał sześć lat, a tata grał na rogu. Wszystko ożywa teraz w pamięci Jacka, cała niesamowita przygoda, nie dlatego że tego pragnie, po prostu to musi odżyć: zewnętrzne siły zaciskają dłoń na jego karku i popychają go do przodu. Do przodu – w jego przeszłość! Rybak jest dumny ze swojego dzieła, tak, Rybak rozmyślnie się z nimi drażni – jest to prawda tak oczywista, że żaden z trzech mężczyzn nie wypowiada jej na głos – ale W istocie zarzuca przynętę jedynie na Jacka Sawyera, bo tylko on był w Terytoriach. A jeśli to jest prawdą, a musi nią być, to...

...to Terytoria i wszystko, co się w nich znajduje, muszą w jakiś sposób wiązać się z tymi podłymi zbrodniami, a Jack zostaje wepchnięty w dramat o znaczeniu tak niezmiernym, że nie ma szans jeszcze tego ogarnąć. *Wieża. Wiązka*. Widział te słowa, zapisane charakterem jego matki; coś o walącej się Wieży i pękających Wiązkach. Są to elementy jakiejś zagadki, a Jack jest instynktownie przekonany, że Tyler Marshall wciąż żyje i został ukryty w zakamarku tamtego świata. Świadomość, że za nic nie może powiedzieć o tym komukolwiek innemu, nawet Henry'emu Leydenowi, sprawia, że czuje się niezmiernie samotny.

Myśli Jacka rozprzeczają się w zgiełkowym chaosie, jaki wybucha z boku rudery i przed nią. Brzmi to jak atak Indian w westernie: zawodzenie, wrzaski i tupot biegnących ludzi. Jakaś kobieta wydaje przenikliwy krzyk, niesamowicie podobny do oscylującego dźwięku policyjnej syreny, który zamyślony Jack usłyszał kilka chwil wcześniej.

– Jezu – mruczy Dale i zrywa się do biegu.

Bobby i Jack ruszają za nim.

Na zewnątrz po poprzerastanym chwastami żwirze przed „Ed’s Eats” kręci się ze szczęścia pozornie oszalałych ludzi. Dit Jesperson i Beezer przyglądają się ich gonitwom, najwyraźniej zbyt oszołomieni, by zareagować.

– ZABIĆ RYBAKA! ZABIĆ WREDNEGO SKURWYSYNA! – krzyczy jeden z mężczyzn.

– PRAWO, PORZĄDEK I PIWO ZA FRAJER! – drze się drugi.

– PIWO ZA FRAJER! CHCEMY DARMOWEGO PIWA! – przyłącza się do niego żylasty typ w farmerkach.

Jędza za stara na odsłaniający brzuch podkoszulek i niebieskie dżinsy skacze na wszystkie strony, wymachując ramionami i wrzeszcząc, ile sił w piersiach. Uśmiechy na twarzach tych ludzi sugerują, że uczestniczą w jakimś debilnym dowcipie. Bawią się jak pewnie jeszcze nigdy w życiu.

Od wylotu drogi dojazdowej zbliża się samochód policji stanowej, a tuż za nim pontiac programu DARE z Wściekłym Węgrem za kierownicą. Pośrodku tego chaosu Henry Leyden przekrzywia głowę i uśmiecha się pod nosem.

Kiedy tłusty Dit Jesperson widzi, że jego szef rusza w pościg za jednym z mężczyzn, wkracza do akcji i koncentruje się na Doodles Sanger, do której ma urazę od czasu, kiedy pewnego wieczora w hotelu Nelson odrzuciła jego umizgi. Dit rozpoznaje Teddy’ego Runkelmana, wysokiego łobuza ze złamanym nosem, za którym goni Dale; zna też Freddy’ego Saknessuma, ale Freddy jest niewątpliwie dla niego za szybki, a poza tym Dit podejrzewa, że gdyby zacisnął na nim ręce, to mniej więcej osiem godzin później złożyłaby go jakaś paskudna franca. Bobby Dulac dobiera się do żylastego typka, więc celem Dita zostaje Doodles. Z radością myśli o tym, że powali ją na trawę i zmusi do zapłacenia za to, jak go nazwała sześć lat temu w obskurnym barze hotelu Nelson. (W obecności mniej więcej

tuzina najbardziej szemranych typków z French Landing Doodles porównała go do żyjącego jeszcze wówczas śmierdzącego, kołyszącego zadkiem, starego kundla komendanta, Tubby'ego).

Dit patrzy jej w oczy, a Doodles na sekundę przestaje podskakiwać. Zatrzymuje się z szeroko rozstawionymi stopami i niby przywołuje go do siebie skinieniem palców obu dłoni. Dit rzuca się w jej stronę, lecz gdy dociera w miejsce, gdzie stała, Doodles jest już sześć stóp na prawo i obraca się na pięcie jak koszykarz.

– TubbyTubby – mówi. – Chodź, to coś dostaniesz, TubTub.

Dit sięga po nią z furią, pudłuje i prawie traci równowagę. Doodles' odskakuje tanecznym krokiem i powtarza obrzydliwe określenie. Dit czegoś tu nie rozumie – dlaczego Doodles po prostu nie zwiewa, gdzie pieprz rośnie? Prawie tak, jakby chciała, by ją złapano, ale najpierw miała go porządnie przegonić.

Po kolejnym porządnym wypadzie i rozminięciu się z Doodles zaledwie o cal czy dwa Dit Jesperson ociera pot z twarzy i rozgląda się dokoła. Dulac zakłada bransoletki żylastemu facecikowi, ale Dale'owi i Hollywoodowi Sawyerowi wiedzie się tylko trochę lepiej niż Jespersonowi. Teddy Runkelman i Freddy Saknessum robią uniki i uskakują przed swymi przeciwnikami; obydwaj rechoczą jak idioci i wywrzaskują durne hasła. Dlaczego tacy śmiecie są zawsze tak sprawni? Dit podejrzewa, że padalce w rodzaju Runkelmana i Saknessuma muszą częściej brać nogi za pas niż przeciętni ludzie.

Rzuca się na Doodles, która przemyka obok niego i z chichotem zaczyna drobić nogami, jakby tańczyła na wiejskiej zabawie. Przez ramię Dit widzi, że Hollywoodowi wreszcie udaje się zwieść Saknessuma, otoczyć go ramieniem w pasie i powalić na ziemię.

– Nie musisz mi pan dobierać się do tyłka – mówi Saknessum. Przenosi wzrok i kiwa ukradkiem głową. – Hej, Runks.

Teddy Runkelman patrzy na niego i też strzela w bok oczyma. Zatrzymuje się.

– Co, skończyło ci się paliwo? – pyta komendant.

– Koniec imprezy – odpowiada Runkelman. – Ej, tylkośmy się zgrywali, nie?

– Ech, Runksie, ja chcę się jeszcze trochę pobawić – mówi Doodles, okraszając swoje pląsy paroma kołyszącymi ruchami bioder.

W jednej chwili między nią a Ditem wyłania się wielka jak góra sylwetka Beezera St. Pierre'a. Robi krok naprzód, warcząc jak tir na stromym podejździe. Doodles stara się uskoczyć w tył, ale Beezer zaciska na niej rękę i niesie ją do szefa.

– Już mnie nie kochasz, Beezie? – pyta Doodles.

Beezer pomrukuje ze wstrętem i stawiają przed Dale'em. Dwaj detektywi z policji stanowej, Perry Brown i Jeff Black, trzymają się z tyłu i wyglądają na jeszcze bardziej zde gustowanych od harleyowca. Gdyby procesy myślowe Dita przełożyć z umysłowej stenografii na zwyczajny język, rezultat brzmiałby: *Musi coś tam mieć pod pokrywką, skoro*

warzy „Królewskie Włości”, bo to naprawdę ekstrapiwo. I popatrzcie na szefa! Ma taką chętkę rozwalić komuś leb, że nie dociera do niego nawet, że zaraz odbiorą nam sprawę.

– ZGRYWALIŚCIE się? – grzmi szef. – Co się z wami DZIEJE, idioci? Nie macie żadnego szacunku dla tej tutaj biednej dziewczyny?

Gdy policjanci ze stanówki podchodzą, by przejąć dowodzenie, Beezer na oczach Dita sztywnieje zszokowany, po czym jak najdyskretniej odsuwa się na bok. Nikt oprócz Dita Jespersona nie zwraca na niego uwagi – olbrzymi harleyowiec zrobił swoje i jego rola dobiegła końca. Arnold Hrabowski, do tej pory kryjący się za Brownem i Blackiem, wsadza ręce w kieszenie, garbi ramiona i rzuca Ditowi spojrzenie, które wyraża wstyd i przeprosiny. Dit nie rozumie, o co chodzi. Dlaczego Wściekły Węgier miałby się czuć winny? Do diabła, przecież dopiero co tu dotarł. Dit ogląda się na Beezera, ociężałe podchodzącego do rogu rudery i – cóż za niespodzianka! – widzi najlepszego przyjaciela wszystkich i wyśmienitego reportera, pana Wendella Greena, który obecnie wygląda na nieco przestraszonego. No, chyba właśnie wypłynął na powierzchnię kolejny rodzaj szumowin, myśli Dit.

Beezer lubi kobiety bystre i zrównoważone, w rodzaju Niedźwiedzicy; bezmózgie puszczałskie podobne do Doodles doprowadzają go do szału. Wyciąga ręce, ściska w garściach kluchowate, obleczone w nylon ciało wierzgającej Doodles, podtrzymując je pod pachami.

– Już mnie nie kochasz, Beezie? – mówi Doodles.

Stawia tępą wywłokę na ziemi przed Dale’em Gilbertsonem. Kiedy Dale wybucha wreszcie furią skierowaną pod adresem czterech przejrzałych chuliganów, Beezer przypomina sobie o sygnale, danym przez Freddy’ego Runksiemu, i wygląda nad ramieniem komendanta w stronę frontu dawnej restauracji. Po lewej stronie gnijącego wejścia Wendell Green zwraca aparat fotograficzny w stronę grupy przed sobą; dobrze się bawi, przechyla i ustawia, przesuwając na boki, robiąc kolejne zdjęcia. Gdy Wendell spostrzega w wizjerze wpatrującego się w niego Beezera, prostuje się i opuszcza aparat. Na jego twarzy pojawia się niezręczny uśmiešek.

Green musiał się wśliznąć od tyłu, domyśla się Beezer, bo gliny u wylotu drogi na pewno by go nie przepuściły. Jak się nad tym zastanowić, Doodles i Doornie musieli dostać się tu tą samą drogą. Beezer ma nadzieję, że nikt z nich nie dowiedział się o istnieniu tylnej drogi, obserwując jego, ale jest to możliwe.

Dziennikarz pozwala aparatowi zwisnąć na pasku i nie odrywając wzroku od Beezera, odsuwa się od starej rudery. Jego wyrażające winę i strach ruchy przypominają St. Pierre’owi podkradającą się do ścierwa hienę. Wendell Green boi się go i Beezer go za to nie wini. Green ma szczęście, że Beezer nie urwał mu rzeczywiście głowy, zamiast tylko tym straszyć. Mimo to... podobne do hieny skradanie się Greena wydaje się Beezerowi dość dziwne, zważywszy na okoliczności. Chyba nie boi się, że dostanie łomot na oczach tych wszystkich glin, prawda?

Niepokój Greena wiąże się w umyśle Beezera z sygnałem przekazanym na jego oczach przez Freddy'ego Runkelmanowi. Gdy strzelali w bok oczyma, gdy odwracali wzrok, patrzyli na dziennikarza! *To on wszystko ukartował* Green oczywiście wykorzystał Doorniów do odwrócenia uwagi od tego, co robił z aparatem. Taka totalna obrzydliwość, taka moralna podłość wzbudza w Beezerze furję. Zelektryzowany pogardą, odchodzi cichcem od Dale'a i pozostałych policjantów i rusza w stronę Wendella Greena, nie odrywając od niego wzroku.

Widzi, że Wendell zastanawia się nad ucieczką, po czym odrzuca ten pomysł, najprawdopodobniej dlatego, iż zdaje sobie sprawę, że nie ma wielkich szans.

– Nie potrzebujemy tu kłopotów, panie St. Pierre – mówi Wendell, gdy Beezer znajduje się dziesięć stóp od niego. – Po prostu robię swoje. Na pewno potrafi to pan zrozumieć.

– Rozumiem mnóstwo rzeczy – odpowiada Beezer. – Ile zapłaciłeś tym błaznom?

– Komu? Jakim błaznom? – Wendell udaje, że dopiero teraz zauważa Doodles i pozostałych. – Och, tych? To oni narobili takiej wrzawy?

– A czemuż mieliby tak się zachowywać?

– Chyba dlatego, że to zwierzaki.

Mina Wendella ma przekonać Beezera, że zarówno siebie, jak i jego uważa za istoty ludzkie, czego nie można powiedzieć o zwierzakach w rodzaju Runkelmana i Saknessuma. Beezer podchodzi bliżej, pilnując, by patrzeć prosto w oczy Wendellowi, a nie na jego nikon.

– Wendy, z ciebie jest prawdziwy aparat, wiesz?

Wendell podnosi rękę, by zatrzymać Beezera.

– Ej, może poróżniliśmy się w przeszłości, ale...

Wciąż patrząc mu w oczy, Beezer zaciska prawą rękę na aparacie, a lewą opiera na piersi Wendella. Szarpie prawą rękę w tył, a lewą z całych sił popycha dziennikarza. Jedna z dwóch rzeczy – kark Greena lub pasek aparatu – musi się poddać, a Beezera nie za bardzo obchodzi, która będzie pierwsza.

Przy akompaniamencie odgłosu jak kłaśnięcie bicia reporter zatacza się w tył, ledwie mogąc utrzymać się na nogach. Beezer wyciąga aparat z futerału, pod którym wiszą dwa kawałki zerwanej skóry. Upuszcza futerał i obraca aparat w wielkich dłoniach.

– Ej, nie rób tego! – prosi Wendell tonem głośniejszym od zwykłej mowy, lecz cichszym od krzyku.

– Co to, stary F2A?

– Skoro to wiesz, zdajesz sobie sprawę, że to klasyk. Oddaj.

– Nie zamierzam go uszkodzić, tylko go wyczyszczyć. – Beezer otwiera klapkę, wsuwa gruby palec pod naświetloną kliszę i wyciągają w całości. Uśmiecha się i rzuca film w zielska. – Widzisz, o ile lepiej wygląda bez tego szajsu? Ładna maszynka – nie powinienesz napelnić jej śmieciem.

Wendell nie odważa się okazać całej swojej wściekłości.

– Te tak zwane śmiecie to moje utrzymanie, ty ośle, ty kretynie – warczy, pocierając bolące miejsce na karku. – Oddawaj aparat, i to już.

Beezer beztrząsco wyciąga rękę.

– Nie dosłyszałem. Co powiedziałeś?

Reagując jedynie ponurym spojrzeniem, Wendell wyszarpuje aparat z ręki Beezera.

Gdy dwaj detektywi z policji stanowej wreszcie podchodzą, Jack czuje połączenie rozczarowania i ulgi. Jest oczywiste, co zamierzają zrobić, więc niech to zrobią. Perry Brown i Jeff Black odbiorą Dale'owi sprawę Rybaka i poprowadzą własne dochodzenie. Od tej pory Dale będzie miał szczęście, jeśli dostanie jakiegokolwiek ochłapy ze stanowego stołu. Jack czuje największy żal, że Brown i Black trafili na to wariatkowo, na ten cyrk. Przez cały czas czekali na taką chwilę – w pewnym sensie wyczekiwali, aż miejscowy pan władza udowodni swoją niekompetencję – ale od tej chwili zacznie się publiczne upokorzenie Dale'a, a Jack wolałby, żeby go to nie spotkało. Nie przyszłoby mu do głowy, że może być wdzięczny za pojawienie się grupy harleyowców na miejscu zbrodni, ale jest właśnie tak źle. Beezer St. Pierre z kompanami zdołali powstrzymać napór tłumu skuteczniej od funkcjonariuszy Dale'a. Pytanie brzmi: skąd ci wszyscy ludzie dowiedzieli się, dokąd jechać?

Pominąwszy szkody dla reputacji i samooceny Dale'a, Jack jednakże nie czuje wielkiego żalu, że sprawa przejdzie w inną jurysdykcję. Niech Brown i Black przeczeszą wszystkie piwnice w okręgu French; Jack czuje, że nie posuną się dalej, niż pozwoli na to Rybak. Myśli, że aby dotrzeć dalej, trzeba by zapuścić się w strony, których Brown i Black nigdy nie rozumieją, odwiedzić miejsca, których istnienia w ogóle nie podejrzewają. Posunięcie się dalej oznacza zaprzyjaźnienie się z opopanaksem, a ludzie pokroju Browna i Blacka nie ufają czemukolwiek, co nim pachnie. Oznacza to, że wbrew wszystkiemu, co Jack powtarzał sobie od zamordowania Amy St. Pierre, sam będzie musiał złapać Rybaka. A może niezupełnie sam. Ostatecznie Dale będzie miał o wiele więcej wolnego czasu, a bez względu na to, co zrobią z nim detektywi z policji stanowej, Gilbertsona zbyt pochłonęła ta sprawa, by się z niej wycofał.

– Komendancie Gilbertson – mówi Perry Brown. – Myślę, że napatrzyliśmy się dosyć. Czy to właśnie nazywa pan zabezpieczeniem miejsca przestępstwa?

Dale puszcza Teddy'ego Runkelmana i odwraca się z frustracją w stronę detektywów, stojących ramię w ramię jak komandosi. Po wyrazie twarzy Gilbertsona widać, że wie dokładnie, co go czeka, ale ma nadzieję, że nie będzie to upokarzająco brutalne.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zabezpieczyć ten teren – mówi Dale. – Po telefonie na numer dziewięćset jedenaście osobiście naradziłem się z moimi ludźmi i wydałem im rozkazy, by przyjeżdżali tu dwójkami w rozsądnych odstępach, by nie wzbudzić jakiegokolwiek niepożądanego ciekawości.

– Na pewno skorzystał pan z radia, komendancie – mówi Jeff Black. – I na pewno ktoś tego nasłuchiwał.

– Nie korzystałem z radia – odpowiada Dale. – Moi ludzie wiedzieli natomiast, że nie wolno im dzielić się tą informacją. Wie pan jednak co, detektywie Black? Skoro Rybak zadzwonił pod dziewięćset jedenście, mógł również wykonać kilka anonimowych telefonów do obywateli.

Teddy Runkelman przysłuchuje się tej dyskusji tak pilnie, jakby był świadkiem finałów tenisowych.

– Zajmijmy się najpierw rzeczami najważniejszymi – mówi Perry Brown. – Co pan zamierza zrobić z tym człowiekiem i jego przyjaciółmi? Zamierza pan postawić im jakieś zarzuty? Widok tej twarzy działa mi na nerwy.

Dale zastanawia się przez chwilę.

– Nie zamierzam im stawiać zarzutów – odpowiada wreszcie. – Zmiataj stąd, Runkelman. – Teddy cofa się, a Dale mówi: – Zaczekaj chwilę. Jak się tu dostałeś?

– Tylną drogą – odpowiada Teddy. – Biegnie prosto od Goltza. Pierońska Piątka też tędy przyjechała. Tak samo ta dziennikarska szycha, pan Green.

– Wendell Green tu jest?

Teddy wyciąga rękę w stronę boku ruiny. Dale ogląda się przez ramię; Jack patrzy w tym samym kierunku i jest świadkiem, jak Beezer St. Pierre wywleka kliszę z aparatu, podczas gdy Wendell Green przygląda się temu z rozpaczą.

– Jeszcze jedno pytanie – mówi Dale. – Skąd się dowiedzieliście, że jest tu dato małej Freneau?

– U Eda miało być pięć czy sześć trupów, tak słyszałem. Mój brat Erland zadzwonił i powiedział. Dowiedział się od swojej dziewczyny.

– No to już, wynocha – mówi Dale.

Teddy Runkelman odchodzi niespiesznie, jakby dostał nagrodę za postawę obywatelską.

– W porządku – mówi Perry Brown. – Komendancie Gilbertson, wyczerpał pan swoje możliwości. Od tej pory prowadzenie śledztwa przejmuje porucznik Black i ja. Mam dostać kopię telefonu pod dziewięćset jedenście oraz kopie wszystkich notatek i zeznań, sporządzonych przez pana i pańskich podwładnych. Pańską rolę będzie całkowicie podporządkować się prowadzonemu przez policję stanową dochodzeniu i w pełni współpracować, jeśli zostanie pan o to poproszony. Będzie pan otrzymywał informacje o postępach śledztwa wedle uznania porucznika Blacka i mojego. Gdyby chciał pan zapytać, komendancie, to i tak dostaje pan o wiele więcej, niż zasłużył. Nigdy nie widziałem większego chaosu na miejscu przestępstwa. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś w ten sposób zabezpieczał teren. Ilu z was wchodziło do tej... budowli?

– Trzech – odpowiada Dale. – Ja, posterunkowy Dulac i porucznik Sawyer.

– Porucznik Sawyer – mówi Brown. – Przepraszam, ale czy porucznik Sawyer wrócił do pracy w policji Los Angeles? A jeśli nie, to dlaczego pozwolił mu pan wejść do środka? Co pan Sawyer w ogóle tu robi?

– Rozwiązał więcej spraw zabójstw niż ja i wy kiedykolwiek zdołamy, bez względu na to, jak długo będziemy żyli.

Brown rzuca Jackowi złe spojrzenie, natomiast Jeff Black wpatruje się prosto przed siebie. Arnold Hrabowski również patrzy między dwoma detektywami z policji stanowej na Jacka, chociaż nie tak, jak Perry Brown. Arnold ma wyraz twarzy człowieka, który bardzo pragnie stać się niewidzialny; kiedy dostrzega, że Jack patrzy na niego, szybko spogląda w bok i przestępuje z nogi na nogę.

Och, myśli Jack. Oczywiście, Wściekły, Wściekły, Wściekły, Wściekły, Wściekły Węgier – tu cię mam.

Perry Brown pyta Dale'a, co pan St. Pierre i jego przyjaciele robią na miejscu przestępstwa, a Gilbertson odpowiada, że pomagali przy opanowywaniu tłumu. Czy Dale dał do zrozumienia panu St. Pierre'owi, że w zamian za tę przysługę będzie na bieżąco informowany o przebiegu śledztwa? Coś w tym rodzaju, tak.

Jack cofa się i zatacza szeroki łuk, dzięki któremu zamierza dotrzeć do Arnolda Hrabowskiego.

– Nie do wiary – mówi Brown. – Proszę mi powiedzieć, komendancie, czy postanowił pan trochę odwlec moment zawiadomienia porucznika Blacka i mnie?

– Zrobiłem wszystko zgodnie z procedurą – mówi Dale.

W odpowiedzi na następne pytanie przyznaje, że istotnie wezwał patologa i ekipę kryminalistyczną, a przy okazji, właśnie widzi, że są na drodze dojazdowej.

Starania Wściekłego Węgra o zachowanie panowania nad sobą sprawiają jedynie, że wygląda, jakby potrzebował pilnie oddać mocz. Kiedy Jack kładzie mu rękę na ramieniu, Hrabowski sztywnieje jak rzeźba Indianina pod sklepem tytoniowym.

– Uspokój się, Arnoldzie – mówi Jack, po czym podnosi głos. – Poruczniku Black, skoro przejmuje pan śledztwo, to powinien pan wiedzieć o pewnych rzeczach. – Brown i Black zwracają swoją uwagę na niego. – Człowiek, który zadzwonił pod dziewięćset jedenaście, skorzystał z automatu telefonicznego koło sklepu 7Eleven przy drodze 35 we French Landing. Dale kazał otoczyć aparat taśmą, a właściciel wie, że ma zabraniać ludziom korzystania z niego. Może uda się wam znaleźć na telefonie jakieś przydatne odciski palców.

Black zapisuje coś w notesie.

– Panowie, myślę, że wasza rola dobiegła tutaj końca – mówi Brown. – Komendancie, niech pan użyje swoich ludzi do rozproszenia tłumu u wylotu drogi. Nie chcę tam widzieć ani jednego człowieka, kiedy wyjdę z patologiem ze środka, dotyczy to także pana i pańskich funkcjonariuszy. Zadzwonię do pana jeszcze w tym tygodniu, jeżeli będę miał jakieś nowe informacje.

Dale bez słowa odwraca się i pokazuje Bobby'emu Dulacowi wylot drogi, gdzie tłum stopniał do kilku upartych niedobitków, którzy opierają się o swoje samochody. Brown i Black ściskają rękę patologowi i przystępują do naradzania się ze specjalistami z ekipy kryminalistycznej.

– No, Arnoldzie – mówi Jack. – Podoba ci się bycie policjantem, tak?

– Ja? Uwielbiam to. – Arnold nie może się zmusić do spojrzenia Jackowi w oczy. – I mógłbym być dobry, wiem, że mógłbym, ale komendant nie ma do mnie dość zaufania.

Wsuwa drżącą rękę w kieszeń spodni. Jack jest rozdarty między politowaniem dla tego żalosego amatora i chęcią, by przegnać go kopniakami do wylotu drogi. Dobry glina? Arnold nie mógłby być nawet dobrym zastępowym. Przez niego Dale Gilbertson dostał publiczny ochrzan, co zapewne powoduje, że czuje się, jakby go wtrącono w dyby.

– Ale nie posłuchałeś rozkazów, co, Arnoldzie?

Arnold telepie się jak drzewo trafione piorunem.

– Co? Nic nie zrobiłem.

– Powiedziałeś komuś. Może powiedziałeś kilku ludziom.

– Nie! – Arnold potrząsa gwałtownie głową. – Zadzwoiłem tylko do żony, to wszystko.

– Patrzy błagalnie na Jacka. – Rybak rozmawiał ze mną, mnie powiedział, gdzie schował ciało dziewczynki, to chciałem, żeby Paula się dowiedziała. Naprawdę, Holi... panie poruczniku, nie myślałem, że do kogokolwiek zadzwoni. Po prostu chciałem jej powiedzieć.

– Zły ruch, Arnoldzie – mówi Jack. – Powiesz szefowi, co zrobiłeś, i zrobisz to właśnie teraz, bo Dale zasługuje na to, żeby wiedzieć, dlaczego wszystko diabli wzięli, i nie powinien siebie za to winić. Lubisz Dale'a, prawda?

– Szefa? – Głos Arnolda drży od szacunku dla szefa. – Pewnie, że tak. Jest, no... jest świetny. Ale czy mnie wywali?

– To już od niego zależy, Arnoldzie – odpowiada Jack. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, zasługujesz na to, ale może będziesz miał szczęście.

Wściekły Węgier rusza w stronę Dale'a, powłócząc stopami. Jack przez chwilę przygląda się, jak rozmawiają, po czym mija ich, idąc w stronę boku dawnej restauracji, gdzie Beezer St. Pierre i Wendell Green stoją naprzeciw sobie w milczeniu.

– Witam, panie St. Pierre – mówi. – I ciebie, Wendell.

– Chcę złożyć skargę – mówi Green. – Zajmuję się najlepszym materiałem w życiu, a ten łobuz zmarnował mi całą rolę filmu. Nie można tak traktować prasy; mamy prawo fotografować, co się nam, u diabła, podoba.

– Pewnie byś powiedział, że masz też prawo fotografować zwłoki mojej córki. – Beezer ogląda się na Jacka. – Ta kupa gówna zapłaciła Teddy'emu i reszcie obwiesi za przyświrowanie, żeby nikt nie zauważył, jak zakrada się do środka. Zrobił zdjęcia dziewczynki.

Wendell szturcha palcem Jacka w pierś.

– Nie ma na to dowodów. Ale powiem ci coś, Sawyer. Sfotografowałem ciebie. Chowałeś dowody na pace swojego pikapa. Mam cię jak na talerzu, więc zastanów się dwa razy, zanim mi podskoczysz, bo załatwię cię na cacy.

Głowę Jacka zdaje się wypełniać niebezpieczna czerwona mgła.

– Zamierzałeś sprzedać zdjęcia ciała tej dziewczynki?

– A co ci do tego? – Na ustach Wendella Greena pojawia się szkaradny uśmiezek. – Sam nie jesteś czysty jak lelija, może nie? Może poszlibyśmy sobie na rękę, co ty na to?

Czerwona mgła gęstnieje i przesłania Jackowi oczy.

– Możemy pójść sobie na rękę?

Stojący obok Jacka Beezer St. Pierre zaciska i otwiera wielkie pięści. Jack zdaje sobie sprawę, że Beezer bezbłędnie wychwytuje jego ton, ale wizja symboli dolara trzyma tak mocno w kleszczach Wendella, że traktuje on groźbę Jacka jako proste pytanie.

– Pozwól mi załadować aparat i zrobić zdjęcia, jakich potrzebuję, to nie pisnę na twój temat – mówi Wendell. Beezer pochyla głowę i ponownie zaciska pięści. – Coś ci powiem. Jestem hojny. Może ci nawet coś odpalę, powiedzmy, dziesięć procent wszystkiego, co zainkasuję.

Jack wolałby złamać mu nos, ale zadowala się silnym prostym w żołądek. Green chwytą się za brzuch, składa w pół, a potem osuwa na ziemię. Walczy o oddech; jego twarz nabiera różowej barwy. W oczach widać wstrząs i niedowierzenie.

– Widzisz, ja też jestem hojnym facetem. Pewnie oszczędziłem ci tysięcy dolarów na dentystę i reperację złamanej szczęki.

– Nie zapominaj o operacji plastycznej – mówi Beezer, wierząc pięścią w drugiej dłoni; wygląda jak ktoś, komu właśnie zabrano spod nosa ulubiony deser.

Twarcz Wendella nabiera purpurowego odcienia czerwieni.

– Do twojej informacji, Wendell: bez względu na to, co ci się wydawało, że widziałeś, nie ukrywałem dowodów. Jeśli już, to je ujawniałem, chociaż nie spodziewam się, że to zrozumiesz. – Green daje radę wciągnąć przez zęby mniej więcej cal sześcienny powietrza. – Kiedy zaczniesz odzyskiwać oddech, wynoś się stąd. Czołgaj się, jeśli będziesz musiał. Wracaj do samochodu i jedź. I na miłość boską, rusz tyłek, bo inaczej nasz przyjaciel zapakuje cię na resztę życia do wózka inwalidzkiego.

Wendell powoli dźwiga się na kolana, kolejny raz stara się wziąć oddech i podpira się w częściowo wyprostowanej pozycji. Macha jedną ręką do Jacka i Beezera, trudno jednak dojść, o co mu chodzi. Być może chce im przekazać, żeby trzymali się z dala od niego, że nie będzie im sprawiał więcej kłopotów, albo i to, i to. Przygięty i z przyciśniętymi do brzucha dłońmi Green przechodzi chwiejnym krokiem za róg budynku.

– Pewnie powinienem ci podziękować – mówi Beezer. – Pozwoliłeś mi dotrzymać obietnicy, jaką dałem swojej starej. Muszę jednak przyznać, że Wendell Green to gość, którego miałbym ochotę poddać dekonstrukcji.

– Człowieku, nie byłem pewien, czy zdążę przed tobą – mówi Jack.

– Prawda, nerwy już mi puszczały.

Obydwaj się uśmiechają.

– Beezer St. Pierre – mówi harleyowiec i wyciąga rękę.

– Jack Sawyer.

Pozwala uścisnąć sobie dłoń i czuje ból tylko przez chwilę.

– Pozwolisz glinom ze stanówki odwalić całą robotę czy będziesz dalej grzebał?

– A jak myślisz? – pyta Jack.

– Gdybyś kiedyś potrzebował pomocy albo posiłków, wystarczy, że poprosisz, bo na niczym mi tak nie zależy, jak na złapaniu tego sukinsyna, a podejrzewam, że masz na to więcej szans niż wszyscy inni.

– Och, Wendell istotnie zrobił zdjęcia ciała – mówi Henry w drodze powrotnej do doliny Norway. – Kiedy wyszliście z budynku, a ty podszedłeś do pikapa, słyszałem, że ktoś robi kilka zdjęć, ale myślałem, że to Dale. Potem znów usłyszałem dźwięk migawki, kiedy ty, Dale i Bobby Dulac wróciliście do środka, więc zdałem sobie sprawę, że ktoś robi zdjęcie mnie! No, niech to diabli, powiedziałem sobie, to na pewno pan Wendell Green, i kazałem mu wyjść z za rogu. Wtedy właśnie wypadli tamci, co tak wrzeszczeli i hałasowali. Kiedy tylko się to stało, usłyszałem, że pan Green wysunął się z za węgła, wszedł do środka i zrobił kilka zdjęć. Później wymknął się na zewnątrz i stanął z boku budynku, gdzie dopadł go twój przyjaciel Beezer. Beezer to zdumiewający gość, prawda?

– Zamierzałeś mi o tym powiedzieć, Henry?

– Oczywiście, ale kręciłeś się wszędzie dookoła, a ja wiedziałem, że Wendell Green nie odejdzie, dopóki nie zostanie wyrzucony. Nigdy więcej nie przeczytam ani słowa, które napisze. Nigdy.

– Ja tak samo – mówi Jack.

– Ale nie rezygnujesz z szukania Rybaka, prawda? Mimo całego gadania tego nadętego gliniarza ze stanówki.

– Nie mogę teraz zrezygnować. Prawdę mówiąc, myślę, że te sny na jawie, o których ci wspominałem, wiązały się ze sprawą.

– Cymes. Wróćmy teraz do Beezera. Czy dobrze słyszałem, że chciał przeprowadzić „dekonstrukcję” Wendella?

– Tak mi się wydaje.

– To na pewno fascynujący człowiek. Od swojego siostrzeńca dowiedziałem się, że Pierońska Piątka spędza sobotnie wieczory w Łasze. Może w następnym tygodniu wyciągnę stary samochód Rhody i pojedę do Centralii. Wypiję parę piw i utnę sobie miłą pogawędkę z panem St. Pierre'em. Na pewno ma interesujący gust muzyczny.

– Chcesz pojechać do Centralii? – Jack wpatruje się w Henry’ego, który słabym uśmiechem potwierdza, że jest to absurdalny pomysł.

– Ślepi ludzie potrafią doskonale prowadzić – mówi Henry. – Zapewne umieją kierować o wiele lepiej od widzących. Przynajmniej Ray Charles.

– Daj spokój, Henry. Dlaczego sądzisz, że Ray Charles umie prowadzić samochód?

– Pytasz, dlaczego? Bo pewnego wieczora w Seattle, to było, och, czterdzieści lat temu, kiedy miałem program w KIRO, Ray zabrał mnie na przejażdżkę. Jazda była gładka jak plecy lady Godivy. Bez żadnych problemów. Oczywiście trzymaliśmy się bocznych dróg, ale jestem całkiem pewien, że Ray rozpędził się do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

– Zakładając, że to się rzeczywiście wydarzyło, nie bałeś się?

– Czy się bałem? Oczywiście, że nie. Byłem jego pilotem. Na pewno nie miałbym problemów z dotarciem do Centralii tym sennym odcinkiem prowincjonalnej drogi. Jedyne powód, dla którego ślepi nie jeżdżą samochodami, jest taki, że pozostali im nie pozwalają. Chodzi o poczucie władzy. Chcą, żebyśmy pozostali zepchnięci na margines. Beezer St. Pierre doskonale by to zrozumiał.

– Proszę, a ja myślałem, że dopiero dzisiaj po południu będę w wariatkowie – podsumowuje Jack.

Rozdział czternasty

Na szczycie stromego wzgórza między doliną Norway i Arden zygzaki serpentyn drogi 93 prostują się i przechodzą w długi jak stok narciarski zjazd do miasta, a po wschodniej stronie szosy szczyt wzniesienia zamienia się w trawiasty płaskowyż. Dwa sponiewierane przez kaprysy aury czerwone stoliki piknikowe wyczekują na ludzi gotowych zatrzymać się na kilka minut, by podziwiać piękny widok. Kraciasta kołdra farm ciągnie się przez piętnaście mil łagodnego, niezupełnie płaskiego krajobrazu, przetykanego niemi potoków i polnych dróg. Horyzont tworzy solidny rząd wybrzuszających się niebieskozielonych wzgórz. Białe, wymyte słońcem obłoki wiszą na niezmiernym niebie jak świeże pranie.

Fred Marshall kieruje swojego forda exploraera na zwirowane pobocze i zatrzymuje samochód.

– Pozwól, że coś ci pokażę – mówi.

Wsiadając do exploraera pod swoim domem, Jack miał ze sobą lekko zużytą aktówkę z czarnej skóry; leży ona teraz płasko na jego kolanach. W górnej jej części przy ręczce wytłoczone są złote inicjały P.S.S. – ojca Jacka, Philipa Stevensona Sawyera. Fred kilkakrotnie spoglądał z zaciekawieniem na aktówkę, ale nie pytał o nią, a Jack nie wrywał się z żadnymi informacjami. Uważa, że czas na zwierzenia nadejdzie po rozmowie z Judy Marshall. Fred wysiada z samochodu, a Jack zsuwa starą aktówkę ojca między nogi, opierając ją o fotel, wysiada i idzie za mężczyzną po sprężystej trawie. Gdy docierają do pierwszego ze stolików, Fred wskazuje gestem krajobraz.

– Nie mamy tu wiele rzeczy, które mógłbyś nazwać atrakcjami turystycznymi, ale to jest zupełnie niezłe, nie sądzisz?

– Bardzo tu pięknie – odpowiada Jack. – Chociaż myślę, że tutaj wszystko jest piękne.

– Judy naprawdę lubi ten widok. Za każdym razem, kiedy jedziemy do Arden, a pogoda jest przyzwoita, musi się tu zatrzymać, wysiąść z samochodu, odprężyć się i trochę porozglądać. No wiesz, podładować baterie tym, co istotne, przed powrotem do kieratu. Co do mnie, czasem się niecierpliwię i myślę: Daj spokój, przecież widziałas to już tysiąc razy, muszę wracać do pracy – ale jestem tylko chłopem, nie? Dlatego za każdym razem stajemy

tutaj i siadamy na kilka minut, a do mnie dociera, że żona wie więcej ode mnie, a ja powinienem słuchać, co ma do powiedzenia.

Jack uśmiecha się i siada na ławce, czekając na resztę. Od zabrania go Fred Marshall powiedział tylko dwatrzypięć pełne wdzięczności zdania, ale jest jasne, że wybrał to miejsce, by wyrzucić z siebie coś, co mu ciąży.

– Pojechałem dzisiaj rano do szpitala, a ona – no cóż, jest inna. Patrząc na nią, rozmawiając z nią, można by pomyśleć, że znajduje się w o wiele lepszym stanie niż wczoraj. Chociaż nadal strasznie boi się o Tylera, jest inaczej. Myślisz, że to wpływ leków? Nawet nie wiem, co dostaje.

– Można z nią normalnie rozmawiać?

– Tak, od czasu do czasu. Na przykład dzisiaj rano mówiła mi o artykule z wczorajszej gazety o dziewczynce z La Riviere, która o mało co nie zajęła trzeciego miejsca w stanowym konkursie ortograficznym, ale nie potrafiła przeliterować jakiegoś wariackiego słowa, o którym nikt nie słyszał. Popoplaks czy coś takiego.

– Opopanaks – mówi Jack takim tonem, jakby ośc uwięzła mu w gardle.

– Też widziałeś ten artykuł? Ciekawe, że obydwójce zauważyliście to słowo. Jakby dostała od tego kopa. Pytała pielęgniarki, co ono *znaczy*, a jedna z nich zajrzała do paru słowników. Nie mogła go znaleźć.

Jack odszukał je w „Concise Oxford Dictionary”, ale jego dosłowne znaczenie jest nieistotne.

– „Opopanaks” można pewnie zdefiniować tak – mówi. – Znaczenie pierwsze: słowo, którego nie można znaleźć w żadnym słowniku. Drugie: groźna tajemnica.

– Ha! – Fred Marshall kręci się przez cały czas nerwowo po punkcie widokowym, ale teraz zatrzymuje się obok Jacka, który podnosi wzrok i widzi, że drugi mężczyzna wpatruje się w rozległą panoramę. – Może właśnie to *znaczy*. – Fred nie odrywa wzroku od pejzażu. Nie jest jeszcze gotowy, ale robi postępy. – Wspaniale było widzieć, że się czymś takim interesuje, małą notką w „Heraldzie”... – Wyciera łzy i robi krok w stronę horyzontu. Odwraca się wreszcie i patrzy prosto na Jacka. – Hm, zanim poznasz Judy, chciałbym ci powiedzieć o niej kilka rzeczy. Kłopot polega na tym, że nie wiem, jak to odbierzesz. Nawet dla mnie brzmi to... sam nie wiem.

– Spróbuj – mówi Jack.

– Dobra – odpowiada Fred. Splata palce i pochyla głowę. Potem podnosi ją, a wzrok ma bezbronny jak u dziecka. – Achhhh... Sam nie wiem, jak to ująć. Dobrze, powiem to po prostu. Częścią duszy uważam, że Judy coś wie. Przynajmniej chcę tak myśleć. Z drugiej strony nie chcę sobie wmawiać, że ponieważ wygląda, jakby się jej poprawiło, nie może być już szalona. Ale chcę w to wierzyć. Rany boskie, jak bardzo chcę wierzyć.

– Wierzysz, że coś wie.

Niesamowite uczucie, wywołane przez opoponaksa, ustępuje, gdy dochodzi do potwierdzenia teorii Jacka.

– Coś, co nawet dla niej nie jest naprawdę jasne – mówi Fred. – Pamiętasz, co ci mówiłem? Wiedziała, że Tyler zaginał, zanim jej o tym powiedziałem. – Rzuca Jackowi udręczone spojrzenie i odsuwa się. Uderza zaciśniętą pięścią w dłoń i wlepia wzrok w ziemię. Pada kolejna wewnętrzna bariera, ustępując potrzebie wyjaśnienia dylematu. – Dobra, posłuchaj. Musisz to zrozumieć. Judy to wyjątkowa osoba. Zgadza się, wielu facetów mówi o swoich żonach, że są wyjątkowe, ale Judy jest wyjątkowa w wyjątkowy sposób. Po pierwsze, jest na swój sposób zdumiewająco piękna, ale nie o to mi chodzi. Jest też strasznie odważna, ale to też nie to. To tak jakby była w kontakcie z czymś, czego reszta nas nie potrafi nawet zacząć pojmować. Ale czy to może być prawda? Jak bardzo to wariackie? Może kiedy traci się rozum, najpierw walczy się z całych sił i dostaje hysterii, a potem człowiek robi się zbyt oszalały, żeby walczyć, więc staje się spokojny i godzi się ze wszystkim. Muszę porozmawiać z jej lekarzem, bo to mnie wykańcza.

– Co takiego mówi Judy? Wyjaśniła, dlaczego jest o wiele spokojniejsza?

– No, po pierwsze, Judy chyba uważa, że Tyler wciąż żyje i że jesteś jedynym człowiekiem, który może go odnaleźć. – Fred Marshall wbija w Jacka palące spojrzenie.

– W porządku – odpowiada Jack, nie chcąc mówić nic więcej przed rozmową z Judy. — Powiedz, czy Judy wspominała o kimś znajomym – lub kuzynie czy dawnym chłopaku – który jej zdaniem mógł go porwać?

Jego teoria wydaje się mniej przekonująca niż w ultraracjonalnej, skończenie dziwacznej kuchni Henry’ego Leydena; odpowiedź Freda jeszcze bardziej ją nadwątła.

– Nie, chyba że nazywa się Karmazynowy Król, Gorg albo Abbalah. Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że Judy wydaje się, iż coś widzi, i chociaż to nie ma sensu, mam wielką nadzieję, że to prawda.

Nagła wizja świata, w którym znalazł czapkę Piwowarów, przeszywa Jacka Sawyera jak lanca ze stalowym grotem.

– I tam właśnie jest Tyler.

– Gdybym częścią duszy nie wierzył, że istnieje znikoma szansa, iż to może być prawda, to tu i teraz bym oszalał – odpowiada Fred. – O ile jeszcze mi nie odbiło.

– Jedźmy porozmawiać z twoją żoną – mówi Jack.

Z zewnątrz szpital French County Lutheran przypomina dziewiętnastowieczny przytułek dla obłąkanych z północy Anglii: mury z brudnoczerwonej cegły z poczerniałymi przyporami i ostrołukami, stromy dach z kwiatonami, wybrzuszone się wieżyczki, małe okna i cała długa fasada są upstrzone zadawnionym nalotem. Olbrzymi budynek, położony za mурowanym ogrodzeniem w gęstym od dębów parku na wschodnim obrzeżu Arden, gotycki

w swojej wystawności, wygląda na karzący, wypruty z litości. Jack trochę spodziewa się usłyszeć krzykliwą organową muzykę rodem z filmów z Vincentem Price'em.

Przechodzą przez wąskie, zwieńczone ostrołukiem drewniane drzwi i trafiają do uspokajająco znajomo udekorowanego holu. Znużony mężczyzna za biurkiem na środku kieruje gości do wind; wypchane zwierzątka i pióropusze kwiecia wypełniają okna sklepiku z podarunkami. Przypięci do stojaków z kroplówkami pacjenci siedzą z rodzinami przy chaotycznie rozstawionych stolikach; inni chorzy zajmują miejsca na brzeżkach krzeseł pod bocznymi ścianami. Dwaj lekarze w białych fartuchach naradzają się w rogu. Dwa zakurzone, eleganckie kandelabry pod wysokim sufitem sączą światło o miękkiej, ochrowej barwie, które przez chwilę zdaje się ozłacać bujne kwiecie lilii, ustawionych w wysokich wazach pod wejściem do sklepu z podarunkami.

– Jeżku, nie ma co, w środku wygląda lepiej – mówi Jack.

– Przynajmniej w większości – odpowiada Fred.

Podchodzą do mężczyzny za biurkiem.

– Na oddział D – mówi Fred.

Z błyskiem słabego zainteresowania mężczyzna podaje im dwa prostokątne kartoniki ze stemplem: GOŚĆ i macha ręką, by szli dalej. Winda *zjeżdża* z klekotaniem i otwiera się, wpuszczając ich do wykładanej boazerią kabiny wielkości schowka na miotły. Fred Marshall naciska guzik oznaczony 5 i trzęsąca się winda rusza w górę. Jej wnętrze wypełnia takie samo miękkie, złote światło. Dwa lata temu bardzo podobna do tej winda, aczkolwiek znajdująca się w drogim paryskim hotelu, więziła przez dwie i pół godziny Jacka oraz doktorantkę historii sztuki z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, Ilianę Tedesco; w trakcie tej niewoli panna Tedesco oznajmiła, że ich związek osiągnął kres, chociaż jest wdzięczna za to, co do tej pory było satysfakcjonującą podróżą we dwoje. Po zastanowieniu się Jack postanawia nie kłopotać Freda Marshalla tą informacją.

Bardziej posłuszna niż jej francuska kuzynka winda zatrzymuje się z drżeniem, otwiera drzwi z jedynie symboliczną demonstracją niechęci i wypuszcza Jacka oraz Freda Marshalla na czwarte piętro, gdzie piękne światło wydaje się o odcień ciemniejsze niż w windzie i na parterze.

– Niestety, to po przeciwnej stronie – informuje Jacka Fred.

Po lewej stronie otwiera się pozornie nieskończony korytarz, przypominający ćwiczenie z perspektywy; Fred wskazuje palcem w tę stronę.

Mijają dwie pary wielkich podwójnych drzwi, korytarz na oddział B, dwa wielkie hole, po których bokach są zasłonięte firankami wnęki, skręcają w lewo koło zamkniętego wejścia na oddział geriatryczny, przechodzą bardzo długim korytarzem z wywieszonym mnóstwem tablic ogłoszeniowych, mijają wejście na oddział C, nagle skręcają w prawo przy męskich i kobiecych toaletach, przechodzą obok ambulatorium oftalmologicznego i archiwum, po czym wreszcie docierają do korytarza z oznaczeniem: ODDZIAŁ D. W miarę ich marszu światło

wyduje się systematycznie ciemnieć, ściany – zbliżać się do siebie, a okna – kurczyć się. W korytarzu na oddział D zalegają cienie, na podłodze majaczy mała plama blasku.

– Jesteśmy w najstarszej części budynku – mówi Fred.

– Na pewno chcesz zabrać stąd Judy najszybciej, jak to możliwe.

– No pewnie, kiedy tylko Pat Skarda uzna, że może wyjść. Przygotuj się na niespodziankę: Judy w pewnym sensie się tu podoba. Myślę, że to pomaga. Wytłumaczyła mu, że tu czuje się zupełnie bezpieczna, a niektórzy z tych, którzy się odzywają, są wyjątkowo ciekawi. Mówi, że to jak podróż na statku. – Jack śmieje się z zaskoczenia i niedowierzania. Fred Marshall dotyka jego ramienia i pyta: – To *znaczy*, że jest jej o wiele lepiej czy o wiele gorzej?

Za końcem korytarza wchodzi do sporych rozmiarów pokoju, który wygląda, jakby przez sto lat uchował się w niezmiennym stanie. Ciemnobrązowa boazeria sięga cztery stopy nad ciemnobrązową drewnianą podłogę. Wysoko w górze w szarej ścianie po prawej oprawione jak obrazy wąskie okna wpuszczają przefiltrowane szare światło. Mężczyzna nad wypolerowanym drewnianym kontuarem naciska guzik otwierający podwójnych rozmiarów metalowe drzwi z napisem: ODDZIAŁ D, opatrzone okienkiem z nietłukącego szkła.

– Może pan wejść, panie Marshall, ale kto przyszedł z panem?

– Nazywa się Jack Sawyer. Przyjechał tu ze mną.

– Jest krewnym czy lekarzem?

– Ani jednym, ani drugim, ale moja żona chce się z nim zobaczyć.

– Proszę tu chwilę poczekać.

Sanitariusz znika za metalowymi drzwiami i zamyka je za sobą z więziennym szczęknięciem. Minutę później wraca z pielęgniarką, której gruba, pobrużdżona twarz, wielkie ramiona i dłonie oraz masywne uda sprawiają, że wygląda jak mężczyzna w przebraniu. Przedstawia się jako Jane Bond, oddziałowa oddziału D – kombinacja tych słów i okoliczności sprawia, że nieodparcie nasuwa się co najmniej parę przezwisk. Pielęgniarka poddaje Freda i Jacka, a następnie tylko tego ostatniego, ostrzałowi pytań, po czym znika z powrotem za wielkimi drzwiami.

– Agentka Bond – mówi Jack, nie potrafiąc się powstrzymać.

– Nazywamy ją Oddziałowym Bondem – mówi sanitariusz. – Jest surowa, lecz z drugiej strony niesprawiedliwa. – Kaszle i patrzy w wysokie okna. – Mamy salowego, który mówi na nią Agent Zero Zero Zero.

Kilka minut później Siostra Oddziałowa Bond, Agent Zero Zero Zero, otwiera metalowe drzwi i mówi:

– Możecie wejść, ale pan musi posłuchać uważnie, co mam do powiedzenia.

Na pierwszy rzut oka oddział przypomina wielki hangar lotniczy, podzielony na kilka części: z wyściełanymi ławkami, z okrągłymi stolikami i plastikowymi krzesłami oraz trzecią, gdzie na dwóch długich stołach porozkładano bloki rysunkowe, pudełka kredek i akwarele. W

olbrzymiej przestrzeni meble wyglądają jak z domku dla lalek. Tu i ówdzie na pomalowanej gładko na anonimowy szary kolor cementowej podłodze rozłożono prostokątne materace; przeciwną ścianę z czerwonej cegły *znaczą* dwadzieścia stóp nad podłogą małe, zakratowane okna, dawno temu pociągnięte kilkoma warstwami białej farby. W przeszklonej dyżurce na lewo od drzwi pielęgniarka za biurkiem podnosi wzrok znad książki. Daleko po prawej, sporo za stołami z akcesoriami do rysowania, troje zamkniętych metalowych drzwi prowadzi do oddzielnych światów. Uczucie przebywania w hangarze ustępuje wrażeniu łagodnego, ale niepodważalnego uwięzienia.

Dwudziestu do trzydziestu mężczyzn i kobiet, rozproszonych w olbrzymiej sali, wydaje cichy szmer. Jedyne niewielu z nich rozmawia z widocznym towarzystwem. Chodzą w kółko, stoją murem w miejscu, leżą zwinięci jak niemowlęta na materacach; liczą na palcach i bazgrzą w notesach. Podrygują, ziewają, płaczą, wpatrują się w przestrzeń i w samych siebie. Niektórzy mają na sobie zielone szpitalne szlafroki, inni najprzeróżniejsze cywilne ubrania: koszulki z krótkimi rękawami i szorty, dresy, stroje do biegania, zwykle koszule i spodnie, żakiety. Nikt nie ma pasa, z butów wyjęto sznurówki. Dwaj muskularni mężczyźni z krótko przyszyżonymi włosami i lśnącymi podkoszulkami siedzą przy jednym z okrągłych stolików z minami cierpliwych psów wartowniczych. Jack stara się wypatrzeć Judy Marshall, ale mu się to nie udaje.

– Prosiłam pana o uwagę, panie Sawyer.

– Przepraszam – odpowiada Jack. – Nie spodziewałem się, że tak tu przestronnie.

– Musimy mieć dużo miejsca, panie Sawyer. Obsługujemy coraz więcej pacjentów. – Pielęgniarka czeka na uznanie jej znaczenia, więc Jack kiwa głową. – Bardzo dobrze. Przedstawię panu kilka podstawowych zasad. Jeśli pan mnie usłucha, pańska wizyta upłynie dla nas wszystkich najprzyjemniej, jak to możliwe. Proszę nie gapić się na pacjentów ani nie wpadać w popłoch, gdy pan słyszy, co mówią. Proszę się nie zachowywać, jakby cokolwiek, co zrobią lub powiedzą, było niezwykle lub niepokojące. Niech pan tylko zachowuje się uprzejmie, a pacjenci w końcu dadzą panu spokój. Jeśli będą pana o coś prosić, proszę postąpić wedle własnego uznania, ale w granicach rozsądku. Proszę jednak powstrzymać się od dawania im pieniędzy, jakichkolwiek ostrych przedmiotów czy artykułów żywnościowych, uprzednio niezatwierdzonych przez kogoś z lekarzy – niektóre z leków wchodzą w niepożądane interakcje z pewnymi produktami spożywczymi. Zapewne w którymś momencie podejdzie do pana starsza kobieta, Estelle Packard, i zapyta, czy jest pan jej ojcem. Może pan odpowiedzieć, jak ma pan ochotę, ale jeśli pan zaprzeczy, odejdzie rozczarowana, natomiast jeśli pan potwierdzi, będzie miała dobry dzień. Ma pan jakieś pytania?

– Gdzie jest Judy Marshall? – pyta Jack.

– Z boku, siedzi do nas plecami na ostatniej ławce. Widzi ją pan, panie Marshall?

– Od razu ją wypatrzyłem – odpowiada Fred. – Są jakieś zmiany od dzisiejszego ranka?

– O ile mi wiadomo, nie. Doktor Spiegelman, który ją przyjmował, będzie tu mniej więcej za pół godziny; być może przekaze panu więcej informacji. Czy mam zabrać pana i pana Sawyera do żony, czy też wolicie pójść sami?

– Poradzimy sobie – mówi Fred Marshall. – Jak długo możemy zostać?

– Daję wam piętnaście, maksymalnie dwadzieścia minut. Judy jest wciąż w stadium oceny i chcę, żeby miała jak najmniej stresów. W tej chwili wygląda na dość spokojną, ale jest głęboko oderwana od rzeczywistości i szczerze mówiąc, pogrążona w urojeniach. Nie zaskoczyłby mnie kolejny napad hysterii, a nie chcielibyśmy przedłużyć stadium oceny przez wprowadzenie w tym momencie nowego leku, prawda? Proszę więc, panie Marshall, żebyście postarali się prowadzić rozmowę lekką, optymistyczną i bezstresową.

– Myśli pani, że ma urojenia?

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa pańska żona miała je od lat. – Siostra Bond uśmiecha się ze współczuciem. – Och, ukrywała je, ale tego rodzaju ideacje nie pojawiają się z dnia na dzień, o nie. Potrzeba lat na ich skonstruowanie, ale przez cały ten czas człowiek może wyglądać na normalnie funkcjonującą osobę. Wreszcie jakiś czynnik spustowy sprawia, że ujawnia się pełnoobjawowa psychoza. Przy okazji chciałabym przekazać panu wyrazy współczucia z powodu tego strasznego wydarzenia.

– Tak, to było straszne – mówi Fred Marshall. – Judy zaczęła się jednak zachowywać dziwnie, zanim jeszcze...

– Obawiam się, że to niczego nie zmienia. Potrzebowała uspokojenia, a jej urojenia – świat, jaki tworzą – wyszły na jaw, ponieważ ten świat dostarczył właśnie takiej pociechy, jakiej potrzebowała. Musiał pan słyszeć co nieco z tego dzisiaj rano, panie Marshall. Czy pana żona wspominała coś o przenoszeniu się w inne światy?

– Przenoszeniu się w inne światy? – pyta zaskoczony Jack.

– To dość typowe ideacje schizofreniczne – mówi siostra Bond. – Ponad połowa ludzi na tym oddziale ma podobne fantazje.

– Myśli pani, że moja żona cierpi na schizofrenię?

Siostra Bond wymija wzrokiem Freda i przeprowadza kompleksowe zestawienie pacjentów z podległego jej oddziału.

– Nie jestem psychiatrą, proszę pana, ale mam ponad dwadzieścia lat doświadczenia w postępowaniu z chorymi psychicznie. Na podstawie doświadczenia muszę panu powiedzieć, że moim zdaniem u pana żony przejawiają się klasyczne objawy schizofrenii paranoidalnej. Żałuję, że nie mam dla pana lepszych wiadomości. – Przenosi wzrok z powrotem na Freda Marshalla. – Oczywiście ostateczną diagnozę postawi doktor Spiegelman i odpowie na wszystkie pańskie pytania, wyjaśni warianty leczenia i tak dalej. – Uśmiech, jaki rzuca Jackowi, zdaje się krzepnąć w chwili powstania. – Zawsze mówię nowym odwiedzającym, że jest to cięższe dla rodziny niż dla samego pacjenta. Niektórzy z tych ludzi nie przejmują się niczym na świecie. Naprawdę prawie można im zazdrościć.

– Pewnie – mówi Jack. – Kto by nie zazdrościł?

– W takim razie chodźmy – odpowiada pielęgniarka ze śladowym rozdrażnieniem. – Życzę, żeby wizyta była udana.

Szereg głów odwraca się w ich stronę, gdy podchodzą powoli po zakurzonej drewnianej posadzce do pierwszego rzędu ław; wiele par oczu śledzi ich marsz. Na bladych twarzach pojawia się ciekawość, obojętność, podejrzliwość, zadowolenie lub bezosobowy gniew. Jack ma wrażenie, jakby każdy pacjent na oddziale przysuwał się ukradkiem w ich stronę.

Sflaczały mężczyzna w średnim wieku, w szlafroku, zaczyna przeciskać się między stolikami, wygląda, jakby bał się, że spóźni się na autobus, który ma go zabrać do pracy. Chuda, stara kobieta z długimi kosmykami siwych włosów podnosi się z końca najbliższej ławki i wpatruje się błagalnie w Jacka. Jej zaciśnięte, uniesione dłonie drżą gwałtownie. Jack zmusza się, by nie patrzeć jej w oczy.

– Mój kaczoekpaciorek był za drzwiami, ale ja o tym nie wiedziałam, a on tam był, w całej tej wodzie – szepcze, gdy ją mija, zupełnie tak, jakby uspokajała dziecko.

– Hm – mówi Fred. – Judy powiedziała, że jej dziecko utonęło w kąpieli.

Kątem oka Jack śledzi mężczyznę w szlafroku i z kępkami włosów, który przeciska się w ich stronę z otwartymi ustami. Kiedy dociera z Fredem od tyłu do ławki Judy, mężczyzna unosi palec, jakby sygnalizował kierowcy autobusu, by na niego zaczekał, i podbiega. Jack patrzy, jak zbliża się do nich; do diabła z radami Oddziałowej Bond. Nie pozwoli, żeby ten szaleniec wlał mu na głowę, za nic. Podniesiony palec nieruchomieje w pobliżu twarzy Jacka, a mężczyzna szuka mętnym wzrokiem jego oczu. Wreszcie odwraca spojrzenie i zaciska silnie usta, a następnie odwraca się – poły szlafroka się w tym momencie rozwiewają – i odbiega, wciąż szukając palcem celu.

O co chodzi? – zastanawia się Jack. Nie ten autobus?

Judy Marshall nawet nie drgnęła. Na pewno usłyszała mijającego ją biegiem mężczyznę, jego zdyszany oddech, gdy się zatrzymał, a potem łopot szlafroka, kiedy odbiegał, ale jej plecy obleczone w luźny zielony szlafrok nawet się nie poruszyły. Wciąż patrzy w górę pod tym samym kątem. Wydaje się oderwana od rzeczywistości. Gdyby miała umyte, wyszczotkowane i ułożone włosy, gdyby była zwyczajnie ubrana i miała ze sobą walizkę, wyglądałaby dokładnie jak kobieta na dworcowej ławce, która czeka na godzinę odjazdu swojego pociągu.

Zanim Jack zobaczy twarz Judy Marshall i usłyszy choć jedno słowo z jej ust, rejestruje wokół niej aurę rozstania, która nasuwa myśl o podróży, przypomina, że gdzieś tam może znajduje się cel owej wędrówki.

– Powiem jej, że jesteśmy – szepcze Fred.

Okrąża ławkę i przyklęka przed żoną. Judy schyla głowę, jakby w odpowiedzi na mieszaninę rozpaczy, miłości i lęku, widoczną na przystojnej twarzy jej męża. Włosy barwy ciemnobłond, pomieszanej ze złotem, oblepiają jej czaszkę. Różnobarwne pasemka tworzą zasupłaną pajęczynę za uchem.

– Jak się czujesz, kochanie? – cicho pyta Fred swoją żonę.

– Potrafię znaleźć sobie zajęcie – odpowiada. – Wiesz, mój drogi, przynajmniej na razie powinnam tutaj zostać. Pielęgniarka oddziałowa jest pewna, że całkowicie zwariowałam. Czy to nie wygodne?

– Jest tu Jack Sawyer. Chcesz z nim porozmawiać?

Judy wyciąga rękę i klepie go po sterzącym w górę kolanie.

– Powiedz panu Sawyerowi, żeby wyszedł z za moich pleców, a ty usiądź obok mnie.

Jack już idzie naprzód, nie odrywając wzroku od ponownie wyprostowanej, ale nie odwracającej się głowy Judy Marshall. Klękając, Fred ujął oburącz jej wyciągniętą dłoń, jakby zamierzał złożyć na niej pocałunek. Wygląda jak zakochany rycerz przed królową. Gdy przyciska jej dłoń do policzka, Jack spostrzega rozpostartą na czubkach palców gazetę. W polu jego widzenia pojawia się policzek Judy, potem kąt surowych poważnych ust; wreszcie widoczny staje się cały profil, wyraźny jak szczelina w lodzie pierwszego dnia wiosny. Jest to wyidealizowany, królewski profil na kamei lub monecie: lekko uniesiona ku górze krzywizna ust, równy, jak wyryty dłutem skos nosa, płaszczyzna szczęki – każdy kąt jest idealny i wzbudza czułość, a całość wydaje się dziwnie znajoma.

Nieoczekiwane piękno wstrząsa Jackiem; przez ułamek sekundy zwalnia, budzi się w nim głęboka, nieprzemijająca tęsknota za innym obliczem, której to teraz jest tylko fragmentaryczną i niedokładną ewokacją. Czyim? Grace Kelly? Catherine Deneuve? Nie, żadnej z nich; przychodzi mu do głowy, że z profilu Judy przypomina mu kogoś, kogo dopiero pozna.

Potem dziwna chwila mija. Fred Marshall podnosi się, widziana w planie trzy czwarte twarz Judy traci królewskie dostojęstwo. Judy patrzy, jak mąż siada obok niej na ławce, a Jack odrzuca to, co przyszło mu właśnie do głowy, jako absurd.

Judy nie podnosi wzroku, dopóki Jack nie staje przed nią. Jej włosy są zmatowiałe i w nieładzie; pod szpitalnym szlafrokiem ma starą niebieską koszulę nocną z koronkową lamówką, która nawet gdy była nowa, wyglądała niemodnie. Mimo tych niedociągnięć Jack wpada niepodzielnie we władzę Judy Marshall, kiedy tylko napotyka jej spojrzenie.

Ma wrażenie, że przez jego ciało przenika prąd elektryczny, który rodzi się w nerwach wzrokowych, i bezradnie dochodzi do wniosku, że to z pewnością najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu. Boi się, że siła jego reakcji zwali go z nóg, następnie – co jeszcze gorsze! – że Judy zobaczy, co się z nim dzieje, i uzna go za głupca. Rozpaczliwie nie chce wyjść na głupca w jej oczach. Brooke Greer, Claire Evinrude, Iliana Tedesco, każda na swój sposób wspomniała, wyglądają w porównaniu z nią na małe dziewczynki w strojach na Halloween.

Judy Marshall wysyła jego ukochane z przeszłości w odstawkę; udowadnia, że były kapryśne i impulsywne, podszyte fałszywym poczuciem własnej ważności i setkami paraliżujących kompleksów. Piękno Judy nie potrzebuje lustra; wyrasta z zapierającą dech prostotą wprost z głębi jej natury. To, co widać, jest jedynie małą, dostępną wzrokowi częścią o wiele większej, bardziej kompleksowej, promiennej i oficjalnej wartości wewnątrz.

Jack niemal nie potrafi uwierzyć, że dobroduszny, ustępliwy Fred Marshall miał naprawdę tak fantastyczne szczęście, że ożenił się z tą kobietą. Czy wie, jaka jest wspaniała, jak dosłownie cudowna? Jack w jednej chwili pojąłby ją za żonę, gdyby była wolna. Czuje, że zakochał się w niej, kiedy tylko zobaczył tył jej głowy.

Wszakże nie może się w niej zakochać. Jest żoną Freda Marshalla i matką ich syna. Po prostu będzie musiał żyć bez niej.

Judy wypowiada krótkie zdanie, które przeszywa go wibrującą falą dźwięku. Pochyla się, by wybąkać przeprosiny, a Judy uśmiecha się i gestem zaprasza go, by usiadł naprzeciwko niej. Siada na podłodze i krzyżuje nogi przed sobą, wciąż rozdygotany od wstrząsu, jaki w nim wywołała.

Jej twarz staje się jeszcze piękniejsza od uczuć. Zorientowała się dokładnie, co się z nim dzieje, i nie ma o to pretensji. Nie nabrała wskutek tego o nim gorszego mniemania. Jack otwiera usta, żeby zadać pytanie. Ale prawdę mówiąc, nie wie, o co chce spytać. Natura pytania jest nieistotna. Nawet najbardziej idiotyczna kwestia się nada; nie może tak siedzieć, w milczeniu wlepiając wzrok w tę cudowną twarz.

Zanim się odzywa, jedna wersja rzeczywistości przechodzi bezdźwięcznie w drugą i bez żadnej transformacji Judy Marshall staje się zmęczoną kobietą po trzydziestce, ze splątanymi włosami i cieniami pod oczyma, przyglądającą się nieruchomo Jackowi z ławki na zamkniętym oddziale psychiatrycznym. Powinno to wydawać się przywróceniem zdrowych zmysłów, lecz Jack czuje się, jakby to była sztuczka autorstwa samej Judy Marshall, by łatwiej zniósł spotkanie.

Wymykają mu się słowa tak banalne, jak się obawiał. Jack słucha, jak mówi, że miło ją poznać.

– Ja też się cieszę, że pana poznałam, panie Sawyer. Słyszałam o panu mnóstwo cudownych rzeczy.

Jack szuka oznak, że Judy zdaje sobie sprawę z niezmiernej doniosłości chwili, która właśnie minęła, ale widzi jedynie promieniejące od niej ciepło. Zważywszy na okoliczności, wydaje się to dostateczną reakcją.

– Jak pani sobie tutaj radzi? – pyta, a stosunek sił przesuwa się jeszcze bardziej na jego korzyść.

– Trzeba się trochę wysilić, żeby przywyknąć do towarzystwa, ale ludzie tutaj pogubili się i nie potrafią znaleźć drogi z powrotem, to wszystko. Niektórzy są bardzo inteligentni. Odbyłam z nimi rozmowy o wiele ciekawsze niż w mojej grupie kościelnej czy komitecie

rodzicielskim. Może powinnam była wcześniej trafić na oddział D! Bycie tutaj pomogło mi nauczyć się różnych rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład tego, że można zagubić się na wiele sposobów i jest to łatwiejsze, niż ktokolwiek gotów jest przyznać. Ludzie tutaj nie potrafią ukrywać swoich uczuć, a większość nigdy nie nauczyła się radzić sobie ze strachem.

– A jak trzeba to robić?

– Cóż, przez mówienie o nim – właśnie tak! Nie mówi się: pogubiłem się i nie wiem, jak się odnaleźć – zmierza się dalej w tym samym kierunku. Stawia się jedną stopę przed drugą, aż jest się jeszcze bardziej zagubionym. Każdy powinien o tym wiedzieć. Zwłaszcza pan, Jacku Sawyer.

Zwłasz...

Zanim może dokończyć pytanie, pojawia się przed nim starsza kobieta z pomarszczoną, miłą twarzą i dotyka jego ramienia.

– Przepraszam. – Wcisła głowę w ramiona nieśmiało jak dziecko. – Chcę zadać panu pytanie. Jest pan moim ojcem?

Jack uśmiecha się do niej.

– Najpierw ja panią o coś zapytam, dobrze? Nazywa się pani Estelle Packard? – Stara kobieta kiwa głową z lśniącymi oczyma. – W takim razie tak, jestem pani ojcem.

Estelle Packard zakrywa rękami usta, dyga i szurając stopami, odchodzi, promieniejąc z zadowolenia. Gdy jest w odległości dziewięciudziesięciu stóp, macha Jackowi delikatnie dłonią na pożegnanie i błyskawicznie się odwraca.

Kiedy Jack przenosi z powrotem wzrok na Judy Marshall, ma wrażenie, że uchyliła woalu zwyczajności na tyle szeroko, by ukazać małą cząstkę swej nadzwyczajnej duszy.

– Jest pan bardzo uprzejmym człowiekiem, prawda, Jacku Sawyer? Nie domyśliłabym się tego od razu. Jest pan też bardzo dobry. Oczywiście, jest pan również czarujący, ale czar i przyzwoitość nie zawsze idą w parze. Powinnam powiedzieć jeszcze kilka rzeczy o panu?

Jack przenosi wzrok na Freda, który z promiennym uśmiechem trzyma żonę za rękę.

– Chcę, żeby pani mówiła wszystko, na co ma ochotę.

– Są rzeczy, których nie mogę powiedzieć bez względu na to, jak się czuję, ale i tak może pan je usłyszeć. Ale mogę powiedzieć jedno, co pewnie ma z tym coś wspólnego. Przede wszystkim otrzymał pan dar dobrego wychowania. Czuję, że miał pan wspaniałą matkę. Mam rację, prawda?

Jack śmieje się, wzruszony nieoczekiwanym i trafnym stwierdzeniem.

– Nie wiedziałem, że to widać.

– Wie pan, w czym między innymi się to przejawia? W sposobie, w jaki odnosi się pan do innych. Jestem zupełnie pewna, że pochodzi pan ze środowiska, które tutejsi ludzie znają tylko z filmów, ale nie uderzyło to panu do głowy. Traktuje pan nas jak ludzi, nie jak

kmiotków, i dlatego wiem, że mogę panu zaufać. Najwyraźniej pańska matka świetnie się spisala. Ja też byłam dobrą matką, albo przynajmniej próbowałam, więc wiem, o czym mówię. Widzę to.

– Powiedziała pani, że była dobrą matką? Dlaczego użyła pani...

– Czasu przeszłego? Bo mówiłam o tym, co było przedtem.

Uśmiech Freda gaśnie, zastąpiony źle skrywaną troską.

– Co to znaczy: „przedtem”?

– Pan Sawyer może wiedzieć – odpowiada Judy, rzucając Fredowi spojrzenie, odebrane przez niego jako zachęta.

– Przepraszam, ale chyba nie – mówi.

– To znaczy, zanim tutaj wylądowałam i wreszcie zaczęłam się trochę zastanawiać. Zanim przestałam tracić rozum ze strachu – zanim uświadomiłam sobie, że mogę wejrzeć w siebie i przebadać uczucia, które nawracały przez całe moje życie. Zanim miałam czas wędrować. Myślę, że wciąż jestem dobrą matką, ale nie jestem zupełnie tą samą matką.

– Proszę, kochanie – mówi Fred. – Jesteś ta sama, miałaś tylko drobne załamanie. Powinniśmy pomówić o Tylerze.

– Mówimy o Tylerze. Panie Sawyer, zna pan punkt widokowy na drodze dziewięćdziesiątej trzeciej, na szczycie wzgórza mniej więcej milę przed Arden?

– Byłem tam dzisiaj – odpowiada Jack. – Fred mi go pokazał.

– Widział pan te ciągnące się bez końca farmy? I wzgórza w oddali?

– Tak. Fred powiedział mi, że uwielbia pani ten widok.

– Zawsze chciałam się tam zatrzymywać i wysiadać z samochodu. Uwielbiam cały ten widok. Krajobraz ciągnie się przez wiele mil, a potem – łups! – urywa się i nie widać już nic więcej. Ale niebo ciągnie się dalej, prawda? Niebo udowadnia, że po drugiej stronie tych wzgórz też istnieje świat. Gdybym wędrowała, mogłabym tam dotrzeć.

– Tak, mogłaby pani.

Nagle na przedramionach Jacka występuje gęsia skórka i mrowi go kark.

– Ja? Mogę wędrować tylko w moim umyśle, panie Sawyer, a przypomniałam sobie, jak się to robi tylko dlatego, że wylądowałam w wariatkowie. Ale przyszło mi do głowy, że pan może się tam dostać – na drugą stronę wzgórz.

Zasycha mu w ustach. Odnotowuje rosnący niepokój Freda Marshalla, nie potrafiąc go zmniejszyć. Chce zadać jej tysiące pytań, ale zaczyna od najprostszego:

– Jak z panią się zaczęło? Co pani przez to rozumie?

Judy Marshall wyjmuje dłoń z ręki męża i podaje ją Jackowi. Ujmuje ją oburącz. Jeśli kiedykolwiek Judy wyglądała jak zwyczajna kobieta, to nie w tym momencie. Płonie jak latarnia morska, jak ognisko na odległym urwisku.

– Powiedzmy... późno w nocy lub gdy byłam długo sama, ktoś do mnie szeptał. Nie było to aż tak określone, ale powiedzmy, że przypominało to osobę szepczącą z drugiej strony

grubego muru. Dziewczynkę jak ja, w moim wieku. A kiedy zapadałam w sen, prawie zawsze śniło mi się miejsce, gdzie ona mieszkała. Nazywałam je Oddalą, a ten świat przypominał region Coulee, tyle że był czystszy, jaśniejszy i bardziej magiczny. W Oddali ludzie jeździli karocami i żyli w wielkich, białych namiotach. W Oddali byli ludzie, którzy umieli latać.

– Ma pani rację – odpowiada. Fred przenosi wzrok z żony na Jacka z bolesną niepewnością, więc Jack dodaje: – Brzmi to obłądnie, ale ma rację.

– Do czasu kiedy we French Landing zaczęły dziać się złe rzeczy, zdążyłam prawie całkowicie zapomnieć o Oddali. Nie myślałam o niej, odkąd skończyłam dwanaście czy trzynaście lat. Im bardziej jednak coś złego zbliżało się do Freda, Tylera i mnie, to znaczy im gorsze miałam sny, tym mniej realne wydawało mi się moje prawdziwe życie. Pisałam różne słowa, nie wiedząc, co znaczą, robiłam szalone rzeczy, sypałam się. Nie rozumiałam, że Oddal chce mi coś przekazać. Dziewczynka znowu szeptała z drugiej strony muru, tyle że teraz jest już dorosła i śmiertelnie przerażona.

– Dlaczego pani pomyślała, że ja mogę pomóc?

– Po prostu takie miałam uczucie, jeszcze wtedy kiedy aresztował pan tego Kinderlinga i pańskie zdjęcie ukazało się w gazecie. Pierwsza rzecz, o jakiej wówczas pomyślałam, było: Ten człowiek wie o Oddali. Nie zastanawiałam się, w jaki sposób i skąd potrafię to odgadnąć na podstawie zdjęcia; po prostu zrozumiałam, że pan wie. A potem, kiedy Tyler zaginął, a ja straciłam rozum i obudziłam się tutaj, pomyślałam, że gdyby można zajrzeć w głowy niektórych z tych ludzi, oddział D niezbyt by się różnił od Oddali, i przypomniałam sobie, że widziałam pana zdjęcie. I wtedy właśnie zaczęłam rozumieć, czym jest podróżowanie. Przez cały dzisiejszy poranek wędrowałam po Oddali w mojej głowie. Widziałam ją, dotykałam jej. Wąchałam to niewiarygodne powietrze. Wie pan, panie Sawyer, że tam są króliki wielkości kangurów? Człowiekowi chce się śmiać na sam ich widok. – Jack uśmiecha się szeroko i nachyla, by ucałować jej dłoń, ruchem bardzo przypominającym gest jej męża. Judy delikatnie wyjmuje ją z uścisku. – Kiedy Fred mi powiedział, że się z panem widział i że pomaga pan policji, wiedziałam, że znalazł się pan tutaj nie bez powodu.

To, co robi ta kobieta, zdumiewa Jacka. W najgorszym momencie swojego życia, gdy zaginął jej syn, a jej odebrało rozum, nadzwyczajnym wysiłkiem pamięci przywołała wszystkie swoje siły i w rezultacie dokonała cudu. Odnalazła w sobie zdolność podróżowania. Z zamkniętego oddziału jakby przeniosła się w drugi świat, zapamiętany jedynie z dziecięcych snów. Nic oprócz opisanego przez Freda niezmiernie odwagi nie umożliwiłoby jej dokonania tego tajemniczego kroku.

– Pan kiedyś czegoś dokonał, prawda? – pyta go Judy. – Był pan tam, w Oddali, i coś pan zrobił – coś nadzwyczaj ważnego. Nie musi pan potwierdzać, bo widzę to po panu; to jasne jak dzień. Ale niech pan powie: tak – żebym to usłyszała. Niech pan powie: tak. Po prostu: tak.

–Tak.

– Co zrobiłeś? – pyta Fred. – W tej krainie ze snów? Jak możesz mówić, że tak?

– Zaczekaj – mówi mu Jack. – Później ci coś pokażę.

Odwraca się z powrotem do siedzącej naprzeciw niego niezwyklej kobiety. Judy Marshall goreje przenikliwością, wiarą i odwagą; chociaż jest nie dla niego, wydaje się w tej chwili jedyną kobietą w świecie tym i wszystkich innych, którą mógłby kochać przez resztę życia.

– Był pan taki jak ja – mówi Judy. – Zapomniał pan zupełnie o tamtym świecie. No i został pan policjantem, detektywem. W istocie został pan jednym z najlepszych detektywów wszech czasów. Wie pan, dlaczego pan to zrobił?

– Myślę, że odczuwałem pociąg do tej pracy.

– A co pana szczególnie w niej pociągało?

– Pomoc społeczeństwu. Ochronianie niewinnych ludzi. Zamykanie złych typów. Bo była to ciekawa praca.

– I wydawało się panu, że nigdy nie przestanie być ciekawa. Bo zawsze będzie nowy problem do rozwiązania, nowe pytanie, na które trzeba będzie odpowiedzieć.

Trafiła w dziesiątkę, o której Jack do tej pory nawet nie wiedział, że istnieje.

– Zgadza się.

– Był pan doskonałym detektywem, bo chociaż nie zdawał sobie pan z tego sprawy, istniało coś – coś wyjątkowo ważnego – co musiał pan odkryć. – Jestem glincjantem, przypomina sobie Jack. Własny cichy głos wśród nocy, szepczący do niego z drugiej strony bardzo grubego muru. – Musiał pan coś odnaleźć dla dobra pańskiej duszy.

– Tak – mówi Jack. Słowa Judy przeniknęły go do głębi; łzy napływają mu do oczu. – Zawsze chciałem się dowiedzieć, czego mi brakuje. Całe swoje życie spędziłem na poszukiwaniu tajemnego wytłumaczenia.

W pamięci, wyraźnie jak na kliszy filmowej, widzi wielki płócienny pawilon, białą salę, gdzie leży umierająca, piękna i wynędzniała królowa, a wśród jej służebnic jest dziewczynka dwa lub trzy lata młodsza od jego dwunastoletniego wcielenia.

– Nazywał to pan Oddalą? – pyta Judy.

– Nazywałem to Terytoriami.

Wypowiedzenie tego słowa na głos przypomina otwarcie skrzyni ze skarbem, którym może się wreszcie podzielić.

– Dobra nazwa. Fred tego nie zrozumie, ale kiedy dzisiaj rano wyprawiłam się na ten długi spacer, czułam, że mój syn jest gdzieś w Oddali – w pańskich Terytoriach. Gdzieś nie na widoku, ukryty. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, lecz wciąż jest żywy i zdrowy. W celi. Śpi na podłodze. Ale żyje. I nic mu się nie stało. Myśli pan, że to prawda?

– Zaczekaj chwilę – mówi Fred. – Wiem, że tak czujesz, i sam chciałbym w to wierzyć, ale mówimy tutaj o prawdziwym świecie.

– Myślę, że jest mnóstwo prawdziwych światów – mówi Jack. – I owszem, wierzę, że Tyler jest gdzieś w Oddali.

– Może go pan uratować? Może go pan sprowadzić z powrotem?

– Jest tak, jak powiedziała pani wcześniej, pani Marshall – odpowiada Jack. – Na pewno nie jestem tutaj bez powodu.

– Sawyer, mam nadzieję, że cokolwiek mi pokażesz, będzie miało więcej sensu niż wasza rozmowa – mówi Fred. – Na razie i tak skończyliśmy. Idzie oddziałowa.

Wyjeżdżając ze szpitalnego parkingu, Fred Marshall rzuca okiem na leżącą płasko na kolanach Jacka aktówkę, ale nic nie mówi. Zachowuje milczenie do chwili, gdy znajdują się ponownie na drodze 93.

– Cieszę się, że ze mną pojechałeś – mówi wreszcie.

– Dziękuję – odpowiada Jack. – Ja też się cieszę.

– Wiesz, czułem się nieco skołowany, ale chciałem wiedzieć, co ty o tym wszystkim sądzisz. Myślisz, że dobrze poszło?

– Myślę, że lepiej niż dobrze. Twoja żona jest... Sam właściwie nie wiem, jak miałbym ją opisać. Brakuje mi słownictwa, żeby ci przekazać, jaka moim zdaniem jest wspaniała.

Fred kiwa głową i rzuca Jackowi ukradkowe spojrzenie.

– W takim razie domyślam się, że twoim zdaniem nie postradała rozumu?

– Jeżeli to ma być obłąd, to chcę oszaleć razem z nią.

Dwupasmowa asfaltowa droga wspina się przed nimi po stromym stoku wzgórza, a na jego szczycie pozornie ciągnie się dalej w bezwymiarowy przestwór niezmiernego nieba.

Fred rzuca kolejne ostrożne spojrzenie na Jacka.

– I mówisz, że widziałeś to... to miejsce, które nazywa Oddalą.

– Tak, widziałem. Choćby było trudno w to uwierzyć.

– Bez kitu. Nie chrzań. Przysięgnij na grób matki.

– Przysięgam na grób mojej matki.

– Byłeś tam. I to nie tylko we śnie – naprawdę tam byłeś.

– Jesienią, kiedy miałem dwanaście lat.

– Ja też mógłbym się tam przenieść.

– Zapewne nie – mówi Jack.

Nie jest to prawda, Jack mógłby bowiem *zabrać* Freda w Terytoria ze sobą, ale chce zatrzasnąć te drzwi tak szczelnie, jak to tylko możliwe. Potrafi wyobrazić sobie, że zabiera do drugiego świata Judy Marshall; Fred to co innego. Judy więcej niż zasłużyła sobie na podróż w Terytoria, podczas gdy Fred wciąż nie może uwierzyć w ich istnienie. Judy czułaby się tam jak w domu, ale jej mąż zachowywałby się jak kotwica, którą trzeba wlec za sobą, tak samo jak Richard Sloot.

– Tak przypuszczałem – mówi Fred. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym znów się zatrzymać, kiedy wjedziemy na szczyt.

– Bardzo dobrze – odpowiada Jack.

Fred dociera do szczytu wzniesienia, przejeżdża na drugą stronę wąskiej drogi i zatrzymuje się w zwirowanej zatoczce. Zamiast wysiąść z samochodu, wskazuje na aktówkę, leżącą płasko na kolanach Jacka.

– W środku masz to, co miałeś mi pokazać?

– Tak – mówi Jack. – Zamierzałem pokazać ci to wcześniej, ale po tym, gdy zatrzymaliśmy się tu po raz pierwszy, wołałem poczekać, aż usłyszę, co Judy ma do powiedzenia. I jestem zadowolony, że tak zrobiłem. Może będzie ci to trochę łatwiej zrozumieć, zwłaszcza że usłyszałeś już część wyjaśnienia, gdzie to znalazłem.

Otwiera neseser, unosi wieko i z wyściełanego blada skórą wnętrza wyjmuje znaną tego ranka czapkę z godłem Piwowarów.

– Przyjrzyj się – mówi i podaje ją Fredowi.

– Omójboże – wyrzuca z siebie zaskoczony Marshall. – To... to jest...? – Zagląda do wnętrza czapki i robi głęboki wydech na widok nazwiska syna. Przerzuca spojrzenie na Jacka. – To Tylera. Dobry Boże, to Tylera. Och, Panie. – Przyciska czapkę do piersi i dwa razy nabiera głęboko oddechu, nie odrywając spojrzenia od Jacka. – Gdzie to znalazłeś? Jak dawno to było?

– Znalazłem ją dzisiaj rano na drodze – mówi Jack. – W miejscu, które twoja żona nazywa Oddalą.

Fred Marshall z przeciągłym jękiem otwiera drzwi i wyskakuje z samochodu. Zanim Jack dołącza do niego, jest już po przeciwnej stronie punktu widokowego, przyciska czapkę do piersi i wpatruje się w niebieskozielone wzgórza za długą kołdrą pól. Obraca się i z natężeniem wpatruje w Jacka.

– Myślisz, że wciąż żyje?

– Myślę, że żyje.

– W tamtym świecie. – Fred wskazuje wzgórza. Łzy ciekną mu z oczu. – Świecie, który jak mówi Judy, jest gdzieś tam.

– W tamtym świecie.

– W takim razie przenieś się tam i go znajdź! – woła Fred. Z lśniąca od łez twarzą wymachuje czapką baseballową na oślep w stronę horyzontu. – Idź tam i go przyprowadź, do cholery! Skoro ja nie mogę, to ty musisz to zrobić.

Robi krok naprzód, jakby szykował się do ciosu, po czym obejmuje Jacka i szlocha.

Kiedy przestają drżeć mu ramiona, a jego oddech zamienia się w rytmiczne wzdychanie, Jack mówi:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Wiem. – Fred cofa się i wyciera twarz. – Przepraszam, że tak na ciebie nawrzeszczałem. Wiem, że chcesz nam pomóc.

Dwaj mężczyźni zawracają do samochodu. Daleko na zachodzie luźna, wełnista opończa białoszarej barwy pokrywa brzegi rzeki.

– Co to? – pyta Jack. – Deszcz?

– Nie, mgła – odpowiada Fred. – Rozchodzi się od Missisipi.

Część trzecia

Plutoński nocy brzeg

Rozdział piętnasty

Do wieczora temperatura spada prawie o dziesięć stopni, ponieważ przez naszą część regionu Coulee przesuwa się chłodny front atmosferyczny. Nie zbierają się burzowe chmury, ale gdy niebo zabarwia się na fioletowo, pojawia się mgła. Zrodzona z rzeki, wspina się po pochylni ulicy Chase, najpierw zasłaniając rynsztoki, następnie chodniki, wreszcie rozmazując zarysy samych budynków. Nie może całkowicie ich ukryć, jak czasem robią zimowe i wiosenne mgły, ale to zmętnienie jest jeszcze gorsze: likwiduje kolory i zmiękcza kształty. Mgła sprawia, że znajome wydaje się obce. Do tego dochodzi zapach – pradawna, mewia woń, wciskająca się głęboko w nozdrza i budząca ukrytą część umysłu, zdolną do uwierzenia w potwory, gdy skraca się perspektywa, a serce ogarnia niepokój.

Na ulicy Sumner Debbie Anderson wciąż dyżuruje jako dyspozytorka. Arnold „Wściekły Węgier” Hrabowski został odesłany do domu bez odznaki – został zawieszony – musi zadać żoncy kilka pytań (przekonanie, że zna już odpowiedzi, sprawia, że tym bardziej boli go serce). Debbie wpatruje się w tej chwili w okno, w ręce trzyma kubek kawy, a na jej twarzy maluje się zmartwienie.

– Nie podoba mi się to – mówi do Bobby’ego Dulaca, który posępnie i w milczeniu spisuje raporty. – Przypomina mi to filmy z wytwórni Hammer, które oglądałam w telewizji w gimnazjum.

– Wytwórni Hammer? – pyta Bobby, podnosząc wzrok.

– Horrorzy – odpowiada, wpatrując się w gęstniejącą mgłę. – Mnóstwo z nich było o Draculi. I Kubie Rozpruwaczu.

– Nie chcę słyszeć nic o Kubie Rozpruwaczu – mówi Bobby. – Zrób mi tę przyjemność, Debster. – I wraca do pisania.

Na parkingu pod 7Eleven pan Rajan Patel stoi obok telefonu (wciąż przepasanego na krzyż żółtą policyjną taśmą; ale kiedy znów będzie można z niego skorzystać, tego pan Patel nie umiałby nam powiedzieć). Patrzy w stronę śródmieścia, obecnie wydającego wyłaniać się z wielkiej misy śmietany. Budynki na Chase pogrążają się w tej misie. Gmachy w najniższej części ulicy widać tylko od piętra w górę.

– Jeśli tam jest – mówi pan Patel cicho i tylko do siebie – to dziś wieczorem będzie mógł robić, na co tylko ma ochotę.

Krzyżuje ramiona na piersi i drży.

Dale Gilbertson – co zdumiewające – jest w domu. Zamierza zjeść kolację z żoną i dzieckiem, nawet gdyby z tego powodu miał nastąpić koniec świata. Wychodzi z obniżonej części salonu (po dwudziestominutowej rozmowie telefonicznej z detektywem z policji stanu Wisconsin Jeffem Blackiem, podczas której musiał ze wszystkich sił powstrzymać się od krzyku) i widzi, że żona stoi przy oknie i wygląda na zewnątrz, w postawie niemalże dokładnie takiej samej jak Debbie Anderson, tyle że ma w ręce kieliszek z winem zamiast kubka kawy. Wyraz zmartwienia na twarzy jest identyczny.

– Mgła od rzeki – mówi Sarah z przygnębieniem. – No to cacy. Jeśli tam jest...

– Nie kończ. – Dale mierzy w nią palcem. – Nawet o tym nie myśl.

Wie jednak, że oboje nie mogą o tym nie myśleć. Ulice French Landing – spowite mgłą ulice French Landing – będą teraz opustoszałe: nikt nie idzie do sklepów, nikt nie obją się na chodnikach, nikt nie siedzi w parku. Zwłaszcza dzieci. Rodzice zatrzymają je w domach. Nawet na Nailhouse Row, gdzie porządna opieka jest raczej wyjątkiem niż regułą, rodzice nie wypuszczą z domu swoich pociech.

– Nie skończę – przyznaje Sarah. – Tyle przynajmniej mogę zrobić.

– Co na kolację?

– Co powiesz na duszonego kurczaka?

Zwykle uznaliby tak gorące danie w czerwcowy wieczór za marny wybór, ale dziś wieczorem, przy gęstniejącej mgle, brzmi wprost idealnie. Podchodzi do Sarah i przytula ją na chwilę.

– Świetnie – mówi. – Im wcześniej, tym lepiej.

– Wracasz do pracy? – Sarah odwraca się w jego stronę z rozczarowaniem.

– Nie powinienem, skoro Brown i Black przejęli pałeczkę...

– Te kutasy – mówi Sarah. – Nigdy ich nie lubiłam.

Dale uśmiecha się. Wie, że dawniejszej Sarah Asbury nigdy za bardzo nie odpowiadał sposób, w jaki zarabia na życie, dzięki czemu jej żarliwa lojalność jest tym bardziej wzruszająca. Dziś wieczór chyba ma wyjątkowe znaczenie. Był to najboleśniej dzień w policyjnej karierze Dale'a, zakończony zawieszeniem Arnolda Hrabowskiego. Dale wie, że Arnie wierzy, iż niedługo znów wróci na służbę. Cholerna prawda jest taka, że Arnie ma pewnie rację. Sądząc po tym, jak układają się sprawy, Dale może potrzebować nawet takiego przykładu nieskażonej niekompetencji jak Wściekły Węgier.

– Tak czy inaczej, nie muszę na razie wracać, ale...

– Masz przecucie.

– Właśnie.

– Dobrze czy źle?

Sarah nauczyła się respektować przeczucia męża, na co wpłynęło również niezmiernie pragnienie Dale'a, by Jack Sawyer zamieszkał w zasięgu siedmio, a nie jedenastocyfrowego numeru telefonicznego. Dziś wieczór wydaje się jej to przeczuciem jak na zawołanie.

– I takie, i takie – mówi Dale, po czym zmienia temat, ucinając kolejne pytania: – Gdzie Dave?

– Przy kuchennym stole z kredkami.

Sześciolatek David Gilbertson przeżywa gwałtowne zauroczenie kredkami Crayola; zużył dwa pudełka od zakończenia roku szkolnego. Dale i Sarah, gdy leżą nocą obok siebie, dzielą się marzeniem, że wychowują prawdziwego artystę. Następnego Normana Rockwella, jak powiedziała kiedyś Sarah. Dale – który pomagał Jackowi Sawyerowi zawieszać dziwne i cudowne obrazy – wiąże z chłopcem jeszcze większe nadzieje. W istocie zbyt wielkie, by je wyrazić, nawet w małżeńskim łóżu przy zgaszonym świetle.

Dale przechodzi do kuchni ze swoim kieliszkiem wina.

– Co rysujesz, Dave? Co...

Urywa. Kredki leżą porzucone, a twórcy rysunku – niedokończonego szkicu czegoś, co może być latającym talerzem albo okrągłym stolikiem do kawy – również nie ma.

Tylne drzwi są otwarte.

Dale patrzy na biel, kryjącą huśtawkę i poręczę Davida, i czuje, że gardło ściska mu wzbierająca straszliwa trwoga. Natychmiast przypomina sobie zapach Army Freneau, ohydny woń surowego, gnijącego mięsa. Wszelkie poczucie, że jego rodzina żyje w ochronnym magicznym kręgu – *może się to przydarzyć innym, ale nigdy, za nic nie nam* – znika. Zastępuje je surowa pewność: David zaginął. Rybak wywabił go z domu i uprowadził pod osłoną mgły. Dale widzi uśmiech na twarzy Rybaka. Widzi dłoń w rękawiczce – żółtej – zakrywającą usta chłopca, ale nie dostrzega wybaluszonych z przerażenia dziecięcych oczu.

W mgłę i poza granice znanego świata.

David.

Dale rusza przez kuchnię na nogach, które jakby nie miały nerwów ani kości. Odstawia lampkę wina na stół. Stopka trafia ukośnie na kredkę, lecz Dale nie zauważa, jak kieliszek się przewraca, pokrywając niedokończony rysunek Davida plamami koszmarne przypominającymi krew. Wypada przez drzwi i chociaż chce krzyczeć, to z gardła wydobywa mu się jedynie szept:

– David?... Dave?

Przez chwilę, wydającą się trwać tysiąc lat, panuje cisza. Wreszcie Dale słyszy miękkie szuranie stóp po trawie. Z gęstniejącej zupy materializują się niebieskie dzinsy i rugbyarska koszula w czerwone paski. W chwilę później widzi uśmiechniętą twarz syna i strzechę płowych włosów.

– Tato! Tatku! Pływałem we mgle. Jakbym był w chmurze!

Dale podrywa go z ziemi. Odczuwa zły, przelotny impuls, by trzepnąć dzieciaka po buzi, by sprawić mu ból za to, że tak przestraszył ojca. Ochota mija równie szybko, jak się pojawia. Zamiast tego Dale całuje Davida.

– Wiem – mówi. – Na pewno było fajnie, ale chodźmy już do środka.

– Dlaczego, tato?

– Bo mali chłopcy czasami giną we mgle – mówi, oglądając się na białe podwórko. Widzi stolik na patio, a właściwie tylko jego ducha; gdyby go nie widział tysiące razy, toby go nie poznał. Dale znów całuje syna. – Czasami mali chłopcy giną – powtarza.

Och, moglibyśmy zajrzeć do mnóstwa przyjaciół, zarówno dawnych, jak i nowych. Jack i Fred Marshall wrócili z Arden (żaden z nich nie zaproponował, żeby wpaść do „Gertie’s Kitchen” w Centralii, kiedy ją mijali), i obydwaj siedzą obecnie w swoich pustych domach. Przez resztę drogi powrotnej do French Landing Fred ani na chwilę nie wypuścił z dłoni czapki baseballowej swojego syna; mają w ręce nawet teraz, gdy je odgrzany w mikrofalówce gotowy obiad i w zbyt pustym salonie patrzy na telewizję.

Oczywiście dzisiejsze wiadomości nadawane w programie „Action News Five” przede wszystkim dotyczą Army Freneau. Fred bierze do ręki pilota, kiedy rozchwiane ujęcia ręczną kamerą spod „Ed’s Eats” zostają zastąpione wcześniej zmontowanym materiałem z osiedla domów na kółkach Holiday Trailer Park. Kamerzysta skupia się szczególnie na jednej zaniedbanej przyczepie. Kilka kwiatków, dzielnych, lecz skazanych na zagładę, więdnie w kurzu pod schodami – trzema deskami na dwóch blokach cementu. „Tu, na peryferiach French Landing, mieszka w odosobnieniu pogrążona w żałobie matka Army Freneau – mówi reporterka z miejsca wydarzeń. – Można sobie wyobrazić, jakie uczucia przeżywa dzisiaj ta samotna kobieta”. Dziennikarka jest ładniejsza od Wendella Greena, ale emanuje w dużym stopniu identyczną aurą gorączkowego, niezdrowego podniecenia.

Fred gasi telewizor.

– Dlaczego nie możecie zostawić biednej kobiety w spokoju? – mruczy.

Spogląda na wołową mielonkę na grzance, ale stracił apetyt.

Powoli podnosi czapkę Tylera i wsadzają sobie na głowę. Nie pasuje i Fred przez chwilę zastanawia się, czy nie poluzować plastikowego paska z tyłu. Myśl ta przyprawia go o wstrząs. Załóżmy, że tylko tego trzeba by było do zabicia jego syna? Jednej prostej, śmiercionośnej modyfikacji. Uznaje ten pomysł zarówno za niedorzeczny, jak i bezgranicznie oczywisty. Myśli, że jeśli dalej będzie zachowywał się w ten sposób, wkrótce stanie się równie szalony jak żona... czy Sawyer. Ufanie Sawyerowi to taki sam obłęd jak myślenie, że mógłby zabić syna przez dopasowanie rozmiaru jego czapki... mimo wszystko wierzy i w to, i Jackowi. Bierze z powrotem widelec i zaczyna jeść. Czapka Tylera siedzi na jego głowie jak kaszkiet Spanky’ego ze starych jednoszpulowych filmów z serii „Our Gang”.

Beezer St. Pierre siedzi na kanapie w bieliźnie, z otwartą, lecz nie czytaną książką na kolanach (jest to tom poezji Williama Blake'a). Niedźwiedzica śpi w drugim pokoju, a Beezer walczy z ochotą, by wyskoczyć do Łachy i strzelić sobie trochę speedu – jest to jego dawny nalóg, który porzucił prawie pięć lat temu. Od śmierci Amy każdego dnia walczy z tą chęcią, lecz ostatnio zwycięża tylko dzięki powtarzaniu sobie, że nie zdoła odnaleźć Rybaka – i ukarać go – jeśli będzie miał nasrane w głowie od anielskiego pyłu.

Henry Leyden siedzi w swoim studiu z parą wielkich słuchawek Akai na głowie, słuchając, jak Warren Vache, John Bunch i Phil Flanigan żeglują jak marzenie przez „I Remember April”. Wyczuwa woń mgły nawet przez ściany; dla niego pachnie jak powietrze w „Ed's Eats”. Innymi słowy jak zła śmierć. Zastanawia się, jak Jackowi powiodło się na starym dobrym oddziale D we French County Lutheran. Myśli też o swojej żonie, która ostatnio (zwłaszcza od potańcówki przy płytach w Domu Maxtona, chociaż nie zdaje sobie z tego świadomie sprawy) wydaje się mu bliższa niż kiedykolwiek. I niespokojna.

Istotnie, możemy przyrzeć się najprzeróżniejszym naszym znajomym, ale przynajmniej jeden zniknął nam z oczu. Charlesa Burnside'a nie ma w świetlicy w Domu Maxtona (gdzie wiekowy kolorowy telewizor, przyśrubowany do ściany, jest nastawiony właśnie na stary odcinek „Family Ties”) ani w jadalni, gdzie wczesnym wieczorem można dostać coś do zjedzenia, ani w jego pokoju, gdzie pościel jest obecnie czysta (ale w powietrzu nadal czuć słabą woń starego kału). A w łazience? Nie. Thorvald Thorvaldson wpadł za potrzebą i żeby umyć ręce, ale poza tym toaleta jest pusta. Dziwna rzecz: w jednej z kabin leży na boku włochaty bambosz. Przez jaskrawożółte i czarne pasy wygląda jak wielki, martwy trzmiel. I owszem, jest to druga kabina z lewej. Ulubiona Burny'ego.

Powinniśmy się za nim rozejrzeć? Może i tak. Może właśnie niewiedza, gdzie się podziewa ten łobuz, wzbudza w nas niepokój. Prześliznijmy się więc cicho jak sen w dolną część ulicy Chase. Stoi tu hotel Nelson; jego parter pograżył się teraz w rzecznej mgłę, a ochrowy pas, znaczący najwyższy poziom dawnej powodzi, stanowi jedynie cień barwy w ginącym świetle. Po jednej stronie jest zamknięty już na noc sklep obuwniczy „Wisconsin Shoe”. Po drugiej znajduje się „Tawerna Lucky'ego”, pod którą stara kobieta z nogami prostowanymi na beczce (nazywa się Bertha Van Düsen, jeśli was to obchodzi), ze wspartymi o wielkie kolana dłońmi zwraca właśnie do rynsztoka Staroświeckiego Lagera „Królewskie Włości”. Wydaje przy tym dźwięki jak zły kierowca katujący ręczną skrzynię biegów. W drzwiach hotelu Nelson siedzi natomiast cierpliwy stary kundel i czeka, aż Bertha wróci do knajpy, po czym podkrada się, by zeżreć unoszące się w piwie kawałki częściowo przetrawionych koktajlowych frankfurterek. Z „Tawerny Lucky'ego” rozlega się zmęczony, zawodzący głos nieżyjącego już Dicka Curlessa, Jednookiego Śpiewaka Starego Country, opiewającego Hainesville Woods, gdzie co mila znajduje się nagrobek.

Pies wydaje pojedyncze, pozbawione zainteresowania warknięcie, gdy mijamy go i wnikamy do hotelowego holu, w którym nadjedzone przez mole głowy – wilka, niedźwiedzica,

łosia i wiekowego, nieco wyleniałego bizona z jednym szklanym okiem – patrzą na puste sofy, puste fotele, nieczynną mniej więcej od 1994 roku windę i opustoszałe biurko recepcji. (Recepcjonista Morty Fine siedzi za biurkiem, stopy opiera na pustej szafce na dokumenty, czyta „People” i dłubie w nosie). Lobby hotelu Nelson zawsze pachnie rzeką – wniknęła ona w jego pory – tego jednak wieczora zapach jest silniejszy niż zwykle. Woń ta przywodzi nam na myśl złe pomysły, chybione inwestycje, fałszywe czeki, podupadające zdrowie, skradzione materiały biurowe, niezapłacone alimenty, próżne obietnice, guzy skóry, stracone ambicje, porzucone opakowania próbek wypełnione tanimi nowościami, umarłe nadzieje, starą skórę i płaskostopie. Nie mieszka się w takim miejscu, jeśli nie było się w nim wcześniej, i praktycznie wszystkie nadzieje legły w gruzach. W takim miejscu ludzie, którzy przed dwoma dziesięcioleciami porzucili swoje rodziny, leżą na wąskich łóżkach z poplamionymi moczem materacami i kaszląc palą papierosy. Obskurny stary bar (w którym obskurny stary Hoover Dalrymple wodził do niedawna rej i walił po czachach przez większość piątkowych i sobotnich wieczorów) został zamknięty jednogłośną decyzją rady miejskiej na początku czerwca, gdy Dale Gilbertson wywołał zgorszenie miejscowej elity politycznej, kiedy pokazał jej film wideo trzech objazdowych striptizerek, mieniających się Triem Uniwersytetu Analnego, wykonujących na miniaturowej scenie zsynchronizowany numer z ogórkami (kamerzysta policji French Landing: Tom Lund, prosimy o oklaski), ale na szczęście dla mieszkańców hotelu Nelson po piwo wystarczy przejść do sąsiedniego budynku. W hotelu płaci się za tydzień pobytu. Można trzymać w pokoju maszynkę elektryczną, ale tylko za pozwoleniem i po sprawdzeniu kabla. W hotelu Nelson można umierać za stałą emeryturę, a ostatnim dźwiękiem, jaki się słyszy, jest skrzywienie sprężyn nad głową, towarzyszące waleniu konia przez jakiegoś innego starego nieudacznika.

Wznieśmy się na piętro, mijając stary płócienny wąż przeciwpożarowy w szklanej gablocie. Skręćmy na półpiętro (obok automatu telefonicznego z żółknącą tabliczką: NIECZYNNY) i wznieśmy się jeszcze wyżej. Gdy docieramy na drugie piętro, do woni rzecznej mgły dołącza zapach rosółu, podgrzewanego na czyjejś maszynie (z kablem obowiązkowo sprawdzonym przez Morty’ego Fine’a lub George’a Smitha, dziennego recepcjonistę).

Woń rozchodzi się z pokoju 307. Jeśli wślizniemy się przez dziurkę od klucza (w hotelu Nelson drzwi nigdy się nie otwierały i nie będą się otwierać na karty magnetyczne), znajdziemy się w obecności Andrewa Railsbacka, siedemdziesięcioletniego, łysiejącego, żylastego i dobrodusznego. Sprzedawał kiedyś odkurzacze Elektroluksu i urządzenia gospodarstwa domowego Sylvania, ale te dni minęły. Były to jego złote lata.

Kandydat do Domu Maxtona, moglibyśmy pomyśleć, ale Andy Railsback zna to miejsce, a także inne podobne. Nie dla niego, dzięki. Jest dość towarzyski, ale nie chce słuchać, kiedy ma się kłaść spać, kiedy wstawać i kiedy może sobie strzelić łyceczek early times. Ma przyjaciół w Domu Maxtona, często ich odwiedza i od czasu do czasu napotykał roziskrzony,

plytki, drapieżny wzrok naszego kumpla Chippera. Niejeden raz myślał przy takich okazjach, że pan Maxton wygląda na faceta tego rodzaju, który z radością przerobiłby trupy swoich podopiecznych na mydło, gdyby mógł na tym zarobić trochę grosza.

Nie, dla Andy'ego Railsbacka drugie piętro hotelu Nelson jest wystarczająco dobre. Ma maszynkę elektryczną, flaszkę gorzały, cztery talie kart Bicycle i rozkłada wielkiego pasjansa w te noce, kiedy omija go Piaskowy Dziadek.

Tego wieczora zalał trzy porcje zupy Liptona, zamierzając zaprosić Irvinga Throneberry'ego na pogawędkę przy zupce. Może potem wyskoczyliby po sąsiedzku do Lucky'ego na browarek. Andy zagląda do zupy, widzi, że elegancko gotuje się na wolnym ogniu, wdycha wonną parę i kiwa głową. Ma również pasujące do zupy słone paluszki. Wychodzi z pokoju, by wejść piętro wyżej i zastukać do drzwi Irva, lecz staje jak wryty przez to, co widzi na korytarzu.

Widzi starego człowieka w bezkształtnym niebieskim szlafroku, oddalającego się od niego z podejrzaną szybkością. Nieznajomemu spod szlafroka wystają białe jak brzuch karpia nogi, pokryte niebieskimi płataninami żyłaków. Na lewej stopie ma mechaty, żółtoczarny bambosz, lecz prawa jest bosa. Chociaż nasz nowy przyjaciel nie potrafi orzec tego na pewno – bo nieznajomy jest odwrócony plecami – nie przypomina on nikogo znanego Andy'emu.

Starzec kręci również gałkami kolejnych drzwi, które mija na głównym korytarzu drugiego piętra. Każdą z nich szybko i mocno szarpie. Jak klawisz. Albo złodziej. Kurewski złodziej.

No. Chociaż mężczyzna jest wyraźnie stary – wygląda na to, że starszy od Andy'ego – i ubrany, jakby miał kłaść się spać, myśl o złodziejstwie kołuje Railsbackowi pod czaszką z niesamowitą pewnością. Nawet mimo bosej stopy, która świadczy, że facet raczej nie przyszedł z ulicy, Andy nie potrafi pozbyć się dziwnego przekonania.

Andy otwiera usta, by coś zawołać – na przykład: „W czym mogę pomóc?” albo „Szuka pan kogoś?” – po czym zmienia zdanie. Nie może pozbyć się związanego z tym facetem uczucia. Wynika ono z chyżości, z jaką nieznajomy przekrada się przez korytarze, naciskając po kolei kłamki, ale nie tylko. Bynajmniej nie tylko z tego, lecz również z uczucia zagrożenia i ciemności. Stary piernik ma kieszenie przy szlafroku, Andy je widzi – w którejś może znajdować się broń. Złodzieje nie zawsze mają broń, ale...

Facet skręca za róg i znika. Andy stoi w miejscu, zastanawiając się, co zrobić. Gdyby miał telefon w pokoju, mógłby zadzwonić na dół i ostrzec Morty'ego Fine'a, ale go nie ma. A zatem co mu zostaje?

Po krótkiej wewnętrznej debacie rusza na palcach korytarzem i wygląda za róg. Za nim jest ślepy zaułek z trzema drzwiami: 312, 313 i w samym końcu 314, obecnie jedynym zajęтым pokojem w tym skrzydle. Mężczyzna w 314 mieszka tu od wiosny, ale Andy poznał do tej pory praktycznie tylko jego imię i nazwisko: George Potter. Pytał o niego zarówno Irva,

jak i Hoovera Dalrymple'a, ale Hoover głównie wie o Potterze, a Irv zdołał dowiedzieć się niewiele więcej.

– Na pewno wiesz – sprzeciwił się Andy; rozmowę tę prowadzili pod koniec maja lub na początku czerwca, mniej więcej w tym czasie, gdy zamknięto na głucho bar „Biickhead Lounge” na parterze. – Widziałem cię z nim u Lucky'ego, jak piliście piwo.

Irv uniósł krzaczastą brew w typowy dla siebie cyniczny sposób.

– Widziałeś mnie, jak piliśmy piwo – wychrypiał. – A co, kurwa, jesteś moją żoną czy co?

– Tak tylko powiedziałem. Jak się pije z facetem piwo, to się z nim gada...

– Zwykle tak, ale nie z nim. Usiadłem, zamówiłem kufel i przeważnie miałem wątpliwą przyjemność wsłuchiwania się w swoje myśli. Mówię: „Jak myślisz, jak Piwowarom pójdzie w tym roku?”, a on na to: „Do dupy, tak samo jak w zeszłym. Mogę złapać wieczorami Cubs na moim raadiu...”.

– Tak właśnie powiedział? Raadiu?

– No, przecież ja tak nie mówię. Słyszałeś, żebym kiedykolwiek powiedział: raadiu? Mówię radio, tak samo jak każdy normalny człowiek. Chcesz tego słuchać czy nie?

– Chyba nie ma za dużo do słuchania.

– *Zgadza się, stary.* Mówi: „Mogę złapać wieczorami Cubs na moim raadiu i to mi wystarczy. Kiedy byłem mały, zawsze wybierałem się na Wrigley z tatą”. No więc wiem, że jest z Chicago, ale poza tym figa z makiem.

Pierwszym człowiekiem, jaki przyszedł Andy'emu do głowy po ujrzeniu kurewskiego złodzieja na korytarzu drugiego piętra, był Potter, ale pan George Potter jest wysoki jak tyka grochowa. Ma może sześć stóp cztery cale wzrostu i sporo piaskowych włosów na głowie. Pan Jeden Bambosz jest niższy i skulony jak ropucha (Na dodatek jadowita ropucha, przemyka natychmiast Andy'emu przez głowę).

Jest tam, myśli Andy. Kurewski złodziej w pokoju Pottera, może grzebie w jego szufladach, szukając zadołowanej forsy. Pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dolarów, upchanych w skarpecie; ja tak robiłem. Albo kradnie radio Pottera. Jego cholerne radio.

No i co mu do tego? Mijałeś Pottera na korytarzu, mówiłeś mu uprzejmie dzień dobry albo dobry wieczór, a w zamian słyszałeś opryskliwy pomruk. Innymi słowami figę z makiem. Widziałeś go u Lucky'ego, pił sam, po przeciwnej stronie szafy grającej. Andy domyślał się, że gdyby się do niego przysiadł, to mogliby wypić po kuflu – dowodziło tego małe *tetedete* Irva z tym gościem – ale na co by się to zdało bez jakiejś pogaduszki. Dlaczego on, Andy Railsback, miałby narażać się na gniew jakiejś jadowitej ropuchy w szlafroku dla starego marudy, od którego nie usłyszysz ani „tak”, ani „nie”, ani „być może”?

Cóż...

Ponieważ to jego dom, choćby taki syfiasty – wystarczy. Bo jak się widzi jakiegoś starego pierdołę w jednym kapciu, który rozgląda się za wolną gotówką czy łatwym do

buchnięcia raadiem, to nie odwraca się plecami i drepcze z powrotem. Bo mdlące uczucie na widok skradającego się starego elfa (zła vibracja, jak by powiedziały wnuki Andy'ego) to zapewne wina paskudnego pietra. Bo...

Nagle Andy'emu przychodzi do głowy intuicyjna myśl, która chociaż nie jest strzałem w dziesiątkę, przynajmniej trafia w okolice prawdy. Załóżmy, że gość rzeczywiście przyszedł tu z ulicy? Załóżmy, że to jeden ze staruchów z Domu Spokojnej Starości Maxtona? Jest niedaleko, a Andy wie z doświadczenia, że czasami starzy klienci (lub klientki) opuszczają rezerwat. W zwykłych okolicznościach taka osoba zostałaby wypatrzona i odtransportowana z powrotem, nim dotarłaby tak daleko do centrum – raczej trudno przegapić na ulicy kogoś w instytucjonalnym szlafroku i jednym bamboszu – ale tego wieczora napłynęła mgła i ulice opustoszały.

Przyjrzyj się sobie, beszta się Andy. Wystraszyłeś się na śmierć faceta pewnie o dziesięć lat starszego od ciebie, który ma masło orzechowe zamiast mózgu. Zabłąkał się tu przez pustą recepcję – nie ma żadnej szansy na tym cholernym świecie, żeby Fine tam siedział; na pewno jest z tyłu z jakimś magazynem albo świerszczykiem – a teraz szuka swojego pokoju u Maxtona, szarpie za każdą klamkę na tym przeklętym korytarzu i mniej więcej tyle do niego dociera z tego, gdzie jest, co do wiewiórki na wjeździe na autostradę. Potter pewnie pije sobie piwko po sąsiedzku (przynajmniej to jest prawdą) i zostawił otwarte drzwi (możemy być natomiast pewni, że to się nie zgadza).

Chociaż Andy wciąż się boi, jednak wychodzi zza rogu i rusza powoli w stronę uchylonych drzwi. Serce wali mu szybko, bo połową siebie jest wciąż przekonany, że staruch może być groźny. Ostatecznie ogarnęło go złe uczucie na sam widok jego pleców...

Mimo to idzie dalej. Niech Bóg mu pomoże, ale idzie.

– Proszę pana? – woła, kiedy dociera do otwartych drzwi. – Ej, proszę pana, chyba pan pomylił pokoje. To pokój pana Pottera. Chyba nie...

Urywa. Nie ma sensu mówić czegokolwiek, bo pokój jest pusty. Jak to możliwe?

Andy cofa się i ciągnie za gałki drzwi do 312 i 313. Jak podejrzewał, oba pokoje są należycie pozamykane. Upewniwszy się co do tego, wchodzi do pokoju George'a Pottera i uważnie się rozgląda – ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Włości Pottera są nieco większe niż jego, ale poza tym właściwie się nie różnią: to kłitka z wysokim sufitem (trzeba przyznać, w dawnych czasach tak budowali, że człowiek mógł się wyprostować). Pojedyncze łóżko zapada się na środku, ale jest równo zasłane. Na nocnym stoliku stoi buteleczka tabletek (okazuje się, że to lek przeciwdepresyjny zolofit) oraz oprawione w ramkę zdjęcie kobiety. Andy myśli, że jest tak szpetna, że nawet żyrandol by na nią nie poleciał, ale Potter najwyraźniej ma o niej inne zdanie. Ostatecznie postawił fotografię w takim miejscu, gdzie jest pierwszą rzeczą, jaką widzi rano, i ostatnią, kiedy się kładzie spać.

– Potter? – mówi Andy. – Jest tu ktoś? Halo?

Nagle ogarnia go przemożne uczucie, że ktoś za nim stoi. Obraca się, instynktownie obnażając sztuczne szczęki w grymasie, będącym połączeniem uśmiechu, agresywnego szczerzenia i wyrazu trwogi. Jedną ręką zasłania się przed ciosem, który uważa za nieunikniony... tyle że w pokoju nikogo nie ma. Może staruch czai się za rogiem na końcu krótkiego aneksu do głównego korytarza? Nie, Andy widział, jak nieznajomy zniknął za tym rogiem. Nie było możliwości, żeby mógł się z nim minąć... chyba że staruch przelazł po suficie jak jakaś mucha...

Andy podnosi wzrok, wiedząc, że zachowuje się idiotycznie; w pełni kapituluje przed piętnem, ale nikt go ostatecznie nie widzi, więc co mu tam. W górze zresztą też niczego nie widać. Tylko zwyczajny sufit, martwy jak blacha, ciemnobiałe od dziesięcioleci dymu z cygar i papierosów...

Radio – och, cholernie przepraszam, radio – stoi nietknięte na oknie. I to piekielnie porządne, marki Bose, takie, o jakim Paul Harvey stale mówi w swoim południowym programie.

Za nim, po drugiej stronie brudnej szyby, są schody przeciwpożarowe.

Ach, ha! – myśli Andy i dopada do okna. Jeden rzut oka na podniesiony rygiel wystarcza, by znikła jego triumfalna mina. Mimo to wygląda na zewnątrz i widzi krótki odcinek mokrego, czarnego metalu, znikający w dole we mgle. Nie ma niebieskiego szlafroka, nie ma łuskowatej łysej pały. Oczywiście, że nie. Szarpacz klamek nie wy dostał się tędy, chyba że zna jakąś magiczną sztuczkę, która pozwoliła mu przekręcić wewnętrzny rygiel, gdy był już na platformie schodów przeciwpożarowych.

Andy odwraca się, stoi w miejscu przez chwilę, namyślając się, po czym przypada na kolana i zagląda pod łóżko. Widzi starą blaszaną popielniczkę, jednorazową zapalniczkę z reklamą Staroświeckiego Lagera „Królewskie Włości” i nieodpieczętowaną paczkę pali maili. Nic więcej oprócz kłębow kurzu. Andy kładzie dłoń na kapie, szykując się do wstania, i jego spojrzenie trafia na drzwi szafy. Są otwarte.

– Tam – szepcze Andy prawie zbyt cicho, by usłyszeć sam siebie.

Wstaje i podchodzi do szafy. Mgła mogła się zakraść na drobnych kocich łapkach, jak powiedział albo i nie Carl Sandburg, ale z pewnością tak właśnie przemieszczą się Andy Railsback przez pokój George’a Pottera. Serce znów wali mu mocno, wystarczająco silnie, by zaczęła pulsować wystająca żyła na środku czoła. Mężczyzna, którego widział, chowa się w szafie. Tego wymaga logika. Krzyczy o tym intuicja. Jeśli jednak szarpacz klamek to tylko zdezorientowany ramol, który zabląkał się wskutek mgły do hotelu Nelson, dlaczego nie odezwał się do Andy’ego? Bo może jest stary, ale nie zdezorientowany, oto dlaczego. Nie bardziej zagubiony niż sam Andy. Szarpacz klamek to kurewski złodziej i chowa się w szafie. Może trzyma nóż, który wyciągnął z kieszeni obszarpanego, starego szlafroka. A może wieszak, który wygiął tak, by nadał się na broń. Niewykluczone, że czai się w ciemności, z rozszerzonymi oczami i wykrzywionymi w szpony palcami. Andy przestaje się tym

przejmować. Można go przestraszyć, pewnie – jest emerytowanym sprzedawcą, a nie Supermanem – ale jeśli dorzuci się dość napięcia do strachu, efektem jest gniew, tak samo jak dostatecznie duże ciśnienie zamienia węgiel w diament. W tej chwili zaś Andy jest bardziej wkurzony niż wystraszony. Zaciska palce na chłodnej, szklanej gałce drzwi szafy. Delikatnie ją obraca. Nabiera oddech... sekunda... przygotowuje się, zbiera w sobie... podkreca się, jak by powiedziały wnuki... jeszcze jeden oddech na szczęście i...

Wydając niski dźwięk, będący efektem stresu – na poły pomruk, na poty pisk – Andy otwiera szeroko drzwi szafy, wprawiając wieszaki w klekotanie. Kuli się i zaciska pięści, przypominając wiekowego partnera ze sparingów w Sali Gimnastycznej, O Której Zapomniał Czas.

– Wyłaż stamtąd, pieprzony...

Nikogo tam nie ma. Cztery koszule, jedna marynarka, dwa krawaty i trzy pary spodni wiszą jak zrzucone skóry. Poobijana stara walizka, wyglądająca, jakby przesuwano ją kopniakami po wszystkich dworcach autobusowych Greyhounda w Ameryce Północnej. Nic więcej. Nie ma żadnego przekłętego zł...

Coś jednak jest. Leży na spodzie szafy pod koszulami. Jest tego kilka. Prawie pół tuzina. Z początku Andy Railsback ani nie pojmuje, co widzi, ani nie chce tego pojmować. Następnie dociera to do niego, odciska się jak ślad kopyta w pamięci i umyśle. Próbuje krzyknąć. Nie może. Próbuje znowu i tym razem zaledwie skrzyknięcie – jak przerdzewiałych trybów – wydobywa się z jego płuc, które chyba skurczyły się do rozmiarów wysuszonych śliwek. Próbuje się odwrócić i tego też nie może zrobić. Jest pewien, że George Potter wraca i jeśli go tu zastanie, to życie Andy'ego dobiegnie końca. Zobaczył coś, o czym George Potter za nic nie pozwoli mu mówić. Ale Andy nie może się odwrócić. Nie może krzyknąć. Nie może oderwać wzroku od tajemnicy w szafie George'a Pottera.

Nie może się poruszyć.

Z powodu mgły French Landing pograżyło się nienaturalnie wcześniej w prawie całkowitych ciemnościach; jest zaledwie wpół do siódmej. Mętne żółte światła w Domu Maxtona sprawiają, że wygląda jak statek wycieczkowy unieruchomiony przez ciszę na morzu. W skrzydle Stokrotka, siedzibie cudownej Alice Weathers i o wiele mniej cudownego Charlesa Burnside'a, Pete Wexler i Butch Yerxa zeszli już po dziennej zmianie. Przy biurku siedzi teraz szeroka w barkach, tleniona blondynka Vera Hutchinson. Przed nią leży zeszyt zatytułowany „Łatwe krzyżówki na minutę”. Vera zastanawia się w tej chwili nad hasłem sześć poziomo: *Na przykład Gar field*. Pięć liter, pierwsza K, trzecia C, czwarta U. Nienawidzi takich podchwytliwych hasel.

Słysząc poszum towarzyszący otwieraniu drzwi do łazienki. Vera podnosi wzrok i widzi, że Charles Burnside wychodzi z męskiej toalety w niebieskim szlafroku i bamboszach w żółte i czarne pasy, przypominających wielkie, mechate trzmiele. Vera natychmiast je rozpoznaje.

– Charlie? – woła, wkładając ołówek w zeszyt z krzyżówkami i go zamykając.

Charlie szura stopami dalej, z opuszczonej szczęki ścieka długie pasmo śliny. Na twarzy ma jednak nieprzyjemny uśmiech, który nie bardzo podoba się Verze. Ten facet postradał większość klepek, ale te, które mu zostały, są wredne. Czasami Vera wie, że Charlie rzeczywiście nie słyszy (lub że jej nie rozumie), kiedy do niego mówi, ale jest też pewna, że niekiedy tylko udaje. Domyśla się, że jego zachowanie w tej chwili należy do tej drugiej kategorii.

– Charlie, co robisz w bamboszach Elmera? Wiesz, że dostał je od swojej prawnuczki.

Starzec – Burny dla nas, Charlie dla Very – powłóczy stopami dalej, zmierzając w kierunku S18. Oczywiście przy założeniu, że utrzyma kurs.

– Stań, Charlie.

Charlie się zatrzymuje. Stoi z rozchylonymi ustami u wylotu korytarza Stokrotka jak wyłączona maszyna. Pasemko śliny urywa się i natychmiast na linoleum koło jednego z tych absurdalnych, ale śmiesznych bamboszy pojawia się mokra plamka.

Vera wstaje, podchodzi i klęka przed nim. Gdyby wiedziała to, co my, o wiele mniej chętnie umieszczalaby swój bezbronny biały kark w zasięgu tych zwisających dłoni, powykęcanych przez artretyzm, lecz wciąż silnych. Vera oczywiście jednak tego nie wie. Chwyta lewy bambosz.

– Podnieś – mówi.

Charles Burnside podnosi prawą stopę.

– Och, przestań zachowywać się jak baran – mówi. – Drugą.

Burny unosi odrobinę lewą stopę – tylko na tyle, by mogła zdjąć bambosz.

– Teraz prawą.

Niepostrzeżenie dla Very, wpatrującej się w jego nogi, Burny wyciąga penisa z rozporoka luźnych spodni od pidżamy i udaje, że sika na jej pochyloną głowę. Równocześnie podnosi prawą nogę i pozwala jej zdjąć drugi bambosz. Kiedy Vera podnosi wzrok, pomarszczony stary interes Burny’ego jest z powrotem tam, gdzie powinien. Zastanawiał się, czyjej nie ochrzcić naprawdę, ale dosyć narozrabiał jak na jeden wieczór. Jeszcze jeden mały obowiązek i będzie mógł udać się w objęcia Morfeusza. Jest już starym potworem i potrzebuje dużo odpoczynku.

– W porządku – mówi Vera. – Raczysz mi powiedzieć, dlaczego jeden jest bardziej zabrudzony od drugiego? – Nie ma odpowiedzi. W gruncie rzeczy jej nie oczekiwała. – No dobrze, piękniśiu. Wracaj do swojego pokoju albo idź do świetlicy, jeśli masz ochotę. Dzisiaj jest chyba prażona kukurydza z mikrofalówki i galaretki owocowe. Pokazują „Dźwięki muzyki”. Zajmę się tym, by bambosze trafiły do prawowitego właściciela, a to, że je zabrałeś, pozostanie naszą małą tajemnicą. Jeżeli jednak zabierzesz je znowu, to napiszę o tym w raporcie. *Capiscel*

Burny stoi w miejscu z nieobecną miną... ale paskudny uśmiezek wciąż wykrzywiał mu kąćki pomarszczonych warg. Jego oczy lśnią. Pewnie, że kapuje.

– Idź – mówi Vera. – I lepiej nie narznij na podłogę, stary sępie.

Tym razem też nie spodziewa się odpowiedzi, aleją otrzymuje. Głos Burny'ego jest cichy, lecz idealnie wyraźny.

– Nie miał jęzorem, tłusta suko, bo ci go wyżrę prosto z gęby.

Vera odsuwa się, jakby została spoliczkowana. Burny stoi nadal ze zwisającymi przy bokach rękami i uśmiechem na twarzy.

– Idź już stąd – mówi Vera. – Albo naprawdę na ciebie doniosę.

Wiele by to jej pomogło. Wie, że Charlie to jedna z dojnych krów Maxtona.

Charlie rusza powoli dalej (Pete Wexler ochrzcił taki chód Dreptaniem Starych Pierdołów), teraz już boso. Po chwili obraca się i spogląda na Verę mętными lampami swych oczu.

– Słowo, o które ci chodzi, to *kocur*. Garfield to *kocur*. Kapujesz? Głupia krowa.

Po tej uwadze na nowo podejmuje wędrówkę korytarzem. Vera stoi w miejscu i patrzy za nim; teraz to ona rozdziawiła usta. Zupełnie zapomniała o swojej krzyżówce.

W swoim pokoju Burny kładzie się na łóżku i wsuwa ręce pod lędźwie. Od tego miejsca w dół kręgosłup boli go jak skurczybyk. Burny zamierza później zadzwonić po tłustą starą wiedźmę, żeby przyniosła mu ibuprofen. Na razie musi zachować bystrość umysłu. Została mu jeszcze jedna sztuczka do zrobienia.

– Znalazłem cię, Potter – mruczy. – Stary... dobry... Potsie.

Burny wcale nie szarpał klamek (choć Andy Railsback nigdy się tego nie dowie). Próbował wyczuć gościa, który wycykał go z eleganckiego przekrętu mieszkaniowego w Chicago pod koniec lat siedemdziesiątych. Na South Side, w siedzibie drużyny White Sox. Innymi słowy w czarnej dzielnicy. Było w tym mnóstwo kasy federalnej i kilka kociołków forsy stanu Illinois. Dość, żeby podprowadzać ją przez ładnych kilka lat, więcej furtek niż na stadionie, ale George „Wypierdol Swą Matkę” Potter wyprzedził go, forsa przewędrowała z ręki do ręki pod przysłowiowym stołem i Charles Burnside (choć może wtedy był jeszcze Carlem Bierstone'em, trudno to spamiętać) został wystawiony do wiatru.

Burny jednak przez te wszystkie lata trzymał zamiar na tego złodzieja. (Cóż, właściwie nie sam Burny, ale jak pewnie zdążyliśmy się domyślić, ten człowiek ma potężnych przyjaciół). Stary Potsie – jak nazywali go kumple w czasach, kiedy miał jeszcze paru – ogłosił w latach dziewięćdziesiątych bankructwo w La Riviere, a większość tego, co zadołował, stracił w Wielkim Krachu DotCorn Roku Zero Zero. Burny'emu tego jednak mało. Potsie wymaga dalszej kary, a zbieg okoliczności, iż ten właśnie skurwiel wylądował w tej właśnie pipidowie, jest zbyt dobry, by go przepuścić. Podstawowy motyw Burny'ego –

bezmózga ochota, by cały czas mącić i pilnować, że po złym nastanie jeszcze gorsze – nie uległ zmianie, a jego ostatnie uczynki również służą temu celowi.

Dlatego też wyprawił się do hotelu Nelson w sposób, który Jack zna, a którego Judy intuicyjnie się domyśla, i namierzył pokój Potsiego jak jakiś wiekowy nietoperz. Kiedy zaś wyczuł za plecami Andy'ego Railsbacka, był oczywiście zachwycony. Railsback oszczędził mu wykonania kolejnego anonimowego telefonu, a Burny jest szczerze mówiąc zdruzony odwalaniem całej roboty za gliniarzy.

Z powrotem w swoim pokoju, zupełnie wyluzowany (to znaczy, nie licząc artretyzmu) odrywa myśli od George'a Pottera i zaczyna Przywołanie.

Patrzące w ciemność oczy Charlesa Burnside'a zaczynają lśnić w zdecydowanie niepokojący sposób.

– *Gorg* – mówi. – *Gorg t'eelee. Dinnit a abbalah. Samman Tansy. Samman a montah Irma. Dinnit a abbalah, Gorg. Dinnit a Ram Abbalah.*

Gorgu. Zjaw się, Gorgu. Służ abbalahowi. Znajdź Tansy. Znajdź matkę Irmy. Służ abbalahowi, Gorgu.

Służ Karmazynowemu Królowi.

Powieki Burny'ego opadają. Pograża się w sen z uśmiechem na twarzy. Pod pomarszczonymi powiekami jego oczy nadal lśnią jak zasłonięte lampy.

Morty Fine, nocny recepcjonista hotelu Nelson, tkwi w półśnie nad swoim magazynem, gdy Andy Railsback wpada do środka i przeraża go tak okrutnie, że Morty o mało co nie spada z krzesła. Magazyn zsuwa się mu z kolan i pada z plaśnięciem na podłogę.

– Jezu Chryste, Andy, o mało nie dostałem przez ciebie ataku serca! – woła Morty. – Słyszałeś kiedyś o pukaniu, a przynajmniej o cholernym chrząknięciu?!

Andy nie zwraca na to uwagi, a Morty dostrzega, że staruszek jest blady jak prześcieradło. Może to on ma atak serca. Nie byłaby to w hotelu Nelson pierwszyna.

– Musisz zadzwonić po policję – mówi Andy. – Są straszne. Słodki Jezu, Morty, to najokropniejsze zdjęcia, jakie widziałem w życiu... Polaroidy... i, och, rany, myślałem, że on wejdzie do środka... wróci lada sekunda... ale najpierw po prostu zamarłem i... i...

– Zwolnij – mówi przejęty Morty. – O czym ty mówisz?

Andy czerpie głęboko tchu i robi wyraźny wysiłek, żeby się opanować.

– Widziałeś Pottera? – pyta. – Faceta z trzysta czternaście?

– Nie – odpowiada Morty – ale wieczorami o tej porze przesiaduje przeważnie u Lucky'ego. Wypija parę piw i pewnie je hamburgera. Chociaż nie mam pojęcia, jak ktokolwiek mógłby chcieć tam jeść. – Potem najwidoczniej kojarzy jedną siedzibę salmonelli z drugą, bo pyta: – Ej, słyszałeś, co gliniarze znaleźli w „Ed's Eats”? Trevor Gordon przejeżdżał tamtędy i mówił...

– Nieważne. – Andy siada w krześle po drugiej stronie biurka i wpatruje się w Morty’ego rozszerzonymi z przerażenia oczyma. – Zadzwoń na policję. I to natychmiast. Powiedz, że Rybak to George Potter i mieszka na drugim piętrze hotelu Nelson. – Twarz Andy’ego momentalnie kurczy się w grymasie, po czym znów rozluźnia. – W tym samym korytarzu co twój szczerze oddany.

– Potter? Zmyślasz, Andy. Ten facet to tylko emerytowany budowniczy. Nie skrzywdziłby muchy.

– Nie wiem, jak z muchami, ale narobił piekielnej krzywdy kilku dzieciakom. Widziałem zdjęcia, jakie porobił. Są w jego szafie. Niczego gorszego w życiu nie oglądałem.

Następnie robi coś zdumiewającego, czym przekonuje Morty’ego, że to nie żart i zapewne nie pomyłka: Andy Railsback *zaczyna płakać*.

Tansy Freneau, znana również jako pogrążona w żałobie matka Army Freneau, właściwie jeszcze nie żałuje. Wie, że powinna, ale gniew został przełożony na później. Na razie czuje się tak, jakby szybowała w obłoku ciepłej, jasnej wełny. Lekarka (partnerka Pata Skardy Norma Whitestone) dała cztery czy pięć godzin temu Tansy pięć miligramów lorazepamu, ale to był dopiero początek. Z osiedla Holiday Trailer Park, w którym Tansy mieszkała z Irmą, odkąd Cubby Freneau zmył się do Green Bay w dziewięćdziesiątym ósmym, łatwo dotrzeć do Łachy, a Tansy „kręci z doskoku” z Lesterem Moonem, tamtejszym barmanem. Pieniońska Piątka ochrzciła z jakiegoś powodu Lestera Moona „Śmierzącym Serem”, ale Tansy nieodmiennie zwraca się do niego „Lester”, co barman ceni sobie tak samo, jak kotłowanie się z nią na szybko w pościeli lub na zapleczu baru, gdzie jest materac (i pomalowana na czarno żarówka). Około piątej tego popołudnia Lester wpadł z kwartą kawowej brandy i czterystoma miligramami oksykontinu, starannie rozdrobnionymi i gotowymi do wciągnięcia w nozdrza. Tansy zaliczyła już sześć linijek i ma odlot. Ogląda stare zdjęcia Army i po prostu... no, wiecie... ma odlot.

Ale to było śliczne dziecko, myśli Tansy, nie zdając sobie sprawy, że niedaleko przerażony recepcjonista patrzy na bardzo odmienną fotografię jej ślicznego dziecka, koszmarny Polaroid, którego pewnie nigdy nie zapomni. Jest to zdjęcie, na jakie Tansy pewnie sama nigdy by nie popatrzyła, co sugeruje, że być może rzeczywiście jest Bóg w niebiesiech.

Tansy odwraca kartkę (na froncie albumu wytłoczono: ZŁOTE WSPOMNIENIA) i oto widzi siebie i Irmę na pikniku Mississippi Electrix, kiedy dziewczynka miała cztery lata, firmie został jeszcze rok do bankructwa i wszystko było mniej więcej w porządku. Na zdjęciu Irma kręci się z usmarowaną lodami twarzą wraz ze stadkiem innych brzdąców.

Wpatrując się nieruchomym wzrokiem w zdjęcie, Tansy sięga po szklankę kawowej brandy i upija łyżeczek. I nagle znikąd (lub też z miejsca, skąd wszystkie co bardziej złowieszcze i niepowiązane myśli wypływają w światło naszej uwagi) przychodzi jej do

głowy idiotyczny wiersz Edgara Allana Poe, który musiała wykuć na pamięć w dziewiątej klasie. Przez lata o nim nie pamiętała i nie ma powodu teraz go sobie przypominać, lecz słowa pierwszej zwrotki bez wysiłku i z całkowitą wiernością pojawiają się w jej pamięci. Patrząc na Irmę, Tansy recytuje je pozbawionym intonacji i przerw głosem, przez który bez wątpienia pani Normandie złapałaby się za rzadkie siwe włosy i zajęczała. Recytacja Tansy nie działa na nas w ten sposób; zamiast tego napawa nas przejmującym chłodem. Przypomina to deklamowanie poezji przez trupa.

– „Noc już była, północ zgoła; rozmyślałem w pocie czoła nad trwożliwą tajemnicą z dawna zapomnianych ksiąg, przysypiając niespodzianie, gdy rozległo się pukanie, jakby ciche chrobotanie w mój samotny, senny dom...”*.

Właśnie w tym samym momencie słyszymy ciche stukanie do marnych drzwi z włókna szklanego przyczepy airstream. Tansy Freneau podnosi błędny, zaszklony przez brandy wzrok. Ma zaciśnięte usta.

– Les’ser? To ty?

Możliwe, myśli. Nie ludzie z telewizji, przynajmniej ma taką nadzieję. Nie chciała rozmawiać z ludźmi z telewizji, pogoniła ich. Wie jakąś ukrytą i żałośnie przebiegłą częścią umysłu, że pocieszaliby ją i tłumili jej czujność tylko po to, żeby wyszła jak idiotka w blasku ich reflektorów, tak jak goście „Jerry Springer Show” zawsze wychodzą na durniów.

Nie ma odpowiedzi... po czym stukanie rozlega się na nowo. Stuk. Stukstuk.

– „Jakiś gość – powiadam sobie – w mój samotny stuka dom, nocny gość i tylko on”.

Stukanie nie przypomina odgłosu wydawanego przez zgięte palce. Jest to wyższy dźwięk, raczej kojarzący się z pojedynczym paznokciem.

Lub dziobem.

Tansy – była matka – idzie do drzwi w mgielce alkoholu i prochów, szurając gołymi stopami po dywanie, który kiedyś był gruby, ale obecnie nieco wyłysiał. Otwiera drzwi, wpuszczając mglisty letni wieczór. Nic nie widzi, bo patrzy za wysoko. Wreszcie coś szeleści na wycieraczce.

Coś, jakieś czarne stworzenie, wpatruje się w nią lśnięcymi, ciekawskimi oczkami. To kruk, omójboże, to kruk Poego, zjawił się złożyć jej wizytę.

– Jezu, ale odlot – mówi Tansy i przegarnia dłońmi rzadkie włosy.

Gdyby Tansy zapytać, powiedziałyby, że jest zbyt nawalona, by się bać, lecz to najwidoczniej nieprawda, bo wydaje cichy okrzyk strachu i robi krok w tył.

Wrona przeskakuje żwawo przez próg i drobi po spłowiałym purpurowym dywanie, wciąż wpatrując się lśnięcymi oczkami w kobietę. Na jej skrzydłach skrzą się skondensowane kropelki mgły. Wrona przeskakuje obok Tansy, po czym zatrzymuje się i zaczyna stroszyć pióra. Wygląda, jakby chciała zapytać: I jak mi idzie, kochanie?

– Idź sobie – mówi Tansy. – Nie wiem, kurwa, coś ty za jedna ani czy tu naprawdę jesteś, ale...

– Gorg! – upiera się wrona, po czym rozpościera skrzydła i przelatuje przez salonik domu na kółkach – zwęglona łuska, odłupana z grzbietu nocy. Tansy krzyczy i kuli się, ale Gorg się do niej nie *zbliza*. Ląduje na stoliku obok butelki, ponieważ pod ręką nie ma popiersia Pallady.

Tansy myśli: Poblądziła we mgle, to wszystko. Może nawet ma wściekliznę albo tę chorobę z Lyme, no, jak ona się tam nazywa. Powinam pójść do kuchni po szczotkę. Wygonić ją, zanim tu nasra...

Kuchnia jest jednak za daleko. W obecnym stanie kuchnia wydaje się Tansy leżeć w odległości setek mil, gdzieś w okolicach Colorado Springs. I pewnie nie ma tu w ogóle żadnej wrony. Przypomnienie sobie tego przeklętego wiersza wywołało u niej halucynacje, to wszystko... to i utrata dziecka.

Po raz pierwszy ból przebija się przez mgiełkę, a Tansy krzywi się wskutek jego okrutnego, przypominającego ukłucia drutem żaru. Przypomina sobie drobne rączki, które czasami tak miło kładły się jej z boków na szyi. Płacz w nocy, wzywanie jej przez sen. Zapach córeczki świeżo po kąpieli.

– Nazywała się Irma! – nagle krzyczy na marę, która tak śmiało stoi obok butelki brandy.
– Irma, nie cholerna Lenora, co to za durne imię: Lenora? No, zobaczymy, czy potrafisz powiedzieć: Irma!

– Irma – posłusznie skrzeczy gość. Oszołomiona Tansy milknie. A oczy ptaka – ach! – jego lśniące ślepka przykuwają jej uwagę, jak oczy Starego Żeglarza w innym wierszu, którego też miała się nauczyć, ale nigdy tego nie zrobiła. – IrmaIrmaIrmaIrma.

– Przestań!

Jednak nie chce tego słuchać. Myliła się. Imię jej córki brzmi w tym obcym gardle obrzydliwie, nieznośnie. Tansy chce zakryć dłońmi uszy, ale nie może. Ręce zbyt jej ciężą. Jej ręce dołączyły do kuchenki i lodówki (nędznego, zdezelowanego grata) w Colorado Springs. Potrafi tylko patrzeć w te lśniące czarne oczka.

Ptak stroszy się przed nią, poprawia czarne jak satynowany heban skrzydła. Wydają obrzydliwy szelest, od którego dreszcz przebiega ją po całym grzbiecie, i myśli: Proroku z piekła rodem! Czyś jest bies czy bestia z dziobem!

Pewność wypełnia jej serce jak lodowata woda.

– Co wiesz? – pyta. – Dlaczego tu jesteś?

– Wiem! – kracze wrona Gorg, rażno kiwając głową w górę i w dół. – Chodź!

I czyżby mrugała? Dobry Boże, czy rzeczywiście mrugnęła do niej?

– Kto ją zabił? – szepcze Tansy Freneau. – Kto zabił moje śliczne dziecko?

Wrona mierzy ją nieruchomym wzrokiem, zamienia ją w robaka na szpilce. Powoli, czując się jeszcze bardziej jak we śnie niż wcześniej (lecz to dzieje się naprawdę, Tansy

rozumie to doskonale na jakimś poziomie świadomości), podchodzi do stołu. Wrona wciąż ją obserwuje, wrona wciąż ciągnie ją do siebie. „Plutoński nocy brzeg”, myśli Tansy. Kurewski plutoński nocy brzeg.

– Kto? Powiedz mi, co wiesz!

Wrona wpatruje się w nią lśnącymi czarnymi oczkami. Otwiera i zamyka dziób, ukazując na krótkie chwile wilgotne, czerwone wnętrze.

– Tansy! – skrzeczy. – Chodź!

Nogi odmawiają Tansy posłuszeństwa; opada na kolana, przygryzając aż do krwi język. Karmazynowe krople rozchlapują się na bluzie z godłem uniwersytetu stanu Wisconsin. Widzi, jak jedno skrzydło ociera się w górę i w dół, prawie zmysłowo, o butelkę brandy. Gorg pachnie kurzem, stosami martwych much i pogrzebanymi, starożytnymi urnami z pachnidłami. Jej oczy to lśniące czarne okna, pozwalające dojrzeć jakiś inny świat. Być może piekło. Albo Szeol.

– Kto? – szepcze Tansy.

Gorg wyciąga czarny, szeleszczący dziób, aż sięga on do samego ucha Tansy. *Zaczyna* szeptać, aż wreszcie Tansy Freneau jej przytakuje. Światło rozumu zgasło w jej oczach. Kiedy powróci? Och, myślę, że wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie.

Możecie powiedzieć: „Nigdy więcej”?

Rozdział szesnasty

18.45. French Landing jest zamglone, wyplute i spokojne, chociaż czuje trwogę w sercu. Spokój nie potrwa długo. Gdy ześlizg raz się zacznie, nigdy nie zatrzymuje się na długo.

W Domu Maxtona Chipper zasiedział się do późna i zważywszy na relaksujące (aczkolwiek naprawdę sensacyjne) obciążenie druta, jakie zafundowała mu Rebecca Vilas na fotelu w gabinecie, jego decyzja zaliczenia paru nadgodzin nie jest zbyt zaskakująca.

W świetlicy starzy ludzie siedzą oczarowani Julie Andrews i „Dźwiękami muzyki”. Alice Weathers naprawdę popłakała się ze szczęścia – „Muzyka” to jej ulubiony film. „Deszczowa piosenka” plasuje się niedaleko za nią, ale to jednak za mało. Spośród poruszających się o własnych siłach lokatorów DSSM brakuje tylko Burny’ego... chociaż akurat jego nikomu nie brakuje. Burny jest pogrążony w głębokim śnie. Duch, który nim kieruje – demon, jak moglibyśmy powiedzieć – ma wobec French Landing swoje własne plany i solidnie eksploatował Burny’ego przez ostatnich kilka tygodni (choć Burny się nie skarży; jest bardzo chętnym współpracownikiem).

Na Norway Valley Road Jack Sawyer właśnie skręca swoim dodge’em na podjazd Henry’ego Leydena. Mgła jest tu rzadsza, ale mimo to tworzy wokół reflektorów samochodu miękkie aureole. Jack zamierza wrócić dzisiaj do lektury siódmego rozdziału „Samotni” („Chodnik Widma”) i liczy, że zdoła dotrzeć do końca rozdziału ósmego („Omawiającego mnóstwo grzechów”). Przyrzekł jednak, że przed Dickensem posłucha najnowszego kandydata Szczura z Wisconsin na „powerplay” – kawałka „Gimme Back My Dog” w wykonaniu Slobberbone.

– Mniej więcej co pięć lat ni z gruszki, ni z pietruszki pojawia się kolejny wielki rockandrollowy numer – powiedział mu przez telefon Henry, i niech Jacka szlag trafi, jeśli nie słyszy głosu jego przyjaciela Szczura. – To naprawdę wielki rock’n’roll.

– Skoro tak twierdzisz – odpowiada z powątpiewaniem Jack.

Dla niego wielki rockandrollowy kawałek to „Runaround Sue” Diona*.

Pod numerem 16 przy Robin Hood Lane (uroczym domku w stylu Cape Cod) Fred Marshall na czworakach zmywa podłogę w zielonych gumowych rękawicach. Na głowie wciąż balansuje mu baseballowa czapka Tylera. Płacze.

Na peryferiach, w osiedlu domów na kółkach Holiday, wrona Gorg sący jad przez progi uszu Tansy Freneau.

W solidnym domu z cegieł na ulicy Herman mieszkający z piękną Sarah i równie pięknym Davidem Dale Gilbertson szykuje się właśnie do powrotu na posterunek; jego ruchy minimalnie zwolniły dwie dokładki duszonej potrawy z kurczaka i miska puddingu chlebowego. Nie jest zbyt zaskoczony, gdy dzwoni telefon. Przecież miał przecucie, że tak będzie. Dzwoni Debbie Anderson, a Dale od jej pierwszego słowa domyśla się, że coś pękło.

Słucha, kiwa głową, od czasu do czasu zadaje pytania. Żona stoi w drzwiach do kuchni i przygląda się mu zmartwionym wzrokiem. Dale pochyla się i notuje coś w bloczku przy aparacie. Sarah podchodzi i odczytuje dwa nazwiska: Andy Railsback i M. Fine.

– Masz jeszcze Railsbacka na linii? – pyta Dale.

– Tak, zawiesiłam połączenie...

– Przełącz mnie.

– Dale, nie wiem, czy mi się uda – mówi nietypowo dla siebie zakłopotanym tonem Debbie.

Dale przymyka oczy na chwilę, przypominając sobie, że Debbie zwykle nie zajmuje się odbieraniem telefonów.

– Nie ma jeszcze Erniego?

– Chodzi o amerykańskiego piosenkarza folkowego z lat sześćdziesiątych Diona Di Mucci (przyp. tłum.).

–Nie.

– A kto jest?

– Bobby Dulac... Dłoby chyba bierze prysznic...

– Daj Bobby'ego – mówi Dale.

Czuje ulgę, gdy okazuje się, że Bobby szybko i bezboleśnie łączy go z Andym Railsbackiem w biurze Morty'ego Fine'a. Obaj mężczyźni byli na górze w 314. Jeden rzut oka na rozrzucone na dnie szafy George'a Pottera fotografie wystarczył Morty'emu. Jest teraz tak samo blady jak Andy. Może bledszy.

Na parkingu koło posterunku policji trafiają na siebie Ernie Therriault i Reginald „Doktorek” Amberson. Doktorek właśnie przyjechał swoim starym (ale idealnie utrzymanym) harleyem fat boyem. Wymieniają we mgle przyjazne pozdrowienia. Ernie Therriault to jeszcze jeden gliniarz – w pewnym sensie – ale nie martwcie się; to ostatni, którego spotkamy (cóż, kręci się tu gdzieś jeszcze agent FBI, ale nie ma co sobie zawracać nim głowy; jest w Madison, a poza tym to dureń).

Ernie jest dobrze zakonserwowanym sześćdziesięcioletniakiem. Prawie dwanaście lat temu przeszedł z pełnego etatu na emeryturę, ale wciąż jest cztery razy lepszym gliniarzem, niż Arnold Hrabowski będzie kiedykolwiek. Ernie dorabia sobie do emerytury jako nocny dyspozytor policji French Landing (przez nawalającą prostatę nie sypia ostatnio najlepiej), a w piątki pełni dyżury jako prywatny ochroniarz w First Bank of Wisconsin, kiedy to o drugiej przyjeżdżają ludzie z Wells Fargo, a o czwartej z Brinks.

Doktorek wygląda w każdym calu na Anioła Piekieł dzięki długiej, czarnosiwej brodzie (czasami zaplatanej w warkoczyki na modłę pirata Edwarda Teach'a) i żyje z piwowarstwa, ale obydwaj mężczyźni doskonale się dogadują. Po pierwsze, szanują swoją inteligencję. Ernie nie wie, czy Doktor jest lekarzem, ale uważa to za możliwe. Niewykluczone, że kiedyś był nim istotnie.

– Coś się zmieniło? – pyta Doktor.

– Przynajmniej ja nic o tym nie wiem, przyjacielu – odpowiada Ernie.

Któryś z członków Piątki przyjeżdża codziennie, by dowiedzieć się, co nowego. Dzisiaj wypadła kolej na Doktora.

– Mogę wejść z panem?

– Nie ma sprawy – mówi Ernie. – Pod warunkiem że będziesz się trzymał zasady.

Doktor kiwa głową. Paru innych członków Piątki wkurza się czasem na zasadę (szczególnie Sonny, który wkurza się na mnóstwo rzeczy), ale Doktor jej przestrzega: kubek kawy albo pięć minut, a potem w drogę. Ernie, który naoglądał się mnóstwo prawdziwych Aniołów Piekieł, gdy był w latach siedemdziesiątych policjantem w Phoenix, docenia niezmierną cierpliwość Beezera St. Pierre'a i jego paczki, ale oczywiście to nie są Aniołowie Piekieł, Paganie czy Bestie Na Brykach – żadnych bzdur w tym rodzaju. Ernie nie wie dokładnie, kim są, ale orientuje się, że słuchają Beezera; podejrzewa też, że cierpliwość St. Pierre'a jest już na wyczerpaniu. Wie, że na ich miejscu sam by ją już tracił.

– No to chodźmy do środka – mówi Ernie, klepiąc zwalistego mężczyznę po ramieniu. – Zobaczmy, co się święci.

Jak się okazuje, mnóstwo.

Dale stwierdza, że może myśleć szybko i klarownie. Opuścił go wcześniejszy lęk, częściowo dlatego, że pochrzaniło się już, co miało się pochrzanić, i odebrano mu dochodzenie – przynajmniej oficjalnie. Jest spokojniejszy jednak głównie dlatego, że wie, iż w razie potrzeby może wezwać Jacka, a on przyjdzie mu z pomocą. Jack to jego siatka bezpieczeństwa.

Dale słucha opisu zdjęć przez Railsbacka – przede wszystkim pozwalając staruszkowi ulżyć sobie i ochłonać – po czym zadaje mu pytanie o dwie fotografie chłopca.

– Żółta – odpowiada bez wahania Railsback. – Miał żółtą koszulę. Przeczytałem napis na niej: „Kiwaniis”. Nic więcej. Tyle... tyle krwi...

Dale mówi, że rozumie, i informuje Railsbacka, że wkrótce zjawi się u nich funkcjonariusz.

Słychać, że ktoś przejmuje słuchawkę, po czym do Dale'a dociera głos Morty'ego. Zna tego gościa i nie ma o nim zbyt wielkiego mniemania.

– A jeśli on tu wróci, panie komendancie? A jak Potter wróci do hotelu?

– Widzisz lobby z miejsca, gdzie jesteś?

– Nie – pada rozdrażniona odpowiedź. – Jesteśmy w biurze. Już panu mówiłem.

– W takim razie wyjdź do recepcji. Udawaj, że jesteś zajęty. Jeśli wejdzie...

– Nie mam ochoty. Gdyby pan widział te maluchy, to też by pan nie chciał.

– Nie musisz się odzywać do niego ani słowem – mówi Dale. – Wystarczy, że zadzwonisz, jeśli się pojawi.

– Ale...

– Proszę się rozłączyć. Mam mnóstwo do zrobienia.

Sarah położyła mężowi rękę na ramieniu. Dale przykrywa ją wolną dłonią. Słyszy szczęknięcie w słuchawce, tak głośne, że dowodzi niezadowolenia.

– Bobby, jesteś na linii?

– Się wie, szefie. Słucha też Debbie i Dit. Och, właśnie wszedł Ernie. – *Zniża głos:* – Jest z nim jeden z paczki motocyklistów. Ten, którego nazywają Doktorkiem.

Dale zastanawia się z natężeniem. Ernie, Debbie, Dit i Bobby: sami mundurowi. Nie pasują do tego, co planuje. Podejmuje nagłą decyzję.

– Dawaj harleyowca – mówi.

–Co?

– Słyszałeś.

W chwilę później mówi z Doktorkiem Ambersonem.

– Chcesz pomóc przymknąć pojebańca, który zabił dziewczynkę St. Pierre'a?

– Tak, cholera – pada bez wahania odpowiedź.

– W porządku. Nie zadawaj pytań i nie zmuszaj mnie do powtarzania.

– Słucham – rzuca zwięźle Doktorek.

– Powiedz posterunkowemu Dulacowi, żeby wydał ci niebieski telefon komórkowy z magazynu dowodów, po tym dealerze narkotyków, który prysnął. Dulac będzie wiedział, o który chodzi.

Dale wie, że jeśli ktokolwiek spróbuje zidentyfikować numer tego telefonu, to nie zdoła powiązać go z posterunkiem, i o to właśnie chodzi. Ostatecznie Gilbertsonowi odebrano prowadzenie sprawy.

– Niebieski telefon komórkowy.

– Potem idź do „Tawerny Lucky'ego”, obok hotelu Nelson.

– Mam harleya.

– Nie. Na piechotę. Wejź do środka. Kup bilet na loterię. Rozejrzyj się za wysokim, chudym mężczyzną, z piaskowymi włosami, około siedemdziesiątki, w spodniach khaki, może takiej samej koszuli. Najprawdopodobniej jest sam. Jego ulubiona grzęda to miejsce między szafą grającą i korytarzykiem do klopa. Jeśli tam jest, zadzwoń na posterunek. Po prostu wybierz dziewięćset jedenaście. Wszystko zapamiętałeś?

–No.

– To idź. Naprawdę rusz tyłek, Doktoru.

Doktorek nie zwraca sobie głowy pożegnaniem. Chwilę później na linii jest z powrotem Bobby.

– Co robimy, Dale?

– Jeżeli tam jest, to zgarniemy sukinsyna – mówi Dale. Panuje nad sobą, ale czuje, że serce bije mu szybciej – naprawdę zaczyna cwałować. Postrzega świat w jaskrawych barwach, co mu się nie zdarzyło od pierwszego morderstwa. C/uje każdy palec żony na swoim ramieniu. Wyczuwa woń jej makijażu i lakieru do włosów. – Wezwij Toma Lunda. I wyciągnij trzy kamizelki kuloodporne. – Zastanawia się, po czym poprawia: – Nie, niech będą cztery.

– Zadzwonisz po Hollywooda?

– Taa – mówi Dale – ale nie będziemy na niego czekać.

Po tych słowach odkłada słuchawkę. Ponieważ ma ochotę pędzić, zmusza się do stania przez chwilę w bezruchu. Nabiera głęboko tchu. Wypuszcza powietrze, jeszcze raz nabiera.

Sarah ściska mu rękę.

– Bądź ostrożny.

– Och, dobrze – mówi Dale. – Pewne jak w banku.

Rusza do drzwi.

– A co z Jackiem? – woła.

– Zadzwonię do niego z samochodu – odpowiada, nie zwalniając. – Jeśli Bóg będzie nam sprzyjał, facet będzie pod kluczem, zanim Jack pokona połowę drogi do komendy.

Pięć minut później Doktorek stoi przy barze u Lucky’ego, słuchając Tracę Adkins, śpiewającej „I Left Something Turned On at Home”, i zakreślając kupon loterii stanowej Wisconsin z natychmiastową wypłatą nagród. Na los rzeczywiście padnie wygrana – dziesięć dolarów – ale uwaga Doktorka skupiona jest głównie na okolicach szafy grającej. Kiwa nawet głową, jakby naprawdę rajcował go ten szczególny przykład estradowego szajsu.

Przy stoliku w rogu, z talerzem spaghetti (z sosem czerwonym jak krwotok z nosa) przed sobą i kuflem piwa pod ręką, siedzi szukany przez niego mężczyzna: wysoki nawet, gdy siedzi, chudy jak tyczka, z głębokimi bruzdami na opalonej, charciej twarzy, z gładko zaczesanymi w tył piaskowymi włosami. Doktorek nie może przyjrzeć się dokładnie jego

koszuli, bo facet zatknął serwetkę za kołnierzyk, ale sterczące spod stolika długie nogi okrywają spodnie barwy khaki.

Gdyby Doktorek był zupełnie pewny, że to mordujący dzieciaki rzyg, którego ofiarą padła Amy, od ręki dokonałby obywatelskiego aresztowania – i to wyjątkowo brutalnego. Pieprzyć gliniarzy i ich powiadomienia o prawach zatrzymanego. Może jednak ten gość to tylko świadek, współnik czy coś w tym rodzaju.

Doktorek odbiera dychę od kelnera, odrzuca propozycję, by zostać na piwo, i wychodzi na zewnątrz w mgłę. Dziesięć kroków w górę wzniesienia wyjmując z kieszeni niebieski telefon komórkowy i wybiera 911. Tym razem odbiera Debbie.

– Jest tam – mówi Doktorek. – Co dalej?

– Proszę przynieść telefon z powrotem – odpowiada Debbie i się rozłącza.

– No, pierdolę cię bardzo – odpowiada spokojnie Doktorek.

Zamierza być grzecznym chłopcem. Zagra według ich zasad. Jednak najpierw...

Wybiera jeszcze jeden numer na niebieskim telefonie (któremu przypadnie jeszcze jedno zadanie, zanim zniknie z naszej opowieści na zawsze). Odbiera Niedźwiedzica.

– Daj go, słodkości moja – mówi, mając nadzieję, że nie usłyszy od niej, iż Beezer wyskoczył do Łachy. Jeżeli Beez kiedykolwiek wybierze się tam sam, będzie to znaczyło, że zależy mu na jednym. Czymś złym.

Po chwili jednak słyszy przy uchu głos Beezera – ochrypnięty, jakby płakał.

–No? Co jest?

– Zbieraj chłopaków i przytargaj swój ciężki tyłek na parking przy posterunku – mówi Doktorek. – Nie jestem pewny na sto procent, ale chyba zgarną skurwysyna, co to zrobił. Może go nawet widziałem...

Beezer rozłącza się, zanim Doktorek może odjąć telefon od ucha i przerwać rozmowę. Amberson stoi w mgłę, wpatrując się w mętne światła guniami French Landing i zastanawiając, dlaczego nie powiedział Beezerowi, żeby wraz z chłopakami przyjechał pod knajpę Lucky’ego. Podejrzewa, że zna odpowiedź. Gdyby Beezer dobrał się do tego starego faceta przed policjantami, spaghetti okazałoby się pewnie jego ostatnim posiłkiem.

Może lepiej poczekać.

Poczekać i popatrzeć.

Na ulicy Herman jest tylko rzadka mgiełka, ale gęstnieje natychmiast, zamieniając się w istną zupę, gdy Dale skręca w stronę centrum. Włącza światła postojowe, ale okazują się niewystarczające. Zapala krótkie światła, po czym dzwoni po Jacka. Słyszy początek nagranego komunikatu, przerywa połączenie i wybiera numer wujka Henry’ego. Henry Leyden odbiera. W tle słychać wycie gitary z przystawką fuzz i kogoś warczącego bez ustanku: „Oddaj mi mojego psa!”.

– Tak, właśnie przyjechał – przyznaje Henry. – Na razie jesteśmy w fazie Muzycznego Odchamiania. Potem przyjdzie kolej na literaturę. Doszliśmy do krytycznego punktu

„Samotni” – Chesney Wold, Chodnik Widma, pani Rouncewell i tak dalej – więc jeśli nie masz rzeczywiście pilnej sprawy...

– Jest pilna. Daj mi go natychmiast, wujku.

– *Oui, mon capitaine.* – Henry wzdycha.

Chwilę później Dale rozmawia z Jackiem, który oczywiście *zgadza* się natychmiast przyjechać. I dobrze, ale komendant policji French Landing uznaje niektóre reakcje swojego przyjaciela za nieco dziwne. Nie, Jack nie chce, żeby Dale powstrzymał się z aresztowaniem do jego przyjazdu. Bardzo uprzejmie z jego strony, że o to pyta, również bardzo uprzejmie, że Dale pomyślał o kuloodpornej kamizelce dla niego (części dobrodziejstw dla wymiaru sprawiedliwości we French Landing i tysiącach innych małych miasteczek z lat administracji Reagana), ale Jack sądzi, że Dale i jego ludzie mogą zgarnąć George’a Pottera bez większych kłopotów.

Prawda jest taka, iż Jack Sawyer wydaje się bardzo mało zainteresowany George’em Potterem. Tak samo koszmarnymi zdjęciami, chociaż bez wątplenia są autentyczne; Railsback zidentyfikował żółtą koszulę Ligi Juniorów Kiwanis Johnny’ego Irkenhama, a tego szczegółu nigdy nie ujawniono prasie. Nawet obrzydliwy Wendell Green się do niego nie dogrzebał.

Jack pyta natomiast – nie raz, lecz kilkakrotnie – o człowieka, którego Andy Railsback widział na korytarzu.

– Niebieski szlafrok, jeden bambosz – to wszystko, co o nim wiem! – musi wreszcie przyznać Dale. – Jezus, Jack, jakie to ma znaczenie? Posłuchaj, muszę już kończyć.

– Dzyńdzyń – odpowiada dość pogodnie Jack i odkłada słuchawkę.

Dale skręca na spowity mgłą parking. Widzi, że pod tylnym wejściem rozmawiają Ernie Therriault i piwowar harleyowiec nazywany Doktorkiem. Ich sylwetki to jedynie cienie w kłębiącym się oparze.

Rozmowa z Jackiem wzbudziła w Dale’u znaczny niepokój, jakby istniały wyraźne znaki i poszlaki, które on (jako patentowany gamoń) całkowicie przegapił. Ale jakie poszlaki? Do niepokoju dołącza się domieszka irytacji. Może zawodnik w rodzaju Jacka Sawyera – z pierwszej ligi, jak Lucas Davenport – nie potrafi uwierzyć w to, co oczywiste. Może tacy goście zawsze bardziej interesują się psem, który nie szczeka.

Dźwięk dobrze niesie się we mgle; w połowie drogi do tylnych drzwi posterunku Dale słyszy silniki motocykli ozywające nad rzeką. W dole, na Nailhouse Row.

– Dale – mówi Ernie i kiwa głową na powitanie, jakby to był zwyczajny wieczór.

– Cześć, komendancie – przyłącza się Doktorek. Pali papierosa bez filtra; Dale ocenia, że to pali mali albo chesterfield. Niezły mi doktor, myśli. – Jeśli mogę skandalicznie przekręcić cytat z Misterogersa, cóż za piękna noc w sąsiedztwie – kontynuuje Doktorek. – Zgodzi się pan ze mną?

– Zadzwońeś po nich – mówi Dale, szarpnięciem głowy wskazując w stronę hałasujących motocykli. Na parking pada światło dwóch par przednich reflektorów. Dale

dostrzega za kierownicą pierwszego samochodu Toma Lunda. Drugi pojazd to prawie na pewno prywatny wóz Danny'ego Tchedy. Policjanci znów przybywają na zbiórkę. Jeśli dobrze pójdzie, tym razem unikną katastrofalnej wpadki. I oby tak było. Tym razem mogą grać o całą pulę.

– Cóż, nie mogę skomentować tego bezpośrednio, ale chciałbym zapytać, jak by pan postąpił, gdyby chodziło o pańskich przyjaciół? – pyta Doktorek.

– Tak samo, do cholery – odpowiada Dale i wchodzi do środka.

Henry Leyden ponownie siedzi w pikapie Jacka – wyprostowany na fotelu obok kierowcy. Dziś wieczór jest ubrany w białą, niezapinaną pod szyją koszulę i wąskie, niebieskie spodnie z khaki. Wydaje się szczupły jak męski model, również dzięki zaczesanym w tył szpakowatym włosom. Czy Sydney Carton mógł wyglądać bardziej elegancko w drodze na gilotynę? Nawet w wyobraźni Karola Dickensa? Jack w to wątpi.

– Henry...

– Wiem – mówi Leyden. – Mam siedzieć w samochodzie jak grzeczny chłopiec, dopóki mnie nie zawołacie.

– Z zamkniętymi drzwiami. I nie mów: *Oui, mon capitaine*, bo to już ograny numer.

– Nada się: potwierdzam?

– Idealnie.

Mgła gęstnieje w miarę, jak zbliżają się do miasta, więc Jack skraca światła – długie na nic się nie przydają w takiej zupie. Spogląda na zegar na desce rozdzielczej. 19.03. Wydarzenia nabierają tempa. Jest z tego zadowolony. Rób więcej, myśl mniej – oto recepta Jacka Sawyera na prostą drogę do zdrowia psychicznego.

– Przemycę cię do środka, kiedy tylko Potter będzie już w pace.

– Nie spodziewasz się, że będą z tym jakieś problemy, mam rację?

– Nie – odpowiada Jack i zmienia temat. – Wiesz, zaskoczyłeś mnie tą płytą Slobberbone.

– Nie potrafi nazwać tego piosenką, skoro wokalista po prostu wyrzeszczał prawie cały tekst, ile tylko miał pary w piersiach. – Jest dobra.

– Wszystko zależy od gitarzysty prowadzącego – mówi Henry, wychwyciwszy, jak Jack dobrał słowa. – W tym wypadku jest zaskakująco perfekcyjny. Zwykle najlepsze, na co można mieć nadzieję, to melodia. – Otwiera okno, wystawia głowę jak pies i chowają do środka. Nie zmieniając konwersacyjnego tonu, mówi: – Całe miasto cuchnie.

– To mgła. Znosi najbardziej śmierdzącą esencję rzeki.

– Nie – odpowiada rzeczowo Henry. – To śmierć. Czuję ją i myślę, że ty też. Tyle tylko że ty pewnie nie węchem.

– Czuję jej woń – przyznaje Jack.

– Potter to nie ten człowiek.

– Tak sędzę.

- Człowiek, którego widział Railsback, był żywą przynętą.
- Człowiek, którego widział Railsback, to prawie na pewno Rybak.

Przez chwilę jadą w milczeniu.

– Henry?

– Potwierdzam.

– Jaka jest najlepsza płyta? Najlepsza płyta i najlepszy utwór?

Henry zastanawia się nad odpowiedzią.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to strasznie osobiste pytanie.

– Tak.

Henry zastanawia się jeszcze trochę.

– Może „Stardust” – odpowiada wreszcie. – Hoagy Carmichaela. A dla ciebie?

Mężczyzna za kierownicą sięga myślami wstecz, do czasów kiedy Jacky miał sześć lat. Jego ojciec i wuj Morgan byli miłośnikami jazzu; matka miała prostszy gust. Jack przypomina sobie, jak pewnego niekończącego się lata w Los Angeles cały czas grała jedną piosenkę, siedząc przy oknie, wyglądając na zewnątrz i paląc papierosy. „Co to za pani, mammo? – pyta Jacky, a matka odpowiada: – Patsy Cline. Zginęła w katastrofie lotniczej”.

– „Crazy Arms” – mówi Jack. – W wersji Patsy Cline. Napisana przez Ralpa Mooneya i Chucka Sealsa. To najlepsza płyta i najlepsza piosenka.

Henry nie mówi nic więcej przez resztę drogi: Jack płacze.

Henry wyczuwa woń jego łez.

Popatrzmy z szerszej perspektywy, jak bez wątpienia powiedziałby ten czy inny polityk. Niemal musimy to zrobić, rzeczy bowiem zaczynają nakładać się na siebie. Podczas gdy Beezer i reszta Pierońskiej Piątki zajeżdżają na parking komendy policji we French Landing przy ulicy Sumner, Dale, Tom Lund i Bobby Dulac – baryłkowaci w kamizelkach z kevlaru – parkują pod „Tawerną Lucky’ego”, zagradzając czyjś samochód. Zatrzymują się na ulicy, bo Dale chce mieć dość miejsca do otwarcia na całą szerokość tylnych drzwi, by można było wpakować Pottera do środka tak szybko, jak to tylko możliwe. Po sąsiedzku Dit Jesperson i Danny Tcheda są już w hotelu Nelson, gdzie mają odgrodzić pokój 314 żółtą policyjną taśmą. Gdy skończą, mają rozkaz zabrać Andy’ego Railsbacka i Morty’ego Fine’a na posterunek. Na posterunku Ernie Therriault dzwoni po detektywów z policji stanowej, Browna i Blacka, którzy przyjadą po fakcie... a jeśli będą wkurzeni z tego powodu, to bardzo dobrze. W Łasze Tansy Freneau, której wzrok jest zupełnie martwy, właśnie wyciągnęła wtyczkę szafy grającej, uśmiercając Wallflowers.

– Słuchajcie mnie wszyscy! – woła nie swoim głosem. – Mają go! Mają tego mordującego dzieci sukinsyna! Nazywa się Potter! Do północy przewiożą go do Madison, a jeśli czegoś nie zrobimy, jakiś cwany adwokat do przyszłego poniedziałku wyciągnie go z mamra! KTO CHCE MI POMÓC COŚ Z TYM ZROBIĆ?

Przez chwilę panuje cisza... a potem rozlega się ryk. Nawaleni częściowo alkoholem, a częściowo prochami bywalcy Łachy dokładnie wiedzą, co trzeba zrobić. Jack i Henry – których do wjazdu do miasta nie spowalniała mgła – wjeżdżają natomiast w tym momencie na policyjny parking tuż za Pierońską Piątką, która parkuje rzędem za fat boyem Doktorą. Parking raptownie się zapełnia, głównie prywatnymi samochodami funkcjonariuszy. Wieść o zbliżającym się aresztowaniu rozprzestrzenia się jak ogień w suchej trawie. Wewnątrz jeden z podwładnych Dale'a – nie musimy zawracać sobie głowy szczegółem który – spostrzega niebieski telefon komórkowy, z którego Doktor dzwonił spod „Tawerny Lucky'ego”. Policjant chwyta go i nurkuje do pakamery z tabliczką: MAGAZYN DOWODÓW.

W zajeździe „Oak Tree Inn”, do którego wprowadził się na czas trwania sprawy Rybaka, Wendell Green upija się na smutno. Mimo trzech podwójnych whisky wciąż łupie go szyja od zerwania mu z niej aparatu fotograficznego przez cholernego harleyowca i boli brzuch po prostym tego dupka Hollywooda. Najbardziej cierpi jednak duma i portfel Wendella. Zdążył prawie uwierzyć, że to właśnie Sawyer jest Rybakiem... ale jak może to udowodnić bez kliszy? Kiedy barman informuje go, że jest do niego telefon, Wendell o mało nie mówi mu, żeby go sobie wsadził w dupę. Jest jednak profesjonalistą, do cholery, profesjonalnym orłem pióra, więc podchodzi do baru i podnosi słuchawkę.

– Green – warczy.

– Cześć, zasrańcu – mówi gliniarz z niebieskim telefonem komórkowym. Wendell nie wie, że to policjant; wkurza się tylko, że jakiś wesolutki bydlak zabiera mu czas, który mógłby przeznaczyć na picie. – Masz ochotę dla odmiany wydrukować jakieś dobre wiadomości?

– Gazety nie sprzedają się od dobrych wiadomości, kolego.

– Z tą się sprzedadzą. Złapaliśmy gościa.

–Co?

Mimo trzech podwójnych whisky Wendell Green jest nagle najbardziej trzeźwym człowiekiem na całym świecie.

– Czyżbym się jękał? – Od rozmówcy wręcz bije zadowolenie, ale Wendellowi Greenowi przestało to przeszkadzać. – Złapaliśmy Rybaka. Nie mędrki ze stanówki ani z EfBiEj, ale my. Nazywa się George Potter. Ma trochę ponad siedemdziesiątkę. Emerytowany przedsiębiorca budowlany. Miał zdjęcia wszystkich trzech zabitych dzieciaków. Jak się pospieszysz, to może zdążysz mu pstryknąć fotkę, gdy Dale będzie go wprowadzał do środka.

Myśl ta – promienna możliwość – eksploduje jak raca w umyśle Wendella Greena. Takie zdjęcie byłoby warte pięć razy więcej od fotografii zwłok małej Army, bo miałyby na nie ochotę szanowane magazyny. I telewizja! I jeszcze o jednym trzeba pomyśleć: a jeśli ktoś zastrzeli skurczybyka, kiedy tutejszy szeryf Dillon będzie wprowadzał go na posterunek? Zwążywszy na nastroje panujące w mieście, nie jest to wykluczone. Wendellowi przemyka

przez głowę jaskrawy obraz Lee Harveya Oswalda, chwytającego się za brzuch z ustami otwartymi w śmiertelnym skowycie.

– Kto mówi? – stęka.

– Przyjazny, kurwa, posterunkowy – mówi człowiek na drugim końcu linii i przerywa połączenie.

W „Tawernie Lucky’ego” Patty Loveless informuje obecnie zebranych (starszych niż klientela Łachy i o wiele mniej zainteresowanych niealkoholowymi substancjami), że nie czuje satysfakcji, a jej traktor nie ma trakcji. George Potter skończył spaghetti, złożył równo serwetkę (na której ostatecznie wylądowała tylko kropla czerwonego sosu) i zabrał się poważnie do piwa. Ponieważ siedzi blisko szafy grającej, nie zauważa, że sala cichnie w momencie wejścia trzech mężczyzn, z których tylko jeden jest w mundurze, lecz wszyscy trzej są uzbrojeni i noszą coś, co za bardzo przypomina kamizelki kuloodporne, by mogło być czymkolwiek innym.

– George Potter? – pyta ktoś.

George podnosi wzrok. Ze szklanką w jednej ręce i kuflem browaru w drugiej jest celem łatwym jak siedząca kaczka.

– Tak, i co z tego? – pyta.

W tym momencie zostaje wyciągnięty za ramiona i barki zza stolika. Wali kolanami o blat i pada. Talerz po spaghetti i kufel lądują na podłodze. Talerz się rozbija; kufel jest z solidniejszego materiału i zostaje cały. Jakaś kobieta krzyczy. Jakiś mężczyzna mówi „Jej” niskim, pełnym szacunku głosem.

Potter przez chwilę trzyma jeszcze w dłoni częściowo wypełnioną szklankę, po czym Tom Lund wyrywa mu potencjalną broń. Sekundę później Dale Gilbertson zatrzaskuje kajdanki, mając zaledwie czas pomyśleć, że to najbardziej satysfakcjonujący dźwięk, jaki słyszał w życiu. Jego traktor wreszcie przestał buksować, dzięki Bogu.

Poszło o niebo lepiej niż podczas rozpierduchy pod „Ed’s Eats”; wszystko przebiegło równo i gładko. Niecałe dziesięć sekund po tym, jak Dale zadaje jedyne pytanie – „George Potter?” – podejrzany zostaje wyprowadzony przez drzwi w mgłę. Tom trzyma go za jeden łokieć, Bobby za drugi. Dale jeszcze klepie ostrzeżenie o prawach zatrzymanego, ale robi to jak licytator na amfetaminie. Stopy George’a Pottera nawet nie dotykają chodnika.

Jack Sawyer czuje się w pełni żywy po raz pierwszy od czasu, gdy miał dwanaście lat i wracał z Kalifornii w cadillacu eldorado prowadzonym przez wilkołaka. Domyśla się, że przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę za ożywienie, ale ma nadzieję, że kiedy przyjdzie pora, zdołają zapłacić z podniesionym czołem. Cała reszta dorosłego życia wydaje mu się bowiem teraz bezgranicznie szara.

Staje obok swojego pikapa i spogląda przez okno na Henry'ego. Powietrze jest wilgotne i już naładowane podnieceniem. Jack słyszy skwierczenie lamp na parkingu, jakby coś się smażyło we własnym gorącym soku.

– Henry.

– Potwierdzam.

– Znasz hymn „Zadziwiająca łaska”?

– Oczywiście. Wszyscy znają „Zadziwiającą łaskę”.

– „Byłem ślepy, lecz przejrzałem” – mówi Jack. – Teraz to rozumiem.

Henry zwraca ślepa, niewymownie inteligentną twarz w stronę Jacka. Uśmiecha się. Pod względem słodyczy ten uśmiech ustępuje tylko jednemu, jaki Jack widział w swym życiu. Pierwsza nagroda wciąż należy się Wilkowi, drogiemu przyjacielowi ze spędzonej na wędrownie dwunastej jesieni życia. Dobremu staremu Wilkowi, który lubił wszystko właśnie tu i teraz.

– Wróciłeś, prawda?

Stojąc na asfalcie parkingu, nasz stary przyjaciel się uśmiecha.

– Potwierdzam: Jack wrócił.

– W takim razie ruszaj zrobić to, po co wróciłeś.

– Chcę, żebyś pozamykał okna.

– Żeby nie mógł słyszeć? Raczej nie – odpowiada dość pogodnie Henry.

Pojawiają się kolejni policjanci; tym razem niebieskie światła pierwszego samochodu obracają się i zachłystuje się syrena. Jack wyczuwa triumfalną nutę w tych dźwiękach i uznaje, że nie ma czasu sprzeczać się z Henrym o okna dodge'a.

Rusza w stronę tylnych drzwi posterunku, a białoniebieskie lampy łukowe rzucają w mgłę jego podwójny cień – jeden skierowany na północ, a drugi na południe.

Funkcjonariusze na niepełnym etacie, Holtz i Nestler, zatrzymują się za samochodem, którym przyjechali Gilbertson, Lund, Dulac i Potter. Holtz i Nestler niespecjalnie nas obchodzą. Następni w kolejce są Jespersion i Tcheda, z Railsbackiem i Mortonem Fine'em na tylnym siedzeniu (Morty skarży się, że brakuje mu miejsca na kolana). Obchodzi nas Railsback, ale może zaczekać. Następnie na parking wjeżdża – och, to ciekawe, chociaż niezupełnie nieoczekiwane – poobijana czerwona toyota Wendella Greena, z rzeczonym właścicielem za kierownicą. Na jego szyi wisi zapasowy aparat fotograficzny, Minolta, który będzie robił zdjęcia, dopóki Wendell będzie naciskał wyzwalacz. Nie ma nikogo z Łachy – na razie – ale na wjazd na już zatłoczony parking czeka jeszcze jeden samochód. Jest to zielony saab w dyskretnym zielonym odcieniu z nalepką: SIŁA POLICYJNA po lewej stronie zderzaka i drugą po prawej: UŚCISKI, NIE NARKOTYKI. Za kierownicą saaba siedzi wyglądający na oszołomionego, ale zdecydowanego zrobić, co należy (cokolwiek by to było) Arnold „Wściekły Węgier” Hrabowski.

Pod ceglana ścianą posterunku policji stoi w rzędzie Pierońska Piątka. Mają na sobie identyczne drelichowe kamizelki ze złotymi 5 na lewej piersi. Pięć par mięsistych ramion jest skrzyżowanych na pięciu szerokich piersiach. Doktorek, Kajzer Bill i Sonny mają włosy upięte w grube kucyki. Myszą ma dzisiaj dredy. Włosy Beezera spływają natomiast na ramiona, wskutek czego Jackowi przypomina trochę Boba Seegera w najlepszych latach. Migają kolczyki w uszach. Tatuaze prężą się na wielkich bicepsach.

– Armand St. Pierre – zwraca się Jack do mężczyzny stojącego najbliżej drzwi. – Jack Sawyer. Spotkaliśmy się pod „Ed’s Eats”. – Wyciąga rękę i nie jest zaskoczony, że Beezer tylko na nią spogląda. Jack uśmiecha się uprzejmie. – Pomogliście nam tam, że daj panie Boże zdrowie. Dzięki. – Beez nie odpowiada. – Jak myślisz, będą jakieś kłopoty z przyjęciem aresztanta? – pyta Jack.

Równie dobrze mógłby pytać Beezera, czy jego zdaniem po północy popada.

Beezer obserwuje nad ramieniem Jacka, jak Dale, Bobby i Tom pomagają Potterowi wysiąść z radiowozu i zaczynają go prowadzić w kierunku tylnego wejścia. Wendell Green podnosi aparat fotograficzny, a następnie prawie zwała go z nóg Danny Tcheda, który nawet nie ma przyjemności zobaczyć, na jakiego dupka wpadł.

– Uważaj, patafianie – popiskuje Wendell.

Beezer tymczasem raczy – jeśli to dobre słowo – Jacka krótkim, zimnym spojrzeniem.

– No dobra – mówi. – Musimy popatrzeć, co z tego wyjdzie, nie?

– Istotnie – przyznaje Jack prawie szczęśliwym głosem.

Wpycha się między Myszę i Kajzera Billa, robiąc sobie miejsce: Pierońska Piątka Plus Jeden. Być może dwa osiłki wyczuwają, że się ich nie boi, bo robią mu miejsce. Jack splata ramiona na piersi. Gdyby miał kamizelkę, kolczyk w uchu i tatuaż, naprawdę by do nich pasował.

Więzień i jego strażnicy szybko pokonują dystans między samochodem i posterunkiem, Armand St. Pierre, duchowy przywódca Pierońskiej Piątki i ojciec Amy, której wątroba i język zostały zjedzone, zagraża drzwi w momencie, gdy mają już wejść do budynku. Beezer ma wciąż założone na piersi ramiona. W bezlitosnym blasku lamp na parkingu jego masywne bicepsy mają niebieski odcień.

Bobby i Tom nagle nabierają wyglądu ludzi z umiarkowanie nasiloną gripą. Jack natomiast nadal uśmiecha się ciepło, stoi ze spokojnie skrzyżowanymi ramionami; wydaje się, że patrzy równocześnie wszędzie i nigdzie.

– Zejdź z drogi, Beezer – mówi Dale. – Chcę zarejestrować tego aresztanta.

A co z George’em Potterem? Czy jest oszołomiony? Zrezygnowany? I to, i to? Trudno powiedzieć. Gdy jednak przekrwione oczy Beezera zaglądają w jego brązowe tęczówki, Potter nie spuszcza wzroku. Gapie na parkingu za nimi milkną. Stojący między Dannym Tcheda i Ditem Jespersonem Andy Railsback i Morty Fine wpatrują się w nich z

rozdziawionymi ustami. Wendell Green unosi aparat i wstrzymuje oddech jak snajper, któremu nadarzyła się świetna okazja do strzału – co ważne, tylko jedna – do dowodzącego wojskami generała.

– Zabiłeś moją córkę? – pyta Beezer.

Spokojne zapytanie jest w pewien sposób okropniejsze od jakiegokolwiek niepohamowanego wrzasku, a świat wydaje się wstrzymywać oddech. Dale się nie rusza. W tym momencie wydaje się tak samo zamarły jak pozostali. Świat czeka, a jedynym dźwiękiem jest niskie, żałobne wycie jakiejś spowitej mgłą barki na rzece.

– Nikogo nie zabiłem, proszę pana – mówi Potter cichym, pozbawionym emfazy głosem.

Chociaż Jack nie spodziewał się niczego innego, ma jednak uczucie, jakby jego serce uwieczono w klatce. W tych słowach brzmi bolesna godność, jakby George Potter przemówił w imieniu wszystkich niesłusznie potępianych, dobrych ludzi na świecie.

– Odsuń się, Beezer – mówi delikatnie Jack. – Nie chcesz zrobić krzywdy temu człowiekowi.

Beezer zaś istotnie odsuwa się na bok, wyraźnie stracił w tej chwili pewność siebie.

Zanim Dale może poprowadzić swojego więźnia dalej, rozlega się hałaśliwe, radosne wołanie – które może pochodzić wyłącznie z ust Wendella Greena:

– Ej! Ej, Rybaku! Uśmiechnij się do kamery!

Oglądają się wszyscy, nie tylko Potter. Muszą; wołanie jest natarczywe jak powolne skrobanie paznokciami po tablicy. Parking oświetla białe stroboskopowe światło – raz! dwa! trzy! cztery!

– Och, pieprz się, aż się popłaczesz! Chodźcie, ludzie! Jack! Jack, jesteś mi potrzebny!

– Dale! – krzyczy za ich plecami któryś z funkcjonariuszy. – Mam zgarnąć tego bydlaka?

– Zostaw go w spokoju! – woła Dale.

Wpada do środka jak rozpędzony byk. Dopiero gdy zamykają się drzwi, a Dale stoi na początku korytarza z Jackiem, Tomem i Bobbym, dociera do niego, jak bardzo był pewny, że Beezer po prostu odbierze mu starszego mężczyznę. A potem ukręci mu kark jak kurczakowi.

– Dale? – woła niepewnie Debbie Anderson z połowy wysokości schodów. – Wszystko w porządku?

Dale ogląda się na Jacka, który wciąż ma założone na piersi ręce i na którego ustach nadal widnieje dyskretny uśmiech.

– Myślę, że tak – mówi Dale. – Na razie.

Dwadzieścia minut później Jack i Henry (ostatni jegomość zabrany z samochodu i wciąż zabójczo elegancki) siedzą w gabinecie Dale'a. Zza zamkniętych drzwi dobiega gwar rozmów i śmiechu w sali odpraw: są tam prawie wszyscy policjanci z Freeh Landing, dlatego brzmi to jak jakiś piekielny bal noworoczny. Rozlegają się sporadyczne krzyki i odgłosy, niemogące być niczym innym jak wzajemnym klaskaniem w ręce odczuwających ulgę granatowych

chłopaków (i dziewczyn). Dale niedługo położy kres tym nonsensom, ale na razie pozwala cieszyć się podwładnym. Rozumie, jak się czują, chociaż jego nastrój już się zmienił.

George'owi Potterowi pobrano odciski palców i wsadzono go do celi na piętrze, żeby miał czas na zastanowienie. Brown i Black z policji stanowej są już w drodze. Na razie to wystarczy. Jeśli zaś chodzi o uczucie triumfu... cóż, coś w uśmiechu przyjaciela Dale'a i jego nieobecny spojrzeńni każe się z nim wstrzymać.

– Nie sądziłem, że pozwolisz Beezerowi mieć chwilę dla siebie – mówi Jack. – Dobrze, że to zrobiłeś. W Rivier City mogłyby być kłopoty, gdybyś spróbował mu się sprzeciwić.

– Chyba dziś wieczorem lepiej się orientuję, co on przeżywa – odpowiada Dale. – Syn mi się dzisiaj zagubił na chwilę, a ja się o mało nie zesrałem ze strachu.

– David? – woła Henry i pochyła się naprzód. – Nic mu się nie stało?

– Nie, wujku, z Davidem wszystko w porządku.

Dale przenosi wzrok na człowieka mieszkającego w domu jego ojca. Pamięta moment, kiedy Jack po raz pierwszy zobaczył Thornberga Kinderlinga. Dale znał wówczas Jacka dopiero od dziewięciu dni – dostatecznie długo, by wyrobić sobie dość przychylną opinię, ale za krótko, by naprawdę się zorientować, jak niezwykłym człowiekiem jest Jack Sawyer. Było to właśnie tego dnia, kiedy Janna Massengale z Taproom opowiedziała Jackowi o sztuczce, jaką robił Kinderling, kiedy się ubzdryngalał – nawyku ściskania nosa palcami z wnętrzem dłoni wystawionym na zewnątrz.

Akurat przyjechali na posterunek po rozmowie z Janną. Dale tamtego dnia skorzystał z własnego samochodu. Położył Jackowi dłoń na ramieniu, kiedy ten zbierał się do wysiadania z wozu.

– Powiedz nazwisko, a do kolacji zobaczysz twarz tego człowieka, jak zwykła mawiać moja matka. – Wskazał ulicę Drugą, gdzie szeroki w ramionach, łysy mężczyzna właśnie wyszedł z „News'n Notions” z gazetą pod pachą i świeżą paczką fajek w dłoni. – Oto Thornberg Kinderling we własnej osobie.

Jack pochylił się bez słowa i Dale w życiu nie widział, by czyjeś spojrzenie było tak przenikliwe i pozbawione litości.

– Chcesz, żebyśmy go zagadnęli? – spytał Dale.

– Nie. Cicho.

Jack, zmrużywszy oczy, siedział dalej z jedną nogą w samochodzie i drugą na zewnątrz. O ile Dale potrafił dostrzec, nawet nie oddychał. Jack patrzył, jak Kinderling otwiera paczkę papierosów, wystukuje jednego, wkłada w usta i zapala. Przyglądał się, jak Kinderling spogląda na nagłówek „Heraida”, a następnie spokojnie podchodzi do swojego samochodu, subaru z napędem na cztery koła. Przyglądał się, jak wsiada do środka. Przyglądał się, jak odjeżdża. Do tego czasu Dale zdał sobie sprawę, że sam wstrzymuje oddech.

– I? – zapytał, kiedy zniknął pojazd Kinderlinga. – Co myślisz?

– Sądzę, że to nasz człowiek – odpowiedział zaś Jack.

Tyle że Dale wiedział lepiej. Nawet wtedy wiedział lepiej. Jack mówił „sądzę” tylko dlatego, że on i komendant Dale Gilbertson z policji French Landing w Wisconsin odnosili się jeszcze do siebie oględnie, na zasadzie zapoznawania i nawiązywania współpracy. W istocie Jack myślał jednak: Wiem. I chociaż było to niemożliwe, Dale mu w pełni uwierzył.

Siedząc teraz za biurkiem z Jackiem na wprost siebie – niechętnym, lecz niesamowicie utalentowanym wolontariuszem – Dale pyta:

– I jak myślisz? On to robił?

– Daj spokój, Dale, jak mógłbym...

– Nie marnuj mojego czasu, Jack, bo lada chwili zjawią się tu te dupy wołowe ze stanówki i zabiorą Pottera na wycieczkę za wzgórze. Wiedziałeś, że Kinderling jest winny, od chwili kiedy na niego spojrzaleś, i to z odległości pół przecznicy. Byłeś dość blisko Pottera, kiedy go wprowadzaliśmy, żeby policzyć mu włoski w nosie. No, to co myślisz?

Jack odpowiada szybko, w ten sposób przynajmniej oszczędzając Dale’owi napięcia i zadając cios bez dalszych ceregieli.

– Nie – mówi. – To nie Potter. Potter to nie Rybak.

Dale wiedział, że Jack jest o tym przekonany – po minie, jaką jego przyjaciel miał na zewnątrz – ale usłyszenie tego to wciąż nieprzyjemny cios. Rozczarowany odchyła się na oparcie.

– Dedukcja czy intuicja? – pyta Henry.

– I to, i to – mówi Jack. – I przestań patrzeć na mnie, jakbym ci zabił matkę. Mimo wszystko możesz trzymać klucz do całej sprawy.

– Railsback?

Jack rusza dłonią, co ma wyrażać: może tak, może nie.

– Railsback pewnie widział to, co Rybak chciał, żeby zobaczyć... chociaż pojedynczy bambosz jest intrygujący, i chcę Railsbacka o niego wypytać. Jeśli jednak pan Jeden Bambosz to naprawdę Rybak, dlaczego chciał doprowadzić Railsbacka – i nas – do Pottera?

– Żeby zmylić trop – mówi Dale.

– Och, a mieliśmy jakiś? – pyta uprzejmie Jack, a gdy żaden z nich nie odpowiada, dodaje: – Powiedzmy jednak, że myśli, iż deptamy mu po piętach. Gotów jestem to prawie kupić, zwłaszcza jeżeli właśnie przypomniał sobie, iż wsypał się na coś innym.

– Z telefonu pod 7Eleven nie uzyskaliśmy nic przydatnego, jeśli o tym myślisz – informuje go Dale.

Jack najwyraźniej to ignoruje. Patrzy gdzieś w przestrzeń, na jego twarz wraca dyskretny uśmiech. Dale przenosi wzrok na Henry’ego i widzi, że jego wuj zwraca twarz w stronę Jacka. Uśmiech Henry’ego jest łatwiejszy do odczytania: wyraża ulgę i zachwyt. Popatrzcie tylko, myśli Dale. Robi to, do czego jest stworzony. Na Boga, nawet ślepiec to widzi.

– Dlaczego Potter? – powtarza wreszcie Jack. – Dlaczego nie któryś z Pierońskiej Piątki, Hindus z 7Eleven czy Ardis Walker ze sklepu z przynętami? Dlaczego nie wielebny Hovdahl? Jaki motyw zwykle wychodzi na jaw, kiedy okazuje się, że ktoś został wrobiony?

Dale zastanawia się nad odpowiedzią.

– Odwet – mówi w końcu. – Zemsta.

W sali odpraw dzwoni telefon.

– Zamknijcie się! Bądźcie cicho! – grzmi Ernie na pozostałych. – Przynajmniej przez pół minuty spróbujemy zachowywać się jak zawodowcy!

Jack tymczasem przytakuje słowom Dale'a.

– Myślę, że muszę przesłuchać Pottera, i to dość dokładnie.

Dale ma dość zaalarmowaną minę.

– W takim razie lepiej zabierz się do tego od razu, zanim Brown i Black... – Urywa, marszcząc brwi i przekrzywiając głowę. Do jego świadomości dotarł warczący odgłos. Jest cichy, ale narasta. – Wujku, co to?

– Silniki – odpowiada niezwłocznie Henry. – Mnóstwo. Są na wschód od nas, ale się zbliżają. Na skraju miasta. I nie wiem, czy zauważyliście, ale wygląda na to, że balanga za drzwiami się, no, skończyła, ludziska.

Jak na dany znak zza drzwi rozlega się zaniepokojone wołanie Erniego Therriault:

– Ochhh, kurwa!

Dit Jesperson:

–Co się...

Ernie:

– Idź po szefa. Ech, nie zawracaj sobie głowy, sam... – Słysząc jedno formalne stuknięcie i Ernie wtyka głowę do gabinetu, w którym trwała burza mózgów. Ma żołnierską manierę i jest opanowany jak zwykle, ale pod letnią opalenizną wyraźnie zbladły mu policzki, a na środku czoła pulsuje żyła.

– Szefie, właśnie odebrałem telefon na dziewięćset jedenaście. Dzwoniono z Łachy.

– Tej nory – mruczy Dale.

– Telefonował barman. Mówi, że od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu ludzi tutaj jedzie.

Do tej pory dźwięk zbliżających się pojazdów bardzo się nasilił. Henry ma wrażenie, że brzmi to jak moment przed opuszczeniem flagi w czerwoną kratę przed rajdem Indy 500, tuż zanim narzucający tempo samochód zacznie zwiewać, gdzie pieprz rośnie.

– Nic nie mów – jęczy Dale. – Czego jeszcze mi potrzeba, żeby mógł uznać dzień za w pełni udany? Niech się zastanowię. Zjawia się motłoch, żeby odebrać mi więźnia.

– Mm, tak, komendancie, tak właśnie powiedział rozmówca – przyznaje Ernie. Za jego plecami pozostali policjanci milczą. W tym momencie dla Dale'a w ogóle nie wyglądają na gliniarzy. Kojarzą się z jednym: przerażonymi obliczami, wymalowanymi na mniej więcej tuzinie białych balonów (oraz dwóch czarnych – nie zapominajmy o Pam Stevens i Bobie

Holtzu). Dźwięk silników narasta coraz bardziej. – Chce pan wiedzieć jeszcze coś, co powiedział rozmówca?

– Chryste, co takiego?

– Powiedział, że, mm... – Ernie szuka innego słowa niż „motloch”. – Grupą protestacyjną kieruje matka małej Freneau.

– O... mój... Chryste – mówi Dale. Rzuca Jackowi spojrzenie, które wyraża przyprawiającą o mdłości panikę i bezgraniczną frustrację – spojrzenie człowieka wiedzącego, że śni, ale bez względu na to, jak bardzo się stara, niemogącego się obudzić. – Jack, jeśli stracę Pottera, to French Landing będzie jutro rano w czołówce wiadomości CNN.

Jack otwiera usta, by odpowiedzieć, lecz telefon komórkowy w jego kieszeni wybiera ten moment, żeby wydać denerwujące ćwierkanie.

Henry Leyden krzyżuje ramiona na piersiach i wsuwa dłonie pod pachy.

– Nie dawaj mi go – mówi. – Przecież uzgodniliśmy, że telefony komórkowe powodują raka.

Dale tymczasem wychodzi z gabinetu. Gdy Jack wyciąga telefon (myśląc, że pewnie ktoś wybrał katastrofalnie niewłaściwą porę na przeprowadzenie ankiety, jakie ma upodobania co do telewizji kablowej), Henry wychodzi spieszenie za siostrzeńcem, wystawiwszy dłonie nieco przed siebie i delikatnie przebierając palcami w poszukiwaniu przeszkód, jakby analizował prądy powietrza. Jack słyszy zapowiedź Dale’a, że jeśli zobaczy jeden wyciągnięty pistolet, to osoba, która to robi, dołączy do Arniego Hrabowskiego na liście zawieszonych. Jack myśli wyłącznie jedno: nikt nie zabierze nigdzie Pottera, dopóki Jack nie zdąży mu zadać kilku konkretnych pytań. Za nic.

Otwiera telefon.

– Nie teraz, kimkolwiek jesteś – mówi. – Mamy...

– Się masz, Jacku Wędrowniczku – rozlega się głos w słuchawce i Jackowi Sawyerowi znów ubywa lat.

– Speedy?

– We własnej osobie – mówi Speedy i śpiewne zaciągnięcie znika z jego głosu. Jego ton staje się zwięzły i rzeczowy: Synu, jak jeden gliniarz drugiemu mówi ci, że powinieś odwiedzić osobistą toaletę komendanta Gilbertsona. Natychmiast.

Na zewnątrz zajeżdża dość samochodów, by wprawić budynek w drzenie. Jack ma złe przeczucie; odczuwa je od chwili, gdy Ernie powiedział, kto przewodzi parady głupców.

– Speedy, niezupełnie mam czas na chodzenie teraz za potrzebą.

– Nie masz czasu wybrać się nigdzie indziej – odpowiada zimno Speedy. Tyle że teraz jest tym drugim – twardelem nazwiskiem Parkus. – Możesz skorzystać dwa razy z tego, co tam znajdziesz, ale jeśli nie zrobisz tego pierońsko szybko za pierwszym razem, to drugi nie będzie już potrzebny. Bo ten człowiek zawiśnie na latarni.

Po tych słowach Speedy po prostu urywa rozmowę.

Gdy Tansy wyprowadza chętnych klientów na parking Łachy, nie towarzyszy temu cyrkowy zgiełk, stanowiący kluczową nutę rozpierduchy pod „Ed’s Eats & Dawgs”. Choć większość gości, których poznaliśmy pod restauracją Eda, spędza ten wieczór w Łasze, pracując nad uchlaniem się w stopniu od umiarkowanego do poważnego, zachowują się cicho, wręcz jak na pogrzebie, gdy wychodzą za Tansy i zapalają swoje samochody i pikapy. Pogrzebowa atmosfera ma jednak dziki charakter. Tansy przejęła coś od Gorga – jakiś zwalający z nóg jad – i przekazała go pozostałym.

Za paskiem swoich spodni ma pojedyncze wronie pióro.

Doodles Sanger bierze ją za ramię i prowadzi delikatnie do pikapa Teddy’ego Runkelmana. Gdy Tansy chce wsiąść na pakę samochodu (na której znajduje się już dwóch mężczyzn i pokaźna kobieta w białej sukience kelnerki), Doodles kieruje ją w stronę kabiny.

– Nie, kochanie – mówi. – Siadaj tutaj. Będzie wygodniej.

Doodles chce zająć właśnie to ostatnie miejsce na pace. Coś wypatrzyła i wie dokładnie, co ma z tym zrobić. Doodles ma zręczne ręce – zawsze miała.

Daleko od rzeki mgła nie ścięła się tak gęsto, ale gdy dwie dziesiątki samochodów i kilka furgonów wyjechało z ziemnego parkingu Łachy śladem poobijanego IH z jednym reflektorem Teddy’ego Runkelmana, knajpę ledwie widać. W środku zostało ze sześć osób – okazały się w jakiś sposób odporne na niesamowicie potężny wpływ głosu Tansy. Jednym z nich jest Śmierdzący Ser – barman. Śmierdziel ma tu wiele (płynnych) ruchomości, które powinien chronić, więc nigdzie się nie wybiera. Dzwoniąc pod 911 i rozmawiając z Erniem Therriault, robi to głównie ze złośliwości. Skoro nie może przyłączyć się do zabawy, to na Boga, przynajmniej popsuje ją reszcie tych małych.

Spod Łachy wyjeżdża dwadzieścia samochodów. Zanim kawalkada mija „Ed’s Eats” (do której droga dojazdowa wciąż jest przegrodzona żółtą taśmą) i tablicę: WSTĘP WZBRONIONY, która stoi przy zarośniętej drodze do dziwnego, zapomnianego domu (nie przegrodzonej; jeśli już o to chodzi, nawet niezauważanej), rozrasta się do trzydziestu pojazdów. Gdy tłuszcza dociera do magazynu Goltza, obydwoma pasmami drogi 35 gna już pięćdziesiąt samochodów i pikapów, a kiedy mija 7Eleven, wozów jest co najmniej osiemdziesiąt i siedzi w nich ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi. Nienaturalnie szybkie zasilanie szeregów tłumu można przypisać wszechobecnym telefonom komórkowym.

Dziwnie milcząco Teddy Runkelman (w istocie obawia się siedzącej obok niego bladej kobiety – jej wyszczerzonych ust i szerokich, nieprzymykających się oczu) zatrzymuje starego grata przed wjazdem na parking posterunku policji. Kolejne samochody stają za nim, całkowicie tarasując ulicę; warczą przerdzewiałe tłumiki i grzechoczą popękane rury wydechowe. Światła przecinają mgłę jak reflektory na premierze filmowej. Na kojarzącą się z mokrymi rybami woń nocy nakładają się zapachy spalanej benzyny, wrzącego oleju i smażących się okładzin sprzęgieł. Po chwili zaczynają trzaskać otwierane i zamykane drzwi.

Nie słycać jednak rozmów, krzyków ani nieprzystojnych wrzasków: „Juuhuu”. Nowo przybyli zbierają się w grupki wokół pojazdów, którymi tu dotarli, obserwując, jak ludzie na pace pikapa Teddy’ego zeskakują na boki lub zsuwają się z tyłu. Patrzą, jak Teddy podchodzi do drzwi po drugiej stronie kabiny, w tym momencie gorliwy jak młodzieniec wiozący dziewczynę na bal absolwentów college’u. Patrzą, jak pomaga wysiąść szczupłej młodej kobiecie, która straciła córkę. Wydaje się, że mgła otacza ją poświatą i niesamowitą elektryczną aurą tej samej niebieskiej barwy co blask lamp sodowych na ramionach Beezera. Tłum wydaje na jej widok zbiorowe (i upiornie miłosne) westchnienie. Ona właśnie ich jednoczy. Przez całe życie nikt nie pamiętał o Tansy Freneau – nawet Cubby Freneau ostatecznie o niej zapomniał, uciekając do Green Bay i zostawiając ją, by chwyciła się dorywczych robót i pobierała zasiłek dla bezrobotnych. Jedynie Irma o niej pamiętała, jedynie ona się nią przejmowała – ale Irma już nie żyje. Nie ma jej tutaj i nie widzi (chyba że przygląda się z nieba, myśli Tansy jakąś odległą i systematycznie zanikającą częścią umysłu), że jej matka nagle została obiektem uwielbienia. Tansy Freneau stała się tego wieczora osobą najdroższą oczom i sercu French Landing. Nie jego umysłowi, ten bowiem czasowo zniknął (może w poszukiwaniu sumienia), ale oczom i sercu na pewno. Obecnie zaś, tak delikatnie, jak dziewczynka, którą kiedyś była, Doodles Sanger podchodzi do kobiety, która przeżywa chwile popularności. Tym, co Doodles wypatrzyła na pace pikapa Teddy’ego, jest kawałek starego sznura, brudnego i śliskiego od oleju, ale wystarczająco grubego. Z drobnych dłoni Doodles zwiesza się pętla, którą jej zręczne ręce zrobiły podczas jazdy do miasta. Podaje ją Tansy, która podnosi sznur w mglistym blasku.

Tłum wydaje kolejne westchnienie.

Z uniesioną pętlą Tansy, wyglądając jak żeński odpowiednik Diogenesa poszukującego porządnego człowieka, nie zaś kanibala, którego trzeba zlinczować, wchodzi na parking – w dżinsach i zakrwawionej bluzie od dresu wygląda delikatnie. Teddy, Doodles i Freddy Saknessum idą za nią, a za nimi posuwa się reszta. Prą w stronę posterunku policji jak fala przypływu.

Pierońska Piątka wciąż stoi z założonymi na piersi rękoma, plecami do ceglanej ściany.

– Kurwa, co mamy robić? – pyta Myszą.

– Nie wiem jak ty, ale będę tu stał, aż mnie wywloką, co pewnie zrobią – odpowiada Beezer. Patrzy na kobietę z uniesioną pętlą. Jest dużym chłopcem i nieraz bywał w opałach, ale kobietka wzbudza w nim trwogę z powodu swoich nieprzytomnych, rozszerzonych oczu – przypominających oczy posągu. Ma też coś zatkniętego za pasek. Coś czarnego. Nóż? Jakiś sztylet? – I nie będę walczył, bo to się na nic nie zda.

– Zamkną, drzwi, prawda? – pyta nerwowo Doktorek. – To znaczy, gliny zamkną drzwi.

– Pewnie tak – odpowiada Beezer, nie odrywając wzroku od Tansy Freneau. – Ale jeśli ludziska chcą George’a Pottera, to będą go mieli na półmisku. Na miłość boską, popatrz tylko na nich. Jest ich parę setek.

Tansy przystaje, wciąż unosząc pętlę.

– Wyprowadźcie go – mówi. Jej głos jest donośniejszy niż powinien, jakby jakiś lekarz wstawił jej w gardło przemyślnie urządzenie nagłaśniające. – Wyprowadźcie go. Dajcie nam mordercę!

– Wyprowadźcie go! – przyłącza się Doodles.

– Dajcie nam mordercę! – I Teddy.

– Wyprowadźcie go! Dajcie nam mordercę! – I Freddy.

I reszta. Mogłaby to prawie być ścieżka dźwiękowa „Borsuczego Barażu” George’a Rathbuna, tyle że zamiast „Blokuj to podanie!” czy „Naprzód, Wisconsin!” tłum krzyczy: „WYPROWADŹCIE GO! DAJCIE NAM MORDERCĘ!”.

– Wyciągną go – mruczy Beezer. Odwraca się do kumpli i rzuca im spojrzenie, w którym przebija zarówno chęć walki, jak i strach. Na czoło występują mu idealnie równe, wielkie krople potu. – Kiedy ich dostatecznie podkręci, przyjdzie tutaj, a oni będą jej siedzieli na tyłku. Nie uciekajcie, nawet nie zdejmujcie rąk z piersi. A kiedy będą was łapać, to im pozwólcie. Jeśli chcecie dożyć jutrzejszego dnia, to im na to pozwólcie.

Tłum stoi po kolana w przypominającej skwaśniałe chude mleko mgłę i skanduje: „WYPROWADŹCIE GO! DAJCIE NAM MORDERCĘ!”.

Wendell Green skanduje razem z tłumem, ale nie przeszkadza mu to w robieniu zdjęć.

Bo, kurwa, to materiał, jakiego nie miał w życiu.

W drzwiach za plecami Beezera rozlega się szcęknięcie. No, zamknęli się, myśli. Dzięki, kurwieszony.

Jest to jednak dźwięk rygla, a nie zamka. Drzwi się otwierają. Na zewnątrz wychodzi Jack Sawyer. Mija Beezera, nie oglądając się ani nie reagując, gdy ten mruczy:

– Hej, człowieku, ja tam bym do niej nie podchodził.

Jack wychodzi powoli, ale bez wahania na ziemię niczyją pomiędzy budynkiem i tłumem oraz stojącą na jego czele kobietą, Statuą Wolności z pętlą zamiast pochodni w podniesionej ręce. W prostej szarej koszuli bez kołnierzyka i ciemnych spodniach Jack wygląda jak kawaler z dawnej romantycznej powieści, szykujący się do oświadczyn. Wrażenie to wywołują kwiaty, które trzyma w ręce. Drobne, białe kwiatuszki, które Speedy zostawił mu przy umywalce w toalecie Dale’a. Pęk nieprawdopodobnie wonnego, białego kwiecica.

Są to konwalie i pochodzą z Terytoriów. Speedy nie zostawił wyjaśnienia, jak ich użyć, ale Jack go nie potrzebuje.

Tłum milknie. Tylko Tansy, zagubiona w stworzonym dla niej przez Gorga świecie, nadal skanduje:

– Wyprowadźcie go! Dajcie nam mordercę!

Urywa dopiero wtedy, gdy Jack staje naprzeciwko niej. Jack nie oszukuje się, że to jego przystojna twarz czy smukła sylwetka przerywa zbyt głośno powtarzane słowa. Spowodowała to woń kwiatów, błogi i odświeżający aromat, który kontrastuje z mięsnym odorem, wiszącym wokół „Ed’s Eats”.

Oczy Tansy się przejaśniają... przynajmniej odrobinę.

– Wyprowadźcie go – mówi do Jacka prawie pytającym tonem.

– Nie – odpowiada i słowo to jest pełne łamiącej serce słodyczy. – Nie, moja droga.

Za plecami Tansy Doodles Sanger nagle po raz pierwszy mniej więcej od dwudziestu lat przypomina sobie ojca i zaczyna płakać.

– Wyprowadźcie go – błaga Tansy. Jej oczy też wypełniają się łzami. – Wyprowadźcie potwora, który zabił moje śliczne dziecko.

– Gdybym go miał, może bym to zrobił – mówi Jack. – Może naprawdę bym to zrobił. – Chociaż wie, że to nieprawda. – Człowiek, którego zatrzymaliśmy, to jednak nie on. To nie ten.

– Ale Gorg powiedział...

Oto słowo, które Jack zna. Właśnie kartkę z tym słowem próbowała zjeść Judy Marshall. Jack, niebędący w tej chwili w Terytoriach, ale i niezupełnie w tym świecie, wyciąga dłoń i wyjmuje pióro zza paska Tansy.

– Gorg ci je dał?

–Tak...

Jack pozwala mu spaść na ziemię, po czym je rozdeptuje. Przez chwilę myśli – wie – że pióro wibruje gniewnie pod podeszwą jego buta, jak pólżywa osa. Potem nieruchomieje.

– Gorg kłamie, Tansy. Czymkolwiek jest, kłamie. Człowiek, którego tu mamy, to nie Rybak.

Tansy wydaje głośny jęk i upuszcza sznur. Za jej plecami tłum wzdycha.

Jack obejmuje ją ramieniem i znowu myśli o bolesnej godności George’a Pottera; myśli o wszystkich zagubionych duszach, borykających się z życiem bez nadziei na to, że czyste światło Terytoriów opromieni im drogę. Przytula Tansy, czując zapachy potu, rozpacz, szaleństwa i kawowej brandy.

– Złapię go dla ciebie, Tansy – szepcze jej do ucha.

Sztywnieje.

–Ty...

–Tak.

– Ty... obiecujesz?

–Tak.

– To nie ten?

– Nie, moja droga.

– Przysięgasz?

Jack podaje jej konwalie.

– Na imię mojej matki.

Tansy podnosi kwiaty do nosa i głęboko wdycha ich woń. Gdy odrywa od nich głowę, Jack widzi, że z jej oczu znikło zagrożenie, ale nie szaleństwo. Jest teraz jedną z zagubionych. Coś w nią wstąpiło. Może jeśli Rybak zostanie złapany, to coś zniknie. Jack chciałby w to wierzyć.

– Ktoś powinien zabrać tę panią do domu – mówi Jack spokojnym, konwersacyjnym tonem, mimo to docierającym do tłumu. – Jest bardzo zmęczona i przepełniona smutkiem.

– Ja to zrobię – mówi Doodles. Na jej policzkach lśnią łzy. – Zawiozę ją samochodem Freddy’ego, a jeśli nie da mi kluczyków, to mu przywalę. Ja...

W tym samym momencie skandowanie zaczyna się na powrót, tym razem z głębi tłumu: „Wyprowadźcie go! Dajcie nam mordercę! Dajcie nam Rybaka! Wyprowadźcie Rybaka!”. Przez chwilę to partia solowa, po chwili przyłącza się jednak do niej kilka niepewnych głosów, przydając jej harmonii.

– Ech, kurwa. Znowu się zaczyna – mówi Beezer St. Pierre, wciąż stojący plecami do ceglanego muru.

Jack zakazał Dale’owi wyjścia z nim na parking, mówiąc, że widok munduru może sprowokować wybuch tłumu. Nie wspomniał ani słowem o trzymanym przez siebie bukietu kwiatów, a Dale prawie nie zwrócił na niego uwagi; za bardzo się bał, że straci Pottera w pierwszym linczu nowego milenium w Wisconsin. Zszedł jednak za Jackiem na parter, a obecnie prawem starszeństwa jako jedyny wygląda przez wizjer w drzwiach.

Pozostali funkcjonariusze policji French Landing są wyżej, wyglądają przez okna sali odpraw. Henry rozkazał Bobby’emu Dulacowi, żeby prowadził sprawozdanie na bieżąco. Nawet mimo zamartwiania się o Jacka (myśli, iż istnieje co najmniej czterdzieści procent szans, iż tłum go strąci albo rozedrze na strzępy) Henry z rozbawieniem i odrobiną próżności stwierdza, że Bobby zupełnie nieświadomie naśladuje George’a Rathbuna.

– Dobra, Hollywood wyszedł... podchodzi do kobiety... bez strachu... reszta jest spokojna... wygląda, że Jack i kobieta rozmawiają... i rany julek, daje jej bukiet kwiatów! Ale strategia!

„Strategia” to jeden z ulubionych terminów sportowych George’a Rathbuna, na przykład: *Strategia ucieczki z miejsca wypadku, stosowana przez Ekipę Piwowarów, znowu się nie sprawdziła wczoraj wieczorem w Miller Park.*

– Ona zawraca! – krzyczy triumfalnie Bobby. Chwyta Henry’ego za ramiona i nim potrząsa. – Kurka wodna, chyba po wszystkim! Chyba Jack ją zgasił!

– Nawet ślepy widzi, że ją zgasił – przyznaje Henry.

– I to w ostatniej chwili – mówi Bobby. – Przyjechał Kanał Piąty i druga furgonetka z takim wielkim, pomarańczowym masztem... chyba FoxMilwaukee... i...

– Wyprowadźcie go! – zaczyna nawoływać głos z zewnątrz. Jest to wołanie człowieka rozdrażnionego i uważającego się za oszukanego. – Dajcie nam mordercę! Dajcie nam Rybaka!

– Och, nieeee! – mówi Bobby i nawet w tej chwili brzmi jak George Rathbun, opowiadający następnego ranka po meczu swoim słuchaczom, jak to Borsuki wzięły się w garść, ale szybko zaczęły tracić parę. – Nie terazzz, nie przy telewizji! To...

– Wyprowadźcie Rybaka!

Henry już wie, kto woła. Nawet przez dwie warstwy wzmocnionego drutem szkła nie sposób pomylić tego szczekliwego, wysokiego wrzasku.

Wendell Green zna się na swojej robocie – ani przez chwilę nie wolno wam błędnie uznać, że jest inaczej. Jego zadanie to donoszenie o wydarzeniach, analizowanie wydarzeń, czasami fotożurnalizowanie wydarzeń. Nie należy do niego tworzenie wydarzeń. Dziś wieczór nie może się jednak powstrzymać. Drugi raz w ciągu ostatnich dwunastu godzin gwarantująca karierę historia znalazła się w zasięgu jego łapczywie i błagalnie wyciągniętych rąk i w ostatniej chwili została mu odebrana.

– Wyprowadźcie go! – drze się Wendell. Surowa siła głosu zaskakuje go, a następnie wypełnia uniesieniem. – Dajcie nam mordercę! Dajcie nam Rybaka!

Dźwięk przyłączających się do niego głosów niesamowicie uderza do głowy. Jest to, jak mówił chłopak, z którym mieszkał w jednym pokoju w college'u, prawdziwy rozporkołamacz. Wendell robi krok do przodu z wzbierającą piersią, czerwieniejącymi policzkami i rosnącą pewnością siebie. Niejasno zdaje sobie sprawę, że przez tłum powoli jedzie w jego stronę furgonetka kanału Action News Five. Wkrótce mgłę rozświetlą pięć – i dziesięciokilowatowe reflektory; niebawem w ich oślepiającym blasku zaczną pracować kamery wideo. I co z tego? Skoro kobieta w pochłapanej krwi bluzie w końcu okazała się zbyt tchórzliwa, żeby godnie reprezentować własnego dzieciaka, Wendell zrobi to w jej imieniu! Wendell Green, promienny przykład obywatelskiej odpowiedzialności! Wendell Green, przywódca mas!

Zaczyna wymachiwać aparatem fotograficznym w górę i w dół. Czuje niesamowite uniesienie. Jak w czasach college'u! Jak na koncercie Lynyrd Skynyrd! Jak...

Coś wielkiego miga Wendellowi Greenowi przed oczyma. Potem światła gasną. Wszystkie.

– ARNIE PRZYŁOŻYŁ MU LATARKĄ! – krzyczy Bobby.

Chwyta ślepego wuja Dale'a za ramiona i zatacza z nim opętańcze kółko. Henry'ego otacza gęsty aromat wody kolońskiej Aqua Velva i domyśla się, że Bobby ucałuje go na francuską modłę w obydwie policzki: nie myli się. Kiedy wznawia narrację, mówi tak nieziemsko radosnym głosem, jak George Rathbun przy tych nielicznych okazjach, gdy miejscowe drużyny na przekór wszelkim szacunkom sięgają po zwycięstwo.

– Możesz w to uwierzyć? Wściekły Węgier przyłożył mu latarką i... GREEN LEŻY! CHOLERNY WĘGIER POŁOŻYŁ ULUBIENCA WSZYSTKICH, PIERDZIELONEGO PISMAKA NA MATE! TAK TRZYMAĆ, HRABOWSKI!

Dookoła nich policjanci wiwatują, ile sił w piersiach. Debbie Anderson zaczyna śpiewać „We Are the Champions”; szybko przyłączają się do niej inni.

We French Landing nastały dziwne czasy, myśli Henry. Stoi z rękoma w kieszeniach, uśmiecha się i nasłuchuje wariackiej wrzawy. Jego uśmiech nie kłamie; jest szczęśliwy. Czuje jednak również niepokój w sercu. Boi się o Jacka.

Prawdę mówiąc, boi się o nich wszystkich.

– Dobra robota, człowieku – mówi Jackowi Beezer. – Nadstawiłeś karku, naprawdę.

– Dzięki. – Jack kiwa głową.

– Nie zapytam cię drugi raz, czy to ten gość. Mówisz, że nie, to nie. Ale jeśli będziesz czegoś od nas potrzebował, żeby znaleźć właściwego, to tylko zawołaj.

Pozostali członkowie Pierońskiej Piątki mruczą na znak poparcia. Kajzer Bili przyjacielsko trzepie Jacka w ramię; pewnie zostanie po tym siniec.

– Dzięki – powtarza Jack.

Zanim zdąży zapukać do drzwi, te się otwierają. Dale chwyta go w miazdzący uścisk. Gdy ich piersi się stykają, Jack czuje, jak mocno i szybko bije serce Gilbertsona.

– Uratowałeś mi tyłek – mówi mu Dale prosto w ucho. – Jeśli mogę cokolwiek zrobić...

– Zgadza się, możesz – przerywa mu Jack i wciąga go do środka. – Za furgonetką telewizji widziałem jeszcze jeden radiowóz. Nie jestem pewien, ale chyba był niebieski.

– Oho – mówi Dale.

– Zgadza się, oho. Potrzebuję co najmniej dwudziestu minut sam na sam z Potterem. Może nic dzięki temu nie zyskamy, a może mnóstwo. Zdołasz zatrzymać Browna i Blacka na dwadzieścia minut?

Dale obdarza przyjaciela posępnym, przelotnym uśmiechem.

– Postaram się, żebyś miał pół godziny. Minimum.

– Świetnie. A taśma telefonu Rybaka pod dziewięćset jedenaście – masz ją jeszcze?

– Powędrowała razem z resztą dowodów, jakie zebraliśmy do chwili, gdy Brown i Black przejęli sprawę. Dziś po południu zabrał ją facet z patrolu stanowego.

– Dale, nie!

– Spokojnie, dryblasie. Kasetą z kopią leży sobie bezpiecznie w moim biurku.

– Nie strasz mnie tak. – Jack klepie się po piersi.

– Przepraszam – mówi Dale, myśląc: Pod posterunkiem tak się zachowałeś, że nie uwierzyłbym, iż boisz się czegokolwiek.

W pół drogi na górę po schodach Jack przypomina sobie słowa Speedy’ego, że może użyć dwa razy tego, co Speedy zostawił mu w toalecie... on jednak dał kwiaty Tansy Freneau. Cholera. Po chwili przykłada jednak złożone dłonie do nosa, wciąga powietrze i się uśmiecha.

Może mimo wszystko ma je nadal.

Rozdział siedemnasty

George Potter siedzi na pryczy w trzeciej celi w krótkim korytarzu, śmierdzącym moczem i środkiem dezynfekcyjnym. Wygląda przez okno na parking, na którym niedawno wrzało z podniecenia i na którym wciąż kręci się pełno ludzi. Nawet się nie odwraca na dźwięk zbliżających się kroków Jacka.

Po drodze Jack mijają dwie tabliczki. JEDEN TELEFON TO ZNACZY JEDEN TELEFON, głosi pierwsza, a druga: MITYNGI AA PON O 19, MITYNGI AN CZW O 20. Jest tu też zakurzona fontanna z wodą pitną i wiekowa gaśnica, którą jakiś dowcipniś ochrzcił: GAZ ROZWESELAJĄCY.

Jack dociera do krat celi i stuka w jedną z nich kluczem do swojego domu. Potter odwraca się wreszcie od okna. Jack, wciąż z nadmiernie wyczuloną świadomością, którą obecnie identyfikuje jako swego rodzaju pozostałość po Terytoriach, od razu domyśla się zasadniczej prawdy o tym człowieku. Wyrażają ją zapadnięte oczy i ciemne kręgi pod nimi; widać ją w ziemistych policzkach i nieco wklęsłych skroniach, pokrytych delikatnymi siateczkami żył; maluje się w zbyt wystającym nosie.

– Dobry wieczór, panie Potter – mówi. – Chcę z panem porozmawiać, ale musimy się pośpieszyć.

– Chcieli mnie dostać w swoje ręce – zauważa Potter.

– Tak.

– Może powinniście byli im na to pozwolić. Jeszcze trz[~~z~~ cztery miesiące, a i tak wyłączę się z wyścigu.

Jack wyjmując z kieszeni na piersi kartę magnetyczną, którą dostał od Dale'a, i otwiera nią drzwi do celi. Rozlega się klekoczące brzęczenie, gdy przesuwa ją po krótkiej prowadnicy. Kiedy Jack wyjmując kartę, brzęczenie ustaje. W sali na parterze pali się teraz bursztynowa żaróweczka, oznaczona C.A.3.

Jack wchodzi do celi i siada na brzegu pryczy. Schował klucze, nie chcąc, by woń metalu kałała aromat konwalii.

– Gdzie go pan ma?

Nie pytając, skąd Jack wie, Potter unosi wielką, żyłastą dłoń – rękę cieśli – i dotyka nią brzucha. Pozwala jej opaść.

– Zaczęło się od jelita. Pięć lat temu. Brałem proszki i zastrzyki jak grzeczny chłopiec. To było w La Riviere. Po tych świństwach... rany, rzygałem dalej, niż widziałem. Po kątach, wszędzie. Kiedyś zwymiotowałem w łóżku i nawet tego nie poczułem. Następnego ranka obudziłem się z zasychającymi na piersi wymiocinami. Wiesz coś na ten temat, synu?

– Moja matka chorowała na raka – mówi spokojnie Jack. – Kiedy miałem dwanaście lat. Potem jej przeszedł.

– Przeżyła pięć lat?

– Więcej.

– Szczęściara – mówi Potter. – I tak w końcu ją dostał, prawda?

Jack kiwa głową.

Potter w odpowiedzi również kiwa. Nie zaprzyjaźnili się jeszcze, ale powolutku zacierają w tym kierunku. Tak właśnie pracuje Jack; zawsze tak działał.

– To gówno wchodzi w człowieka i czeka – mówi mu Potter. – Mam taką teorię, że nigdy nie przechodzi, tak naprawdę to nie. Tak czy inaczej, zastrzyki są już na nic. Proszki też. Wszystkie z wyjątkiem tych, które zabijają ból. Przyjechałem, żeby tu skończyć.

– Dlaczego?

Jack nie musi tego wiedzieć, a poza tym brakuje czasu, ale taką ma technikę i nie zrezygnuje ze skutecznej metody tylko dlatego, że para pacanów z policji stanowej czeka na dole, żeby zabrać jego człowieka. Dale będzie musiał ich zatrzymać, to wszystko.

– Czym się pan zajmował, panie Potter?

– Zaczynałem jako cieśla, tak samo jak Jezus. Później zacząłem budować, ale za bardzo mi to uderzyło do głowy. Kiedy to spotyka budowlanica, zwykle zaczyna tytułować się przedsiębiorcą budowlanym. Zarobiłem trzy czwarte miliona dolarów, miałem cadillaca i dziewczynę, która mi dogadzała w piątkowe wieczory. Bardzo miła kobietka. Taki związek bez zobowiązań. Potem wszystko straciłem. Brakowało mi tylko cadillaca. Ujeżdżało się go bardziej płynnie niż tę babkę. Potem nadeszły złe wieści i przyjechałem tutaj. – Spogląda na Jacka. – Wie pan, co czasami myślę? Że French Landing jest bliżej lepszego świata, takiego, gdzie wszystko lepiej wygląda i pachnie. Gdzie może ludzie zachowują się lepiej. Nie lubię przestawać z ludźmi – nie jestem przyjacielskim człowiekiem – ale to nie znaczy, że nic nie czuję. Krąży mi po głowie myśl, że nie jest za późno, żeby być przyzwoitym. Myśli pan, że oszalałem?

– Nie – odpowiada Jack. – Mniej więcej właśnie dlatego sam tu się osiedliłem. Powiem panu, jak jest ze mną. Kiedy się zawiesi cienki koc na oknie, prześwituje przez niego słońce, wie pan, o co mi chodzi?

George Potter nagle spogląda na niego rozpromienionym wzrokiem. Jack nawet nie musi kończyć myśli, i bardzo dobrze. *Znalazł* właściwą fałę – prawie zawsze mu się to udaje, to jego dar – więc nadszedł czas przejść do rzeczy.

– Wie pan – mówi po prostu Potter.

Jack kiwa głową.

– Wie pan, dlaczego tu jesteśmy?

– Myślą, że zabiłem dziecko tej kobiety. – Potter kiwa głową w stronę okna. – Tej, która trzymała pętlę. Nie zabiłem go. Tyle wiem.

– Na początek wystarczy. Niech pan mnie teraz posłucha.

Jack bardzo szybko streszcza ciąg wydarzeń, wskutek których Potter znalazł się w celi. Słuchając go, Potter marszczy brwi, a jego wielkie ręce się zaciskają.

– Railsback! – mówi wreszcie. – Powinienem być się domyślić! Przeklęty wścibski staruch, zawsze o coś wypytuje, zawsze pyta człowieka, czy nie ma ochoty zagrać w karty, może w bilard albo, bo ja wiem, w parcheesi, na miłość boską! Tylko dlatego, żeby mógł wypytywać. Cholerna wścibska mendowieszka...

Kontynuuję w tym duchu, a Jack pozwala mu na to przez jakiś czas. Rak czy nie, starszy mężczyzna został bezlitośnie wyrwany ze swojego świata, musi więc sobie ulżyć. Gdyby Jack mu przerwał dla zaoszczędzenia czasu, przegrałby. Trudno wykazywać cierpliwość (jak Dale powstrzymuje dwóch dupków? Jack woli się nawet nie domyślać), ale cierpliwość jest konieczna. Gdy Potter przechodzi jednak do skomasowanego natarcia (zaczyna miotać obelgi na Morty’ego Fine’a oraz kumpla Railsbacka Irva Throneberry’ego), Jack zabiera głos.

– Chodzi o to, panie Potter, że Railsback szedł do pańskiego pokoju za kimś. Nie, to niewłaściwy sposób ujęcia sprawy. Ktoś zaprowadził Railsbacka do pańskiego pokoju. – Potter nie odpowiada, jedynie siedzi i wpatruje się w swoje dłonie. Przytakuje jednak. Jest stary i chory, i będzie chory jeszcze bardziej, ale nie sposób nazwać go idiotą. – Człowiek, za którym szedł Railsback, to prawie na pewno ten sam, który zostawił w pańskiej szafie polaroidy zamordowanych dzieci.

– No, brzmi to sensownie. A jeśli miał zdjęcia zamordowanych dzieciaków, to pewnie on im to zgotował.

– Właśnie. Dlatego też musimy się zastanowić...

– Domyślam się, nad czym chce się pan zastanawiać. – Potter przerywa mu niecierpliwym machnięciem ręki. – Kto w tej okolicy miałby ochotę zobaczyć dyndającego Chicago Potsiego. Za szyję... albo za jaja.

– Właśnie.

– Nie chcę ci wtykać kija w szprychy, synu, ale nikt nie przychodzi mi do głowy.

– Nie? – Jack unosi brwi. – Nigdy pan nie robił tu interesów, nie wybudował domu ani pola golfowego?

– Oczywiście, że tak. – Potter unosi głowę i rzuca Jackowi uśmiech. – A jak pan myśli, skąd bym inaczej wiedział, jak tu ładnie? Zwłaszcza w lecie? Zna pan tę część miasta, którą nazywają Libertyville? Z tymi takimi archaicznymi uliczkami jak Camelot i Avalon? – Jack kiwa głową. – Połowę z nich ja pobudowałem. Jeszcze w latach siedemdziesiątych. Był wtedy taki gość... robił przekręty, znałem go z Chicago... a przynajmniej wydawało mi się, że znałem... Też był w branży? – Ostatnie pytanie Potter kieruje zapewne do Pottera. – Nie pamiętam. I tak to nieistotne. Jak mogłoby być istotne? Facet wtedy już miał swoje lata, na pewno już nie żyje. To było dawno temu.

Jednakże Jack, który prowadzi przesłuchanie z taką klasą, z jaką Jerry Lee Lewis gra na pianinie, uważa, że to ma znaczenie. W zwykłym osnutym mrokiem zakamarku umysłu, w którym ma swoją siedzibę intuicja, rozbłyskują światła. Jest ich jeszcze niewiele, ale więcej niż parę.

– Przekręty? – mówi Jack, jakby po raz pierwszy słyszał to słowo. – To znaczy?

Potter rzuca mu krótkie, zirytowane spojrzenie.

– Przekręty robi obywatel, który... no, niezupełnie jest obywatelem. Ktoś, kto ma znajomości wśród dobrze ustawionych ludzi lub do którego czasem dzwonią faceci ze znajomościami. Czasami wyświadczają sobie przysługi. Wspólne przekręty. To nie najbardziej eleganckie rzeczy na świecie.

Nie, myśli Jack, ale dzięki przekrętom można kupić takiego cadillaca z miękkim zawieszaniem.

– Robiłeś kiedyś przekręty, George?

Czas na nieco większą poufałość. Takiego pytania Jack nie mógłby skierować do pana Pottera.

– Może – odpowiada Potter po chwili niechętnego namysłu. – Może i tak. Jeszcze w Chicago. W Chi trzeba było moczyć razem dzioby i drapać się po plecach, jak człowiekowi zależało na wielkich kontraktach. Nie wiem, jak tam jest teraz, ale w tamtych czasach czysty przedsiębiorca budowlany był biednym przedsiębiorcą. Wie pan, o co mi chodzi? – Jack przytakuje. – Największy interes mojego życia to było osiedle mieszkaniowe na South Side w Chicago. Jak w tej piosence o bardzo złym Leroyu Brownie. – Potter chichocze jak zardzewiała rura. Przez chwilę nie rozmyśla o raku, fałszywych oskarżeniach ani o tym, że o mało co nie został zlinczowany. Żyje w przeszłości, może nieco szemranej, ale o wiele lepszej niż teraźniejszość: przytwierdzona łańcuchami do ściany prycza, stalowy klozet i rozrastający się w trzewiach nowotwór. – Człowieku, to było coś, ten kontrakt, wcale nie żartuję. Mnóstwo federalnego szmalu, ale to miejscowi oficjele decydowali, gdzie powędruje kasa. A ja i ten drugi gość od przekrętów szliśmy łeb w łeb w wyścigu... – Urywa i wpatruje się w Jacka rozszerzonymi oczami. – Kurde mol, ktoś pan jest, jakiś magik?

– Nie wiem, o co panu chodzi. Po prostu tu siedzę.

– Na pewno właśnie ten gość się tu pokazał. Ten od przekrętów!

– Nie nadażam, George.

Jack jednak myśli, że nadaża, i chociaż *zaczyna* odczuwać podniecenie, nie okazuje tego, tak samo jak wtedy, gdy barmanka opowiedziała mu o nawyku Kinderlinga ściskania sobie nosa.

– Pewnie to nic nie znaczy – mówi Potter. – Facet miał mnóstwo powodów nie lubić niżej podpisanego, ale na pewno już się przejechał na tamten świat. Na miłość boską, byłby po osiemdziesiątce.

– Niech pan mi o nim opowie – mówi Jack.

– Robił przekręty – powtarza Potter, jakby to wyjaśniało wszystko. – I chyba wiadował się w jakieś kłopoty w Chicago albo okolicach, bo kiedy się tutaj pokazał, to prawie na pewno posługiwał się innym nazwiskiem.

– Kiedy go wycykałeś z kontraktu na to osiedle, George?

Potter uśmiecha się, a wielkość jego zębów i to, jak zdają się wysuwać z dziąseł, podpowiada Jackowi, jak szybko śmierć zbliża się do tego człowieka. Czuje, że dostaje gęziej skórki, ale dość łatwo odpowiada uśmiechem. To również należy do jego techniki.

– Jak mamy mówić o przekrętach i wycyckiwaniu, to lepiej mów mi Potsie.

– W porządku, Potsie. Kiedy wycykałeś tego gościa w Chicago?

– Łatwo poszło – mówi Potter. – Tego lata ogłoszono przetarg, ale oficjele wciąż się pieklili, że rok wcześniej w mieście pojawili się hipisi i zepsuli reputację burmistrzowi i glinom. No więc był to sześćdziesiąty dziewiąty. Udało mi się wyświadczyć sporą przysługę szefowi wydziału budownictwa i drugą starej babce, która kręciła taką specjalną Komisją Równych Szans Mieszkaniowych, powołaną przez burmistrza Daleya. Kiedy napłynęły oferty na przetarg, moja cieszyła się specjalnymi względami. Nie mam żadnych wątpliwości, że oferta tego drugiego faceta – od przekrętów – była tańsza. Wiedział, jak się zakręcić, i na pewno miał swoje dojścia, ale tym razem wszystko było nagrane. – Uśmiecha się. Wywołujące przygnębienie zęby pokazują się i nikną z powrotem. – Oferta tego gościa? Gdzieś się zapodziała. Wpłynęła za późno. Fatalnie. Kontrakt dostał Chicago Potsie. Cztery lata później ten gość od przekrętów wypłynął tutaj – składał ofertę na budowę Libertyville. Tym razem też go pobiłem, ale cała sprawa była czysta. Nie użyłem żadnych dojść. Spotkałem go w barze hotelu Nelson tej nocy, kiedy przyznano kontrakt. Zupełnie przypadkowo. Gość powiedział: „To ty jesteś ten typ z Chicago”. A ja rzekłem: „W Chicago jest wielu ludzi”. Facet robił w przekrętach, ale można się go było przestraszyć. Dziwnie było od niego czuć. Inaczej nie potrafię tego określić. Tak czy owak, byłem wtedy wielki i silny, potrafiłem też być wredny, ale tym razem zachowałem się potulnie. Nawet po drinku czy dwóch byłem potulny. „No – powiedział facet – w Chicago jest wielu ludzi, ale tylko jeden mnie oszwaibił. Wciąż boli mnie po tym dupa, Potsie, a ja mam dobrą pamięć”. Każdym innym razem, gdyby chodziło o każdego innego gościa, tobym go zapytał, jak dobrą będzie miał pamięć, jeśli rąbnie łbem o podłogę, ale od niego to przelknąłem. Nie zamieniliśmy

więcej ani słowa. Poszedł sobie. Chyba go nigdy więcej nie widziałem, ale słyszałem o nim od czasu do czasu, kiedy zajmowałem się budową w Libertyville. Przeważnie od moich podnajemców. Wyglądało na to, że typ od przekrętów stawiał sobie dom we French Landing. Na emeryturę. Wtedy nie był jeszcze tak stary, żeby odejść z branży, ale trochę się już posunął. Był gdzieś po pięćdziesiątce... a to było w siedemdziesiątym drugim roku.

– Budował sobie dom tu w mieście – zastanawia się Jack.

– No. Dał mu nawet nazwę, jak tym angielskim rezydencjom. Birches, Lake House, Beardsley Manor, sam wiesz.

– Jak się nazywał?

– Cholera, nie potrafię sobie nawet przypomnieć nazwiska tego gościa, więc jak się spodziewasz, że będę pamiętał nazwę domu, który sobie postawił? Pamiętam jednak jedno: żadnemu z moich podnajemców ten dom się nie podobał. Miał reputację.

–Złą?

– Najgorszą z możliwych. Zdarzały się tam wypadki. Jeden człowiek odciął sobie równo dłoń na krajeździe i prawie się wykrwawił na śmierć, zanim dowieźli go do szpitala. Drugi spadł z rusztowania i skończył z paralizem... wszystkich czterech kończyn, rozumiesz? – Jack przytakuje. – Jedyne dom, o którym słyszałem, żeby nazywali go nawiedzonym, zanim stanął. Kołaczę mi się po głowie, że ten gość musiał go wykańczać praktycznie sam.

– Co jeszcze mówiono o tym domu?

Jack zadaje pytanie obojętnym tonem, jakby go to niezbyt obchodziło, w rzeczywistości jest jednak inaczej. Nigdy nie słyszał o tak zwanym nawiedzonym domu we French Landing. Wie, że nie mieszka tu dostatecznie długo, żeby poznać wszystkie miejscowe opowieści i legendy, ale coś takiego... można sądzić, że taka karta szybko pojawiłaby się przy rozdawaniu.

– Ach, człowieku, nie pamiętam. Tylko tyle że... – Urywa z nieobecny spojrzeniem. Tłum wreszcie zaczyna się rozjeżdżać spod budynku. Jack zastanawia się, jak Dale radzi sobie z Brownem i Blackiem. Czas zdaje się pędzić, a on nie usłyszał jeszcze od Pottera tego, co chce. Na razie dowiedział się dość, by zaczęło go to dręczyć. – Jeden gość powiedział mi, że słońce nigdy tam nie świeci, nawet kiedy świeci – mówi nagle Potter. – Powiedział, że dom jest kawałek od drogi, na polanie, i w lecie słońce powinno świecić na niego co najmniej pięć godzin dziennie, ale... jakoś tak nie było. Mówił, że ludzie nie rzucali tam cienia, zupełnie jak w bajce, i im się to nie podobało. I czasami słyszeli warczącego w lesie psa. Wielkiego, sądząc po odgłosie, i wrednego, ale go nigdy nie widzieli. Podejrzewam, że sam wiesz, jak to jest. Ktoś zaczyna rozpuszczać opowieści, a potem one rosną już same. – Potter nagle opuszcza ramiona. Schyla głowę. – Człowieku, nic więcej nie pamiętam.

– Jak się nazywał ten gość od przekrętów, kiedy mieszkał w Chicago?

– Nie przypominam sobie.

Jack nagle podsuwa otwartą rękę pod nos Pottera. Przez spuszczoną głowę starzec nie widzi jego palców, znajdują się tuż pod jego nosem, a wtedy szarpie głowę w tył i stęka. W nozdrza trafia mu spora porcja zamierającego na skórze Jacka zapachu.

– Co...? Jezu, co to? – Potter chwyta rękę Jacka i ponownie łapczywie węża. – Rany, to ładne. Co to takiego?

– Konwalie – mówi Jack, ale do głowy przychodzi mu coś innego. Myśli: Wspomnienie mojej matki. – Jak się nazywał ten gość od przekrętów, kiedy mieszkał w Chicago?

– Jakoś... jak Bursztyn. Niezupełnie tak, ale podobnie. Nic więcej nie wymyślę.

– Bursztyn – mówi Jack. – A jak się nazywał, kiedy po trzech latach znalazł się we French Landing?

Nagle na schodach rozlegają się donośne, spierające się głowy.

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyczy ktoś; Jack myśli, że Black, bardziej nadęty z pary detektywów. – To nasza sprawa, nasz więzień i zabieramy go. Natychmiast!

Dale: Nie sprzeczam się. Po prostu mówię, że papierkowa robota...

Brown: Ach, pieprzę papierkową robotę. Zabierzemy ją ze sobą.

– Jak się nazywał we French Landing, Potsie?

– Nie mogę... – Potsie ponownie ujmuje rękę Jacka. Jego dłonie są suche i zimne. Węża rękę Jacka z zamkniętymi oczyma. Mówi na długim wydechu: – Burnside. Chummy Burnside. Czarus Burnside. Chociaż nie był z niego żaden czarus. To przezwisko to był żart. Chyba naprawdę miał na imię Charlie.

Jack cofa rękę. Charles „Chummy” Burnside. Znany również w przeszłości jako Bursztyn. Lub coś w tym rodzaju.

– A dom? Jak się nazywał dom?

Brown i Black zbliżają się korytarzem, Dale tupie za nimi. Nie ma czasu, myśli Jack. Cholera jasna, gdybym miał jeszcze pięć minut...

– Czarny Dom – mówi wtedy Potsie. – Nie wiem, czy ten facet go tak nazwał, czy podnajemcy tak o nim mówili, ale właśnie taką nazwę słyszałem. Tak.

Oczy Jacka się rozszerzają. Przemyka mu przez głowę obraz przytulnego saloniku Henry’ego Leydena i siebie samego, kiedy siedzi z drinkiem i czyta o sprawie Jarndyce przeciwko Jarndyce.

– Powiedziałaś: Samotnia?

– Czarny Dom* – powtarza niecierpliwie Potsie. – Bo właśnie taki był. Był...

– Och, na rany Chrystusa – mówi jeden z detektywów ze stanowki zarozumiałym tonem „popatrzcie, co kot przywłókł z podwórka”, który sprawia, że Jack ma ochotę przefasonować mu twarz.

To Brown, lecz gdy Jack podnosi głowę, jego spojrzenie pada na Blacka. Zbieżność nazwisk sprawia, że się uśmiecha.

– Cześć, chłopcy – mówi Jack i wstaje z pryczy.

– Co tu robisz, Hollywood? – pyta Black.

– Po prostu ucinaliśmy sobie pogawędkę i czekaliśmy na was – mówi Jack i uśmiecha się promiennie. – Myślę, że chcecie zabrać tego człowieka.

– Cholerna racja – warczy Brown. – I jeśli spieprzyłeś nam sprawę...

– Jeju, chyba nie – mówi Jack. Kosztuje go to sporo wysiłku, ale daje radę zdobyć się na przyjazny ton. Zwraca się do Potsiego: – Będzie pan bezpieczniejszy z nimi niż we French Landing.

W oryginale „Samotnia” to „Bleak House”, a „Czarny Dom” – „Black House” (przyp. dum.).

George Potter wygląda znowu na nieobecnego duchem i zrezygnowanego.

– Tak czy inaczej to nie ma wielkiego znaczenia – mówi, po czym przychodzi mu do głowy myśl. – Jeśli stary Chummy jeszcze żyje i natknie się pan na niego, to niech go pan zapyta, czy wciąż go boli dupa po tym, jak go wycykałem w sześćdziesiątym dziewiątym. I niech pan mu przekaże pozdrowienia od Chicago Potsiego.

– O czym wy mówicie, do diabła? – pyta z ponurą miną Black; wyjął już kajdanki i najwyraźniej pali się do tego, żeby nałożyć je na nadgarstki George’a Pottera.

– O starych czasach – odpowiada Jack. Wsuwa pachnące dłonie w kieszenie i wychodzi z celi. Uśmiecha się do Browna i Blacka. – Nic, co by was obchodziło, chłopcy.

Detektyw Brown odwraca się do Dale’a.

– Nie prowadzi pan już tej sprawy – mówi. – Prościej już nie potrafię tego ująć, więc niech mi pan powie raz na zawsze, komendancie: rozumie mnie pan?

– Oczywiście – mówi Dale. – Proszę bardzo, bierzcie sobie tę sprawę, ale zsiądźcie wreszcie z tego białego rumaka, dobra? Jeżeli spodziewaliście się, że po prostu będę stał z boku i pozwolę tłumowi pijaczków z Łachy wywlec tego człowieka z „Tawerny Lucky’ego” i go zlinczować...

– Niech pan nie udaje głupszego, niż jest – odpala Brown. – Dowiedzieli się o nim z waszych rozmów.

– Wątpię – mówi cicho Dale, myśląc o telefonie komórkowym handlarza narkotyków, wypożyczonym z magazynu dowodów rzeczowych.

Black chwyta Pottera za chude ramię, brutalnie je wykręca i popycha starca tak silnie w stronę wyjścia i końca korytarza, że ten prawie się przewraca. Potter odzyskuje równowagę; jego wynędzniała twarz jest pełna bólu i godności.

– Panowie detektywi – mówi Jack ani głośno, ani gniewnie, lecz obydwaj się odwracają. – Potraktujcie jeszcze raz ze zbędną brutalnością tego człowieka na moich oczach, a w minucie, kiedy wyjdziecie, zacznę wydzwaniać do szych z Madison, i wierzcie mi, panowie detektywi, że mnie wysłuchają. Wasza nachalna, arogancka postawa nie sprzyja rozwiązaniu tej sprawy. Wasze umiejętności współpracy z innymi agendami są zerowe. Wasze

postępowanie jest nieprofesjonalne i fatalnie świadczy o władzach stanu Wisconsin. Albo zachowujecie się poprawnie, albo gwarantuję, że do następnego piątku będziecie się rozglądać za pracą w jakiejś agencji ochroniarskiej.

Chociaż przez cały czas mówi, nie podnosząc głosu, Black i Brown wydają się kurczyć. Gdy kończy, przypominają parę skarconych dzieci. Dale patrzy na Jacka z podziwem. Jedynie na Potterze wydaje się nie robić to żadnego wrażenia; spogląda na kajdanki na swoich rękach takim wzrokiem, jakby był tysiące mil stąd.

– Jedźcie już – mówi Jack. – Zabierajcie więźnia, dokumentację i spadajcie.

Black otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuje. Wychodzą. Kiedy zamykają się za nimi drzwi, Dale ogląda się na Jacka.

– Jeju – mówi bardzo cicho.

– Słucham?

– Jeśli nie wiesz, o co mi chodzi, to ci nie powiem – odpowiada Dale.

Jack wzrusza ramionami.

– Potter ich zajmie, dzięki czemu będziemy mieli wolne ręce i odwalimy trochę roboty. Jeśli ta sytuacja ma jakąś pozytywną stronę, to właśnie taką.

– Co z niego wyciągnąłeś? Cokolwiek?

– Nazwisko. Może nic nie znaczy. Charles Burnside. O przydomku Chummy. Słyszałeś kiedyś o nim?

Dale wydyma dolną wargę i pociąga za nią z namysłem. W końcu kręci głową.

– Samo nazwisko brzmi jakby znajomo, ale może tylko dlatego, że jest takie pospolite. Przydomek nic mi nie mówi.

– Był przedsiębiorcą budowlanym, kombinatorem w Chicago, mniej więcej trzydzieści lat temu. Przynajmniej według Potsiego.

– Potsie – mówi Dale. W rogu tabliczki: JEDEN TELEFON TO ZNACZY JEDEN TELEFON odkleja się taśma; Gilbertson przyglądają z miną człowieka niezdającego sobie nawet z tego sprawy. – Pokazałeś, jaki z ciebie czaruś, prawda?

– Nie – odpowiada Jack. – To na Burnside’a mówili Czarus. Chummy. A detektyw Black nie ma pojęcia o Czarnym Domu.

– Coś ci się kićka. Jaki znowu czarny dom?

– Po pierwsze, to nazwa własna. Czarny, duże „C”, Dom, duże „D”. Czarny Dom. Słyszałeś o jakimś domu w okolicy, który by tak nazywano?

– Boże, nie – odpowiada ze śmiechem Dale.

Jack odpowiada uśmiechem, ale nagle robi się z tego uśmiech, jakiego używa podczas przesłuchań, nie zaś towarzyszący dyskusowaniu o różnych sprawach z przyjacielem. Dlatego że w tej chwili jest glincjantem. Poza tym dostrzegł w oczach Dale’a Gilbertsona ciekawy, przelotny błysk.

– Jesteś pewny? Zastanów się trochę.

– Powiedziałem ci, że nie. Ludzie w tych stronach nie nadają domom nazw. Och, wiem, że stare panny Graham i Pentie nazywają swój dom po drugiej stronie miejskiej biblioteki Kapryfolium, bo porasta ono płot od frontu, ale to jedyny przypadek, o jakim słyszałem w okolicy.

Jack znów widzi ten błysk. Policja stanu Wisconsin postawi Potterowi zarzut morderstwa, ale podczas rozmowy Jack nie widział w jego oczach tego głęboko skrytego błysku. Ponieważ Potter był wobec niego szczery.

Dale nie jest szczery.

Muszę z nim jednak postępować ostrożnie, mówi sobie Jack. Bo sam nie wie, że nie jest szczery. Jak to możliwe?

Jakby w odpowiedzi słyszy w duchu głos Chicago Potsiego: *Jeden gość powiedział mi, że stonce nigdy tam nie świeci, nawet kiedy świeci... mówił, że ludzie nie rzucali tam cienia, zupełnie jak w bajce, i im się to nie podobało.*

Wspomnienia to cienie – wie to dobrze każdy policjant, próbujący zrekonstruować zbrodnię lub wypadek na podstawie sprzecznych relacji świadków. Czy tak samo jest z Czarnym Domem Potsiego? Czy jest to coś, co nie rzuca cienia? Reakcja Dale’a (który odwrócił się teraz w stronę odklejającego się plakatu i gniecie go tak energicznie, jakby to była ofiara ataku serca na ulicy, a on przed przyjazdem karetki prowadził reanimację zgodnie z podręcznikiem), podpowiada Jackowi, że może chodzić właśnie o coś takiego. Trzy dni temu nie pozwolilby sobie nawet na zastanawianie się nad takim pomysłem, ale trzy dni temu nie wrócił jeszcze w Terytoria.

– Według Potsiego dom zyskał opinię nawiedzonego, zanim został do końca wybudowany – mówi Jack z lekkim naciskiem w głosie.

– Nie. – Dale zabiera się do drugiej wywieszki, obwieszczającej o mityngach AA i AŃ. Przygląda się pilnie taśmie, nie odwracając głowy w stronę Jacka. – Nic mi nie świta.

– Na pewno? Jeden człowiek prawie wykrwawił się na śmierć. Kolejny spadł z rusztowania i został sparaliżowany. Ludzie skarżyli się – posłuchaj, Dale, to dobre – według Potsiego ludzie skarżyli się, że tracili tam cienie. Nie widzieli ich nawet w południe, kiedy słońce świeciło najmocniej. Niezłe, prawda?

– Pewnie, ale nie przypominam sobie żadnych takich opowieści.

Gdy Jack podchodzi w stronę Dale’a, ten się odsuwa. Prawie odskakuje, a komendant Gilbertson nie należy do odskakujących ludzi. Trochę to zabawne, trochę smutne i trochę straszne. Nie wie, że to robi, Jack jest tego pewien. Dom rzucił na Dale’a cień, Jack to widzi, a nawet Gilbertson na jakimś poziomie to wyczuwa. Gdyby Jack zbyt go przycisnął, Dale również musiałby go zobaczyć... lecz nie chce tego. Jest to bowiem zły cień. O wiele gorszy niż potwór, który morduje dzieci i zjada wybrane części ich ciał? Część duszy Dale’a jest najwyraźniej właśnie takiego zdania.

Mógłbym go zmusić do zobaczenia tego cienia, myśli zimno Jack. Mógłbym mu podstawić ręce pod nos – moje pachnące konwalią ręce – i zmusić go, żeby go zobaczył. Częścią duszy nawet chce go zobaczyć. Tą częścią, która nazywa się glinicjant.

Inna strona Jacka odzywa się w tej chwili zapamiętanym z dzieciństwa, zaciągającym tonem Speedy'ego Parkera: *I mógłbyś tak nim sponiewierać, że dostałby załamania nerwowego, Jack. Bóg jeden wie, że niewiele mu brakuje po tym wszystkim, co się działo od czasu, kiedy wsiąkł chłopak Irkenhamów. Chcesz ryzykować? I po co? Nie zna tej nazwy, mówił prawdę.*

– Dale?

Gilbertson rzuca Jackowi przelotne, nerwowe spojrzenie i odwraca wzrok. Ukradkowość w tym spojrzeniu łamie Jackowi serce.

–Co?

– Chodźmy na kubek kawy.

Dzięki zmianie tematu na twarzy Dale'a pojawia się ulga. Klepie Jacka po ramieniu.

– Dobry pomysł.

Dobry pomysł, niech to Bóg przy gwoździ, .właśnie tu i teraz, myśli Jack, po czym się uśmiecha. Kota można obdrzeć ze skóry na wiele sposobów i na wiele sposobów można odnaleźć Czarny Dom. Dobiaża końca długi dzień. Może najlepiej na razie dać spokój. Przynajmniej do rana.

– Co z Railsbackiem? – pyta Dale, gdy schodzą z tupotem na parter. – Chcesz z nim jeszcze rozmawiać?

– Pewnie – odpowiada Jack dość pogodnie.

Nie wiąże wszakże wielkich nadziei z Andym Railsbackiem, który widział właśnie to, co Rybak chciał, żeby zobaczył. Z jednym wyjątkiem... może. Pojedynczym bamboszem. Jack nie wie, czy coś z tego wyniknie, ale niewykluczone. Na przykład w sądzie... jako szczegół, umożliwiający identyfikację...

Sprawa nigdy nie trafi do sądu, wiesz o tym. Może się skończyć nawet nie w tym ś...

Jego myśli przerywa fala aplauzu, gdy wchodzi do wspólnej sali odpraw i dyspozytorni. Funkcjonariusze policji French Landing wiwatują na stojąco na jego cześć. Towarzyszy im Henry Leyden. Przyłącza się do nich Dale.

– Jezu, przestańcie, ludzie – mówi Jack, równocześnie śmiejąc się i rumieniąc.

Nie będzie się jednak okłamywał, że nie czuje przyjemności z powodu tych wiwatów. Odczuwa ich ciepło; kąpie się w blasku szacunku. Nie są to istotne rzeczy. Odnosi jednak wrażenie, jakby wracał do domu, a to jest ważne.

Kiedy mniej więcej godzinę później Jack i Henry wychodzą z posterunku, Beezer, Myszą i Kajzer Bili jeszcze tu są. Dwaj pozostali wrócili na Nailhouse Row, by przekazać licznym kumoszkom, co się dzisiaj wydarzyło.

– Sawyer – mówi Beezer.

– Tak?

– Wszystko, co w naszej mocy, człowieku. Kapujesz? Wszystko.

Jack spogląda z namysłem na harleyowca, zastanawiając się, co nim kieruje... oczywiście poza rozpaczą. Żałoba ojca. Beezer nie odrywa od niego wzroku. Henry Leyden stoi nieco z boku i z podniesioną głową wacha mgłą nadciągającą od rzeki, mruczając głębokim gardłowym głosem.

– Jutro około jedenastej zajrzę do matki Irmy – mówi Jack. – Jak myślisz, mógłbyś wpaść z przyjaciółmi do Łachy około południa, żeby się ze mną zobaczyć? Z tego, co wiem, Tansy mieszka niedaleko. Postawię wam lemoniadę, chłopaki.

Beezer się nie uśmiecha, lecz w jego oczach błyska ciepło.

– Będziemy tam.

– Dobrze – odpowiada Jack.

– Możesz powiedzieć mi po co?

– Trzeba znaleźć pewne miejsce.

– Czy to ma coś wspólnego z człowiekiem, który zamordował Amy i resztę dzieciaków?

– Może.

Beezer kiwa głową.

– „Może” mi wystarczy.

Jack jedzie z powrotem przez dolinę Norway powoli, nie tylko z powodu mgły. Chociaż wciąż jest wczesny wieczór, zmęczenie go przenika i domyśla się, że Henry’ego też. Nie dlatego, że Henry milczy; Jack przywykł do zdarzających się od czasu do czasu okresów małomówności przyjaciela. Nie, chodzi o ciszę w samochodzie. W zwykłych okolicznościach Henry nie może usiedzieć bez przeskakiwania obsesyjnie z jednej stacji radiowej na drugą, od rozgłośni z La Riviere przez lokalną KDCU po dalsze radiostacje – łowi Milwaukee, Chicago, a nawet w sprzyjających warunkach Omaha, Denver i St. Louis. Tu przystawka bebopu, tam sałatka spiritual, może porcja Perry Como u samego dołu zakresu częstotliwości: coścymizrobiła, ojratarira, ojratarira bum. Jednak nie dzisiaj. Dziś wieczór Henry siedzi po prostu w milczeniu po swojej stronie samochodu, ze złożonymi na kolanach rękami.

– Dzisiaj nie będzie Dickensa, Jack – mówi wreszcie, gdy są niecałe dwie mile od jego domu. – Idę prosto do łóżka.

Wyczerpanie w jego głosie zaskakuje Jacka i budzi w nim niepokój. Henry nie przypomina ani siebie, ani żadnego ze swoich radiowych wcieleń; w tym momencie wydaje się stary i zmęczony, na drodze do doszczętnego wycieńczenia.

– Ja też – zgadza się Jack.

Stara się nie ujawnić troski w głosie. Henry wychwytuje jednak wszelkie niuanse intonacji. Ma do tego niesamowity talent.

– Mogę zapytać, co planujesz dla Pierońskiej Piątki?

– Jeszcze nie do końca wiem – odpowiada Jack.

Udaje się mu wcisnąć kit Henry’emu, być może dlatego, że Leyden jest zmęczony. Zamierza nakłonić Beezera i jego kumpli do szukania miejsca, o którym powiedział mu Potsie, tego, gdzie zwykły znikają cienie. Przynajmniej w latach siedemdziesiątych. Zamierza również zapytać Henry’ego, czy słyszał o jakiegokolwiek siedzibie we French Landing, nazywanej Czarnym Domem. Jednak nie teraz. Nie po usłyszeniu, jak bardzo Henry jest wypruty. Może jutro. W istocie niemal na pewno, ponieważ Henry jest zbyt dobrym źródłem, żeby z niego zrezygnować. Najpierw jednak musi się trochę zregenerować.

– Masz taśmę, prawda?

Henry wysuwa z kieszeni kasetę, na której nagrano roz – mowę z Rybakiem, i chowają z powrotem.

– Tak, mam. Ale nie sądzę, bym dał radę słuchać dzisiaj wieczorem mordercy małych dzieci, Jack. Nawet jeśli będziesz mi w tym towarzyszył.

– Nic się nie stanie, jak zrobisz to jutro – mówi Jack, mając nadzieję, że nie skazuje tymi słowami na śmierć kolejnego dziecka z French Landing.

– Nie jesteś tego zupełnie pewny.

– Nie – przyznaje Jack. – Jeśli będziesz jednak słuchał tej taśmy ze stępionym słuchem, może to przynieść więcej szkody niż pożytku. Tego jestem pewny.

– Obiecuję, że zrobię to z samego rana.

Dom Henry’ego jest już przed nimi. Wygląda samotnie z palącą się tylko jedną lampą nad garażem, ale oczywiście Henry nie potrzebuje światła, żeby znaleźć drogę. – Henry, poradzisz sobie?

– Tak – odpowiada Henry, ale Jack ma wrażenie, że nie jest tego zupełnie pewny.

– Żadnego Szczura dzisiaj wieczorem – mówi mu stanowczo.

–Nie.

– Tak samo Shake’a, Shooka, Szejka Arabskiego.

Usta Henry’ego unoszą się w słabym uśmiechu.

– Nawet reklamy George’a Rathbuna dla dealera Chevroleta we French Landing, gdzie ceny są królewskie i nie płaci się nawet grosza odsetków przez pierwszych sześć miesięcy przy gwarantowanym kredycie. Prosto do łóżka.

– Ja też – mówi Jack.

Godzinę po położeniu się i zgaszeniu lampki na nocnym stoliku Jack nie może jeszcze zasnąć. W jego głowie kręcą się twarze i głosy, jak obłąkańcze wskazówki zegara. Lub karuzela w pustym wesołym miasteczku.

Tansy Freneau: *Wyprowadźcie potwora, który zabił moje śliczne dziecko.*

Beezer St. Pierre: *Musimy popatrzeć, co z tego wyjdzie, nie?*

George Potter: *To gównu włazi w człowieka i czeka. Mam taką teorię, że nigdy nie przechodzi, tak naprawdę to nie.*

Speedy, głos z odległej przeszłości, mówiący przez telefon, jaki należał do science fiction, gdy Jack go poznał: *Się masz, Jacku Wędrowniczku... Synu, jak jeden glinicjant drugiemu mówię ci, że powinieneś odwiedzić osobistą toaletę komendanta Gilbertsona. Natychmiast.*

Jak jeden glinicjant drugiemu – *zgadza się.*

I przede wszystkim, przez cały czas, Judy Marshall: *Nie mówi się: pogubiłem się i nie wiem, jak się odnaleźć – zmierza się dalej w tym samym kierunku...*

Tak, ale w jakim? Dokąd?

Jack w końcu wstaje i wychodzi na ganek z poduszką pod pachą. Noc jest ciepła; w dolinie Norway, gdzie mgła i tak była rzadka, jej resztki już znikły, rozwiane przez lekki wschodni wiatr. Jack waha się, potem schodzi z ganku, nagi, jeśli nie liczyć spodenek. Ganek mu nie pomoże. Przecież właśnie na nim znalazł piekielne pudło ze znaczkami z pakiecików cukru.

Mija samochód oraz ptaszarnię. Wychodzi na północne pole. Nad nim świeci miliard gwiazd. Świerszcze cicho brzęczą w trawie. Ścieżka, jaką zostawił podczas biegu przez trawę i tymotkę, znikła – a może prowadzi na pole w innym miejscu.

Kawałek za skrajem łąki kładzie się na plecach, wsuwa poduszkę pod głowę i spogląda na gwiazdy. Tylko na trochę, myśli. Tylko do czasu, aż te upiorne głosy znikną z mojej głowy. Tylko na trochę.

Myśląc tak, *zaczyna przysypiać.*

Myśląc tak, przenosi się na drugą stronę.

Zmieniają się konstelacje nad jego głową. Widzi, jak zastępują je inne gwiazdozbiory. Jak nazywa się ta, na której miejscu jeszcze przed chwilą była Wielka Niedźwiedzica? Święty Opopanaks? Może i tak. Słyszy niskie, przyjemne skrzypienie i wie, że to wiatrak, który ujrzał, gdy przeskoczył w ten świat zaledwie dzisiejszego ranka, tysiąc lat temu. Nie musi się nań oglądać, by się upewnić, tak samo jak nie musi patrzeć w stronę swojego domu, by wiedzieć, że znowu zastąpiła go szopa.

Skrzyp... skrzyp... skrzyp: wielkie drewniane skrzydła obracają się pod wpływem tego samego wschodniego wiatru. Wiatr jest jednak teraz bezgranicznie miłszy, nieskończenie czystszy. Jack dotyka paska spodenek i czuje jakiś grubo tkany materiał. W tym świecie nie ma bokserek. Zmieniła się też jego poduszka. Nadal jest wygodna, chociaż piankę zastąpił gęsi puch. W istocie jest o wiele wygodniejsza. Słodycz pod głową.

– Złapię go, Speedy – szepcze Jack do układów nowych gwiazd. – Przynajmniej spróbuję.

Zasypia.

Kiedy się budzi, jest wczesny ranek. Wiatr przycichł. Tam, skąd przyszedł Jack, widać na horyzoncie jaskrawopomarańczową linię – zbliża się wschód słońca. Jack zeszywniał, boli go siedzenie i jest wilgotny od rosy, ale mimo to wypoczął. Ustało równe, rytmiczne skrzypienie, ale to go nie zaskakuje. Od momentu otwarcia oczu wie, że znowu jest w Wisconsin. I wie coś jeszcze: może wrócić. Kiedykolwiek zechce. Prawdziwy region Coulee, podszewka regionu Coulee jest tużtuż. Wystarczy chcieć. Napęlnia to Jacka radością, ale i trwogą.

Wstaje i wraca z poduszką pod pachą do domu. Domyśla się, że jest około piątej rano. Jeszcze ze trzy godziny snu i będzie gotów do działania. Na schodach pod gankiem dotyka bawełny swoich – szortów. Chociaż ma wilgotną skórę, spodenki mu prawie wyschły. Oczywiście, że tak. Większość czasu, który przespał pod gołym niebem (podobnie jak wiele nocy tej jesieni, kiedy miał dwanaście lat), wcale ich nie miał na sobie. Były gdzie indziej.

– W Krainie Opopanaksa – mówi Jack i wchodzi do środka.

Trzy minuty potem śpi znowu we własnym łóżku. Gdy budzi się o ósmej, przy świecącym przez okno znajomym słońcu, niemal potrafi uwierzyć, że jego ostatnia podróż była snem.

W głębi duszy wie jednak, że było inaczej.

Rozdział osiemnasty

Przypominacie sobie te furgonetki telewizyjne, które zajechały na parking za posterunkiem policji? I wkład Wendella Greena w podniecenie, zanim wielka latarka posterunkowego Hrabowskiego odesłała go do krainy nieświadomości? Możemy być pewni, że gdy tylko do ekip reporterskich dotarła pozorna nieuchronność zamieszek, stanęły na wysokości zadania, ponieważ następnego dnia materiały z tej szaleńczej nocy zdominowały programy telewizyjne w całym stanie. Przed dziewiątą rano ludzie z Racine i Milwaukee, z Madison i Delafield oraz ci mieszkający tak daleko na północy stanu, że potrzebują anten satelitarnych, by odbierać jakikolwiek program, podnoszą wzrok znad naleśników, smażonych jajek i posmarowanych masłem angielskich bułeczek, by przyglądać się, jak niski, wyglądający na nerwowego policjant tłumi w zarodku ciosem tępym narzędziem karierę demagoga, która się otwierała przed wielkim, rumianym dziennikarzem. Możemy być również pewni jeszcze jednego: nigdzie materiał ten nie jest oglądany równie powszechnie i z takim zaabsorbowaniem, jak we French Landing oraz okolicznych miasteczkach Centralia i Arden.

Myśląc o kilku rzeczach naraz, Jack Sawyer ogląda cały materiał na małym przenośnym odbiorniku, który stoi na kuchennym blacie. Ma nadzieję, że Dale Gilbertson nie odwoła zawieszenia Arnolda Hrabowskiego, chociaż żywi silne podejrzenie, że Wściekły Węgier wkrótce będzie znowu chodził w mundurze. Dale'owi tylko wydaje się, że chce na dobre pozbyć się Arniego; ma zbyt miękkie serce, żeby się oprzeć jego błaganiom – a po poprzednim wieczorze nawet ślepiec widzi, że Arnie będzie błagał – i to nieugięcie. Jack ma również nadzieję, że obrzydliwy Wendell Green zostanie wyrzucony albo sam odejdzie w niełasce. Dziennikarze nie powinni ingerować w opisywane wydarzenia, a na ekranie widać, jak stary dobry krzykacz Wendell domaga się krwi hałaśliwie jak wilkołak. Jack ma jednak przynębiające przeczucie, że Wendell Green wytłumaczy się ze wszystkiego (wyłga się) i nadal będzie się bez umiaru naprzykrzał. Jack rozmyśla także o opisanym przez Railsbacka niesamowitym starcu, szarpiącym za klamki na drugim piętrze hotelu Nelson.

Był to bez wątpienia Rybak – nareszcie zyskał postać. Stary mężczyzna w niebieskim szlafroku i przypominającym trzmiela bamboszu w żółte i czarne pasy. Andy Railsback spekulował, iż ów nieprzyjemnie wyglądający typ mógł zabłąkać się do hotelu z Domu Spokojnej Starości Maxtona. Ciekawy pomysł, uznaje Jack. Jeśli to właśnie Chummy Burnside podrzucił zdjęcia do pokoju George’a Pottera, Dom Maxtona byłby dla niego idealną kryjówką.

Wendell Green ogląda wiadomości na odbiorniku Sony w swoim hotelowym pokoju. Nie może oderwać oczu od ekranu, aczkolwiek to, co widzi, napęnia go mieszaniną uczuć – gniewu, wstydu i upokorzenia – od której gotuje się mu w żołądku. Guz na głowie pulsuje mu bólem; za każdym razem, gdy widzi nędzną imitację policjanta, który podkrada się do niego od tyłu z podniesioną latarką, wpycha palce w gęste, kędzierzawe włosy nad karkiem i delikatnie obmacuje siniak. Cholerny guz chyba ma wielkość dojrzałego pomidora i niemal pęka. Wendell ma szczęście, że nie dostał wstrząśnienia mózgu. Ten knypek mógł go przecież zabić!

No dobra, może trochę go poniosło, może odrobinę przekroczył granicę profesjonalizmu. Nigdy nie twierdził, że jest ideałem. Wkurzają go miejscowi komentatorzy, rozwodzący się bezprytomnie nad Jackiem Sawyerem. Kto jest najważniejszym dziennikarzem, zajmującym się sprawą Rybaka? Kto grzebał w niej od pierwszego dnia, informując obywateli o tym, co powinni wiedzieć? Kto dzień po przerąbanym dniu stawał na linii frontu? Kto nazwał tego gościa? Nie te puste łby z trwałą ondulacją Bucky i Stacey, nie nedorobieni reporterzy i miejscowi komentatorzy, pokazujący plomby na zębach przy szczerzeniu się do kamery, to pewne. Wendell Green jest w tych stronach legendą, gwiazdą, największym kandydatem do miana giganta dziennikarstwa, jakiego kiedykolwiek wydało zachodnie Wisconsin. Nawet w Madison postać Wendella Greena jest symbolem... no, niekwestionowanej klasy. A skoro postać Wendella Greena teraz stanowi niedościgniony wzór, to tylko czekajcie, kto zajędzie na pochłapanych krwią barkach Rybaka po samą Nagrodę Pulitzera.

W porządku, w poniedziałek rano będzie musiał pojechać do biura i poradzić sobie z naczelnym. Wielkie mi co. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. Dobrzy dziennikarze robią zamieszanie; nikt tego nie przyznaje, ale tak jest, to jest właśnie drobny druk, którego nikt nie czyta, aż stanie się za późno. Wie, co powie, kiedy wejdzie do gabinetu naczelnego: „Największa historia tych dni, ale czy wysłał pan tam kogoś innego?”. A kiedy przełożony znowu będzie jadł mu z ręki, co zajmie góra dziesięć minut, Wendell zamierza wpaść do sprzedawcy u Goltza, Freda Marshalla. Jedno z najbardziej wartościowych źródeł Wendella napomknęło, że pan Marshall ma jakieś ciekawe informacje, dotyczące wyjątkowego, ukochanego dziecka Greena – sprawy Rybaka.

Arnold Hrabowski, obecnie bohater dla swojej drogiej żonki, ogląda wiadomości wypełniony błogością po przed chwilą odbytym stosunku i myśli, że żona ma rację: naprawdę powinien zadzwonić do komendanta Gilbertsona i poprosić go o cofnięcie zawieszenia.

Zastanawiając się połową umysłu, gdzie szukać dawnego adwersarza George'a Pottera, Dale ogląda, jak Bucky i Stacey po raz kolejny znikają z wizji, ustępując miejsca scenie zajęcia się Wściekłego Węgra Wendellem Greenem, i myśli, że naprawdę powinien przywrócić tego kurdupla do pełnienia obowiązków. Popatrzcie sami, może Arnie nie pięknie się zamachnął? Dale nic na to nie może poradzić – ten zamach naprawdę opromienia jego dzień. Ma wrażenie, jakby oglądał Marka McGwire czy Tigera Woodsa.

Samotna w swoim pogrążonym w mroku domku przy drodze Wanda Kinderling, o której wspominaliśmy od czasu do czasu, słucha radia. Dlaczego słucha radia? Kilka miesięcy temu musiała wybrać między zapłaceniem rachunku za kablówkę i kupnem kolejnego pół galonu wódki Aristocrat; sorry, Bucky i Stacey, ale Wanda poszła za głosem serca i wybrała błogość. Bez dostępu do kablówki na ekranie Wanda może zobaczyć praktycznie wyłącznie śnieg i grubą czarną linię, która przesuwana się w nieskończoność z dołu do góry. I tak nigdy nie znosiła Bucky i Stacey, tak samo jak prawie wszystkich innych ludzi pokazujących się w telewizji, zwłaszcza jeśli wyglądali na zadbanych i zadowolonych. (Szczegółne obrzydzenie Wanda czuje do gospodarzy porannych programów i komentatorów sieci telewizyjnych). Wanda nie była zadowolona ani zadbana od czasu, gdy ten nadęty pozer Jack Sawyer oskarżył jej męża Thorny'ego o straszne zbrodnie, których ten za nic nie mógłby popełnić. Jack Sawyer zrujnował jej życie, a Wanda nie zwykła zapominać ani przebaczać.

Ów człowiek zastawił pułapkę na jej męża. Wrobił go. Zniesławił dobre imię Thorny'ego i wpakował go do więzienia tylko po to, żeby dobrze wypaść. Wanda ma nadzieję, że nigdy nie złapią Rybaka, bo Rybak jest właśnie tym, na co zasługują te podłe bydlaki. Jak uciekasz się do brudnych zagrywek, to sam jesteś brudny – tak właśnie myśli Wanda Kinderling. Tacy ludzie trafiają prosto do najgłębszych czeluści piekielnych. Rybak to odwet – tak właśnie sądzi Wanda. Niech zabije sto szczeniaków, niech zabije tysiąc, a potem może zabrać się do ich rodziców. Thorny nie mógł zabić tamtych ladacznic w Los Angeles. To były morderstwa seksualne, a Thorny'ego, dzięki Bogu, seks nie interesował. Jego reszta dorosła, ale interes nie – miał ptaszka rozmiarów mniej więcej małego palca. Niemożliwe, żeby obchodziły go zdeprawowane kobiety i sprawy seksu. Jack Sawyer mieszkał jednak w Los Angeles, prawda? No więc dlaczego to on nie mógłby zabić tych dziwek, tych kurew, i zwalić wszystkiego na Thorny'ego?

Spiker relacjonuje działania byłego porucznika Sawyera poprzedniego wieczora, a Wandzie Kinderling podchodzi żółć do gardła. Chwyta szklankę z nocnego stolika i gasi ogień w trzewiach wódką.

Gorg, wydający się idealnym gościem osób w rodzaju Wandy, nie interesuje się dziennikiem, bo jest daleko – w Oddali.

W swoim łóżku w Domu Maxtona Charles Burnside cieszy się snami niezupełnie do niego należącymi, stanowiąc bowiem emanację innej istoty, pochodzącej skądinąd, i przedstawiają świat, jakiego Burny nigdy nie widział. Obszarpane, zniewolone dzieci brną na

grwawiondzych zdópkach obok skaczących w górę płomieni, obracają wielkie koła, obracające jeszcze większe koła oho aha ta moc bijęgne maszyny zniszczenia, wznoszące się pod czarnoczerwonym niebem. Wielka Kombinacja! Perfumą powietrza w tych stronach jest kwaśny smród stopionego metalu i czegoś naprawdę ohydneho, na przykład smoczego moczu; towarzyszy temu ołowiany zaduch rozpaczy. Przypominające jaszczurki demony z grubymi, kołyszającymi się ogonami poganiają dzieci biczami. Uszy dręczy łoskot, klekotanie, grzechot i koszmarnie tąpnięcia. Są to sny najdroższego przyjaciela i kochającego władcy Burny'ego, Pana Munshuna, dostarczyciela nieskończenie perwersyjnego zachwytu.

Za wyjściem ze skrzydła Stokrotka, po drugiej stronie eleganckiego holu i klitki Rebecki Vilas, Chipper Maxton martwi się sprawami znacznie bardziej przyziemnymi. Mały telewizor na półce nad sejfem pokazuje cudowny obraz Wściekłego Węgra Hrabowskiego, tłukącego Wendella Greena po głowie latarką, ale Chipper praktycznie nie zwraca uwagi na ten wspaniały moment. Musi wytrzasnąć skądś trzysta tysięcy dolarów, które jest winien swojemu bukmacherowi, a ma jedynie połowę tej sumy. Wczoraj urocza Rebecca pojechała do Miller, by wycofać prawie wszystko, co tam zadołował; może też pobrać około dwóch tysięcy dolarów z własnego konta, pod warunkiem że zwróci je do końca miesiąca. Zostaje około sześciu kafli – ilość wymagająca sporej dawki twórczej rachunkowości. Na szczęście twórcza rachunkowość to specjalność Chippera; gdy zaczyna myśleć o różnych możliwościach, zaczyna traktować obecne trudności jako sprzyjającą okazję.

Ostatecznie zajął się tą robotą przede wszystkim po to, żeby nachapać się, ile się da, prawda? Tylko dmuchanie panny Vilas i kradzież czynią go naprawdę szczęśliwym. Ilość jest prawie nieistotna; jak widzieliśmy, Chipper czerpie tyle samo przyjemności z wyciśnięcia drobniaków z krewnych podczas Truskawkowego Festynu, co z oszwabienia rządu na dziesięćpiętnaście tysięcy dolarów. Dreszcz go przenika, jeśli uchodzi mu to na sucho. Potrzebuje sześciu tysięcy – dlaczego więc nie skubnąć dziesięciu? W ten sposób nie będzie musiał ruszać swojego konta i zostaną mu jeszcze dwa tysiące na zabawę. Ma dwa zestawy rejestrów w komputerze i z łatwością może wybrać pieniądze z konta zakładu w sposób, który nie wywoła alarmu podczas kolejnej stanowej kontroli rachunkowej; tej można się spodziewać mniej więcej za miesiąc. Chyba że kontrolerzy zażądadają wyciągów z banku, ale nawet wtedy Chipperowi zostaje w zapasie kilka sztuk. Szkoda, że do kontroli niedaleko – Chipperowi przydałoby się trochę więcej czasu na załatwienie dziur. Przegranie trzynastu kawałków to nie problem, myśli. Problemem jest to, że przegrał je w niewłaściwym czasie.

Aby wszystko dokładnie sobie poukładać w głowie, Chipper przysuwa do siebie klawiaturę i wydaje komputerowi komendę wydrukowania kompletnego zestawienia z obydwu ksiąg za ubiegły miesiąc. Zanim pokaże się kontrola, te kartki trafią do niszczarki i opuszczają w postaci makaronu, kochaniutki.

Przenieśmy się od jednej postaci szaleństwa do drugiej. Po tym, jak właściciel Holiday Trailer Park wyciągnął drżący palec wskazujący w stronę siedziby Armii Freneau, Jack podjechał do niej po zakurzonym chodniku, narastało w nim zwątpienie. Airstream jest ostatnim i najmniej zadbanym domem na kółkach w poczwórnym rzędzie. Dwa z pozostałych mają kwietniki z jaskrawymi obwódkami, a trzeci udekorowany jest pasiastymi zielonymi markizami, dzięki czemu trochę bardziej przypomina prawdziwy dom. Czwarta przyczepa nie ma żadnych oznak dekoracji ani ulepszenia. Skąpe chwasty i usychające kwiatki walczą o przetrwanie na otaczającej ją ubitej ziemi. Zasłony są opuszczone. Przyczepę otacza aura nieszczęścia i zmarnowania – wraz z cechą, którą Jack mógłby określić, gdyby się nad tym zastanowił, ześlizgiem. W jakiś niedający się od razu nazwać sposób przyczepa wygląda niewłaściwie. Zniekształciło ją nieszczęście, tak jak zniekształca ludzką duszę. Gdy Jack wysiada z samochodu i idzie po rozłożonych przed wejściem pustakach, jego zwątpienie rośnie. Nie bardzo wie, po co tu przyjechał. Przychodzi mu do głowy, że może zaoferować Tansy Freneau jedynie swoje współczucie, i ta myśl budzi w nim niepokój.

Następnie dochodzi do wniosku, że jego wątpliwości maskują prawdziwe uczucia, wynikające z niepokoju, jaki wzbudza w nim przyczepa. Nie chce do niej wchodzić. Wszystko inne to racjonalizacja; Jack nie ma wyjścia, musi iść dalej. Jego wzrok trafia na wycieraczkę – uspokajający element zwyczajnego świata, który wydaje się już rozplýwać się wokół niego. Staje na najwyższym drewnianym stopniu i puka do drzwi. Brak odpowiedzi. Może Tansy naprawdę śpi i woli, by tak zostało. Na jej miejscu Jack zostałby w łóżku tak długo, jak to tylko możliwe. Na jej miejscu nie wstawałby z niego całymi tygodniami. Po raz kolejny, tłumiąc niechęć, stuka do drzwi.

– Tansy? – mówi. – Wstałaś już?

– Co? – rozlega się cichy głos ze środka.

Oho, myśli Jack.

– Z łóżka – mówi. – Jestem Jack Sawyer, Tansy. Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem. Pomagam policji i powiedziałem ci, że dzisiaj przyjadę.

Słyszy kroki zbliżające się do drzwi.

– To ty jesteś tym człowiekiem, od którego dostałam kwiaty? On był miły.

– To ja.

Szczęka zamek, obraca się klamka. W drzwiach pojawia się szczelina. W ciemności w środku widać skrawek twarzy o nieco oliwkowym odcieniu i pojedyncze lśniące oko.

– To ty. Wchodź, szybko. Szybko.

Tansy cofa się i uchyla drzwi, by Jack mógł się obok niej precyzyjnie. Gdy tylko znajduje się wewnątrz, kobieta zatrzaskuje drzwi i je zamyka.

Płynny blask, gorejący przy brzegach zasłon i żaluzji na oknach, pogłębia mrok w długim wnętrzu domu na kółkach. Nad zlewem pali się słaba lampka, druga, równie mętna, oświetla niski stolik, na którym poza nią znajduje się butelka kawowej brandy, usmarowana szklanka z

postać z kreskówki i album na zdjęcia. Krąg światła lampki obejmuje również połowę niskiego, obitego materiałem fotela stojącego przy stole. Tansy Freneau odpycha się od drzwi i robi dwa małe kroki w stronę Jacka. Jej nieco zaszklone spojrzenie budzi przygnębienie Jacka. Nawet według najszerzej, najbardziej ogólnikowej definicji zdrowia psychicznego ta kobieta postradała rozum. Jack nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– Raczysz... usiąść?

Gestem dłoni pani domu Tansy wskazuje mu drewniane krzesło o wysokim oparciu.

– Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? Usiądę w swoim fotelu, więc dlaczego nie miałbyś zająć krzesła?

– Dziękuję – mówi Jack, siada i patrzy, jak Tansy przesuwa się z powrotem w stronę drzwi, by sprawdzić, czy przekręciła klucz. Upewniwszy się, że są zamknięte, rzuca Jackowi promienny uśmiech i podchodzi do fotela niemal z kaczkowatą gracją baleriny. Gdy wreszcie się w nim ulokowała, Jack pyta: – Boisz się kogoś, kto może tu przyjść, Tansy? Zależy ci, żeby ktoś nie dostał się do środka?

– Och, tak – odpowiada Tansy, pochyła się naprzód i ściąga brwi, naśladując z przesadą minę małej, poważnej dziewczynki. – Ale to nie ktoś, to coś. I nigdy, przenigdy nie wpuszczę go do mojego domu, za nic. Ale ciebie wpuściłam, bo byłeś bardzo miły i dałeś mi te piękne kwiaty. I jesteś bardzo przystojny.

– Czy Gorg to właśnie to, czego nie chcesz wpuścić do środka, Tansy? Boisz się Gorga?

– Tak – odpowiada poważnym tonem kobieta. – Masz ochotę na filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję.

– No cóż, ja się napiję. To bardzo dobra herbata. W smaku trochę przypomina kawę. – Unosi brwi i rzuca Jackowi bystre, pytające spojrzenie. Kręci głową. Nie ruszając się z fotela, Tansy nalewa sobie na dwa palce brandy do szklanki i odstawia butelkę na stolik. Jack zauważa, że postać na szklance to Scooby Doo. Tansy upija łyk. – Mniam. Masz dziewczynę? Mogłabym być twoją dziewczyną, zwłaszcza jeśli dasz mi więcej takich ślicznych kwiatów. Wstawiłam je do wazy. – Wymawia to słowo: „whazzy”. – Widzisz?

Na kuchennym blacie konwalie więdną w wypełnionym do połowy wodą słoiku. Po zabraniu z Terytoriów nie zostało im wiele życia. Jack domyśla się, że ten świat bardzo szybko je zatruwa. Każda odrobina dobra, jaką przekazują otoczeniu, umniejsza ich esencję. Jack zdaje sobie też sprawę, że Tansy utrzymuje się w obecnym stanie dzięki pozostałościom Terytoriów w konwaliach – gdy obumrą, chroniąca ją poza małej dziewczynki zostanie starta na proch i kobieta zapewne pogrzeże się w szaleństwie. Szaleństwo to pochodzi od Gorga; Jack gotów jest dać za to głowę.

– Tak naprawdę mam przyjaciela, ale on się nie liczy. Nazywa się Lester Moon. Beezer i kumple nazywają go Śmierdzącym Serem, sama nie wiem dlaczego. Lester wcale nie śmierdzi, przynajmniej kiedy jest trzeźwy.

– Opowiedz mi o Gorgu – mówi Jack.

Odsuwając mały palec od szklanki ze Scooby Doo, Tansy upija kolejny łyk brandy. Marszczy czoło.

– Och, to za paskudna rzecz, żeby o niej mówić.

– Chcę się o nim czegoś dowiedzieć, Tansy. Jeśli zdołasz mi pomóc, dopilnuję, żeby nigdy więcej cię nie męczył.

– Naprawdę?

– Poza tym pomożesz mi znaleźć człowieka, który zabił twoją córkę.

– Nie mogę teraz/ o tym rozmawiać. Za bardzo się denerwuję.

Tansy strząsa z siebie wymaginowany okrucieństwo. Jej twarz się ściąga, a w oczach pojawia się nowy wyraz. Przez chwilę na powierzchni wyłania się zdesperowana, pozbawiona ochrony Tansy, co grozi erupcją rozpacz i gniewu.

– Czy Gorg wygląda jak człowiek, czy coś innego?

Tansy bardzo powoli kręci głową z boku na bok. Znowu się opanowuje – wraca osobowość, która potrafi zignorować rzeczywiste uczucia.

– Gorg nie wygląda jak człowiek. Wcale nie.

– Powiedziałaś, że dał ci pióro, które miałaś przy sobie. Wygląda jak ptak?

– Gorg nie wygląda jak ptak, on jest ptakiem. A wiesz jakim? Pochyla się znowu, a jej twarz nabiera wyrazu sześcioletki, mającej ochotę powiedzieć najbrzydsze słowo, jakiego się nauczyła. – Kruk. Tym właśnie jest: wielkim, starym krukiem. Cały czarny. Ale nie lśniący czarny. – Jej oczy rozszerzają się od powagi tego, co ma zamiar wyjawić. – Przybył z plutońskiego nocy brzegu. To z wiersza, którego pani Normandie uczyła nas w szóstej klasie. „Kruk” Edgara Allana Poe. – Przekazawszy tę perełkę historii literatury, Tansy się prostuje. Jack domyśla się, że pani Normandie zwykle przybierała właśnie taką zadowoloną, pedagogiczną minę, jaka widnieje na twarzy Tansy, ale bez jaskrawego, niezdrowego blasku w spojrzeniu dawnej uczennicy. – Plutoński nocy brzeg to część innego świata – kontynuuje Tansy. – Wiedziałeś o tym? Istnieje równoległe do tego świata, na zewnątrz niego. Musisz znaleźć drzwi, jeśli chcesz tam trafić.

Przypomina to rozmowę z Judy Marshall, zdaje sobie nagle sprawę Jack – ale Judy pozbawioną głębi duszy i niewiarygodnej odwagi, która ocaliła ją przed szaleństwem. W chwili gdy przychodzi mu do głowy Judy Marshall, pragnie ujrzeć ją znowu – jest to tak silne uczucie, że ma wrażenie, jakby Judy stanowiła podstawowy klucz do zagadki, jaką Jack ma rozwikłać. Jeśli Judy jest kluczem, to jest równocześnie drzwiami, które otwiera. Jack chce opuścić mroczną, wypaczoną atmosferę airstreama Tansy; chce odłożyć spotkanie z Pionońską Piątką i pognać drogą przez wzgórze do Arden i posępnego szpitala, w którym promienna Judy Marshall odnalazła wolność na zamkniętym oddziale psychiatrycznym.

– Ale ja w ogóle nie chcę znaleźć tych drzwi, bo nie chcę tam trafić – mówi Tansy melodyjnym głosem. – Plutoński nocy brzeg to zły świat. Wszystko się tam pali.

– Skąd to wiesz?

– Gorg mi powiedział – szepcze Tansy. Płochliwie odrywa od niego wzrok i zwraca go na szklankę z podobizną Scooby Doo. – Gorg lubi ogień, ale nie dlatego, że mu przy nim ciepło. Dlatego że ogień spala *rzeczy*, a to czyni go szczęśliwym. Gorg powiedział... – Potrząsa głową i podnosi szklankę do ust. Zamiast się napić, przechyla ją tak, że płyn spływa pod brzeg, i wylizuje go językiem. Powoli przenosi spojrzenie z powrotem na Jacka. – Moja herbata to chyba czary.

Na pewno tak myślisz, przemyka przez głowę Jackowi; serce o mało nie pęka mu z żalu za kruchą, zagubioną Tansy.

– Nie możesz tu płakać – mówi mu Tansy. – Wyglądałeś, jakbyś chciał się rozplakać, ale nie możesz. Pani Normandie na to nie pozwala. Możesz mnie jednak pocałować. Chcesz mnie pocałować?

– Oczywiście, że tak – mówi. – Ale pani Normandie nie pozwala również na całowanie.

– Och, trudno. – Tansy znów chłepcze brandy. – Możemy to zrobić później, kiedy wyjdzie z sali. I będziesz mógł mnie objąć, tak jak Lester Moon. I zrobić wszystko to, co robi Lester. Ze mną.

– Dziękuję – odpowiada Jack. – Tansy, możesz mi powiedzieć, czego jeszcze dowiedziałaś się od Gorga?

Kobieta przekrzywia głowę i oblizuje wargi.

– Powiedział, że przybył tutaj przez płonący otwór. Z wywiniętymi brzegami. I powiedział, że jestem matką i muszę pomóc swojej córce. W wierszu nazywa się Lenora, ale naprawdę ma na imię Irma. I powiedział... powiedział, że podły stary człowiek zjadł jej nogę, ale moją Irmę mogły spotkać gorsze rzeczy.

Przez parę sekund Tansy zdaje się zapadać w siebie. Jej usta pozostają półotwarte; nawet nie mruga. Kiedy wraca z miejsca, w które się udała, przypomina to stopniowo ożywający posąg. Mówi prawie zbyt cicho, by można ją było usłyszeć.

– Miałam załatwić tego starego człowieka, załatwić go na cacy. Tyle że dałeś mi te piękne konwalie, a to nie był ten człowiek, prawda? – Jack ma ochotę krzyknąć. – Powiedział, że są gorsze *rzeczy* – mówi Tansy niedowierzającym szeptem. – Ale nie powiedział jakie. Zamiast tego mi je pokazał. A kiedy je zobaczyłam, myślałam, że moje oczy się wypalą. Mimo to widziałam wszystko.

– Co widziałaś?

– Bardzo wielkie miejsce, pełne ognia – mówi Tansy. – Sięgał bardzo wysoko. – Milknie i przenika ją wewnętrzny dreszcz, który zaczyna się od twarzy, schodzi w dół i dociera do palców. – Irmy tam nie ma. Nie, nie ma. Została zabita, a podły stary człowiek zjadł jej nogę. Wysłał mi list, ale nigdy go nie dostałam. Dlatego Gorg mi go przeczytał. Nie chcę myśleć o tym liście – mówi takim tonem jak mała dziewczynka, opisująca coś, o czym usłyszała od osób trzecich albo co wymyśliła. Między Tansy a tym, co widziała i słyszała, wisi gruba

kurtyna, pozwalająca jej funkcjonować. Jack znów się zastanawia, co ją czeka, kiedy konwalie obumrą. – A teraz, jeśli nie zamierzasz mnie pocałować, czas, żebyś sobie poszedł – mówi Tansy. – Chcę na razie zostać sama.

Zaskoczony jej zdecydowaniem, Jack wstaje i zaczyna mówić coś uprzejmego i pozbawionego znaczenia. Tansy pokazuje mu drzwi machnięciem ręki.

Na zewnątrz powietrze wydaje się ciężkie od niemiłych zapachów i niewidzialnych chemikaliów. Konwalie z Terytoriów zachowały więcej mocy, niż Jack podejrzewał – dość, by oczyścić i przesycać słodczą powietrze w przyczepie Tansy. Ziemia pod stopami Jacka jest spieczona; w atmosferze wisi wysuszona kwaśność. Jack prawie zmusza się do oddychania w drodze do swojego samochodu, ale im głębiej oddycha, tym szybciej przystosowuje się na powrót do zwyczajnego świata. Jego świata, chociaż teraz wydaje się zatruty. Jack ma ochotę tylko na jedno: dotrzeć drogą 93 do punktu widokowego Judy i jechać dalej, na drugą stronę Arden i szpitalny parking, minąć frontowe drzwi, pokonać bariery w postaci doktora Spiegelmana i siostry oddziałowej Jane Bond, aż znów znajdzie się w życiodajnej obecności Judy Marshall.

Myśli, że prawie kocha Judy Marshall. Może istotnie ją kocha. Wie, że jej potrzebuje; Judy jest jego kluczem i drzwiami. Jego drzwiami, jego kluczem. Cokolwiek to znaczy, jest to prawda. W porządku, kobieta, której pragnie, jest żoną wyjątkowo miłego Freda Marshalla, ale nie chce się z nią żenić; w istocie nie chce nawet z nią spać, niezupełnie – po prostu pragnie stanąć przed nią i zobaczyć, co się stanie. Coś się stanie, to pewne, ale gdy stara się sobie to wyobrazić, widzi jedynie erupcję drobnych czerwonych piór – nie jest to bynajmniej obraz, jaki pragnie ujrzeć.

Jack czuje, że uginają się pod nim nogi, i opiera się ręką o pakę pikapa, a drugą sięga do klamki. Obydwie powierzchnie parzą mu dłonie; przez chwilę wymachuje nimi w powietrzu. Gdy wsiada do kabiny, siedzenie jest też gorące. Opuszcza okno po swojej stronie i z przelotnym uczuciem straty zauważa, że zapachy tego świata znów wydają mu się normalne. Świat pachnie dobrze. Pachnie latem. Dokąd powinien jechać? Interesujące pytanie, myśli Jack, ale gdy wyjeżdża na drogę i pokonuje nią niecałe sto stóp, po lewej stronie dostrzega niski, szary kształt wybudowanej z drewna Łachy. Bez wahania skręca na absurdalnie wielki parking, jakby od początku wiedział, dokąd się kieruje. Szukając zacienionego miejsca, Jack okrąża budynek i za Łachą widzi coś, cd sugeruje, że kiedyś miało tu być zielono: klon o szerokim pniu, sterczący nad asfaltem w przeciwnym końcu parkingu. Jack wjeżdża pikapem w jego cień i wysiada, zostawiając opuszczone okna. Na parkingu stoją jeszcze tylko dwa samochody; rozchodzą się od nich fale rozpalonego powietrza.

Jest 11.20. Jack robi się głodny, ponieważ całe jego śniadanie składało się z kubka kawy i posmarowanej marmoladą grzanki, a było to trzy godziny temu. Ma przecucie, że czeka go długie popołudnie. Równie dobrze może coś przekąsić, czekając na harleyowców.

Tylne drzwi Łachy prowadzą do wąskiego korytarzyka z toaletami, a za nimi jest długa, prostokątna sala z lśniącym barem z jednej strony i rzędem oddzielonych solidnymi przegrodami stolików z drugiej. Środek sali zajmują dwa wielkie stoły bilardowe, a pod ścianą między nimi stoi szafa grająca. Z przodu, osiemdziesięć stóp nad czystą drewnianą podłogą, wisi w widocznym dla wszystkich miejscu wielki ekran telewizyjny. Dźwięk został wyciszony na reklamę, unikającą jednoznacznej identyfikacji przeznaczenia wyrobu. Po oślepiającym blasku na parkingu wewnątrz Łachy jest przyjemnie mroczne. Podczas gdy oczy Jacka się przyzwyczajają, nieliczne nisko zawieszony lampy wydają się rozsyłać mętne wiązki światła.

Barman, którego Jack uznaje za osławionego Lestera „Śmierzącego Sera” Moona, obrzuca go przelotnym spojrzeniem, po czym znowu zatapia się w lekturze rozłożonego na kontuarze „Heralda”. Gdy Jack zajmuje stołek kilka stóp na prawo od niego, znowu podnosi głowę. Śmierzący Ser nie jest tak obrzydliwy, jak Jack się spodziewał. Ma czystą koszulę tylko kilka odcieni bielszą od okrągłej twarzy i ogolonej głowy. Moon rozciąga aurę na poły profesjonalną, na poły lekceważącą, kogoś, kto przejął rodzinny interes i podejrzewa, że gdzie indziej poradziłby sobie o wiele lepiej. Intuicja podpowiada Jackowi, że właśnie poczucie frustracji stanowiło źródło nadanego mu przez harleyowców przezwiska, gdyż przez nie Lester przywodzi na myśl człowieka, który spodziewa się lada chwila poczuć jakiś brzydki zapach.

– Mogę tu dostać coś do jedzenia? – pyta go Jack.

– Wszystko jest na tablicy.

Barman obraca się w bok i wskazuje białą tablicę z wsuwanymi literami, przedstawiającą menu. Hamburger, cheeseburger, hot dog, kaszanka, kiełbasa, kanapki, frytki, plasterki cebuli. Gest mężczyzny ma za zadanie sprawić, by Jack poczuł się jak gapa, i okazuje się skuteczny.

– Przepraszam, nie zauważyłem tablicy. – Barman wzrusza ramionami. – Proszę średniego cheeseburgera z frytkami.

– Lunch zaczyna się o wpół do dwunastej, jest napisane na tablicy. Widzi pan? – Kolejny na poły szyderczy gest w jej stronę. – Ale mamuśka już się szykuje na zapleczu. Przekażę jej zamówienie, to zabierze się do niego, kiedy będzie gotowa.

Jack dziękuje, a barman ogląda się na telewizor, przechodzi do końca baru i znika za rogiem. Kilka sekund później wraca, spogląda na ekran i pyta Jacka, czego chce się napić.

– Ginger ale – mówi Jack.

Gapiąc się w ekran, Lester Moon nalewa napój do szklanki i popycha go w stronę Jacka. Następnie wsuwa dłoń pod kontuar po pilota.

– Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza, ale właśnie oglądałem ten stary film. Nawet śmieszny.

Wciska przycisk pilota, a Jack słyszy znad ramienia głos swojej matki: „Wygląda na to, że Smoky znowu się dzisiaj spóźni. Chciałabym, żeby ten łobuziak nauczył się, jak się pije”.

Zanim Jack może odwrócić się bokiem do ekranu, Lester Moon pyta go, czy pamięta Lily Cavanaugh.

– Och, tak.

– Zawsze ją lubiłem, kiedy byłem mały.

– Ja też – odpowiada Jack.

Jack natychmiast rozpoznał nadawany film: „The Terror of Deadwood Gulch”, komediowy western z 1950 roku, w którym sławny podówczas i wciąż czule wspomniany Bili Towns, swego rodzaju Bob Hope dla biedaków, grał tchórzliwego hazardzistę i szulera, przybywającego do małej miejsciny Deadwood Gulch w Arizonie, gdzie wkrótce omyłkowo biorą go za sławnego rewolwerowca. Jako piękna, obdarzona ciętym językiem właścicielka saloonu o nazwie „Łazy 8”, ożywionego centrum życia towarzyskiego, Lily Cavanaugh cieszy się wielką admiracją tłumu kowbojów, obiboków, farmerów, handlarzy, prawników i hołoty, który każdego wieczora zapełnia jej przybytek. Zmusza gości do zdawania broni przy wejściu i baczenia na maniery, skłaniające się w stronę opopanaksa. We właśnie nadawanej scenie, mniej więcej pół godziny od początku filmu, Lily jest sama w saloonie i stara się pozbyć uprzykrzonej pszczoły.

Pszczoła dla Królowej Filmów Klasy B, myśli Jack i się uśmiecha*.

Lily próbuje przegonić brzęczącego natręta ścierką, packą na muchy, szczotką, miotłą, pasem na pistolety. Pszczoła wymyka się wszystkim jej wysiłkom, pomyka tu i tam, od baru do stolika karcianego, na wierzch butelki whisky, pokrywę pianina; często wyczekuje, podczas gdy jej przeciwniczka zakrada się, udając, że zmierza w inną stronę, po czym w ostatniej sekundzie przed opadnięciem broni owad podrywa się do lotu. Jest to urocza sekwencja, granicząca ze slapstickiem, a kiedy Jacky miał sześć lat, sześć, a może siedem, zanosił się na poły histerycznym śmiechem na widok swej kompetentnej matki, która nie może się pozbyć latającego utrapienia. Kiedyś nagle zaciekawiony zapytał, jak ludzie z filmu nakłonili owada, żeby robił to wszystko, co trzeba, a matka wyjaśniła mu, że nie była to prawdziwa pszczoła, ale zaczarowana, dostarczona przez wydział efektów specjalnych.

– Nigdy się nie domyśliłem, jak zmusili tę pszczołę, żeby leciała, gdzie chcieli – mówi Lester Moon. – No co, wytresowali ją czy jak?

* Nieprzetłumaczalna gra słów: tytuł Lily, Królowa Filmów Klasy B (*Queen of the B's*) wymawia się tak samo jak „królowa pszczół” (*queen of the bees*). Dwuznaczność ta, zaledwie zasugerowana w „Talizmanie”, staje się bardzo istotna w dalszej części „Czarnego Domu” (przyp. tłum.).

– Najpierw nakręcili samą aktorkę na planie – mówi Jack, doszedłszy do wniosku, że mimo wszystko Śmierzący Ser to zupełnie przyzwoity gość, mający doskonały gust, jeśli

chodzi o aktorki. – Potem wydział efektów specjalnych dodał pszczołę. Nie jest prawdziwa – to animacja, rysunek. Naprawdę nie można się zorientować, prawda?

– Za nic. Jest pan pewny? A właściwie skąd pan to wie?

– Wyczytałem w jakiejś książce – odpowiada Jack, posługując się swoim standardowym unikiem przy wszelkich tego rodzaju pytaniach.

Bill Towns w olśniewającym kostiumie odpicowanego szulera wchodzi przez wahadłowe drzwi „Łazy 8” i szczyrzy zęby do właścicielki, nie orientując się, że podkrada się ona w stronę pszczoły, która ponownie przysiadła na lśniąącym kontuarze. Bili ma ochotę na amory i idzie ku Lily zamaszystym krokiem.

„Widzę, że wróciłeś, bo ci było mało, cwaniaku – mówi Lily. – Pewnie ci się tu spodobało”.

„Kochanie, to najśłodsza buda na zachód od Missouri. Przypomina mi miejsce, gdzie wyciągnąłem spluwę szybciej od Black Jacka McGurka. Biedny Black Jack. Nigdy nie wiedział, kiedy spasować”.

Z hałasem rozgrzewającego silniki B52 zaczarowana pszczoła – wytwór fikcji wewnątrz fikcji – startuje w kierunku gładkiego kapelusza Billa Townsa. Twarz komedianta wykrzywia się w wyrazie komicznej grozy, jakby była z gumy. Towns wymachuje rękami, podskakuje, skrzeczy. Zaczarowana pszczoła wykonuje aeronautyczne akrobacje wokół spanikowanego pseudorewolwerowca. Wspaniały kapelusz spada mu z głowy; jego włosy po chwili są w nieładzie. Towns przysuwa się do stołu i po ostatnim wymachiwaniu rękami nurkuje pod blat i błaga o pomoc.

Nie odrywając oczu od spacerującej po blacie pszczoły, Lily podchodzi do baru po szklankę i złożoną gazetę. Zbliża się do stolika, obserwując maszerującego w kółko owada. Lily skacze naprzód i opuszcza szklankę, biorąc pszczołę w niewolę. Biedaczka podrywa się i tłucze o dno szklanki. Lily przechyła ją, wsuwa pod nią złożony papier i podnosi rękę, przyciskając gazetę do szklanki.

Kamera wykonuje odjazd i widzimy tchórzliwego bazardzistę, gdy wygląda spod stołu, jak Lily otwiera drzwi i wypuszcza pszczołę.

– Cheeseburger gotowy, proszę pana – mówi Lester Moon za plecami Jacka.

Przez następne pół godziny Jack je burgera i nie odrywa oczu od filmu. Cheeseburger jest pyszny, światowej klasy, soczysty, o smaku, jaki uzyskuje się tylko dzięki natłuszczonemu rusztowi; frytki są idealne, złote i chrupiące z zewnątrz, lecz Jack nie może się skupić na „The Terror of Deadwood Gulch”. Nie chodzi o to, że widział ten film co najmniej dziesięć razy; chodzi o Tansy Freneau. Jacka niepokoją pewne *rzeczy*, które powiedziała. Im więcej się nad nimi zastanawia, tym mniej rozumie, co się dzieje.

Według Tansy, wrona – kruk – o imieniu Gorg przybyła ze świata, położonego równoległe do naszego i na zewnątrz niego. Tansy na pewno chodziło o Terytoria. Posługując się zwrotem z „Kruka” Poego, nazwała ten drugi świat „plutońskim nocy brzegiem”, co

stanowiło dość efektowne jak na Tansy określenie, w niczym jednak nieprzystające do magicznych Terytoriów. Gorg powiedział jej, że wszystko w tym świecie płonęło, a nawet Spustoszone Ziemie nie pasowały do tego opisu. Jack zapamiętał Spustoszone Ziemie i osobliwy pociąg, jakim przemierzył wielką, czerwoną pustynię z Racjonalnym Richardem. Żyły tam dziwne stwory, ludziedaligatory i ptaki o twarzach brodatych małp, ale kraina ta na pewno nie stała w ogniu. Spustoszone Ziemie były wytworem jakiegoś kataklizmu z przeszłości, a nie miejscem obecnej pożogi. Jak powiedziała Tansy? „Bardzo wielkie miejsce, pełne ognia... sięgał bardzo wysoko”. Co takiego widziała, na jaki krajobraz Gorg otworzył jej oczy? Mówiła tak, jakby chodziło o wielką płonąca wieżę albo stojący w ogniu wysoki budynek. Płonącą wieżę, budynek w ogniu w płonącym świecie – jak ten świat mógłby być Terytoriami?

Jack był w Terytoriach dwukrotnie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i to, co widział, było piękne. Bardziej niż piękne – oczyszczające. Jack wie, że Terytoria zawierają swego rodzaju świętą magię – taką samą, jaką ujrzał w Judy Marshall. Dzięki tej magii Terytoria potrafią obdarzyć ludzi cudowną łaską. Przedmiot z Terytoriów uratował życie nadzwyczajnej, kochanej, twardej kobiecie, drwiącej z Billa Townsa na ekranie przed Jackiem. Ponieważ Jack był w Terytoriach – i może dlatego, że trzymał w rękach Talizman – prawie każdy koń, na którego stawia, wygrywa, wszystkie kupowane przez niego akcje potrajają wartość, każde rozdanie w pokerze po/wala mu wygrać pulę.

O czym w takim razie mówiła Tansy? I o co chodziło w słowach, że Gorg przybył tutaj przez płonący otwór?

Gdy Jack przeskoczył wczoraj na drugą stronę, wyczuł daleko na południowym wschodzie coś łączącego się z nieszczęściem, coś niezdrowego – i podejrzewał, że tam właśnie znalazłby Dwójnika Rybaka. Zabij Rybaka, zabijesz jego Dwójnika; nieważne, który umarłby pierwszy, drugi straciłby siły. Jednak...

Jednak wciąż nie ma to sensu. Gdy się wędruje pomiędzy światami, to się po prostu przeskakuje – nie roznieca się ognia na skraju jednego świata i przebiega przezeń w drugi.

Kilka minut przed dwunastą grzmienie motocykli zagłusza głosy z ekranu.

– Mm, chyba lepiej, żeby się pan zbierał – mówi Moon. – To...

– Pierońska Piątka – odpowiada Jack. – Wiem.

– Dobra. Chodzi o to, że, no, niektórzy z klientów robią w portki na ich widok. Ale dopóki traktuje się ich jak trzeba, to zachowują się w porządku.

– Wiem. Nie musi się pan niepokoić.

– To znaczy, jak pan im postawi piwo czy coś, uznają, że jest pan w porządku.

Jack wstaje ze stołka i zwraca twarz w stronę barmana.

– Nie masz powodów się denerwować, Lester. Przyjechali, żeby się ze mną spotkać.

Lester mruga. Po raz pierwszy Jack zauważa, że ma brwi wyskubane w cienkie, łukowate kreski, jak wamp z lat dwudziestych.

– Lepiej naleję dzbanek „Królewskich Włości”. – Wyciąga dzbanek spod baru, stawia go pod kranem dystrybutora i odkręca kurek. Gruba struga bursztynowego płynu wpada do środka i zamienia się w pianę.

Dźwięk motocykli narasta pod budynkiem do ryku, potem cichnie. Beezer St. Pierre otwiera z łaskotem drzwi; tuż za nim idą Doktorek, Myszą, Sonny i Kajzer Bili. Wyglądają jak wikingowie, a Jack czuje niezmierną radość na ich widok.

– Zgaś ten kurewski telewizor, Śmierdziel – ryczy Beezer. – I nie przyjechaliśmy tu chlać, więc możesz wylać ten dzbanek do zlewu. I tak nalałeś samej piany. Kiedy skończysz, zmiataj do kuchni i posiedź z mamuszką. Mamy z tym człowiekiem coś do załatwienia, a tobie nic do tego.

– Dobra, Beezer – odpowiada Moon drżącym głosem. – Wystarczy mi sekundka.

– W takim razie tyle ci daję – mówi Beezer.

St. Pierre i pozostali stają rzędem przy barze; niektórzy wpatrują się srogo w Śmierdzącego Sera, inni bardziej łaskawie w Jacka. Myszą wciąż ma dredy, a pod oczy napaćkał sobie jak gracz w futbol jakiejś substancji maskującej. Kajzer Bill i Sonny upięli sobie grzywy w kucyki. Piwo i piana wylewa się z dzbanka do zlewu.

– Dobra, chłopaki – mówi Moon.

Słychać jego cichnące kroki za barem. Rozlega się szcęknięcie zamykanych drzwi.

Członkowie Pierońskiej Piątki rozdzielają się i ustawiają przed Jackiem. Założyli ręce na piersiach; widać wybrzuszone mięśnie.

Jack odpycha talerz na koniec kontuaru, wstaje i mówi:

– Czy przed wczorajszym wieczorem którykolwiek z was słyszał o George’u Potterze?

Jack siedzi na skraju stołu bilardowego, tego bliżej frontowych drzwi, twarzą do Beezera i Doktora, którzy pochylają się w jego stronę na barowych stołkach. Kajzer Bili z uniesionym do ust palcem i pochyloną głową stoi obok Beezera. Myszą wyciągnął się na drugim stole bilardowym i podparł głowę dłonią. Sonny krąży od baru do szafy grającej, z chmurną miną waląc jedną pięścią o drugą.

– Na pewno nie chodziło ci o „Samotnię”, jak u Dickensa?

– Na pewno – mówi Jack, przypominając sobie, że nie powinien czuć zaskoczenia za każdym razem, gdy któryś z tych gości udowadnia, że był w college’u. – Chodzi o Czarny Dom.

– Jezu, wydaje mi się, że prawie... – Myszą potrząsa głową.

– Powtórz, jak się nazywał ten budowlaniec? – pyta Beezer.

– Burnside. Imię prawdopodobnie Charles, czasami nazywany Chummy. Zmienił dawno temu nazwisko; wcześniej brzmiało jak Bursztyn.

– Bursztyn? Beerstein? Bernstein?

– Nie mam pojęcia – mówi Jack.

– I myślisz, że to Rybak. – Jack kiwa głową. Beezer wpatruje się w niego, jakby chciał go przejrzeć na wylot. – Jak bardzo jesteś pewny?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Podrzucił fotografie do pokoju Pottera.

– Cholera. – Bee/er zsuwa się ze stołka i przechodzi na drugą stronę baru. – Chcę upewnić się, że nikt nie zapomni o tym, co oczywiste. – Pochyliła się i prostuje z książką telefoniczną w rękach. – Wiesz, o co mi chodzi? – Otwiera książkę na kontuarze, przerzuca parę stron, kartkuje z powrotem i przesuwając grubym palcem wzdłuż kolumny nazwisk. – Nie ma żadnego Burnside’a. Szkoda.

– I tak dobry pomysł – mówi Jack. – Dzisiaj rano próbowałem tego samego.

Sonny przystaje w drodze powrotnej od szafy grającej i mierzy palcem w Jacka.

– Jak dawno postawiono ten cholerny dom?

– Prawie trzydzieści lat temu. W latach siedemdziesiątych.

– Hej, wszyscy byliśmy wtedy szczeniakami w Illinois. Skąd niby mielibyśmy wiedzieć o tym domu?

– Kręciliście się tu i ówdzie. Myślałem, że istnieje całkiem spora szansa, że go widzieliście. Tam podobno straszy. Ludzie zwykli gadać o takich miejscach.

Tak dzieje się przynajmniej w normalnych sytuacjach, myśli Jack. W normalnych sytuacjach w domach, w których straszy, straszy dlatego, że przez kilka lat stały puste albo stało się w nich coś okropnego. W tym wypadku sam dom był straszny, a ludzie, którzy inaczej by o tym rozprawiali, ledwie sobie przypominają, że go widzieli. Sądząc po reakcji Dale’a, Czarny Dom zniknął we własnym nieistniejącym cieniu.

– Zastanówcie się nad tym – mówi Jack. – Spróbujcie sobie przypomnieć. Czy przez lata, kiedy mieszkacie we French Landing, kiedykolwiek słyszeliście o domu, nad którym wydaje się ciążyć klątwa? Czarny Dom powodował wypadki u ludzi, którzy go stawiali. Robotnicy nienawidzili tej budowy, bali się jej. Mówili, że w pobliżu tego domu nie widać własnego cienia. Twierdzili, że jest nawiedzony, zanim jeszcze został zbudowany! W końcu wszyscy zrezygnowali i Burnside musiał sam go wykańczać.

– Stoi gdzieś w odosobnieniu – mówi Doktorek. – Oczywiście tej chałupy nie ma nigdzie na widoku. Nie stoi w żadnym osiedlu w rodzaju Libertyville. Nie znajdzie się jej na Robin Hood Lane.

– Racja – mówi Jack. – Powinienem był wspomnieć o tym wcześniej. Potter powiedział mi, że zbudowano go kawałek od „drogi”, jak to nazwał, na jakiejś polanie. A zatem stoi w lesie. Masz rację, Doktorku. Dom stoi w odosobnieniu.

– Hej, hej, hej – mówi Myszka, przerzuca nogi przez brzeg stołu bilardowego i ze stęknieniem siada. Ma zacisnięte oczy i klepie się mięsistą dłonią w czoło. – Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć... – Wydaje jęk zawodu.

– Co? – woła dwakroć głośniejszym głosem niż zwykle Beezer; słowo to brzmi jak spadający na cementowy chodnik brukowiec.

– Wiem, że widziałem to kurewskie miejsce – mówi Myszą. – Kiedy tylko zaczęliście o nim mówić, miałem uczucie, że coś mi to przypomina. Kołatało mi się to po głowie, ale nie umiałem powiedzieć, o co chodzi. Kiedy próbowałem się nad tym zastanowić – wiecie, zmusić się, żeby sobie przypomnieć – cały czas widziałem takie migoczące światełka. Kiedy Jack powiedział, że dom stoi w lesie, wiedziałem, o co mu chodzi. Dom stanął mi wyraźnie przed oczyma. Otoczony tymi wszystkimi migoczącymi światełkami.

– Raczej nie przypomina to Czarnego Domu – mówi Jack.

– Pewnie, że tak. Światełek nie było tam naprawdę, to tylko ja je widziałem – wyjaśnia Myszą, jakby było to absolutnie racjonalne wytłumaczenie.

Sonny śmieje się przez moment.

– Kurwa – mówi Beezer, potrząsając głową.

– Nie rozumiem – oświadcza Jack.

Beezer ogląda się na niego i podnosi palec.

– Mówimy o lipcu czy sierpniu dwa lata temu? – pyta Myszę.

– Naturalnie – odpowiada Myszą. – Lato Absolutnego Kwasu. – Patrzy z uśmiechem na Jacka. – Dwa lata temu dostaliśmy naprawdę zdumiewający kwas. Łykasz tabletkę i masz pięćdziesiąt godzin najbardziej niewiarygodnego odlotu. Nikt nie miał z tym towarem jeszcze złych doświadczeń. Wszystko było czadowe; czaisz, o co mi chodzi?

– Chyba się domyślam – mówi Jack.

– Na tym kwasie mogłeś nawet robić swoje. Pewnie, że mogłeś prowadzić, wsiąść na brykę i jechać wszędzie, gdzie ci się zamarzyło. Wszystko normalne szło jak po maśle. Nie byłeś popierdolony; robiłeś wszystko na maksa i jeszcze bardziej.

– Timothy Leary nie mylił się we wszystkim – rzuca Doktorek.

– Boże, to był fantastyczny towar – mówi Myszą. – Braliśmy go, aż się skończył. Daliśmy sobie spokój. Z kwasem w ogóle. Jak nie można dostać takiego towaru, to nie ma sensu brać czegokolwiek innego. Nigdy się nie dowiedziałem, skąd się wziął.

– Nie miałbyś ochoty tego wiedzieć – mówi Beezer. – Uwierz mi.

– Zatem jechałeś na tym kwasie, kiedy widziałeś Czarny Dom – stwierdza Jack.

– Pewnie. Dlatego widziałem światełka.

– Gdzie to jest, Myszą? – pyta bardzo powoli Beezer.

– Dokładnie nie wiem. Ale, ale, poczekaj, Beezer, niech się wygadam. To było tego lata, kiedy kręciłem z Małą Nancy Hale, pamiętasz?

– Pewnie – mówi Beezer. – Cholerna szkoda. – Ogląda się na Jacka. – Mała Nancy zmarła zaraz po tym lecie.

– Posypałem się po tym – mówi Myszą. – Tak jakby nagle dostała uczulenia na powietrze i światło. Wciąż wymiotowała. Miała wysypkę na całym ciele. Nie mogła wyjść na zewnątrz, bo światło raziło ją w oczy. Doktorek nie mógł dojść, co z nią jest, to zabraliśmy ją do wielkiego szpitala w La Riviere, ale oni też nie umieli tego wykombinować. Rozmawialiśmy

z paroma gośćmi z kliniki Mayo, ale i oni nic nie poradzili. Miała ciężką śmierć, człowieku. Serce pękało, jak się na to patrzyło. Moje pękło na pewno. – Na długą chwilę milknie; przez ten czas wpatruje się w swój wypukły brzuch, a nikt inny nie odzywa się ani słowem. – No dobra – mówi wreszcie, podnosząc głowę. – Oto co zapamiętałem. Tej soboty Mała Nancy i ja odlecieliśmy na Absolutnym Kwasiu i wybraliśmy się w parę miejsc, które nam się podobały. Pojechaliśmy do nadbrzeżnego parku w La Riviere, przeskoczyliśmy na Dog Island i Lookout Point. Wracaliśmy w tę stronę i stanęliśmy na urwisku – pięknie, człowieku. Potem nie mieliśmy ochoty wracać do domu, więc kręciliśmy się tu i tam. Mała Nancy zauważyła tablicę: WSTĘP WZBRONIONY. Musiałem ją minąć z tysiąc razy i nie zwróciłem na nią uwagi. – Ogląda się na Jacka Sawyera. – Nie mogę powiedzieć na pewno, ale to było chyba przy trzydziestcepiątce. – Jack kiwa głową. – Gdybyśmy nie byli na kwasie, to pewnie ona też w ogóle nie zauważyłaby tej tablicy. Och, człowieku, wszystko sobie przypominam. „Co to takiego?” – pyta, i przysięgam, że musiałem popatrzeć dwa czy trzy razy, zanim zobaczyłem tablicę – była cała pocięta i obtłuczona, miała parę rdzewiejących dziur po kulach. Była tak jakoś pochylona w stronę drzew. „Ktoś nie chce, żebyśmy wjechali w tę drogę – mówi Mała Nancy. – Tak czy siak, co tam takiego ukrywają?”. Coś takiego. „Jaką drogę?” – pytam i dopiero wtedy ją widzę. Trudno zresztą nazwać to drogą. Można w nią wjechać samochodem pod warunkiem, że jest mały. Gęste drzewa po obu stronach. Cholera, nie myślałem, że tam jest cokolwiek ciekawego, najwyżej jakaś stara szopa. Poza tym nie podobało mi się tam.

Ogląda się na Beezera.

– Co to znaczy, że ci się tam nie podobało? – pyta Beezer. – Widziałem, jak laześ w miejsca, gdzie nic dobrego nie mogło cię spotkać. I cholernie dobrze o tym wiedziałeś. A może zaczynasz się bawić przy mnie w mistyka, Myszą?

– Nazywaj to, jak chcesz, ale mówię ci, kurwa, jak było. Tak jakby na tej tablicy napisano: TRZYMAJ SIĘ Z DALA, JEŚLI WIESZ, CO DLA CIEBIE DOBRE. Naszło mnie złe przeczucie.

– Bo to złe miejsce – wtrąca się Sonny. – Widziałem parę złych miejsc. Nie chcą, żebyś w nich był, i dają ci to do zrozumienia.

Beezer spojrzał na niego spode łba.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo złe jest to złe miejsce, ale jeśli mieszka w nim Rybak, to tam jadę – mówi.

– A ja jadę z tobą, ale słuchajcie dalej – dodaje Myszą. – Chciałem zwijać dupę w troki, skoczyć na smażonego kurczaka czy coś, co w kombinacji z Absolutnym Kwasiem smakowałoby jak rajski pokarm, czy jak tam napisał Coleridge, ale Mała Nancy miała ochotę wjechać w tę drogę właśnie dlatego, że czuła to samo, co ja. Człowieku, to była ostra laska. I przekorna. No to skręcam, a Mała Nancy trzyma się z tyłu i mówi: „Nie bądź cipa, Myszą, daj po garach”, no to dodaję trochę gazu, wszystko się robi takie dziwne, straszne i kurewskie, ale widzę tylko drogę zataczającą łuk przez las i kurestwo, o którym wiem, że go tam nie ma.

– Na przykład co? – pyta Sonny tonem, w którym brzmi naukowe zainteresowanie.

– Takie ciemne sylwetki, podchodzące do drogi i wyglądające zza drzew. Parę z nich podbiegło do mnie, ale przejechałem przez nie jak przez dym. Bo ja wiem, może to rzeczywiście był dym.

– Kwas, kurwa, a nie dym – mówi Beezer.

– Może, ale nie miałem takiego uczucia. Poza tym Absolutny Kwas nigdy człowieka nie dotował, pamiętasz? Po nim nie było ciemności. Tak czy owak, zanim wszystko się pochrzańilo, ni stąd, ni zowąd przypomniała mi się Kiz Martin. *Zgadza* się, dokładnie to pamiętam. Tak jakbym miał ją przed oczami, tuż przed sobą – tak jak wyglądała, kiedy wpakowali ją do karetki.

– Kiz Martin – mówi Beezer.

Myszą odwraca się w stronę Jacka.

– Kiz Martin to dziewczyna, z którą chodziłem, kiedy wszyscy byliśmy na uniwerku. Błagała nas, żeby mogła się z nami przejechać, i któregoś dnia Kajzer powiedział, że dobra, może pożyczyć jego brykę. Kiz miała bal, człowieku, to jej pasowało. A potem wladowała się na jakiś cholerny patyk, myślę, że to...

– Większy – poprawia go Doktorek. – Małą gałąź. Miała może dwa cale średnicy.

– Co wystarczy, żeby wypróbować, jak człowiek trzyma równowagę, zwłaszcza jak nie jest przyzwyczajony do motorów – mówi Myszą. – Przejechała po tej gałęzi, harley się wywrócił, a Kiz poleciała na drogę. Serce mi zamarło, człowieku.

– Wiedziałem, że już po niej, kiedy tylko dojechałem dość blisko, żeby zobaczyć, pod jakim kątem ma głowę – mówi Doktorek. – Nie było sensu próbować reanimacji. Przykryliśmy ją kurtkami, a ja pojechałem wezwać karetkę. Dziesięć minut później ją załadowali. Całe szczęście, że jeden z gości rozpoznał mnie ze stażu w izbie przyjęć, bo inaczej mogliby nam narobić kłopotów.

– Zastanawiałem się, czy naprawdę byłeś lekarzem – mówi Jack.

– Skończyłem staż specjalizacyjny z chirurgii w klinice Uniwersytetu Illinois i dałem sobie siana z tym wszystkim. – Doktorek uśmiecha się do niego. – Towarzystwo tych gości i nauka warzenia piwa wydawała się o wiele ciekawsza niż całe dni krojenia ludzi.

– Myszą – mówi Beezer.

– No. Właśnie dojeżdżałem do zakrętu i tak się poczułem, jakby Kiz stała przede mną, tak wyraźnie ją widziałem. Miała zamknięte oczy i przegiętą głowę jak liść, który za chwilę spadnie. Och, człowieku, powiedziałem sobie, nie to mam ochotę zobaczyć właśnie w tej chwili. Poczulem od nowa to wszystko – to samo co wtedy, kiedy Kiz poleciała na drogę. Mdlący strach. To dobre określenie, mdlący strach. No, minęliśmy zakręt, a ja słyszę, że gdzieś w lesie warczy pies. Nie tylko warczy, ale *warczy*. Jakby tam było dwadzieścia wielkich psów, wszystkie wściekle jak cholera. Łeb zaczął mnie boleć tak, jakby miał się rozlecieć. Patrzę przed siebie, czy nie wyskoczy na nas zgraja wilków albo coś takiego, i mija

chwila, zanim dochodzi do mnie, że te niesamowite cienie przede mną to dom. Czarny dom. Mała Nancy wali mnie w plecy i trzepie po głowie, wrzeszcząc, żebym się zatrzymał. Wierzcie mi, od razu stoję, bo wcale nie chcę podjeżdżać tam bliżej. Zatrzymuję motor, a Mała Nancy zeskakuje i puszcza pawia na pobocze. Zwiesza głowę i znowu rzyga. Czuję się, jakbym miał nogi z gumy, jakby coś ciężkiego gniotło mi pierś. Ten stwór, cokolwiek to było, dalej wariuje w lesie i jest coraz bliżej. Znowu wyglądam na koniec drogi, a ten paskudny czarny dom ciągnie się w las, jakby się w niego wciskał, tyle że stoi nieruchomo. Im dłużej na niego patrzę, tym robi się większy. Potem widzę, że tańczą dookoła niego te migoczące światełka. Wyglądają groźnie – Trzymaj się z dala, mówią do mnie, wynocha stąd, Myszą. Pod gankiem jest druga tablica WSTĘP WZBRONIONY, a ona, człowieku... jakby błyskała, jakby chciała powiedzieć TYM RAZEM MÓWIĘ POWAŻNIE, STARY. Łeb mi pęka na pół, ale wsadzam Małą Nancy na motor, ona się na mnie wali jak balast, na szczęście się trzyma. Odpalam brykę, zawracam i wio. Kiedy wróciliśmy do mnie, Nancy kładzie się do łóżka i nie wychodzi z niego przez trzy dni. Miałem wrażenie, że prawie nic nie zapamiętałem z tego, co się działo. W moim umyśle wszystko zrobiło się jakieś ciemne. I tak ledwie miałem czas się nad tym zastanowić, bo Mała Nancy zachorowała i musiałem się nią zajmować, kiedy tylko nie byłem w pracy. Doktorek coś jej tam nadawał, żeby zbić jej temperaturę, i zrobiło się jej lepiej, więc mogliśmy pić piwko, palić trawkę i jeździć jak wcześniej, ale już nigdy nie doszła do siebie. Pod koniec sierpnia zrobiło się z nią znowu gorzej i musiałem położyć ją w szpitalu. Chociaż ciężko walczyła, w drugim tygodniu września Mała Nancy odeszła.

– Jak duża była Mała Nancy? – pyta Jack, wyobrażając sobie kobietę mniej więcej rozmiarów Myszy.

– Mała Nancy była mniej więcej wzrostu i postury Tansy Freneau – mówi Myszą, który wygląda na zaskoczonego tym pytaniem. – Mogłem ją unieść jedną ręką.

– I nigdy o tym z nikim nie rozmawiałeś – mówi Jack.

– Jak mogłem o tym rozmawiać? – pyta Myszą. – Najpierw wariowałem ze zmartwienia o Małą Nancy, a potem wszystko wyleciało mi z głowy. Jak spotyka cię jakieś niesamowite gównno, to ci się tak robi, człowieku. Wymazuje ci się z pamięci.

– Wiem dokładnie, o co ci chodzi – mówi Jack.

– Chyba ja również – mówi Beezer. – Powiedziałbym jednak, że Absolutny Kwas kompletnie ci popierdolił na jakiś czas rzeczywistość. Tyle że rzeczywiście widziałeś to miejsce – Czarny Dom.

– Cholerna racja – mówi Myszą.

Beezer skupia się na Jacku.

– A ty twierdzisz, że ten pojeb, ten Rybak, go zbudował. – Jack przytakuje. – No to może tam mieszka i porozstawiał jakieś bajery, żeby odstraszyć ludzi.

– Niewykluczone.

– No to myślę, że Myszą powinien wybrać się z nami na trzydziestkępiątkę. Zobaczymy, czy uda się nam znaleźć tę dróżkę, o której mówił. Jedziesz z nami?

– Nie mogę – odpowiada Jack. – Muszę najpierw zobaczyć kogoś w Arden, kto, jak sądzę, również może nam pomóc. Ta kobieta stanowi kolejny element układanki, ale nie mogę wam tego wyjaśnić, dopóki się z nią nie spotkam.

– Ta kobieta coś wie?

– O, tak – mówi Jack. – Coś wie.

– W porządku – mówi Beezer i podnosi się ze stołka. – Twój wybór. Musimy z tobą później pogadać.

– Beezer, chcę być z wami, kiedy wejdziecie do Czarnego Domu. Cokolwiek tam zrobimy, cokolwiek zobaczymy... – Jack urywa, starając się znaleźć odpowiednie słowa. Beezer kołysze się na piętach, ledwo się hamuje, by od razu nie ruszyć na poszukiwania legowiska Rybaka. – Będę wam tam potrzebny. W tej sprawie kryje się o wiele więcej, niż sobie wyobrażasz, Beezer. Niedługo dowiesz się, o czym mówię, i wtedy zrozumiesz – myślę, że wszyscy zrozumiecie – ale gdybym wam teraz spróbował wyjaśnić, tobyście mi nie uwierzyli. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będziecie potrzebowali mojej pomocy w przeprawie, o ile się nam powiedzie. Będziecie zadowoleni, że macie mnie ze sobą. Jesteśmy teraz w punkcie zwrotnym i żaden z nas nie chciałby chyba wszystkiego zepsuć.

– Dlaczego myślisz, że mógłbym wszystko zepsuć? – pyta Beezer zwodniczo łagodnym tonem.

– Każdy by zepsuł, gdyby nie miał wszystkich elementów układanki. Jedźcie. Zobaczcie, czy Myszą zdoła odnaleźć dom, który widział dwa lata temu. Przyjrzyjcie się mu. Nie wchodźcie do środka – bo muszę być przy tym. Kiedy się rozejrzycie, wracajcie tutaj, a ja spróbuję się pospieszyć. Powinienem wrócić o wpół do trzeciej, najpóźniej o trzeciej.

– Gdzie będziesz w Arden? Może będę chciał do ciebie zadzwonić.

– W szpitalu French County Lutheran. Oddział D. Jeśli mnie nie zastaniesz, zostaw wiadomość doktorowi Seligmanowi.

– Oddział D, co? – mówi Beezer. – Dobra, domyślam się, że dzisiaj wszyscy powariowali. I myślę, że wystarczy mi rzut oka na ten dom, dopóki mogę liczyć, że dzisiaj po południu wyjaśnisz wszystkie rzeczy, na które jestem za głupi.

– Jeszcze trochę cierpliwości, Beezer. Jesteśmy coraz bliżej. Poza tym nigdy nie twierdziłem, że jesteś głupi. Co to, to nie.

– Myślę, że byłeś cholernie dobrym gliniarzem – mówi Beezer. – Chociaż wydaje mi się, że połowa tego, co mówisz, to brednie, mimo wszystko ci wierzę. – Odwraca się i wali pięściami w kontuar. – Śmierzący Ser! Już bezpiecznie! Możesz wywlec swój błąd tyłek z kuchni.

Rozdział dziewiętnasty

Jack wyjeżdża za Pjerońską Piątką z parkingu i na jakiś czas zostawimy go samego; kieruje się na północ drogą 93 w stronę punktu widokowego Judy Marshall i oddziału zamkniętego, na którym przebywa. Podobnie jak Jack, harleyowcy kierują się ku nieznanemu, lecz ich nieznane leży na zachód, przy drodze 35, w krainie systematycznie gromadzącej się przeszłości; my zaś pragniemy dowiedzieć się, co tam znajdują. Mężczyźni ci nie wyglądają na zdenerwowanych; wciąż emanują pewnością siebie, z jaką wpadli do Łachy. W gruncie rzeczy nigdy nie okazują nerwowości, ponieważ w sytuacjach, w których innych ludzi ogarnęłoby zmartwienie lub lęk, oni reagują użyciem siły. Również strach wpływa na nich odmiennie niż na innych ludzi: w tych rzadkich chwilach, w których go doznają, z reguły przyjmują go z zadowoleniem. W ich oczach strach stanowi zesłaną przez Boga okazję do wypróbowania, jak funkcjonują w grupie. Wskutek godnej podziwu solidarności przynosi to zdumiewające efekty. Dla tych z nas, którzy nie są członkami motocyklowego gangu ani korpusu piechoty morskiej, solidarność oznacza niewiele więcej niż wypływający ze współczucia impuls, który skłania do pocieszania pogrążonego w rozpacz przyjaciela; dla Beezera i jego wesołej trzódki jest to pewność, że ktoś zawsze osłania cię z tyłu. Są zdani na swoją pomoc i zdają sobie z tego sprawę. Dla Pjerońskiej Piątki hasło: „Kupą, panowie; kupy nikt nie ruszy” jest świętą prawdą.

Mimo to nie doświadczyli jeszcze niczego podobnego do spotkania, ku któremu mkną. Czarny Dom jest dla nich czymś nowym, a nowość ta – niezwykłość historii Myszy – zapuszcza macki w trzewia ich wszystkich.

Osiem mil na zachód od Centralii, gdzie płaski teren wokół budowanego trzydzieści lat temu przez Potsiego osiedla ustępuje miejsca długiej połaci lasu, sięgającej aż po Dom Maxtona, Myszą i Beezer wyjeżdżają przed pozostałych. Beezer od czasu do czasu ogląda się na przyjaciela, zadając bezgłośnie pytanie. Gdy Myszą kręci głową za trzecim razem, po chwili macha w tył dłonią, co ma oznaczać: Przestań się czepiać, sam ci powiem, jak dojedziemy. Beezer zwalnia i zostaje w tyle; Sonny, Kajzer Bill i Doktorek automatycznie przyjmują, że jest to sygnał dla nich i rozciągają się w pojedynczy rząd.

Jadący na czele kolumny Myszą ciągle odrywa wzrok od drogi, by przyglądać się jej prawemu poboczu. Wie, że niewielką odnogę trudno wypatrzeć, a do tej pory na pewno zarosła bardziej niż dwa lata temu. Stara się dostrzec białą, poobijaną tablicę: WSTĘP WZBRONIONY. Ją również mogą częściowo zasłaniać świeże chwasty. Myszą zwalnia do trzydziestu pięciu mil na godzinę. Czterech mężczyzn za nim dostosowuje się do zmiany prędkości z wprawą będącą efektem wieloletniej praktyki.

Jako jedyny z Pierońskiej Piątki Myszą widział już cel ich wyprawy; w najgłębszych zakątkach duszy prawie nie może uwierzyć, że jedzie tam znowu. Z początku ucieszyła go łatwość i szybkość, z jaką wspomnienia wypłynęły z ciemnej krypty pamięci; obecnie zamiast uczucia, że bez wysiłku odzyskał utracony kawałek życia, ma wrażenie, że znalazł się na łasce tamtego zapomnianego popołudnia. Ówczesne poważne niebezpieczeństwo – a Myszą nie wątpi, że otarła się o niego dłoń jakiejś potężnej, wrogiej siły – staje się obecnie wielkim zagrożeniem. Pamięć przekazuje przygnębiający wniosek, który tak dawno od siebie odepchnął: iż koszmarna budowla, którą Jack Sawyer nazywa Czarnym Domem, zabiła Nancy Hale równie pewnie, jakby posypały się na nią jej belki. Ohyda Czarnego Domu emanuje trującymi oparami. Mała Nancy umarła od niewidzialnych trucizn, pokrywających ostrzegającą dłoń; Myszą musi teraz zmierzyć się z tą świadomością. Wciąż czuje na ramionach ręce Nancy, których drobne kości pokrywa gnijące ciało.

Gdybym miał pięć stóp trzy cale zamiast sześciu stóp dwóch cali i ważył sto pięć funtów zamiast dwustu dziewięćdziesięciu, teraz też bym gnął, myśli.

Myszą może rozglądać się za wąską drogą i tablicą przy niej wzrokiem pilota myśliwca, ale musi je zobaczyć ktoś inny, bo on nigdy tego nie zdoła. Jego podświadomość przeprowadziła głosowanie, a decyzja, która zapadła, była jednogłośnie.

Wszyscy pozostali mężczyźni – Sonny, Doktorek, Kajzer, a nawet Beezer – również skojarzyli śmierć Małej Nancy z Czarnym Domem i w ich głowach kłębią się podobne myśli dotyczące wzrostu i wagi jej i Myszy. Sonny Cantinano, Doktorek Amberson, Kajzer Bill Strassner, a zwłaszcza Beezer St. Pierre zakładają, że otaczające Czarny Dom toksyny zostały upichcone w laboratoriach przez istoty ludzkie świadome tego, co robią. Czterej mężczyźni czerpią prymitywną pociechę ze swego towarzystwa, którym cieszą się od czasów college'u; jeśli cokolwiek wzbudza w nich odrobinę niepokoju, to to, że Myszą Baumann, a nie Beezer kieruje ich kolumną. Chociaż Beezer usłuchał się rozkazującego gestu i został w tyle, pozycja Myszy dyskretnie sugeruje rebelię, bunt: ład wszechświata został subtelnie zakłócony.

Dwadzieścia jardów od końca gruntów Domu Maxtona Sonny postanawia położyć kres tej farsie. Dodaje gazu swojemu softailowi, mija z rykiem przyjaciół i zrównuje się z Myszą. Myszą ogląda się na niego z odrobiną niepokoju, a Sonny nakazuje mu gestem zjechać na pobocze.

– Co cię ugryzło, Sonny? – pyta Myszą, gdy wszyscy się już zatrzymali.

– Ty – mówi Sonny. – Albo przegapiłeś boczną drogę, albo zupełnie ci się popierdoliła twoja historia.

– Mówiłem, że nie mam pewności, gdzie to jest. – Stwierdza z prawie niewymowną ulgą, że martwe ręce Małej Nancy nie zaciskają się już na jego barkach.

– Oczywiście. Byłeś nawalony kwasem!

– Dobrym kwasem.

– No, tam dalej nie ma żadnej drogi, tyle wiem na pewno. Do domu starych pierdołów są już tylko drzewa.

Myszą przygląda się jezdni przed sobą, jakby droga rzeczywiście mogła się tam ciągnąć, chociaż wie doskonale, że jest inaczej.

– Kurwa, Myszą, dojechaliśmy do samego miasta. Widać stąd Queen.

– No – mówi Myszą. – Dobra.

Myśli, że gdyby dojechał do ulicy Queen, to martwe dłonie już nigdy by się na nim nie zacisnęły.

Beezer podprowadza swoją electrę glide do niego.

– Co dobra, Myszą? – pyta. – Zgadzasz się, że to gdzieś wcześniej lub zupełnie gdzie indziej?

Myszą marszczy czoło i ogląda się na drogę, którą przyjechali.

– Cholera, myślę, że to gdzieś tam, chyba że tamtego dnia zupełnie mi się pokręciło.

– Rany, jak mogło do tego dojść? – pyta Sonny. – Przyglądałem się każdemu calowi ziemi, którą mijaliśmy, i nie wypatrzyłem żadnej drogi, to pewne jak cholera. A ty, Beezer? A tablice z zakazem wjazdu – widziałeś jakiegokolwiek?

– Nie kapujecie – mówi Myszą. – To gówno nie chce być widziane.

– Może powinienes być pojechać na oddział D z Sawyerem – mówi Sonny. – Tamtejsi goście doceniają wizjonerów.

– Przymknij się, Sonny – rzuca Beezer.

– Byłem tam wcześniej, a wy nie – odzywa się Myszą. – Który z nas wie, o czym mówimy?

– Mam dosyć waszej gadaniny – podsumowuje Beezer. – Nadal myślisz, że to gdzieś tutaj, Myszą?

– O ile sobie przypominam, tak.

– W takim razie się zagapiliśmy. Wracamy i sprawdzimy jeszcze raz, a jeśli nie znajdziemy drogi, to poszukamy gdzie indziej. Jeśli tu jej nie ma, to jest między dwoma dolinami, przez które biegnie dziewięćdziesiątkatrójka albo w lasach na stoku przed punktem widokowym. Mamy mnóstwo czasu.

– Skąd ta twoja pewność? – pyta Sonny.

Dyskretny lęk przed tym, na co mogą się natknąć, czyni go wojowniczym. Wolałby wrócić do Łachy, wypić kufel „Królewskich Włości” i poprzyćcypiać się do Śmierdziała, zamiast marnować czas na tłuczenie się po drogach.

Beezer niemal miota błyskawice wzrokiem.

– Wiesz, gdzie jeszcze jest tutaj dość drzew, żeby to nazwać lasem?

Sonny natychmiast ustępuje. Beezer za nic się nie podda i nie wróci do Łachy. Beezer zaangażował się w to na dobre – głównie za sprawą Amy, ale częściowo również dzięki Jackowi Sawyerowi. Sawyer zrobił poprzedniego wieczora niesamowite wrażenie na Beezerze, o to chodzi, a teraz Beezer myśli, że każde słowo tego gościa to złoto. Dla Sonny’ego nie ma to żadnego sensu, ale Beezer dyktuje, co jest grane, więc na razie pewnie czekają ich manewry, jak koty w wojsku. Sonny postanawia pogadać z Myszą i Kajzerem, jeśli Beezer będzie dłużej niż kilka dni traktował glinę jak adoptowanego synalka. Bez względu na wszystko Doktorek zawsze opowie się po stronie Beezera, ale dwaj pozostali mogą usłuchać głosu rozsądku.

– No to dobra – mówi Beezer. – Dajemy sobie spokój z jechaniem do Queen. Wiemy, że na tym kawałku nie ma żadnej kurewskiej bocznej drogi. Zawracamy, skąd przyjechaliśmy, i próbujemy jeszcze raz. Tym razem jedziemy pojedynczo. Myszą, znowu prowadzisz.

Myszą kiwa głową i przygotowuje się na to, że znów poczuje martwe ręce na barkach. Dodając błyskawicznie gazu fat boyowi, wyjeżdża na jezdnię i zajmuje miejsce na czele szeregu. Beezer lokuje się za nim, dalej Sonny, a Doktorek i Kajzer plasują się na dwóch ostatnich pozycjach.

Pięć par oczu, myśli Sonny. Jeśli nie zobaczymy teraz drogi, to nie wypatrzymy jej nigdy. A nie zobaczymy, bo ta cholerna droga jest pół stanu dalej. Kiedy Myszą i jego babka nakręcali się Absolutnym Kwasem, potrafili pokonać setki mil i myśleć, że objechali blok.

Wszyscy przepatrują przeciwległą stronę drogi i skraj lasu. Pięć par oczu, jak ujął to Sonny, rejestruje nieprzerwaną linię dębów i sosen. Myszą narzucił tempo gdzieś pomiędzy szybkim marszem i umiarkowanym truchtem; drzewa ledwo pełzną po bokach. Przy tej prędkości motocykliści widzą łaty mchu pokrywające pnie dębów i plamy słońca na brązowym poszyciu, które przypomina warstwę zmiętego filcu. Za pierwszym, strażniczym rzędem drzew rozciąga się ukryty świat pionowych pni, snopów światła i zwisających konarów. W tym świecie ścieżki niebędące ścieżkami wiją się jak labirynt między grubymi pniami, prowadząc do tajemniczych polanek. Sonny nagle zauważa plemię wiewiórek, które wyczynia akrobacje pośród gałęzi splatających się w poszatowane sklepienie. Wraz z wiewiórkami w polu widzenia pojawia się istna ptaszarnia.

Wszystko to przypomina Sonny’emu gęste lasy Pensylwanii, w których krążył jako chłopiec, zanim jego rodzice sprzedali dom i przeprowadzili się do Illinois. Lasy te były dla niego urzekające tak jak żadne inne, które widział później w życiu. Nabiera coraz większego przekonania, że Myszy się wszystko pokręciło i szukają w niewłaściwym miejscu. Wcześniej

Sonny mówił o złych miejscach; jest pewny, że co najmniej jedno takie widział. Z jego doświadczeń wynika, iż złe miejsca dają ci znać, że jesteś w nich nieproszony, i że leżą zwykle w pobliżu granic.

Latem po ukończeniu gimnazjum Sonny i jego dwaj najlepsi kumple, wszyscy mający szajbę na punkcie motocykli, pojechali na swoich brykach do Rice Lake w Wisconsin. Sonny miał tam dwie kuzyneczki, laski na tyle efektowne, że mógł się nimi pochwalić przyjaciołom. Sal i Harry zachwycali się dziewczynami, a one uznały harleyowców za seksownych i egzotycznych. Po paru dniach Sonny rzucił jednak hasło przedłużenia wyprawy o tydzień i ruszenia w imię pogłębiania edukacji do Chicago, by tam przepuścić resztę forsy na piwo i panienki, potem mieli wrócić do domów. Sal i Harry zapalili się do tego pomysłu i po trzecim wieczorze w Rice Lake zapakowali juki na motory i z największym możliwym rykiem odjechali na południe. Do dziesiątej zdołali się kompletnie zgubić.

Może był to skutek piwa, może nieuwagi, ale z takiego czy innego powodu zjechali z głównej drogi i w głębokiej czerni wiejskiej nocy znaleźli się na skraju prawie nieistniejącego miasteczka o nazwie Harko. Nie można go było znaleźć na żadnej mapie kupionej na stacji benzynowej, ale musiało leżeć blisko granicy Illinois – z tej czy tamtej strony. Wyglądało na to, że Harko składa się z porzuconego motelu, walącego się sklepu wielobranżowego i pustego młyna. Kiedy dojechali do niego, Sal i Harry zaczęli się skarżyć na zmęczenie i głód; mieli ochotę zawrócić i przenocować w motelu.

Nie mniej od nich znużony Sonny usłuchał przyjaciół i w chwili, gdy zajechali na pograżony w ciemności dziedziniec motelu, ogarnęło go złe przeczucie, dotyczące tego miejsca. Powietrze wydało się mu cięższe, mrok ciemniejszy, niż powinien. Sonny miał wrażenie, że motel nawiedzają złowrogie niewidzialne istoty. Niemal je widział, jak przemykają się między domkami. Sal i Harry wyśmiali jego obawy: był tchórzem, ciotą, babą. Wyłamali drzwi i rozpostarli śpiwory na podłodze gołego, pełnego kurzu prostokątnego pokoju. Sal przeniósł swój na drugą stronę drogi i przespał się na łące.

Obudził go świt. Twarz miał mokrą od rosy. Zerwał się z ziemi, odlał w trawę i sprawdził, co z motocyklami po drugiej stronie drogi. Wszystkie trzy stały tam, gdzie je zostawili, pod wyłamanymi drzwiami, przekrzywione na nóżkach. Nieczynny neon nad wjazdem na dziedziniec głosił ALTANA NOWOŻEŃCÓW. Sonny przeszedł wąską drogę i przejechał dłonią po lśniącej wilgoci na czarnych siedzeniach, już odczuwając strach. Pchnął wyważone drzwi. Gdyby z początku rozum nie odmówił mu przyjęcia tego, co przekazywały oczy, na pewno by zemdlął na widok w środku.

Sal Turso siedział na podłodze z twarzą pokrytą smugami krwi i łez. Na jego kolanach spoczywała odcięta głowa Harry'ego Reilly'ego, a ocean krwi wsiąkał w posadzkę i znaczył ściany. Wiotkie, wyglądające na pozbawione stawów ciało Harry'ego leżało na wierzchu przesiąkniętego krwią śpiwora. Był nagi, Sal zaś miał tylko karmazynową od posoki koszulkę z krótkimi rękawami. Sal uniósł obie ręce – jedną dłoń z hołubionym przezeń nożem o długim

ostrzu i drugą pełną zebranej krwi – i zwrócił ku Sonny’emu zamarłą w grymasie twarz. „Nie wiem, co się stało – powiedział nieswoim, wysokim i skrzeczącym głosem. – Nie przypominam sobie, żebym to zrobił. Jak mógłbym tak postąpić? Pomóż mi, Sonny. Nie wiem, co się stało”.

Niezdolny wyrzec choćby słowo Sonny wycofał się i zwiął na motocyklu z taką prędkością, jaką tylko potrafił zeń wycisnąć. Nie orientował się jasno, dokąd jedzie, chciał jedynie znaleźć się dalej od Harko. Po przejechaniu dwóch mil dotarł do małego miasteczka – prawdziwego, w którym mieszkali ludzie – i ktoś zabrał go wreszcie do biura szeryfa.

Harko: to było złe miejsce. W pewnym sensie obydwaj kumple Sonny’ego z gimnazjum tam umarli, Sal Turso powiesił się bowiem w więzieniu stanowym pół roku po tym, jak dostał dożywocie za morderstwo drugiego stopnia. W Harko nie widać było czerwonoskrzydłych kosów ani dzięciołów. Nawet wróble omijały to miejsce.

A ten kawałek drogi 35? Nic, tylko miły, spokojny las. Powiem panu coś, senatorze: Sonny Cantinano widział Harko, a to tutaj to nie żadne Harko. Nawet się nie da go z nim porównać. Równie dobrze mogłoby leżeć w innym świecie. Zniecierpliwiony Sonny widzi wokół piękną, zadrzewioną okolicę. Można by ją nazwać minipuszczą. Sonny myśli, że klawo byłoby przyjechać tutaj któregoś dnia samemu, ukryć gdzieś harleya i po prostu pospacerować między wielkimi dębami i sosnami, czuć pod stopami wielką płachtę filcu, słuchać z zachwytem ptaków i obserwować świrięte wiewiórki.

Sonny spogląda na pełniące straż po przeciwnej stronie jezdni drzewa, a nawet jeszcze dalej, smakując zapowiedź przyszłej przyjemności, gdy w oko wpada mu coś białego, co lśni w ciemności pod olbrzymim dębem. Pochłonięty wizją spacerowania samemu pod zieloną powałą, niemal traktuje to jak sztuczkę światła, chwilową iluzję. Potem przypomina sobie, za czym ma się rozglądać, więc zwalnia, wychyla się w bok i widzi wyłaniającą się z gąszczu zarośli u podstawy dębu wielką, czarną literę W, naznaczoną dziurą po kuli. Sonny przejeżdża na drugą stronę drogi, a W rozrasta się we WSTĘP. Sonny nie wierzy własnym oczom, ale naprawdę ma przed sobą cholerną tablicę Myszy. Przejeżdża jeszcze kawałek i w jego polu widzenia pojawia się cały napis.

Sonny wrzuca jałowy bieg i wspiera stopę na ziemi. Mrok wokół dębu rozciąga się jak pajęczyna do następnego drzewa po tej stronie drogi – również dębu, chociaż nie tak wielkiego. Za plecami Sonny’ego Doktorek i Kajzer przejeżdżają przez środek drogi i hamują. Nie zwraca na nich uwagi i spogląda za Beezerem i Myszą, którzy ujechali już dalej i wciąż bacznie zagląдают między drzewa.

- Hej! – woła. Beezer i Myszą go nie słyszą. – Hej! Stańcie!
- Masz ją? – woła Doktorek.
- Pojeźdź po tych dupków i ich tu ściągnij – mówi Sonny.
- To tutaj? – pyta Doktorek, zagląając pomiędzy drzewa.
- A co, myślisz, że znalazłem trupa? Pewnie, że to tu.

Doktorek przyspiesza i zatrzymuje się tuż za wpatrującym się w las Sonnym.

– Widzisz ją, Doktorku? – krzyczy Kajzer Bill i on również przyspiesza.

– Nie – mówi Amberson.

– Stąd jej nie widać – informuje go Sonny. – Ruszysz tyłek i powiesz Beezerowi, żeby tu zawrócił?

– A dlaczego sam tego nie zrobisz, co? – odpowiada Doktorek.

– Bo jeśli stąd odjadę, to mogę, kurwa, nie znaleźć z powrotem tego miejsca – mówi Sonny.

Myszą i Beezer coraz bardziej się od nich oddalają.

– No, ja wciąż jej nie widzę – mówi Doktorek.

– Podejdź do mnie. – Sonny wzdycha. Doktorek podprowadza swojego fat boya równolegle do harleya Sonny'ego i wysuwa się kilka cali do przodu. – Tam – mówi Sonny, wskazując tablicę.

Doktorek mruży oczy i przechyla się, wystawiając głowę nad kierownicę motocykla Sonny'ego.

– Gdzie? Och, teraz widzę. Jest doszczętnie pokiereszowana.

Górna połowa tablicy jest zagięta i rzuca cień na dolną. Napatoczył się tu jakiś antyspołeczny typek i trzepnął ją kijem baseballowym. Jego starsi bracia, bardziej zaawansowani w przestępczej działalności, próbowali ją zabić ze swoich karabinków, a on zadał jedynie cios miłosierdzia.

– Gdzie niby ma być ta droga? – pyta Doktorek.

Sonny, dla którego to pytanie jest nieco kłopotliwe, wskazuje płaską połąkę mroku na prawo od tablicy, sięgającą do sąsiedniego, mniejszego dębu. Gdy na nią patrzy, ciemność traci dwuwymiarowość i uwypukla się w tył jak jaskinia czy wybita w powietrzu czarna dziura. Jaskinia czy też czarna dziura roztapia się i rozszerza, zamieniając w wąską gruntową drogę, która musiała tu być przez cały czas.

– To tutaj, pewne jak cholera – mówi Kajzer Bili. – Nie mam pojęcia, jak wszyscy mogliśmy ją przegapić za pierwszym razem.

Sonny i Doktorek spoglądają po sobie i uświadamiają sobie, że Kajzer dotarł do nich zbyt późno, by widzieć, jak droga pozornie zmaterializowała się z czarnej ściany grubości kartki papieru.

– To jakaś sztuczka – mówi Sonny.

– Wzrok musi się przyzwyczaić – dochodzi do wniosku Doktorek.

– Dobra – mówi Kajzer Bili. – Jak macie ochotę się kłócić, kto powie Myszy i Beezerowi, to wam tego oszczędzę.

Wrzuca bieg i wyrывa z miejsca jak posłaniec z pierwszej wojny światowej z gorącą depeszą z frontu. Do tego czasu Myszą i Beezer zatrzymali się daleko w przedzie i oglądają się, najwidoczniej usłyszawszy odgłos jego motocykla.

– Pewnie masz rację – mówi Sonny, oglądając się z niepokojem na Doktorka. – Wzrok musi się przyzwyczaić.

– Nic innego.

Mniej przekonani, niż mieliby ochotę, obydwaj mężczyźni rezygnują z dalszej dyskusji i przyglądają się, jak Kajzer Bili rozmawia z Beezerem i Myszą. Kajzer pokazuje na Sonny'ego i Doktorka, Beezer robi to po nim. Potem wskazuje ich Myszą, a Kajzer idzie za jego przykładem. Wygląda to jak debata w wyjątkowo uproszczonej wersji języka migowego. Gdy zdołali się ze sobą porozumieć, Kajzer Bili zawraca motocykl i nadjeżdża z rykiem silnika, a Beezer i Myszą dołączają tuż za nim.

Gdy Beezer nie jest na czele, zawsze ma się wrażenie nieporządku, nieładu.

Kajzer zatrzymuje się na skraju wąskiej jezdni. Beezer i Myszą hamują obok niego; ten ostatni dokładnie naprzeciwko rozstępu między drzewami.

– Dziwne, że aż tak ciężko ją dostrzec – mówi Beezer. – Tak czy inaczej, jest tutaj. Zaczynałem mieć wątpliwości, Myszą.

– Yhy – mówi Myszą.

Jego zwykła poza intelektualnego osiłka, nietraktującego świata poważnie, straciła całą siłę wyrazu. Mimo że jest ogorzwały odjazdy z odkrytą głową, teraz pobladł jak maślanka.

– Muszę powiedzieć wam prawdę, chłopaki – mówi Beezer. – Jeśli Sawyer ma rację, to chory pojeb, który wybudował tę chałupę, na pewno porozstawiał dookoła pułapki i najprzeróżniejsze niespodzianki. Było to dawno, ale jeśli naprawdę jest Rybakiem, ma więcej powodów niż kiedykolwiek, żeby nie wpuszczać ludzi do swojej chałupy. Musimy więc mieć oczy dookoła głowy. Najlepiej będzie, jeśli zajedziemy tam kupą, i to przygotowani. Przełóżcie broń tak, żebyście mogli ją łatwo wyciągnąć, dobra?

Beezer otwiera jeden z juków i wyciąga kolta kalibru 9 mm z okładziną z kości słoniowej i lufą z błękitnej stali. Odbezpiecza broń i wprowadza nabój do komory. Pod jego okiem Sonny wyciąga z torby masywne magnum .357. Doktor ma kolta takiego samego jak Beezer, a Kajzer Bili starego smitha and wesson .38 special, którego posiadaczem został jeszcze w latach siedemdziesiątych. Broń, której do tej pory używali wyłącznie na strzelnicach, wsuwają do kieszeni skórzanych kurtek. Niemający pistoletu Myszą poklepuje się po różnych nożach, które pochował z tyłu za paskiem, na biodrze, w przedniej kieszeni dżinsów i za cholewami obydwu wysokich butów.

– Dobra – mówi Beezer. – Jeśli ktokolwiek tam jest, usłyszy nas bez względu na to, jak się zachowamy. Może już nas usłyszał, więc nie ma sensu, żebyśmy próbowali się skradać. Ma to być agresywne wtargnięcie – czyli to, w czym jesteście dobrzy. Możemy wykorzystać szybkość. Zależnie od powitania postaramy się dotrzeć tak blisko domu, jak tylko się da.

– A jeśli nic się nie będzie działo? – pyta Kajzer. – No, jak tu wjedziemy i nikt nas nie zatrzyma, aż będziemy pod samym domem? Chodzi mi o to, że nie widzę żadnego powodu,

byśmy się z góry pietrali. No dobra, coś złego spotkało Myszę, ale... sami wiecie. Nie znaczy, że to się powtórzy.

– W takim razie nacieszymy się przejazdźką – mówi Beezer.

– Nie chcesz, żebyśmy zajrzeli do środka? – pyta Kajzer. – Może Rybak trzyma tam jakieś dzieciaki.

– On może tam być – odpowiada Beezer. – Jeśli tak, to bez względu na to, co powiedziałem Sawyerowi, bierzemy go. Lepiej żywego niż martwego, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby porządnie nadwerżyć mu zdrowie.

Spotyka się to z pomrukami aprobaty. Myszą opuszcza głowę i zaciska dłonie na kierownicy motocykla.

– Ponieważ Myszą już tu był, robi za szpicę. Doktorek i ja jedziemy za nim, a Kajzer i Sonny kryją nasze tyłki. – Beezer ogląda się na nich i dodaje: – Powiedzmy, sześćosiem stóp za nami, dobra?

Nie wystawiaj Myszy jako szpicy, to ty powinienes jechać pierwszy, przemyka Sonny'emu przez głowę, mówi jednak:

– W porządku, Beeze.

– Ustawcie się – poleca Beezer.

Jego towarzysze formują określony przez niego szyk. Każdy jadący szybko drogą 35 musiałby wcisnąć hamulce, żeby uniknąć najechania na co najmniej dwóch zwalistych mężczyzn na motocyklach, lecz droga pozostaje pusta. Wszyscy, włącznie z Myszą, dodają gazu i przygotowują się do ruszania. Sonny uderza pięścią w rękę Kajzera i spogląda w ciemny tunel między drzewami.

Wielka wrona ląduje z łopotem skrzydeł na niskiej gałęzi, przekrzywia głowę i jakby zagląda wprost w oczy Sonny'emu. Wie, że wrona musi patrzeć na nich wszystkich, ale nie może pozbyć się złudzenia, że ptak patrzy właśnie na niego, a w jego czarnych, nienasyconych ślepkach płąsa złowroga radość. Nieprzyjemne uczucie, że wronę bawi jego widok, sprawia, że Sonny ma ochotę wyciągnąć magnum.

Zamienię cię w kupę krwawego pierza, malutka.

Bez rozpościerania skrzydeł wrona skacze w tył i znika między dębowymi liśćmi.

– JEDZIEMY! – woła Beezer.

W momencie gdy Myszą rusza z miejsca, ręce Małej Nancy zaciskają się na jego ramionach. Jej szczupłe kości ugniatają skórę kurtki wystarczająco mocno, by zostawić mu sińce. Chociaż wie, że to niemożliwe – nie można pozbyć się tego, co nie istnieje – nagły rozbłysk bólu sprawia, że próbuje strząsnąć Nancy. Podciąga ramiona i kołysze kierownicą, wskutek czego motocykl się zatacza. Gdy wpada w zagłębienie, dłonie Małej Nancy wbijają się jeszcze głębiej. Myszą prostuje się, a ona razem z nim, obejmuje kościstymi rękami jego

pierś i rozpląszcza się o plecy. Jej czaszka miażdży mu kark; czuje, jak jej zęby przebijają mu skórę.

Dla Myszy jest tego za wiele. Wiedział, że Nancy pojawi się ponownie, ale nie spodziewał się, że weźmie go w kleszcze. Mimo szybkości, z jaką jedzie, ma wrażenie, że porusza się przez substancję cięższą i bardziej lepłą niż powietrze, jakiś syrop, który go spowalnia i nie daje poruszać się dalej. Zarówno on, jak i motocykl wydają się nienaturalnie ciężcy, jakby grawitacja na wąskiej drodze była większa niż gdziekolwiek indziej. Czuje łomotanie w głowie i natychmiast znowu słyszy psa warczącego w lesie po prawej stronie. Podejrzewa, że zniósłby wszystko, gdyby nie to, co zatrzymało go ostatnim razem, kiedy jechał tą dróżką – martwa kobieta. Wtedy była to Kiz Martin; obecnie nieboszczką jest Mała Nancy. Jedzie razem z nim, wałąc go po głowie, łomocząc w bok i po uszach. Czuje, jak jej zęby rozluźniają uścisk na karku i wbijają się przez kurtkę w lewy bark. Jedną rękę wystawia przed niego, a Myszę aż mrozi groza, gdy dociera do niego, że ramię naprawdę widać. Strzępy skóry trzepoczą na długich kościach; dostrzega białe robaki, wijące się w nielicznych resztkach mięsa.

Dłoń sprawia wrażenie kościstej i zarazem miękkiej jak gąbka, klepie go w policzek i przesuwa się wyżej po twarzy. Myszą nie potrafi dłużej się kontrolować; ogarnia go osłepiająca panika i traci panowanie nad motocyklem. Gdy wjeżdża w prowadzący do Czarnego Domu zakręt, koła już niebezpiecznie się przekrzywiają, a gdy szarpie się ze wstrętu, traci możliwość odzyskania równowagi.

Motocykl się wywraca, a Myszą słyszy w odległości zaledwie kilku jardów warczenie psa. Harley przygniata mu lewą nogę i wlecze go wraz z upiorną pasażerką. Kiedy Myszą spostrzega wylaniający się z ciemnego zakątka między drzewami Czarny Dom, gnijąca ręka zakrywa mu oczy. Jego krzyk to wysoki, cienki odgłos, ginący w pełnym furii szczekaniu psa.

Kilka sekund po wjechaniu na drogę Beezer czuje, że powietrze gęstnieje i krzepnie wokół niego. To jakaś sztuczka, mówi sobie, złudzenie wywołane w mózgu pieprzonymi jadami Rybaka. Wierząc, że pozostali nie ulegną temu złudzeniu, podnosi głowę i za szerokimi plecami oraz dreadami Myszy widzi, że około pięćdziesięciu jardów dalej droga zakręca w lewo. Gęste powietrze zdaje się ciążyć Beezerowi na ramionach i barkach. Czuje, że dostaje potężnego bólu głowy, w życiu takiego nie doświadczył: tępe, uporczywe pulsowanie, wnikające w mózg i rozprzestrzeniające się od palącego punktu za oczami. Beezer poświęca pół sekundy uwagi Doktorowi; sądząc po tym, co widać, Doktor jakoby sobie radzi. Spojrzenie na szybkościomierz informuje Beezera, że jadą z prędkością trzydziestu pięciu mil na godzinę i przyspieszają, więc w chwili wjazdu w zakręt powinni osiągnąć sześćdziesiąt.

Po lewej warczy jakiś pies. Beezer wyciąga pistolet z kieszeni i nasłuchuje warczenia, które nie cichnie, gdy zbliżają się do zakrętu. Obręcz bólu w głowie rozszerza się i nasila; Beezer ma wrażenie, jakby wypychał mu on oczy na zewnątrz, sprawia, że wychodzą z orbit.

Wielki pies – musi to być pies, bo cóż by innego? – jest coraz bliżej, a wściekłość, wyczuwalna w wydawanych przez niego odgłosach, sprawia, że Beezer widzi w duchu olbrzymi, miotający się na boki łeb z gorejącymi czerwonymi oczami i strugami śliny, ściekającymi z rozdziawionego pyska, który wypełniają wielkie jak u rekina zęby.

Jego skupienie rozprasza dwa zdarzenia: pierwszym jest widok wchodzącego w zakręt Myszy, który rzuca się w przód i tył na siedzeniu, jakby starał się poskrobać plecami o gęstniejące powietrze; drugim – znaczne nasilenie się nacisku za oczami. Zaraz po tym, jak widzi, że Myszą nieuchronnie się przewróci, naczynia krwionośne w jego gałkach ocznych eksplodują. Pole widzenia Beezera pogrąża się w głębokim szkarłacie i niemal od razu w absolutnej czerni. W jego głowie odzywa się ohydny głos: *Amy ziadła mi na kolanach i mnie objęta. Zdedzydowałem zieją zjeżdż. Jak gopata i zię, zię, zię żarpata. Ucluziiemją na źmierdź...*

– Nie! – krzyczy Beezer.

Wypychający mu oczy głos zamienia się w chrapliwy chichot. Przez niecałą sekundę Beezerowi staje przed oczami wysoka, pogrążona w półmroku jednooka istota, pod której kapeluszem czy też kapturem błyskają zęby...

...a świat nagle wywija kozła i Beezer ląduje płasko na plecach z motocyklem przygniatającym piersi. Wszystko, co widzi, jest zabarwione na ciemnoczerwone i zdaje się wibrować. Myszą krzyczy, a gdy Beezer ogląda się w tę stronę, widzi, że jego towarzysz leży na czerwonej drodze, ku niemu zaś gna wielki, czerwony pies. Beezer nie może namacać swojego pistoletu; poleciał gdzieś w las. Wygrzebuje się spod motocykla, wrzeszcząc sam nie wie co. Obok przemyka czerwony Doktor na czerwonym harleyu, o mało co nie powalając Beezera z powrotem na ziemię. Słyszy strzał, po chwili kolejny.

Doktor widzi, że Beezer patrzy na niego, dlatego stara się nie okazywać, jak bardzo zbiera się mu na mdłości. W jego żołądku wrą pomyje; jelita zwijają się jak wściekle. Ma wrażenie, że jedzie pięć mil na godzinę, tak gęste i zatęchłe jest powietrze. Nie wie, czemu jego głowa waży trzydzieści czy czterdzieści funtów – byłoby nawet ciekawie, gdyby potrafił zatrzymać rozgrywającą się wokół niego katastrofę. Powietrze jakby się skupiało, tężało, aż wreszcie bum, głowa Doktora zamienia się w superciężką kulę do kręgli, która chce stoczyć się mu z piersi. Z boku pomiędzy drzewami rozlega się potężne warczenie i Doktor o mało nie ulega odruchowi wymiotnemu. Niejasno zdaje sobie sprawę, że Beezer wyciąga pistolet. Domyśla się, że powinien zrobić to samo, ale częścią problemów Doktora jest to, że w jego głowie ożyło wspomnienie dziecka, Daisy Temperly. Wspomnienie to paraliżuje jego wolę.

W trakcie stażu chirurgicznego w klinice uniwersyteckiej w Urbanie Doktor przeprowadził pod nadzorem prawie sto najrozmaitszych operacji i asystował przy drugich stu. Wszystkie przebiegły pomyślnie, aż wreszcie na salę operacyjną wwieziono Daisy

Temperly. Jej przypadek był skomplikowany, lecz niespecjalnie trudny czy zagrażający życiu i polegał na przeszczepach kostnych oraz innego rodzaju naprawach. Daisy składano po poważnym wypadku samochodowym; wcześniej przeszła już dwie operacje. Dwie godziny po rozpoczęciu zabiegu ordynatora, opiekuna Doktorka, wywołano do pilnej operacji; Doktor musiał radzić sobie sam. Częściowo dlatego, że nie spał od czterdziestu ośmiu godzin, częściowo wskutek tego, iż wyczerpany wyobrażał sobie, że jedzie po autostradzie z Beezerem, Myszą i innymi nowymi przyjaciółmi, popełnił błąd – nie podczas operacji, ale po niej. Zlecając dziewczynce podawanie leków, pomylił dawkę i dwie godziny później Daisy Temperly już nie żyła. Doktor mógł zrobić różne rzeczy, żeby uratować swoją karierę, ale z wszystkich zrezygnował. Pozwolono mu dokończyć staż specjalizacyjny, po czym na dobre rzucił medycynę. Rozmawiając z Jackiem Sawyerem, niezmiernie uprościł kierujące nim motywy.

Doktor nie potrafi opanować zamętu panującego w jego trzewiach. Odwraca głowę i podczas jazdy wymiotuje. Nie po raz pierwszy rzyga za kierownicą, ale tym razem w sposób najbardziej niechlujny i bolesny. Ciężar kuli od kręgli na karku sprawia, że nie może go wyprostować, więc wymioty ochlapują mu prawy bark i ramię. To, co się zeń wydobywa, wydaje się żywe, zębate i opatrzone pazurami. Nie zaskakuje go widok krwi zmieszanej z wymiocinami. Żołądek skręca mu się z bólu.

Doktor mimowolnie zwalnia, a gdy przyspiesza i ponownie patrzy przed siebie, widzi, jak Myszą wali się na zakręcie i daje się wlec motocyklowi. Uszy Doktorka przekazują szum, przypominający odległy wodospad. Myszą krzyczy niewyraźnie; równie niejasno do Doktorka dociera wołanie Beezera: „Nie!”. Tuż potem Beeze wpada prosto na wielki głaz czy inną podobną przeszkodę, bo jego electra glide odrywa się od podłoża, wywija kozła w stężonym powietrzu i wali się na kierowcę. Doktorowi przemyka przez głowę, że ich wyprawa doszczętnie się pochrzała. Cały świat się wywichnął, a ich pięciu ugrzęzło po szyje w gównie. Doktor robi jedyną sensowną rzecz: wyciąga z kieszeni wierną dziewiątkę i stara się wykombinować, do czego by tu najpierw przygrzać.

Czuje łupnięcie bębneków, a dźwięki wokół niego natychmiast ożywają. Myszą wciąż skrzeczy. Doktor nie potrafi dojść, jak do tej pory przegapił rwetes psa, bo nawet mimo wycia silników i krzyków Myszy owo przemieszczające się warczenie to najgłośniejszy odgłos w lesie. W ich stronę pędzi kurewski pies Baskerville'ow, a Myszą i Beezer są wyłączeni z gry. Sądząc po hałasie, to bydlę musi być wielkie jak niedźwiedź. Doktor wymierza pistolet prosto przed siebie i prowadząc jedną ręką, mija wyczołgującego się spod motocykla Beezera. Ten koszmarny hałas... Doktor wyobraża sobie psa wielkości niedźwiedzia, rozdziawiającego szczęki i odgryzającego Myszy głowę, ale natychmiast wyrzuca z myśli tę wizję. Wydarzenia dzieją się zbyt szybko, a jeśli nie będzie uważał, to te szczęki zacisną się na nim.

Ma ledwie czas pomyśleć: To nie zwyczajny pies, nawet wielki...

...gdy coś olbrzymiego i czarnego wypada pomiędzy drzew po prawej stronie i po przekątnej rzuca się w stronę Myszy. Doktorek pociąga za spust, a na odgłos wystrzału zwierzę częściowo się obraca i *szczyrzy* do niego zęby. Doktorek widzi wyraźnie tylko parę szkarłatnych ślepi i otwartą czerwoną paszczę z długim jęzorem i mnóstwem ostrych, psich zębów. Wszystko inne jest rozmazane i niewyraźne, o zarysach tak nieostrych, jakby przesłaniał je wirujący woal. Błyskawica stężonej zgrozy, tak czystej i ostrej jak tania wódka, przenika od jelit do jąder Doktorka; tylne koło jego motocykla się ślizga. Staje – wyhamował wyłącznie dzięki instynktowi. Wmawia sobie, że nic nie widzi – jak można zobaczyć czarnego psa w środku nocy?

Stwór znowu zawraca i mknie ku Myszy.

Nie ma ochoty mnie atakować, bo mam pistolet, a za sobą dwóch kumpli, myśli Doktorek. Jego głowa i ramiona jakby znowu stały się o kolejne czterdzieści funtów cięższe, ale walczy z mięśniami, unosi broń i strzela po raz drugi. Tym razem wie, że trafił w stwora, który jednak na trafienie reaguje jedynie momentalnym zboczeniem z kursu. Wielka plama jego łba pochyła się nad Myszą. Warczenie staje się jeszcze głośniejsze, z otwartej paszczy wylatują srebrzyste płachty psiej śliny. Pies macha czymś, co przypomina ogon.

Gdy Doktorek ponownie zagląda w czerwoną mordę, jego odwaga słabnie, ramiona robią się jeszcze cięższe i ledwie daje radę utrzymać uniesioną głowę. Czuje, jakby zapadał się w tę szkarłatną paszczę; pistolet zwisa w jego bezwładnej ręce. Przez moment, który wlecze się w nieskończoność, ta sama dłoń wypisuje zlecenie dla Daisy Temperly. Stwór podchodzi w stronę Myszy. Doktorek słyszy furiacko przeklinającego Sonny'ego. Głośna detonacja po jego prawej stronie ogłusza go, świat pogrąża się w całkowitej ciszy. Proszę bardzo, mówi sobie Doktorek. Ciemność w południe.

Sonny'ego ciemność atakuje w tym samym momencie co przeszywający ból w głowie i brzuchu. Jego ciało przeszywa pojedynczy pał męczarni, zjawisko tak nieporównywalne z niczym i natężone, że Sonny zakłada, iż to on wymazał dzienne światło. Razem z Kajzerem Billem są osiem stóp za Beezerem i Doktorkiem i około piętnastu stóp od początku drogi. Kajzer puszcza kierownicę i łapie się za skronie. Sonny doskonale rozumie, co czuje jego towarzysz: przez czubek głowy wbito mu czterostopowy kawałek rozżarzonej do czerwoności żelaznej rury, która sięga do jelit i spala wszystko na swojej drodze.

– Ej, człowieku – jęczy.

Mimo cierpienia zauważa, że powietrze jak gdyby zamieniło się w breję, jakby poszczególne cząsteczki tlenu i dwutlenku węgla stały się tak lepkie, iż przywierają mu do skóry. Po chwili widzi, że źrenice oczu Kajzera znikają pod powiekami, i zdaje sobie sprawę, że jadący obok niego człowiek właśnie traci przytomność. Chociaż bardzo cierpi, musi coś zrobić, żeby ochronić Kajzera. Sonny wyciąga rękę w stronę jego motocykla, obserwując znikające pod górnymi powiekami tęczęwki Kajzera, któremu krew chlusta / nosa; osuwa się

w tył na siedzeniu i stacza w bok z motocykla. Przez kilka sekund harley wlecze go za nogę, która zaczęła się o kierownicę, ale but zsuwa się mu ze stopy, a motocykl nieruchomieje.

Rozżarzona do czerwoności sztaba żelaza zdaje się przebijać żołądek Sonny'ego. Nie ma wyboru: pozwala drugiemu motocyklowi się przewrócić, jęczy, zgina się w bok i wymiotuje, ma wrażenie, że zwraca wszystkie zjedzone w życiu posiłki. Gdy nic nie zostaje mu w środku, żołądek boli go mniej, ale jakiś olbrzym postanowił wbijać mu w czaszkę wielkie haki szynowe. Sonny koncentruje się na swoim harleyu. Ma wrażenie, jakby stał w miejscu. Nie rozumie, jak może jechać naprzód, ale patrzy na zachlapaną krwią prawą rękę na kierownicy i jakoś utrzymuje się w siodełku, gdy harley przyspiesza. To moja krew? – zastanawia się i przypomina sobie dwie czerwone flagi, rozwijające się z nozdrzy Kajzera.

Narastający w tle hałas zamienia się w ryk podchodzącego do lądowania boeinga 747. Sonny wie, że absolutnie nie ma ochoty oglądać zwierzęcia wydającego takie odgłosy. Myszą trafił w dziesiątkę: to złe, złe miejsce, tej klasy co czarujące miasteczko Harko w Illinois. Nie ma ochoty na kolejne Harko. Jedno wystarczyło. To dlaczego jedzie dalej, zamiast zawrócić i pognać w stronę słonecznego spokoju drogi 35? Dlaczego wyciąga wielki pistolet z kieszeni? Proste. Bez względu na to, jak bardzo napieprza go łeb, nie zamierza dopuścić, żeby ten piesodrztowiec pokancerował mu kumpli.

Olbrzym wciąż wbija te haki po pięć dolców, podczas gdy Sonny przyspiesza i rozgląda się zmrużonymi oczyma po drodze przed sobą, starając się dojść, co jest grane. Ktoś krzyczy; nie potrafi zidentyfikować kto. Mimo warczenia słyszy dźwięk przewracającego się motocykla i ściska się mu serce. Beezer zawsze powinien jechać jako szpica, myśli, inaczej sami się napraszamy, żeby oberwać. Rozbrzmiewa głośny huk wystrzału. Sonny zmusza się do przeciskania między lepkiemi cząsteczkami powietrza i po kolejnych pięćdziesięciu sekundach widzi Beezera, który boleśnie dźwiga się obok swojego przewróconego motocykla. Kilka stóp za Beezerem pojawia się zwalista sylwetka Doktorka, siedzi okrakiem na harleyu i mierzy z dziewiątki do czegoś na drodze przed nim. Doktorek naciska spust i z lufy pistoletu bucha czerwony płomień.

Czując się bardziej obity i bezużyteczny niż kiedykolwiek w życiu, Sonny zeskakuje z jadącego motocykla i podbiega do Doktorka, starając się wyrzeć za niego. Pierwszy dostrzega odbłysek światła na motocyklu Myszy, maszyna leży na boku dwadzieścia stóp dalej w centralnym punkcie zakrętu. Potem Sonny dostrzega Myszę, kumpel szoruje tyłkiem po ziemi, byle się znaleźć dalej od jakiegoś zwierzęcia, którego Sonny nie widzi dokładnie – z wyjątkiem ślepi i zębów. Nie zdając sobie sprawy z padającego z jego ust potoku przekleństw, Sonny wali w stwora ze swego magnum, mijając Doktorka.

Doktorek stoi w miejscu; jest na deskach, a sędzia odlicza. Niesamowity zwierz na drodze właśnie zaciska zęby na nodze Myszy. Wyrwie mu kawał mięsa wielkości hamburgera, ale Sonny trafia stwora pociskiem z wydrążonym czubkiem – trochę za szpanerskim na trening na strzelnicy, ale w danych okolicznościach stanowiącym doskonały wybór, dziękuję bardzo.

Zwierzę zostaje zepchnięte na bok i przestaje się interesować nogą Myszy, ale impet uderzenia nawet nie powala go na ziemię. Myszą wyje z bólu.

Pies błyskawicznie się obraca i wpatruje w Sonny'ego czerwonymi ślepiami wielkości piłek baseballowych. Otwiera paszczę z nierównymi białymi zębami i kłapie nią w powietrzu. Pasma śliny zwisają mu ze szczęk. Stwór opuszcza bary i posuwa się naprzód. Jego warczenie w zdumiewający sposób robi się jeszcze głośniejsze i zajadlejsze. Sonny pojmuje ostrzeżenie: jeśli odwróci się, by uciec, jest następny w karcie dań.

– Pierdol się – mówi i strzela w paszczę zwierzęcia.

Cały łeb powinien rozlecieć się na krwawe ochłapy, lecz sekundę po wystrzale z magnum nic się nie zmienia.

Och, kurwa, myśli Sonny.

Ślepia nibypsa rozpalają się, a jego dziki łeb o klinowatym kształcie wydaje się wyłaniać jak poskładany z kawałków ciemności w powietrzu. Jakby odsunięto częściowo na bok atramentową zasłonę. Sonny dostrzega gruby kark, przechodzący w mięsiste bary i silne przednie nogi. Może nastąpił punkt zwrotny, może okaże się, że tego potwora da się mimo wszystko załatwić, myśli. Zaciska lewą dłoń na nadgarstku prawej, celuje w pierś nibypsa i oddaje kolejny strzał. Po detonacji ma wrażenie, jakby uszy wypchano mu watą. Wszystkie wbite w głowę haki szynowe rozgrzewają się jak spirale elektryczne, oślepiający ból zawodzi między jego skrońmi.

Z mostka zwierzęcia tryska ciemna krew. W środku duszy Sonny'ego Cantinaro ożywa czyste, prymitywne uczucie triumfu. Konsolidują się kolejne części potwora, pojawia się szeroki grzbiet i zarys tylnych łap. Nibypies nie jest żadnej dającej się rozpoznać rasy i ma cztery i pół stopy wysokości – rozmiary gigantycznego wilka. Kiedy rusza w kierunku Sonny'ego, ten strzela znowu. Dźwięk wystrzału jak echo powtarza się gdzieś z tyłu; koło piersi zwierzęcia kula śmiga jak osa z turbodoładowaniem.

Stwór zatacza się w tył, utykając na zranionej nodze. Wpija w Sonny'ego rozwścieczony wzrok. Sonny ryzykuje obejrzenie się przez ramię i widzi stojącego w rozkroku na środku drogi Beezera.

– Nie patrz na mnie, strzelaj! – krzyczy Beezer.

Jego głos jakby obudził Doktora, który podnosi rękę i celuje. Wszyscy trzej po chwili pociągają za spusty, a wąska droga zaczyna przypominać strzelnicę w ruchliwy dzień. Nibypies (piekielny ogar, myśli Sonny) utykając cofa się jeszcze krok i otwiera szeroko straszliwą paszczę, by wydać wycie wściekłości i zawodu. Zanim dobiega końca, stwór podkula tylne łapy, przeskakuje przez drogę i znika w lesie.

Fala ulgi i wyczerpania powoduje, że Sonny mało nie mdleje. Doktor obraca się i strzela w ciemność za drzewami, aż Beezer kładzie mu rękę na ramieniu i każe przestać. Powietrze cuchnie kordytem i zwierzęcym odorem, piżmowym i obrzydliwie słodkim. Bładoszary dymek nabiera niemal białej barwy, rozpraszając się w ciemniejszym powietrzu.

Beezer zwraca znękaną twarz z karmazynowymi białkówkami w stronę Sonny'ego.

– Trafiłeś tego kurewskiego zwierzaka, tak?

Przez kłęby waty w uszach Sonny'ego głos Beezera wydaje się mu cichy i brzęczący.

– Tak, kurwa. Co najmniej dwa razy, może trzy.

– A ja i Doktorek trafiliśmy go po razie. Diabli nadali, co to było?

– Zgadza się: diabli nadali – mówi Sonny.

Płaczący z bólu Myszą powtarza po raz trzeci „Pomocy!”, nim wreszcie pozostali go słyszą. Poruszając się powoli i przyciskając ręce do tych części ciała, które bolą ich najbardziej, kuśtykają po drodze i klękają przy towarzyszu. Prawa nogawka dżinsów Myszy jest poszarpana i przesiąknięta krwią. Jego twarz wykrzywiona jest cierpieniem.

– Co, zasrańcy, głusi jesteście?

– Prawie – mówi Doktorek. – Powiedz mi, że nie trafiliśmy cię w nogę.

– Nie, ale to chyba cud. – Myszą krzywi się i raptownie ze świstem wciąga powietrze między zębami. – Tak jak strzelaliście. Szkoda, że nie daliście rady wycelować, zanim ugryzł mnie w nogę.

– Ja dałem radę – mówi Sonny. – Tylko dlatego jeszcze ją masz.

Myszą spogląda na niego, po czym kręci głową.

– Co z Kajzerem?

– Stracił około litra krwi i zemdlął – informuje go Sonny.

Myszą wzdycha, jakby dziwował się słabości istot ludzkich.

– Myślę, że powinniśmy spróbować wydostać się z tego cholernego szamba.

– Nic ci nie jest w nogę? – pyta Beezer.

– Nie jest złamana, jeśli o to ci chodzi. Ale i nie jest w porządku.

– Co z nią? – pyta Doktorek.

– Nie mogę powiedzieć – odpowiada Myszą. – Nie odpowiadam na medyczne pytania zarzyganych facetów.

– Dasz radę jechać?

– Tak, kurwa; widziałeś, Beezer, żebym kiedyś nie mógł jechać?

Beezer i Sonny zachodzą go z boków i z wielkim trudem podnoszą z ziemi. Kiedy puszczają jego ramiona, Myszą zatacza się kilka kroków w bok.

– Tak nie powinno być – mówi.

– Błyskotliwa myśl – rzuca Beezer.

– Beeze, stary brachu, wiesz, że masz oczy, no, całe czerwone? Wyglądasz, kurwa, jak Dracula.

Czterech mężczyzn zaczyna się spieszyć, na tyle, na ile to możliwe. Doktorek chce obejrzeć nogę Myszy; Beezer chce się upewnić, że Kajzer Bili żyje. Wszyscy chcą wydostać się z tego miejsca gdzieś, gdzie normalnie świeci słońce. Głowy pulsują im bólem, mięśnie

bolą z wysiłku. Nie są przekonani, czy przypominający psa stwór nie szykuje się do kolejnego ataku.

Podczas gdy rozmawiają, Sonny podnosi fat boya Myszy i podprowadza go do właściciela. Myszą przejmuje kierownicę i pcha motocykl, krzywiąc się z bólu. Beezer i Doktorek wracają po swoje harleje, a sześć stóp dalej Sonny wyciąga swój motocykl z kępy chwastów.

Beezer uświadamia sobie, że kiedy był na zakręcie, nie popatrzył w stronę Czarnego Domu. Przypomina sobie słowa Myszy: „To gównu nie chce być widziane”. Uznaje, że Myszą ujął to dokładnie tak, jak trzeba: Rybak nie chciał, żeby się tu zjawili, i nie chciał, żeby widziano jego dom. Wszystkie inne myśli wirują mu w głowie tak jak wtedy, gdy usłyszał w niej ohydny głos. Beezer jest wszakże pewny jednego: nie pozwoli, by Jack Sawyer cokolwiek dłużej przed nim ukrywał.

Po chwili przychodzi mu do głowy straszna myśl.

– Czy cokolwiek dziwnego – naprawdę niezwykłego – was spotkało, zanim ten pies z piekła rodem wyskoczył z lasu? – pyta. – To znaczy, poza fizycznymi doznaniem.

Spogląda na Doktorka, który się rumieni. Halo? – myśli Beezer.

– Odpierdol się – rzuca Myszą. – Nie będę o tym rozmawiał.

– Jestem z Myszą – dodaje Sonny.

– Domyślam się, że odpowiedź brzmi: tak – mówi Beezer.

Kajzer Bili leży z boku drogi z zamkniętymi oczyma i plamami krwi na przedzie od szyi po pas. Powietrze nadal jest szare i lepkie; ciała mężczyzn wydają się ważyć po tysiąc funtów, a motocykle toczyć na ołowianych kołach. Sonny podprowadza harleja do wyciągniętego na ziemi Kajzera i kopie go niezbyt delikatnie w żebra. Kajzer otwiera oczy i jęczy.

– Kurwa, Sonny – mówi. – Kopnąłeś mnie. – Powieki mu trzepoczą. Podnosi głowę z ziemi i spostrzega krew przesiąkającą jego ubranie. – Co się stało? Dostałem?

– Zachowałeś się jak bohater – mówi Sonny. – Jak się czujesz?

– Parszywie. Gdzie oberwałem?

– A skąd mam wiedzieć? – pyta Sonny. – Chodź, spadamy stąd.

Mijają ich kolejno pozostali. Kajzer Bili dźwiga się na nogi i po kolejnym tytanicznym wysiłku podnosi motocykl. Jest zdumiony, jak bardzo boli go głowa i ile stracił krwi. Popycha motor ścieżką. Kiedy mija ostatnie drzewa i dołącza do kumpli przy drodze 35, w oczy kłuje go nagła jasność. Ciało wydaje się mu tak lekkie, że mógłby poszybować, i o mało co znowu nie mdleje.

– Chyba nie oberwałem – mówi.

Nikt nie zwraca na niego uwagi. Doktorek pyta Myszę, czy chce jechać do szpitala.

– Co ty, człowieku. W szpitalu ludzie umierają.

– Daj, przynajmniej obejrzę twoją nogę.

– Świetnie, oglądaj.

Doktorek klęka na skraju drogi i podciąga nogawkę dzinsów Myszy. Obmacuje goleń zaskakująco delikatnie, lecz jego przyjaciel się krzywi.

– Myszą – mówi. – Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby pies tak ugryzł.

– A ja nigdy nie widziałem takiego psa.

– Jakiego psa? – pyta Kajzer.

– Ta rana jest jakaś dziwna – mówi Doktor. – Potrzebujesz antybiotyku, i to natychmiast.

– Nie masz antybiotyków?

– Pewnie, że mam.

– No to jedźmy do Beezera i będziesz mógł mnie całego naszpikować igłami.

– Jak sobie życzysz – mówi Doktor.

Rozdział dwudziesty

Mniej więcej w tym czasie, gdy Myszą i Beezer nie zauważają za pierwszym przejazdem wąskiej bocznej drogi z tablicą: WSTĘP WZBRONIONY u jej wylotu, Jack Sawyer reaguje na irytujący dźwięk swojego telefonu komórkowego, mając nadzieję, że rozmówcą okaże się Henry Leyden z informacjami o głosie człowieka, który zadzwonił pod numer 911. Nie spodziewa się, że Henry zidentyfikuje głos, chociaż byłoby to cudowne; RybakBurnside jest w wieku Potsiego, a Jack nie podejrzewa, że stary łotr prowadzi bujne życie towarzyskie, tu czy w Terytoriach. Henry może jednak zaprząć swój doskonale wyczulony słuch do scharakteryzowania niuansów głosu Burnside'a i opisać, co w nim wyczuł. Gdybyśmy nie wiedzieli, że wiara Jacka w zdolność przyjaciela do wychycenia niesłyszalnych dla innych ludzi cech szczególnych i powtarzających się motywów jest usprawiedliwiona, mogłaby się ona wydać równie irracjonalna jak wiara w magię; Jack jest pewny, że wypoczęty Henry Leyden zidentyfikuje przynajmniej jeden czy dwa kluczowej wagi szczegóły, które zawężą pole poszukiwań. Wszystko, co Henry wychyci, będzie dla Jacka interesujące.

Jeśli telefonuje do niego ktokolwiek inny, zamierza go spławić, i to szybko.

Odpowiadający na jego powitanie głos doprowadza go jednak do zrewidowania planów. Chce z nim rozmawiać Fred Marshall, mówi tak napiętym głosem i tak nieskładnie, że Jack prosi go, żeby zwolnił i zaczął od nowa.

– Judy znowu odbija – mówi Fred. – Po prostu... szaleje i bredzi, wariuje jak przedtem, stara się rozdrapać ściany – och, Boże, wsadzili ją w pasy, a ona nie może tego znieść, stara się pomóc Tylerowi. To wszystko przez tę taśmę. Chryste, trudno sobie już z tym wszystkim poradzić. Panie Sawyer, to znaczy Jack, wiem, że gadam jak najęty, ale naprawdę się martwię.

– Nie mów mi, że ktoś przysłał jej taśmę z telefonem pod dziewięćset jedenaście – mówi Jack.

– Nie, nie... pod jakie dziewięćset jedenaście? Mówię o tej, którą doręczono jej dzisiaj w szpitalu. Zaadresowaną do Judy. Potrafisz uwierzyć, że pozwolili jej wysłuchać tej taśmy? Mam ochotę udusić doktora Spiegelmana i tę pielęgniarkę, Jane Bond. Co się z nimi dzieje?

Przyszła taśma, mówią, och jeju, mamy dla pani miłą kasetę, pani Marshall, może jej pani sobie posłucha, chwileczkę, zaraz wracam z magnetofonem. Na oddziale dla psychicznie chorych? Nie zadali sobie nawet trudu, żeby ją wcześniej przesłuchać? Posłuchaj, cokolwiek robisz, będę dozgonnie wdzięczny, jeśli pozwolisz mi po sobie przyjechać; pojedziemy tam. Może z nią porozmawiasz. Jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi ją uspokoić.

– Nie musisz po mnie przyjeżdżać, bo już jestem w drodze. Co było na kasecie?

– Nie rozumiem. – Fred Marshall nagle w znacznym stopniu odzyskał jasność umysłu. – Dlaczego jedziesz tam beze mnie?

Po chwili namysłu Jack kłamie w żywe oczy:

– Myślałem, że już tam będziesz. Szkoda, że cię tam nie ma.

– Miałbym dość rozumu, żeby sprawdzić tę kasetę, zanimbym pozwolił, by ją przesłuchała. Wiesz, co na niej było?

– Rybak – mówi Jack.

– Skąd wiesz?

– Bo uwielbia się komunikować – odpowiada Jack. – Bardzo była zła?

– Dowiem się dopiero wtedy, gdy mi powiesz. Na razie poskładałem tylko co nieco z tego, co dowiedziałem się od Judy i co powiedział mi później doktor Spiegelman. – Głos Freda Marshalla zaczyna drżeć. – Rybak się z nią drażnił. Potrafisz w to uwierzyć? Powiedział: „Twój chłopczyk jest bardzo samotny”. Potem powiedział coś w stylu: „Błaga mnie przez cały czas, żebym zadzwonił do domu i pozdrowił mamusię”. Tyle że Judy mówi, że Rybak ma niesamowicie obcy akcent albo wadę wymowy, albo coś, bo trudno go było od razu zrozumieć. Potem mówi: „Pozdrów mamusię, Tyler”, a Tyler... – Fredowi tamie się głos, a Jack styszy, jak dusi w sobie udrękę, nim kontynuuje: – Tyler... ach, Tyler był najwidoczniej zbyt przerażony, żeby powiedzieć cokolwiek poza wołaniem o pomoc. – W słuchawce rozlega się długi, niepewny wydech. – I płakał, Jack, płakał.

Nie potrafiąc powstrzymać dłużej uczuć, Fred Marshall zaczyna płakać otwarcie i bez skrępowania. Oddech rzeźmi mu w gardle; Jack słucha wszystkich pozbawionych godności, bezradnych, wilgotnych odgłosów, jakie wydają ludzie, u których rozpacz i żal tłumią wszelkie inne uczucia, i serce ściska się mu ze współczucia dla Freda Marshalla.

– Przepraszam. – Szloch cichnie. – Czasami myślę, że to mnie trzeba wziąć w pasy.

– Co było na końcu taśmy?

– On odezwał się znowu. – Fred przez chwilę zipie hałaśliwie, zbierając myśli. – Chwalił się, co zamierza zrobić. „Bendzie wiendzej morderrstw, i jeżdżę wiendzej, Czudi, wszyzdzy bendziemy zię zwiędnie bawidź” – Spiegelman cytował mi to śmiecie! Dzieci z French Landing zostaną skoszone jak łąn pszenicy. „Zgożone jak łąn brzenidzy”. Kto tak mówi? Co to za człowiek?

– Sam chciałbym wiedzieć – odpowiada Jack. – Może Rybak udaje akcent, by sprawić wrażenie jeszcze straszniejszego. Albo żeby ukryć swój prawdziwy głos. – Nigdy nie maskuje

swojego głosu, myśli Jack, zbyt zachwyca się sobą, żeby kryć się za akcentem. – Muszę zabrać taśmę ze szpitala i sam jej posłuchać. Zadzwonię do ciebie, kiedy tylko będę miał jakieś informacje.

– Jeszcze jedno – mówi Marshall. – Prawdopodobnie popełniłem błąd. Mniej więcej godzinę temu przyjechał do mnie Wendell Green.

– Wszystko, co wiąże się z Wendellem Greenem, to pomyłka. No, co się stało?

– Zachowywał się tak, jakby wiedział wszystko o Tylerze i potrzebował tylko, żebym to potwierdził. Pomyślałem, że musiał to usłyszeć od Dale’a albo detektywów z policji stanowej, ale Dale jeszcze nie ujawnił, co nas spotkało, prawda?

– Wendell ma sieć gnid dostarczających mu informacji. Jeśli cokolwiek wie, to właśnie od nich. Co mu powiedziałaś?

– Niemal wszystko – przyznaje Marshall. – O taśmie też. Och, Boże, ale ze mnie dureń, ale myślałem, że nic się nie stanie, że i tak wszystko wyjdzie na jaw.

– Czy powiedziałaś mu cokolwiek o mnie, Fred?

– Tylko tyle że Judy ci ufa i że obydwoje jesteście ci wdzięczni za pomoc. I że z tego, co wiem, to masz ją odwiedzić dzisiaj po południu.

– Wspominałeś o czapce baseballowej Tylera?

– Bierzesz mnie za wariata? Jeżeli o mnie chodzi, to dotyczy tylko ciebie i Judy. Nie zamierzam mówić o tym Wendellowi Greenowi, nawet jeśli tego nie rozumiem. Przynajmniej wyduбіłem od niego obietnicę, że będzie się trzymał z daleka od Judy. Ma wspaniałą opinię, ale czuję, że nie jest tak świetny, za jakiego uchodzi.

– Oględnie mówiąc – odpowiada Jack. – Będę w kontakcie.

Gdy Fred Marshall się rozłącza, Jack wybiera numer Henry’ego.

– Mogę się trochę spóźnić, Henry. Jadę do French County Lutheran. Judy Marshall dostała taśmę od Rybaka i jeśli pozwolą mi ją zabrać, to ci ją przywiozę. Dzieje się coś dziwnego – z tego, co się dowiedziałem, Rybak na tej kasecie gada z jakimś obcym akcentem.

Henry mówi mu, że nie ma się co spieszyć. Nie przesłuchał jeszcze pierwszej taśmy i zaczeka z tym, aż Jack przyjedzie z drugą. Jeśli posłucha ich po kolei, może wychwycić coś przydatnego. Przynajmniej będzie w stanie powiedzieć Jackowi, czy nagrał je ten sam człowiek.

– I nie martw się o mnie, Jack. Niedługo przyjedzie pani Morton, żeby zabrać mnie do KDCU. Dzisiaj na maselko na chleb zarabia dla mnie George Rathbun, malutki – sześcioma czy siedmioma reklamami. „Nawet ślepy wie, że dzisiaj wieczorem chcesz uraczyć swoje kochanie, swoją lubą, gołąbeczkę, żonusię, swoją najlepszą przyjaciółkę w tłustych i chudych czasach, mmmniem, pyszną kolacją, a nie ma lepszego sposobu, żeby okazać szacuneczek swojej kuli u nogi, niż zabrać ją do «Cousin Buddy’s Rib Crib» na ulicy South Wabash w pięknym śródmieściu La Riviere!”.

– Kuli u nogi?

– Płacisz za George’a Rathbuna, dostajesz George’a Rathbuna z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Jack mówi ze śmiechem Henry’emu, że zobaczą się później, i przyspiesza ramem do siedemdziesięciu mil na godzinę. Co Dale mu robi – wlepi mandat?

Jack zatrzymuje samochód przed szpitalem, zamiast wjechać na parking z tyłu, i szybkim krokiem idzie po betonie, a głowę wypełniają mu myśli o Terytoriach i Judy Marshall. Sprawy nabierają tempa, gnają naprzód, Jack zaś czuje, że wszystko skupia się wokół Judy – nie: Judy i niego. Rybak wybrał ich bardziej celowo niż trzy pierwsze ofiary: Amy St. Pierre, Johnny Irkenham i Tansy Freneau byli jedynie w odpowiednim wieku – nadałyby się jakiegokolwiek dzieci – ale Tyler to syn Judy Marshall, i to stawia go w odrębnej kategorii. Judy widywała Terytoria, Jack przez nie wędrował, Rybak zaś żyje w nich tak, jak rakowe komórki żyją w zdrowym organizmie. Rybak przysłał Judy taśmę, a Jackowi makabryczny prezent. U Tansy Freneau Jack myślał o Judy jako o drzwiach i kluczu, który je otwiera, a dokąd one prowadzą, jeśli nie do jej Oddali.

Oddal. Boże, miła nazwa. W istocie piękna.

Aach... słowo to wzbudza wspomnienie twarzy Judy, a gdy Jack widzi w duchu to oblicze, drzwi w jego umyśle, stanowiące jego wyłączną własność, stają otworem. Przez chwilę Jack Sawyer całkowicie nieruchomieje; wstrząs, trwoga i radosne oczekiwanie powodują, że zamiera na betonie sześć stóp od wejścia do szpitala.

Przez drzwi w jego umyśle wylewa się potok niepołączonych obrazów: zatrzymana pionowa karuzela, policjanci z Santa Monica kręcący się za żółtą taśmą, która otacza miejsce przestępstwa, światło odbijające się od łysej głowy czarnoskórego mężczyzny. Tak, łysej głowy Murzyna, której w istocie i naprawdę, w rzeczywistości wyjątkowo desperacko Jack nie chciał widzieć, więc przyjrzyj się uważnie, dzieciaku, skoro jest tu znowu. Była i gitara, ale gdzie indziej – gitara, należąca do wspaniałego, wymagającego, pocieszającego Speedy’ego Parkera, niech go Bóg błogosławi, niech go piekło pochłonie, niech Bóg go kocha, Speedy’ego, który dotykał jej strun i śpiewał:

Jacku Wędrowniczku, stary Jacku Wędrowniczku

Daleka droga cię czeka

A jeszcze dłuższa z powrotem

Światy wirują wokół Jacka, światy wewnątrz światów i inne, obok nich, oddzielone cienką błoną, złożoną z tysięcy tysięcy drzwi, jeśli tylko wie się, jak je odnaleźć. Tysiące tysięcy drobnych, czerwonych piór, piór rudzika o czerwonej piersi, piór setek ptaków, wypadło zza jednych z tych drzwi – drzwi Speedy’ego. *Rudzik, błękit jak u rudzika*, dziękuję ci, Speedy, i piosenka, mówiąca: *Obudź się, obudź, śpiochu*.

Albo: *Obudź się, obudź, M AT OLD*.

Jak w obłądnie Jack słyszy nie tak pogodne w tej chwili grzmienie George'a Rathbuna: *Nawet ŚLEEEPYby zobaczy l, że TO się szykuje, BARANIE!*

– Och, tak? – mówi na głos Jack. Dobrze, że siostra oddziałowa Jane Bond, Oddziałowy Bond, Agent Zero Zero Zero, nie może go usłyszeć. Jest twarda, ale i niesprawiedliwa, i gdyby się przed nim teraz pojawiła, to pewnie wsadziłaby go w dyby, nafaszerowała środkami uspokajającymi i zawlekła w swoje włości. – Cóż, wiem coś, czego ty się nawet nie domyślasz, siostrzyczko: Judy Marshall ma Dwójniczkę, która szeptała do niej przez ścianę od dość dawna. Nic dziwnego, że wreszcie zaczęła krzyczeć.

Rudowłosy nastolatek w koszulce drużyny ARDEN H.S. BASEBALL otwiera rzeczywiste drzwi sześć stóp przed Jackiem i rzuca mu ostrożne, zaniepokojone spojrzenie. Człowieku, dorośli są pogięci, mówi to spojrzenie. Ale się cieszę, że jeszcze dzieciak ze mnie! Ponieważ chłopak to uczeń gimnazjum, a nie przedstawiciel opieki psychiatrycznej, nie zakuwa naszego bohatera w dyby i nie wlecze go, nafaszerowanego prochami, do wyściełanej celi. Zamiast tego po prostu okrąża wariata szerokim łukiem i idzie dalej, aczkolwiek nieco sztywnym wskutek obawy krokiem.

W tym wszystkim chodzi oczywiście o Dwójników. Jack beszta się za swoją głupotę i wali kłykciami w skroń. Powinien wcześniej się tego domyślić; powinien natychmiast zrozumieć. Jeśli ma jakąś wymówkę, to taką, że z początku nie chciał myśleć o tej sprawie mimo starań Speedy'ego, żeby się ocknął, a potem tak pochłonęło go tropienie Rybaka, że do tego ranka, gdy zobaczył swoją matkę na wielkim monitorze w Łasze, nie przyszło mu do głowy zastanowić się, czy potwór ma Dwójnika. W dzieciństwie Judy Marshall jej Dwójniczka odzywała się do niej przez membranę pomiędzy dwoma światami; w ciągu minionego miesiąca strach narastał, aż wreszcie prawie sięgnęła oburącz przez tę błonę i potrząsnęła Judy, odbierając jej zmysły. Ponieważ Jack ma pojedynczą naturę – nie ma Dwójnika – analogiczne zadanie w jego przypadku przypadło Speedy'emu. Teraz, gdy wszystko zaczyna nabierać sensu, Jack nie potrafi uwierzyć, że tak wiele czasu zabrało mu zorientowanie się, o co chodzi.

Dlatego właśnie denerwował się na wszystko, co przeszkadzało mu w stanięciu przed Judy Marshall: Judy jest drzwiami do jej Dwójniczki, Tylera i zlikwidowania zarówno Rybaka, jak i jego odpowiednika w Terytoriach – budowniczego satanicznej, ognistej konstrukcji, którą wrona imieniem Gorg pokazała Tansy Freneau. Cokolwiek wydarzy się tego dnia na oddziale D, wstrząśnie posadami świata.

Z łomoczącym z oczekiwania sercem Jack przechodzi z intensywnego światła słońca do wielkiej, ochrowej przestrzeni holu. Ci sami pacjenci w szlafrokach wydają się siedzieć na tych samych krzesłach; w odległym rogu ci sami lekarze dyskutują o problematycznym przypadku lub, kto wie, trudnym do zaliczenia dziesiątym dołku w Arden Country Club. Te same złote lilie wznoszą czujne, okazałe głowy pod sklepem z podarunkami. Powtórka ta

uspokaja Jacka i sprawia, że przyspiesza kroku, ponieważ otaczając go, izoluje od nieprzewidzianych wydarzeń, jakie czekają na niego na czwartym piętrze.

Ten sam znudzony recepcjonista reaguje na to samo hasło identyczną, jeśli nie tą samą zieloną karteczką ze stemplem: GOŚĆ. Winda zdumiewająco podobna do tej w hotelu Ritz na placu Vendome, trzęsąc się, posłusznie i statecznie jak matrona pokonuje pierwsze, drugie i trzecie piętro, po drodze zatrzymuje się, by wpuścić wychudłego, młodego lekarza, przywodzącego na myśl Rodericka Ushera, a wreszcie wypuszcza Jacka na czwartym piętrze, gdzie piękne ochrowe światło wydaje się o odcień lub dwa ciemniejsze niż w wielkim holu na parterze. Od windy Jack pokonuje tę samą trasę co w towarzystwie Freda Marshalla: korytarzem, przez dwie pary podwójnych drzwi, obok stacji oddziału geriatrycznego, ambulatorium oftalmologicznego i archiwum – coraz bliżej niewidocznego nieprzewidzianego, podczas gdy korytarze stają się węższe i ciemniejsze. Wreszcie jak poprzednio Jack wchodzi do stuletniej sali z wysokimi, wąskimi jak szczapy oknami i mnóstwem drewna orzechowej barwy.

I tu czar pryska, gdyż sanitariusz, siedzący za wypolerowanym kontuarem, obecnie pełniący obowiązki strażnika tego królestwa, jest wyższy, młodszy i znacznie bardziej ponury od swego kolegi z poprzedniego dnia. Gdy Jack pyta o panią Marshall, młody jegomość spogląda z pogardą na tabliczkę z napisem: GOŚĆ i pyta, czy jest przypadkiem krewnym bądź też – kolejny rzut oka na tabliczkę – przedstawicielem personelu medycznego. Ani jednym, ani drugim, przyznaje Jack, lecz jeśli młody człowiek zada sobie trud poinformowania siostry Bond, iż pan Sawyer pragnie porozmawiać z panią Marshall, siostra na pewno raczy uchylić srogie metalowe drzwi i wpuścić go do wewnątrz, ponieważ mniej więcej to właśnie uczyniła poprzedniego dnia.

Wszystko pięknie i dobrze, jeśli przypadkiem to prawda, przyznaje młody jegomość, lecz siostra Bond nie będzie trudziła się otwieraniem drzwi ani wpuszczaniem do środka, jako że ma dzisiaj wolny dzień. Być może wczoraj, gdy pan Sawyer przybył w odwiedziny do pani Marshall, towarzyszył mu jakiś członek rodziny, powiedzmy pan Marshall?

Istotnie. Jeśli zatem trzeba spytać pana Marshalla, powiedzmy, przez telefon, pan Sawyer namawiałby młodego jegomościa, omawiającego właśnie sprawę w tak godzien pochwały odpowiedzialny sposób, aby wpuścił go i umożliwił rozwianie wątpliwości w ten właśnie sposób.

Być może, oznajmia młody jegomość, lecz szpitalny regulamin wymaga, by niemedyczny personel na takich jak on stanowiskach uzyskał pozwolenie na dzwonienie poza obręb placówki.

Od kogóż więc, życzy sobie wiedzieć Jack, można uzyskać takie pozwolenie?

Od siostry Rack, która pełni obowiązki pielęgniarki oddziałowej.

Jack, który zaczyna się, jak to mówią, zajeżdżać, sugeruje, by w takim wypadku młody jegomość odszukał wyśmienitą siostrę Rack i uzyskał od niej zgodę, by sprawy mogły potoczyć się w sposób, zgodny z wolą pana Marshalla, męża pacjentki.

Nie, młody jegomość nie widzi żadnego powodu, by obrać taką drogę postępowania, a to dlatego iż oznaczałoby to żalosną stratę czasu i energii. Pan Sawyer nie jest członkiem rodziny pani Marshall, wobec czego wyśmienita siostra Rack takiej zgody nie udzieli.

– Dobra – mówi Jack, mając ochotę udusić denerwującego go gnojka. – Przenosimy się o szczebel wyżej w hierarchii, dobrze? Czy doktor Spiegelman jest na oddziale?

– Może – odpowiada młody jegomość. – Skąd mam wiedzieć? Doktor Spiegelman nie opowiada mi się ze wszystkiego, co robi.

Jack wskazuje telefon w drugim końcu kontuaru.

– Nie spodziewam się, że pan wie; oczekuję, że się pan dowie. Proszę zadzwonić. Natychmiast.

Młody mężczyzna garbi się, przesuwa do telefonu, przewraca oczyma, naciska dwa klawisze z cyframi i opiera o blat plecami. Jack słyszy, że mruczy coś o Spiegelmanie, wzdycha.

– No dobrze, przełącz mnie czy coś – mówi i po uzyskaniu powtórnego połączenia mruczy coś, w czym figuruje nazwisko Jacka. Cokolwiek słyszy w odpowiedzi, sprawia, że prostuje się jak struna, ogląda przez ramię z wybałuszonymi oczyma na Jacka. – Tak, proszę pana. Jest tutaj, tak. Powiem mu. – Odkłada słuchawkę. – Doktor Spiegelman zaraz przyjdzie. – Chłopak – ma najwyżej dwadzieścia lat – odsuwa się i wpycha ręce w kieszenie. – To pan jest ten glina, hę?

– Jaki glina? – pyta wciąż zirytowany Jack.

– Ten z Kalifornii, który przyjechał tutaj i aresztował Kinderlinga.

– Tak, to ja.

– Jestem z French Landing. Rany, to był niezły szok. Dla całego miasta. Nikt by się nie domyślił. Pan Kinderling? Żarty sobie stroicie? Nikt by nie uwierzył, że on... no wie pan, zabijał ludzi.

– Znał go pan?

– No, w takim miasteczku jak French Landing wszyscy sporo o sobie wiedzą, ale tak naprawdę to go nie znałem, mówiłem mu najwyżej „dzień dobry”. Znałem jego żonę. Uczyła mnie w luteriańskiej szkółce niedzielnej Mount Hebron.

Jack nie potrafi się powstrzymać i śmieje się z niedorzecznego faktu, iż żona mordercy uczyła w szkółce niedzielnej. Wspomnienie promieniującej od Wandy Kinderling nienawiści pod jego adresem podczas odczytywania wyroku gasi jego śmiech. Zdaje sobie sprawę, że uraził młodego mężczyznę.

– Jaka była? – pyta. – Jako nauczycielka?

– Po prostu uczyła – mówi chłopak pozbawionym intonacji, wyrażającym niechęć głosem. – Kazała nam się wyuczyć na pamięć wszystkich ksiąg Biblii. – Odwraca się i mruczy: – Niektórzy myślą, że tego nie zrobił.

– Słucham?

Chłopak odwraca się do połowy w stronę Jacka, ale wbija wzrok w brązowy mur przed sobą.

– Powiedziałem, iż niektórzy myślą, że tego nie zrobił. Pan Kinderling. Myślą, że wylądował w więzieniu, bo jest tylko facetem z małego miasteczka, który nie miał tam żadnych znajomości.

– Fatalnie – mówi Jack. – Chce pan poznać prawdziwy powód, dla którego pan Kinderling trafił do więzienia? – Chłopiec odwraca się do reszty i przenosi wzrok na Jacka. – Bo był winien morderstw i się do nich przyznał. Tylko o to chodzi. Dwóch świadków widziało go na miejscu zbrodni, a dwaj inni byli z nim na pokładzie samolotu do Los Angeles, chociaż mówił wszystkim, że leci do Denver. Po tym wszystkim powiedział: „Tak, zrobiłem to. Zawsze chciałem wiedzieć, jak to jest zabić dziewczynę, więc poleciałem i zamordowałem dwie kurwy”. Jego adwokat chciał go wybronić przez wniosek o niepczytalność, ale ława przysięgłych podczas rozprawy uznała go za zdrowego psychicznie, więc wylądował w więzieniu.

Chłopak spuszcza głowę i coś mamrocze.

– Nie dosłyszałem – mówi Jack.

– Na mnóstwo sposobów można człowieka zmusić do przyznania się. – Chłopak powtarza zdanie na tyle tylko głośno, by dało sieje dosłyszeć.

W tej samej chwili rozlegają się kroki na korytarzu i do Jacka podchodzi pulchny mężczyzna w białym fartuchu, z siwą bródką i w okularach ze stalowymi oprawkami. Chłopak się odwrócił. Przepada okazja przekonania sanitariusza, że Jack nie wycisnął przyznania się Thornberga Kinderlinga siłą. Uśmiechnięty mężczyzna w białym fartuchu i z bródką ściska Jackowi rękę, przedstawia się jako doktor Spiegelman i oświadcza, że jest dla niego zaszczytem spotkać tak sławną personę. (Persona, persyflaż, myśli Jack). Zza lekarza wyłania się stojący krok za nim, do tej pory niewidoczny mężczyzna.

– Hej, doktorze, wie pan, co byłoby idealne? Gdybyśmy Pan Sławny i ja razem porozmawiali z panią Marshall. Dwa razy tyle informacji w dwa razy krótszym czasie – idealnie.

Jackowi wywraca się żołądek. Do gości na przyjęciu dołączył Wendell Green.

Powitawszy lekarza, Jack odwraca się do drugiego mężczyzny.

– Co pan tu robi, Wendell? Obiecał pan Fredowi Marshallowi, że będzie się pan trzymał z dala od jego żony.

Wendell Green unosi dłonie i tańczy na piętach.

– Jesteśmy dzisiaj spokojniejsi, poruczniku Sawyer? Nieskłonni rąbnąć w brzuch ciężko pracującego dziennikarza, co? Muszę powiedzieć, że trochę mi się zdruzżyły ataki policji.

– O czym pan mówi? – Doktor Spiegelman marszczy brwi.

– Wczoraj, zanim gliniarz zwałił mnie z nóg latarką, porucznik Sawyer uderzył mnie bez żadnego powodu w brzuch. Dobrze, że jestem rozsądnym człowiekiem, bo inaczej już składałbym pozwy do sądu. Ale wie pan co, doktorze? Ja tak nie postępuję. Wierzę, że wszystko ułoży się lepiej, jeśli będziemy ze sobą współpracować.

W połowie tej samochwalczej przemowy Jack myśli: Och, do diabła, i ogląda się na młodego sanitariusza. W oczach chłopaka goreje pogarda. Stracona sprawa: Jack wie, że teraz za nic nie przekona chłopaka, że nie traktował niewłaściwie Kinderlinga. Zanim Wendell Green kończy sobie gratulować, Jack ma po uszy jego fałszywej, lepkiej pogody ducha.

– Pan Green zaproponował mi dołączyć, jeśli pozwolę mu sprzedać fotografie zwłok Army Freneau – informuje lekarza. – To, o co teraz prosi, jest równie nie do pomyślenia. Pan Marshall prosił, żebym jak najszybciej przyjechał porozmawiać z jego żoną, natomiast na panu Greenie wymógł obietnicę, że nie przyjedzie.

– Technicznie może to prawda – mówi Green. – Jako doświadczony dziennikarz wiem, że ludzie często mówią rzeczy, których nie mają na myśli, i w końcu żałują. Fred Marshall rozumie, że historia jego żony wcześniej czy później wyjdzie na jaw.

– Naprawdę?

– Zwłaszcza w świetle ostatniego komunikatu Rybaka – mówi Green. – Ta taśma dowodzi, że Tyler Marshall jest czwartą ofiarą i że w jakiś cudowny sposób jeszcze żyje. Jak pan myśli, jak długo można to ukrywać przed społeczeństwem? I czy nie zgodzi się pan, że matka chłopca powinna mieć okazję wytłumaczyć sytuację własnymi słowami?

– Nie życzę sobie być obiektem takich nacisków. – Lekarz patrzy srogo na Greena i rzuca Jackowi ostrzegawcze spojrzenie. – Panie Green, jestem bardzo blisko zarządzenia, żeby wyrzuciono pana ze szpitala. Chcę omówić kilka spraw na osobności z porucznikiem Sawyerem. Jeśli uda się wam dwóm dojść do jakiegoś porozumienia, to wasza sprawa. Na pewno nie zgodzę się na wspólny wywiad z moją pacjentką. Nie jestem też wcale pewien, czy powinienem jej pozwolić na rozmowę z porucznikiem. Jest spokojniejsza niż dziś rano, ale jej stan nadal jest chwiejny.

– Najlepszy sposób, żeby poradzić sobie z jej problemem, to pozwolić jej się wyświadczyć – mówi Green.

– Niech pan w końcu zamilknie, panie Green – mówi Spiegelman. Podwójny podbródek pod jego kochliwą bródką nabiera ciepłego różowego odcienia. Patrzy niechętnie na Jacka. – O co konkretnie chce pan prosić, poruczniku?

– Ma pan gabinet w szpitalu, panie doktorze?

– Mam.

– W idealnych warunkach chciałbym porozmawiać około pół godziny, może mniej, z panią Marshall, w cichym, spokojnym otoczeniu, gdzie nasza rozmowa pozostanie całkowicie poufna. Pana gabinet zapewne idealnie się do tego nada. Na oddziale jest za wielu ludzi i nie da się rozmawiać, bo inni pacjenci przerywają lub słuchają, co się mówi.

– Mój gabinet – mówi Spiegelman.

– Jeżeli się pan zgodzi.

– Proszę ze mną – odzywa się lekarz. – Panie Green, proszę cofnąć się za kontuar, gdy będę wchodził z porucznikiem Sawyerem na korytarz.

– Jak pan sobie życzy – Green wykonuje szyderczy ukłon i lekko, niczym tancerz podchodzi do kontuaru. – Jestem pewny, że pod waszą nieobecność ja i ten miły młody człowiek znajdziemy jakiś temat do rozmowy.

Wendell Green opiera się łokciami o blat i patrzy, jak Jack i doktor Spiegelman wychodzą z holu. Słysząc stukanie ich kroków na korytarzu. Wreszcie zapada cisza. Wciąż uśmiechnięty Wendell Green wykonuje w tył zwrot i stwierdza, że sanitariusz otwarcie się na niego gapi.

– Cały czas pana czytam – mówi chłopak. – Naprawdę dobrze pan pisze.

– Miły i inteligentny. – Uśmiech Wendella staje się słodki jak cukierek. – Oszałamiająca kombinacja. Powiedz, jak się nazywasz.

– Ethan Evans.

– Ethan, mamy niewiele czasu, więc nie marudźmy. Czy uważasz, że odpowiedzialny przedstawiciel prasy powinien mieć dostęp do informacji, jakich potrzebuje społeczeństwo?

– Pewnie.

– I czy zgadzasz się, że poinformowana prasa to jeden z naszych najlepszych oręży w walce z takim potworem jak Rybak?

– Oręży? – Na czole między brwiami Ethana Evansa pojawia się pojedyncza pionowa zmarszczka.

– Pozwól mi ująć to następująco. Czy to prawda, że im więcej wiemy o Rybaku, tym większe mamy szansę go powstrzymać?

– Pewnie tak. Ale nie podoba mi się styl działania tego całego Sawyerera. To chodząca policyjna brutalność. Jak to, że bije się ludzi, żeby wydobyć z nich przyznanie się do winy. To właśnie brutalność.

– Mam dla ciebie następne pytanie. W istocie dwa. Czy w gabinecie doktora Spiegelmana jest szafa? I czy mógłbyś mnie tam zabrać jakąś inną drogą niż przez korytarz?

– No, może. Ale doktor Spiegelman... on...

W magiczny sposób wokół drugiego palca prawej dłoni Wendella Greena owija się banknot dwudziestodolarowy.

– Działaj szybko, to doktor Spiegelman nigdy się nie dowie. Racja, Ethan?

Ethan Evans chwyta banknot, daje znak, żeby Wendell przeszedł za kontuar, i otwiera drzwi.

– No dobra, spieszmy się – mówi.

Po obu stronach ciemnego korytarza palą się przyćmione światła.

– Domyślam się, że mąż pacjentki powiedział panu o taśmie, którą dostała dzisiaj rano?

– Powiedział. Wie pan, jak się tutaj znalazła?

– Proszę mi wierzyć, poruczniku, kiedy zobaczyłem, jaki efekt wywołała ta kasetka na pani Marshall i kiedy sam jej wysłuchałem, próbowałem dowiedzieć się, jak dotarła do mojej pacjentki. Cała poczta przechodzi przed dostarczeniem przez szpitalną kancelarię, cała – bez względu na to, czy jest adresowana do pacjentów, personelu medycznego czy administracji. Stamtąd roznosi ją kilku gońcówochotników. Dowiedziałem się, że paczka z kasetą była w szpitalnej kancelarii, kiedy goniec zaglądał tam rano. Ponieważ była zaadresowana do mojej pacjentki, goniec zgłosił się do informacji ogólnej. Potem przyniosła ją jedna z dziewczyn.

– Czy ktoś nie powinien skonsultować się z panem przed wręczeniem kasety i magnetofonu Judy?

– Oczywiście. Siostra Bond powinna to zrobić natychmiast, ale nie ma dzisiaj zmiany. Siostra Rack, która ma dyżur, przyjęła, że adres zawiera dziecięce przezwisko, i pomyślała, że któraś z dawnych przyjaciółek pani Marshall przysłała jej jakieś nagrania muzyczne, żeby ją rozweselić. Pielęgniarki mają w dyżurce magnetofon, więc włożyła kasetę i dała go pani Marshall. – W półmroku korytarza w oczach lekarza pojawiają się szydercze iskierki. – Potem, jak się pan pewnie domyśla, rozpętało się istne piekło. Pani Marshall z powrotem znalazła się w stanie, w jakim została przyjęta – wykonywała wiele alarmujących zachowań. Na szczęście tak się złożyło, że byłem w szpitalu, więc kazałem jej podać leki uspokajające i umieścić w izolatce. Izolatka, panie poruczniku, ma wyściełane ściany – pani Marshall pootwierała sobie z powrotem rany na palcach, a nie chciałem, żeby dokonała dalszych samouszkodzeń. Kiedy leki zaczęły działać, poszedłem z nią porozmawiać. Wysłuchałem taśmy. Być może powinienem natychmiast zadzwonić po policję, ale jestem odpowiedzialny przede wszystkim wobec pacjentów, dlatego zawiadomiłem najpierw pana Marshalla.

– Skąd?

– Z izolatki, przez telefon komórkowy. Pan Marshall oczywiście upierał się, żeby porozmawiać z żoną, ona też chciała z nim mówić. Bardzo się zdenerwowała w trakcie rozmowy i musiałem podać jej kolejny łagodny lek uspokajający. Kiedy się opanowała, wyszedłem z izolatki i znowu zadzwoniłem do pana Marshalla, by udzielić mu konkretniejszych informacji o treści taśmy. Chce pan ją przesłuchać?

– Dziękuję, nie teraz, panie doktorze. Chciałby jednak zapytać o jedną rzecz, która jej dotyczy.

– Niech pan pyta.

– Fred Marshall próbował naśladować sposób, w jaki mówił autora nagrania. Czy przypominało to panu jakiś określony akcent? Może niemiecki?

– Sam się nad tym zastanawiałem. Brzmiało to jak niemiecka wymowa angielskich słów, ale niezupełnie. Najbardziej to przypominało Francuza, mówiącego po angielsku i starającego się naśladować niemiecki akcent, jeśli to ma w ogóle sens. Prawdę mówiąc, nigdy czegoś podobnego nie słyszałem. – Od początku rozmowy doktor Spiegelman poddawał Jacka ocenie według kryteriów, których ten nie potrafił się nawet z grubsza domyślić. Zachował wyraz twarzy tak neutralny i bezosobowy jak u policjanta kierującego ruchem drogowym. – Pan Marshall powiedział mi, że zamierza do pana zadzwonić. Wydaje się, że między panem i panią Marshall wytworzyła się nadzwyczajna więź. Szanuje ona pana umiejętności i pracę, czego można by oczekiwać, ale wydaje się również panu ufać. Pan Marshall prosił mnie, żebym pozwolił panu na rozmowę z żoną, a ona twierdzi, że musi z panem porozmawiać.

– W takim razie na osobności pół godziny.

Uśmiech doktora Spiegelmana niknie tak szybko, jak się pojawił.

– Moja pacjentka i jej mąż zaufali panu, poruczniku, ale nie o to chodzi. Sęk w tym, czy ja mogę panu zaufać.

– W czym?

– W kilku sprawach. Przede wszystkim, że będzie pan postępował w najlepszym interesie pacjentki. Że powstrzyma się pan od niepotrzebnego denerwowania jej, jak również dawania jej złudnych nadziei. Rozwinęły się u niej urojenia, których osią jest istnienie innego świata w jakiś sposób mającego styczność z naszym. Uważa, że jej syn jest więziony właśnie w tym innym świecie. Muszę panu powiedzieć, poruczniku, że zarówno moja pacjentka, jak i jej mąż wierzą, iż zna pan ten wymyślony świat – to znaczy, moja pacjentka w pełni w to wierzy, natomiast jej mąż tylko warunkowo, dlatego że niesie to pociechę jego żonie.

– Rozumiem. – Jest tylko jedno, co Jack może powiedzieć teraz lekarzowi. – Powinien pan zrozumieć, że podczas wszystkich rozmów z Marshallami działałem nieoficjalnie jako konsultant wydziału policji French Landing i jej komendanta, Dale’a Gilbertsona.

– Nieoficjalnie.

– Komendant Gilbertson prosił mnie o doradztwo przy prowadzeniu sprawy Rybaka, i dwa dni temu, po zniknięciu Tylera Marshalla wreszcie zgodziłem się zrobić, co w mojej mocy. Swoim doświadczeniem dzielę się jedynie z komendantem i jego podwładnymi.

– Pozwoli pan, że coś sobie wyjaśnimy, poruczniku. Czy wprowadzał pan Marshallów w błąd, jeśli chodzi o znajomość świata fantazji pani Marshall?

– Odpowiem w ten sposób, doktorze: z taśmy wiemy, że Rybak rzeczywiście więzi Tylera Marshalla. Możemy powiedzieć, że nie jest już w tym świecie, lecz w świecie Rybaka. Doktor Spiegelman unosi brwi. – Myśli pan, że ten potwór zamieszkuje ten sam wszechświat co my? – pyta Jack. – Ja nie, i pan również. Rybak żyje we własnym świecie i działa, opierając się na fantastycznych szczegółowych zasadach, jakie opracował lub wymyślił przez

lata. Z całym należnym szacunkiem, moje doświadczenie pozwoliło mi się zaznajomić z tego rodzaju postępowaniem o wiele dokładniej, niż znają je Marshallowie, policja i – jeśli nie pracował pan dużo z kryminalnymi psychopatami – nawet pan. Przykro mi, jeśli brzmi to arogancko, bo nie jest to moim zamiarem.

– Mówi pan o profilach psychologicznych? Czymś w tym rodzaju?

– Kilka lat temu zostałem zaproszony do udziału w grupie opracowującej profile psychologiczne dla prowadzonego przez FBI programu VICAP, ale to, o czym mówię, sięga o wiele głębiej.

I jest to eufemizm roku, mówi sobie Jack. Ciekawe, jak odbijesz tę piłkę, doktorze.

Spiegelman powoli kiwa głową. Daleki blask odbija się przelotnie w soczewkach jego okularów.

– Myślę, że rozumiem. Tak. – Zastanawia się, wzdycha. Krzyżuje ręce na piersiach i zastanawia się jeszcze trochę. Wreszcie podnosi wzrok na Jacka. – W porządku. Pozwalam panu się z nią widzieć. Samemu. W moim gabinecie. Przez trzydzieści minut. Nie chcę stawać na drodze zaawansowanej technice śledczej.

– Dziękuję – mówi Jack. – Ręczę, że będzie to bardzo przydatne.

– Zbyt długo jestem psychiatrą, żeby wierzyć w takie obietnice, poruczniku, ale mam nadzieję, że uda się panu uratować Tylera Marshalla. Pozwoli pan, że zaprowadzę pana do gabinetu. Może pan tam zaczekać, aż przyprowadzę pacjentkę drugim korytarzem. Będzie nieco szybciej.

Doktor Spiegelman dochodzi do końca mrocznego korytarza, skręca w lewo, potem raz jeszcze, wyciąga z kieszeni gruby pęk kluczy i otwiera nieoznakowane drzwi. Jack wchodzi za nim do pokoju, który wygląda, jakby powstał z połączenia dwóch mniejszych. Połowę gabinetu zajmuje długie drewniane biurko, fotel, zasłany czasopismami stolik do kawy ze szklanym blatem oraz szafka na dokumentację; druga jest zdominowana przez sofę i skórzany fotel. Ściany są udekorowane plakatami z reprodukcjami Georgii O’Keefe. Za biurkiem są drzwi, za którymi, jak zakłada Jack, znajduje się mała szafa; naprzeciw, za skórzanym fotelem i w połowie drogi między dwoma połówkami gabinetu, są drugie drzwi, wyglądają, jakby prowadziły do sąsiedniego pokoju.

– Jak pan widzi, wykorzystuję ten pokój zarówno jako gabinet, jak i dodatkowe pomieszczenie na konsultacje – mówi Spiegelman. – Większość moich pacjentów wchodzi przez poczekalnię i wtedy przyprowadzę panią Marshall. Proszę mi dać dwietrzy minuty.

Jack dziękuje mu, a lekarz spiesznie wychodzi drzwiami do poczekalni.

W szafie Wendell Green wysuwa magnetofon z kieszeni i przyciska go, a także ucho do drzwi. Jego kciuk spoczywa na klawiszu nagrywania; serce wali mu jak oszalałe. Najznamienitszy dziennikarz zachodniego Wisconsin znowu wypełnia swój obowiązek wobec zwykłego, szarego człowieka. Szkoda, że w szafie jest tak pierońsko ciemno, ale

siedzenie w czarnej dziurze to nie pierwsza ofiara, jaką Wendell poniósł na ołtarzu swojego świętego powołania; poza tym wystarczy mu widzieć czerwone światełko magnetofonu.

Po chwili następuje niespodzianka: chociaż doktor Spiegelman wyszedł z pokoju, rozlega się głos proszący porucznika Sawyera. Jak ten freudowski szarlatan dostał się z powrotem bez otwierania czy zamykania drzwi i co się stało z Judy Marshall?

– Panie poruczniku, muszę z panem mówić. Proszę podnieść słuchawkę. Jest telefon do pana i wygląda na to, że to pilna sprawa.

Oczywiście – lekarz mówi przez interkom. Kto może dzwonić do Jacka Sawyera i co to za pilna sprawa? Wendell ma nadzieję, że Złoty Chłopiec włączy głośnik, ale niestety tego nie robi, więc dziennikarz musi zadowolić się tylko jedną stroną dialogu.

– Telefon? – mówi Jack. – Od kogo?

– Odmówił podania nazwiska – mówi lekarz. – Ktoś, komu pan powiedział, że będzie pan na oddziale D.

Beezer, z wiadomościami o Czarnym Domu.

– Jak mam odebrać?

– Wystarczy nacisnąć migający klawisz – mówi lekarz. Linia pierwsza. Wprowadzę panią Marshall, kiedy zobaczę, że skończył pan rozmawiać.

Jack naciska klawisz.

– Jack Sawyer – mówi.

– Dzięki Bogu – rozlega się miodowotytoniowy głos Beezera St. Pierre’a. – Ej, człowieku, musisz do mnie przyjechać, im szybciej, tym lepiej. Wszystko się pochrzało.

– Znaleźliście go?

– Och, tak, znaleźliśmy Czarny Dom, zgadza się. Niezupelnie miło nas powitał. Chce zostać w ukryciu i jasno to daje do zrozumienia. Paru chłopców oberwało. Większości nas nie będzie, ale Myszą... sam nie wiem. Dostał czegoś strasznego od pogryzienia przez psa – jeśli to był pies, w co wątpię. Doktorek zrobił, co tylko mógł, ale... Cholera, facet wariuje i nie pozwala nam zabrać się do szpitala.

– Dlaczego go mimo to nie zabierzecie, Beezer, jeśli tego potrzebuje?

– Bo tak nie robimy. Myszą nie postawił stopy w szpitalu, odkąd wykitował w nun jego stary. Dwa razy bardziej boi się szpitali niż tego, co się dzieje z jego nogą. Gdybyśmy go zawieźli do La Riviere General, to pewnie padłby trupem w izbie przyjęć.

– A gdyby nie, to nigdy by wam nie wybaczył.

– Właśnie. Kiedy możesz tu przyjechać?

– Muszę jeszcze porozmawiać z kobietą, o której wam mówiłem. Może godzinę – na pewno niewiele dłużej.

– Nie słyszałeś, co mówię? Myszą nam tu umiera. Musimy pogadać o mnóstwie rzeczy.

– Zgadzam się – mówi Jack. – Bądź w tym wypadku po mojej stronie, Beez.

Odkłada słuchawkę, odwraca się w stronę fotela w gabinecie konsultacyjnym i czeka, aż świat ruszy się w posadach.

O co w tym chodziło, do diabła? – zastanawia się Wendell. Zmarnował dwie minuty taśmy na rozmowę Jacka Sawyera i tępego sukinsyna, co zniszczył mu kliszę, za którą Wendell miałby elegancką brykę i szpanerski dom na urwisku nad rzeką – a tak został mu tylko bezwartościowy szajs. Wendell zasługuje na elegancką brykę i szpanerski dom, zarobił na nie po trzykroć, i wskutek poczucia niezasłużonej krzywdy wrze w nim złość. Złoci Chłopcy zawsze dostają wszystko na wysadzanych diamentami tacach, ludzie potykają się o siebie, żeby dawać im *rzeczy*, których nawet nie potrzebują, a legendarny, altruistyczny robot i dżentelmen z prasy w rodzaju Wendella Greena... Wendell Green musi wysupłać dwadzieścia dolców, żeby schować się w ciemnej, ciasnej szafie i tylko robić swoje!

Ucho go świerzbi, gdy drzwi się otwierają. Zapala się czerwone światelko, taśma przewija się ze szpuli na szpulę i cokolwiek się teraz stanie, zmieni wszystko: intuicja Wendella, ten nieomylny zmysł, jego najlepszy przyjaciel, grzeje go pewnością, że wkrótce zostanie mu oddana sprawiedliwość.

Przez drzwi szafy przesącza się głos doktora Spiegelmana i zostaje zarejestrowany na przesuwanej się taśmie:

– Zostawiam państwa na razie samych.

Złoty Chłopiec: „Dziękuję panu, doktorze. Jestem panu bardzo wdzięczny”.

Doktor Spiegelman: „Trzydzieści minut, dobrze? To znaczy, że wrócę, mm, za dziesięć drugą”.

Cichy odgłos zamykanych drzwi, szcęknięcie rygla. Potem długie sekundy ciszy. *Dlaczego ze sobą nie rozmawiają? Ależ oczywiście... odpowiedź nasuwa się sama. Czekają, aż tłścioch Spiegelman odejdzie tak daleko, że nie będzie ich mögt usłyszeć.*

Och, to zachwycające, właśnie tak! Szmer stóp Złotego Chłopca, podchodzącego do drzwi, praktycznie potwierdza intuicję dzielnego detektywa. O, intuicjo Wendella Greena, o, instrumencie cudowny a rzetelny, raz jeszcze dostarczyłaś dziennikarskiego materiału! Wendell słyszy, a maszynka nagrywa nieunikniony kolejny dźwięk: szcęknięcie zamka.

Judy Marshall: „Nie zapomnij o drzwiach za tobą”.

Złoty Chłopiec: „Jak się czujesz?”.

Judy Marshall: „O wiele lepiej, skoro tu jesteś. Drzwi, Jack”.

Kolejne kroki, kolejny nieomylny odgłos zasuwanego się stalowego rygla.

Chłopiec, Który Wkrótce Zostanie Zniszczony: „Myślałem o tobie przez cały dzień. Myślałem o tym”.

Ladacznica, Zdzira, Puszczańska: „Pół godziny wystarczy?”.

Ten, Który Wsadził Nogę W Niedźwiedzie Sidła: „Jeśli nie, będzie musiał dobijać się do drzwi”.

Wendell ledwie powstrzymuje się od wycia z uciechy. Tych dwoje naprawdę zamierza uprawiać seks, zamierzają zedrzeć z siebie ubranie i rypać się jak zwierzaki. Człowieku, i co tu mówić o sprawiedliwej zapłacie! Kiedy Wendell Green skończy z Jackiem Sawyerem, będzie on miał gorszą reputację niż Rybak.

W oczach Judy widać zmęczenie, ma potargane włosy, a palce zakrywa zaskakująca biel świeżej gazy. Na jej obliczu odbija się głębia jej uczuć. Dla Jacka Judy Marshall wygląda jak niesłusznie uwięziona królowa. Zamiast ukrywać wrodzoną szlachetność jej ducha, szpitalny szlafrok i spłowieła koszula nocna czynią ją tym wyrazistszą. Jack odrywa wzrok od Judy tylko po to, by zamknąć drugie drzwi, po czym robi krok w jej stronę.

Dostrzega, że nie zdoła powiedzieć jej nic, czego by już nie wiedziała. Judy kończy ruch, zaczęty przez niego; podchodzi i wyciąga dłonie, by je ujął.

– Myślałem o tobie przez cały dzień – mówi Jack, ściskając jej rękę. – Myślałem o tym.

– Pół godziny wystarczy?

– Jeśli nie, będzie musiał dobijać się do drzwi.

Uśmiechają się; Judy silniej ściska jego dłonie.

– No to niech się dobija.

Ulotnym, najsubtelniejszym z możliwych szarpnięciem pociąga go ku sobie, a serce Jacka wali w oczekiwaniu na uścisk.

Judy robi coś nieprawdopodobnego: pochyla głowę i dwoma lekkimi muśnięciami suchych warg całuje go po rękach. Potem przyciska grzbiet jego prawej dłoni do swego policzka i cofa się. Jej oczy rozblęskują.

– Wiesz o taśmie.

Kiwa głową.

– Wściekłam się, kiedy jej posłuchałam, ale przysłanie mi jej było błędem. Zbyt mocno mnie przycisnął. Natychmiast poczułam się znowu tak jak dziewczynka, która słuchała drugiej, szepczącej zza ściany. Szalałam, starałam się rozerwać ścianę na strzępy. Słyszałam, jak mój syn woła o pomoc. A on tam był – po drugiej stronie ściany. Tam gdzie musisz się przenieść.

– Gdzie my musimy się przenieść.

– Gdzie my musimy się przenieść. Tak. Ja jednak nie potrafię przeniknąć przez ścianę, chociaż ty to umiesz. Czeka cię zatem praca, najważniejsza z możliwych. Musisz odszukać Tylera i powstrzymać abbalaha. Nie wiem dokładnie, co to takiego, ale zatrzymanie go to twoje zadanie. Dobrze mówię: jesteś glinicjantem?

– Dobrze mówisz – odpowiada Jack. – Jestem glinicjantem. Dlatego to moja praca.

– W takim razie i to się zgadza. Musisz pozbyć się Gorga i jego władcy, Pana Munshuna. Naprawdę nazywa się inaczej, ale jego nazwisko brzmi mniej więcej tak: Munshun. Kiedy się

wściekłam i próbowałam wyrwać się z tego świata, ona mówiła do mnie, szeptała mi prosto do ucha. Byłam tak blisko!

Co Wendell Green, który przyciska ucho do drzwi i trzyma włączony magnetofon z wirującymi szpulami, pojmuje z tej rozmowy? Wcale nie to spodziewał się usłyszeć – liczył na zwierzęce pomruki i jęki zaspokajanego pożądania. Wendell Green zgrzyta zębami i krzywi twarz w grymasie zawodu.

– Kocham cię za to, że pozwoliłaś sobie widzieć – mówi Jack. – Jesteś zdumiewającą osobą. Wśród tysiąca ludzi nie znajdziesz nikogo, kto choćby potrafił zrozumieć, co to oznacza, a tym bardziej to zrobić.

– Za dużo mówisz – odpowiada Judy.

– To znaczy, że cię kocham.

– W pewnym sensie mnie kochasz, ale wiesz co? Przez samo zjawienie się tutaj sprawiłaś, że jestem kimś więcej, niż byłam. Jakbyś wysyłał jakiś promień, a ja po prostu się według niego kierowałam. Żyłeś tam, Jack, a ja potrafiłam najwyżej na chwilę zajrzeć. To jednak wystarczy. To mnie satysfakcjonuje. Ty i oddział D pozwoliliście mi wędrować.

– Pozwoliło ci wędrować to, co masz w sobie.

– Dobra, trzykrotne hura dla dobrze przebadanego epizodu szaleństwa. Teraz już czas. Musisz być glinicjantem. Potrafię pokonać tylko połowę drogi, ale ty będziesz potrzebował wszystkich swoich sił.

– Myślę, że zaskoczyłaby cię twoja siła.

– Weź mnie za rękę i zrób to, Jack. Przejdź na drugą stronę. Ona czeka, a ja muszę cię jej dać. Wiesz, jak ma na imię, prawda?

Jack otwiera usta, lecz nie może nic powiedzieć. Zdająca się wydobywać ze środka ziemi siła przenika jego ciało, napełniając elektrycznością jego krwiobieg, ściągając mu skórę na czaszce, sklejjąc jego drżące palce z również dygoczącymi palcami Judy Marshall. We wszystkich pustych przestrzeniach jego ciała wzbiera uczucie niesamowitej lekkości i ruchliwości; równocześnie nigdy jeszcze nie był tak bardzo świadomy oporności ciała, jego niechęci do lotu. Myśli, że kiedy opuszczą to miejsce, będzie to przypominało odpalenie rakiety. Podłoga pod jego stopami wydaje się wibrować.

Daje radę popatrzeć wzdłuż ramion na Judy Marshall, która odchyła głowę w tył i zamyka oczy, uśmiechając się przy tym triumfalnie. Roztacza się wokół niej pasmo srebrzystego światła. Wokół jej pięknych kolan, lśniących pod skrajem starego niebieskiego stroju nóg i wspartych na podłodze bosych stóp. Wszystko to pochodzi od niej, myśli Jack, i od...

Powietrze wypełnia narastający poszum, a plakaty Georgii O'Keefe spadają ze ścian. Niska sofa odskakuje od ściany; papiery wirują na podrygującym biurku. Halogenowa lampka

na chudej nóżce wali się na podłogę. W całym szpitalu, na wszystkich piętrach, we wszystkich oddziałach i salach wibrują łóżka, czernieją ekrany telewizorów, grzechoczą instrumenty w grzechoczących pudełkach, migają światła. Z półek sklepu z podarunkami spadają zabawki, a wysokie lilie ślizgają się w wazach po marmurze. Na czwartym piętrze żarówki eksplodują strugami złotych iskier.

Wycie huraganu rośnie i z wielkim szumem zamienia się w szeroką płachtę białego światła, która natychmiast kurczy się do rozmiarów czubka szpilki i niknie. Znika też Jack Sawyer; z szafy natomiast znika Wendell Green.

Zostali wessani w Terytoria, wydmuchnięci z jednego świata w drugi. Zdmuchnięci i wywleczeni – człowieku, jesteś setki poziomów od zwykłego, dobrze znanego przeskoku. Jack leży i widzi poszarpane białe prześcieradło, które trzepocze jak porwany żagiel. Ćwierć sekundy temu widział drugą białą płachtę, stworzoną z czystego światła i nierzeczywistą jak ta. Czuje błogosławieństwo błgiego, wonnego powietrza. Z początku zdaje sobie sprawę tylko z tego, że ktoś trzyma go za prawą rękę, po czym widzi, że obok niego leży zachwycająca kobieta. Judy Marshall. Nie, nie Judy Marshall, którą w pewnym sensie kocha, lecz ta, która szeptała nocami do Judy zza ściany, a ostatnio bardzo się zbliżyła. Jack ma wymówić jej imię, gdy...

W pole jego widzenia trafia piękna twarz, zarazem podobna i niepodobna do oblicza Judy. Została odlana z tej samej formy, wypieczona w tym samym piecu, wryta przez tego samego zadurzonego rzeźbiarza – ale delikatniej, z lżejszym, bardziej pieszczotliwym dotykiem. Jack nie może się ruszyć z wrażenia. Ledwie potrafi oddychać. Kobieta, która patrzy na niego z góry i uśmiecha się z czułą niecierpliwością, nigdy nie urodziła dziecka, nie opuściła rodzimych Terytoriów, nigdy nie leciała samolotem ani nie jechała samochodem, nie włączała telewizora, nie nagarniała zamrożonych w lodówce lodów ani nie korzystała z kuchenki mikrofalowej; jej twarz promienieje uduchowieniem i wewnętrznym pięknem. Jack widzi, że te cechy to odbicie jej wnętrza.

Humor, czułość, współczucie, inteligencja i siła lśnią w jej oczach i przemawiają z kącików ust, z samego ukształtowania twarzy. Zna jej imię – idealnie do niej pasujące. Jack czuje, że w jednej chwili zakochuje się w tej kobiecie, że od razu gotów jest słuchać jej rozkazów, aż wreszcie odzyskuje dar mowy, by wyrzec jej idealne imię:

Sophie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Sophie.

Wciąż trzymając ją za rękę, Jack wstaje i pociąga Sophie za sobą. Drżą mu nogi. Oczy go palą i ma wrażenie, że wyskakują mu z oczodołów. Jest w równym – idealnie równym – stopniu przerażony i podekscytowany. Serce mu wali, lecz uderzenia te są, och, jakże słodkie. Za drugim razem daje radę wyrzec jej imię nieco głośniejszym, ale ton wciąż nie jest odpowiedni, a wargi ma tak zdrętwiałe, jakby natarto je lodem. Mówi jak człowiek dochodzący do siebie po silnym ciosie w brzuch.

–Tak.

– Sophie.

–Tak.

– Sophie.

–Tak.

Jest w tym coś niesamowicie znajomego, w powtarzaniu przezeń raz za razem tego samego imienia i otrzymywaniu prostego potwierdzenia. Przypomina sobie co: prawie identyczna scena jest w „The Terror of Deadwood Gulch”, po tym jak jeden z klientów „Łazy 8” wali Bulą Townsa w głowę butelką whisky, aż ten traci przytomność. Lily w roli słodkiej Nancy O’Neal wylewa mu na twarz wiadro wody, a kiedy Bill Towns siada, oboje...

– To śmieszne – mówi Jack. – Niezła scena. Powinniśmy się śmiać.

– Tak – odpowiada Sophie z najdyskretniejszym z możliwych uśmiechów.

– Zanosić się ze śmiechu.

–Tak.

– Pierońsko pokładać się ze śmiechu.

–Tak.

– Nie mówię już po angielsku, prawda?

–Nie.

Widzi dwie *rzeczy* w jej błękitnych oczach. Pierwszą jest to, iż Sophie nie zna słowa „angielski”. Drugą – iż rozumie dokładnie, o co mu chodzi.

– Sophie.

–Tak.

– SophieSophieSophie.

Stara się oswoić z rzeczywistością tej sceny. Stara się ufiksować ją jak dobrze wbity ćwiek.

Uśmiech rozświetla jej twarz i nadaje bogatszy wyraz ustom. Jack zastanawia się, jak byłoby całować te usta, i uginają się pod nim kolana. W jednej chwili znowu ma czternaście lat i zastanawia się, czy ośmieli się ośmielić pocałować po odprowadzeniu do domu dziewczynę, z którą wybrał się na randkę.

– Taktaktak – mówi Sophie z rosnącym uśmiechem. Po czym dodaje: – Pojąłeś już? Zrozumiałeś, że tu jesteś i w jaki sposób się tu znalazłeś?

Nad nim i dookoła niego płachty przejrzystego, białego płótna trzepoczą z poszumem jak żywy oddech. Pół tuzina ciągnących w różną stronę powiewów delikatnie muska twarz Jacka i uświadamia mu, że przybył z drugiego świata, pokryty warstewką potu, który teraz śmierdzi. Ociera szybkim ruchem ramienia czoło i policzki, nie chcąc na dłużej niż chwilę stracić z oczu Sophie.

Są w jakimś wielkim namiocie. Jest olbrzymi – podzielony na wiele części – a Jackowi przez chwilę przypomina się pawilon, w którym leżała umierająca Królowa Terytoriów, Dwójniczka jego matki. Panował tam przepych barw, było mnóstwo pomieszczeń, wonnych od kadzidła i smutku (śmierć Królowej wydawała się bowiem nieunikniona – zdawała się tylko kwestią czasu). Ten namiot jest obszarpany i surowy. Ściany i dach są pełne dziur, a tam gdzie materiał jest jeszcze cały, przetarł się tak, że Jack widzi przez niego stok na zewnątrz i dekorujące go drzewa. Przy każdym powiewie strzępki trzepoczą na brzegach niektórych otworów. Wprost nad głową Jack widzi pogrążony w cieniu kontur w kasztanowym odcieniu – jakiegoś rodzaju krzyż.

– Jack, czy rozumiesz, jak...

– Tak. Przeskoczyłem. – Chociaż nie to słowo pada z jego ust. Jego faktyczne znaczenie wydaje się brzmieć: droga po horyzont. – I wydaje się, że pociągnąłem za sobą sporą część wyposażenia Spiegelmana. – Pochyla się i bierze do ręki płaski kamień z wyrzeźbionym na nim kwiatem. – W moim świecie była to chyba reprodukcja Georgii O’Keefe. A to... – Wskazuje poczerńiałą, wygasłą pochodnię, opierającą się o jedną z wątlých ścian pawilonu. – Myślę, że to była... – W tym świecie nie ma jednak odpowiednich słów na nazwanie tego, o co mu chodzi, wskutek czego z jego ust pada coś przypominającego niemieckie przekleństwo: – ...halogenowy reflektorek.

– Hallodemowy... repetorek? – Sophie marszczy brwi. – Rapatorek?

– Nieważne. – Jack czuje, że jego odrętwiałe wargi unoszą się w lekkim uśmiechu.

– Ale nic ci się nie stało.

Dociera do niego, że Sophie zależy, by tak właśnie było, więc mówi, że nic, chociaż nie jest to prawda. Jest chory i cieszy się z tego. Chory z miłości, zauroczony, zamroczony – i za

nic nie chciałby, żeby było inaczej. Jeśli pominąć uczucie, jakim darzył matkę – bardzo odmienny rodzaj miłości wbrew temu, co mogą myśleć freudyści – spotyka go to po raz pierwszy. Och, na pewno myślał, że jest zakochany i się odkochuje, ale to było przedtem. Przed chłodnym błękitem tych oczu, uśmiechem i nawet sposobem, w jaki rzucane przez rozlatujący się namiot cienie przesuwają się po jej twarzy jak ławica ryb. W tym momencie na jej prośbę próbowałby sfrunąć ze szczytu góry, przejść przez płonący las czy przynieść jej polarnego lodu, by mogła ochłodzić herbatę, co dowodzi, że coś się jednak z nim stało.

Sophie jednak potrzebuje, by wszystko z nim było w porządku.

Potrzebuje tego też Tyler.

Jestem glincijantem, myśli Jack. Zrazu ta idea wydaje się bez znaczenia w porównaniu z pięknem Sophie – jej realnością – potem jednak zaczyna się zakorzeniać. Ostatecznie co go tu przywiodło? Sprowadziło go tu wbrew jego woli i najlepszym intencjom?

– Jack?

– Nie, nic mi nie jest. Przecież przeskakiwałem już wcześniej.

Ale nigdy w obecności takiego piękna, myśli. W tym właśnie problem. Ty jesteś problemem, pani moja.

– Tak. Masz talent przybywania do tego świata i znikania z niego. To jeden z twoich talentów. Tak mi mówiono.

–Kto?

– Niedługo – odpowiada. – Niedługo. Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, ale muszę się chwilę zastanowić. Przez ciebie... straciłam oddech.

Jack przyjmuje to oświadczenie z gwałtowną radością. Widzi, że wciąż trzyma jej dłoń, i całuje ją, tak jak Judy ucałowała jego rękę w świetle po przeciwnej stronie ściany. Widzi delikatną siateczkę bandaża na opuszkach trzech pierwszych palców. Żałuje, że nie śmie wziąć jej w ramiona, ale onieśmiela go jej piękno i majestat. Jest nieco wyższa od Judy – najwyżej dwa cale, nie więcej – i ma jaśniejsze włosy, o złotym odcieniu nierafinowanego miodu, rozsypujące się pod pękniętym grzebieniem. Ma na sobie prostą bawełnianą szatę, białą, z dopasowaną do jej oczu błękitną lamówką. Jej szyja wyłania się z wąskiego, trójkątnego dekoltu. Poły szaty sięgają nieco za kolana. Ma gołe nogi, a na jednej z nich srebrną bransoletę, tak cienką, iż praktycznie niewidoczną. Ma pełniejsze piersi niż Judy i nieco szersze biodra. Siostry, można by pomyśleć, gdyby nie to, że mają taki sam wianuszek piegów u nasady nosa i identyczną białą szramę na grzbiecie lewej dłoni. Jack nie wątpi, że do powstania tych blizn doprowadziły różne nieszczęścia, ale wie też na pewno, że zdarzyły się one w tej samej godzinie tego samego dnia.

– Jesteś jej Dwójniczką. Dwójniczką Judy Marshall.

Słowo, wydobywające się z ust Jacka, nie brzmi jednak: Dwójniczką; w niewiarygodny, dumny sposób przypomina wyraz: harfa. Później przyjdzie mu do głowy, jak blisko leżą

wzdłuż siebie struny harfy, za ledwie w odstępnie palca, i uzna, że to ostatecznie nie najgłupsze słowo.

Sophie opuszcza wzrok i jej twarz poważnieje, jednak po chwili podnosi głowę i próbuje się uśmiechnąć.

– Judy. Po drugiej stronie ściany. Często rozmawialiśmy, Jack, kiedy byliśmy dziećmi. Nawet kiedy dorosłyśmy, chociaż wtedy mówiłyśmy do siebie w naszych snach. – Jack z trwogą dostrzega, że w jej oczach tworzą się łzy i zaczynają spływać po policzkach. – Czy doprowadziłam ją do szaleństwa? Czy to przeze mnie zwariowała? Proszę, powiedz, że nie.

– Nie – mówi Jack. – Balansuje na krawędzi, ale jeszcze się trzyma. Ona jest twarda.

– Musisz oddać jej Tylera. Dla dobra nas obojwóch. Nigdy nie miałam dziecka. Zostałam... źle potraktowana, rozumiesz? Kiedy byłam młoda. Przez kogoś, kogo dobrze poznałeś.

W duchu Jacka kształtuje się straszliwa pewność. Dookoła nich zrujnowany pawilon łopocze i wzdycha w cudownie wonnym wietrze.

– To był Morgan? Morgan z Orris?

Sophie schyla głowę; może tak jest najlepiej. Jack ma w tym momencie twarz ściągniętą w gniewnym grymasie. W tym momencie żałuje, że nie może raz jeszcze zabić Dwójnika Morgana Sloata. Zastanawia się, czy zapytać ją, na czym polegało to maltretowanie, ale uznaje, że nie musi.

– Ile miałaś lat?

– Dwanaście – mówi... właśnie tak, jak Jack oczekiwał.

Doszło do tego w tym samym roku, kiedy i Jack miał dwanaście lat oraz przybył tutaj, by ocalić swoją matkę. Rzeczywiście tutaj? Czy to naprawdę Terytoria? Nie wiedzieć czemu wyglądają jakoś inaczej. Prawie tak samo... ale niezupełnie.

Nie zaskakuje go, że Morgan był zdolny do zgwałcenia dwunastoletniej dziewczynki i to w sposób, który uniemożliwił jej urodzenie kiedykolwiek dziecka. Morgan Sloat, znany niekiedy jako Morgan z Orris, pragnął władać nie jednym światem czy dwoma, ale całym wszechświatem. Cóż znaczy parę zgwałconych dzieci dla człowieka o takich ambicjach?

Sophie delikatnie muska skórę pod oczyma Jacka. Przypomina to dotknięcie piórka. Patrzy na niego z czymś w rodzaju zdumienia.

– Dlaczego płaczesz, Jack?

– Przez przeszłość – mówi. – Czyż nie jest tak zawsze?

Myśli o swojej matce, siedzącej pod oknem, palącej papierosa i słuchającej „Crazy Arms” w radiu. Tak, to zawsze wina przeszłości. Tam właśnie kryje się ból, to wszystko, z czym nie można się pogodzić.

– Być może – przyznaje Sophie. – Nie ma jednak dzisiaj czasu zastanawiać się nad przeszłością. Musimy pomyśleć o przyszłości.

– Tak, ale czy mógłbym zadać kilka pytań...?

– W porządku, ale tylko kilka.

Jack otwiera usta, stara się coś powiedzieć i *komicznie* rozchyła usta, gdy okazuje się do tego niezdolny. Potem się śmieje.

– Twój widok też zaparł mi dech w piersiach – mówi. – Muszę to szczerze przyznać.

Na policzki Sophie wypływa delikatny rumieniec. Opuszcza wzrok. Otwiera usta, by coś powiedzieć... po czym zaciska je z powrotem. Jack pragnie, by odpowiedziała, i równocześnie cieszy się, że tego nie zrobiła. Delikatnie ściska jej dłonie, a Sophie podnosi na niego spojrzenie rozszerzonych błękitnych oczu.

– Czy cię poznałem? Kiedy miałem dwanaście lat? – Sophie potrząsa przecząco głową. – Ale cię widziałem.

– Może. W wielkim pawilonie. Moja matka była jedną z podręcznych Dobrej Królowej. Ja też nią byłam... najmłodszą. Mogłeś mnie wtedy widzieć. Myślę, że rzeczywiście mnie widziałeś.

Jack potrzebuje chwili, by przetrwać to zdumiewające oświadczenie, po czym zbiera siły. Oboje wiedzą, że czasu jest mało. Niemal czują, jak ucieka.

– Ty i Judy jesteście Dwójniczkami, ale żadna z was nie wędrowała – ona nigdy nie przeniosła się do twojej głowy, a ty do jej, po tamtej stronie. Rozmawialiście... przez ścianę.

–Tak.

– Kiedy pisała, to to, co szeptałaś do niej z tej strony.

– Tak. Wiedziałam, jak bardzo na nią naciskam, ale musiałam. Musiałam! Nie chodzi tylko o to, żeby przypomnieć sobie dzieciństwo, chociaż to ważne. W grę wchodziły ważniejsze względy.

– Na przykład?

– Nie ja ci to wytłumaczę. – Sophie kręci głową. – Ktoś o wiele ważniejszy ode mnie.

Jack przygląda się pilnie cienkim bandażom spowijającym jej palce i zastanawia się, ile wysiłku musiały kosztować Judy i Sophie próby porozumienia się przez ścianę między światami. Morgan Słotat najprawdopodobniej przemieniał się w Morgana z Orris bez żadnego trudu. Jako dwunastolatek Jack poznał innych ludzi mających ten sam talent. Jego to nie dotyczy: ma pojedynczą naturę i w każdym ze światów zawsze był Jackiem. Judy i Sophie okazały się jednak niezdolne do przeskakiwania pomiędzy światami. Coś im zabrano, dlatego mogły jedynie szeptać do siebie przez dzielącą światy przegrodę. Muszą istnieć bardziej przykre rzeczy, lecz w tym momencie Jackowi żadne nie przychodzą do głowy.

Rozgląda się po zrujnowanym namiocie, zdającym się oddychać światłem i cieniem. Łopoczą strzępy. Przez dziurę w ścianie z przetartego płótna widzi w sąsiednim pomieszczeniu kilka postawionych na sztorc prycz.

– Co to jest?pyta.

– Dla niektórych szpital – odpowiada Sophie z uśmiechem.

– He? – Podnosi wzrok i ponownie dostrzega krzyż. Obecnie kasztanowy, ale niegdyś niewątpliwie czerwony. Czerwony krzyż, głupku, myśli. – Och! Ale chyba jest trochę... cóż... stary?

Uśmiech Sophie staje się szerszy, a Jack zdaje sobie sprawę, że pojawia się w nim ironia. Domyśla się, że jakikolwiek jest to – czy był – szpital, bardzo mało albo wcale nie przypomina tych z „Ostrego dyżuru” czy „General Hospital”. – Tak, Jack. Bardzo stary. Niegdyś w Terytoriach było tuzin lub więcej takich namiotów, w Przódświecie i Śródświecie, ale teraz zostało ich już tylko kilka. Może tylko ten. Dziś jest tutaj. Jutro... – Sophie unosi dłonie i je opuszcza. – Gdziekolwiek! Może nawet po tej stronie ściany co Judy.

– Coś w rodzaju objazdowego cyrku medycznego.

Ma to być żart, lecz Jack reaguje zaskoczeniem, gdy Sophie najpierw kiwa głową, a potem śmieje się i klaszcze w dłonie.

– Tak! Rzeczywiście! Chociaż nie chciałbyś się tu leczyć.

Jack nie domyśla się, co właściwie próbuje mu przekazać.

– Pewnie nie – zgadza się, wodząc wzrokiem po rozpadających się ścianach, postrzępionych płatach dachu i wiekowych wspornikach. – Nie wygląda zupełnie sterylnie.

– Gdybyś jednak został jego pacjentem, uznałbyś go za piękny ponad wszelką miarę – mówi poważnie (lecz z błyskami w oczach) Sophie. – I uważałbyś pielęgniarki – Siostrzyczki – za najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek opiekowały się biednym pacjentem.

– Gdzie są? – Jack rozgląda się dokoła.

– Siostrzyczki nie wychodzą, kiedy świeci słońce. I jeśli chcemy zachować życie, Jack, to rozejdziemy się w swoje strony, zanim zapadnie ciemność.

Boli go, iż wspomina o rozejściu się, chociaż wie, że to nieuniknione. Ból nie tłumi jednak jego ciekawości; wygląda na to, że jak ktoś raz zostaje glinicjantem, jest nim już na zawsze.

– Dlaczego?

– Bo Siostrzyczki to wampiry, a ich podopiecznym nigdy się nie poprawia.

Zaskoczony i zaniepokojony Jack rozgląda się, czy ich nie widać. Na pewno nawet cień wątpliwości nie pojawia się w jego umyśle – zdaje sobie sprawę, że w świecie, który wydał wilkołaki, wszystko jest możliwe.

Sophie dotyka jego nadgarstka. Przenika go lekkie drżenie pożądania.

– Nie bój się, Jack – one również służą Wiąźce. Wszystko służy Wiąźce.

– Jakiej wiąźce?

– Nieważne. – Sophie mocniej ujmuje jego rękę. – Ten, który będzie mógł odpowiedzieć na twoje pytania, zjawi się niebawem, chyba że już przybył. – Rzuca mu kątem oka spojrzenie, w którym kryje się cień uśmiechu. – Gdy go wysłuchasz, łatwiej będzie ci zadawać rzeczywiście istotne pytania.

Jack zdaje sobie sprawę, że został elegancko skarcony, ale nagana z ust Sophie nie boli. Pozwala się prowadzić przez kolejne pomieszczenia wiekowego szpitala. Po drodze zaczyna docierać do niego, jak wielki jest lazaret. Orientuje się również, że czuć słaby, nieprzyjemny zapaszek, kojarzący się z mieszaniną sfermentowanego wina i zepsutego mięsa. Jakiego? – Jack obawia się, że może się tego łatwo domyślić. Powinien, gdyż odwiedził miejsca mniej więcej stu zbrodni.

Byłoby nieładnie z naszej strony (nie wspominając o tym, że stanowiłoby to fatalne posunięcie narracyjne) przerywać w momencie, gdy Jack spotyka miłość swojego życia, więc tego nie zrobiliśmy. Teraz jednakże przeniknijmy przez cienkie ściany szpitalnego namiotu. Na zewnątrz roztacza się suchy, lecz nie nieprzyjemny krajobraz czerwonych skał, janowca, przypominającego nieco lilie sego pustynnego kwiecica, karłowatych sosen i nielicznych baryłkowatych kaktusów. Gdzieś z niedaleka dobiega równy, chłodny szmer rzeki. Szpitalny pawilon szeleści i łopocze równie sennie jak żagle statku wędrującego błogim kanałem pasatów. Gdy przelatujemy wzdłuż wschodniej ściany zrujnowanego namiotu w nasz pozbawiony wysiłku i szczególnie przyjemny sposób, zauważamy rozrzucone śmieci. Są tu kolejne pokryte rycinami kamienie, pięknie rzeźbiona w miedzi róża, zdeformowana, jakby zetknęła się z wielkim żarem, mały szmaciany dywanik, który wygląda, jakby rozcięto go na pół tasakiem do mięsa. Są też inne przedmioty, które oparły się przemianom zachodzącym podczas huraganowego przemieszczenia z jednego świata do drugiego. Widzimy poczerniały kadłub kineskopu leżący pośród tłuczonego szkła, kilka baterii Duracell AA, grzebień oraz – co jest być może najbardziej zaskakujące – parę białych nylonowych majteczek z wydrukowaną prostą różową czcionką słowem „Niedziela”. Doszło do zderzenia światów; przemieszane odpadki wzdłuż wschodniej ściany szpitalnego pawilonu świadczą o jego sile.

U kresu obszaru kojarzącego się z pióropuszem gazów wydechowych – lub, moglibyśmy rzec, warkoczem komety – siedzi znany nam mężczyzna. Nie przywykliśmy widzieć go w tak paskudnej brązowej szacie (on zaś najwyraźniej nie wie, jak się nosi tego rodzaju strój, bo jeśli zerkniemy na niego pod niewłaściwym kątem, dojrzymy o wiele więcej, niż mielibyśmy ochotę) ani w sandałach zamiast półbutów, ani z włosami zebranymi w prymitywny kucyk i związanymi kawałkiem rzemyka, jest to jednak niewątpliwie Wendell Green. Mruczy do siebie. Ślina sączy się mu kącikami ust. Wpatruje się jak zahipnotyzowany w zmięte kartki papieru w prawej ręce. Ignoruje wszystkie bardziej katastrofalne zmiany, jakie się wokół niego dokonały, i skupia się na tej jednej. Gdyby zdołał wykombinować, co się stało z jego panasonikiem na mikrokasety, może zabrałby się do zastanawiania nad resztą. Nie wcześniej.

Wendell (będziemy go nadal nazywać Wendellem, zgoda? Nie będziemy zwracać sobie głowy imieniem, jakie tutaj nosi, skoro on tego nie wie ani nie chce się dowiedzieć) zauważa swoje baterie Duracell. Podpełza do nich, zbiera je z ziemi i próbuje wetknąć pomiędzy kartki. Oczywiście nic z tego nie wynika, ale nie przeszkadza to Wendellowi próbować dalej.

„Dajcie temu chłopcu packę na muchy, a spróbuje upolować sobie obiad”, jak powiedziała George Rathbun, albo: „Dajta chłopu zegarek, to go będzie kłonicą naprawiał”.

– Wła – mówi ulubiony reporter kryminalny regionu Coulee, usiłując włożyć baterie między kartki papieru. – Wła... No, wła... Cholera, wła.. do środka.

Skupienie Wendella przerywa dźwięk – zbliżające się szczykanie czegoś, co może być, niech Bóg ma nas w opiece, tylko ostrogami. Dziennikarz podnosi wybałuszone oczy. Może rozum nie opuścił go jeszcze ze szczeniem, ale na pewno wybrał się z żoną i dziećmi do Disney Worldu. Na pewno to, co pojawia się przed oczyma Wendella, nie zachęci go do rychłego powrotu.

W naszym świecie był niegdyś doskonały czarnoskóry aktor Woody Strode. (Lily go znała; w istocie pod koniec lat sześćdziesiątych zagrała z nim w filmie wytwórni American International „Execution Express”). Mężczyzna, zbliżający się do miejsca, gdzie Wendell Green garbi się nad bateriami i garścią papieru, jest bardzo podobny do owego aktora. Ma na sobie spłowiałe džinsy, niebieską sztruksową koszulę, chustę na szyi i ciężki rewolwer przy szerokim, skórzanym pasie, na którym migocze około pięćdziesięciu naboji. Jest łysy i ma głęboko osadzone oczy. Przez ramię przerzucił gitarę na pasku z eleganckim wzorem. Na jego drugim barku siedzi ptak przypominający papugę. Papuga ma dwie głowy.

– Nie, nie – mówi Wendell nieco karcącym tonem. – Nie. Nie widzę. Nie widzę. Tego.

Opuszcza głowę i raz jeszcze próbuje wetknąć baterie w garść papieru.

Cień przybysza pada na Wendella, który zdecydowanie odmawia podniesienia głowy.

– Witaj, nieznajomy – mówi przybysz. Wendell nie podnosi głowy. – Nazywam się Parkus. W tych stronach ja jestem prawem. Jak cię wołają? – Wendell nadal nie reaguje, jeśli nie uznamy za reakcję cichych pomruków dobywających się spomiędzy jego zaślinionych ust. – Pytałem, jak się nazywasz.

– Wen – mówi nasz stary znajomy (w gruncie *rzeczy* nie możemy go nazwać przyjacielem), nie podnosząc głowy. – Wen. Dell. Gree... Green. Ja... ja... ja...

– Nie spiesz się – mówi Parkus (nie bez współczucia). – Zaczekam, aż ci się rozgrzeje żelazo do piętnowania.

– Ja... orzeł pióra!

– Och? Naprawdę? – Parkus kuca; Wendell wpycha się na wiotką ścianę pawilonu. – Nie ma co, zabiłeś jak w bęben na czele parady. Coś ci powiem, widziałem orle pióra, jastrzębie, a nawet sokole, ale po raz pierwszy widzę orla pióra.

Wendell podnosi głowę i gwałtownie mruga.

– Bóg jest miłością – mówi jedna głowa papugi na lewym barku Parkusa.

– Jeb swą matkę – odpowiada druga głowa.

– Wszystko musi szukać rzeki życia – mówi pierwsza głowa.

– Obciągnij mi laskę – odpowiada druga.

– Rośniemy ku Bogu – twierdzi pierwsza głowa.

– Szczaj pod wiatr – zachęca druga.

Chociaż obie głowy mówią spokojnym tonem – w istocie sugerującym rozsądną dyskusję – Wendell kuli się jeszcze bardziej, a następnie opuszcza głowę i wraca z furią do daremnych starań stworzenia funkcjonalnej całości z baterii i zmiętego papieru, znikającego już w brudnej i prze poczonej zaciśniętej ręce.

– Nie zwracaj na nie uwagi – mówi Parkus. – Ja na pewno nie zwracam. Właściwie ich nie słyszę – taka prawda. Zamknijcie się, chłopaki. – Papuga milknie. – Jedna głowa nazywa się Czysta, druga – Wszeteczna. Noszę ją z sobą tylko po to, żeby mi przypominała...

Przerywa mu odgłos zbliżających się kroków. Wstaje gładkim, pozbawionym wysiłku ruchem. W ich stronę idą Jack i Sophie, trzymając się za ręce w całkowicie nieświadomy sposób, jak wędrujące do szkoły dzieci.

– Speedy! – woła Jack, a na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Proszę, Jack Wędrowniczek! – mówi Parkus i też się uśmiecha. – Miło powitać! Proszę, szanowny panie – ale ty wyrosłeś.

Jack podbiega i obejmuje Parkusa, który przytula go serdecznie. Po chwili Jack odsuwa go na odległość wyciągniętych rąk i przygląda mu się badawczo.

– Byłeś starszy – przynajmniej mnie wydawałeś się starszy. W obydwóch światach.

Parkus kiwa głową, wciąż się uśmiechając.

– Pewnikiem starzej wyglądałem, Jack – mówi, zaciągając tak, jak Speedy Parker. – Pamiętaj, że byłeś tylko dzieckiem.

– Ale...

Parkus macha ręką.

– Czasami wyglądam starzej, czasami nie tak staro. Wszystko zależy od...

– Wiek to mądrość – mówi pobożnym głosem jedna głowa papugi, na co druga odpowiada: – Ty stary, zramolały pierdoło.

– ...miejsca i okoliczności – kończy Parkus, po czym dodaje: – Powiedziałem wam, chłopcy, że macie się zamknąć. Jak nie przestaniecie, to poukręcę wam wasze parchate szyje. – Przenosi uwagę na Sophie, która przygląda się mu z zaciekawieniem rozszerzonymi oczyma, nieśmiała jak łania. – Sophie – mówi. – Wspaniale cię widzieć, moja droga. Nie mówiłem, że się zjawi? I proszę, jest tutaj. Zabrało mu to trochę więcej czasu, niż podejrzewałem, to wszystko.

Sophie wykonuje głęboki dyg, aż przykłęka na jedno kolano z pochyloną głową.

– Dzięki, *sai* – mówi. – Przybądź w pokoju, rewolwerowcze, i podążaj wzdłuż Wiązki z moją miłością.

Po tych słowach Jack czuje dziwny, przenikliwy chłód, jakby wiele światów przemówiło harmonicznym tonem, niskim, lecz rezonującym.

Speedy – Jack wciąż tak o nim myśli – bierze ją za rękę i podnosi.

– Wstań, dziewczyno, i popatrz mi w oczy. Nie jestem żadnym rewolwerowcem, nie na pograniczu, chociaż istotnie od czasu do czasu noszę stare żelazo. Tak czy inaczej, musimy pomówić o wielu sprawach. Nie ma czasu na ceremonie. Chodźcie oboje ze mną za pagórek. Musimy uciąć sobie pogawędkę, jak mawiają rewolwerowcy. Albo mawiali, zanim świat się przesunął. Ustrzeliłem ładne stadko kuropatw i myślę, że upieczone będą pyszne.

– A co z... – Jack wskazuje mruczącą, zgarbioną postać Wendella Greena.

– No, wygląda na całkiem zajętego swoją robotą – mówi Parkus. – Powiedział, że jest orłem pióra.

– Obawiam się, że nieco się wywyższa – odpowiada Jack. – Nasz stary Wendell to sęp pióra.

Wendell minimalnie obraca głowę. Konsekwentnie nie podnosi wzroku, ale jego usta wykrzywiają się w uśmiešku, zapewne bardziej odruchowym niż rzeczywistym.

– Słyszałem. Co. Powiedziałeś. – Walczy ze sobą. Jego usta znów się wykrzywiają, tym razem mniej odruchowo. W istocie Wendell szczyrzy zęby. – Zło. Zło. Złoty Chłopiec. Holly. Wood.

– Zdołał zachować przynajmniej część dawnego wdzięku i radości życia – mówi Jack. – Nic mu się tu nie stanie?

– Nic, co ma choćby trochę oleju w głowie, nie zbliża się do namiotu Siostrzyczek – odpowiada Parkus. – Nic mu nie będzie. A jeśli poczuje z wiatrem coś smacznego i przyjdzie rzucić okiem, to pewnie będzie mógł się pożywić. – Odwraca się w stronę Wendella. – Idziemy tam. Niedaleko. Jeśli będziesz miał ochotę na wizytę, to po prostu przeleć się. Zrozumiałeś, panie Orzeł Pióra?

– Wen. Dell. Green.

– Tak jest, proszę pana. Wendell Green. – Parkus ogląda się na pozostałą parę. – Chodźcie. Zmykamy.

– Nie możemy o nim zapomnieć – mówi zniżonym głosem Sophie i ogląda się za siebie. – Za kilka godzin zrobi się ciemno.

– Nie możemy – zgadza się Parkus, gdy dochodzą na szczyt pobliskiego wzniesienia. – Jakby został pod namiotem po zmroku, to byłoby po nim.

W zagłębieniu po drugiej stronie wzniesienia jest więcej roślinności – a nawet wąski strumyczek, zapewne spływający do rzeki, którą słychać w oddali – ale mimo to sceneria bardziej przypomina północną Nevadę niż zachodnie Wisconsin. W pewien sposób to ma sens, myśli Jack. Ostatni przeskok nie był zwyczajny. Czuję się jak kamień, który puszczono kaczka przez cały staw, a biedny Wendell...

Na prawo po przeciwnej stronie jaru stoi koń, przywiązany w cieniu czegoś, co Jack uznaje za jukę. Mniej więcej dwadzieścia jardów w dół stoku znajduje się krąg zwietrzałych kamieni. W jego środku jest jeszcze nierozpalone, starannie ułożone ognisko. Jackowi nie

bardzo podoba się to miejsce – kamienie przypominają mu wiekowe zęby. Nie tylko on czuje tę niechęć. Sophie przystaje i zaciska silniej dłoń na jego rękę.

– Musimy tam iść, Parkus? Powiedz, że nie, proszę.

Parkus zwraca się ku niej z łaskawym uśmiechem, dobrze znanym Jackowi: to bez wątpienia uśmiech Speedy’ego Parkera.

– Mówiący Demon zniknął z tego kręgu przed wieloma wiekami, kochanie – informuje. – Wiesz przecież, że takie jak ten najlepiej nadają się do snucia historii.

– Ale...

– Nie ma czasu na pietra – mówi jej Parkus z cieniem zniecierpliwienia, i chociaż nie używa dokładnie słowa „pietra”, tak właśnie tłumaczy go umysł Jacka. – Czekaaś na jego przybycie w namiocie Siostrzyczek...

– Tylko dlatego że ona była tam po drugiej stronie.

– ...a teraz chcę, żebyście poszli ze mną. – W jednej chwili wydaje się Jackowi wyższy. Jego oczy błyskają. Jack myśli: Rewolwerowiec. Tak, myślę, że on mógłby być rewolwerowcem. Tak jak w którymś ze starych filmów mamy, tyle że prawdziwym.

– Dobrze – szepcze Sophie. – Skoro musimy. – Ogląda się na Jacka. – Zastanawiam się, czy mógłbyś mnie objąć ramieniem?

Możemy być pewni, że Jack z radością ulega jej sugestii.

Gdy przechodzą między dwoma głazami, Jack ma wrażenie, że słyszy okrutnie zniekształcone, szeptane słowa. Spośród nich wybija się na chwilę całkowicie wyraźny głos, który wnikając do jego ucha, wydaje się zostawiać za sobą pasmo śluzu: *Drudźcie zię, drudźcie zię, drudźcie zię, och, grwawiądze zdópki, wgróddze brzyjdzie, mój dobry brzyjadziel Munshun, a jakąż nagrodę będę miał dla niego, oho, oho...*

Jack patrzy na swojego starego przyjaciela, gdy Parkus kuca przy wleczonym za koniem worku i luzuje ściągający go sznurek.

– Jest blisko, prawda? Rybak. I Czarny Dom – on też jest niedaleko.

– Taa – mówi Parkus i wyrzuca z worka tuzin wypatroszonych, tłustych ptaków.

Na widok kuropatw w głowie Jacka ponownie pojawiają się wspomnienia o Irmie Freneau i myśli, że nie da rady jeść. Patrzenie, jak Parkus i Sophie nadziewają ptaki na świeżo ułamane gałazki, podsycza to przekonanie. Gdy jednak ognisko zostaje rozpalone, a ptactwo zaczyna się rumienić, odzywa się żołądek, upierając się, że kuropatwy wspaniale pachną, a będą smakowały pewnie jeszcze lepiej. Jack przypomina sobie, że tu prawie wszystko jest lepsze.

– Tak oto znajdujemy się tutaj, w mówiącym kręgu – odzywa się Parkus. Uśmiech na razie zniknął z jego twarzy. Z powagą spogląda na siedzących obok siebie i wciąż trzymających się za ręce Jacka i Sophie. Gitarę oparł o pobliską skalę. Obok niej Czysta i Wszeteczna śpi z głowami wetkniętymi w pióra, bez wątpienia śniąc rozdwojone sny. –

Demon dawno już zniknął, ale legendy mówią, że tego rodzaju istoty pozostawiają po sobie ślady, przydające językowi lotności.

– Pewnie jak pocałowanie Skały Blarney – sugeruje Jack.

– Nie czas na całowanie. – Parkus potrząsa głową; nie wie, że Jackowi chodzi o sławny kamień z jego świata.

– Gdybyśmy tylko mieli do czynienia ze zwyczajną kanalią – mówi Jack. – Z kimś takim potrafiłbym sobie poradzić.

Sophie ogląda się na niego zdezorientowana.

– Chodzi mu o szumowinę – wyjaśnia jej Parkus. – Łotra. – Patrzy na Jacka. – W pewnym sensie właśnie z kimś takim masz do czynienia. Carl Bierstone niewiele *znaczy* – można powiedzieć, że to zwyczajny potwór. Co nie znaczy, że nie przydałoby się go uśmiercić. Jeśli jednak chodzi o to, co się dzieje we French Landing, to jest tylko narzędziem. W twoim świecie powiedziano by o nim, że został opętany, Jack. W Terytoriach powiedzielibyśmy, że zawładnęły nim duchy...

– Albo że obaliły go śwynie – dodaje Sophie.

– Tak. – Parkus kiwa głową. – W świecie tuż za pograniczem – Śródświecie – powiedziano by, że nawiedził go demon. Demon o wiele potężniejszy niż biedny, obszarpany duch, który zamieszkiwał niegdyś ten krąg kamieni.

Jack mało co z tego słyszy. Jego oczy się rozjarzają. „Brzmiało to jak bursztyn” – powiedział mu George Potter ubiegłego wieczoru – tysiąc lat temu. – „Mniej więcej tak, ale niezupełnie”.

– Carl Bierstone – mówi. Unosi zaciśniętą pięść i triumfalnie nią potrząsa. – Tak się nazywał w Chicago. Burnside we French Landing. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać rozparek. Gdzie on jest, Speedy? Oszczędź mi trochę cza...

– Zamknij... się – odzywa się Parkus.

Jego ton jest niski i niemal śmiertcionośny. Jack czuje, jak Sophie kuli się obok niego. Sam nieco się kuli. W niczym nie przypomina to jego starego przyjaciela – wcale. Musisz przestać myśleć o nim jako o Speedym, mówi sobie Jack. On nim nie jest ani nigdy nie był. Była to tylko grana przez niego postać, ktoś potrafiący ukoić i oczarować przestraszonego dzieciaka, uciekającego ze swoją matką.

Parkus zajmuje się ptakami, przyjemnie zarumienionymi z jednej strony i pryskającymi sokami w ogień.

– Przepraszam, że tak surowo się do ciebie odezwałem, Jack, ale musisz sobie uświadomić, że twój Rybak to płotka w porównaniu z tym, co się naprawdę dzieje.

Dlaczego nie powiesz Tansy Freneau, że to płotka? Może powiesz to Beezerowi St. Pierre?

Myśli te przelatują przez głowę Jacka, ale nie wypowiada ich na głos. Odczuwa spory lęk przed błyskiem, jaki pojawił się w oczach Parkusa.

– Nie chodzi też o Dwójników – mówi Parkus. – Musisz wybić sobie z głowy ten pomysł. To tylko coś, co dotyczy twojego świata i Terytoriów – łączące je ogniwo. Nie możesz zabić jakiegoś łotra tutaj i w ten sposób położyć kres karierze twojego ludożercy. Jeżeli zaś zabijesz go tam, w Wisconsin, ten ktoś, co się w nim kryje, przeniesie się natychmiast w czyjeś inne ciało.

– Ten ktoś...?

– Kiedy był w Albercie Fishu, nazywał go panem Monday. Facet, którego szukasz, mówi na niego Pan Munshun. Obydwie nazwy to tylko sposób wyrażenia czegoś, co nie ma imienia w żadnym ludzkim języku ludzkiego świata.

– Ile jest światów, Speedy?

– Mnóstwo – odpowiada Parkus, wpatrując się w ogień. – A ta sprawa dotyczy ich wszystkich. Jak myślisz, dlaczego inaczej tak bardzo bym się za tobą uganiał? Dlaczego wysyłałem ci pióra, jajka rudzików, robiłem każdą piekielną rzecz, żebyś się tylko ocknął?

Jack myśli o Judy, drapiącej do krwi palcami po ścianach, i czuje wstyd. Wygląda na to, że Speedy robił mniej więcej to samo.

– Obudź się, obudź, matole – mówi.

Wygląda na to, że Parkus nie może wybrać między wymówką i uśmiechem.

– Na pewno widziałeś mnie w tej sprawie, przez którą uciekłeś z Los Angeles.

– Och, człowieku... Jak myślisz, co wtedy przeżywałem?

– Uciekłeś jak Jonasz, kiedy Bóg rozkazał mu przemawiać przeciwko występkom Niniwy. Myślałem, że będę musiał wysłać wieloryba, żeby cię żywcem połknął.

– Czuję się połknięty – mówi mu Jack.

– Ja również – dopowiada cicho Sophie.

– Wszyscy zostaliśmy połknięci – mówi mężczyzna z rewolwerem na biodrze. – Jesteśmy w brzuchu bestii, czy nam się to podoba, czy nie. To *ka*, czyli los i przeznaczenie. Twoim *ka*, Jack, jest teraz Rybak. Naszym *ka*. Chodzi o coś więcej niż morderstwa. O wiele więcej.

Jack dostrzega coś, od czego szczerze mówiąc o mało nie robi w portki ze strachu. Lester Parker, vel Speedy, vel Parkus jest sam prawie śmiertelnie przerażony.

– Chodzi o Mroczną Wieżę – mówi.

Obok Jacka Sophie wydaje cichy, desperacki okrzyk grozy i zwiesza głowę. Równocześnie podnosi rękę i robi raz za razem pod adresem Parkusa gest chroniący przed złym urokiem.

Parkus najwyraźniej nie czuje z tego powodu urazy. Po prostu wraca do obracania patykami z ptactwem.

– Wysłuchaj mnie – mówi. – Posłuchaj i postaraj się zadawać najmniej pytań, jak tylko możesz. Może mamy jeszcze szansę odzyskać syna Judy Marshall, ale czas wieje nam w twarz.

– Mów – odpowiada Jack.

Parkus mówi. W pewnym momencie swojej opowieści uznaje ptaki za dopieczone i podaje je na płaskich kamieniach. Mięso jest miękkie, prawie odpada od drobnych kości. Jack je łapczywie, popijając wielkimi łykami pysznej wody z bukłaka Parkusa za każdym razem, gdy po kolei dociera do niego. Nie traci więcej czasu na porównywanie martwych ptaków z zabitymi dziećmi. Trzeba dorzucić opału na ruszt, więc robi to z animuszem. Podobnie Sophie, jedząca palcami i oblizująca je bez najmniejszej rezerwy czy zakłopotania. Podobnie czyni w końcu Wendell Green, chociaż nie raczy wejść wewnątrz kamiennego kręgu. Kiedy Parkus rzuca mu złotobrazową kuropatwę, Wendell chwyta ją jednak z godną podziwu zręcznością i zatapia zęby w wilgotnym mięsie.

– Pytałeś, ile jest światów – zaczyna Parker. – Odpowiedź w Wysokiej Mowie brzmi *da fan*, czyli nie do wypowiedzenia.

Poczerniałym patykiem rysuje leżącą ósemkę, w której Jack rozpoznaje grecki symbol nieskończoności.

– Wszystkie pozostają na swoich miejscach dzięki Wieży. Jeśli masz ochotę, możesz myśleć o niej jako o osi, na której obraca się mnóstwo kół. Jest też istota, która chce zburzyć wieżę. Ram Abbalah.

Przy tych słowach płomienie ogniska wydają się na moment przygasnąć i nabrać czerwonej barwy. Jack pragnąłby wierzyć, że to tylko trik jego przemęczonego umysłu, ale nie może.

– Karmazynowy Król – mówi.

– Tak. Jego *fizyczna* istota jest uwięziona w celi na szczycie Wieży, ale ma inne wcielenie, równie realne, które mieszka w Cantah Abbalah – na Dworze Karmazynowego Króla.

– W dwóch miejscach naraz. – Zważywszy na swoją podróż na przemian w świecie Ameryki i Terytoriów, Jack nie ma wielkich problemów z przelknięciem tej koncepcji.

–Tak.

– Jeśli on – czy też to – zniszczy Wieżę, czy to nie będzie sprzeczne z jego celami? Czy nie zniszczy w ten sposób również swojej fizycznej istoty?

– Wręcz przeciwnie: uwolni ją, tak iż będzie mogła wędrować przez chaos, jaki wskutek tego powstanie. Chaos... *dintah...* palenisko. Niektóre części Śródświata już znalazły się w palenisku.

– Ile z tego muszę naprawdę wiedzieć? – pyta Jack; zdaje sobie sprawę, że czas umyka również po jego stronie ściany.

– Trudno powiedzieć, co musisz wiedzieć, a czego nie – odpowiada Parkus. – Może zgasną wszystkie gwiazdy, jeśli pominę niewłaściwy szczegół. Nie tylko tutaj, ale w tysiącu tysięcy wszechświatów. To najbardziej piekielna strona tego wszystkiego. Posłuchaj, Jack: Król od niepamiętnych czasów stara się zburzyć Wieżę i się uwolnić. Być może od zawsze.

To powolne dzieło, ponieważ Wieżę utrzymują w miejscu krzyżujące się wiązki siłowe, działające jak naciągi. Wiązki wytrzymały tysiąclecia i wytrzymają kolejne, ale w ciągu ostatnich dwustu lat – według waszej rachuby czasu, Jack; dla ciebie, Sophie, to prawie pięćset Pełni Ziemi...

– Tak długo – mówi Sophie; jest to prawie westchnienie. – Tak bardzo długo.

– W ogólnej rachubie wszechrzeczy to tak krótko, jak rozbły śniecie zapalki w ciemnym pokoju. Chociaż jednak potrzeba czasu na to, by rozwinęły się dobre rzeczy, zło zwykle pojawiać się w pełni gotowe do użytku, jak wyskakujący z pudełka diabełek. *Ka* sprzyja zarówno złu, jak i dobru. Obejmuje i jedno, i drugie. Wróćmy do Jacka... – Parkus obraca się w jego stronę. – Oczywiście słyszałeś o wieku *żelaza* i brązu? – Jack kiwa głową. – Niektórzy na najwyższych piętrach Wieży nazywają okres ostatnich mniej więcej dwustu lat Wiekem Zatrutej Myśli. To znaczy...

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – mówi Jack. – Nie zapominaj, że znałem Morgana Sloata. Wiem, co planował dla świata Sophie.

Rzeczywiście. Podstawowy plan zakładał zamienienie jednego z najwspanialszych plastrów miodu we wszechświecie najpierw w kurort dla bogaczy, następnie w źródło niewykwalifikowanej siły roboczej, a ostatecznie składnicę odpadów, zapewne radioaktywnych. Jeśli to nie jest przykład zatrutej myśli, to Jack nie ma pojęcia, czym mogłaby być.

– Wśród myślących istot zawsze pojawiali się telepaci; odnosi się to do wszystkich światów – mówi Parkus. – Zwykle to jednak rzadkie stworzenia. Cudy natury, można by powiedzieć. Jednakże odkąd w twoim świecie nastął Wiek Zatrutej Myśli – nawiedził go jak demon – tego rodzaju istoty stały się o wiele częstsze, Jack. Nie tak pospolite jak powolni mutanci na Spustoszonych Ziemiach, ale mimo wszystko dość częste.

– Chodzi ci o czytających w myślach – mówi Sophie, chcąc się upewnić.

– Tak – *zgadza* się Parkus. – Ale nie tylko o nich. O prekognitów. Teleportantów – przeskakujących pomiędzy światami jak nasz stary Jack Wędrowniczek, innymi słowami i telekinetyków. Czytający w myślach są najpowszechniejsi, telekinetycy najrzadsi... i najbardziej cenni.

– Dla niego, o to ci chodzi – mówi Jack. – Dla Karmazynowego Króla.

– Tak. Mniej więcej przez ostatnich dwieście lat abbalah spędził większość czasu na zbieraniu drużyny telepatówniewolników. Większość pochodzi z Ziemi i Terytoriów. Wszyscy telekinetycy pochodzą z Ziemi. Ta kolekcja niewolników – ten gułag – to wieńczące jego wysiłki osiągnięcie. Nazywamy ich Niszczycielami. Oni... – Parkus milknie w zadumie. Potem pyta: – Wiesz, jak pływa galera?

Sophie kiwa głową, a Jack z początku nie ma pojęcia, o czym mówi Parkus. Przemyka mu przez głowę obłądna wizja kołyszącej się na falach pełnej obrazów sali.

– Dzięki mnóstwu wiosłarzy – mówi Sophie i wykonuje ruch naśladujący wiosłowanie, przy którym czarująco uwypuklają się jej piersi.

– Zwykle niewolników skutych łańcuchami – przytakuje Parkus. – Oni...

Z zewnątrz kręgu Wendell nagle wtyka swoje dwa grosze.

– Spart. Kuś. – Marszczy brwi, po czym próbuje znowu. – Spartakus.

– O czym on znowu? – Parkus marszczy brwi. – Domyślasz się, Jack?

– O film pod takim tytułem – mówi Jack i zwraca się do dziennikarza. – Jak zwykle nie masz racji, Wendell. Chyba chodzi ci o „BenHura”.

Wendell wyciąga zatłuszczone ręce z taką miną, jakby się boczył.

– Jeszcze. Mięsa.

Parkus zdejmuje ostatnią skwierczącą kuropatwę z patyka i rzuca ją między dwa głazy, za którymi siedzi Wendell z bladzi, usmarowaną twarzą, wyglądającą spomiędzy kolan.

– Świeża ofiara dla orła pióra – mówi. – A teraz wyświadczyć nam przysługę i się zamknij.

– Bo. Co. – W oczach Wendella pojawia się dawny wojowniczy błysk.

Parkus wyciąga do połowy z pochwy rewolwer. Rękojeść z okładziną z drewna sandałowego jest wytarta, lufa lśni jednak morderczo jasno. Parkus nie musi mówić nic więcej; ściskając w ręce drugą kuropatwę, Wendell Green zgarnia połę swojej szaty i spieszenie oddala się za szczyt wzniesienia. Jack odczuwa wyjątkową ulgę dzięki jego zniknięciu. Spartakus, nie ma co, myśli i parska.

– A zatem Karmazynowy Król chce wykorzystać tych Niszczycieli do rozerwania Wiązek – mówi. – O to chodzi, prawda? Taki ma plan.

– Mówisz, jakby chodziło o przyszłość – odpowiada cicho Parkus. – To dzieje się teraz, Jack. Przyjrzyj się tylko swojemu światu, jeśli chcesz zobaczyć dezintegrację w trakcie. Z sześciu Wiązek tylko jedna trzyma jak powinna. Dwie inne generują jeszcze trochę mocy. Trzy pozostałe zgasły. Jedna wypaliła się tysiące lat temu, naturalną kolejną rzeczą. Pozostałe... unicestwili Niszczyciele. W ciągu dwóch stuleci lub jeszcze szybciej.

– Chryste – mówi Jack; zaczyna rozumieć, dlaczego Speedy miał prawo nazwać Rybaka drobną płótką.

– Zadanie chronienia Wieży i Wiązek od zawsze należało do pradawnej gildii wojowników Gileada. Jej członków w tym świecie i wielu innych nazywano rewolwerowcami. Oni również tworzą potężną siłę psychiczną, w pełni zdolną przeciwstawić się Niszczycielom Karmazynowego Króla, ale...

– Odeszli wszyscy z wyjątkiem jednego – mówi Sophie, spoglądając na wielki rewolwer przy biodrze Parkusa. Dodaje z cichą nadzieją: – O ile nie jesteś jednym z nich, Parkus.

– Ja nie, moja droga – mówi. – Został jednak niejeden.

– Myślałam, że Roland był ostatni. Tak przynajmniej głośzą opowieści.

– Powołał co najmniej trzech innych – odpowiada Parkus. – Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale wierzę, że to prawda. Gdyby Roland wciąż był sam, to Niszczyciele już dawno obaliliby Wieżę. Jeśli jednak połączył siły z tą trójką...

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – wtrąca się Jack. – Zostałem co najmniej dwa zakręty z tyłu.

– Nie ma potrzeby, żebyś to wszystko zrozumiał, aby wypełnić swoje zadanie – mówi Parkus.

– Dzięki Bogu.

– Wracając do tego, co musisz jednak zrozumieć, zostaw galery z wiosłarzami i pomyśl w kategoriach westernów, jakie kręciła twoja matka. Zacznij od wyobrażenia sobie fortu na pustyni.

– Mrocznej Wieży, o której cały czas mówisz. To ten fort.

– Tak. A zamiast Indian okrążają ją...

– Niszczyciele. Pod dowództwem Wielkiego Wodza Abbalaha.

– Król jest w swojej Wieży i je chlebuś z miodem. Niszczyciele w lochach przymierają głodem – mruczy Sophie.

Jack czuje przenikający po kręgosłupie lekki, lecz wyjątkowo nieprzyjemny dreszcz; przychodzą mu do głowy szurze łapki, przemykające po potłuczonym szkłe.

– Słucham? Dlaczego to powiedziałeś?

Sophie spogląda na niego, rumieni się, potrząsa głową i spuszcza wzrok.

– Ona czasem tak mówi. Judy. Tak przynajmniej niekiedy to słyszę.

Parkus bierze do ręki zwęglony patyk i zaczyna kreślić linie w skalistym pyłe obok poziomej ósemki.

– Fort jest tutaj. Tutaj Indianiemaruderzy, dowodzeni przez swojego bezlitosnego, złego – i przede wszystkim szalonego – wodza. Ale tutaj... – Daleko po lewej rysuje w pyłe prymitywną strzałkę, wymierzoną w uproszczone kontury, reprezentujące fort i oblegających go Indian. – Co zawsze pojawia się w ostatniej chwili we wszystkich najlepszych westernach Lily Cavanaugh?

– Kawaleria – mówi Jack. – Czyli my, jak się domyślam.

– Nie – odpowiada Parker ciepłym tonem, chociaż Jack podejrzewa, że utrzymanie go kosztuje go wiele wysiłku. – Kawaleria to Roland z Gilead i jego nowi rewolwerowcy. Taką przynajmniej nadzieję żywią ci z nas, którzy pragną, by Wieża ocalała – lub runęła w swoim czasie. Karmazynowy Król ma nadzieję, że zdoła zatrzymać Rolanda i jego pomocników daleko od Wieży, podczas gdy on zdoła dokończyć dzieła jej zniszczenia. Oznacza to konieczność zebrania jak największej liczby Niszczycieli, zwłaszcza telekinetyków.

– Czy Tyler Marshall...

– Przestań przeszkadzać. Trudno mi idzie i bez tego.

– Byłeś kiedyś całę niebo pogodniejszy, Speedy – mówi z wyrzutem Jack.

Przez chwilę myśli, że jego stary przyjaciel znowu go zbeszta – a może nawet całkowicie straci opanowanie i zamieni go w żabę – lecz Parkus odpręża się nieco i śmieje krótko. Sophie podnosi z ulgą wzrok i ściska rękę Jacka.

– Och, może miałaś prawo poszarpać mi trochę nerwy – mówi Parkus. – Na nic się nie zda, jeśli nie zdołam dać im trochę luzu, prawda? – Dotyka wielkiego rewolweru na biodrze. – Nie byłbym zaskoczony, jakbym od noszenia tego kopyta nabawił się paru wielkościowych urojeń.

– Znalazłeś się szczebel czy dwa wyżej od stróża z wesołego miasteczka – przyznaje Jack.

– Zarówno w Biblii – w twoim świecie, Jack – jak i Księdze Dobrej Uprawy – w twoim, droga Sophie, jest werset, brzmiący mniej więcej: „W Królestwie moim jest bowiem mieszkań wiele”*. Cóż, na Dworze Karmazynowego Króla jest wiele potworów. – Jack słyszy, że kątem ust wymyka się mu krótki, twardy śmiech. Wygląda na to, że jego przyjaciel pokusił się o typowo niesmaczny policyjny żart. – To dworzanie Króla... jego rycerze. Wyobrażam sobie, że każdy z nich ma jakąś funkcję, ale w ostatnich latach ich podstawowym zadaniem było wyszukiwanie utalentowanych Niszczycieli. Im większy Niszczyciel ma talent, tym większa nagroda.

– Łowcy głów – mruczy Jack.

Nie zdaje sobie sprawy z podtekstu swoich słów, dopóki nie padają z jego ust. Użył tego określenia w takim sensie, w jakim stosuje się w biznesie, lecz oczywiście ma ono inne, bardziej dosłowne znaczenie. Łowcy głów to ludożercy.

– Tak – zgadza się Parkus. – Mają też śmiertelnych pod

– Werset ten jest najbardziej zbliżony do Ewangelii wg św. Jana 14; 2, ale dokładnie mu nie odpowiada (przyp. tłum.). najemców, którzy pracują dla nich... nie mam ochoty powiedzieć: dla przyjemności, ale jak to inaczej ująć?

Jackowi przychodzi do głowy koszmarna wizja: Albert Fish jako postać z gazetowego rysunku, stojąca na nowojorskim chodniku z tabliczką ze słowami: PODEJMĘ PRACĘ ZA WYŻYWIENIE. Obejmuje Sophie ciasniej ramieniem. Sophie zwraca ku niemu niebieskie oczy, a on z zadowoleniem w nie zagląda, bo to go uspokaja.

– Ilu Niszczycieli wysłał Albert Fish swojemu kumpłowi panu Monday? – chce wiedzieć Jack. – Dwóch? Czterech? Dwunastu? I czy w końcu poumierali i dlatego abbalah musi ich zastąpić?

– Nie umarli – odpowiada z powagą Parkus. – Są trzymani w miejscu – w podziemiu, tak, czy też w pieczarze – gdzie w zasadzie czas nie istnieje.

– Czyścucu. Chryste.

– To nieistotne. Albert Fish od dawna nie żyje. Pan Monday został Panem Munshunem. Pan Munshun zawarł z twoim mordercą prosty układ: Burnside może zabijać i zjadać

wszystkie dzieci, na jakie ma ochotę, jeśli tylko nie są utalentowane. Jeśli znajdzie jednak jakieś, które mają talent – jakichkolwiek Niszczycieli – ma je natychmiast przekazać Panu Munshunowi.

– Który *zabierze* ich do abbalaha – mruczy Sophie.

– Zgadza się – mówi Parkus.

Jack czuje, że znajduje się z powrotem na względnie solidnym gruncie, i napawa go to wyjątkowym zadowoleniem.

– Ponieważ Tyler nie został zabity, musi być utalentowany.

– „Utalentowany” to właściwie nieodpowiednie słowo. Tyler Marshall jest potencjalnie jednym z dwóch najpotężniejszych Niszczycieli w całej historii wszystkich światów. Jeśli mogę na krótko wrócić do analogii z oblężonym przez Indian fortem, to można powiedzieć, że Niszczyciele są jak wystrzeliwane nad umocnieniami płonące strzały... nowa strategia walki. Tyler Marshall to jednak nie zwykła płonąca strzała. Bardziej przypomina pocisk sterowany... Albo ładunek jądrowy.

– Nie wiem, co to takiego – mówi Sophie.

– Wierz mi, nie chcesz wiedzieć – odpowiada Jack.

Opuszcza wzrok na naskrobane w pyle linie. Czy jest zaskoczony, że Tyler ma tak wielką moc? W gruncie rzeczy nie. Nie po zetknięciu się z aurą otaczającą jego matkę. Nie po spotkaniu Dwójniczki Judy, której prosta sukienka i zachowanie nie potrafią ukryć charakteru, w jego ocenie prawie królewskiego. Jest piękna, lecz Jack wyczuwa, że piękno to jedna z najmniej istotnych jej cech.

– Jack? Nic ci nie jest? – pyta go Parkus.

Nie ma czasu na rozmyślanie, sugeruje jego ton.

– Daj mi minutę – mówi Jack.

– Nie mamy wiele cz...

– Dano mi to dostatecznie jasno do zrozumienia – mówi Jack, cedząc słowa, i czuje, że Sophie przesuwa się, zaskoczona jego tonem. – Daj mi tę minutę. Pozwól, że zrobię swoje.

– Bóg kocha biednego robotnika – mruczy spod kryzy zielonych piór jedna z głów papugi. Druga odpowiada: – To dlatego narobił ich tak kurewsko dużo?

– W porządku, Jack – mówi Parkus i podnosi głowę, wpatrując się w niebo.

No dobrze, co my tu mamy? – myśli Jack. Mamy cennego małego chłopca, a Rybak *wie*, że jest cenny. Ten cały Pan Munshun go jednak jeszcze nie dostał, bo inaczej Speedy’ego by tu nie było. Dedukcja?

Sophie wpatruje się w niego z natężeniem. Parkus wciąż spogląda na idealnie czysty błękit na pograniczu między Terytoriami – nazywanymi przez Judy Marshall Oddalą – a Tym, Co Kryje Się Dalej. Umysł Jacka pracuje na wysokich obrotach, rozpędza się jak wyjeżdżający ze stacji ekspres. Zdaje sobie sprawę, że czarnoskóry łysy mężczyzna wpatruje na niebie pewnej złowroziej wrony. Jack orientuje się, że jasnoskóra kobieta obok – wpatruje

się w niego z tego rodzaju fascynacją, która może przejść w miłość, jeśli wystarczy miejsca i czasu. Przede wszystkim jest jednak pogrążony we własnych myślach. Są to rozmyślania gliniarza.

Bierstone jest teraz Burnside'em, i jest stary. Jest stary i trochę zawodzą go obecnie zdolności poznawcze. Chyba nie może wybrać między tym, czego pragnie, czyli zatrzymaniem Tylera dla siebie, a tym, co obiecał temu calemu Munshunowi. Gdzieś kryje się otumaniony, rozchwierutany, niebezpieczny umysł, starający się podjąć decyzję. Jeśli postanowi zabić Tylera i wsadzić go do kotła jak czarownica z „Jasia i Malgosi”, to fatalnie dla Judy i Freda. Nie wspominając o Tylerze; chłopiec zapewne już widział rzeczy, od których postradałby rozum weteran piechoty morskiej. Jeśli jednak Rybak przekaże chłopca Panu Munshunowi, to fatalnie dla wszystkich we wszechświecie. Nic dziwnego, że Speedy powiedział, iż czas wieje nam w twarz.

– Wiedzieliście, że do tego dojdzie, prawda? – pyta. – Oboje. Musieliście. Bo Judy wiedziała. Od miesiący zachowywała się dziwnie – na długo, zanim zaczęły się morderstwa.

Parkus wierci się i z zakłopotaniem odwraca wzrok.

– Tak, wiedziałem, że coś się szykuje – po tej stronie panowało wielkie zaniepokojenie – ale zajmowałem się inną sprawą. A Sophie nie potrafi przejść na drugą stronę. Przybyła tutaj z latającymi ludźmi i wróci w ten sam sposób, kiedy skończymy pogawędkę.

– Jesteś tym, kim była kiedyś moja matka. – Jack obraca się do Sophie. – Jestem tego pewny. – Domyśla się, że nie tłumaczy dostatecznie jasno, o co mu chodzi, ale nic nie może na to poradzić; jego myśli zmierzają w zbyt wielu kierunkach naraz. – Jesteś następczynią Laury DeLoessian. Królowej tego świata.

Tym razem to Sophie wygląda na zakłopotaną.

– Byłam nikim w porządku wszechrzeczy, naprawdę nikim, i to mi odpowiadało. Głównie pisałam pochwały i dziękowałam ludziom za to, że przybyli mnie zobaczyć... tyle że jako osoba na tym stanowisku zawsze mówiłam: „nas”. Lubiłam spacerować, szkicowanie kwiatów i ich katalogowanie. Uwielbiałam polowania. Potem w wyniku pecha, złych czasów i złych postępów okazałam się ostatnią z królewskiego rodu. Królową tego świata, jak powiedziałeś. Kiedyś miałam męża, prostego i dobrego człowieka, ale mój Fred Marshall zmarł i zostawił mnie samą. Sophie Jałową.

– Przestań – mówi Jack.

Jest zdumiony, jak bardzo boli go, że Sophie mówi o sobie w tak gorzki, żartobliwy sposób.

– Gdybyś nie miał pojedynczej natury, Jack, to twój Dwójnik byłby moim kuzynem. – Odwraca szczupłe palce w ten sposób, że od tej chwili to ona ściska jego rękę. Gdy przerywa wreszcie milczenie, mówi cichym, pełnym pasji tonem: – Zostaw na boku wielkie sprawy. Ja wiem tyle, że Tyler Marshall to dziecko Judy. Kocham ją i oddałabym wszystkie światy za to,

by nie spotkała jej krzywda. Nie ma nikogo, kto byłby bardziej od Tylera podobny do dziecka, którego nigdy nie będę miała. Wiem te rzeczy, i jeszcze jedną: że tylko ty możesz go uratować.

– Dlaczego? – Wyczuł to, oczywiście – dlaczego inaczej miałby się tu znaleźć – lecz nie zmniejsza to jego oszołomienia. – Dlaczego ja?

– Bo miałaś Talizman w rękach i chociaż część jego mocy opuściła cię przez lata, wiele z niej zostało.

Jackowi przypominają się konwalie, które Speedy zostawił mu w toalecie Dale'a. To, jak ich woń pozostała na jego rękach, chociaż oddał bukiet Tansy. Przypomina sobie również, jak wyglądał Talizman w szmerzącym mroku Pawilonu Królowej, jak wzniósł się i opromienił wszystko, nim wreszcie zniknął.

Myśli: Nadal wszystko zmienia.

– Parkus.

Czy po raz pierwszy zwrócił się w ten sposób do drugiego mężczyzny – starszego gliniarza? Nie wie na pewno, ale uznaje to za możliwe.

– Tak, Jack.

– To, ile zostało z Talizmanu – czy to wystarczy? Czy wystarczy mi to na pokonanie Karmazynowego Króla?

– Nigdy w życiu, Jack. – Parkus wygląda na mimowolnie wstrząśniętego. – Nigdy w niczym życiu. Abbalah zdmuchnąłby cię jak świecę. Może jednak wystarczy do zmierzenia się z Panem Munshunem – do zapuszczenia się w krainę palenisk i zabrania z niej Tylera.

– Są tam maszyny – mówi Sophie, która wygląda, jakby przeżywała mroczny i nieszczęśliwy sen. – Czerwone i czarne maszyny, wszystkie spowite dymem. Są tam wielkie pasy i mnóstwo dzieci. Trudzą się i trudzą, obracają napędzające maszyny pasy. W lisich dziurach. W szurzących dziurach, w których nigdy nie świeci słońce. W wielkich pieczarach, gdzie rozciąga się kraina palenisk.

Jack jest wstrząśnięty do granic umysłu i ducha. Spostrzega, że myśli o Dickensie – nie o „Samotni”, lecz „Oliwerze Twiście”. Przypomina sobie też rozmowę z Tansy Freneau. Przynajmniej Army tam nie ma, myśli. Nie w krainie palenisk. Nie ona. Została zabita, a podły stary człowiek zjadł jej nogę. Tyler jednak... Tyler...

– Trudzą się, aż krwawią im stopy – mruczy. – A jak tam trafić...?

– Myślę, że wiesz – mówi Parkus. – Kiedy odnajdziesz Czarny Dom, znajdziesz drogę do krainy palenisk... machin.. Pana Munshuna... i Tylera.

– Chłopiec żyje. Jesteś tego pewny.

– Tak – mówią razem Parkus i Sophie.

– A gdzie jest teraz Burnside? Informacja ta mogłaby ździebko przyspieszyć sprawę.

– Nie wiem – odpowiada Parkus.

– Chryste, skoro wiesz, kim był...

– Dzięki odciskom – mówi Parkus. – Odciskom palców na telefonie. Twojemu pierwszemu prawdziwemu pomysłowi dotyczącemu sprawy. Policja stanowa Wisconsin zdobyła nazwisko Bierstona'a z bazy danych VICAP FBI. Masz nazwisko Bierstone'a. Powinno wystarczyć.

Policja stanowa Wisconsin, FBI, VICAP, baza danych – terminy te padają w dobrej starej amerykańskiej angielszczyźnie, ale w tym miejscu brzmią nieprzyjemnie i obco dla ucha Jacka.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Mam swoje źródła w twoim świecie i trzymam ucho przy ziemi, jak wiesz z własnego doświadczenia. A na pewno jesteś wystarczająco dobrym gliną, żeby poradzić sobie samemu z resztą.

– Judy myśli, że masz przyjaciela, który może pomóc – wtrąca niespodziewanie Sophie.

– Dale'a? Dale'a Gilbertsona?

Jackowi trochę trudno w to uwierzyć, ale dochodzi do wniosku, że być może Dale coś odkrył.

– Nie wiem, jak się nazywa. Judy myśli, że przypomina wielu ludzi tu w Oddali. To człowiek, który wiele wie, bo nic nie widzi.

Jednak nie chodzi o Dale'a. Mowa o Henrym.

Parkus wstaje, papuga podnosi głowy, pokazując cztery jaskrawe oczka. Czysta i Wszeteczna wskakuje mu na ramię i sadowi się wygodnie.

– Myślę, że nasza pogawędka dobiegła końca – mówi Parkus. – Musi się już kończyć. Jesteś gotowy do powrotu, przyjacielu?

– Tak. I myślę, że zabiorę Greena, chociaż wcale nie mam na to ochoty. Nie sądzę, żeby długo tu wytrzymał.

– Jak sobie życzysz.

Jack i Sophie, wciąż trzymający się za ręce, są w połowie wzniesienia, gdy nasz przyjaciel zdaje sobie sprawę, że Parkus wciąż stoi w mówiącym kręgu z papugą na ramieniu.

– Nie idziesz?

– Nasze drogi się teraz rozchodzą, Jack. – Parkus kręci głową. – Może się jeszcze zobaczymy. – Jeśli przeżyję, myśli Jack. Jeśli ktokolwiek z nas przeżyje. – Na razie podążaj swoją drogą. I bądź wierny.

Sophie wykonuje kolejny głęboki dyg.

– *Sai*.

Parkus kiwa głową i saltuje Jackowi Sawyerowi. Jack odwraca się i prowadzi Sophie z powrotem do zrujnowanego szpitalnego namiotu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Speedy'ego Parkera.

Wendell Green – as dziennikarstwa, nieustraszony tropiciel, tłumacz dobra i zła dla nieprzeliczonego motłochu – siedzi tam, gdzie wcześniej, trzymając w jednej ręce zmięte

arkusze papieru i baterie w drugiej. Znowu mamrocze i ledwie podnosi wzrok, kiedy zbliżają się do niego Jack i Sophie.

– Zrobisz, co w twojej mocy, prawda? – pyta Sophie. – Dla niej.

– I dla ciebie – mówi Jack. – Posłuchaj teraz: jeśli wszyscy wyjdziemy z tego na własnych nogach... i jeśli zdołam tu wrócić... – Dalej nie może już mówić. Jest oszołomiony własną czelnością. Ostatecznie to królowa. Królowa. A on... co? Próbuje umówić się z nią na randkę?

– Może – odpowiada Sophie, patrząc na niego pewnymi, błękitnymi oczyma. – Może.

– Może – tego chcesz? – pyta cicho.

– Tak.

Pochyla się i muska ustami jej wargi. Przelotnie; trudno to nawet nazwać pocałunkiem. Jest to jednak najwspanialszy pocałunek w jego życiu.

– Czuję, jakbym miała zemdleć – mówi Sophie, gdy Jack się prostuje.

– Nie żartuj ze mnie, Sophie.

Ujmuje jego rękę i przyciska od dołu do lewej piersi. Czuje, jak wali jej serce.

– Czy to żart? Gdyby galopowało szybciej, zaplątałoby się we własne stopy i upadło.

Puszcza jego rękę, ale on przez moment jednak jej nie cofa, tuląc wewnątrz dłoni do sprężystego ciepła.

– Przeniosłabym się z tobą, gdybym tylko mogła – mówi.

– Wiem.

Patrzy na nią i wie, że jeśli nie ruszy teraz, natychmiast, nie zrobi tego nigdy. Nie chce jej opuszczać, ale nie tylko o to chodzi. Prawda jest taka, że nigdy w życiu nie bał się bardziej. Szuka czegoś powszedniego, co sprowadziłoby go z powrotem na ziemię – aby spowolnić łomot jego serca – i znajduje idealny obiekt w mamroczącym stworzeniu, jakim jest Wendell Green. Przyklęka na jedno kolano.

– Jesteś gotowy, chłopaku? Chcesz wyprawić się nad wielką Missisipi?

– Nie. Dotykaj. Mnie. – Po czym Wendell dodaje z niemal poetycką pasją: – Kurewski hollywoodzki zasańcu!

– Uwierz mi, nie zrobiłbym tego, gdybym miał inny wybór. Zamierzam zresztą umyć ręce, kiedy tylko będę miał okazję.

Podnosi wzrok na Sophie i widzi w niej całą Judy. Całe jej piękno.

– Kocham cię – mówi.

Zanim Sophie zdąży odpowiedzieć, Jack chwyta Wendella za rękę, zamyka oczy i przeskakuje.

Rozdział dwudziesty drugi

Tym razem rozbrzmiewa coś, co jest niezupełnie ciszą: uroczy, biały szum, który Jack słyszał już raz wcześniej. Latem 1997 roku Jack pojechał daleko na północ do Vacaville z klubem spadochroniarskim Departamentu Policji Los Angeles o nazwie P.F. Flyers. Wybrał się tam dla udowodnienia swojej śmiałości – jedno z głupstw, w które człowiek ładuje się wskutek zbyt wielu piw wypitych późno w nocy, a potem nie może się z nich wykręcić. Nie tak, by nie wypadło to niezręcznie. To znaczy nie tak, by nie wyjść na skończonego tchórza. Spodziewał się, że będzie się bał; dla odmiany odczuwał uniesienie. Mimo to nigdy tego nie powtórzył, a teraz wie dlaczego: był zbyt blisko przypomnienia sobie pewnych spraw, a jakaś przestraszona cząstka jego natury zdawała sobie z tego sprawę. Taki sam dźwięk rozlegał się przed pociągnięciem za wyzwalacz spadochronu – samotny, biały szum przemykającego obok uszu powietrza. Nie słysząc nic innego oprócz miękkiego, gwałtownego bicia serca i – może – pstrykania w uszach, gdy przelyka się ślinę, która podobnie jak ty znajduje się w stanie swobodnego spadania.

Pociągnij za wyzwalacz, Jack, myśli. Czas pociągnąć za wyzwalacz, bo inaczej lądowanie będzie cholernie twarde.

Rozlega się kolejny dźwięk, zrazu cichy, lecz wkrótce nabierający rozmiarów wycia, od którego obluzewają się zęby. Alarm przeciwpożarowy, myśli Jack, a następnie: Nie, to symfonia alarmów. W tym samym momencie dłoń Wendella Greena zostaje wyrwana z jego uścisku. Jack słyszy słaby, piskliwy krzyk, gdy jego towarzysz lotu znika gdzieś, po czym dochodzi do niego woń...

Kapryfolium...

Nie, tojejwłosy...

...i Jack stęka, czując ciężar na piersiach i przeponie. Ma wrażenie, że wyciśnięto z niego powietrze. Dotykają go ręce, jedna na ramieniu, druga w dole kręgosłupa. Włosy laskoczą mu policzek. Rozbrzmiewają alarmy. Słysząc ludzi krzyczących z dezorientacji. Brzmi klekoczący, odbijający się echem tupot stóp.

– Jack Jack Jack nic ci nie jest?

– Zaprosisz królową na randkę, to tak oberwiesz, że ockniesz się w połowie następnego tygodnia – mruczy.

Dlaczego jest tak ciemno? Został oślepiiony? Czy jest gotów do przyjęcia intelektualnie rozwijającej i finansowo opłacalnej posady jako sędzieja w Miller Park?

– Jack!

Zostaje spoliczkowany. Mocno.

Nie, nie oślepl. Ma po prostu zamknięte oczy. Rozchyła je, a nad nim pochyla się Judy, z twarzą zaledwie cale od jego. Bez zastanowienia ściska lewą dłońią włosy u podstawy jej karku, przyciągają do siebie i całuje. Judy wypuszcza powietrze w jego usta – odwrotne westchnienie z zaskoczenia, wypełniające elektrycznością jego płuca – po czym odpowiada na pocałunek. Jeszcze nigdy w życiu nie został pocałowany z taką intensywnością. Jego dłoń wędruje do piersi pod jej koszulą nocną i czuje oszałały cwał jej serca – Gdyby galopowało szybciej, zaplątałoby się we własne nogi i upadło, myśli – pod sprężystą wypukłością. Równocześnie jej ręka wsuwa się pod jego koszulę, która w jakiś sposób zostaje rozpięta, i ściska jego twardy sutek, gorący jak wcześniejszy policzek. W tej samej chwili język Judy wnika na moment w jego usta jak pszczoła w kwiat i natychmiast się z nich wysuwa. Jack zaciska silniej rękę na jej karku i Bóg jeden wie, co by się dalej stało, ale w tej chwili na korytarzu coś się przewraca, czemu towarzyszy głośny brzęk szkła. Rozlega się krzyk. Głos jest wysoki i niemal bezpłciowy od paniki, ale Jack jest przekonany, że należy do Ethana Evansa, ponurego młodego człowieka z holu. „Wracaj tutaj! Stań, kurdebalans!”. Oczywiście, że to Ethan; jedynie absolwent luterkańskiej szkółki niedzielnej Mount Hebron użyłby słówka kurdebalans, nawet *in extremis*.

Jack odsuwa się od Judy. Ona odsuwa się od niego. Są na podłodze. Koszula zadarła się Judy do pasa, odkrywając zwykłą białą bieliznę. Jack ma rozpiętą koszulę, podobnie spodnie. Jest wciąż w butach, jednak ma wrażenie, że są powkładane nie na te nogi. Niedaleko jest przewrócony stolik do kawy ze szklanym blatem; poniewierają się wokół niego czasopisma. Niektóre z nich zostały dosłownie wydmuchnięte z okładek.

Na korytarzu słychać kolejne krzyki, plus parę rechotów i wariackich zawodzeń. Ethan Evans nadal wrzeszczy na ulegających panice pacjentów, a po chwili dołącza do niego kobieta – zapewne siostra Rack. Alarmy wyją bez ustanku.

W jednej chwili drzwi otwierają się na całą szerokość i do pokoju wpada galopem Wendell Green. Za nim jest szafa z porozrzucanymi bezładnie ubraniami; przyzwoite części garderoby doktora Spiegelmana zostały doszczętnie wypatroszone. Wendell Green trzyma w jednej ręce magnetofon Panasonic na mikrokasety, a w drugiej – kilka cylindrycznych, lśniących przedmiotów. Jack jest gotów założyć się, że to baterie Duracell AA.

Ubranie Jacka zostało rozpięte (może należałoby rzec: rozwiane), lecz Wendellowi powiodło się o wiele gorzej. Jego koszula wisi w strzępach. Brzuszyko zwisa mu nad białymi bokserkami, mocno poplamionymi z przodu uryną. Jedną stopą wlecze za sobą

brązowe gabardynowe spodnie; ślizgają się po dywanie jak stara wylinka węża. Choć Wendell ma na nogach skarpety, wygląda na to, że lewa została wywrócona na drugą stronę.

– Co ty zrobiłeś? – ryczy Wendell. – Och Hollywood ty sukinsynu CO TY ZE MNĄ ZRO...

Urywa. Rozdziawia usta. Wytrzeszcza oczy. Jack zauważa, że włosy reportera sterczą jak igły jeżozwierza.

Wendell tymczasem przygląda się Jackowi Sawyerowi i Judy Marshall, obejmujących się, z ubraniami w nieładzie, na zasłanej szkłem i papierzyškami podłodze. Nie są zupełnie *in flagrante* delicta, ale jeśli Wendell kiedykolwiek widział ludzi na granicy takiego stanu, to właśnie so ony. W głowie kłębią się mu niemożliwe wspomnienia, jego równowaga jest do chrzanu, w brzuchu mu burczy jak w przeładowanej ubraniami pralce, do której nasypało za dużo proszku; rozpaczliwie musi się czegoś uchwycić. Potrzebuje wiadomości. Jeszcze lepiej, potrzebuje skandalu. Przed nim zaś na podłodze leży i jedno, i drugie.

– GWAŁCĄ! – wrzeszczy Wendell ile sił w płucach. Szaleńczy uśmiezek ulgi wywija mu kąćki ust. – SAWYER MNIE POBIŁ, A TERAZ GWAŁCI CHORĄ PSYCHICZNIE! – Prawdę powiedziawszy, nawet Wendellowi nie przypomina to zbyt gwałtu, ale kto kiedykolwiek zdołał zwrócić uwagę, krzycząc: SEKS ZA ZGODĄ?

– Zrób coś, żeby ten idiota się zamknął – mówi Judy.

Obciąga skraj nocnej koszuli i szykuje się do wstania.

– Uważaj – mówi Jack. – Wszędzie pełno rozbitego szkła.

– Nic mi nie jest – rzuca Judy. Następnie zwraca się do Wendella z całkowitym brakiem strachu, tak dobrze znanym Fredowi: – Zamknij się! Nie wiem, kim jesteś, ale przestań się drzeć! Nikt nikogo nie...

Wendell cofa się przed Hollywoodem Sawyerem, wlokąc za sobą portki. Dlaczego ktoś nie przyjdzie? – myśli. Dlaczego ktoś się nie zjawi, zanim on mnie zastrzeli albo coś? Wskutek podniecenia i prawie hysterii Wendell albo nie dosłyszał alarmów i powszechnej wrzawy, albo jest przekonany, że rozlegają się tylko w jego głowie – że to tylko kolejna porcja fałszywych informacji, podobnie jak absurdalne „wspomnienia” o czarnym rewolwerowcu, pięknej kobiecie w długiej szacie i samym Wendellu Greenie, kucającym w kurzu i posilającym się jak jaskiniowiec na poły upieczonym ptakiem.

– Trzymaj się z dala ode mnie, Sawyer – mówi, cofając się z wystawionymi przed siebie rękami. – Mam wyjątkowo pazernego adwokata. Pilnuj się, dupku. Tkniesz mnie tylko palcem, a odbiorę ci wszystko, co... AU! AU!

Jack widzi, że Wendell wlał na kawałek stłuczonego szkła – zapewne z jednej z reprodukcji, które uprzednio dekorowały ściany, a teraz walają się na podłodze. Reporter szarpie się w tył, traci jeszcze bardziej równowagę, tym razem przez własne wlokące się spodnie, i pada na skórzany fotel, z którego doktor Spiegelman zapewne wypytuje swoich pacjentów o ich ciężkie dzieciństwo.

Pierwszorzędny mąciwoda La Riviere gapi się na nadciągającego ku niemu neandertalczyka wytrzeszczonymi, przerażonymi oczami, po czym rzuca w niego magnetofonem. Jack zauważa, że cały aparat pokrywają zadrapania. Odbija go w bok.

– GWAŁT! – piszczy Wendell. – GWAŁCI JEDNĄ Z WARIATEK! ON...

Jack wali go w podbródek, w ostatniej chwili łagodząc nieco siłę ciosu i wykonując go z niemal naukową precyzją. Wendell pada na oparcie fotela doktora Spiegelmana, przewraca oczy i stuka stopą, jakby w rytm jakiejś smakowitej melodii, którą potrafią docenić tylko półprzymiotni.

Drzwi na korytarz stają otworem. Jack staje przed fotelem, by zasłonić Wendella, równocześnie upychając koszulę w spodnie (dzięki Bogu, w którymś momencie zapiął rozporek). Do gabinetu doktora Spiegelmana wtyka głowę młodzieńca wolontariuszka. Chociaż ma około osiemnastu lat, wskutek paniki wygląda jak dwunastolatka.

– Kto tu tak wrzeszczy? – pyta. – Komuś się coś stało?

Jack nie ma pojęcia, co odpowiedzieć, lecz Judy reaguje jak zawodowiec.

– To był pacjent – mówi. – Chyba pan Lackey. Wpadł tutaj, wrzeszczał, że wszyscy zostaniemy zgwałceni, a potem wybiegł.

– Musicie natychmiast wyjść – informuje ich wolontariuszka. – Nie słuchajcie tego idioty Ethana. I nie jedźcie windą. Myślimy, że to było trzęsienie ziemi.

– Zaraz idziemy – mówi Jack.

Chociaż się nie rusza, jego odpowiedź wystarcza wolontariuszce; odchodzi. Jack szybko podchodzi do drzwi. Zamykają się, ale nie dają zaryglować – futryna odrobinę się wypaczyła.

Na ścianie wisiał zegar. Jack ogląda się w jego stronę, ale spadł na podłogę. Podchodzi do Judy i bierze ją za rękę.

– Ile tam byłem?

– Niedługo – odpowiada – ale jakie miałeś wyjście! Kapum! Dowiedziałeś się czegoś? – patrzy na niego błagalnie.

– Dość, by wiedzieć, że muszę natychmiast wracać do French Landing – mówi jej.

Dość, by wiedzieć, że cię kocham – że zawsze będę cię kochał, w tym świecie czy innym.

– Tyler... on żyje? – Odwraca dłoń, tak że od tej chwili ona ścisza mu rękę. Jack przypomina sobie, że to samo zrobiła Sophie w Oddali. – Czy mój syn żyje?

– Tak. I zamierzam go dla ciebie odzyskać.

Jego wzrok trafia na biurko Spiegelmana, które przetańczyło na środek pokoju i stoi z wysuniętymi wszystkimi szufladami. W jednej z nich dostrzega coś interesującego i spieszy przez dywan, stąpając po chrzęszczącym szkle i kopiąc w bok jedną z reprodukcji.

W najwyższej szufladzie po lewej stronie jest magnetofon, znacznie większy od sprawdzonego panasonica Wendella Greena, oraz porwany arkusz papieru pakowego. Jack wyciąga najpierw papier. Nabazgrano na nim rozłającym się pismem, takim, jakie Jack widział w „Ed’s Eats” i na własnym ganku, następujące słowa:

Dostarczyć JUDY MARSHALL
znanej również jako FOPHIE

W górnym rogu porwanego arkusza znajdują się prostokątne przypominające znaczki. Jack nie musi przyglądać się im dokładniej, żeby wiedzieć, iż w istocie zostały wycięte z pakietów z cukrem i przyklejone przez niebezpiecznego starego ramola Charlesa Burnside'a. Tożsamość Rybaka przestała mieć jednak znaczenie, a Speedy o tym wie. Nieistotne jest też miejsce, w którym przebywa, Jack bowiem domyśla się, że Chummy Burnside potrafi bardzo łatwo przeskakiwać w inne miejsca.

Ale nie może zabrać ze sobą prawdziwych drzwi. Drzwi do krainy palenisk, do Pana Munshuna, do Tylera. Jeżeli Beezer i jego kumple je znaleźli...

Jack wrzuca papier pakowy z powrotem do szuflady, naciska klawisz otwierający kieszeń w magnetofonie i wyjmuje kasetę. Wsuwają do kieszeni i rusza do drzwi.

– Jack.

Ogląda się na Judy. Wokół nich alarmy przeciwpożarowe wyją i zawodzą, szaleńcy krzyczą i się śmieją, personel biega tam i z powrotem. Ich oczy się spotykają. W przejrzystym, błękitnym świetle uwagi Judy Jack czuje, że prawie może dotknąć tego innego świata błogich woni i obcych konstelacji.

– Czy tam jest cudownie? Tak cudownie jak w moich snach?

– Cudownie – mówi jej. – Ty też jesteś cudowna. Trzymaj się.

W połowie korytarza Jack natyka się na wstrętny widok: Ethan Evans, młody człowiek, który miał niegdyś Wandę Kinderling za nauczycielkę w szkółce niedzielnej, chwycił zdezorientowaną starą kobietę za tłuste ramiona i trzęsie nią z całych sił. Roztrzepane kosmyki kołyszają się wokół głowy staruszki.

– Zamknij się! – krzyczy do niej panicz Evans. – Zamknij się, głupia stara krowo! Nigdzie nie idziesz, tylko do swojego pokoju, kručafuks!

Jego uśmiezek sugeruje, że nawet teraz, gdy świat wywraca się do góry nogami, panicz Evans napawa się zarówno władzą wydawania rozkazów, jak i chrześcijańskim obowiązkiem brutalnego traktowania bliźnich. Wystarcza to, by wzbudzić gniew Jacka. Jego gniew podsycą przerażona mina staruszki, która nic nie rozumie. Przypomina mu chłopców, z którymi niegdyś mieszkał w miejscu nazywanym Domem Sunlighta.

Przypomina mu Wilka.

Nie myląc nawet kroku (zbliża się końcówka meczu, a Jack w jakiś sposób to wyczuwa), wali panicza Evansa pięścią w skroń. Młody chwyt puszcza swą tłustą i piszczącą ofiarę, wali się na ścianę i osuwa po niej z wytrzeszczonymi, oszołomionymi oczyma.

– Albo nie uważałeś w szkółce niedzielnej, albo żona Kinderlinga uczyła cię niewłaściwych *rzeczy* – mówi Jack.

– Uderzyłeś... mnie – szepcze panicz Evans.

– Potraktuj źle jeszcze jedną pacjentkę – tę, tamtą, z którą właśnie rozmawiałem, którąkolwiek – a zrobię o wiele więcej – przyrzeka Jack paniczowi Evansowi.

Zbiega następnie po dwa stopnie po schodach, nie zauważając garstki ubranych w pidżamy pacjentów, którzy wpatrują się w niego ze stropionymi, nieco wylęknionymi minami. Patrzą na niego, jakby był wizją, mijającą ich w świetlistej aureoli, cudem równie tajemniczym jak promiennym.

Dziesięć minut później (długo po tym, gdy Judy Marshall spokojnie wróciła do swojego pokoju bez jakiegokolwiek fachowej pomocy) alarmy się wyłączają. Z głośników pod sufitem zaczyna grzmieć głos – pewnie nawet matka doktora Spiegelmana nie poznałaby swojego chłopca. Niespodziewany ryk sprawia, że pacjenci, którzy się niemal uspokoili, zaczynają od nowa płakać i krzyczeć. Stara kobieta, której maltretowanie tak rozgniewało Jacka Sawyera, kuli się za biurkiem w pokoju przyjęć, ściskając rękami głowę i mamrocząc coś o Rosjanach i Obronie Cywilnej.

– ALARM ZOSTAJE ODWOŁANY! – zapewnia Spiegelman swoją ekipę i obsadę. – NIE MA ŻADNEGO POŻARU! PROSZĘ ZGŁASZAĆ SIĘ DO ŚWIETLIC NA KAŻDYM PIĘTRZE! MÓWI DOKTOR SPIEGELMAN! I POWTARZAM, ŻE ALARM SIĘ SKOŃCZYŁ!

Nadchodzi Wendell Green, chwiejnie kieruje się w stronę schodów i pociera delikatnie dłonią podbródek. Dostrzega panicza Evansa i oferuje mu pomocną dłoń. Przez chwilę wydaje się, że Wendell sam się przewróci, ale panicz Evans daje radę zaprzeć się siedzeniem p ścianę i podnieść na równe nogi.

– ALARM SIĘ SKOŃCZYŁ! POWTARZAM, ALARM SIĘ SKOŃCZYŁ! PIEŁĘGNIARKI, SALOWI I LEKARZE, PROSZĘ ZAPROWADZIĆ WSZYSTKICH PACJENTÓW DO ŚWIETLIC NA KAŻDYM PIĘTRZE!

Panicz Evans zauważa purpurowy siniec, wykwitający na podbródku Wendella.

Wendell zauważa purpurowy siniec, wykwitający na skroni panicza Evansa.

– Sawyer? – pyta panicz Evans.

– Sawyer – potwierdza Wendell.

– Skurczybyk mi przyłożył – zwierza się panicz Evans.

– Sukinsyn zaszedł mnie od tyłu – mówi Wendell. – Ta cała Marshall. Leżał na niej. – *Zniża głos.* – Zamierzał ją zgwałcić. – Całe zachowanie panicza Evansa wyraża współczucie, ale nie świadczy o zaskoczeniu. – Coś trzeba zrobić – mówi Wendell.

– *Zgadza się.*

– Trzeba powiedzieć ludziom.

Stopniowo w oczach Wendella powraca dawny błysk. Ludzie się dowiedzą. Dzięki niemu! Bo właśnie to zrobi, na Boga! Powie ludziom!

– No – mówi panicz Evans.

Nie obeszło go to tak bardzo jak Wendella – brakuje mu zaangażowania reportera – ale powie jednej osobie. Osobie, która potrzebuje pocieszenia w swej godzinie osamotnienia, która została opuszczona na swej Górze Oliwnej. Osobie, która spije wieści o złu Jacka Sawyera jak wodę życia.

– Nie można przymknąć oka na tego rodzaju postępowanie – mówi Wendell.

– Za nic – przytakuje panicz Evans. – Za żadne skarby.

Ledwie Jack wyjechał za bramę szpitala French County Lutheran, gdy ćwierka jego telefon komórkowy. Zastanawia się, czy zjechać na pobocze, by odebrać, ale słyszy odgłosy zbliżających się wozów strażackich i postanawia tym razem zaryzykować równoczesne prowadzenie wozu i rozmowę. Chce wydostać się z sąsiedztwa, zanim pojawi się miejscowa straż pożarna i zatamuje ruch. Otwiera małą nokię.

– Sawyer.

– Gdzie ty się, kurwa, podziewasz? – grzmi Beezer St. Pierre. – Człowieku, wałę w „redial” tak, że mato nie wytłukłem tego cholernego klawisza z telefonu!

– Byłem... – Nie ma jednak żadnego sposobu, by mógł dokończyć i pozostać w zasięgu rzutu kamieniem od prawdy. A może jest. – Chyba znalazłem się w takiej martwej strefie, gdzie komórka po prostu nie odbiera...

– Daj sobie spokój z lekcją techniki, stary. Zbieraj dupę w troki i przyjeżdżaj tutaj, i to natychmiast. Mój adres to Nailhouse Row jeden – przy drodze okręgowej zero zero tuż na południe od Chase. To taki piętrowy dom na rogu, w sraczkowym kolorze.

– Znajdę go – mówi Jack i wciska pedał gazu. – Już jadę.

– Gdzie jesteś, człowieku?

– Wciąż w Arden, ale już siedzę za kółkiem. Będę tam za jakieś pół godziny.

– Kurwa! – W słuchawce rozlega się alarmujący łomot i grzechot, gdy Beezer wali w coś pięścią gdzieś przy Nailhouse Row. Zapewne w najbliższą ścianę. – Co się, kurwa, z tobą dzieje, człowieku? Myszą się kończy, i to szybko. Robimy, co możemy – ci z nas, którzy jeszcze tu są – ale on się kończy.

Beezer sapie, a Jack domyśla się, że stara się nie rozplakać. Myśl o Armandzie St. Pierre w tak szczególnym stanie jest alarmująca. Jack patrzy na szybkościomierz rama, widzi, że strzałka dotyka siedemdziesiątki, i odrobinę zwalnia. Nikomu nie pomoże, jeśli się rozbije między Arden i Centralią.

– Co to znaczy: „Ci z nas, którzy jeszcze tu są”?

– Nieważne, po prostu bierz dupę w troki i przyjeżdżaj, jak chcesz pogadać z Myszą. On na pewno chce z tobą mówić, bo cały czas powtarza twoje nazwisko. – Beezer zniża głos. –

To znaczy, kiedy nie bredzi, że aż trudno słuchać. Doktorek robi, co tylko może – ja i Niedźwiedzica też – ale to gównie warte.

– Powiedz mu, żeby się trzymał – mówi Jack.

– Kurwa, człowieku – sam mu powiedz.

W słuchawce rozlega się kolejny grzechot i cichy szmer głosów. Potem Jack słyszy jeszcze jeden głos, ledwie przypominający ludzki:

– Musisz się spieszyć... musisz tu przyjechać, człowieku. To coś... ugryzło mnie. Wciąż to czuję. Jak kwas.

– Trzymaj się, Myszą – mówi Jack. Palce zbieleły mu od zaciskania na telefonie. Zastanawia się, czy obudowa nie pęknie mu w ręce. – Będę tak szybko, jak tylko zdołam.

– Lepiej bądź. Inni... już zapomnieli. Nie ja. – Myszą chichocze. Jest to niewiarygodnie upiorny dźwięk, powiew wprost z otwartego grobu. – Dostałem... serum pamięci, wiesz? Przeżera mnie... zżera mnie żywcem... ale działa.

Słysząc znowu szelest przekazywanej słuchawki, po czym rozlega się nowy głos. Kobięcy – Jack domyśla się, że Niedźwiedzicy.

– To ty ich wysłałeś – mówi. – To ty do tego doprowadziłeś. Nie pozwól, żeby to poszło na marne.

W słuchawce rozbrzmiewa szczęknięcie. Jack rzuca telefon komórkowy na siedzenie i uznaje, że siedemdziesiąt mil na godzinę to ostatecznie wcale nie za szybko.

Kilka minut później (które Jackowi wydają się bardzo długie) mruży oczy przed słońcem, odbijającym się od powierzchni Tamarack Creek. Z tego miejsca prawie widzi dom swój i Henry'ego.

Henry.

Jack stuka lekko kciukiem o kieszeń na piersi i słyszy grzechotanie kasety wyjętej z magnetofonu w gabinecie Spiegelmana. Nie ma zbyt wielu powodów, by oddawać ją Henry'emu właśnie teraz; zważywszy na to, czego dowiedział się od Pottera ubiegłej nocy i co Myszą zamierza mu przekazać, walcząc, by dożyć tej chwili, kaseta ta i nagranie rozmowy pod 911 są w zasadzie zbędne. Poza tym Jack musi spieszyć się na Nailhouse Row. Zbliża się odjazd pociągu, a Myszą Baumann najprawdopodobniej będzie jego pasażerem.

A mimo to...

– Martwię się o niego – mówi cicho Jack. – Nawet ślepy widzi, że martwię się o Henry'ego.

Blask jaskrawego letniego słońca, osuwającego się po popołudniowej stronie nieba, odbija się od strumienia i śle tańczące na twarzy Jacka promienie. Za każdym razem, gdy trafiają w jego oczy, wydają się parzyć.

Jack martwi się nie tylko o Henry'ego. Ma złe przeczucie dotyczące wszystkich jego nowych przyjaciół i znajomych z French Landing, od Dale'a Gilbertsona i Freda Marshalla po takich statystów, jak Steamy McKay, starszy jegomość, zarabiający na życie czyszczeniem

butów pod biblioteką publiczną, czy Ardis Walker, prowadzący odrapany sklepik wędkarski nad rzeką. W jego wyobraźni wszyscy ci ludzie stali się jakby ze szkła. Jeśli Rybak postanowi zaśpiewać wysokie C, wpadną w wibrację i rozpadną się na proszek. Tyle tylko, że Jack przejmując się teraz nie Rybakiem.

To śledztwo, przypomina sobie. Nawet po dorzuceniu całej niesamowitości Terytoriów, to mimo wszystko tylko śledztwo, i to nie twoje pierwsze, gdzie nagle zaczęło ci się wydawać, że wszystko cię przerasta. Gdzie wszystkie cienie wydawały się za długie.

W zasadzie prawda, ale zwykle to uczucie, rodem jak z wesołego miasteczka, ustępuje, gdy Jack zaczyna się orientować, co się dzieje. Tym razem jest gorzej, o wiele gorzej. Długim cieniem Rybaka jest istota nazywana Panem Munshunem, nieśmiertelny łowca talentów z jakiejś innej płaszczyzny egzystencji. Ale to nie koniec, ponieważ Pan Munshun również jest cieniem. Czerwonym.

– Abbalah – mruczy Jack. – Abbalahdoon, Pan Munshun i Wrona Gorg, po prostu trzech starych kumpli, spacerujących plutońskim nocą brzegiem. – Z niewiadomego powodu przypomina mu to Morsa i Stolarza z „Alicji”. Co takiego zabrali na spacer w blasku księżycy? Małże? Ostrygi? Jack za cholerę sobie nie przypomina, aczkolwiek jedna linijka wyłania się z jego pamięci i rozbrzmiewa donośnie głosem jego matki: „Nadszedł już czas – powiedział Mors – pogrążyć się w rozmowie”*

Abbalah zapewne siedzi na swoim dworze (to znaczy w tej jego części, która nie została uwięziona w Mrocznej Wieży Speedy’ego), ale Rybak i Pan Munshun mogą znajdować się wszędzie. Czy wiedzą, że Jack wtrąca się w ich działalność? Oczywiście, że tak. Dzisiaj to już tajemnica poliszynela. Czy mogą spróbować go powstrzymać przez jakieś okrucieństwo wobec jednego z jego przyjaciół? Na przykład pewnego ślepego komentatora sportowego – heavymetalowca – miłośnika bebopu?

Istotnie. Być może dlatego, że Jack się na nie uczulił, znowu wyczuwa ohydne pulsowanie, dochodzące od południowego zachodu – to, które poznał, gdy po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu przeskoczył do innego świata. Prawie znika, gdy droga skręca na południowy wschód. Potem, gdy samochód kieruje się z powrotem na południowy zachód,

* „O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra” w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. trująca pulsacja odzyskuje moc i łomocze w głowie Jacka jak początek migreny.

Czujesz właśnie Czarny Dom, tyle że to nie dom. Nie naprawdę. To kanał, wydrążony przez robaka w jabłku egzystencji, prowadzący aż do krainy palenisk. To drzwi. Może do dzisiaj były jedynie uchylone, zanim Beezer i jego kumple tam trafili, ale teraz są szeroko otwarte i wieje z nich piekielny przeciąg. Trzeba wyciągnąć stamtąd Tylera... tak... ale trzeba też zatrzasknąć te drzwi. Zanim wyleżą przez nie Bóg wie jakie warczące stwory.

Jack nagle skręca na Tamarack Road. Piszczą opony. Blokują się jego pasy i przez chwilę myśli, że wóz się przewróci. Utrzymuje się jednak na czterech kołach i mknie w stronę North Valley Road. Myszą musi wytrzymać jeszcze dłużej; Jack nie zostawi Henry'ego samego na tym odludziu. Jego przyjaciel jeszcze tego nie wie, ale czeka go mała wycieczka na Nailhouse Row. Jack czuje, że dopóki sytuacja się nie ustabilizuje, stara zasada „kupą, panowie” jest ze wszech miar słuszna.

Wszystko byłoby ładnie i pięknie, gdyby Henry był w domu, lecz go nie ma. Na powtarzane szturchanie w dzwonek pojawia się Elvena Morton ze ścierką do kurzu w rękach.

– Pojechał do KDCU nagrywać reklamy – mówi. – Sama go podrzuciłam. Nie wiem, dlaczego nie nagrywa ich po prostu w swoim studiu w domu, ale wydaje się, że wspominał coś o efektach specjalnych. Dziwię się, że nie powiedział panu o tym.

Cholerna prawda jest taka, że Henry powiedział. Cousin Buddy's Rib Crib. Stara kula u nogi. Piękne śródmieście La Riviere. Wspominał o tym wszystkim. Powiedział nawet Jackowi, że zabierze go Elvena Morton. Od tej rozmowy Jackowi przydarzyło się to i owo – spotkał ponownie przyjaciela z dzieciństwa, zakochał się w Dwójniczce Judy Marshall, a przy okazji wyłuszczone mu Podstawowe Tajemnice Bytu – lecz nie powstrzymuje go to od zaciśnięcia lewej ręki w pięść i rąbnienia się nią prosto między oczy. Zważywszy na to, jak szybko rozgrywają się teraz wydarzenia, uznaje niepotrzebne nadłożenie drogi za prawie niewybaczalny błąd.

Pani Morton przygląda się mu rozszerzonymi z niepokoju oczyma.

– Przywiezie go pani z powrotem?

– Nie, wybiera się na drinka z kimś z ESPN. Henry powiedział, że ten gość odwiezie go do domu. – Zniża głos do poufalego tonu, jakim nie wiezieć czemu najlepiej przekazuje się sekrety. – Henry nie mówił tego otwarcie, ale myślę, że George'a Rathbuna może czekać wielka przyszłość. Bardzo wielka przyszłość.

Transmitowanie „Borsuczego Barażu” na cały kraj? Jack nie byłby zupełnie zaskoczony, ale nie ma czasu cieszyć się teraz w imieniu Henry'ego. Daje pani Morton kasetę, głównie dlatego, by nie czuć, że stracił tyle czasu.

– Proszę mu to zostawić gdzieś, gdzie...

Urywa. Pani Morton spogląda na niego z rozbawieniem, świadczącym, że wie, jak się zagalopował. *Gdzie na pewno ją zobaczy*, tak prawie powiedział Jack. Kolejny raz umysł zwiódł go na manowce. Detektyw z wielkiego miasta, rzeczywiście.

– Zostawię ją przy konsolce w studiu – mówi pani Morton. – Znajdzie ją tam. Może to nie moja sprawa, Jack, ale nie wygląda pan najlepiej. Jest pan bardzo błydy i przysięgłabym, że od ubiegłego tygodnia schudł pan dziesięć funtów. Do tego... – Wygląda na nieco zakłopotaną. – Włożył pan na odwrót buty.

Istotnie. Jack dokonuje niezbędnej korekty, stojąc najpierw na jednej nodze, potem na drugiej.

– Mam za sobą ciężkich czterdzieści osiem godzin, pani M., ale się trzymam.

– To sprawa Rybaka, prawda?

Przytakuje.

– Muszę już jechać. Bomba, jak to mówią, poszła w górę. – Odchodzi, zastanawia się raz jeszcze i odwraca z powrotem. – Niech pani nagra mu wiadomość na magnetofonie w kuchni, dobrze? Żeby zadzwonił do mnie na komórkę. Kiedy tylko przyjedzie. – Jedna myśl sprowadza drugą, wskutek czego Jack wskazuje nieoznakowaną kasetę w ręce Elveny. – Niech pani jej nie słucha, dobrze?

Pani Morton wygląda na zaszokowaną.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! To tak jakbym otwierała czyjąś pocztę!

– Dobrze. – Jack kiwa głową i posyła jej strzępek uśmiechu.

– Czy to on... na taśmie? Rybak?

– Tak – odpowiada Jack. – To on.

Ale czekają gorsze rzeczy, myśli, jednak tego nie mówi. o wiele gorsze.

Wraca spiesznie – lecz niezupełnie biegiem – do pikapa.

Dwadzieścia minut później Jack parkuje przed sraczkowobrazowym piętrowym domem przy Nailhouse Row 1. Zarówno ta ulica, jak i otaczający ją labirynt sąsiednich wywierają na nim wrażenie nienaturalnie cichych w upalne letnie popołudnie. Kundel (w istocie ten sam stary burek, którego widzieliśmy pod wejściem do hotelu Nelson ubiegłego wieczora) kuleje przez skrzyżowanie Ames i drogi okręgowej Oo, do tego jednak praktycznie sprowadza się ruch. Jackowi przemyka przez głowę niemiła wizja Morsa i Stolarza, sunących niespiesznie wschodnim brzegiem Missisipi na czele pochodu zahipnotyzowanych mieszkańców Nailhouse Row. Suną w kierunku ognia. I kotła.

Jack dwadzieścia razy nabiera głęboko tchu, starając się uspokoić. Niedaleko od miasta – w istocie w pobliżu drogi prowadzącej do „Ed’s Eats” – brzęczenie w jego głowie osiągnęło szczyt, zamieniając się w coś w rodzaju mrocznego krzyku. Przez kilka chwil było tak silne, że Jack obawiał się, iż nie zdoła utrzymać się na drodze, więc zwolnił do czterdziestu mil na godzinę. Potem w błogosławiony sposób pulsowanie zaczęło przesuwac się na tył jego głowy i przygasać. Nie zobaczył tablicy WSTĘP WZBRONIONY przy wylocie zarośniętej drogi do Czarnego Domu, nawet się za nią nie rozglądał, ale wiedział, że tam była. Pytanie brzmi, czy zdoła do niej podejść i po prostu nie eksploduje, gdy nadejdzie właściwa pora.

– Daj spokój – mówi sobie. – Nie ma czasu na taki szajs.

Wysiada z pikapa i rusza spękany cementowym chodnikiem. Jest na nim zacierający się diagram do gry w klasy. Jack bez zastanowienia skręca, by go ominąć, świadom, że to jeden z nielicznych śladów, świadczących, iż mała Amy St. Pierre stąpała niegdyś krótko po deskach

egzystencji. Stopnie ganku są suche, wylażą z nich drzazgi. Jack jest okrutnie spragniony i myśli: Człowieku, zabiłbym za szklankę wody albo miłego zimnego...

Drzwi otwierają się i walą w ścianę domu z odgłosem przypominającym w słonecznej ciszy strzał z pistoletu. Wybiega przez nie Beezer.

– Chryste wszechmogący, myślałem już, że nigdy tu nie dojedziesz.

Spoglądając w udręczone, wylęknione oczy Beezera, Jack decyduje, że nigdy nie powie temu człowiekowi, iż zdołałby odnaleźć Czarny Dom bez pomocy Myszy, że dzięki pobytowi w Terytoriach ma coś w rodzaju dalmierza w głowie. Nie powie, nawet jeśli przeżyją resztę życia jako bliscy przyjaciele, tacy, którzy zwykle mówią sobie wszystko. Beez cierpi jak Hiob i nie musi wiedzieć, że męka jego przyjaciela była niepotrzebna.

– Jeszcze żyje?

– Jest jedną nogą w grobie. Może półtorej. Zostaliśmy już tylko ja, Doktorek i Niedźwiedzica. Sonny i Kajzer Bili wystraszyli się i zwiali jak para psów z podkulonymi ogonami. Posuwaj do środka, słoneczko.

Beezer nie zostawia zresztą Jackowi żadnego wyboru: chwyta go za ramię i wciąga jak tłumok do środka małego piętrowego domu przy Nailhouse Row.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Jeszcze jednego! – mówi facet z ESPN.

Brzmi to bardziej jak rozkaz niż życzenie i chociaż Henry nie może zobaczyć rozmowy, wie, że ten konkretny chłoptaş nigdy nie uprawiał żadnego sportu, zawodowo czy inaczej. Otacza go tłusty, nieco oleisty zapach kogoś z nadwagą prawie od kołyski. Sport to pewnie jego sposób kompensacji, zdolny stłumić wspomnienie kupowania ubrań w dziale „Puszystych” w magazynie Sears i wszystkich dziecięcych rymowanek w rodzaju „Tłuścioch, tłuścioch na podłogę rżnie, bo przez drzwi łazienki nie przecisnie się”.

Nazywa się Penniman.

– Tak samo, jak Little Richard – powiedział Henry’emu, kiedy zapoznawali się w rozgłośni. – Sławny rockandrollowiec z lat pięćdziesiątych. Może go pan pamiętać?

– Słabo – odpowiedział Henry, jakby swego czasu nie miał wszystkich wydanych przez Little Richarda singli. – Mam wrażenie, że to był jeden z Ojców Założycieli.

Penniman roześmiał się hałaśliwie, a w jego śmiechu Henry dostrzegł potencjalnie czekającą go przyszłość. Czy jednak takiej przyszłości pragnął? Ludzie śmiali się również z Howarda Sterna, który był wymoczkiem.

– Jeszcze jednego drinka! – powtarza teraz Penniman. Siedzą w barze „Oak Tree Inn”; Penniman przekupił pięcioma dolarami barmana, żeby przełączył telewizor z kręgli na ABC na ESPN, chociaż o tej porze dnia nadawane są wyłącznie porady dla grających w golfa i łowiących okonie. – Jeszcze jednego drinka, żeby przypieczętować interes!

Nie zrobili jednak jeszcze interesu, a Henry nie jest pewny, czy ma na to ochotę. Wejście George’a Rathbuna do ogólnokrajowej sieci w ramach radiowej gałęzi ESPN powinno być kuszące, a Henry nie powinien mieć poważnych skrupułów ze zmianą nazwy audycji z „Borsuczego Barażu” na „Sportowy Baraż ESPN” – będzie się ona koncentrowała przede wszystkim na środkowej i zachodniej części kraju – a jednak...

A jednak co?

Zanim Henry potrafi choćby zastanowić się nad tym pytaniem, znów czuje powtarzający się zapach. My Sin, perfumy, którymi jego żona skrapiała się na pewne wieczory, kiedy

chciała przekazać pewien znak. Henry nazywał ją Słowikiem w te pewne wieczory, kiedy w pokoju było ciemno, a obydwójce byli ślepi na wszystko z wyjątkiem własnych zapachów i dotknięć.

Słowik.

– Wiesz, chyba daruję sobie tego drinka – mówi Henry. – Mam trochę pracy w domu. Przemyszę jednak twoją propozycję. Mówię poważnie.

– Achachach – mówi Penniman.

Henry potrafi odgadnąć na podstawie dyskretnych prądów powietrza, że mężczyzna kręci palcem przed jego nosem. Henry zastanawia się, jak Penniman by zareagował, gdyby nagle wychylił się naprzód i odgryzł obraźliwie kiwający się palec w drugim stawie? Gdyby Henry okazał mu trochę gościnności regionu Coulee na modłę Rybaka? Jak głośno by Penniman wrzeszczał? Może tak, jak Little Richard przed partią instrumentalną w „Tutti Frutti”? Czy jednak ciszej?

– Nie możesz sobie pojechać, aż będę gotowy cię zabrać – mówi mu Pan Jestem Tłusty Ale Przestało Się To Liczyć. – Wiesz, że jestem twoją podwózką.

Pije czwartego śrubokręta i jego słowa zaczynają się trochę zlewać. Mój przyjacielu, myśli Henry, wsadziłbym sobie łasicę w tyłek, zanim wsiadłbym do samochodu z tobą za kierownicą.

– W istocie mogę – mówi pogodnie Henry.

Nick Avery, barman, ma cholernie fartowne popołudnie: tłusciuch dał mu piątkę za zmianę kanału w telewizji, a ślepy gość podsunął mu drugą za zadzwonienie po taksówkę do Skeetera, gdy grubas odcedzał kartofelki w toalecie.

–He?

– Powiedziałem: w istocie mogę. Barman?

– Czeka na zewnątrz – odzywa się Avery. – Podjechała dwie minuty temu.

Słychać donośne skrzypnięcie, gdy Penniman obraca się na barowym stołku. Henry nie widzi marsa na czole mężczyzny, gdy dostrzega taksówkę na podjeździe pod hotelem, ale potrafi go wyczuć.

– Posłuchaj, Henry – mówi Penniman. – Myślę, że nie w pełni rozumiesz swoją obecną sytuację. Na firmamencie sportowych audycji są gwiazdy, cholerna prawda, że są – ludzie w rodzaju Fabulous Sport Babę* czy Tony Kornheisera zarabiają sześciocyfrowe sumy za same występy w radiu – i to spokojnie sześciocyfrowe sumy – ale tobie jeszcze dużo do tego brakuje. Te drzwi są obecnie przed tobą zamknięte, aleja, przyjacielu, jestem odzwrotnym. W rezultacie, jeśli mówię, że powinniśmy wypić jeszcze po jednym drinku, to...

– Barman – mówi spokojnie Henry, po czym potrząsa głową. – Nie potrafię mówić do pana po prostu: barman; może Humphrey Bogart tak umiał, aleja nie. Jak się pan nazywa?

– Nick Avery, proszę pana.

Ostatnie słowa padają odruchowo z ust Avery'ego, ale gdyby zwracał się do drugiego gościa, nigdy by się w nich nie pojawiły, nawet za milion lat. Obydwaj dali mu po pięć dolarów napiwku, ale dżentelmenem jest ten w ciemnych okularach. Nie ma to nic wspólnego z jego ślepotą; po prostu jest nim i tyle.

– Nick, kto jeszcze jest przy barze?

Avery się rozgląda. W jednej z nisz w głębi dwóch mężczyzn pije piwo. Z automatu na korytarzu dzwoni boy. Przy samym barze jest tylko dwóch gości – jeden szczupły, równy i ślepy, drugi tłusty, spocony i coraz bardziej wkurzony.

– Nikogo, proszę pana.

– Nie ma tu... żadnej kobiety?

O mało nie powiedział: Słowika. Nie ma tu Słowika?

– Nie.

– Posłuchaj, dobra? – mówi Penniman, a Henry myśli, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał nikogo mniej przypominającego Little Richarda. Facet jest bielszy od Moby Dicka...

* Nancy Donnellan, prowadząca swoją audycję w radiu ESPN (przyp. tłum.) i pewnie tych samych gabarytów. – Mamy jeszcze mnóstwo spraw do przedyskutowania. – Brzmi to: Jszcze stfo sprraf toprzdisktowania. – To znaczy, jeśli... – Tsnaczy – starasz się dać mi do zrozumienia, że nie jesteś zainteresowany.

Nawet za milion lat będziesz zainteresowany – tak Henry Leyden odbiera słowa Pennimana. Mówimy o wstawieniu do twojego saloniku maszynki do robienia pieniędzy, prywatnego, osobistego bankomatu i za nic w piekle tego nie odrzucisz.

– Nie czuje pan tu perfum, Nick? Bardzo lekkich i staromodnych? Na przykład My Sin?

Sflaczała dłoń jak termofor ląduje na ramieniu Henry'ego.

– Byłoby grzechem, stary brachu, gdybyś odmówił wypicia ze mną jeszcze jednego drinka. Nawet ślepy widzi, że...

– Uważam, że powinien pan zdjąć mu rękę z ramienia – mówi Avery i być może uszy Pennimana nie są całkowicie głuche na niuanse, jako że dłoń natychmiast znika z barku Henry'ego.

Moment później zastępuje ją trochę wyżej druga dłoń. Muska kark Henry'ego w przelotnej pieszczocie i zaraz znika. Henry wciąga powietrze w płuca. Pieszczocie towarzyszy woń perfum. Zwykle zapachy blakną po pewnym okresie ekspozycji na nie, jakby wychwytyjące je receptory czasowo traciły wrażliwość. Tym razem jest jednak inaczej. Nie dotyczy to tego zapachu.

– Nie ma perfum? – mówi prawie błagalnie Henry.

Może potraktować muśnięcie po karku jako dotykową halucynację. Nos go jednak nigdy nie zdradza.

Przynajmniej do tej pory.

– Przykro mi – mówi Avery. – Czuję piwo... fistaszki... gin, który wypił pana towarzysz, i jego wodę po goleniu.

Henry kiwa głową. Światła za barem prześlizgują się po ciemnych soczewkach jego okularów, gdy z gracją zsuwa się ze stołka.

– Myślę, że chcesz jeszcze jednego drinka, przyjacielu – mówi Penniman tonem w jego przekonaniu niewątpliwie wyrażającym subtelną pogroźkę. – Jeszcze kolejka, dla uczczenia naszego interesu, a potem odwiozę cię do domu moim lexusem.

Henry czuje perfumy swojej żony. Jest tego pewny. I miał wrażenie, że czuje jej dotknięcie na szyi. Mimo to nagle przychodzi mu do głowy chudy jak szczapa Morris Rosen – który prosił go o posłuchanie „Where Did Our Love Go?” w wykonaniu Dirtyperm. I oczywiście tego, by Henry zagrał ten kawałek w swoim wcieleniu Szczura z Wisconsin. Morris Rosen, który ma więcej klasy w jednym palcu z obgryzionym paznokciem niż ten facet w całym cielsku.

Henry kładzie rękę Pennimanowi na ramieniu. Uśmiecha się mu w niewidoczną twarz i czuje, jak mięśnie pod jego dłonią się rozluźniają. Penniman uznał, że wyjdzie na jego. Znowu.

– Weź mojego drinka – mówi przyjaźnie Henry – dodaj go do swojego, a potem wsadź je w swoją tłustą, pryszczatą dupę. Jeżeli będziesz potrzebował czegoś, żeby się nie wylały, możesz wsadzić w to samo miejsce swoją pracę.

Henry odwraca się i szybko podchodzi do drzwi, orientując się ze zwykłą elegancją precyzją oraz na wszelki wypadek wystawiając przed siebie rękę. Nick Avery zaczyna spontanicznie klaskać, lecz Henry ledwie to słyszy, o Pennimanie zaś całkowicie przestał myśleć. Henry’ego pochłania woń perfum My Sin. Słabnie nieco, gdy wychodzi na popołudniowy skwar... ale czy nie słyszy przy lewym uchu miłosnego westchnienia? Takiego, jakie żona wydawała tuż przed zaśnięciem po tym, jak się kochali? Jego Rhoda? Słowik?

– Halo, taksówka! – woła z chodnika pod markizą.

– Tutaj, facet – co jest, ślepy jesteś?

– Jak nietoperz – zgadza się Henry i idzie w stronę głosu.

Pojedzie do domu, wyprostuje nogi, napije się herbaty, a potem posłucha tej przeklętej taśmy z rozmową telefoniczną. Być może właśnie to niewykonane jeszcze zadanie powoduje, że aktualnie dostaje hyzia i trzęsie się jak galareta – świadomość, że musi siedzieć w ciemności i słuchać głosu mordującego dzieci kanibala. Na pewno właśnie dlatego, przecież nie ma powodów bać się swojego Słowika, prawda? Gdyby wróciła – żeby go nawiedzać – to na pewno czyniłaby to z miłością.

Czyż nie?

Tak, myśli i opuszcza się na parzące tylne siedzenie taksówki.

– Dokąd, facet?

– Norway Valley Road – mówi Henry. – Biały dom z niebieskimi obrzeżami, z dala od drogi. Zobaczysz go pan wkrótce po przejechaniu strumienia.

Henry odchyła się na oparcie i zwraca znękaną twarz w stronę okna. French Landing wywiera dziś na nim dziwne wrażenie... nabrzmiałe. Jakby coś, co do tej pory się zsuwało, znalazło się na skraju stołu i jest gotowe zlecieć na podłogę i się rozbić.

Powiedzmy, że rzeczywiście wróciła. Powiedzmy, że to zrobiła. Skoro przybywa z miłością, dlaczego woń jej perfum budzi we mnie niepokój? Prawie obrzydzenie? I dlaczego jej dotyk (jej wyobrażony dotyk) jest tak nieprzyjemny?

Dlaczego jej dotyk jest tak zimny?

Po oślepiającym blasku dnia salon w siedzibie Beezera jest tak ciemny, że z początku Jack nie może nic dostrzec. Gdy jego oczy się nieco przyzwyczajają, pojmuje dlaczego: obydwie okna w pokoju zasłonięte są kocami – podwójnie złożonymi, sądząc z wyglądu. Zamknięto też drzwi do drugiego pomieszczenia na parterze, prawie na pewno kuchni.

– Nie może znieść światła – mówi Beezer.

Zniża głos tak, by nie dobiegł do drugiego końca pokoju, gdzie na kanapie widać ludzką sylwetkę. Obok niej stoi drugi człowiek.

– Może pies, który go pogryzł, był wściekły – mówi Jack, sam w to nie wierząc.

– To nie reakcja fobijna. – Beezer zdecydowanie potrząsa głową. – Doktorek mówi, że ma charakter fizyczny. Kiedy na Myszę pada światło, jego skóra zaczyna się topić. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

–Nie.

Jack również nigdy nie czuł takiego smrodu, jak w tym pokoju. Brzęczy nie jeden, lecz dwa małe wentylatory i Jack czuje krzyżujące się prądy powietrza, lecz smród jest zbyt lepki, by się go pozbyć. Czuć odór psującego się mięsa – gangreny w poszarpanej ranie – lecz Jack miał już do czynienia z tym zapachem. Nerwy szarpie mu inna woń — przypominająca mieszaninę zapachów krwi, pogrzebowych kwiatów i kawy. Wydaje odgłos dławienia się – nic nie może na to poradzić – a Beezer spogląda na niego ze zniecierpliwieniem i współczuciem.

– No, paskudny. Wiem, ale to tak jak w małpiarni, człowieku – po pewnym czasie się do tego przyzwyczajasz.

Wahadłowe drzwi do drugiego pokoju otwierają się i wchodzi przez nie szczupła, drobna kobieta z sięgającymi ramion jasnymi włosami. Niesie miednicę. Gdy światło trafia na sylwetkę na kanapie, Myszą krzyczy. Jest to koszmarnie bulgoczący odgłos, jakby jego płuca zaczęły się upłynniać. Coś – może dym, może para – unosi się ze skóry na jego czole.

– Trzymaj się, Myszą – mówi klęczący mężczyzna.

Jest to Doktorek. Zanim kuchenne drzwi zamykają się z powrotem, Jack daje radę przeczytać nalepkę na jego sponiewieranej czarnej torbie. Być może gdzieś w Ameryce jest

inny lekarz z naklejką: STEPPENWOLF GÓRĄ z boku swej walizeczki, ale pewnie nie w Wisconsin.

Kobieta klęka obok Doktorka, który wyjmując ścierkę z miednicy, wyciskają i układa na czole Myszy. Myszą wydaje drżący jęk i zaczyna cały dygotać. Woda ścieka po jego policzkach i wsiąka w brodę. Wygląda na to, że broda wylazi mu całymi garściami.

Jack robi krok naprzód, wmawiając sobie, że na pewno przyzwyczai się do zapachu. Może to nawet prawda. Na razie żałuje, że nie ma buteleczki Vick VapoRub, jakie większość detektywów z wydziału zabójstw policji Los Angeles stale wozi w schowkach na rękawiczki. Bardzo przydałoby mu się teraz rozetrzeć pod nosem trochę tego specyfiku.

W pokoju jest aparatura stereo (byle jaka) i para głośników (olbrzymich) w rogach, ale nie ma telewizora. Wszystkie ściany bez drzwi i okien zastawione są drewnianymi szafkami z książkami, wskutek czego pokój wydaje się mniejszy niż w rzeczywistości, prawie jak krypta. Nuta klaustrofobii pojawia się u Jacka, a obecnie obwody te rozgrzewają się, pogłębiając jego dyskomfort. Większość książek dotyczy religii i filozofii – dostrzega Kartezjusza, C.S. Lewisa, „Bhagawadgitę”, „Tenets of Existence” Stephena Avery’ego – ale jest też mnóstwo beletrystyki, książek o piwowarstwie oraz podła biografia Elvisa Presleya pióra Alberta Goldmana (na wierzchu jednego z gigantycznych głośników). Na drugim stoi fotografia dziewczynki ze wspaniałym uśmiechem, piegami i oceanem rudoblond włosów. Wizerunek dziecka, które namalowało diagram do gry w klasy przed domem, przepełnia Jacka gniewem i smutkiem. Może istnieją postacie i sprawy z innych światów, ale jest też chory, stary sukinsyn, którego trzeba powstrzymać. Jack nie może o tym zapomnieć.

Niedźwiedzica robi Jackowi miejsce przed kanapą; porusza się z gracją, chociaż wciąż klęczy i trzyma miednicę. Jack widzi pływające w niej jeszcze dwie ścierki i topniejące kostki lodu. Ich widok sprawia, że czuje się jeszcze bardziej spragniony. Bierze jedną i wkłada sobie do ust, po czym przenosi wzrok na Myszę.

Myszą ma podciągnięty pod szyję kraciasty koc. Czoło i górna część policzków – miejsca niezakryte przez wypadającą brodę – mają woskowy odcień. Myszą ma zamknięte oczy. Jego ściągnięte wargi odsłaniają zdumiewająco białe zęby.

– Czy on... – zaczyna Jack, i wtedy Myszą otwiera oczy.

O cokolwiek Jack chce zapytać, wypada mu zupełnie z głowy. Wokół leszczynowej barwy tęczy oczu Myszy nabrały koloru niepokojącego, kłębiącego się szkarłatu, tak jakby człowiek ten oglądał potworny, radioaktywny zachód słońca. Z wewnętrznych kącików oczu wycieka jakaś czarna maź.

– „Księga transformacji filozoficznych” zajmuje się głównymi problemami współczesnej dialektyki – mówi płynnie i klarownie Myszą. – Na te pytania odpowiada również Machiavelli.

Jack prawie potrafi go sobie wyobrazić w sali wykładowej, do chwili gdy zaczyna, szczękać zębami.

– Myszą? Tu Jack Sawyer.

Nic nie świadczy o tym, że te upiorne czerwonoleszczynowe oczy go poznają. Czarna maź w kącikach wydaje się jednak podrygiwać, jakby była w jakiś sposób rozumna. Jakby go słyszała.

– To Hollywood – mruczy Beezer. – Gliniarz, pamiętasz?

Jedna z rąk Myszy leży na kraciastym kocu. Jack ujmuje ją i tłumi okrzyk zaskoczenia, gdy dłoń Myszy zaciska się ze zdumiewającą siłą. Jest gorąca. Pali jak biskopt tuż po wyjęciu z pieca. Myszą wydaje przeciągłe, stękające westchnienie i czuć od niego odór – zepsute mięso, rozkładające się kwiecie. On gnije, myśli Jack. Gnije od środka. Och, Chryste, pomóż mi to znieść.

Chrystus mu nie pomoże, ale niewykluczone, że pamięć o Sophie – tak. Jack stara się uchwycić wspomnienie jej klarownie błękitnych oczu, jej uroczego spojrzenia.

– Posłuchaj – mówi Myszą.

– Słucham.

Wygląda na to, że Myszą zbiera siły. Jego ciało drży pod kocem w luźny, nieskoordynowany sposób, który w ocenie Jacka graniczy z atakiem drgawek. Gdzieś tyka zegar. Gdzieś szczeka pies. Gwiżdże syrena statku na Missisipi. Poza tymi dźwiękami panuje całkowita cisza. Jack przypomina sobie tylko jedno podobne zawieszenie funkcjonowania świata w całym swoim życiu – było to w szpitalu w Beverly Hills, kiedy czekał, aż jego matka skończy umierać. Gdzieś czeka na ratunek Tyler Marshall. Przynajmniej ma nadzieję, że zostanie uratowany. Gdzieś trują się Niszczyciele, starając się zniszczyć oś, na której obraca się wszystko, co istnieje. Tutaj jest tylko pokój ze słabymi wentylatorami i odrażającymi woniami.

Myszą zamyka oczy i otwiera je ponownie. Zwraca je na nowo przybyłego, a Jack nagle zdaje sobie sprawę, że za chwilę usłyszy jakąś wielką prawdę. Kostka lodu znikła z jego ust; pewnie zgryzł ją i połknął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ale nie śmie sięgnąć po następną.

– Mów, stary – zachęca Myszę Doktorek. – Wyduś to z siebie, to ci wpakuję kolejnego głupiego Jasia. Dobry towar. Może uda ci się zasnąć.

Myszą nie zwraca na niego uwagi. Jego zmieniające się oczy wpatrują się wprost w Jacka. Zaciska jeszcze silniej dłoń na jego ręce. Jack prawie słyszy, jak zgrzytają ocierające się o siebie jego kości.

– Nie... zabieraj się do *rzeczy* od kupowania najnowocześniejszego wyposażenia – mówi Myszą i wypuszcza potwornie obrzydliwe powietrze z gnijących płuc.

– Nie...?

– Większość ludzi daje sobie spokój z warzeniem piwa... po roku czy dwóch. Nawet oddani... oddani hobbisci. Warzenie piwa to nie... zajęcie dla cip.

Jack ogląda się na Beezera, którzy odpowiada na jego spojrzenie obojętnym wzrokiem.

– Czasem kontaktuje, czasem nie. Cierpliwości. Zaczekaj.

Myszą zaciska jeszcze silniej rękę i rozluźnia ją w chwili, gdy Jack uznaje, że dłużej tego nie zniesie.

– Weź wielki kocioł – radzi mu Myszą. Wybałusza oczy. Czerwonawe cienie pojawiają się i znikają, znikają i pojawiają się, przemykając po wypukłym krajobrazie twardówek. Jack myśli: To jego cień. Karmazynowego Króla. Myszą jest już jedną nogą na dworze. – Pięć galonów... co najmniej. Najlepsze znajdziesz... w magazynach z owocami morza. A na naczynia do fermentacji... nadają się plastikowe butle do dystrybutorów... są lżejsze od szkła i... Pali mnie. Chryste, Beeze, pali mnie!

– Kurwa, wstrzyknę mu to – mówi Doktorek i otwiera swoją torbę. Z oczu Myszy zaczynają wyciekać krwiste łzy. Czarna maź wydaje się tworzyć drobniutkie wtórkienka, wysuwające się łapczywie w dół, jakby chciały spić wilgoć.

– Kurek fermentacyjny i zatyczka – szepcze Myszą. – Thomas Merton to gównno, niech nikt ci nie wmówi, że jest inaczej. Nie ma tu prawdziwej myśli. Trzeba wypuszczać gazy, a równocześnie nie wpuszczać kurzu do środka. Jerry Garcia nie był Bogiem. Kurt Cobain nie był Bogiem. Perfumami, które czuje, nie pachnie jego zmarła żona. Wpadł w oko Królowi. *Gorgtenabbalah, eelelee*. Opopanaks nie żyje, niech żyje opopanaks.

Jack pochyla się głębiej w roztaczający się wokół Myszy smród.

– Kto czuje perfumy? Kto wpadł w oko Królowi?

– Szalony Król, zły Król, smutny Król. Dzyńdzyńdzyń, niech będzie pochwalony Król.

– Myszą, kto wpadł w oko Królowi?

– Myślałem, że chciałeś się dowiedzieć... – zaczyna Doktorek.

– Kto?

Jack nie ma pojęcia, dlaczego wydaje się mu to ważne, ale tak jest. Czy wskutek czegoś, co ostatnio usłyszał? Od Dale'a? Tansy? Może, niech Bóg uchowa, od Wendella Greena?

– Rurka do ściągania i wąż – mówi poufale Myszą. – Tego potrzeba, kiedy fermentacja się skończy! I nie można zlewać piwa do zakręcanych butelek! Musisz...

Myszą odwraca głowę od Jacka, układa ją wygodnie w zagłębieniu ramienia, otwiera usta i wymiotuje. Niedźwiedzica krzyczy. Wymiociny są żółte jak ropa i pokryte ruchomymi, czarnymi plamkami, przypominającymi galaretę w kącikach jego oczu. Jest to coś żywego.

Beezer spiesznie wychodzi z pokoju – niezupełnie biegiem – a Jack stara się zasłonić Myszę przed blaskiem światła padającego z kuchni. Zaciśnięta na dłoni Jacka ręka rozluźnia się jeszcze odrobinę. Jack odwraca się w stronę Doktorka.

– Myślisz, że to już koniec?

– Nie, tylko znowu stracił przytomność. – Doktorek kręci głową. – Biedny stary Myszaty nie wykręci się tak łatwo. – Rzuca Jackowi posępne, udręczone spojrzenie. – Lepiej, żeby to było tego warte, panie władzo. Bo jak nie, to przefasonuję ci facjatę.

Beezer wraca z wielkim naręczem szmat i nakłada parę zielonych kuchennych rękawic. Bez słowa ściera kałużę wymiocin między ramieniem Myszy i oparciem kanapy. Czarne plamki przestały się poruszać, i bardzo dobrze. Jeszcze lepiej byłoby nie widzieć ich wcześniej w ruchu. Jack zauważa z przerażeniem, że wymiociny wżarły się w przetartą tkaninę kanapy jak kwas.

– Ściągnę koc na sekundę czy dwie – mówi Doktorek.

Niedźwiedzica natychmiast się podnosi, wciąż z miednicą z topniejącym lodem w rękach. Podchodzi do półek z książkami i staje odwrócona do nich twarzą, dygocząc.

– Czy naprawdę muszę to oglądać, Doktoru?

– Chyba tak. Myślę, że nawet teraz nie orientujesz się, z czym masz do czynienia. – Doktorek ujmuje koc i wysuwa go spod bezwładnej ręki Myszy. Jack widzi, że spod paznokci umierającego mężczyzny sączą się kolejne strużki czarnej materii. – Pamiętaj, że do tego doszło w ciągu zaledwie kilku godzin, panie władzo.

Ściąga koc. Odwrócona twarzą do wielkich dzieł zachodniej filozofii Susan „Niedźwiedzica” Osgood zaczyna w milczeniu płakać. Jack stara się powstrzymać krzyk i nie daje rady.

Henry płaci taksówkarzowi, wchodzi do swojego domu i czerpie głęboki, kojący wdych klimatyzowanego powietrza. Czuć słaby aromat – słodki – a Henry mówi sobie, że to tylko świeżo ścięte kwiaty, jedna ze specjalności pani Morton. Wie lepiej, ale na razie nie chce mieć nic więcej wspólnego z duchami. W istocie czuje się teraz lepiej i domyśla się dlaczego: dzięki powiedzeniu facetowi z ESPN, gdzie może sobie wsadzić swoją pracę. Nie trzeba nic więcej, żeby człowiek mógł uznać dzień za udany, zwłaszcza gdy ma legalne zatrudnienie, dwie karty kredytowe, którym daleko do limitu, i dzbanek zimnej herbaty w lodówce.

Henry rusza w stronę kuchni. Posuwa się korytarzem z wystawioną przed siebie ręką, testując powietrze w poszukiwaniu przeszkód i przestawionych rzeczy. Słychać tylko szmer klimatyzacji, szum lodówki i stukanie obcasów na twardym drewnie...

...oraz westchnienie.

Miłosne westchnienie.

Henry zatrzymuje się na chwilę w miejscu, po czym ostrożnie się odwraca. Czy słodki aromat jest teraz nieco silniejszy, zwłaszcza gdy Henry odwraca się z powrotem w stronę salonu i drzwi wejściowych? Myśli, że tak. I nie są to kwiaty; nie ma sensu się oszukiwać. Jak zawsze nos wie najlepiej. Jest to zapach My Sin.

– Rhoda? – mówi, następnie głośniejsz: – Słowiku?

Brak odpowiedzi. Oczywiście. Ma po prostu tęgiego pietra, to wszystko: dostaje osławionego hyzia, i dlaczego by nie?

– Bo jestem szejkiem, kochanie – mówi Henry. – Shakiem, Shookiem, Szejkiem.

Nie czuje żadnych zapachów. Nie słyszy seksownych westchnień. Mimo to nawiedza go myśl, że jego żona jest w salonie, stoi w perfumowanym grobowym całunie i przygląda się w milczeniu, jak na oślep ją mija. Jego Słowik wpadł z cmentarza Noggin Mound na małą wizytę. Może po to, żeby posłuchać ostatniej płyty Slobberbone.

– Przestań – mówi cicho. – Przestań, matole.

Wchodzi do swej wielkiej, dobrze zorganizowanej kuchni. Po drodze wciska klawisz na panelu przy drzwiach, nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi. Głos pani Morton rozlega się z głośnika pod sufitem – prawie ma się wrażenie, że kobieta tu jest.

„Wpadł Jack Sawyer i zostawił jeszcze jedną kasetę, którą chce, żeby pan przesłuchał. Powiedział, że to... wie pan, ten człowiek. Ten zły człowiek”.

– Zły człowiek, zgadza się – mruczy Henry, otwierając lodówkę i sycąc się strugą zimnego powietrza. Jego dłoń wędruje nieomylnie do jednej z trzech puszek lagera „Królewskie Włości” w drzwiczkach. Herbata z lodem przestała być potrzebna.

„Obie kasety są w studiu, przy konsolocie. Jack prosił również, żeby pan zadzwonił na jego telefon komórkowy”. Ton pani Morton staje się nieco pouczający. „Jeśli pan do niego zadzwoni, mam nadzieję, że przekaże mu pan, by był ostrożny. I niech pan sam uważa”. Pauza. „Również niech pan nie zapomni o kolacji. Jest przygotowana. Na drugiej półce w lodówce, po lewej”.

– Gadu, gadu, gadu – mówi Henry, lecz uśmiecha się, otwierając piwo.

Podchodzi do telefonu i wybiera numer Jacka.

Telefon Jacka ożywa na siedzeniu dodge’a rama, zaparkowanego przed domem przy Nailhouse Row 1. Tym razem nie ma nikogo, kto by się denerwował jego cichym, lecz przenikliwym ćwierkaniem.

– Klient sieci chwilowo nie odpowiada. Proszę spróbować później.

Henry odkłada słuchawkę, wraca do drzwi i naciska kolejny klawisz. Głosy, podające czas i temperaturę, należą do niego, ale zaprogramował w urządzeniu losowy ich wybór, więc nigdy nie wie, kto mu odpowie. Tym razem jest to Szczur z Wisconsin, wrzeszczący jak oszalały w słonecznej ciszy klimatyzowanej kuchni domu, który jeszcze nigdy nie wydawał się znajdować tak daleko od miasta.

– Czas: czternasta dwadzieścia dwa! Temperatura na zewnątrz: dwadzieścia siedem stopni! Wewnątrz: dwadzieścia cztery stopnie! Co cię to, cholera, obchodzi? Co to, cholera, kogokolwiek obchodzi? Pogryź to, połknij, popij, i tak wszystko...

...wychodzi tą samą drogą. Zgadza się. Henry ponownie naciska klawisz, uciszając firmowe zawołanie Szczura. Jak tak szybko zrobiło się tak późno? Boże, przecież dopiero było południe. Jeśli już o to chodzi, czyż nie był dopiero co młody, miał dwadzieścia lat i tyle werwy, że praktycznie chlustała mu uszami? Co...

Westchnienie rozlega się znowu, wykolejając zasadniczo autoironiczny tok myśli Henry'ego. Westchnienie? Naprawdę? Raczej właśnie wyłączył się kompresor agregatu klimatyzacyjnego. Przynajmniej może to sobie wmawiać.

Może to sobie powtarzać, jeśli ma ochotę.

– Jest tu kto? – pyta Henry. W jego głosie słychać drzenie, które napędza go odrazą: skamlanie sparaliżowanego starucha. – Czy oprócz mnie jest ktoś w domu?

Przez straszliwą sekundę prawie się boi, że usłyszy odpowiedź. Nic się nie dzieje – oczywiście, że nie. Pochłania w trzech łykach pół puszki piwa. Uznaje, że wróci do salonu i trochę poczyta. Może Jack zadzwoni. Może Henry zdoła się opanować, skoro w jego organizmie znalazła się świeża porcja alkoholu.

A może za pięć minut będzie koniec świata, myśli. Dzięki temu nigdy nie będziesz musiał zająć się tymi kasetami, które czekają na ciebie w studiu. Tymi cholernymi taśmami, leżącymi na konsolce jak bombyniewypały.

Henry przechodzi powoli korytarzem do salonu. Wystawia przed siebie rękę. Powtarza sobie, że się nie boi, że ani odrobinę nie boi się, iż dotknie twarzy nieżyjącej żony.

Jack Sawyer wiele widział i zawędrował w miejsca, gdzie nie można wynająć samochodu w Avisie, a woda smakuje jak wino, ale nigdy nie miał do czynienia z czymś, co by przypominało nogę Myszy Baumanna. Czy też raczej zarażoną, apokaliptyczną galerię okropieństw, w jaką się zamieniła. Gdy tylko Jack daje radę jako tako wziąć się w garść, jego pierwszym impulsem jest, by zbesztać Doktorka za ściągnięcie spodni Myszy. Jackowi przychodzi na myśl parówki i to, że skórka sprawia, iż zachowują kształt nawet wtedy, gdy skwierczą na patelni na rozpalonej do czerwoności płycie. Bez wątplenia to durne porównanie, *primo idiotico*, ale ludzki umysł pod presją wyczynia najdziwniejsze rzeczy.

Noga wciąż zachowuje kształt – mniej więcej – ale ciało odlatło od kości. Skóra praktycznie całkowicie znikła, stopniała w cieknącą substancję, wyglądającą jak mieszanka mleka i tłuszczu z boczku. Powłoka krzyżujących się mięśni pod jej resztkami zapada się i ulega identycznej katastrofalnej metamorfozie. Zainfekowana kończyna porusza się w niezdiscyplinowany sposób, podczas gdy stałe tkanki upłynniają się, a ciecz ze skwierczeniem wsiąka w kanapę, na której leży Myszą. Wraz z prawie niedającym się wytrzymać smrodem rozkładu Jack czuje zapach zwęglonego płótna i rozplywającej się tkaniny.

Z rozszerzającej się, odległe przypominającej nogę brei wystaje zdumiewająco nietknięta stopa. *Gdybym chciał, mógłby ją oderwać... jak dynię z pędu.* Myśl ta przenika do świadomości Jacka z siłą większą niż widok koszmarnie poranionej nogi; przez chwilę jest w stanie tylko stać ze schyloną głową, dławić się i jakimś cudem powstrzymać się od zwymiotowania na swoją koszulę.

Ratuje go zapewne dłoń, która łąduje mu na plecach. Beezer stara się dodać mu sił. Rumiane zabarwienie całkowicie znikło z jego twarzy. Wygląda jak motocyklista z miejskiego mitu, który powrócił z za grobu.

– Widzisz? – pyta Doktorek, którego głos wydaje się dobiegać z oddali. – To nie żadna ospa, przyjacielu, chociaż trochę to tak wyglądało, zanim zaczęło dawać czadu. Myszą ma już czerwone plamy na lewej nodze... brzuchu... jajach. Mniej więcej tak właśnie wyglądała skóra wokół ugryzienia, kiedy go tu przywieźliśmy: tylko trochę zaczerwienienia i obrzęku. Myślałem: „Kurwa, to nic takiego, mam dość zithromaxu, żeby rozgonić to do zachodu słońca”. No, sam widzisz, na ile się zdał zithro. Widzisz, na co wszystko się zdaje. Ten syf przeżera kanapę i myślę, że jak sobie z nią poradzi, zabierze się do podłogi. To kurestwo jest głodne. No i co, warto było, Hollywood? Chyba tylko ty i Myszą znacie odpowiedź.

– Mimo wszystko wie, gdzie jest dom – mówi Beezer. – Ja nie mam nawet zielonego pojęcia, chociaż właśnie stamtąd przyjechałem. Ty też. Pamiętasz? – Doktorek kręci głową. – Ale Myszą wie.

– Susie, kochanie – mówi Doktorek do Niedźwiedzicy. – Przynieś jeszcze jeden koc, dobrze? Cholera, ten jest przeżarty prawie na wylot.

Niedźwiedzica nader chętnie wychodzi z pokoju. Jack się podnosi. Nogi majak z gumy, jednak go podtrzymują.

– Okryj go – mówi Doktorkowi. – Idę do kuchni. Umrę, jeśli się czegoś nie napiję.

Jack pije wodę prosto z kranu; przełyka, aż czuje ukłucie w środku czoła i beka jak koń. Przez chwilę stoi nieruchomo, wyglądając na podwórko za domem Beezera i Niedźwiedzicy. Na porośniętym chwastami pustkowiu ustawiono elegancką małą huśtawkę. Patrzenie na nią sprawia Jackowi ból, ale mimo to nie odrywa od niej wzroku. Po obłądnym widoku nogi Myszy wydaje mu się ważne, aby przypomnieć sobie, że jest tutaj nie bez powodu. Jeśli przypomnienie boli, tym lepiej.

Słońce, które nabiera złotej barwy w miarę zniżania się nad Missisipi, pali go w oczy. Wygląda na to, że czas mimo wszystko nie stanął w miejscu. Przynajmniej na zewnątrz tego domu. Poza Nailhouse Row i czas w istocie zdaje się biec szybciej. Jacka dręczy myśl, że jego pobyt tutaj okaże się równie daremny jak zajechanie do Henry’ego. Nęka go pomysł, że Pan Munshun i jego szef, abbalah, pchają go tu i tam jak nakręcaną zabawkę z kluczykiem w plecach, podczas gdy sami robią swoje. Skoro może odnaleźć Czarny Dom dzięki brzęczeniu w swej głowie, dlaczego do diabła po prostu nie wsiądzie do samochodu i tego nie zrobi?

Perfumami, które czuje, nie pachnie jego zmarła żona.

Co to znaczy? Dlaczego myśl, że ktoś czuje zapach perfum, budzi w nim tak obłądny lęk?

Beezer stuka do kuchennych drzwi, przez co Jack podskakuje. Jego wzrok trafia na wyszywaną makatkę nad kuchennym stołem. Zamiast: NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI NASZ DOM napis głośni: HEAVY METAL THUNDER. Pod spodem zaś: HARLEYDAVIDSON.

– Wracaj tutaj, człowieku – mówi Beezer. – Znowu się ocknął.

Henry jest na ścieżce w lesie – może na przecince – i coś jest za nim. Za każdym razem, gdy odwraca się, żeby to coś zobaczyć – w tym śnie widzi, lecz wzrok nie jest błogosławieństwem – dostrzega odrobinę więcej tego czegoś. Wygląda to na mężczyznę w wieczorowym stroju, ale straszliwie wychudzonego, ze spiczastymi zębami tuż nad wygiętą w uśmiechu czerwoną dolną wargą. Wydaje się też – czy to możliwe? – że mężczyzna ma tylko jedno oko.

Gdy Henry ogląda się za siebie po raz pierwszy, sylwetka ta stanowi tylko mętną plamę pomiędzy drzewami. Następnym razem dostrzega nieprzyjemnie falującą ciemność płaszcza i szybującą czerwoną plamę, mogącą być krawatem lub fularem. Przed Henrym jest siedziba tego stwora, śmierdząca nora, jedynie przypadkiem przypominająca dom. Obecność tej istoty powoduje brzęczenie w głowie Henry’ego. Cisnący się z obu stron las zamiast sosnowego zapachu emanuje ciężkim, duszącym aromatem: My Sin.

Pogania mnie, myśli z przerażeniem Henry. Cokolwiek jest za mną, pogania mnie jak byka do rzeźni.

Zastanawia się, czy nie umknąć ze ścieżki w lewo lub prawo, posługując się cudem świeżo zdobytego wzroku do wyszukania sobie drogi ucieczki. W lesie jednak również czyhają różne istoty. Mroczne kształty unoszące się nad ziemią jak pobrudzone sadzą chusty. Henry prawie wyraźnie widzi najbliższy. Jest to jakiś olbrzymi pies z długim jęzorem, równie czerwonym jak krawat, i wytrzeszczone oko zjawy.

Nie mogę pozwolić, żeby zapędził mnie do domu, myśli. Muszę się wydostać, zanim mnie tam zagoni... ale jak? Jak?

Odpowiedź przychodzi mu do głowy ze zdumiewającą prostotą. Wystarczy, że się obudzi. Bo to sen. To tylko...

„To sen!” – krzyczy Henry i szarpie się do przodu.

Nie idzie, siedzi – we własnym fotelu, a wkrótce będzie miał mokro w spodniach, bo zasnął z puszką „Królewskich Włości”, balansującą na kolanach, i...

Nic się jednak nie rozlewa, bo nie ma na kolanach żadnej puszkę piwa. Henry ostrożnie wysuwa rękę w prawo i odnajduje puszkę na stoliku, obok brajlowskiego wydania „W zwierciadle złotego oka”. Musiał ją tam postawić, zanim zasnął i zapadł w ten straszliwy koszmar.

Tyle że Henry jest pewny, że nic takiego nie zrobił. Trzymał książkę na kolanach, a piwo miał między nogami, bo w ten sposób mógł swobodnie wodzić palcami po drobnych, wypukłych kropkach, składających się na treść. Ktoś bardzo rozważnie odłożył na stolik książkę i puszkę, gdy zapadł w sen. Ktoś pachnący perfumami My Sin.

Powietrze wręcz nimi śmierdzi.

Henry powoli bierze głęboki oddech, z rozszerzonymi nozdrzami i dokładnie zaciśniętymi ustami.

– Nie – mówi bardzo wyraźnie. – Czuję kwiaty... i szampon do dywanów... i smażoną cebulę z ubiegłego wieczora. Bardzo słabo, ale jeszcze ją czuć. Nos wie najlepiej.

Wszystko to prawda. Zapach jednak był tutaj. Zniknął, bo ona znikła, ale wróci. Henry zaś nagle pragnie, żeby wróciła. Jeśli się boi, to na pewno nieznanego, prawda? Tylko tego i niczego więcej. Nie chce być tu sam, mając za towarzystwo wyłącznie wspomnienie paskudnego snu.

I taśmy.

Musi przesłuchać taśmy. Obiecał Jackowi.

Henry podnosi się chwiejnie i dociera do panelu kontrolnego w salonie. Tym razem wita go głos Henry'ego Shake'a, największego luzaka z luzaków.

– Hej, hej, wszystkie harcujące kocury i śmigające kocice, na ośce jest siódma czternaście wieczorem czasu Bulova. Na zewnątrz bardzo równa temperatura: dwadzieścia pięć stopni, a u nas, w Wyśnionej Sali Balowej, błogie dwadzieścia trzy. A więc dlaczego nie trząchnąć kasą, być gościem z klasą i poczarować swoje dziewczę?

Siódma czternaście! Kiedy ostatni raz przespał prawie trzy godziny w ciągu dnia? Jeśli już o to chodzi, kiedy ostatni raz miał sen, w którym widział? Odpowiedź na drugie pytanie brzmi: o ile sobie przypomina, nigdy.

Gdzie była ta ścieżka?

Jaki stwór stał za nim?

Co było przed nim, jeśli już o to chodzi?

– Nieważne – mówi Henry do pustego pokoju – jeżeli jest pusty. – To był tylko sen. To wszystko. Kasety, z drugiej strony...

Nie chce ich słuchać, nigdy w życiu nie miał mniejszej ochoty czegoś słuchać (z możliwym wyjątkiem „Does Anybody Really Knows What Time It Is?” w wykonaniu Chicago), ale musi. Musi, jeśli może to uratować życie Tylerowi Marshallowi czy choćby jakiemuś innemu dziecku.

Powoli, lękając się każdego kroku, Henry Leyden na oślep przechodzi do swojego studia, gdzie na konsolecie czekają na niego dwie kasety.

– W niebie nie stawiają piw – śpiewa monotonnym, pozbawionym intonacji głosem Myszą. Jego policzki pokrywają teraz szkaradne czerwone plamy, a nos wydaje się zapadać bokiem w twarz jak atol po podwodnym trzęsieniu ziemi. – Przeto pij je, pókiś żyw. A kiedyjuż nie będziesz żyw... niech dla kumpli starczy piw.

Trwa to już całe godziny: okruchy filozofii, instrukcje dla początkujących entuzjastów piwowarstwa, urywki piosenek. Wpadająca zza zasłoniętych kocami okien poświata znacznie osłabła.

Myszą urywa, wciąż ma zamknięte oczy. Potem zaczyna kolejną przyśpiewkę.

– Sto butelek piwa na ścianie, sto butelek piwa... jeśli jedna butelka spadnie...

– Muszę jechać – mówi Jack.

Wytrzymał tutaj, ile mógł, w przekonaniu, że usłyszy coś od Myszy, ale nie może czekać dłużej. Gdzieś czeka na niego Tyler Marshall.

– Zaczekaj – mówi Doktorek.

Grzebie w torbie i wyjmuje strzykawkę. Unosi ją w półmroku i stuka paznokciem w szklany cylinderek.

– Co to?

Doktorek rzuca Jackowi i Beezerowi krótki, ponury uśmiech.

– Amfa – mówi i wstrzykuje ją Myszy w ramię.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Potem, gdy Jack otwiera usta, by powtórzyć, że musi już jechać, Myszą błyskawicznie otwiera oczy. Są teraz całe czerwone, jaskrawej, krwotocznej barwy. Mimo to, gdy zwracają się w jego stronę, Jack wie, że Myszą go widzi. Może widzi go naprawdę po raz pierwszy, odkąd tu przyjechał.

Niedźwiedzica wybiega z pokoju, zostawiając za sobą cichnące wołanie:

– Dość dość dość dość...

– Kurwa – mówi Myszą chrapliwym głosem. – Kurwa mać, ale mnie popierdoliło. No nie?

Beezer dotyka krótko, lecz czule czubka głowy przyjaciela.

– No, człowieku. Chyba tak. Możesz nam pomóc?

– Raz mnie ugryzł. Tylko raz, a teraz... teraz... – Zwraca koszmarnie czerwone oczy ku Doktorowi. – Ledwie cię widzę. Pojechało mi oczy.

– Kończysz się – mówi Doktorek. – Nie będę cię okłamywał, człowieku.

– Nie, jeszcze nie – mówi Myszą. – Dajcie mi coś do pisania. Żeby narysować plan. Szybko. Nie wiem, co mi wstrzyknąłeś, Doktoru, ale ten psi szajs jest silniejszy. Niedługo będę *compos*. Szybko!

Beezer maca przy nóżkach kanapy i podnosi książkę w miękkiej oprawie. Zważywszy na towar wagi ciężkiej na półkach, Jack ma prawie ochotę się roześmiać: „Siedem nawyków ludzi, odnoszących wielkie sukcesy”. Beezer oddziera tylną okładkę i podaje ją Myszy czystą stroną do góry.

– Ołówek – skrzeczy Myszą. – Rusz się. Mam to wszystko, człowieku. Mam to... tutaj.

Dotyka czoła. Płat skóry wielkości ćwierćdolarówki zostaje mu na palcach. Myszą wyciera go o koc, jakby to był glut.

Beezer wyciąga ogryziony kawałek ołówka z kieszeni na piersi kamizelki. Myszą bierze go w rękę i próbuje się uśmiechnąć z żalnym skutkiem. Czarna maź przez cały czas zbierała się w kącikach jego oczu, a teraz rozlewa się po policzkach jak plamy rozkładającej się galaretki. Kolejne jej krople wydobywają się z porów na czole, tworząc drobne czarne

plamki, przypominające Jackowi brajlowskie książki Henry'ego. Gdy Myszą w skupieniu przygryza dolną wargę, nadwątlona skóra natychmiast pęka. Krew zaczyna sączyć się na jego brodę. Jack domyśla się, że wciąż czuć zapach psującego się mięsa, ale Beezer miał rację: przyzwyczał się do niego.

Myszą odwraca okładkę na bok, po czym szybko rysuje ciąg zawijasów.

– Patrz – mówi do Jacka. – To Missisipi, nie?

– Zgoda – mówi Jack.

Gdy pochyla się, znów dociera do niego zapach. To już nie smród; to miazmat, starający się wcisnąć mu do gardła. Jack jednak się nie odsuwa. Wie, ile wysiłku kosztuje to Myszę. Towarzystwo mu to najmniej, co może zrobić.

– Tu śródmieście – „Nelson”, „Lucky's”, kino „Agincourt”, Taproom... tutaj Chase przechodzi w Lyall Road, a potem w drogę trzydzieści pięć... tu Libertyville... dom Stowarzyszenia Weteranów... Goltz... ach, Chryste!

Myszą zaczyna rzucać się na kanapie. Wrzody na jego twarzy, tułowiu i ramionach otwierają się i zaczynają cieknąć. Wrzeszczy z bólu. Wolną ręką sięga do twarzy i bezskutecznie ją pociera.

W Jacku odzywa się jakiś głos – promieniejący, imperatywny. Zapamiętał go z czasów wędrówki przed wieloma laty. Domyśla się, że to głos Talizmanu czy też tego, co z niego pozostało w jego umyśle i duszy.

Nie chce, żeby Myszą mówił, próbuje go zabić, zanim zdola powiedzieć, jest w tej czarnej mazi, może czarna maź to właśnie to, musisz ją usunąć...

Niektóre rzeczy można zrobić jedynie bez przezornego wtrącania się umyśłu; kiedy robota jest obrzydliwa, często najlepszy jest instynkt. Tak więc Jack bez zastanowienia wyciąga dłoń, ścisną w palcach sączącą się z oczu Myszy czarną maź i ciągnie. Z początku substancja jedynie się rozciąga, zachowując się jak guma. Równocześnie Jack czuje, jak wierci się i podryguje w jego dłoni, być może starając się uszczypnąć go czy ugryźć. Wreszcie puszcza z odgłosem trąconej cięciwy. Jack z krzykiem ciska podrygującą czarną tkanę na podłogę.

Substancja stara się wślizgnąć pod kanapę – Jack dostrzega to, chociaż z niepohamowanym obrzydzeniem wyciera ręce w koszulę. Doktorek wali jeden kawałek swoją torbą. Beezer rozgniata drugi obcasem buta dojazdy; słychać piszczące zawodzenie.

– Co to, kurwa, za gówno? – pyta Doktor. Jego zwykle chrapliwy głos nabrał tonu prawie falsetu. – Co to, kurwa...

– Nic z tego świata – mówi Jack. – Nieważne. Popatrzcie na niego. Popatrzcie na Myszę!

Czerwony blask zniknął z oczu Myszy; przez moment wygląda prawie normalnie. Na pewno widzi ich, a jego ból chyba ustąpił.

– Dzięki – szepcze. – Szkoda, że nie możesz wszystkiego wyciągnąć, ale to już wraca, człowieku. Uważaj.

– Słucham – mówi Jack.

– Lepiej, żebyś słuchał – odpowiada Myszą. – Wydaje ci się, że wiesz. Myślisz, że umiesz znaleźć to miejsce, chociaż tamtych dwóch nie może, ale chyba wiesz mniej, niż ci się... ach, kurwa.

Gdzieś pod kocem rozlega się upiorny odgłos czegoś pękającego, ustępującego pod naciskiem. Pot spływa po twarzy Myszy, mieszając się z czarną trucizną, sączącą się z jego porów i nadającą mokrej brodzie szarej barwy. Przewraca oczyma w stronę Jacka, ten zaś widzi, że na nowo pojawia się w nich czerwone lśnienie.

– Ale syf – stęka Myszą. – Nigdy nie myślałem, że tak skończę. Słuchaj, Hollywood... – Umierający mężczyzna rysuje mały prostokąt na prymitywnym planie. – To...

– „Ed’s Eats”, gdzie znaleźliśmy Irmę – mówi Jack. – Wiem.

– Zgadza się – szepcze Myszą. – Dobrze. Teraz patrz... po drugiej stronie... po stronie Shubert i Gale... i na zachód...

Myszą rysuje linię odchodzącą na północ od drogi 35. Po obu jej stronach kreśli małe kółeczka. Jack domyśla się, że przedstawiają drzewa. Myszą dodaje też na początku linii kreskę symbolizującą bramę: WSTĘP WZBRONIONY.

– No – mówi cicho Doktorek. – Zgadza się, tam właśnie był. Czarny Dom.

Myszą nie zwraca na to uwagi. Skupia gasnący wzrok wyłącznie na Jacku.

– Słuchaj mnie, glino. Słuchasz?

– Tak.

– Chryste, lepiej słuchaj – mówi Myszą.

Jak zawsze, i tym razem praca absorbuje Henry’ego, pochłania go, wypełnia jego umysł. Znudzenie i smutek nigdy nie mogły ostać się przed ciągłą fascynacją odgłosami świata widzących. Najwidoczniej nie może się z nią mierzyć również strach. Najtrudniejszy moment to nie słuchanie taśm, lecz zebranie się na odwagę, by wsunąć pierwszą do wielkiego dwukieszeniowego magnetofonu TE AC. Podczas chwili wahania Henry jest pewny, że czuje perfumy swojej żony nawet w dźwiękoszczelnym studiu z filtrowanym powietrzem. W tym momencie niezdecydowania jest pewny, że nie jest sam, że ktoś (lub coś) stoi tuż za drzwiami studia i przygląda się mu przez szybę w ich górnej części. Jest to zresztą absolutna prawda. Ponieważ cieszymy się dobrodziejstwem wzroku, widzimy to, czego nie dostrzega Henry. Pragniemy powiedzieć mu, co to, żeby zamknął się w studiu na klucz, na miłość boską zamknął się natychmiast, ale możemy jedynie obserwować.

Henry sięga do klawisza odtwarzania. Jego palec zmienia jednak kierunek i sięga do przycisku interkomu.

– Halo? Jest tam ktoś?

Postać stojąca w salonie Henry’ego i wpatrująca się w niego takim wzrokiem, jakim ogląda się pojedynczą egzotyczną rybę w akwarium, nie wydaje żadnego dźwięku. Resztki

słonecznego blasku padają z drugiej strony domu i w salonie robi się całkiem ciemno, a Henry jest w zrozumiałym sposób zapominalski, jeśli chodzi o zapalanie świec. Naśladujące pszczoły zabawne bambosze Elmera Jespersona (aczkolwiek w tych okolicznościach niezbyt nas śmieszają) są chyba najjaśniejszymi rzeczami w pokoju.

– Halo? Jest tu ktoś?

Postać zaglądnąca przez szybę w drzwiach studia uśmiecha się. W ręce trzyma sekator z garażu Henry'ego.

– Ostatnia szansa – mówi Henry, i gdy nadal nie ma odpowiedzi, zamienia się w Szczura z Wisconsin, wrzeszcząc do interkomu. Chce wystraszyć każdego, kto może ukrywać się w domu, żeby się zdradził. – No, złotko, no, wmojdejbany, odezwij się do Szczurka!

Wpatrując się w Henry'ego postać szarpie się – jak szarpie się wąż, gdy jego ofiara robi unik – ale nie wydaje żadnego dźwięku. Spomiędzy obnażonych w uśmiechu zębów wysuwa się skórzasty stary język i zaczyna szyderczo kołysać się i celować w Henry'ego. Stwór ten dobrał się do perfum, których pani Morton nigdy nie miała serca usunąć z toaletki w małej garderobie przy głównej sypialni, dlatego też gość Henry'ego śmierdzi My Sin.

Henry uznaje, że znowu ponosi go wyobraźnia – ojoj, co ze mnie za *meszuga*, jak powiedziała by Morris Rosen, gdyby tu był – i naciska koniuszkiem palca klawisz odtwarzania.

Słyszy chrząknięcie, następnie przedstawia się Arnold Hrabowski. Rybak przerywa mu, zanim może skończyć: *Cześć, utrzyjdupo*.

Henry przewija taśmę i słucha ponownie: *Cześć, utrzyjdupo*. Przewija i słucha raz jeszcze: *Cześć, utrzyjdupo*. Tak, słyszał już ten głos. Jest tego pewny. Ale gdzie? Znajdzie odpowiedź, zawsze znajduje odpowiedzi na tego rodzaju pytania – w końcu – ale dotarcie do niej to połowa zabawy. Henry słucha, pochłonięty bez reszty. Jego palce tańczą po przyciskach magnetofonu jak dłonie pianisty nad klawiszami Steinwaya. Opuszcza go uczucie, że jest obserwowany, chociaż postać za drzwiami studia – stwór w przypominających pszczoły bamboszach z sekatorem w ręce – nie rusza się z miejsca. Jego uśmiech trochę zbladł. Na wiekowej twarzy pojawia się swarliwy wyraz. W jego wzroku widać dezorientację i być może pierwszy, słaby cień lęku. Staremu potworowi nie podoba się, że ślepa rybka w akwarium pochwyciła jego głos. Oczywiście to nieważne; może to nawet część zabawy, ale jeśli nawet, to zabawy Pana Munshuna, nie jego. A powinno ich bawić to samo... czyż nie?

Tobie. Nie mnie. Tobie.

– Nie mnie. Tobie – mówi Henry. Naśladownictwo jest tak dobre, że wręcz niesamowite. – Trochę kapusty w twojej sałatce, *mein Freund, ja!*

Twój najgorszy koszmar.

Abbalah.

Jestem Rybakiem.

Henry słucha z napięciem. Pozwala taśmie przez chwilę kręcić się bez przeszkód, po czym cztery razy odsłuchuje ten sam fragment: *Pocałuj mnie w rzyć, małpo... pocałuj mnie w rzyć, małpo... rzyć, małpo... małpo...*

Nie, nie *małpo*. Głos mówi w istocie *mauppo*. MHA Uppo.

– Nie wiem, gdzie teraz jesteś, ale wychowałeś się w Chicago – mruczy Henry. – Na South Side. I..

Czuje ciepło na twarzy. Nagle przypomina sobie ciepło na twarzy. Dlaczegoż to, przyjaciele i sąsiedzi? Dlaczegoż, o wielcy mędracy?

Jesteś nie lepszy od małpy na patyku.

Małpa na patyku.

Małpa...

– Małpa – mówi Henry. Pociera teraz skronie czubkami palców. – Małpa na patyku. MHAUppa na patyku. Kto to powiedział?

Odtwarza taśmę: *Pocałuj mnie w rzyć, małpo.*

Odtwarza wspomnienie: *Jesteś nie lepszy od małpy na patyku.*

Ciepło na twarzy.

Żar? Światło?

I to, i to?

Henry wyjmuje kasetę i wsuwa tę, którą Jack przywiózł dzisiaj.

Halo, Judy. Jesteś dziś Judy czy Sophie? Abbalah śle pozdrowienia, a Gorg mówi: „Krakakra!” {Chrapliwy od flegmy śmiech}. *Ty też mówisz „cześć”. Twój chłopczyk jest bardzo samotny...*

Gdy w głośnikach rozlega się płaczliwy, przestraszony głos Tylera Marshalla, Henry krzywi się i przewija taśmę do przodu.

Bendzie wiendzej murderztw.

Akcent jest o wiele silniejszy, prawie rodem / burleski, „Katzenjammer Kids spotykają Wilkołaka” – lecz mimo to mówi o wiele więcej.

Maue dziedzi... zgożone jag brzenidza. Jag brzenidza. Zgożonejak...

– Skoszony jak małpa na patyku – mówi Henry. – MHAUppa. ZGOżony. Kim jesteś, sukinsynu?

Wraca do taśmy z telefonem pod 911.

Są bicze w piekle i łańcuchy w Szeolu. Brzmi to jednak prawie *bidze w piekle*, prawie *ańdzychy w Żeolu*.

Bidze. Ańdzychy. MHAUppa na patyku. *Patygu.*

– Jesteś nie lepszy od... – zaczyna Henry, po czym nagle przychodzi mu do głowy kolejny urywek.

„Lady Magowan’s Nightmare”. Mocna sprawa.

Nightmare. Koszmar. Czego dotyczący? Bidzów w piekle? Ańdzychów w Żeolu? Mhaupp na patykach?

– Mój Boże – mówi cicho Henry. – O... mój... Boże. Potańcówka. *Byt na potańcówce*.

Wszystko zaczyna się układać na właściwych miejscach. Jacy byli głupi! Jak zbrodniczo głupi! Rower chłopca... był właśnie tam. Właśnie tam, na miłość boską! Wszyscy byli ślepi, zróbcie ich sędziami.

– Przecież był taki stary – szepcze Henry. – I zramolały! Jak mieliśmy się domyślić, że ktoś taki może być Rybakiem?

Po tym pytaniu nasuwają się kolejne. Na przykład: jeśli Rybak jest pensjonariuszem Domu Spokojnej Starości Maxtona, to gdzie mógł ukryć Tylera Marshalla? I jak sukinsyn przemieszcza się po French Landing? Ma gdzieś samochód?

– Nieważne – mruczy Henry. – Przynajmniej nie teraz. Kto to jest i gdzie jest? To rzeczy istotne.

Ciepło na jego twarzy – pierwszy wysiłek umysłu, by przypisać głosowi Rybaka czas i miejsce – padało oczywiście z punktowego reflektora Symfonicznego Stana, barwy różowej jak dojrzewające poziomki. A jakaś kobieta, miła starsza kobieta...

Stan? Hophop, panie Stan?

...zapytała go, czy gra piosenki na życzenie. Tyle że zanim Stan zdążył odpowiedzieć, głos płaski i twardy jak dwa trące o siebie kamienie...

Bytem pierwszy, starucho.

...się wtrącił. Płaski... i twardy... oraz z tą ulotną germańską szorstkością, sugerującą South Side w Chicago, może w drugim czy nawet trzecim pokoleniu. *Niepierwży*, nie *zdarucho*, ale te wymowne twarde zgłoski się w tym kryły, prawda? Och, tak.

– Mhauppa – mówi Henry, kierując głową prosto przed siebie. Patrzyłby prosto na Charlesa Burnside'a, gdyby nie brakowało mu jednego zmysłu. – Patyg. Zgożone. *Hasta la vista... baby*.

A więc do tego w końcu wszystko się sprowadza? Do spierniczałego starego maniaka, którego głos przypomina trochę głos Arnolda Schwarzeneggera?

Kim była ta kobieta? Gdyby Henry przypomniał sobie jej nazwisko, mógłby zadzwonić do Jacka... lub Dale'a, jeśli Jack nadal nie odpowiada... i położyć kres złemu snowi French Landing.

„Lady Magowan's Nightmare”. Mocny kawalek.

– Nightmare – mówi Henry, po czym dostosowuje wymowę: – Nahhtmaer.

Naśladownictwo i tym razem jest doskonale. Na pewno za dobre dla starego wraka, sterczącego pod drzwiami studia. Marszczy on gniewnie czoło i poszczekuje sekatorem za szklaną szybą. Jak ślepiec może go tak dokładnie naśladować? To nie pasuje; to całkowicie niewłaściwe. Stary potwór pragnie wyciąć Henry'emu Leydenowi struny głosowe prosto z gardła. Obiecuje sobie, że wkrótce to zrobi.

I je zje.

Henry siedzi w obrotowym krześle, nerwowo postukując palcami po lśniącej dębinie, przypomina sobie zajście przy podeście. Doszło do niego niedługo po rozpoczęciu potańcówki na Truskawkowym Festynie.

Proszę powiedzieć mi swoje nazwisko i co chciałaby pani usłyszeć.

Jestem Alice Weathers i... Proszę o „Moonglow”. Benny’ego Goodmana.

– Alice Weathers – mówi Henry. – Tak się nazywała, a jeśli nie wie, jak się nazywasz, mój zbrodniczy przyjacielu, to rzeczywiście jestem małpa na patyku.

Zaczyna się podnosić i właśnie w tej chwili ktoś – coś – stuka bardzo cicho w oszkloną górną połowę drzwi.

Niedźwiedzica przysunęła się blisko, prawie wbrew własnej woli. Wokół kanapy stoją teraz ona, Jack, Doktorek i Beezer. Myszą zapadł się w niej do połowy. Wygląda jak człowiek, ginący koszmarną śmiercią w lotnym piasku.

Cóż, myśli Jack, nie ma tu piasku, ale i tak Myszą ma okrutną śmierć. Chyba nie ma co do tego wątpliwości.

– Słuchajcie – mówi Myszą.

Czarna maź znowu tworzy się w kącikach jego oczu. Co gorsza, cieknie mu kącikami ust. Smród rozkładu jest gorszy niż wcześniej; wewnętrzna maszyna Myszy zaprzestała walki. Jack jest szczerze zdumiony, że tak długo wytrzymał.

– Mów – odpowiada Beezer. – Słuchamy.

Myszą spogląda na Doktora.

– Kiedy będę się kończył, urządz mi odlot. Tyle prochów, żeby starczyło na cadillaca. Rozumiesz?

– Chcesz prześcignąć to, co cię wzięło. – Myszą kiwa głową. – Piszę się na to – *zgadza* się Doktorek. – Odejdiesz z uśmiechem na twarzy.

– Wątpię, bracie, ale spróbuję. – Myszą przenosi czerwieniejące spojrzenie na Beezera. – Kiedy będzie po wszystkim, zawińcie mnie w któryś z nylonowych namiotów w garażu. Wsadźcie mnie w wannę. Założę się, że do północy będziecie mnie mogli splukać jak... jak pianę po piwie. Na waszym miejscu byłby ostrożny. Nie... dotykajcie tego, co zostanie.

Niedźwiedzica wybucha płaczem.

– Nie płacz, kochanie — mówi Myszą. – Odejdę po swoim. Doktorek obiecał. Beez?

– Tutaj, stary.

– Urządz małe nabożeństwo. Dobra? Przeczytaj wiersz... ten Audena... ten, od którego zawsze ciarki przechodziły ci po jajach...

– Nie będziesz czytał Biblii dla jej prozy – mówi Beezer. Płacze. – Masz jak w banku, Myszą.

– Zagraj Grateful Dead... Może „Ripple”... i dopilnuj, żebyście zatankowali dość „Królewskich Włości”, bym miał na tamtym świecie chrzest jak należy. Pewnie nie będzie... grobu, na który moglibyście się odlać... ale zróbcie, co w waszej mocy.

Jack się śmieje. Nie potrafi się powstrzymać. Potem nadchodzi jego kolej, by znieść pełną moc karmazynowych oczu Myszy.

– Obiecuj mi, że zaczekasz do jutra, zanim tam pojedziesz, glino.

– Nie jestem pewien, czy będę mógł, Myszą.

– Musisz. Jak pojedziesz tam dzisiaj, to nie będziesz musiał przejmować się tym piekielnym psem... inne stwory z lasu wokół domu... inne stwory... – Myszą przewraca czerwonymi oczyma. Czarna maź wysącza się na jego brodę jak lepik. Jakimś cudem zmusza się, żeby mówić dalej. – Inne stwory w tym lesie zjedzą cię jak cukierek.

– Myślę, że muszę zaryzykować – odpowiada Jack, marszcząc czoło. – Jest tam gdzieś mały chłopiec...

– Bezpieczny – szepcze Myszą. Jack unosi brwi, niepewny, czy się nie przesłyszał. Jeśli nawet nie, czy może wierzyć słowu Myszy? Myszę toczy jakiś potężny, piekielny jad. Jak na razie zdołał to wytrzymać, dał radę się porozumieć; ale... – Na razie bezpieczny – mówi Myszą. – Nie przed wszystkim... są pewne stwory, które mogą się do niego dobrać... ale na razie jest bezpieczny przed Panem Munchingiem. Tak? sie nazywa? Munching?

– Chyba Munshun. Skąd to wiesz?

Myszą obdarza Jacka niesamowitym uśmiechem. Jest to uśmiech umierającej wyroczni. Daje radę jeszcze raz dotknąć swojego czoła, a Jack spostrzega ze zgrozą, że jego palce stapiają się ze sobą, a ich czubki po nasady paznokci są całe czarne. – Mam to tutaj, człowieku. Mam to wszyyystko tutaj. Powiedziałem ci. I posłuchaj: lepiej, żeby dzieciaka zjadł jakiś wielki robal czy krab... tam, gdzie jest... niż żebyś zginął, starając się go uratować. Jeśli zginiesz, to na pewno dostanie go abbalah. Tak mówi... twój przyjaciel.

– Jaki przyjaciel? – pyta podejrzliwie Doktorek.

– Nieważne – odpowiada Myszą. – Hollywood wie. Prawda, Hollywood? – Jack niechętnie przytakuje. Chodzi oczywiście o Speedy’ego. Albo Parkusa, jeśli wolicie. – Zaczekaj do jutra – powtarza Myszą. – Do południa, kiedy słońce jest najsilniejsze w obydwóch światach. Obiecuj.

Z początku Jack nie potrafi nic powiedzieć. Jest rozdarty, bliski czegoś w rodzaju udręki.

– I tak, zanim zdołasz dotrzeć z powrotem na trzydziestkępiątkę, będzie prawie zupełnie ciemno – mówi cicho Niedźwiedzica.

– A w tych lasach siedzi kupa złego gówna – mówi Doktorek. – Kurwa, w porównaniu z tym szajs z „Blair Witch Project” to pestka. Moim zdaniem nie powinieneś próbować dotrzeć tam po ciemku. To znaczy, chyba że marzy ci się śmierć.

– Kiedy będzie po wszystkim... – szepcze Myszą. – Kiedy będzie po wszystkim... jeśli którykolwiek z was zostanie przy życiu... spalcie ten dom do fundamentów. Tę norę. Ten grobowiec. Spalcie go do fundamentów, słyszycie? Zamknijcie drzwi.

– No – mówi Beezer. – Słyszemy i rozumiemy, stary.

– Ostatnia rzecz – mówi Myszą, zwracając się tym razem wyłącznie do Jacka. – Możesz go znaleźć... ale myślę, że potrzebujesz czegoś jeszcze. To słowo. Dla ciebie potężne, bo czegoś... czegoś dotykałeś. Raz, dawno temu. Nie rozumiem, o co w tym chodzi, ale...

– *Zgadza się* – mówi mu Jack. – Ja rozumiem. Co to za słowo, Myszą?

Przez chwilę ma wrażenie, że Myszą ostatecznie nie zdoła mu odpowiedzieć. Coś najwyraźniej walczy, by uniemożliwić mu wypowiedzenie tego słowa, jednak w tej walce Myszą wygrywa. Jest to, myśli Jack, najprawdopodobniej ostatnia walka w jego życiu.

– *D'yamba* – mówi Myszą. – Teraz ty, Hollywood. Powtórz.

– *D'yamba* – mówi Jack i rząd ciężkich książek w miękkiej oprawie zsuwa się z jednej z prowizorycznych półek w nogach kanapy. Przez chwilę wiszą w ciemniejącym powietrzu... wiszą... wiszą... wreszcie z łoskotem spadają na podłogę.

Niedźwiedzica wydaje cichy krzyk.

– Nie zapomnij – mówi Myszą. – Przyda ci się.

– Jak? Do czego mi się przyda?

Myszą z wyczerpaniem kręci głową.

– Nie... wiem.

Beezer sięga Jackowi przez ramię i bierze do ręki żałośnie nabazgrany plan.

– Spotkasz się z nami jutro rano w Łasze – mówi Jackowi. – Bądź tam o jedenastej trzydzieści, a około południa wjedziemy na tę cholerną drogę. Na razie chyba to zatrzymam. Takie zabezpieczenie, że zrobisz tak, jak chce Myszą.

– Dobrze – mówi Jack.

Nie potrzebuje planu, żeby znaleźć Czarny Dom Chummy'ego Burnside'a, ale Myszą niemal na pewno ma rację: pewnie nie jest to miejsce, w jakie warto się zapaść po zmroku. Nienawidzi myśli, że zostawi Tylera Marshalla w krainie palenisk – jest to tak niewłaściwe, że aż prawie grzeszne – ale musi pamiętać, że stawka jest o wiele większa niż jeden zaginiony chłopiec.

– Beezer, jesteś pewny, że chcesz tam wrócić?

– Cholera, nie. Nie chcę tam wracać – mówi z rozdrażnieniem Beezer. – Ale coś zabiło moją córkę – moją córkę! – i dostało się tutaj stamtąd! Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, czy to prawda?

Jack nie odpowiada. Oczywiście to prawda. I oczywiście chce mieć przy sobie Doktorka i Beezera, kiedy skręci na drogę do Czarnego Domu. Jeśli odważą się pojechać.

D'yamba, myśli. *D'yamba*. Nie zapomnij.

Odwraca się w stronę kanapy.

– Myszą, czy...

– Nie – mówi Doktorek. – Chyba ostatecznie nie będzie potrzebował tyłu prochów, co na cadillaca.

–Hę?

Jack patrzy jak idiota na zwałistego piwowaraharleyowca. Czuje się jak idiota. Jak wyczerpany idiota.

– Nic nie tyka oprócz jego zegarka – mówi Doktorek.

Zaczyna śpiewać. Po chwili przyłącza się do niego Beezer, następnie Niedźwiedzica. Jack odsuwa się od kanapy z myślą dziwnie przypominającą pytanie Henry’ego: Jak tak szybko zrobiło się tak późno? Jak to się stało, do diabła?

– W niebie nie stawiają piw... przeto pij je, pókiś żyw... a kiedy... już... nie będziesz żyw...

Jack przechodzi przez pokój na palcach. Na przeciwnej ścianie wisi podświetlony zegar barowy Premiowego Jasnego Ale „Królewskie Włości”. Nasz stary przyjaciel – wreszcie wyglądający na wszystkie swoje lata i niemający wyłącznie szczęścia – patrzy nań z niedowierzaniem i nie wierzy jego wskazaniu, dopóki nie porówna go ze swoim zegarkiem. Prawie ósma. Był tu całe godziny.

Jest niemal ciemno, a Rybak wciąż porusza się swobodnie. Nie wspominając o jego koleżkach z zaświatów.

D’yamba, myśli znowu Jack, otwierając drzwi. Gdy wychodzi pod ciemniejące niebo na splekane deski ganku i zamyka za sobą drzwi, mówi na głos z bezgraniczną szczerością:

– Chciałbym ukręcić ci kark, Speedy.

Rozdział dwudziesty czwarty

D'yamba to świetliste, pełne mocy zakłęcie; budzi ono potężne związki, tworzące rozgałęziającą się w nieskończoności sieć. Gdy Jack wyrzywa żywą truciznę z oczu Myszy, *d'yamba* najpierw rozbłyskuje w umyśle umierającego mężczyzny, który błyskawicznie bogaci się w wiedzę; część jej promiennej siły przenika włóknami tej sieci i wkrótce dotknięcie *d'yamba* dociera do Henry'ego Leydena. Po drodze *d'yamba* ociera się o Tansy Freneau, siedzącą w niszy pod oknem w Łasze, która widzi materializującą się w kręgu światła w drugim końcu parkingu piękną, ironicznie uśmiechniętą kobietę i na chwilę przed jej zniknięciem uświadamia sobie, że dane było jej ujrzeć osobę, którą zostałaby jej Irma. Muska też Dale'a Gilbertsona, jadącego do domu z posterunku, którego nagle przenika dogłębne pragnienie obecności Jacka Sawyera, tęsknota jak ból w sercu; Dale przysięga sobie, że wraz z przyjacielem, bez względu na przeszkody, doprowadzi do końca sprawę Rybaka. Pulsująca *d'yamba* śle kolejne włókienku ku Judy Marshall i otwiera okno do Oddali, gdzie czekając na ratunek, Tyler śpi w celi żelaznej barwy, wciąż żywy. Dotyka prawdziwego Rybaka wewnątrz Charlesa Burnside'a – Pana Munshuna, znanego niegdyś jako pana Mondaya – w momencie, gdy Bumy stuka kostkami w szybę. Pan Munshun czuje subtelny powiew zimnego powietrza, wsączającego się w jego pierś jak ostrzeżenie, i zamiera z wściekłości i nienawiści, wywołanej tym wtargnięciem; Charles Burnside, niemający pojęcia o *d'yamba* i niepotrafiący jej nienawidzić, przejmuje emocje swojego pana i przypomina sobie, jak dawno temu w Chicago chłopiec, który powinien być martwy, wyczołgał się z płóciennego worka i zaplamił tylne siedzenie samochodu Burny'ego inkryminującą krwią. Przekłęcie inkryminującą krwią, substancją dręczącą go długo po tym, gdy zmył jej ślady. Henry'ego Leydena, od którego zaczęliśmy ten łańcuch, nie ogarnia jednak ani stan łaski, ani gniew; zamiast tego Henry doznaje swego rodzaju klarowności umysłu, umożliwiającej zrozumienie, co się dzieje.

Zdaje sobie sprawę, że pojawianie się Rhody było bez reszty skutkiem jego samotności. Na schodach słyszał jedynie kroki swojej niekończącej się tęsknoty za żoną. Istotą po drugiej stronie drzwi studia jest natomiast okropny staruch z Domu Maxtona, zamierzający zrobić z

Henrym to samo co z trójką dzieci. Kto inny pojawiłby się o tej porze, by stukać w szybę studia? Nie Dale, nie Jack i na pewno nie Elvena Morton. Wszyscy inni zostaliby na zewnątrz i zadzwonili.

Najwyżej parę sekund Henry'emu zajmuje rozważenie możliwości działania i opracowanie prowizorycznego planu. Domyśla się, że jest zarówno szybszy, jak i silniejszy od Rybaka, którego głos sugerował, że ma od osiemdziesięciu do osiemdziesięciu pięciu lat. Rybak nie wie również, że potencjalna ofiara zna jego tożsamość. Aby wykorzystać tę sytuację, Henry musi grać rolę zaskoczonego, ale przyjaźnie nastawionego, jakby był jedynie ciekawy, czego chce gość. Gdy otworzy drzwi studia, których niestety nie zamknął na klucz, będzie musiał działać szybko i zdecydowanie.

Stać nas na to? – zadaje sobie pytanie Henry i myśli: Lepiej, żeby było stać.

Czy światła się palą? Nie; ponieważ spodziewał się, że będzie sam, a nigdy nie zwracał sobie głowy ich zapalaniem. Powstaje więc pytanie: Jak ciemno jest na zewnątrz? Może niezupełnie ciemno, domyśla się Henry – godzinę później mógłby zupełnie niepostrzeżenie przemknąć się przez dom i uciec tylnymi drzwiami. Obecnie ma prawdopodobnie najwyżej pięćdziesiąt procent szans, ale słońce opuszcza się za dom, a każda wywalczona przezeń sekunda zwłoki sprawia, że w salonie i kuchni panuje coraz głębszy mrok.

Minęły może dwie sekundy, odkąd przyczajona postać zastukała w okno, lecz Henry, zachowujący idealny spokój człowieka, który nie dosłyszał odgłosów swojego gościa, nie może dłużej utrzymywać tej pozy. Udając, że jest bezgranicznie pochłonięty rozmyślaniami, jedną ręką ujmuje podstawę ciężkiej statuetki – nagrody za dokonania w radiofonii, którą kilka lat temu otrzymał *in absentia* George Rathbun, a drugą wygarnia z płytkiej tacki obok siebie nóż sprężynowy, podrzucony kiedyś w rozgłośni uniwersyteckiej przez jakiegoś miłośnika Szczura z Wisconsin. Henry posługuje się nożem do rozpakowywania płyt kompaktowych; niedawno, poszukując zajęcia dla rąk, nauczył się go ostrzyć. Z wysuniętym ostrzem nóż przypomina dziwnie płaskie wieczne pióro. Co dwa oręża, to niejeden, myśli, zwłaszcza jeśli przeciwnik dojdzie do wniosku, że druga broń jest nieszkodliwa.

Minęły już cztery sekundy od zastukania w okno z boku Henry'ego i w swój oddzielny sposób zarówno Burny, jak i Pan Munshun stali się zdecydowanie bardziej niecierpliwi. Pan Munshun wzdraga się z odrazy na myśl, iż *d'y am ba* w jakiś sposób skaziła tę zachwycającą scenę. Jej pojawienie może oznaczać tylko jedno: iż ktoś związany ze ślepcem zdołał zbliżyć się do Czarnego Domu na tyle, by posmakować trucizny jego zajadłego strażnika. To z kolei oznacza, że znenawidzony Jack Sawyer wie już bez wątplenia o istnieniu Czarnego Domu i zamierza sforsować jego umocnienia. Nadszedł czas unicestwić ślepcę i wrócić do siebie.

Burny doznaje niedającej się rozdzielić mieszaniny nienawiści i uczucia zaskakująco podobnego do obawy jego pana. Czuje gniew na Henry'ego, że przywłaszczył sobie jego głos, ponieważ wie, że oznacza to niebezpieczeństwo; odczuwa jednak silniejsze od tego samoobronnego impulsu pragnienie prostej, lecz dogłębnej przyjemności, którą czerpie z

rozlewu krwi. Po zaszlachtowaniu Henry'ego Charles Burnside pragnie uśmiercić jeszcze jedną ofiarę przed przeniesieniem się do Czarnego Domu i zstąpieniem do królestwa, o którym myśli jak o Szeolu.

Stuka ponownie w szybę wielkimi, zniekształconymi kostkami.

Henry zwraca głowę w stronę okna, bezbłędnie naśladowując lekkie zaskoczenie.

– Myślałem, że ktoś tam jest. Kto to?... No, odezwij się. – Naciska przełącznik i mówi do mikrofonu: – Jeśli coś mówisz, i tak tego nie słyszę. Daj mi parę sekund, żeby się pozbierać, i zaraz wychodzę.

Ponownie zwraca głowę na wprost i pochyła się nad konsolę. Lewą ręką pozornie bezmyślnie dotyka eleganckiej statuetki; jego prawej dłoni nie widać. Henry wydaje się pogrążony w głębokim skupieniu. W istocie nasłuchuje z taką uwagą, jak jeszcze nigdy w życiu.

Słyszy, że klamka drzwi studia obraca się ze zdumiewającą powolnością w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Drzwi uchylają się z ulotnym szelestem na cal, dwa, trzy. Kwietny, piżmowy zapach My Sin wnika do studia, zdając się pokrywać cienką chemiczną warstwą mikrofon, bębny szpul, wszystkie suwaki i tył celowo odsłoniętej szyi Henry'ego. Po podłodze przesuwa się ze szmerem podeszwa czegoś, co brzmi jak bambosz. Henry zaciska ręce na broni i czeka na szczególny dźwięk, stanowiący dla niego sygnał do działania. Słyszy kolejny prawie bezgłośny krok, a potem następny. Wie, że Rybak znalazł się za jego plecami. Ma ze sobą jakąś broń, coś, co przebija się przez mgiełkę perfum własnym trawiastym zapachem frontowych podwórz i gładkim aromatem oliwy do maszyn. Henry nie domyśla się, co to takiego, ale ruch powietrza podpowiada mu, że jest to coś cięższego od noża. Niezgrabność, z jaką Rybak robi kolejny och jakże cichy krok, sugeruje Henry'emu, że starzec trzyma broń oburącz.

W umyśle Henry'ego powstaje obraz przeciwnika, stojącego za jego plecami i gotowego do ataku; wizja ta wzbogaca się o długi, uniesiony oręż. Dłonie wroga trzymają narzędzie przypominające nożyce ogrodowe. Henry ma własną broń, a najlepszą jest zaskoczenie, ale żeby było skuteczne, musi zostać wykorzystane we właściwej chwili. W istocie, jeśli Henry ma uniknąć szybkiej, koszarnej śmierci, musi wybrać ten moment z idealną precyzją. Pochyla głowę jeszcze niżej nad konsolę i czeka na znak. Zaskakuje go własny spokój.

Człowiek, który stoi niepostrzeżenie z narzędziem w rodzaju nożyc ogrodowych lub ciężkiego sekatora w rękach za siedzącą ofiarą, traci przed zadaniem ciosu długą sekundę na wyprężenie grzbietu i uniesienie rąk, by broń spadła z maksymalną siłą. Gdy prostuje się i podnosi ręce, ubranie przesuwa się po jego ciele. Materiał ślizga się po skórze; tkaniny ocierają się niekiedy o siebie, może zaskrzypieć pas. Może temu towarzyszyć nabranie powietrza w płuca. Zwyczajna osoba nie usłyszałaby tych zdradliwych szczegółów, lecz na Henrym Leydenie można polegać, wychwyci je wszystkie.

W końcu do tego dochodzi. Ubranie ociera się o skórę i samo z siebie szeleści; powietrze świszczy w przewodach nosowych Burny'ego. Henry natychmiast odpycha swoje krzesło w tył, podrywa się, równocześnie obraca i zamachuje statuetką w stronę napastnika. Udaje się! Czuje, jak impet uderzenia przenika jego ramię i słyszy sieknięcie bólu i szoku. Nozdrza wypełnia mu odór My Sin. Krzesło wali o jego kolano. Henry wdusza przycisk na nożu, czuje, jak wyskakuje długie ostrze i dźga nim przed siebie. Nóż wbija się w ciało. Osiem cali od twarzy Henry'ego rozlega się wrzask wściekłości. Henry ponownie wali nagrodą napastnika, wyszarpuje nóż i wbija go raz jeszcze. O jego szyję i ramiona ocierają się wychudłe, napełniające go odrazą ramiona. Czuje na twarzy cuchnący oddech.

Zdaje sobie sprawę, że został ranny, ponieważ z lewej strony jego szyi obwieszcza o swoim istnieniu ostry na powierzchni i tępy pod spodem ból. Cholerny sekator, myśli i raz jeszcze dźga nożem. Tym razem trafia tylko w powietrze. Twarda ręka zaciska się na jego łokciu, druga obejmuje ramię. Dłoń pociąga go naprzód; żeby zachować równowagę, musi wesprzeć kolano na krześle. Długi nos wali w grzbiet jego nosa i wstrząsa okularami. Następuje coś przepelniającego go obrzydzeniem: dwa rzędy zębów jak połamane muszelki zaciskają się na jego lewym policzku i przebijają skórę. Krew spływa mu po twarzy. Rzędy zębów stykają się ze sobą i wyrrywają owalny kawałek skóry Henry'ego. Przez rozpalony do białości ból – niewiarygodnie silny, o wiele gorszy od bólu w plecach – słyszy, jak krew chlapie na twarz starego potwora. Strach i odraza pospołu ze zdumiewającą ilością adrenaliny dają Henry'emu siły, by zamachnął się nożem, gdy wywija się z uścisku przeciwnika. Ostrze trafia w jakąś poruszającą się część ciała Rybaka – Henry myśli, że w ramię.

Zanim może odczuć cokolwiek przypominającego satysfakcję, słyszy odgłos przecinającego powietrze sekatora. Moment później ostrza wbijają się w dłoń z nożem, ostrza sekatora przenikają przez skórę, miażdżą kości i odcinają dwa ostatnie palce jego prawej ręki.

Potem, jakby zaciśnięcie sekatora było ostatnim kontaktem z Rybakiem, Henry jest wolny. Trafia stopą we framugę drzwi, otwiera je kopnięciem i przeciska się na drugą stronę. Łąduje na podłodze tak śliskiej, że nogi wysuwają się spod niego, gdy próbuje wstać. Zastanawia się, czy wypłynęła z niego wszystka krew.

Zza drzwi studia rozlega się głos, który studiował w innym stuleciu, w innej erze:

– Dziabnąłeś mnie, utrzyjdupo.

Henry nie czeka na dalszy ciąg; ucieka i żałuje, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zostawia za sobą szeroki, wyraźny krwawy trop. Odnosi wrażenie, że ma przesiąknięte krwią całe ubranie, że ścieka po jego koszuli i spływa po tyłach nóg. Krew nadal zalewa mu twarz i mimo adrenaliny Henry czuje, że zaczynają opuszczać go siły. Ile czasu mu zostało, zanim wykrwawi się na śmierć – dwadzieścia minut?

Prześlizguje się przez korytarz i wbiega do salonu.

Nie wyjdę z tego, myśli Henry. Straciłem za dużo krwi. Ale zdołam przynajmniej wydostać się na zewnątrz i umrzeć na świeżym powietrzu.

– Zjadłem kawałek twojego policzka, a teraz zjem twoje palce – dociera do niego z korytarza głos Rybaka. – Słuchasz mnie, pokręcony utrzyjdupo?

Henry dociera do drzwi. Jego dłoń kilkakrotnie ześlizguje się z klamki; stawia mu ona opór. Szuka rygla i stwierdza, że drzwi zostały zamknięte.

– Pytałem, czy słuchasz?

Rybak jest bliżej, a jego głos przepełnia gniew.

Henry musi jedynie wcisnąć blokujący zamek guzik i przekręcić klamkę. Zdołałby się w jednej sekundzie wydostać z domu, ale pozostałe mu palce odmawiają posłuszeństwa. W porządku, umrę, mówi sobie. Podążę za Rhodą, podążę za moim Słowikiem, moim pięknym Słowikiem.

Słysząc odgłos żucia, uzupełniony chrzczeniem i mlaskaniem.

– Masz gówniany smak. Jem twoje palce i mają gówniany smak. Wiesz, co lubię? Wiesz, jaka jest moja ulubiona potrawa? Pośladki delikatnego małego dziecka. Albert Fish też je lubił, och, tak. *Mmmmm* \ DZIECIĘCA DUPCIA! To się nazywa WYŻERKA!

Henry zdaje sobie sprawę, że w jakiś sposób osunął się po niedających się otworzyć drzwiach i odpoczywa teraz na czworakach, ciężko oddychając. Odpycha się i przepełza za sofę w misyjnym stylu, na której wygodnie rozparty słuchał Jacka Sawyera, który czytał mu Karola Dickensa. Zdaje sobie sprawę, że pośród rzeczy, których nigdy się nie doczeka, jest poznanie zakończenia „Samotni”. Kolejną jest usłyszenie raz jeszcze jego przyjaciela Jacka.

Kroki Rybaka rozlegają się w wejściu do salonu i cichną.

– Dobra, gdzie jesteś, zasańcu? Nie zdołasz się przede mną schować.

Szczękają ostrza sekatora.

Albo Rybak oślepl tak jak Henry, albo w pokoju jest zbyt ciemno, by mógł coś zobaczyć. Okruch nadziei jak płomyk zapalki rozbłyskuje w duszy Henry’ego. Może jego przeciwnik nie zdoła zobaczyć włączników.

– Zasańcu! – *Zazańdzu* \ – Cholera, gdzie się chowasz? – *Bolera, gdzie zię howażl*

Fascynujące, myśli Henry. Im bardziej rozgniewany i sfrustrowany jest Rybak, tym bardziej jego akcent nabiera owego niesamowitego nieniemieckiego charakteru. Nie jest to już wymowa z South Side w Chicago, ale i nic innego. Na pewno nie jest niemiecka, w istocie wcale nie. Gdyby Henry słyszał opis doktora Spiegelmana, iż akcent ten przypomina Francuza starającego się mówić po angielsku jak Niemiec, z uśmiechem by temu przytaknął. Jest to coś w rodzaju niemieckiego akcentu z kosmosu, coś, co zmutowało w tym kierunku.

– Zrobiłeś mi krzywdę, śmierdząca świni! – *Zrobiież mi grzywde, źmierdzondza źwinio!*

Rybak hałaśliwie idzie w stronę fotela i spycha go na bok.

– Znajdę cię, brachu, a kiedy to zrobię, odetnę ci kurewski łeb! – mówi akcentem z Chicago.

Lampa spada na podłogę. Stopy w bamboszach przesuwają się ciężko na prawą stronę pokoju.

– Ślepy facet chowa się w ciemności, tak? Och, chytrze, naprawdę chytrze. Coś ci powiem. Od jakiegoś czasu nie jadłem języka, ale myślę, że spróbuję twojego. – Łoskocze przesuwany stolik, lampka na nim spada z hałasem na podłogę. – Mam dla ciebie wiadomość. Z językami jest śmiesznie. Język starego gościa nie bardzo różni się smakiem od młodego – chociaż oczywiście języczek dzieciaka jest dwa razy lepszy od obydwóch. *Giedy byyem Fridzem Hahhmanem, jadem mnózdwo rzedży, ha ha.*

Dziwne – nieziemska wersja niemieckiego akcentu pojawia się w ustach Rybaka, jakby przemawiała przez niego druga osoba. Słychać rąbnięcie pięścią w ścianę, człapanie rozlega się bliżej. Opierając się na łokciach, Henry przeczołguje się do drugiego końca sofy i stara wcisnąć pod osłonę długiego, niskiego stolika. Kroki mlaszczą we krwi, a gdy Henry opiera głowę na rękach, czuje ściekającą po twarzy ciepłą ciecz. Ognista udręka w palcach prawie tłumi ból w policzku i plecach.

– Nie możesz się schować na zawsze – mówi Rybak. Natychmiast przybiera niesamowity akcent i odpowiada sam sobie: – *Dozydź dego, BurnBurn. Mamy ważniejże rzedży do robody.*

– Ej, to ty nazwałś go zazańdzem. Zrobił mi krzywdę!

– *Lizy do lizich nor, oho, źdżury w źdżurzych norach, one też ach boli. Moje biedne zagubione dziedzi ach boli, aha, gorzej, gorzej od naz.*

– A co z nim?

– *Wygrwawia zie na źmierdź, aha, wygrwawia na źmierdź. Nieh zdyha.*

W mroku ledwie możemy dojrzeć, co się dzieje. Charles Burnside wydaje się parodiować dwugłową papugę Parkusa, Czystą i Wszeteczną. Kiedy mówi własnym głosem, zwraca głowę w lewo; gdy odzywa się nieziemskim akcentem, patrzy w prawo. Obserwując kręcącą się na boki głowę, możemy skojarzyć ten widok z aktorem komediowym w rodzaju Jima Carreya czy Steve’a Martina, udających dwie połówki rozszczepionej osobowości – tyle tylko że ten człowiek nie jest śmieszny. Obydwie jego osobowości są straszne, a ich głosy ranią nasze uszy. Największa różnica między nimi polega na tym, iż przedstawieniem kieruje zwracająca się w lewo, nieziemska głowa: jej ręce spoczywają na kierownicy wehikułu, którym jest druga połówka. Głowa, zwracająca się w prawo – nasz Bumy – jest w zasadzie niewolnikiem. Ponieważ różnica pomiędzy nimi stała się tak wyraźna, zaczynamy mieć wrażenie, że niedługo Pan Munshun ściągnie z siebie Charlesa Burnside’a i wyrzuci go jak zużytą skarpetę.

– Aleja CHCĘ go zabić! – skrzeczy Burny.

— *Onjużjezdmarawy, mardwy, mardwy. Dżakowi Zawierowi pengnie zerdze. Dżak Zawier nie bendzie deraz wiedzial, dzo robi. Idziemy deraz do Magzdona i, oho, zabijemy Dżibbera, dag? Myżle, że chdzeż zavidź Dżibbera, brawda?*

– No. – Burny uśmiecha się krzywo. – Hdze zabić Chippera. Hdze porznąć tego zasrańca na małe kawałki i obgryźć mu kości. A jeśli jego cięta wiedźma jest z nim, to chcę jej urznąć łeb i wyssać soczysty język.

Dla Henry'ego Leydena dialog ten brzmi jak przejaw szaleństwa, opętania przez demona lub tego i tego. Krew nadal sączy się mu po grzbiecie i z kikutów zmasakrowanych palców; nie potrafi zatamować jej upływu. Woń krwi pod nim i wokół niego przyprawia go o mdłości, ale to najmniejszy z problemów. Uczucie lekkości, szybowania, przyjemnego odrętwienia – to jego prawdziwy problem, a zarazem najlepszy sposób obrony przed bólem. Musi zachować świadomość. Musi w jakiś sposób zostawić wiadomość dla Jacka.

– *No do idziemy już, BurnBurn, zażydź brzyjemnoździ z Dżibberem, tag? A bodem... oho, a bodem, bodem, bodem brzenieziemy zie do biengnego, biengnego Dżarnego Domu, mój BurnBurn, a w Dżarnym Domu brzygodujemy zie na zbodganie Garmazynowego Gróla!*

– Chcę spotkać Karmazynowego Króla – mówi Burny. Gruba nitka śliny wycieka mu z ust i przez moment jego oczy rozbłyskują w ciemności. – Ofiaruję szczeniaka Marshallów Karmazynowemu Królowi, a on mnie pokocha, bo zjem tylko jeden półdupek gówniarza, jedną rączkę, coś takiego.

– *Bokoha dzie brzeze mnie, BurnBurn, bo Gról najbardziej goha mnie, mnie, mnie, Pana Munnshunna! A giedy Gról zabanuje nad wżyzdgem, lizy w lizich dziurach błądzą, bladzą, bendo wyblagiwadź, wyblagiwadź, wyblagiwadź zobie odżenda, bo dy ija,ja,ja, bendziemy jeżdź i jeżdź i jeżdź, jeżdź, jeżdź, aż zwiady ze wżyzdgich zdron bendo jah buzde ubiny!*

– Puste łupiny. – Burny chichocze i hałaśliwie wciąga w usta kolejną strużkę śliny. – Cholerne mnóstwo zarcia.

Henry domyśla się, że koszmarny stary BurnBurn lada chwila wysupła sowitą zaliczkę za most Brooklyński.

– *Hodź.*

– Idę – mówi Burnside. – Najpierw chcę zostawić wiadomość.

Zapada cisza.

Następnym, co słyszy Henry, jest osobliwe szuranie i jednoczesne mlaskanie odrywającego się od lepkiej podłogi przesiąkniętego obuwia. Otwierają się z łoskotem drzwi do szafki pod schodami; zatraskują się drzwi do studia. Pojawia się i znika woń ozonu. Odeszli; Henry nie wie, jak to nastąpiło, ale ma pewność, że został sam. Kogo obchodzi, jak to się stało? Henry musi się zastanowić nad ważniejszymi sprawami.

– Ważniejże rzedzy do robody – mówi na głos. – Ten facet to taki Niemiec, jak ja jarząbek.

Wyczołguje się spod długiego stolika i wspiera się o blat, by dźwignąć się z podłogi. Kiedy się prostuje, świat wiruje mu w głowie i robi się mu w niej szaro. Chwyta stojącą lampę, żeby utrzymać się na nogach.

– Nie mdlej – mówi. – Mdlenie zabronione, tak jest.

Henry jest pewny, że może iść. Ostatecznie chodził większość życia. Może też prowadzić samochód; jest to nawet łatwiejsze od chodzenia, tylko nikt nie miał jaj, by pozwolić mu dać dowód swoich talentów za kierownicą. Cholera, jeśli Ray Charles mógł prowadzić – a mógł i

może, pewnie właśnie w tej chwili skręca w lewo na autostradzie – dlaczego nie Henry Leyden? Cóż, tak się składa, że Henry nie dysponuje obecnie samochodem, więc musi poprzestać na różnym marszu. Hm – przynajmniej na tyle różnym, na ile się da.

I dokąd Henry skieruje się podczas tej upojnej przechadzki przez zakrwawiony salon?

– Cóż – mówi sam do siebie. – Odpowiedź nasuwa się sama. Idę do mojego studia. Mam ochotę przejść się do mojego pięknego studia.

Jego umysł znów pogrąża się w szarości, której trzeba się wystrzegać. Mamy antidotum na szarość, prawda? Istotnie, jest nim porządna dawka bólu. Henry uderza się po kikutach odciętych palców – o jeju, rzeczywiście, całe ramię jakby stanęło w ogniu. Płonące ramię – to się nada. Tryskające z gorejących palców rozpalone do białości iskry naprawdę pozwolą nam dotrzeć do studia.

Niech płyną łzy. Martwi nie płaczą.

– *Zapach* krwi jest jak śmiech – mówi Henry. – Kto to powiedział? Ktoś. Jest w książce. „Zapach krwi był jak śmiech”. Wspaniały tekst. Teraz stawiaj jedną nogę przed drugą.

Kiedy dociera do krótkiego korytarzyka prowadzącego do studia, na chwilę opiera się o ścianę. Fala upajającego znużenia bierze początek w środku jego piersi i rozprzestrzenia się po ciele. Henry podrywa głowę; krew z rozerwanego policzka chłapie na ścianę.

– Mów dalej, matole. Mówienie do siebie to nie wariactwo. To cudowna rzecz. I wiesz co? Tak właśnie zarabiasz na życie – po całych dniach gadasz do siebie!

Henry odpycha się od ściany, robi krok naprzód, a jego struny głosowe opanowuje George Rathbun.

– Przyjaciele, a postawmy sprawę jasno, JESTEŚCIE moimi przyjaciółmi, mamy tutaj w KDCUAM pewne trudności techniczne. Poziom emisji spada i mieliśmy nawet zaniki sygnału, rzeczywiście mieliśmy. Nie obawiajcie się, moi drodzy. Nie ma strachu! W chwili gdy to mówię, jesteśmy marne cztery stopy od drzwi studia i lada moment będziemy w pełnej formie, tak jest. Żaden zramolały kanibal ani jego kompan z innego świata nie zamkną tej radiostacji, ehe, nie przed nadaniem naszej ostatniej audycji.

Dzieje się tak, jakby to George Rathbun tchnął życie w Henry’ego Leydena, a nie odwrotnie. Henry prostuje plecy i podnosi głowę. W dwóch krokach dociera do zamkniętych drzwi studia.

– Trudna piłka do odebrania, przyjaciele, ale jeśli Pokey Reese mają chwycić, lepiej, żeby miał czyściutką rękawicę. Co on robi, ludziska? Możemy uwierzyć własnym oczom? Rzeczywiście wsuwa rękę do kieszeni spodni? Człowieku, jak rany, kręci mi się od tego w głowie... Pokey robi STARĄ SZTUCZKĘ Z CHUSTECZKĄ DO NOSA! Zgadza się! WYCIERA rękawicę! WYCIERA rękę, którą rzuca, UPUSZCZA glutownicę, CHWYTA kłamkę... I drzwi są OTWARTE! Pokeyowi Reesemu znowu się udało: jest W STUDIUM!

Henry owija chusteczkę na resztkach palców i stara się namacać krzesło.

– A Rafael Furcal wygląda na zdezorientowanego, facet GRZEBIE w poszukiwaniu piłki... Czekajcie, czekajcie, mają? Namacał jej brzeg? TAK! Ma PORECZ piłki, ma jej OPARCIE, i STAWIA ją, panie i panowie, piłka już STOI na KOŁKACH! Furcal siada, podciąga się do konsoly. Mamy tu mnóstwo krwi, ale baseball to krwawa gra, kiedy przeciwnicy wychodzą na ciebie z podniesionymi OCHRANIACZAMI!

Palcami lewej ręki, z której stał prawie całą krew, Henry wciska klawisz zasilania wielkiego magnetofonu i przyciąga do siebie mikrofon. Siedzi w ciemności, wsłuchując się w dźwięk przesuwającej się ze szpuli na szpulę taśmy – i czuje niezwykle zadowolenie, robiąc to samo co wieczór po wieczorze przez tysiące dni. Aksamitna ociężałość wypełnia jego umysł i ciało, zaciemniając wszystko, czego dotknie. Jest za wcześnie, żeby się poddać. Wkrótce się podda, ale najpierw musi zrobić swoje. Musi przemówić do Jacka Sawyera, mówiąc do samego siebie. Aby tego dokonać, przyzywa znajome duchy, które użyczają mu głosu.

George Rathbun: Koniec dziewiątej zmiany, a drużyna gospodarzy jest gotowa iść pod prysznic, stary. Ale gra się nie KOŃCZY, dopóki ŻYJE ostatni ŚLEPIEC!

Henry Shake: Mówię do ciebie, Jacku Sawyerze, i nie chcę, żeby ci tu odbiło ani nic w tym stylu. Trzymaj luz i posłuchaj swojego starego przyjaciela, Henry'ego Shake'a, Shooka, Szejka, dobrze? Złożył mi wizytę Rybak, a po pożegnaniu ze mną udał się do Domu Maxtona. Chce zabić Chippera, gościa, który jest właścicielem Domu. Wezwij policję, uratuj go, jeśli zdołasz. Rybak mieszka w Domu Maxtona, wiedziałeś o tym? To starzec, w którym siedzi demon. Chciał uniemożliwić mi przekazanie ci, że poznałem jego głos. I chciał nabałaganić ci w głowie – myślał, że cię skołuje, jeśli mnie zabije. Nie daj mu tej satysfakcji, dobrze?

Szczur z Wisconsin: BO TO BYŁBY PRAWDZIWY SYF! RYBI MÓZDŻEK BĘDZIE NA CIEBIE CZEKAŁ W MIEJSCU O NAZWIE CZARNY DOM I MUSISZ SIĘ PRZYSZYKOWAĆ NA SPOTKANIE Z SUKINSYNEM! URWIJ MU JAJA!

Przypominający krajegę głos Szczura milknie pośród ataku kaszlu.

Henry Shake, zdyszany: Nasz przyjaciel Szczur został nagle odwołany. Chłopak ma skłonność do nadmiernej ekscytacji.

George Rathbun: SYNU, chcesz wmówić MI, że...

Henry Shake: Uspokój się. Tak, ma prawo być podekscytowany. Ale Jack nie chciałby, żebyśmy na niego wrzeszczeli. Jack potrzebuje informacji.

George Rathbun: Myślę, że w takim razie lepiej pospiesz się z ich przekazywaniem.

Henry Shake: Układ jest taki, Jack. Rybak nie jest za bystry, tak samo jak to coś, ten demon, który nazywa się Pan Munching lub jakoś podobnie. Jest też niewiarygodnie próżny.

Henry Leyden osuwa się w krzesło i przez chwilę tkwi w całkowitym bezruchu. Od pasa w dół niczego nie czuje; wokół mikrofonu zebrała się krew z jego prawej ręki. Wydobywa się z kikutów jego palców stale zmniejszającymi się porcjami.

George Rathbun: Nie teraz, Chichotko!

Henry Leyden unosi głowę i mówi:

– Możesz pokonać próżnych głupców, przyjacielu. Teraz muszę już się wyłączyć. Jack, nie masz powodów czuć wyrzutów sumienia z mojego powodu. Miałem piekielnie cudowne życie, a teraz będę z moją drogą Rhodą. – Uśmiecha się w ciemności, coraz szerzej. – Ach, Słowiku. Witaj.

Czasami jest możliwe, by krew pachniała jak śmiech.

Co się dzieje na końcu Nailhouse Row? Horda, rój tłustych, brzęczących, podskakujących stworzeń otacza Jacka Sawyera. W zamierającym blasku wyglądają na prawie świetliste, jak iluminowany tekst świętej księgi. Za małe na kolibry, wydają się obdarzone indywidualnym, wewnętrznym blaskiem, gdy tak kołują w powietrzu. Jeśli to osy, to Jacka czekają poważne kłopoty. Wszelako nie żądlą; ich okrągłe ciała muskają mu twarz i ramiona, prześlizgują się po jego ciele tak samo miękko, jak ocierający się o nogę pana kot, który jednocześnie daje i bierze pociechę.

W obecnej chwili o wiele więcej jej dają, niż otrzymują, i nawet Jack nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Otaczające go stworzenia to nie osy ani kolibry, ani koty – są to pszczoły, miododajne pszczoły. W zwykłych okolicznościach Jack przeraziłby się, gdyby go otoczył ich rój. Zwłaszcza dlatego, że wydają się należeć do jakiegoś rodzaju naczelnej pszczelej rasy, odmiany superpszczół – są większe niż jakiegokolwiek, które Jack widział w życiu, ich złote paski są bardziej złote, a czarne – bardziej czarne. Od razu pojął, że nie zrobią mu żadnej krzywdy. Dotyk ich niezliczonych ciałek jest zdumiewająco delikatny i miękki; ich zmasowane brzęczenie jest niskie i harmonijne, równie spokojne jak protestancki hymn. Po kilku pierwszych sekundach Jack po prostu pozwala działać im bez przeszkód.

Pszczoły ścieśniają się jeszcze bardziej, a ich cichy zgiełk wibruje mu w uszach. Brzmi to jak mowa lub pieśń. Przez chwilę Jack widzi tylko ciasno utkaną sieć pszczół, mknących w różne strony; potem siadają na całym jego ciele z wyjątkiem twarzy. Pokrywają jego głowę jak hełm. Zakrywają mu ramiona, pierś, grzbiet, nogi. Pszczoły lądują na jego butach i całkowicie je zasłaniają. Mimo swej liczby niemal nic nie ważą. Jack ma wrażenie, jakby odsłonięte części ciała – ręce i szyja – były spowite kaszmiem. Gęsty, lekki jak piórko pszczeli strój mży czernią i złotem na całej jego postaci. Unosi ramiona, a pszczoły podnoszą się razem z nimi.

Jack widział zdjęcia pokrytych owadami pszczelarzy, ale nie jest to fotografia, a on nie jest pszczelarzem. Czuje oszołomienie wskutek ekscytacji – w istocie czystej przyjemności, wywołanej tym nawiedzeniem. Dopóki pszczoły przywierają do niego, nie pamięta o strasznej śmierci Myszy i czekającym go następnego dnia strasliwym zadaniu. Nie zapomina natomiast o Sophie; chce, by Beezer i Doktorek wyszli na zewnątrz i zobaczyli, co się z nim dzieje, ale jeszcze bardziej pragnie, by ujrzała to Sophie. Może to widzi – dzięki łasce *d'yamby*. Ktoś pociesza Jacka Sawyera, ktoś dobrze mu życzący. Kochająca, niewidoczna

obecność oferuje mu wsparcie. Odzianemu w lśniącą, czarnożółtą pszczelą szatę Jackowi przychodzi do głowy, że gdyby zrobił krok w górę, wzbiłby się w powietrze. Pszczoły poniosłyby go nad dolinami, ku pomarszczonym wzgórzom. Poleciałby jak skrzydlaci ludzie z Terytoriów, którzy przetransportowali Sophie na spotkanie. Zamiast dwóch skrzydeł w powietrze wzniosłyby go ich dwa tysiące.

Jack przypomina sobie, że w naszym świecie pszczoły wracają przed zmierzchem do uli. Jakby przypomniano im o codziennej rutynie, owady wzbijają się z jego głowy, tułowia, ramion i nóg, nie naraz jak żywy dywan, lecz pojedynczo i grupkami po pięćsześć, kołują w bliskiej odległości od niego, a potem jak kule mkną nad domami po przeciwnej od rzeki stronie Nailhouse Row, aż wreszcie osobno i łącznie znikają w mrocznym bezkresie. Jack zdaje sobie sprawę z dźwięku, jaki wydawały, dopiero gdy cichnie.

Przez chwilę, zanim może podjąć na nowo marsz w stronę swojego samochodu, ma uczucie, że ktoś nad nim czuwa. Został... jak to ująć? Odpowiedź przychodzi mu do głowy, gdy przekręca kluczyk w stacyjce pikapa i delikatnie naciska pedał gazu: został uściśnięty.

Nie ma pojęcia, jak bardzo będzie potrzebował ciepła tego uścisku, ani w jaki sposób powtórzy się on w ciągu nadchodzącej nocy.

Po pierwsze, jest wyczerpany. Przeszedł dzień, który powinien zakończyć się tak surrealistycznym wydarzeniem jak uścisk roju pszczoł: Sophie, Wendell Green, Judy Marshall, Parkus – ten kataklizm, ta powódź! – i niezwykła śmierć Myszy Baumanna: wydarzenia napięły jego nerwy jak postronki, odebrały mu dech. Jego ciało woła o odpoczynek. Gdy opuszcza French Landing i wjeżdża w rozległą, mroczną wiejską okolicę, ma ochotę zjechać na pobocze i zdrzemnąć się pół godziny. Ciemniejące niebo obiecuje, że sen przyniesie odświeżenie, i w tym właśnie problem: Jack mógłby przespać ostatecznie w samochodzie całą noc, przez co czułby się wypruty i zeszywniały jak artretyk tego dnia, kiedy musi być w szczytowej formie.

W obecnej chwili jego formy w żaden sposób nie można uznać za szczytową – za żadne skarby, jak zwykł mawiać jego ojciec, Phil Sawyer. Jack jedzie teraz na oparach – kolejne z ulubionych wyrażonek Phila Sawyera – ale myśli, że zdoła utrzymać się na nogach wystarczająco długo, by wpaść do Henry'ego Leydena. Może Henry dobił interesu z facetem z ESPN – może wypłynie na szersze wody i zacznie zarabiać mnóstwo pieniędzy. Henry w żaden sposób nie potrzebuje ich więcej, ponieważ jego tryb życia wygląda na bezbłędny, lecz Jackowi podoba się myśl, że jego przyjaciel będzie opływał w gotówkę. Henry z pieniędzmi, które może rozrzucić, jest Henrym, jakiego Jack miałby ochotę oglądać. Wystarczy pomyśleć o wspaniałych ubraniach, na jakie mógłby sobie pozwolić! Jack wyobraża sobie, jak jedzie z nim do Nowego Jorku, zatrzymuje się w eleganckim hotelu w rodzaju Carlyle czy St. Regis i włóczy z nim po sześciu magazynach z modą męską, pomagając mu wybrać, na co tylko ma ochotę.

Henry wygląda dobrze praktycznie we wszystkim. Wydaje się podnosić klasę wszystkiego, co wkłada, bez względu na to, co to za strój, ma jednak szczegółowo określone upodobania. Henry lubuje się w pewnym klasycznym, może nawet staromodnym stylu. Często ubiera się w pepitkę, drobną kratkę lub tweedy w jodełkę. Lubi bawełnę, len i wełnę. Czasami nosi muszki, fulary i chusteczki, piętrzące się nad kieszenią na piersi. Na nogi zakłada pantofle, półbuty, lakierki i kamasze z miękkiej, wyśmienitej skóry. Konsekwentnie nie nosi mokasynów ani dżinsów, a Jack nigdy nie widział go w jakiegokolwiek koszulce z krótkimi rękawami z nadrukiem. Powstaje pytanie, jak niewidomy od urodzenia człowiek kształtuje w sobie tak określony gust, jeśli chodzi o ubrania?

Och, uświadamia sobie Jack, to jego matka. Oczywiście. Ma gust po matce.

Z jakiejś przyczyny konstatacja ta powoduje, że Jackowi niemal napływają łzy do oczu. Stają się zbyt uczuciowy, kiedy jestem tak wyczerpany, mówi sobie. Uważaj, bo się całkiem rozmamłasz. Zdiagnozowanie problemu to jednak nie to samo, co poradzenie sobie z nim, dlatego Jack nie może skorzystać z własnej rady. Uznaje za piękne i wzruszające to, iż Henry Leyden przez całe życie kierował się sędami swojej matki, dotyczącymi męskich strojów. Sugeruje to podziwiany przez Jacka rodzaj lojalności – niewypowiedzianej. Henry prawdopodobnie przejął wiele po matce: cięty dowcip, umiłowanie muzyki, rozwagę, całkowity brak rozczulania się nad sobą. Rozwaga i nierozczulanie się nad sobą to w ocenie Jacka wspaniałe połączenie; w znacznym stopniu definiują one odwagę.

Henry jest odważny, przypomina sobie Jack. Henry jest, do diabła, prawie nieustraszony. Zabawne są jego wypowiedzi, że mógłby prowadzić samochód, ale Jack ma pewność, że gdyby mu pozwolono, jego przyjaciel bez wahania wskoczyłby za kierownicę najbliższego chryslera, uruchomił silnik i ruszył w stronę autostrady. Nie pyszniłby się ani nie szpanował; tego rodzaju postępowanie jest obce jego naturze; Henry kiwałby głową w stronę bocznej szyby i mówił *rzeczy* w rodzaju: „Kukurydza wygląda na wysoką i udaną, jak na tę porę roku” czy: „Cieszę się, że Duane zabrał się wreszcie do pomalowania swojego domu”. Kukurydza byłaby wysoka, Duane Updahl niedawno pomalowałby dom, a informacje te Henry wychwyciłby dzięki swojemu zagadkowemu systemowi receptorów.

Jack postanawia dać Henry’emu przejechać się swoim ramem, jeśli wyjdzie z Czarnego Domu żywy. Może wylądają z maską w rowie, ale warto będzie pooglądać minę Henry’ego. Któregoś sobotniego popołudnia zawiezie Henry’ego na drogę 93 i pozwoli mu dojechać do Łachy. Jeśli Beezer i Doktorek nie zostaną rozszarpani przez psolaki i przeżyją wyprawę do Czarnego Domu, powinni mieć szansę nacieszyć się konwersacją z Henrym, która – choćby wydawało się to dziwne – idealnie do nich pasuje. Beezer i Doktorek powinni poznać Henry’ego Leydena, bo na pewno pokochają tego faceta. Może po kilku tygodniach będzie pędził razem z nimi na harleyu od Centralii do doliny Norway.

Gdyby tylko Henry mógł towarzyszyć im w wyprawie do Czarnego Domu. Na tę myśl Jacka ogarnia smutek towarzyszący natchnionym pomysłom, których nigdy nie da się

zrealizować. Wie, że Henry zachowałby się dzielnie i nieulękle, ale najbardziej podoba mu się w tej myśli to, iż później obydwaj mieliby o czym dyskutować. Wspominki te – we dwóch, w salonie jednego czy drugiego, gdy śnieg piętrzy się na dachu – byłyby cudowne, lecz Jack nie może narażać Henry’ego na takie niebezpieczeństwo.

– Idiotyczny pomysł – mówi na głos.

Uświadamia sobie, że żałuje, iż nie był całkowicie szczery i otwarty wobec Henry’ego – stąd właśnie bierze się jego bezsensowne zmartwienie, z jego upartego milczenia. Nie chodzi o to, że nie zdoła wyjawić wszystkiego w przyszłości; chodzi o to, czego nie powiedział do tej pory. Powinien od początku być szczery wobec Henry’ego. Powinien opowiedzieć mu o czerwonych piórkach, jaskach rudzika i jego narastającym niepokojem. Henry pomógłby mu otworzyć oczy; pomógłby Jackowi uporać się z własną ślepotą, bardziej szkodliwą niż jego przyjaciela.

Wszystko to skończone, postanawia Jack. Koniec z tajemnicami. Ponieważ ma tyle szczęścia, by mieć w Henrym przyjaciela, wykaże, że to docenia. Teraz opowie Henry’emu o wszystkim, włącznie z tłem: o Terytoriach, Speedym Parkerze, martwym mężczyźnie na molu w Santa Monica, czapce baseballowej Tylera Marshalla. O Judy Marshall. O Sophie. Tak, musi powiedzieć Henry’emu o Sophie – jak mógł nie zrobić tego do tej pory? Henry będzie cieszył się razem z nim, a Jack nie może doczekać się tego widoku. Radość Henry’ego będzie inna niż czyjakolwiek; Henry nada swojej radości delikatnej, wyluzowanej, dobroduszej nuty, nasilając w ten sposób uniesienie Jacka. Cóż to za niewiarygodny, dosłownie niewiarygodny przyjaciel! Gdyby trzeba było opisać Henry’ego komuś, kto go nigdy nie spotkał, brzmiałoby to nieprawdopodobnie. Ktoś taki, mieszkający samotnie na całkowitym odludziu doliny Norway w okręgu French w Wisconsin i czekający na kolejny odcinek „Samotni”. Do tej pory w oczekiwaniu na przyjazd Jacka zapewne zapalił światło w kuchni i salonie, jak to czynił od lat na cześć swojej zmarłej ukochanej żony.

Jack myśli: Nie mogę być bardzo zły, skoro mam takiego przyjaciela.

I myśli: Naprawdę uwielbiam Henry’ego.

W tej chwili nawet mimo ciemności wszystko wydaje się mu piękne. Łacha, skąpiana w blasku neonów na środku wielkiego parkingu; rzadkie drzewa, pojawiające się w świetle reflektorów po wjechaniu na drogę 93; palące się żarówki na ganku sklepu „U Roya”, podobne do choinkowych ozdób. Jazda z grzechotem po pierwszym moście i ostry zakręt w głąb doliny. W oddali po lewej stronie drogi w ciemności majaczą światła pierwszych zagród; blask w ich oknach kojarzy się z sakramentalnymi świecami. Wszystko wydaje się przeniknięte szerszym znaczeniem; wszystko zdaje się przemawiać. Jack wędruje pośród uświęconej ciszy przez święty gaj. Przypomina sobie, kiedy Dale po raz pierwszy przywiózł go do doliny, i to wspomnienie również jest święte.

Jack nie zdaje sobie sprawy, że po jego policzkach spływają łzy. Krew śpiewa w jego żyłach. Lśnią na poły ukryte w ciemnościach blade wiejskie domy, a z mroku wyłania się

kępa lilii tygrysi, która powitała go podczas pierwszej wyprawy w głąb doliny. Lilie rozbłyskują w świetle reflektorów, po czym z pomrukiem nika w ciemnościach. Ich cicha przemowa dołącza do rozprawiających gorliwie opon, prowadzących Jacka miękko ku ciepłemu domowi Henry'ego Leydena. Jack wie, że jutro może umrzeć, a ta noc może być ostatnią, jaką mu będzie dane oglądać. To, że musi zwyciężyć, nie oznacza, że zwycięży; dumne imperia i szlachetne epoki rozpadały się po klęskach, a Karmazynowy Król może wyswobodzić się z Wieży i siać zamęt i chaos w kolejnych światach.

Wszyscy mogą zginąć w Czarnym Domu: on, Beezer i Doktorek. Jeśli do tego dojdzie, Tyler Marshall zostanie nie tylko Niszczycielem, niewolnikiem przykutym do wiosła w beczasowym Czyścću, lecz superNiszczycielem o nuklearnej mocy, którego abbalah użyje do zamienienia wszystkich światów w pełne płonących trupów paleniska. Po moim trupie, myśli Jack i śmieje się nieco obłądnie – jest to tak dosłowne!

Cóż za nadzwyczajna chwila: śmieje się, równocześnie ocierając łzy z oczu. Paradoks sprawia, że nagle czuje się rozdarty na pół. Piękno i groza, piękno i ból – nie ma wyjścia z tego poplątania. Wyczerpany, o zszarpanych nerwach Jack nie może oprzeć się poczuciu zasadniczej kruchości świata, jego stałego, niepowstrzymanego ruchu ku śmierci, ani też głębszej świadomości, iż w ruchu tym leży źródło wszelkiego znaczenia. Widzicie to paralizujące serce piękno? Przyjrzyjcie mu się dokładnie, bo za moment wasze serca rzeczywiście staną.

W następnej chwili przypomina sobie rój złotych pszczoł, które go obsiadły: właśnie z tego powodu udzielały mu pociechy. Właśnie z tego powodu, mówi sobie. Błogosławieństwa nad błogosławieństwa, które zniknie. To, co kochasz, musisz kochać tym mocniej, bo pewnego dnia już tego nie będzie. Czuje, że to prawda, ale nie cała.

Na tle bezgranicznego nocnego nieba widzi olbrzymią postać Karmazynowego Króla, trzymającego w dłoniach małego chłopca, którym jak soczewką będzie podpalał światy, zamieniając je w spopielone zgliszcza. Parkus miał rację: Jack nie może zniszczyć tego giganta, ale może znaleźć sposób uratowania chłopca.

Pszczoły mówiły: *Uratuj Tylera Marshalla.*

Pszczoły mówiły: *Kochaj Henry'ego Leydena.*

Pszczoły mówiły: *Kochaj Sophie.*

To dość dobre przybliżenie – wystarczająco dobre dla Jacka. Dla pszczoł było to jedno i to samo zdanie. Domyśla się, że pszczoły mogły równie dobrze mówić: *Rób swoje, glinicjancie*, a zdanie to jest jedynie odrobinę odmienne. Cóż, zgadza się – będzie robił swoje. Po zesłaniu takiego cudu nie może zrobić nic innego.

Czuje ciepło w sercu, gdy wjeżdża na drogę do domu Henry'ego. Czym jest Henry, jeśli nie innego rodzaju cudem?

Jack z radością postanawia, że dziś wieczór przyprawi zdumiewającego Henry'ego Leydena o dreszcz, którego ten nigdy nie zapomni. Dzisiaj opowie Henry'emu o wszystkim,

przedstawi mu całą długą historię wędrówki, jaką podjął w dwunastym roku życia. Opowie o Spustoszonych Ziemiach, Racjonalnym Richardzie, Agincourt i Talizmanie. Nie pominie „Oatley Tap” i Domu Sunlighta, bo te przejścia wprawiają Henry’ego w cudownie podekscytowany nastrój i zapragnie słuchać, co było dalej. A Wilk! Henry oszaleje na punkcie Wilka; Wilk polechta go aż po podeszwy czekoladowobrązowych zamszowych półbutów. Każde słowo opowieści Jacka będzie stanowiło przeprosiny za tak długie milczenie.

A gdy skończy opowiadać całą historię, najlepiej jak potrafi, świat – ten świat – nie będzie już ten sam, ponieważ jedna osoba prócz niego będzie wiedziała o wszystkim, co się stało. Jack ledwie sobie wyobraża, jak będzie się czuł, gdy tama jego samotności zostanie tak doszczętnie zburzona, tak kompletnie unicestwiona, ale sama myśl o tym napędza go przewidywaniem ulgi.

No, to dziwne... Henry nie zapalił świateł, a jego dom wygląda na pogrążony w ciemności i pusty. Pewnie zasnął.

Jack z uśmiechem gasi silnik i wysiada z kabiny pikapa. Doświadczenie mówi mu, że nie wejdzie więcej niż trzy kroki do salonu, gdy Henry ocknie się i będzie udawał, że w ogóle nie spał. Gdy Jack zastał go tak raz w ciemnościach, Henry powiedział: „Pozwalałem tylko odpocząć oczom”. Co się z nim dzieje dziś wieczorem? Zamierzał oddać urodzinowy hołd Lesterowi Youngowi i Charliemu Parkerowi, ale czy zdołał się dzięki temu łatwiej skoncentrować? Planował usmażyć jakąś rybę; czyżby chciał się przekonać, czy będzie smakowała inaczej, jeśli przyrządzi ją po ciemku? Cokolwiek nim kierowało, na pewno okaże się to odprężające. Może nawet uczczą świeżo ubity interes Henry’ego z ESPN!

– Henry? – Jack stuka do drzwi, po czym otwiera je i wsuwa głowę do środka. – Henry, ty oszuście, śpisz?

Henry nie odpowiada, a pytanie Jacka trafia w bezgłośną próżnię. Wnętrze jest dwuwymiarową taflą ciemności.

– Hej, Henry, jestem. Rany, ale mam dla ciebie historię!

Znowu martwa cisza.

– Hm? – mruczy Jack i wchodzi do środka.

Instykt natychmiast krzyczy do niego, że powinien wydostać się, uciekać, zwiewać. Dlaczego miałby się tak czuć? Ostatecznie to tylko dom Henry’ego; Jack był tu już setki razy i wie, że Henry albo przysnął na sofie, albo poszedł do Jacka. Po namyśle dochodzi do wniosku, że na pewno tak właśnie było. Henry otrzymał fantastyczną ofertę od przedstawiciela ESPN i wskutek podniecenia – jako że nawet Henry Leyden jest zdolny do ekscytacji, trzeba się jedynie mu wtedy dokładniej niż innym ludziom przyglądać, by to dostrzec – postanowił zaskoczyć Jacka w jego domu. Gdy Jack nie pojawił się do piątej czy szóstej, postanowił na niego zaczekać, a teraz pewnie śpi na sofie przyjaciela, zamiast na własnej.

Wszystko to jest wiarygodne, ale nie zmienia wiadomości buchającej z zakończeń nerwowych Jacka: Idź! Odejdź! Nie chcesz tutaj być!

Znowu woła imię Henry'ego i w odpowiedzi trwa cisza, czego się zresztą spodziewał.

Transcendentalny nastrój, towarzyszący mu w drodze przez dolinę, już go opuścił, chociaż Jack zauważył nie to, że ustępuje, tylko to, iż należy już do przeszłości. Gdyby wciąż był detektywem z wydziału zabójstw, właśnie w tej chwili wydobyłby broń. Wchodzi po cichu do salonu. Docierają do niego dwa silne zapachy. Jednym jest woń perfum, drugim...

Zna ten drugi zapach. Jego obecność tutaj oznacza, że Henry nie żyje. Ta część Jacka, która nie jest policjantem, upiera się, że woń krwi niczego takiego jeszcze nie dowodzi. Może Henry został ranny w walce, a Rybak mógł go zabrać do innego świata, tak samo jak zrobił z Tylerem Marshalllem. Henry może leżeć skrupowany w jakimś zakątku Terytoriów, ukryty, by odegrać rolę karty przetargowej lub przynęty. On i Tyler mogą obok siebie czekać na ratunek.

Jack wie, że wszystko to jest nieprawdą. Henry nie żyje, a zabił go Rybak. Jego zadaniem jest teraz znaleźć ciało. To, iż oglądanie zwłok Henry'ego jest ostatnią rzeczą w życiu, na jaką ma ochotę, nie zmienia natury zadania. Żal przejawia się w różnych postaciach, lecz ten, który ogarnia Jacka, wydaje się twardy jak granit. Zwalnia jego kroki i zaciska szczęki. Kiedy Jack przesuwa się w lewo i wyciąga rękę do włącznika, kamienny smutek wiedzie dłoń w to miejsce równie pewnie, jakby należała do Henry'ego.

Ponieważ w chwili zapalania światła Jack patrzy na ścianę, jedynie kątem oka widzi wnętrze pokoju i zniszczenia nie wydają się tak wielkie, jak się spodziewał. Strażona lampa, przewrócony fotel. Gdy jednak Jack odwraca głowę, w jego siatkówki wżerają się dwie rzeczy w salonie Henry'ego. Pierwszą jest czerwone hasło na kremowej ścianie naprzeciwko wejścia; drugą – ilość krwi na podłodze. Krwawe plamy stanowią mapę drogi Henry'ego w głąb pokoju i z powrotem. Ślady jak te, które zostawiają ranne zwierzęta, zaczynają się na korytarzu i wiodą wraz z wieloma rozbryzganiami i pętlami za sofę w stylu misji, gdzie jest cała kałuża krwi. Kolejna plama pokrywa twardy parkiet pod długim, niskim • stolikiem, gdzie Henry czasami stawiał przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych i stos nagrań do przesłuchania danego wieczora. Od stołu następny ciąg rozbryzgow i plam wiedzie z powrotem na korytarz. Jack ma wrażenie, że Henry'emu zostało już bardzo niewiele krwi, gdy poczuł się na tyle bezpiecznie, by wyczołgać się spod stolika. Jeśli tak właśnie było.

Podczas gdy Henry leżał już martwy lub umierający, Rybak posłużył się jakimś kawałkiem tkaniny – koszulą? chusteczką? – jako grubym, niezręcznym pędzlem. Unurzał go w krwi za sofą, przeniósł do ściany i nabazgrał kilka liter. Następnie powtórzył te czynności, aż wtarł ostatnią z liter w tynk.

Cześć Hollywood fiopz po mnie

KK KK KK KK

Jednak to nie Karmazynowy Król podpisał się szydzącymi z Jacka inicjałami; nie zrobił tego również Charles Burnside. Nasmarował je na murze pan Rybaka, którego imię dla naszych uszu brzmi Pan Munshun.

Nie martw się, niedługo po ciebie przyjdę, myśli Jack.

W tym momencie nie zasługiwałby na krytykę za to, gdyby wyszedł na zewnątrz, gdzie powietrze nie śmierdzi krwią i perfumami, zadzwonił ze swojego telefonu komórkowego na ulicę Sumner i miał nadzieję, że dyżur pełni Bobby Dulac oraz że może nawet zastanie na posterunku Dale'a. Aby wypełnić swój obywatelski obowiązek, potrzebowałby tylko ośmiu czy dziewięciu słów. Potem mógłby schować telefon do kieszeni i siedzieć na stopniach ganku Henry'ego, aż na drogę dojazdową wtoczą się rozpędzone samochody stróżów prawa i porządku. Byłoby ich sporo, co najmniej cztery czy pięć radiowozów. Dale musiałby zawiadomić detektywów z policji stanowej, a Brown i Black mogliby poczuć się zobowiązani do poinformowania FBI. Za jakieś trzy kwadransy w salonie Henry'ego zaroiliby się od ludzi dokonujących pomiarów, piszących w notesach, rozkładających tabliczki, identyfikujące ślady, i fotografujących plamy krwi. Pojawiłby się patolog i ekipa kryminalistyczna. Gdy pierwsza faza pracy wielu ludzi dobiegałaby końca, dwóch mężczyzn w białych fartuchach wniosłoby frontowymi drzwiami nosze i załadowałoby je z powrotem do ambulansu jakiegokolwiek choleralnej marki, którym by przyjechali.

Jack rozważa taką możliwość nie dłużej niż parę sekund. Chce zobaczyć, co Rybak i Pan Munshun zrobili z Henrym – musi to zobaczyć, nie ma wyboru. Domaga się tego jego posępny żal, a jeśli nie ulegnie temu nakazowi, nigdy więcej nie poczuje się porządnie.

Jego żal, w którym jak w stalowej krypcie zatrzaśnięta jest miłość do Henry'ego Leydena, sprawia, że wchodzi dalej do salonu. Idzie powoli, jak człowiek przeskakujący przez strumień z kamienia na kamień. Rozgląda się za czystymi miejscami, gdzie może stawiać stopy. Rozlewające się litery wysokości ośmiu cali szydzą z niego z przeciwnego końca salonu.

Cześć Hollywood

Wydają się migać jak neon. Cześć Hollywood cześć hollywood.

hoDź po mnie

fioDź po mnie

Jack ma ochotę kląć, ale ciężar smutku nie pozwala mu wyrzec słów rodzących się w jego umyśle. W końcu korytarza do studia i kuchni zatrzymuje się nad wydłużoną plamą krwi i odwraca plecami do salonu oraz neonowych błysków. Światło trochę dociera do korytarza. Kuchnia jest pogrążona w litej, pozbawionej szczegółów ciemności. Drzwi do studia są wpółotwarte, a w ich szybie niejasno majaczy odbity blask.

Rozmazana i nietknięta krew znaczy podłogę całego korytarza. Jack nie może jej dłużej wymijać, lecz mimo to idzie dalej, nie odrywając wzroku od uchylonych drzwi studia. Henry Leyden nigdy nie dopuszczał, by były otwarte; zawsze zamykał je za sobą. Henry utrzymywał porządek. Musiał; gdyby zostawił uchylone drzwi studia, mógłby na nie wpaść przy następnym wyjściu do kuchni. Bałagan pozostały po zamordowaniu Henry'ego wytrąca Jacka z równowagi bardziej, niż byłby gotów się przyznać, może nawet bardziej, niż sam sobie z tego zdaje sprawę. Nieład stanowi dowód prawdziwego pogwałcenia intymności, i w imieniu swojego przyjaciela Jack czuje do niego niezmierną odrazę.

Jack dociera do drzwi i otwiera je szerzej. W powietrzu wisi silny zapach perfum i krwi. Prawie tak ciemne jak kuchnia studio oferuje Jackowi jedynie niewyraźny zarys konsoly i mętne prostokąty zawieszonych na ścianach głośników. Okno do kuchni zdaje się unosić w powietrzu jak czarne, niewidoczne prześcieradło. Nie zdejmując ręki z drzwi, Jack posuwa się dalej i widzi, albo mu się tak wydaje, tył wysokiego krzesła i rozciągnięty na blacie przed konsolą kształt. Dopiero wówczas słyszy *lup... lup... lup* końcówki taśmy na kręcącej się szpuli.

– Omójboże – mówi Jack tak, iż brzmi to jak jedno słowo – jak gdyby przez cały czas nie spodziewał się takiego widoku, jaki wreszcie ma przed sobą.

Ze straszliwą, natarczywą pewnością dźwięk taśmy dowodzi faktu śmierci Henry'ego. Żal Jacka pokonuje tchórzliwe pragnienie, by wyjść na zewnątrz i wezwać wszystkich policjantów w stanie Wisconsin. Zmusza go do sięgnięcia do włącznika na ścianie. Nie może wyjść; musi być świadkiem, tak samo jak w przypadku Irmy Freneau.

Trafia opuszkami na plastikowy włącznik. W głębi gardła czuje mosiężny, kwaśny posmak. Pstryka i studio wypełnia się światłem.

Wychylone z wysokiego skórzanego krzesła ciało Henry'ego spoczywa na blacie. Jego głowa leży na nim spłaszczona na boku, dłonie znajdują się z obu stron najcenniejszego mikrofonu. Wciąż ma na nosie ciemne okulary, ale jedno z cienkich metalowych skrzydełek jest skrzywione. Z początku wszystko wydaje się pomalowane na czerwono, bo krew z prawie równo pokrywającej blat warstwy ścieka od pewnego czasu na kolana i przednią powierzchnię ud Henry'ego, a cały sprzęt jest pochlapany szkarłatem. Henry ma odgryziony kawałek policzka. Jack obserwuje wszystkie szczegóły w studiu i dochodzi do wniosku, że większość krwi pochodzi z rany w plecach Henry'ego. Przesięknięte nią ubranie ukrywa jej rozmiary, ale duża kałuża krwi – taka sama jak na blacie – zebrała się z tyłu krzesła i ścieka na podłogę. Większość krwi na posadzce spłynęła z krzesła. Rybak musiał rozciąć jakiś narząd wewnętrzny lub przebić tętnicę.

Bardzo mało krwi, z wyjątkiem mgiełki na klawiszach, trafiło na magnetofon. Jack z trudem przypomina sobie, jak działają takie urządzenia, ale wystarczająco wiele razy widział, jak Henry zmienia szpule, by orientować się, jak się do tego zabrać. Wyłącza magnetofon i

nawija koniec taśmy na pustą szpulę. Następnie włącza przewijanie wstecz. Taśma przesuwa się gładko nad głowicami, wędrując z jednej szpuli na drugą.

– Nagrałeś dla mnie taśmę, Henry? – pyta Jack. – Założę się, że tak, ale mam nadzieję, że nie umarłeś, mówiąc mi to, co już wiem.

Taśma zatrzymuje się ze szczęknięciem. Jack naciska klawisz odtwarzania i wstrzymuje oddech.

Z głośników grzmi głos George'a Rathbuna w całej swojej glorii faceta z rumianą gębą i o byczym karku: „Koniec dziewiątej zmiany, a drużyna gospodarzy jest gotowa iść pod prysznice, stary. Ale gra się nie KOŃCZY, dopóki ŻYJE ostatni ŚLEPIEC!”.

Jack osuwa się na ścianę.

W studiu pojawia się Henry Shake i mówi mu, żeby zadzwonił do Domu Maxtona. Szczur z Wisconsin wtyka głowę i krzyczy o Czarnym Domu. Shake, Shook, Szejk i George Rathbun prowadzą krótką debatę, w której wygrywa ten pierwszy. Dla Jacka jest tego za wiele; nie może powstrzymać łez i nawet się nie stara tego robić. Pozwala im płynąć. Ostatni występ Henry'ego bezgranicznie go wzrusza. Jest tak bogaty, tak czysty – cały w nim Henry. Henry Leyden utrzymał się przy życiu dzięki przyzywaniu swych różnych osobowości, które stanęły na wysokości zadania. Okazały się wierną drużyną – George, Shake i Szczur – i poszły na dno wraz z okrętem; zresztą nie miały wyboru. Henry Leyden powraca i coraz słabszym z każdym zdaniem głosem mówi Jackowi, że może pokonać próżnych głupców. Zamierający głos Henry'ego mówi, że miał wspaniałe życie. Jego głos zniża się do szeptu i wypowiada trzy słowa, pełne po brzegi zaskoczenia i wdzięczności: „Ach, Słowiku. Witaj”. Jack słyszy w nich uśmiech.

Z płaczem wychodzi na chwiejnych nogach ze studia. Ma ochotę zwalić się w fotel i płakać, aż zabraknie mu łez, ale nie może zawieść tak straszliwie ani siebie, ani Henry'ego. Przechodzi korytarzem, ociera łzy i czeka, aż kamienny smutek pozwoli mu pokonać rozpacz. Pomoże mu też poradzić sobie z Czarnym Domem. Tego smutku nie trzeba odraczać ani zagłuszać; jak stal wzmacnia kręgosłup Jacka.

Duch Henry'ego Shake'a szepcze: *Jack, ten smutek nigdy cię nie opuści. Pasuje ci to?*

– *Nie chce, żeby było jakkolwiek inaczej.*

Chciałem, żebyś wiedział. Dokądkolwiek pójdziesz, cokolwiek zrobisz. Przy przechodzeniu przez każde drzwi. Z każdą kobietą. Z twoimi dziećmi, jeśli będziesz je miał. Będziesz go słyszeć w każdej muzyce, zobaczysz go w każdej czytanej książce. Będzie częścią twojego jedzenia. Będzie ci zawsze towarzyszył. We wszystkich światach. W Czarnym Domu.

– *Jestem nim, a on mną.*

George Rathbun szepcze dwakroć głośniej od Shake'a Shooka, Szejka:

No, do diabła, synu, czy słyszę, jak mówisz D'YAMBA?

– *D'yamba.*

Pewnie wiesz, dlaczego obsiadły cię te pszczoły. Chyba masz gdzieś zadzwonić, prawda?

Istotnie. Jack nie wytrzyma jednak w tym przesiąkniętym krwią domu ani chwili dłużej; musi wydostać się w ciepłą letnią noc. Pozwalając stopom stawać tam, gdzie mają ochotę, Jack przechodzi przez zdemolowany salon i mija drzwi. Jego smutek idzie z nim, ponieważ on jest nim, a Jack – smutkiem. Rozpościera się nad nim naszpikowane gwiazdami niezmierzone niebo. Jack wyciąga wierny telefon komórkowy.

Któż odbiera na posterunku policji we French Landing? Oczywiście Arnold „Latarka” Hrabowski, z nowym przydomkiem i właśnie przywrócony do pełnienia obowiązków. Informacje Jacka wprawiają Latarkę Hrabowskiego w wielkie wzburzenie. Co? Jeju! Och, nie. Och, kto by w to uwierzył? Rany. No, tak jest, proszę pana. Pewnie, zajmę się tym natychmiast.

Podczas gdy były Wściekły Węgier stara się nie dopuścić do drzenia rąk i głosu, kiedy wybiera domowy numer komendanta i przekazuje podwójną wiadomość od Jacka, on sam oddala się od domu, podjazdu i swego samochodu, od wszystkiego, co przypomina mu o istotach ludzkich – i wchodzi na łąkę, pełną wysokiej, żółtozielonej trawy. Wiedzie go jego smutek, gdyż wie lepiej od niego, czego mu potrzeba.

Przede wszystkim potrzebuje odpoczynku. Snu, jeśli to możliwe. Miękkiego miejsca na ziemi daleko od zbliżającego się zgiełku syren, czerwonych świateł i gniewnych, hiperaktywnych policjantów. Oddalenia od całej tej desperacji. Miejsca, gdzie można złożyć głowę i mieć przegłąd tutejszego nieba. Pół mili w głąb łąk Jack znajduje takie miejsce między skrajem pola kukurydzy i kamienistym podnóżem porośniętych drzewami wzgórz. Jego pogrążony w żalu umysł mówi ogarniętemu żalem, wyczerpanemu ciału, by położyło się wygodnie, a ciało posłusznie się dostosowuje. W górze gwiazdy zdają się drzeć i rozmazywać, chociaż oczywiście prawdziwe gwiazdy na znajomym, rzeczywistym nieboskłonie tak się nie zachowują, toteż musi być to złudzenie optyczne. Jack wyciąga się na ziemi, a trawa i wierzchnia warstwa gruntu jakby przystosowywała się do jego ciężaru, chociaż to również musi być złudzeniem, bo wszyscy wiedzą, że w prawdziwym życiu rzeczywista ziemia zwykle okazuje się niepodatna, twarda i kamienista. Pogrążony w żalu umysł Jacka mówi jego ogarniętemu żalem i bólem ciała, by zapadło w sen, i chociaż może wydawać się to niemożliwe, sen rzeczywiście nadchodzi.

W ciągu kilku minut ciało śpiącego Jacka Sawyera ulega subtelnej transformacji. Jego kontury wydają się mięknąć, barwy – pszenicznych włosów, jasnopłowej marynarki, miękkich brązowych butów – bledną. Proces wzbogaca się o osobliwą przejrzystość, mglistość czy też zmętnienie. Jest tak, jakbyśmy mogli patrzeć przez zamazaną, niewyraźną masę jego powoli oddychającego ciała na tworzące dla niego materac zgniecione źdźbła trawy. Im dłużej patrzymy, tym wyraźniej widzimy trawę pod nim, cielesna powłoka bowiem staje się coraz mniej wyraźna. Wreszcie jest to tylko mżenie nad roślinami, a gdy źdźbła w odcisniętym przez Jacka konturze prostują się, ciała, które go ukształtowało, dawno już nie ma.

Rozdział dwudziesty piąty

Och, dajmy sobie z tym spokój. Wiemy, dokąd przeniósł się Jack Sawyer, gdy zniknął spod skraju pola kukurydzy, i wiemy, z kim się spotka, gdy tam dotrze. Dość tego dobrego. Chcemy frajdy, chcemy dreszczyku! Na szczęście czarujący starszy jegomość Charles Burnside, na którym można zawsze polegać, że podsunie pierdzącą poduszkę na krzesło gubernatora podczas bankietu, że doleje trochę pikantnego sosu do potrawy, że puści wiatry podczas wspólnych modłów – w tej właśnie chwili wyłania się z muszli klozetowej w kabynie w męskiej toalecie w skrzydle Stokrotka. Zauważamy, że Staruszek Bumy, nasz BurnBurn, przyciska oburącz do piersi sekator Henry’ego Leydena, właściwie tuli go jak dziecko. Krew sączy się z cięcia na jego kościstym prawym ramieniu i ścieka w stronę łokcia. Gdy stawia na skraju muszli stopę, obutą w bambosze innego pensjonariusza, podciąga się wyżej i wychodzi z muszli, nieco się zataczając. Usta ma wykrzywione w gniewnym grymasie, a jego oczy wyglądają jak dziury po kulach, ale nie podejrzewamy go o to, że i on dźwiga przytłaczające brzemie smutku. Krew przesiąka spody jego nogawek i przód koszuli, która pociemniała od rany zadanej nożem w brzuch.

Krzywiąc się, Burny otwiera drzwi kabiny i wychodzi do pustej toalety. Jarzeniówki pod sufitem odbijają się w długim lustrze nad rzędem umywalk; dzięki Butchowi Yerxie – który zalicza drugą zmianę, bo jego zwykle pracujący w nocy kolega jest tego dnia pijany – biała terakota na podłodze lśni. Przez skrzącą się biel krew na ubraniu i ciele Charlesa Burnside’a wygląda na oślepiająco czerwoną. Burny ściąga koszulę i wrzuca ją do umywalki, po czym przechodzi w drugi koniec łazienki, do szafki z przyklejonym paskiem papieru, na którym wypisano: OPATRUNKI. Starzy ludzie mają skłonność do przewracania się w łazienkach, a ojciec Chippera przezornie umieścił szafkę, gdzie, jak myślał, będzie przydatna. Podłogę znaczą plamki rozchlapanej krwi.

Burny wyciąga garść papierowych ręczników z dystrybutora, moczy je w zimnej wodzie i kładzie na brzegu najbliższej umywalki. Następnie otwiera szafkę z bandażami, wyjmując rolkę szerokiego przylepca i plik opatrunków z gazy. Oddziera sześciocalowy kawałek plastra, wyciera krew wokół rany na brzuchu i przyciska mokry papier do otworu. Zdejmuje

go po chwili i zastępuje złożoną gazą. Niezdarnie rozpościera na niej plaster. W ten sam sposób opatruje cięcie na ramieniu.

Białą terakotę pokrywają teraz krwawe rozbryzgi i rozmazane ślady.

Burnside mija rząd umywalek i zlewa swoją koszulę zimną wodą. Ciecz nabiera czerwonej barwy. Burny zapiera starą koszulę pod bieżącą wodą, aż nabiera ona blad różowego koloru, jedynie kilka odcieni jaśniejszego od jego skóry. Usatysfakcjonowany, wyżyma koszulę w rękach, strzepuje raz czy dwa i wkłada ją z powrotem. Wcale nie przejmuje się tym, że lepi się mu do skóry. Jego celem jest nie elegancja, lecz podstawowa wersja pozorów normalności; pragnie poruszać się bez zwracania na siebie uwagi, jeśli tylko jest to możliwe. Ma przesiąknięte krwią mankiety spodni, a bambosze Elmera Jespersona nabrały ciemnej, lśniącej barwy, ale Burny uznaje, że większość ludzi nie będzie się trudziła patrzaniem mu na nogi.

W jego głowie chrapliwy głos powtarza: *Żybdziej, BurnBurn, żybdziefi*

Jedynym błędem Burny'ego jest to, iż zapinając moką koszulę, patrzy na siebie w lustrze. To, co widzi, sprawia, że zamiera ze wstrząsu. Mimo swej szpetoty Charles Burnside zawsze aprobował wizerunek, jaki przedstawiały mu zwierciadła. W swej opinii wygląda jak facet, który wie, jak ścinać zakręty – przebiegły, nieprzewidywalny i cwany. Spoglądający na niego z głębi lustra człowiek różni się całkowicie od bystrego starego fachury, za jakiego uważa się Burny. Odpowiadający na jego spojrzenie mężczyzna wygląda na otepiałego, wyczerpanego i poważnie chorego. Zapadnięte oczy w czerwonych obwódkach, policzki jak krater, wijące się po łysej, przypominającej czaszkę głowie żyły... nawet jego nos wygląda na bardziej kościsty i bardziej skrzywiony niż niegdyś. Jest takim staruchem, jakim straszy się dzieci.

Bowinieneż zdrzydź dziedzi, BurnBurn. Dżaz rużadź.

Nie może naprawdę wyglądać aż tak źle, prawda? Gdyby tak było, już dawno by to zauważył. Nie taki Charles Burnside stawiał czoło światu. W tej cholernej łazience jest za białe, to wszystko. Tak jasno, że człowiek wygląda jak skąpany w wybielaczu, i chudy jak obdarty ze skóry królik. Konające stare monstrum w lustrze robi krok bliżej, a plamy przebarwień na jego skórze wydają się ciemnieć. Widok własnych zębów sprawia, że zaciska usta.

Jego pan jakby wbił haczyk w jego umysł – wlecze go na nim w stronę drzwi i mruczy: *Dżaz, już dżaz.*

Burny wie, na co jest *dżaz*: Pan Munshun chce wrócić do Czarnego Domu. Pan Munshun pochodzi z jakiegoś miejsca niewiarygodnie oddalonego od French Landing, a pewne części wybudowanego przez nich razem Czarnego Domu przypominają świat, z którego się wywodzi – najgłębsze zakamarki, w których Charles Burnside rzadko gości, a jeśli już, to robi mu się od nich niedobrze, czuje się zahipnotyzowany i słabnie z tęsknoty. Gdy stara się wyobrazić sobie świat, który wydał Pana Munshuna, staje mu przed oczyma mroczny,

popękany krajobraz, usłany czaszkami. Na stromych szczytach i stokach stoją przypominające zamki domostwa, zmieniające rozmiary lub znikające, gdy tylko się mrugnie. Z rozpadlin, w których migoczą ogniki, rozlega się industrialna kakofonia, pomieszana z krzykami umęczonych dzieci.

Burnside również pragnie wrócić do Czarnego Domu, ale z powodu przyziemnych przyjemności, które mu oferuje pierwsza amfilada pokojów, gdzie może odpocząć, najeść się konserw i poczytać swoje albumy z wycinkami. Ceni sobie szczególną woń, wypełniającą te pokoje – harmonię zgnilizny, potu, zaschniętej krwi, kurzu i ścieków. Gdyby umiał wydestylować jej esencję, skrapiałby się nią jak wodą kolońską. W zamkniętej komnacie w kolejnej warstwie Czarnego Domu – i w innym świecie – siedzi smakowity mały kąsek imieniem Tyler – a Burny nie może się doczekać dręczenia chłopaka, wodzenia pomarszczonymi rękami po jego pięknej skórze. Tyler Marshall budzi w Burnym dreszcz.

W tym świecie zostało jednak jeszcze trochę przyjemności, którymi warto się nasycić, i nadszedł na nie *dżaz*. Burny wygląda przez szczelinę w drzwiach łazienki i widzi, że Butch Yerxa uległ znużeniu i klopsowi z kafeterii. Siedzi na krześle jak przerośnięta lalka, z rękami na blacie i tłustym podbródkiem spoczywającym na tym, co u normalnej osoby byłoby szyją. Użyteczny pomalowany kamień leży kilka cali od prawej ręki Butcha, ale Burny go nie potrzebuje, ponieważ zdobył instrument o wiele poręczniejszy. Żałuje, że już dawno nie odkrył możliwości kryjących się w sekatorze. Zamiast jednego ostrza ma się dwa. Jedno w górze, drugie w dole – ciachciach! I jakie ostre! Burny nie zamierzał amputować palców ślepcowi. Wtedy zamierzał użyć sekatora jako wielkiej, prymitywnej odmiany noża, ale gdy został dźgnięty w ramię, wymierzył je w stronę ślepca, a one prawie same odcięły mu paluchy, tak zgrabnie i szybko, jak rzeźnicy z dawnych czasów z Chicago sprawiali boczek.

Porachowanie się z Chipperem Maxtonem powinno być przyjemną zabawą. Zasługuje na to, co go czeka. Burny uznaje, że za to, jak podupadł na zdrowiu, jest odpowiedzialny Chipper. Lustro powiedziało mu, że waży dwadzieścia funtów mniej, niż powinien, może nawet trzydzieści, i nic dziwnego – wystarczy spojrzeć na pomyje, jakie podają w kafeterii. Zdaniem Burny'ego Chipper kantuje najedzeniu, tak samo jak na' wszystkim innym. Stan, rząd federalny, ubezpieczenia Medicare i Medicaid – Chipper okrada wszystkich. Parę razy, gdy Maxton uważał, że Charles Burnside zupełnie nic nie kojarzy, kazał mu podpisywać dokumenty świadczące, że przeszedł operacje prostaty i płuca. Burny uważa, że należy mu się połowa forsy, jaką Medicaid wypłaciło za fikcyjne zabiegi chirurgiczne. Ostatecznie na formularzach widniało jego nazwisko, prawda?

Burny wysuwa się na korytarz i człapie w stronę holu, pozostawiając krwawe ślady mlaskających bamboszy. Ponieważ musi minąć dyżurkę pielęgniarek, wtyka sekator za pas i zakrywa go koszulą. Nad kontuarem dyżurki Burnside dostrzega sflaczałe policzki, okulary w złotych oprawkach i lawendowe włosy bezużytecznego starego pudła Georgette Porter.

Mogło być gorzej, myśli. Georgette Porter boi się go od czasu, kiedy wpakowała się do S18 i zastała go nagiego na środku pokoju przy próbie masturbacji.

Pielęgniarka spogląda w jego stronę, nieskutecznie stara się stłumić dreszcz i opuszcza wzrok na ręce – czymkolwiek są zajęte. Pewnie tkaniem na drutach albo trzymaniem kryminału takiego rodzaju, w którym kocica rozwiązuje morderstwo. Burny człapie bliżej dyżurki i zastanawia się, czy nie potraktować sekatorem szpetnej twarzy Georgette, ale uznaje to za niewarte zachodu. Gdy dociera do kontuaru, wygląda nad nim i widzi, że pielęgniarka trzyma w rękach książkę w miękkiej oprawie – właśnie tak, jak się domyślił.

Georgette podnosi na niego dogłębnie podejrzliwy wzrok.

– Nie ma co, smakowicie dzisiaj wyglądamy, Georgie.

Pielęgniarka patrzy na korytarz, następnie ogląda się na hol. Dociera do niej, że musi poradzić sobie sama.

– Powinien pan być w swoim pokoju, panie Burnside. Późno już.

– Pilnuj swojego nosa, Georgie. Mam prawo się przespacerować.

– Pan Maxton nie lubi, gdy pensjonariusze chodzą do innych skrzydeł, więc proszę zostać w Stokrotce.

– Szef jeszcze jest?

– Chyba tak.

– Dobrze.

Odwraca się i idzie dalej w stronę holu.

– Niech pan zaczeka! – woła za nim Georgette.

Odwraca się. Pielęgniarka wstaje, co bezsprzecznie dowodzi jej wielkiego zaniepokojenia.

– Nie będzie się pan naprzykrzał panu Maxtonowi, prawda?

– Powiedz jeszcze słowo, a ponaprzykrzam się tobie.

Georgette kładzie rękę na gardle, a jej spojrzenie wreszcie pada na podłogę. Opada jej szczęka, a brwi wędrują w górę.

– Panie Burnside, co pan ma na bamboszach? I nogawkach? Wszędzie zostawia pan ślady!

– Nie potrafisz utrzymać zamkniętej gęby, co?

Posępnie zawraca w stronę dyżurki. Georgette Porter cofa się pod ścianę i zanim zdaje sobie sprawę, że mogła próbować uciec, Burny już przed nią stoi. Pielęgniarka zdejmuje rękę z gardła i wyciąga przed siebie jak znak stopu.

– Tępa suka.

Burny wyciąga sekator z za pasa, chwyta za rękojeści i ucina jej palce tak łatwo, jakby to były gałązki.

– Idiotka.

Georgette ogarnął stan zaszokowanego niedowierzania, którego skutkiem jest paraliż. Gapi się na krew chlustającą z czterech kikutów.

– Cholerna kretynka.

Burny otwiera sekator i wbija jedno ostrze w gardło Georgette. Pielęgniarka wydaje zdławiony, bulgoczący odgłos. Próbuje zacisnąć ręce na sekatorze, ale Burnside wyrywa go z szyi i unosi nad jej głową. Georgette trzepocze rękami, rozpryskując krew na wszystkie strony. Burny ma taką minę, jak człowiek, który doszedł do wniosku, że wreszcie musi wyczyścić kocią kuwetę. Opuszcza mokre ostrze na wysokość prawego oka pielęgniarki i pcha z całej siły. Georgette umiera, zanim jej ciało dotyka podłogi.

Trzydzieści stóp dalej na korytarzu Butch Yerxa mamrocze coś przez sen.

– Nigdy nie słuchają – mruczy do siebie Burny. – Człowiek się stara i stara, ale w końcu zawsze się o to proszą. Co dowodzi, że same tego chcą – jak te durne gnojki w Chicago.

Wyciąga ostrze sekatora z głowy Georgette i wyciera je o ramię jej żakietu. Wspomnienie jednego czy dwóch z owych dumnych gnojków z Chicago sprawia, że dreszcz przenika przez całą długość członka Burny'ego, zaczynającego sztywnieć w workowatych starych spodniach. Hallo! Ach... magia czułych wspomnień. Chociaż, jak widzieliśmy, Cłjarles Burnside od czasu do czasu dostaje erekcji we śnie, na jawie zdarza się to wyjątkowo rzadko. Kusi go, by ściągnąć spodnie i sprawdzić, co zdoła wykrzesać ze swojego interesu. Lecz co by było, gdyby Yerxa się obudził? Doszedłby do wniosku, że Georgette Porter lub przynajmniej jej trup rozniecił od dawna tłące się żądze Burny'ego. Nie, to byłoby fatalne, absolutnie fatalne. Nawet potwory mają swoją dumę. Lepiej dojść do gabinetu Chippera Maxtona i zobaczyć, czy stary młotek nie zwiotczeje, nim nadejdzie pora wbić gwóźdź.

Burny wtyka sekator za pasek na plecach i obciąża wilgotną koszulę, odrywając ją od ciała. Powłócząc stopami, idzie dalej korytarzem Stokrotki. Mija pusty hol i dociera do wypolerowanych drzwi, wyróżnionych mosiężną tabliczką z napisem: CHIPPER MAXTON, DYREKTOR. Otwiera je z rewerencją, przywołując wspomnienie od dawna nieżyjącego dziesięcioletka Hermana Flaglera, znanego również jako Poochie – jednej z jego pierwszych zdobyczy. Poochie! Mięciutki Poochie! Te łyzy, te szloch, to mieszanie bólu i radości, to poddanie się całkowitej bezradności: cienka skorupa brudu na pokrytych strupami kolanach i szczupłych przedramionach Poochiego. Gorące łyzy; strużka moczu z jego przerażonego paczuszka.

Chipper nie dostarczy takiej błogości, ale możemy być pewni, że co nieco da się z niego wycisnąć. Tak czy inaczej, w Czarnym Domu czeka związany Tyler Marshall, bezradny jak niemowlę.

Charles Burnside człapie przez pozbawioną okien klitkę Rebecki Vilas. W jego umyśle goręje wspomnienie bladego, pokrytego mnóstwem piegów grzbietu Poochiego Flaglera. Burny kładzie rękę na kolejnej klamce, czeka chwilę, żeby się uspokoić, po czym bezgłośnie ją przekręca. Drzwi uchylają się wystarczająco, by mógł dojrzeć Chippera Maxtona,

udzielnego władcę tego królestwa, pochylającego się ze wspartą na pięści głową nad biurkiem i kreślącego żółtym ołówkiem po dwóch zestawach dokumentów. Ślad uśmiechu łagodzi wyraz jego mocno ściągniętych ust; w wilgotnych oczach rysuje się zdradliwe lśnienie. Ołówek pracowicie pomyka między dwoma stosami kartek, rysując drobne znaczki. Chipper jest tak zaabsorbowany pracą, że nie zdaje sobie sprawy, iż nie jest już sam, aż jego gość wchodzi do środka i zatrząskuje drzwi kopnięciem.

Gdy drzwi łaskoczą. Chipper podnosi wzrok z irytacją i z zaskoczeniem patrzy na stojącą przed nim postać. Jego nastawienie natychmiast przechodzi w przebiegłą, niemiłą pozę serdeczności; Maxtonowi wydaje się, że jest ona rozbijająca.

– Tam skąd pan pochodzi, nie puka się do drzwi, panie Burnside? Po prostu ładuje się do środka, tak?

– Po prostu ładuje się do środka – mówi jego gość.

– Nieważne. Prawdę mówiąc, miałem ochotę z panem porozmawiać.

– Porozmawiać ze mną?

– Tak. Niech pan wejdzie, dobrze? Obawiam się, że możemy mieć mały problem, i chciałbym omówić wynikające z niego ewentualności.

– Och – mówi Burny. – Problem.

Odciąga koszulę z piersi i brnie naprzód, pozostawiając za sobą coraz bardziej niewyraźne ślady, których Maxton nie zauważa.

– Proszę sobie klapnąć – mówi Chipper, wskazując krzesło po drugiej stronie swojego biurka. – Niech pan przyciągnie zydel i rozprostuje kości – Wyrażenie to pochodzi od Franky’ego Shellbargera, urzędnika, zajmującego się pożyczkami w banku First Farmer, posługującego się nim czasem na spotkaniach miejscowego klubu Rotarian i chociaż Chipper Maxton nie ma pojęcia, co to jest zydel, uważa, że brzmi to piekielnie elegancko. – Staruszk, musimy uciąć sobie serdeczną pogaduszkę.

– Ach – mówi Burny i siada z wyprężonym z powodu sekatora grzbietem. – *Zerdedżno*.

– Tak, o to chodzi. Ej, przemokła panu koszula? Rzeczywiście! Nie możemy na to pozwolić, stary brachu – mógłbyś się przeziębic i umrzeć, a żaden z nas nie miałby na to ochoty, prawda? Potrzebuje pan suchej koszuli. Zobaczmy, co się da zrobić.

– Nie fatyguj się, jebana małpo.

Chipper Maxton już jest na nogach i przygląda swoją koszulę. Słowa starca sprawiają, że na chwilę gubi krok. Z wdziękiem odzyskuje opanowanie i się uśmiecha.

– Posiedź sobie tutaj, Chicago – mówi.

Chociaż wzmianka o rodzinnym mieście przyprawia Burnside’a o ciarki na grzbiecie, nie zdradza się niczym, gdy Maxton okrąża biurko i przechodzi przez gabinet. Patrzy, jak dyrektor wychodzi z pokoju. *Chicago*. Gdzie żyli i umarli Poochie Flagler, Sammy Hooten, Ferd Brogan i wszyscy inni. Niech Bóg ich błogosławi. Łodygi zboża, źdźbła trawy, tak ohydne tak piękne tak podniecające. Z ich uśmiechami i ich krzykami. Jak wszystkie białe

dzieci ze slumsów, czyste blade białe jak kość słoniowa pod skorupą brudu. Rybia biel miejskiej biedoty. Bliskiej zguby. Szczupłe kości ich barków, łopatki sterczące, jakby chciały przebić cienką warstwę ciała. Stary członek Burny'ego drga i sztywnieje, jakby on przypominał sobie przeszłe uciechy. Tyler Marshall, nuci w duchu, śliczny mały Ty, zabawimy się, zanim przekazemy cię szefowi, o tak, zabawimy się, naprawdę, tak, tak.

Drzwi trzaskają za jego plecami, wyrzuwając go z erotycznej zadumy. Jego stary muł, stary koń jednak nie śpi i szarpie się w uprzęży, śmiały i krzepki jak zawsze w dniach chwały.

– Nikogo nie ma w holu – skarży się Maxton. – Założę się, że to stare pudło, jak jej tam, Porter, Georgette Porter, opycha się w kuchni, a Butch Yerxa śpi na krześle. I co mam zrobić, plądrować pokoje, żeby znaleźć czystą koszulę?

Mija Burny'ego długimi krokami, wyrzuca w górę ręce i opada na fotel. To tylko gra, lecz Burny widział o wiele lepsze aktorstwo. Chipper nie może zdominować Burny'ego, nawet jeśli wie parę rzeczy o Chicago.

– Nie potrzebuję nowej koszuli – mówi Burnside. – Utrzyjdupo.

Chipper rozpiiera się w fotelu i zakłada ręce za głowę. Uśmiecha się – ten pacjent go bawi, to prawdziwy model.

– No, no. Nie ma potrzeby rzucać wyzwiskami. Nie nabierzesz mnie więcej, staruszk. Nie masz co udawać przede mną, że masz Alzheimera. W istocie niczym mnie nie skołujesz.

Jest uprzejmy, odprężony i wręcz ocieka pewnością siebie szulera, trzymającego cztery asy. Bumy domyśla się, że szykuje dla niego jakiś kant czy szantaż, co czyni ten moment tym bardziej zachwycającym.

– Muszę ci jedno przyznać – kontynuuje Chipper. – Nabrałeś wszystkich dookoła, ze mną włącznie. Trzeba było niewiarygodnej dyscypliny, żeby udawać późne stadium Alzheimera. To całe garbienie się w krześle, pozwalanie na karmienie papką dla dzieci, sranie w portki. Udawanie, że się nie ma pojęcia, co do ciebie mówią.

– Nie udawałem, dupo wołowa.

– Nic więc dziwnego, że zaaranżowałeś nagłą poprawę – kiedy to było, rok temu? Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Chodzi mi o to, że jedno to się ukrywać, a zupełnie co innego udawać warzywo. Sprawiliśmy więc sobie mały cud, prawda? Nasz Alzheimer stopniowo ustąpił, pojawia się i znika jak przeziębienie. Doskonały interes, bez dwóch zdań. Możesz chodzić, gdzie ci się podoba, i być jeszcze bardziej uprzykrzony, a personel ma mniej roboty. Mimo to jesteś jednym z moich ulubionych pacjentów, Charlie. A może powinienem ci mówić: Carl?

– Gównu mnie obchodzi, jak się do mnie zwracasz.

– Ale naprawdę masz na imię Carl, prawda?

Burny nawet nie wzrusza ramionami. Ma nadzieję, że Chipper przejdzie do rzeczy, zanim Butch Yerxa obudzi się, zauważy krwawe ślady stóp i znajdzie ciało Georgette Porter, bo

choć Burny'ego ciekawi historyjka Maxtona, chce wrócić do Czarnego Domu bez większych przeszkód. Natomiast Butch Yerxa pewnie nie uległby bez porządnej walki.

Wiedziony złudzeniem, że bawi się w kotka i myszkę, sam będąc kotem, Chipper uśmiecha się do starca w mokrej różowej koszuli i ciągnie dalej:

– Zadzwoił dzisiaj do mnie detektyw z policji stanowej. Powiedział, że FBI zidentyfikowało zebrane tutaj odciski palców. Należały do bardzo złego człowieka, Carla Bierstone'a, poszukiwanego od prawie czterdziestu lat. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku skazano go na śmierć za zabicie paru dzieciaków, które wykorzystał seksualnie, ale uciekł z samochodu wiozącego go do więzienia – gołymi rękami zabił dwóch strażników. Od tego czasu ślad po nim zaginął. Miałby teraz osiemdziesiąt pięć lat, a detektyw myślał, że Bierstone może być jednym z naszych pensjonariuszy. Co ty na to, Charles?

Najwidoczniej nic.

– Charles Burnside brzmi bardzo podobnie do Carl Bierstone, prawda? A my nie mamy żadnych informacji o twojej przeszłości. Jesteś przez to wyjątkiem wśród naszych podopiecznych. Jeśli chodzi o wszystkich innych, mamy całe przekłete drzewa genealogiczne, ale ty pojawiłeś się jakby znikąd. Jedyna informacja, jaką mamy o tobie, to twój wiek. Twierdziłeś, że masz siedemdziesiąt osiem lat, kiedy się pojawiłeś w szpitalu La Riviere General. Czyli jesteś w tym samym wieku co tamten zbieg.

Burnside rzuca mu autentycznie niepokojący uśmiech.

– W takim razie pewnie muszę też być Rybakiem.

– Masz osiemdziesiąt pięć lat. Nie sądzę, żebyś dał radę zawlec czeredę dzieciaków w drugi koniec okręgu. Myślę jednak, że jesteś owym Carlem Bierstone'em, a policja ma ochotę dostać cię w swoje łapy. Co doprowadza mnie do listu, jaki przyszedł kilka dni temu. O nim właśnie chciałem z tobą porozmawiać, ale sam wiesz, ile tutaj roboty. – Maxton otwiera szufladę i wyjmuję z biurka pojedynczą kartkę, wydartą z żółtego notatnika. Znajduje się na niej krótka, elegancko napisana na maszynie informacja: – „De Pere, Wisconsin”, jest tu napisane. Nie ma daty. „Każdej zainteresowanej osobie”, tak się zaczyna. „Z przykrością informuję, że nie mogę dłużej uiszczać comiesięcznych wpłat na rzecz mojego siostrzeńca, Charlesa Burnside'a”. I tyle. Zamiast podpisu widnieje nazwisko napisane na maszynie: „Althea Burnside”.

Chipper kładzie żółtą kartkę obok siebie i składa na niej dłoń.

– Co jest grane, Charles? W De Pere nie mieszka żadna Althea Burnside, tyle wiem. I nie może być twoją ciotką. Ile miałaby lat? Co najmniej sto. Raczej sto dziesięć. Nie wierzę. Czeki przychodziły jednak regularnie jak w zegarku od pierwszego miesiąca, kiedy trafiłeś do Domu Maxtona. Jakiś kumpel, jakiś twój dawny partner dbał o ciebie, przyjacielu. I chcemy, żeby robił to nadal, nieprawdaż?

– Mnie wszystko jedno, utrzymajdupo.

Nie jest tu zupełnie prawda. Burny wie o comiesięcznych wpłatach tylko tyle, że dawno temu zorganizował je Pan Munshun, a jeśli mają ustać, to cóż... co skończy się wraz z nimi? Ostatecznie on i Pan Munshun działają razem, prawda?

– No, dzieciaku – mówi Chipper. – Stać cię na coś więcej. Oczekuję od ciebie trochę współpracy. Na pewno nie masz ochoty na cały ten męczący bajzel z aresztowaniem, pobieraniem odcisków palców plus wszystko, co może być potem. Mówiąc szczerze, ja też nie mam chęci, żebyś przez to przechodził. Bo ten twój przyjaciel okazał się prawdziwym szcurem. Nie ma co, wygląda mi, że ten gość, ktokolwiek to jest, zapomina, że masz na niego jakiegoś haka z dawnych czasów, prawda? Myśli pewnie, że nie musi dbać, czy dalej masz wszelkie wygody. Tyle że to błąd. Założę się, że możesz oświecić tego gościa, sprawdzić, że zrozumie, jak wygląda sytuacja.

Muł, stary koń Burny'ego zmiękł i skurczył się jak przekłuty balon, co wyraźnie pogarsza nastrój Charlesa. Od wejścia do gabinetu tego oszusta Burnside'a opuściło coś niezmiernie ważnego: uczucie celu, poczucie nietykalności, przewaga. Chce wracać do Czarnego Domu. Czarny Dom przywróci mu siły, bo kryje się w nim magia, czarna magia. W jego budowie wzięła udział gorycz duszy Burnside'a; mrok jego serca nasączył każdą belkę i spoinę.

Pan Munshun pomógł mu dostrzec możliwości Czarnego Domu, Burny zaś włożył weń niezliczone własne udoskonalenia. Istnieją regiony Czarnego Domu, których Charles Burnside nigdy w pełni nie pojął, co wypełnia go wielką trwogą: w podziemnym skrzydle wydaje się mieścić cała jego tajemna kariera w Chicago, a gdy zbliża się do tej części domu, słyszy płaczliwe błagania i nabrzmiałe krzyki setki zgubionych chłopców oraz własne chrapliwe rozkazy i pomruki ekstazy. Z jakiegoś powodu bliskość wcześniejszych triumfów sprawia, że czuje się mały i zaszczuty – wyrzutkiem zamiast panem. Pan Munshun pomógł mu przypomnieć sobie swoje osiągnięcia, ale wcale nie pomógł Burny'emu poradzić sobie z innym regionem Czarnego Domu – małym, co najwyżej jednym pokojem, a raczej kryptą, w której mieści się całe dzieciństwo Burnside'a i do którego nigdy, przenigdy nie wszedł. Samo wspomnienie tego pokoju sprawia, że Burny czuje się jak niemowlę wyrzucone na dwór, żeby zamarzło.

Informacja o zdradzie fikcyjnej Althei Burnside wywiera pomniejszą odmianę tego wpływu. Jest to nie do zniesienia i Burny nie chce, w istocie nie może, tego znieść.

– No – mówi. – Postarajmy się o trochę oświecenia. Postarajmy się o trochę zrozumienia.

Podnosi się z krzesła; pogania go odgłos zdający się dobiegać z centrum French Landing. Jest to wycie policyjnych syren, co najmniej dwóch, może trzech. Burny nie wie tego na pewno, ale podejrzewa, że Jack Sawyer znalazł ciało swojego przyjaciela Henry'ego, który okazał się niezupełnie martwy i zdołał przekazać, że rozpoznał głos swojego mordercy. Jack zadzwonił po gliny i prosię bardzo.

Jeszcze krok i Burny staje przed biurkiem. Spogląda na papiery na biurku i natychmiast domyśla się, co oznaczają.

– Ej, fałszujesz księgi? Jesteś nie tylko utrzyjdupą, ale i cwany małym kanciarzem.

W ciągu kilku sekund na twarzy Maxtona pojawia się oszalamiająca gama stanów emocjonalnych. Złość, zaskoczenie, dezorientacja, zraniona duma, gniew i niedowierzenie gonią po krajobrazie jego rysów, podczas gdy Burnside sięga za siebie po sekator. W gabinecie ostrza wyglądają na większe i bardziej agresywne niż w salonie Henry’ego Leydena.

Chipperowi wręcz wydają się wielkie jak kosy. Gdy odrywa od nich wzrok i przenosi go na stojącego przed nim mężczyznę, widzi twarz bardziej przypominającą demona niż człowieka. Oczy Burnside’a goreją czerwono, jego ściągnięte wargi odsłaniają przerażające, lśniące zęby jak kawałki tłuczonego szkła.

– Cofnij się, stary – piszczy Chipper. – Policja jest już praktycznie w holu.

– Nie jestem głuchy.

Burny wbija jedno ostrze w usta Chippera i zamyka sekator na jego spoconym policzku. Krew tryska na biurko, a oczy Maxtona wychodzą z orbit. Burny szarpie za sekator; kilka zębów i kawałek języka Chippera wylatują z ziejącej dziury. Maxton wypręża się i pochyla, by chwycić ostrza. Burnside cofa się i ścina połowę jego prawej ręki.

– Cholera, ale ostre – mówi.

Maxton wytacza się zza biurka, rozchlapując krew na wszystkie strony i rycząc jak bawół. Burny robi unik, doskakuje z powrotem i wbija ostrza w opięty niebieską koszulę, sterczący brzuch Chippera. Kiedy je wyszarpuje, Chipper wiotczeje, jęczy i osuwa się na kolana. Pada do przodu na łokcie. Chipper Maxton już nie bawi; potrząsa głową i mruczy coś w rodzaju prośby, żeby go zostawić samego. Przekrwione, wole oko zwraca się w stronę Charlesa Burnside’a i milcząco wyraża dziwnie bezosobowe pragnienie miłosierdzia.

– Matko miłosierdzia – mówi Burny. – To już koniec, Rico?

Ale ubaw – od lat nie pomyślał o tym filmie*. Chichocząc z własnego dowcipu, pochyla się, umieszcza ostrza po obu stronach karku Chippera i prawie udaje się odciąć mu głowę.

Wozy z wyjącymi syrenami wjeżdżają na ulicę Queen. Niedługo policjanci pojawią się na chodniku; wkrótce wpadną do holu. Burnside rzuca sekator na szerokie plecy Chippera i żałuje, że nie ma czasu nasikać na niego czy oddać stolca na jego głowę, ale Pan Munshun powarkuje o *dżazie, dżazie, dżazie*.

– Nie jestem głupi, nie musisz mi powtarzać – mówi Burny.

Szurając stopami, przechodzi przez gabinet i pakamerę panny Vilas. Kiedy mijają hol, widzi migające baterie świateł na dachach dwóch radiowozów, toczących się po drugiej stronie żywopłotu. Zatrzymują się niedaleko miejsca, gdzie Burny po raz pierwszy otoczył ramieniem szczupłą chłopięcą szyję Tylera Marshalla. Burny człapie trochę szybciej. Kiedy dociera do początku korytarza Stokrotki, dwóch funkcjonariuszy o dziecięcych twarzach wpada przez lukę w żywopłocie.

W głębi korytarza Butch Yerxa wstaje i trze twarz. Gapi się na Burnside’a.

– Co się stało? – pyta.

– Idź po nich – mówi Burny. – Zabierz ich do gabinetu. Maxtonowi stała się krzywda.

– Krzywda? – Niezdolny do ruchu Butch gapi się na ociekające krwią ubranie i ręce Burnside’a.

– Idź!

Butch rusza niepewnie naprzód, a dwaj młodzi policjanci wpadają przez wielkie szklane drzwi, z których zdjęto plakat Rebecki Vilas.

– Do gabinetu! – krzyczy Butch, wskazując na prawo. – Szefowi stała się krzywda!

– Cytat pochodzi z „Małego Cezara” Mervyna LeRoya z 1930 roku; słowa te wypowiada konający gangster Rico (przyp. tłum.).

Podczas gdy Yerxa wskazuje drzwi do gabinetu, szturchając ręką ścianę, Charles Burnside mija go żwawo. Chwilę później jest już w męskiej toalecie w skrzydle Stokrotka i rażno drepcze w stronę jednej z kabin.

A co z Jackiem Sawyerem? Już wiemy. To znaczy, wiemy, jak zapadł w sen przy skraju pola kukurydzy pod wzgórzem, po zachodniej stronie doliny Norway. Wiemy, że jego ciało stawało się coraz lżejsze, bardziej rozmyte, coraz mniej materialne. Że stało się przezroczyste i niewyraźne. Domyślamy się, że zanim jego ciało osiągnęło stan całkowitej przejrzystości, Jack pogrążył się w pewnym regenerującym siły śnie. Możemy przypuszczać, że w śnie tym niebo – błękitnej jak jajko rudzika barwy – sugeruje nieskończoność przestrzeni mieszkańcom eleganckiej rezydencji przy Roxbury Drive w Beverly Hills, w której Jack ma sześć, sześć, sześć albo dwanaście, dwanaście, dwanaście lat, lub i tyle, i tyle równocześnie, a Daddy gra wyluzowane pasaża na rogu, rogu, rogu. („Darn That Dream”, powiedziałby Henry Shake; ostatni utwór z „Daddy Plays the Horn” Dextera Gordona – kawałka równego jak mało co). W tym śnie wszyscy ruszyli w podróż i nikt nie zajmował się niczym innym, wędrujący chłopiec zdobył najcudowniejszą nagrodę, a Lily Cavanaugh Sawyer złapała pszczołę w szklanekę. Z uśmiechem zaniósła ją do wahadłowych drzwi i wypuściła na wolność. Pszczoła zawędrowała więc daleko i zniknęła w Oddali, a w trakcie jej wędrówki mrowie światów drżało i zataczało się na swoich tajemniczych orbitach, Jack zaś również wędrował tajemnym kursem poprzez nieskończone, błękitne jak jajko rudzika niebo i dokładnie śladem pszczoły wrócił do Terytoriów, gdzie śpi na pogrążonej w ciszy łące. Jack Sawyer, osoba mająca mniej niż dwanaście i więcej niż trzydzieści lat, oszołomiony zarówno rozpaczą, jak i miłością, zostaje nawiedzony we śnie przez pewną czułą i troskliwą kobietę. Kładzie się ona obok niego na łożu słodkiej trawy i bierze go w ramiona, a jego wdzięczne ciało zaznaje błogości jej dotyku, jej pocałunku, jej dogłębnego błogosławieństwa. Nie jest naszą sprawą, co robią w odosobnieniu w odległych Terytoriach, ale możemy uzupełnić błogosławieństwo Sophie

naszym i zostawić ich przy tym, co jest ostatecznie ich sprawą, oraz błogosławić tego chłopca i tę dziewczynę, tego mężczyznę i tę kobietę, tę drogą parę.

Powrót następuje tak jak powinien, z czystym, bujnym zapachem wierzchniej warstwy gleby i kukurydzy oraz pianiem na przebudzenie koguta z farmy kuzynów Gilbertsona. Lśniącą od rosy pajęczyna mocuje pantofel na lewej stopie Jacka do porośniętego mchem głazu. Maszerująca po jego prawym nadgarstku mrówka dźwiga źdźbło trawy, w którego trójkątnym wycięciu tkwi migocząca i drżąca, świeżo powstała kropla wody. Czując się tak cudownie odświeżony, jakby i on został stworzony na nowo, Jack zdejmuje trudzącą się mrówkę z nadgarstka, oddziela but od pajęczyny i podnosi się z ziemi. Rosa migocze w jego włosach i brwiach. Pół mili dalej, po drugiej stronie pola, łąka owija się wokół domu Henry'ego. Lilie tygrysie drżą w chłodnym porannym powiewie.

Lilie tygrysie drżą...

Gdy Jack widzi wystającą zza domu maskę swojego pikapa, przypomina sobie wszystko. Myszę i słowo, jakie od niego usłyszał. Dom Henry'ego, jego studio, wiadomość, jaką nagrał, umierając. Do tej pory wszyscy policjanci i pracownicy dochodzeniówki już odjechali, a dom jest pusty i odbija się w nim echo plam krwi. Szuka go Dale Gilbertson – oraz zapewne detektywi Brown i Black. Jack nie interesuje się tymi ostatnimi, ale chce porozmawiać z Dale'em. Nadeszła pora wtajemniczyć go w pewne zdumiewające fakty. Dale na pewno wybałuszy oczy, usłyszawszy to, co Jack ma mu do powiedzenia, ale powinniśmy pamiętać, co John Wayne powiedział Deanowi Martinowi o rozbijaniu jajek i przyrządzaniu omletów. Słowa Lily Cavanaugh, kiedy Duke się odzywał, każdy jeden nadstawiał uszu, i to samo musi zrobić Dale Gilbertson, ponieważ Jack chce, by jego wierny i dzielny przyjaciel towarzyszył mu w wyprawie do Czarnego Domu.

Okrażając z boku dom Henry'ego, Jack przykładła opuszki palców do ust i trze nimi o drewno, przekazując pocałunek. Henry. *Za wszystkie światy, za Tylera Marshalla, za Judy, za Sophie i za twojego Henry'ego Leydena.*

Telefon komórkowy w kabinie rama twierdzi, że są trzy nagrane wiadomości, wszystkie od Dale'a, ale Jack kasuje je bez odsłuchania. W jego domu czerwone światelko na automatycznej sekretarce mruga, powtarzając 444 z bezwzględny uporem głodnego niemowlaka. Jack wciska klawisz odtwarzania. Cztery razy coraz bardziej nieszczęśliwy Dale Gilbertson uprasza, by jego przyjaciel Jack Sawyer dał mu znać, gdzie przebywa, oraz zawiadania o swym wielkim pragnieniu porozmawiania, głównie o morderstwie swego wuja i ich wspólnego przyjaciela Henry'ego, ale nie zaszkodziłoby też pogadać o cholernej jatce u Maxtona, prawda? I czy nazwisko Charles Burnside z niczym mu się nie kojarzy?

Jack spogląda na zegarek i myśli, że nie może pokazywać właściwej godziny. Przenosi spojrzenie na zegar w kuchni. A jednak zegarek chodzi prawidłowo. Jest 5.42 rano, a kogut znowu pieje za oborą Randy'ego i Kenta Gilbertsonów. Jacka nagle opada cięższe niż grawitacja znużenie. Ktoś bez wątplenia pełni dyżur przy telefonie na ulicy Sumner, ale

pewnie Dale śpi w swoim domu, a Jack chce rozmawiać wyłącznie z nim. Ziewa szeroko jak kot. Jeszcze nawet nie dostarczono gazety!

Zdejmuje marynarkę i rzuca ją na krzesło, po czym ziewa znowu, jeszcze szerzej niż przedtem. Może skraj pola kukurydzy nie był jednak tak wygodny; Jacka ściska coś w karku i bolą go plecy. Wlecze się na górę, zrzuca ubranie na wyściełaną sofkę w sypialni i wali się na łóżko. Na ścianie nad sofką wisi słoneczny obraz Fairfielda Pottera; Jack przypomina sobie, jak zareagował na niego Dale tego wieczora, kiedy rozpakowali i zawiesili wszystkie płótna. Dale zakochał się w obrazie od pierwszego wejrzenia – i pewnie było dla niego zaskoczeniem, że malowidło może dostarczyć tyle satysfakcji. W porządku, myśli Jack, jeśli zdołamy wyjść z Czarnego Domu z życiem, to mu go подарuję. I zmuszę go, żeby go przyjął: postraszę, że jeśli go nie przyjmie, to porąbię obraz i spalę go w piecu. Powiem mu, że dam go Wendellowi Greenowi!

Oczy już mu się przymykają; zapada się w pościel i znika z naszego świata, chociaż tym razem nie dosłownie. Śni.

Idzie krętą, schodzącą w dół ścieżką przez las, w stronę płonącego budynku. Bestie i potwory ryczą i wiją się po bokach, przeważnie niewidoczne, jednak od czasu do czasu miga węzlasta ręka, kolczasty ogon, czarne, szkieletowate skrzydło. Jack odrąbuje je ciężkim mieczem. Boli go ramię, jest wyczerpany. Gdzieś krwawi, ale nie widzi ani nie czuje rany, jedynie ściekającą powoli po tylnej stronie nóg krew. Zginęli wszyscy ludzie, którzy byli z nim na początku tej drogi, a on również – być może – umiera. Żałuje, że jest tak samotny, bo czuje trwogę.

W miarę zbliżania się płonący budynek staje się coraz wyższy. Dobywają się z niego krzyki i wołania; otacza go groteskowy wał poczerniałych, martwych drzew i dymiących popiołów. Pierścień ten rozszerza się z każdą sekundą, jakby budynek stopa po stopie pożerał całą naturę. Wszystko stracone; płonący budynek i bezduszny stwór, będący równocześnie jego panem i więźniem, zatriumfuje. Pożoga będzie trwała po wiek wieków, amen. Dintah, wielkie palenisko, pożerające wszystko na swojej drodze.

Drzewa po prawej stronie gną i skłaniają swe skarżące się gałęzie, a pomiędzy ciemnymi, ostro zakończonymi liśćmi ożywa coś olbrzymiego. Wielkie konary uginają się z jękiem, gałęzie splatają się wokół siebie jak węże, tworząc lity mur szarych, spiczastych liści. Ze ściany tej wyłania się przerażająco powoli zarys wychudłej, kościstej twarzy. Liczy pięć stóp od czubka głowy do podbródka, uwypukła warstwę listowia i rozgląda się na boki w poszukiwaniu Jacka.

Jest to wszystko, co go straszło, raniło, życzyło mu źle w tym świecie i w Terytoriach. Olbrzymia twarz nieco przypomina potwora w ludzkiej postaci imieniem Elroy, który niegdyś próbował zgwałcić Jacka w podłej spelunie pod nazwą „Oatley Tap”. Następnie upodabnia się do Charlesa Burnside’a, ale gdy nadal na oślep obraca się z boku na bok, Jackowi wydaje się,

że wszystkie te złowrogie oblicza przenikają się i stapiają w jedno. Absolutna zgroza sprawia, że zamiera jak kamień.

Wybrzusząca zmasowane liście twarz kieruje się w stronę pochyłej ścieżki i przestaje spazmatycznie szarpać się z boku na bok. Jest zwrócona wprost ku Jackowi. Ślepe oczy go widzą, nos bez nozdrzy wyczuwa jego woń. Przez liście przenikają dreszcze zadowolenia, a twarz wysuwa się naprzód, stając się coraz większa. Niezdolny poruszyć się, Jack ogląda się przez ramię i widzi wspartego na wąskim łóżku rozkładającego się człowieka. Mężczyzna otwiera usta i krzyczy: „D’YAMBA!”.

Z łomoczącym w piersiach sercem i krzykiem zamierającym, zanim jeszcze wyrwie się mu z gardła, Jack zrywa się z łóżka. Dopiero wtedy dociera do niego, że przebudził się ze snu. Czuje, że cały drży. Pot spływa mu po czole i zwilża pierś. Stopniowo drżenie ustępuje, gdy Jack dostrzega, co go rzeczywiście otacza: znajome kąty sypialni, a nie wyłaniająca się ze szkaradnej ściany listowia olbrzymia twarz. Na ścianie naprzeciwko wisi obraz, który zamierza podarować Dale’owi Gilbertsonowi. Jack wyciera twarz i się uspokaja. Musi wziąć prysznic. Zegarek informuje go, że jest już 9.47. Przespał cztery godziny, ale nadeszła pora się zbierać.

Trzy kwadransy później umyty, ubrany i najedzony Jack dzwoni na posterunek i prosi, by połączono go z komendantem Gilbertsonem. O 11.25 on i powątpiewający, świeżo poinformowany Dale – rozpaczliwie pragnący ujrzeć jakieś dowody prawdziwości obłędnej opowieści przyjaciela – wysiadają z samochodu komendanta, zaparkowanego pod pojedynczym drzewem na parkingu Łachy, i idą po rozpalonym asfalcie w stronę tylnego wyjścia, mijając po drodze dwa stojące pochyło harleje.

Część czwarta

Czarny Dom i dalej

Rozdział dwudziesty szósty

Omówiliśmy już pokrótce temat *ześlizgu* i zbyt blisko jesteśmy końca gry, by wałkować ten temat dłużej niż przez chwilę, ale czy nie zgodzilibyście się, że większość domów reprezentuje starania, by do owego ześlizgu nie dopuścić? Aby narzucić światu przynajmniej pozory ładu i normalności? Przypomnijcie sobie Libertyville z kiczowatymi, ale uroczymi nazwami ulic – Camelot, Avalon czy Maid Marian Way. Pomyślcie również o słodziutkim domku w Libertyville, w którym mieszkali niegdyś razem Fred, Judy i Tyler Marshall. Jak można nazwać inaczej Robin Hood Lane 16, jeśli nie odą do powszedniości, peanem na cześć prozaiczności? To samo moglibyśmy powiedzieć o domu Dale’a Gilbertsona, Jacka czy Henry’ego, nieprawdaż? W istocie o większości domów w okolicach French Landing. Niszczycielski huragan, który nawiedził miasto, nie zmienił faktu, iż domy stanowią oazę spokoju w krainie ześlizgu, tyleż szlachetną, co skromną. Są siedzibami normalności.

Czarny Dom – podobnie jak dom na wzgórzu u Shirley Jackson czy jak potworność z przełomu stuleci w Seattle, nazywana Rosę Red – nie jest normalny. Pochodzi niezupełnie z tego świata i nie całkiem w nim leży. Trudno przyjrzeć mu się z zewnątrz – oczy ciągle zwodzą – jeśli jednak skupi się wzrok przez kilka sekund, widzi się trzykondygnacyjny budynek zupełnie przeciętnych rozmiarów. Istotnie, ma on niezwykłą barwę – prezentuje się z zewnątrz jak martwy i nawet okna są zamalowane na czarno – oraz wydaje się pochylony czy też przygięty, budząc niepokój co do jego strukturalnej integralności, jeśli jednak dałoby się usunąć poblask innych światów przed poddaniem go ocenie, wyglądałby prawie równie zwyczajnie jak siedziba Freda i Judy... chociaż nie na tak zadbany.

W środku jest jednak inny.

W środku Czarny Dom jest wielki.

W istocie Czarny Dom jest prawie nieskończony.

Na pewno nie jest to miejsce, w którym warto się zgubić, chociaż zdarzało się to od czasu do czasu włóczęgom i sporadycznie niefortunnym dzieciomuciekiniom, jak również ofiarom Charlesa Burnside’a/Carla Bierstone’a. Tu i ówdzie pozostały zaświadczone o ich obecności szczątki: skrawki ubrań, budzące litość napisy wydrapane na ścianach

gigantycznych pokojów o osobliwych wymiarach, i gdzieś tam stopy kości. Tu i ówdzie gość może zobaczyć czaszkę – identyczną z tymi, które wyrzucała na brzeg rzeka w Hanowerze podczas królowania terroru Fritza Haarmana na początku lat dwudziestych dwudziestego stulecia.

Nie jest to miejsce, w którym warto się zgubić.

Mińmy pokoje i zakamarki, korytarze i wnęki, nie popadając w panikę dzięki świadomości, że kiedy tylko zechcemy, możemy wrócić do zewnętrznego świata – zdrowego, przeciwstawiającego się ześlizgowi świata (aczkolwiek mimo to czujemy niepokój, zstępując w dół sprawiającymi wrażenie nieskończonych schodami i zapuszczając się w korytarze, które zwężają się w oddali do rozmiarów punktu). Słyszymy nieustające niskie brzęczenie i odległy szcęk maszynierii. Słyszymy idiotyczne świstanie wiatru albo na zewnątrz, albo na piętrach nad czy pod nami. Czasami słyszymy odległe, charcące warczenie, bez wątpienia wydawane przez piekielnego psa abbalaha, który wykończył starego biednego Myszę. Niekiedy słyszymy sardoniczne krakanie wrony i domyślamy się, że gdzieś tutaj jest też Gorg.

Mijamy pokoje pogrążone w ruinie oraz te, w których utrzymał się spłowiwały, przegniły przepych. Wiele z nich jest niewątpliwie większych od całego domu, w którym się kryją. W końcu docieramy do skromnego pokoju dziennego, umeblowanego starą sofą z końskiego włosia i fotelami, obitymi wyblakłym, czerwonym welwetem. Czuć obrzydliwą woń gotującego się jedzenia. (Gdzieś niedaleko jest kuchnia, której za nic nie wolno nam odwiedzić... jeśli chcemy jeszcze kiedykolwiek zasnąć bez koszmarów). Instalacja elektryczna w tym pokoju ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Jak to możliwe, pytamy, skoro Czarny Dom został wybudowany w latach siedemdziesiątych? Odpowiedź jest prosta: znaczna część Czarnego Domu – większość – znajduje się tu znacznie dłużej. Draperie w pokoju są ciężkie i wypłowiałe. Gdyby nie pożółkłe wycinki z gazet przyklepione taśmą do szkaradnej, zielonej tapety, pokój ten mógłby się znajdować na parterze hotelu Nelson. Pomieszczenie to wygląda złowieszczo, a zarazem osobliwie banalnie – odpowiednie zwierciadło dla wyobraźni starego potwora, który się tu zaszył i śpi na sofie z końskiego włosia w koszuli przesiąkniętej na przedzie złowieszczą czerwienią. Nie jest to właściciel Czarnego Domu, chociaż w swej patologicznie wielkościowej postawie mężczyzna ów żywi takie właśnie przekonanie (a Pan Munshun nie wyprowadził go z błędu). Ten pokój jednak do niego należy.

Wycinki na ścianach mówią nam wszystko, co musimy wiedzieć o śmiercionośnych zainteresowaniach Charlesa „Chummy’ego” Burnside’a.

TAK, ZJADŁEM JĄ, OŚWIADCZA FISH

– „New York Herald Tribune”

KOLEGA ZABAW BILLY'EGO GAFNEYA PRZYSIĘGA: „TO SZARY CZŁOWIEK PORWAŁ BILLY'EGO, TO BYŁO STRASZYDŁO”

– nowojorski „World Telegram”

KOSZMAR GRACE BUDD TRWA: FISH SIĘ PRYZNAJE!

– „Long Island Star”

FISH PRYZNAJE SIĘ DO „UPIECZENIA I ZJEDZENIA” W.M. GAFNEYA – „New York American”

FRITZ HAARMAN, TAK ZWANY RZEŹNIK Z HANOWERU, STRACONY ZA ZAMORDOWANIE 24 OSÓB

– „Guardian”

„KIEROWAŁA MNĄ MIŁOŚĆ, NIE ŻĄDZA”, OŚWIADCZA WILKOŁAK. HAARMAN UMIERA BEZ SKRUCHY

– „Guardian”

OSTATNI LIST KANIBALA Z HANOWERU: „NIE MOŻECIE MNIE ZABIĆ, BĘDĘ WŚRÓD WAS PRZEZ WIECZNOŚĆ” – nowojorski „World”

Wendell Green zakochałby się w tych nagłówkach, prawda?

Jest ich więcej. Niech Bóg ma nas w opiece, jest ich o wiele więcej. Jest tu nawet Jeffrey Dahmer, oświadczający: CHCIAŁEM TWORZYĆ ZOMBICH.

Postać na sofie *zaczynu* wiercić się i jęczeć.

– Obuście, Burny!

Głos wydaje się dobiegać z powietrza, nie z ust mężczyzny... chociaż poruszają się jak u drugorzędnego brzuchomówcy. Burny jęczy. Jego głowa zwraca się w lewo.

– Nie... muszę się wyspać. Wszystko... boli.

Głowa zwraca się w prawo w przeczącym geście i znowu zabiera głos Pan Munshun:

– Obuście, oni niedugo brzyjdą. Muziż brzenieźdź hobdza.

Głowa zwraca się w drugą stronę. Zaspany Burny wciąż myśli, że Pan Munshun siedzi bezpiecznie w jego głowie. Zapomniał, że w Czarnym Domu sprawy wyglądają inaczej. Burny jak idiota nie zauważa, że jego użyteczność dobiega końca – aczkolwiek jeszcze niezupełnie.

– Nie mogę... zosstaf mię samego... boli brzuch... ślepy... kurewski ślepek trafił mnie w brzuch...

Głowa odwraca się jednak w drugą stronę i głos znowu rozlega się w powietrzu koło prawego ucha Burny'ego. Burnside z nim walczy, nie chcąc obudzić się i znosić w pełni koszmarne bólu. Ślepiec zranił go o wiele poważniej, niż się Burny'emu wydawało. Burnside tłumaczy dręczącemu go głosowi, że chłopiec jest bezpieczny, że nigdy go nie

znajdą, nawet jeśli dostaną się do najgłębszych regionów Czarnego Domu, że prędzej zgubią się w niepojętych dla nich głębiach pokoi i korytarzy, że będą błąkać się, aż oszaleją i umrą. Pan Munshun wie jednak, że jeden z nich jest całkowicie odmienny od wszystkich innych, którzy zbłądzili w to miejsce. Chłopca trzeba wyprowadzić tylnym wyjściem i zabrać do Zaświata, w cień samego DinTah, wielkiego paleniska. Pan Munshun mówi Burny'emu, że być może dostanie kawałek chłopca przed przekazaniem go abbalahowi, ale nie tutaj. To zbyt ryzykowne. Trudno.

Burny nadal protestuje, ale nie wygra tej walki, a my o tym wiemy. Zastałe powietrze, cuchnące gotowanym mięsem, już zaczęło się kłębić, poprzedzając pojawienie się właściciela głosu. Dostrzegamy czarny wir, następnie czerwoną plamę – fular – a wreszcie zarysy niemożliwie wydłużonego oblicza, zdominowanego przez pojedyncze czarne oko, przypominające ślepie rekina. Jest to prawdziwy Pan Munshun, stwór, który na zewnątrz Czarnego Domu i jego zaczarowanego środowiska może żyć tylko wewnątrz głowy Burny'ego. Wkrótce znajdzie się tu w całej okazałości, doprowadzi Burny'ego do stanu czuwania (w razie konieczności nawet torturami) i zmusi go do pożytecznej roboty, dopóki jest to jeszcze możliwe. Pan Munshun nie może bowiem przenieść Tylera z jego celi w Czarnym Domu.

Gdy chłopiec znajdzie się w Zaświecic – w Szeolu Burny'ego – sprawa będzie wyglądała inaczej.

Burny wreszcie otwiera oczy. Wężlastymi dłońmi, które przelały tyle krwi, sięga do wilgotnej koszuli. Przygląda się plamie, która pojawiła się z przodu, i wydaje okrzyk grozy i tchórzostwa. Nie dociera do niego, że po zamordowaniu mnóstwa dzieci zasługuje na to, żeby zostać śmiertelnie ranionym przez ślepcę; zamiast tego uważa to za koszmarnie niesprawiedliwe.

Po raz pierwszy przychodzi mu do głowy wyjątkowo nieprzyjemny pomysł: A jeśli będzie musiał zapłacić jeszcze większą cenę za to, co zrobił w ciągu swojej długiej kariery? Widział Zaświat; widział Drogę Conger, wijącą się przezeń w stronę DinTah. Spustoszony, pełen ogni krajobraz, otaczający drogę, przypomina piekło, a już na pewno jest nim Antak, Wielka Kombinacja. A jeśli miejsce to czeka na niego? A jeśli...

Czuje potworny, paraliżujący ból w trzewiach. Pan Munshun, który zdążył się prawie w pełni zmaterializować, wcisnął jedną mętną, niecałkowicie przezroczystą rękę w ranę zadaną nożem sprężynowym przez Henry'ego.

Burny piszczy. Łzy ciekną po policzkach starego mordercy dzieci.

– Nie rób mi krzywdy!

– Do rób dzo dzi mówię.

– Nie mogę – skamle Burny. – Umieram. Popatrz, ile krwi! Myślisz, że z tego wyjdę? Kurwa, mam osiemdziesiąt pięć lat!

– Dzienżga zbrawa, BurnBurn... ale bo drugiej zdronie zo dadzy, gdóży mogo uledżydź dwoje rany.

Panu Munshunowi trudno się przyjrzeć, podobnie jak Czarnemu Domowi, jakby widziało się go przez stale tracący ostrość obiektyw. Czasami jego koszmarnie wydłużona twarz (zasłaniająca resztę ciała jak w jakiejś karykaturze z gazetowego wstępniaka) ma dwoje oczu, niekiedy tylko jedno. Czasami wydaje się, że na wierzchu rozdętej czaszki sterczą kępki pomarańczowych włosów, kiedy indziej Pan Munshun wydaje się łysy jak Yul Brynner. Jedynie czerwone wargi i spiczaste zęby, bez wyjątku przypominające kły, nie ulegają większym zmianom.

Burny patrzy na swojego współnika z pewną nadzieją. Równocześnie nadal obmacuje się rękami po brzuchu, obecnie stwardniałym i pokrytym guzkami. Podejrzewa, że te stwardnienia to skrzepy. Och, że też komukolwiek udało się go zranić! Nie powinno to było się zdarzyć! Przenigdy! Przecież Burny miał mieć ochronę! Miał być...

– Nie wygradza nawed boża granidze brawdobodobieńzdwa, iż mogą dzi zozdadź ujende lata dag, jag gamieñ został zdjendy z grobu Jezusa Hryzduza – mówi Pan Munshun.

– Być znów młodym – mówi Burny i wypuszcza ciche, chrypiące westchnienie. Jego oddech śmierdzi krwią i zepsuciem. – Tak, to by mi się podobało.

– Odżywiździe! Dacie żedży zo możliwe – odpowiada Pan Munshun, kiwając swoją groteskowo niestabilną głową. – Abbalah może nimi obdarowywadź. Nigd dzi dzo brawda ich nie obiedzywał, Charles, mój mały byziubysiadźgu. Ja jednag mogę obiedzadź dzi jedno.

Istota w czarnym stroju wieczorowym i czerwonym fularze skacze z potworną zręcznością. Wcisła ponownie dłoń z długimi palcami pod koszulę Burny’ego, tym razem zaciska ją w pięść i przyprawia starego potwora o ból tak straszliwy, jakiego sobie nigdy w życiu nie wyobrażał... aczkolwiek taki i jeszcze większy zadawał niewinnym dzieciom.

Pan Munshun podstawia cuchnące oblicze pod twarz Burny’ego. Pojedyncze oko lśni złowrogo.

– Dżuleź do, Burny? Dżuleź, nendzny zdary worze brudu i żalu? Hoho, chacha, odżywiździe, że dżuleź! Brzedzieź drzymam rengę w dwoich jelidach! A jag zie deraz rużyż, schweinhund, wyrwę dzi je z dwojego grwawiondzego działą, hoho, chacha, i owinę dzi nimi żyję! Umrzeż, wiedządz, że duziż zie właznymi wlagami! Dej zdudźgi naudżyłem zie od zamego Fritza, Fritza Haarmana, gdóry był dag młody i urodży! No! Dzo bowieź? Brzybrowadziż go dży woliż zie uduzidź?

– Przyprawadzę go! – krzyczy Burny. – Przyprawadzę go, tylko przestań! Przestań! Rozrywasz mi trzewia!

– Brzybrowadź go na zdadzje. Zdadzje, BurnBurn. On nie jezd ani do żdżurzych nor, do lizich nor – ani do Kombinadzji. Dylerowi nie bendo grwawiły zdópki; bendzie bradzował dla abbalaha dym. – Pan Munshun wznosi długi palec z czarnym paznokciem do wielkiego czoła

i stuka się między oczyma (przez chwilę Burny widzi ich dwoje, lecz jedno moment później znika). – Rozumiesz?

– Tak! Tak!

Trzewia Burny'ego stoją w ogniu, a dłoń pod jego koszulą wciąż się obraca. Przed jego twarzą wisi straszliwy ślad twarzy Pana Munshuna.

– Zdadzja – da, na górá zabierałéż innyh zbedzjalnyh hłobdzów.

–TAK!

Pan Munshun puszcza go. Cofa się. Na szczęście dla Burny'ego znów zaczyna stawać się bezcielesny, tracić materialność. Pożółkłe wycinki pojawiają się w polu widzenia nie tylko obok niego, ale i za nim. Mimo to pojedyncze oko wciąż wisi w powietrzu nad blednącą plamą fularu.

– Ubewnij zie, że ma dżabgę. On zdżególnie muzi miedz dżabgę.

Burnside ochoczo kiwa głową. Wciąż rozchodzi się wokół niego słaba woń My Sin.

– Tak, czapkę. Mam czapkę.

– Bondź ozdrożny, Burny. Hłobiedz jezd młody i zrozbadzony. Hyży. Jag bozwoliż mu udziedz...

Mimo bólu Burny się uśmiecha. Jakieś dziecko miałoby jemu uciec! Nawet jedno z wyjątkowych! Co za pomysł!

– Nie martw się – mówi. – Tylko... jak będziesz z nim rozmawiał... z Abbalahdoonem... powiedz mu, że jeszcze się nie skończyłem. Nie pożałuje, jak sprawi, że poczuje się lepiej. A jeśli mnie odmłodzi, przyprowadzę mu tysiąc młodych. Tysiąc Niszczycieli.

Dematerializujący się coraz bardziej Pan Munshun jest teraz już tylko poświatą w powietrzu, mlecznym zmętnieniem w saloniku Burny'ego, znajdującym się w głębi domu, porzuconym przez niego dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, iż ktoś musi się nim zaopiekować w latach spokojnej starości.

– Brzybrowadź mu dylgo dego jednego, BurnBurn. Brzybrowadź mu dylgo dego jednego, a dżega dzię nagroda.

Pan Munshun znika do reszty. Burny stoi w miejscu. Pochyla się nad sofą z końskiego włosia. W ten sposób ugniata sobie brzuch i wskutek bólu krzyczy, ale się nie prostuje. Sięga w ciemność po poobijany czarny worek ze skóry. Chwyta go za wierzch i kulawo wychodzi z pokoju, ściskając się za krwawiący, rozdęty brzuch.

A co z Tylerem Marshalllem, który przez większość tego mnóstwa stron egzystował prawie wyłącznie jako pogłoska? Jak wielka stała się mu krzywda? Jak bardzo jest przerażony? Czy zdołał pozostać przy zdrowych zmysłach?

Jeśli chodzi o jego stan fizyczny, doznał wstrząśnienia mózgu, ale właściwie już doszedł do siebie. Poza tym Rybak ograniczył się do głaskania go po ramieniu i pośladkach (jego upiorny dotyk kojarzył się Tylerowi z czarownicą z „Jasia i Małgosi”). Jeśli chodzi o jego

umysł... czy bylibyście zaszokowani, wiedząc, że kiedy Pan Munshun ponagla Burny'ego, chłopiec Freda i Judy jest szczęśliwy?

Bo jest. Jest szczęśliwy. Dlaczego by nie? Jest na stadionie Miller Park.

Piwowarzy z Milwaukee zaskoczyli wszystkich mędrków i pesymistów, twierdzących, że do czwartego lipca znajdą się już w ogonie ligi. Cóż, jest jeszcze dość wcześnie, ale czwarty lipca nadszedł i minął, a Piwna Banda wróciła do Miller Park, po raz pierwszy remisując z Cincinnati. Są na fali głównie dzięki palce Richiego Sexsona, który przeniósł się do Milwaukee z Indian z Cleveland i „naprawdę daje czadu”, używając obrazowej terminologii George'a Rathbuna.

Piwowarzy są na fali, a Tyler siedzi na trybunie! WSPANIALE! Nie tylko jest na stadionie, ale ma miejsce w pierwszym rzędzie. Obok niego siedzi – wielki, spocony, rumiany, z puszką „Królewskich Włości” w dłoni, a drugą wepchniętą pod siedzenie – sam Genialny George, wydzierając się ile sił w płucach. Jeromy Burnitz z Bandy właśnie został wyautowany na pierwszej bazie po błyskawicznej wymianie piłek i chociaż nie ma wątpliwości, że łącznik drużyny z Cincinnati ładnie poradził sobie z piłką i szybko się jej pozbył, nie ma również złudzeń (przynajmniej w duchu George'a Rathbuna), że Burnitz był na bezpiecznej pozycji! George wstaje, jego spocona łysa głowa lśni pod ciemniejącym przed zachodem niebem lawendowej barwy, pienisty strumyczek piwa ścieka mu po zgiętym ramieniu, w niebieskich oczach pojawiają się błyski (czuć, że tymi oczyma wiele widzi, praktycznie wszystko) – a Tyler czeka na jego słowa, wszyscy na nie czekają, i proszę bardzo, oto uosobienie lata w regionie Coulee, ten cudowny ryk, świadczący, że wszystko jest w porządku, grozie został dany odpór, a ześlizg został zlikwidowany.

– EJŻE, SĘDZIO, DAJ SE SIANA! CHOROBA, DAJ SE SIAAAAANA! NAWET ŚLEPY WIDZI, ŻE BYŁ BEZPIECZNY!

Tłum przy pierwszej bazie szaleje na dźwięk tego krzyku – najbardziej zaś około czterestu ludzi, którzy siedzą pod transparentem z napisem: MILLER PARK WITA GEORGE'A RATHBUNA I ZWYCIĘZCÓW TEGOROCZNEJ POPIJAWY PIWOWARÓW! Tyler skacze jak na sprężynie, śmiejąc się i wymachując czapką z godłem Piwnej Bandy. Jest podwójnie ekstra dlatego, że wydawało mu się, iż zapomniał o zgłoszeniu się w tym roku do konkursu. Domyśla się, że ojciec (lub matka) zrobili to za niego... i wygrał! Nie pierwszą nagrodę, czyli noszenie kija dla bandy Piwowarów przez całą serię rozgrywek w Cincinnati, ale to, na co się załapał (oprócz doskonałych rm'ejsc razem z pozostałymi zwycięzcami), jest jego zdaniem jeszcze lepsze. Oczywiście Richie Sexson to nie Mark McGwire – nikt nie potrafi wytrząść trocin z piłki tak jak Big Mac – ale Sexson w tym sezonie gra fantastycznie dla Piwowarów, a Tyler Marshall wygrał...

Ktoś potrząsa jego stopą.

Tyler stara się odsunąć, nie chcąc, żeby przepadł mu ten sen (najwspanialsza kryjówka przed koszmarem, w którym się pogrążył), ale dłoń jest nieugięta. Potrząsa. Potrząsa i potrząsa.

– Obuście – warczy czyjś głos, a sen zaczyna gasnąć.

George Rathbun odwraca się w stronę Tylera, a chłopiec spostrzega coś zdumiewającego: niebieskie oczy, które zaledwie kilka sekund temu były tak przenikliwe i bystre, stały się zmętniałe i zbielały. Jejciu, on jest ślepy, myśli Tyler. George Rathbun jest naprawdę...

– Obuście – warczy głos.

Rozlega się bliżej. Za chwilę sen zniknie do reszty. Nim jednak do tego dochodzi, George odzywa się do Tylera – spokojnym, całkowicie odmiennym od zwykłego donośnego ryku komentatora sportowego:

– Pomoc już w drodze – mówi. – Trzym się, kociaku. Trzy m...

– Obuście, gnojku!

Uścisk na kostce jest miażdżący, paraliżujący. Tyler otwiera oczy z krzykiem protestu. W ten sposób wraca do świata i naszej opowieści.

Natychmiast przypomina sobie, gdzie jest. Jest to cela o czerwonawoszarych prętach w połowie korytarza, oświetlonego żarówkami, które pokrywają pajęczyny. W kącie stoi menażka z jakimś jedzeniem. W drugim – wiadro, do którego Tyler ma siusiać (lub zrobić kupę, ale dzięki Bogu jeszcze nie musiał). Jedynym innym sprzętem w celi jest obszarpany stary siennik, z którego Burny właśnie ściągnął chłopca.

– Dobrze – mówi Burny. – Wreszcie się obudziłeś. Bardzo dobrze. Teraz wstawaj. Podnoś się, utrzymajdupo. Nie mam czasu się z tobą pierdzielić.

Tyler wstaje. Ogarnia go fala zawrotów głowy i ściska rękami czubek głowy. Czuje tam gąbczaste, pokryte strupem miejsce. Gdy go dotyka, lanca bólu przeszywa go aż do szczęk, które odruchowo się zaciskają. Rozprasza to jednak zawroty głowy. Tyler patrzy na rękę. Widzi płatki strupa i zaschniętej krwi. *Tam właśnie rąbnął mnie tym przeklętym kamieniem. Trochę silniej, a grałbym na niebieskiej harfie.*

Starcowi jednak również stała się jakaś krzywda. Ma pokrytą krwią koszulę; jego pomarszczona twarz ogra jest blada jak воск. Za nim są otwarte drzwi celi. Tyler ocenia odległość od korytarza, mając nadzieję, że nie robi tego w zbyt oczywisty sposób. Burny jednak jest za starym wróblem na takie plewy. Niejeden maludgi bróbował udzielić na grwawiondzych zdópkach, och ho.

Burny sięga do worka po czarny aparat z uchwytem jak pistolet i końcówką z nierdzewnej stali.

– Wiesz, co to jest, Tyler? – pyta.

– Taser, tak? – odpowiada chłopiec.

– Bystrzak! – uśmiecha się Burny, ukazując pieńki zębów. – Widać, że oglądasz telewizję. Zgadza się, to taser. Ale specjalnego rodzaju – powala krewę z odległości trzydziestu jardów. Rozumiesz? Jak spróbujesz uciec, to tak nim oberwiesz, jakby spadła na ciebie tona cegieł. Idziemy.

Tyler wychodzi z celi. Nie ma pojęcia, dokąd chce go zabrać okropny stary człowiek, ale odczuwa pewną ulgę z samego faktu, iż znalazł się poza celą. Najgorszy był siennik. Tyler ma niejasną pewność, że nie był pierwszym dzieckiem, jakie zasnęło na nim ze złamanym sercem i bolącą, posiniaczoną głową – ani nawet dziesiątym.

Pewnie nawet nie pięćdziesiątym.

– Skręć w lewo.

Tyler spełnia polecenie. Starzec znajduje się teraz za nim. Chwilę później Tyler czuje kościste palce, zaciskające się na jego prawym pośladku. Starzec zrobił to nie po raz pierwszy (za każdym razem przypomina to czarownicę z „Jasia i Małgosi”, która prosi zagubione dzieci, żeby wystawiały rączki z klatki), ale tym razem dotknięcie jest inne. Słabsze.

Umrzyj jak najszybciej, myśli Tyler, a myśl ta – jej zimna koncentracja – jest bardzo w stylu Judy. Umrzyj jak najszybciej, staruchu, żebym ja nie musiał.

– Ten będzie mój – mówi starzec... ale brakuje mu tchu i nie jest już całkowicie pewny siebie. – Połowę upiekę, resztę usmażę. Z boczkiem.

– Nie sądzę, żebyś zdołał się najeść – mówi Tyler, zaskoczony spokojem własnego głosu. – Wygląda na to, że ktoś przewentylował ci żołądek.

Rozlega się trzeszczenie, któremu towarzyszy koszarne, palące uczucie w lewym barku. Tyler krzyczy i *zatacza* się na ścianę pod celą, starając się ścisnąć ręką bolące miejsce i nie płakać, starając się jeszcze trochę pozostać w pięknym śnie o wizycie na meczu z George’em Rathbunem i pozostałymi zwycięzcami Popijawy Piwowarów. Wie, że w rzeczywistości zapomniał o wysłaniu zgłoszenia w tym roku, ale w snach takie *rzeczy* się nie liczą. To właśnie jest w nich piękne.

Och, ból jest tak okropny. Mimo wszelkich wysiłków – mimo całej spuścizny po Judy Marshall – łzy zaczynają płynąć.

– Chcesz jeszcze raz? – stęka starzec. Cierpi i jest rozhisteryzowany, a nawet dziecko w wieku Tylera wie, że to niebezpieczna kombinacja. – Chcesz jeszcze raz, tak sobie, na szczęście?

– Nie – jęczy Tyler. – Nie trzep mnie znowu, proszę.

– To ruszaj! I oszczędź sobie cholernych cwanych komentarzy!

Tyler zaczyna iść. Gdzieś słychać sączącą się wodę. Skądś rozlega się bardzo niewyraźne krakanie wrony – pewnie tej samej, która go zwiódła. Bardzo chciałby mieć dwudziestkędwójkę Ebbiego i wygarnąć do wrednego ptaszyska tak, że pospadałyby mu lśniące czarne pióra. George Rathbun powiedział mu jednak, że pomoc już jest w drodze, a

niekiedy sprawdza się to, co słyszy się we śnie. Tak mówiła matka Tylera, na dodatek dużo wcześniej, zanim zaczęło się jej kićkać w głowie.

Dochodzą do spiralnych schodów, zdających się prowadzić w nieskończoność w dół. Z głębiny dociera woń siarki i żar. Tyler słyszy ciche odgłosy, mogące być jękami i krzykami. Szc/ęk maszynierii staje się głośniejszy. Rozlegają się złowieszcze szczęknięcia – zapewne łańcuchów i pasów transmisyjnych.

Tyler staje w miejscu, przekonany, że staruch nie trzepnie go znowu prądem, jeśli absolutnie nie będzie musiał. Chłopiec mógłby bowiem spaść z tych niekończących się spiralnych schodów. Mógłby uderzyć się w miejsce, w które staruch dzielił go kamieniem, skrócić sobie kark albo po prostu zsunąć się z brzegu schodów. Starzec natomiast pragnie, by Tyler pozostał przy życiu, przynajmniej na razie. Tyler nie ma pojęcia dlaczego, ale wie, że intuicja go nie zawodzi.

– Dokąd idziemy, proszę pana?

– Dowiesz się – mówi zdyszany Burny. – A jeśli myślisz, że nie odważę się trzepnąć cię na schodach, mój mały przyjacielu, to bardzo się mylisz. No, ruszaj.

Tyler Marshall zaczyna schodzić w dół. Zatacza kolejne kręgi, mija olbrzymie galerie i balkony, *zatacza*, kolejne kręgi. Czasami czuć smród zepsutej kapusty. Niekiedy powietrze pachnie wypalonymi świecami. Tyler dolicza się stu pięćdziesięciu stopni i daje sobie spokój. Starzec dyszy za jego plecami; dwukrotnie potyka się, przeklina i chwytą się wiekowej balustrady.

Spadnij, staruchu, skanduje w duchu Tyler. Spadnij i zdechnij, spadnij i zdechnij.

Wreszcie docierają jednak do końca schodów. Trafiają do okrągłej sali z brudnym, przeszklonym sufitem. Nad nim rozpościera się szare niebo przypominające wyświechtany worek. Z potłuczonych donic wypełzają rozrastające się rośliny, łapczywe pędy snują się po posadzce z popękanych pomarańczowych kostek. W przedzie są otwarte, podwójne drzwi – Tylerowi wydaje się, że na takie mówi się: francuskie. Za nimi widać zrujnowane patio, otoczone wiekowymi drzewami. Niektóre z nich to palmy. Niektóre – ze zwisającymi pnączami – to być może figowce indyjskie. Innych nie rozpoznaje. Jedno jest pewne – nie są już w Wisconsin.

– Stań, małpo. – Starzec wydaje się doszczętnie zadyszany. – Obróć się.

Gdy Tyler spełnia polecenie, z zadowoleniem zauważa, że plama na koszuli starca stała się jeszcze większa. Wypustki krwi sięgają już do ramion, a pasek workowatych starych dżinsów nabrał mętnej, czarnej barwy. Dłoń z taserem jednak ani drgnie.

Niech cię cholera, myśli Tyler. Niech cię piekło pochłonie.

Starzec odstawił worek na mały stolik. Przez chwilę po prostu łapie oddech, następnie grzebie w worku (w którym coś metalicznie szczęka) i wyjmuje miękką, niebieską czapkę takiego typu, jakie w filmach czasami noszą aktorzy w rodzaju Seana Connery'ego. Starzec wyciąga rękę z kaszkietem.

– Włóż. Trzepnę cię, jeśli spróbujesz złapać mnie za rękę.

Tyler nakłada czapkę. Spodziewa się, że będzie w dotyku przypominała zamsz, ale z zaskoczeniem stwierdza, że jest metaliczna, jakby ją pokryto cynfolią. Czuje w ręce nieprzyjemne brzęczenie, jakby łagodniejszą odmianę impulsu taser. Podnosi błagalnie wzrok na starca.

– Muszę?

Burny podnosi taser i obnaża zęby w milczącym uśmiechu.

Tyler niechętnie wkłada czapkę.

Tym razem brzęczenie wypełnia jego głowę. Przez chwilę nie może myśleć... po czym uczucie to mija, pozostawiając wrażenie niezmiernej słabości w mięśniach i pulsowania w skroniach.

– Wyjątkowi chłopcy potrzebują wyjątkowych zabawek – mówi Burny, i brzmi to jak: *wyjondgowi hobdzy, wyjondgowe zabawgi*. Jak zawsze pozostał ślad po absurdalnym akcencie Pana Munshuna, co przejawia wymowę z South Side w Chicago, która uderzyła Henry’ego w trakcie słuchania nagranej na kasetę rozmowy. – Teraz możemy wyjść.

Bo w czapce jestem bezpieczny, myśli Tyler, lecz zdanie to rozpada się i znika natychmiast, gdy przychodzi mu do głowy. Próbuje przypomnieć sobie, jak ma na drugie imię – i zdaje sobie sprawę, że nie potrafi. Stara się przypomnieć sobie imię złej wrony i też nie może – chyba jakoś podobnie do Corgi? Nie, to rasa psów. Czapka mąci mu w głowie, uświadamia sobie, i takie właśnie jest jej zadanie.

Mijają otwarte drzwi i wychodzą na patio. W powietrzu czuć silną woń rosnących za Czarnym Domem krzewów i drzew – ciężki, dławiący zapach. W jakiś sposób cielisty. Szare niebo wydaje się wisieć prawie tak nisko, iż można go dotknąć. Tyler czuje zapach siarki oraz czegoś gorzkiego, soczystego i elektrycznego. Dźwięki maszynierii są tu o wiele głośniejsze.

Na popękanych ceglach stoi wózek golfowy marki EZGo. Model Tiger Woods.

– Mój tata je sprzedaje – mówi Tyler – „U Goltza”, gdzie pracuje.

– A skąd go wziąłem, jak myślisz, utrzymajdupo? Wsiadaj. Za kierownicę.

Tyler patrzy na niego ze zdumieniem. Niebieskie oczy, być może skutek wpływu czapki, wydają mu się teraz przekrwione i widać w nich pewną dezorientację.

– Jestem za młody, żeby prowadzić.

– Och, nic ci nie będzie. Niemowlak by sobie z tym poradził. Za kierownicę.

Tyler słucha. W istocie jeździł takim wózkiem po parkingu u Goltza, podczas gdy jego ojciec pilnie go kontrolował z siedzenia dla pasażera. Obecnie na tym miejscu sadowi się okropny starzec, jęcząc i trzymając się za przebity brzuch. Ma jednak w drugiej dłoni taser i nadal mierzy jego stalową końcówką w chłopca.

Klucz jest w stacyjce. Tyler go przekręca. Rozlega się szczęk akumulatora pod maską. Zapala się jaskrawozielony wskaźnik ładunku. Wystarczy teraz nacisnąć pedał gazu. I oczywiście kierować.

– Jak na razie dobrze – mówi starzec. Zdejmuje prawą rękę z brzucha i wskazuje zakrwawionym palcem. Tyler widzi prowadzącą od domu ścieżkę, wysypaną odbarwionym żwirem – była to pewnie niegdyś droga dojazdowa, zanim dobrały się do niej drzewa i poszycie. – Jedź już. Ale powoli. Przyspieszysz, to cię trzepnę. Spróbujesz nas wywalić, to ci złamię nadgarstek. Wtedy będziesz prowadził jedną ręką.

Tyler naciska pedał gazu. Wózek szarpie do przodu. Starzec chwieje się, klnie i groźnie wymachuje laserem.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym zdjął czapkę – mówi Tyler. – Proszę, jestem zupełnie pewny, że jeśli tylko pozwoli pan...

– Nie! Czapka zostaje! Jedź!

Tyler delikatnie naciska pedał gazu. Wózek przetacza się po patio, jego nowiutkie gumowe opony chrzęszczą po potłuczonych ceglach. Wózek podskakuje, gdy wtacza się na drogę dojazdową. O ramiona Tylera ocierają się ciężkie pędy wydają się wilgotne, jakby spocone. Kuli się. Wózek skręca. Burny macha w stronę chłopca laserem i szczyrzy zęby.

– Następnym razem posmakujesz prądu! Obiecuję!

Po zarośniętej żwirnej drodze w przedzie pełźnie wąż. Tyler wydaje cichy krzyk przez zaciśnięte zęby. Nie znosi węży, nie chciał nawet dotknąć nieszkodliwej żmijki kukurydzianej, którą pani Locher przyniosła do szkoły, a ten wąż jest wielki jak pyton, ma rubinowe ślepia i kły, które widać w rozchylającej się w wiecznym uśmiechu paszczy.

– Jedź! Już!

Starzec wymachuje Tylerowi laserem przed twarzą. Czapka brzęczy chłopcu cicho w uszach. Za uszami.

Droga skręca w lewo. Pochyla się nad nim jakieś drzewo, obciążone czymś podobnym do macek. Ich czubki łaskoczą ramiona Tylera i stojące dęba włosy na jego karku.

Naasz chłopięce...

Mimo czapki słyszy to w swojej głowie. Głos' jest słaby, odległy, lecz prawdziwy.

Naaaasz chtopiecccc... taaaak... naaszsz...

– Słyszysz je, nie? – Burny się uśmiecha. – Podobasz się im. Mnie też. Sami tu przyjaciele, nie widzisz? – Uśmiech zamienia się w grymas. Burny znów chwyta się za zakrwawiony brzuch. – Cholerny głupi ślepiec! – stęka.

Potem drzewa nagle znikają. Wózek wytacza się na posępną, spękaną równinę. Krzaki marnieją, a Tyler widzi, że dalej ustępują całkowicie miejsca zasłanej kamieniami ziemi. Pod ponurym szarym niebem wznoszą się niskie wzgórza. Na niebie kołuje kilka gigantycznych ptaków. Włochata sylwetka ze zgarbionymi barkami brnie wąskim jarem i niknie, zanim Tyler da radę dokładniej się jej przyjrzeć... aczkolwiek wcale nie ma na to ochoty. Łomot i szczęk maszynierii są coraz głośniejsze; podnosi się od nich ziemia. Słysząc łoskot kafarów, chrzęszczenie slarych trybów, pisk przekładni. W przedzie droga dociera do szerokiego bitego Iraku. Po drugiej stronie wznosi się mur z okrągłych, białych kamieni.

– To, co słyszysz, to siłownia Karmazynowego Króla – mówi Burny z dumą, chociaż pobrzmiwa w tym nuta strachu. – Wielka Kombinacja. Miliony dzieci umarły na jej pasach, a z tego, co wiem, umrą jeszcze miliardy. Ale to nie dla ciebie, Tyler. Możesz mieć jeszcze przyszłość. Najpierw jednak dosłanę z ciebie kawałek. Nie ma co, dosłanę. – Wyciąga umazaną krwią rękę i pieści szczył pośladka chłopca. Dobry agent ma prawo do dziesięciu procent. Wie to nawet taki stary sęp jak ja.

Dłoń się cofa. Bardzo dobrze – Tyler mało nie krzyknął i powstrzymywała go tylko myśl o meczu w Miller Park ze starym dobrym George’em Rathbunem. *Gdybym naprawdę zgłosił się do Popijawy Piwowarów, to nic takiego by się nie wydarzyło.*

Dochodzi jednak do wniosku, że to chyba nieprawda. Niektóre rzeczy muszą się wydarzyć. Są z góry przesądzone.

Ma tylko nadzieję, że jedną z nich nie jest to, na co ma ochotę straszny stwór obok niego.

– Skręć w lewo – stęka Burny, poprawiając się na siedzeniu. – Trzy mile. Mniej więcej.

Gdy Tyler skręca, dociera do niego, że unoszące się z ziemi pasemka to jednak nie mgła. To smugi dymu.

– Szeol – mówi Burny, jakby czytał w jego myślach. – A to jedyny szlak, który przez niego prowadzi – Droga Conger. Zjedź z niej, a złapią cię stwory, które rozerwą cię na kawałki tylko po to, żeby usłyszeć, jak krzyczysz. Mój przyjaciel powiedział mi, gdzie mam cię zabrać, ale może będzie maciupka zmiana planów. – Jego udręczona bólem twarz nabiera swarliwego wyrazu. Tyler ocenia, że wygląda przez to wyjątkowo głupio. – Zrobił mi krzywdę. Pociągnął mnie za flaki. Nie ufam mu. – Po czym dodaje koszmarnym dziecięcym głosem: – Carl Bierstone nie ufa Panu Munshunowi! Już nie! Wcale wcaliście!

Tyler nie odpowiada. Koncentruje się na utrzymaniu wózka na środku Drogi Conger. Ryzykuje obejrzenie się za siebie w stronę domu, ale znikł on wraz z efemerycznym nagromadzeniem tropikalnej roślinności, zasłonięty pierwszym ze zwietrzałych wzgórz.

– Dostanie, co jego, ale i ja dostanę, co się mnie należy. Słyszysz, chłopcze? – Gdy Tyler nie odpowiada, Burny potrząsa taserem. – Słyszałeś mnie, małpo, utrzymajdupo?

– No – mówi Tyler. – No pewnie.

Dlaczego nie umrzesz? Boże, jeśli tu jesteś, dlaczego po prostu nie wyciągniesz ręki i nie przyciśniesz mu palcem serca, aż przestanie bić?

Burny odzywa się wreszcie, tym razem chytrym tonem:

– Patrzyłeś na ścianę po drugiej stronie, ale chyba nie przyjrzałeś się jej dokładnie. Lepiej rzuć na nią jeszcze raz okiem.

Tyler przenosi wzrok za zgarbionego starca. Przez chwilę nie dociera to do niego... a potem pojmuje. Duże, białe kamienie, ciągnące się w nieskończoność przy Drodze Conger, wcale nimi nie są. To czaszki.

Co to za miejsce? Och, Boże, jak bardzo tęskni za matką! Jak bardzo pragnie wrócić do domu!

Zaczynając płakać od nowa, z mózgiem odrętwiałym pod czapką, która wygląda na uszytą z tkaniny, chociaż tak nie jest, Tyler wjeżdża wózkiem golfowym coraz dalej w krainę palenisk. W Szeol.

Ratunek – jakikolwiek ślad nadziei – jeszcze nigdy nie wydawał się tak odległy.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy Jack i Dale wchodzą w klimatyzowany chłód, Łacha jest pusta, jeśli nie liczyć trzech ludzi. Beezer i Doktorek siedzą przy barze z gazowanymi napojami przed sobą – pewny znak końca świata, myśli Jack. Głęboko w cieniu (jeszcze trochę dalej, a byłby w prymitywnej kuchni speluny) czai się Śmierdzący Ser. Dwaj harleyowcy emanują złą aurą, więc Śmierdziel nie chce im podpaść. Chociażby dlatego, że nigdy nie widział Beezera i Doktorka bez Myszy, Sonny’ego i Kajzera Billa. Po drugie... och, Boże, to ten detektyw z Kalifornii i cholerny szef policji.

W zgaszonej szafie grającej nie palą się żadne światełka, lecz Jack z lekkim zaskoczeniem stwierdza, że gwiazdami dzisiejszego Poranka Filmowego na AMC są jego matka i Woody Strode. Jack stara się przypomnieć sobie tytuł filmu i po chwili wypływa on z jego pamięci: „Execution Express”.

„Nie powinnaś się w to włączać, Bea”, mówi Woody – w tym filmie Lily gra bostońską dziedziczkę Beatrice Lodge, która wyjeżdża na Zachodnie Wybrzeże i zrywa z prawem, głównie na przekór świętoszkowatemu ojcu. „Zapowiada się, że to ostatnia przejażdżka paczki”.

„Dobrze”, odpowiada Lily.

Mówi kamiennym głosem; jeszcze bardziej kamienny wyraz mają jej oczy. Film to szmira, ale jak zawsze Lily bezbłędnie wcieliła się w rolę. Jack musi się słabo uśmiechnąć.

– Co jest? – pyta go Dale. – Cały świat powariował, to co tu do śmiechu?

„Co to znaczy: dobrze? – pyta na ekranie Woody. – Cały świat powariował”.

– Skosimy tyłu, ilu zdołamy. Niech wiedzą, że tu byliśmy – mówi bardzo cicho Jack.

Na ekranie Lily mówi to samo do Woody’ego. Obydwoje szykują się, by wsiąść do ekspresu na egzekucję. Potoczą się głowy – złych, dobrych i byle jakich.

Dale patrzy z oszołomieniem na swojego przyjaciela.

– Znam większość jej tekstów – mówi prawie przepraszająco Jack. – Widzisz, to moja matka.

Zanim Dale może odpowiedzieć (zakładając, że jakakolwiek odpowiedź przysłaby mu do głowy), Jack dołącza do Beezera i Doktorka przy barze. Patrzy na zegar firmowy ale „Królewskie Włości” obok telewizora: 11.40. Powinno to być samo południe – przecież w takich sytuacjach zawsze powinno to być samo południe, czyż nie?

– Jack – odzywa się Beezer i kiwa mu głową. – Jak leci, stary?

– Nieźle. Macie broń?

Doktorek unosi połą kamizelki, odsłaniając rękojeść pistoletu.

– To kolt, dziewiątka. Beezer ma taki sam. Porządny gnat, zarejestrowany jak należy i wszystko. – Ogląda się na Dale’a. – Wybierasz się z nami, tak?

– To moje miasto – mówi Dale – a Rybak właśnie zamordował mojego wuja. Nie pojmuję wiele z tego, co mi tłumaczył Jack, ale tyle wiem. A jeśli twierdzi, że mamy szansę odzyskać chłopca Judy Marshall, to chyba powinniśmy spróbować. – Ogląda się na Jacka. – Zabrałem dla ciebie służbowy rewolwer. Jeden z automatycznych rugerów. Jest w samochodzie.

Jack nieuważnie kiwa głową. Nie przejmuje się zbytnio bronią palną, bo gdy tylko znajdzie się po drugiej stronie, prawie na pewno zamieni się w coś innego. We włócznie, może oszczepy. Może nawet proce. Zgadza się, czeka ich Ekspres Na Egzekucję – ostatnia przejażdżka Gangu Sawyera — ale wątpi, czy będzie to przypominało filmową ramotę z lat sześćdziesiątych. Zabierze jednak rugera. Może na coś się przyda po drugiej stronie. Nigdy nie wiadomo, prawda?

– Gotowy siodłać konia? – pyta Beezer Jacka.

St. Pierre ma głęboko zapadnięte oczy o nawiedzonym wyrazie. Jack domyśla się, że Beez niewiele spał tej nocy. Znow patrzy na zegar i uznaje – wyłącznie z powodu przesądu – że mimo wszystko jeszcze nie chce ruszać do Czarnego Domu. Wyjdą z Łachy, kiedy wskazówki firmowego zegara będą sterczały idealnie pionowo, nie wcześniej. Godzina duchów Gary’ego Coopera.

– Prawie – mówi Jack. – Masz plan, Beez?

– Mam, ale domyślałem się, że go w gruncie rzeczy nie potrzebujesz, prawda?

– Może nie – przyznaje Jack – ale przyda mi się wszelka możliwa asekuracja.

– Piszę się na to. – Beezer kiwa głową. – Wysłałem moją staruszkę do jej matki w Idaho. Po tym, co się stało z biednym starym Myszatym, nie musiałem jej bardzo namawiać. Jeszcze nigdy jej nie odesłałem, człowieku. Nawet wtedy, kiedy mieliśmy porządną zadymę z Poganami, ale dzisiaj mam fatalne przeczucie. – Waha się, po czym mówi otwarcie: – Mam wrażenie, że żaden z nas nie wróci.

– Jeszcze nie za późno się wycofać. – Jack kładzie rękę na mięsistym ramieniu Beezera. – Nie będę cię za to mniej szanował.

Beezer zastanawia się nad jego słowami i wreszcie kręci głową.

– Czasami Amy przychodzi do mnie we śnie. Rozmawiamy. Jak mógłbym z nią rozmawiać, jeśli bym odpuścił? Nie, człowieku, zostaję.

Jack ogląda się na Doktora.

– Jestem z Beezerem – mówi Doktor. – Czasami po prostu trzeba się postawić. Poza tym po tym, co się stało z Myszą... – Wzrusza ramionami. – Bóg jeden wie, czy czegoś od niego nie załapaliśmy. Albo od kręcenia się pod tamtym domem. Może tak czy siak zostało nam niewiele czasu.

– Co się wreszcie stało z Myszą? – pyta Jack.

– Dokładnie tak, jak powiedział. – Doktor śmieje się krótko. – Około trzeciej nad ranem po prostu splukaliśmy starego Myszącego do rury pod wanną. Została po nim tylko piana i włosy.

Krzywi się, jakby żołądek się mu buntował, po czym szybko wychyla do dna szklanę cocacoli.

— Jak mamy coś zrobić, to wreszcie to zrobmy – nie wytrzymuje Dale.

Jack podnosi wzrok na zegar. Jest już 11.50.

– Niedługo.

– Nie boję się śmierci – mówi nagle Beezer. – Nie boję się nawet tego piekielnego psa. Można mu zrobić krzywdę, jeśli włada się w niego dość kuł, przekonaliśmy się o tym. Chodzi o to, jak człowiek się czuje w tym kurewskim miejscu. Powietrze robi się gęste. Boli cię łeb i słabną ci mięśnie. – Po czym dodaje z zaskakująco dobrym brytyjskim akcentem: – Katzenjammer się do tego nie umywa, stary chłopie.

– Mnie najbardziej bolały flaki – mówi Doktor. – One i...

Milknie jednak. Nie wspomina ani słowem o Daisy Temperly, dziewczynce, którą zabił błędnym wpisem w karcie zleceń, ale widzi ją w duchu równie wyraźnie, jak fałszywych kowboi w telewizorze nad barem. Miała jasne włosy. I brązowe oczy. Czasami doprowadzał ją do śmiechu (choć ją bolało), śpiewając piosenkę – kawałek Vana Morrisona o dziewczynie o brązowych oczach.

– Pojadę tam dla Myszy – mówi Doktor. – Muszę. Ale to miejsce... jest chore. Nie masz nawet pojęcia, człowieku. Może ci się wydaje, że rozumiesz, ale nie masz pojęcia.

– Rozumiem o wiele więcej, niż myślisz – odpowiada Jack.

Tym razem nadchodzi jego kolej zamilknąć i się zastanowić. Czy Beezer i Doktor pamiętają słowo, jakie Myszą wypowiedział przed śmiercią? Czy pamiętają o *d'yambiel* Powinni, bo tam byli, widzieli, jak książki zsunęły się z półki i zawisły w powietrzu, gdy Jack powtórzył to słowo... ale jest prawie pewny, że gdyby ich o nie teraz zapytał, zrobiliby zdziwione, jeśli nie całkowicie nierozumiejące miny. Częściowo dlatego, że o *d'yambiel* trudno pamiętać, tak samo jak o dokładnym miejscu pojawienia się ścieżki prowadzącej do Czarnego Domu z bezpiecznej, przeciwwieżliwej drogi 35. Głównie jednak dlatego, iż to

słowo było przeznaczone dla niego – dla Jacka Sawyera, syna Phila i Lily. Jest przywódcą Gangu Sawyera, ponieważ jest inny. Podróżował, a wędrówka poszerza horyzonty.

Ile z tego powinien powiedzieć swoim towarzyszom? Zapewne nic. Muszą mu jednak wierzyć, a żeby uwierzyli, musi użyć słowa Myszy. Wie sercem, że musi używać go ostrożnie – *d'yamba* jest jak pistolet: można wystrzelić z niego tylko określoną liczbę razy, zanim magazynek się opróżni – i z niechęcią myśli o posłużeniu się nim tak daleko od Czarnego Domu, ale jest to konieczność. Bo muszą mu wierzyć. Jeśli nie, ich dzielna wyprawa w celu uratowania Tylera skończy się na frontowym podwórku Czarnego Domu: będą klęczeć z krwotokami z nosów i oczu, wymiotując i wypluwając zęby w zatrutym powietrzu. Jack może im powiedzieć, że trucizna bierze się głównie z ich umysłów, ale gadać jest łatwo. Muszą uwierzyć.

Poza tym jest dopiero 11.53.

– Lestermówi.

Zapomniany barman czai się przy wahadłowych drzwiach do kuchni. Nie podsłuchuje – jest na to za daleko – ale nie chce się ruszać, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Wygląda na to, że ostatecznie mu się to nie powiodło.

– Masz miód? – pyta Jack.

– Mmiód?

– Robią go pszczoły, Lester. Kto ma pszczoły, ten ma miód, kto ma dzieci, ten ma smród.

– No. – W oczach Lestera pojawia się coś na kształt zrozumienia. – Pewnie. Trzymam go do przyrządzania kentucky getaway. I...

– Postaw go na barze – poleca mu Jack.

– Jeśli zostało tak mało czasu, jak sądzisz, Jack... – Dale wierci się niespokojnie.

– To ważne.

Patrzy, jak Lester Moon stawia niewielką plastikową butelkę na barze, i łapie się na tym, że myśli o Henrym. Jak bardzo spodobałby mu się kieszonkowy cud, jaki Jack ma zamiar zrobić! Oczywiście, dla Henry'ego nie musiałby się uciekać do takich sztuczek. Nie musiałby tracić części cennej mocy tego słowa, ponieważ Henry uwierzyłby od razu, tak samo jak wierzył, że sam potrafiłby przejechać z Trempeleau do French Landing – do diabła, na cholerny księżyc – gdyby tylko ktoś ośmielił się dać mu kluczyki do samochodu.

– Przyniosę go panu – mówi dzielnie Lester. – Nie boję się.

– Postaw go tylko na końcu baru – prosi Jack. – To wystarczy.

Lester spełnia polecenie. Butelka ma kształt niedźwiedzia. Stoi na kontuarze w blasku słońca za sześć dwunasta. Na ekranie zaczęła się strzelanina. Jack nie zwraca na nią uwagi. Nie zwraca uwagi na nich; koncentruje umysł tak, iż jego myśli są skupione jak wiązka światła z soczewki. Przez chwilę pozwala, by to ognisko pozostało puste, po czym wypełnia je jednym słowem:

(D'YAMBA)

Natychmiast słyszy ciche brzęczenie. Zamienia się ono w donośny odgłos. Beezer, Doktorek i Dale oglądają się. Przez chwilę nic się nie dzieje, po czym blask słońca w drzwiach przygasa, prawie tak jakby do Łachy wpłynęła miniaturowa chmura burzowa.

Śmierzący Ser wydaje zduszony pisk i wymachując rękami, rzuca się w tył.

– Losy! – krzyczy. – To losy! Odsuńta się!

Nie są to jednak osy. Doktorek i Lester Moon mogą ich nie rozpoznać, ale Beezer i Dale Gilbertson to chłopaki ze wsi. Potrafią rozpoznać pszczoły. Jack tymczasem jedynie wpatruje się w rój. Pot wystąpił mu na czoło. Koncentruje się z całych sił na tym, czego pragnie od owadów.

Pszczoły tłoczą się wokół butelki z miodem tak gęsto, że naczynie prawie znika. Ich brzęczenie staje się niższe, a butelka zaczyna się unosić, kołysząc z boku na bok jak miniaturowy pocisk balistyczny z byle jakim systemem naprowadzającym. Wreszcie powoli i nierówno kieruje się w stronę Gangu Sawyera. Zawisa sześć cali nad barem na poduszce z pszczół.

Jack wyciąga dłoń i ją otwiera. Butelka wsuwa się w nią. Jack zaciska palce. Dokowanie zakończone.

Przez chwilę pszczoły unoszą się wokół jego głowy; ich brzęczenie rywalizuje z krzykiem Lily: „Zostawcie tego sukinsyna dla mnie! To on zgwałcił Stelle!”.

Następnie struga owadów wylatuje przez drzwi i znika.

Zegar z godłem „Królewskich Włości” wskazuje 11.57.

– Święta Mario, Matko Boska – szepcze Beezer; wytrzeszczone oczy o mało nie wyleżą mu z orbit.

– Coś mi się wydaje, że ukrywałeś swoje prawdziwe talenty – mówi drżącym głosem Dale.

Z końca baru rozlega się cichy łoskot. Lester „Śmierzący Ser” Moon po raz pierwszy w życiu zemdlął.

– Musimy już jechać – mówi Jack. – Beezer, ty i Doktorek prowadzicie. Pojedziemy tuż za wami samochodem Dale’a. Kiedy dotrzecie do drogi i tablicy z zakazem wstępu, nie wjeżdżajcie. Postawicie tylko bryki. Resztę drogi przejedziemy samochodem, ale najpierw nasmarujemy się tym pod nosami. – Jack unosi butelkę. Jest to plastikowa podobizna Kubusia Puchatka, usmarowana w połowie wysokości, gdzie ścisnął ją Lester. – Możemy nawet wetrzeć trochę w nozdrza. Trochę lepkie, ale lepsze od chlustających wymiotów.

W oczach Dale’a pojawia się zrozumienie i aprobata.

– Jak smarowanie vick vaporub pod nosem na miejscu zbrodni – mówi.

Chodzi o coś zupełnie innego, ale Jack kiwa głową. W istocie chodzi o wiarę.

– Zadziała? – pyta z powątpiewaniem Doktorek.

– Tak – odpowiada Jack. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że mimo to będzie trochę nieprzyjemnie, ale nie za bardzo. Potem przejdziemy... no cóż, w inne miejsce. Od tej chwili żadne reguły nie obowiązują.

– Myślałem, że dzieciak jest w tym domu – mówi Beez.

– Sądzę, że pewnie go przeniesiono. A dom... to coś w rodzaju tunelu czasoprzestrzennego. Prowadzi do innego... – Świata, brzmi pierwsze słowo, jakie przychodzi na myśl Jackowi, ale nie wie, czemu nie uważa, żeby to był świat – nie w takim znaczeniu jak Terytoria. – W inne miejsce.

Na ekranie Lily właśnie została trafiona pierwszą z sześciu kul. W tym filmie umiera i jako dziecko Jack nigdy go nie lubił, ale przynajmniej odchodzi z tego świata, strzelając. Zabiera ze sobą sporo łotrów, włącznie z wysokim zbirem, który zgwałcił jej przyjaciółkę – i bardzo dobrze. Jack liczy na to, że potrafi zrobić to samo. Nade wszystko ma jednak nadzieję, że zdoła oddać Tylera Marshalla jego ojcu i matce.

Obok telewizora wskazówka zegara przeskakuje z 11.59 na 12.00.

– Czas na nas, chłopaki – mówi Jack Sawyer. – Siodłamy konie i ruszamy.

Beezer i Doktorek wsiadają na swoje żelazne konie. Jacki Dale podchodzą do radiowozu komendanta, po czym przystają, gdy na parking Łachy wpada ford explorer. Ślizga się po żwirze i skręca w ich stronę, zostawiając za sobą pióropusz kurzu w letnim powietrzu.

– Och, Chryste – mruczy Dale.

Jack poznaje po za małej czapce baseballowej, sterczącej nedorzecznie na głowie kierowcy, że to Fred Marshall. Jeśli jednak ojciec Freda myśli, że przyłączy się do wyprawy ratunkowej, to czeka go rozczarowanie.

– Dzięki Bogu, że was złapałem! – krzyczy Fred, prawie wypadając z kabiny. – Dzięki Bogu!

– Kto kolejny? – pyta cicho Dale. – Wendell Green? Tom Cruise? George W. Bush ramię w ramię z Miss Cholernego Universum?

Jack ledwie go słyszy. Fred ściąga z wysiłkiem długi pakunek z paki pikapa, co natychmiast budzi zainteresowanie Jacka. W opakowaniu może być strzelba, chociaż Jack nie podejrzewa, by tak właśnie było. Nagle czuje się jak butelka, lewitująca dzięki pszczołom: nie tyle podmiotem, ile przedmiotem. Rusza naprzód.

– Ej, brachu, jedziemy! – krzyczy Beezer. Motor jego harleya eksploduje hukiem. – Rusza...

W tym samym momencie Beezer krzyczy. Tak samo Doktorek, szarpiący się tak silnie, że o mało nie spada z motocykla, pracującego na jałowym biegu. Jack czuje się, jakby trafił go między oczy piorun; zatacza się na Freda, również niewyraźnie coś krzyczącego. Przez chwilę wyglądają, jakby tańczyli z długim, zawiniętym w papier obiektem, przywiezionym przez Freda, albo go sobie wyszarpywali.

Jedynie Dale Gilbertson – który nie był w Terytoriach, nie zbliżył się do Czarnego Domu i nie jest ojcem Tylera Marshalla – pozostaje nietknięty. Czuje jednak, że w jego głowie wzbiera coś przypominającego wewnętrzny krzyk. Świat drży. Wydaje się, że w jednej chwili stał się barwniejszy, że pogłębiły się jego wymiary.

– Co to było? – krzyczy Dale. – Dobre czy złe? Dobre czy złe? Co się dzieje, do diabła? Przez chwilę nikt nie odpowiada. Wszyscy są zbyt oszołomieni.

Podczas gdy rój pszczół unosi butelkę z miodem nad kontuarem baru, w innym świetle Burny mówi Tylerowi Marshallowi, żeby stanął twarzą do ściany, do cholery, po prostu stanął twarzą do ściany.

Znajdują się w obrzydliwej, małej szopie. Odgłosy szczękającej maszynerii rozlegają się o wiele bliżej. Tyler słyszy również krzyki, szlochy, chrapliwe wrzaski i coś, co może być jedynie świstem biczów. Są bardzo blisko Wielkiej Kombinacji. Tyler widział ją: olbrzymi galimatias krzyżującego się metalu, piętrzący się pod chmury w dymiącej jamie mniej więcej pół mili na wschód. Wielka Kombinacja wygląda jak pomysł wariata na drapacz chmur, jak zaprojektowane przez Rube Goldberga* zbiorowisko zsypów, kabli, pasów transmisyjnych i platform. Jest w całości napędzana przez potykające się dzieci, drepczące po pasach i pociągające za wielkie

Rysownik, zastynał szkicami nieprawdopodobnie zawitych urządzeń do nieprawdopodobnie prostych celów (przyp. tłum.). dźwignie. Wokół niej unoszą się kłęby cuchnącego, zabarwionego na czerwono dymu.

W trakcie jazdy wózkiem golfowym – kierowanym przez Tylera, podczas gdy Burny siedział krzywo obok z wystawionym w jego stronę taserem – dwukrotnie minęły ich drużyny pokracznych zielonych ludzi o łuskowatej, gadziej skórze i zdeformowanych rysach. Byli ubrani w tuniki z częściowo wyprawionej skóry, spod których miejscami wystawały kłaki futra. Większość niosła włócznie; niektórzy mieli bicz.

„Nadzorcy – powiedział Burny. – Pilnują, żeby kręciły się koła postępu”. Zaczął się śmiać, lecz szybko zamieniło się to w jęk, a ten – w chrapliwy, urwany krzyk bólu.

Dobrze, pomyślał chłodno Tyler, a następnie, po raz pierwszy używając ulubionego słówka Ebbiego Tylera: Zdechnij jak najszybciej, w mordęjebany.

Okolo dwóch mili od Czarnego Domu po lewej stronie pojawiła się wielka drewniana platforma. Sterczała tam przypominająca żuraw konstrukcja. Zwisало z niej kilka postrzępionych sznurów, chwiejących się w gorących, cuchnących siarką powiewach. Pod platformą na martwym, nigdy nieoglądającym słońca gruncie leżały kopczyki kości i stare stosy białego pyłu. Z boku znajdował się wielki kopiec butów. Tyler nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zbierano ubrania, a zostawiano buty, nawet gdyby nie miał

czapki na głowie (*zbedzjalne zabawgi dla zbedzjalnych hobdzów*), ale przemknął mu przez głowę oderwany zwrot: lokalny obyczaj. Wydawało mu się, że tak właśnie mawiał czasami jego ojciec, ale nie miał pewności. Nawet dokładnie nie potrafił sobie przypomnieć jego twarzy.

Wokół szubienicy roily się wrony. Przepychały się i odwracały, wodząc wzrokiem za mijającym ich wózkiem. Żadna nie była tą szczególną, której imienia Tyler nie potrafił sobie przypomnieć, ale wiedział, dlaczego tu są. Czekają na świeże mięso – właśnie tak. Czekają, żeby móc wydziobać oczy świeżym nieboszczykom. Nie wspominając o gołych paluszkach nagich stóp.

Za kopcem wyrzuconego, gnijącego obuwia odchodziła na północ wyboista droga i znikwała za dymiącym wzgórzem.

– Droga Dworcowa – powiedział Burny, w tej chwili mówiący bardziej do siebie niż do Tylera i prawdopodobnie pogrążający się w delirium. Mimo to wycelowany w szyję Tylera taser nawet nie drgnął. – Tam właśnie mam zabrać specjalnego chłopca. – *Zabradź zbedzjalnego hobdza*. – Tam właśnie trafiają ci wyjątkowi. Pan Munshun poszedł ściągnąć kolejkę. Jednotorówkę do Zaświata. Kiedyś były jeszcze. Patricia... i Blaine. Znikły. Zwariowały. Popelniły samobójstwo.

Ty dalej prowadził wózek w milczeniu, ale doszedł do wniosku, że to stary BurnBurn zwariował (jeszcze bardziej, przypomniał sobie). Wiedział, co to są kolejki jednotorowe, przejechał się nawet taką w Disney Worldzie w Orlando, ale żeby miały imiona, Blaine czy Patricia? Idiotyzm.

Droga Dworcowa została za nimi. Z przodu mieli coraz bliżej rdzawoczerwony i stalowoszary ogrom Wielkiej Kombinacji. Tyler widział pełnące po okrutnie stromych pasach figurki, które przypominały mrówki. Dzieci. Być może niektóre z innych światów – sąsiadujących z tym – lecz wiele z jego własnego. Dzieci, których twarze pojawiały się na kartonach z mlekiem, po czym znikwały na zawsze. Zostawały oczywiście nieco dłużej w sercach rodziców, ale w końcu nawet tam pokrywały się kurzem, zamieniając się z żywych wspomnień w stare fotografie. Dzieci uważane za zmarłe, pogrzebane gdzieś w płytkich grobach przez zboczeńców, którzy je wykorzystali, a potem usunęli. Trafiały jednak tutaj. Przynajmniej niektóre. Wiele z nich. Z mozołem szarpały za dźwignie, obracały kołami i kręciły pasy transmisyjne, podczas gdy ich nadzorcy o żółtych ślepiach i zielonej skórze trzaskali biczami.

Na oczach Tylera jedna z małych jak mrówka płamek runęła z boku zawilej, spowitej parą konstrukcji. Wydało mu się, że słyszy cichy wrzask. A może był to krzyk radości?

– Piękny dzień – powiedział słabo Burny. – Bardziej się nim nacieszę, kiedy będę miał coś do zjedzenia. Coś do zjedzenia zawsze... stawia mnie na nogi. – Przyjrzał się wiekowymi oczyma Tylerowi; ich kąciki nieco się zwężyły z nieoczekiwanego ciepła. – Najlepsza wyżerka to tyłeczek niemowlaka, ale twój też nie będzie zły. Nie, wcale nie będzie najgorszy.

Powiedział, żeby zabrać cię na stację, ale nie jestem pewny, czy dałby mi moją działkę. Mój... procent. Może jest uczciwy... może wciąż jest moim przyjacielem... ale myślę, że zadbam o swój interes i najpierw pobiorę należną mi działkę. Większość agentów dostaje swoje dziesięć procent z góry. – Wyciągnął rękę i szturchnął Tylera tuż poniżej paska. Nawet przez dzinsy chłopiec wyczuł twardy, tępy brzeg paznokcia starca. Myślę jednak, że swój kawałek wezmę z dołu. – Wydał chrypiący, bolesny śmiech, a Tyler nie bez zadowolenia zauważył, że między splekanymi wargami Burny'ego pojawia się pęcherzyk jaskrawej krwi. – Z dołu, kapujesz?

Znów dźgnął paznokciem pośladek Tylera.

– Kapuję – odrzekł Tyler.

– Będziesz mógł dalej puszczać wiatry – powiedział Burny. – Po prostu kiedy pierdniesz, za każdym razem będziesz to robił na pół gwizdka! – Wydał kolejny chrypiący śmiech. Zgadza się, wyglądało na to, że ma delirium – majaczy albo jest tego blisko – lecz końcówka lasera nadal nawet nie drżała. – Jeszcze pół mili do Drogi Conger. Kawałek dalej w wąwozie zobaczysz małą szopę z blaszanym dachem. Po prawej stronie. To wyjątkowe miejsce. Wyjątkowe dla mnie. Masz tam skręcić.

Tyler usłuchał, bo nie miał innego wyboru. A teraz...

– Rób, co ci każe! Twarzą do ściany, kurwa! Podnieś ręce i przelóż je przez te pętle!

Tyler za żadne skarby nie potrafił podać definicji słowa „eufemizm”, ale wie, że nazwanie metalowych obręczy „pętlami” to właśnie eufemizm. Na tylnej ścianie wiszą okowy.

Panika trzepocze w jego głowie jak stadko małych ptaków, grożąc zburzeniem jasności myślenia. Tyler walczy z posępną desperacją o zachowanie spokoju. Gdyby poddał się panice, *zaczął krzyczeć i wrzeszczeć*, byłby skończony. Albo starzec zabiłby go w trakcie ćwiartowania na części, albo jego przyjaciel zabrałby go do jakiegoś straszego miejsca o nazwie Dintah. Tak czy inaczej, Tyler już nigdy nie zobaczyłby ojca ani matki. Ani French Landing. Jeśli jednak zachowa spokój... zaczeka na sprzyjającą okazję...

Ach, ale to takie trudne. Czapka na jego głowie w istocie trochę w tym pomaga – jej stępujący wpływ ułatwia poradzenie sobie z paniką – ale i tak jest to trudne. Albowiem Tyler nie jest pierwszym dzieckiem, które starzec tu zabrał, tak samo jak nie był pierwszym, które spędziło długie, powoli mijające godziny w celi w domu swego dręczyciela. W lewym kącie szopy pod obitym blachą wyciągiem jest poczerniały, pokryty zakrzepłym tłuszczem ruszt, podłączony do dwóch butli gazowych z napisami na bokach: LA RIVIERE PROPANE. Na ścianie wiszą kucharskie rękawice, łopatki, szczypce, pędzle do garniowania i widelce do mięsa. Są tam nożyce, młotki do ubijania mięsa i co najmniej cztery naostrzone noże rzeźnicze. Jeden z nich jest prawie tak długi jak ceremonialny miecz.

Obok niego wisi brudny fartuch z nadrukiem: WOLNO POCAŁOWAĆ KUCHARKĘ.

Woń w powietrzu przypomina Tylerowi piknik Stowarzyszenia Weteranów, na który rodzice zabrali go w poprzednie Święto Pracy. Piknik nazwano Maui Wowie, ponieważ jego

goście mieli czuć się, jakby spędzali dzień na Hawajach. Na środku parku La Follette nad rzeką wykopano wielki dół na barbecue, którego doglądały kobiety w spódniczkach z trawy i mężczyźni w krzykliwych koszulach we wzory z ptakami i tropikalnym listowiem. Nad ziejącą w ziemi dziurą pieczono całe świny, a roztaczający się tam odór był identyczny z tym w szopie. Tyle że zapach tutaj jest stęchły... stary... i...

I to niezupełnie wieprzowina, myśli Tyler. To...

– Mam tu sterczeć i gadać do ciebie cały dzień, mendo?

Taser skwierczy i trzeszczy. Świerzbący, paraliżujący ból wnika w bok szyi Tylera. Zwieracz chłopca puszcza; moczy spodnie. Nie może nic na to poradzić. Gdzieś (w bardzo odległej galaktyce) drżąca, lecz wciąż potwornie silna ręka popycha Tylera w stronę tylnej ściany i oków, przyspawanych do stalowych płyt mniej więcej pięć i pół stopy nad ziemią.

– Masz! – woła Burny i wydaje znużony, histeryczny śmiech. – Wiedziałem, że zarobisz sobie, żebym popieścił cię na szczęście! Cwaniak z ciebie, co? Mały mądraliński! Wkładaj łapy w te pętle i przestań się wreszcie wydurniać!

Tyler wystawia przed siebie ręce, żeby nie runąć twarzą na tylną ścianę szopy. Oczy ma tuż przy drewnie, dzięki czemu może dokładnie przyjrzeć się pokrywającym je w całości warstwom starej krwi. Krew roztacza wiekową, metaliczną woń. Ziemia pod stopami Tylera wydaje się gąbczasta. Galaretowata. Obrzydliwa. Być może w sensie fizycznym jest to omam, ale Tyler wie, że mimo wszystko to, co czuje, jest zupełnie realne. Jest to podłoga jatki. Starzec zapewne nie za każdym razem przygotowuje sobie tutaj koszarne posiłki, ale lubi to miejsce. Jak powiedział, jest dla niego wyjątkowe.

Jeśli pozwolę mu zamknąć obydwie ręce w tych okowach, to po mnie, myśli Tyler. Pokroi mnie na kawałki. A kiedy zaczniesz ciąć, pewnie nie będzie potrafił się zatrzymać – ani dla tego całego Pana Munshuna, ani dla nikogo. No to przygotuj się.

Ostatnia myśl wydaje się nie jego. Ma wrażenie, jakby słyszał w głowie głos matki. Matki lub kogoś ją przypominającego. Tyler opanowuje się. Panika pierzcha; chłopiec myśli na tyle jasno, na ile tylko pozwala czapka. Wie, co musi zrobić. Albo przynajmniej spróbować.

Czuje, że końcówka lasera wsuwa się między jego nogi i przypomina sobie pełznącego po zarośniętej drodze węża z paszczą pełną kłów.

– Wsadzaj natychmiast łapy w pętle albo usmażę ci jaja jak ostrygi.

Ostatnie słowo brzmi: *Ozdrygi*.

– Dobra – mówi Tyler piskliwym głosem. Ma nadzieję, że sprawia wrażenie śmiertelnie przerażonego. Bóg jeden wie, że nie powinno to być trudne. – Dobra, dobra, tylko proszę, niech pan nie robi mi krzywdy. Już to robię, widzi pan? Widzi pan?

Wsuwa ręce w pętle. Są wielkie i luźne.

– Wyżej! – Warczący głos rozlega się nadal blisko jego ucha, lecz przynajmniej taser zniknął spomiędzy nóg. – Wepchnij je najwyżej, jak możesz!

Tyler spełnia rozkaz. Okowy wsuwają się nieco ponad jego nadgarstki. Jego ręce wyglądają w mroku jak rozgwiazdy. Za sobą słyszy ciche poszczekiwanie, świadczące, że Burny grzebie w swoim worku. Tyler rozumie, co się dzieje. Czapka w pewnym stopniu zakłóca jego myśli, przychodzi mu jednak do głowy wniosek, który trudno przeoczyć. Jest zbyt oczywisty. Stary łotr ma w worku kajdanki. Użyte wiele, bardzo wiele razy. Zamierza przykuć Tylera za nadgarstki nad okowami, żeby chłopiec tu stał – lub wisiał, jeśli zemdleje – podczas gdy stary potwór będzie go oprawiał.

– Posłuchaj teraz – mówi Burny z zadyszką, chociaż jego głos znowu brzmi energicznie. Odświeżyła go perspektywa posiłku, pozwoliła mu odzyskać trochę witalności. – Jedną ręką celuję w ciebie tym bajerem. Drugą nałożę ci kajdanki na lewy nadgarstek. Jeśli się ruszysz... jeśli choćby drgniesz, chłopcze... popieszczę cię prądem. Zrozumiałeś?

Tyler kiwa głową zwróconą do zakrwawionej ściany.

– Nie ruszę się – bełkocze. – Przysięgam, że się nie ruszę.

– Najpierw jedna ręka, potem druga. Tak właśnie to robię.

W jego głosie brzmi obrzydliwe zadowolenie z siebie. Taser wciska się między łopatki Tylera tak silnie, że sprawia ból. Stękając z wysiłku, starzec wyciąga rękę nad lewy bark chłopca. Tyler czuje woń potu, krwi i starości. To naprawdę przypomina „Jasia i Małgosię”, myśli, tyle że nie ma pieca, do którego mógłby wepchnąć swojego dręczyciela.

Wiesz, co masz zrobić, mówi mu chłodno Judy. Może nie da ci szansy; jeśli nie, to trudno. Ale jeśli da...

Kajdanki zamykają się na jego lewym nadgarstku. Burny stęka cicho i odrażająco w ucho Tylera. Starzec wyciąga rękę... taser się przesuwają... ale za mało. Tyler stoi nieruchomo, podczas gdy Burny zamyka kajdanki. Na stalowym łańcuszku wisi drugi pierścień, który Burny zamierza zatrzaskać na prawej ręce chłopca.

Wciąż dyszący z wysiłku starzec przesuwają się w prawo. Wyciąga rękę przed Tylerem, starając się dosięgnąć dyndających kajdanek. Taser znowu wbija się w plecy chłopca. Jeśli starcowi się to powiedzie, Tyler pewnie będzie ugotowany (i to w dosłownym znaczeniu tego słowa). Burny'emu rzeczywiście prawie się to udaje. Kajdanki wysuwają mu się jednak z ręki, a zamiast czekać, aż wahną się z powrotem w stronę jego dłoni, starzec wychyla się jeszcze bardziej do przodu, wspierając kościsty policzek o prawy bark Tylera.

Gdy zaś Burny wyciąga rękę po dyndające kajdanki, Tyler czuje, że nacisk tasera najpierw maleje, potem ustępuje.

Teraz! – krzyczy Judy w jego głowie. A może Sophie. Zresztą niewykluczone, że obydwie. Teraz, Tyler! To twoja szansa, nie będziesz miał następnej!

Tyler opuszcza prawą rękę jak tłok, wyswobadzając ją z oków. Na nic by się zdało, gdyby próbował odepchnąć Burny'ego od siebie – starzec waży dobre sześćdziesiąt funtów więcej od niego – więc Tyler tego nie próbuje. Zamiast tego przesuwają się w lewo, wywierając przeraźliwy nacisk na bark i lewy nadgarstek, przykuty do pierścienia na ścianie.

– Co... – zaczyna Burny.

Macająca dłoń Tylera trafia w tym samym momencie tam, gdzie chciała: na luźny, zwisający worek mosznowy starucha. Zaciska palce ze wszystkich sił. Czuje, jak jądra potwora zgniatają się o siebie; wyczuwa, że jedno z nich pęka i wiotczeje. Tyler krzyczy; jest to odgłos pomieszanego obrzydzenia, zgrozy i dzikiego triumfu.

Całkowicie zaskoczony Burny wyje. Stara się szarpnąć w tył, ale Tyler trzyma go pewnie jak harpia. Jego dłoń – mała, niezdolna (przynajmniej tak by się wydawało) do wyrządzenia jakiegokolwiek poważnej krzywdy – zamienia się w szpon. Jeśli kiedykolwiek jest pora na użycie tasera, to właśnie teraz... ale skutek zaskoczenia Burny otworzył rękę. Taser pada na ubitą, przez lata zlepioną krwią podłogę szopy.

– Puść mnie! To BOLI! To booo...

Zanim Burny może skończyć, Tyler szarpie za gąbczasty, wiotczący worek w starych bawełnianych spodniach; pociąga za niego ze wszystkich sił, jakich udzieliła mu panika, a coś w środku się drze. Słowa Burny'ego giną w płynnym, umęczonym wyciu. Jest to ból większy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał... przynajmniej w odniesieniu do siebie.

Ale to nie wystarczy. Tak mówi głos Judy; Tyler zresztą i tak mógłby się tego domyślić. Sprawił ból starcowi – zgotował mu to, co Ebbie Wexler niewątpliwie nazwałaby „kurewską rupturą” – ale to za mało.

Tyler puszcza Burny'ego i obraca się w lewo; osią obrotu jest jego przykuta ręka. Widzi, że starzec stoi przed nim w cieniu. Dalej za otwartymi drzwiami stoi wózek golfowy na tle nieba, zasnutego chmurami i dymem z palenisk. Wybałuszone oczy starego potwora są pełne niedowierzania, nabrzmiewają w nich łzy. Wpatruje się z rozdziawionymi ustami w chłopca, który sprawił mu taki ból.

Wkrótce zrozumiałby, co się stało. Gdyby do tego doszło, na pewno chwyciłby jeden z noży na ścianie – albo któryś z widelców do mięsa – i zadźgałby swojego więźnia na śmierć, wrzeszcząc obelgi i przekleństwa, nazywając go małpą, sukinsynem, kurewskim utrzymującym. Nie przyszlaby mu nawet do głowy myśl o wielkim talencie Tylera. Zniknąłby również lęk przed tym, co czeka Burny'ego, jeśli Pan Munshun – i abbalah – zostanie pozbawiony swojego trofeum. W istocie starzec jest wyłącznie psychotycznym zwierzakiem, a za chwilę jego prawdziwa natura znalazłaby ujście: zakatowanie spętanego dziecka.

Tyler Marshall, syn Freda i wspaniałej Judy, nie daje Burny'emu tej szansy. Podczas końcówki jazdy wielokrotnie myślał o tym, co starzec powiedział o Panu Munshunie – *zrobił mi krzywdę, pociągnął mnie za flaki* – mając nadzieję, że sam będzie miał okazję za co nieco pociągnąć. Szansa ta wreszcie się nadarza. Wisząc pod ścianą z okrutnie naprężonym lewym ramieniem, chłopiec wyrzuca przed siebie drugą rękę. Sięga przez dziurę w koszuli Burny'ego. Przez cięcie od noża sprężynowego Henry'ego. Nagle Tyler trzyma w ręce coś wilgotnego i postronkowatego. Ścisną to – i wywleka pętlę jelit Charlesa Burnside'a przez rozcięcie w koszuli.

Burny podnosi twarz w stronę dachu szopy. Mięśnie wybrzuszają się na jego pomarszczonej starczej szyi. Kłapie konwulsyjnie szczęką i wydaje ogłuszający, udręczony ryk. Szarpie się w tył, co w przypadku człowieka trzymanego za wątrobę i wątpia jest najgorszym posunięciem. Niebieskoszary fałd jelita, grubego jak kiełbasa i pewnie wciąż starającego się przetrwać ostatni posiłek z kafeterii w Domu Maxtona, wydobywa się na zewnątrz z wyraźnym cmoknięciem, jak wyskakujący z butelki szampana korek.

Ostatnie słowa Charlesa „Chummy’ego” Burnside’a brzmią: *Puszczaj, prosiaku!*

Tyler nie słucha. Zamiast tego z furją potrząsa z boku na bok pętlą jelit, jak terier trzymany w zębach szczurem. Z dziury w brzuchu Burny’ego pryska krew i żółtawa ciecz.

– Zdychaj! – słyszy własny krzyk Tyler. – Zdychaj, stary skurwysynu, NO, ZDYCHAJ WRESZCIE!

Burny zatacza się kolejny krok w tył. Rozdziawia usta, górna proteza wypada z nich na ziemię. Burny gapi się na dwie pętle własnych jelit, rozciągających się jak chrząstki między ziejącą czerwoczarną dziurą w koszuli i prawą dłonią okropnego dzieciaka. Widzi również coś jeszcze straszniejszego: chłopca otacza jakaś biała poświata. Dodaje mu sił, których inaczej by mu brakowało. Dodaje mu sił, by wyciągać z Burny’ego żywcem jelita, a to tak boli, jak strasznie boli, jag do do do bollll...

– Zdychaj! – krzyczy chłopiec przenikliwym, łamiącym się głosem. – Och, proszę! NIGDY NIE ZDECHNIESZ?

I wreszcie – po bardzo długim oczekiwaniu – Burny osuwa się na kolana. Jego gasnące spojrzenie pada na taser; wyciąga w jego stronę drżącą rękę. Zanim zdoła go dotrzeć, blask świadomości gaśnie w jego oczach. Nie zniósł nawet setnej części bólu, jaki wyrządził, ale jego wiekowe ciało nie jest w stanie więcej wytrzymać. Wydaje z głębi gardła chrapliwy, kraczący dźwięk, po czym przewraca się w tył, wskutek czego z jego podbrzusza wysuwają się kolejne pętle jelit. Nie zdaje sobie już sprawy ani z tego, ani z niczego innego.

Carl Bierstone, znany również jako Charles Burnside czy „Chummy” Burnside, umiera.

Przez ponad pół minuty nic się nie rusza. Tyler Marshall żyje, ale z początku tylko wisi w bezruchu na przykutej lewej ręce, w prawej wciąż trzymając jelita Burny’ego. Ścisnąc dłoń, jakby ogarnął ją śmiertelny skurcz. Wreszcie wyraz jego twarzy robi się nieco przytomniejszy. Podgina pod siebie nogi i staje na nich, zmniejszając prawie nieznośny nacisk na lewy staw barkowy. Nagle dociera do niego, że prawą rękę ma schłapaną posoką po biceps, a w dłoni wciąż trzyma wnętrzności trupa. Wypuszcza je i rzuca się w stronę drzwi, zapominając, że jest przykuty do ściany, aż pęta szarpia go z powrotem, a bark znów wrzeszczy mu z bólu.

Dobrze się spisałeś, szepcze głos JudySophie. Ale musisz się stąd wydostać, i to szybko.

Łzy znów zaczynają spływać po wybrudzonej, bladej twarzy chłopca. Tyler zaczyna krzyczeć z całych sił:

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! Jestem w szopie! JESTEM W SZOPIE!

Przed Łachą Doktorek zostaje na miejscu z bryką warczącą między jego nogami, lecz Beezer gasi silnik swojego motocykla, obcasem wysokiego buta prostuje nóżkę i idzie w stronę Jacka, Dale'a i Freda. Jack zajął się owiniętym przedmiotem przywiezionym przez ojca Tylera. Fred tymczasem wczepił się w jego koszulę. Dale stara się ich rozdzielić, ale jeśli chodzi o Freda Marshalla, w tej chwili na świecie istnieje tylko dwóch ludzi: on i Hollywood Jack Sawyer.

– To był on, prawda? To był Tyler. To był mój chłopiec! Słyszałem go!

– Tak – odpowiada Jack. – Na pewno on i na pewno go słyszałeś.

Beezer widzi, że Jack dość pobladł, ale poza tym zachował spokój. Na pewno nie przejmuje się, że ojciec zaginionego chłopca wyciągnął mu koszulę ze spodni. Nie; uwaga Jacka skupia się na zawiniętym pakunku.

– Na miłość boską, co się tu dzieje? – pyta błagalnie Dale. Ogląda się na Beezera. – Ty wiesz?

– Dzieciak jest w jakiejś szopie – mówi Beezer. – Mam rację?

– Tak – odpowiada Jack.

Fred nagle puszcza jego koszulę i ze szlochaniem zatacza się w tył. Jack nie zwraca na niego uwagi i nie stara się upchnąć zmiętej koszuli. Wciąż patrzy na pakunek. Spodziewa się nibyznaczków z pakietów po cukrze, ale nie, jest to zwyczajnie ofrankowana paczka. Cokolwiek w niej jest, została wysłana ekspresem do Sz.P. Tylera Marshalla, Robin Hood Lane 16, French Landing. Czerwony stempel zawiera adres zwrotny: P. George Rathbun, KDCU, Penninsula Drive 4, French Landing. Poniżej odcisnięto wielkie czarne litery:

NAWET ŚLEPY WIDZI, ŻE REGION COULEE UWIELBIA POPIJAWĘ PIWOWARÓW!

– Nigdy nie dasz spokoju, Henry, co? – mruczy Jack.

Łzy kłują go w oczy. Znów uderza weń myśl o życiu bez starego przyjaciela, sprawiając, że czuje się bezradny, zagubiony, głupi i zraniony.

– Co z wujem Henrym? – pyta Dale. – Wuj Henry nie żyje, Jack.

Nie wiedzieć czemu Jack nie jest już tego całkiem pewny.

– Jedziemy – mówi Beezer. – Musimy wydostać tego dzieciaka. Żyje, ale nie jest bezpieczny. Dotarło to do mnie głośno jak dzwon. Ruszajmy. Resztę zdążymy wykombinować później.

Jack – który nie tylko usłyszał krzyk Tylera, ale i przez chwilę patrzył jego oczami – nie musi wszakże wiele się domyślać. W istocie pozostanie mu ustalić tylko jedno. Nie zwracając uwagi na Beezera i Dale'a, podchodzi do płaczącego ojca Tylera.

– Fred. – Mężczyzna nadal szlocha. – Fred, jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek ujrzeć swojego chłopca, to weź się w garść i posłuchaj mnie. – Fred podnosi zaczerwienione, wilgotne oczy. Nedorzecznie mała czapka baseballowa wciąż tkwi na jego głowie. – Co jest w środku, Fred?

– To na pewno nagroda w konkursie, który George Rathbun urządza co lato – Popijawa Piwowarów. Chociaż nie mam pojęcia, jak Tyler mógł cokolwiek wygrać. Kilka tygodni temu jęczał, że zapomniał wysłać zgłoszenie. Pytał nawet, czyja nie wysłałem go za niego, a ja... no, trochę go obsztorcowałem. – Na to wspomnienie po nieogolonych policzkach Freda ściekają świeże łzy. – To było mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Judy robiła się... dziwna... Martwiłem się o nią i dlatego się trochę... na niego wydarłem. Rozumiesz? – Fred ciężko wzdycha. Wydaje wodniste czknięcie; jabłko Adama wędruje mu w górę i w dół. Ociera ramieniem oczy. – A Ty... powiedział tylko: „Nic się nie stało, tato”. Nie wściekł się na mnie, nie boczył się ani nic. Bo takim właśnie był chłopcem. Jest.

– Skąd wiedziałeś, że powinieneś mi to przywieźć?

– Zadzwoił twój przyjaciel – mówi Fred. – Powiedział, że listonosz coś przyniósł i mam to natychmiast ci dostarczyć. Zanim odjedziesz. Nazywał cię...

– Nazywał mnie Jackiem Wędrowniczkiem.

– Zgadza się. – Fred Marshall spogląda na niego ze zdziwieniem.

– W porządku – mówi delikatnym, niemal nieobecny tonem Jack. – Jedziemy teraz wydostać twojego chłopca.

– Pojadę z wami. Mam w samochodzie strzelbę na jelenie...

– I niech tam zostanie. Wracaj do domu. Zrób porządek na przywitanie syna. I swojej żony. Pozwól, żebyśmy sami zrobili to, co do nas należy. – Jack patrzy na Dale'a, następnie na Beezera. – Chodźcie – mówi. – Jedziemy.

Pięć minut później samochód komendanta policji French Landing pędzi na zachód drogą 35. Bezpośrednio przed nimi Beezer i Doktorek jadą obok siebie; słońce odbija się od chromowych powłok motocykli. Drzewa w pełnym letnim listowiu tłoczą się blisko przy szosie po obu stronach.

Jack czuje, jak w jego głowie zaczyna narastać brzęczenie, stanowiące sygnał Czarnego Domu. Odkrył, że w razie potrzeby może je zagłuszyć, nie dopuścić do jego rozprzestrzeniania się i skażenia wszelkich procesów myślowych białym szumem, ale i tak jest to piekielnie nieprzyjemne. Od Dale'a dostał jeden z rugerów .357, będących na wyposażeniu miejscowej policji; pistolet ma teraz wepchnięty za pasek niebieskich dżinsów. Był zaskoczony, jak miło czuć jego ciężar w ręce – przypominało to prawie powrót do domu. Pistolety pewnie nie na wiele się zdadzą w świecie za Czarnym Domem, ale Gang Sawyera najpierw musi tam dotrzeć, prawda? A według Beezera i Doktorka dostęp jest chroniony.

– Masz scyzoryk, Dale?

– W schowku na rękawiczki – odpowiada Dale. Spogląda na długi pakunek na kolanach Jacka. – Domyślam się, że chcesz to otworzyć.

– Dobrze się domyślasz.

– Możesz mi tymczasem wytłumaczyć parę rzeczy? Na przykład, czy po dostaniu się do Czarnego Domu możemy spodziewać się, że Charles Burnside wyskoczy z tajnego przejścia z siekierą w rękach i zacznie...

– Dni wyskakiwania Chummy'ego Burnside'a z zaskoczenia na ludzi się skończyły – mówi Jack. – Nie żyje. Tyler Marshall go zabił. To właśnie tak nami sponiewierało pod Łachą.

Samochód komendanta zakręca tak ekstrawagancko – aż na lewą stronę drogi – że Beezer ogląda się na chwilę, zaskoczony tym, co zobaczył w lusterku wstecznym. Jack macha mu zdecydowanie ręką – *Jedź dalej, nami się nie przejmuj* – i Beez odwraca z powrotem głowę.

– Co?! – stęka Dale.

– Stary łotr był ranny, ale domyślam się, że Tyler i tak bardzo dzielnie się spisał. Okazał się dzielny i równocześnie przebiegły.

Jack myśli, że Henry zmiękczył Burnside'a, a Tyler go wykończył. George Rathbun bez wątpienia powiedziałby na takie podwójne zagranie: miodzio.

– Jak...

– Wypatroszył go. Gołymi rękami. Ręką. Jestem praktycznie pewny, że drugą ma w jakiś sposób spętana.

Dale milczy przez chwilę, przyglądając się, jak motocykliści w przedzie przechylają w bok maszyny przed wejściem w zakręt. Rozwiane włosy sterczą im spod symbolicznych nakryć, służących pozostaniu w zgodzie z nakazującym nosić kaski prawem w Wisconsin. Jack tymczasem rozcina brązowy papier pakowy, odsłaniając długie, białe opakowanie z tektury. Coś przetacza się tam i z powrotem w środku.

– Mówisz mi, że dziesięcioletni chłopiec wypatroszył wielokrotnego mordercę. Seryjnego kanibala. W jakiś sposób się tego dowiedziałeś.

– Tak.

– Wyjątkowo trudno mi w to uwierzyć.

– Znając jego ojca, potrafię w to uwierzyć. Fred to... – Nasuwa się określenie: „wymoczek”, ale jest zarówno niesprawiedliwe, jak i nieprawdziwe. – Fred ma czułe serce – mówi Jack. – Judy natomiast...

– Ma kręgosłup – dopowiada Dale. – Mówiono mi, że go ma, i to jaki.

Jack rzuca przyjacielowi pozbawiony humoru uśmiech. Ograniczył brzęczenie do niewielkiej części umysłu, ale nawet ten zakątek wyje jak syrena przeciwpożarowa. Są prawie na miejscu.

– Niewątpliwie – mówi Dale'owi. – Chłopiec tak samo. Jest... dzielny.

Jack o mało co nie powiedział: *Jest księciem*.

– I żyje.

– Tak.

– Skuty gdzieś w szopie.

– Zgadza się.

– Za domem Burnside’a.

– Yhm.

– Jeśli nie mylę topografii, to jest gdzieś w lesie niedaleko Shubert i Gale. – Jack uśmiecha się i nie odpowiada. – W porządku – mówi ciężko. – Gdzie się mylę?

– Nieistotne. I bardzo dobrze, bo nie sposób tego wytłumaczyć.

Jack ma nadzieję, że wszystkie klepki Dale’a są solidnie przymocowane, bo w ciągu kolejnej godziny zostaną wystawione na srogą próbę.

Rozcina paznokciem zabezpieczającą paczkę taśmę. Otwiera pudełko. W środku jest wyściółka z folii bąbelkowej. Jack ją ściąga, wrzuca pod nogi i patrzy na nagrodę dla Tylera Marshalla w Popijawie Piwowarów – wygraną, chociaż najwidoczniej w ogóle nie stanął do konkursu.

Jack wydaje ciche westchnienie zachwytu. Zostało w nim dość z dziecka, by tak zareagować, chociaż nigdy nie grał w tę grę od czasu, gdy wyrósł z Ligi Juniorów. Kij baseballowy ma coś w sobie, nieprawdaż? Coś przemawiającego do naszych prymitywnych wierzeń, dotyczących czystości walki i siły naszej drużyny. Rodzimej drużyny. Mówiącego o prawie i bieli. Wiedział to na pewno Bernard Malamud; Jack przeczytał „The Natural” ze dwie dziesiątki razy, zawsze mając nadzieję na inne zakończenie (a kiedy zaoferowała je ekranizacja, nienawidził go), zachwycał się tym, że Roy Hobbs nazwał swoją pałkę Cudownym Chłopcem. I do diabła z krytykami i ich nadętą gadaniną o arturiańskich legendach i symbolach fallicznych; czasami cygaro to tylko dymek, a kij baseballowy to tylko kij baseballowy. Wielka pałka. Coś, czym można odbić piłkę tak silnie, by obiec całe boisko.

– Kurza twarz – mówi Dale, oglądając się. Nagle wygląda młodziej. Chłopięco. Ma rozszerzone oczy. Wygląda na to, że kij podziałął nie tylko na Jacka. – Czyj to?

Jack wyjmuje ostrożnie kij z pudełka. Na trzonku czarnym markerem wypisano dedykację.

Dla TViera Marshalla Wal śmiało! *TWÓJ* przyjaciel,

„Richie Sexson

– Richiego Sexsona – mówi Jack. – Kto to taki?

– Wielki pałkarz Piwowarów – odpowiada Dale.

– Tak dobry jak Roy Hobbs?

– Roy... – Dale wreszcie się uśmiecha. – Och, z tego filmu! Robert Redford, *zgadza się?* Nie, nie sądzę... Ej, co robisz?

Wciąż trzymając kij w rękach (w istocie o mało nie waląc Dale'a w prawy policzek jego końcem), Jack wyciąga rękę i naciska klakson.

– Stań – mówi. – To tutaj. Ci durnie byli tu dopiero wczoraj, a już pojechaliby dalej.

Dale *zjeżdża na pobocze*, zatrzymuje z szarpnięciem radiowóz i zaciąga hamulec. Gdy ogląda się na Jacka, ma znacznie bledszą twarz.

– Och, człowieku. Jack... nie czuję się najlepiej. Może to przez śniadanie. Chryste, mam nadzieję, że nie zacznę rzygać.

– Brzęczenie w głowie to też od śniadania? – pyta Jack.

– Skąd... – Dale wytrzeszcza oczy.

– Bo ja też je słyszę. I czuję w żołądku. To nie przez twoje śniadanie. To Czarny Dom. – Jack podnosi butelkę z miodem. – No, rozetrzyj go pod nosem. Wetrzyj też trochę w środek. Poczujesz się lepiej.

Demonstruje absolutną pewność siebie, nie chodzi bowiem o tajną broń ani sekretne zaklęcia; na pewno nie chodzi o miód. Chodzi o wiarę. Opuścili rejon, gdzie włada rozum, i znaleźli się w królestwie ześlizgu. Jack wie to na pewno, gdy tylko uchyla drzwi.

Przed nim motocykliści skręcają z powrotem. Beezer kręci głową ze zniecierpliwioną miną: *Nie, nie, to nie tutaj*.

Dale dołącza do Jacka przed maską samochodu. Wciąż jest pobladły, ale skóra dookoła jego nosa i pod nim lśni od miodu i wygląda na to, że pewnie trzyma się na nogach.

– Dzięki, Jack. Od razu o wiele lepiej. Nie wiem, jak wysmarowanie sobie nosa miodem mogło mi pomóc na uszy, ale i brzęczenie ucichło. Teraz to tylko niskie buczenie.

– To nie tu! – krzyczy Beezer, zatrzymując harleya przed radiowozem.

– Tu – odpowiada spokojnie Jack, rozglądając się po leśnej gęstwinie. Blask słońca na zielonych liściach kontrastuje z obłędnymi czarnymi zygzakami cienia. Wszystko drży niespokojnie, szydząc z perspektywy. – To tutaj. Kryjówka Pana Munshuna i Gangu z Czarnego Domu.

Do hałasu przyłącza się motocykl Doktorka, gdy zatrzymuje się obok Beezera.

– Beez ma rację! Jechaliśmy tędy wczoraj, cholerny idioto! Nie sądzisz, że wiem, o czym mówimy?

– Po obu stronach jest tylko las na wyrąb – dołącza się Dale. Wskazuje na drugą stronę drogi, gdzie pięćdziesiąt jardów dalej między dwoma drzewami trzepocze żółta policyjna taśma. – Tam jest dojazd do „Ed's Eats”. Miejsce, którego szukamy, jest pewnie dalej...

Mówisz tak, chociaż wiesz, że jest tutaj, myśli – a właściwie zdumiewa się – Jack. Dlaczego inaczej wziąłeś i wysmarowałeś się miodem jak Puchatek w szczęśliwy dzień?

Przenosi spojrzenie na Beezera i Doktorka, którzy również wyglądają, jakby czuli się naprawdę źle. Jack otwiera usta, by się do nich odezwać... i coś trzepocze w górnym skraju jego pola widzenia. Hamuje naturalny odruch, by podnieść wzrok i określić źródło ruchu. Coś – pewnie ta jego część, którą jest dawny Jack Wędrowniczek – podpowiada mu, że byłby to

fatalny pomysł. Coś i tak już ich obserwuje. Lepiej, żeby się nie dowiedziało, że zostało odkryte.

Jack opiera kij Richiego Sexsona o bok radiowozu, którego silnik pracuje na jałowym biegu. Bierze butelkę z miodem od Dale'a i podaje ją Beezerowi.

– Masz – mówi. – Natrzyj się.

– To nie ma sensu, cholerny głupku! – woła zdesperowany Beezer. – To... nie... to... miejsce!

– Krew cieknie ci z nosa – mówi spokojnie Jack. – Niedużo. Tobie też, Doktorku.

Doktorek przeciera palcem pod nosem i z zaskoczeniem patrzy na czerwoną plamę.

– Ale wiem, że to nie... – zaczyna.

Na skraju pola widzenia Jack znów dostrzega trzepotanie. Ignorując je, wpatruje się prosto przed siebie. Beezer, Doktorek i Dale również patrzą w tę stronę. Dale pierwszy dostrzega to, co powinien.

– Niech mnie cholera – mówi cicho. – Tablica: WSTĘP WZBRONIONY. Stała tu wcześniej?

– No – mówi Jack. – Myślę, że jest tutaj co najmniej trzydzieści lat.

– Kurwa – mówi Beez i *zaczyna* rozsmarowywać miód wokół nosa. Wtyka spore porcje w nozdrza; żywiczne krople lśnią w jego rudobrazowej, godnej wikinga brodzie. – Pojechalibyśmy sobie dalej, Doktorku. Aż do samego miasta. Cholera, może do samego Rapid City w Dakocie Południowej. – Podaje miód Doktorkowi i krzywi się do Jacka. – Przepraszam, człowieku. Powinniśmy byli się domyślić. Nie ma się co tłumaczyć.

– Gdzie ta droga? – pyta Dale, po czym dodaje: – Och. Tam jest. Przysięgłbym...

– Że niczego tam nie ma. Wiem – mówi Jack z uśmiechem.

Patrzy na przyjaciół. Na Gang Sawyera. Na pewno nie spogląda na czarne szmaty, trzepoczące niespokojnie w górze na skraju jego pola widzenia, ani na pas, zza którego powoli wyciąga rugera .357. Zawsze był jednym z najlepszych strzelców w Departamencie Policji LA. Tylko kilkakrotnie zdobył odznaki przy strzelaniu ze stanowiska, lecz bardzo dobrze radził sobie w zawodach w strzelaniu na czas do ruchomych celów. Zwykle mieścił się w pierwszej piątce. Jack nie ma pojęcia, czy zachował tę umiejętność, ale sądzi, że lada chwila się przekona.

Uśmiechając się do przyjaciół i patrząc, jak Doktorek smaruje nochal miodem, Jack mówi konwersacyjnym tonem:

– Coś nas obserwuje. Nie podnoście wzroku. Spróbuję to zestrzelić.

– Co to? – pyta Dale, odpowiadając uśmiechem.

Nie podnosi wzroku; wpatruje się przed siebie. Obecnie dostrzega już całkiem wyraźnie dróżkę, która niewątpliwie prowadzi do domu Burnside'a. Nie było jej tutaj, przysięgłby, że jej nie było, ale teraz już jest.

~ Wrzód na dupie – odpowiada Jack.

Nagle podrzuca rugera i ściska oburącz rękojeść. Strzela, zanim jeszcze widzi dokładnie cel, i trafia wielką, ciemną wronę, która przycupnęła na zwisającej gałęzi dębu, całkowicie ją zaskakując. Ptak wydaje pojedynczy głośny, zaszokowany krzyk – „AUUUUK!” – i rozlatuje się w powietrzu. Na tle spłowiałego błękitu letniego nieba pokazują się krwawe rozbryzgi. Pióra spadają w dół kępkami ciemnymi jak cienie o północy. Tak samo ciało. Ląduje na poboczu koło drogi z głośnym łoskotem. Ciemne, szkliste oczko wpatruje się w Jacka Sawyera z wyrazem zaskoczenia.

– Strzeliłeś pięć czy sześć razy? – pyta Beezer z głębokim podziwem. – Zrobiłeś to tak szybko, że nie zdążyłem policzyć.

– Sześć – cały magazynek – odpowiada Jack, dochodząc do wniosku, że ostatecznie nie jest najgorszy w strzelaniu z biodra.

– Kurewsko wielka wrona – mówi Doktorek.

– To nie zwyczajna wrona – odpowiada Jack. – To Gorg. – Podchodzi do zmasakrowanego ciała na ziemi. – Co słyhać, stary? Jak się czujesz? – Pluje na Gorga sówitą porcją śliny. – To za zwabianie dzieci – mówi.

Potem niespodziewanie wrzuca ptaka kopniakiem w poszycie. Gorg leci płaskim łukiem; skrzydła owijają się mu wokół ciała jak całun. – A to za popieprzenie matce Irmy w głowie.

Pozostała trójka wpatruje się w niego z identycznymi, wyrażającymi oszołomienie i podziw minami. Oraz z odrobiną lęku. Na widok tych spojrzeń Jack czuje znużenie, ale domyśla się, że musi się z nimi pogodzić. Przypomina sobie, że jego stary przyjaciel Richard Sloat patrzył na niego identycznie, gdy dotarło do niego, że to, co nazywał „hecami z Seabrook Island”, nie ogranicza się do samej wyspy.

– Chodźcie – mówi Jack. – Wszyscy do samochodu. Zróbmy wreszcie, co do nas należy.

Tak jest. Muszą działać szybko, ponieważ niedługo za Tylerem zaczną rozglądać się pewien jednooki dżentelmen. Pan Munshun. Oko Króla, myśli Jack. Oko abbalaha. O to właśnie chodziło Judy – o pana Munshuna. Kimkolwiek czy czymkolwiek jest.

– Nie mam ochoty zostawiać motocykli przy drodze, człowieku – mówi Beezer. – Każdy może się tu napatoczyć i...

– Nikt ich nie zobaczy – mówi mu Jack. – Od czasu kiedy stanęliśmy, minęły nas trzy czy cztery samochody i nikt nawet na nas nie spojrział. I wiecie dlaczego.

– Zaczęliśmy już przechodzić na drugą stronę, prawda? – pyta Doktorek. – Jesteśmy na skraju. Na granicy.

– Opopanaks – mówi Jack; to słowo samo wydobywa mu się z ust.

– Hę?

Jack podnosi wygrany przez Tylera kij Richiego Sexsona i wsiada z prawej strony do radiowozu.

– To znaczy, że jedziemy – mówi. – Zróbmy, co do nas należy.

Tak oto Gang Sawyera wyrusza w ostatnią przejażdżkę – obrośniętą drzewami, zatrutą drogą, prowadzącą do Czarnego Domu. Silny popołudniowy blask wkrótce zamienia się w ponurą poświatę listopadowego zmierzchu. Pośród cisnących się z obu stron drzew płaczą się, pełzają i czasami przefruwają ciemne kształty. W ocenie Jacka nie mają wielkiego znaczenia, to tylko widma.

– Załadujesz tego Regulatora? – pyta Beezer z tylnego siedzenia.

– Nie – mówi Jack, spoglądając na rugera bez zbytniego zainteresowania. – Myślę, że już zrobił, co do niego należało.

– Na co powinniśmy być przygotowani? – pyta wątlym głosem Dale.

– Na wszystko – odpowiada Jack.

Obdarza Dale’a Gilbertsona pozbawionym humoru uśmiechem. Przed nimi znajduje się dom, który nie chce utrzymać stałego kształtu, lecz faluje i kłębi się w wyjątkowo niepokojący sposób. Czasami wydaje się nie większy niż skromna wiejska chatka; zmrużenie oka i wygląda na poszarpany monolit, przesłaniający całe niebo; jeszcze po chwili wydaje się niską, nierówną konstrukcją, rozpościerającą się całymi milami pod leśną powałą. Z jego strony dobiega niski szum, brzmiący jak gwar głosów.

– Bądźcie gotowi na wszystko.

Rozdział dwudziesty ósmy

Z początku jednak nic się nie dzieje.

Czterech mężczyzn wysiada i staje przed radiowozem Dale'a, wyglądają na dobrą sprawę jak grupka pozująca do fotografii, która ostatecznie trafi na ścianę w którymś salonie. Tyle że fotograf musiałby stać na ganku Czarnego Domu – są zwrócenii w tę stronę – on zaś jest pusty, jeśli nie liczyć kolejnej tablicy: WSTĘP WZBRONIONY, wspartej o obłazący słupek narożny. Ktoś narysował na niej czaszkę markerem lub ciesielskim ołówkiem. Burny? Jakiś nieustraszony nastolatek, który założył się, że dotrze aż tutaj? Dale wyrabiał różne szalone rzeczy, kiedy miał siedemnaście lat, nieraz ryzykował życie, żeby coś pomalować farbą w sprayu, ale w to trudno mu uwierzyć.

Powietrze jest ciche i ponure jak przed burzą. Również śmierdzi, ale wydaje się, że miód odfiltruje najgorszy odór. W lesie jakiś stwór wydaje dudniący odgłos, jakiego Dale jeszcze nigdy w życiu nie słyszał. *Groooooo*.

– Co to? – pyta Jacka.

– Nie wiem – odpowiada Jack.

– Nasłuchałem się aligatorów – mówi Doktorek. – Tak właśnie brzmią, kiedy mają cieczkę.

– To nie Floryda ani Everglades – mówi Dale.

– To też już nie Wisconsin, Toto. – Doktorek obdarza go wątlwym uśmieszkiem. – Chyba że tego nie zauważyłeś.

Dale zauważył mnóstwo. Po pierwsze, przed nim jest dom, który nie ma ochoty zachować stałego kształtu – czasami wydaje się niezmierny, jakby nakładało się na siebie wiele budowli. Jakby pod jednym dachem upchnięto miasto rozmiarów na przykład Londynu. Do tego dochodzą drzewa. Są tu stare dęby i sosny, są brzozy, przypominające chude jak szczapy zjawy, są klony – wszystko lokalne gatunki – ale widzi również pogięte drzewa z nieprzeliczonymi korzeniami, wyglądające na zmutowane figowce. Czy one się ruszają? Chryste, Dale ma nadzieję, że nie. Ruszają się jednak czy nie, w każdym razie szepczą. Dale

jest tego prawie pewny. Nie słyszy ich szemrania wskutek brzęczenia w głowie, ale w żaden sposób nie da się tego uznać za słowa zachęty.

Zabijecie... zjemcie... nienawidzecie...

– Gdzie pies? – pyta Beezer. W ręce trzyma dziewiątkę. – Do nogi, piesku! Mam dla ciebie coś pysznego! Pospiesz się, to dostaniesz!

Zamiast psa z lasu ponownie dobiega gardłowe warczenie, tym razem bliżej: *GROOOOOO!* Dale patrzy na dom, widzi, jak kondygnacje nagle piętrzą się pod niebem, które stało się białe i zimne. Ogarnia go zawrót głowy, kojarzący się z falą rozgrzanego tłuszczu. Ma wrażenie, że Jack chwyta go za ramię, aby dodać mu sił. Trochę pomaga, ale nie dosyć; komendant policji French Landing obraca się w lewo i wymiotuje.

– Dobrze – mówi Jack. – Wyrzuć to z siebie. Pozbądź się tego. A co z tobą, Doktorku? Beez?

Pierońska Para mówi mu, że nic im nie jest. Na razie to prawda, ale Beezer nie ma pojęcia, jak długo utrzyma się stan równowagi. W brzuchu mu burczy w niskiej, powolnej tonacji. No i co by było, gdybym wyhaftował tutaj cały spożywczy? – zastanawia się Beezer. Według Jacka Burnside nie żyje, więc nie miałby pretensji.

Jack prowadzi ich po stopniach ganku, przystając po to, by kopnąć w bok rdzewiejącą tablicę z zakazem wstępu i wymalowaną czaszką. Kawałek metalu ląduje w kępie chwastów, natychmiast zamykających się nad nim jak łapczywa ręka. Dale'owi przypomina się sposób, w jaki Jack splunął na wronę. Jego przyjaciel wydaje się teraz odmieniony, młodszy i silniejszy.

– Wzbraniaj sobie wstępu do zdechu, a i tak wejdziemy – mówi Jack. – Założysz się?

Z początku jednak wydaje się, że nie wejdą. Frontowe drzwi Czarnego Domu są nie tylko zamknięte. Nie widać żadnej szczeliny między nimi i futryną. W istocie, gdy tylko się zamykają, wyglądają na namalowane, jak tempera.

Za plecami mężczyzn w lesie coś krzyczy. Dale podskakuje. Krzyk wznosi się do przesywająco wysokiej nuty, po czym zamienia w maniackalny śmiech i nagle cichnie.

– Kurewscy tubylcy są niespokojni – komentuje Doktorek.

– Chcesz spróbować oknem? – pyta Jacka Beezer.

– Nie. Wchodzimy frontowymi drzwiami.

Mówiąc te słowa, Jack unosi kij baseballowy Richiego Sexsona. Moment później opuszcza go z zaskoczoną miną. Za nimi rozlega się szybko narastające brzęczenie. Światło słońca, już i tak blade na tej niezwyklej polance, przygasa jeszcze bardziej.

– Co teraz? – pyta Beezer, odwracając się w stronę podjazdu i nieruchomego radiowozu. Trzyma dziewiątkę przy prawym uchu. – Co jest...

Milknie. Pistolet *zatacza* łuk na zewnątrz i w dół. Beezer otwiera usta.

– O kurwa, Matko Boska – mówi cicho Beezer.

– To twoja sprawka, Jack? – pyta jeszcze ciszej Dale. – Jeśli tak, to naprawdę ukrywałeś swoje prawdziwe talenty.

Światło zmętniało, ponieważ polanka przed Czarnym Domem pokryła się kopułą z pszczoł. Jeszcze więcej owadów nadlatuje wzdłuż dróżki jak brązowawozłoty ogon komety. Wydają sennie, dobrodusze brzęczenie, całkowicie zagłuszające emitowaną przez dom, przypominającą syrenę przeciwpożarową wibrację. Chrapliwy nibyaligator w lesie milknie, a migające między drzewami kształty znikają zupełnie.

Głowę Jacka nagle wypełniają myśli o matce i jej obraży: Lily tańcząca, Lily z zaciśniętym w wargach papierosem, okrążająca kamerę przed wielką sceną, Lily siedząca w salonie i wyglądająca na zewnątrz, podczas gdy Patsy Cline śpiewa „Crazy Arms”.

Oczywiście, w tym drugim świecie była królową innego rodzaju, a czymże jest monarchini bez królewskiej świty?

Jack Sawyer przygląda się niezliczonej chmurze pszczoł – milionom, może nawet miliardom; tego popołudnia musiały opustoszeć wszystkie ule na Środkowym Zachodzie – i się uśmiecha. Zmienia to ukształtowanie jego powiek i łzy, które pozostałyby za nimi, spływają w dół. Halo, myśli, cześć, chłopaki.

Niskie, przyjemne brzęczenie pszczoł wydaje się ulegać subtelnej przemianie, jak gdyby mu odpowiadały. Może to tylko jego wyobraźnia.

– Po co one tu przyleciały, Jack? – pyta z podziwem w głosie Beezer.

– Dokładnie nie wiem – mówi Jack. Odwraca się z powrotem do drzwi, unosi kij i stuka raz silnie w drewno. – Otwórzcie się! – woła. – Żądam tego w imię Królowej Laury DeLoessian! I w imię mojej matki!

Rozlega się wysokie skrzypienie, tak głośne i przeszywające, że Dale i Beezer krzywią się i cofają. U szczytu drzwi pojawia się szczelina, szybko rozszerzająca w prawo. W prawym górnym rogu luka skręca i mknie pionowo w dół, tworząc szparę, przez którą wydobywa się zatechły powiew. Jackowi wpada w nozdrza kwaśna, znajoma woń: zapach śmierci, z którym po raz pierwszy zetknęli się w „Ed’s Eats”.

Jack sięga po klamkę i pociąga za nią. Swobodnie obraca się w jego ręce. Otwiera drzwi, prowadzące do Czarnego Domu.

Zanim jednak możemy zaprosić ich do środka, Doktorek Amberson zaczyna krzyczeć.

Ktoś – może Ebbie, może T.J., może stary durnowaty Ronnie Metzger – szarpie Tylera za ramię. Boli go jak skurczybyk, ale nie to jest najgorsze. Szarpiący za ramię wydaje też niesamowite brzęczenie, zdające się wibrować głęboko pod czaszką chłopca. Rozlega się również szczękanie

(*Wielkiej Kombinacji – to Wielka Kombinacja*)

ale to brzęczenie...! Człowieku, to brzęczenie boli!

– Przestań – mamrocze Tyler. – Przestań, Ebbie, albo cię...

Przez elektryczne brzęczenie przebijają się słabe krzyki. Tyler Marshall otwiera oczy. Brak miłosiernego okresu łaski, podczas którego nie miałby jeszcze pewności, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Wszystko wraca w jego pamięci z mocą jakiegoś strasznego obrazu – powiedzmy wypadku samochodowego, gdy dookoła leżą trupy – wciska się przed oczy, zanim zdąży się odwrócić głowę.

Tyler wytrzymał do zgonu starca; posłuchał głosu swojej matki i zachował spokój. Kiedy tylko jednak zaczął wołać pomocy, wróciła panika i go pochłonęła. A może to był szok. Albo jedno i drugie. Tak czy inaczej, stracił świadomość, wciąż krzycząc o pomoc. Ile czasu wisiał nieprzytomny, przykuty za lewą rękę? Nie sposób ocenić tego po wpadającym przez drzwi świetle; jego nasilenie nie ulega zmianie. Tak samo rozmaite szczękania i postękiwania olbrzymiej maszyny; Tyler pojmuje, że trwają wiecznie, razem z krzykami i trzaskaniem biczów niedających się opisać nadzorców, którzy zmuszają dzieci do dalszej pracy. Wielka Kombinacja nigdy nie staje. Krew i groza jest jej paliwem; nie ma nigdy dnia wolnego.

Wszakże brzęczenie – soczyste, elektryczne wibrowanie, jakby wydawała je największa na świecie golarka Norelco – co to takiego, u diabła?

Pan Munshun poszedł ściągnąć kolejkę, odzywa się głos Burny'ego w głowie chłopca – odrażający szept. Jednotorówkę do Zaświata.

W serce Tylera wkrada się straszliwa trwoga. Nie wątpi, że słyszy właśnie tę kolejkę, w tym momencie zajeżdżającą pod kopułę na końcu Drogi Dworcowej. Pan Munshun rozejrzy się za swoim chłopcem, swoim zbedzjalnym hobdzem, a kiedy go nie zobaczy (ani BurnBurna), czy zacznie go szukać?

– Pewnie, że tak – skrzeczy Tyler. – Och, rany. Wydymaj elfa.

Patrzy na lewą rękę. Gdyby nie kajdanki, nie byłoby trudno wyciągnąć jej ze zbyt dużych oków. I tak szarpie kilkakrotnie, ale kajdanki tylko brzękają o metalowy pierścień. Druga połowa, ta, po którą sięgał Burny, kiedy Tyler złapał go za jądra, kołysze się i podryguje, przypominając chłopcu szubienicę na końcu Drogi Dworcowej.

Doprowadzające do łzawienia i wibrowania zębów brzęczenie nagle cichnie.

Wylączył silnik. Teraz rozgląda się za mną po stacji – sprawdza, czy na pewno mnie tam nie ma. A kiedy się już upewni, co dalej? Czy wie o tym miejscu? Na pewno tak.

Trwoga Tylera zamienia się w lodowaty dreszcz przerażenia. Burny by temu zaprzeczył. Powiedział, że szopa w wyschniętym wąwozie to jego tajemnica, wyjątkowa kryjówka. W obłądnej arogancji nie przyszło mu nigdy do głowy, że to złudne przekonanie mogło służyć celom jego rzekomego przyjaciela.

W głowie Tylera znowu odzywa się matka; tym razem chłopiec ma uzasadnioną pewność, że to naprawdę Judy: *Nie możesz liczyć na nikogo innego. Może dotrą na czas, a może nie. Musisz zakładać, że im się nie uda. Musisz sam się stąd wydostać.*

Ale jak?

Tyler patrzy na zgięte zwłoki starca, leżące na skrwawionej ziemi z głową prawie za drzwiami. Myśl o Panu Munshunie – przyjacielu Burny'ego, już w tej chwili spieszącym Drogą Dworcową (może nawet jedzie własnym wózkiem golfowym), pragnącym zgarnąć go i zabrać do abbalaha – ma ochotę zakłócić koncentrację chłopca. Wzbudziłaby w nim na powrót panikę, chociaż Tyler nie może sobie na nią pozwolić. Nie zostało mu już prawie wcale czasu.

– Mogę do niego sięgnąć – mówi Tyler. – Jeśli ma klucz w kieszeni, to po mnie. Sprawa zamknięta, gra skończona, zapinać r...

Jego wzrok trafia na leżący na podłodze przedmiot. Jest to zabrany przez starca worek. Ten, w którym była czapka. I kajdanki.

Jeśli byty w nim kajdanki, to może są tam też kluczyki.

Tyler maksymalnie wysuwa do przodu lewą stopę. Na nic. Nie może dosięgnąć worka. Brakuje mu co najmniej czterech cali. Brakuje czterech cali, a Pan Munshun jest coraz bliżej i bliżej.

Tyler prawie czuje jego zapach.

Doktorek krzyczy i krzyczy, niejasno zdając sobie sprawę, że pozostali wrzeszczą na niego, żeby przestał, wszystko w porządku, nie ma się czego bać – niejasno zdaje sobie sprawę, że uszkadza sobie krtań, prawdopodobnie powoduje w niej krwotok. To wszystko się nie liczy. Liczy się, że kiedy Hollywood otwiera frontowe drzwi, Czarny Dom ukazuje osobę oficjalnie witającą gości.

Osobą oficjalnie witającą gości jest Daisy Temperly, dziewczyna o brązowych oczach. Jest ubrana w śliczną różową sukieneczkę. Skórę ma bladą jak papier, z wyjątkiem czoła po prawej stronie, gdzie jej warstwa odpadła, ukazując czerwoną czaszkę pod spodem.

– Wejź, Doktoru – mówi Daisy. – Będziemy mogli porozmawiać o tym, jak mnie zabiłeś. I będziesz mógł mi zaśpiewać. Możesz mi zaśpiewać. – Uśmiecha się. Coraz szerzej, tak, iż rozchyła usta. A w nich widać sterczące wampirze kły. – Będziesz mógł mi śpiewać wiecznie.

Doktorek potyka się, robiąc krok w tył, odwraca się, by rzucić się do ucieczki – i w tej chwili Jack chwyta go i nim potrząsa. Doktor Amberson to krzepki gość – waży dwieście sześćdziesiąt funtów po wyjściu spod prysznic, a prawie dwieście osiemdziesiąt w pełnym stroju Wojownika Drogi, jak w tej chwili – ale Jack potrząsa nim bez trudu, od czego głowa rosnącego mężczyzny kołysze się jak na patyku. Długie włosy Doktora bujają się we wszystkie strony.

– To wszystko złudzenia – mówi Jack. – Seanse przygotowane po to, żeby nie wpuścić do środka nieproszonych gości w naszym rodzaju. Nie wiem, co widziałeś, Doktoru, ale tego tam nie ma.

Doktorek ostrożnie wygląda nad ramieniem Jacka. Przez moment widzi różowy, mknący wir, po czym wszystko znika. Doktorek przenosi wzrok na Jacka. Łzy ciekną mu powoli po opalonej twarzy.

– Nie chciałem jej zabić – mówi. – Kochałem ją. Ale byłem zmęczony tamtej nocy. Wiesz coś o zmęczeniu, Hollywood?

– Tak – odpowiada Jack. – I jeśli stąd wyjdziemy, zamierzam spać przez tydzień. Na razie jednak... – Przenosi spojrzenie z Doktora na Beezera, a z niego – na Dale'a. – Zobaczymy więcej okropieństw. Ten dom użyje waszych najgorszych wspomnień: tego, co zrobiliście źle, ludzi, których skrzywdziliście. Ale ogólnie rzecz biorąc, uważam, że mamy powody do optymizmu. Chyba sporo jadu znikło z tego miejsca po śmierci Burny'ego. Musimy tylko *znaleźć* drogę na drugą stronę.

– Jack – mówi Dale.

Stoi w drzwiach, w tym samym miejscu, gdzie Daisy przywitała swojego dawnego lekarza. Komendant ma oczy jak spodki.

– Słucham?

– Znaleźć drogę... chyba łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Pozostali zbierają się wokół niego. Za drzwiami znajduje się olbrzymie okrągłe foyer, tak gigantyczne, że przez chwilę Jackowi przychodzi do głowy bazylika Świętego Piotra. Na podłodze leży akr jadowicie zielonego dywanu, pokrytego scenami tortur i bluźnierstw. Z foyer we wszystkie strony prowadzą drzwi. Oprócz tego Jack zlicza cztery krzyżujące się schody. Mruga – i robi się ich sześć. Mruga znowu – i jest ich już dziesięć, mają zmysły jak rysunki Eschera.

Słyszy głębokie, bezmyślne brzęczenie, stanowiące sygnaturę Czarnego Domu. Słyszy też coś jeszcze: śmiech.

Wejdźcie, mówi im Czarny Dom. Wejdźcie i już wiecznie wędrujcie po moich pokojach.

Jack mruga i widzi tysiąc schodów, niektórych ruchomych, wyrzuszających się w różne strony. Otwierają się drzwi do galerii obrazów, galerii rzeźb, kłębiących się wirów, do nicości.

– I co teraz zrobimy? – pyta ponuro Dale. – Do diabła, co teraz zrobimy?

Tyler nigdy nie widział przyjaciela Burny'ego, ale wisząc pod ścianą, dochodzi do wniosku, że łatwo może go sobie wyobrazić. W tym świecie Pan Munshun jest prawdziwym stworzeniem... chociaż nie człowiekiem. Tyler widzi w duchu powłóczącą nogami, ruchliwą postać w czarnym garniturze i powiewnym czerwonym fularze, spieszącą Drogą Dworcową. Stwór ten ma olbrzymią, białą twarz, zdominowaną przez czerwone usta i pojedyncze, mętne oko. Emisariusz i pierwszy zastępca abbalaha wygląda w wyobrażeniu Tylera jak HumptyDumpty, który zszedł na złą drogę. Stwór ma na sobie kamizelkę z kościanymi guzikami.

Muszę się stąd wydostać. Muszę jakoś dostać ten worek... ale jak?

Znów patrzy na Burny'ego. Na koszmarny labirynt wywleczonych trzewi starca. Nagle przychodzi mu do głowy odpowiedź. Ponownie wyciąga nogę, ale tym razem nie w stronę worka. *Zahacza* zamiast tego czubkiem buta o wysmarowaną ziemią pętlę jelit Burny'ego. Podnosi ją, obraca się i lekko potrząsa nogą. Pętla zsuwa się z czubka tenisówki.

I otacza skórzany worek.

Jak na razie świetnie. Jeśli tylko Tylerowi uda się przyciągnąć ją tak, by dalej przesunąć stopą...

Starając się nie myśleć o krępej, spieszącej postaci z groteskowo zdeformowanym obliczem, Tyler znowu wyciąga stopę. Wsuwają pod brudny zwój trzewi, po czym zaczyna ciągnąć powoli i z nieskończoną ostrożnością.

– To niemożliwe – mówi Beezer. – Nic nie może być aż tak wielkie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Jack bierze głęboki oddech, wypuszcza powietrze, ponownie oddycha i wypowiada jedno słowo cichym, zdecydowanym tonem.

– Deejamber? – pyta podejrzliwie Beez. – Co to u diabła jest: deejamber?

Jack nie zwraca sobie głowy odpowiedzią. Z wiszącej nad polaną olbrzymiej chmury brzęczących pszczół (radiowóz Dale'a to w tej chwili tylko włochata czarnożłota bryła przed gankiem) odrywa się pojedynczy owad. On – ona, ponieważ niewątpliwie jest to królowa pszczół – przelatuje między Dale'em i Doktorkiem, przez chwilę zawisa przed Beezerem, jakby mu się przyglądała (lub miodowi, którym grubo się nasmarował), po czym nieruchomieje przed Jackiem. Jest tłusta, aerodynamicznie absurdalna, niedorzeczna i w jakiś sposób absolutnie cudowna. Jack unosi palec jak profesor szykujący się do wygłoszenia ważnego twierdzenia czy lider bigbandu, podający rytm. Pszczoła ląduje na jego czubku.

– Jesteś od niej?

Zadaje pytanie niskim tonem – zbyt cichym, by usłyszeli go pozostali, nawet stojący obok niego Beezer. Jack nie jest pewny, kogo ma na myśli. Jego matkę? Laurę DeLoessian? Judy? Sophie? A może istnieje jakaś inna Ona, potęga, stanowiąca przeciwwagę dla Karmazynowego Króla? Wydaje się to trafną odpowiedzią, ale Jack domyśla się, że nigdy nie dowie się tego na pewno.

Tak czy inaczej, pszczoła z rozmytymi skrzydełkami jedynie wpatruje się w niego wielkimi, czarnymi oczami. Jack zaś zdaje sobie sprawę, że na pewne pytania nie potrzebuje odpowiedzi. Był śpiochem, ale teraz już wstał, podniósł się z łóżka. Ten dom jest olbrzymi i głęboki, składa się z nagromadzonej podłogi i warstw tajemnic, ale co z tego? Jack ma kijnagrodę Tylera, ma przyjaciół, ma *d'yambe*, a teraz dołączyła do niego królowa pszczół. To wystarczy. Może już iść. W zasadzie cieszy się, że pójdzie.

Jack unosi czubek palca do ust i delikatnie zdmuchuje pszczołę do holu Czarnego Domu. Pszczoła przez chwilę krąży bez celu, po czym mknie w lewo i szybkuje przez drzwi o osobliwie spęczniałym, tłustym zarysie.

– Ruszamy – mówi Jack. – Wchodzimy do gry.

Pozostali trzej patrzą niespokojnie po sobie, po czym ruszają za nim, tam gdzie najwyraźniej zawsze było ich przeznaczenie.

Nie sposób określić, ile czasu Gang Sawyera spędza w Czarnym Domu, tej dziurze, z której bucha materia ześlizgu zalewająca French Landing i okoliczne miasteczka. Podobnie nie sposób opowiedzieć w jakikolwiek klarowny sposób, co czterej mężczyźni tam widzą. W bardzo realnym sensie wędrówka po Czarnym Domu to jak wyprawa do mózgu szaleńca, a w takich umysłowych ramach nie należy spodziewać się planów na przyszłość ani pamięci o przeszłości. W mózgu szaleńca istnieje jedynie parująca terażniejszość, wypełniona niekończącymi się krzykliwymi ponagleniami, paranoicznymi spekulacjami i megalomańskimi założeniami. Nie powinno więc zaskakiwać, że wszystko, co czwórka naszych przyjaciół widzi w Czarnym Domu, blaknie w ich umysłach, gdy tylko znika przed oczu, pozostawiając jedynie niejasne, niespokojne szepty, mogące stanowić krzyk opopanaksa z oddali. Amnezja ta jest miłosierna.

Wiedzie ich królowa pszczoł, a jej podwładne podążają za nią rojem, odbarwiającym powietrze swym ogromem i wprawiającym w ruch pokoje, w których od wieków panowało milczenie (rzecz jasna pojmujemy – intuicyjnie, jeśli nie logicznie – że Czarny Dom istniał na długo, nim Burny zbudował we French Landing jego najnowszy przyczółek). W pewnym momencie kwartet zstępuje schodami, pokrytymi zieloną trawą. W otchłani pod stopniami widać kołujące ptaki, przypominające sępy, ale obdarzone białymi twarzyczkami zaginionych dzieci. W długim, wąskim pokoju, podobnym do wagonu pulmanowskiego, ożywione postaci z rysunków – dwa króliki, lis i sprawiąca wrażenie naćpanej żaba w białych rękawiczkach – siedzą wokół stołu i pożywiają się czymś, co wygląda na pchły. To rzeczywiście kreskówki, czarnobiałe kreskówki z lat czterdziestych, a Jacka bolą oczy od patrzenia na nie, bo są równocześnie prawdziwe. Gdy Gang Sawyera go mijają, królik porozumiewawczo mruży oko, a w drugim, które się nie zamyka, Jack dostrzega matową żądzę mordy. Gdzieś jest pusty pokój, pełen głosów, które krzyczą w jakimś obcym języku, brzmiącym jak francuski, ale nim niebędącym. Gdzieś jest pokój wypełniony zieloną jak wymioty dżunglą i oświetlony palącym tropikalnym słońcem. Na jednym z drzew wisi wielki kokon, w którego wnętrzu znajduje się stworzenie wyglądające na małego, owiniętego we własne skrzydła smoka.

– To nie może być smok – mówi Doktorek Amberson dziwnie rozsądnym głosem. – Wykluwają się z jaj albo zębów innych smoków. Może jedno i drugie.

Idą długim korytarzem o coraz bardziej zaokrąglonych ścianach, który zamienia się wreszcie w tunel i przechodzi w wielki, wyślizgany zsyp, rezonujący w rytm szaleńczych

uderzeń perkusji dobiegających z niewidzialnych głośników. Jack ma wrażenie, że to muzyka Cozy Cole'a albo Gene'a Krupy. Ściany rozstępują się i przez chwilę mężczyźni ślizgają się nad dosłownie bezdenną otchłanią.

– Sterujcie stopami i rękami! – woła Beezer. – Jeśli nie chcecie wypaść na bok, STERUJCIE!

Wreszcie wpadają do czegoś, co Dale nazywa Brudownikiem. Gramolą się przez olbrzymie kopce ohydnie śmierdzącej ziemi pod przerdzewiałym blaszanym sufitem, udekorowanym gołymi żarówkami. Plutony zielonkawobiałych pajaków wędrują tam i z powrotem jak ławice ryb. Zanim czterej mężczyźni docierają na drugą stronę, dyszą i brakuje im tchu; mają ubłocone buty i wysmarowane ziemią ubrania. Dalej jest troje drzwi. Ich przewodniczka *zatacza* z brzęczeniem kręgi przed środkowymi.

– Za nic – mówi Dale. – Wybieram to, co jest za kurtyną.

Jack mówi mu, że ma pewną przyszłość w kabarecie, bez dwóch zdań, po czym otwiera wybrane dla nich przez pszczołę drzwi. Za nimi jest wielka zautomatyzowana pralnia, którą Beezer natychmiast nazywa Halą Czystości. Stłoczeni ruszają za pszczołą wilgotnym przejściem między rzędami pełnych mydlin pralek i warczących, dygoczących suszarek. Powietrze pachnie pieczonym chlebem. Pralki – każda z pojedynczą, czerwoną klapką – są zestawione do wysokości co najmniej pięćdziesięciu stóp. Nad nimi w oceanie pełnego kurzu powietrza szybują w niespokojnych prądach stadka gołębi. Co jakiś czas wędrowcy mijają stosy kości lub inne znaki, że znalazły się tutaj (lub zostały sprowadzone) istoty ludzkie. W którymś korytarzu znajdują pokryty pajęczynami skuter; dalej – powleczone grubą warstwą kurzu dziewczęce wrotki. W olbrzymiej bibliotece na mahoniowym stole ułożono z ludzkich kości słowa: ŚMIEJ SIĘ. W bogato wyposażonym (aczkolwiek ewidentnie zaniedbanym) salonie, przez który wiedzie ich pszczoła, Dale i Doktorek dostrzegają, że sztuka na ścianach wydaje się składać wyłącznie ze skóry twarzy, którą zdjęto, wyprawiono, a następnie naciągnięto na drewniane kwadratowe ramy. W puste oczodoły wstawiono malowane oczy, wielkie i zaskoczone. Dale ma wrażenie, że rozpoznaje przynajmniej jedną z tych twarzy: Milton Wanderly, nauczyciel, który gdzieś przepadł trzy czy cztery lata temu. Wszyscy zakładali, że młodszy brat Dona Wanderly'ego po prostu opuścił miasto. Cóż, myśli Dale, *zgadza* się, opuścił je. W połowie korytarza o ścianach z kamieni, do którego przylegają cele, pszczoła wpada do jednego z ohydnych małych pomieszczeń i *zatacza* krąg nad obszarpanym siennikiem. Z początku nikt się nie odzywa. Nie muszą. Tyler był tutaj, i to niedawno. Prawie czują jego zapach – woń strachu. Wreszcie Beezer odwraca się w stronę Jacka. Niebieskie oczy nad bujną rudobrazową brodą ma zwężone z furii.

– Stary sukinsyn go czymś poparzył. Albo popieścił prądem.

Jack kiwa głową. On również to wyczuwa, chociaż nie wie i nie obchodzi go, czy nosem, czy też umysłem.

– Burnside już nikogo nie popieści – mówi.

Królowa pszczoł wymyka się między nimi i niecierpliwie kręci się na korytarzu. Po lewej stronie, skąd przyszli, jest czarno od pszczoł. Skręcają w prawo; niebawem królowa wiedzie ich w dół kolejnymi pozornie nieskończonymi schodami. W pewnym momencie przechodzą przez krótki odcinek, gdzie sączy się rozpylona woda – gdzieś nad tą częścią schodów pękła rura w niewyobrażalnych trzewiach Czarnego Domu. Ze sześć stopni jest mokrych i widać na nich ślady. Są zbyt niewyraźne, by się na coś przydały ekipie kryminalistycznej (myśl ta przychodzi do głowy zarówno Jackowi, jak i Dale'owi), ale Gang Sawyera czuje otuchę: widać odciski dużych i małych stóp, a i jedno, i drugie są względnie świeże. Wreszcie do czegoś docierają, dzięki Bogu! Ruszają szybciej, a za nimi pszczoły zlatują w dół olbrzymią brzęczącą chmarą, jak starotestamentowa plaga.

Jeśli nawet czas przestał istnieć dla Gangu Sawyera, to Tyler Marshall czuje jego dręczącą obecność. Nie jest pewny, czy wrażenie zbliżania się Pana Munshuna to skutek wyobraźni, czy przecucia, ale czuje koszmarny lęk, że chodzi o to drugie. Musi wydostać się z szopy, musi, ale wciąż nie może dobrać się do przeklętego worka. Daje radę przyciągnąć go pętlą jelit; na ironię zakrawa, iż to okazało się najłatwiejsze. Ciężiej jest wziąć to cholerstwo do ręki.

Tyler nie może go dosięgnąć; bez względu na to, jak się napina, jak okrutnie nadweręza lewy bark i skuty nadgarstek, brakuje mu co najmniej dwóch stóp. Po policzkach spływają chłopcu łzy bólu. Całą wilgoć, jaką w ten sposób traci, natychmiast uzupełnia spływający z pobrudzonego czoła pot.

– Podrzucić go stopą – mówi. – Jak w piłce nożnej. – Patrzy na wyciągniętą bezładnie w progu postać – jego niedawnego dręczyciela. – Jak w piłce, zgadza się, BurnBurn?

Opiera bok stopy o worek, dopycha go do ściany i zaczyna podsuwać po zakrwawionym drewnie. Równocześnie sięga w dół... już tylko czternaście cali... już tylko dwanaście cali... sięga...

...a skórzany worek zsuwa się z czubka tenisówki i ląduje na ziemi. Plop.

– Pilnujesz, czy nie idzie, co Burny? – dyszy Tyler. – Musisz, wiesz? Jestem odwrócony plecami. Filujesz za mnie, tak? Jesteś... Kurwa!

Tym razem worek zsunął mu się z nogi, zanim zaczął go nawet podnosić. Tyler wali wolną ręką w ścianę.

Dlaczego to robisz! – pyta chłodno głos, należący do kobiety, mówiącej jak jego matka, ale która niezupełnie nią jest. *Czy ci to pomoże!*

– Nie, ale od tego czuję się lepiej – mówi z niechęcią Tyler.

Poczujesz się lepiej, jak się uwolnisz. Spróbuj jeszcze raz.

Tyler po raz kolejny podtacza skórzany worek pod ścianę. Przyciska do niego stopę, starając się wyczuć, co jest w środku – na przykład klucz – ale mu się to nie udaje. Nie przez

tenisówkę. Zaczyna raz jeszcze podsuwać worek po ścianie. Ostrożnie... nie za szybko... jakby prowadził piłkę w stronę bramki...

– Nie wpuść go, Burny – dyszy do trupa za plecami. – Jesteś mi to winien. Nie chcę wsiąść do tej kolejki. Nie chcę jechać do Zaświata. I nie chcę zostać Niszczycielem. Cokolwiek to jest, nie chcę tym zostać. Chcę być badaczem... może podwodnym, jak Jacques Cousteau... albo lotnikiem w siłach powietrznych... albo może... KURWA!

Gdy worek i tym razem spada, Tyler czuje nie rozdrażnienie, ale wściekłość i prawie panikę.

Pan Munshun krząta się i spieszy. Jest coraz bliżej. Chce zabrać Tylera. Dintah. Abbalahdoon. Na wieki wieków.

– I tak cholernego klucza pewnie tam nie ma – mówi drżącym, wpadającym w szloch głosem Tyler. – Prawda, Burny?

„Chummy” Burnside nie komentuje tych słów.

– Założę się, że nic tam nie ma. Może najwyżej... bo ja wiem... tabletki na nadkwasotę albo coś. Jak sieje ludzi, to na pewno dostaje się niestrawności.

Mimo to Tyler ponownie zaczepia stopą o worek i raz jeszcze zaczyna mozolnie podsuwać go po ścianie na taką wysokość, by móc dosięgnąć go wyciągniętymi palcami.

Dale Gilbertson całe życie mieszkał w regionie Coulee i nawykł do zieleni. Dla niego ciągnące się po horyzont drzewa, łąki i pola to normalka. Pewnie właśnie dlatego patrzy na spopieloną, dymiącą ziemię, otaczającą Drogę Conger, z wielkim obrzydzeniem i rosnącym wstrętem.

– Co to za miejsce? – pyta Jack.

Wyrzuca urywane słowa w trakcie kolejnych stęknień. Gang Sawyera nie ma wózków golfowych i musi zasuwać na piechotę. W istocie Jack narzucił tempo nieco szybsze niż prędkość, z jaką Tyler prowadził EZGo.

– Nie wiem dokładnie – odpowiada Jack. – Dawno temu widziałem podobne miejsce. Nazywało się Spustoszone Ziemie. Było...

Zielonkawy człowiek o łuskowatej skórze nagle wyskakuje w ich stronę z serty wielkich głazów. W jednej ręce trzyma krótki bicz – o ile Jackowi wiadomo, poprawnie nazywa się to szpicrutą. Mara woła „Bahhrrr!”, co niesamowicie przypomina śmiech Richarda Sloata – kiedy Richard się śmieje.

Jack podnosi kij Tylera i patrzy pytająco na marę: *Chcesz tego spróbować!* Mara najwyraźniej nie ma ochoty. Przez chwilę stoi w miejscu, po czym rzuca się do ucieczki. Gdy z powrotem znika w labiryncie głazów, Jack dostrzega, że wzdłuż jej ścięgien Achillesa rosną nierówne rzędy rogowych ostróg.

– Czują szacunek przed Cudownym Chłopcem – mówi Beezer, patrząc z aprobatą na kij baseballowy. Jest to nadal kij, tak jak dziewiątki i rugery .357 to nadal pistolety, a oni to oni:

Jack, Dale, Beezer, Doktorek. Jack stwierdza, że nie jest tym zbyt zdziwiony. Przecież podczas pogawędki pod szpitalnym pawilonem Parkus powiedział mu, że nie chodzi o Dwójników. Ten świat może przylegać do Terytoriów, ale nie jest nimi. Jackowi wyleciało to z głowy.

No cóż – miałem parę innych spraw.

– Nie wiem, czy przyjrzelście się bliżej murkowi po drugiej stronie tej uroczej alejki, chłopcy – mówi Dale. – Wydaje się jednak, że te wielkie białe kamienie to w istocie czaszki.

Beezer obrzuca mur przelotnym spojrzeniem, po czym kieruje wzrok z powrotem przed siebie.

– Martwi mnie co innego: tamto – mówi. Nad przypominającą nierówne zęby linią horyzontu wznosi się niknący w chmurach wielki galimatias stali, szkła i maszynerii. Widać trudzące się, przemykające po nim drobne figurki, słysząc trzaskanie bieży. Z odległości brzmi to jak pukanie dwudziestkidwójki. – Co to takiego, Jack?

Jack początkowo myślał, że ma przed sobą Niszczycieli Karmazynowego Króla, lecz nie – jest ich za wielu. Ów budynek to jakiegoś rodzaju fabryka czy siłownia, napędzana niewolniczą siłą. Dzieci nie dość utalentowanych, by kwalifikowały się na Niszczycieli. W sercu Jacka narasta bezgraniczne oburzenie. Brzęczenie pszczół za nim staje się głośniejsze, jakby to wyczuwały.

W głowie słyszy szept Speedy’ego: *Oszczędź swój gniew, Jack – twoim podstawowym zadaniem jest uwolnienie chłopca. A czasu zostało bardzo, bardzo mało.*

– Och, Chryste – mówi Dale i wskazuje. – Czy to to, co myślę?

Nad zakręcającą drogą pochyla się jak szkielet szubienica.

– Jeśli myślisz, że to szubienica, to chyba wygrywasz komplet naczyń stołowych z nierdzewnej stali i przechodzisz do następnej rundy.

– Popatrzcie na te buty – mówi Dale. – Dlaczego usypali z nich taką stertę?

– Bóg jeden wie – odpowiada Beezer. – Pewnie to taki lokalny obyczaj. Ile nam zostało, Jack? W ogóle się domyślasz?

Jack patrzy na drogę w przedzie, potem na odchodzącą w lewo odnogę, przy której początku stoi wiekowa szubienica.

– Niedaleko – mówi. – Myślę, że...

W tym samym momencie zaczynają słyszeć wołania. Są to krzyki dzieci zepchniętych na skraj szaleństwa. Lub może poza niego.

Tyler Marshall słyszy zbliżające się brzęczenie pszczół, ale sądzi, że rozlega się tylko w jego głowie, że to tylko odgłos jego rosnącego lęku. Nie orientuje się, ile razy próbował podsunąć skórzany worek Burny’ego po ścianie szopy; stracił rachubę. Nie przychodzi mu do głowy, że zdjęcie niezwyklej czapki – wyglądającej jak z płótna i jak z metalu w dotyku – mogłoby poprawić jego koordynację, ponieważ zupełnie o niej zapomniał. Wie tylko, że jest

zmęczony, poci się i drży, zapewne jest w szoku, a jeśli nie zdoła tym razem złapać worka, to pewnie się podda.

Pewnie pojedę z Panem Munshunem, jeśli tylko obieca mi szklanek wody, myśli. Jego organizm cechuje się jednak odziedziczonym po Judy hartem, a do tego dochodzi nieco królewskiej stanowczości Sophie. Ignorując więc ból w udach, zaczyna znowu podpychać worek po ścianie, równocześnie sięgając w dół prawą ręką.

Dziesięć cali... osiem... jeszcze ani razu nie zostało mu tak mało...

Worek zsuwa się w lewo. Zapowiada się, że spadnie mu z nogi. Znowu.

– Nie – mówi cicho Tyler. – Nie tym razem.

Przyciska tenisówkę silniej do drewna, po czym zaczyna przesuwając ją jeszcze wyżej.

Sześć cali... cztery... trzy, i worek zaczyna przechylać się coraz bardziej w lewo, spadnie...

– Nie! – krzyczy Tyler i przekrzywia się z wysiłkiem.

Chrzęści mu w grzbiecie. Tak samo w umęczonym lewym ramieniu. Jego palce muskają jednak worek... i zaciskają się na nim. Podnosi go... i do diabła, o mało sam go nie upuszcza.

– Nie da rady, Burny – stęka, podrzucając jak zongler skórzany worek i przyciskając go do piersi. – Nie nabierzesz mnie na tę starą sztuczkę, za nic na świecie mnie na to nie nabierzesz.

Zaciska zęby na skraju worka. Skóra cuchnie okrutnie zgnilizną – eau de Burnside. Nie zwracając na to uwagi, Tyler otwiera worek. Z początku myśli, że jest pusty, i wydaje cichy szloch. Potem dostrzega w środku pojedynczy srebrzysty odbłysek. Płacząc z zaciśniętymi zębami, Tyler sięga do dyndającego worka prawą ręką i wyjmuje klucz.

Nie mogę go upuścić, myśli. Jeśli go upuszczę, to oszaleję. Naprawdę zwariuję.

Nie upuszcza. Unosi go nad głowę, wsuwa w mały otwór z boku kajdanków na lewym nadgarstku i obraca. Kajdanki się otwierają.

Bardzo powoli Tyler wysuwa rękę z metalowego pierścienia. Kajdanki spadają na polepę w szopie. Gdy tak stoi, przychodzi mu do głowy dziwnie przekonująca myśl: w rzeczywistości wciąż jest w Czarnym Domu, śpi na postrzępionym sienniku z wiadrem na odchody w jednym kącie celi i miską z wołowiną Dinty Moore w drugim. To tylko wyczerpany umysł podsunął mu odrobinę nadziei. Ostatnie wakacje, zanim się powędruje do gara.

Z zewnątrz rozlega się szczękanie Wielkiej Kombinacji i krzyki napędzających ją dzieci, maszerujących, maszerujących, maszerujących na krwawiących stopkach. Gdzieś tam jest Pan Munshun, który chce zabrać Tylera w jeszcze gorsze miejsce.

To nie sen. Tyler nie wie, dokąd stąd pójdzie ani jakim cudem wróci do znanego świata, ale pierwszym krokiem na tej drodze jest wydostanie się z szopy i jej sąsiedztwa. Na drżących nogach, jak ofiara wypadku wstająca po raz pierwszy z łóżka po długiej rekonwalescencji. Ty Marshall przestępuje wyciągnięte na ziemi zwłoki Burny'ego i wychodzi z szopy. Dzień jest

pochmurny, krajobraz wyjąłowany, i nawet tutaj rozchwiany drapacz chmur, pełen bólu i udręki, dominuje nad pejzażem, lecz mimo to Tyler czuje niezmierną radość z samego faktu, że znowu znalazł się pod otwartym niebem. Że jest wolny. Dopiero gdy staje plecami do szopy, dociera do niego, jak bardzo był pewny, że w niej umrze. Tyler zamyka na chwilę oczy i wznosi twarz ku szaremu niebu. Dlatego też nie dostrzega postaci stojącej z boku szopy, przezornie chcąc się upewnić, że chłopiec nadal ma czapkę na głowie. Gdy to następuje, Lord Malshun – jest to najdokładniejsza wersja jego nazwiska, jaką potrafimy podać – wychodzi naprzód. Jego groteskowe oblicze przypomina wielką łyżkę z owiniętym w skórę trzonkiem. Pojedyncze oko jest koszmarnie wytrzeszczone. Uśmiechają się czerwone wargi. Gdy Lord Malshun obejmuje chłopca rękami, Tyler zaczyna krzyczeć – nie tylko ze strachu i zaskoczenia, ale i z oburzenia. Przecież tak bardzo, tak strasznie się męczył, żeby się oswobodzić.

– Szsz – szepcze Lord Malshun, a gdy Tyler nadal wydaje dzikie okrzyki (na górnych poziomach Wielkiej Kombinacji niektóre dzieci odwracają się w tę stronę, nim brutalne ogry, pełniące funkcję majstrów, ciosami bieży zmuszają ich do powrotu do pracy), namiestnik abbalaha wypowiada jedno słowo w Mrocznej Mowie: – *Pnung*.

Tyler wiotczeje. Gdyby Lord Malshun nie obejmował go z tyłu, chłopiec by upadł. Z bezwładnych, zaślinionych ust Tylera wciąż wydobywają się gardłowe jęki protestu, ale krzyki ustały. Lord Malshun zwraca wydłużoną, łyżkowatą twarz w stronę Wielkiej Kombinacji i się uśmiecha. Życie jest piękne! Następnie zagląda do szopy – na krótko, ale z wielkim zainteresowaniem.

– Załatwiłeś go – mówi Lord Malshun. – I to w czapce. Zdumiewający chłopiec! Wiesz, Król chce poznać cię osobiście, zanim udasz się do Dintah. Może poczęstuje cię ciastem i kawą. Wyobraź sobie, młody Tylerze! Ciasto i kawa z abbalahem! Ciasto i kawa z Królem!

– ...nie chcę do... chcę do domu... moja maaa... – Słowa te sączą się wolno i ociężale jak krew ze śmiertelnej rany.

Lord Malshun przesuwając palcem po wargach Tylera; zaciskają się pod jego dotykiem.

– Szsz – powtarza łowca talentów abbalaha. – Niewiele jest w życiu rzeczy bardziej irytujących od gadatliwych kompanów podróży. A czeka nas daleka droga. Daleko od twojego domu, rodziny i przyjaciół... ach, ale nie płacz. – Malshun spostrzega bowiem, że z kącików oczu zwiotczalego chłopca zaczynają cieć łzy i staczają się po płaszczyznach jego policzków. – Nie płacz, mały Tylerze. Będziesz miał nowych przyjaciół. Na przykład Głównego Niszczyciela. Wszyscy chłopcy lubią Głównego Niszczyciela. Nazywa się Brautigan. Może opowie ci o swoich licznych ucieczkach. To naprawdę śmieszne historie! Można umrzeć ze śmiechu! Teraz jednak musimy już jechać. Ciasto i kawa u Króla! Nie zapominaj o tym!

Lord Malshun jest krępy i ma dość krzywe kolana (jego nogi są w istocie znacznie krótsze niż groteskowo wydłużona twarz), lecz cechuje go spora siła. Wpycha sobie chłopca

pod pachę, jakby ważył najwyżej tyle co dwa czy trzy prześcieradła. Bez zbytniego żalu ogląda się ostatni raz na Burny'ego – na prowincji stanu Nowy Jork żyje bardzo obiecujący młody człowiek, a Burny i tak właściwie zużył się już doszczętnie.

Lord Malshun przekrzywia głowę na bok i wydaje niemal bezgłośny, parszający śmiech. Następnie rusza, nie zapominając porządnie naciągnąć chłopcu czapki na głowę. Tyler to nie byle jaki Niszczyciel; być może jest najpotężniejszy spośród wszystkich, jacy się do tej pory narodzili. Na szczęście nie zdaje sobie jeszcze sprawy ze swojej potęgi. Pewnie nic by się nie stało, gdyby rzeczywiście spadła mu czapka, ale lepiej nie ryzykować.

Żwawo przebierając nogami – i nawet cicho mruczając pod nosem – Lord Malshun dociera do wylotu wąwozu, skręca w lewo w Drogę Conger, by cofnąć się nią pół mili do Drogi Dworcowej... i staje jak wryty. Przed sobą ma czterech mężczyzn, o których myśli jako o Tertah. Jest to określenie z żargonu, i to niepocholebne. W Księdze Dobrej Uprawy Ter to faza Pełni Ziemi, w której dopuszcza się samce do bydła rozplodowego. Lord Malshun traktuje świat za frontowymi drzwiami Czarnego Domu jako swego rodzaju wielkie *caldo largo* – żywą zupę, z której może czerpać chochlą (oczywiście, zawsze z poruczenia abbalaha!), kiedy tylko ma ochotę.

Czterech mężczyzn z Ter? Usta Malshuna wykrzywiają się z pogardy, wzbudzając rozprzestrzeniające się po całym obliczu pofałdowania. Co oni tu robią? Cóż takiego mają nadzieję tu osiągnąć?

Uśmiech zaczyna przygasać, gdy Malshun zauważa niesiony przez jednego z mężczyzn drążek. Rozchodzi się od niego zmienny, wielobarwny blask, którego jądrem w jakiś sposób jest stale biel. Światło oślepia. Lord Malshun zna tylko jedną rzecz, która lśniła takim blaskiem – była to Kula Wieczności, znana przynajmniej jednemu małemu, wędrującemu chłopcu jako Talizman. Ów chłopiec jej niegdyś dotknął i jak mogłaby mu powiedzieć Laura DeLoessian – co zresztą Jack już wie – dotknięcie Talizmanu pozostawia nigdy nieniknący ślad.

Uśmiech znika całkiem, kiedy Lord Malshun uświadamia sobie, że mężczyzna z pałką był tym chłopcem. Znów się zjawił, by sprawić kłopoty, ale jeśli myśli, że zabierze nagrodę nad nagrody, to się zupełnie myli. Ostatecznie to tylko drążek, a nie sama Kula; może w mężczyźnie przetrwało nieco szczątkowej mocy Kuli, ale na pewno jest jej niewiele. Na pewno po upływie tylu lat jest to tylko popiół i proch.

A moje życie byłoby warte tyle, co proch, gdybym dopuścił, żeby odebrał mi tego chłopca, myśli Lord Malshun. Muszę...

Jego pojedyncze oko zwraca się ku czarnej burzowej chmurze, wiszącej nad ludźmi z Ter. Rozlega się od niej donośne, senne brzęczenie. Pszczoły? Pszczoły z żądlami? Pszczoły z żądlami między Malshunem i Drogą Dworcową?

No cóż, poradzi sobie z nimi. W swoim czasie. Najpierw trzeba się zająć irytującymi ludźmi.

– Dzień dobry, panowie – mówi Lord Malshun swoim najprzyjemniejszym głosem. Zniknął udawany niemiecki akcent; obecnie mówi jak fałszywy angielski arystokrata z komedii z West Endu z lat pięćdziesiątych. Lub też jak nazistowski propagandysta Lord HauHau z czasów drugiej wojny światowej. – Cudownie, że wybraliście się tak daleko z wizytą, absolutnie cudownie, i to w tak paskudny dzień. Obawiam się jednak, że większość dni jest tu paskudnych, Diny Zaświata po prostu zostały stworzone dla zilustrowania tego żalospnego określenia, wiecie? Poza tym – do diaska – po prostu nie mogę dotrzymać wam towarzystwa. Obawiam się, że muszę dostarczyć na czas pewien towar.

Lord Malshun podnosi Tylera i nim potrząsa. Chociaż chłopiec ma otwarte oczy i jest najwyraźniej przytomny, jego ręce i nogi kołyszą się tak wiotko, jakby był szmacianą lalką.

– Postaw go, Munshun – mówi mężczyzna z pałką.

Lord Malshun uświadamia sobie z rosnącą trwogą, że rzeczywiście może mieć z nim problem. Naprawdę. Mimo to uśmiecha się jeszcze szerzej, ukazując pełny zestaw upiornych zębów. Są spiczaste i zakrzywione do środka. Cokolwiek by się w nich znalazło, rozdarłoby się na strzępy, starając się uwolnić z tej kościanej pułapki.

– Munshun? Munshun? Nie ma tu nikogo o takim nazwisku. Ani Pana Mondaya, jeśli już o to chodzi. Wszyscy znikli, siemanko, papa, buźka i cześć. Co do postawienia chłopca, nie da rady, chłopie, po prostu nie da się. Mam zobowiązania, wiesz. Naprawdę, powinniście uważać się za szczęściarzy, ludziska. Wasze lokalne panowanie terroru dobiegło końca. Hurra! Rybak nie żyje – w istocie pozbył się go ten tutaj chłopiec, ten absolutnie godny podziwu chłopiec.

Potrząsa kolejny raz Tylerem, stale uważając, żeby nie opuścić jego głowy. Źle by się stało, gdyby spadła mu czapka, och, źle.

Niepokoją go pszczoły.

Kto je wysłał?

– Matka chłopca jest w domu dla obłąkanych – mówi mężczyzna z drażkiem. Lord Malshun widzi z narastającym strachem, że pałka goreje jeszcze gwałtowniej. Bardzo się teraz lęka, a wraz z obawą pojawia się gniew. Czy to możliwe, by go zwyciężyli? By naprawdę odebrali chłopca? – Jest tam i chce odzyskać syna.

Jeśli tak, w nagrodę za swoje starania dostaną trupa.

Bez względu na strach Lord Malshun uśmiecha się jeszcze szerzej. (Dale'owi Gilbertsonowi przychodzi nagle do głowy koszmarna wizja: William F. Buckley jun. z jednym okiem i twarzą długości pięciu stóp). Malshun podnosi chłopca bliżej ust i kąsa powietrze rzędami szpilkowatych zębów mniej niż cal od odsłoniętej szyi.

– Niech mąż wsadzi jej kutasa i zrobi następnego dzieciaka, chłopie – na pewno to potrafi. Ostatecznie żyją w Tertah. Żeby zająć w ciężę, kobietom wystarczy tam przejść się ulicą.

– Ona ma słabość do tego chłopca – mówi jeden z brodaczy.

– Ja również, mój drogi. Ja również.

Lord Malshun rzeczywiście skubie tym razem skórę Tylera; cieknie krew jak z zacięcia przy goleniu. Za nimi Wielka Kombinacja nadal skrzypi, ale krzyki ustały, jakby napędzające maszynę dzieci zdały sobie sprawę, że coś się stało albo może się stać – że świat znalazł się w stanie chwiejnej równowagi.

Mężczyzna ze świetlistym kijem robi krok naprzód. Lord Malshun kuli się wbrew własnej woli. Okazanie słabości i lęku jest błędem, wie o tym, ale nie potrafi się powstrzymać. Nie jest to bowiem zwyczajny tah. To ktoś przypominający dawnych rewolwerowców, owych wojowników Wyżyn.

– Zrób jeszcze krok, a rozplątam mu gardło, mój drogi. Zrobiłbym to z niechęcią, z prawdziwą niechęcią, ale nie miej złudzeń, jestem do tego zdolny.

– Sam byś zginął dwie sekundy później – mówi mężczyzna z drążkiem. Można odnieść wrażenie, że zupełnie się nie lęka, o siebie czy o Tylera. – Tego właśnie chcesz?

Właściwie mając do wyboru śmierć lub powrót do Karmazynowego Króla z pustymi rękami, Lord Malshun wybrałby to pierwsze. Uspokajające słowo zadziałało na chłopca i co najmniej trzech z mężczyzn – tych zwyczajnych. Gdy tych czterech leżałoby bez zmysłów z otwartymi oczyma na drodze, Lord Malshun poradziłby sobie z czwartym. Ten czwarty to oczywiście Sawyer. Tak się nazywa. Jeśli chodzi o pszczoły, Malshunowi na pewno wystarczyłoby ochronnych słów na pokonanie Drogi Dworcowej do kolejki. Jeśli by nawet został kilka razy użądłony, co z tego?

– Tego właśnie chcesz? – pyta Sawyer.

Lord Malshun się uśmiecha.

– *Pnungl* – woła, a za Jackiem Sawyerem Dale, Beezer i Doktorem nieruchomieją.

Uśmiech Lorda Malshuna poszerza się tak, że ukazują się zęby.

– I co teraz zrobisz, mój natrętny druhu? Co zrobisz, skoro już nie masz wsparcia ze strony przy...

Armand „Beezer” St. Pierre rusza naprzód. Pierwszy krok kosztuje mnóstwo wysiłku, lecz potem idzie już łatwiej. W jego własnym zimnym uśmiechu pośród brody ukazują się zęby.

– Odpowiadasz za śmierć mojej córki – mówi. – Może nie zrobiłeś tego własnymi rękami, ale podburzyłeś do tego Burnside’a, prawda? Jestem jej ojcem, zdrańcu. Myślisz, że możesz mnie powstrzymać jednym słowem?

Doktor chwiejnie dołącza do Beezera.

– Popieprzyłes moje miasto – warczy Dale Gilbertson; on również rusza do przodu.

Lord Malshun przygląda się im z niedowierzaniem. Mroczna Mowa ich nie powstrzymała. Żadnego z nich. Blokują drogę! Ośmielają się blokować proponowaną przez niego drogę postępu!

– Zabiję go – warczy Malshun do Jacka. – Zabiję. I co ty na to, słoneczko? Co ma być?

Tak oto wreszcie nadchodzi finałowa konfrontacja. Niestety, nie możemy przyglądać się jej z góry, ponieważ wrona, z którą odbyliśmy tyle przejazdów (zapewniamy was, że przy całkowitej niewiedzy Gorga), nie żyje, lecz nawet stojąc z boku, rozpoznajemy archetypową scenę z dziesięciu tysięcy filmów – w których co najmniej tuzinie zagrała Lily Cavanaugh.

Jack opuszcza kij – ten, w którym nawet Beezer rozpoznał Cudownego Chłopca. Przytrzymuje go z gałką na końcu wciśniętą w przedramię i trzonkiem mierzącym prosto w głowę Lorda Malshuna.

– Odstaw go – mówi. – Ostatnia szansa, przyjacielu.

Lord Malshun podnosi chłopca wyżej.

– Dalej! – krzyczy. – Wystrzel z niego wiązkę energii! Wiem, że zdołasz! Ale trafisz w chłopca. Trafisz w chłopca i...

Snop czystego, białego światła grubości grafitu w ołówku tryska z końca kija baseballowego Richiego Sexsona. Trafia Lorda Malshuna w pojedyncze oko i sprawia, że wre ono w oczodole. Stwór wydaje wrzask – myślał, że Jack nigdy nie zdecyduje się na sprawdzenie jego blefu, że żadna istota z *ter*, bez względu na to, jak czasowo wywyższona, nie jest do tego zdolna – i zrywa się do przodu. Otwiera szczęki, by gryźć, chociaż już jest martwy.

Zanim może to zrobić, kolejna wiązka białego światła, tym razem z pierścienia z kutego srebra na palcu Beezera St. Pierre'a, symbolizującego jego związek z Niedźwiedzicą, trafia emisariusza abbalaha prosto w usta. Czerwony plusz warg staje w płomieniach... a mimo to Lord Malshun nadal zatacza się na drodze. Wielka Kombinacja rysuje się za nim jak szkielet wieżowca, a on mimo wszystko stara się zacisnąć zęby, kładąc kres życiu utalentowanego syna Judy Marshall.

Dale skacze do przodu, chwytając chłopca za pas i ramiona, wrywa go Lordowi Malshunowi i *zatacza* się na skraj drogi. Jego uczciwa twarz pobladła; ma zacięty, ponury wyraz.

– Wykończ go, Jack! – krzyczy Dale. – Wykończ sukinsyna!

Jack podchodzi bliżej do zataczającej się w przód i w tył po Drodze Conger oślepionej, wyjącej, poparzonej istoty w tłącej się kamizelce, młócej przed sobą kościstymi palcami. Jack poprawia kij na przedramieniu i przesuwając dłoń aż po gałkę. Tego dnia nie grozi mu spartaczenie ciosu; tego popołudnia jego kij emanuje oślepiającym białym światłem i byłby głupcem, gdyby nie wybił piłki aż za ogrodzenie.

– Odbicie, kochaniutki – mówi.

Wyprowadza uderzenie, którego nie powstydziliby się sam Richie Sexson. Ani Big Mac. Rozlega się mięsisty, plaskający odgłos, gdy wciąż przyspieszający kij zderza się z bokiem wielkiej głowy Lorda Malshuna. Czaszka zapada się jak skóra przegniłego melona, tryska jaskrawa, szkarłatna struga. Chwilę później głowa po prostu eksploduje, ochlapując wszystkich czterech mężczyzn posoką.

– Wygląda na to, że Król będzie musiał sobie znaleźć nowego chłopca na posyłki – mówi cicho Beezer. Wyciera twarz, patrzy na dłoń pełną krwi i kurczących się tkanek, po czym beztrudnie szura nią o swe spłowiałe dzinsy. – Wszystkie bazy zaliczone, Jack. Nawet ślepy to widzi.

– Gra skończona, sprawa zamknięta, zapinać rozporki – dodaje trzymający na rękach Tylera Dale.

Komendant policji French Landing ostrożnie stawia Tylera na nogi. Chłopiec patrzy na niego, następnie przenosi spojrzenie na Jacka. W jego oczach pojawia się swego rodzaju mętny błysk. Być może to ulga; może rzeczywiste zrozumienie.

– Kij – mówi chrapliwym, szorstkim głosem, tak iż pozostali prawie nie mogą go zrozumieć. Chrząka i próbuje raz jeszcze: – Kij. Śnił mi się.

– Naprawdę?

Jack klęka przed chłopcem i podaje mu kij. Tyler nie przejawia ochoty, by naprawdę wziąć w ręce cudowny kij Richiego Sexsona, ale dotyka go jedną ręką. Gładzi zachlapaną krwią trzonek. Nie odrywa wzroku od Jacka, tak jakby starał się go wyczuć. Przeniknąć, jaki jest naprawdę. Zrozumieć, że ostatecznie został uratowany.

– George – mówi chłopiec. – George. Rathbun. Naprawdę jest ślepy.

– Tak – odpowiada Jack. – Czasami jednak brak wzroku to nie ślepotą. Wiesz o tym, Tyler?

Chłopiec kiwa głową. Jack jeszcze nigdy w życiu nie widział kogoś wyglądającego na tak wyczerpanego, wstrząśniętego, zagubionego i doszczętnie wykończonego.

– Chcę – mówi chłopiec. Oblizuje wargi i znowu chrząka. – Chcę... pić. Wody. Chcę do mamy. Zobaczyć mamę.

– Dla mnie brzmi to jak plan – mówi Doktorek. Ogląda się niespokojnie na schlapaną krwią szczątki stwora, o którym wciąż myślą jako o Panu Munshunie. – Zabierajmy chłopaka z powrotem do Wisconsin, zanim pokażą się przyjaciele Starego Jednookiego.

– Pewnie – mówi Beezer. – W moich osobistych planach leży również spalenie Czarnego Domu do fundamentów. Pierwszy rzucę zapalkę. A może znowu wystrzelę ogniem z mojego pierścionka – to mi się spodobało. Najpierw jednak musimy się stąd zmyć.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości – mówi Dale. – Nie sądzę, by Tyler zdołał ująć daleko ani iść szybko, ale możemy na zmianę nieść go na ba...

– Nie – przerywa mu Jack.

Pozostali patrzą na niego z różnego stopnia zaskoczeniem i konsternacją.

– Jack – mówi Beezer z osobliwą łagodnością. – Wiesz, co to takiego zasiedzieć się, gdy człowiek jest już nieproszony?

– Jeszcze nie skończyliśmy – mówi mu Jack. Potem potrząsa głową i poprawia się: – Tyler nie skończył.

Jack Sawyer kłęczy na Drodze Conger, myśląc: Nie byłem wiele starszy od tego dzieciaka, kiedy ruszyłem przez Amerykę – i Terytoria – żeby uratować życie swojej matce. Wie, że to prawda, a równocześnie absolutnie nie potrafi w to uwierzyć. Nie potrafi sobie przypomnieć, jak to było mieć dwanaście lat, być małym i przerażonym, niegodnym uwagi świata i pierchającym przed wszystkimi jego cieniami. Powinno to się skończyć; Tyler przeszedł przez dziewięć kręgów piekielnych i zasługuje na powrót do domu.

Na nieszczęście to jeszcze nie koniec. Zostało jeszcze jedno do zrobienia.

– Tyler.

– Chcę. Do domu.

Jeśli w oczach chłopca zabłysło światło, to teraz zgasło. Ma wstrząśniętą, otępiałą minę uchodźcy na przejściu granicznym czy w bramie obozu śmierci. Jest to opustoszała twarz kogoś, kto spędził za dużo czasu w śliskim, opopanaksowym krajobrazie ześlizgu. Poza tym jest dzieckiem, do diabła, tylko dzieckiem. Zasługuje na coś lepszego niż to, co gotuje mu Jack Sawyer. Ostatecznie jednak Jack Sawyer również zasługiwał kiedyś na coś lepszego, ale przeżył i może o tym opowiadać. Oczywiście to niczego nie usprawiedliwia, ale istotnie daje mu odwagę, by być sukinsynem.

– Tyler. – Chwyta chłopca za ramiona.

– Wody. Mamy. Domu.

– Nie – mówi Jack. – Jeszcze nie.

Obraca chłopca. Rozbryzgi krwi Lorda Malshuna na jego twarzy są bardzo jaskrawe. Jack czuje, że ludzie, z którymi tu przybył – którzy zaryzykowali dla niego życie i zdrowie na umyśle – zaczynają marszczyć czoła. Nieważne. Ma zadanie do wykonania. Jest glinicjantem, a wciąż dokonuje się zbrodnia.

– Tyler.

Bez odpowiedzi. Chłopiec stoi z przygarbionymi ramionami. Stara się zamienić w mięso, które tylko oddycha.

Jack wskazuje na ohydny galimatias wsporników, pasów, podpór i dymiących kominów. Wskazuje na trudzące się mrówki. Wielka Kombinacja niknie w chmurach w górze i martwej ziemi w dole. Jakiej jest wysokości? Mili? Dwóch? Czy nad chmurami też są dzieci, dygoczące w maskach tlenowych, drepczące po pasach, kręcące korbami i szarpiące za dźwignie? Czy dzieci smażą się również w żarze podziemnych ogni? W szczurzych i lisich norach, do których nigdy nie zagląda słońce?

– Co to takiego? – pyta Jack Tylera. – Jak to się nazywa? Jak B urny to nazywał?

Chłopiec nie odpowiada.

Jack potrząsa Tylerem. I to niedelikatnie.

– Jak to się nazywa?

– Ej, człowieku – mówi Doktorek tonem ociekającym dezaprobatą. – Nie ma potrzeby go tak traktować.

– Siedź cicho – odpowiada Jack, nie oglądając się na niego. Wpatruje się w Tylera. Stara się dostrzec w jego oczach cokolwiek oprócz zszokowanej pustki. Potrzebuje, by Tyler dojrzał sterczącą w oddali gigantyczną, jęczącą maszynię. By ją naprawdę zobaczył. Bo jak może jej nienawidzić, dopóki się jej nie przyjrzy? – Co to takiego?

– Wielka – mówi po długiej pauzie Tyler. – Wielka. Wielka Kombinacja.

Słowa padają powoli i ociężale, jakby chłopiec mówił przez sen.

– Tak, Wielka Kombinacja – mówi Jack. – Teraz ją zatrzymaj.

Beezer stęka z zaskoczenia.

– Jack, czyś ty... – mówi Dale i milknie.

– Nie. Mogę. – Tyler rzuca Jackowi zranione spojrzenie, jakby powinien to wiedzieć.

– Możesz – mówi Jack. – Możesz i to zrobisz. Jak myślisz, Tyler? Że po prostu odwrócimy się plecami, zabierzemy cię do matki, a ona zrobi ci kakao, wsadzi cię do łóżka i będziecie żyli długo i szczęśliwie? – Podnosi głos i nie stara się z tym walczyć, nawet gdy dostrzega, że Tyler płacze. Potrząsa znowu chłopcem. Tyler kuli się, ale w zasadzie nie stara się uwolnić. – Myślisz, że uda ci się żyć długo i szczęśliwie, podczas gdy te dzieci będą się tutaj męczyły, aż padną i zostaną zastąpione nowymi? Będziesz widział ich twarze we śnie, Tyler. Będą ci się, cholera jasna, śniły ich twarze, brudne rączki i krwawiące stopki.

– Przestań! – mówi ostro Beezer. – Przestać albo nakopię ci do dupy.

Jack odwraca się, a Beezer cofa się przed gwałtownym blaskiem w jego oczach. Patrzenie na Jacka w tym stanie to jak zagładanie w samo dintah.

– Tyler.

Usta chłopca drżą. Łzy cieką po jego brudnych, pochłapanych krwią policzkach.

– Przestań. Chcę do domu!

– Kiedy tylko zatrzymasz Wielką Kombinację. Wtedy będziesz mógł wrócić do domu. Nie wcześniej.

– Nie mogę!

– Możesz, Tyler. Możesz.

Tyler patrzy na Wielką Kombinację, a Jack czuje, że chłopiec czyni jakiś wątpliwy, niepewny wysiłek. Nic się nie dzieje. Pasy nadal się przesuwają, dalej trzaskają bicze, od czasu do czasu krzycząca płamka spada (lub skacze) z nadgryzionej przez rdzę południowej strony konstrukcji.

Tyler wraca spojrzeniem do Jacka, który czuje obrzydzenie na widok nieprzytomnego, idiotycznego wyrazu w jego oczach, po prostu nim gardzi.

– Nie moogę – jęczy Tyler.

Jack zastanawia się, jak taki maruda w ogóle zdołał tu przeżyć. Czyżby chłopak zużył cały swój talent podczas jednej szaleńczej, kapryśnej próby ucieczki? Czy o to chodzi? Nie

może się z tym pogodzić. Wzbiera w nim gniew i policzkuje Tylera. Mocno. Dale stęka. Głowa Tylera chwieje się z boku na bok, oczy rozszerzają się mu z zaskoczenia.

A czapka spada mu z głowy.

Jack klęczał do tej chwili przed chłopcem. Teraz jednak leży rozciągnięty na tyłku na środku Drogi Conger. Dzieciak go... co właściwie?

Pchnął. Pchnął mnie myślą.

Tak. Jack zdaje sobie zaś sprawę z obecności w tym miejscu nowej, jaskrawej mocy, snopa gorejącego światła, mogącego rywalizować z tym, które padło z kija Richiego Sexsona.

– Ech, kurwa, co się stało? – woła Doktorek.

Pszczoły też to wyczuwają, być może bardziej niż ludzie. Ich senne brzęczenie zamieniło się w przenikliwy zgiełk; niebo ciemnieje, gdy zbijają się ciaśniej. Można odnieść wrażenie, że pod chmurami o obwisłych brzuszyskach pojawiła się gigantyczna mroczna pięść.

– Dlaczego mnie uderzyłeś? – krzyczy Tyler na Jacka, który nagle zdaje sobie sprawę, że gdyby chłopiec zechciał, mógłby go zabić jednym ciosem. W Wisconsin ta moc pozostawała w ukryciu (oprócz oczu wyćwiczonych w jej wykrywaniu). Tutaj jednak... tutaj...

– Żebyś oprzytomniał! – odpowiada krzykiem Jack. Odpycha się od ziemi. – To przez nią? – Wskazuje czapkę.

Tyler patrzy na nią, po czym kiwa głową. *Tak. Czapka. Ale nie wiedziałeś, nie mogłeś wiedzieć, ile czapka ci zabiera, zanim ją zdjąłeś. Czy też ktoś ci ją strącił z twojej zapominalskiej lepetyny.* Chłopiec przenosi wzrok na Jacka. Ma teraz rozszerzone, pewnie patrzące oczy. Nie ma w nich już szoku ani tępoty. Nie można powiedzieć, że lśni, ale płonie w nim wewnętrzne światło, które wyczuwają wszyscy pozostali – moc większa niż Lorda Malshuna.

– Czego ode mnie chcesz? – pyta Tyler Marshall – synek lwicy.

Jack raz jeszcze wskazuje Wielką Kombinację.

– To o ciebie w tym wszystkim chodziło, Tyler. Jesteś Niszczycielem. – Oddycha głęboko i szepcze prosto w różową małżowinę chłopca: – Zniszcz ją.

Tyler Marshall odwraca głowę i zagląda Jackowi głęboko w oczy.

– Zniszczyć ją? – pyta. Jack kiwa głową, a Tyler patrzy z powrotem na Wielką Kombinację. – Dobra – mówi nie do Jacka, lecz do samego siebie. Mruga, rozstawia stopy, zaciska ręce na wysokości pasa. Między jego brwiami pojawia się drobna zmarszczka, a kąćki ust unoszą się w sugestii uśmiechu. – Dobra – szepcze Tyler.

Przez sekundę nic się nie dzieje.

Następnie z trzewi Wielkiej Kombinacji rozlega się dudnienie. Górne części konstrukcji drżą jak wywołany upałem miraż. Strażnicy wahają się, powietrze przenika zgrzyt udręczonego metalu. Wyraźnie zdezorientowane trzujące się dzieci podnoszą głowy i zaczynają się rozglądać na wszystkie strony. Mechaniczne wycie narasta, następnie dzieli się na setkę pisków w różnych tonacjach. Tryby zaczynają kręcić się w przeciwne strony. Koła

zębate blokują się i zasnuwają dymem; inne przyspieszają i gubią zęby. Cała Wielka Kombinacja trzęsie się i kołysze. W głębi ziemi wybuchają kotły, w górę tryskają kolumny ognia i pary. Zatrzymują się, czasami rozlatują na strzępy pasy, które przesuwają się od tysięcy lat, napędzane miliardami krwawiących stopek.

Jest tak, jakby w olbrzymim metalowym dzbanku nagle pojawiła się setka dziur. Jack patrzy, jak dzieci zeskakują z najniższych poziomów i długimi, nieprzerwanymi rzędami złażą po zewnętrznej stronie konstrukcji. Dzieci wylewają się dziesiątkami ciągłych szeregów z dygoczącej budowli.

Zanim zielonoskórzy biczownicy mogą zorganizować skoordynowaną próbę zatrzymania ucieczki niewolników, mrowie pszczół zbiera się wokół wielkiego pieca hutniczego. Gdy wartownicy przystępują do ataku na dzieci, pszczoły zlatują w dół pełną furii falą brzęczących skrzydeł i kłujących żadeł. Została w nie tchnięta część mocy Tylera, wskutek czego ich użądlenia są śmiertelne. Strażnicy padają, walą się ze znieruchomiałych pasów i drżących wsporników. Inni w szale zwracają się przeciwko swoim towarzyszom, okładając ich biczami i sami otrzymując ciosy, nim runą pod pociemniałym niebem.

Gang Sawyera nie zostaje, by oglądać końcówkę rzezi. Królowa pszczół wylatuje w ich stronę z rojącego się chaosu, szybuje nad ich uniesionymi głowami i prowadzi ich z powrotem w stronę Czarnego Domu.

W stykających się ze sobą światach – w światach ciągnących się przez nieskończoność w wielowymiarowej przestrzeni – zło kurczy się i zanika: despoci dławią się na śmierć kurzymi kostkami, zakapturzeni oprawcy padają w agonii na zakrwawione kamienne posadzki, tyrani giną od kuł zamachowców, od zatrutych wędlin, naszykowanych przez ich zdradzieckie metresy. Czyn Tylera odbija się echem w gigantycznym sznurze nieprzeliczonych wszechświatów, w miarę rozprzestrzeniania się mszcząc zło. Trzy światy od naszego w wielkim mieście, znanym tam jako Londinium, Turner Topham, od dwóch dziesięcioleci szanowany członek Parlamentu i od trzech sadystyczny pedofil, staje nagle w płomieniach, idąc tłocznią aleją PickaDerry. Dwa światy dalej sympatycznie wyglądający młody spawacz Freddy Garver z Isle of Irse, jeszcze jeden mniej doświadczony członek klanu Tophama, kieruje palnik na własną lewą rękę i zwęglą każdą drobinę mięsa na jej kościach.

Bardzo wysoko, w swym odległym więzieniu, Karmazynowy Król czuje przeszywający ból w trzewiach i z grymasem wali się w fotel. Wie, że gdzieś w jego posępnym lennie nastąpiła jakaś fundamentalna zmiana.

Tyler Marshall z gorejącymi oczami i pozbawioną lęku twarzą siedzi jak królewiatko na ramionach Jacka, idącego za królową pszczół. Za Jackiem i jego przyjaciółmi na Drogi Conger i przylegające do niej wyjałowione pola wylewają się setki dzieci, uciekających z rozpadającej się konstrukcji Wielkiej Kombinacji. Po ciemnych, pustych równinach wędrują całe obszarpane armie dzieci, szukające przejść do swoich wszechświatów. Bataliony kulejących dzieci tułają się jak kolumny pijanych mrówek.

Dzieci posuwające się śladem Gangu Sawyera są nie mniej obdarte od pozostałych. Połowa z nich jest naga – całkowicie lub prawie. Ich twarze widywaliśmy na kartonach z mlekiem, plakatach z nagłówkiem POSZUKIWANY/POSZUKIWANA i stronach internetowych poświęconych zaginionym pociechom. Są to twarze ze snów matek o złamanych sercach i zrozpaczonych ojców. Silniejsze dzieci pomagają słabszym. Nie wiedzą, dokąd idą, i się o to nie troszczą. Wystarczy im to, że idą. Wystarczy im świadomość, że są wolne. Wielka maszyna, która obrabowała ich z siłą, radości i nadziei, została w tyle, nad nimi rozciąga się jedwabista, chroniąca kopuła pszczoł – i są wolne.

Dokładnie o 16.16 Gang Sawyera wychodzi przez frontowe drzwi Czarnego Domu. Tyler siedzi teraz na zwalistych barkach Beezera. Schodzą po stopniach i zatrzymują się przed radiowozem Dale’a Gilbertsona (na masce i wgłębieniu na wycieraczki leży kilkadziesiąt martwych pszczoł).

– Popatrz na dom, Hollywood – mruczy Doktorek.

Jack patrzy. Teraz to już tylko dom – trzykondygnacyjna budowla, która mogła być niegdyś szacownym ranczem, ale przez lata popadła w dewastację. Co gorsza, ktoś ochlapał ją czarną farbą od wierzchołków masztu do stępki i od dziobu do mostka – maźnięcia pędzla pokrywają nawet okna. Ogólnie wygląda to smutno i ekscentrycznie, ale bynajmniej nie złowieszczo. Śliska, zmieniająca się forma domu uległa konsolidacji, a gdy znikł poblask abbalaha, został tylko porzucony dom starego człowieka, który był bardzo szalony i wyjątkowo groźny. Starego człowieka, którego można postawić obok takich potworów jak Dahmer, Haarman i Albert Fish. Szydząca, rozhukana potęga zła, wypełniająca niegdyś ten budynek, rozproszyła się, rozwiała, a to, co zostało, jest równie zwyczajne jak starzec mamrocący do siebie w celi śmierci. Jack musi zrobić coś z tą podłą budowlą – coś, czego obietnicę wymógł na nim umierający Mysz.

– Doktoru – mówi Beezer. – Popatrz tam.

Wielki – ale nie monstrualny – pies *zatacza* się powoli ścieżką prowadzącą do drogi 35. Wygląda na krzyżówkę boksera i doga. Ma odstrzelony bok głowy i zadnią łapę.

– To twój diabelski pies – mówi Beez.

– Co, to? – Doktorek gapi się z uchylonymi ustami.

– To – potwierdza Beezer. Wyjmuje dziewiątkę, zamierzając skrócić cierpienia tego stworzenia, ale pies wali się na bok, oddycha z wysiłkiem jeszcze raz i nieruchomieje. Beezer odwraca się do Jacka i Dale’a. – Po wyłączeniu maszyny jest o wiele mniejszy, prawda?

– Chcę zobaczyć mamę – mówi cicho Tyler. – Mogę? Proszę.

– Dobrze – odpowiada Jack. – Możemy po drodze wpaść po twojego tatę? Myślę, że i on chciałby się zabrać.

Tyler uśmiecha się ze znużeniem.

– Tak – mówi. – Zróbmy to.

– Masz to jak w banku – mówi mu Jack.

Dale ostrożnie zawraca samochód na polance; dociera do początku drogi, kiedy Tyler woła:

– Patrzcie! Patrzcie, ludzie! Idą tutaj!

Dale zatrzymuje się i patrzy we wsteczne lustro.

– Och, Jack – szepcze. – Święta Mario, Matko Boska.

Wrzuca jałowy bieg i wysiada. Wszyscy wysiadają i patrzą w stronę Czarnego Domu. Zachowuje on zwyczajny kształt, ale najwyraźniej nie stracił do reszty swojej magii. Gdzieś zostały otwarte drzwi – może w piwnicy czy sypialni, a może w brudnej i zaniedbanej, ale poza tym całkowicie zwyczajnej kuchni. Po tej stronie jest region Coulee; po drugiej – Droga Conger, dymiący, dopiero co znieruchomiał wrak Wielkiej Kombinacji i Dintah.

Na ganek Czarnego Domu wylatują pszczoły. Pszczoły i dzieci, które prowadzą. Wychodzą dziesiątkami, śmiejąc się, płacząc i trzymając się za ręce. Jackowi Sawyerowi przez chwilę przelatuje przez głowę jaskrawa wizja zwierząt opuszczających arkę Noego po powodzi.

– Święta Mario, Matko Boska – szepcze powtórnie Dale.

Podwórko wypełnia się śmiejącymi się, płaczącymi, szepczącymi dziećmi.

Jack podchodzi do Beezera, który odwraca się w jego stronę z promiennym uśmiechem.

– Będziemy musieli zamknąć drzwi, kiedy wyjdą wszystkie dzieci – mówi Jack. – Raz na zawsze.

– Wiem – odpowiada Beezer.

– Masz przypadkiem jakieś błyskotliwe pomysły?

– No cóż – mówi Beezer. – Pozwól, że ujmę to następująco. Jeśli obiecasz, i to szczerze, że później nie będziesz zadawał żadnych niezręcznych pytań ani wygłaszał żadnych komentarzy, być może w moich rękach znajdzie się spora ilość czegoś piekielnie skutecznego.

– Czego? Dynamitu?

– Proszę – rzuca Beezer. – Czy nie powiedziałem: „skutecznego”?

– To znaczy... – Beezer uśmiecha się, a jego oczy zamieniają się w szparki.

– Cieszę się, że jesteś po mojej stronie – mówi Jack. – Spotkajmy się na tylnej drodze o północy. Będziemy się musieli tu podkraść, ale nie sądzę, żeby spotkały nas jakieś kłopoty.

– Na pewno nie w drodze powrotnej – odpowiada Beezer.

Doktorek klepie Dale'a po ramieniu.

– Mam nadzieję, że macie w tej części świata jakieś organizacje opiekuńcze na poziomie, komendancie. Chyba będziecie ich potrzebowali.

– Święta... – Dale kieruje osłupiałe spojrzenie na Jacka. – I co mam z tym począć?

– Myślę, że lepiej zadzwoń po... jak ich nazywała Sarah? – Jack się uśmiecha. – Kolorową Obławę?

W oczach Dale'a Gilbertsona pojawia się iskierka nadziei. Być może jest to zbliżający się triumf. Myśli o Johnie P. Reddingu z FBI i detektywach Perrym Brownie i Jeffreyu Blacku z policji stanowej. Wyobraża sobie ten tercet mężczydup w obliczu pojawienia się w zachodnim Wisconsin średniowiecznej krucjaty dziecięcej. Wyobraża sobie dickensowskie sterty papierów, których powstanie niewątpliwie spowoduje takie wydarzenie. Trzech dupków będzie miało roboty na miesiące albo nawet lata. Może dostaną od tego załamania nerwowego. Na pewno będą mieli inne sprawy na głowie niż komendant Dale Gilbertson z French Landing.

– Jack – mówi. – Co właściwie proponujesz?

– Ogólnie rzecz biorąc, sugeruję, że im powinna przypaść cała harówka, a tobie cała zasługa – mówi Jack. – Jak ci się to podoba?

Dale się zastanawia.

– Bardzo sprawiedliwie – mówi. – Co ty na to, żeby odwieźć tego dzieciaka do tatuśka, a potem obydwóch zabrać do Arden do mamy?

– Dobrze – odpowiada Jack. – Żałuję tylko, że nie ma z nami Henry'ego.

– To jest nas dwóch – mówi Dale i wsuwa się z powrotem za kierownicę.

W chwilę później jadą już dróżką.

– A co z tymi wszystkimi dziećmi? – pyta Tyler, oglądając się przez tylną szybę. – Tak je po prostu zostawicie?

– Zadzwońię po policję stanową, kiedy tylko znajdziemy się na drodze – mówi Dale. – Myślę, że powinni móc natychmiast się do tego zabrać, prawda, chłopaki? Goście z FBI również.

– Zgadza się – mówi Beezer.

– Święte słowa, kurwa – dodaje Doktorek.

– Wyśmienita administracyjna ocena – mówi Jack i sadza sobie Tylera na kolanach. – Na razie nic im nie będzie – mówi chłopcu do ucha. – Widzieli rzeczy o wiele gorsze od Wisconsin.

Wymknijmy się przez okno od strony kierowcy jak wietrzyk, którym jesteśmy, i patrzmy, jak odjeżdżają – czterej dzielni mężczyźni i jeden odważny chłopiec, który już nigdy nie będzie tak młody (ani niewinny). Za nimi nieszkodliwe teraz, odczarowane podwórko Czarnego Domu zapełnia się dziećmi z brudnymi twarzami i rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Angielski jest tutaj językiem mniejszości; niektóre z pozostałych w ciągu następnych lat pozostaną zagadką dla największych lingwistów świata. Jest to początek ogólnoświatowej sensacji (w następnym tygodniu główny artykuł w „Time” będzie zatytułowany: „Cudowne dzieci znikąd”) oraz, jak domyślił się już Dale, biurokratycznego koszmaru.

Dzieci są jednak bezpieczne. Nasi bohaterowie również. Wszyscy wrócili z drugiej strony w jednym kawałku, a z pewnością się tego nie spodziewaliśmy; większość wypraw tego

rodzaju wymaga przynajmniej jednej ofiary (względnie mało istotnej postaci, w rodzaju na przykład Doktorka). Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Może to być koniec, jeśli tak sobie życycie; żaden ze skrybów, którzy doprowadzili was do tego miejsca, nie odbierze wam takiego prawa. Jeśli jednak zdecydujecie się czytać dalej, nie mówcie, że was nie ostrzegano: nie spodoba się wam to, co się dalej wydarzy.

xxxxx RAPORT ROBOCZY xx.™

KOMENDANT POLICJI FRENCH LANDING ODMAWIA ODWOŁANIA KONFERENCJI PRASOWEJ, POWOŁUJĄC SIĘ NA POPARCIE WŁADZ MIEJSKICH. ŹRÓDŁA POTWIERDZAJĄ UDZIAŁ SŁAWNEGO POLICJANTA Z LOS ANGELES. FBI I POLICJA STANOWA WISCONSIN WYRAŻAJĄ ZDECYDOWANĄ DEZAPROBATE.

**** Materiał wyłączny ****

Jedno z nich, Tyler Marshall, pochodzi z samego French Landing. Inne. Josella Rankine, wywodzi się z Bating, małej wsi na południu Anglii. Trzecie jest z Bagdadu. Ogółem zidentyfikowano 17 z tak zwanych Cudownych Dzieci w ciągu tygodnia, odkąd pojawiły się na wiejskiej drodze (nr 35) w zachodnim Wisconsin.

Tych 17 to jednak tylko wierzchołek góry lodowej.

Źródła zbliżone do FBI i policji stanowej Wisconsin (a obecnie również CIA?) podały, że znaleziono co najmniej 750 dzieci, o wiele więcej, niż podano prasie. Kim są? Kto ich porwał i dokąd? Jak dostały się do miasteczka French Landing, nękanego przez ostatnie tygodnie przez seryjnego mordercę (już ponoć nieżyjącego). Jaką rolę odegrał w tym Jack Sawyer, detektyw, który został gwiazdą policji Los Angeles, nim przeszedł na emeryturę w wieku zaledwie 31 lat? I kto odpowiadał za wielką eksplozję, która zniszczyła tajemniczą siedzibę w lasach, podobno odgrywającą kluczową rolę w sprawie Rybaka?

Być może odpowiedzi na niektóre z tych pytań padną jutro w parku La Follette we French Landing, gdzie komendant miejscowej policji urządza konferencję prasową. Obok niego na podium stanie jego wieloletni przyjaciel Jack Sawyer – który według pogłosek w pojedynkę rozwiązał sprawę Rybaka. Oczekuje się również obecności dwóch ochotników, którzy przystąpili do policji i wzięli udział w wyprawie ratunkowej w ubiegłym tygodniu: Armanda St. Pierre'a i Reginalda Ambersona.

Konferencja odbędzie się mimo silnego – niemal zażartego – sprzeciwu grupy roboczej, kierowanej przez agenta Johna P. Reddinga z FBI i detektywa Jeffrey Blacka z policji stanu

Wisconsin. „[Zwierzchnicy grupy] są przekonani, że jest to jedynie ostatnia, desperacka próba Gilbertsona. żeby utrzymać się na stanowisku – podaje pewne źródło. – Spartaczył wszystko, ale na szczęście ma przyjaciela, który doskonale wie. jak zaprezentować się w środkach masowego przekazu”.

Urzednicy miejscy z French Landing śpiewają na inną melodię. ..To lato było koszmarem dla mieszkańców French Landing – powiedziała skarbniczka miejska Beth Warren. – Komendant Gilbertson chce zapewnić obywateli, że koszmar się skończył. Jeśli przy okazji będzie nam mógł udzielić jakichś dotyczących dzieci odpowiedzi, tym lepiej”.

W centrum zainteresowania jest Jack „Hollywood” Sawyer, który poznał komendanta Gilbertsona i French Landing podczas sprawy Thornberga Kinderlinga, tak zwanego Zabójcy Prostytutek. Sawyer uległ namowom Gilbertsona do wzięcia czynnego udziału w sprawie Rybaka i najwyraźniej odegrał znaczną rolę w wydarzeniach, które później nastąpiły.

Jakie jednak były to właściwie wydarzenia? Świat oczekuje, że tego właśnie się dowie. Pierwsze odpowiedzi mogą paść jutro w parku La Follette na brzegu potężnej Missisipi.

Ciąg dalszy nastąpi...

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Jesteście gotowi, ludzie? – pyta Dale.

– Och, człowieku, sam nie wiem – odpowiada Doktorek.

Mówi to nie piąty raz, może nawet nie po raz piętnasty. Jest błądy, niemal wpadł w hiperwentylację. Wszyscy czterej siedzą w winnebago – swego rodzaju garderobie na kółkach – zaparkowanym na skraju parku La Follette. Niedaleko jest podium, na którym mają stanąć (zakładając, że Doktorek utrzyma się na nogach) i wygłosić starannie przygotowane odpowiedzi. Na stoku, prowadzącym do szerokiej rzeki, zebrało się już prawie czterystu dziennikarzy, do tego ekipy sześciu amerykańskich sieci telewizyjnych i Bóg jeden wie ilu zagranicznych rozgłośni. Przedstawiciele prasy nie są w najpogodniejszym na świecie nastroju, bo najlepsze miejsca przed podium zarezerwowano dla reprezentatywnej (wybranej drogą loterii) próbki mieszkańców French Landing. Było to jedno z nieodwołalnych żądań Dale'a, dotyczących konferencji.

Sam pomysł konferencji prasowej był autorstwa Jacka Sawyera.

– Wyluzuj się, Doktoru – mówi Beezer. Wydaje się jeszcze większy niż zwykle w szarych płóciennych spodniach i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem – prawie jak niedźwiedź we fraku. Pokusił się nawet o potraktowanie grzebieniem akrow swoich włosów.

– A jeśli nawet masz ochotę na zrobienie jednego z trzech P – posikać się, porzygać albo paść – i tak masz tam być.

– Nie – mówi żałośnie Doktorek. – Jak mamy spróbować, to spróbujmy.

Prezentujący się okazale w paradnym mundurze Dale ogląda się na Jacka. Jeśli już, to ten ostatni prezentuje się jeszcze bardziej elegancko w lekkim szarym garniturze i ciemnoniebieskim jedwabnym krawacie. Z kieszeni na piersi jego marynarki wystaje dopasowana niebieska chusteczka.

– Jesteś pewny, że tak trzeba?

Jack jest zupełnie pewny. Nie chodzi mu o to, by nie dopuścić, aby Kolorowa Obława (według określenia Sarah Gilbertson) zebrała żniwo sławy; chodzi o to, żeby upewnić się, iż nic nie *zagrozi* pozycji jego przyjaciela. Może tego dokonać przez opowiedzenie prostej historii, którą poprą trzej pozostali. Jack jest przekonany, że Tyler postąpi tak samo.

Historyjka brzmi następująco: inny stary przyjaciel Jacka, nieżyjący Henry Leyden, zidentyfikował Rybaka na podstawie taśmy z telefonem pod numer 911. Taśmę przekazał mu Dale, jego siostrzeniec. Rybak zabił Henry'ego, wcześniej jednak bohaterski pan Leyden zdążył go śmiertelnie zranić, udało mu się też przekazać jego nazwisko policji. (Inną przyczyną zainteresowania Jacka konferencją, całkowicie rozumianą i popieraną przez Dale'a, jest upewnienie się, że Henry'emu przypadnie uznanie, na jakie zasługuje). Zbadanie aktów własności i planów geodezyjnych French Landing ujawniło, że Charles Burnside był właścicielem domu przy drodze 35, niedaleko za miastem. Dale mianował swoimi zastępcami Jacka i dwóch osiłków, którzy napatoczyli się pod rękę (czyli szanownych panów Ambersona i St. Pierre'a), i udali się do siedziby Burnside'a.

– Od tego momentu najważniejsze znaczenie ma to, byście pamiętali dwa słówka, prowadzące do większości wyroków uniewinniających w procesach karnych – powtarzał Jack przyjaciółom w dniach, poprzedzających konferencję prasową. – Co to za słowa?

– „Nie pamiętam” – powiedział Dale.

– Zgadza się – przytaknął Jack. – Jeśli nie przypominacie sobie niczego, to żaden skurczybyk nie przyłapie was na jakimkolwiek błędzie. Atmosfera w tamtym domu była jakaś szczególna...

– Bez bujania – mruknął, krzywiąc się, Beezer.

– ...i zamąciła nam w głowach. Musimy pamiętać o następujących rzeczach: Tyler Marshall był na podwórku za domem, przykuty do kręciołka na suszące się pranie.

Zanim Beezer St. Pierre i Jack Sawyer prześliznęli się przez policyjne zapory i obrócili w przynę Czarny Dom plastycznym materiałem wybuchowym, pewien reporter dostał się tam i zrobił liczne zdjęcia. Oczywiście wiemy, kto był tym dziennikarzem: Wendell Green wreszcie zrealizował marzenia o sławie i fortunie.

– A Burnside leżał martwy u jego stóp – powiedział Beezer.

– Zgadza się. Z kluczykiem do kajdanek w kieszeni. Znalazłeś go, Dale, i uwolniłeś chłopców. Na podwórku było parę innych dzieci, ale ile dokładnie...

– Nie pamiętamy – powiedział Doktorek.

– A co do ich płci...

– Kilku chłopców, kilka dziewczynek – powiedział Dale. – Nie pamiętamy dokładnie, ile dzieci jakiej płci.

– Co do Tylera, jak został porwany, co się z nim działo...

– Powiedział, że nie pamięta – rzekł z uśmiechem Dale.

– Odjechaliśmy. Wydaje się nam, że wołaliśmy inne dzieci...

– Ale dokładnie nie pamiętamy... – włącza się Beezer.

– Właśnie, a tak czy inaczej tam, gdzie byli, nakazie nic im nie groziło. Zobaczyliśmy, jak wychodzą na zewnątrz, kiedy wsadzaliśmy Tylera do radiowozu.

– I wezwaliśmy policję stanową, żeby udzieliła wsparcia – powiedział Dale. – To pamiętam.

– Oczywiście, że tak – mówi łaskawie Jack.

– Ale nie mamy pojęcia, jak ta chałupa wyleciała w diabły, i nie mamy pojęcia, kto to zrobił.

– Niektórzy ludzie są za bardzo skłonni brać wymierzanie sprawiedliwości w swoje ręce – powiedział Jack.

– Szczęście, że nie pourywało im łbów – odparł Dale.

– Zgadza się – mówi im teraz Jack. Stoją przy drzwiach. Doktorek wyciąga połówkę skręta i cztery szybkie, głębokie machy wyraźnie go uspokajają. – Pamiętajcie tylko, dlaczego to robimy. Komunikat głosi: pojechaliśmy tam pierwsi, znaleźliśmy Tylera, widzieliśmy tylko kilkoro innych dzieci, uznaliśmy, że wskutek śmierci Charlesa Burnside’a, znanego również jako Carl Bierstone, Monstrum z South Side i Rybak, sytuacja jest opanowana. Przekazujemy, że Dale postępował właściwie – że wszyscy tak postępowaliśmy – a następnie przekazał dochodzenie niańczącym je teraz FBI i policji stanowej. Hm, niańczącym to chyba trafne określenie. Przekazujemy, że we French Landing znowu jest spokój. Na koniec podkreślamy, że prawdziwą gwiazdą jest Henry Leyden. Bohaterski niewidomy, który zidentyfikował Charlesa Burnside’a i rozwiązał sprawę Rybaka, śmiertelnie zranił potwora i postradał przez to życie.

– Amen – mówi Dale. – Stary słodki wujek Henry.

Za drzwiami winnebago słychać przypominający przybój szmer setek ludzi. Może nawet tysiąca. Dale myśli: To właśnie słyszą gwiazdy rocka przed wejściem na scenę. W gardle czuje nagle wzbierającą kulę i stara się z całych sił ją przełknąć. Dochodzi do wniosku, że jeśli będzie myślał tylko o wuju Henrym, to jakoś sobie poradzi.

– Na wszystkie inne pytania, jeśli staną się zbyt szczegółowe... – mówi Jack.

– Nie pamiętamy – dopowiada Beezer.

– Bo powietrze było złe – zgadza się Doktorek. – Pachniało jakby eterem, chloroformem czy czymś w tym stylu.

Jack przygląda się pozostałym, kiwa głową i się uśmiecha. Ogólnie rzecz biorąc, to będzie szczęśliwa okazja, myśli. Uczta miłości. Na pewno nie przemyka mu przez głowę, że za kilka minut może umrzeć.

– Dobra – mówi. – Idziemy i zabieramy się do dzieła. Jesteśmy dzisiaj po południu politykami, politykami na konferencji prasowej, a zostają wybrani ci, którzy potrafią trzymać się własnego przesłania.

Otwiera drzwi przyczepy. Szmer oczekującego tłumu narasta.

Podchodzą do naprędce skleconego podium w następującej kolejności: Beezer, Dale, Jack i dobry Doktor. Wchodzą w ciepły, biały blask dziesięciokilowatowych reflektorów

telewizyjnych i rozbłyskujących fleszy. Jack nie ma pojęcia, po co to potrzebne – dzień jest ciepły i jasny, prawdziwie uroczy, jak na region Coulee przystało – ale najwidoczniej przedstawiciele mediów nie umieją bez tego żyć i zawsze zapalają światła. Słychać powtarzające się wołania: „Tutaj!”. Padają również pytania, które czterej mężczyźni ignorują. Gdy nadejdzie czas odpowiadać na nie, zrobią to – najlepiej, jak umieją – ale na razie są po prostu oszołomieni tłumem.

Hałas wszczyna około dwustu mieszkańców French Landing, którzy siedzą na składanych krzeselkach w odgradzonej linami przestrzeni na wprost podium. Najpierw wstają: niektórzy z nich klaszczą, inni wymachują w powietrzu zaciśniętymi pięściami jak triumfujący bokserzy. Dziennikarze przyłączają się do nich i gdy naszych czterech przyjaciół wchodzi po schodkach na pomost, wrzawa zamienia się w ryk. Jesteśmy teraz wraz z nimi na platformie, i Boże, widzimy tyle znajomych twarzy, patrzących w naszą stronę. Jest tam Morris Rosen, który podsunął Henry’emu płytę kompaktową Dirtyperm pierwszego dnia naszego pobytu w mieście. Za nim jest kontyngent z zamkniętego już Domu Spokojnej Starości Maxtona: urocą Alice Weathers otaczają Elmer Jesperson, Ada Meyerhoff (na wózku inwalidzkim), Flora Flostad i bracia Boettcher, Hermie i Tom Tom. Tansy Freneau, wyglądająca na trochę nieobecna duchem, ale nie całkowicie zwariowaną, stoi obok obejmującego ją ramieniem Lestera Moona. Arnold „Latarka” Hrabowski, Tom Lund, Bobby Dulac i inni funkcjonariusze Dale’a zerwali się z miejsc, podskakują i tańczą jak szaleni. Spójrzcie tam – to Enid Purvis, sąsiadka, która zadzwoniła do Freda do pracy tego dnia, kiedy Judy ostatecznie odwaliło. Jest tu Rebecca Vilas, wyglądająca prawie jak zakonnica w sukience z wysokim kołnierzykiem (choć nie płacz za nią, Argentyno: Becky zdołała zadołować sobie porządną sumkę, wielkie dzięki). Jest z nią Butch Yerxa. Z tyłu tłumu czają się wstydliwie niepotrafiący mimo wszystko powstrzymać się od udziału w triumfie przyjaciół William Strassner i Hubert Cantinaro, znani nam lepiej jako Kajzer Bili i Sonny. Popatrzcie tam! Herb Roeper, strzygący Jacka, stoi obok Bucka Evitza, doręczającego mu pocztę. Jest wielu innych naszych znajomych, z którymi musimy się żegnać w niezupełnie szczęśliwych okolicznościach. W pierwszym rzędzie Wendell Green skacze jak kura na rozpalonym ruszcie (Bogu jednemu tylko wiadomo, jak dostał się w odgradzony sektor, bo mieszka w La Riviere, a nie French Landing – jednak jest tutaj) i pstryka zdjęć. Dwa razy wpada na Elvene Morton, gospodynię Henry’ego. Gdy robi to po raz trzeci, Elvena tłucze go solidnie w wierzch łepetyny. Wendell prawie tego nie zauważa. Jego głowa zniosła o wiele gorsze *rzeczy* podczas sprawy Rybaka. Z boku zaś widzimy kogoś jeszcze, kogo możemy rozpoznać lub nie. Starszy, ciemnoskóry dżentelmen w okularach przeciwsłonecznych. Przypomina trochę dawnego śpiewaka bluesowego. Jest też trochę podobny do aktora filmowego Woody’ego Strode’a.

Aplauz grzmi i grzmi. Ludzie wiwatują. Letni powiew unosi podrzucane czapki. Powitanie tłumu staje się swego rodzaju samoistnym cudem, afirmacją, być może nawet przyjęciem dzieci, które według powszechnego mniemania przetrzymywano w jakiejś

seksualnej niewoli mającej związek z Internetem. (Czyż wszelkie zwyrodnienia nie są tak czy inaczej powiązane z Internetem?). Oczywiście tłum wiwatuje również dlatego, że skończył się koszmar. Straszdyło umarło na własnym podwórku, zginęło pod prozaiczną, zamienioną już w proch aluminiową suszarnią na pranie, toteż wszyscy są nareszcie bezpieczni.

Och, jak te wiwaty brzmią w kilku ostatnich chwilach życia Jacka Sawyera na planecie Ziemia! Wystraszone ptactwo zrywa się znad brzegu rzeki i z piskiem kołuje po niebie, szukając spokojniejszego schronienia. Na samej rzece frachtowiec reaguje na wiwaty – czy też przyłącza się do nich – powtarzanymi rykami syreny. Inne barki podchwytyją pomysł i przyczyniają się do kakofonii.

Jack bez zastanowienia chwytą w lewą rękę prawą dłoń Doktora, a w prawicę – lewą dłoń Dale'a. Dale bierze za rękę Beezera i stojący przed tłumem Gang Sawyera unosi razem ręce.

Tłum naturalnie szaleje z zachwytu. Gdyby nie to, co wydarzy się za chwilę, byłaby to scena dekady, może nawet stulecia. Czterech triumfujących mężczyzn stoi obok siebie – żywe symbole zwycięstwa z uniesionymi pod niebo złączonymi dłońmi. Tłum wiwatuje, kręcąc kamery wideo, błyskają nikony – i w tej właśnie chwili kobieta w trzecim rzędzie przystępuje do akcji. Jest to ktoś nam znajomy, lecz mija chwila lub dwie, nim ją identyfikujemy, ponieważ nie miała nic wspólnego ze sprawą, której losy śledziliśmy. Ona zaś na swój sposób... cóż, czaiła się w tle. Drogą losowania pośród zarejestrowanych wyborców wybrano dwustu uczestników konferencji, a Debbie Anderson, Pam Stevens i Dit Jesperson zawiadomili szczęśliwych zwycięzców. Kobieta ta miała numer 199. Kilku ludzi usuwa się jej z drogi, gdy ich mija, chociaż w swym szczęśliwym zapamiętaniu prawie nie zdają sobie z tego sprawy; błada kobieta z przylepionymi do policzków strąkami włosów słomianej barwy pachnie potem, bezsennością i wódką. Ma małą torebkę. Torebka jest otwarta. Kobieta sięga do niej, a my, którzy żyliśmy w drugiej połowie dwudziestego wieku i dzięki cudowi telewi/ji byliśmy świadkami dziesiątek udanych i prawie udanych zamachów, wiemy dokładnie, po co sięga. Chcemy wykrzyknąć ostrzeżenie do czterech mężczyzn, wznoszących ku niebu złączone ręce, ale możemy jedynie patrzeć.

Tylko czarnoskóra mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych dostrzega, co się dzieje. Obraca się i rusza z miejsca, świadomy, że kobieta zapewne za bardzo go wyprzedza, że pewnie nie zdąży.

Nie, myśli Speedy Parker. To nie może się tak skończyć. Nie może.

– Padnij, Jack! – krzyczy, ale nikt go nie słyszy wskutek klaskania, wiwatów i rozszalałych okrzyków.

Tłum jakby celowo zagradzał mu drogę, faluje przed nim bez względu na to, w którą stronę się przesunie. Przez chwilę wciąż podrygujący jak ofiara napadu padackowego Wendell Green zagradza widok zabójczyni. Spycha go na bok z siłą wariatki. Dlaczego nie? Przecież to rzeczywiście wariatka.

– Ludzie... – Dale praktycznie dotyka ustami mikrofonu, a z zawieszonych na pobliskich drzewach głośników dobywa się pisk sprzężenia. Wciąż trzyma rękę Jacka po lewej i Beezera po prawej. Na jego twarzy widnieje niepewny, oszołomiony uśmiech. – Dziękuję, ludzie, na pewno doceniamy wasze poparcie, ale jeśli zechcielibyście się uspokoić...

W tej samej chwili Jack dostrzega kobietę.

Minęło wiele czasu, lata, ale poznaje ją od razu. Powinien; plunęła mu w twarz pewnego dnia, gdy wychodził z sądu w Los Angeles. Napluła na niego i nazwała go kantującym sukinsynem. Od tamtego czasu schudła pięćdziesiąt funtów, myśli Jack. Może więcej. Potem dostrzega jej dłoń w torebce i zanim nawet ją wyciąga, domyśla się, o co tu chodzi.

Najgorsze jest to, że nie może nic temu zaradzić. Doktorek i Dale ściskają jego rękę, jakby od tego zależało ich życie. Nabiera powietrza i krzyczy tak, jak nauczono go postępować w podobnych sytuacjach: – Rewolwer! – a Dale Gilbertson kiwa głową, jakby się z nim zgadzał: Tak, tak, naprawdę pięknie. Jack widzi, że za kobietą przez klaszczący, wiwatujący tłum przeciska się Speedy Parker, ale jeśli Speedy nie ma jakiegś wyjątkowo dobrej sztuczki magicznej w zanadrzu...

Nie ma. Speedy Parker, znany w Terytoriach jako Parkus, stara się przedrzeć do przejścia, gdy stojąca pod platformą kobieta wyciąga pistolet. Jest to szkaradna jak buldog trzydziestkadwójka z krótką lufą i oklejoną czarną kuchenną taśmą rękojeścią. Jack ma pół sekundy na myśl, że może broń eksploduje kobiecie w ręce.

– Rewolwer! – krzyczy znowu.

Słyszy go Doktorek Amberson i widzi szczerzącą zęby kobietę, przyczajoną tuż pod nimi.

– Ochkurwamówi.

– Wanda, nie! – woła Jack.

Doktorek puścił jego lewą rękę (Dale wciąż wznosi drugą wysoko w powietrzu), a Jack wystawiają przed siebie jak kierujący ruchem policjant. Pierwsza kula Wandy Kinderling przebija dłoń, paskudnie się splezcza, zaczyna koziołkować i wybija dziurę w lewym barku Jacka.

Wanda mówi coś do niego. Jest za duży hałas, by Jack mógł ją usłyszeć, ale mimo wszystko pojmuje: *Masz, kantujący sukinsynu – pozdrowienia od Thorny'ego.*

Wystrzeliwuje pięć pozostałych kul w pierś i gardło Jacka.

Nikt nie słyszy nieistotnych puknięć trzydziestkidwójki o krótkiej lufie, uniemożliwiają to wiwaty i oklaski, ale Wendell Green trzyma uniesiony aparat i gdy detektyw szarpie się w tył, nasz ulubiony reporter czysto odruchowo zwalnia migawkę nikona. Aparat wykonuje osiem zdjęć. Trzecie z nich jest tą fotografią, która ostatecznie stanie się równie sławna jak zdjęcie żołnierzy piechoty morskiej, zatykających flagę na Iwo Jimie, czy Lee Harveya Oswalda, ściskającego się za brzuch w garażu posterunku policji w Dallas. Na fotografii Wendella Jack

Sawyer patrzy spokojnie na strzelającą kobietę (stanowiącą jedynie niewyraźną plamę w dole kadru). Wyraz jego twarzy można by uznać za wybaczący. Przez otwór w wyciągniętej ręce wyraźnie widać światło dzienne. Kropelki czerwonej jak rubiny krwi wiszą nieruchomo w powietrzu wokół jego gardła, które właśnie rozpruła kula.

Wiwaty i oklaski urywają się jak amputowane. Zapada chwila strasznej, wynikającej z niezrozumienia ciszy. Jack Sawyer, trafiony dwukrotnie w płuca i raz w serce, jak również w rękę i gardło, stoi w miejscu, patrząc nad nadgarstkiem i przez otwór poniżej rozpostartych palców. Wanda Kinderling wlepia w niego wzrok i szczerzy zaniedbane zęby. Speedy Parker wpatruje się w Jacka z wyrazem nagiej grozy, której nie mogą ukryć jego okulary o zawijających się szklach. Po lewej stronie, na jednej z czterech wieżyczek ustawionych wokół platformy przez ekipy telewizyjne, młody kamerzysta mdleje i spada na ziemię.

Potem nieświadomie pochwycona przez Wendella stopklatka ożywa nagle i wszystko wpada w ruch.

Wanda Kinderling krzyczy: – Do zobaczenia w piekle, Hollywood (potwierdzi to później kilku ludzi) – i przykładą lufę trzydziestkidwójki do skroni. Jej spojrzenie pełne złośliwej satysfakcji ustępuje o wiele bardziej typowemu wyrazowi oszołomionego niezrozumienia, gdy pociągnięcie za spust powoduje jedynie suchy trzask iglicy. Bęben rewolweru o krótkiej lufie jest pusty.

W chwilę później jest już prawie doszczętnie unicestwiona – ma złamany kark, lewy bark i cztery żebra – jako że Doktorek skacze na nią szczupakiem i wgniata w ziemię. Lewym butem trafia w skroń Wendella Greena, ale tym razem dziennikarz zalicza jedynie skaleczenie ucha. No cóż, należała mu się zmiana passy, prawda?

Na platformie Jack Sawyer spogląda niedowierzająco na Dale'a, stara się coś powiedzieć i nie może. *Zatacza*, się, przez chwilę utrzymuje się jeszcze na nogach i pada na deski.

W mgnieniu oka wyraz twarzy Dale'a zmienia się z zamyślnego zachwyty na skrajny szok i przerażenie. Chwyta mikrofon i krzyczy:

– JEST RANNY! POTRZEBUJEMY LEKARZA!

W głośnikach wyje kolejne sprężenie. Żaden lekarz nie wysuwa się z tłumu. Wielu ludzi wpada w panikę i rzuca się do ucieczki. Panika się rozprzestrzenia.

Beezer klęczy na jednym kolanie i odwraca Jacka. Jack patrzy na niego, wciąż starając się coś powiedzieć. Krew cieknie z kącików jego ust.

– Ech, kurwa, fatalnie, Dale, naprawdę fatalnie – woła Beezer i zostaje przewrócony.

Trudno byłoby oczekiwać, że żyłasty stary Murzyn, który wskoczył na scenę, mógłby powalić takiego osiłka jak Beezer, ale to nie zwyczajny staruszek. O czym bardzo dobrze wiemy. Otacza go rzadka, ale dokładnie widoczna aura białego światła. Beezer dostrzega ją i jego oczy się rozszerzają.

Tłum tymczasem pierzcha na wszystkie strony. Panika zaraża również niektórych panów i panie z prasy. Nie Wendella Greena – stoi w miejscu jak bohater, trzaskając zdjęciami, aż jego

nikon jest pusty jak rewolwer Wandy Kinderling. Fotografuje Murzyna podnoszącego na rękach Jacka; fotografuje Dale'a Gilbertsona kładącego rękę Murzynowi na ramieniu; fotografuje czarnoskórego mężczyznę odwracającego się i mówiącego coś do Dale'a. Gdy Wendell pyta później komendanta, co powiedział staruszek, Dale odpowiada, że nie pamięta – poza tym i tak w całym tym pandemonium tego nie dosłyszał. Oczywiście to kit, ale możemy być pewni, że Jack Sawyer byłby dumny z Dale'a, gdyby usłyszał jego odpowiedź. Kiedy masz wątpliwości, mów, że nie pamiętasz.

Ostatnia fotografia Wendella ukazuje Dale'a i Beezera, patrzących z identycznymi oszołomionymi minami, jak starszy mężczyzna wchodzi po schodkach do przyczepy winnebag z Jackiem Sawyerem na rękach. Wendell nie ma pojęcia, jak taki stary jegomość może nieść rosłego, młodego mężczyznę – Sawyer ma sześć stóp dwa cale wzrostu i waży co najmniej sto dziewięćdziesiąt funtów – ale domyśla się, że dzieje się to na tej samej zasadzie jak wtedy, gdy przerażona matka podnosi samochód, pod którym jest uwięzione jej dziecko. Zresztą to nieistotne. To małe piwo w porównaniu z tym, co dzieje się potem. Ponieważ kiedy grupa ludzi pod przewodnictwem Dale'a, Beeza i Doktora wpada do przyczepy (Wendell jest w ogniu tej grupy), znajduje tylko samotne przewrócone krzesło i kilka rozbryzgów krwi Jacka w kuchni, gdzie Jack udzielał swoim towarzyszom ostatnich instrukcji. Krwawy trop wiedzie na tył, gdzie znajduje się rozkładane łóżko i kabina toaletowa. Tam zaś plamy i rozbryzgi po prostu nikną.

Jack i stary mężczyzna, który go tu wniósł, rozplynęli się w powietrzu.

Doktor i Beezer paplą prawie histerycznie. Przeskakują od pytań, gdzie mógł podziąć się Jack, do zmaconych wspomnień ostatnich kilku chwil na platformie, nim padły strzały. Nie potrafią się od tego uwolnić, a Dale domyśla się, że minie sporo czasu, zanim sam będzie mógł to zrobić. Uświadamia sobie teraz, że Jack widział zbliżającą się kobietę, że starał się wyciągnąć dłoń z ręki Dale'a, żeby zareagować.

Dale myśli, że być może rzeczywiście nadeszła pora *zrezygnować* z posady komendanta i znaleźć sobie jakąś inną robotę. Jednak jeszcze nie teraz. W tej chwili chce uchronić Beezera i Doktora przed Kolorową Obławą, pomóc im się uspokoić. Ma im do powiedzenia coś, co może im w tym pomóc.

Dołączają do niego Tom Lund i Bobby Dulac. We trzech eskortują Beeza i Doktora w drodze z przyczepy, w której agent specjalny Redding i detektyw Black z policji stanowej już organizują PDK (perymetr dochodzenia kryminalistycznego). Gdy tylko wchodzi za platformę, Dale spogląda w oszołomione twarze dwóch krzepkich harleyowców.

– Posłuchajcie mnie – mówi.

– Powinienem był go zasłonić – mówi Doktor. – Widziałem, że podchodzi. Dlaczego go nie zasłoniłem...

– Zamknij się i posłuchaj!

Doktor milknie. Tom i Bobby również słuchają z rozszerzonymi oczyma.

– Ten Murzyn coś mi powiedział.

– Co? – pyta Beezer.

– Powiedział: „Pozwól mi go zabrać – może jest jeszcze nadzieja”.

Doktorek, który miał do czynienia ze swoją działką ran postrzałowych, wydaje żalorny śmiech.

– A ty mu uwierzyłeś?

– Nie od razu, niezupełnie – mówi Dale. – Kiedy jednak poszliśmy do przyczepy i okazała się pusta...

– I nie było w niej tylnego wyjścia – dodaje Beezer.

Sceptycyzm Doktorka nieco przygasa.

– Naprawdę myślisz...

– Tak – mówi Dale Gilbertson i wyciera oczy. – Muszę mieć nadzieję. A wy musicie mi pomóc, ludzie.

– Dobrze – mówi Beezer. – Postaramy się.

My zaś myślimy, że musimy wreszcie pożegnać się z nimi na dobre, gdy tak stoją pod błękitnym letnim niebem niedaleko Ojca Wód, obok platformy z zakrwawionymi deskami. Wkrótce życie ich odnajdzie i wciągnie z powrotem w swój wściekły nurt, ale przez kilka chwil są razem, zjednoczeni w nadziei, dotyczącej naszego wspólnego przyjaciela.

Tak właśnie ich pozostawmy, dobrze?

Zostawmy ich z nadzieją.

Pewnego razu w Terytoriach

Pewnego razu (jak zaczynały się najlepsze historie, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w lesie i nikt nie żył nigdzie indziej) kapitan Farren z Gwardii Zewnętrznej, którego twarz szpeciła blizna, zaprowadził przestraszonego małego chłopca, Jacka Sawyera, do Pawilonu Królowej. Ów chłopiec nie oglądał jednak dworu Królowej; nie, został poprowadzony labiryntem zakulisowych korytarzy, tajnych i rzadko odwiedzanych zakamarków, gdzie pod powalą tkwały sieci pająki, a ciepłe powiewy były przesiąknięte woniami gotowanego w kuchni jadła.

Farren wreszcie wsunął ręce chłopcu pod pachy i podniósł go. Masz przed sobą płytkę, szepnął – pamiętacie? Myślę, że tam byliście. Myślę, że wszyscy tam byliśmy, chociaż byliśmy wtedy młodszy, nieprawdaż? *Przesuń ją w lewo.*

Jack spełnił polecenie i zorientował się, że zagląda do komnaty Królowej: pokoju, w którym według oczekiwań prawie wszystkich miała umrzeć... tak jak Jack spodziewał się, że jego matka umrze w pokoju w Alhambra Inn and Gardens w New Hampshire. Była to jasna, przewiewna sala, pełna krzątających się pielęgniarek, które udawały zajęte i zaferowane, bo w gruncie rzeczy nie miały pojęcia, jak pomóc swojej pacjentce. Chłopiec zajrzał przez otwór do środka komnaty i zobaczył kobietę, o której z początku pomyślał, że to jego matka, jakimś

cudem przeniesiona w to miejsce. My patrzyliśmy wraz z nim i żaden z nas nie przypuszczał, że całe lata później Jack Sawyer, który zdążył stać się mężczyzną, będzie leżał w tym samym łóżu, w którym wcześniej widział Dwójniczkę swej matki.

Parkus, który zabrał go do Wewnętrznych Baronii z French Landing, stoi teraz przed otworem, przez który patrzył niegdyś Jack, podniesiony przez kapitana Farrena. Obok niego jest Sophie z Canny, znana obecnie w Terytoriach zarówno jako Młoda Królowa, jak i Sophie Dobra. W komnacie sypialnej nie ma dziś pielęgniarek; Jack leży cicho pod powoli obracającym się wachlarzem. Ma bladą skórę – widać to tam, gdzie nie spowijają jej bandaże. Jego zamknięte powieki mają leszczynowy odcień, zabarwiony delikatnym rumieńcem, kojarzącym się także z purpurowymi sińcami. Z trudem można dojrzeć unoszenie się i opadanie prześcieradła z doskonałego lnu, pod którym leży... jednak jest obecne. Jack oddycha.

Żyje, przynajmniej na razie.

– Gdyby nigdy nie dotknął Talizmanu... – mówi cicho Sophie.

– Gdyby nigdy nie dotknął Talizmanu, właściwie nie trzymał go w ramionach, zginąłby na platformie, zanim zdążyłbym do niego dotrzeć – mówi Parkus. – Oczywiście, gdyby nie Talizman, w ogóle by go tam nie było.

– Jakie ma szansę? – Sophie patrzy na Parkusa. Gdzieś w innym świecie Judy Marshall już zaczęła osiadać z powrotem w zwyczajnym podmiejskim życiu. Jej Dwójniczki nie czeka jednak taki los – w tej części wszechświata nastąpiły ciężkie czasy – a jej oczy lśnią władcym, monarszym blaskiem. – Powiedz prawdę, panie; nie zdzierzę kłamstwa.

– Ani bym cię nim nie uraczył, pani – odpowiada Parkus. – Wierzę, że dojdzie do siebie dzięki szczątkowej ochronie, jaką zapewnił mu Talizman. Będziesz siedziała obok niego któregoś ranka czy wieczora, a on otworzy oczy. Nie dzisiaj i pewnie nie w tym tygodniu, ale wkrótce.

– A co z powrotem do jego świata? Do świata jego przyjaciół?

Parkus przyprowadził ją w to miejsce, bo wciąż kołacze się tu duch chłopca, jakim był Jack – widmowy i jak dziecko pełen słodyczy. Był tutaj, zanim otworzył się przed nim szlak prób, i to go w jakiś sposób wzmocniło. Był tutaj, gdy jego niewinność była jeszcze nietknięta. Tym, co zaskoczyło Parkusa w dorosłym Jacku – i wzruszyło go w sposób, którego powtórzenia się Parkus już nigdy się nie spodziewał – było to, ile owej niewinności pozostało w mężczyźnie, w którego zamienił się chłopiec.

Oczywiście to również jest dziełem Talizmanu.

– Parkus? Bujasz w obłokach.

– Nie, pani, nie tak daleko. Pytasz, czy może wrócić do swojego świata po tym, jak odniósł tam trzy, może nawet cztery śmiertelne rany – w istocie po tym, jak zostało przeszyte jego serce. Przeniosłem go tutaj, bo magia, z którą się zetknął i która odmieniła jego życie, jest po tej stronie silniejsza; na dobre czy złe Terytoria stanowią źródło sił Jacka Sawyera,

odkąd był dzieckiem. I udało się. Obudzi się jednak nie ten sam. Będzie jak... – Parkus przerywa. Sophie czeka w milczeniu na jego dalsze słowa. W oddali rozlega się ryk kucharza, sztorcującego któregoś z czeladników. – W morzu żyją różne stworzenia, które oddychają skrzelami – mówi wreszcie Parkus. – U niektórych po długich epokach rozwijają się płuca. Takie zwierzęta mogą żyć zarówno pod wodą, jak i na lądzie. Rozumiesz?

– Tak mnie uczono, kiedy byłam dziewczynką – *zgadza* się cierpliwie Sophie.

– Niektóre z tych ostatnich stworzeń tracą jednak skrzela i mogą żyć tylko na lądzie. Myślę, że Jack Sawyer stał się teraz istotą takiego właśnie rodzaju. Ty czy ja moglibyśmy zanurkować w wodę i popływać pod nią przez jakiś czas. Natomiast niewykluczone, że on będzie mógł tylko wracać na krótkie odwiedziny do swojego świata... oczywiście za jakiś czas. Gdybyśmy jednak ty czyja spróbowali żyć pod wodą...

– Utonęlibyśmy.

– W istocie. Jeśli by zaś Jack spróbował zamieszkać z powrotem w swoim świecie, wrócić na przykład do domu w dolinie Norway, po paru dniach czy tygodniach otworzyłyby się jego rany. Może w innej postaci – na świadectwie jego zgonu mógłby figurować na przykład atak serca – ale i tak przyczyną śmierci byłaby kula Wandy Kinderling. Strzał w serce. – Parkus szczyrzy zęby. – Obrzydliwa kobieta! Wierzę, że abbalah nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia bardziej ode mnie, ale popatrz, ile szkody narobiła!

Sophie nie zwraca na niego uwagi. Wpatruje się w śpiącego w ciszy mężczyznę w sąsiednim pomieszczeniu.

– Skazany na życie w tak przyjemnej krainie... – Odwraca się do Parkusa. – To naprawdę przyjemna kraina, czyż nie, waćpanie? Mimo wszystko to nadal przyjemna kraina?

Parkus uśmiecha się i skłania głowę. Ząb rekina kołysze się na delikatnym złotym łańcuszku na jego szyi.

– Niewątpliwie.

– W takim razie życie tutaj może nie być tak straszne. – Sophie rażno kiwa głową. Parkus nie odpowiada. Po chwili czy dwóch jej udawana rzeźkość znika; opuszcza ciężko ramiona. – Nienawidziłabym tego – mówi bardzo cicho Sophie. – Nie mieć wstępu do własnego świata z wyjątkiem sporadycznych krótkich wizyt... przepustek... wracać po pierwszym kaszlnięciu czy skurczu w piersi... Nienawidziłabym tego.

Parkus wzrusza ramionami.

– Będzie musiał pogodzić się z sytuacją. Czy mu się podoba, czy nie, stracił skrzela. Jest teraz mieszkańcem Terytoriów. A Bóg Cieśla jeden wie, że wystarczy mu tutaj roboty. *Zbliża* się rozstrzygnięcie losów Wieży. Sądzę, że Jack Sawyer może mieć w tym rolę do odegrania, chociaż nie jestem tego pewny. Tak czy inaczej, kiedy wyzdrowieje, nie będzie mu doskwierał brak roboty. Jest glinicjantem, a tacy zawsze znajdują zajęcie. – Sophie wygląda przez szczelinę w płótnie, a na jej pięknej twarzy maluje się zakłopotanie. – Musisz mu pomóc, kochanie – dodaje Parkus.

– Kocham go – mówi bardzo cicho Sophie.

– A on ciebie, ale to, co nadchodzi, będzie ciężkie.

– Dlaczego tak musi być, Parkus? Dlaczego życie zawsze musi żądać tak wiele i dawać tak mało?

Parkus przyciąga ją do siebie, a ona bez oporu wtula się w jego ramiona i przyciska twarz do jego piersi.

W mroku za komnatą, w której śpi Jack Sawyer, Parkus odpowiada na pytanie Sophie jednym słowem:

Ka.

Epilog

Sophie siada obok jego łóżka pierwszej nocy Pełni Ziemi, dziesięć dni po rozmowie z Parkusem w tajnym przejściu. Pod pawilonem słychać dzieci, śpiewające „Dnieje zielona kukurydza”. Na kolanach Sophie leży kawałek haftowanego materiału. Jest lato, wciąż lato, a powietrze jest słodkie od jego tajemnicy.

W pełnej powiewających płócien komnacie, w której leżała niegdyś Dwójniczka jego matki, Jack Sawyer otwiera oczy.

Sophie odkłada haft, pochyla się naprzód i przykłada usta do jego ucha.

– Witaj z powrotem – mówi. – Moje serce, moje życie, miłości moja: witaj z powrotem.

14 kwietnia 2001